

Z angielskiego przełożył
Michał Wroczyński

HISTORYK

EUZABETH

K O S T O V A

*Mojemu Ojcu,
który pierwszy opowiedział
mi
jedną z tych historii*

Do Czytelnika

Historii tej nigdy nie chciałam przenieść na papier. Ostatnio jednak kilka wstrząsających zdarzeń skłoniło mnie, bym spojrzała wstecz i prze-myślała najbardziej niepokojące epizody z życia mojego i osób mi bliskich. Jest to opowieść o tym, jak ja, szesnastoletnia wtedy dziewczyna, zaczęłam tak naprawdę poznawać swojego ojca i jego przeszłość, o tym, jak on rozpoczął poszukiwanie zaginionego, a ukochanego mentora i poszedł jego śladami, trafiając na jedną z najmroczniejszych ścieżek wiodących w historię. Jest to opowieść kogoś, kto przeżył prowadzone poszukiwania, a jednocześnie ich nie przeżył. I dlaczego... Jako badacz doskonale rozumiałam, że nie każdy, kto sięga do historii, może wyjść z tego cało. I że nie tylko takie sięganie wstecz naraża nas na śmiertelne niebezpieczeństwo - czasami sama historia wyciąga do nas nieubłaganie swój ciemny szpon.

Przez trzydzieści sześć lat, jakie upłynęły od tamtych wydarzeń, prowadziłam stosunkowo spokojne życie. Poświęcałam swój czas na naukowe, niezakłócone żadnymi wypadkami podróże, spotkania ze studentami i przyjaciółmi, pisanie historycznych, całkiem bezosobowych książek. Zająłam się też sprawami uniwersytetu, w którym znalazłam ostatecznie bezpieczne schronienie. A wracając do przeszłości, miałam to szczęście, że nie pojawił się żaden problem z dostępem do najbardziej nawet osobistych dokumentów dotyczących tamtej sprawy, ponieważ od wielu lat znajdowały się w moich rękach. Pewne fragmenty połączyłam ze sobą tak, iż tworzyły ciągłość. Czasami musiałam uzupełniać ją własnymi wspomnieniami. Przedstawiłam pierwsze, opowiedziane mi przez ojca opowieści w takiej kolejności, jak mi je przekazał, w ogromnym stopniu opierałam się również na jego listach, a niektóre z nich pokrywały się z jego ustnymi relacjami.

Co więcej, aby jak najpełniej i jak najdokładniej odtworzyć wszystkie

źródła mojej naukowej pracy, chwyciłam się każdego sposobu, żeby odświeżyć sobie pamięć: czasami odwiedzałam tamte miejsca, by ożywić wspomnienia zatarte przez czas. Jedną z największych przyjemności, jaką czerpałam z tych przedsięwzięć, były spotkania - w niektórych przypadkach tylko korespondencja - z nielicznymi uczonymi, jacy jeszcze pozostali i zostali uwikłani w opisane tu zdarzenia. Ich wspomnienia stanowią bezcenny wprost suplement do zebranych przeze mnie materiałów. Ostatecznie tekst w niebywały sposób wzbogaciły konsultacje z młodszymi naukowcami z wielu dziedzin wiedzy.

I ostatnie źródło, z jakiego w ostateczności korzystałam - moja wyobraźnia. W takich przypadkach postępowałam jednak z najwyższą rozważą, przekazując Czytelnikom tylko to, co było najbardziej prawdopodobne i całkowicie odpowiadało kontekstowi dokumentów. Kiedy nie byłam w stanie wyjaśnić pewnych zdarzeń czy motywów, pozostawiałam je niewyjaśnione, nie zajmując się ich ukrytą logiką i realnością. Pojawiające się w opowieści wątki odleglejszej historii przekazałam z dokładnością, z jaką pisałam inne naukowe teksty. Ustępy dotyczące religijnego i terytorialnego konfliktu między muzułmańskim Wschodem a judeo-chrześcijańskim Zachodem będą dla współczesnego Czytelnika aż do bólu znajome.

Nie potrafię wyrazić swej wdzięczności dla wszystkich osób, które pomogły mi w tej pracy, ale muszę wymienić kilka z nich z imienia i nazwiska. Wyrażam swą dozgonną wdzięczność, między innymi, doktorowi Radu Georgescu z Muzeum Archeologicznego przy Uniwersytecie w Bukareszcie, doktor Ivance Lazarowej z Bułgarskiej Akademii Nauk, doktorowi Petarowi Stoiczewowi z Uniwersytetu Michigan, niezmqrdowanemu personelowi Biblioteki Brytyjskiej, bibliotekarzom z Muzeum Literatury Rutherford i Biblioteki w Filadelfii, ojcu Wasilowi z klasztoru Zographou na górze Athos oraz doktorowi Turgutowi Bora z Uniwersytetu w Stambule.

Publikując tę opowieść, mam nadzieję, że znajdzie się przynajmniej jeden czytelnik, który zrozumie, czym w rzeczywistości jest ta praca: *cri de coeur*. Tobie, spozstrzegawczy Czytelniku, przekazuję moją historię.

Oksford, Anglia
15 stycznia 2008 roku

Część pierwsza

Wyjąłem wszystkie zapiski z sejfu, gdzie spoczywały od naszego powrotu przed laty. Uderzyła nas okoliczność, iż wśród tak licznych materiałów nie ma na dobrą sprawę ani jednego rzetelnego dokumentu - nic, prócz sterty kart maszynopisu, jeśli nie liczyć ostatnich notatek Miny, Sewarda i moich, oraz memorandum van Helsinga. Nawet gdybyśmy powzięli taki zamiar, nie moglibyśmy od nikogo wymagać, by przyjął te zapiski jako dowody niezwyklej historii, jaka nam się przydarzyła.

Bram Stoker, *Dracula*, 1897
(przekł. M. Wydmucha i Ł. Nicpana)

1

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku miałam szesnaście lat. „Jesteś za młoda - oświadczył mój ojciec - żeby towarzyszyć mi w misjach dyplomatycznych”. Wolał, bym spędzała pożytecznie czas w międzynarodowej szkole w Amsterdamie. W owym czasie jego fundacja miała siedzibę właśnie w Holandii, która stała się moim drugim domem na tak długo, że prawie zapomniałam o naszym wcześniejszym życiu w Stanach Zjednoczonych. Dzisiaj dziwię się samej sobie, iż jako nastolatka byłam aż tak pokorna i uległa, podczas gdy reszta mego pokolenia eksperymentowała z narkotykami i protestowała przeciw imperialistycznej wojnie w Wietnamie. Wzrastałam jednak w świecie tak izolowanym, że moje późniejsze, dorosłe już życie na uczelni wydawało mi się wręcz awanturnicze. Zacznę od tego, iż nie miałam matki i ojciec troszczył się o mnie za dwie osoby, otaczając opieką, na jaką w żadnych innych okolicznościach by się nie zdobył. Moja matka umarła, kiedy byłam w kołysce, zanim jeszcze ojciec założył Centrum Pokoju i Demokracji. Nigdy o niej nie mówił i odwracał się bez słowa plecami, ilekroć pytałam. Już jako dziecko rozumiałam, że stanowiło to dla niego zbyt bolesne wspomnienie, aby rozmawiać na ten temat. Opiekował się mną rzeczywiście fantastycznie, zapewnił mi całą armię nianieek, guwernantek i gospodyń domowych - pieniądze nie grały roli, gdy w grę wchodziło moje wychowanie i wykształcenie, choć z dnia na dzień żyliśmy coraz skromniej.

Ostatnia z tych gospodyń domowych, pani Clay, zajmowała się naszym wąskim, siedemnastowiecznym domem stojącym nad Raamgrachttem, kanałem przebiegającym przez środek starego miasta. Codziennie

po szkole czekała na mnie w progu i pełniła rolę mego ojca, kiedy podróżowała po świecie, co zdarzało się bardzo często. Pani Clay była Angielką, starszą od mojej matki, gdyby ona jeszcze żyła. Doskonale posługiwała się zmiotką z piór służącą do ścierania kurzu, lecz nie miała zielonego pojęcia, jak postępować z nastolatkami. Czasami, obserwując ponad stołem w jadalni jej pełną współczucia, długą, końską twarz, wiedziałam, że myśli o mojej matce. Nienawidziłam jej za to. Kiedy ojciec wyjeżdżał, nasz śliczny dom stawał się pusty i pełen ech. Nikt nie pomagał mi w odrabianiu algebry, nikt nie podziwiał mojego nowego płaszcza, nie prosił, abym go uściśnieła, ani nie wyrażał zdziwienia, że jestem już taka wysoka. I gdy ojciec w końcu wracał z jakichś odległych krain, znanych mi tylko z wiszącej na ścianie w jadalni mapy Europy, pachniał innymi czasami i miejscami - był wonny i zmęczony. Wakacje spędzaliśmy w Paryżu lub w Rzymie. Tam z uwagą oglądałam rzeczy, które, zdaniem ojca, koniecznie powinnam poznać. Ale ja tęskniłam za tymi, właśnie innymi miejscami, gdzie tak często znikał - za obcymi, starymi krainami, w których nigdy nie byłam.

Kiedy znów wyjeżdżał, wychodziłam do szkoły i z niej wracałam. Po powrocie z hukiem rzucałam książki na wytworny stolik w holu. Ani pani Clay, ani mój ojciec nie pozwalali mi wieczorami wychodzić z domu. Czasami tylko puszczali mnie na starannie wybrany film, w starannie dobranym towarzystwie. A ja - ku memu retrospektywnemu zdumieniu - nigdy nie buntowałam się przeciw tym regułom. Ale i tak wolałam samotność. Było to moje naturalne środowisko, w którym z rozkoszą i przyjemnością poruszałam się jak ryba w wodzie. Odnosiłam wielkie sukcesy w nauce, lecz moje życie towarzyskie było bardziej niż fatalne. Bałam się swoich rówieśniczek, zwłaszcza ich ordynarnych rozmówek i nieustannych plotek o naszym dyplomatycznym środowisku. W ich towarzystwie zawsze czułam, że mam za długą lub za krótką sukienkę albo że powinnam była się ubrać w coś zupełnie innego. Chłopcy stanowili dla mnie zupełną tajemnicę, choć mgliście śniłam o mężczyznach. Tak naprawdę najszcześniejsze chwile spędzałam samotnie w bibliotece mego ojca, rozległym, wytwornym pokoju na parterze naszego domu.

W bibliotece zapewne kiedyś mieścił się salon, ale dla niego wielka biblioteka była ważniejsza od najwytworniejszego salonu. Dawno już dał mi przyzwolenie na korzystanie z księgozbioru. Podczas jego nieobecno-

ści spędzałam tam długie godziny, odrabiając lekcje na mahoniowym biurku lub grasując po regałach zajmujących wszystkie ściany pokoju. Znacznie później zrozumiałam, że mój ojciec albo zapomniał, co znajduje się na jednej z najwyższych półek, albo też - co bardziej prawdopodobne - założył, że i tak tam nie dosięgnę. Nadszedł dzień, kiedy zdjęłam stamtąd nie tylko tłumaczenie *Kamasutry*, ale też o wiele starszy wolumin i kopertę wypełnioną pożółkłymi papierami.

Do dziś nie wiem, co skłoniło mnie do ściągnięcia ich z półki. Ale wizerunek umieszczony na środku okładki, bijąca od książki woń wieków oraz odkrycie, że w kopercie znajdują się listy, bez reszty rozbudziły moją ciekawość. Wiedziałam, że nie powinnam czytać prywatnych papierów mego ojca ani nikogo innego. Bałam się też, że może pojawić się nieoczekiwane pani Clay, by zetrzeć z biurka nieistniejący kurz. Cały czas zerkałam niespokojnie przez ramię w stronę drzwi. Ale nie zdołałam powstrzymać ciekawości i stojąc jeszcze obok półek, przeczytałam początek znajdującego się na wierzchu listu.

12 grudnia 1930 roku
Kolegium Świętej Trójcy, Oksford

Mój Drogi i Nieszczęsny Następcu!

Ze współczuciem wyobrażam sobie Ciebie, kimkolwiek jesteś, jak czytasz tę relację, którą muszę złożyć. Współczucie mam też częściowo dla siebie - ponieważ, jeśli te wyjaśnienia trafiły w Twoje ręce, z całą pewnością wpadłem w poważne kłopoty, może umarłem albo spotkał mnie jeszcze gorszy los. Ale również współczuję Tobie, mój jeszcze nieznan Przyjacielu, gdyż tylko ktoś, kto potrzebuje tak odrażających informacji, pewnego dnia list ten przeczyta. Jeśli nie jesteś moim następcą w jakimś innym sensie, wkrótce staniesz się moim dziedzicem - czuję smutek, przekazując innej ludzkiej istocie będącej mną, co wydaje się niewiarygodne, całe doświadczenie zła. Sam nie wiem, jak i po kim je odziedziczyłem, ale mam nadzieję, że odkryję to — być może pisząc do Ciebie czy też obserwując przebieg dalszych wypadków.

W tym momencie ogarnęło mnie poczucie winy - i coś jeszcze... Spieszenie wsunęłam list do koperty. Ale do końca dnia nieustannie o nim

myślałam; i przez wiele następnych dni. Kiedy ojciec wrócił z kolejnej podróży, zaczęłam szukać sposobności, by zapytać go o listy i dziwną księgę. Czekałam na pierwszą wolną chwilę, gdy zostaniemy sami, ale on cały czas był szalenie zajęty. Z drugiej strony jednak to, co przeczytałam, powstrzymywało mnie przed bezpośrednimi pytaniami. W końcu poprosiłam, by zabrał mnie ze sobą w następną podróż. Wtedy po raz pierwszy zachowałam przed nim coś w sekrecie i po raz pierwszy na coś czekałam.

Co prawda niechętnie, ale ojciec wyraził zgodę. Po naradzie z moimi nauczycielami i panią Clay oświadczył, że pozostanie mi wiele czasu na naukę, podczas gdy on będzie odbywał spotkania. Wcale mnie to nie zdziwiło - dziecko dyplomaty zawsze musiało czekać. Spakowałam swój marynarski worek, zabrałam wszystkie potrzebne książki i podręczniki oraz stanowczo za dużo wypranych podkolanówek. Tego ranka zamiast udać się do szkoły, ruszyłam za ojcem w milczeniu, szybkim krokiem. Podążaliśmy w kierunku dworca. Pociągiem dojechaliśmy do Wiednia. Mój ojciec nie znosił samolotów, twierdząc, że zamieniają podróż w dolatywanie. W Wiedniu spędziliśmy noc w hotelu i kolejnym pociągiem przebyliśmy Alpy, zaznaczone na naszej mapie w domu białymi i błękitnymi barwami górskich wierzchołków. Po opuszczeniu pokrytej żółtym kurzem stacji mój ojciec ruszył wynajętym samochodem, a ja ze wstrzymanym oddechem patrzyłam, jak skręcamy w bramę miasta, które tak często opisywał, że dokładnie widywałam je w swoich snach.

U podnóża Karpat jesień pojawia się wcześniej. Jeszcze w sierpniu, tuż po obfitych żniwach, nadchodzą nagle, długotrwałe i ulewne deszcze. Strugi wody strącają z drzew liście, które zasypują złocistymi tumanami wioski. Teraz, kiedy już przekroczyłam pięćdziesiątkę, co kilka lat udaję się w tamte strony, by na nowo doznać moich pierwszych wrażeń wyniesionych z tych krajobrazów. To bardzo stara kraina. Każda nadchodząca jesień gasi jej barwy, *in aeternum*, i każda zaczyna się od tych samych trzech kolorów: zielonego pejzażu, dwóch lub trzech żółtych liści spadających szarym popołudniem. Podejrzewam, że Rzymianie - którzy pozostawili tu po sobie mury i olbrzymie areny na wschodnich wybrzeżach - widzieli te same jesienie, na widok których przeszywał ich dreszcz. Kuliłam się, kiedy auto ojca mijalo kolejne bramy najstarszych

miast Juliusza Cezara. Po raz pierwszy zrozumiałam podniecenie wędrowca, który spogląda prosto w oczy subtelnej twarzy historii.

Ponieważ od tego miasta zaczyna się moja opowieść, będę je nazywać Emona*. Rzymska nazwa tego miejsca chroni je nieco od natłoku turystów z przewodnikami w dłoniach. Emona powstała bardzo dawno nad krętą rzeką, otoczoną obecnie architekturą w stylu *art nouveau*. Przez następne dwa dni zwiedzaliśmy najpiękniejsze posiadłości, siedemnastowieczne miejskie domy ozdobione srebrnymi *fleurs-de-lys***², mijaliśmy potężne złocone budowle ogromnego rynku, z którego schody prowadziły aż do samej wody odgradzonej potężnymi, starodawnymi kratami. Przez stulecia spławiano do miasta towary. Tam gdzie na nadbrzeżach wznosiły się ongiś nędzne chaty, teraz gęsto wzrastały jawory - odmiana europejskich drzew - zasypując rzekę korą odpadającą od ich pni.

W pobliżu rynku rozciągał się pod martwym niebem główny plac miasta. Emona, jak jej siostrzyce na południu, pokazywała swoją zmienność jak kameleon przeszłość: wiedeńskie *art deco* majaczące na tle nieba, wielkie, czerwone renesansowe świątynie, w których używano słowiańskich języków katolików, kopulaste, brązowe, średniowieczne kaplice razem z Wysp Brytyjskich. (Święty Patryk wysyłał w te rejony misjonarzy niosących światło wiary, zwracających kraj do korzeni śródziemnomorskich, sprawiając, że miasto to rościło sobie prawo do najstarszej kolebki chrześcijaństwa w Europie). Tu i tam, na odrzwiach i futrynach okien, pojawiał się element wzornictwa tureckiego. Obok rynku stał maleńki, austriacki kościółek. Dźwiękiem dzwonów wzywał wiernych na wieczorną mszę. Na koniec socjalistycznego dnia pracy, ubrani w niebieskie, bawełniane kombinezony, kobiety i mężczyźni szli do domu. Nad dźwiganymi tobołkami trzymali rozpięte parasole. Wjeżdżając do centrum Emony, przejechaliśmy po wspinałym, starodawnym, przerzuconym nad rzeką mostem, którego strzegły zaśniedziałe smoki odlane w brązie.

- Tam jest zamek - powiedział ojciec, zwalniając na skraju placu i wskazując na coś przez zalewane deszczem szyby samochodu. - Wiem, że chcesz go zobaczyć.

* Osada celtycka nad rzeką Sawą zajęta przez Rzymian ok. 35 r. p.n.e. Za Augusta zbudowano tam obóz legionu XIV, który w 14 r. został przesunięty do Carnuntum. Na miejscu obozu powstało miasto. Dziś: Lubiana. (*Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza*).

** Lilie. Historyczny herb armii francuskiej, rodziny królewskiej i całej Europy.

Aż się do tego paliłam. Wyciągałam szyję jak żuraw i w końcu poprzez ociekające wodą gałęzie drzew ujrzałam budowlę - nadgryzione czasem, brunatne wieże na stromym stoku wznoszącym się nad miastem.

- Czternasty wiek - mruknął z zadumą mój ojciec. - A może trzynasty? Nie znam się specjalnie na średniowiecznych ruinach, nie potrafię

dokładnie określać ich wieku. Ale zajrzymy do przewodnika.

- Czy możemy się tam wspiąć i spenetrować ruiny? - zapytałam.

- Pomyślmy o tym po moich jutrzejszych spotkaniach. Ale wieże sprawiają wrażenie, jakby mogły się zawalić nawet pod ciężarem ptaka.

Skierował auto na parking w pobliżu ratusza i z galanterią pomógł mi wysiąść z samochodu. Pod skórzaną rękawiczką miał kościstą dłoń.

- Jeszcze za wcześnie, by meldować się w hotelu - oświadczył. - Czy masz ochotę na filiżankę gorącej herbaty? Możemy też coś przegryźć w *gastronomi*. Pada coraz mocniej - dodał, spoglądając krytycznie na mój wełniany zakiet i spódnice.

Natychmiast wyciągnęłam pelerynę, którą mi rok wcześniej przywiózł z Londynu. Podróż z Wiednia zajęła nam prawie cały dzień i mimo obfitego obiadu, jaki zjedliśmy w wagonie restauracyjnym, byłam głodna jak wilk.

Ale nie trafiliśmy do jednej z *gastronomi* oświetlonej wewnątrz czerwonymi i niebieskimi lampami, których blask przezielał przez brudne szyby, z kelnerkami w sandałach i portretem posepnego towarzysza Tito. W pewnej chwili, kiedy przebijaliśmy się przez zmoczony tłum przechodniów, mój ojciec nagle wyrwał do przodu.

- Tutaj!

Ruszyłam za nim biegiem, kaptur mej peleryny trzepotał, prawie mnie oślepiając. Ojciec znalazł wejście do herbaciarni w stylu *art nouveau*, z ogromnym oknem obramowanym wolutami, wymalowanymi na szybie brodzącymi bocianami oraz brązowymi drzwiami uformowanymi na kształt setek łądyg wodnych lilii. Drzwi zamknęły się za nami z głuchym łoskotem. Ulewa przeszła w lekką mżawkę, z okiennej szyby zeszła para i za srebrzystymi ptakami deszcz przypominał wodną mgiełkę.

- Zdumiewające, że coś takiego przetrwało tu przez ostatnie trzydzieści lat - powiedział ojciec, zdejmując z siebie angielski trencz. - Socjalizm rzadko kiedy obchodzi się tak łagodnie ze swymi skarbami.

Zajęliśmy stolik w pobliżu okna, piliśmy z grubych filiżanek gorącą

jak piekło herbatę z cytryną, zjadaliśmy się białym chlebem z masłem i sardynkami, a nawet zjedliśmy kilka plasterków *torta* *.

- Powinniśmy już przestać - odezwał się w pewnej chwili ojciec.

Nie znosiłam, kiedy dmuchał i dmuchał w filiżankę, by nieco przestudzić herbatę, drżałam na myśl o nieuchronnej chwili, kiedy powie, że mamy już kończyć posiłek, kończyć wszystko, co sprawia nam przyjemność, zostawić miejsce na kolację. Spoglądając na jego schludną, tweedową marynarkę i golf, pomyślałam, że poza dyplomacją nie istnieją dla niego żadne inne przygody w życiu, że dyplomacja zżera go bez reszty.

Poskromiłam jednak język, wiedząc, jak bardzo nie lubi wszelkich słów krytyki z mojej strony, poza tym chciałam go o coś zapytać. Ale najpierw musiałam pozwolić mu dopić herbatę. Przechyliłam się zatem na krześle do tyłu na tyle tylko, by ojciec nie zwrócił mi uwagi, że się na nim rozwalam, i spojrzałam przez pocętkowane srebrzystymi kroplami okno na zmoczone deszczem miasto, zamglone wilgocią i nadchodzącym zmrokiem. Po ulicy przemykali w pośpiechu ludzie w lejących się znów z nieba strumieniach wody. Herbaciarnia, która powinna być wypełniona damami w długich powłóczystych sukniach barwy kości słoniowej oraz dżentelmenami o spiczastych bródkach i w sztruksowych surdutach, pozostawała pusta.

- Nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak wyczerpała mnie ta podróż samochodem. - Ojciec odstawił filiżankę na spodeczek i wskazał zamek, ledwie majaczący w strugach deszczu. - Stamtąd przyjechaliśmy, z tamtej strony wzgórza. Z jego wierzchołka zobaczymy Karpaty.

Pamiętałam widok białych grzbietów górskich, odnosiłam wrażenie, iż czuję ich oddech owiewający to miasto. Teraz, z dala od nich, byliśmy tacy samotni. Chwilę jeszcze się wahałam, po czym wzięłam głęboki wdech.

- Czy możesz mi coś opowiedzieć? - zapytałam.

Opowieści były jedną z przyjemności, jakie zapewniał mój ojciec swojemu pozbawionemu matki dziecku. Jedne z nich mówiły o jego szczęśliwym dzieciństwie w Bostonie, inne o egzotycznych podróżach. Niektóre wymyślał na poczekaniu. Ostatnio jednak coraz bardziej mnie nudziły. Okazywały się o wiele mniej zadziwiające, niż kiedyś sądziłam.

- Historię o Karpatach?

* Kolacz.

- Nie. - Ogarnęła mnie niewytłumaczalna fala strachu. - Odkryłam coś, o co chcę zapytać.

Popatrzył na mnie łagodnie, unosząc siwiejące brwi.

-Stało się to w twojej bibliotece - wyjaśniłam. - Przepraszam... ale pobuszowałam trochę po półkach i natrafiłam na pewne papiery oraz książkę. Nie zaglądałam specjalnie w te papiery. Pomyślałam sobie...

-Książkę?

Wciąż zachowywał spokój, zajął do filiżanki, sprawdzając, czy nie zostało w niej jeszcze kilka kropel herbaty. Odniosłam wrażenie, że wcale mnie nie słucha.

- Wyglądały... książka była bardzo stara, na środku okładki widniał wizerunek smoka.

Gwałtownie wyprostował się na krześle, wyraźnie przeszył go dreszcz. Jego reakcja sprawiła, że stałam się nagle czujna. A jeśli ta historia była zupełnie inna niż te, które mi zawsze opowiadał? Popatrzył na mnie spod zmarszczonych brwi. Zaskoczył mnie widok jego wymizerowanej nagle twarzy. Malował się na niej wyraz bezgranicznego smutku.

-Jesteś na mnie zły? - zapytałam cicho i tak samo jak on zajął do filiżanki.

-Nie jestem zły, kochanie.

Westchnął głęboko, jakby przejęty straszliwą żalością. Drobną, jasnowłosa kelnerka ponownie nalała nam herbatę i zostawiła samych. Ojciec z najwyższym trudem zaczął opowieść.

2

- Jak wiesz - zaczął - zanim przyszedł na świat, pracowałem na uniwersytecie amerykańskim. Jeszcze wcześniej studiowałem przez wiele lat i zostałem profesorem. Początkowo chciałem studiować literaturę. Szybko jednak zrozumiałem, że bardziej niż fikcja interesują mnie historie prawdziwe. Wszystkie literackie opowieści doprowadziły mnie w końcu do pewnego rodzaju... eksploracji... historii. No i ostatecznie zdecydowałem się na nią. Bardzo jestem rad, że i ciebie też interesuje historia.

Pewnej wiosennej nocy, kiedy byłem jeszcze magistrem, siedziałem

w swym gabinecie w uniwersyteckiej bibliotece. Siedziałem do późnych godzin otoczony rzędami i rzędami książek. Gdy w pewnej chwili przerwałem pracę i uniosłem głowę znad moich papierów, ujrzałem grzbiet książki, której nigdy nie było w moim księgozbiore. Ktoś ją wstawił na półkę znajdującą się nad moim biurkiem. Na grzbiecie książki, oprawionej w jasną skórę, widniał mały, wdzięczny wizerunek smoka.

Nie pamiętałem, bym kiedykolwiek w życiu widział tę książkę, więc zaintrygowany, całkiem bezmyślnie zdjąłem ją z półki. Oprawiona była w miękką, spłowiałą skórę, a jej stronic nie zostawiały najmniejszych wątpliwości, że wolumin jest bardzo stary. Otworzyłem księgę. Pośrodku widniał drzeworyt przedstawiający smoka z rozpostartymi skrzydłami i długim, zwijającym się w pętlę ogonem. Bestia była wyraźnie rozwścieczona. W wyciągniętych szponach trzymała proporzec z wypisanym na nim gotyckimi literami słowem *Drakulya*.

Rozpoznałem słowo natychmiast. Pomyślałem o powieści Brama Stokera i o wieczorach, które w dzieciństwie spędzałem w miejscowym kinie, gdzie Bela Lugosi unosił się nad białą szycją jakiejś gwiazdeczki filmowej. Ale pisownia tego słowa była dziwaczna, a książka najwyraźniej bardzo stara. Ostatecznie jednak byłem naukowcem głęboko interesującym się historią Europy i szybko przypomniałem sobie pewną lekturę, którą kiedyś przestudiowałem. Nazwa ta miała korzenie greckie oznaczające „smoka” lub „diabła”, i stanowiła honorowy przydomek Władcy Tepesa-Palownika z Wołoszczyzny, władcy feudalnego w Karpatach, który dręczył swych poddanych i jeńców wojennych w nieprawdopodobny wprost sposób. Studiowałem wówczas literaturę dotyczącą siedemnastowiecznego handlu holenderskiego i nie widziałem powodów, by zaprzętać sobie umysł tą właśnie książką. Uznałem, że ktoś zostawił ją tam przez przypadek - ktoś, kto zajmował się historią Europy Środkowej i Wschodniej lub symboliką feudalną.

Przekartkowałem jednak cały wolumin... Rozumiesz, kiedy masz przez całe dni do czynienia z książkami, każda nowa i nieznaną staje się (woim przyjacielem, a zarazem kusi. Ku memu późniejszemu zdumieniu reszta tych pięknych stronic w kolorze kości słoniowej była pusta. Nie było nawet paginacji ani informacji, gdzie i kiedy środek księgi został wydrukowany, a ona sama oprawiona. Nie było też żadnych map, wyklejek czy ilustracji. Nie miała również żadnych znaków bibliotecznych - ani stempli, ani karty książki, ani naklejek.

Dłuższy czas studiowałem wolumin, następnie odłożyłem go na biurko i szedłem na parter do katalogów. W katalogu rzeczowym znalazłem odsyłacz do Vlad IV (Tepes) z Wołoszczyzny, 1430-1476 - „Zob. też: Wołoszczyzna, Transylwania i Dracula”. Pomyślałem, że najpierw powinienem przestudiować mapę. Szybko dowiedziałem się, że Wołoszczyzna i Transylwania są starożytnymi krainami znajdującymi się obecnie na terenie Rumunii. Transylwania była bardziej pokryta górami niż przylegająca do niej od południowego zachodu Wołoszczyzna. W zasobach biblioteki znalazłem tylko jedno źródło na ten temat, niewielkie i osobliwe tłumaczenie na angielski z lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku - broszurę zatytułowaną *Dracula*. Oryginały tekstu powstały w Norymberdze w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych piętnastego wieku, niektóre jeszcze przed śmiercią Vlada. Na słowo „Norymberga” przeszył mnie zimny dreszcz. Kilkanaście lat wcześniej bacznie śledziłem przebieg procesu hitlerowskich przywódców. Byłem o rok za młody, by przed zakończeniem wojny wstąpić do wojska, ale bacznie śledziłem jej skutki. Broszurę zaczynała karta tytułowa z prymitywną odbitką drzeworytową, przedstawiającą głowę i ramiona mężczyzny o byczym karku. Miał ciemne, przykryte kapturem oczy, długie włosy, a kaptur wieńczył kapelusz z piórem. Wizerunek był zadziwiająco żywy, oddawał realia straszliwych czasów, w jakich ów człowiek żył.

Zdawałem sobie sprawę z tego, że powinienem wrócić do swojej pracy, ale jakiś wewnętrzny głos kazał mi przeczytać tę broszurę. Była to lista okrucieństw, jakich Dracula dopuścił się zarówno wobec swych poddanych, jak też innych ludzi. Zapamiętałem je tak, że mógłbym ci wszystko zacytować... lecz byłoby to zbyt drastyczne i krępujące. Zamknąłem książkę i wróciłem do swego gabineczku. Ale szesnasty wiek nie schodził mi z myśli aż do północy. Położyłem tę dziwną rzecz na biurku w nadziei, że nazajutrz zgłosi się po nią właściciel, i wróciłem do domu.

Następnego dnia miałem wykład. Byłem znużony po nie do końca przespanej nocy, lecz po wypiciu dwóch kubków kawy wróciłem do swoich studiów. Starożytna książka wciąż leżała na moim biurku, otwarta na stronach przedstawiających smoka w splotach ogona.

Jak pisano w dawnych powieściach, krótki sen i kawa postawiły mnie na nogi. Tym razem dokładniej przejrzałem tom. Znajdujący się pośrodku drzeworyt, zapewne średniowieczny, mógł mi powiedzieć wszystko

o typografii. Pomyślałem, że wolumen ma ogromną wartość materialną, a zapewne i osobistą dla jakiegoś uczonego, skoro księga nie należała do biblioteki.

Ale w nastroju, w jakim wówczas byłem, nie chciało mi się o tym myśleć. Ze zniecierpliwieniem zamknąłem książkę i do późnego popołudnia pisałem o handlowych gildiach. Wychodząc z biblioteki, przekazałem wolumin dyżurnym bibliotekarzom, by włożyli go do szafki zagubionych i odnalezionych książek.

Kiedy następnego dnia, o ósmej rano, pojawiłem się w swoim gabinecie, na biurku znów leżała książka, otwarta na tej okrutnej ilustracji. Ogarnął mnie niepokój - zapewne bibliotekarz zrozumiał mnie opacznie. Odstawiłem ją na półkę i do końca dnia nie poświęciłem jej chwili uwagi. Późnym popołudniem miałem umówione spotkanie z moim promotorem. Zgarnąłem z biurka papiery i odruchowo wsunąłem w nie dziwną książkę. Wcale mi na niej nie zależało, ale profesor Rossi uwielbiał historyczne zagadki i pomyślałem, że wolumin bardzo go zainteresuje. Dysponował tak rozległą wiedzą na temat historii Europy, że mógł rozwikłać tę zagadkę.

Zazwyczaj z profesorem Rossim spotykałem się późnymi popołudniami, kiedy zakończył już swoje zajęcia. Lubiłem być tam wcześniej i słuchać, co mówi. W tym semestrze prowadził wykłady o starożytnych cywilizacjach śródziemnomorskich. Miałem szczęście wysłuchać kilku z nich, zawsze błyskotliwych i porywających, prowadzonych ze swadą i wielkim kunsztem oratorskim. Usiadłem z boku i przysłuchiwałem się jego konkluzjom na temat rekonstrukcji dokonanych przez sir Arthura Evansa w minojskim pałacu na Krecie. Ogromne, gotyckie audytorium było mroczne, mieściło się w nim pięciuset studentów. Panowała grobowa cisza. Wszyscy wlepiali oczy w drobną postać wykładowcy.

Rossi stał na oświetlonej katedrze. Od czasu do czasu przechadzał się w przód i w tył, rozważał na głos problemy, tak jakby przygotowywał je w swoim prywatnym gabinecie. Czasami zamierał w bezruchu i obrzucał słuchaczy baczny wzrokiem, wykonywał znaczące gesty, rzucał wymowne spojrzenia, jakby był zdziwiony tym, co mówi. Zawsze ignorował katedrę, pogardzał mikrofonami i nigdy nie miał notatek. Czasami puszczał na wielkim ekranie slajdy, pokazując wskaźnikiem elementy, o których mówił. Czasami, podekscytowany, unosił ręce nad głowę i wbiegał na katedrę. Krążyła legenda, że pewnego razu, gdy kwieciście

rozprawiał o greckiej demokracji, potknął się na schodkach i upadł. Szybko jednak się podniósł, nie przerywając wykładu. Nigdy nie miałem odwagi spytać go, czy to prawda.

Tamtego dnia był w melancholijnym nastroju. Przemierzał w górę i w dół podium z założonymi na plecach rękami.

„Proszę nie zapominać - mówił - że sir Arthur Evans zrekonstruował pałac króla Minosa w Knossos po części na podstawie tego, co znalazł, a po części opierając się na własnej wyobraźni i własnej wizji cywilizacji minojskiej. - Podniósł wzrok na sufit sali wykładowej. - Dowodów było niewiele i głównie musiał rozszyfrowywać historyczne zagadki. Ale zamiast trzymać się dokładnie tego, co odkrył, popuścił wodze wyobraźni

i stworzył zapierającą w piersiach dech wizję pałacu... choć nie do końca prawdziwą. Czy postąpił słusznie?"

Zamilkł i popatrzył zadumany wzrokiem na morze rozczochranych głów, kosmyków włosów, nienagannie przyciętych fryzur, krzykliwych kurtek i przejętych, poważnych twarzy młodych mężczyzn (nie zapominał, że w tamtych czasach na takim uniwersytecie studiowali jedynie chłopcy, choć teraz ty, droga córeczko, mogłabyś wstąpić na każdą uczelnię, jaka by ci się tylko zamarzyła). Pięćset par oczu oddało mu spojrzenie.

„Ten problem zostawiam otwarty. Sami go rozwiążcie".

Rossi uśmiechnął się i wyszedł z blasku reflektora.

W sali wykładowej zaczął się ruch. Studenci zaczęli rozmawiać, głośno się śmiać, z hałasem zbierali swoje rzeczy. Rossi miał zwyczaj siadać po wykładzie na skraju podium, dokąd podchodzili bardziej pilni uczniowie, zadając mu wiele pytań. Rozmawiał z nimi poważnie, a jednocześnie żartobliwie. Kiedy ostatni odszedł, zbliżyłem się do profesora.

„Witaj, Paul, przyjacielu! - wykrzyknął. - Chodźmy stąd. Porozmawiamy sobie po niemiecku".

Klepnął mnie przyjacielsko po ramieniu i opuściliśmy audytorium.

Gabinet Rossiego zawsze mnie rozśmieszał, gdyż stanowił zaprzeczenie tradycyjnego pojęcia o pracowni profesora - schludnie ustawione książki na półkach, ekspres do kawy na parapecie okna, kwiaty na biurku, które zawsze były podlane, i sam użytkownik ubrany nienagannie w tweedowe spodnie oraz białą koszulę i krawat. Rossi przed wielu laty przybył do Stanów Zjednoczonych z uniwersytetu oksfordzkiego. Miał szczupłą, typowo angielską twarz i nieprawdopodobnie błękitne oczy.

Któregoś razu wyznał mi, że odziedziczył to po swym ojcu, emigrancie

z Toskanii, który osiedlił się w hrabstwie Sussex i uwielbiał dobrze zjeść. Patrząc jednak na twarz Rossiego, widziało się w jego obliczu zdecydowanie i ład, taki sam jak zmiana warty przed pałacem Buckingham.

Ale jego umysł był rzeczą całkiem odmienną. Mimo czterdziestu lat praktyki w zawodzie cały czas kipiał pasją poznawania nieodkrytego. Gdy tylko kończył jedno badanie, całkowicie zmieniał dziedzinę zainteresowania. Dlatego studenci różnych kierunków tak skwapliwie szukali

u niego wskazówek. Czuję się szczęśliwy, że mogę korzystać z łaski jego rad. Jednocześnie był najmiłszym człowiekiem na świecie, najserdeczniejszym przyjacielem, jakiego miałem w życiu.

„No dobrze - powiedział, zajmując się ekspresem do kawy i wskazując mi krzesło. - Jak idzie praca?”

Przekazałem mu wyniki kilkutygodniowych badań i dłuższą chwilę rozmawialiśmy o handlu między Utrechtmem a Amsterdamem na początku siedemnastego wieku. Rozlał kawę w porcelanowe filiżanki, a sam rozparł się za wielkim biurkiem. Gabinet pogrążony był w miłym półmroku wiosennego popołudnia. Wyjąłem antykwaryczną ciekawostkę.

„Pobudzę twoją ciekawość, Ross - zacząłem. - Ktoś przez przypadek zostawił na moim biurku raczej zakazaną książkę. Po dwóch dniach, kiedy nikt się po nią nie zgłosił, przynoszę ją tobie, żebyś na nią zerknął”.

„Daj mi ją - odstawił porcelanową filiżankę i wyciągnął rękę po książkę. - Piękna oprawa. To chyba welin... i te wytłoczenia na grzbiecie”.

Na widok grzbietu książki zmarszczył pogodną zazwyczaj twarz.

„Lepiej ją otwórz” - powiedziałem.

W niewytłumaczalny sposób biło mi serce, gdy czekałem, aż odkryje to samo co ja: niezapisane stronicę. Otworzył książkę w samym środku. Nie widziałem, co zobaczył, ale bacznie wpatrywał się w wolumin. Po chwili przeniósł na mnie wzrok. Twarz miał stężałą - nigdy u nikogo nie widziałem takiego wyrazu oblicza. Przewracał stronicę książki, podobnie jak ja wcześniej. Wcale mnie to nie zdziwiło.

„Puste. - Odłożył otwartą książkę na biurko. - Kompletnie puste”.

„Czy to nie dziwne?”

Kawa w mej filiżance zupełnie ostygła.

„To bardzo stara książka. Ale nie dlatego pusta, że nieskończona. Przeróżający jest ten symbol na okładce”.

„Zgadzam się - zacząłem dziarskim głosem, ale szybko wróciłem do rozumu. - Tak jakby to stworzenie chciało pożreć wszystko, co je otacza”.

Odniosłem wrażenie, że Rossi nie może oderwać wzroku od wizerunku pośrodku książki. Po chwili jednak zdecydowanie zamknął wolumin i zakreślił filiżanką, nie przykładając jej jednak do ust.

„Skąd to masz?” - zapytał.

„Już mówiłem, dwa dni temu ktoś zostawił ją w moim gabinecie w bibliotece. Sądzę, że powinienem oddać tę książkę do Działu Cymeliów, choć szczerze mówiąc, myślę, że ona do kogoś należy”.

„O tak, niewątpliwie - odparł Rossi, spoglądając na mnie z ukosa. - Jest to czyjaś własność”.

„A wiesz czyja?”

„Tak, twoja”.

„Dlaczego? Ja tylko ją znalazłem na moim... - Wyraz jego twarzy powstrzymał mnie przed dalszymi pytaniami. W półmroku zalegającym pokój Rossi sprawiał wrażenie o dziesięć lat starszego. - Dlaczego mówisz, że jest moja?”

Rossi powoli wstał zza biurka, podszedł do małej drabinki, wspiął się po niej po dwóch stopniach i wyciągnął niewielką książkę w ciemnej oprawie. Przez chwilę obracał ją w dłoniach, po czym niechętnie mi ją podał.

„Co o tym myślisz?” - zapytał.

Książka była mała, oprawiona w aksamit jak stary modlitewnik, bez żadnych napisów na grzbiecie i froncie. Spięta była mosiężnym klipsem. Otworzyła się natychmiast pośrodku. Na rozłożonych stronach ujrzałem swego... mówię swego... smoka. Tym razem znów miał wysunięte szpony, w rozwartej paszczy białe ogromne kły, w pazurach powiewał ten sam proporzec z gotyckim napisem.

„Naturalnie - powiedział Rossi. - Znam to doskonale. To druk z Europy Środkowej, z około tysiąc pięćset dwunastego roku - pisany już ruchomą czcionką”.

Powoli kartkowałem książkę. Na pierwszych stronicach nie było ani tytułów, ani paginacji.

„Co za dziwny zbieg okoliczności”.

„Poplamiała ją morska woda, zapewne podczas podróży przez Morze Czarne. Nawet Smithsonian Institution nie jest w stanie powiedzieć, co

działo się podczas tego rejsu. Ostatnio poddałem ją analizie chemicznej. Kosztowało mnie to trzysta dolarów. Dowiedziałem się, że znajduje się na niej kurz sprzed tysiąc siedemsetnego roku. Ponadto osobiście udałem się do Stambułu, by dowiedzieć się czegoś więcej o pochodzeniu tej książki. Ale najdziwniejszy jest sposób, w jaki ją zdobyłem".

„Oddałem mu stary i kruchy starodruk.

„Gdzie ją kupiłeś?" - zapytałem.

„Znalazłem ją na swoim biurku, kiedy byłem jeszcze magistrem".

Po krzyżu przeszedł mi zimny dreszcz.

„Na biurku?"

„W moim gabinecie w uniwersyteckiej bibliotece. Też takie mamy. Ich tradycje sięgają aż siedemnastowiecznych klasztorów".

„Ale... ale skąd masz tę książkę? Czy to jakiś prezent?"

„Może. - Rossi tajemniczo się uśmiechnął. Najwyraźniej panował nad swym zachowaniem. - Jeszcze filiżankę kawy?"

„Poproszę" - odparłem ze ściśniętym gardłem.

„Wszelkie moje wysiłki znalezienia jej właściciela zawiodły. Biblioteka nie przyznawała się do tej księgi. O tym woluminie nie wiadano nawet w bibliotece British Museum, która oferowała mi za niego znaczną cenę".

„I nie chciałeś go sprzedać?"

„Oczywiście, że nie. Przecież lubię zagadki. To sól i pieprz każdego historyka. To nagroda za to, że spogląda historii prosto w oczy i mówi: »Wiem, kim jesteś. I nie oszukasz mnie«".

„Więc co? Czy sądzisz, że ten większy egzemplarz został wykonany przez tego samego drukarza w tym samym czasie?"

Zabębnił palcami po okiennym parapecie.

„Od wielu lat o tym nie myślałem... a w każdym razie starałem się nie myśleć. Ale tak naprawdę sprawa ta ciągle mi ciąży. - Wskazał czarną lukę między książkami. - Na tej najwyższej półce jest wiele braków. Książki, o których wolę nie myśleć".

„Ale tę możesz tam wstawić. Nie ma książek niezastąpionych".

„Nie ma" - odparł do wtóru z ponownym świstem ekspresu do kawy.

W tamtych czasach wciąż brakowało mi snu i byłem przepracowany. Zniecierpliwiony zapytałem:

„A twoje badania? Chodzi mi nie tylko o analizy chemiczne. Czy próbowałeś dowiedzieć się czegoś więcej?"

„Próbowałem - ujął w drobne dłonie kubek z kawą. - Obawiam się, że muszę powiedzieć ci coś więcej - dodał cicho. - Być może muszę też prosić cię o wybaczenie... sam zrozumiesz dlaczego... jakkolwiek nigdy świadomie nie przekazywałem tego swoim studentom. Żadnemu z nich. - Uśmiechnął się smutno. - Słyszałeś o Vladzie Tepesie-Palowniku?"

„Tak, o Draculi. Feudalnym księciu z Karpat, znanym jako Bela Lugosi".

„Był nim... lub jednym z nich. Starożytny ród, którego najbardziej obrażający przedstawiciel doszedł do władzy. I ty wpadłeś na jego trop w bibliotece... prawda? To zły znak. Kiedy w tak dziwny sposób trafiła do mnie książka i przeczytałem to słowo... jak też nazwy Transylwania, Wołoszczyzna, Karpaty..."

Zastanawiałem się, czy był to zawołany komplement... Rossi lubił studentów bez reszty oddanych nauce, ale nie chciałem przerywać jego zwierzeń.

„Tak więc Karpaty. Zawsze stanowiły mistyczne miejsce dla historyków. Jeden z uczniów Occama wybrał się w tamte strony - podejrzewam, że przez czystą głupotę - a wynikiem jego wyprawy była śmieszna broszurka zatytułowana *Filozofja zgrozy*. Niewątpliwie historia Draculi jest zagmatwana i pełna znaków zapytania. W piętnastym wieku władał Wołoszczyzną gospodar, znenawidzony zarówno przez poddanych, jak i imperium osmańskie. Uważany jest za jednego z najokrutniejszych tyranów Europy. Szacuje się, iż podczas swoich rządów zamordował co najmniej dwadzieścia tysięcy rodaków z Wołoszczyzny i Transylwanii. Dracula znaczy dosłownie »syn tego, który nazywał się Dracul« - syna smoka. Jego ojciec wziął udział w krucjacie cesarza rzymskiego Zygmunta i został przez władcę wprowadzony do Zakonu Smoka*. Istnieją dokumenty świadczące, iż ojciec Draculi, w ramach politycznych przetargów, oddał Turkom syna jako zakładnika, gdzie młodzieniec, poznawszy tortury stosowane przez Osmanów, nabrał do nich zamiłowania. - Rossi potrząsnął głową. - Tak czy owak Vlad zginął w walce z Turkami lub też zabił go przez pomyłkę jego żołnierze. Pochowano go na wyspie na jeziorze Sna-

* Elitarna organizacja, rodzaj świeckiego zakonu, nawiązywała do tradycji zakonów rycerskich. Została założona 12 grudnia 1408 roku przez Zygmunta Luksemburczyka. Zakon Smoka miał służyć obronie krzyża świętego przed wszystkimi jego nieprzyjaciółmi. Podobno należał do niego wielki książę litewski, Witold.

gov, znajdującym się obecnie na terenie zaprzyjaźnionej z nami Rumunii. Wspomnienie o nim stało się legendą, zwłaszcza wśród przesądnych wieśniaków. A pod koniec dziewiętnastego wieku skandalizujący i melodramatyczny autor - Abraham Stoker - wziął na warsztat Draculę i dostosował go do swojej wyobraźni, tworząc z niego wampira. Vlad Tepes. był niewiarygodnym okrutnikiem, ale naturalnie żadnym wampirem. W samej książce Stokera nie ma ani jednej wzmianki o Vladzie. Jego Dracula wspomina tylko o wspaniałej przeszłości swego rodu - wielkich wojowników zwalczających Turków. - Rossi ciężko westchnął. - Ale Stoker zgromadził wszystkie przydatne mu legendy o wampirach - również te pochodzące z Transylwanii, choć sam Vlad Dracula rządził Wołoszczyzną graniczącą tylko z Transylwanią. W dwudziestym wieku legendy te wskrzesiło Hollywood. I tu zakończyło się moje nonszalanckie podejście do tych spraw".

Rossi odsunął filiżankę iłożył ręce na piersi. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby nie był w stanie kontynuować opowieści.

„Mogę sobie żartować z legend, które są w monstrialny sposób skomercjalizowane, ale nie z wyników swoich badań. Tak naprawdę, nie mogłem ich opublikować, częściowo właśnie z powodu tych legend. Pomyślałem sobie, że nikt nie potraktowałby mnie poważnie. Istniał jednak jeszcze inny powód".

Jego słowa zastanowiły mnie. Przecież Rossi nie pozostawiał ani jednego swego odkrycia bez publikacji. Dzięki temu był wyjątkowo płodnym pisarzem i naukowcem. Dlatego okrzyknięto go mianem geniusza. Stąd też srogo napominał studentów, by postępowali tak samo, żeby niczego nie pomijali ze swych badań.

„To, co odkryłem w Stambule, było zbyt istotne, by nie potraktować tego poważnie. Być może popełniłem błąd, zachowując wszystko dla siebie - i mówiąc uczciwie, wszystko to wywołując - ale każdy z nas ma swe przesady i zabobony. Obawiam się, że i mnie trafiły się jako historykowi. - Westchnął, jakby wahał się ciągnąć dalej opowieść. - Widzisz, dzieje Vlada Draculi zawsze studiowano w ogromnych archiwach Europy Środkowej i Wschodniej, a w końcu w jego rodzinnym kraju. Karierę przecież zaczął, zażarcie walcząc z Turkami w obronie chrześcijaństwa, ale żaden z badaczy nie spojrział na jego legendę z punktu widzenia źródeł osmańskich. Zrozumiałem to w Stambule, kiedy sekretnie zająłem się inną tematyką niż gospodarka wczesnej Grecji. Z czystej złośliwości".

Milczał dłuższą chwilę, spoglądając z zamyśleniem w okno.

„Powiniem cię poinformować o tym, co odkryłem w stambulskich zbiorach, a o czym później starałem się nie myśleć. Ale i tak odziedziczyłeś jedną z tych sympatycznych ksiąg. - Położył ciężko dłoń na obu. - Jeśli sam ci o wszystkim nie opowiem, podążysz po prostu moim śladem, być może ryzykując jeszcze bardziej. - Z ponurym uśmiechem popatrzył na blat biurka. - W każdym razie zaoszczędzę ci wielkiej pracy pisania o subwencję”.

Zachichotałem cicho. Na Boga, do czego zmierzał? Pomyślałem, że może nie doceniałem jego dziwnego poczucia humoru. Może był to tylko wyrafinowany żart... może miał w swej bibliotece dwa egzemplarze złowrogiej księgi i jeden z nich podłożył mi na biurku, wiedząc, że i tak się z nią do niego zgłoszę. I wyjdę na durnia. Ale w świetle stojącej na biurku lampy jakby nagle posiwiiał. Był nieogolony. Twarz mu się zapadła. Pochyliłem się w jego stronę.

„Co właściwie chcesz mi powiedzieć?” - zapytałem.

„Dracula... - urwał. - Dracula... Vlad Tapes... On ciągle żyje”.

- Wielki Boże! - wykrzyknął mój ojciec, patrząc na zegarek. - Dla czego mi nie przerwałaś? Już prawie dziewiętnasta.

Wsunęłam zziębnięte dłonie w rękawy kurtki.

- Nie wiem - powiedziałam. - Ale proszę, nie przerywaj tej opowieści. Proszę.

Nieoczekiwanie twarz mego ojca stała się wprost nierealna. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mógłby być... nie wiem, jak to nazwać. Umysłowo niezrównoważonym? Czyżby stracił rozsądek na ten krótki czas, kiedy opowiadał mi tę historię?

- Za późno na tak długą opowieść.

Ojciec sięgnął po filizankę, ale po chwili ją odstawił. Zauważyłam, że trzęsą się mu ręce.

- Proszę, mów dalej - powiedziałam.

Puścił moją prośbę mimo uszu.

-Już sam nie wiem, kiedy cię straszę swymi opowieściami, a kiedy po prostu nudzę. A ty zapewne pragniesz usłyszeć prostą, jednoznaczną historię o smokach.

-Przecież mówiłeś o smoku - odrzekłam. Chciałam też, by dokoń-

czył zaczęta opowieść. - Nawet o dwóch. Czy przynajmniej jutro opowiesz mi tę historię do końca?

Ojciec potarł ramiona, jakby chciał się rozgrzać, a ja zrozumiałam, że nie ma najmniejszej ochoty jej kontynuować. Twarz miał mroczną, zamkniętą.

-Chodźmy na kolację. Bagaże zostawimy w hotelu Turist.

-Zgoda - odparłam.

-Tak czy siak wyrzucą nas stąd lada chwila, jeśli sami się nie wyniesiemy.

Widziałam jednak jasnowłosą kelnerkę. Stała oparta o bar i najwyraźniej było jej wszystko jedno, czy opuścimy lokal, czy zostaniemy. Ojciec wyjął z portfela kilka tych wielkich, zmiętych banknotów, na których zawsze widniał jakiś górnik czy rolnik uśmiechający się heroicznie, i położył je na cynowej tacy. Przeszliśmy wzdłuż kutych w żelazie stolików

i krzeseł, po czym opuściliśmy herbaciarnię.

Wieczór był bardzo zimny, mglisty, nadchodziła typowa wschodnioeuropejska noc. Ulice były puste.

- Nałóż kapelusz - polecił ojciec i sam też włożył nakrycie głowy.

Zanim jednak weszliśmy pod zmoczone deszczem jawory, gwałtownie przystanął i objął mnie opiekuńczo ramionami, jakby chciał ochronić przed przejeżdżającym samochodem. Ale zalewana żółtym światłem latarni jezdni była opustoszała. Ojciec bacznie rozejrzał się w prawo i w lewo. Ja nikogo nie widziałam, ale rondo kapelusza bardzo ograniczało pole mego widzenia. Ojciec stał dłuższą chwilę, bacznie czegoś nasłuchując. Ciało miał spięte, czujny wyraz twarzy.

W końcu ciężko odetchnął i ruszyliśmy przed siebie, rozmawiając o tym, co zamówimy na kolację w hotelu Turist.

Później, podczas całej naszej podróży, ani razu nie padło słowo Dracula. Niebawem zrozumiałam, że mój ojciec się bał. Historię tę mógł mi opowiadać tylko krótkimi fragmentami, rozwijając ją nie dla dramatycznego efektu, lecz by coś zachować... Siłę? Zdrowe zmysły?

3

W naszym domu w Amsterdamie ojciec był niezwykle milczący i ciągle czymś zajęty. Niecierpliwie wyczekiwałam sposobności, by wypytać go o profesora Rossiego. Pani Clay jadła kolacje razem z nami w wyłożonej czarnymi panelami jadalni, obsługiwała nam, ale traktowana była jak członek rodziny. Czułam instynktownie, że ojciec nie chciał kończyć opowieści w jej obecności. Kiedy zachodziłam do biblioteki, zdawkowo pytał, jak minął mi dzień albo też chciał zobaczyć odrobione lekcje. Po powrocie z Emony sekretnie sprawdziłam bibliotekę, ale papiery z najwyższych półek zniknęły. Nie miałam zielonego pojęcia, gdzie je schował. Gdy pani Clay miała wychodne w popołudnie i wieczór, ojciec zabierał mnie do kina lub na kawę do gwarnej cukierni nad kanałem. Mogłabym powiedzieć, że mnie unikał, choć kiedy siedziałam obok niego pogrążona w lekturze, gotowa, by zadawać mu wiele pytań, dotykał nieobecny gestem moich włosów. Na twarzy malował mu się smutek. W takich chwilach nie mogłam go prosić o kontynuowanie opowieści.

Kiedy ojciec ponownie wyruszył na południe, zabrał mnie ze sobą. Czekало go tylko jedno spotkanie, w dodatku nieoficjalne, prawie niewarte tak dalekiej podróży, ale chciał, bym poznała jego pracę. Tym razem pojechaliśmy pociągiem daleko za Emone, a następnie przesiadliśmy się do autobusu. Mój ojciec uwielbiał miejscową komunikację i korzystał z niej przy każdej okazji. Teraz, ilekroć tam jadę, zawsze o nim myślę, wynajmuję jednak auto.

- Sama zobaczysz... Do Ragusy trudno jest dotrzeć samochodem - powiedział, kiedy przyciskaliśmy twarze do kraty oddzielającej nas od kabiny szofera. - Zawsze siedz buzią do kierunku jazdy, a nie dostaniesz mdłości.

Ścisnęłam kratę, aż pobiełały mi dłonie. Odnosiłam wrażenie, iż szymbujemy pośród jasnoszarych skał pokrywających tę krainę.

- Wielki Boże! - sapnął mój ojciec, kiedy mijaliśmy kolejną, przyporządkowaną o zawrót głowy serpentynę.

Inni pasażerowie autobusu wykazywali kamienny spokój. W przejściu stara kobieta, otulona tkanym, czarnym szalem, kołysała się w rytm podrzutów autobusu.

- Wyglądaj przez okno - odezwał się mój ojciec. - Ujrzysz najwspanialsze widoki tego wybrzeża.

Popatrzyłam posłusznie, mając tylko gorącą nadzieję, że nie zacznie udzielać mi instrukcji, co i w jaki sposób mam robić. Ujrzałam skaliste góry i wieńczące ich szczyty wioski, gdzie domy zbudowane zostały z kamieni. Tuż przed zachodem słońca dostrzegłam stojącą na skraju drogi niewiastę, która zapewne czekała na autobus zmierzający w przeciwnym kierunku. Była wysoka. Miała na sobie szeroką suknię z obciskłym stanikiem i bajeczny stroik na głowie w kształcie organdyńowego motyla. Stała samotnie pośród zwałów kamieni, oświetlały ją ostatnie promienie słońca. Obok niej, na ziemi, stał kosz. Gdyby nie to, że odwróciła swą majestatyczną głowę, śledząc nasz autobus, można by wziąć ją za posag. Miała bladą, owalną twarz, ale z dzielącej nas odległości nie byłam w stanie wyczytać jej wyrazu. Kiedy opisałam ją ojcu, wyjaśnił, że miała na sobie tradycyjny strój, charakterystyczny dla tej części Dalmacji.

- Obszerne nakrycie głowy ze skrzydłami po bokach? Widziałem takie na ilustracji w jakiejś książce. Przypominała bardziej ducha niż człowieka, prawda? Musi pochodzić z jakiejś małej wioski. Większość młodych ludzi ubiera się już jednak w dżinsy.

Siedziałam z nosem przyklepionym do szyby. Nie pojawił się już więcej żaden duch, ale nie przeoczyłam kolejnego cudu: widoku leżącej daleko w dole Ragusy, miasteczka w kolorze kości słoniowej, którego mury oświetlał blask lśniącego w promieniach zachodzącego słońca morza. Dachy domów średniowiecznego miasta były bardziej czerwone niż łuny na przedwieczornym niebie. Miasteczko leżało na kuljstym półwyspie, a jego mury najwyraźniej skutecznie odpierały napór morskich sztormów. Jednocześnie, z wysokości, sprawiało wrażenie czegoś miniaturowego, położonego u stóp gigantycznych gór.

Główna ulica Ragusy wyłożona była marmurowymi płytami, wytartymi przez stulecia podeszwami sandałów mieszanćów miasta i odbijającymi blask światła bijącego z okalających ją sklepów i pałaców, tak że lśniła niczym powierzchnia wielkiego, pobliskiego kanału. Na końcu alei, bezpieczni w samym sercu starożytnego miasta, zajęliśmy miejsca w ulicznej kawiarence. Wystawiłam twarz na podmuch wiatru niosącego, osobliwy o tej porze roku, zapach dojrzałych pomarańczy. Niebo i morze były już prawie ciemne. W sporej odległości od przystani kołysały się na wzburzonych falach łodzie rybackie. Szum morza i jego łagodna woń wręcz mnie usypiały.

- Tak, południe - przerwał z wyraźnym zadowoleniem milczenie mój

ojciec, podnosząc do ust szklaneczkę whisky i patrząc na leżące na talerzu kanapki z sardynkami. - Zobacz sama, możesz pożeglować stąd prosto do Wenecji albo do wybrzeży Albanii lub też nad Morze Egejskie.

- Ile czasu zajęłaby podróż do Wenecji? - zapytałam, mieszając łyżeczką herbatę.

Morski wiatr natychmiast rozwiął unoszącą się nad naczyniem parę.

-Ha, tydzień, może trochę dłużej. Mam na myśli statek pochodzący z czasów średniowiecza. - Uśmiechnął się wyraźnie rozluźniony. - Na

tym wybrzeżu urodził się Marco Polo, a Wenecjanie nieustannie najeż-

dźali te regiony. Można powiedzieć, że znajdujemy się u wrót prowadzących do szerokiego świata.

-Czy byłeś już tu kiedyś?

Zaczynałam zaledwie wierzyć w poprzednie życie mego ojca.

-Byłam tu kilka razy. Cztery albo pięć. Po raz pierwszy odwiedziłam to miejsce wiele lat temu, jeszcze jako student. Mój promotor doradził

mi, żebym udał się też do Ragusy na Sycylii i na własne oczy zobaczył to

cudo... już chyba wspominałem ci, że studiowałem włoski we Florencji.

-Mówisz o profesorze Rossim?

-Tak.

Ojciec spojrział na mnie ostro, a następnie przeniósł wzrok na szklaneczkę z whisky.

Zapadła między nami cisza, którą zakłócał jedynie gwar dobiegający z kawiarenki i baru. Słyszałam tylko zmieszane głosy turystów, stukot porcelany oraz muzykę saksofonu i pianina. Z oddali dobiegał dźwięk objających się w mroku o molo kutrów.

- Muszę ci jeszcze trochę więcej o nim opowiedzieć - odezwał się nieoczekiwanie ojciec.

Nie patrzył na mnie, lecz głos miał ochryply.

-Bardzo bym chciała - odrzekłam ostrożnie.

Siorbnął ze szklaneczki łyk whisky.

-Chcesz, bym opowiedział ci tę historię do końca, prawda?

- Jesteś niebywale uparty - stwierdziłam. - Tęskniłam za tym, byś opowiedział mi ją do końca, ale powstrzymałam język, gdyż nie chciałam powodować sprzeczeki.

Ojciec ciężko westchnął.

- No dobrze. Opowiem ci o nim jutro, w świetle dnia, kiedy odpocznię i nie będziemy musieli chodzić po mieście. - Wyciągnął rękę ze szkla-

neczką, wskazując oświetlone blanki murów obronnych, górujących nad hotelem. - Wtedy nadejdzie pora na opowieści. Zwłaszcza takie.

Późnym porankiem usiedliśmy kilkadziesiąt metrów nad skałami obmywanymi przez morze. Spieniona woda z hukiem uderzała w gigantyczne korzenie miasta. Listopadowe niebo było jasne i przypominało bardziej letnią porę niż późną jesień. Ojciec nałożył przeciwsłoneczne okulary, popatrzył na zegarek, złożył turystyczny przewodnik po mieście i czekał chwilę, aż minie nas grupa niemieckich turystów. Popatrzyłam na morze, na porośniętą drzewami wyspę, na błękitny horyzont. Stamtąd nadpływały okręty Wenecjan, przynosząc albo wojnę, albo propozycję handlu. Ich złoto-czerwone bandery lśniły nad błyszczącym w promieniach słońca morzem. Czekałam na słowa mego ojca, poczułam strach. Zapewne statki, które wyobraziłam sobie na horyzoncie, nie były tylko barwnym widowiskiem. Dlaczego więc tak trudno jest mojemu ojcu rozpocząć opowieść?

4

- Jak już ci powiedziałem - odezwał się ojciec i kilka razy chrząknął - profesor Rossi był błyskotliwym naukowcem i moim prawdziwym przyjacielem. Nie chcę, abyś inaczej o nim myślała. Chyba popełniłem ogromny błąd, mówiąc ci o nim tak, jakby był trochę... szalony. Pamiętasz, że przekazał mi coś, w co trudno jest uwierzyć. To mnie do głębi poruszyło, miałem pełno wątpliwości, choć w wyrazie jego twarzy było coś, co budziło ufność. Kiedy skończył mówić, popatrzył na mnie przenikliwie.

„O co ci, do diabła, chodzi?” - wyjąkałem.

„Powtarzam - rzekł Rossi z naciskiem. - W Stambule odkryłem, że Dracula żyje”.

Wytrzeszczyłem na niego oczy.

„Uważasz mnie za nienormalnego - powiedział łagodnie. - Ale zapewniam cię, że ktoś, kto zbyt długo grzebie się w historii, może zwariować. - Westchnął. - W Stambule znajduje się mało znana biblioteka Mehmeda II, sułtana, który zdobył Konstantynopol w roku tysiąc cztery-

sta pięćdziesiątym trzecim. Jej resztki Turcy przynosili ze sobą, w miarę jak kurczyło się ich imperium. Znajdowały się w niej dokumenty z późnych lat piętnastego wieku. Znalazłem pośród nich mapy wskazujące drogę do Bezbożnego Grobowca zabitego przez Turków wojownika, który w moim przekonaniu mógł być Vladem Draculą. Znajdowały się tam trzy mapy. Pokazywały one stopniowo ten sam region w coraz większej skali. Ale nie było na nich żadnych wskazówek, dzięki którym mógłbym rozpoznać okolicę. Opisane zostały po arabsku i datowane na czternasty wiek, tak samo jak moja księga. - Uderzył palcami w mały, osobliwy wolumin, do złudzenia przypominający mój. - Napisy na trzeciej mapie były po starosłowiańsku. Jedyne naukowiec władający biegle tym językiem mógłby je właściwie odczytać. Zrobiłem wszystko, co w mej mocy, ale nie do końca miałem pewność co do swojego tłumaczenia".

Rossi potrząsnął smutno głową, jakby przyznając się do swej niewiedzy.

„Odkrycie to w niewytłumaczalny sposób oderwało mnie od badań nad starożytnym greckim handlem na Krecie. Ale chyba kompletnie odebrało mi rozum, skoro zacząłem studiować w tej parnej, stambulskiej bibliotece. Pamiętam, że przez brudne okna widziałem minarety Hagia Sophii. Pracowałem nad tureckimi śladami królestwa Vlady, mozoliłem się nad słownikami, robiłem notatki i ręcznie kopiowałem mapy.

Pewnego popołudnia na trzeciej i najbardziej zagadkowej mapie natrafiłem na Bezbożny Grobowiec. Pamiętasz, że Vlad Tepes jakoby został pochowany w klasztorze na wyspie na jeziorze Snagov w Rumunii. Na mapie tej, podobnie jak na innych, nie było żadnego jeziora. Przepływała tamtędy jedynie rzeka rozszerzająca się pośrodku swego biegu. Przetłumaczyłem wszystko przy pomocy profesora języka arabskiego i tureckiego z uniwersytetu w Stambule - wiele napisów dotyczyło zła, inne pochodziły z Koranu. Tu i tam, pośród nakreślonych masywów górskich, widniały napisy w dialekcie słowiańskim bardzo zagadkowym, zapewne stanowiącym miejscowy żargon typu: Dolina Ośmiu Dębów, Wioska Kradnących Świnie i tym podobne... dziwne, miejscowe nazwy, które dla mnie nic nie znaczyły.

Cóż, pośrodku mapy, nad domniemanym miejscem Bezbożnego Grobowca, bez względu na to, gdzie się znajdował, widniał zarys smoka, którego łeb wieńczyła korona w kształcie zamku. Ten potwór w niczym nie przypominał tamtego z mojej... z naszych... starych ksiąg, ale przypusz-

czałem, że wizerunek .ten dotarł do Turków wraz z legendą o Draculi. Pod smokiem ktoś umieścił drobnymi literami słowa, które początkowo wzięłem za arabskie, jak inne napisy na marginesach map. Kiedy jednak zbadałem je przez lupę, zrozumiałem, iż zostały napisane po grecku. Przetłumaczyłem je na głos, zapominając o obowiązującej w bibliotece ciszy. Z drugiej jednak strony poza mną w czytelniku przebywał tylko wyraźnie znudzony bibliotekarz, który nieustannie gdzieś wychodził, po czym wracał, by sprawdzić, czy czegoś nie kradnę. Ale wtedy akurat byłem sam. Kiedy czytałem na głos, drobnymi literkami tańczyły mi przed oczyma: *W tym miejscu znalazł przytułek w zlu. Czytelniku, odkop go za pomocą słowa.*

W tej samej chwili usłyszałem, że na parterze trzasnęły otwierane, a następnie zamykane drzwi wejściowe. Na schodach rozległy się czyjeś ciężkie kroki. Wciąż zatopiony byłem w myślach. Za pomocą lupy ustaliłem, iż mapę tę, w przeciwieństwie do dwóch poprzednich, tworzyły trzy różne osoby piszące w trzech różnych językach. Zarówno języki, jak i charakter pisma całkowicie się od siebie różniły. Również starodawne atramenty były różne. Doznałem naglej wizji... sam znasz tę intuicję badacza, który przez całe tygodnie oddaje się bez reszty zgłębianiu jakiegoś problemu.

Otóż odniosłem wrażenie, że mapa ta pierwotnie skupiała się na centralnym zarysie i otaczających go górach oraz napisanym po grecku poleceniu. Zapewne później opatrzone ją zapiskami w języku starosłowiańskim, by zidentyfikować miejsce, do którego się odnosi - być może nawet zaszyfrowanych. Mapa w jakiś sposób wpadła w tureckie ręce i wtedy dodano napisy koraniczne, które miały zniweczyć złowrogie przesłanie wypisane pośrodku dokumentu lub też otoczyć je magicznym talizmanem przeciw siłom ciemności. Jeśli tak właśnie było, ktoś, kto znał grekę, mógł wcześniej oznaczyć mapę, a nawet ją naszkicować. Dobrze wiedziałem, że Bizantyjczycy zatrudniali greckich uczonych, a nie uczonych pochodzących ze świata imperium osmańskiego.

Zanim jednak zdążyłem przelać na papier choć jedno zdanie mojej obłądnej, przechodzącej wszelkie pojęcia teorii, otworzyły się drzwi czytelnika i w progu pojawił się wysoki, potężny mężczyzna, który dziko przedzierając się między regałami, zatrzymał się w końcu przed moim biurkiem. Od razu miałem pewność, że nie jest jednym z bibliotekarzy. Jednocześnie z jakichś niejasnych powodów poczułem, iż powinienem

poderwać się na baczość, choć duma i poczucie własnej godności nie pozwoliły mi tego zrobić. Mogłoby to wyglądać na uległość, skoro to on wtargnął tak nagle i raczej brutalnie w moją samotność.

Popatrzyliśmy sobie wzajemnie w oczy. Nigdy jeszcze w życiu mnie tak nie zaskoczyło jak wygląd intruza. Był zupełnie nie na miejscu: przystojny i schludny, smagły jak Turek lub południowy Słowianin, z bujnym, opadającym wąsem. Miał na sobie nienaganny, ciemny garnitur niczym zachodni biznesmen. Popatrzył na mnie wrogo. Jego długie rzęsy, w konfrontacji z surową i bardzo męską twarzą, sprawiały wrażenie cokolwiek odrażających. Skórę miał ziemistą, lecz bez skazy, a usta niezwykle czerwone.

»Drogi panie - odezwał się niskim, nieprzyjaznym głosem; prawie warczał, przemawiając w skażonym tureckim akcentem języku angielskim. - Nie sądzę, abyś miał pan stosowne zezwolenia na to, co robisz«.

»Na co?« - zapytałem zacierzewiony jak każdy naukowiec, który znalazłby się w podobnej sytuacji.

»Na badania, jakie pan prowadzisz. Studiujesz pan dokumenty, które rząd turecki traktuje jako prywatne archiwum. Czy będzie pan łaskaw okazać mi swoje dokumenty?«

»Kim pan jest? - zapytałem równie obcesowo. - Proszę najpierw okazać mi swoje«.

Wyjął portfel z wewnętrznej kieszeni marynarki, rzucił go otwarty na biurko, po czym z trzaskiem zamknął i ponownie schował do kieszeni. Zdążyłem jedynie zobaczyć kartę koloru kości słoniowej wypełnioną tureckimi i arabskimi literami. Dłoń mężczyzny miała nieprzyjemną, woskową barwę, długie, ostre paznokcie, a jej wierzch porastały gęste włosy.

»Ministerstwo Dziedzictwa Kulturowego - wyjaśnił zimno. - Rozumiem, że nie ma pan zgody rządu tureckiego na studiowanie tych materiałów. Prawda?«

»Wcale nieprawda«.

Pokazałem mu list z Biblioteki Narodowej zezwalający mi na prowadzenie badań we wszystkich jej agendach w Istambule.

»To za mało - stwierdził, rzucając mi na biurko dokument. - Proszę udać się ze mną«.

»Dokąd?«

Zerwałem się z miejsca, czując się lepiej, stojąc, choć miałem nadzieję, że nie potraktuje tego jako wyrazu mej pokory.

»Nawet na policję, jeśli okaże się to konieczne«.

»To skandal. - Dawno już nauczyłem się, że z biurokracją najlepiej jest walczyć podniesionym głosem. - Jestem doktorem uniwersytetu w Oksfordzie oraz obywatelem Zjednoczonego Królestwa. Tego samego dnia, kiedy tu przybyłem, skontaktowałem się z tutejszym uniwersytetem i otrzymałem niniejszy dokument. Nikt nie zakwestionuje moich praw. Ani policja, ani... pan«.

»Rozumiem!«

Uśmiechnął się tak, że poczułem ucisk w żołądku. Czytałem to i owo o tureckich więzieniach i ich pensjonariuszach pochodzących z zachodniej Europy. Poczułem się bardzo niepewnie, choć nie miałem zielonego pojęcia, jakie kłopoty mogą mnie spotkać. Żywiłem tylko nadzieję, że lada chwila pojawi się któryś z szurających nogami bibliotekarzy. Wtedy uświadomiłem sobie, iż to oni sprowadzili tu tego typu ze strasliwą legitymacją. Być może naprawdę był kimś ważnym. Pochylił się nad biurkiem.

»Niech pan mi pokaże, nad czym pracuje. Proszę się przesunąć«.

Niechętnie ustąpiłem mu miejsca, a on pochylił się nad dokumentami. Z trzaskiem zamknął słowniki i dokładnie zaczął studiować ich tytuły. Z twarzy nie schodził mu niepokojący mnie uśmiech. Jego masywna postać nachylała się nad biurkiem. Poczułem bijącą od niego dziwną woń. Zdawało mi się, że zapachem wody kolońskiej próbuje zabić jakiś odrażający fetor. W końcu podniósł mapę, nad którą pracowałem. Zrobił to niebywale delikatnie, prawie czule. Popatrzył na nią tak, jakby wcale nie musiał jej oglądać, jakby od dawna ją znał. Pomyślałem, że to zwykły blef.

»To są te archiwalne materiały?« - zapytał.

»Tak« - odparłem ze złością.

»To drogocenna własność państwa tureckiego. Nie sądzę, by były przydatne obcokrajowcowi w jego badaniach. I to ten dokument, ta niewielka mapka, sprowadziła pana do Stambułu aż z brytyjskiego uniwersytetu?«

W pierwszej chwili zamierzałem mu wyjaśnić, że pojawiłem się w Turcji w całkiem innych sprawach, lecz od razu uświadomiłem sobie, że pociągnęłoby to lawinę kolejnych pytań.

»Ogólnie mówiąc, tak«.

»Ogólnie mówiąc? - zapytał przymilnie. - Cóż, muszę te papiery chwilowo zarekwirować. To straszna rzecz dla zagranicznego badacza«.

Gotowałem się w sobie na myśl, jak blisko byłem wielkiego odkrycia, a jednocześnie dziękowałem w duchu Bogu, że nie zabrałem ze sobą dokładnych, starodawnych map Karpat, które zamierzałem porównać z tą mapą następnego dnia. Spoczywały bezpiecznie w walizce w *moim* hotelowym pokoju na uniwersytecie.

»Nie ma pan najmniejszego prawa konfiskować materiałów, nad którymi pracuję i do których mam pełne prawo - oświadczyłem, zgrzytając zębami. - Niezwłocznie powiadomię o tym fakcie dyrekcję biblioteki. Oraz ambasadę brytyjską. A tak na marginesie, dlaczego pan tak bardzo się sprzeciwia moim studiom nad tymi dokumentami? Przecież dotyczy tylko najbardziej niejasnych wątków historii średniowiecza. Jestem najgłębiej przekonany, że nie mają żadnego związku z interesami rządu Turcji«.

Urzędnik odwrócił się ode mnie, zupełnie jakby ujrzał wieżycę Hagia Sophii pod zupełnie nowym kątem.

»Robię to wyłącznie dla pańskiego dobra - wyjaśnił obojętnym tonem. - Lepiej będzie, jeśli tą pracą zajmie się ktoś inny. I kiedy indziej«.

Stał w całkowitym bezruchu z twarzą odwróconą w stronę okna, zupełnie jakby chciał sprawić, bym podążył za jego wzrokiem i zobaczył coś niezwykłego. Odniosłem dziecięce wrażenie, że nie powinienem tego robić, iż mogła to być ze strony mężczyzny jakaś nowa sztuczka, więc nie spuszczałem z niego wzroku. Czekałem. I nieoczekiwanie ujrzałem jego *szyją* nad kołnierzykiem *wytwornej, drogiej* koszuli. Ustawił się specjalnie tak, abym to zobaczył. Z boku szyi, tuż przy gardle, widniały dwie zasklepione rany. Niezbyt świeże, lecz nie do końca jeszcze wygojone. Wyglądały jak po ukłuciu podwójnego ciernia lub jakby zostały rozdarte czubkiem noża.

Cofnąłem się o krok od biurka. Pomyślałem, że chyba straciłem rozum od tych wszystkich chorobliwych lektur, że zupełnie pomieszało mi się w głowie. Ale przecież na dworze jasno świeciło słońce, mężczyzna

w ciemnym wełnianym garniturze był całkiem realny, jak też bijąca od niego woń niemytego ciała, potu i czegoś znacznie gorszego, co próbował zabić za pomocą wody kolońskiej. Nic nie zniknęło ani nie zmieniło kształtu. Nie mogłem oderwać wzroku od tych dwóch, na wpół tylko ule-

czonych ran. Po kilku sekundach odwrócił się od okna jakby zachwycony tym, co za nim zobaczył... albo tym, co ja zobaczyłem... i znów się uśmiechnął.

»Dla twojego własnego dobra, profesorze«.

Trwałem w bezruchu niezdolny wyrzucić słowa, podczas gdy on ze zwiniętą mapą w dłoni opuścił czytelnię. Słyszałem jego oddalające się kroki, kiedy schodził po schodach. Kilka minut później pojawił się jeden z podstarzałych bibliotekarzy o gęstej, siwej czuprynie. Dźwigał dwa stare folio, które zaczął ustawiać na dolnej półce regału.

»Przepraszam - odezwałem się zdławionym głosem. - Przepraszam, ale to jest już czysty skandal. - Popatrzył na mnie zaskoczony. - Kim był ten człowiek? Ten urzędnik«.

»Urzędnik?« - Bibliotekarz wytrzeszczył na mnie oczy.

»Musi mi pan natychmiast wystawić oficjalne pismo, że mam prawo pracować w tym archiwum«.

»Ależ ma pan takie prawo - odparł uspokajająco. - Osobiście wprowadziłem pana do rejestru«.

»Wiem, wiem. Zatem musi pan go złapać i odebrać mapę«.

»Kogo złapać?«

»Człowieka z ministerstwa... no, tego mężczyznę, który się tu pojawił. Nie wpuszczał go pan?«

Bibliotekarz popatrzył na mnie spod strzechy siwych włosów z zainteresowaniem.

»Ktoś tu był? Przez ostatnie trzy godziny nikt nie wchodził do biblioteki. Wiem, bo osobiście pilnuję wejścia. Niestety mało kto interesuje się naszymi zbiorami«.

»Mężczyzna... - zacząłem i gwałtownie urwałem. Nieoczekiwanie spojrzałem na siebie oczyma bibliotekarza: wykonujący rękami oszalałe gesty cudzoziemiec. - On zabrał moją mapę... to znaczy mapę należącą do archiwum«.

»Mapę, Herr profesor?«

»Pracowałem nad nią. Kopiowałem ją przez cały ranek«.

»Czy tę?« - zapytał, wskazując moje biurko.

Na środku blatu leżała zwykła drogowa mapa Bałkanów, którą widziałem po raz pierwszy w życiu. Z całą pewnością nie było jej tam jeszcze przed pięcioma minutami. Bibliotekarz umieścił na półce drugie folio.

»Nieważne« - mruknąłem.

Najszybciej, jak mogłem, zebrałem książki i papiery, po czym opuściłem bibliotekę. Na zatłoczonej przechodniami i pojazdami ulicy nigdzie nie dostrzegłem urzędnika, choć kilku mężczyzn budową, wzrostem i eleganckim garniturem bardzo go przypominało. Ale ci mijali mnie obojętnie w pośpiechu. Wszyscy trzymali w rękach teczki. Kiedy dotarłem wreszcie do swego pokoju w hotelu, od razu spostrzegłem, że ktoś w nim buszował. Moje pierwsze szkice starych map, jak też zgromadzone notatki, których tego dnia nie potrzebowałem, zniknęły. Walizka została dokładnie przeszukana. Personel hotelu o niczym nie wiedział. Spędziłem bezsenną noc, nasłuchując czujnie dochodzących z zewnątrz dźwięków. Z rana spakowałem brudne ubrania i słowniki, po czym wynająłem łódź do Grecji".

- Profesor Rossi założył ramiona na piersi i obrzucił mnie bacznym spojrzeniem. Najwyraźniej czekał cierpliwie, aż wyrażę swe niedowierzanie. Ale ja bez reszty wierzyłem w jego relację; od początku do końca, w każde słowo.

„Wróciłeś do Grecji?"

„Tak, i spędziłem tam resztę lata, nie myśląc o mojej stambulskiej przygodzie, choć nie mogłem ignorować jej implikacji".

„Wyjechałeś, ponieważ się... wystraszyłeś?"

„Byłem wręcz przerażony".

„Ale później wznowiłeś badania nad swoją dziwną księgą?"

„Tak, w Smithsonian prowadziłem głównie analizy chemiczne. Ale kiedy niczego nie rozstrzygnęły... i pod wpływem innych czynników... rzuciłem całą rzecz i odstawiłem księgę na półkę. O, tam! - wskazał na najwyższy regał. - To dziwne... ale wspomnienia o tamtych wydarzeniach nieustannie wracają. Czasami pamiętam każdy ich szczegół, innym razem jedynie fragmenty. Myślę jednak, że ze wszystkim się oswoję i wtedy zatrą się najokropniejsze z nich. Są jednak pewne okresy... lata upływające w mgnieniu oka... kiedy nie chcę o tym wszystkim myśleć".

„Ale tak naprawdę wierzysz... w tego człowieka z ranami na szyi..."

„A co byś pomyślał, gdyby stanął z tobą twarzą w twarz, a ty byś doskonale wiedział, że wcale nie oszalałeś?"

Zamilkł i oparł się plecami o półki. Ostatnie słowa wypowiedział bardzo gwałtownym tonem.

Przełknąłem ostatni łyk zimnej kawy. Były to już właściwie bardzo gorzkie fusy.

„I nigdy później nie próbowałeś dociec, co ta mapa oznaczała i skąd się wzięła?”

„Nigdy. - Na chwilę zamilkł. - Tak, nigdy. Jestem przekonany, że kilku wątków moich badań nie dokończę już nigdy. Niemniej stworzyłem teorię, iż ów odrażający trop, jak też wiele innych, już nie tak okropnych, jeden uczony może rozwikłać w niewielkim tylko stopniu i poczynić mały krok do przodu. Później przychodzi następny erudyta i jeszcze następny, coraz bardzo rozwijając temat. Tak też zapewne stało się kilkaset lat temu, kiedy trzy osoby tworzyły tę mapę, dodając do niej coraz to nowe szczegóły. Z drugiej strony przyznaję, iż owe, mające charakter talizmanów, odniesienia do Koranu nie poszerzają naszej wiedzy na temat tego, gdzie naprawdę znajduje się grobowiec Włada Tepesa. Oczywiście, w rzeczywistości może to wszystko być jednym, wielkim nonsensem. Równie dobrze, zgodnie z rumuńską tradycją, książę mógł zostać pogrzebany w swoim klasztorze usytuowanym na wyspie, gdzie spoczął w pokoju jak każdy dobry człowiek... którym, naturalnie, nie był”.

„Ale ty tak nie uważasz?”

Rossi wyraźnie się zawahał.

„Badania naukowe muszą być prowadzone na wszystkich polach. Dla dobrych czy złych celów, ale są nieuniknione”.

„Ale czy w końcu dotarłeś nad Snagov, by zobaczyć wszystko na własne oczy?”

Potrząsnął głową.

„Nie. Porzuciłem badania na dobre”.

Odstawiłem lodowato zimny kubek i popatrzyłem mu w twarz.

„Ale jakieś informacje na ten temat masz?”

Sięgnął na najwyższą półkę i wyciągnął spomiędzy książek grubą, zapieczętowaną, brązową kopertę.

„Oczywiście. Jakież uczony kompletnie niszczy wyniki swoich badań? Przeleżałem na papier z pamięci całą swą wiedzę o trzech mapach oraz zabezpieczyłem wszystkie notatki, jakie miałem ze sobą tamtego dnia w archiwum”.

Położył między nami zapieczętowany pakiet i dotknął go palcami z czułością, która w najmniejszym stopniu nie korelowała z budzącą zgrozę jej zawartością. Być może to oderwanie od rzeczywistości, a może za-

padająca za oknem wiosenna noc sprawiły, że poczułem się bardzo nie-swojo.

„Czy sądzisz, że może to być niebezpieczne dziedzictwo?”

„Na Boga, chciałbym powiedzieć: nie. Ale zapewne niebezpieczne w sensie psychologicznym. Życie jest znacznie lepsze i pełniejsze, jeśli nie grzebiemy się bez potrzeby w zgrozie. Jak wiesz, historia ludzkości pełna jest niegodziwych czynów, o których powinniśmy myśleć ze łzami w oczach, a nie gmerać w nich gnani niezdrową fascynacją. Upłynęło już tyle lat, że sam nie jestem pewien swych wspomnień ze Stambułu i nigdy nie chciałem tam wracać. Sądzę jednak, iż zabrałem ze sobą wszystko, co konieczne dla wiedzy o tych sprawach”.

„Masz na myśli to, że nie powinieneś dalej zgłębiać tej sprawy?”

„Właśnie”.

„Ale wciąż nie masz zielonego pojęcia, kto stworzył mapę wskazującą miejsce, gdzie znajduje się grobowiec? Lub znajdował”.

„Nie mam”.

Wyciągnąłem rękę w stronę brązowej koperty.

„Czy nie potrzebuję różańca albo jakiegoś innego amuletu lub zaklęcia, by kontynuować twoje badania?”

„Jestem głęboko przekonany, że masz w sobie własną dobroć, wielką siłę moralną... jakkolwiek by to nazwać. Chciałbym, aby każdy był taki jak ty. Ale chodzić z czosnkiem w kieszeni... o, nie!”

„Ale z silnym środkiem przeciw zaburzeniom umysłowym”.

„O, tak! Próbowałem i tego”.

Na jego twarzy pojawił się pełen smutku, prawie posepny wyraz.

„Zapewne myliłem się, nie stosując starodawnych, zabobonnych środków, ale jestem zbytnim racjonalistą, by chwycić się takich metod”.

Ująłem w dłoń brązowy pakiet.

„A tu masz swoją książkę. Jest bardzo interesująca i życzę ci z całego serca, byś dotarł do źródeł jej pochodzenia”.

Wręczył mi wolumin oprawiony w welinową okładkę. Odniosłem wrażenie, że za beztróskimi na pozór słowami stara się ukryć smutek maulający się na jego twarzy.

„Wpadnij do mnie za dwa tygodnie. Musimy wrócić do naszych studiów nad handlem w Utrechcie”.

Gwałtownie zamrugałem oczyma. Nawet moja rozprawa naukowa wydała mi się w tamtej chwili jak nie z tego świata.

„Tak, oczywiście”.

Rossi zaczął zmywać szklanki, a ja sztywnymi dłońmi pakowałem teczkę.

„I ostatnia rzecz”.

Głos miał niebywale poważny. Odwróciłem się gwałtownie w jego stronę.

„Tak?”

„Nigdy więcej nie wracajmy do tego tematu”.

„Nie będziesz ciekaw wyników moich studiów?”

„Rób, jak chcesz. Ja już o niczym nie chcę wiedzieć. Chyba że znajdziesz się w kłopotach”.

Uściśnął mi dłoń w swój zwykły, niezmiernie serdeczny sposób. Po twarzy przemknął mu wyraz najgłębszego smutku, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widziałem, po czym zmusił się do uśmiechu.

„W porządku”.

„A więc za dwa tygodnie. Przynieś skończony rozdział. I wszystkie inne materiały”.

Ojciec zamilkł. Z zakłopotaniem stwierdziłam, że w oczach błyszczą mu łzy. Na widok targających nim uczuć powstrzymałam się przed dalszymi pytaniami, ale on ciągnął dalej:

-Pisanie rozprawy naukowej to przerażająca praca - odezwał się już lekkim tonem. - Ale tak czy siak, nie powinniśmy się byli wikłać w całą

tę historię. Jest starodawna, splątana i zakręcona, lecz wszystko skończy

się dobrze. Bo jestem tu ja, a nie upiorny profesor, i jesteś ty. - Zamrugnął

powiekami. Najwyraźniej wracał do równowagi. - Wszystko dobre, co

się dobrze kończy.

-Ale tymczasem musiało wydarzyć się wiele innych rzeczy - wydukałam.

Słońce ogrzewało już tylko delikatnie moją skórę, od morza nadciągała chłodna bryza. Odwróciliśmy głowy i popatrzyliśmy na rozciągające się wokół nas miasto. Nieopodal włączyła się ostatnia grupa turystów. Zatrzymali się przy załomie ściany. Wycieczkowicze wskazywali palcami wysepki lub nawzajem kierowali na siebie obiektywy aparatów fotograficznych. Popatrzyłam na ojca, ale ten spoglądał na morze. Za grupą turystów, w sporym oddaleniu od nas, dostrzegłam mężczyznę, którego wcześniej nie widziałam. Przechadzał się powoli tam i z powro-

tem - wysoki, barczysty, w ciemnym, wełnianym garniturze. Spotkaliśmy wielu wysokich mężczyzn w podobnych garniturach, ale z jakiegoś powodu od tego nie mogłam oderwać wzroku.

5

Ponieważ ojciec tak bardzo mnie onieśmiał, postanowiłam sama wykonać kilka prac badawczych. Pewnego dnia, po szkole, udałam się do biblioteki uniwersyteckiej. Holenderskim władałam już w miarę biegle, od kilku lat uczyłam się francuskiego i niemieckiego, a sama biblioteka miała obszerne zbiory w języku angielskim. Bibliotekarze okazali się niezwykle uprzejmi i po krótkiej konwersacji dostałam poszukiwane przeze mnie materiały: wydane w Norymberdze broszury dotyczące Draculi, o których wspominał mój ojciec. Jak wyjaśnił mi starszy bibliotekarz, w średniowiecznej kolekcji biblioteki nie było niesłychanie drogich oryginałów, ale dysponowano niemieckimi kompendiami zawierającymi angielskie tłumaczenia tych tekstów.

- Czy to ci wystarczy, dziecko? - zapytał z uśmiechem bibliotekarz.

Miał jedną z tych pięknych, wręcz magicznych twarzy, jakie spotyka się czasami wśród Holendrów - bezpośrednio, serdeczne spojrzenie niebieskich oczu, a w miarę starzenia się jego włosy przybierały raczej pszeniczną barwę niż siwiały. Rodzice mego ojca w Bostonie umarli, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką, ale pomyślałam sobie, że chciałabym, aby mój dziadek przypominał tego bibliotekarza.

- Nazywam się Johan Binnerts - powiedział. - Nie krępuj się i zwracaj się do mnie o pomoc, gdybyś jeszcze czegoś potrzebowała.

Oświadczyłam, że mam już wszystko, co jest mi potrzebne, *dank u*, a on poklepał mnie po ramieniu i bezszelestnie się oddalił. Przepisałam do notesu pierwszy ustęp:

Roku Pańskiego 1456 Dracula dokonał wielu straszliwych i dziwacznych czynów. Kiedy został władcą Wołoszy, skazał na stos młodzieńców, którzy przybyli do jego kraju, by uczyć się języka. Było ich czterystu. Całą dużą rodzinę powbijal na pale, a swych poddanych zakopywał po pępek

w ziemią, a następnie strzelał do nich z łuku. Niektórych smażył na wolnym ogniu lub obdzierał ze skóry.

Na pierwszej stronie był przypis. Druk był tak maleńki, że prawie go przeoczyłam. Dokładnie przyjrzałam się napisowi. Zrozumiałam, że dotyczył słów „wbijanie na pal”. Twierdzono, iż Vlad Tepes nauczył się tego rodzaju tortury od Turków. Palowanie polegało na wbijaniu w ludzkie ciało przez odbyty lub genitalia zaostrego pala, który niekiedy przechodził przez usta, a czasami nawet i przez czaszkę.

Przez długą chwilę próbowałam odrzucić od siebie sens tego, co przeczytałam, a jeszcze dłużej starałam się o tym zapomnieć. Z trzaskiem zamknęłam książkę.

Ale do końca dnia, od chwili gdy zamknęłam swój notatnik i nakładałam płaszcz, by wrócić do domu, prześladowała mnie nie postać Draculi czy opisy palowania, ale to, że wszystkie opisane fakty wydarzyły się naprawdę. Uszami duszy słyszałam skowyty chłopców z „dużej rodziny” drgających na palach. Ojciec, przykładając wielką wagę do mego wykształcenia historycznego, zapomniał wyjaśnić mi, że wszystko to działo się naprawdę. Zrozumiałam dopiero teraz, kilka dekad później, że nie mógł mi tego powiedzieć. Tylko sama historia może człowieka czegoś nauczyć. Ale kiedy pozna się prawdę... rzeczywiście się ją zrozumie... nie ma odwrotu.

Kiedy wieczorem dotarłam do domu, rozpierała mnie demoniczna energia. Starłam się z ojcem. Czytał w swej bibliotece, a pani Clay trząsała garami w kuchni. Weszłam do jego gabinetu i zamknęłam za sobą drzwi. Stałam przed fotelem. Czytał jedną ze swych ulubionych książek Henry'ego Jamesa, co stanowiło u niego oznakę wielkiego stresu.

Stałam w milczeniu, aż w końcu sam podniósł na mnie wzrok.

- Witaj - zwrócił się do mnie z uśmiechem, wkładając w książkę zakładkę. - Praca domowa z algebry?

Ale wzrok miał już niespokojny.

- Chcę, żebyś dokończył swoją historię - powiedziałam hardo.

Milczał, stukając palcami w poręcz fotela.

- Dlaczego nie opowiesz mi wszystkiego? Nie chcesz, abym poznała całą prawdę?

Po raz pierwszy mówiłam do niego tak zdecydowanym tonem. Popatrzył na książkę, którą przed chwilą zamknął. Czułam, że odnoszę się doń z okrucieństwem, którego sama nie rozumiem, ale skoro już zaczęłam, musiałam być konsekwentna.

W końcu na mnie popatrzył. Na jego twarzy malował się wyraz osobliwego smutku. W blasku lampy oblicze bruździły mu głębokie zmarszczki.

-Nie, nie chcę - powiedział w końcu.

-Wiem więcej, niż sądzisz - ciągnęłam z dziecięcym uporem.

Wcale nie chciałam, by zapytał mnie, co wiem.

Oparł łokcie na poręczach fotela i wsparł brodę na dłoniach.

- Wiem o tym - odezwał się cicho. - A ponieważ nie wiesz nic, muszę ci wszystko wyjaśnić.

Popatrzyłam na niego zaskoczona.

- A więc powiedz - rzekłam gwałtownie.

Spuścił wzrok.

- Powiem, kiedy będę gotów. Ale jeszcze nie teraz. - Umilkł i po chwili wybuchnął: - Jeszcze nie teraz! Cierpliwości!

Spojrzenie, jakim mnie obrzucił, było błagalne, a nie gniewne. Po-deszłam do niego i objęłam ramionami pochyloną głowę ojca.

Marzec w Toskanii często bywa zimny i deszczowy. A jednak ojciec wybrał się na krótko na prowincję po czterodniowych rozmowach w Mediolanie. Zawsze w myślach nazywałam jego zawód „rozmowy”. Tym razem nie musiałam się sama dopraszać o udział w eskapadzie.

- Florencja jest cudowna, zwłaszcza poza sezonem - oświadczył pewnego ranka, kiedy wyjeżdżaliśmy z Mediolanu na południe. - Chcę, żebyś sama to zobaczyła. Będziesz musiała jednak troszeczkę postudiuować jej historię i poznać lepiej malarstwo, co pomoże ci zrozumieć to miasto i wszystko, co w nim zobaczysz. A toskańska prowincja jest wspaniała. Jej widok da wytchnienie twoim oczom, a jednocześnie wywoła najgłębszy podziw. Sama się o tym przekonasz.

Skinęłam głową i jeszcze wygodniej rozparłam się na przednim fotelu wynajętego fiata. Miłość, jaką mój ojciec darzył wolność, była wręcz zaraźliwa. Uwielbiałam patrzeć, jak luzuje krawat i rozpina pod szyją koszulę, ilekroć wyrusza w jakieś nowe miejsce. Skierował fiata na ruchliwą autostradę.

-Tak czy owak, od lat obiecywałem Massimowi i Giulii, że ich od-
wiedzimy. Nigdy by mi nie wybaczyli, że będąc tak blisko, nie
wpadłem

do nich. - Poprawił się w fotelu, prostując odrobinę nogi. - Są trochę
dziwni... ekscentrycy na swój, jakbym to określił, niebywale miły spo-

sób. Czy masz ochotę ich odwiedzić?

-Mówiłam już, że tak.

Wolałam wprawdzie przebywać tylko w towarzystwie mego ojca...
obecność nieznanymi mi ludzi jeszcze bardziej potęgowała moją wro-
dzoną nieśmiałość... ale widziałam, jak bardzo mu zależy na spotkaniu
z dawnymi przyjaciółmi. W końcu monotony szum samochodowego sil-
nika zaczął mnie usypiać. Byłam bardzo zmęczona po podróży pocią-
giem. Czar pojawił się tego ranka: spóźniona strużka krwi, której z takim
niepokojem oczekiwał mój lekarz. Przewidująca pani Clay z zakłopotani-
em zapakowała mi do walizki wielką ilość bawełnianych podpasiek.
Gdy po raz pierwszy w pociągowej toalecie ujrzałam tę zmianę, byłam
tak zaskoczona, że w oczach stanęły mi łzy. Zupełnie jakby ktoś mnie
zranił. Smuga na delikatnej podpasce przypominała odcisk palca morder-
cy. Ale nie wspomniałam o niczym ojcu. Doliny rzek i wioski usytuowa-
ne na wierzchołkach odległych pagórków spowijała delikatna mgiełka,
później wszystko się zamazało. Podczas lunchu, który jedliśmy w małym
miasteczku pełnym kafejek i mrocznych barów, wciąż byłam senna.
Bezpańskie koty włóczyły się po ulicach lub przeżyły i rozprężyły grzbie-
ty przy nadprożach domów.

Kiedy jednak wczesnym zmierzchem ruszyliśmy w kierunku jednego
z dwudziestu miasteczek, które rozsiadły się na wzgórzach otaczających
nas niczym motywy ze starodawnych fresków, rozbudziłam się całkowi-
cie. Był wietrzny wieczór, niebo częściowo pokryte chmurami, a spoza
nich na horyzoncie przebijało czasami czerwone, zachodzące słońce.

- Nad Morze Śródziemnie albo na Gibraltar udamy się innym ra-
zem - oświadczył mój ojciec.

Mieliśmy przed sobą miasteczko o wznoszących się prawie pionowo
uliczkach i zaułkach, do których dostać się było można tylko po kamien-
nych schodkach. Mój ojciec krążył naszym niewielkim samochodem tu
i tam, minęliśmy *trattoria*, z której, przez uchylone drzwi, padała na wil-
gotny bruk uliczki smuga światła. Ostrożnie skierował samochód w dół
i niebawem znaleźliśmy się po drugiej stronie wzgórza.

- Jeśli dobrze pamiętam, to tu. - Skręcił i wjechał na pokrytą koleina-

mi drogę, wzdłuż której rosły cyprysy. - *Filia* Montefollinoco w Monteperduto. Monteperduto to nazwa miasteczka. Pamiętasz?

Pamiętałam. Podczas śniadania dokładnie przestudiowaliśmy mapę. Mój ojciec odstawił filiżankę z kawą i wodził palcem po barwnej planszy.

- Tutaj jest Siena, jedno z głównych miast Toskanii. Stamtąd skręcimy do Umbrii. Tu masz Montepulciano, słynną, starożytną osadę, a na tym następnym wzgórzu leży nasze miasteczko, Monteperduto.

Nazwy mieszały mi się w głowie, ale słowo *monte* oznaczało górę, a my znajdowaliśmy się w miniaturowych górach, przypominających dzieci ogromnych Alp, przez które przejeżdżałam już dwukrotnie.

W zapadających ciemnościach *villa* sprawiała wrażenie małego, przygarbionego do ziemi wiejskiego domu wybudowanego z polnych kamieni. Otaczały ją pochylające się nad czerwonym dachem cyprysy i drzewka oliwne, a prowadzącą do drzwi ścieżkę wyznaczały zakopane do połowy w ziemię kamienie. W oknie na parterze paliło się światło. Poczulałam się nagle straszliwie głodna, zmęczona, ogarnął mnie kapryśny nastrój nastolatki, ale wiedziałam, że muszę swoje uczucia ukryć przed gospodarzami. Mój ojciec wyciągnął z tyłu auta bagaże i ruszyłam za nim ścieżką.

- Jest tu nawet nadal ten sam dzwonek - stwierdził z zadowoleniem ojciec.

Pociągnął za krótki sznurek i wygładził włosy.

Mężczyzna, który otworzył drzwi, wpadł na nas niczym huragan. Chwyił mego ojca w objęcia i zaczął z całych sił klepać go po plecach. Hałaśliwie całował po policzkach. Ukłonił mi się stanowczo zbyt nisko i uścisnął rękę. Dłoń miał ciepłą i wielką. Położył mi ją na ramieniu i delikatnie popchnął w stronę drzwi. W niskim holu wejściowym o stropie podpartym belkami i wypełnionym starodawnymi meblami ryknął niczym ranione zwierzę:

- Giulia! Giulia! Szybko! Najcudowniejsi goście! Chodź tu szybko!

Mówił dobrze po angielsku, choć z twardym akcentem.

Wysoka, uśmiechnięta kobieta podeszła najpierw do mnie. Miała siwe włosy, które lśniły srebrzystą barwą i były spięte po bokach pociągłej twarzy. Uśmiechnęła się do mnie i serdecznie ścisnęła mi rękę. Dłoń miała tak samo ciepłą jak jej mąż. Pocałowała mego ojca w oba policzki, a z jej ust popłynął potok włoskich słów.

-A ty - zwróciła się do mnie po angielsku - dostaniesz własny pokój, bardzo wygodny. Okay?

-Okay.

Cieszyłam się już na myśl o miłym pokoju, w bezpiecznej bliskości mego ojca, i o widoku na dolinę, skąd przybyliśmy.

Po kolacji w jadalni, której podłoga wyłożona była kamiennymi płytami, dorośli westchnęli z zadowoleniem i rozparli się wygodnie na krzesłach.

-Giulio - odezwał się mój ojciec. - Z każdym rokiem gotujesz coraz lepiej. Jesteś najlepszym kucharzem w całych Włoszech.

-Głupstwa opowiadasz, Paolo. - W jej angielszczyźnie wyczuwało się akcent z Oksfordu i Cambridge. - Zawsze mówisz głupstwa.

-Może to to chianti. Pokaż mi, proszę, butelkę.

-Pozwól, że naleję ci jeszcze szklaneczkę - wtrącił się Massimo. - A co ty studiujesz, śliczna córko?

-W szkole uczymy się wszystkich przedmiotów - odparłam układnie.

-Jak sądzę, najbardziej interesuje ją historia - wyjaśnił mój ojciec. - Jest również zapaloną podróżniczką.

-Historia? - Massimo napełnił Giulii szklaneczkę, a następnie sobie. Wino miało kolor granatu albo ciemnej krwi. - To tak jak ty i ja, Paolo.

Tak nazywamy twego ojca - wyjaśnił mi na boku - ponieważ nie znoszę

tych posepnych, angielskich imion, jakich używacie... Wybacz, nie powi-

nieniem... Paolo, przyjacielu, myślałem, że padnę trupem, kiedy dowie-

działem się, iż porzuciłeś uczelnię na rzecz pertraktacji prowadzonych na

całym świecie. A więc woli gadać, niż czytać - tak wtedy sobie powie-

działem. Wybitny naukowiec stracony dla świata nauki. Ot, czym został

twój tata.

Nie pytając mego ojca o zgodę, nalał mi pół szklaneczki wina i dopełnił je wodą ze stojącego na stole dzbana. Poczulałam do niego wielką sympatię.

-Teraz ty opowiadasz głupstwa - odezwał się z zadowoleniem mój ojciec. - Uwielbiam podróże. To właśnie robię.

-Ba! - Massimo potrząsała głową. - Ale ty, signor profesor, mówiłeś kiedyś, że będziesz największy spośród badaczy. Co wcale nie zna-

czy, że twoja fundacja nie jest wspaniałym sukcesem. Nie, wcale tak nie twierdzą.

- Potrzebujemy pokoju i demokratycznej kultury, a nie badań nad marginalnymi zagadnieniami, które właściwie nikogo nie obchodzą - odparł z uśmiechem mój ojciec.

Giulia zapaliła lampę stojącą na kredensie i wyłączyła elektryczne światło. Przeniosła latarnię na stół i zaczęła kroić tarte, na którą starałam się dotąd cały czas nie patrzeć. Powierzchnia ciasta lśniła niczym nóż z obsydianu.

-W historii nie ma marginalnych zagadnień. - Massimo puścił do mnie oko. - Poza tym nawet sam wielki Rossi powiedział, że byłś jego

najlepszym studentem. A cała nasza reszta mogła być tylko dumna ze swego kolegi.

-Rossi!

Słowo to wyrwało mi się, zanim zdążyłam poskromić język. Ojciec popatrzył na mnie niespokojnie znad ciasta.

- A więc znasz naukowe sukcesy swego ojca, młoda damo? - odezwał się Massimo z ustami pełnymi czekolady.

Ojciec przesłał mi kolejne spojrzenie.

- Opowiedziałem jej trochę o tamtych czasach - wyjaśnił.

Wyczułam w jego tonie ostrzeżenie. W chwilę później jednak pomyślałam, że mogło być ono skierowane do Massima, nie do mnie, gdyż odpowiedź gospodarza zmroziła mnie do szpiku kości, choć mój ojciec próbował ją dyplomatycznie załagodzić.

- Biedny Rossi - mruknął Massimo. - Wspaniała, tragiczna postać. To straszne, że ktoś, kogo dobrze się zna, nieoczekiwanie, ot tak, „puf”, znika.

Następnego ranka siedzieliśmy na zalewanym promieniami słońca *piazza* w najwyższym punkcie miasteczka. Zapięliśmy dokładnie kurtki, w dłoniach trzymaliśmy przewodniki i obserwowaliśmy dwóch chłopców, którzy podobnie jak ja powinni być o tej porze w szkole. Z radosnymi okrzykami podawali do siebie piłkę przed samym wejściem do kościoła. Czekałam cierpliwie. Czekałam cały ranek, kiedy zwiedziliśmy mroczne, niewielkie kaplice „z elementami Brunelleschi”, jak niejasno wytłumaczył nam wyraźnie znudzony przewodnik, oraz Palazzo Pubblico z ogromną salą przyjęć służącą przez wieki za miejski spichlerz. Mój ojciec ciężko westchnął i wręczył mi jedną z dwóch zgrabnych butelek z *oranginas*.

-Chcesz mnie o coś zapytać - odezwał się posepnym tonem.

-Nie. Chcę tylko dowiedzieć się wszystkiego o profesorze Rossim.

Wsunęłam słomkę w szyjkę butelki.

- Tak też i myślałem. Massimo zachował się bez taktu, poruszając ten temat.

Bałam się tego pytania, ale musiałam je zadać.

- Czy profesor Rossi nie żyje? Co Massimo miał na myśli, mówiąc „zniknął”?

Ojciec przeniósł wzrok na drugą stronę placu, na znajdujące się tam kafejki i sklepy mięsne.

- Tak. Nie. To bardzo smutna historia. Naprawdę chcesz ją poznać?

Kiwnęłam potakująco głową. Ojciec szybko rozejrzał się wokół siebie. Siedzieliśmy na kamiennej ławie ustawionej przy ścianie pięknego, starego *palazzi*. Byliśmy sami, jedynie dwóch chłopców uganiało się na placu za piłką.

- A więc dobrze - powiedział po długiej chwili milczenia.

6

- Tego wieczoru, kiedy Rossi przekazał mi pakiet papierów, zostawiłem go uśmiechniętego w progu jego gabinetu, lecz kiedy się odwróciłem, ogarnęło mnie uczucie, że powinienem jednak wrócić i dłużej z nim porozmawiać. Jednocześnie byłem przekonany, iż moje wrażenia biorą się jedynie z naszej dziwacznej rozmowy, najdziwaczniejszej, jaką odbyłem w życiu, i szybko o wszystkim zapomniałem. Minęło nas dwóch absolwentów wydziału. Pograżeni byli w ożywionej rozmowie. Przechodząc, pozdrowili Rossiego, który zatrzaskał drzwi swego gabinetu, i szybko ruszyli za mną po schodach. Głośna rozmowa studentów sprawiła, że odniosłem wrażenie, iż życie toczy się zwykłym torem, choć wciąż dręczył mnie niepokój. Moja książka schowana w teczce, ozdobiona wizerunkiem smoka, paliła mnie swą obecnością, a teraz jeszcze Rossi dodał do niej zapieczętowany pakiet swoich papierów. Zastanawiałem się, czy powinienem przejrzeć je jeszcze tej nocy, siedząc przy biurku w moim skromnym mieszkanku. Byłem wykończony. Czułem, że nie powinienem zapoznawać się z ich treścią, bez względu na to, co zawierały.

Podejrzewałem, że w dziennym świetle, z rana, wróci mi pewność siebie i zdrowy rozsądek. Zapewne nawet po przebudzeniu przestanę wierzyć w opowieść Rossiego, choć czułem też, iż będzie mnie prześladować bez względu na to, czy w nią uwierzyłem, czy nie. Ale jak, zapytywałem siebie, przechodząc pod oknami gabinetu Rossiego, jak mógłbym nie wierzyć swemu promotorowi w sprawach jego odkryć naukowych? Czy nie postawiłoby to pod znakiem zapytania całej wspólnie wykonanej przez nas pracy? Na myśl o pierwszych rozdziałach mojej dysertacji, o grubym pliku maszynopisu spoczywającego schludnie na biurku, przeszył mnie zimny dreszcz. Jeśli nie uwierzę w opowieść Rossiego, jak będziemy mogli dalej współpracować? Czy miałem założyć, że profesor oszalał?

Być może dlatego, że Rossi nie schodził mi z myśli, przechodząc pod jego oknami, spostrzegłem, iż w gabinecie wciąż pali się światło. Tak naprawdę, kierując się w stronę mego domu, wszedłem nawet na płamę jasności padającą na ulicę z jego okien i w tej samej chwili ona dosłownie zniknęła spod moich stóp. Stało się to w ułamku sekundy. Ogarnęło mnie zwierzęce przerażenie, oblała fala gorąca. Jeszcze przed sekundą, pogrążony w myślach, wchodziłem w płamę światła padającego na chodnik z okien profesora Rossiego, a teraz stałem jak słup soli. Uświadomiłem sobie jednocześnie dwie rzeczy. Pierwszą było to, że nigdy w tym miejscu, między gotyckimi budynkami z salami wykładowymi, nie widziałem na chodniku tego światła, choć przechodziłem tędy tysiące razy. Nigdy go nie dostrzegłem, gdyż było niewidoczne. Zauważyłem je dopiero teraz, gdy nieoczekiwanie pogasły uliczne latarnie. Stałem samotnie na ulicy, a w oddali cichły echa moich kroków. Ulica pogrążona była w całkowitych ciemnościach i tylko to niezwykle światło w oknach gabinetu, w którym rozmawialiśmy niecałe dziesięć minut wcześniej.

Druga rzecz, którą sobie uświadomiłem, spadła na mnie niczym grom z jasnego nieba. Mówię spadła, gdyż ujrzałem to własnymi oczyma, nie podpowiedział mi tego ani rozum, ani instynkt. W chwili gdy znieruchomiałem, łagodne światło sączące się z okien gabinetu mego mistrza zgasło. Pomyślisz zapewne, że to normalna rzecz: uczelnia skończyła pracę i ostatni profesor opuszczający jej mury wyłącza światło, pogrążając uliczkę w całkowitym mroku. Ale było zupełnie inaczej. Nie przypominało to zwykłego zgaszenia stojącej na biurku lampy. Wyglądało to tak, jakby coś podbiegło do okna i zasłoniło sobą płynący ze środka blask. Ogarnęły mnie nieprzeniknione ciemności.

Na chwilę przestałem oddychać. Zmrożony strachem, niezdarnie odwróciłem się w kierunku ciemnych, niewidocznych w zalegającym ulicę mroku okien. Kierowany nagłym impulsem podbiegłem do drzwi, którymi opuściłem budynek, ale były już zamknięte na głucho. W fasadzie domu nie paliło się żadne światło. O tej porze za każdym wychodzącym zamykano dokładnie drzwi. Była to normalna procedura. Stałem przez chwilę niezdecydowany. Zastanawiałem się, czy nie spróbować dostać się do środka innym wejściem, ale w tej samej chwili rozbłyśły uliczne latarnie. Byłem kompletnie dezorientowany. Nigdzie nie widziałem dwójki studentów, którzy wraz ze mną opuścili gmach uczelni. Zapewne poszli w przeciwną stronę.

Pojawiła się kolejna, hałaśliwa grupa studentów, ulica nie była już wymarła. A jeśli Rossi, po zgaszeniu światła w gabinecie i zamknięciu za sobą drzwi, wyjdzie na ulicę i mnie zobaczy? Oświadczył wszak, że nie chce więcej o tym ze mną rozmawiać. Jak mu wyjaśnię mój irracjonalny lęk o niego, lęk, jaki mnie ogarnął w progu jego gabinetu, kiedy zaciągał kurtynę milczenia na ów temat... zapewne schorzały i patologiczny? Zmieszany odwróciłem się na pięcie i szybko, by się na mnie nie natknął, pomaszerowałem w stronę swego domu. Tam, nie wyciągając zapieczętowanej koperty z teczki, od razu poszedłem do łóżka. Przespałem całą noc, choć dręczyły mnie jakieś nieokreślone koszmary.

Następne dwa dni spędziłem bardzo pracowicie i nie miałem nawet czasu zajrzeć do papierów Rossiego. W rzeczywistości z premedytacją wyrzucałem z myśli wszelkie ezoteryczne sprawy. Lecz wszystko wróciło do mnie w najbardziej nieoczekiwanej chwili. Drugiego dnia, późnym popołudniem, dopadł mnie jeden z moich kolegów z wydziału.

„Słyszałeś o Rossim? - zapytał, chwytając mnie za ramię i odwracając w swoją stronę. - Paolo, poczekaj!”

Tak, dobrze zgadujesz. - Ojciec kiwnął głową. - To był Massimo. Kiedy skończył uniwersytet, był zwałistym, hałaśliwym mężczyzną. Jak sądzę, jeszcze bardziej hałaśliwym niż obecnie. Bardzo mocno ścisnął mnie za ramię.

„Rossi? - zapytałem. - Co z nim?”

„Nie ma go. Zniknął. Policja przeszukuje właśnie jego gabinet”.

Pobiegłem do budynku, który teraz wyglądał całkiem normalnie. W środku kłębili się studenci, opuszczający sale wykładowe. Na pierwszym piętrze, przed gabinetem Rossiego, dziekan naszego wydziału roz-

mawiał z policjantem. Wokół kręciło się kilku mężczyzn. Nigdy ich wcześniej nie widziałem. W chwili kiedy się pojawiłem, z gabinetu Rossiego wychodziło dwóch ludzi w ciemnych marynarkach. Zamknęli za sobą drzwi i skierowali się ku schodom prowadzącym do sal wykładowych. Minąłem ich i zwróciłem się do policjanta:

„Gdzie jest profesor Rossi? Co się z nim stało?”

„Czy pan go znał?” - zapytał stróż prawa znad notatnika.

„Był moim promotorem. Widziałem się z nim dwa dni temu. Kto twierdzi, że zniknął bez śladu?”

Podszedł do mnie dziekan i uściśnął mi dłoń.

„Czy wie pan cokolwiek o tej sprawie? Gospodyni profesora Rossiego zadzwoniła w południe, mówiąc, że nie wrócił do domu od dwóch dni. Oświadczyła, że nigdy się to nie zdarzało. Nie pojawił się też dzisiaj na radzie wydziału bez telefonicznego uprzedzenia. To również nigdy mu się nie zdarzało. Przed jego gabinetem czekali umówieni studenci, ale profesor nie przybył. Gdy opuścił dzisiejszy wykład, zmuszony był włączyć się do jego gabinetu”.

„I co, był tam?” - spytałem schrypniętym głosem.

„Nie”.

Ruszyłem na oślep w kierunku drzwi gabinetu Rossiego, ale policjant chwycił mnie za ramię.

„Powoli, powoli! - zawołał. - Mówił pan, że widział się z nim przed dwoma dniami”.

„Zgadza się”.

„O której ostatnio pan go widział?”

„Okolo wpół do dziewiątej”.

„Czy ktoś kręcił się w tej okolicy?”

Przez chwilę się zastanawiałem.

„Tak, dwóch studentów z naszego wydziału... Bertrand i Elias opuszczali budynek razem ze mną”.

„Doskonale. Zapisz - polecił policjant jednemu z mężczyzn. - Czy zauważył pan jakieś dziwne zachowanie profesora Rossiego?”

Cóż miałem mu odpowiedzieć? Tak, naturalnie... twierdził, że wampiry istnieją naprawdę, że księżę Dracula krąży wokół nas, że być może spadła na mnie klątwa spowodowana jego badaniami, a poza tym na własne oczy widziałem, jak jakiś olbrzym zasłania światło bijące z okna jego gabinetu...

„Nic - odparłem. - Rozmawialiśmy o mojej dysertacji prawie do dwudziestej trzydzieści”.

„Czy wyszliście razem?”

„Nie. Odprowadził mnie do schodów, po czym wrócił do swego gabinetu”.

„A po wyjściu z budynku czy dostrzegł pan kogoś podejrzanego? Może pan coś usłyszał?”

Znów się zawahałem.

„Nic. Na chwilę zgasły uliczne latarnie. Zapadła ciemność”.

„Tak, wiemy o tym. Ale czy słyszał pan lub widział coś niezwykłego?”

„Nie”.

„Jak dotąd jest pan ostatnim człowiekiem, który widział profesora Rossiego - nastawał policjant. - Niech pan sobie przypomni. Kiedy rozmawialiście ze sobą po raz ostatni, czy powiedział coś albo zachowywał się nienormalnie? Czy przejawiał oznaki depresji, manii samobójczej... wie pan, coś w tym stylu? Może wspomniał o odejściu, o dalekiej podróży...?”

„Nic”.

Policjant obrzucił mnie wrogim spojrzeniem.

„Proszę podać mi swoje imię, nazwisko i adres”.

Kiedy mu je podałem, zwrócił się do dziekana.

„Czy ręczy pan za tego młodego człowieka?”

„Z całą pewnością jest tym, za kogo się podaje”.

„W porządku - mruknął stróż prawa. - Chciałbym, by wszedł pan ze mną do środka. Może zauważy pan coś niezwykłego. Zwłaszcza jakieś zmiany, które zaszły w gabinecie przez ostatnie dwa dni. Proszę niczego nie dotykać. A mówiąc szczerze, większość takich nagłych zaginięć okazuje się bardzo prozaiczna, sprawy rodzinne, lekkie załamanie nerwowe... Delikwent, jakby nigdy nic, pojawia się po dwóch, trzech dniach. Miałem do czynienia z setkami podobnych przypadków. Ale ślady krwi na biurku nie pozostawiają większych złudzeń”.

„Krew na biurku?”

Poczułem, że uginają się pode mną nogi. Jak pijany ruszyłem za przedstawicielem władzy. Pokój wyglądał tak samo, jak podczas moich wielokrotnych wizyt - schludny, miły, fotele i krzesła zapraszały wręcz, by na nich usiąść. Na stolikach i biurku leżały książki oraz różnorodne

papiery. Podszedłem bliżej. Na wyłożonym brązowym suknie blacie biurka widniała długa, ciemna, zakrzepła już plama. Policjant położył uspokajająco dłoń na moim ramieniu.

„Niewielka utrata krwi. Z całą pewnością nieszkodliwa dla ludzkiego organizmu - oświadczył. — Może poszła mu z nosa. Czy profesor Rossi miał takie krwotoki? Czy tamtego wieczoru sprawiał wrażenie niezdrowego?”

„Ależ skąd - odparłem słabym głosem. - Nigdy nie widziałem, by... leciała mu z nosa krew. Zresztą nigdy nie mówił mi nic o swoim zdrowiu”.

Uświadomiłem sobie nagle z budzącą dreszcz zgrozy jasnością, że rozmawiamy o nim w czasie przeszłym. Coś ścisnęło mnie w gardle na wspomnienie Rossiego, kiedy stał w progu swego gabinetu i z serdecznym uśmiechem patrzył, jak odchodzę. Czyżby w chwili załamania nerwowego zaciął się jakimś ostrym narzędziem... celowo?... a następnie wybiegł z gabinetu, zatrzaskując za sobą drzwi? Próbowałem sobie wyobrazić, jak zziębnięty i głodny pałęta się po parku lub wsiada do pierwszego lepszego autobusu, zdążając w wybranym na chybił trafił kierunku. Wszystko to nie trzymało się kupy. Rossi był człowiekiem solidnym, opanowanym, jednym z najwspanialszych ludzi, jakich spotkałem w życiu.

„Proszę się dokładnie rozejrzeć po gabinecie” - poprosił policjant, zdejmując rękę z mego ramienia.

Patrzył na mnie twardym wzrokiem. Za plecami czułem obecność stojącego w progu dziekana. Zaświtała mi w głowie myśl, że jeśli nie wyjdą na światło dzienne jakieś inne okoliczności, będę jednym z głównych podejrzanych o zamordowanie profesora. Ale Bertrand i Elias przemówią na moją korzyść, podobnie jak ja postąpiłbym na ich miejscu. Dokładnie rozglądałem się po pokoju. Ale wszystko było normalne, zwykłe, tyle tylko że Rossi zniknął, jakby się zapadł pod ziemię.

„Nie, wszystko tu jest, jak było” - oświadczyłem w końcu.

„No dobrze. - Policjant odwrócił mnie w stronę okien. - Proszę zatem popatrzeć w górę”.

Na białym, gipsowym suficie nad biurkiem widniała ciemna smuga, długa na jakieś dziesięć centymetrów. Sprawiała wrażenie, jakby wskazywała coś znajdującego się na zewnątrz.

„Również przypomina krew. Ale proszę się nie przejmować. To może być... choć wcale nie musi... krew profesora Rossiego. Pokój jest zbyt

wysoki, by ktoś mógł tak łatwo dosięgnąć do sufitu, nawet z drabinki. Teraz proszę się głęboko zastanowić. Czy Rossi wspominał, że tamtego wieczoru wpadł do jego pokoju ptak? A może wychodząc już z jego gabinetu, usłyszał pan trzepot skrzydeł? Nie pamięta pan, czy okna gabinetu były pozamykane?"

„O niczym takim nie wspominał - odrzekłem. - A okna były zamknięte na głucho. Tego jestem pewien".

Nie mogłem oderwać wzroku od rdzawej plamy na suficie. Odnośliem wrażenie, że gdybym przyjrzał się jej wystarczająco wnikliwie, mógłbym coś wyczytać z przerażającego, hieroglificznego kształtu plamy.

„Wielokrotnie już do naszego budynku wlatywały ptaki - wtrącił trzymający się wciąż za naszymi plecami dziekan. - Gołębie. Nieustannie dostają się do środka przez świetliki w dachu".

„To bardzo możliwe - przyznał policjant. - Ale nie znaleźliśmy śladu ich odchodów".

„Albo nietoperze - zasugerował dziekan. - W tych starych budynkach gnieździ się zapewne wiele różnych stworzeń".

„To też możliwe, zwłaszcza jeśli profesor próbował strącić stworzenie za pomocą szczotki lub parasola i przy tym je zranił" - dodał jeden ze zgromadzonych pracowników uczelni.

„I nie widział pan tu żadnego nietoperza czy innego ptaka?" - zapytał ponownie stróż prawa.

Zdobyć się na odpowiedź zajęło mi dłuższą chwilę. Miałem kompletnie suche usta.

„Nie" - odrzekłem, prawie nie rozumiejąc pytania.

Dotarłem wzrokiem do początku krwawej smugi ciągnącej się po suficie, do miejsca, w którym się zaczynała. Na najwyższej półce regału dostrzegłem lukę. Księga zniknęła. Gdzie przestawił tamtego wieczoru tajemniczy wolumin? W rzędzie grzbietów widniała czarna luka.

Koledzy wyprowadzili mnie półprzytomnego z gabinetu. Klepali mnie po ramieniu, zapewniając, że nie ma powodu do obaw. Musiałem być błądy jak śmierć. Odwróciłem się do policjanta, który zamknął i zapieczętował drzwi.

„A może profesor Rossi trafił już do jakiegoś szpitala? Może sam się pociął lub ktoś inny go pokaleczył?"

Oficer potrząsnął głową.

„Mamy nieustanny kontakt ze szpitalami. Ani śladu. Ale dlaczego pan to mówi? Sądzi pan, że mógł się targnąć na swoje życie? Pańskim zdaniem był to człowiek całkowicie zrównoważony umysłowo. Żadnych depresji, żadnych manii samobójczych”.

„Naturalnie”,

Wziąłem głęboki wdech i znów stanąłem pewnie na nogach. Pokój był zbyt wysoki, by wysmarował sufit swoją krwią... żalodne pocieszenie.

„Wynośmy się stąd” - powiedział przedstawiciel władzy, odwracając się do dziekana, po czym zaczął z nim o czymś półgłosem konferować.

Zgromadzony w korytarzu tłum już się powoli rozchodził. Ruszyłem razem z nim. Szukałem jakiegoś miejsca, gdzie mógłbym w spokoju usiąść.

- Na moją ulubioną ławkę w zagłębieniu starej, uniwersyteckiej biblioteki wciąż padały ciepłe promienie wiosennego, popołudniowego słońca. Nieopodal studenci w niewielkich grupkach rozmawiali ze sobą, lub coś czytali ściszonymi głosami, a ja do szpiku kości czułem klimat starodawnej uczelni. Ogromny hol biblioteki otaczały okna z barwionego szkła. Jedne z nich wychodziły na czytelnie, na przypominające klasztorne krużganki korytarze i na dziedzińce, tak że widziałem wchodzących i wychodzących ludzi, jak też osoby studiujące przy wielkich, dębowych stołach. Kończył się zwyczajny dzień. Niebawem zajdzie słońce, pograżając w półmroku kamienną posadzkę pod moimi stopami. Od rozmowy z moim mistrzem minęło pełne czterdzieści osiem godzin. Dotąd moja praca naukowa i towarzyszące jej obowiązki odpychały ode mnie granice mroku.

Muszę ci wyznać, że w czasach, kiedy studiowałem, lubiłem być sam otoczony wręcz klasztorną ciszą. Wspominałem ci już, że zazwyczaj pracowałem w prywatnych gabinecikach na wyższych piętrach biblioteki. Miałem tam zarezerwowaną tylko dla siebie niszę i w niej znalazłem ową dziwną książkę, która dosłownie z dnia na dzień odmieniła moje życie i sposób myślenia. Tak zatem przez dwa dni oddawałem się w samotności pracy naukowej, pochłaniając łapczywie książki o Niderlandach i ciesząc się na kolejną, miłą sesję naukową z moim mistrzem. Dla świata byłem nieobecny. Myślałem jedynie o tym, co rok wcześniej napisali w książce traktującej o ekonomicznej historii Utrechtu Heller i Herbert, szukając argumentów, by zbić ich tezy w oddzielnym artykule, którego

obszerne fragmenty zamierzałem chytrze podkrośić z jednego z rozdziałów mojej własnej rozprawy doktorskiej.

Szczerze mówiąc, kiedy wyobrażałem sobie wówczas przeszłość, widziałem jedynie owych niewinnych, łagodnych Holendrów, prowadzących spory o mało istotne sprawy ich gildii albo też podpartych pod boki, stojących nad brzegami kanałów i obserwujących z zadowoleniem, jak pracownicy windują paki z różnorodnym dobrem na najwyższe piętra ich domów zamienionych na magazyny. Wyobrażając sobie wówczas przeszłość, widziałem jedynie rumiane, ogorzałe twarze, krzaczaste brwi, sprawne ręce, czułem zapach przypraw i dziegciu, smród ścieków w kanałach, słyszałem skrzypienie majestatycznych statków i głosy zacietrzewionych kupców sprzedających lub wymieniających towary.

Ale tak naprawdę historia jest czymś zupełnie innym. Historia to rozbryzgi krwi. Nie wysychają z dnia na dzień, nie wysychają nawet po stuleciach. Tamtego właśnie dnia moje studia nabrały nowego wymiaru - nowego dla mnie, lecz nie dla Rossiego i wielu innych, którzy ruszyli tym samym mrocznym, zagmatwanym tropem. Pragnąłem rozpocząć nowe badania w otoczeniu pogodnego gwaru panującego w głównym holu biblioteki, a nie w ciszy ciągnących się w nieskończoność półek z książkami, małej od czasu do czasu dźwiękiem czyichś ciężkich, znużonych kroków na odległych schodach. Pragnąłem otworzyć nowy rozdział swego życia jako historyk, na oczach niczego niepodważających młodych antropologów, siwiejących bibliotekarzy, osiemnastolatków myślących jedynie o squashu i nowych, białych butach, rozchichotanych studentów i nieszkodliwych, zwariowanych honorowych profesorów - na oczach całego, wieczornego życia uniwersytetu. Jeszcze raz obrzuciłem wzrokiem zatłoczony hol, szybko znikające plamy światła rzucane przez zachodzące słońce, nieustannie otwierające się i zamykające drzwi w głównym wejściu, zawieszane na mosiężnych zawiasach. Sięgnąłem po moją podpiszoną teczkę i wyjąłem z niej grubą, brązową kopertę opatrzoną napisem skreślonym ręką Rossiego: *Zostaw dla następnego*.

Następnego? Przed dwoma dniami nie przypatrzyłem się dobrze kopercie. Czy chodziło mu o następne badania owej mrocznej warowni? A może to ja byłem tym „następnym”? Czyżby stanowiło to dowód jego szaleństwa?

Otworzyłem kopertę. Wewnątrz znajdował się plik papierów różnej grubości i rozmiarów, jedno obszarpane i nadgryzione zębem czasu, inne

cienkie niczym łupina cebuli. Pokrywało je drobniutkie, maszynowe pismo. Masa materiału. Muszę to wszystko dokładnie przejrzeć - zdecydowałem. Podszedłem do stojącego obok kartkowych katalogów stolika z blatem w kolorze miodu. Wokół mnie kłębili się ludzie, przyjaźni, a zarazem obojętni, lecz ja obejrzałem się podejrzliwie przez ramię, zanim wyjąłem dokumenty i starannie porozkładałem na stoliku.

Dwa lata wcześniej zajmowałem się rękopisami Thomasa More'a, wcześniejszymi listami Hansa Albrechta z Amsterdamu oraz późniejszymi dokumentami, które pozwoliły mi odtworzyć flamandzkie księgi rachunkowe z osiemdziesiątych lat siedemnastego wieku. Jako historyk wiedziałem, że najważniejsza jest kolejność faktów. Wyjąłem zatem pióro i papier, zrobiłem listę materiałów i stosownie je ułożyłem. Na górze położyłem cieniutkie niczym łupiny cebuli kartki. Zapisane były maczkiem, lecz chwilowo ich nie studiowałem.

Następnie odłożyłem naszkicowaną niezręcznie mapę. Była spłowiała, nazwy geograficzne niewyraźne, a sam papier pochodził z jakiegoś starego notatnika. Po niej szły dwie podobne mapy. Potem z kolei trzy rozpadające się stronicie wypełnione ręcznym, lecz czytelnym jeszcze atramentowym pismem. Złożyłem je ze sobą. Później natrafiłem na wydrukowaną broszurę reklamową po angielsku, zapraszającą do „romantycznej Rumunii”. Jej zdobienia w stylu *art deco* wskazywały na lata dwudzieste lub trzydzieste dwudziestego wieku. Jeszcze później na dwa rachunki za hotel i spożywane tam posiłki. W Stambule. Następnie dużą, niechlujnie wydrukowaną, starą, dwukolorową mapę drogową Bałkanów. Ostatnim przedmiotem, jaki wyjąłem, była niewielka koperta barwy kości słoniowej, zapieczętowana i bez żadnych napisów. Odłożyłem ją gwałtownie na bok, nie dotykając pieczęci.

I to było wszystko. Odwróciłem brązową kopertę do góry nogami i potrząsałem nią tak, że gdyby nawet w środku została jeszcze martwa mucha, zauważyłbym ją. Podczas wykonywania tych czynności ogarnęło mnie nagle dziwne uczucie (po raz pierwszy), i towarzyszyło mi podczas wszystkich późniejszych badań: czułem nieustanną obecność Rossiego, jego dumę z sumienności, z jaką wykonywałem swoją pracę, zupełnie jakby jego duch żył i przemawiał do mnie poprzez dokładność w prowadzeniu badań, której on sam mnie nauczył. Profesor Rossi, jako badacz, pracował szybko, ale nigdy niczego nie przeoczył ani nie zaniedbał: żadnego dokumentu, żadnego archiwum, bez względu na to, w jak odległym

zakątku świata znajdowały się te materiały. A już z całą pewnością nie bał się stawiać tez czy tworzyć hipotez bardzo niepopularnych wśród jego kolegów. Bliski szaleństwa pomyślałem, że jego zniknięcie i to, jak bardzo mnie potrzebował, stawiało nas na równym poziomie. Odnosiłem też wrażenie, iż obiecywał mi tę równość, lecz czekał jeszcze, aż w pełni na nią zasłużę.

Miałem przed sobą rozłożone na stoliku, pachnące starością papiery i dokumenty. Zacząłem od listów, długich, zapisanych maczkiem epistoł z kilkoma błędami i poprawkami. Odniosłem wrażenie, że ułożone są w porządku chronologicznym. Były dokładnie datowane, wszystkie pochodziły z grudnia tysiąc dziewięćset trzydziestego roku, czyli sprzed ponad dwudziestu lat. Każdy nosił nagłówek „Kolegium Świętej Trójcy, Oxford”; bez dalszego adresu. Przeczytałem pierwszy list. Opowiadał o odkryciu tajemniczej księgi i wstępnych badaniach Rossiego na Oksfordzie. List kończył się słowami: *Twój, pogrążony w najgłębszym smutku, Bartholomew Rossi*. A zaczynał się... trzymałem delikatnie w lekko drżącej dłoni cienkie jak łupiny cebuli kartki... zaczynał się bardzo czule i tkliwie: *Mój Drogi i Nieszczęsny Następcu...*

Ojciec nieoczekiwanie zamilkł. Jego drżący głos sprawił, że taktownie odwróciłam głowę, zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze. Na zasadzie niewypowiedzianego porozumienia wzięliśmy nasze kurtki i ruszyliśmy przez słynne, niewielkie *piazza*, udając, że niebywale interesuje nas fasada zabytkowego kościoła.

7

Przez kilka następnych tygodni ojciec nie opuszczał Amsterdamu. Czułam, że w jakiś nowy sposób zaczyna sprawować nade mną kontrolę. Pewnego dnia wróciłam ze szkoły później niż zwykle. Pani Clay rozmawiała akurat z nim przez telefon. Natychmiast przekazała mi słuchawkę.

- Gdzie byłaś? - zapytał. Telefonował ze swego biura w Centrum Pojoju i Dyplomacji. - Dzwoniłem już dwa razy i za każdym razem pani Clay mówiła, że jeszcze cię nie ma. Bardzo się niepokoiła.

To ty się niepokoiłeś - pomyślałam, ale poskromiłam język.

-Byłam w nowym barku kawowym nieopodal szkoły. Czytałam tam lekturę.

-W porządku - mruknął ojciec. - Chodzi mi tylko o to, dlaczego nie zadzwoniłaś do pani Clay lub do mnie, że wrócisz później?

Nie chciałam się spierać, więc odpowiedziałam, że rzeczywiście powinnam była zadzwonić. Tego wieczoru ojciec wrócił do domu wcześniej i po kolacji czytał mi na głos *Wielkie nadzieje*. Później wyjął albumy ze zdjęciami, które dłuższy czas oglądaliśmy: Paryż, Londyn, Boston, moje pierwsze jazdy na wrotkach, ukończenie trzeciej klasy szkoły podstawowej, i znowu Paryż, Londyn, Rzym. Byłam na każdej fotografii: stałam przed Panteonem, przed bramą Pere-Lachaise. Wszystkie zdjęcia robił mój ojciec, ponieważ zawsze byliśmy tylko we dwoje. O dwudziestej pierwszej posprawdzał drzwi, okna i polecił mi iść spać.

Następnym razem, kiedy zamierałam wrócić do domu później, zadzwoniłam do pani Clay. Wyjaśniłam, że z kilkoma koleżankami z klasy zamierzamy pójść do herbaciarni i tam wspólnie odrobić lekcje. Gospodyni wyraziła zgodę. Odwiesiłam słuchawkę, po czym samotnie udałam się do uniwersyteckiej biblioteki. Johan Binnerts, bibliotekarz pracujący w dziale średniowiecznym, był już przyzwyczajony do moich wizyt. Zapytał, jak idzie mi praca nad esejami historycznymi. Wyznał mi dziewiętnastowieczny tekst, który analizowałam ze szczególnym upodobaniem. Spędziłam nad nim wiele upojnych godzin, robiąc szczegółowe notatki. Teraz, studiując na Oksfordzie, mam jego kopię, przed kilku laty natknęłam się na nią w antykwariacie: *Historia Europy Środkowej* lorda Gellinga. Po latach nadal zachowałam sentyment do tej książki, choć zawsze otwieram ją z mieszanymi uczuciami. Doskonale pamiętam swoją dłoń, gładką i młodzieńczą, którą przepisywałam do zeszytu ustępy z tego dzieła:

Vlad Dracula, poza niebywałym okrucieństwem, odznaczał się ogromną odwagą. Jej miarą była wyprawa w tysiąc czterysta sześćdziesiątym drugim roku za Dunaj, gdzie przeprowadził nocny atak konnicy na obóz samego sultana Mehmeda II i jego wojska, które władca zgromadził celem ataku na Wołoszczyznę. Podczas tego najazdu Dracula zabił kilka tysięcy tureckich żołnierzy, a sam sultan ledwie uszedł z życiem, zanim wreszcie jego osmańska gwardia zmusiła Wołochów do odwrotu.

Podobną ilość materiałów dotyczących wielkich panów feudalnych ówczesnej Europy spotykamy wszędzie i czasami chodzi o ludzi o wiele sławniejszych i potężniejszych. Ale Draculę wyróżnia pośród nich długowieczność. Mówi się, że jego zwycięskie zmagania ze śmiercią umieściły go na mapie historii, utrwalając legendę hospodara. Niektóre źródła dostępne w Anglii bezpośrednio lub aluzyjnie kierują do innych tekstów, których różnorodność przyprawia historyków o zawrót głowy. Kiedy żył, wiele mówiło się o nim w Europie - stanowiło to wielki zaszczyt w czasach, kiedy Europa była rozległym, podzielonym wedle naszych kryteriów światem, w którym rządy państw kontaktowały się ze sobą za pośrednictwem konnych posłańców lub rzecznych statków, a niewyobrażalne okrucieństwo nie było obce arystokracji. Sława Draculi nie zgasła po jego tajemniczej śmierci oraz dziwnym pogrzebie w roku tysiąc czterysta siedemdziesiątym szóstym, i trwała na Zachodzie, nie tracąc nic na sile, aż do czasów Oświecenia.

Tutaj kończył się zapis o Draculi. Jak na ten dzień miałam dość zagadek historycznych, ale gdy zawędrowałam do działu literatury angielskiej, z przyjemnością sięgnęłam po *Draculę* Brama Stokera. Lekturze tej poświęciłam kilka wizyt w bibliotece. Nie wiedziałam, czy mogę wypożyczać książki, ale gdybym nawet mogła, wołałam ich do domu nie przynosić, gdyż trudno byłoby mi je ukryć. Tak więc czytałam *Draculę* na śliskim, bibliotecznym krześle ustawionym nieopodal okna. Kiedy przez nie wyglądałam, widziałam swój ulubiony kanał, Singel, wokół którego rozłożył się targ kwiatowy i budki, gdzie sprzedawano kanapki ze smażonymi śledziami. Było to magiczne, odosobnione miejsce, a regały chroniły mnie przed natrętnym wzrokiem innych użytkowników biblioteki.

Tam pozwoliłam, by bez reszty wciągnęła mnie gotycka opowieść grozy Stokera oraz miłe, wiktoriańskie romanse, które czytałam na przemian z książką o wampirze. Sama dobrze nie wiedziałam, czego spodziewam się po tej powieści. Ojciec twierdził, że w opinii profesora Rossiego dziełko to nie stanowiło żadnego wiarygodnego źródła odnośnie do prawdziwego Draculi. Ale krótko mówiąc, odrażający hrabia Dracula z powieści był postacią zniewalającą, nawet jeśli miał niewiele wspólnego z rzeczywistym Vladem Tepesem. Tak czy owak Rossi był przekonany, że Dracula stał się jednym z nieumarłych w miarę biegu historii. Zastana-

wiałam się, czy to powieść mogła powołać do życia coś tak dziwnego. Ostatecznie Rossi dokonał swojego odkrycia w wiele lat po opublikowaniu *Draculi*. Z drugiej strony Vlad Dracula został skazany na czynienie zła prawie czterysta lat przed narodzeniem Stokera. Byłam kompletnie zbita z tropu.

Ale profesor Rossi twierdził też, iż Stoker ujawnił wiele niebywale istotnych informacji o wampirach. Nie widziałam w życiu ani jednego filmu o tych stworach — mój ojciec nie znosił horrorów - więc konwencja powieści była dla mnie czymś zupełnie nowym. Według Stokera wampir mógł zaatakować swoją ofiarę wyłącznie między zachodem a wschodem słońca. Potwór żył bez końca, żywiąc się krwią śmiertelników i zamieniając ich przy tym w nieumarłych. Potrafił przybierać postać nietoperza, wilka lub mgły. Odstraszały go kwiaty czosnku oraz krzyż. Wampira można było zabić wyłącznie za dnia, kiedy spał w swojej trumnie, przebijając mu serce osinowym kołkiem, odcinając głowę, a następnie wkładając w usta czosnek.

Szczegóły te nie budziły we mnie żadnych emocji. Pomysł wydawał się zbyt odległy i obcy, zbyt zabobonny i egzotyczny. Jeden tylko wątek przykuwał moją uwagę po każdej bibliotecznej sesji, kiedy odstawiałam książkę na półkę, notując uprzednio stronę, na której skończyłam lekturę. Myśl ta towarzyszyła mi, gdy opuszczałam bibliotekę po obszernych schodach i przechodziłam po licznych mostach nad kanałami w drodze do domu. Zrodzony w wyobraźni Stokera Dracula miał ulubiony typ ofiar: młode kobiety.

Mój ojciec, jak sam mi to oświadczył, coraz bardziej tęsknił za wiosenną wyprawą na południe. Pragnął też, bym i ja poznała urodę tamtych stron o tej porze roku. Zbliżały się ferie, a jego spotkania w Paryżu miały trwać tylko kilka dni. Nauczyłam się już nie naciskać na niego, zarówno by zabierał mnie ze sobą, jak też kontynuował opowieści. Kiedy będzie gotów, sam zacznie, ale nigdy w Amsterdamie. Podejrzewałam, że bał się sprowadzić ową mroczną istotę do naszego domu.

Do Paryża pojechaliliśmy pociągiem, a stamtąd wynajętym samochodem do Cevennes. Rankami pracowałam nad dwoma z trzech esejów w języku francuskim, którym władałam coraz bieglej. Później wysłałam je pocztą do szkoły. Wciąż pozostał mi jeden z nich i choć od tamtego czasu upłynęło kilkadziesiąt lat, jego widok ciągle budzi we mnie wspo-

mnienie niemożliwego do wyrażenia słowami klimatu Francji w maju. Zapach trawy, która wcale nie była trawą, lecz / *'herbe*, cudownie świeżej, jakby cała francuska roślinność nadawała się do kuchni, tworząc rozkoszne przyprawy do sałatek lub wiejskich serów.

W mijanych gospodarstwach kupowaliśmy artykuły, jakich nie zapewniłaby nam najlepsza restauracja: pudełka z truskawkami lśniącymi na słońcu krwistą czerwienią, których wcale nie trzeba było myć, czy też sztaby koziego sera, równe ciężarem hantlomu atlety, o skórce porowatej, jakby toczono je po kamiennej posadzce piwnicy. Ojciec po każdym posiłku odkorkowywał pozbawioną etykiety butelkę ciemnego, czerwonego wina - kosztowało ono zaledwie parę centymów - i popijał je z niewielkiej szklaneczki starannie owiniętej serwetką. Na deser pochłanialiśmy całe bochenki ciepłego jeszcze chleba kupionego w ostatnio mijanym miasteczku. Między pajdy wkładaliśmy kawałki ciemnej czekolady, a ojciec zawsze ponuro stwierdzał, że po powrocie do domu będzie musiał znów przejść na dietę.

Posuwaliśmy się na południowy zachód i po dwóch dniach podróży dotarliśmy do gór.

- *Les Pyrenees-Orientales* - oświadczył ojciec, rozwijając mapę drogową, kiedy przystanęliśmy na kolejny posiłek na świeżym powietrzu. - Od dawna pragnąłem tu wrócić.

Wodziłam palcem po mapie, zauważając, że jesteśmy już bardzo blisko Hiszpanii. Myśl ta, jak też słowo *Orientales*, poruszyły mnie do żywego. Zbliżaliśmy się do granicy świata, jaki dotąd poznałam, i po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że pewnego dnia dotrę jeszcze o wiele, o wiele dalej. Ojciec chciał zwiedzić pewien klasztor.

-Sądzę, że do miasteczka dotrzemy pod wieczór, a jutro podejmiemy wspinaczkę - powiedział.

-Czyżby znajdował się tak wysoko?

-W połowie górskiego stoku. Góry skutecznie ochroniły klasztor przed obcymi najeźdźcami. Wybudowano go około tysięcznego roku. Niewiarygodne, ale ten niewielki sakralny zabytek wykuto w żywej skale

i w miejscu, do którego z trudem docierają nawet najbardziej oddani piel-

grzymi. Ale samo miasteczko bardzo ci się spodoba. Jest to miejscowość

kuracyjna. Pełna uroku.

Ojciec uśmiechnął się, mówiąc te słowa, ale najwyraźniej był czymś przejęty. Widziałam to po jego nerwowych ruchach, gdy składał mapę.

Czułam, że niebawem opowie mi jakąś historię, ale sama nie zamierzałam o nic prosić.

Kiedy późnym popołudniem wjechaliśmy do Les Bains, natychmiast polubiłam tę wioskę. Rozłożyła się na wierzchołku niewysokiego wzgórza o skałach piaskowego koloru. Zwieszały się nad nią olbrzymie Pireneje, rzucając cień tak, że w słońcu pławiły się jedynie najszersze ulice położone w dolnych partiach miasteczka. Zbiegały one w kierunku doliny z płynącą jej środkiem rzeką i położonych nad nią farm. Drzewa o skąpych, na wpół uschniętych liściach dawały niewiele cienia. Na zakurzonych placykach kręcili się mieszkańcy wioski, a stare kobiety sprzedawały ze stolików robione szydełkiem obrusy oraz flaszeczki z lawendowym olejkiem. W najwyższym punkcie miasteczka znajdował się kościół. Jego wieża, z krążącymi wokół stadami jaskółek, powoli pograżała się w cieniu rzucanym przez wznoszącą się prawie do nieba ogromną górę; w cieniu, który, w miarę jak zachodziło słońce, zasnuwał również kolejne uliczki wioski.

W jednym z dziewiętnastowiecznych hoteli zjedliśmy obfitą kolację złożoną z zupy przypominającej *gazpacho** oraz z kotletów cielęcych. Kierownik sali oparł stopę na mosiężnej rurze okalającej sąsiadujący z naszym stolikiem bar i zapytał leniwie o cel naszej podróży. Był prostym, ubranym na czarno mężczyzną o szczupłej twarzy i oliwkowej cerze. Nie mówił płynnie po francusku i niewiele zrozumiałam. Jego słowa przetłumaczył mi dopiero ojciec.

- Oczywiście... nasz klasztor - zaczął *maitre d'hôtel* w odpowiedzi na pytanie mego ojca. - Wie pan, do Saint-Mathieu każdego lata przybywa osiem tysięcy osób. Naprawdę. Są to bardzo mili, spokojni ludzie, poważnie chrześcijanie z całego świata. Prawdziwi pielgrzymi, którym niestraszna jest mozolna wspinaczka do sanktuarium. Codziennie o świcie cicho wynoszą się z pokoi, ścieląc nawet łóżka. Oczywiście, wiele osób pojawia się tu tylko ze względu na *les bains*. Wy też przyjechaliście do wód?

Ojciec wyjaśnił, że pozostaniemy w wiosce tylko dwa dni, a następnie ruszymy na północ. Dodał też, że cały następny dzień zamierzamy spędzić w klasztorze.

- Wie pan, że o Saint-Matthien krąży wiele legend, niektóre zdumiewające, ale wszystkie prawdziwe - odparł z uśmiechem *maitre* i nagle

* Chłodnik hiszpański.

jego twarz wydała mi się nadzwyczaj przystojna. - Czy młoda dama ro-

zumie? Może chce je poznać?

-*Je comprends, merci* - odrzekłam uprzejmie.

-*Bon*. Opowiem panience jedną z nich. Czy chce panienka posuchać? Ale proszę jeść kotlet... najlepszy jest gorący.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi restauracji i w progu pojawiło się uśmiechnięte starsze małżeństwo. Najwyraźniej goście hotelu. Szybko wybrali stolik.

- *Bon soir, buenas terdes* - powiedział jednym tchem kierownik sali.

Popatrzyłam pytająco na ojca, który wybuchnął śmiechem.

- O tak, jesteśmy tu bardzo wymieszani. - *Maitre* również się roześmiał. - Jesteśmy *la salade* różnorodnych kultur. Mój dziadek świetnie mówił po hiszpańsku, wręcz perfekcyjnie, a poza tym, będąc już w podeszłym wieku, walczył podczas wojny domowej. Uwielbiamy wszystkie nasze języki i narzecza. Żadnych bomb, żadnych terrorystów jak u *les Basques*. Nie jesteśmy kryminalistami.

Rozejrzał się z oburzeniem, jakby ktoś próbował mu zaprzeczyć.

-Wyjaśnię ci wszystko później - szepnął do mnie ojciec.

-Tak więc opowiem pewną historię. Z dumą muszę przyznać, że nazywają mnie tutaj historykiem naszego miasta. Jak wiadomo, klasztor zbudowano w tysięcznym roku. A dokładnie w dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym, gdyż mnisi, którzy wybrali to miejsce, byli przy-

gotowani na nadejście Apokalipsy... rozumiesz, panienko, milenium.

Wę-

drowali zatem po tych górach, szukając odpowiedniego miejsca na swoją

świątynię. I oto jeden z nich, podczas snu, doznał wizji: z nieba zstąpił święty Mateusz i stanął na górującym nad ich głowami wierzchołku, na

którym rosła biała róża. Następnego dnia mnisi wspięli się we wskazane

miejsce i poświęcili górę za pomocą modlitw. To piękne miejsce.

Spodo-

ba się. To, co wam opowiedziałem, nie jest żadną wielką legendą. Po pro-

stu krótka historia o ufundowaniu opactwa.

Tak więc, kiedy klasztor z przylegającym doń niewielkim kościołkiem liczył już sto lat, jeden z najbardziej pobożnych mnichów, który udzielał nauk młodszym, zmarł nagle w tajemniczych okolicznościach. Nazywał się Miguel de Cuxa. Jego śmierć pogrzyżała braci w ogromnej żalości. Pochowano go w klasztornej krypcie. Właśnie ze względu na tę

kryptę jesteśmy tak sławni. To najstarsza romańska budowla tego typu w Europie. Tak!

Zabębnił po blacie bufetu długimi palcami o krótko obciętych paznokciach.

- Tak! Wprawdzie niektórzy honor ten przypisują klasztorowi Saint-Pierre nieopodal Perpignan, ale to tylko łgarstwa mające na celu zwabienie turystów.

Tak czy owak, wielki erudyta pochowany został w krypcie. Niebawem na klasztor spadła jakaś plaga. Kilku mnichów zmarło na dziwną chorobę. Ich ciała znaleziono na klasztornych krużgankach... krużganki są przecudne. Bardzo się wam spodobają. To najładniejszy układ w całej Europie. Martwi mnisi byli bladzi jak śmierć na chorągwi, jakby coś wysało z nich całą krew. Podejrzewano jakąś truciznę.

W końcu jeden z młodych mnichów, ulubiony uczeń zmarłego zakonika, zszedł do krypty i wbrew opatowi, który był bardzo przestraszony, otworzył trumnę. Odkrył, że jego nauczyciel żyje, choć nie do końca, jeśli wiecie, o czym mówię. Żywy-martwy. Nocami wstawał z grobu, by odbierać życie innym mnichom. Aby odesłać duszę nieszczęśnika w stosowne miejsce, przynieśli świętą wodę z sanktuarium znajdującego się w górach oraz zaostrzyony kołek...

Wykonał ręką dramatyczny ruch, tak że pojęłam, jak bardzo był ostry ów kij. Bez reszty koncentrowałam uwagę na mężczyźnie i jego dziwacznej francuszczyźnie, przekładając ją sobie dokładnie w duchu. Mój ojciec zaprzestał tłumaczenia i z brzękiem odłożył widelec na talerz. Kiedy na niego popatrzyłam, twarz miał białą jak kreda i wytrzeszczał oczy na naszego nowego znajomego.

-Czy możemy... - Chrząknął i dwukrotnie wytarł serwetką usta. - Czy możemy prosić o kawę?

-Ale nie jedliście jeszcze *salade*. - Kierownik sali popatrzył na nas ze strapieniem. - Czuję się urażony. Przygotowaliśmy jeszcze *poires su-*

*crees**, kilka gatunków wyśmienitego sera oraz *gdteau*** dla młodej damy.

-Oczywiście, oczywiście - odezwał się pośpiesznie mój ojciec. - Proszę to wszystko podać.

Najniżej położone, pełne kurzu place wypełniał jazgot muzyki płynącej z głośników. Trwało jakieś miejscowe widowisko, w którym brały

* Gruszki w cukrze.

** Ciastko.

udział dziesięcio- i dwunastoletnie dzieci w kostiumach jakby żywcem przeniesionych z opery *Carmen*. Małe dziewczynki tańczyły, szeleszcząc żółtymi, taftowymi falbanami sukienek sięgających kostek i wdzięcznie kiwały głowami przystrojonymi w koronkowe *mantillas*. Chłopcy przytupywali, klękali i otaczali dziewczęta ciasnym kołem. Każdy z nich miał na sobie krótką, czarną kurtkę, obcisłe spodnie, a na głowie aksamitny kapelusz. W miarę jak zbliżaliśmy się do centralnego placu, muzyka stawała się głośniejsza. Towarzyszyły jej dźwięki przypominające trzaskanie z batów. Napotykaliliśmy innych turystów, którzy z zainteresowaniem obserwowali przedstawienie. Przy nieczynnej fontannie na składanych krzeselkach siedzieli rodzice i dziadkowie występujących dzieci, wywołując głośny aplauz, gdy chłopcy zaczęli coraz mocniej wybijać stopami rytm.

Dłuższą chwilę przyglądaliśmy się widowisku, po czym ruszyliśmy ostro pnącą się drogą prowadzącą do górującego nam miasteczkiem kościoła. Mój ojciec nic nie powiedział o zachodzącym szybko słońcu, ale nasze kroki wyznaczał gasnący gwałtownie dzień i wcale mnie nie zdziwiło, kiedy cała ta dzika kraina zatoneła w przedwieczornym półmroku. W miarę jak zdobywaliśmy wysokość, przed naszymi oczyma otwierała się coraz szersza panorama niebiesko-czarnych, pogrążających się w nocnym mroku Pirenejów. Zarysy szczytów szybko wtopiły się w tło równe niebiesko-czarnego nieba. Widok rozciągający się z kościelnych murów zapierał wprost dech w piersiach - nie taki, jak przyprawiające o zawrót głowy widoki z włoskich miasteczek, które do dziś mi się śnią, lecz rozległych równin i pagórków zbiegających się u stóp ogromnego masywu i umykających zawrotnie w górę, gdzie wtopiały się w tło czarnych wierzchołków. Ich postrzępione granie zasłaniały cały, znajdujący się za nimi odległy świat. Tuż pod naszymi stopami zapalały się światła miasteczka. Uliczkami i alejami snuli się ludzie, docierały do nas ich głosy i śmiechy, a z otoczonych wąskimi murkami ogródków płynął upojny zapach goździków. Jaskółki wlatywały i wylatywały z kościelnej wieży, zataczając szerokie kręgi, jakby chciały wyminąć coś niewidzialnego, co wypełniało powietrze. Nagle spostrzegłam pośród nich większego ptaka, nie tak szybkiego i wdzięcznego jak jaskółki. Natychmiast uświadomiłam sobie, że jest to nietoperz. Był prawie niewidoczny w gasnącym świetle dnia.

Mój ojciec ciężko westchnął i oparł stopę o kamienny blok - kamień,

do którego niegdyś przywiązywano osły? Zastanawiał się przez chwilę, po czym przyznał mi rację. Czymkolwiek by był ten kamienny słupek, stał tu od wieków; niemy świadek niezliczonych wschodów i zachodów słońca, stosunkowo niedawnego przejścia od woskowych świec do elektrycznego światła, wypełniającego jaskrawym blaskiem ulice i liczne kawiarenki. Ojciec był całkowicie rozluźniony. Sprawił to zapewne doskonały obiad i wędrowka w czystym, świeżym powietrzu na szczycie wzgórza. Odniosłam jednak wrażenie, iż rozluźnił się tak w określonym celu. Nie śmiałam go pytać o dziwną reakcję na opowieść *maitre* w hotelowej restauracji, lecz nagle zrozumiałam, iż istnieją historie o wiele bardziej przerażające od tej, jaką mi dotąd opowiedział. Tym razem nie musiałam prosić o kontynuowanie opowieści. Sam tego pragnął. A historia miała być jeszcze straszniejsza.

8

13 grudnia 1930 r.
Kolegium Świętej Trójcy, Oksford

Mój Drogi i Nieszczęsny Następcu!

Czerpię pewną pociechę z faktu, że w kościelnym kalendarzu jest dziś dzień świętej Lucji, patronki światła, której święty wizerunek przywieźli do ojczystych stron z południowej Italii wikingowie. Cóż może bardziej chronić przed siłami ciemności - wewnętrznymi, zewnętrznymi i wiekustymi - niż blask i ciepło, kiedy nadchodzą w najkrótsze i najzimniejsze dni w roku? Wciąż jestem tutaj po kolejnej nieprzespanej nocy. Możesz być trochę zaskoczony, jeśli wyznam Ci, że śpiam z warkoczem czosnku pod poduszką, a na szyi -ja, stary ateusz - noszę zawieszony na łańcusz-

ku złoty krzyżyk. Twojej wyobraźni zostawiam takie formy obrony, ale mają one swoje intelektualne i psychologiczne równoważniki. Do tych ostatnich zwłaszcza przykładam największe znaczenie, zarówno nocą, jak i za dnia.

Podsumowując moje badania: tak, zmieniłem nieco plany mojej podróży ostatniego lata, włączając do niej Stambuł, a następnie jeszcze raz je zmieniłem pod wpływem niewielkiego pergaminu, który wpadł mi

w ręce. Zbadalem dokładnie każdy dokument, na jaki natrafiłem w Oksfordzie i w Londynie, mogący odnosić się do słowa „Dracula” z mojej tajemniczej, niezapisanej księgi. Poczynilem szereg notatek na ten temat, które Ty, niespokojny czytelnik z przyszłości, znajdziesz wraz z tymi listami. Trochę je później rozszerzyłem, jak się sam przekonasz, imam nadzieję, że nas ochronią oraz poprowadzą Cię, wskazując nowe ślady.

W przeddzień wyjazdu do Grecji naprawdę chciałem porzucić bezsensowne badania, pogoń za przypadkowo napotkanym symbolem w okazjonalnie znalezionej księdze. Doskonale wiedziałem, że zająłem się tą sprawą, w którą nawet nie wierzyłem, by rzucić wyzwanie własnemu losowi, uświadamiałem sobie, iż ścigać będę zwodnicze i pełne zła słowo „Dracula”, by odnaleźć je na kartach historii, choć była to już czysta naukowa fanfaronada.

Kiedy starannie, jak przed każdą podróżą, spakowałem czyste koszule i spłóciwały na słońcu kapelusz, zostało mi jeszcze sporo czasu do końca dnia, a pociąg miałem dopiero następnego ranka. Mogłem udać się do „Golden Wolf” na duży kufel portera i pogadać z moim przyjacielem Hedgesem albo też udać się do działu starodruków, otwartego do dziewiętej wieczorem. Znajdował się tam pewien rejestr, który chciałem przejrzeć (choć wątpilem, by mógł rzucić nowe światło na interesujący mnie temat), gdzie pozycja „państwo osmańskie” dotyczyła, jak mi się wydawało, dokładnie czasów Vlady Draculi. Dokumenty pochodziły z drugiej połowy piętnastego wieku.

Choć przekonywałem siebie, że nie starczy mi życia, jeśli zacznę polować na każde europejskie i azjatyckie źródło dotyczące tego okresu, to jednak ominąłem kuszący pub - błąd, który doprowadził do zguby wielu nieszczęsnych badaczy - / skierowałem się do biblioteki.

Rejestr w książkowej formie odnalazłem bez kłopotu. Zawierał między innymi cztery krótkie, splaszczone dla potrzeb książki zwoje, wykonane fachowo przez jakiegoś tureckiego skrybę. Stanowiły one część pewnego dziewiętnastowiecznego daru, który otrzymał uniwersytet. Zwoje zapisane zostały po arabsku. Angielski opis dokumentów upewnił mnie, że nie będę miał z nich większego pożytku. (Zająłem się natychmiast tekstem angielskim, gdyż mój arabski jest deprymująco słaby i obawiam się, iż tak już pozostanie. Jeden ma czas na naukę tylko kilku podstawowych języków, podczas gdy ktoś inny poświęci wszystko na ołtarzu lingwistyki). Trzy zwoje stanowiły wykaz podatków nałożonych przez sultana Mehme-

da II na mieszkańców Anatolii. Ostatni z nich rejestrował podatki pobrane od miast Sarajewo i Skopie; nieco bliżej domu, jeśli mam traktować słowo „dom” jako siedzibę Dracula na Wołoszczyźnie, odległej części tureckiego imperium. Zamykając księgę, rozważałem pomysł udania się z wizytą do „Golden Wolf”. Kiedy składałem pergaminy, by włożyć je do tekturowej okładki, rzucił mi się w oczy tekst umieszczony na odwrocie ostatniego zwoju.

Był to krótki wykaz nabazgrany niedbale z tyłu rejestru zawierającego spis podatków nałożonych na Sarajewo i Skopie w imieniu sultana. Zaintrygowany, zacząłem studiować notatkę. Zawierała wykaz wydatków - nazwy zakupionych towarów znajdowały się w lewej kolumnie, a ich ceny, w nieokreślonej walucie, w prawej. „Pięć młodych, górskich lwów dla Jego Znakomości Sultana, 45 ” - czytałem z zainteresowaniem. - „Dwa złote pasy dla Sultana wysadzane drogocennymi kamieniami, 290. Dwieście baranich skór dla Sultana, 89 ”. I ostatnia pozycja w spisie, na widok której dostałem gęsiej skórki i zjeżyły mi się włosy na głowie: „Mapy i dokumenty wojskowe od Zakonu Smoka, 12 ”.

Zapytasz pewnie, w jaki sposób, przy mojej słabej znajomości arabskiego, do czego przyznałem się wcześniej, mogłem tak szybko zgłębić ów tekst? Wyjaśniam więc, że udało mi się to dzięki umiejętności szybkiego czytania oraz w wyniku długich nocnych studiów i rozmyślań o Tobie. A to ostatnie średniowieczne memorandum napisane było po łacinie. Na końcu widniała data, która poruszyła mą pamięć: 1490.

W roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym Zakon Smoka już nie istniał, zniszczony przez potęgę imperium osmańskiego. Wład Dracula od czternastu lat spoczywał w grobie, pochowany, wedle legendy, w klasztorze znajdującym się na wyspie na jeziorze Snagov. Mapy zakonu, wszelkie dokumenty i sekrety - czegokolwiek by dotyczył ów niejasny zapis - kupione zostały tania, bardzo tania w porównaniu z ceną wysadzanych klejnotami pasów i ładunkiem cuchnących baranich skór. Być może kupiec wystawił je na sprzedaż w ostatniej chwili jako ciekawostkę, a urzędnik kupił je, by schlebić lub rozbawić bardzo wykształconego sultana, którego ojciec albo dziadek niejednokrotnie wyrażał pełen niechęci podziw dla barbarzyńskiego Zakonu Smoka, nękającego tereny leżące na granicy jego imperium. Czy kupiec pochodził z Bałkanów, znał łacinę i umiał posługiwać się językiem starosłowiańskim? Z całą pewnością był człowiekiem wykształconym, skoro potrafił wszystko to napisać -

zapewne Żydem władającym kilkoma językami. Kimkolwiek był, czułem do niego ogromną wdzięczność za ten krótki zapisek. Jeśli wysłał karawanę z łupami wojennymi, a ta dotarła bez przeszkód do sultana, jeśli - co jest bardzo prawdopodobne - sprzedał władcy klejnoty, miedzianą czarękę, bizantyjskie naczynia ze szkła, zabytki pochodzące z barbarzyńskich świątyń, dzieła perskich poetów, księgi z kabałą, atlasy, mapy astro-nomiczne...

Podszedłem do biurka dyżurnego bibliotekarza.

„ Czy macie wykazy historycznych archiwów w poszczególnych kra-jach ? - zapytałem. - Na przykład w Turcji? ”

„ Wiem, o co panu chodzi. Mamy takie wykazy dotyczące uniwersyte-tów i muzeów, choć nie są one kompletne. Ale musi pan udać się do cen-tralnych katalogów, które dzisiaj są już nieczynne. Proszę pójść tam jutro o dziewiątej rano ”.

Pamiętam, że mój pociąg odjeżdżał o dziesiątej czternaście. Miałem zatem około dziesięciu minut na przejrzenie wykazu. Lecz jeśli poja-wiłoby się w nim imię sultana Mehmeda II lub jego następcy... cóż, na Rodos wcale tak bardzo mi się nie spieszyło.

Twój, pogrążony w najgłębszym smutku, Bartholomew Rossi

- Odnosiłem wrażenie, że pod wysoko sklepionym stropem bibliote-ki czas zatrzymał się w miejscu, choć wokół mnie toczyło się normalne życie - ciągnął mój ojciec. - Przeczytałem cały list, ale pod spodem znaj-dowało się ich jeszcze co najmniej cztery. Zauważyłem, że wysokie okna w czytelnicy pociemniały. Nadchodził wieczór. Pomyślałem jak strwożone dziecko, że będę musiał wracać samotnie do pustego domu. Zapragnąłem nagle udać się do gabinetu Rossiego i głośno zapukać w drzwi. Z całą pewnością siedziałby nad jakimś rękopisem zalewanym żółtym świat-łem, płynącym ze stojącej na biurku lampy. Byłem kompletnie zmieszany, jak każdy po śmierci przyjaciela, i zdumiony nierealnością sytuacji, która po prostu nie mieściła mi się w głowie. Czułem przerażenie, a zamęt w myślach potęgował jeszcze mój strach, gdyż nie poznawałem sa-mego siebie.

Rozmyślając nad tym, popatrzyłem na starannie ułożone na stoliku papiery. Rozłożyłem je na całej powierzchni blatu tak, że nikt nie mógł zająć miejsca naprzeciwko mnie. Zastanawiałem się właśnie, czy nie po-

winiem zabrać ich do domu, by tam dokończyć lekturę, kiedy nieoczekiwanie pojawiła się młoda kobieta, która zajęła miejsce przy końcu stołu. Rozejrzałem się wokół siebie. Wszystkie stoły przy katalogach były zajęte przez czytelników i zavalone książkami, maszynopisami, szufladkami katalogowymi i notatnikami. Kobieta po prostu nie miała gdzie usiąść. Ogarnął mnie nagły strach, że ktoś obcy mógłby rzucić okiem na notatki Rossiego. Czy wyglądały dziwacznie? A może to ja byłem szalony?

Zacząłem zbierać papiery, układając je pieczołowicie w pierwotnym porządku. Poruszałem się powoli i z godnością, jak ktoś kto zwalnia stolik w zatłoczonej kawiarni... i w tej chwili mój wzrok padł na rozłożoną przed nieznaną kobietą książkę. Przeglądała właśnie jej środkowe partie. Obok jej łokcia leżał notatnik i pióro. Zdumiony przeniosłem wzrok

z tytułu książki na jej twarz, a następnie popatrzyłem na drugi wolumin, który odłożyła na bok. I znów spojrzałem na nią.

Miała ładną, młodą twarz, choć wokół oczu dostrzegłem sieć leciutkich zmarszczek, takich samych, jakie widywałem u siebie każdego ranka w lustrze. W jednej chwili zrozumiałem, że jest absolwentką uczelni. Byłoby to piękne oblicze, niemal zdjęte ze średniowiecznych malowideł kościelnych, gdyby nie wystające lekko kości policzkowe, nadające mu mizerny wyraz. Miała bladą cerę, która jednak, po tygodniu przebywania na słońcu, nabrałaby ciemniejszej barwy. Zarys ust był zdecydowany, brwi szeroko rozstawione, a długie rzęsy lekko się opuszczały, w miarę jak czytała książkę. Smoliście czarne, gęste włosy miała trochę rozczochrane, co zupełnie nie pasowało do panującej wtedy mody na ulizane fryzury. Tytuł czytanej przez nią książki - gapilem się na nią i gapilem - brzmiał *Karpaty*. A pod łokciem zakrytym rękawem ciemnej bluzy leżał *Dracula* Brama Stokera.

W tej chwili młoda kobieta uniosła głowę, napotykać mój wzrok. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że patrzę na nią jak cieleń na malowane wrota, co musiało być bardzo niegrzeczne. I tak chyba było, skoro puściła mi bardzo wrogie spojrzenie swoimi oczyma o zadziwiająco miodowej barwie. Nie należałem do mężczyzn, których w tamtych czasach określano mianem „bawidamka”. Tak naprawdę prowadziłem raczej samotniczy tryb życia. Poczulem się paskudnie i natychmiast wytłumaczyłem swoje zachowanie. Później dowiedziałem się, że jej wrogość brała się z faktu, iż mężczyźni nieustannie wlepiali w nią wzrok.

„Przepraszam - powiedziałem szybko. - Ale spoglądałem tylko na pani książki... to znaczy na to, co pani czyta”.

Popatrzyła na mnie nieprzyjaźnie i otworzyła *Draculę*.

„Rozumie pani, obecnie studiuje ten sam temat” - ciągnąłem. Uniósła pytająco brwi, a ja wskazałem na rozłożone przede mną papiery. - No... może niezupełnie. Właśnie czytałem o...”

Spojrzałem na piętrzące się przede mną dokumenty, które przekazał mi Rossi, i gwałtownie zamilkłem. Pod wpływem jej pogardliwego spojrzenia twarz oblał mi gorący rumieniec.

„Dracula?” - zapytała z przekąsem. - A to, co pan tu ze sobą przyniósł, to źródła prymarne?”

Miała dziwny akcent, nie umiałem go określić, oraz cichy, miękki głos, który, jak podejrzewałem, potrafiła jednak podnieść do wrzasku.

Spróbowałem więc innej taktyki.

„Czy pani czyta to dla zabawy? To znaczy dla rozrywki? A może prowadzi pani jakieś badania?”

„Dla zabawy?”

Wciąż trzymała książkę otwartą, jakby próbowała mnie nią nastraszyć.

„Cóż, to niezwykle temat, i jeśli pani też zgłębia problematykę Karpat, musi być pani głęboko nią zafascynowana. - Nie mówiłem tak potocznie od czasu mej rozprawy doktorskiej. - Chciałbym po prostu oświadczyć tę książkę przejrzeć. Tak naprawdę, to obie”.

„Doprawdy? - zapytała ironicznie. - A dlaczego?”

„Cóż - zaryzykowałem. - Mam te listy od... z pewnego niezwyklego źródła historycznego... i często wspomniany jest w nich Dracula. Są po prostu o Draculi”.

Choć popatrzyła na mnie niechętnie swymi miodowej barwy oczyma, w jej źrenicach zapaliły się iskierki zainteresowania. Rozparła się wygodnie na krześle w dziwnie męski sposób. Nie wypuszczała z dłoni książki. Odniosłem wrażenie, że widziałem to już wcześniej setki razy; rozluźnienie się przed rozpoczęciem rozmowy? Gdzie ja to widziałem?

„Co to dokładnie za listy?” - zapytała z tym swoim obcym akcentem.

Pomyślałem z żalem, że zanim rozpocząłem tę niezręczną rozmowę, powinienem był się przedstawić. Z jakichś względów jednak nie mogłem tego uczynić. Nie potrafiłem nagle ująć kobiety za dłoń, powiedzieć, z jakiego jestem wydziału i tak dalej, i tak dalej. Dotarło też do mnie, iż ni-

gdy jej wcześniej nie widziałem, a zatem z całą pewnością nie studiowała historii, chyba że przybyła tu niedawno z jakiegoś innego uniwersytetu. I czy w rozmowie z nią mam kłamać, by zataić nazwisko Rossiego? Postanowiłem po prostu go nie wymieniać.

„Jestem współpracownikiem profesora, który... mając pewne kłopoty, przed ponad dwudziestoma laty napisał te listy. Przekazał mi je w nadziei, że pomogę mu wypłatać się z obecnej... sytuacji... ma ona związek z jego badaniami, to znaczy...”

„Rozumiem” - przerwała mi grzecznie, ale chłodno.

Zaczęła bez pośpiechu, systematycznie zbierać swoje rzeczy. Włożyła je do teczki i podniosła się z krzesła. Była dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażałem: umięśniona i o szerokich ramionach.

„Dlaczego interesuje się pani Dracula?” - zapytałem desperacko.

„To już nie pański interes - odrzekła krótko i odwróciła się do mnie plecami. - Planuję podróż, ale nie wiem jeszcze kiedy”.

„W Karpaty?”

Poczułem się nagle zdenerwowany tą rozmową.

„Nie - burknęła lekceważąco. Po czym, jakby nie umiejąc nad sobą zapanować, dodała pogardliwie: - Do Stambułu”.

- Wielki Boże! - wykrzyknął mój ojciec, spoglądając w rozświegotane niebo. Ostatnie stada jaskółek wracały do gniazd, w leżącym poniżej miasteczku powoli gasły światła. - Nie powinniśmy tak długo tu siedzieć przed czekającą nas jutro wyprawą. Jestem przekonany, że pielgrzymi wracają wcześniej. Jeszcze przed nastaniem ciemności.

Wyprostowałam nogi. Jedną stopę miałam zupełnie zdrętwiałą i z niechęcią myślałam o drodze powrotnej, choć u celu czekało mnie wygodne łóżko. Po nodze chodziły mi nieprzyjemne mrówki, a poza tym byłam bardzo zła. Ojciec zakończył opowieść zbyt szybko.

- Popatrz tam - odezwał się, wskazując coś w ciemnościach. - Myślę, że to Saint-Matthieu.

Spojrzałam we wskazanym kierunku, na ogromne, pogrążone w mroku góry. W połowie stoku lśniło mocne, nieruchome światło. Otaczała je kompletna ciemność. W jego okolicy nie widać było żadnych innych ludzkich sadyb. Pojedyncza iskra blasku zatopiona w otchłani mroku. Wysoko, lecz znacznie niżej niż najwyższe wierzchołki. Zdawała się zawieszona w powietrzu między nocnym niebem a miasteczkiem.

- Tak, to musi być nasz klasztor - odezwał się ponownie ojciec. - Jutro czeka nas ciężka wyprawa, nawet gdybyśmy szli bitą drogą.

Noc była bezksiężycowa i kiedy wędrowaliśmy pogrążonymi w zupełnym mroku ulicami, ogarniał mnie smutek kogoś, kto schodzi z wysokości. Gdy mijaliśmy starą dzwonnice, obejrzałam się za siebie, by utrwalić w pamięci jasny, świetlisty punkcik. Był tam, lśniąc nad liśćmi kąciami wychylającymi się zza murków przydomowych ogródków. Przystanąłam na chwilę i bacznie popatrzyłam na klasztor. I wtedy światło do mnie mrugnęło.

9

14 grudnia 1930 r.
Kolegium Świętej Trójcy, Oksford

Mój Drogi i Nieszczęsny Następcu!

Dokończę swoją relację najszybciej, jak zdołam, ponieważ musisz wyciągnąć z niej najwyższej wagi informacje, jeśli obaj mamy... och, co najmniej przeżyć... i to przeżyć w stanie dobra i laski. Każdy historyk, ku swemu żalowi, dowiaduje się w końcu, że różne są rodzaje przetrwania. Najgorsze popędy kierujące ludzkością mogą bowiem, przetrwać przez całe pokolenia, wieki, nawet tysiąclecia. A najlepsze intencje i wysiłki poszczególnych jednostek umierają wraz z nimi, kończą się wraz z indywidualnym kresem życia.

Ale wracajmy do rzeczy: do mej podróży z Anglii do Grecji. Była to jedna z najbardziej pogodnych wypraw, jakie odbyłem w życiu. Już w porcie czekał na mnie dyrektor muzeum na Krecie. Poprosił, bym pojawił się ponownie latem i uczestniczył w otwarciu grobowca kultury minojskiej. Na dodatek w moim pensjonacie zatrzymało się dwóch amerykańskich klasycystów, z którymi od lat chciałem się spotkać. Usilnie namawiali mnie, abym objął wakujące stanowisko wykładowcy na ich uniwersytecie - idealny etat dla naukowca o mojej przeszłości - zachwycali się też moimi osiągnięciami. Miałem nieograniczony dostęp do każdej kolekcji, nawet do zbiorów prywatnych. Popołudniami, kiedy muzea były zamknięte, a miasto pogrążało się w słońcu, siadałem na swym ulu-

kiem. Gdy spoglądałem w lustro, widziałem bladą, wymizerowaną twarz. Ilekroć podczas golenia zacinałem się brzytwą — ciągle jej używam - mrugałem gwałtownie oczyma, przypominając sobie tamte na wpół wygojone rany na szyi tureckiego urzędnika i coraz bardziej wątpiąc w realność własnych wspomnień. Czasami doznawałem uczucia doprowadzającego mnie wręcz do szaleństwa, jakiegoś celowego niespełnienia. Miałem wrażenie, że zaniechałem ważnego zamiaru, którego formy nie umiałem zrekonstruować. Byłem samotny i przepelniony tęsknotą. Słowem, tak fatalnego stanu psychicznego nigdy jeszcze nie doświadczyłem.

Oczywiście, starałem się zachowywać normalnie, z nikim o całej sprawie nie rozmawiałem i ze zwykłą starannością przygotowałem się do nadchodzącego semestru. Napisałem do amerykańskich klasycystów, których poznałem w Grecji, dając im do zrozumienia, że sprawiłoby mi radość krótkie nawet spotkanie z nimi w Stanach Zjednoczonych, gdyby ułatwili mi tam przyjazd. Byłem prawie gotów do obrony pracy doktorskiej, czułem palącą potrzebę, by zacząć wszystko od nowa i wiedziałem, że wyjazd do Ameryki dobrze by mi zrobił. Opublikowałem również dwa krótkie artykuły o archeologicznych i literackich zbieżnościach dotyczących garncarstwa na Krecie. Najwyższym wysiłkiem woli, z dnia na dzień, odzyskiwałem wrodzoną samodyscyplinę. Każdy dzień przynosił mi coraz większy spokój i ukojenie.

Przez pierwszy miesiąc po powrocie do Anglii robiłem wszystko, by zapomnieć o nieprzyjemnej przygodzie w Stambule, dziwacznej księdze, którą odstawiłem na najwyższą półkę, i o wszystkim, co ze sobą niosła. A jednak, w miarę jak wracała mi pewność siebie, znów rosła we mnie perwersyjna ciekawość. Któregoś wieczoru sięgnąłem po książkę i zebrałem wszystkie notatki, jakie zrobiłem w Anglii i Stambule. Konsekwencje tego - od tamtej chwili zdaję sobie sprawę, że są to konsekwencje - były natychmiastowe, przerażające i tragiczne.

Tu muszę przerwać, odważny Czytelniku. Chwilowo nie jestem w stanie zebrać się do dalszego pisania. Ale zaklinam Cię, nie zaprzestawaj dalszej lektury. Czytaj listy, a ja jutro przystąpię do dalszej pracy nad nimi.

Twój, pogrążony w najgłębszym smutku, Bartholomew Rossi

10

Już jako osoba dorosła często poznawałam osobliwą schedę, jaką podróżnikowi zostawia po sobie czas: tęsknotę i chęć ponownego odwiedzenia miejsc, w których się kiedyś było, odbycia wędrówki dawnymi tropami, ponownego odkrywania czaru tamtych dawnych chwil. Czasami trafiamy ponownie w miejsce, szczególnie zachowane w naszej pamięci, ale przez wzgląd na wspomnienia odczuwamy wielką przyjemność powrotu w te strony. Lecz jeśli nawet odnajdujemy owe miejsca, są już one zupełnie inne. Wciąż tkwią tam wielkie, z grubsza ociosane wrota, ale wydają się nam o wiele mniejsze; dzień jest pochmurny, a nie jak wtedy - słoneczny.

Bardzo młody podróżnik niewiele wie o takich rzeczach, ale zanim poznałam je osobiście, dostrzegłam to w moim ojcu w Saint-Matthieu-des-Pyrenees-Orientales. Bardziej czułam, niż rozumiałam ową tajemnicę powtórki, wiedząc już, że był w tym miejscu przed laty. A co dziwniejsze, miejsce to powodowało u niego roztargnienie i brak skupienia, jakich nigdy nie okazywał w domu. W Emonie był raz, Ragusę odwiedzał częściej. Przez wiele lat składał wizyty w kamiennej *villa* Massima

i Giulii, gdzie spędzali czas na rozkosznych, przyjacielskich kolacjach. Czułam jednak, że najbardziej tęsknił za Saint-Matthieu. Myślałam o tym na okrągło, lecz nie umiałam dojść prawdy. On przez większą część drogi milczał. Odezwał się na głos tylko kilka razy: kiedy rozpoznał ostatni zakręt drogi, za którym natrafiliśmy na mur opactwa, a później na drzwi prowadzące do sanktuarium, na krużganku i w końcu w krypcie. Jego pamięć do szczegółów nie była dla mnie czymś nowym. Jeszcze jako dziecko widziałam, jak zawsze trafia na właściwe drzwi w starych, sławnych kościołach lub ciągle skręca we właściwą stronę, by dotrzeć do starodawnego refektarza, którego szukał. Zawsze nieomylnie kierował się do wartowni przy wysypanym żwirem podjeździe, gdzie sprzedawano bilety. Pamiętał nawet, w którym z lokalików podawano najlepszą kawę.

W Saint-Matthieu wykazywał niezwykle ożywienie, prawie pobieżnie badał ściany i zakamarki klasztornych krużganków. Zamiast mówić do siebie: „A... to ten prześliczny tympanon nad drzwiami; myślałam, że znajduje się po tej stronie”, mój ojciec zdawał się odfajkowywać poszczególne widoki, tak jakby widział je z zamkniętymi oczyma. Docierało to do mnie stopniowo, zanim jeszcze skończyliśmy wspinaczkę stro-

mym, porośniętym cyprysami stokiem. Doprowadził on nas do głównego wejścia. Zrozumiałam wówczas, że to, co głównie zapadło w pamięć mojego ojca w tym miejscu, to nie były detale architektoniczne, lecz zdaznienia.

Obok drewnianych wrót stał mnich w długim do kostek, brązowym habicie i w milczeniu wręczał turystom kolorowe broszury.

- Mówiłem ci już, że ten klasztor jest czynny - odezwał się ojciec. - Mnisi trzymają w ryzach tłum, nie pozwalając mu zachowywać się zbyt hałaśliwie, i wpuszczają turystów tylko przez kilka godzin dziennie.

Przesłał uśmiech młodemu braciszкови i wyciągnął dłoń po ulotkę.

- *Merci beaucoup*, wystarczy nam jedna - powiedział uprzejmie po francusku.

Intuicyjnie pojęłam, że nie postąpił tak, jak powinien. Byłam pewna, że coś mu się w tym miejscu kiedyś przydarzyło.

Moje drugie wrażenie było równie ulotne jak pierwsze, lecz znacznie wyrazistsze: kiedy rozłożył ulotkę i postawił stopę na kamiennym progu, obojętnie pochylił głowę nad tekstem, zamiast podnieść wzrok na płaskorzeźbę przedstawiającą jakiegoś potwora (w normalnych okolicznościach z całą pewnością przykułaby jego uwagę), zrozumiałam, że nie opuściły go dawne wzruszenia związane z sanktuarium, do którego mieliśmy właśnie wkroczyć. Owo wzruszenie - uświadomiłam sobie - wywołał jakiś żal i jednocześnie strach, a może jakaś przerażająca mieszanka tych uczuć.

Saint-Matthieu-des-Pyrenees-Orientales leżał na wysokości tysiąca trzystu metrów nad poziomem morza, które znajdowało się niedaleko tej otoczonej murem budowli, z krążącymi nad nią orłami. Pokryta czerwonym dachem, usadowiona na samej górze strzelistego wierzchołka, sprawiała wrażenie, jakby wyrastała z samej turni, co było po części prawdą, gdyż w tysięcznym roku wykuto ją w skale szczytu. Główne wejście do opactwa wykonano w stylu romańskim, skażonym wpływami muzulmańskimi. Arabowie przez wiele wieków próbowali zdobyć ten bastion. Okantowany, kamienny portal wieńczyły geometryczne, islamskie wzory oraz dwie płaskorzeźby wyszczerzonych, chrześcijańskich potworów: ni to lwów, ni niedźwiedzi, nietoperzy lub gryfów - stworzeń o niemożliwej do ustalenia proveniencji.

Wewnątrz znajdował się maleńki kościółek opactwa Saint-Matthieu

z przepięknym krużgankiem okolonym szpalerem różanych krzewów, rosnących tam bujnie mimo ogromnej wysokości i spiralnych kolumn z czerwonego marmuru, tak delikatnych jak loki Samsona. Na kamienne płyty dziedzińca padały plamy słonecznego światła, a nad głową rozpościerała się kopała błękitnego nieba.

Kiedy znaleźliśmy się na dziedzińcu świątyni, moją uwagę bez reszty przykuł dźwięk kapiącej wody, nieoczekiwany w tak wysoko położonym, suchym miejscu, a jednocześnie naturalny jak szum górskiego potoku. Dochodził z klasztornej fontanny, przy której ongiś medytowali mni-si. Sześciokątną czaszę z czerwonego marmuru, o płaskiej, zewnętrznej powierzchni, zdobiła płaskorzeźba klasztoru - odbicie samej świątyni, gdzie się właśnie znajdowaliśmy. Wielki pojemnik wspierał się na sześciu kolumnach z tego samego czerwonego kamienia (z siódmej, środkowej, tryskała woda). Przez sześć otworów wypływała z czaszy fontanny woda, spadająca z czarownym dźwiękiem do znajdującego się poniżej basenu.

Podeszłam na sam skraj krużganka, usiadłam na okalającym go niskim murku i popatrzyłam w dół. Ujrzałam spadające setkami metrów urwisko, a w dole górskie wodospady - białe na tle porastających strome stoki lasów. Otaczały nas niebotyczne, najwyższe wierzchołki Pyrenees-Orientales. Z tej odległości nie docierał do mnie huk wodospadów, które przypominały wodną mgłę. Słyszałam jedynie nieustanny szum fontanny.

- Klasztorne życie - odezwał się cicho ojciec, siadając obok mnie na murku. Na twarzy malował mu się osobliwy wyraz. Objął mnie ramieniem, co czynił niezwykle rzadko. - Pozornie takie spokojne, ale bardzo twarde. A czasami też nikczemne.

Spoglądaliśmy w rozciągającą się pod naszymi nogami otchłań, tak wielką, że nawet promienie słońca nie docierały jeszcze do jej dna. Od czasu do czasu "w dole pojawiały się jakieś ciemne kształty. Domyśliłam się, co to jest, zanim jeszcze wyjaśnił mi ojciec. Drapieżne ptaki, polujące na ofiary na zboczach gór, dryfowały w powietrzu niczym płatki miedzi.

- Wyżej niż orły - odezwał się z zadumą mój ojciec. - Wiesz, że orzeł to stary, chrześcijański symbol świętego Jana. Mateusz... Saint-Mathieu... był aniołem, symbolem Łukasza jest wół, a świętego Marka uskrzydłony lew. Jego wizerunki spotkasz wszędzie nad Adriatykiem, ponieważ Marek jest patronem Wenecji. Lew trzyma w łapach księgę.

Jeśli księga jest otwarta, znaczy to, że pomnik lub płaskorzeźba wykonane zostały w czasie, gdy Wenecja znajdowała się w stanie pokoju. Zamknięta wskazuje, że miasto prowadziło wojnę. Oglądaliśmy to w Ragusie na jednej z bram... pamiętasz? Księga była zamknięta. A tutaj widzimy orła strzegącego tego miejsca. No cóż, naprawdę potrzebuje straży. - Zrozumiałam, że bardzo żałuje decyzji o naszej wizycie w klasztorze. - Możemy zacząć zwiedzanie?

Kiedy zaczęliśmy schodzić do krypty, ponownie zaobserwowałam u ojca trudny do opisanego lęk. Zakończyliśmy uważne zwiedzanie kruchanków, kaplic, nawy głównej, zniszczonych wiatrem zabudowań kuchennych. Kryptę zostawiliśmy sobie na sam koniec - deser dla kochających okropności, jak mawiał ojciec, odwiedzając niektóre kościoły. Na niezwykle stromym zejściu czułem się trochę niepewnie, trzymając mnie za sobą. Posuwaliśmy się w dół po schodach wykutych w żywej skale. Z zalegającego pod ziemią mroku dotarła do nas fala niezwykle zimna. Inni turyści wracali już na górę i po chwili zostaliśmy w podziemiach sami.

- Tutaj znajdowała się główna nawa pierwotnego kościoła - wyjaśnił całkiem niepotrzebnie zwykłym głosem ojciec. - Kiedy już mnisi obwarowali opactwo i mogli bezpiecznie kontynuować budowę klasztoru, wyszli spod ziemi i na miejscu starego kościoła postawili nowy.

Mrok rozświetlały liczne świece umieszczone w kamiennych kinkietach zawieszonych na grubych filarach. Na ścianie transeptu wykuto krzyż. Unosił się niczym cień w powietrzu nad kamiennym ołtarzem lub sarkofagiem (trudno powiedzieć, co to było), który znajdował się na końcu nawy. Po obu stronach krypty dostrzec było można jeszcze kilka innych sarkofagów, małych, prymitywnych i nieoznakowanych. Ojciec wciągnął głęboko powietrze i rozejrzał się po tej olbrzymiej, zimnej, pogrążonej w kompletnej ciszy dziurze w skale.

- Miejsce wiecznego spoczynku pierwszego i kilku następnych opatów - wyjaśnił krótko. - Tu kończy się nasza wycieczka. No cóż, wracamy na obiad.

Chwilę zwlekałam z opuszczeniem krypty. Poczulałam wielką ochotę, by zapytać ojca, co naprawdę wie o Saint-Matthieu, co pamięta, a jednocześnie wpadłam prawie w panikę i poskromiłam język. Zwłaszcza że jego szerokie plecy okryte lnianą marynarką powiedziały mi wyraźnie,

jakby wyrzekł to na głos: „Spokojnie, wszystko w swoim czasie”. Obrzucałam jeszcze szybkim spojrzeniem sarkofag na końcu starodawnej bazyliki. W nieruchomym blasku świec był surowy i zimny. Cokolwiek zawierał, stanowił część przeszłości, która nie została pogrzebana do końca.

Ale ja już wiedziałam to i owo bez konieczności zgadywania. Historia, jaką usłyszę podczas obiadu na klasztornej tarasie, dyskretnie umieszczonym poniżej cel zakonników, może dotyczyć jakiegoś bardzo odległego od Saint-Matthieu miejsca, ale podobnie jak wizyta tutaj, z całą pewnością stanowić będzie kolejny krok na drodze do poznania lęku, jaki drażył mego ojca. Dlaczego słowem nie zająknął się o zniknięciu Rossiego i dopiero Massimo popełnił gafę, poruszając ten temat? Dlaczego tak gwałtownie, z brzękiem, odłożył widelec, dlaczego tak bardzo pobladł i wytrzeszczył na *maitre d'hotel* oczy, kiedy ten opowiedział nam legendę o żywym trupie? Cokolwiek prześladowało pamięć mego ojca, w pełni ujawniło się w tym miejscu, które powinno być raczej święte niż okropne. A jednak przerażało go aż tak, że ze zgrozy prostował ramiona. Powinam, jak Rossi, ruszyć własnym tropem. Na swój sposób, pod wpływem tej historii, nabrałam rozumu.

11

Podczas następnej wizyty w amsterdamskiej bibliotece odkryłam, że w czasie mojej nieobecności pan Binnerts wyszukał dla mnie nowe materiały. Kiedy prosto po szkole, wciąż z plecakiem, weszłam do czytelnicy, powitał mnie szerokim uśmiechem.

- A, to ty - odezwał się swoją sympatyczną angielszczyzną. - Mój młody historyk. Mam dla ciebie coś specjalnego. - Ruszyłam za nim skwapliwie w stronę jego biurka. Podał mi jakąś książkę. - Nie jest bardzo stara, ale zawiera kilka interesujących przekazów pochodzących z zamierzchłych czasów. To nie najmiłsza lektura, moja droga, ale być może okaże się bardzo przydatna do twojej pracy.

Pan Binnerts posadził mnie przy stoliku. Popatrzyłam z wdzięcznością na jego oddalającą się postać. Budził we mnie zaufanie wymieszane z czymś okropnym.

Książka nosiła tytuł *Opowieści z Gór Karpackich*. Był to wyświechtany, dziewiętnastowieczny tom wydany prywatnie przez angielskiego kolekcjonera, Roberta Digby. W przedmowie Digby przedstawił w ogólnym zarysie swoje wędrówki po dzikich górach i jeszcze dzikszych językach, z których czerpał materiały do książki, choć opierał się również na źródłach niemieckich i rosyjskich. Styl miał szalony, a jednocześnie przepojony takim romantyzmem, że poznane przeze mnie później prace innych, podobnych mu kolekcjonerów i tłumaczy, nawet nie umywały się do jego dzieła. W książce znalazłem dwie opowieści o „księciu Draculi”, które przeczytałam jednym tchem. Pierwsza z nich mówiła o zwyczaju gospodarza ucztowania w otoczeniu ludzi konających na palach. Dowiedziałam się, iż pewnego razu jeden z jego bojarów ośmielił się zwrócić uwagę na nieprzyjemny zapach rozkładających się ciał. Sam za to zginął na palu, wbito go jednak nieco dalej, żeby mu trupy sąsiadów nie śmierdziały. Digby przedstawia też inną wersję tego wydarzenia, wedle której Dracula rozkazał wyciosać pal trzykrotnie wyższy od tych, na które powbijali innych ludzi.

Druga opowieść była równie okrutna. Opisywała los dwóch ambasadorów, których sułtan Mehmed II wysłał do Draculi. Stając przed księciem, nie zdjęli z głów turbanów. Dracula zapytał, dlaczego nie okazali mu szacunku. Posłowie odparli, że ich obyczaj zabrania im zdejmowania nakryć głowy. „A więc utrwale jeszcze wasze obyczaje” - odrzekł książę i kazał przybić im gwoździami turbany do głów.

Przepisałam do swego notatnika te dwie krótkie opowieści. Kiedy pojawił się znów pan Binnerts, by zobaczyć, jak idzie mi praca, zapytałam, czy mógłby poszukać dla mnie jakichś źródeł, które wyszły spod pióra współczesnych Draculi pisarzy, jeśli takie naturalnie istnieją.

- Oczywiście - odparł z powagą bibliotekarz.

Ale za materiałami, o które prosiłam, mógł rozglądać się tylko w chwilach wolnych od swoich zawodowych obowiązków. Poza tym, dodał, kiwając z uśmiechem głową, powinnam zająć się przyjemniejszymi tematami, na przykład średniowieczną architekturą. Odparłam, również z uśmiechem, że to przemyślę.

Nie ma nic piękniejszego na świecie jak Wenecja w wietrzny, upalny i bezchmurny dzień. Unoszące się na falach laguny łodzie kołyszą się i objają o siebie, jakby próbowały zerwać się z uwięzi i bez załogi

popłynąć ku nowym przygodom. Ozdobne fasady domów lśnią w promieniach słońca, od strony wody dobiega ożywczy chłód. Całe miasto wydyma się niczym żagiel, nieprzycumowane łodzie tańczą na falach, gotowe w każdej chwili odpłynąć. Przepływające motorówki i ślizgacze sprawiają, że fale przy *Piazza di San Marco* stają się gwałtowne, tworząc wesołą choć prostą muzykę. W Amsterdamie, Wenecji północy, taka piękna pogoda sprawiłaby, że odnowione pieczołowicie miasto lśniłoby całą swą krasą. Tutaj widać było ślady niszczącego zęba czasu - na przykład zarośnięta glonami fontanna na jednym z bocznych placów, zamiast wyrzucać w powietrze strugi mieniającej się wszystkimi kolorami tęczy wody, śliniła się tylko wątlami stróżkami brudnej cieczy o barwie rdzy. Stające dęba rumaki na placu Świętego Marka w jasnych promieniach słońca ukazywały swój oplakany stan, a kolumny pałacu Dożów były po prostu brudne.

Gdy powiedziałam ojcu o swoich odczuciach, roześmiał się na głos.

- Czujesz atmosferę - przyznał. - Ale Wenecja pławi się w chwale sławy i nie zwraca większej uwagi na to, że tu czy tam coś popada w ruinę. W każdym razie dopóty, dopóki napływają do niej pogrążone w nabożnym zachwycie rzesze turystów z całego świata. - Zatoczył ręką szeroki łuk, wskazując kawiarnię na powietrzu, w której siedzieliśmy, nasz ulubiony lokalik na skwerku Floriana i tłumy spoconych turystów w kapeluszach i koszulach o pastelowych barwach powiewających w podmuchach nadciągającego od wody wiatru. - Poczekaj do wieczora. Wtedy nie będziesz aż tak rozczarowana. Wenecja wymaga bardziej przytłumionego światła. Zadziwi cię przemiana.

Popijałam oranżadę i czułam się tak rozleniwiona, że nie zamierzałam nigdzie się ruszać. W zupełności wystarczało mi oczekiwanie na miłą niespodziankę, jaką obiecywał mi ojciec. Był to jeden z ostatnich, gorących dni lata, którego czar niebawem zniszczyć miał podmuch jesieni. Zacznie się szkoła i, jeśli dopisze mi odrobina szczęścia, rozmowy z ojcem o jego najbliższych planach co do negocjacji, zażartych targów i przykrych kompromisów. Jesienią ponownie zamierzał udać się do Europy Wschodniej, a ja postanowiłam zrobić wszystko, by mnie zabrał.

Ojciec dokończył piwo i zaczął kartkować przewodnik.

- Tak. - Uderzył palcem w książkę. - Tu jest plac Świętego Marka. Jak wiesz, Wenecja była odwiecznym rywalem Bizancjum oraz wielką potęgą morską. Tak naprawdę skradła z Bizancjum wiele nadzwyczaj-

nych rzeczy, na przykład tamte konie. - Popatrzyłam w stronę otwierającego się przed naszymi oczyma placu Świętego Marka, gdzie wykonane z miedzi konie sprawiały wrażenie, iż wloką za sobą ogromne, ciężkie, ołowiane kopuły. Zresztą cała bazylika kąpała się w jaskrawym świetle słońca - barwna i rozpalona, kąpiąca bogactwem. - Tak czy owak, Bazylika Świętego Marka stanowiła replikę kościoła Świętych Apostołów w Konstantynopolu.

-Konstantynopol, dzisiejszy Stambuł? - zapytałam, chytrze wrzucając do szklanki kilka kostek lodu. - Czy ta świątynia przypomina Hagia Sophię?

-Hagia Sophia została w czasach Imperium Osmańskiego znacznie rozbudowana. Dodano ogromne minarety strzegące jej od zewnątrz, natomiast w środku wielkie tarcze z wymalowanymi na nich świętymi wersetami z Koranu. Tam najwyraźniej widać zderzenie dwóch wielkich kul - Wschodu i Zachodu. Ale olbrzymie kopuły przetrwały do naszych czasów. Kopuły typowo chrześcijańskie i bizantyjskie, takie same jak w Bazylice Świętego Marka. Tak, masz rację, tutejsza świątynia przypomina nieco kościół Mądrości Bożej, choć zbudowana została według wzoru innego kościoła.

-I tamtejsze kopuły też wykonano z ołowiu, tak jak te? - Wskazałam palcem plac.

-Właśnie, ale stambulskie są znacznie większe. Ogrom tamtej świątyni jest przytłaczający. Zapiera wprost dech.

-No tak - stwierdziłam. - Czy możesz mi zamówić jeszcze jeden napój?

Ojciec popatrzył na mnie przenikliwie, ale było już za późno. Dowiedziałam się, że osobiście odwiedził Stambuł.

12

16 grudnia 1930 r.
Kolegium Świętej Trójcy, Oksford

Mój Drogi i Nieszczęsny Następcu!

W tym punkcie moja historia dogania mnie albo może to ja doganiam ją. Muszę opowiedzieć o zdarzeniach, które doprowadzą nas do chwili

obecnej. Żywię tylko serdeczną nadzieję, że na tym się skończy, gdyż nie zniósłbym myśli, że zgroza ta, ciągnąc się, będzie jeszcze nas prześladować w przyszłości.

Jak już powiedziałem, sięgnąłem w końcu po tę dziwną książkę, jak człowiek uzależniony od narkotyków. Obiecywałem sobie wcześniej, iż zajmę się nią ponownie dopiero wtedy, gdy wrócę do normalności, kiedy przekonam się, że moja przygoda w Stambule, choć dziwna, jest prosta do wytłumaczenia, a mój zmęczony podróżami umysł wróci do równowagi. Tak zatem dosłownie w jednej chwili sięgnąłem po tę księgę, a teraz muszę Ci opisać w najbardziej dosłowny sposób ową chwilę.

Działo się to zaledwie przed dwoma miesiącami. Był deszczowy, październikowy wieczór. Zaczął się semestr, a ja siedziałem, korzystając z przyjemnej bezczynności, już po kolacji, i oczekiwałem swego przyjaciela Hedgesa, wykładowcę uniwersyteckiego starszego ode mnie zaledwie o dziesięć lat. Darzyłem go ogromną sympatią. Był człowiekiem niezdarłym, ale o niebywałym uroku osobistym. Jego nieśmiałość i serdeczny, wstydlivy uśmiech skrywały tak wielki umysł, że nieraz dziękowałem Opatrzności, iż bez reszty zajął się dziewiętnastowieczną literaturą, nie rozdrabniając się na sprawy naukowe i życie towarzyskie. Gdyby nie jego wrodzona nieśmiałość, czułby się jak ryba w wodzie w towarzystwie takich ludzi jak Addison, Swift czy Pope, brylujących w najmodniejszych londyńskich kawiarniach. Miał niewielu przyjaciół, do kobiet odnosił się nieufnie, a wyobraźnię nie wybiegał poza okolice Oksfordu. Uwielbiał przechadzać się po polach i łąkach, przystawać przy mijanych płotach i obserwować pasące się krowy. O łagodnej naturze tego człowieka najdosadniej mówił kształt jego dużej głowy, mięsiste dłonie i wielkie, brązowe oczy. Sprawiał wrażenie ospałego i sennego jak borsuk, aż do chwili, gdy rzucał nieoczekiwanie w powietrze jakąś celną, uszczypliwą uwagę. Uwielbiałem słuchać, jak opowiada o swojej pracy. Mówił o niej skromnie, ale z pełną fascynacją, i zawsze ponaglał mnie do moich własnych badań. Nazywał się... cóż, jego prawdziwe imię i nazwisko bez trudu znajdziesz w każdej szanującej się bibliotece, gdyż to on przywrócił czytelnikom wielu zapomnianych geniuszy angielskiej literatury. Ale ja nazywałem go Hedges, „nom-de-guerre”, który sam ukulem, by uszanować w swej opowieści prywatność i przyzwoitość, cechujące go przez całe życie.

Tego wieczoru Hedges miał do mnie wpaść ze szkicami dwóch arty-

kułów, jakie napisałem na Krecie. Na moją prośbę przejrzał je i dokonał w nich niezbędnych poprawek. Nie dotyczyły one mojej oceny handlu w basenie Morza Śródziemnego w czasach starożytnych. Hedges pisał jak anioł. Formułował słowa i zdania z anielską wprost precyzją, która pozwalała mu prawie tańczyć na lebkach szpilki. Często sugerował, bym więcej pracował nad stylem. Oczekiwałem półgodzinnej, przyjacielskiej reprimendy, następnie szklaneczki sherry i magicznej chwili, kiedy mój przyjaciel rozprostuje wreszcie nogi przed płonącym kominkiem i zapyta, co u mnie słychać. Nie mogłem mu, oczywiście, wyznać prawdy o moich rozdygotanych choć powoli dochodzących do siebie nerwach. Sądziłem raczej, że porozmawiamy sobie serdecznie o wszystkim i o wszystkich.

Czekając, poprawiłem poprzecznie palenisko i wrzuciłem kolejne polano. Wyjąłem dwie szklaneczki i obrzuciłem baczny wzrokiem biurko. Gabinet służył mi również za salon i bardzo dbałem o jego wygląd, jak też o solidne, dziewiętnastowieczne meble, którymi był zastawiony. Popołudnie miałem bardzo pracowite. O osiemnastej zjadłem przyniesioną mi kolację, a następnie porządkowałem papiery. Zmierzczył zapadł bardzo szybko, przynosząc ze sobą zacinający w szyby deszcz. Wieczór wydał mi się raczej miły, i tylko po plecach przebiegł mi osobliwy dreszcz, kiedy na ślepo sięgnąłem po jakąś książkę, by lekturą wypełnić czas oczekiwania. Był to wolumin, którego tak unikałem. Wcześniej rzuciłem go niedbale na inne materiały spoczywające na biurku. Teraz, czując pod palcami jego miłą, zamszową okładkę, otworzyłem książkę.

W jednej chwili pojąłem, że coś jest nie tak. Zapach bijący od stronic książki nie miał nic wspólnego z delikatnym zapachem starego papieru i popekanego, wysuszonego na pieprz welinu. Nos poraził mi odór zgnilizny, okropny, doprowadzający do mdłości odór zepsutego mięsa i rozkładających się zwłok. Z niedowierzaniem pochyliłem się nad księgą, po czym ją gwałtownie zamknąłem. Po chwili znów ją otworzyłem i znów uderzył mnie smród, od którego zaczął przewracać mi się żołądek. Książka zdawała się ożywać w moich rękach, wydzielając przy tym zapach śmierci.

Ów okropny smród towarzyszył mi podczas mojej przerażającej podróży z kontynentu i tylko najwyższym wysiłkiem woli nad sobą panowałem. Niewątpliwie stare książki gnily, zwłaszcza w porze wilgotnego lata. Dlatego śmierdziały. A ja z jednym z takich woluminów podróżowałem pośród deszczu i burzy morskiej. Może powinienem odnieść

księgą do działu starodruków i poprosić, by ją oczyszczono lub zdezynfekowano?

Gdybym tak usilnie nie unikał myśli o istnieniu tej książki, zapewne zapomniałbym o całej sprawie. Lecz teraz, po raz pierwszy od wielu tygodni, wróciłem do zadziwiającego, centralnego wizerunku smoka z rozpostartymi skrzydłami nad łopoczącym proporcem. Nieoczekiwanie, z porażającą wręcz dokładnością, po raz pierwszy to rozumiałem. Natura nie obdarzyła mnie darem wizualnego rozumienia świata, lecz podwyższony stan świadomości pozwolił mi ujrzeć zarys całego smoka, jego rozpostartych skrzydeł i spletanego ogona. W napadzie ciekawości zacząłem gorączkowo przeglądać notatki, które przywiozłem ze Stambułu, leżące bezczynnie w szufladzie mego biurka. Trafiłem na kartkę, której szukałem. Znajdował się na niej zrobiony przeze mnie szkic pierwszej mapy.

Pamiętasz, że odkryłem tam trzy mapy. Każda z nich pokazywała w coraz większym powiększeniu ten sam, nieokreślony region. Region ów, nawet naszkicowany moją niezdatną ręką, swoim zarysem niewątpliwie przypominał uskrzydloną bestię. Długa rzeka, wijąc się w kierunku południowego wschodu, tworzyła jakby spletaną ogon smoka. Kiedy studiowałem ten drzeworyt, serce biło mi niespokojnie. Uzbrojony w kolce ogon potwora zakończony był strzałą wskazującą - tu aż głośno sapnąłem, zapominając o kilkunastu tygodniach, podczas których starałem się pozbyć swej obsesji - wskazującą miejsce Bezbożnego Grobowca.

Podobieństwo obu wyobrażeń nie mogło być przypadkowe. Jak mogłem nie zauważyć tam, w stambulskim archiwum, że tereny przedstawiane przez mapy miały kształt smoka o rozpostartych skrzydłach. Jakby potwór rzucał na nie z góry swój cień. Drzeworyt, nad którym tyle się nagłowilem przed moją wyprawą, musiał mieć konkretne znaczenie - stanowił przesłanie. Miał na celu zastraszać i onieśmielać, a jednocześnie utrwać w pamięci jego władzę i potęgę. Ale ta uporczywość mogła być jednocześnie śladem. Ogon potwora z całą pewnością wskazywał grobowiec, tak jak wskazuje się palcem na siebie i mówi: to ja. Tu jestem. Ale co lub kto był tam, w tym centralnym punkcie, w tym Bezbożnym Grobowcu? Odpowiedź smok trzymał w swych okrutnie ostrych szponach: „Draculya”.

Poczułem w gardle cierpki, drażniący smak jakby własnej krwi. Zdawałem sobie sprawę z tego, że powinienem się trzymać jak najdalej od takich wniosków - mówił mi to instynkt naukowca - lecz moje przekonanie było silniejsze niż zdrowy rozsądek. Na żadnej z map nie było jeziora

Snagov, gdzie jakoby miał być pochowany Vlad Japes. Z całą pewnością więc świadczyło to, iż Tepes - Dracula — ma swój grób gdzie indziej, w miejscu, o którym nie wspominają nawet legendy. Ale gdzie? Nie zdając sobie z tego sprawy, wypowiedziałem to pytanie na głos. I dlaczego miejsce tego grobu otacza aż taka tajemnica?

Gdy tak siedziałem, próbując złożyć wszystkie elementy łamigłówki, zza drzwi, z uniwersyteckiego korytarza, dobiegi mnie odgłos znajomych kroków - lekko szurających, lecz miłych dla ucha. Pomyślałem z przerażeniem, że muszę ukryć materiały, nad którymi pracuję, nalać sobie szklaneczkę sherry i przygotować się na towarzyską pogawędkę. Zbieżałem właśnie gorączkowo papiery z biurka, kiedy odgłos kroków za drzwiami ucichł. Było to jak fałsz w muzyce, gdy jedna nuta ciągnie się zbyt długo, co natychmiast przykuwa uwagę słuchacza. Znajomy i tak bliski memu sercu dźwięk kroków ucichł tuż przed moimi drzwiami. Ale Hedges nie pukał tak, jak miał w zwyczaju. Serce zaczęło gwałtownie mi bić. Poprzez szelest przewracanych na biurku papierów i bulgot deszczowej wody w rynnie umieszczonej nad moim oknem, teraz już ciemnym, usłyszałem w uszach oszalały łoskot krwi. W jednej chwili rzuciłem książkę, pośpiesznie podbiegłem do drzwi, przekręciłem klucz i otworzyłem je na oścież.

Hedges leżał na wypolerowanej posadzce. Głowę miał odrzuconą do tyłu, a ciało wygięte w jedną stronę, jakby jakaś straszna siła cisnęła go na ziemię. Ogarnęła mnie fala mdłości. Uświadomiłem sobie, że nie słyszałem ani jego krzyku, ani odgłosu padającego na podłogę ciała. Oczy miał otwarte, spoglądał gdzieś w przestrzeń za moimi plecami. Przez niekończącą się chwilę sądziłem, iż nie żyje. Ale wtedy poruszył lekko głowę i cicho jęknął. Natychmiast przyklęknąłem obok niego.

„Hedges!”

Ponownie jęknął i gwałtownie zamrugał oczyma.

„ Czy słyszysz mnie? ” - zapytałem zdławionym głosem, bliski lez z ulgi, że jednak żyje.

W tej samej chwili konwulsyjnie przekręcił głowę, a ja ujrzałem krwawe rany na boku jego szyi. Nie były duże, ale bardzo głębokie, jakby pies zanurzył mu w ciele kły, a następnie je wyszarpnął. Z ran obficie broczyła krew na kołnierzyk koszuli i tworzyła na podłodze rozległą, szkarłatną kałużę ”.

„Pomocy!” - wrzasnąłem.

Wątpię, by ktokolwiek w kilkusetletniej historii uczelni tak brutalnie zmacił ciszę panującą w wyłożonym dębową boazerią uniwersyteckim holu. Wątpiłem też, aby ktokolwiek usłyszał mój krzyk. Był już późny wieczór i większość wykładowców udała się do uczelnianej stołówki na kolację. Jednak w odległym końcu korytarza otworzyły się drzwi i wybiegł z nich lokaj profesora Jeremy 'ego Forestera, przemiły gość nazywający się Ronald Egg. Od razu pojął, co się dzieje. Mimo iż z przerażenia oczy prawie wychodziły mu z orbit, dzielnie ukląkł obok Hedgesa i chusteczką do nosa owinął mu rany.

„ Tutaj, proszę pana -powiedział. - Musimy go posadzić tak, by rany były wysoko. Jeśli oczywiście nie odniósł innych obrażeń ”.

Delikatnie obmacał sztywne ciało rannego, a kiedy mój przyjaciel ani razu nie zaprotestował z bólu, wspólnymi siłami posadziliśmy go na podłodze, opierając plecami o ścianę. Podpierałem go ramieniem, żeby ponownie nie osunął się na bok na posadzkę. Oczy miał zamknięte.

„Biegęno lekarza” - oświadczył Ronald, ruszając spieszenie długim korytarzem.

Zbadałem Hedgesowi puls. Choć głowa opadła mu bezwładnie na moje ramię, praca serca zdawała się równa. Próbowałem przywrócić go do przytomności.

„Hedges, co się wydarzyło? Czy ktoś cię uderzył? Hedges, słyszysz mnie? ”

Otworzył oczy i popatrzył na mnie. Przechylił bezwładnie na bok głowę, ale odpowiedział całkiem zrozumiale:

„Kazał mi tobie powiedzieć... ”

„Co? Kto?”

„Kazał mi tobie powiedzieć, że nie ścierpi wkraczania na jego teren ”.

Hedges wsparł głowę o ścianę - swą dużą głowę, w której mieścił się jeden z najtęższych umysłów w Anglii. Obejmując przyjaciela ramieniem, poczułem przebiegające po ciele mrówki.

„Hedges, kto? Kto ci to powiedział? Czy to on cię skrzywdził? Widziałeś go? ”

W kąciку ust pojawił mu się bąbelek śliny. Zaczął wodzić chaotycznie rękami po ciele.

„ Wkraczania na jego teren ” -powtórzył bulgoczącym głosem.

„Leż spokojnie - rzekłem zdecydowanie. - Nic nie mów. Za chwilę będzie tu lekarz. Spróbuj się rozluźnić i głęboko oddychaj ”.

„ Czyżby? - wymamrotał Hedges. - *Papież i aliteracja. Słodka nimfa. Jako dowód*".

Gapilem się na niego, czując ucisk w żołądku.

„Hedges?"

„ *Gwałt na kłódce -powiedział uprzejmie Hedges. - Niewątpliwie* ".

Lekarz, który przyjął go do szpitala, oświadczył mi, że pacjent, oprócz ran, doznał wylewu.

„*Jest w szoku. Rany na szyi... — dodał, kiedy opuściliśmy jego salę. - Zadane zostały czymś ostrym, najprawdopodobniej zwierzęcymi kłami. Czy ma pan psa?* "

„*Skądże! W pokojach kolegium nie wolno trzymać zwierząt*".

Lekarz potrząsnął głową.

„*Dziwne. Sądziłem, że w drodze do pańskiego pokoju zaatakowało go jakieś zwierzę. W wyniku szoku dostał wylewu, co zdarza się często. Obecnie zupełnie nie wie, co się z nim dzieje, choć mówi logicznie. Z powodu tych obrażeń zostanie wszczęte śledztwo. Osobiście jestem przekonany, że ostatecznie znajdziemy jakiegoś podwórzowego psa. Niech pan spróbuje zastanowić się, którędy ranny mógł iść do pana kwatery* ".

Policyjne śledztwo nie wniosło nic nowego. Mnie o nic nie oskarżano, gdyż policja nie znalazła żadnych dowodów i motywów, dla których mógłbym okaleczyć Hedgesa. Sam Hedges nie był w stanie składać zeznań i ostateczne orzeczenie brzmiało: „samookaleczenie", co rzuciło duży cień na jego reputację. Pewnego dnia, kiedy odwiedziłem go w domu wypoczynkowym, zapytałem go cicho, co myśli o słowach: „Nie ścierpl wkraczania na jego teren ".

Popatrzył na mnie obojętnie i dotknął grubymi palcami czerwonej blizny na szyi.

„*Jeśli jesteś Boswell** - *odparł figlarnie, zgoła komicznie. -Jeśli nie, to precz* ".

Kilka dni później zmarł. Zabił go w nocy kolejny wylew. Ogłoszono, że nie miał żadnych zewnętrznych ran. Kiedy przełożony kolegium oznajmił

* Termin nieznany w polskim literaturoznawstwie. James Boswell (1740-1795), angielski pisarz, Szkot, przyjaciel Samuela Johnsona i autor głośnej biografii: *Żywot doktora Samuela Johnsona* (1791), wyd. pol. 1962. W literaturoznawstwie anglosaskim i amerykańskim termin „Boswell" stanowi synonim pisarza, który pisze biografie najbliższych przyjaciół.

mi o jego śmierci, przysięgłem sobie, że zrobię wszystko, by pomścić przyjaciela. Musiałem tylko wiedzieć jak.

Nie mam serca, by ze szczegółami opisywać ceremonię pogrzebową

w kaplicy Świętej Trójcy, stłumionego szlochu jego starych przyjaciół, kiedy chłopięcy chór rozpoczął uroczyste psalmy, by ukoić żalność żyjących i gniew, jaki czulem ku bezsilnej hostii podawanej z kielicha.

Hedgesa pochowano w Dorset, skąd pochodził. Odwiedziłem jego grób pewnego, pogodnego, listopadowego dnia. Na płycie grobowej widniał napis: „Spoczywaj w pokoju”, co byłoby moim największym marzeniem, gdyby tylko zależało to ode mnie. Odczułem trudną do wyjaśnienia ulgę, że jest to jeden z najpiękniejszych cmentarzy w okolicy, a proboszcz nad trumną Hedgesa wygłosił naprawdę ciekawe kazanie. Później, w pubie przy głównej ulicy, nie usłyszałem żadnej legendy o angielskim „vrykolakas”, choć dyskretnie, na różne sposoby, próbowałem poruszać ten temat. Ostatecznie Hedges zaatakowany został tylko raz, a nie kilkakrotnie. Stoker pisał, że człowiek musi być kilkakrotnie ugryziony, by stać się nieumarłym. Sądzę, że Hedges został poświęcony po to, by ostrzec mnie. I Ciebie, nieszczęsny Czytelniku?

Twój, pogrążony w najgłębszym smutku, Bartholomew Rossi

Ojciec zamieszał lód w szklance, jakby chciał uspokoić drżące dłonie i czymś je zająć. Na Wenecję opadał cichy, spokojny wieczór, na kamienne płyty, którymi wyłożony był plac, padały długie cienie budynków i przechadzających się turystów. Z chodnika zerwało się stado wystraszonych gołębi. Ptaki krążyły wielką chmarą nad placem. Poczulałam chłód zimnych napojów, jakie piłam. Zadrżałam. Nieopodal ktoś wybuchnął gromkim śmiechem. Ponad gromadą gołębi kołowały z krzykiem mewy. Zagadnął nas młody człowiek w białej koszuli i džinsach. Na ramieniu dźwigał brezentowy worek. Koszulę miał pobrudzoną farbami.

- Czy kupi pan obraz, signore? - zapytał z uśmiechem mego ojca. -

Pan i signorina stanowiliście dziś mój motyw.

- Nie, nie, *grazie* - odparł niedbałym tonem ojciec.

Skwery i aleje pełne były studentów z Akademii Sztuk Pięknych. Już po raz trzeci tego dnia malarz oferował nam pejzaż Wenecji. Ojciec rzucił tylko przełomie okiem na obraz. Uśmiechnięty młodzieniec, najwyraźniej nie chcąc nas opuścić bez słowa pochwały dla swego dzieła, podstawił

mi przed nos obraz, a ja uprzejmie skinęłam głową. Po chwili ruszył ulicą w poszukiwaniu innych turystów. Siedziałam jak zmrożona, patrząc na jego oddalające się plecy.

Artysta uwiecznił mnie na barwnej akwareli. Widać tam było naszą kawiarnię, skrawek placu Floriana, a wszystko skąpane w łagodnym świetle popołudnia. Malarz musiał usadowić się gdzieś poza moimi plecami - pomyślałam - ale blisko kawiarni. Barwna plama mego czerwonego, słomkowego kapelusza, a tuż za mną cała w brązie i błękitie postać ojca. Był to naprawdę ładny obrazek, jaki turyści bardzo chętnie kupują na pamiątkę beztroskiego pobytu nad Adriatykiem. Ale moją uwagę na akwareli przykuła samotna postać siedząca przy stoliku tuż za moim ojcem. Miała szerokie ramiona i cała spowita była w czerń, odróżniając się tym od barwnych markiz i obrusów na stolikach. Ale ten stolik, pamiętałam to dokładnie, przez całe popołudnie był pusty.

13

Następna wyprawa zawiodła nas jeszcze dalej na wschód, aż za Alpy Julijskie, do maleńkiego miasteczka Kostanjevica - „krainy kasztanowca”. O tej porze roku kasztanów rzeczywiście było tam w bród. Wiele z nich pospadało już z drzew i jeśli nieopatrznie nastąpiło się na zieloną, kolczastą skorupę, łatwo było o poślizg i niebezpieczny upadek. Przed domem burmistrza, wybudowanym jeszcze przez jakiegoś urzędnika monarchii austro-węgierskiej, kasztany w popękanych łupinach leżały dosłownie wszędzie, niczym niezliczone stada maleńkich jeżozwierzy.

Szłam obok ojca, napawając się pięknem kończącego się, bardzo ciepłego, jesiennego dnia - miejscowe kobiety w sklepie wyjaśniły nam, że nazywa się to „cygańskim latem” - i rozmyślałam o różnicach między zachodnim światem, leżącym zaledwie kilkaset kilometrów od Chorwacji, a światem wschodnim znajdującym się nieco na południe od Emony. Sklepy wyglądały dokładnie tak samo jak wszędzie. W moim odczuciu wszyscy sprzedawcy byli bliźniaczo podobni. Poubierani w identycznego kroju, granatowe marynarki, z barwnymi chustami na szyjach, spoglądali na nas znad kontuarów, pobłyskując w szerokich uśmiechach złotymi lub wykonanymi z nierdzewnej stali zębami. Nabyliśmy olbrzymi czekolado-

wy baton na deser po obiedzie złożonym z salami, brązowego chleba i sera. Do tego ojciec kupił kilka butelek mojego ulubionego *naranća*, napoju pomarańczowego, który tak dobrze pamiętałam z Regusy, Emony i Wenecji.

Ostatnie, rozjemcze spotkanie w Zagrzebiu odbyło się poprzedniego dnia, kiedy kończyłam właśnie szlifować moją pracę domową z historii. Ostatnio ojciec zapragnął, bym zaczęła intensywnie uczyć się niemieckiego, a ja z entuzjazmem odniosłam się do tego pomysłu. Zamierzałam się zabrać za to następnego dnia, kiedy już kupię w amsterdamskiej księgarni językowej odpowiednie podręczniki. Miałam na sobie nową, zieloną, krótką sukienkę i żółte podkolanówki. Ojciec uśmiechał się pod nosem, patrząc na trochę nabitych przez siebie w butelkę dyplomatów, którzy wymieniali ze sobą niepewne spojrzenia. A w naszej siatce brzęczały butelki z *naranća*. Przed nami pojawił się niski, kamienny most spinający brzegi rzeki Kostan. Ruszyłam spiesźnie w jego stronę. Chciałam przez chwilę w samotności pozachwycać się widokiem.

Niedaleko za mostem rzeka gwałtownie zakręcała, okalając niewielki, rozmiarów słowiańskiego domu, *chdteau*. U podnóża jego murów człapały łabędzie, prężąc się dumnie na brzegu. Jakaś niewiasta w niebieskiej sukience otworzyła kratowane okno na piętrze. W szybach odbiło się jaskrawe światło słońca. Kobieta strząsnęła zmiotkę do ścierania kurzu. Pod mostem gęsto rosły młode wierzby. W ich splątanych, pokrytych mułem i błotem korzeniach grasowały stada jaskółek. W pałacowym parku dostrzegłam kamienną ławkę w sporej odległości od łabędzi, których, mimo swego wieku, wciąż jeszcze trochę się bałam. Nad nią zwieszały się gałęzie kasztanowca, a mury pałacyku rzucały ożywczy cień. Ojciec przezornie wytarł chustką ławkę, rozsiadł się na niej i jakby wbrew sameму sobie, zaczął kolejną opowieść.

- Cały czas przeglądałem w pokoju te listy - ciągnął ojciec, wycierając z dłoni tłuszcz po salami bawelnianą chusteczką. - Kiedy rozmyślałem o niepojętym i tragicznym zniknięciu Rossiego, wciąż coś nie dawało mi spokoju. Gdy zacząłem czytać list relacjonujący okropny przypadek jego przyjaciela Hedgesa, zakręciło mi się w głowie tak, że nie byłem w stanie zebrać żadnej rozsądnej myśli. Odnosiłem wrażenie, że wkraczam w jakiś chorobliwy świat, w piekło, jakim nieoczekiwanie stało się moje akademickie życie, tak doskonale znane mi od lat. Cała ta wypełniona gawęda-

mi historia, którą zawsze brałem serio i traktowałem jako rzecz poważną i oczywistą, okazała się pełna niedopowiedzeń i ukrytych znaczeń. Dla mnie, historyka, umarły zawsze był godny szacunku. Średniowiecze było koszmarnie, ale nie nadprzyrodzone. Dracula stanowił tylko barwną, wschodnioeuropejską legendę wskrzeszoną później przez filmy z mego dzieciństwa. Działo się to w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku, na trzy lata przed przejęciem przez Hitlera władzy i zaprowadzeniem przez niego terroru przekraczającego wszelkie wyobrażenia.

Tak więc przez chwilę nie byłem w stanie zebrać żadnej rozsądnej myśli, wściekły na mego mistrza za to, że zniknął, za to, że zostawił mi w testamencie tak odrażające iluzje. Z drugiej strony jego pełne skruchy

i ubolewania listy sprawiały, iż ogarnęły mnie wyrzuty sumienia za brak lojalności i wiary. Rossi polegał na mnie... na mnie i tylko na mnie. Jeśli zawaham się ze względu na jakieś pedantyczne zasady, z pewnością nigdy go już nie zobaczę.

I jeszcze coś nie dawało mi spokoju. Kiedy już opuściło mnie otępienie, przypomniałem sobie młodą kobietę w bibliotece, którą spotkałem zaledwie kilka godzin wcześniej, choć wydawało mi się, że od tamtego czasu minęło wiele dni. Pamiętałem, jak słuchając moich wyjaśnień o listach Rossiego, marszcząc brwi, rozpierała się na krzesle w dziwnie męski sposób. Dlaczego wybrała akurat mój stolik pośród wszystkich innych i w ten akurat wieczór pośród innych wieczorów, by obok mnie czytać o Draculi? I dlaczego wspomniała o Stambule? Byłem tak rozstrojony lekturą listów Rossiego, że ponosiła mnie wyobrażenia na tyle, iż mogłem pogodzić się z rzeczami jeszcze dziwniejszymi. Dlaczego nie? Skoro dopuszczałem istnienie zjawisk nadprzyrodzonych, mogłem akceptować wszystko. Czysta logika.

Westchnąłem ciężko i sięgnąłem po ostatni list Rossiego. Po nim powinienem już tylko przejrzeć inne dokumenty ukryte w tej niewinnie wyglądającej kopercie i odzyskać spokój. Cokolwiek znaczyć mogło pojawienie się dziewczyny - zapewne nie znaczyło nic - to nie miałem czasu, by sprawdzić, kim naprawdę była ani dlaczego oboje interesowaliśmy się podobnymi sprawami. Dziwiłem się samemu sobie, że zająłem się okultyzmem. Zdumiewające, ale chciałem tylko odnaleźć Rossiego.

Ostatni list, w przeciwieństwie do pozostałych, napisany został ręcznie na liniowanym papierze ciemnym atramentem.

Rozłożyłem go.

19 sierpnia 1931 r.

Mój Drogi i Nieszczęsny Następcu!

Nie mogę Cię okłamywać, że będziesz przy mnie, kiedy zacznie się walić moje życie. Lecz dodając kolejne szczegóły do tego, co już (zapewne) przeczytałeś, muszę przepelnić ów kielich goryczy. „Wiedzieć mało to rzecz niebezpieczna” -powiedziałby mój przyjaciel Hedges. Ale on już nie żyje - nie żyje z mojej przyczyny. Zupełnie jakbym Co ja sam otworzył drzwi swego gabinetu, zadał mu śmiertelny cios, a następnie zaczął wzywać pomocy. Oczywiście, nie zrobiłem tego. Jeśli dotrwałeś w lekturze aż dotąd, nie możesz mieć co do tego najmniejszych wątpliwości.

Ostatecznie, przed kilkoma miesiącami, zwątpiłem we własne siły i zrozpaczony przerażającą, gwałtowną śmiercią Hedgesa, uciekłem przed jego grobem do Ameryki - dosłownie. Zdecydowałem się na ten krok w jednej chwili. Spakowałem swój dobytek i na jeden dzień jeszcze wyskoczyłem do Dorset, na miejsce wiecznego spoczynku mego przyjaciela. Odleciałem do Ameryki ku rozczarowaniu kilku osób z Oksfordu, bardzo też zasmucając tą decyzją rodziców. Znalazłem się w nowym i o wiele jaśniejszym świecie, gdzie semestr (zostałem zakontraktowany na trzy i robiłem wszystko, by przedłużyć ten termin) zaczynał się wcześniej, a studenci prezentowali znacznie szersze i praktyczniejsze poglądy na świat i życie niż słuchacze Oksfordu. A jednak nie potrafiłem całkowicie wyzwolić się od znajomości z nieumarłym. A w konsekwencji on - To Coś - też nie mógł wyzwolić się od znajomości ze mną. .

Pamiętasz, że tamtej nocy, kiedy został zaatakowany Hedges, nieoczekiwanie odkryłem znaczenie drzeworytu w złowieszczej księdze. Zrozumiałem, że Bezbożny Grobowiec na znalezionych w Stambule mapach musiał być grobowcem Vlady Draculi. Podobnie jak w stambulskim archiwum zadałem na głos pytanie - ale gdzie? - i po raz drugi wywołałem upióra, który ukarał mnie, mordując serdecznego przyjaciela. Zapewne tylko ktoś niespełna rozumu podejmuje walkę z naturalnymi siłami - w tym przypadku nadprzyrodzonymi - ale klnę się na własną duszę, że kara ta rozwścieczyła mnie do tego stopnia, iż przestałem się bać... przez jakiś czas... i przysięgłem sobie, że jeśli tylko starczy mi sił, wyczuję każdy ślad prowadzący do nory mego prześladowcy. To dziwaczne postanowienie wydawało mi się równie zwyczajne, jak chęć popelnienia kolejnego artykułu w czasopiśmie naukowym czy też ugruntowania swej pozycji na znanej uczelni, co ukoiliby moje udręczone serce.

Kiedy już wpadłem w rutynę uniwersyteckich obowiązków i po skończonym semestrze przygotowałem się na krótką wizytę w Anglii, by odwiedzić stęsknionych rodziców i przejrzeć jeszcze raz swoją pracę doktorską, którą coraz bardziej było zainteresowane londyńskie wydawnictwo, ponownie zacząłem tropić Władę Draculę, bez względu na to, jakkolwiek postacią by się okazała - historyczną czy nadprzyrodzoną. Uznałem, że po pierwsze muszę dowiedzieć się wszystkiego o mojej księdze: skąd się wzięła, dla kogo była przeznaczona, ile liczyła lat. Oddałem ją nawet (przyznaję, bardzo niechętnie) do laboratoriów Smithsonian. Ale tam potrząsano tylko głowami nad charakterem moich pytań, twierdząc, że wszelkie konsultacje na temat sił przechodzących granice ich możliwości będą mnie kosztowały znacznie, znacznie więcej. Ale uparłem się. Nie sądziłem, by skromny spadek po moim dziadku i drobne oszczędności, jakie poczyniłem w Oksfordzie, zapewniły mi jakieś takie życie i radości, podczas gdy niepomszczony Hedges leżał pogrzebany (lecz dzięki Bogu, w spokoju) na przykościelnym cmentarzyku, gdzie jego trumny nikt nie ruszy przez co najmniej pięćdziesiąt lat. Nie bałem się żadnych konsekwencji, gdyż wszystko najgorsze, co mogłem sobie wyobrazić, już się wydarzyło. W tym znaczeniu przynajmniej siły ciemności mocno się przeliczyły.

Ale to nie brutalność tego, co wydarzyło się następnego dnia, sprawiła, iż zmieniłem postanowienie, zrozumiałwszy niebezpieczeństwo, jakie zawisło mi nad głową.

Moją książkę w Smithsonian Institution zajął się niepozorny bibliofil, niejaki Howard Martin, małowówny człowieczek, który bardzo wziął sobie do serca sprawę, z jaką się do niego zwróciłem, zupełnie jakby znał całą moją historię. (Nie -pomyślałem następnie. Gdyby ją znał, bez namysłu wskazałby mi drzwi podczas mojej pierwszej wizyty). Ale on najwyraźniej dostrzegł jedynie moją pasję historyka, poczuł do mnie sympatię i zrobił wszystko, co mógł. Przyłożył się do pracy rzeczywiście rzetelnie, przyswoił sobie cały materiał, który dostał z laboratoriów, z dokładnością, jaką bardziej doceniliby naukowcy z Oksfordu niż zbiurokratyzowani urzędnicy waszyngtońskiego muzeum. Byłem pod wrażeniem, bardziej niż pod wrażeniem, jego wiedzy o europejskim drukarstwie tuż przed i zaraz po Gutenbergu.

Kiedy ukończył badania, napisał do mnie, że ma już wszystkie wyniki i pragnie oddać mi książkę osobiście, podobnie jak ja osobiście mu ją

wręczyłem, chyba że życzę sobie, aby przesłał mi ją pocztą. Wyruszyłem zatem pociągiem w podróż. Następnego ranka pozwiedziałem trochę miasteczko i stawilem się u drzwi jego biura na dziesięć minut przed umówioną godziną. Serce waliło mi jak młotem, miałem kompletnie sucho w ustach. Nie mogłem doczekać się chwili, kiedy znów wezmę w rękę książkę oraz dowiem się wszystkiego o jej pochodzeniu.

Drzwi otworzył pan Martin i z bladym uśmiechem wprowadził mnie do środka.

„ To miło z pańskiej strony, że pan się do mnie pofatygował" - oświadczył mi z charakterystycznym dla Amerykanów nosowym akcentem, który zdążyłem polubić.

Kiedy już zasiedliśmy w jego zapelnionym rękopisami gabinecie, uderzyła mnie kolosalna zmiana, jaka zaszła w wyglądzie tego człowieka. Widziałem go przelotnie kilka miesięcy wcześniej, ale dobrze zapamiętałem jego twarz, a jego staranne, bardzo profesjonalne listy, jakie do mnie wysyłał, nie wskazywały na żadną chorobę. Teraz oblicze miał ściągnięte i blade, wymizerowane do tego stopnia, że skóra nabrała sina-woźółtej barwy, a wargi stały się nienaturalnie purpurowe. Wychudł do tego stopnia, że niemodny garnitur dosłownie zwisał mu na ramionach. Siedział skurczony i pochylony nad blatem biurka i nie miał sił się wyprostować. Zupełnie jakby coś wyssało z niego całe życie.

Próbowałem wprawdzie wmawiać sobie, że ostatnim razem widziałem tego człowieka w przelocie, a nasza korespondencja sprawiła, iż tym razem baczniej mu się przyjrzałem, ale nie mogłem otrząsnąć się z wrażenia, że mężczyzna ten stoi u progu śmierci. Pomyślałem, iż zapadł na jakąś straszną, szybko postępującą chorobę. Oczywiście kurtuazyjnie nie poruszyłem tego tematu.

„ No cóż, doktorze Rossi - odezwał się z tym swoim amerykańskim akcentem. - Podejrzewam, że nawet nie wie pan, jaki skarb tutaj przywiózł ".

„Skarb?"

Nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, jakim skarbem jest dla mnie ta księga —pomyślałem. Nieważne były wszelkie analizy chemiczne i literackie. Stanowiła klucz do mojej zemsty.

„ Właśnie tak. To unikatowy egzemplarz środkowoeuropejskiego, średniowiecznego drukarstwa, niebywale ciekawa i niezwykła księga. Jestem przekonany, że została wydrukowana około tysiąc pięćset dwunastego

roku w Budzie albo na Wołoszczyźnie. Data ta pasuje ten wolumin już po Ewangelii świętego Łukasza, ale przed węgierskim Nowym Testamentem z roku tysiąc pięćset dwudziestego, na który' mógł mieć pewien wpływ, jeśli oczywiście już istniał. - Pan Martin poruszył się na trzeszczącym krześle. - Istnieje możliwość, iż drzeworyt z pańskiej księgi miał duży wpływ na Nowy Testament z tysiąc pięćset dwudziestego roku, w którym widzimy podobną ilustrację przedstawiającą uskrzydłonego szatana. Ale to rzecz trudna do udowodnienia. Byłby to jednak zabawny wpływ, nieprawdaż? W żadnych wydaniach Biblii nie spotykamy takiej diabolicznej ilustracji.

„Diabolicznej? ” - Przez chwilę smakowałem to słowo, wypowiedziane przez innego człowieka.

„ Oczywiście. Mówił mi pan wyłącznie o legendach związanych z Draculą, aleja w swoich badaniach poszedłem jeszcze dalej ”.

Nosowy i tak bardzo amerykański akcent pana Martina sprawił, że dłuższą chwilę milczałem. Nigdy jeszcze nie słyszałem tak złowrogiej głębi w głosie tak zwyczajnym. Popatrzyłem zaskoczony na swego rozmówcę, ale jego ton zlagodniał, twarz się wygładziła. Zaczął przerzucać papiery, które wyjął z tekturowej teczki.

„ Tutaj mamy wyniki naszych ekspertyz - powiedział. - Zrobiłem dla pana kopie z naniesionymi przeze mnie uwagami. Myślę, że zainteresują pana. Wnoszą niewiele poza tym, co już powiedziałem... a są jeszcze dwa inne, niewątpliwie ciekawe fakty. Z analiz chemicznych jasno wynika, że księga prawdopodobnie przez długi czas przechowywana była w środowisku gęstego, kamiennego pyłu. W każdym razie przed rokiem tysiąc siedemsetnym. Poza tym jej ostatnie fragmenty noszą ślady słonej wody... zapewne przewożono ją gdzieś statkiem przez morze. Sądząc po pochodzeniu książki, mogło to być Morze Czarne. Istnieje jednak kilka innych możliwości. Obawiam się, że nasze badania niewiele wniosą nowego do pańskich studiów... czyż nie wspomniał mi pan, że pisze historię średniowiecznej Europy? ”

Popatrzył na mnie przelotnie z miłym uśmiechem, który na jego wyniszczonej chorobą twarzy sprawiał nieco dziwaczne wrażenie, a ja uświadomiłem sobie dwie rzeczy jednocześnie, które zmroziły mi krew w żyłach.

Pierwsza: nigdy nawet nie zająknąłem się przy nim słowem o tym, że piszę historię średniowiecznej Europy. Powiedziałem tylko, iż potrzebuję

pewnych informacji o moim woluminie, które być może okazać się bardzo przydatne przy kompletowaniu bibliografii odnoszącej się do życia Vlada Palownika, znanego z legend jako Dracula. Howard Martin był bardzo dokładnym kustoszem, podobnie jak ja naukowcem, i nigdy nie pozwoliłby sobie na taką omyłkę. Jedną z pierwszych rzeczy, na jaką zwróciłem uwagę, była jego prawie fotograficzna pamięć odnośnie do szczegółów, coś co zawsze doceniałem w nowo poznanych ludziach.

A druga: choroba, na którą cierpiał... Nieszczęśnik. Jego zwiotczone wargi, kiedy się uśmiechał, opadały, odsłaniając sterczące troszeczkę górne kły, co nadawało jego obliczu bardzo nieprzyjemny wyraz. Aż za dobrze pamiętałem urzędnika ze Stambułu, z tym tylko, że z szyją Martina było wszystko w porządku. W każdym razie na tyle, na ile zdołałem się zorientować. Opanowałem wewnętrzny dygot i odebrałem od niego książkę.

„A swoją drogą, mapa jest godna najwyższej uwagi” - oświadczył nieoczekiwanie.

„Mapa?”

Skamieniałem. Znałem tylko jedną mapę - właściwie trzy, a każda w coraz większej skali - ale one nie miały tu nic do rzeczy. Byłem przekonany, że nie wspominałem o ich istnieniu obcemu mi przecież człowiekowi.

„ Czy pan sam ją naszkicował? Najwyraźniej nie jest stara, ale ma pan rękę artysty. A pański umysł nie jest schorzały, jeśli tak mogę powiedzieć ”.

Gapilem się na niego jak ciele na malowane wrota, nie mogąc odszyfrować znaczenia jego słów, a jednocześnie bojąc się zapytać, co konkretnie ma na myśli. Czyżbym zostawił w księdze jeden ze swoich szkiców? Ale byłem pewien, że dokładnie przejrzałem wolumin, strona po stronie, zanim przekazałem go w jego ręce.

„ Włożyłem ją pod ostatnią stronicę książki - powiedział uspokajająco. - A teraz, doktorze Rossi, mogę zaprowadzić pana do księgowości. Chyba że woli pan otrzymać rachunek do domu ”.

Otworzył drzwi i znów przesłał mi dziwny uśmiech. Odniosłem wrażenie, że nie powinienem dłużej studiować książki, którą trzymałem w ręce, a w jaskrawym świetle zalewającym korytarz zrozumiałem, iż ów osobliwy uśmiech był jedynie wytworem mojej nadpobudliwej wyobraźni, że mimo trawiącej go choroby, pan Martin był normalnym człowiekiem; może tylko trochę znużonym i przygarbionym po dziesiątkach lat spędzonych nad kartami historii. To wszystko. Stojąc w progu, wyciągnął do

mnie w serdecznym, pożegnalnym geście dłoń. Uścisnąłem ją i wymamrotałem, by rachunek przysłano na mój uniwersytecki adres.

Mierząc czujnie każdy krok, oddalałem się od jego drzwi, aż zniknęły za zakrętem korytarza. Minąłem główny hol i opuściłem ogromny, zbudowany z czerwonej cegły zamek, w którym on i jego współpracownicy z takim zamięłowaniem oddawali się pracy. Odetchnąłem świeżym powietrzem, przeszedłem przez równo przystrzyżony trawnik i usiadłem na ławce, starając się być zarówno widoczny, jak i niewidoczny.

Trzymana w dłoni książka otworzyła się ze swą zwykłą, złowieszcą usłużnością, a ja ze zdumieniem popatrzyłem na jakąś luźną kartkę wsuniętą między stronicę. Normalnie odkryć ją mogłem tylko przypadkowo, kartkując od końca całą księgę - delikatny rysunek na kalce, zupełnie jakby ktoś zdobył moją trzecią, najważniejszą mapę i skopiował dla mnie wszystkie jej tajemnicze szczegóły. Nazwy w języku starosłowiańskim były takie same jak na mojej mapie: „ Wioska Kradnących Świnie”, „Dolina Ośmiu Dębów ”. Szkic ów różnił się od mojego rysunku jednym szczegółem. Pod napisem „Bezbożny Grobowiec ” widniał wykonany atramentem schludnymi, lacińskimi literami, nieróżniący się szczególnie od innych nazw, kolejny napis. Otaczał półkolem punkt oznaczający grobowiec, jakby udowadniając swój bezpośredni związek z tym miejscem. Przeczytałem słowa: „Bartolomeo Rossi”.

Czytelniku, jeśli musisz, potraktuj mnie jak tchórza, ale w tej chwili postanowiłem zaprzestać wszelkich, dalszych poszukiwań. Byłem młodym profesorem, mieszkałem w Cambridge w Massachusetts, gdzie prowadziłem wykłady, stołowałem się w towarzystwie nowych znajomych i co tydzień pisywałem do moich starych rodziców. Nie nosiłem przy sobie czosnku ani krzyża, nie żegnałem się, słysząc za sobą w korytarzu czyjeś kroki. Miałem lepszą ochronę - przestałem grzebać w przerażających rozstajach historii. Coś musiało czuć się usatysfakcjonowane tym, że mnie uciszyło, gdyż przestały spadać na mnie kolejne tragedie.

Tak zatem musisz dokonać wyboru między zdrowymi zmysłami i dotychczasowym życiem a prawdziwym wyzwaniem, jakie staje przed naukowcem wielkiej miary. Hedges nie domagał się, bym popchnął go w ciemność. Skoro więc czytasz te listy, znaczy to, że zło wróciło ostatecznie do mnie. Musisz dokonać wyboru. Przekazałem Ci całą swoją wiedzę na temat tej zgrozy. Znając już moją historię, czy odmówisz mi pomocy?

Twój, pełen żalu, Bartholomew Rossi

Cienie pod drzewami coraz bardziej się wydłużały. Mój ojciec kopnął swym wytwornym butem jeden z kasztanów. Odniosłam nagle wrażenie, że gdyby nie miał takiej ogłady i kultury osobistej, splunąłby ordynarnie na ziemię, wyrzucając z siebie w ten prostacki sposób niesmak, jaki czuł. Ale on tylko przełknął ślinę, zebrał się w sobie i powiedział z wymuszonym uśmiechem:

- Boże wielki! O *czym* my *rozmawiamy*? Co za posepny nastrój!

Uśmiechał się, lecz w jego twarzy wyraźnie widziałam trawiący go niepokój, że i na mnie - zwłaszcza na mnie - spadnie jakiś cień, który usunie mnie ze sceny.

Rozluźniłam uchwyt palców zaciśniętych na krawędzi ławki i też zdobyłam się na pozorną bez troskę. Próbowałam rozproszyć jego niepokój tak samo, jak on mój. Zaczęłam kaprysić... ale tylko troszeczkę, by nie wzbudzić jego podejrzeń.

- Znow jestem głodna. Mam ochotę na dobrą kolację.

Na jego twarzy pojawił się normalny już, pogodny uśmiech. Zgiął się w eleganckim ukłonie, podał mi rękę i pomógł wstać z ławki. Zaczął pakować do torby puste butelki po *naranća* i resztki naszego prowiantu. Ochoczo mu w tym pomagałam, zwłaszcza że zamierzał wracać już do miasta, jakby kompletnie zapominając o górującym nad nami zamku. W trakcie opowieści tylko raz spojrzałam w stronę mrocznej budowli. Ale teraz, gdy ponownie odwróciłam wzrok w jej stronę, w górnym oknie, zamiast sprzątaczkki, majaczyła ciemna, olbrzymia postać. Zaczęłam paplać bez sensu o wszystkim, co tylko ślina przynosiła mi na język. Dopóki ojciec nie ujrzy tej sylwetki w oknie, nic złego się nie wydarzy. Oboje byliśmy chwilowo bezpieczni.

14

Przez jakiś czas trzymałam się z dala od biblioteki uniwersyteckiej. Po części dlatego, że czułam osobliwy lęk przed kontynuacją badań, a po części ze względu na panią Clay, gdyż coraz podejrzliwiej patrzyła na moje spóźnione powroty ze szkoły. Tak jak obiecałam, zawsze do niej dzwoniłam, lecz czasami w jej głosie w słuchawce wyczuwałam jakąś płochliwość i nieśmiałość, a wyobraźnia podsuwała mi przed oczy obraz

gospodyni prowadzącej jakieś kłopotliwe rozmowy z moim ojcem. Za mało ją znałam, bym mogła wyciągnąć jakiegokolwiek wiążące wnioski. Ale mój ojciec mógł snuć jakieś żenujące domysły: trawka? chłopcy? Czasami spoglądał na mnie z takim zatroskaniem, że robiłam wszystko, aby nie przysparzać mu dodatkowych zmartwień swoją osobą.

W końcu jednak pokusa okazała się silniejsza. Postanowiłam, że wbrew wszelkim nurtującym mnie rozterkom udam się do biblioteki. Skłamałam, iż po szkole idę z jedną z mało atrakcyjnych koleżanek z klasy na wieczorny seans filmowy - wiedziałam, że Johan Binnerts we środy pełni wieczorny dyżur w dziale średniowiecznym, a mój ojciec chodzi na spotkania do Centrum - włożyłam nowy płaszcz i zanim pani Clay zdążyła cokolwiek powiedzieć, zamknęłam za sobą drzwi.

Czułam się trochę dziwnie, gdy przemierzałam wieczorem główny hol biblioteki wypełniony studentami wyraźnie już zmęczonymi po całym dniu zajęć. Ale czytelnia w dziale średniowiecznym była pusta. Podszłam cicho do biurka pana Binnerts, który przeglądał właśnie nowo zakupione woluminy. Ze zwykłym, miłym uśmiechem oświadczył, że nie ma wśród nich żadnego, który by mnie zainteresował. Przecież lubowałam się tylko w rzeczach makabrycznych i przerażających. Ale, jak obiecał, odłożył dla mnie pewną ciekawą rzecz. Zapytał tylko, dlaczego tak długo nie odwiedzałam biblioteki. Zaczęłam się nieporadnie tłumaczyć, ale on przerwał mi ze śmiechem:

- Już bałam się, że przytrafiło ci się coś złego albo że poszłaś za moją radą i zajęłaś się bardziej pogodnymi rzeczami, jakie przystają młodej damie. Jednak na tyle wzbudziłaś moją ciekawość, że podjąłem dla ciebie specjalne poszukiwania.

Odebrałam z wdzięcznością książkę z jego rąk. Pan Binnerts oświadczył, że idzie teraz do swojej pracowni, ale niebawem pojawi się, aby sprawdzić, czy czegoś jeszcze nie potrzebuję. Kiedyś pokazał mi tę pracownię. Był to niewielki, usytuowany na tyłach czytelni pokój z dużym oknem wychodzącym na czytelnię, gdzie bibliotekarze restaurowali wspaniałe, średniowieczne woluminy oraz podklejali książki nowsze. Kiedy się oddalił, w czytelni zapadła nieprzyjemna, głucha cisza. Nie zwracając na nic uwagi, z zapalem otworzyłam książkę.

Binnerts trafił w dziesiątkę - pomyślałam wtedy, choć wiedziałam, że podstawowym źródłem do dziejów piętnastowiecznego Bizancjum jest tłumaczenie dzieła Michaela Doukasa *Istoria Turco-Bizantina*. Doukas

sporo miejsca poświęcił konfliktowi między Vladem Draculą a Mehmedem II. I teraz po raz pierwszy osobiście przeczytałam słynny opis widoku, jaki ukazał się oczom sułtana, kiedy w roku tysiąc czterysta sześćdziesiątym drugim najechał Wołoszę i ruszył na Tfrgoviste, opustoszałą stolicę Draculi. Na obrzeżach miasta - zapewnia Doukas - Mehmeda powitały *tysiące i tysiące pali z nabitymi na nie ludźmi*. Pośrodku tego ogrodu śmierci znajdował się *piece-de-resistance* Draculi: faworyzowany przez Mehmeda generał Hamza naciągnięty na pal w delikatnych, purpurowych szatach.

Przypominałam sobie archiwum sułtana Mehmeda w Stambule, do którego udał się w celach badawczych Rossi. Książę wołoski był jak bolesny cierń w boku tureckiego władcy - to stało się dla mnie oczywiste. Przyszło mi do głowy, że powinnam poczytać więcej o samym Mehmedzie. Może natrafię na jakieś źródła mówiące więcej o jego relacjach z Draculą. Nie wiedziałam, od czego zacząć, ale pan Binnerts obiecał, że niebawem do mnie wróci.

Zniecierpliwniona odwróciłam się na krześle. Postanowiłam osobiście udać się do jego pracowni. W tej samej chwili posłyszałam jakiś hałas w odległym końcu czytelnicy. Coś w rodzaju głuchego uderzenia, a następnie bardziej wibracji przebiegającej piętro niż rzeczywistego dźwięku - zupełnie jakby ptak w pełnym pędzie uderzył w okno. Zerwałam się na równe nogi i ruszyłam biegiem do pomieszczenia na tyłach czytelnicy, w którym znajdowała się pracownia. Przez szybę nie dostrzegłam pana Binnertsę, co trochę podniosło mnie na duchu. Gdy jednak otworzyłam drzwi, ujrzałam na podłodze nogi w szarych spodniach, wykrecony tors w niebieskiej bluzie, jasne, siwiejące włosy zbroczone krwią i twarz - miłosiernie skrytą częściowo w gęstym cieniu - majaczącą tuż przy nodze biurka. Nieopodal na posadzce leżała rozłożona książka, która zapewne wypadła panu Binnertsowi z ręki. Leżała równie nieruchomo jak on. Na ścianie nad biurkiem widniała krwawa plama z dużym, delikatnym odbiciem dłoni, jakby wymalowanym palcami dziecka. Starłam się zapanować nad sobą, a kiedy w końcu wydobył mi się z gardła okropny krzyk, odniosłam wrażenie, że wydał go ktoś inny.

Spędziłam w szpitalu dwa dni. Nalegał na to mój ojciec. Opiekował się mną lekarz, jego stary przyjaciel. Ojciec był bardzo serdeczny i poważny. Gdy po raz trzeci przesłuchiwał mnie oficer policji, najpierw zajął

miejsce na skraju mego łóżka, a następnie przeniósł się pod okno, gdzie z założonymi na piersi rękami przysłuchiwał się naszej rozmowie. Nikogo w czytelni nie widziałam. Czytałam spokojnie przy swoim stoliku, kiedy usłyszałam głucho uderzenie. Nie znałam zbyt dokładnie bibliotekarza, ale bardzo go lubiłam. Oficer zapewnił mego ojca, że nie jestem o nic podejrzewana. Po prostu przypadkowo znalazłam się najbliższym miejsca zdarzenia. Ale ja niczego nie widziałam, nikt *nie wchodził do czytelni* - o tym byłam najświęciej przekonana - a pan Binnerts ani razu nie krzyknął. Nie miał na ciele żadnych obrażeń. Ktoś po prostu roztrzaskał mu czaszkę o kant blatu biurka. Wymagało to od zabójcy ogromnej siły.

Oszolomiony oficer potrząsnął głową. Krwawy odcisk ręki na ścianie nie pochodził od bibliotekarza, a na dłoniach pana Binnerts'a nie było krwi. Poza tym ślad nie pasował do jego ręki. Linie papilarne odcisków palców były dziwnie zniekształcone i wytarte. „Można by je łatwo porównać z innymi w naszych kartotekach - oświadczył memu ojcu oficer - tylko że nigdy jeszcze z takimi się nie spotkaliśmy”. Policjant wyraźnie się rozgadał. Paskudna sprawa. Nie pochodził z Amsterdamu, służbę pełnił w tym mieście stosunkowo od niedawna. Ale ci wszyscy ludzie, którzy wrzucają rowery do kanałów, okropny przypadek prostytutki, która w poprzednim roku...

Ojciec wymownym spojrzeniem przerwał potok jego wymowy.

Kiedy oficer opuścił salę, ojciec ponownie usiadł na skraju mego łóżka i po raz pierwszy zapytał, co robiłam w bibliotece. Wyjaśniłam, że uczyłam się, bo bardzo lubiłam tam po szkole odrabiać lekcje, gdyż w czytelni było cicho i przytulnie. Bałam się, że zapyta, dlaczego wybrałam akurat czytelnię działu średniowiecznego, ale ku *mej* wielkiej uldze nie ciągnął dalej tego tematu.

Nie powiedziałam mu, że w ogromnym zamieszaniu, jakie nastąpiło po moim wrzasku, odruchowo wsunęłam do torby książkę, którą w chwili śmierci studiował pan Binnerts. Policja, oczywiście, przeszukała dokładnie zawartość torby, ale nikt nie zwrócił uwagi na książkę. Bo i po co? Przecież nie nosiła śladów krwi. Było to dziewiętnastowieczne dzieło o rumuńskich kościołach. Książka upadła na posadzkę, otwierając się na stronie, gdzie wspomniano o kościele na wyspie na jeziorze Snagov, który z przepychem ufundował Vlad IV z Wołoszczyzny. Wedle tradycji został pochowany przy ołtarzu głównym; tak też mówił drobny tekst opisujący apsydę świątyni. Autor zaznaczył jednak, że mieszkańcy wiosek

położonych nad Snagov mają własne legendy. Jakie legendy? - zastanawiałam się, lecz nic więcej nie wyczytałam w książce o tym konkretnym kościele. Na planie apsydy nie dostrzegłam niczego niezwykłego.

Ojciec przysiadł ostrożnie na skraju mego szpitalnego łóżka i potrzęsła głową.

- Chcę, żebyś od teraz uczyła się w domu - powiedział cicho. Po co to mówił? Przecież i tak nigdy bym już nie przekroczyła progów biblioteki. - Chwilowo będzie sypiać z tobą w pokoju pani Clay. A w razie potrzeby znów wezwiemy lekarza. Tylko mi powiedz.

Skinęłam głową, choć pomyślałam sobie, że wolałabym być sama z opisem kościoła na wyspie na jeziorze Snagov niż z panią Clay. Rozważałam też pomysł, czy nie wrzucić książki do kanału - jak roweru, o czym wspomniał policjant - ale zdawałam sobie sprawę z tego, że muszę ją ponownie otworzyć w świetle dnia i jeszcze raz przeczytać. Chciałam to zrobić nie tyle dla siebie, co dla traktującego mnie prawie jak swoją wnuczkę pana Binnertsę, którego ciało spoczywało obecnie w jednej z miejskich kostnic.

Kilka tygodni później ojciec oświadczył, że dla ukojenia nerwów powinien udać się w jakąś podróż. Natychmiast zrozumiałam, że nie chce zostawiać mnie samej w domu.

- Francja - wyjaśnił. - Jej przedstawiciele chcą spotkać się z pracownikami mojej fundacji, zanim rozpoczną najbliższej, zimy negocjacje w Europie Wschodniej. Ma to być nasze ostatnie spotkanie i najlepsza okazja do odwiedzenia wybrzeży Morza Śródziemnego, kiedy już tereny te opuszczą hordy turystów, a jednocześnie nie nadejdzie jeszcze późna jesień i zima.

Przestudiowaliśmy dokładnie mapę i z zadowoleniem stwierdziliśmy, że Francuzi zrezygnowali ze zwykłego miejsca zebrań w Paryżu i wyznaczili spotkanie w ośrodku sportów zimowych niedaleko granicy z Hiszpanią - nieopodal małego, ślicznego Collioure.

- To blisko Les Bains i Saint-Matthieu-des-Pyrenees-Orientales - stwierdziłam.

Twarz mego ojca spochmurniała i zaczął pospiesznie wodzić palcem po mapie.

Śniadanie zjedliśmy na tarasie Le Corbeau, gdzie się zatrzymaliśmy. Powietrze było tak świeże, że dłuższy czas jeszcze zwlekałam z opuszczeniem tego miejsca. Ojciec dołączył do innych mężczyzn przybranych w eleganckie, ciemne garnitury i przeszli do sali konferencyjnej. Niechętnie zebrałam książki i popatrzyłam tęsknie na oddalone ode mnie o kilkadziesiąt metrów morze. Siedziałam przy stoliku nad drugą filiżanką gorzkiej, kontynentalnej *chocolat*, którą dawało się pić jedynie z kostką cukru i słodkimi bułeczkami. Blask słońca na fasadach starych domów sprawiał wrażenie wiekiustego. Odnosiło się wręcz wrażenie, iż w suchym, śródziemnomorskim klimacie, z jego nadprzyrodzonym wręcz jaskrawym światłem, żaden sztorm nie miał odwagi wdrzeć się w rajskie zatoczki tej nadmorskiej krainy. W oddali widziałam kilka jachtów wypływających w mieniące się wszystkimi kolorami tęczy morze. Jakaś rodzina z małymi dziećmi z wiaderkami, w kostiumach kąpielowych (tak dla mnie obcych), zmierzała ku piaszczystej plaży. Zatoka skręcała w prawo, a jej brzegi ograniczały stoki pokryte postrzępionymi, skalnymi wzgórzami. Na szczycie jednego z nich widniały ruiny fortecy w kolorze skał i uschniętej trawy. Zbocza porastały skarłate drzewa oliwne, a za nimi rozciągało się bezkresne, niebieskie niebo.

Gdy patrzyłam z zazdrością na rozbrykane dzieci, biegnące w towarzystwie matki w stronę plaży, przeszył mnie ból nieprzynależności. Nie miałam ani matki, ani normalnego życia. Nie wiedziałam nawet, co mam na myśli, mówiąc „normalne życie”, lecz kartkując podręcznik do biologii w poszukiwaniu początku trzeciego rozdziału, pomyślałam mgliście, że oznaczać to może miejsce, gdzie matka i ojciec spotykają się każdego wieczoru przy kolacji, gdzie podróże oznaczają tylko beztrudne wakacje, a nie cygańskie, niekończące się wędrówki przez życie. Spoglądając na dzieci bawiące się szufelkami w piasku, pomyślałam też, iż nigdy nie dotknie ich zgroza historii.

Po chwili jednak, gdy spojrzałam na ich jasne włosy, dotarło do mnie, że nad nimi również wisi ogromne niebezpieczeństwo, z tym tylko, iż nie zdają sobie z tego sprawy. Wszyscy jesteście delikatni i podatni na ciosy. Zadrzałam i popatrzyłam na zegarek. Za kilka godzin na tym tarasie zjem z ojcem obiad. Później znów będę musiała się uczyć, a po siedemastej ruszymy zwiedzać ruiny fortecy, majaczące na horyzoncie - z której, jak oświadczył mój ojciec, zobaczą niewielki nadmorski kościółek w Collioure. Do tego czasu muszę pouczyć się algebry, przerobić niemieckie

czasowniki, przeczytać rozdział o wojnie Dwóch Róż, a następnie... co? Na szczycie wyniosłego klifu wysłucham kolejnej opowieści mego ojca. Opowie mi ją bardzo niechętnie, spoglądając pod nogi na piaszczystą ziemię, bębniąc palcami po skałach starodawnych kamieniołomów, zagubiony we własnych lękach. A później ja zacznę to wszystko analizować, składając ze sobą poszczególne elementy łamigłówek. W dole nagle zapłakało jakieś dziecko. Drgnęłam gwałtownie, rozlewając na stolik czekoladę.

15

- Kiedy skończyłem czytać ostatni list Rossiego - odezwał się mój ojciec - pograżyłem się w nieutulonym żalu, zupełnie jakby mój mistrz i przyjaciel zniknął po raz drugi. Byłem najgłębiej przekonany, że jego nieobecność nie ma nic wspólnego z podróżą do Hartford lub chorobą rodziny na Florydzie (lub w Londynie), jak sugerowała policja. Odepchnąłem te myśli i zająłem się pozostałymi papierami. Postanowiłem najpierw dokładnie je przestudiować, by poznać ich treść. Następnie ułożyłem wszystko w porządku chronologicznym i dopiero wtedy, powoli, zacząłem wyciągać wnioski. Zastanawiałem się, czy Rossi miał przeczucie, że zostając moim promotorem, zapewnia sobie własne przetrwanie. Było to jak ostatni, makabryczny egzamin - choć z drugiej strony szczerze wierzyłem, że nieostatni, zarówno dla mnie, jak i dla niego. Choć wmaślałem w siebie, iż nie mogę niczego planować, dopóki wszystkiego dokładnie nie przeczytam, to już domyślałem się, co zapewne będę zmuszony zrobić. Ponownie otworzyłem spłowieła kopertę.

Na początku, jak zapewnił mnie Rossi, znajdowały się trzy, wyrysowane ręcznie mapy. Pochodziły z tego samego okresu co listy. Rossi bowiem po swych przygodach w Stambule odrysował z pamięci mapy, na które natknął się w tamtejszym archiwum. Pierwsza, jaka wpadła mi w rękę, przedstawiała rozległy masyw górski, gdzie poszczególne wierzchołki zaznaczone zostały w postaci niewielkich trójkątów. Góry tworzyły dwa długie pasma w kształcie półksiężyców biegnące od zachodu i zbiegające się na wschodniej stronie mapy. Przy jej północnej krawędzi widniała wijąca się, szeroka rzeka. Na mapie nie zaznaczono żadnych

osad ludzkich, choć trzy czy cztery niewielkie „x” w zachodniej części gór mogły oznaczać jakieś miasta. Nie dostrzegłem żadnych nazw własnych, ale Rossi - poznałem to po charakterze pisma z ostatniego listu - napisał na marginesach mapy: *A na tych, którzy nie wierzą i którzy umierają jako niewierni, spada przekleństwo Allacha, aniołów i ludzi* (Koran), oraz kilka innych, podobnych wersetów. Zastanawiałem się przez dłuższą chwilę, czy rzeka ta nie jest przypadkiem właśnie tą, która według niego symbolizowała w książce ogon smoka. Ale nie, w takim przypadku powoływałby się na mapę sporządzoną w największej skali. Przeklinałem okoliczności, które sprawiły, że nie mogłem teraz oglądać oryginałów tych map. Mimo fotograficznej pamięci Rossiego i jego dokładnej ręki musiały powstać jakieś przeoczenia i rozbieżności między oryginałem a kopią.

Następna mapa skupiała się na zachodnim rejonie górskim, przedstawionym na pierwszej o wiele ogólniej. Występowały na niej te same oznaczenia „x” i w takiej samej konfiguracji jak na tamtej. Pojawiła się jakaś mniejsza rzeka wijąca się pośród gór. I znów żadnych nazw. Na górnym marginesie Rossi napisał: *Powtarzają się jakieś wersety koraniczne*. Tak, Rossi był jak zwykle drobiazgowy i dokładny. Niestety mapy, jak dotąd, były zbyt proste i niedokładne, abym na ich podstawie mógł ustalić, jakich rejonów dotyczyły. Zawiedzione nadzieje trawiły mnie niczym gorączka. Musiałem jednak wziąć się w garść i skupić nad dalszą pracą.

Trzecia mapa rzucała więcej światła na badane zagadnienie, choć w tamtej chwili nie byłem jeszcze pewien, co z niej wyczytam. W ogólnym zarysie przypominała mapę z mojej książki ze smokiem i z identycznego egzemplarza Rossiego, choć gdyby Rossi nie odkrył tego faktu, sam bym tych podobieństw nie zauważył. Na kopii widniały te same trójkątne wierzchołki, a jeden z nich szczególnie wyciągał się na wschód niczym złożone skrzydła smoka. Na tym szkicu szczyty były już bardzo wysokie, tworzyły potężne grzbiety górskie, rozciągające się z północy na południe. Między nimi płynęła rzeka, tworząc w pewnym miejscu rozległy akwen wodny. Dlaczego nie mogłoby to być owo jezioro Snagov w Rumunii, gdzie na wyspie, wedle legend, pochowano Draculę? Rossi zauważył, że na tym utworzonym przez płynącą rzekę szerokim basenie wodnym nie było żadnej wyspy. Poza tym akwen ów w niczym nie przypominał jeziora. Znów pojawiły się maleńkie „x”, tym razem opatrzone

napisami w cyrylicy. Zakładałem, że są to wioski, o których wspominał Rossi.

Pośród porozrzucanych po całej mapie nazw wiosek zauważyłem kwadracik opatrzony uwagą Rossiego po arabsku: *Bezbożny Grób Tego, Który Zabija Turków*. Nad kwadracikiem widniał naszkicowany z talentem wizerunek malutkiego smoka, ze zdobiącym jego głowę zamkiem. Pod spodem dostrzegłem greckie litery i ich tłumaczenie na angielski dokonane przez Rossiego: *W tym miejscu znalazł przytułek w zlu. Czytelniku, odkop go za pomocą słowa*. Inkantacja ta zawierała w sobie jakiś niebywały czar, wręcz zniewalała. Otworzyłem usta, by wypowiedzieć ją na głos, lecz w ostatniej chwili opamiętałem się i zamknąłem buzię na kłódkę. A jednak jeszcze przez kilkanaście sekund słowa te rozbrzmiewały mi pod czaszką niczym wersy jakiejś piekielnej poezji.

Odsunąłem mapy na bok. Ich widok mnie przerażał - dokładnie tak mówił o tym Rossi. A co dziwniejsze, miałem przecież przed sobą tylko kopie, a nie oryginały. Ale ostatecznie, jaki miałem dowód na to, że Rossi wszystkiego nie spreparował, rysując te mapy dla żartu? Poza listami nie dysponowałem żadnymi oryginalnymi źródłami. Bębniłem palcami po blacie biurka. Tego wieczoru zegar w moim gabinecie tykał wyjątkowo głośno, a dobiegający zza okna szum ulicy wydawał się większy niż zwykle. Od wielu godzin nie miałem nic w ustach, cierpły mi nogi, ale nie umiałem oderwać się od pracy. Popatrzyłem przelotnie na mapę drogową Bałkanów, ale nic szczególnego w niej nie odkryłem... żadnych ręcznych uwag ani zapisków. Broszura dotycząca Rumunii też nie wносиła nic nowego z wyjątkiem dziwacznej angielszczyzny, w jakiej została napisana. Na przykład: *Skorzystaj z naszych barwnych i przerażających okolic*. Pozostały mi jeszcze do przejrzania notatki napisane ręką Rossiego oraz zawartość niewielkiej, zapieczętowanej koperty, która od początku zwróciła moją uwagę. Ją chciałem zostawić na koniec, ale że była zapieczętowana, nie potrafiłem poskromić ciekawości. Sięgnąłem po nóż do papieru, ostrożnie złamałem pieczęć i wyjąłem z koperty kartkę papieru listowego.

I znów miałem przed sobą trzecią mapę z wizerunkiem smoka, wijącą się rzeką i piętrzącymi się karykaturalnie wierzchołkami gór. Skopiowana została czarnym atramentem, podobnie jak wersja Rossiego, ale inną ręką - doskonała kopia, lecz przyjrząwszy się bliżej, skonstatowałem, że litery są bardziej stłoczone, nieco archaiczne i ozdobne. List Rossiego

wprawdzie powinien był przygotować mnie na widok tej jedynej różnicy w stosunku do pierwszej wersji mapy, jednak i tak doznałem prawie psychicznego wstrząsu. Nad kwadracikiem oznaczającym grobowiec, którego strzegł smok, widniały słowa: „Bartolomeo Rossi”.

Zwalczyłem wszystkie nurtujące mnie podejrzenia, lęki i pytania, po czym zająłem się notatkami Rossiego. Dwie pierwsze strony napisał w bibliotece Oksfordu i w British Museum, ale nie wносиły one nic nowego do sprawy poza tym, co już wiedziałem. Był tam również szkic dotyczący życia i czynów Vlada Draculi oraz spis niektórych literackich i historycznych dokumentów, w których wspomniano o księciu na przestrzeni wieków. Kolejna stronica, pisana na innym papierze listowym, datowana była na czas jego wyprawy do Stambułu. *Odtworzone z pamięci* - głosił tytuł nakreślony pospieszonym, ale jak zwykle dokładnym, ręcznym pismem. Uświadomiłem sobie, że notatki te przeniósł na papier zaraz po swojej przygodzie w archiwum, kiedy tuż przed powrotem do Grecji szkicował z pamięci mapy.

Notatki zawierały spis dokumentów z czasów sultana Mehmeda II znajdujących się w stambulskiej bibliotece, które interesowały Rossiego - trzy mapy, księgi rachunkowe z czasów wojen karpackich przeciwko Turkom, rejestry towarów kupców otomańskich handlujących na tych przygranicznych terenach. Materiały te niewiele mi mówiły, ale ciekaw byłem, w jakim dokładnie momencie pracę Rossiego przerwało pojawienie się złowieszczego wyglądającego urzędnika. Czyżby zwoje zawierające księgi rachunkowe i rejestry towarów, o których wspominał, stanowiły trop co do okoliczności śmierci i pochówku Vlada Tepesa? Czy Rossi zdążył je dokładnie przejrzeć i miał czas, by sporządzić kompletną listę wszystkich interesujących go dokumentów, znajdujących się w zasobach archiwum, zanim go skutecznie stamtąd przepłoszono?

Na ostatnim miejscu sporządzonej listy znajdowała się pozycja, która poruszyła mnie do żywego. Zatrzymałem się nad nią zdumiony przez kilka dobrych minut: *Bibliografia, Zakon Smoka (częściowo w formie zwoju)*. W tej pośpiesznej notatce zdumiała mnie jej całkowita niejasność i skłoniła do głębszego zastanowienia. Zazwyczaj uwagi Rossiego były dokładne i tłumaczyły się same przez się. „Po to robię notatki” - mawiał często Rossi. Czy pozycje w bibliografii tak pospiesznie przez niego zgromadzonej, którą dołączył do listy bibliotecznych zbiorów, wchodziły w skład zgromadzonych przez bibliotekę materiałów odnoszących się do

Zakonu Smoka? Jeśli tak, dlaczego znajdowały się *częściowo w formie zwoju!* A zatem musiały być bardzo stare - pomyślałem - zapewne znalazły się w bibliotece jeszcze w czasach istnienia Zakonu Smoka. Ale dlaczego Rossi niczego bliżej nie wyjaśnił, choćby na skrawku papieru listowego? Czyżby bibliografia, bez względu na to, skąd ją wziął, świadczyła o tym, że jego badania są chybione?

Wszystkie te rozważania nad odległym archiwum, które tak dawno temu badał Rossi, nie prowadziły wcale do wyjaśnienia jego zniknięcia. Odłożyłem notatki zniesmaczony bezcelowością moich dociekań. Pragnąłem znaleźć odpowiedzi na gnębiące mnie pytania. Z wyjątkiem tajemnicy leżącej w zwojach zawierających księgi handlowe, w rejestrach i w owej starej bibliografii, Rossi był ze mną zdumiewająco szczery, jeśli chodziło o jego odkrycia naukowe. Ale jakkolwiek było, stworzył sobie luksus, jeśli można to tak nazwać, wyjaśniania wszystkiego za pomocą listów. A jednak nadal nie wiedziałem nic poza tym, że muszę coś zrobić. Koperta była już całkowicie pusta, a ja się niczego nie dowiedziałem. Cała moja wiedza opierała się na zawartości przeczytanych listów. Jednocześnie zdawałem sobie sprawę z tego, że muszę działać szybko. Często pracowałem w nocy, więc doszedłem do wniosku, iż za godzinę znów wstanę i rozgryzę wszystko, co Rossi mówił mi o zagrażającym mu niebezpieczeństwie.

Kiedy wstawałem od biurka, trzasnęło mi w stawach. Przeszedłem do żałośnie małej kuchenki, by odgrzać rosół. Gdy sięgałem po garnek, dotarło do mnie, że nie pojawił się mój kot, z którym zazwyczaj dzieliłem się kolacją. Kot był przybłądą, zawsze się gdzieś włóczył, a ja podejrzewałem, że jego wycieczki bynajmniej nie były bezcelowe. Ale w porze kolacji nieodmiennie pojawiał się przy oknie mojej wąskiej kuchni i wzrokiem domagał się miseczki z tuńczykiem lub sardynkami. Uwielbiałem chwile, kiedy wskakiwał do mego pustego mieszkania, wprowadzając weń trochę życia. Po jedzeniu często zostawał jakiś czas, przysypiając na kanapie. Czasami odnosiłem wrażenie, iż jego idealnie okrągłe, żółte ślepia wyrażają czułość, a czasem współczucie. Był silny, żyłasty, obrośnięty gęstym czarno-białym futrem. Nazwałem go Rembrandt. Podciągnąłem żaluzję, uniosłem okno i zawołałem zwierzaka, nasłuchując skrobania jego pazurów na parapecie. Ale do mych uszu dotarł jedynie odległy szum aut w centrum miasta. Pochyliłem głowę i wyjrzałem przez okno.

Na parapecie leżał w groteskowej pozie kot, jakby bawił się, tarzając na grzbiecie i nagle znieruchomiał. Wciągnąłem stworzenie ostrożnie do kuchni i natychmiast zdałem sobie sprawę z tego, że ma strzaskany kręgosłup. Rembrandt szeroko wytrzeszczał ślepią, w których malowało się przerażenie, szczyrzył ostre zęby. Wiedziałem, iż stworzenie nie mogło spaść na tak wąski parapet. Gdy dotknąłem jego gęstego futra, nad przerażeniem górę wzięła wściekłość. Zabicie takiego dachowca wymagało wielkiej siły i zręczności - pomyślałem. Sprawca tego czynu z całą pewnością został okropnie podrapany i pogryziony. Cóż jednak z tego, skoro mój przyjaciel był martwy. Położyłem go delikatnie na kuchennej podłodze. Pałała mnie straszliwa nienawiść. Ale dopiero przenosząc go na posadzkę, poczułem, że ciało zwierzęcia jest jeszcze ciepłe.

Odwróciłem się na pięcie, dokładnie zatrzasnąłem okno i zacząłem gorączkowo myśleć, co mam dalej robić. W jaki sposób zapewnić bezpieczeństwo samemu sobie? Okna były dobrze zamknięte, a w drzwiach miałem dwa zamki. Ale co mogłem wiedzieć o nadchodzącej z przeszłości zgrozie? Czy mogła przesączyć się do mieszkania szpara pod drzwiami, jak mgła? Lub strzaskać szyby w oknach? Rozejrzałem się po kuchni w poszukiwaniu jakiejś broni. Nie miałem nawet rewolweru. Jednak broń nie chroniła przed Belą Lugosim w filmach o wampirach. Bohater musiał dopiero zabić go specjalnie spreparowaną, srebrną kulą. Co mówił Rossi? „Chodzić z czosnkiem w kieszeni... o, nie!” I jeszcze coś: „Jestem głęboko przekonany, że masz w sobie dobroć, wielką siłę moralną... jakkolwiek by to nazwać. Chciałbym, aby każdy był taki jak ty”.

Wyjąłem z jednej z kuchennych szuflad czysty ręcznik, delikatnie zwinąłem w niego zwłoki mego przyjaciela i położyłem je w przedpokoju. Zamierzałem pochować je następnego dnia, jeśli oczywiście ów następny dzień nastanie jak zwykle. Postanowiłem pogrzebać go na tyłach kamienicy czynszowej najgłębiej, jak zdołam, by nie wygrzebały go bezdomne psy. Na myśl o jedzeniu przewróciło mi się w żołądku, ale przez rozum podgrzałem kubek zupy i ukroiłem kromkę chleba.

Po kolacji znów zasiadłem do biurka, zgarnąłem papiery Rossiego i wsunąłem je do koperty i mocno związałem ją sznurkiem. Na wierzchu położyłem tajemniczą książkę ze smokiem, uważając przy tym, by się przypadkiem nie otworzyła. Przycisnąłem to wszystko klasycznym dziełem Hermanna *Złoty Wiek Amsterdamu* - przez długi czas mojej ulubionej książki. Rozłożyłem na biurku notatki do pracy doktorskiej,

a przed sobą otworzyłem broszurę o gildiach kupieckich w Utrechcie, kserokopię zrobioną w bibliotece, której jeszcze dokładnie nie przestudiowałem. Położyłem przed sobą zegarek i z zabobonnym dreszczem skonstatowałem, że za kwadrans wybije północ. Pomyślałem, iż następnego dnia udam się do biblioteki i tam szybko przeczytam wszystko, co znajdę, a co pomoże mi w nadchodzących dniach. Nie zabolę mnie, jeśli dowiem się czegoś więcej o srebrnych kołkach, kwiatach czosnku i krzyżach. Ostatecznie wieśniacy stosowali je przez całe stulecia jako skuteczną broń przeciw nieumarłemu. Mówiło to wiele o potędze tradycyjnej wiary. Teraz w uszach brzmiały mi jedynie słowa Rossiego, a on nigdy mnie nie zawiodł, jeśli tylko był w stanie mi pomóc. Sięgnąłem po pióro i pochyliłem głowę nad broszurą.

Skupienie nigdy nie przychodziło mi z takim trudem. Każdym nerwem ciała wyczuwałem czyjąś obecność na zewnątrz, jeśli rzeczywiście była to obecność. Bardziej umysłem niż uszami słyszałem szuranie za oknem. Najwyższym wysiłkiem woli wróciłem do Utrechtu z roku tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego. Napisałem jedno zdanie, później drugie. Do północy pozostały cztery minuty. Zapisałem kilka anegdot o życiu holenderskich żeglarzy. Pomyślałem o kupcach, którzy skupiali się w starodawnych gildiach, aby wyciągnąć co najlepsze kąski z życia i towarów, którymi handlowali, żyjących chwilą bieżącą i budujących z nadwyżek szpitale i przytułki dla ubogich. Dwie minuty do północy. Zapisałem imię i nazwisko autora broszury. Zamierzałem do niej zaglądać jeszcze nieraz. *Zbadać znaczenie miejskich drukarni dla kupców* - zanotowałem.

Minutowa wskazówka na moim zegarku przesunęła się nagle do przodu, a ja wraz z nią podskoczyłem na krześle. Stała dokładnie na godzinie dwunastej. Drukarnie mogły mieć ogromny wpływ na pracę kupców

i ogólne funkcjonowanie miast - pomyślałem, robiąc wszystko, by nie zerknąć do tyłu. Zwłaszcza jeśli gildie sprawowały jakąś tam kontrolę nad drukarniami. Może po prostu kupowały w nich udziały? Albo nabywały prasy drukarskie na własność? Czy drukarze mieli własną gildię? A co z wolnością słowa holenderskich intelektualistów? Wbrew okolicznościom naprawdę pochłonął mnie ten temat. Próbowałem przypomnieć sobie wszystko, co czytałem o najwcześniejszych drukarniach w Amsterdamie i Utrechcie. I nagle wyczułem ogromny bezruch powietrza i jakieś osobliwe napięcie. Zerknąłem na zegarek. Trzy minuty po północy. Odychałem normalnie, pióro gładko posuwało się po papierze.

Błysnęła mi myśl, że cokolwiek się na mnie czaiło, nie było aż tak sprytnie, jak się początkowo obawiałem. Cały czas nie przerywałem pracy. Najwidoczniej nieumarły dał nabrać się na mój podstęp. Doszedł do wniosku, że groźba związana ze śmiercią Rembrandta poskutkowała i wreszcie na dobre zająłem się normalną pracą. Oczywiście na dłuższą metę nie zdołałem ukryć swoich planów, ale tej nocy moje zachowanie stanowiło jedyną skuteczną obronę. Przysunąłem bliżej lampę i przez następną godzinę sumiennie studiowałem siedemnasty wiek. Chciałem jeszcze bardziej pogłębić wrażenie, że wróciłem do swych normalnych zajęć. Udając, że piszę, rozmawiałem w duchu z samym sobą. Ostatnim ostrzeżeniem, jakie Rossi otrzymał w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym roku, było jego imię i nazwisko umieszczone na mapie w miejscu, gdzie znajdował się grobowiec Włada Palownika. Zwłok Rossiego nie znaleziono obok biurka, co może i mnie się przytrafić w najbliższym czasie, jeśli nie zachowam rozwagi i ostrożności. Nie znaleziono go rannego na uniwersyteckim korytarzu, jak Hedgesa. Został porwany. Oczywiście jego zwłoki mogły gdzieś spoczywać, ale dopóki nie stwierdzę tego na własne oczy, muszę wierzyć, że żyje. Od następnego dnia zacząłem robić wszystko, by osobiście odnaleźć grobowiec.

Siedząc na szczycie starej, francuskiej fortecy, mój ojciec spoglądał zamyślonym wzrokiem na rozciągające się w dole morze. Tak samo jak patrzył na kołujące w czystym, górskim powietrzu Saint-Matthieu orły.

- Wracajmy do hotelu - mruknął w końcu. - Czy zauważyłaś, że dni stają się coraz krótsze? Nie chcę, by złapał nas tutaj zmrok.

Zniecierpliwiona, odważyłam się zapytać wprost:

- Złapał?

Popatrzył na mnie poważnie, jakby zastanawiał się, co ma mi odpowiedzieć.

- Prowadząca w dół ścieżka jest bardzo stroma - wyjaśnił w końcu. - Poza tym nie chciałbym schodzić po ciemku pośród tych drzew. A ty?

Popatrzyłam na rozciągające się w dole gaje oliwne, o tej przedwieczornej porze sinobiałe, a nie, jak w świetle dnia, srebrzyste z brzoskwińowym odcieniem. Konary i pnie drzewek były powykręcane, skierowane w stronę ruin fortecy, która ongiś je chroniła - albo ich przodków - przed przerobieniem przez Saracenów na pochodnie.

- Też nie - odparłam cicho.

16

Na początku grudnia znów byliśmy w drodze. Opuściło już nas zmęczenie po podróżach do krajów śródziemnomorskich. Ostry, adriatycki wiatr burzył mi włosy. Podobała mi się ta jego gwałtowna pieszczoła. Wiatr, niczym łapy ogromnej bestii, przewalał się przez przystań, furkotały flagi ustawione przed nowoczesnym hotelem, szaleńczo kołysały się gałęzie drzew okalających promenadę.

- Słucham?!-krzyknęłam.

Ojciec znów coś powiedział, wskazując najwyższe piętro cesarskiego pałacu, ale i tym razem jego słowa porwał wiatr. Pod naporem wichury oboje odwróciliśmy głowy.

W promieniach porannego słońca górowała nad nami wspaniała warownia Dioklecjana. Prawie przewróciłam się na plecy, zadzierając głowę, by dojrzeć jej najwyższe partie. „Większość przestrzeni między przepięknymi kolumnami została zamurowana... Najczęściej przez ludzi dzielących zamek na pomieszczenia mieszkalne” - wyjaśnił mi wcześniej ojciec. I teraz szachownica marmurów, różnorodnego kształtu i barwy, zrabowanych z innych rzymskich budowli, lśniła w słońcu, nadając fasadzie bardzo dziwny wygląd. Tu i tam widniały szczeliny spowodowane działaniem wody lub trzęsieniami ziemi. W pęknięciach tych zagnieżdżyły się najróżniejsze zwieszające się pnącza, a nawet niewielkie drzewinki. Wiatr unosił szerokie kołnierze marynarzy włóczących się po dwóch lub trzech po nadbrzeżu. Ich spalone na brąz twarze kontrastowały z białymi mundurami, a regulaminowo obcięte na krótko włosy przypominały drucziane szczoteczki. Idąc za ojcem, minęłam róg budowli, przeszliśmy pod czarnymi, bezlistnymi konarami orzechowców oraz sykomorów, by dotrzeć na otoczony pomnikami plac, na którym okropnie cuchnęło uryną. Tuż przed nami wznosiła się fantastyczna wieża, wystawiona na działanie wiatrów i pokryta dekoracjami niczym weselny tort. Tutaj nie docierały gwałtowne podmuchy wiatru i mogliśmy już rozmawiać normalnie.

- Zawsze chciałem to zobaczyć - powiedział ojciec. - Czy masz ochotę wejść na samą górę?

Z werwą ruszyłam pierwsza po żelaznych stopniach. Rynek nieopodal nadbrzeża - jego widok otwierał się od czasu do czasu przed moimi oczami między marmurowymi łukami konstrukcji - stawał się coraz

mniejszy, drzewa nabierały zlocistobrązowej barwy, a cyprysy nad brzegiem wody stawały się ciemniejsze niż zieleń morza, nad którym wznosiły się ich konary. W miarę jak zdobywaliśmy wysokość, rozciągająca się w dole płaszczyna wodna nabierała granatowej barwy. Między kafejkami na otwartym powietrzu snuły się maleńkie, białe postacie marynarzy. Zataczający ostry łuk łąd, hen, daleko za naszym wielkim hotelem, wskazywał, niczym grot strzały, krainę, gdzie mówiono językiem słowiańskim. Niebawem, w związku z wielkim odprężeniem politycznym, jakie ogarnęło te rejony, miał udać się tam mój ojciec.

Pod dachem wieży przystanęliśmy na chwilę. Ciężko łapaliśmy oddech. Nad nami była już tylko rozległa, Ważna platforma nakrywająca wieżycę. Widziałam ciągnący się od samego dołu pajęczy warkocz żelaznych schodów, którymi tu przyszliśmy. Z wykutych w kamieniu wielkich otworów, o tak niskich balustradach, że każdy z nieuważnych turystów mógł wypaść w dziewięciopiętrową otchłań, kończąca się wyłożonym kamiennymi płytami dziedzińcem, roztaczała się zapierająca dech w piersiach panorama. Wybraliśmy ławkę pośrodku platformy, skąd mieliśmy wspaniałą widok na rozciągające się w dole morze. Nie docierały

tu do nas gwałtowne podmuchy wiatru szalejącego nad wzburzoną, morską tonią, zatrzymywane przez okapy dachu. Ich ostre, sterczące nad przepaścią dzioby łśniły precudnie w promieniach przesuwającego się nad morzem słońca.

- Obudziłem się wcześniej - przerwał ciszę ojciec. - Papiery Rossiego odłożone były na półkę. Nigdy jeszcze nie radowało mnie tak poranne światło słońca jak tego ranka. Do biblioteki dotarłem w chwili, kiedy ją otwierali. Tego dnia musiałem dobrze przygotować się na kolejny, nocny, zajadły napór sił ciemności. Od wielu lat noc była dla mnie bardzo przyjazną porą. Czułem się w niej jak spowity kokonem spokoju, w którym mogłem oddawać się do woli lekturze i pisaniu. Teraz, wraz ze zmierzchem, nadchodziło zagrożenie wzrastające wraz z upływem godzin. Miałem zamiar przygotowywać się do kolejnego wyjazdu, by odrywać się od nieprzyjemnych myśli. Gdybym tylko wiedział, gdzie się udać? - myślałem pośpiesznie.

Główny hol był opustoszały. Ciszę mącił jedynie dźwięk kroków bibliotekarzy, którzy uwijali się wokół swoich spraw. O tak wczesnej godzinie studentów było niewiele i przez najbliższe pół godziny mogłem

mieć w czytelni spokój. Wszedłem w labirynt katalogów, otworzyłem notatnik i zacząłem wyszukiwać potrzebne mi pozycje. W katalogu rzeczowym wynalazłem kilkanaście haseł odnoszących się do Karpat oraz jedno dotyczące folkloru Transylwanii. Znalazłem tam pozycję odnoszącą się do wampirów... wedle legend staroegipskich. Dłuższą chwilę zastanawiałem się nad zagadnieniem powszechności wampirów w różnych kulturach świata. Czy egipskie wampiry przypominały te pochodzące z Europy Wschodniej? Był to problem bardziej dla archeologa niż dla mnie. Niemniej wypełniłem rewers z sygnaturą książki dotyczącej tradycji chińskich.

Następnie zająłem się hasłem „Dracula”. W katalogu hasła i tytuły były beznadziejnie wymieszane: od „Alego Wielkiego Któregoś Tam” po „Smoki Azjatyckie”. Ale powinna znajdować się między nimi fiszka z hasłem *Dracula* Brama Stokera. Książkę tę poprzedniego dnia widziałem w ręku ciemnowłosej, młodej kobiety. Być może biblioteka miała nawet dwa egzemplarze tej klasycznej powieści. Zamówiłbym ją natychmiast. Rossi twierdził, że jest ona konglomeratem badań Stokera nad wampiryzmem, więc doszedłem do wniosku, iż mogę znaleźć w niej wskazówki, które pomogą mi zapewnić sobie jakieś takie bezpieczeństwo. Jak szalony wertowałem kartki katalogu. Hasła „Dracula” nie było nigdzie. Nie spodziewałem się, by hasło to stanowiło główny temat dzieł naukowych, ale Stoker musiał gdzieś być.

I nagle, między „Alim Którymś Tam” a „Smokami” dostrzegłem strzęp karty katalogowej wyrwanej brutalnie z szufladki. Natychmiast wyciągnąłem szufladkę na „ST”. Karty ze Stokerem nie było. Najwyraźniej niedawno ktoś ją usunął. Usiadłem ciężko przy najbliższym stoliku. Wszystko to nie mieściło mi się w głowie. Dlaczego ktoś powyrywał te konkretne fiszki?

Dobrze wiedziałem, że ostatnio z książki tej korzystała ciemnowłosa dziewczyna. Czyżby chciała zatrzeć ślad po swoich poszukiwaniach? Jeśli tak, to dlaczego studiowała książkę jawnie, pośrodku czytelni. Ktoś inny musiał powyrywać karty katalogowe, zapewne ktoś - i dlaczego? - kto nie chciał, by inni czytali tę książkę. Ktokolwiek to zrobił, wykonał to pośpiesznie, nie próbując nawet zatrzeć śladów. Ponownie się nad tym zastanowiłem. Katalog stanowił sacrum. Każdy student, który zostawiał szufladkę na stoliku, nie odstawiając jej na miejsce, dostawał ostrą reprymendę od dyżurnego bibliotekarza. Ktoś, kto powyrywał kartki, musiał to

zrobić w chwili, kiedy nikt go nie obserwował. Jeśli nie zrobiła tego tamta młoda kobieta, komu innemu zależało na tym, żeby nikt nie dotarł do tej książki? A zatem *Dracula* wciąż znajdował się w jej rękach. Prawie biegiem ruszyłem do bibliotecznego lady.

Biblioteka, wybudowana w neogotyckim stylu, w czasach, kiedy Rosi kończył swe studia na Oksfordzie (gdy jeszcze zajmował się zwykłymi sprawami), zawsze wydawała mi się zarówno poważna, jak i trochę komiczna. Droga do głównej lady kojarzyła mi się z nawą katedry. Lada była niczym ołtarz, nad którym stała kamienna figura Matki Boskiej - Matki Wiedzy - w błękitnej szacie, trzymającej w ramionach stertę książek. Każda wydawana książka była opłatkiem koniunii. Wypożyczając książkę, przyjmowało się przenajświętszy sakrament. Dzisiaj traktuję to wszystko jako najbardziej cyniczny żart i lekceważę sobie łaskę Matki Bożej w postaci bibliotekarza.

„Potrzebuję książki, której akurat nie ma na półce - zacząłem. - Kiedy zostanie zwrócona?”

Bibliotekarka, niska niewiasta o ponurej twarzy, około sześćdziesiątki, uniosła głowę znad biurka.

„Jaki tytuł?” - zapytała.

„*Jracula* Brama Stokera”.

„Proszę chwileczkę poczekać. Sprawdzę. - Przekartkowała niewielki katalog. - Przykro mi. Książka jest wypożyczona”.

„Co za szkoda! A kiedy zostanie zwrócona?”

„Za dwa i pół tygodnia. Wypożyczona została wczoraj”.

„Obawiam się, że to dla mnie za długo. Wie pani, piszę pracę doktorską...”

Te słowa wywierały przeważnie skutek magiczny.

„Może pan złożyć zamówienie” - powiedziała obojętnie bibliotekarka i odwróciła posiwiałą, ufryzowaną głowę, wracając do swych zajęć.

„Może to któryś z moich studentów wypożyczył tę książkę, przygotowując się do zajęć. Czy może pani podać mi jego nazwisko? Osobiście się z nim skontaktuję”.

Popatrzyła na mnie zwięzonymi oczyma.

„Zazwyczaj takich rzeczy nie robimy” - odparła.

„Ale to sytuacja wyjątkowa - wyjaśniłem. - Powiem pani szczerze. Muszę wykorzystać pewne fragmenty tej powieści do egzaminów. Właśny egzemplarz pożyczyłem studentowi, ale on gdzieś go zapodział. Mój

błąd, ale sama pani wie, jak to jest ze studentami. Powinienem być mądrzejszy".

Jej twarz rozchmurzyła się, popatrzyła na mnie ze współczuciem.

„Rzeczywiście są okropni - odparła, kiwając głową. - Po każdym semestrze tracimy co najmniej jeden regał książek. Dobrze, zrobię dla pana wyjątek, ale proszę o tym nie opowiadać".

Zaczęła grzebać w stojącej za nią szafie, a ja zastanawiałem się nad dwoistością swojej natury. Kiedy nauczyłem się tak gładko łągać? Czerpałem z tego jakąś niemiłą przyjemność. Za wielkim ołtarzem lady pojawił się inny bibliotekarz, który obrzucił mnie baczny spojrzeniem. Był chudy, w średnim wieku i często go tu widywałem. Miał kolegę nieco wyższego od siebie, ubranego zawsze w podniszczony garnitur i poplamiony krawat. Ponieważ widywałem go wcześniej, zaskoczył mnie jego wygląd. Twarz miał zapadniętą i zniszczoną, jakby trawiła go poważna choroba.

„W czym mogę pomóc? - zapytał nieoczekiwanie, jakby podejrzewał, że mogę coś ukraść.

„Nie, dziękuję, zajmuje się mną ta pani" - odparłem, wskazując bibliotekarkę.

„Rozumiem".

Cofnął się, kiedy wróciła bibliotekarka z paskiem papieru. W pierwszej chwili nie wiedziałem, gdzie patrzeć. Papier zatańczył mi przed oczyma. Kiedy drugi bibliotekarz pochylił się nad zwróconymi książkami, ponad kołnierzykiem jego koszuli ujrzałem dwie świeżo zasklepione rany, z których sączyła się krew. Po chwili wyprostował się i odwrócił, tuląc do siebie książki.

„Czy o to panu chodziło? - zapytała bibliotekarka. Zerknąłem na pasek papieru, który podsunęła mi pod nos. - To rewers na *Draculą* Brama Stokera. Mamy dwa egzemplarze tej książki".

Niechlujnie ubrany bibliotekarz nieoczekiwanie upuścił jedną z książek, która, spadając na posadzkę, wzbudziła liczne echa w rozległym pomieszczeniu. Mężczyzna wyprostował się i popatrzył mi prosto w oczy. W niczym jeszcze wzroku nie spotkałem dotąd takiej czujności i nienawiści.

„O to panu chodziło?" - nastawała zniecierpliwiona bibliotekarka.

„O, nie! - powiedziałem, szybko zbierając myśli. - Musiała mnie pani źle zrozumieć. Chodzi mi o *Zmierzch i upadek cesarstwa rzymskiego*

Gibbona. Mówiłem przecież, że prowadzę wykłady na ten temat i potrzebuję egzemplarza tego dzieła".

Kobieta wyraźnie się nasrożyła.

„Myślałam...”

Czułem się paskudnie po tym, co dla mnie zrobiła, ale i okoliczności nie były miłe.

„Nie ma sprawy - odrzekłem. - Zapewne coś mi się pokręciło. Jeszcze raz zajrzę do katalogów”.

Kiedy jednak wymówiłem słowo „katalogi”, pojąłem, że trochę przesadziłem. Bibliotekarz obrzucił mnie przeciągłym spojrzeniem i potrząsnął głową, jak drapieżnik tropiący swoją ofiarę.

„Dziękuję” - powiedziałem grzecznie i odszedłem od lady, czując wbity w plecy ostry wzrok bibliotekarza, którym odprowadził mnie aż do końca sali głównej. Ostentacyjnie ruszyłem do katalogów i jakiś czas przeglądałem fiszki. Później zamknąłem teczkę i wyszedłem głównymi drzwiami, przez które napływał już tłum wiernych na poranne studia. Na zewnątrz wynalazłem ławkę w najbardziej nasłonecznionym miejscu, plecami oparłem się o neogotycką ścianę i obserwowałem wszystkich wchodzących i wychodzących z biblioteki. Potrzebowałem pięciu minut, by spokojnie wszystko przemyśleć.

Ale wydarzyło się tyle, że krótki namysł nie wystarczał. W jednej oszałamiającej chwili zobaczyłem rany na szyi bibliotekarza i usłyszałem imię i nazwisko czytelniczki, która wyprzedziła mnie, wypożyczając *Dracula*. Nazywała się Helen Rossi.

Wiatr był zimny i przybierał na sile. Ojciec wyjął z torby dwa wodoodporne skafandry. Były ciasno zwinięte, tak żeby zmieściły się razem z jego sprzętem fotograficznym i apteczką. Bez słowa naciągnęliśmy na siebie kurtki i ojciec podjął opowieść.

- Siedząc tam w promieniach późnowiosennego słońca, obserwując gwarne i ruchliwe życie uniwersytetu, zacząłem nagle zazdrościć zwyczajnie wyglądającym studentom i wykładowcom rojącym się na dziedzińcu. Wydaje się im, że na egzaminie wyznaczonym na następny dzień kończy się cały świat - pomyślałem z goryczą. Żaden z nich nie zrozumiałby mojej dramatycznej sytuacji ani nie pomógłby mi z niej się wyplątać. Ogarnęła mnie dojmująca samotność. Nagle zostałem wyrzucony na margines

mojego środowiska, mojego wszechświata. Poczulem się jak pszczoła robotnica usunięta z ula. Ze zdumieniem uświadomiłem sobie, że wszystko to zaczęło się zaledwie przed czterdziestoma ośmioma godzinami.

Musiałem teraz kalkulować na zimno i szybko. Po pierwsze, to co osobiście oświadczył Rossi: ktoś z zewnątrz, kto bezpośrednio zagroził Rossiemu - w tym przypadku tym kimś był niedomyty bibliotekarz o dziwnym wyglądzie - został ugryziony w szyję. Założmy - powiedziałem do siebie i prawie wybuchnąłem śmiechem na myśl o tak niedorzecznych rzeczach, w które zaczynałem wierzyć - założmy, że naszego bibliotekarza ukąsił wampir i to całkiem niedawno. Rossi został porwany ze swego gabinetu, zostawiając tam ślady krwi - przypominałem sobie w duchu - zaledwie przed dwoma dniami. Dracula, jeśli rzeczywiście grasował po świecie, najwyraźniej przejawiał szczególne zainteresowanie nie tylko najgenialniejszymi naukowcami (tu przypominałem sobie nieszczęsnego Hedgesa), ale też bibliotekarzami i archiwistami. Nie. Gwałtownie wyprostowałem się, odkrywając nieoczekiwanie klucz. Przejawiał szczególne zainteresowanie osobami zajmującymi się archiwami, gdzie znajdują się materiały dotyczące starych legend. Najpierw urzędnik w Stambule, który odebrał Rossiemu mapę. Badacz ze Smithsonian również - pomyślałem, przypominając sobie ostatni list Rossiego. No i oczywiście sam Rossi, który posiadał egzemplarz „jednej z tych miłych książek” i badał wszelkie inne dostępne dokumenty mające związek z tą sprawą. A teraz ten bibliotekarz, choć nie miałem żadnych dowodów, że to on zajmował się jakimiś materiałami dotyczącymi Draculi. A na końcu... ja?

Sięgnąłem po teczkę i ruszyłem do budki telefonicznej usytuowanej w pobliżu studenckiej stołówki.

„Z informacją uniwersytecką, proszę”.

Byłem przekonany, że nikt za mną nie szedł, ale dla pewności zamknąłem się dokładnie w kabinie, z której bacznie obserwowałem każdą przechodzącą w pobliżu osobę.

„Czy macie na liście pannę Helen Rossi? Tak, absolwentka” - zaryzykowałem.

Uniwersytecka telefonistka była bardzo lakoniczna. Przez dłuższą chwilę słyszałem, jak wertuje jakieś papiery.

„Na liście mieszkanek żeńskiego akademika mamy H. Rossi” - powiedziała.

„Tak, to ta. Serdecznie dziękuję”.

Wykręciłem podany mi numer. W słuchawce rozległ się ostry głos kierowniczkii akademika.

„Panna Rossi? Tak? A kto dzwoni?”

Boże, nie przewidziałem tego szczegółu.

„Jej brat - wyjaśniłem szybko. - Powiedziała, że znajdę ją pod tym numerem”.

Usłyszałem dźwięk oddalających się kroków, a niebawem odgłos innych, bardziej energicznych. Szelest podnoszonej słuchawki.

„Dziękuję, panno Lewis - usłyszałem stłumiony głos, a następnie w słuchawce słowa wypowiedziane niskim, zdecydowanym tonem, jaki zapamiętałem z biblioteki: - Nie mam brata. - W jej głosie kryła się groźba. - Kto dzwoni?”

Ojciec zatarł energicznie zziębnięte dłonie, powodując, że rękawy jego skafandra zmarszczyły się niczym bibułki. Helen - pomyślałam, ale nie odważyłam się wymówić tego imienia na głos. Zawsze bardzo je lubiłam. Kojarzyło mi się z odwagą i urodą, jak preraphaelicki frontyspis przedstawiający Helenę trojańską w książce *Iliada dla dzieci*, którą miałam jeszcze jako dziecko w Stanach Zjednoczonych. A poza tym imię to nosiła moja matka, ale tego tematu mój ojciec nigdy nie poruszał.

Popatrzyłam na niego twardo, ale on nie dopuścił mnie do słowa.

- Gorąca herbata w jednej z tych kafejek - powiedział. - Tego potrzebuję. Co ty na to?

Po raz pierwszy zauważyłam, że jego przystojne, układne oblicze dyplomaty maći jakiś smutek, malujący się w jego oczach, i nadaje twarzy taki wyraz, jakby człowieka tego *dręczyła bezsenność*. Wstał i przeciągnął się. Popatrzyliśmy po raz ostatni na roztaczający się w dole widok.

Ojciec lekko popchnął mnie do tyłu, jakby w obawie, że spadnę w rozciągającą się pod naszymi nogami przepaść.

17

Ateny najwyraźniej denerwowały i męczyły mego ojca. Zauważyłam to już pierwszego dnia pobytu w tym mieście. Mnie natomiast cieszyły i dodawały animuszu. Uwielbiałam tę kombinację rozkładu i żywotności,

duszące opary spalin wiszące nad placami, parkami i starożytnymi budowlami, ogrody botaniczne z uwiecznionymi w klatkach lwami, podniebny Akropol z przycupniętymi u jego stóp podejrzanymi restauracyjkami. Ojciec obiecał, że w wolnej chwili wejdziemy na to wyniosłe wzgórze. Był luty tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku. Po raz pierwszy od blisko trzech miesięcy podróżował bez bliżej sprecyzowanego celu, a zabrał mnie ze sobą bardzo niechętnie, ponieważ nie znosił widoku greckiego wojska na ulicach. Ale ja napawałam się każdą chwilą.

Uczyłam się przykładowo w hotelowym pokoju, skąd miałam widok na liczącą dwa i pół tysiąca lat świątynię stojącą na wzgórzu. Widziałam szosy, drogi i aleje wijące się stromo do Partenonu. Wyprawa tam wymagała długiego, powolnego marszu - znajdowaliśmy się wszak w gorącym kraju, gdzie lato zaczynało się wcześniej - między bielonymi wapnem domami i zdobionymi sztukaterią sklepikami z napojami orzeźwiającyymi. Mijałobyśmy starożytne rynki i ruiny pogańskich świątyń, pokryte dachówką budynki. Widziałam cały ten labirynt z brudnego okna mego pokoju. Przenosiliśmy wzrok z jednego widoku na inny, spoglądając na to, co mieszkający w sąsiedztwie Akropolu ludzie mieli na co dzień. Siedząc w pokoju, wyobrażałam sobie wędrówki pośród ruin, zwiedzanie posępnych budynków urzędowych, śródziemnomorskich parków, krętych uliczek, kościołów o złożonych kopułach lub pokrytych czerwoną dachówką, rozsianych niczym lśniące w wieczornym świetle skały na szarych plażach.

Za nimi, znacznie, znacznie dalej, majaczyły na tle nieba apartamentowce i bardziej nowoczesne hotele niż nasz. Zbudowano je na odległych przedmieściach Aten. Poprzedniego dnia przejeżdżaliśmy przez nie pociągiem. A jeszcze dalej rozciągała się bezkresna dal, której nawet nie próbowałam sobie wyobrazić. Ojciec otarł twarz chusteczką. Obrzuciłam go ukradkowym spojrzeniem. Wiedziałam, że kiedy dotrzemy już na samą górę, pokaże mi nie tylko starożytne ruiny, ale ujawni również kolejny fragment swej przeszłości

- Restauracja, w której się umówiliśmy - zaczął ojciec - znajdowała się wystarczająco daleko od kampusu, bym mógł oderwać myśli od upiornego bibliotekarza (który zapewne miał popołudniowy dyżur z krótką przerwą na lunch). Jednocześnie była na tyle blisko, że kobieta nie powinna nabrać podejrzeń, iż wyciągam ją w jakiś odległy zakątek, gdzie

maniak z siekierą może zrobić z niewiastą, co chce. Nie miałem pewności, czy nie znając moich prawdziwych motywów, stawi się na spotkanie punktualnie, ale kiedy wszedłem do lokalu, natychmiast dostrzegłem w odległym końcu sali jej błękitną chustę i leżące na stoliku białe rękawiczki. Pamiętaj, że były to jeszcze czasy, kiedy nawet studentki na takie spotkania ubierały się w sposób bardzo mało praktyczny. Włosy miała zaczesane do tyłu i spięte szpilkami tak, że kiedy spojrzała w moją stronę, odniosłem wrażenie, iż przypatruje mi się jeszcze bardziej uważnie niż w bibliotece poprzedniego dnia.

„Witam - powiedziała ozięble. - Zamówiłam dla pana kawę, gdyż podczas naszej telefonicznej rozmowy wyczułam w pańskim głosie okropne zmęczenie”.

Słowa te odebrałem jako zarozumiałość i arogancję. Skąd mogła wiedzieć, jaki głos mam na co dzień, a poza tym kawa zapewne już wystygła. Ale tym razem grzecznie się przedstawiłem i z lekkim niepokojem uściśnięciem jej dłoń. Chciałem natychmiast zapytać ją o nazwisko, lecz zdecydowałem, że należy poczekać na bardziej odpowiedni moment. Dłoń miała gładką, suchą i chłodną, jakby wciąż była w rękawiczce. Odsunąłem krzesło i zająłem miejsce naprzeciwko niej. Pozostawała mi tylko nadzieja, że moja koszula jest wystarczająco czysta, nawet jak na spotkanie z grasującymi wampirami. Jej męskiego kroju biała bluzka, pod czarnym żakietem, była wprost nieskazitelna.

„Dlaczego podejrzewałam, że pan ponownie się do mnie odezwie?”

Wypowiedziała te słowa prawie z pogardą.

„Wiem, że wydaje się to pani dziwaczne”.

Wyprostowałem się na krześle i próbowałem spojrzeć jej w oczy ciekaw, czy zdążę zadać wszystkie pytania, jakie zamierzałem, zanim ona nie wstanie z miejsca i po prostu nie odejdzie.

„Przepraszam. Naprawdę nie stroję sobie żartów, nie próbuję zawracać pani głowy ani odrywać od pracy”.

Skinęła głową z uśmiechem. Obserwując bacznie kobietę, doszedłem do wniosku, że twarz i głos nieznaną mi były zarówno szpetne, jak i pełne elegancji. Ale łagodny uśmiech, malujący się na jej obliczu, dodał mi nieco odwagi.

„Dzisiejszego ranka odkryłem coś dziwnego - powiedziałem ośmielony. - Dlatego tak nieoczekiwanie do pani zadzwoniłem. Czy biblioteczny egzemplarz *Draculi* wciąż znajduje się u pani?”

Była szybka, ale ja szybszy, gdyż spodziewałem się takiej właśnie reakcji. Jej blada twarz pobladła jeszcze bardziej.

„Mam - odparła ostrożnie. - A jaki interes ma osoba sprawdzająca, co ktoś inny wypożyczył z biblioteki?”

Nie dałem wziąć się na ten wabik.

„Czy to nie pani powydziarała z katalogu karty tej książki?”

Tym razem jej reakcja była naturalna i nieukrywana.

„Zrobiłam co?”

„Dziś z rana pojawiłem się w katalogach, poszukując pewnych informacji na... na temat, który oboje nas interesuje. Odkryłem, że wszystkie karty odnoszące się do Draculi i Stokera zostały powyrywane z szufladek”.

Twą jej stężała, stała się prawie odrażająca, oczy rozbłysły. Ale w tej samej chwili, po raz pierwszy od czasu, kiedy Massimo wykrzyknął, że Rossi zaginął, poczułem, jak spada mi ciężar z barków. Zastąpiło go jednak okropne poczucie osamotnienia. Ani nie wybuchnęła śmiechem, słysząc moje melodramatyczne oświadczenie, ani nie zmarszczyła brwi, ani nie sprawiała wrażenia zaskoczonej. A co najważniejsze, w jej wzroku nie było śladu przebiegłości, niczego, co wskazywałoby na to, że rozmawiam z wrogiem. Twą kobiety wyrażała tylko jedno uczucie: lekki, przyprawiający o dreszcz lęk.

„Wczoraj rano jeszcze tam były - powiedziała powoli, jakby odkładała broń i przygotowywała się do rozmowy. - Najpierw szukałam pod hasłem »Dracula«. Znalazłam jedną fiszkę. Poszukałam zatem innych prac Stokera. Znalazłam kilka pozycji, w tym *Draculę*”.

Kelner postawił przed nami filiżanki z kawą i kobieta odruchowo sięgnęła po naczynie. Zatręskniłem gwałtownie za Rossim, który zawsze, z niewyobrażalną gościnnością, częstował mnie kawą o całe niebo lepszą niż ta. Och, ileż pytań miałem do tej dziwnej, młodej kobiety.

„Ktoś najwyraźniej nie chce, by pani... ja... ktokolwiek zajmował się tą książką” - powiedziałem cichym, spokojnym głosem, wpatrując się w jej twarz.

„Nigdy jeszcze nie słyszałam większej głupoty” - odrzekła szorstko, wsypała do filiżanki cukier i zaczęła mieszać kawę.

Ale wcale nie sprawiała wrażenia do końca przekonanej, a ja naciskałem dalej.

„Czy wciąż ma pani tę książkę?”

„Tak - odpowiedziała, odkładając z hałasem łyżeczkę. - Mam ją ze sobą”.

Zerknęła na teczkę, którą miała również poprzedniego dnia.

„Panno Rossi - powiedziałem. - Proszę mi wybaczyć. Obawiam się jednak, że potraktuje mnie pani jak wariata, jeśli powiem, iż jestem najgłębiej przekonany, że grozi pani poważne niebezpieczeństwo przez sam fakt posiadania tej książki. Ktoś najwyraźniej nie chce, by pani ją miała”.

„Skąd taki pomysł? - odparowała, nie patrząc mi w oczy. - Kto, zdaniem pana, nie chce, bym zajmowała się tą powieścią?”

Twarz oblał jej delikatny rumieniec i jakby w poczuciu winy spuściła wzrok na filiżankę z kawą. Tylko tak można było to określić: dręczyło ją poczucie winy. Ze zgrozą wyobraziłem sobie, że może być w porozumieniu z wampirem. Narzeczona Draculi - pomyślałem przerażony, przypominając sobie niedzielne seanse filmowe. Smoliście czarne włosy pasowały jak najbardziej, twarde, trudny do zidentyfikowania akcent, usta ciemne niczym sok jeżyn, śnieżnobiała cera, elegancki czarno-biały strój. Zdecydowanie odrzuciłem tę myśl. Była to jakaś fantasmagoria korelująca z moimi roztrzęsionymi nerwami.

„Czy zna pani kogoś, komu zależy na tym, by nie zajmowała się pani tą książką?”

„Uczciwie mówiąc, tak. Ale to już z całą pewnością nie pański interes. - Przesłała mi płonące spojrzenie znad filiżanki kawy. - A swoją drogą, dlaczego tak bardzo zależy panu na tej książce? Jeśli chodziło panu tylko o numer mego telefonu, trzeba było zapytać wprost, a nie bajtlować bez sensu”.

Tym razem to ja oblałem się gorącym rumieńcem. Rozmowa z tą kobietą przypominała wymianę policzków wymierzanych tak, że człowiek nie wiedział, kiedy spadnie następny.

„Nie obchodził mnie numer pani telefonu - powiedziałem oziębło - aż do chwili, kiedy zobaczyłem ślady powyrywanych z katalogu fiszek i wtedy pomyślałem, że pani może coś na ten temat wiedzieć. Bardzo potrzebowałem tej książki. Zaszedłem zatem do biblioteki w nadziei, że mogą mieć w zbiorach dwa egzemplarze tej powieści”.

„Ale nie mieli - odrzekła zapalczywie. - Był to więc dla pana wspólny pretekst, aby do mnie zadzwonić. Skoro aż tak bardzo potrzebował pan tej książki, dlaczego jej sobie nie zarezerwował?”

„Bo potrzebuję jej teraz” - odwarknąłem.

Jej ton zaczynał mnie coraz bardziej drażnić. Oboje mogliśmy popaść w poważne kłopoty, a ona używała wszelkich wybiegów, by nasze spotkanie zamienić w randkę, którą oczywiście nie było. Przypomniałem sobie, że kobieta nie wie przecież, w jakiej znalazłem się matni. Następnie dotarło do mnie, iż jeśli o wszystkim jej powiem, uzna mnie za szaleńca. Ale moja opowieść z kolei mogła sprowadzić na głowę nieznamym jeszcze większe niebezpieczeństwo. Odruchowo westchnąłem na głos.

„Próbuję mnie pan odstraszyć od tej książki? - zapytała, kpiąco wykrzywiając usta. - Tak, jestem tego pewna”.

„Wcale nie. Ale chcę wiedzieć, kto pani zdaniem nie chce, by pani zajmowała się tą książką”.

Odstawiłem filiżankę i popatrzyłem kobiecie prosto w oczy.

Opuściła ręce. Na kłapie jej zakietu dostrzegłem pojedynczy długi włos, który lśnił miedzią na czarnej wełnie. Kobieta przez chwilę zbierała myśli.

„Kim właściwie pan jest?” - zapytała nieoczekiwanie.

„Absolwentem historii na tutejszym uniwersytecie”.

„Historii?”

„Piszę pracę doktorską na temat holenderskiego handlu w siedemnastym wieku”.

„Aha. - Na chwilę zamilkła. - Ja jestem antropologiem. Ale też bardzo interesuję się historią. Badam zwyczaje i tradycje Bałkanów oraz Europy Środkowej, zwłaszcza mojej rodzinnej... - zawiesiła głos, a po twarzy przemknął jej wyraz smutku. - Mojej rodzinnej Rumunii”.

Teraz ja gwałtownie drgnąłem. Sprawa stawała się coraz bardziej intrygująca.

„I dlatego chciała pani przeczytać *Draculę*?”

Jej uśmiech mnie zaskoczył. Miała białe, równe i zadziwiająco małe zęby. Po chwili jednak zaciśnęła usta.

„Jeśli tak pan sądzi...”

„Nie odpowiedziała pani na moje pytanie” - odrzekłem z wyrzutem.

„A dlaczego miałabym na nie odpowiadać? - Wzruszyła ramionami. - Nie znam pana, a pan chce odebrać mi książkę, którą wypożyczyłam z biblioteki”.

„Panno Rossi, może grozić pani niebezpieczeństwo. Nie chcę straszyć, ale mówię to poważnie”.

Popatrzyła na mnie zwięzonymi oczyma.

„Pan coś ukrywa - oświadczyła. - Ale odpowiem panu, jeśli pan poinformuje mnie.

Nigdy jeszcze nie rozmawiałem z kobietą taką jak ona ani nie spotkałem takiej niewiasty. Była wojownicza, a jednocześnie za grosz zalotna. Odnosiłem wrażenie, że jej słowa są niczym staw wypełniony zimną wodą, w którą wskakiwałem, nie zważając na konsekwencje.

„W porządku. Pani odpowie na moje pytanie pierwsza - odrzekłem, wpadając w jej ton. - Kto pani zdaniem nie chce, by zajmowała się panią książką?”

„Profesor Bartholomew Rossi - odparła z sarkazmem. - Jest pan historykiem, więc to imię i nazwisko z całą pewnością coś panu mówi”.

Popatrzyłem na nią tępo.

„Profesor Rossi? Co... co pani chce przez to powiedzieć?”

„Odpowiedziałam po prostu na pana pytanie. - Wyprostowała się na krześle, poprawiła żakiet i przesunęła rękawiczki na drugą stronę stolika. Pomyślałem przelotnie, że napawa się efektem, jaki jej słowa wywarły na mnie. - A teraz niech pan wyjaśni, co miał na myśli, mówiąc tak melodramatycznie o zagrożeniu, jakie niesie ta książka”.

„Panno Rossi, powiem pani. Powiem wszystko, co wiem. Ale najpierw, proszę, niech pani poinformuje mnie, co łączy panią z profesorem Bartholomew Rossim”.

Pochyliła się i sięgnęła po torbę. Wyjęła z niej skórzane pudełko.

„Czy mogę zapalić? - I znów pod jej pozorną, kobiecą skromnością wyczułem ową męską swobodę. - A może i pan ma ochotę?”

Potrząsnąłem odmownie głową. Nie znosiłem tytoniu, ale z jej białej, gładkiej dłoni byłem prawie gotów przyjąć papierosa. Zaciągnęła się głęboko dymem.

„Sama nie wiem, dlaczego obcemu człowiekowi miałabym to mówić - mruknęła z zadumą. - Może skłania mnie do tego samotność tego miejsca. Od dwóch miesięcy nie rozmawiałam z nikim o niczym innym, jak o mojej pracy. Ale pan nie wygląda na plotkarza, choć na moim wydziale aż się od nich roi - powiedziała z wyraźną goryczą. - Ale jeśli da mi pan słowo... - dodała hardo, ściskając w palcach papierosa. - Ze słynnym profesorem Rossim łączy mnie jedno. Jest moim ojcem. Moją matkę poznał w Rumunii, gdzie tropił ślady Draculi”.

Rozlałem kawę, która pociekła na stolik, prysnęła na moją niezbyt

czystą koszulę i kobiecie na policzek. Panna Rossi otarła twarz i bacznie popatrzyła mi w oczy.

„Boże, przepraszam! Bardzo przepraszam!”

Zacząłem rozpaczliwie wycierać stół i koszulę papierowymi serwetkami.

„Widzę, że zaskoczyło to pana - powiedziała z nieruchomą twarzą. - Musicie się zatem znać”. /

„Dobrze go znam. Jest moim promotorem. Ale nigdy nie wspominał o Rumunii, o tym, że... nigdy nie mówił, że ma rodzinę”.

„Bo nie ma. - Chłód, z jakim to powiedziała, zmroził mnie do szpiku kości. - Nigdy się z nim nie spotkałam, choć wiedziałam, że to tylko kwestia czasu. - Przygarbiła się jakby w buncie przeciw dalszym wyznaniom. - Widziałam go tylko raz, z daleka, podczas wykładu... Wyobraża sobie pan pierwsze spotkanie z ojcem na taką odległość”.

Przesunąłem na skraj stolika stosik zmoczonych serwetek, filiżankę i łyżeczkę.

„Dlaczego?”

„To dziwna historia - odparła, patrząc na mnie badawczo. - Kochałam ich i obojgu wybaczyłam. - Mówiła to z osobliwym, twardym akcentem. - Ale może nie ma w tym nic dziwnego. Mój ojciec spotkał matkę w jej rodzinnej wiosce, polubili się, a po kilku tygodniach wyjechał, zostawiając swój adres w Anglii. Po jego wyjeździe matka odkryła, że jest w ciąży, a jej siostra, mieszkająca na Węgrzech, sprowadziła ją do siebie, zanim jeszcze przyszłam na świat”.

„Rumunia? - bardziej wychrypiałem, niż powiedziałem. - Nigdy mi nie wspominała, że odwiedził Rumunię”.

„I nic w tym dziwnego - rzekła. - Powiedziała mi o tym matka. Napisała do niego z Węgier pod adres, jaki jej zostawił, o dziecku. Odpisał, że wcale jej nie zna, że nie wie, skąd zdobyła jego nazwisko, i że nigdy nie był w Rumunii. Wyobraża pan to sobie?”

Borowała mnie przenikliwym wzrokiem swych czarnych i osobliwie wielkich w tej chwili oczu.

„W którym roku się pani urodziła?” - zapytałem.

Zadałem to pytanie bez skrępowania, ponieważ tak osobliwej osoby nigdy jeszcze w życiu nie spotkałem.

„W tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym - odparła niskim głosem. - Kiedy byłam już na studiach, matka zabrała mnie na kilka dni do

Rumunii. - Wtedy nie wiedziałam jeszcze nic o Draculi, ale nawet wówczas nie mogła wrócić do rodzinnej wioski".

„Wielki Boże! - szepnąłem, wbijając wzrok w blat stolika. - Matko Boska, a ja myślałem, że powiedział mi o sobie wszystko. Jednak nie".

„Powiedział panu... co?" - zapytała ostro.

„Dlaczego się pani z nim nie spotkała? Czy on nie wie, że pani tu jest?"

Obrzuciła mnie dziwnym spojrzeniem, ale odpowiedziała bez wahania:

„Przypadek. I mój kaprys... - Zamilkła na chwilę. - Na uniwersytecie w Budapeszcie powodziło mi się znakomicie. Tak naprawdę uważano mnie tam za geniusza".

Powiedziała to bez fałszywej skromności. Uświadomiłem sobie po raz pierwszy, że po angielsku mówi wyśmienicie. Może naprawdę była geniuszem.

„Nie uwierzy pan, ale moja matka nie ukończyła nawet szkoły podstawowej, choć później trochę się podkształciła. Kiedy miałam szesnaście lat, wstąpiłam na uniwersytet. Oczywiście, matka opowiedziała mi o ojcu, czytałyśmy jego znakomite książki, nawet za żelazną kurtyną: kultura minojska, kultury religijne krajów śródziemnomorskich, epoka Rembrandta. Ponieważ wyrażał się pozytywnie o brytyjskich socjalistach, drukowano u nas jego książki. W liceum pilnie uczyłam się angielskiego... a wie pan dlaczego? Żebym mogła czytać zdumiewające książki doktora Rossiego w oryginale. Nie miałam szczególnych kłopotów, by go zlokalizować. Na skrzydełkach jego książek widziałam nazwę uniwersytetu, na którym wykładał, i poprzysięgłam sobie, że pewnego dnia tam pojedę. Wszystko sobie dokładnie przemyślałam. Nawiązałam odpowiednie, polityczne znajomości... udawałam, że pasjonuje mnie słynna robotnicza rewolucja w Anglii. A kiedy nadszedł czas, zrobiłam na ten temat magisterium. W tamtych czasach na Węgrzech panowała stosunkowa swoboda, aczkolwiek wszyscy się zastanawiali, jak długo Sowietci będą to tolerować. Mówienie o palownikach. Tak czy owak wyjechałam po raz pierwszy do Londynu na sześć miesięcy, a cztery miesiące temu pojawiłam się tu, by objąć katedrę wykładowcy".

Zamyślona wypuściła z płuc smugę niebieskiego, tytoniowego dymu. Nie spuszczała ze mnie wzroku. Przyszło mi do głowy, że Helen Rossi najprawdopodobniej stała się obiektem prześladowań ze strony komuni-

stycznych władz, o których mówiła z jeszcze większym cynizmem niż o Draculi. Zapewne uciekła już na dobre na Zachód. Postanowiłem zapytać ją o to później. Później? A co stało się z jej matką? Czy decyzję o kontynuowaniu kariery naukowej w renomowanym zachodnim ośrodku akademickim podjęła jeszcze na Węgrzech?

Ale ona kontynuowała własną myśl.

„Czyż to nie piękny obrazek? Dawno zagubiona córka zdobywa rozgłos naukowy, odnajduje ojca i następuje radosne połączenie rodziny. - Na jej twarzy pojawił się pełen goryczy wyraz. - Ale mnie chodziło o coś całkiem innego. Przybyłam tu, by o mnie usłyszał, niby przez przypadek - dzięki moim publikacjom, dzięki moim wykładom. Byłam ciekawa, czy i wtedy wyprze się własnej przeszłości, czy zignoruje mnie tak, jak zignorował moją matkę. No i ta sprawa Draculi... - Wyciągnęła w moją stronę dwa palce, w których trzymała papierosa. - Moja matka trochę mi o tym opowiedziała”.

„Opowiedziała o czym?” - zapytałem ze ściśniętym nagle sercem.

„O specjalnych badaniach, jakie Rossi prowadził nad tym zagadnieniem. Dowiedziałam się o tym znacznie później, latem, tuż przed wyjazdem do Londynu. O tym, jak poznał moją matkę. Rozpytywał w całej wiosce o wampira, a ona słyszała to i owo o miejscowych wampirach od swego ojca i jego przyjaciół. I już nie chodzi o to, że w naszej kulturze mężczyzna nie powinien zwracać się o pomoc do młodej dziewczyny, w dodatku na oczach całej wsi. Ale on zapewne o tym nie wiedział. Był historykiem, nie antropologiem. Do Rumunii dotarł w poszukiwaniu informacji o Władzie Palowniku, naszym drogim hrabim Draculi. I czy nie wydaje się panu dziwne... - pochyliła się gwałtownie w moją stronę z twarzą wykrzywną wściekłością - Czy nie wydaje się panu wręcz niesamowite to, że nie opublikował nic na ten temat? Ani słowa, jak zapewne sam pan najlepiej wie. Dlaczego? - zapytywałam samą siebie. Dlaczego słynny badacz historycznej krainy, a zapewne i kobiet, gdyż z pewnością niejedną inną jeszcze naiwną dziewczynę sprowadził na manowce, nie opublikował wyników swoich niecodziennych studiów?”

„No właśnie, dlaczego?” - zapytałem, nie poruszając się na krześle.

„Powiem panu. Bo szykował się na wielki finał. To była jego tajemnica, jego pasja. Z jakiego innego powodu naukowiec nie rozgłaszałby światu swych odkryć? Ale czekała go niespodzianka. - Wykrzywiła twarz w złośliwym, odpychającym grymasie. - Nawet by pan nie uwierzył, jaki

ogrom wiedzy zdobyłam przez ten rok, od kiedy dowiedziałam się o jego zainteresowaniach. Nie kontaktowałam się z profesorem Rossim, ale prowadziłam na wydziale dyskretne badania. Jakież byłby to dla niego cios, gdyby ktoś inny opublikował wszystko na ten temat. Coś wspaniałego. Z chwilą przybycia tu przyjął nawet jego nazwisko - można rzec takie akademickie *nom-de-plume*. Poza tym w bloku wschodnim nie lubimy, gdy ktoś obcy kradnie nasze dziedzictwo kulturowe i zaczyna wydawać

o nim opinie, zazwyczaj błędne".

Musiałem chyba jęknąć, gdyż gwałtownie umilkła i popatrzyła na mnie z uwagą.

„Pod koniec tego lata nikt na świecie nie wiedział tyle o legendzie Draculi, co ja. A swoją drogą może pan zabrać tę starą książkę. - Ponownie otworzyła torbę i z hukiem rzuciła *Draculę* na środek stolika. - Wczoraj po prostu chciałam coś w niej sprawdzić, a nie chciało mi się iść do domu po swój egzemplarz. Ale nawet tego nie potrzebowałam. To tylko literatura, a ja całą tę przekłętą historię znam prawie na pamięć".

Ojciec zamilkł i rozejrzał się wokół siebie jak wyrwany ze snu. Przez dobry kwadrans siedzieliśmy na Akropolu pogrążeni w milczeniu. Stopy wsparliśmy na ruinach zabytku starożytnej cywilizacji. Byłam przerażona widokiem olbrzymich kolumn piętrzących się nad naszymi głowami. Z zachwytem patrzyłam na majaczące w oddali góry, długie, wysuszone na pieprz granie, wiszące posepnie nad miastem w przedwieczornej godzinie. Kiedy ruszyliśmy w drogę powrotną, ojciec wyrwał się z zadumy i zaczął wypytywać mnie o wrażenia z wycieczki. Zajęło mi dłuższą chwilę zebranie myśli na tyle, by odpowiedzieć mu coś z sensem. Cały czas rozmyślałam o ubiegłej nocy.

Weszłam do jego pokoju nieco później niż zwykle. Chciałam, by przejrzał moją pracę domową z algebry. Pisał coś przy biurku, wprowadzając poprawki w dokumentach z przeprowadzonych tego dnia rozmów, co zresztą często robił wieczorami. Ale tego dnia siedział nieruchomo z głową pochyloną nisko nad biurkiem i apatycznie grzebał w papierach. Ze swego miejsca w progu nie wiedziałam, czy coś pisał, kartkował dokumenty, czy też próbował po prostu nie zasnąć. Jego postać rzucała ogromny cień na gołą ścianę hotelowego pokoju - sylwetka mężczyzny pochylonego posepnie nad odbiciem ciemnego biurka. Gdybym nie zdała sobie sprawy z tego, jak bardzo jest zmęczony, gdyby nie tak dosko-

nale znany mi zarys jego ramion pochylonych nad papierami, mogłabym pomyśleć, iż człowiek ten nie żyje.

18

Przepiękna, wiosenna pogoda i pełne emocji dni towarzyszyły nam w podróży do Słowenii. Kiedy zapytałam ojca, czy wystarczy nam czasu, by ponownie pojechać do tego miasta - z którym wiązały się moje najwcześniejsze wspomnienia z naszych wypraw, które w mej pamięci zachowało szczególną woń i smak, i które, jak już wspomniałam, zawsze chciałam ponownie odwiedzić - odrzekł, że ma napięte terminy spotkań podczas konferencji zorganizowanej nad wielkim jeziorem rozciągającym się daleko na północ od Emony, a później musimy bezzwłocznie wracać do Amsterdamu, zanim nie relegują mnie ze szkoły. Nigdy do tego nie doszło, ale możliwością taką ojciec nieustannie się trapił.

Gdy przybyliśmy na miejsce, jezioro Bied nie rozczarowało mnie. Rozciągało się w szerokiej alpejskiej dolinie, wyrzeźbionej jeszcze pod koniec drugiej epoki lodowej, wczesnym ludom koczowniczym zapewniając przyjazne schronienie. Z wody wciąż sterczały szczątki ich krytych ongiś sitowiem domów. Przypominało szafir spoczywający w dłoniach Alp. Jego lśniąca powierzchnię pokrywały białe zmarszczki fal wzbijanych przez późnopołudniową bryzę. Z jednej strony wznosił się wyższy od innych klif, na którym rozsiadła się masywna, słoweńska warownia, zmieniona z niebывałym smakiem na biuro turystyczne. Zwieńczone krenelażem baszty stały nad wyspą, rzucając groźny cień na skromny, pokryty czerwoną dachówką kościółek w typie austriackim oraz na przybijające co godzina do wysepki łodzie pasażerskie. Hotel, jak zwykle, zbudowany był ze stali i szkła i wedle socjalistycznych norm miał pięć gwiazdek. Drugiego dnia uciekliśmy z niego na wycieczką wokół dolnej partii jeziora. Oświadczyłam ojcu, że nie zniosę kolejnych dwudziestu czterech godzin bez odwiedzin starodawnego zamku, na który spoglądałam przez okno podczas każdego posiłku. Ojciec zachichotał.

- Skoro tak, to musimy tam pójść - powiedział.

Kolejne odprężenie polityczne było bardziej obiecujące, niż spodziewała się jego ekipa, i ojciec był wyraźnie rozluźniony.

Tak więc trzeciego dnia, zostawiając na boku starą sprawę, którą poprzedniego dnia podano w nowej dyplomatycznej szacie, wsiedliśmy do niewielkiego autobusu. Zawiózł nas wijącą się wokół jeziora drogą do podnóża klifu, na którym wznosiła się warownia. Z mozołem wspięliśmy się na wierzchołek. Zamek zbudowano z brązowych, niczym wypłowiwała kość, kamieni trzymających się krzepko mimo upływu stuleci. Kiedy minęliśmy pierwszy korytarz prowadzący do sali recepcyjnej (tak sądziłam), zaparło mi dech. Za oprawionymi w ołów szybami, trzysta metrów niżej, lśniła biała w blasku słońca powierzchnia jeziora. Zamek sprawiał wrażenie, jakby spadał w przepaść i tylko zapierał się o skałę fundamentami. Pomyślałam sobie, że stojący na wysepce żółty kościółek o czerwonym dachu, dobijająca do porośniętego barwnymi krzewami nadbrzeża łódź i olbrzymie niebieskie niebo od setek lat stanowiły turystyczną atrakcję.

Ale sam zamek, o gładkich murach pochodzących jeszcze z dwunastego stulecia, pełen toporów, włóczni i siekier, które przy najbliższym dotknięciu mogły spaść prosto na głowę niebaczego turysty - stanowił istotę całego krajobrazu. Pierwsi mieszkańcy zasiedlający okolice jeziora opuścili kryte strzechą, podatne na pożary chaty i przenieśli się na skalną wyżynę, gdzie królowały dotąd tylko orły, poddając się władzy pana feudalnego. Warownia, choć tak pieczołowicie odnowiona, dyszała wprost tamtym starodawnym życiem. Odwróciłam się od okna, z którego widok zapierał dech w piersiach, i przeszłam do kolejnej sali. Stała tam szklana trumna ze szkieletem drobnej kobiety, zmarłej na długo jeszcze przed nadejściem chrześcijaństwa. Na jej zapadniętej klatce piersiowej spoczywał brązowy naszyjnik, zaśniedziałe pierścienie zsuwały się z kości palców. Kiedy pochylałam się, żeby dokładniej przyjrzeć się jej twarzy, kobieta nieoczekiwanie zerknęła na mnie oczodołami głębokimi niczym dwie otchłanie.

Na pałacowym tarasie podawano herbatę w eleganckich, porcelanowych imbrykach. Napój był mocny i dobrego gatunku, a cukier krystaliczny. Ojciec trzymał na stoliku dłonie tak mocno zaciśnięte, że aż biegały mu palce. Dłuższy czas wpatrywałam się w toń jeziora, a następnie nalałam mu kolejną filiżankę herbaty.

- Dziękuję - powiedział. W jego wzroku malował się jakiś odległy, pełen bólu wyraz. I znów spostrzegłam, jak bardzo jest wycieńczony

i wyczerpany. Czyżby potrzebował wizyty u lekarza? - Powiedz, kochanie - odezwał się, odwracając się do mnie bokiem, tak że ujrzałam jego profil na tle pionowo spadającego klifu i lśniącej na dole powierzchni wody. - Czy chcesz je wszystkie spisać?

-Twoje opowieści? - zapytałam. Ścisnęło mi się serce, po czym zaczęło bić jak oszalałe.

-Tak.

-Po co? - spytałam ponownie po chwili.

Było to już bardzo dorosłe pytanie bez żadnej młodzieńczej kokieterii. Popatrzył na mnie swym zmęczonym wzrokiem pełnym dobroci i smutku.

- Bo jeśli nie zrobisz tego ty, zapewne będę musiał to zrobić ja - odrzekł.

Sięgnął po filiżankę, a ja zrozumiałem, że nie chce ciągnąć dłużej tego tematu.

Tego wieczoru w małym, ponurym hotelowym pokoju zaczęłam spisywać wszystko, co mi opowiedział. Zawsze twierdził, że mam wyśmienitą pamięć... Aż zanadto -jak czasami nadmieniał.

Następnego dnia, przy śniadaniu, ojciec oświadczył, że przez dwa lub trzy następne dni będzie siedział w hotelu, nie ruszając się nigdzie z miejsca. Wprawdzie trudno mi było wyobrazić go sobie tkwiącego kołkiem w hotelowym pokoju, ale widząc ciemne obwódki pod jego oczyma, byłam rada z tego pomysłu. Nie mogłam powstrzymać myśli, że coś mu się przydarzyło, że na jego barki spadły jakieś nowe kłopoty. Ale on powiedział tylko, iż tęskni za plażami Adriatyku. Ruszyliśmy zatem pociągiem ekspresowym na południe. Początkowo nazwy stacji były pisane zarówno alfabetem łacińskim, jak i cyrylicą, później już tylko cyrylicą. Ojciec nauczył mnie tego alfabetu i zabawiałam się, odczytując na głos nazwy stacji. Każde słowo było dla mnie niczym hasło kodowe otwierające jakieś sekretne drzwi.

Powiedziałam o tym ojcu, który tylko się uśmiechnął i wrócił do lektury książki. Nieustannie jednak przenosił wzrok znad książki na okno, za którym widzieliśmy traktory ciągnące pługi, czasami konia zaprzężonego do wozu wyładowanego towarem, stare kobiety kopiące w przydomowych ogródkach. Gdy jechaliśmy coraz dalej na południe, krajobraz nabierał głębszych, złotych i zielonych barw. Wjechaliśmy w krainę po-

krytą szarymi, skalistymi górami, których stoki, po naszej lewej stronie,

opadały gwałtownie ku lśniącemu w blasku słońca morzu. Ojciec wyraźnie odżył i nabrał animuszu, w niczym nie przypominał wyczerpanego, zmaltretowanego człowieka, jakim był przed kilkoma dniami.

W niewielkim miasteczku opuściliśmy pociąg. Ojciec wynajął samochód i ruszyliśmy płataniną krętych dróg wzdłuż wybrzeża. Oboje wyciągaliśmy szyje, by zobaczyć po jednej stronie wodę - rozciągającą się po horyzont w blasku późnego popołudnia - a po drugiej strzelającą w niebo ruiny osmańskich fortec.

- Na tych terenach bardzo długo panowali Turcy - odezwał się z dumą ojciec. - Podbój był bardzo krwawy i okrutny, ale później, kiedy tereny te włączono już do imperium, najeźdźcy okazali się tolerancyjni i przez wiele stuleci sprawnie zarządzali tymi krainami. To jałowa i niegościnna ziemia, ale Turkom zależało na morzu. Potrzebowali tutejszych zatok i portów.

Dotarliśmy do nadmorskiego miasteczka. W niewielkim porcie kołysały się, objając się o siebie na przybrzeżnych falach, łodzie rybackie. Ojciec chciał zatrzymać się na pobliskiej wyspie. Machnięciem ręki zatem przywołał właściciela łodzi, starszego człowieka w czarnym berecie nasuniętym na tył głowy. Mimo nadchodzącego zmierzchu było bardzo ciepło i wodny pył, wzbijany dziobem łodzi, raczej rzeźwił niż chłodził. Mocno wychyliłam się za burtę, czując się prawie jak figura dziobowa*.

- Uważaj! - wykrzyknął ojciec, chwytając mnie mocno za bluzę na plecach.

Właściciel łodzi zacumował przy molu w niewielkiej wiosce na wyspie. Nad osadą górowały wieże prześlicznego, kamiennego kościołka. Przewoźnik zawiązał cumę na słupku pirsu i podał mi sękatą dłoń, pomagając opuścić pokład łodzi. Ojciec zapłacił mu kolorowymi banknotami socjalistycznej waluty, a żeglarz, w podziękę, dotknął dwoma palcami beretu. Kiedy już zajął miejsce za sterem, odwrócił się w naszą stronę.

-Dziewczyna?! - zawołał po angielsku. - Córka?!

-Córka! - odkrzyknął nieco zaskoczony ojciec.

-Błogosławie ją! - powiedział mężczyzna i nakreślił ręką w powietrzu znak krzyża.

* Dzioby dawnych żaglowców zdołała zazwyczaj rzeźba panny.

Ojciec wynajął pokoje z oknami wychodzącymi na ląd, a kolację zjedliśmy pod gołym niebem, w usytuowanej w pobliżu doków restauracji. Powoli zapadał zmrok, nad morzem rozbłysły pierwsze gwiazdy. Znacznie już chłodniejszy wiatr nawiewał wonie, które zdążyłam pokochać: cyprysów i lawendy, róż i macierzanki.

- Dlaczego po zmroku miłe zapachy tak bardzo nabierają mocy? - zapytałam.

Sprawa ta zawsze bardzo mnie intrygowała, a jednocześnie zagadnienie to pozwalało odłożyć rozmowy na inne tematy. Potrzebowałam czasu, by dojść do siebie w miejscu, gdzie paliły się światła i rozbrzmiewał gwar ludzkich głosów. Musiałam na chwilę choćby zapomnieć o trzęsących się nieustannie dłoniach mego ojca.

- Naprawdę tak sądzisz? - zapytał, jakby był nieobecny, ale przyniosło mi to pewną ulgę.

Ujęłam jego dłonie, które przestały na chwilę drżeć. Zaciśnął palce na moich rękach. Był stanowczo za młody, by zacząć się starzeć. Mroczne odbicia gór na głównym lądzie tańczyły na wodzie, rzucały cień na plażę i na całą naszą wyspę. Kiedy w dwadzieścia lat później krainę tę rozdarła wojna domowa, zdumiona zamykałam oczy. Nie byłam w stanie wyobrazić sobie, że stoki te zamieszkiwali kiedyś ludzie, którzy wszczęli tę wojnę. Ujrzałam pierwotny wręcz krajobraz, wyludniony, pokryty ruinami ludzkich sadyb. Góry ochroniły jedynie klasztor postawiony na morskiej wysepce.

19

- Kiedy Helen Rossi cisnęła na stół książkę zatytułowaną *Dracula* - wydającą się stanowić kość niezgody między nami - prawie spodziewałem się, że reszta gości w popłochu opuści lokal, że niektórzy zaczną krzyczeć i spróbują nas zaatakować. Oczywiście, nic takiego się nie wydarzyło, a ona siedziała bez ruchu, przyglądając mi się z wyrazem cierpkiego zadowolenia. Dłuższą chwilę zastanawiałem się, czy ta kobieta, z całym swym bagażem urazy i złości, gnana żądzą naukowej wendety na Rossim, osobiście nie zadała mu obrażeń i sprawiła, że zniknął bez śladu.

„Panno Rossi - powiedziałem spokojnie, sięgając po książkę i wkładając ją do teczki. - Pani opowieść jest niezwykle i muszę uczciwie przyznać, że zajmie mi trochę czasu, by uporządkować sobie to wszystko. Ale muszę też pani wyznać pewną ważną rzecz. - Dwukrotnie wzięłem głęboki oddech. - Profesora Rossiego znam bardzo dobrze. Od dwóch lat jest moim promotorem i wiele godzin spędziliśmy na rozmowach i wspólnej pracy. Jestem przekonany, że pani -jeśli dojdzie do waszego spotkania - spojrzy na niego zupełnie innym wzrokiem, ujrzy pani znacznie lepszą i serdeczniejszą osobę, niż sądzi pani teraz. - Poruszyła się, jakby chciała coś powiedzieć, ale ja nie dałem sobie przerwać. - Cała kwestia polega na tym, że mówiąc o nim, nie wie pani jeszcze, że profesor Rossi, pani ojciec, zaginął”.

Spoglądała na mnie nieruchomym wzrokiem. Nie wyczuwałem w nim żadnej chytryści ani podstępny, jedynie wielkie zmieszanie. Moje słowa wyraźnie ją zaskoczyły. A więc o niczym nie wiedziała. Doznałem ulgi.

„O czym pan mówi?” - zapytała.

„Mówię... Trzy dni temu wieczorem jeszcze z nim jak zwykle rozmawiałem, a następnego dnia zniknął. Poszukuje go obecnie policja. Zniknął bez śladu ze swojego gabinetu, a w chwili porwania był zapewne poraniony, gdyż na biurku znaleziono ślady krwi”.

W skrócie opisałem przebieg wypadków tamtego wieczoru, zaczynając od swojej dziwnej książki, choć nie zająknąłem się słowem o jego opowieści.

Popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

„Żartuje pan sobie ze mnie?”

„W żadnym razie. Proszę mi wierzyć, od tamtej chwili nie mogę spokojnie spać ani niczego przełknąć”.

„A policja nie natrafiła na jego ślad?”

„Jak dotąd nie”.

Popatrzyła na mnie przenikliwie.

„A pan?”

„Może - odrzekłem z wahaniem. - To długa historia. Zająłaby co najmniej godzinę”.

„Chwileczkę. - Popatrzyła na mnie twardym wzrokiem. - Kiedy wczoraj w bibliotece czytał pan te listy, oświadczył mi, że mają związek z jakimś profesorem. Czy chodziło o Rossiego?”

„Tak”.

„A jaki on miał problem? Czy w ogóle go miał?”

„Nie chcę wplątać pani w nieprzyjemności czy też ściągnąć niebezpieczeństwo, o którym sam niewiele wiem”.

„Obiecał mi pan, że odpowie na wszystkie moje pytania, kiedy ja odpowiem na pańskie. Ale i tak jest już na wszystko za późno. Czy listy te miały jakiś związek z jego zaginięciem?”

Gdyby miała oczy niebieskie, a nie czarne, przypominałaby w tamtej chwili do złudzenia Rossiego. Ale jak mogła być jego córką, skoro zastrzegął się, że nigdy nie był w Rumunii? Twierdził, że nigdy nie odwiedził okolic jeziora Snagov. Z drugiej jednak strony w swoich papierach zostawił mapę drogową Rumunii. Kobieta spoglądała na mnie płonąącym wzrokiem.

„Nie jestem pewien. Potrzebuję opinii eksperta. Nie znam wyników pani badań... - Znów spoczął na mnie jej uważny wzrok. - Ale jestem najgłębiej przekonany, że przed zaginięciem Rossi czuł, iż grozi mu poważne niebezpieczeństwo”.

Sprawiła wrażenie, jakby próbowała ogarnąć to wszystko myślą, poznać ojca, którego od tak dawna traktowała jako wyzwanie swego życia.

„Jakie niebezpieczeństwo? Z czyjej strony?”

Zabiła mi ćwieka. Rossi prosił mnie, żebym nie dzielił się jego zwiariowaną opowieścią ze znajomymi historykami. Zastosowałem się do jego woli, lecz oto, niespodziewanie, mogłem dostać pomoc ze strony prawdziwego eksperta. Ta kobieta zapewne posiadała wiedzę, której zdobycie zajęłoby mi kilka miesięcy. Wiedziała zapewne więcej niż sam Rossi. Profesor zawsze kładł nacisk na to, by szukać pomocy u fachowców... cóż, kogoś takiego miałem właśnie pod ręką. Wybaczcie mi - modliłem się do bogów dobra -jeśli narażę tę kobietę na niebezpieczeństwo. Ale tkwiła w tym wszystkim jakaś dziwna logika. Jeśli rzeczywiście była jego córką, miała wszelkie prawo znać całą historię.

„Co dla pani znaczy słowo »Dracula«?”

„Co dla mnie znaczy? - zmarszczyła brwi. - Jako pojęcie? Sądzę, że to mój odwet. Nieustanna gorycz”.

„Rozumiem. Ale czy Dracula znaczy dla pani coś więcej?”

„Co ma pan na myśli?”

Trudno było mi stwierdzić, czy mówi wykrętnie, czy szczerze.

„Rossi - powiedziałem z wahaniem. - Pani ojciec był... jest... przeko-

nany, że Dracula wciąż żyje i chodzi po ziemi. - Wytrzeszczyła na mnie oczy. - Czy to coś pani mówi? Czy wydaje się szalone?"

Oczekiwałem, że wybuchnie śmiechem lub bez słowa podniesie się z miejsca i wyjdzie, jak zrobiła to w bibliotece.

„To zabawne - odezwała się po chwili Helen Rossi. - Normalnie powiedziałabym, że to jakaś ludowa legenda. Zabobon dotyczący krwawego tyrana. Ale dziwne w tym jest to, że moja matka absolutnie w niego wierzy".

„Pani matka?"

„Tak. Mówiłam już panu, że jest chłopskiego pochodzenia. Wierzy w takie zabobony, aczkolwiek nie aż tak świącie, jak wierzyli jej rodzice. Ale wybitny, zachodni naukowiec?"

Była antropologiem, lecz jej zainteresowanie tym tematem bardzo mnie zaskoczyło.

„Panno Rossi - powiedziałem, podejmując nagłą decyzję. - Nie wiem dlaczego, ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że zechce pani zapoznać się osobiście z tą sprawą. Dlaczego nie miałyby pani przeczytać listów Rossiego? Ostrzegam panią uczciwie, z tego, co wiem, każda osoba zajmująca się tą sprawą narażona jest na poważne niebezpieczeństwo. Lecz jeśli pani się nie boi, proszę, udostępnić pani te papiery. Przynajmniej zaoszczędzi nam to czasu na przekonywanie pani, że historia ta jest prawdziwa".

„Zaoszczędzi nam czasu? - jak echo powtórzyła pogardliwie. - Zaczyna już pan planować mi czas?"

Ale byłem zbyt zdesperowany, by zwracać uwagę na jej uszczypliwości.

„Zerknie pani na te listy okiem fachowca, lepiej je oceni niż ja".

Oparła brodę na dłoni i dłuższą chwilę rozważała moją propozycję.

„Zgoda - powiedziała w końcu. - Swoją propozycją dotknął pan mego najczulszego punktu. Nie potrafię oprzeć się możliwości dokładniejszego poznania ojca, zwłaszcza że pozwoli mi to jeszcze bardziej wyprzedzić go w badaniach. Lecz jeśli okaże się tylko niespełna rozumu, niech nie spodziewa się pan po mnie litości. Zrobię wszystko, by zamknięto go w stosownym zakładzie".

Powiedziała to z uśmiechem, który wcale uśmiechem nie był.

„Świetnie - odparłem, ignorując jej ostatnie słowa i upiorny grymas. Staralem się też nie patrzeć na jej przednie zęby, choć zdążyłem się już

przyjrzeć im na tyle dobrze, by nabrać pewności, że nie różnią się długością od innych, ludzkich zębów. - Muszę jednak zastrzec, że listów tych w tej chwili nie mam. Bałem się zabrać je tu ze sobą".

Tak naprawdę bałem się zostawiać je w mieszkaniu i trzymałem je w teczce, którą miałem przy sobie. Ale byłbym przeklęty - zapewne w dosłownym tego słowa znaczeniu - gdybym wyciągnął je w zatłoczonym lokalu. Nie miałem zielonego pojęcia, kto mógł nas obserwować. Może jacyś pomocnicy upiornego bibliotekarza? Miałem też inny jeszcze powód, żeby nie wyciągać tych listów natychmiast. Musiałem przeprowadzić najpierw pewną próbę, choć na myśl o niej ścisnęło mi się serce. Musiałem zdobyć całkowitą pewność, że Helen Rossi, bez względu na to, kim naprawdę była, nie jest w spółce... Cóż, czy wróg jej wroga nie jest już jej przyjacielem.

„Muszę wrócić po nie do domu. I prosić, by przeczytała je pani w mojej obecności. Są kruche i bardzo dla mnie cenne".

„Nie ma sprawy - odrzekła chłodno. - Możemy spotkać się jutro po południu?"

„Za późno. Przykro mi, ale chcę, żeby przestudiowała je pani jeszcze dziś. Wiem, brzmi to dziwacznie, ale zrozumie pani przyczynę mego pośpiechu po przeczytaniu listów".

„Jeśli nie zajmie to zbyt wiele czasu..." - mruknęła, wzruszając ramionami.

„Załatwię to w mig. Czy możemy się spotkać w... w kościele Najświętszej Maryi Panny? - Tę próbę mogłem przynajmniej przeprowadzić z dokładnością, jakiej nauczyłem się od Rossiego. Helen Rossi popatrzyła na mnie ze stoickim spokojem. - Znajduje się na Elm Street, dwie przecznice od..."

„Wiem, gdzie to jest - powiedziała i nałożyła rękawiczki. Owinęła szyję niebieską chustką, która zaślśniła niczym lapis-lazuli. - O której godzinie?"

„Wszystko zajmie mi pół godziny".

„A więc do zobaczenia w kościele. Ja tymczasem zajrzę jeszcze do biblioteki po pewien artykuł, który będzie mi dziś potrzebny. I proszę, niech pan się nie spóźni. Czekam jeszcze dużo pracy".

Przez chwilę, kiedy oddalała się od stolika, obserwowałem jej plecy okryte czarnym żakietem. Poniewczasie dotarło do mnie, że Helen Rossi uiściła rachunek za nasze kawy.

20

- Kościół Najświętszej Maryi Panny - opowiadał mój ojciec - był małą, nieładną wiktoriańską budowlą, jakich wiele stało na skraju starej części campusu. Wielokrotnie przechodziłem obok niego, lecz nigdy nawet nie zaświtała mi myśl, by wejść do środka. Teraz jednak doszedłem do wniosku, iż w obliczu takiego horroru i zgrozy katolicka świątynia jest jak najbardziej na miejscu. Czyż to nie katolicyzm para się na co dzień krwią i wskrzeszanym ciałem? Czyż nie jest ekspertem od przesądów i zabobonów? Z jakichś względów wątpiłem, aby gościnne, proste protestanckie kaplice, od których aż roilo się na terenie uniwersytetu, mogły mi wiele pomóc. Nie byłyby w stanie powstrzymać nieumarłego. Byłem przekonany, że wszystkie wielkie, kwadratowe świątynie purytańskie w mieście nie poradziłyby sobie z europejskim wampirem. Wystarczyły, by palić na stosach poszczególne wieżmy i ograniczały działania do najbliższej okolicy. Oczywiście, w kościele Najświętszej Maryi Panny stawię się na długo przez przybyciem mego niechętnego gościa. Czy w ogóle przyjdzie? Stanowiło to dopiero połowę próby.

Kościółek był na szczęście otwarty, a jego wyłożone ciemną boazerią ściany pachniały woskiem i kurzem tapicerki. Dwie starsze niewiasty w kapeluszach przystrojonych sztucznymi kwiatami ustawiały na centralnym, bogato rzeźbionym ołtarzu prawdziwe kwiaty. Wszedłem do środka z pewnym zażenowaniem i zająłem miejsce w ostatniej ławce, w miejscu, gdzie mogłem widzieć każdego wchodzącego. Było to długie, nerwowe czekanie, lecz panujący w kościele spokój i szepty dwóch kobiet trochę mnie uspokoiły. Zaczęło ogarniać mnie znużenie po nieprzespanej nocy. W końcu zaskrzypiały dziewiętnastowieczne zawiasy w drzwiach

i w progu stanęła Helen Rossi. Niepewnie obejrzała się za siebie, po czym weszła do środka.

Słoneczne światło napływające z bocznych okien rzucało turkusowe i fiołkoworóżowe smugi na jej postać. Popatrzyła na ciągnący się nawą główną w stronę ołtarza dywan. Kiedy nikogo w ławkach nie zobaczyła, ruszyła przed siebie. Bacznie wypatrywałem jakichkolwiek oznak kulenia się, marszczenia skóry, grymasu na jej twarzy... czegokolwiek. Sam zresztą nie wiedziałem, jaka powinna być reakcja Draculi na obecność jego odwiecznego wroga - kościoła. A może mały wiktoriański relikwiarz był w stanie stawić czoła siłom ciemności? Lecz kościółek najwyraźniej

wywarł na Helen Rossi wielkie wrażenie, gdyż przeszła przez barwne smugi światła padającego z witraży i przystała przy chrzcielnicy. Skrepowany nieco swoim podglądactwem, patrzyłem, jak zdejmuje rękawiczkę, macza w święconej wodzie czubki palców i dotyka nimi czoła. Gest był czuły, a wyraz twarzy poważny. Tak, zrobiłem to dla Rossiego. Teraz już z całą pewnością wiedziałem, że Helen Rossi, na przekór twardemu, czasami groźnemu wyglądowi, nie była *vrykolakas*.

Przy końcu nawy odwróciła się i dopiero wtedy mnie zobaczyła.

„Czy przyniósł pan listy? - zapytała szeptem, wpatrując się we mnie oskarżycielsko. - O pierwszej muszę być na wydziale” - dodała, rozglądając się wokół siebie.

„Czy coś nie tak? - również zapytałem cicho, czując na ciele gęsią skórę. Odnosiłem wrażenie, że po ostatnich dwóch dniach wyostrzył mi się szósty zmysł. - Czy pani się czegoś boi?”

„Nie. - Wciąż mówiła szeptem. Mięła w dłoni rękawiczki, tak że na tle jej ciemnego żakietu przypominały jasny kwiat. - Po prostu zastanawiam się... czy za chwilę ktoś jeszcze się tu nie pojawi?”

„Nie”. - Również rozejrzałem się po kościele. Świątynia była pusta. Przy ołtarzu tylko uwijały się dwie niewiasty z konfraternii.

„Ktoś mnie śledził - oznajmiła cichym głosem. Jej trupio biała twarz, w burzy gęstych, czarnych włosów, miała dziwny wyraz - podejrzliwości i zawadiactwa. Po raz pierwszy zastanowiłem się, ile musi ją kosztować ta próba odwagi. - Wydaje mi się, że ktoś mnie śledził. Drobny, chudy mężczyzna w podniszczonym ubraniu: tweedowa marynarka, zielony krawat”.

„Jest pani tego pewna? Gdzie go pani zauważyła?”

„W katalogach - wyjaśniła cicho. - Chciałam zweryfikować pańską relację o powyrywanych kartach. Po prostu w nią nie uwierzyłam. - Powiedziała to bardzo rzeczowo, bez usprawiedliwiania się. - Tam zobaczyłam go po raz pierwszy, a później, w oddali, na Elm Street. Czy pan wie, kto to jest?”

„Wiem - odrzekłem posepnie. - To bibliotekarz”.

„Bibliotekarz?”

Najwyraźniej czekała na bliższe wyjaśnienia, ale przecież nie mogłem jej powiedzieć o ranach na jego szyi. Było to zbyt niesamowite, zbyt dziwaczne. W jednej chwili wzięłaby mnie za wariata.

„Chodziło mu zapewne o mnie, o to, co robię. Musi go pani absolut-

nie unikać. Więcej powiem pani o nim później. A teraz proszę się uspokoić i usiąść. Oto listy".

Przesunąłem się na obitej pluszem ławce, robiąc jej miejsce, i otworzyłem teczkę. W jednej chwili twarz jej spoważniała. Wzięła ostrożnie w dłoń kopertę i wyjęła z niej listy z takim samym uszanowaniem, jak ja uczyniłem to poprzedniego dnia. Byłem ciekaw, jakie wzbudzą w niej uczucia, zwłaszcza te pisane ręką jej ojca, który był źródłem całego gniewu i nienawiści kobiety. Zerknąłem nad jej ramieniem. Trzymała czule listy w wyprostowanych rękach. Być może zaczynała mgliście dostrzegać w swoim ojcu zwykłego człowieka? Postanowiłem dłużej jej nie obserwować i wstałem z ławki.

„Zwiedzę kościół, dając pani tyle czasu, ile będzie potrzeba. W razie czego, gdyby potrzebowała pani jakichś wyjaśnień lub pomocy..."

Kiwnęła ze zniecierpliwieniem głową zagłębiona już w lekturze pierwszego listu, więc oddaliłem się bezszelestnie. Widziałem, jak dokładnie studiuje moje drogocenne papiery, szybko przelatując je wzrokiem. Przez następne pół godziny oglądałem bogato rzeźbiony ołtarz, malowidła w kaplicy, ozdobną, ręcznie rzezaną w drewnie ambonę, marmurową postać Matki tulącej w ramionach drobniutką postać Dzieciątka. Moją uwagę przykuło jedno malowidło: wampiryczny, prerafaelski Łazarz wychodzący chwiejnym krokiem z grobu, podtrzymywany przez swoje siostry. Kostki u nóg miał szarozielone, szatę zbrukaną grobowym brudem. Na jego obliczu, zamglonym wielowiekowym dymem kadzideł, gościł wyraz goryczy i znużenia, jakby wdzięczność za wskrzeszenie była ostatnią rzeczą, jaką czuł. Stojący u wejścia do grobowca wyraźnie zniecierpliwiony Chrystus wznosił nad głową rękę, a na jego obliczu malował się ίσcie piekielny, pełen zła i wiekuistego ognia wyraz. Zamrugałem oczyma, potrząsnąłem gwałtownie głową i odwróciłem się od obrazu. Najwyraźniej po nieprzespanej nocy wzrok płałał mi złośliwe figle.

„Skończyłam - dobiegł mnie zza pleców głos Helen Rossi. Mówiła cicho, twarz miała bladą i zmęczoną. - Miał pan rację. Ani słowa o romansie z moją matką ani w ogóle o podróży do Rumunii. Nie kłamał pan. Zupełnie tego nie rozumiem. Ale musiało to się dziać dokładnie wtedy, dotyczy bowiem tej samej podróży na kontynent, ponieważ dziewięć miesięcy później przyszedłam na świat".

„Przepraszam. - W jej mrocznej twarzy nie widać było żalu, ale czu-

łem go. - Myślałem, że dostarczę pani jakichś wskazówek, ale sama pani widzi, jak to jest. Też nie umiem tego wytłumaczyć".

„W każdym razie teraz już sobie ufamy, prawda?" - powiedziała, patrząc mi prosto w oczy.

„Tak?"

Nie wiem dlaczego, ale mimo całej tej okropnej sytuacji poczułem wielką radość.

„Tak. Nie wiem, czy coś o nazwie Dracula istnieje naprawdę ani czym to jest, ale głęboko wierzę, że miał pan rację, mówiąc Rossiemu, memu ojcu, iż grozi mu niebezpieczeństwo. Najwyraźniej czuł to już przed wielu laty. Dlaczego więc te lęki nie miały wrócić, kiedy zobaczył pańską książkę, która przez przypadek przypomniła mu jego przeszłość?"

„A co pani sądzi o jego tajemniczym zniknięciu?"

Potrząsnęła głową.

„Mogło być to oczywiście załamanie nerwowe. Ale teraz wiem, co ma pan na myśli. Jego listy świadczą... - zawahała się. - Świadczą o logicznym i nieustraszonym umyśle, tak jak wszystkie inne jego prace. Jak wszystkie jego dzieła o tematyce historycznej. Znam je na pamięć. Są wytworem wybitnego umysłu".

Wróciliśmy do ławki, gdzie leżały listy i moja teczka. Bałem się zostawiać je choćby na kilka minut. Helen Rossi złożyła dokładnie kartki i wsunęła je do koperty dokładnie w pierwotnym porządku. Prawie w towarzyskim nastroju zajęliśmy miejsca w kościelnej ławce.

„Załóżmy, że za jego zniknięciem tkwią jakieś siły nadprzyrodzone - powiedziałem kontrolnie. - Nie wierzę w to, ale wnoszę ten temat do dyskusji. Co, pani zdaniem, powinniśmy robić dalej?"

„Cóż mam powiedzieć? - Pochyliła twarz w moją stronę. - Listy te nie pomogą panu w racjonalnych badaniach nad tym tematem. Lecz jeśli przyjmie pan wiedzę o Draculi, musi pan również przyjąć, że Rossi został zaatakowany i porwany przez wampira, który albo go zabił, albo - co bardziej prawdopodobne - rzucił nań klątwę nieumarłego. Trzy ataki Draculi, jeśli połączą czyjaś krew z jego, lub ataki któregoś z jego uczniów czynią człowieka na całą wieczność wampirem. Jeśli Rossi został ugryziony tylko raz, musi go pan niezwłocznie odnaleźć".

„Ale dlaczego Dracula pojawił się akurat tutaj? I dlaczego porwał Rossiego? Dlaczego zrobił to tak, że wszyscy się o tym dowiedzieli?"

„Nie wiem - powiedziała, potrząsając głową. - Zgodnie z przekazami

ludowymi to niezwykle zachowanie. Rossim -jeśli już przyjmujemy istnienie zjawisk nadprzyrodzonych - Vlad Dracula interesuje się szczególnie. Może nawet profesor, w jakiś sposób, stanowi dla niego zagrożenie".

„I zdaniem pani to, że znalazłem tę książkę i zaniósłem ją profesоровi, ma związek z jego zniknięciem?"

„Logika mówi mi, że to pomysł absurdalny. Ale... - Złożyła rękawiczki i położyła je sobie na kolanie. - Zastanawiam się właśnie, czy nie przeoczyliśmy jeszcze jakiegoś źródła informacji".

Wykrzywiła usta, a ja w duchu podziękowałem jej za tę liczbę mnogą, za „my".

„O czym pani mówi?"

Westchnęła i znów rozłożyła rękawiczki.

„O mojej matce".

„O pani matce? Ale co ona może wiedzieć o..."

Zanim dokończyłem pytanie, poczułem na plecach zimny podmuch powietrza i odwróciłem głowę. Z miejsca, gdzie siedzieliśmy, mieliśmy widok na główne drzwi, choć każdy wchodzący nie mógł nas widzieć. Dogodne miejsce, z którego obserwowałem przekraczającą próg świątyni Helen. W uchylonych drzwiach pojawiła się czyjaś dłoń oraz spiczasta twarz. Do środka zaglądał bibliotekarz o dziwnym wyglądzie.

Nie jestem w stanie opisać ci uczucia, jakie mnie ogarnęło na jego widok. Wyobraziłem sobie nagle ostry pysk zwierzęcia, jakieś skradające się, węszące stworzenie, łasicę lub szczura. Siedząca obok mnie Helen, zmrożona strachem, wpatrywała się w drzwi. W każdej chwili przybysz mógł wyczuć naszą woń. Skalkulowałem, że pozostało nam jeszcze kilka sekund. Bezszelestnie wziąłem do jednej ręki teczkę i plik papierów,

a drugim ramieniem objąłem Helen... nie miałem czasu, by pytać o pozwolenie... i skryliśmy się w bocznej nawie. Znajdowały się tam drzwi prowadzące do jakiegoś pomieszczenia. Wślizgnęliśmy się do środka, a ja cichutko zamknąłem drzwi. Niestety, nie można ich było od środka domknąć, choć pod klamką widniała wielka dziurka od klucza.

W pomieszczeniu było ciemniej niż w nawie bocznej. Pośrodku stała chrzcielnica, a pod ścianami ciągnęły się wyściełane pluszem ławki. Popatrzyliśmy na siebie. Niewiele potrafiłem wyczytać z jej twarzy z wyjątkiem czujności, przekory i lęku. Bez słowa czy gestu przesunęliśmy się za chrzcielnicę. Helen, dla złapania równowagi, chwyciła się jej krawędzi. Po minucie nie wytrzymałem. Wręczyłem kobiecie papiery, a sam

przeniosłem się pod drzwi i zerknąłem przez dziurkę od klucza. Ujrzałem bibliotekarza przesuwającego się między kolumnami. Naprawdę przypominał łasicę, która, wysunawszy pysk, badała wzrokiem rzędy kościelnych ław. Odwrócił się w moją stronę, a ja odruchowo cofnąłem głowę. Odniosłem wrażenie, iż bada wzrokiem drzwi prowadzące do naszej kryjówki, a nawet dał dwa kroki w jej stronę, po czym gwałtownie się zatrzymał. W polu widzenia ujrzałem fioletową bluzkę jednej z kobiet krzątających się przy ołtarzu. Usłyszałem jej stłumiony odległością głos:

„W czym mogę pomóc?” - spytała uprzejmie.

„Hm... szukam kogoś. - Bibliotekarz miał ostry, świszczący głos, stanowczo za głośny jak na przybytek boży. - Czy widziała może pani młodą kobietę, która weszła do tego kościoła? Ubrana jest w czarny żakiet. Ciemnowłosa”.

„Widziałam. - Uprzejma niewiasta rozejrzała się wokół siebie. - Jakiś czas temu rzeczywiście się tu pojawiła. Towarzyszył jej młody mężczyzna. Siedzieli w tylnych ławkach. Ale dawno już wyszli”.

Przypominający łasicę mężczyzna rozglądał się bacznie wokół.

„A może ukryła się w którymś z bocznych pomieszczeń?” - zapytał bezczelnie.

„Ukryła się? - Ubrana w fioletową bluzkę kobieta również rozejrzała się po kościele. - Co pan opowiada? W naszym kościele nikt się nie ukrywa. A może mam pójść po proboszcza? Czy potrzebuje pan jego pomocy?”

Bibliotekarz gwałtownie się cofnął.

„O, nie, nie. Widocznie musiało mi się coś pomylić”.

„Czy chce pan kilka naszych broszur?”

„O, nie, dziękuję bardzo”. - Ruszył nawą główną do wyjścia.

Rozejrzał się jeszcze raz, po czym zniknął z pola mojego widzenia. Nastąpił głośny szcęk oraz głucho uderzenie i zamknęły się za nim kościelne wrota. Przesłałem Helen pełne ulgi spojrzenie, ale jeszcze przez kilkanaście minut trwaliśmy na swoich miejscach w bezruchu, spoglądając na siebie ponad chrzcielnicą. W końcu Helen spuściła wzrok i zmarszczyła brwi. Byłem przekonany, że drąży ją ciekawość, dlaczego znalazła się w tak osobliwej sytuacji i co to wszystko znaczyło. Miała lśniąco, kruczoczarne włosy. Tego dnia znów była bez kapelusza.

„Szuka pani” - oświadczyłem cicho.

„A może pana” - odpowiedziała, wskazując kopertę.

„Przychodzi mi do głowy dziwaczna myśl, że może wiedzieć, gdzie jest Rossi” - powiedziałem powoli.

Znów zmarszczyła brwi.

„Tutaj nic nie ma sensu, więc dlaczego nie?” - mruknęła.

„Nie pozwolę, by odwiedziła pani ponownie bibliotekę. Ani wracała do akademika. Właśnie w tych dwóch miejscach będzie panią ścigał”.

„Nie pozwoli pan?” - zapytała złowieszczym tonem.

„Panno Rossi, błagam. Czy naprawdę chce pani być kolejną, zaginioną osobą?”

„A zatem jak zamierza pan mnie chronić?” - odezwała się po długiej chwili milczenia.

W jej głosie brzmiała wyraźna kpina, a ja pomyślałem o dziwnym dzieciństwie kobiety i podróży do Węgier jeszcze w łonie matki, o politycznym rozumie, który pozwolił jej podróżować po całym świecie w poszukiwaniu naukowego odwetu. Oczywiście, jeśli jej opowieść była prawdziwa.

„Mam pewien pomysł - odezwałem się po krótkim wahaniu. - Wiem, zabrzmiało to... niegodnie z mojej strony, ale może mnie pani nawet wyśmiać. Opuszczając świątynię, zabierzemy jakieś... talizmany... - Uniosła brwi. - Jakieś... gromnice, krzyże, sam nie wiem co... a w drodze do domu kupimy czosnek... to znaczy w drodze do mojego mieszkania - uściśliłem, a ona jeszcze wyżej uniosła brwi. - Chodzi mi o to, że jeśli przystanie pani na moją propozycję... a powinna pani... jutro udam się w podróż, a pani mogłaby...”

„Spać na kanapie?”

Znów miała na dłoniach rękawiczki. Założyła ramiona na piersi. Czuję, że na twarz występuje mi gorący rumieniec.

„Nie mogę pozwolić, by wróciła pani do akademika, dokąd poszedłby za panią, ani, oczywiście, do biblioteki. Poza tym mamy ze sobą jeszcze dużo do porozmawiania. Chciałbym dowiedzieć się, co miała pani na myśli, mówiąc o swojej matce...”

„Porozmawiać możemy tutaj - oświadczyła ozięble. - A co do bibliotekarza, nie sądzę, by zdołał dostać się do mojego pokoju... - Na brodzie pojawił się jej zabawny dołeczek, a może był to tylko sarkazm? - No, chyba że zamieniłby się w nietoperza. Kierowniczka akademika nie wpuściłaby do środka żadnego wampira. Ani mężczyzny. Poza tym mam nadzieję, iż odnajdzie mnie w bibliotece”.

„Ma pani nadzieję?” - zapytałem, wytrzeszczając oczy.

„Tutaj, w kościele, nie mógłby z nami pogadać. Czeka zapewne na zewnątrz. Poza tym bardzo mi podpadł i mam go na tapecie... - znów ten jej fantastyczny angielski - gdyż próbuje wtrącać się w przywileje, jakimi cieszę się w tej bibliotece, a poza tym, zdaniem pana, ma pewne wiadomości o losach mego... profesora Rossiego. Dlatego chcę, by ruszył moim tropem. A o mojej matce możemy podyskutować w każdej chwili. - Musiałem mieć bardzo głupi wyraz twarzy, gdyż wybuchnęła śmiechem, ukazując bardzo białe i równe zęby. - Paul, on nie napadnie na ciebie w jasnym świetle dnia”.

21

- Ale przed kościołem nie było śladu bibliotekarza. Ruszyliśmy wolnym krokiem w stronę biblioteki - z emocji serce waliło mi jak młot, choć Helen Rossi sprawiała wrażenie całkowicie opanowanej. W kieszeniach mieliśmy dwa krzyże zabrane z przedsionka kościoła {*Weź jeden, zostaw ćwierć dolara* - głosił napis). Ku memu rozczarowaniu Helen nie zająknęła się słowem o swojej matce. Odnosiłem przykre wrażenie, że tylko chwilowo, dla świętego spokoju, poddaje się memu szaleństwu, natomiast w bibliotece szybko zniknie gdzieś na dobre..A jednak zaskoczyła mnie.

„Wrócił - szepnęła, kiedy minęliśmy drugą przecnicę. - Dostrzegłam go, kiedy skręcaliśmy za róg. Proszę nie oglądać się za siebie. - Zesztywniałem, ale zgodnie z jej wolą spokojnie kontynuowaliśmy wędrówkę. - Zamierzam dotrzeć do najwyższej partii bibliotecznych podestów z wolnym dostępem do półek, może nawet do siódmego piętra. Tam przebywa już niewielu czytelników. Niech pan ze mną nie idzie. Z całą pewnością ruszy moim tropem, a nie za panem... Pan w końcu jest tu obcy”.

„A jednak nie powinna pani tego robić - mruknąłem. - Zdobycie informacji o Rossim to moja sprawa”.

„Zdobycie informacji o Rossim to przede wszystkim moja sprawa - odwar knęła. - I proszę nie myśleć, że robię panu łaskę, Panie Od Holenderskich Kupców”.

Popatrzyłem na nią kątem oka. Zdążyłem już przyzwyczać się do jej cierpkiego poczucia humoru, a wdzięczna linia jej policzków i długi prosty nos wydawały mi się wręcz figlarne. Ich widok wprawiał mnie w wesoły nastrój.

„No, dobrze. Z kolei ja będę poruszać się jego śladem i jeśli wpadnie pani w jakieś kłopoty, w ciągu kilku chwil przybędę z odsieczą”.

U wejścia do biblioteki rozstaliśmy się z ostentacyjną serdecznością.

„Owocnych studiów, Panie Holendrze” - powiedziała, potrząsając mi rękę dłonią okrytą rękawiczką.

„I pani, panno...”

„Żadnych nazwisk” - mruknęła i rozeszliśmy się w przeciwne strony.

Podszedłem do katalogów i udając bardzo zaaferowanego, wyciągnąłem na chybił trafił szufladkę: „Ben Hur - benedyktyni”. Pochylny nad katalogiem nie spuszczałem z oka biurka głównego kustosza. Helen dostała kartę wstępu do regałów bibliotecznych. Obserwowałem jej szczupłą sylwetkę w ciemnym ubraniu posuwającą się długim, bibliotecznym korytarzem. I wtedy dostrzegłem bibliotekarza skradającego się po przeciwnej stronie sali katalogowej. Kiedy dotarł do litery „H”, kobieta zniknęła już za drzwiami prowadzącymi do pięter wypełnionych regałami. Znałem te drzwi doskonale, mijałem je prawie codziennie, ale nigdy dotąd nie sprawiała na mnie tak złowieszczych wyglądu. Zawsze były otwarte, a stojący przy nich strażnik sprawdzał karty wstępu. Helen przekroczyła próg i ruszyła żelaznymi schodami. Bibliotekarz dłuższą chwilę marudził przy literze „G”, po czym wyjął specjalny, biblioteczny identyfikator i zniknął za drzwiami.

Szybko podszedłem do biurka kustosza.

„Chciałbym skorzystać z wolnego dostępu do półek” - oświadczyłem kobiecie pełniącej dyżur.

Nigdy jej wcześniej nie widziałem. Poruszała się bardzo ślamazarnie

i zanim jej pulchne, drobne dłonie wygrzebały ze sterty papierów żółtą przepustkę, myślałem, że upłynęły całe wieki. W końcu przekroczyłem próg i ostrożnie postawiłem stopę na pierwszym stopniu. Popatrzyłem w górę. Poprzez ażurowe, metalowe stopnie dostrzec było można jedynie wyższe piętro. Ani śladu bibliotekarza. Żadnego dźwięku.

Podkrađłem się na drugie piętro, minąłem działy ekonomii i socjologii. Trzecie było opustoszałe. Przebywała na nim jedynie dwójka studentów pogrążonych w pracy. Na czwartym piętrze ogarnął mnie już praw-

dziwy niepokój. Było za spokojnie. Nigdy nie wykorzystałbym Helen jako przynęty. Nagle przypomniałem sobie opowieść Rossiego o Hedge-sie i natychmiast przyspieszyłem kroku. Na piątym piętrze - „archeologia i antropologia” - kłębili się studenci, magistranci i wykładowcy. Rozmawiali ze sobą, porównując notatki *sotto voce*. Ich obecność podniosła mnie trochę na duchu. Przy takiej liczbie czytelników dwa piętra wyżej nie mogło dziać się nic strasznego. Na szóstym poziomie dotarł do mnie dobiegający z góry dźwięk czyichś kroków. Na siódmym - „historia” - przystanąłem, nie wiedząc, jak wejść między półki niezauważony.

Ale w końcu na tym piętrze byłem jak u siebie. Stanowiło moje królestwo, gdzie znałem każdy gabinecik, każde krzesło, każdy regał obciążony ponad miarę książkami. W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że dział historii jest kompletnie wyludniony. Po chwili jednak dotarł do mnie zza tylnych regałów szmer rozmowy. Zacząłem skradać się tam najciszej, jak umiałem. Gdy minąłem „Babilon i Asyrię” usłyszałem głos Helen. Byłem święcie przekonany, że to właśnie jej głos. Po chwili dotarły do mnie inne, wypowiedziane przez bibliotekarza zgrzytliwym tonem słowa. Serce mi zamarło. Przebywali w dziale średniowiecza - aż za dobrze zdążyłem już go poznać. Zbliżyłem się na tyle, by słyszeć ich rozmowę, ale nie zamierzałem ujawniać swojej obecności. Znajdowali się po drugiej stronie półek.

„Czy to w porządku?” - zapytała Helen wrogim tonem.

„Nie ma pani prawa grzebać w tych książkach, młoda damo” - odpowiedział jej zgrzytliwy głos.

„W tych? Przecież są własnością uniwersytetu. Kim pan jest, że próbuje konfiskować książki nienależące do pana?”

„Nie powinna pani bawić się takimi książkami. - Głos bibliotekarza był równie pełen złości, jak bałamutny i pieszczotliwy. - Takich książek młoda dama nie powinna czytać. Proszę, by pani je jutro zwróciła i nikt nie powie złego słowa”.

„Dlaczego panu tak bardzo na nich zależy? - zapytała głośno i zdecydowanie Helen. - Czyżby miały jakiś związek z profesorem Rossim?”

Skryty za regałami z literaturą traktującą o angielskim feudalizmie nie byłem pewien, czy bać się, czy śmiać. Bez względu na to, co Helen o całej sprawie sądziła, była nią zaintrygowana. I najwyraźniej nie traktowała mnie jak wariata. Chciała pomóc w gromadzeniu wiadomości o Rossim, i nieważne były jej własne motywy.

„Z profesorem... jakim profesorem? Nie wiem zupełnie, o czym pani mówi” - warknął bibliotekarz.

„Czy wie pan, gdzie on jest?” - zapytała ostro Helen.

„Młoda damo, nie mam pojęcia, o czym pani mówi. Chcę tylko, by oddała pani książki, w stosunku do których biblioteka ma własne plany. W przeciwnym razie odbije się to fatalnie na pani karierze naukowej”.

„Na mojej karierze naukowej? - zadrwiła Helen - Chwilowo na pewno tych książek nie zwrócę. Są mi niezbędne w pracy”.

„Zatem siłą zmuszę panią do ich oddania. Gdzie one są?”

Usłyszałem odgłos szybkich kroków, jakby kobieta cofała się w popłochu. Zamierzałem właśnie chwycić ogromne folio pochodzące z opactwa cysterskiego i rozwalić nim głowę obrzydliwej łasicy, kiedy usłyszałem, że Helen zaczyna grać nowymi kartami.

„Dojdźmy do porozumienia - powiedziała. - Jeśli powie mi pan coś na temat profesora Rossiego, to być może i ja panu coś pokażę... - Urwała. - Niewielką mapkę, jaką ostatnio widziałam”.

Żołądek mi się wyrócił, spadł przez całe siedem pięter biblioteki, po czym wrócił na swoje miejsce. Mapa? O co chodziło Helen? Dlaczego przekazała mu tak ważną informację? Jeśli domysły Rossiego były prawdziwe, mapa stanowiła naszą najgroźniejszą broń, a jednocześnie najbardziej zagrażającą nam rzecz. Najbardziej zagrażającą mnie - poprawiłem się w duchu. Czyżby Helen chciała mnie przechytrzyć? Doznałem nagłego olśnienia: pragnęła wykorzystać mapę, by pierwsza dotrzeć do Rossiego, dokończyć jego dzieła, wyciągnąć ode mnie wszystko, co wiem, opublikować całą tę wiedzę, zdemaskować go... Była to tylko ulotna refleksja, gdyż rozległ się dziki, ochrypły ryk bibliotekarza:

„Mapa! Masz mapę Rossiego! Za tę mapę zabiję cię!”

Straszne, zdławione sapnięcie Helen, a następnie rozpaczliwy krzyk i łomot padającego na posadzkę ciała.

„Zabierz to!” - wrzasnął bibliotekarz.

Nie dotykając prawie stopami podłogi, jak lampart, ruszyłem na niego. Jego mała głowa wyrznęła o posadzkę z odrażającym dźwiękiem, od którego skręciły mi się kiszki. Helen przykucnęła obok mnie. Była śmiertelnie biała, ale zupełnie spokojna. W dłoni miała srebrny krzyżyk, który za dwadzieścia pięć centów kupiliśmy w kościele. Trzymała go fachowo nad miotającym się i plującym z wściekłością bibliotekarzem. Mężczyzna był wątry i kruchy, szybko zwiotczał w moim uścisku, kiedy przywa-

liłem go ciężarem ciała do podłogi. Na szczęście przez ostatnie trzy lata, parając się holenderskimi dokumentami, niewiele straciłem ze swojej krzepy i wagi. Wymachując nogami, próbował wyslizgnąć się z uścisku, aleja skutecznie zablokowałem stopami jego łydki.

„Rossi! - zaskrzeczał. - Nie jest to uczciwe! To ja powinienem odejść... teraz była moja kolej! Oddaj mapę! Tak długo czekałem... Przez dwadzieścia lat jej szukałem!”

Wybuchnął żalonym, odrażającym szlochem. Kiedy ciskał głową w tę i z powrotem, ujrzałem nad kołnierzykiem jego koszuli dwie pokryte strupami rany. Trzymałem ręce jak najdalej od nich.

„Gdzie jest Rossi? - Warknąłem. - Powiedz nam to natychmiast... Czy wyrządziłeś mu krzywdę?”

Helen przybliżyła do niego mały krzyżyk, a on gwałtownie odwrócił twarz, po czym zaczął się wić w moim żelaznym uścisku. Nawet w takiej chwili zdumiał mnie efekt, jaki wywierał na tego stwora widok świętego symbolu. Było to Hollywood, zabobon czy historia? Zastanawiałem się, jak mógł wkroczyć do kościoła... ale z drugiej strony trzymał się z daleka od głównego ołtarza i bocznych kaplic. Zapamiętałem, że cofnął się nawet przed kobietą porządkującą ołtarz.

„Nawet go nie dotknąłem! Nic o tym nie wiem!”

„O tak, bardzo dużo wiesz! - Helen pochyliła się nad nim jeszcze niżej. Na jej twarzy malowała się wściekłość, była błada. Zauważyłem, że wolną ręką ściska sobie szyję.

„Helen!” - wykrzyknąłem, ale ona zbyła mnie niecierpliwym machnięciem ręki. Popatrzyła płonąącym wzrokiem na bibliotekarza.

„Gdzie jest Rossi? Na co czekałeś tyle lat? - Skurczył się w sobie. - Zaraz przyłożę ci to do twarzy”. - Helen przysunęła do jego oblicza krzyżyk.

„Nie! - wrzasnął. - Wszystko ci powiem. Rossi wcale nie chciał tam iść. To ja chciałem. To nie było uczciwe. Wziął Rossiego zamiast mnie! Zabrał go siłą... Ja służyłbym mu dobrowolnie, pomagałbym mu, katalogowałem...” - Nieoczekiwanie umilkł.

„Co?! - wrzasnąłem, bijąc ponownie jego głową o podłogę. - Kto zabrał Rossiego? Czy to ty gdzieś go trzymasz?”

Helen przysunęła do jego twarzy krzyż, dotykając nim prawie jego nosa. Bibliotekarz zadrżał i znów zaczął szlochać.

„Mój pan” - zaskomlał.

Kłęcząca obok mnie Helen wzięła głęboki wdech i gwałtownie usiadła na piętach, jakby cofając się odruchowo na dźwięk tych słów.

„Kim jest twój pan? - zapytałem, wbijając mu w krocze kolano. - Dokąd zabrał Rossiego?”

Oczy mu rozbłyły, twarz wykrzywił przerażający, prawie nieludzki wyraz.

„Tam gdzie mnie powinien być zabrać! Do grobowca!”

Może uścisk moich ramion trochę osłabł, a może to jemu przybyło sił po ostatnim wyznaniu... zapewne pod wpływem przerażenia, jak sobie później uświadomiłem. Dość, że nagle oswobodził jedną rękę i szybkim jak u skorpiona ruchem wygiął do tyłu w nadgarstku moją trzymającą jego bark dłoń. Ramię poraził mi okropny ból, gwałtownie cofnąłem rękę. Zanim zorientowałem się, co się dzieje, już go nie było. Jak burza ruszyłem po schodach. Z głośnym tupotem minąłem tłum studentów i pograżone w ciszy znajdujące się poniżej królestwa wiedzy. Ale moje ruchy krępowała teczka, którą wciąż ścisnąłem w dłoni. Mimo że już w pierwszej chwili pościgu uświadomiłem sobie, iż bardzo mi zawadza, nie chciałem jej odrzucić. Ani cisnąć w ręce Helen. Przecież powiedziała mi o mapie. Zdradziła mnie. I ugryzł ją. Czyżby ją zakaził?

Po raz pierwszy i ostatni w życiu przebiegłem hałaśliwie przez pograżoną zawsze w ciszy salę główną, nie dostrzegając nawet obracających się w moją stronę twarzy bywalców biblioteki, na których malował się wyraz zdumienia. Bibliotekarz zniknął bez śladu. Zdesperowany pomyślałem, że mógł ukryć się w jakichś pomieszczeniach, gdzie wstęp mieli tylko pracownicy. Pchnąłem ciężkie, dwuskrzydłowe, frontowe drzwi w gotyckim stylu, których nigdy do końca nie otwierano. U szczytu schodów na chwilę przystanąłem. Oślepił mnie blask popołudniowego słońca, jakbym również był stworzeniem pochodzącym z podziemnego świata, z jaskiń zamieszkiwanych przez nietoperze i szczuropodobne stwory. Uliczny ruch zamarł, a jakaś dziewczyna w stroju kelnerki, stojąc przy krawężniku, przeraźliwie krzyczała, wskazując coś na środku jezdni. Rozległ się czyjś kolejny wrzask. Dwóch mężczyzn kłęczało przed stojącym na środku jezdni samochodem. Spod przednich kół pojazdu sterczały wygięte pod nieprawdopodobnym kątem nogi bibliotekarza o twarzy przypominającej pysk łasicy. Ramię miał przerzucone nad głową. Wokół twarzy odwróconej do asfaltu tworzyła się kałuża krwi. Bibliotekarz zapadł w wiekiusty sen.

Ojciec bardzo niechętnie odniósł się do mego pomysłu, żebyśmy razem pojechali do Oksfordu.

- Jadę tam na sześć dni, a to zbyt długo, abyś ponownie na ten czas opuściła szkołę - oświadczył.

Byłam zdumiona tym, że chce zostawić mnie w domu. Nie robił tego od czasu, kiedy odkryłam książkę smoka. Czyżby wymyślił jakieś szczególne środki ochrony? Przekonywałam go, że podróż wzdłuż jugosłowiańskich wybrzeży zajęła nam prawie dwa tygodnie, a wcale nie odbiła się negatywnie na moich ocenach w szkole. Odparł, iż nauka ma pierwszeństwo. Przypomniałam mu, że zawsze uważał, iż podróże kształcą najlepiej oraz że maj jest najbardziej odpowiednią porą na wyprawę. Pokazałam mu ostatnią cenzurkę z samymi ocenami celującymi oraz pismo, dosyć pompatyczne, od nauczyciela historii: *Wykazuje wyjątkowy talent do badań historycznych, rozwinięty zwłaszcza w przeciągu ostatniego roku*. Słowa te, przed snem, zawsze powtarzałam jak mantrę.

Ojciec najwyraźniej się zawahał, odłożył sztucce. Wiedziałam, że teraz nastąpi przerwa w naszym obiedzie w starej holenderskiej jadalni albo też, iż pierwszą rundę wygrałam. Oświadczył, że tym razem będzie nieustannie zajęty i nie zdoła pokazać mi Oksfordu we właściwy sposób, że będę gdzieś ciągle zamknięta jak w klatce. Odparłam, iż wolę siedzieć zamknięta w klatce w Oksfordzie niż w domu w towarzystwie pani Clay - oboje odruchowo ściszyliśmy głosy, choć gospodyni miała tego dnia wychodne. Poza tym oświadczyłam, że jestem już na tyle duża, by poruszać się po okolicy samodzielnie. On z kolei odparł, iż nie jest pewien, czy to najlepszy pomysł z tym moim wyjazdem, gdyż rozmowy, jakie go czekają, zapowiadają się na bardzo... napięte. Była to trudna rozmowa - ale on nie mógł mi wszystkiego powiedzieć, a ja go doskonale rozumiałam. Podobnie jak ja nie chciałam mówić o prawdziwych powodach, które gnały mnie do Oksfordu, on nie mógł przytoczyć wszystkich argumentów, aby zniechęcić mnie do tej wyprawy. Nie mogłam przecież powiedzieć, że nie chcę puszczać go samego, widząc jego podkrążone oczy, przygarbione ramiona i pełną zmęczenia twarz. On zaś nie mógł przyznać się głośno do tego, iż nie będzie w Oksfordzie bezpieczny i mnie również nie zapewni tam bezpieczeństwa. Długą chwilę milczał, po czym zapytał uprzejmie, co mamy na deser. Przyniosłam więc okropny, po-

rzeczkowy budyń, którym pani Clay zawsze starała się skompensować nam swoje wyprawy do kina w Ośrodku Brytyjskim.

Zawsze wyobrażałam sobie Oksford jako wyciszone, pełne zieleni miejsce, rodzaj przykatedralnych terenów, gdzie snują się uniwersyteccy wykładowcy w średniowiecznych szatach. Każdemu towarzyszy student, którego wprowadza w arkana historii, literatury i mrocznej teologii. Rzeczywistość okazała się szokująco realna: trąbiące motocykle, samochody mijające o włos przebiegających przez jezdnię studentów, tłumy turystów uzbrojonych w aparaty fotograficzne i robiących zdjęcia krzyża ustawionego w miejscu, gdzie przed czterystu laty spalono na stosie dwóch biskupów. Wykładowcy i studenci rozczarowali mnie swym współczesnym wyglądem. Nosili zwykłe ubrania, głównie wełniane bluzy i swetry, naukowcy mieli ciemne spodnie, studenci niebieskie dzinsy. Pomyślałam ze smutkiem, że w czasach Rossiego, dobrych czterdzieści lat wcześniej, pasażerowie wysiadający z autobusu na Broad Street w Oksfordzie ubrani byli bardziej elegancko.

Ujrzałam po raz pierwszy w życiu kolegium wznoszące się w porannym świetle aż pod niebo, górujące nad przepiękną konstrukcją Radcliffe Camera*, którą w pierwszej chwili wzięłam za niewielkie obserwatorium astronomiczne. Dalej strzelały w niebo wieżycy ogromnej, brązowej świątyni, a wzdłuż ulicy ciągnął się starodawny, kamienny mur pokryty porostami i wapiennymi liszajami. Nie potrafiłam wyobrazić sobie, jak wyglądałoby w oczach ludzi, przechadzających się po tej ulicy w czasach, kiedy stawiano mur. Ja w swojej czerwonej, krótkiej spódniczce, wykonanych szydełkiem białych podkolanówkach, ze szkolnym plecakiem, a mój ojciec w granatowej marynarce, szarych spodniach, czarnym golfie i w kapeluszu. Każde z nas niosło w ręku teczkę.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył ojciec i ku mej radości skrzyliśmy w bramę widniejącą w omszałym murze. Była zamknięta i czekał na nas dłuższą chwilę, zanim dyżurny student odsunął masywne rygle.

Na Oksfordzie ojciec miał wygłosić mowę na konferencji poświęconej politycznym relacjom między Stanami Zjednoczonymi a krajami Europy Wschodniej w czasach całkowitego odprężenia. Ponieważ to uniwersy-

* Biblioteka oksfordzka, zaprojektowana przez Jamesa Gibbsa, wybudowana w latach 1737-1749. Jeden z zabytków.

tet zorganizował tę konferencję, zakwaterowani zostaliśmy w prywatnych pokojach domu jednego ze zwierzchników uczelni. Zwierzchnicy ci - wyjaśnił ojciec - są łaskawymi dyktatorami, którzy strzegą studentów mieszkających we wszystkich kolegiach. Kiedy przeszliśmy przez niską, ciemną bramę, wkraczając na zalany jaskrawym, słonecznym światłem dziedziniec, skrzyżowałam palce i wypowiedziałam w duchu życzenie, bym za dwa lata sama znalazła się w takim rajcu.

Ziemia wyłożona była kamiennymi płytami. Tu i tam rosły rozłożyste, dające dużo cienia stare drzewa - poważne, pełne melancholii, pod którymi poustawiano ławki. Przed głównym budynkiem kolegium rozciągał się prostokątny, przepyszny trawnik z niewielkim stawem. Była to jedna z najstarszych budowli Oksfordu, ufundowana w czternastym wieku przez Edwarda III, a ostateczny kształt nadano jej w czasach elżbietańskich. Nawet ów trawnik, tak pieczołowicie przystrzyżony, wyglądał czcigodnie. Nigdy nie widziałam, by ktoś po nim chodził.

Minęliśmy zieleniec i staw, kierując się do portierni, a stamtąd do przylegających do domu zwierzchnika pokoi. Owe pomieszczenia należały do najstarszych w całym kompleksie, trudno jednak powiedzieć, do jakich celów służyły pierwotnie. Były bardzo niskie, o ścianach i sufitach wyłożonych ciemną boazerią, z małymi oknami o szybach oprawnych w ołów. Meble w pokoju ojca obite zostały niebieską tapicerką. Ku mej największej radości, w swoim pokoju zastałam ogromne łoże z perkalowym baldachimem.

Wstępnie się rozpakowaliśmy. Nad jasnożółtą umywalką w łazience, którą wspólnie dzieliliśmy, obmyliśmy twarze i ręce z podróznego kurzu, po czym ruszyliśmy na spotkanie ze zwierzchnikiem Jamesem, oczekującym na nas w biurze usytuowanym w drugim końcu budynku. Okazał się serdecznym, sympatycznym człowiekiem z siwiejącymi włosami

i guzowatą blizną na policzku. Spodobał mi się jego ciepły, powitalny uścisk dłoni oraz wyraz dużych, brązowych oczu. Nie widział nic dziwnego w tym, że towarzyszę memu ojcu, a nawet posunął się tak daleko, iż zasugerował mi zwiedzenie po południu całego kolegium w towarzystwie swego studenta asystenta. „Asystent ów - dodał - jest niezwykle uprzejmym i bardzo wykształconym młodym dżentelmenem”. Mój ojciec z entuzjazmem poparł ten plan, sam bowiem był bardzo zajęty spotkaniami,

a ja, dzięki propozycji pana Jamesa, miałam okazję poznać i zobaczyć na własne oczy wszystkie skarby tego miejsca.

Gorliwie stawiałam się na spotkanie o trzeciej po południu. W jednej ręce trzymałam beret, a w drugiej duży notes. Ojciec poradził, abym prowadziła dokładne notatki z podróży, które później wykorzystam do artykułu w szkolnej gazetce. Moim przewodnikiem miał być jasnowłosy, bardzo wysoki, smukły student, którego pan James przedstawił jako Stephena Barleya. Miał piękne dłonie - pod skórą widniały niebieskawe żyły - oraz cudowny, gruby rybacki sweter. „Nazywam go wycierach” - oświadczył Stephen, kiedy rza głos wyraziłam swój podziw. Przemierzając w jego towarzystwie dziedziniec, czułam się, jakbym chwilowo należała do tego miejsca i elitarnego, studenckiego bractwa. Poczułam również pierwszą, seksualną wibrację, ulotne wrażenie, że gdybym ujęła go za rękę, kiedy podążaliśmy przez tereny uczelni, w długiej ścianie mojej rzeczywistości otworzyłyby się jakieś tajemne drzwi, których nikt już nie byłby w stanie nigdy zamknąć. Tłumaczyłam to sobie tym, że żyłam dotąd pod kloszem - pod tak grubym kloszem, iż nawet mimo swoich siedemnastu lat nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo ten klosz jest szczelny. Bunt, jaki mnie ogarnął, był niczym śpiew pochodzący z jakiejś obcej kultury. Jeszcze mocniej ścisnęłam notatnik i własne dzieciństwo, po czym zapytałam mojego przewodnika, dlaczego dziedziniec wyłożony jest kamiennymi płytami, a nie zaściela go trawnik.

- Nie wiem - odparł z rozbrajającą szczerością. - Nigdy nikogo o to nie pytałam.

Zaprowadził mnie do jadalni, sali o wysokim, belkowanym stropie pochodzącym jeszcze z czasów Tudorów, gdzie ciągnęły się długie rzędy drewnianych stołów. Stephen pokazał mi napis, który w niezdamny sposób wyciął na ławie podczas posiłku earl Rochester. Hol otaczały witrażowe okna przedstawiające dobre uczynki: Thomasa Becketa, klęczącego przy łożu umierającego, mnicha w długim habicie rozdzielającego warzächlichwzię upę między ubogich, doktora opatrującego czyjąś chorą nogę. Nad ławką Rochesterera widniała scena, której nie umiałam rozszyfrować: człowiek z zawieszonym na szyi krzyżem i z kołkiem w dłoni, pochylający się nad czymś, co przypominało stertę czarnych łachmanów.

- Tak, to rzeczywiście ciekawostka - oświadczył Stephen Barley. - Jesteśmy dumni z tego witraża. Ten człowiek to wykładowca z wczesnych czasów naszego kolegium, który przebija srebrnym kołkiem serce wampira.

Po prostu mnie zatkało.

-Czy w tamtych czasach były w Oksfordzie wampiry? - zapytałam w końcu bez tchu.

-Nic o tym nie wiem - odrzekł z uśmiechem. - Ale istnieją przekazy, że dawni uczeni z naszego kolegium bronili okolicznych mieszkań-

ców przed wampirami. Tak naprawdę zdobyli wielką wiedzę o wampi-

rach, osobliwy materiał, z którym może się pani zapoznać podczas wizyty

w Radcliffe Camera. Legenda mówi, że wcześniej naukowcy nie mieli

żadnych okultystycznych ksiąg, więc szukali ich we wszystkich innych

miejscach i wspólnym wysiłkiem sprowadzili je do Radcliffe Camera.

Nieoczekiwanie przypomniałam sobie Rossiego i zastanowiłam się, czy zapoznał się również z tym zbiorem.

-Czy istnieje sposób, by odnaleźć nazwiska studentów, którzy napisali prace magisterskie... powiedzmy pięćdziesiąt lat temu?

-Nie wiem - odparł mój towarzysz, obrzucając mnie pełnym zdziwienia spojrzeniem. - Ale jeśli pani zależy, mogę zapytać o to zwierzchnika.

-Och, nie ma takiej potrzeby - odparłam, oblewając się pąsem, przekleństwem wszystkich nastolatek. - To nic ważnego. Ale... ale czy mog-

łabym zerknąć do materiałów dotyczących wampirów?

-Lubi pani opowieści z dreszczykiem? - odparł wyraźnie rozbawiony. - Nie ma tego wiele... trochę starodawnych folio i oprawionych w skórę książek. Ale dobrze. Zwiedzimy teraz bibliotekę kolegium, tego

nie może pani ominąć, po czym zaprowadzę panią do Camera.

Biblioteka stanowiła jeden z klejnotów uniwersytetu. Od tamtego szczególnego dnia poznałam większość uczelni, ich biblioteki, kaplice, stolówki, wykładałam w niej auli. J mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że nie spotkałam niczego, co przewyższałoby bibliotekę uniwersytecką w Oksfordzie; może tylko Magdalen College Chapel z jej boskimi zdobieniami. Najpierw odwiedziliśmy oszkloną czytelnię, w której, niczym w terrarium, siedzieli studenci przy stołach równie starych jak sama uczelnia. U sufitu wisiały dziwaczne lampy, a w kątach ustawiono ogromne globusy pochodzące z czasów Henryka VIII. Stephen Barley pokazał mi pierwsze wielotomowe wydanie *Oxford English Dictionary*. Na kolejnych półkach ciągnęły się rzędy zabytkowych atlasów, wykazy parów Wielkiej Brytanii oraz dzieła historyczne dotyczące dziejów Ang-

lii, jak też łacińskie i greckie teksty gromadzone od chwili powstania biblioteki. Pośrodku sali, na wielkim, bajecznie rzeźbionym, barokowym

stojaku, widniała ogromna encyklopedia, a przy wejściu do kolejnej sali, w szklanej gablocie, ujrzałam starodawny, sztywny wolumin. Stephen wyjaśnił mi, że jest to egzemplarz Biblii Gutenberga. Nad naszymi głowami wznosiła się szklana kopuła, niczym w bizantyjskiej świątyni, przez której szyby wpadały do środka strumienie słonecznego światła. Na zewnątrz przemknęło stado gołębi. Unoszące się w powietrzu drobiny rozświetlonego blaskiem kurzu osiadały na twarzach i swetrach uczących się przy stolikach studentów. Był to raj nauki i modliłam się w duchu, abym została kiedyś do niego przyjęta.

Następne pomieszczenie tworzyło olbrzymi hol pełen napowietrznych galerii, kręconych schodów, oświetlony rzędem okien umieszczonych na górnym poziomie. Każdy centymetr ścian zajmowały książki, od góry do dołu, od sklepionej kopuły stropu po wyłożoną kamiennymi płytami posadzkę. Ujrzałam całe akry przepięknych, skórzanych okładek, teczek, niewielkich ciemnoczerwonych, dziewiętnastowiecznych woluminów. Zastanawiałam się nad zawartością wszystkich tych książek. Czy zrozumiałabym ich treść? Swędziały mnie palce, by zdjąć kilka z nich z półek, ale nie śmiałam nawet dotknąć ich grzbietów. Nie wiedziałam, czy znajduję się w bibliotece, czy w muzeum. Na twarzy musiały odbijać się moje myśli, gdyż Stephen popatrzył na mnie z lekkim uśmiechem.

- Robi wrażenie, co? Widzę, że pani również jest mołem książkowym. Chodźmy więc. Tutaj widziała już pani wszystko co najlepsze. Teraz udamy się do Camera.

Po panującej w bibliotece ciszy zgiełk na ulicy, szum aut, dźwięk klaksonów, śmiechy przechodniów wydawały się nienaturalnie głośne. A jednak byłam im wdzięczna za nieoczekiwany dar. Kiedy przechodziliśmy przez zatłoczoną pojazdami jezdnię, Stephen wziął mnie za rękę, by bezpiecznie przeprowadzić na drugą stronę. Być może i jest czymś starszym, apodyktycznym bratem - pomyślałam, lecz dotyk jego suchej, ciepłej dłoni wzbudził we mnie osobliwy dreszcz, który długo jeszcze czułam, gdy już ją puścił. Byłam jednak przekonana, spoglądając ukradkowo na jego miły, niezmienny profil, że przesłanie odebrane zostało tylko przez jedną stronę. Ale mnie to w zupełności wystarczało.

Radcliffe Camera, jak wie o tym każdy anglofil, stanowi jedną z perełek angielskiej architektury, a ponadto cudowną, osobliwą i olbrzymią kolekcję unikalnych książek. Usytuowana prawie przy samej ulicy, rysowała się nieśmiało na tle górującego nad miastem uniwersytetu. Na prze-

kór gwarnemu tłumowi turystów wypełniających sławny, okrągły hol weszliśmy do środka prawie z nabożeństwem. Stephen dokładnie pokazywał mi każdy wystudiowany szczegół architektoniczny, opisywany zresztą w każdym przewodniku. Było to poruszające do głębi, wręcz czarowne miejsce. Rozglądałam się wokół, myśląc, iż jednocześnie zawiera w sobie składnicę wiedzy o martwym złu. Na koniec mój przewodnik ruszył schodami na najwyższą galerię.

- Tam - powiedział, wskazując drzwi, jakby wykute w dziwnym klifie książek. - Za nimi znajduje się niewielka czytelnia. Byłam tu tylko raz, ale jestem przekonany, że znajdzie w niej pani całą kolekcję dotyczącą wampirów.

Mroczny pokój rzeczywiście był bardzo mały, wyciszony tak, że nie docierały doń głosy tłoczących się na dole turystów. Półki zapelniały szeregi starych książek, ich kruche jak stara kość grzbiety miały barwę karmelu. Między nimi umieszczono niewielką, połączoną szklaną gablotkę z ludzką czaszką, co podkreślało niezdrową tematykę woluminów. W małej czytelnicy mieścił się tylko jeden stolik. Wchodząc do środka, prawie na niego wpadliśmy. Siedział przy nim jakiś człowiek wertujący folio i robiący szybko notatki na leżących obok kartkach papieru. Zobaczyłam bladego i wyraźnie wycieńczonego mężczyznę. Kiedy popatrzył na nas ciemnymi, wpadniętymi oczyma, zadrżałam. Był to mój ojciec.

23

- W zamieszaniu, które powstało na skutek stłoczenia ambulansów, samochodów policyjnych i gapiów - ciągnął swą opowieść ojciec - a wszystko to towarzyszyło ściąganiu z jezdni przed biblioteką zwłok bibliotekarza, długi czas stałem niczym słup soli. Przerazające, prawie nie do pomyślenia było, że człowiek, nawet tak paskudny jak on, mógł umrzeć tak nagle. W końcu jednak wzięła górę troska o Helen. Rozejrzałem się po szybko gromadzących się ludziach, próbując wyłowić ją w tłumie. Ogarnęła mnie niewymowna ulga, kiedy kobieta pierwsza położyła mi okrytą rękawiczką dłoń na ramieniu. Była blada, lecz najwyraźniej nad sobą panowała. Widok jej szyi, owiniętej szczelnie chustką, przejął mnie dreszczem.

„Czekałam na pana jakiś czas, po czym zbiegłam po schodach - powiedziała, przekrzykując panujący wokół zgiełk. - Chcę panu podziękować za pomoc. To był naprawdę brutal. Jest pan bardzo odważnym człowiekiem”.

Mimo strasznych okoliczności ujął mnie łagodny wyraz jej twarzy.

„Tak naprawdę to pani wykazała się odwagą. A na dodatek panią skaleczył - odparłem cicho, wskazując dyskretnie jej obwiązaną chustką szyję. - Czy...”

„Tak - odpowiedziała szeptem. Odruchowo przytuliliśmy się do siebie tak, że nikt postronny nie słyszał naszej rozmowy. - Kiedy rzucił się na mnie, ugryzł mnie w szyję. - Przez chwilę drżały jej usta, jakby chciała wybuchnąć płaczem. - Nie wyssał dużo krwi... nie wystarczyło mu czasu. I to wcale nie bolało”.

„Ale...” - wybąkałem z niedowierzaniem.

„Chyba nie będzie infekcji. Krwi pojawiło się niewiele, a ja dokładnie oczyściłam ranę”.

„Może powinniśmy udać się do szpitala? - zaproponowałem i natychmiast pożałowałem swych słów, widząc jej pełne żalości spojrzenie. - Albo może w jakiś inny sposób zająć się raną”. - Przez głowę przebiegła mi myśl o ukąszeniu jadowitego węża.

Na widok malującego się na jej twarzy bólu ścisnęło mi się serce. Ale w tej samej chwili przypomniałem sobie o jej zdradzie, kiedy ujawniła sekret o mapie.

„Dlaczego...?”

„Wiem, o co panu chodzi - przerwała mi gwałtownie, głos jej stwardniał. - Ale nie potrafiłam wymyślić innej przynęty na tego stwora, a poza tym chciałam zobaczyć jego reakcję. Nigdy nie oddałabym mu mapy ani nie udzieliła żadnych informacji. Tego może być pan pewny”.

Obrzuciłem ją podejrzliwym spojrzeniem. Twarz miała poważną, usta wykrzywił nieprzyjemny grymas.

„Naprawdę?”

„Daję najuroczystsze słowo honoru - odrzekła po prostu. - A poza tym... -jej grymas przeszedł w sarkastyczny uśmiezek - nie mam zwyczaju dzielić się z nikim moimi pomysłami. A pan?”

Wyraz jej twarzy w osobliwy sposób uciszył moje obawy.

„Jego reakcja była w najwyższym stopniu interesująca”.

„Oświadczył, że to on miał iść do grobowca, ale ktoś, zamiast niego,

zabrał tam Rossiego. Dziwne, ale sprawiał wrażenie, jakby wiedział coś o miejscu, gdzie przebywa... pański promotor. Nie potrafię uwierzyć do końca w historię o Draculi, niemniej jestem skłonna uznać istnienie jakiejś tajnej grupy ludzi, którzy porwali profesora Rossiego".

Skinałem potakująco głową, choć ja sam coraz bardziej zaczynałem wierzyć w legendę.

„I co pan teraz zamierza robić?” - zapytała zdumiewająco obojętnym tonem.

„Pojadę do Sztambułu - palnąłem odruchowo, choć wcale nie zamierzałem zwierzać się jej ze swoich planów. - Jestem najgłębiej przekonany, że znajduje się tam przynajmniej jeden dokument, do którego Rossi nie dotarł. Może zawierać szczegółowe informacje o grobowcu, zapewne o grobowcu Drakuli na jeziorze Snagov".

Helen wybuchnęła śmiechem.

„Dlaczego nie zrobi pan sobie uroczych wakacji w mojej przepięknej, rodzinnej Rumunii? Mógłby tam pan odwiedzić zamek Draculi, trzymając w dłoni srebrny kołek, lub udać się osobiście nad jezioro. Słyszałam, że to wymarzone miejsce na piknik".

„Proszę mnie posłuchać - rzekłem poirytowany. - Wiem, jak dziwnie to brzmi, ale muszę podążyć każdym śladem niesamowitego zniknięcia Rossiego. A pani sama najlepiej wie, że obywatel amerykański nie może w krajach za żelazną kurtyną tropić sobie kogoś ot tak. - Moja szczerość musiała ją nieco zbić z tropu, gdyż nic nie odpowiedziała. - Chcę panią o coś zapytać. Kiedy wyszliśmy z kościoła, oświadczyła pani, że pani matka ma pewne informacje o tym, że Rossi tropił Draculę. Co konkretnie miała pani na myśli?"

„Chodziło mi o to, że kiedy się spotkali, oświadczył, iż przyjechał do Rumunii zbadać legendę o Draculi, a ona wierzy w to podanie. Może wiedziała o wiele więcej o jego studiach, niż mi się do tego przyznała... nie wiem. Bardzo niechętnie wracała do tego tematu, a ja drogiego *pater familias* tropiłam raczej kanałami naukowymi, a nie na łonie rodziny. Powinnam jednak była dokładniej matkę o wszystko wypytać".

„Jak na antropologa, osobliwe przeoczenie" - odparłem zgryźliwie.

Ale ponownie uwierzyłem, że jest po mojej stronie. Na jej twarzy pojawił się wyraz niekłamanego rozbawienia.

„*Touche*, Sherlocku. Przy najbliższym spotkaniu o wszystko ją dokładnie wypytam".

„A kiedy się spotkacie?”

„W ciągu dwóch najbliższych lat. Moja drogocenna wiza nie pozwala mi beztrudno krążyć między Wschodem a Zachodem”.

„Istnieją przecież telefony, listy...”

„Och, człowieku naiwny, Zachód to naprawdę niewinne miejsce. Sądzisz, że moja matka ma telefon? Myślisz, że nie otwierają każdego mego listu?”

Milczałem. Po prostu wskazała mi miejsce w szeregu.

„A jakiegoż to dokumentu tak żarliwie poszukujesz, Sherlocku? - zapytała. - Czy tej bibliografii, czegoś o Zakonie Smoka? Wzmiankę o tym znalazłam na samym końcu jego papierów. To jedyna rzecz, na której temat się nie rozpisywał. Czy te właśnie dokumenty chce pan znaleźć?”

Oczywiście, zgadywała słusznie. Byłem pod wielkim wrażeniem jej intelektu i z żalem myślałem, że odbywamy naszą rozmowę w tak niefortunnych okolicznościach. Z drugiej strony nie podobała mi się jej domyślność i docieklivość.

„Dlaczego to panią interesuje? - zapytałem. - Zamierza pani wykończyć to w swojej pracy?”

„Naturalnie - odrzekła surowo. - Czy po powrocie skontaktuje się pan ze mną?”

Ogarnęło mnie nagłe znużenie.

„Po powrocie? Nie mam zielonego pojęcia, w co się pakuję, więc co tu mówić o powrocie. Może dopadnie mnie wampir, niezależnie gdzie pojedę?”

Chciałem, by zabrzmiało to ironicznie i zabawnie, ale już otwierając usta, pojąłem nierealność sytuacji. Jak setki razy wcześniej stałem na chodniku przed wejściem do biblioteki, z tym tylko, że teraz prowadziłem rozmowę o wampirach - zupełnie jakbym w nie wierzył - z atrakcyjną kobietą, antropologiem rumuńskiego pochodzenia. Dookoła roило się od policji i pielęgniarzy otaczających trupa, do którego śmierci w jakiś tam sposób się przyczyniłem, choć tylko pośrednio. Starłem się nie zwracać uwagi na ich przerażającą pracę. Przyszło mi do głowy, że powinienem natychmiast i bez zbytego pośpiechu oddalić się z tego miejsca. Nie mogłem sobie pozwolić na żaden kontakt z policją i nie chodziło tylko o kilkugodzinne przesłuchanie. Miałem do zrobienia zbyt wiele rzeczy, które nie cierpiały zwłoki. Wizę turecką mogłem dostać tylko w Nowym Jorku, musiałem kupić bilety lotnicze, musiałem bezpiecznie ukryć

w domu posiadane dokumenty. Na szczęście w tym semestrze nie prowadziłem żadnych wykładów, ale powinienem jakoś przekonać władze wydziału o konieczności mego wyjazdu za granicę oraz wyjaśnić wszystko moim rodzicom, by się nie niepokoili. Odwróciłem się do Helen.

„Panno Rossi - powiedziałem. - Jeśli zachowa pani wszystko w tajemnicy, obiecuję, że natychmiast po powrocie skontaktuję się z panią. Czy jest jeszcze coś, o czym pani mi nie powiedziała? Czy istnieje sposób, żebym skontaktował się jeszcze przed wyjazdem z pani matką?”

„Mam z nią kontakt tylko listowny - odparła posępnym głosem. - Poza tym nie mówi po angielsku. Jeśli w ciągu najbliższych dwóch lat odwiedzę rodzinny dom, osobiście o wszystko ją wypytam”.

Ciężko westchnąłem. Dwa lata to za długo, termin wprost niewyobrażalny. Już teraz ogarniał mnie niepokój na myśl o rozstaniu na kilka dni - zapewne tylko na kilkadziesiąt godzin - z jedyną osobą poza mną, która wiedziała cokolwiek o prawdziwej naturze zniknięcia Rossiego. Poza tym miałem być zdany tylko na siebie w kraju, którego kompletnie nie znałem. Ale musiałem podjąć tę próbę. Wyciągnąłem do Helen rękę.

„Panno Rossi, dziękuję, że poświęciła pani tyle czasu na towarzyszenie nieszkodliwemu wariatowi. Jeśli wrócę cały, natychmiast się do pani zgłoszę i powiem, czy udało mi się... może... być może... bezpiecznie sprowadzić pani ojca...”

Wykonała nieokreślony gest dłonią okrytą rękawiczką, jakby wcale nie zależało jej na bezpiecznym powrocie Rossiego, lecz natychmiast położyła rękę na mojej dłoni i serdecznie ją uściśnęła. Odniosłem wrażenie, że jej silny uścisk jest ostatnim moim kontaktem ze światem, jaki dotąd znałem.

„Do widzenia - powiedziała. - Życzę panu jak naj owocniej szych badań”.

Odwróciła się i zniknęła w tłumie. Sanitariusze zamykali drzwi karetki pogotowia. Odwróciłem się i ruszyłem schodami. Popatrzyłem przed siebie w nadziei, że pośród tłumu gapiów zobaczę jeszcze jej postać przybraną w ciemny kostium. Ku memu zdumieniu ujrzałem Helen zmierzającą spieszenie z powrotem w moją stronę. Dopadła do mnie. Na twarzy miała gorące rumieńce.

„Przemyślałam parę rzeczy - powiedziała i umilkła. Z trudem łapała dech. - Ten problem dręczył mnie przez całe życie. - Popatrzyła mi wyzywająco w oczy. - Nie wiem, jak to zrobić, ale myślę, że pojedę z panem”.

24

Ojciec musiał wynaleźć bardzo gładką wymówkę, skoro zamiast brać udział w dyplomatycznym spotkaniu, zajmował się oksfordzką kolekcją dzieł dotyczących wampiryzmu. „Spotkanie odwołano” - oświadczył, ściskając serdecznie dłoń Stephena Barleya. Wyjaśnił, że zawędrował tu gnany dawnymi zainteresowaniami... I tutaj zamilkł, zagryzł usta i po chwili ciągnął dalej. Szukał spokoju i ciszy (w co mogłam uwierzyć). Wdzięczność za obecność przy mnie Stephena, wysokiego, przystojnego, ubranego w przepiękny sweter, była wyraźna. Ostatecznie, co ojciec miałby mi do powiedzenia, gdybyśmy się spotkali sam na sam w tej czytelnicy? Jak wyjaśniłby obecność folio pod swoim łokciem? Zamknął je, ale zbyt późno. Zdażyłam zobaczyć stronę tytułową z czarnym napisem na papierze koloru kości słoniowej: *Yampires de Provence et des Pyrenées*.

Pod perkalowym baldachimem łoża w pokoju w domu zwierzchnika kolegium dręczyły mnie okropne sny. Budziłam się co godzinę. Kiedy w końcu dostrzegłam smugę światła pod drzwiami łazienki łączącej mój pokój z sypialnią ojca, nabrałam otuchy. Mimo że często ogarniał mnie niepokój, że dręczy go bezsenność i miota się po swoim pokoju, tym razem doznałam nieoczekiwanej ulgi. Tuż przed świtem, gdy przez firanki zaczęły przesączać się pierwsze blaski dnia, obudziłam się w tym miejscu po raz ostatni.

Zaalarmowała mnie cisza. Wszystko zatopione było w nienaturalnym bezruchu: rząd drzew na dziedzińcu (które widziałam w szczelinie między firankami), ogromna szafa obok mego łoża, sąsiadujący z moją sypialnią pokój ojca. Nie sądziłam, by wstał o tak wczesnej porze. Zapewne spał głębokim snem, pochrapując lekko, zapominając o zdarzeniach poprzedniego dnia, nie myśląc o wykładach, seminariach i negocjacjach, jakie czekały go następnego dnia. Podczas naszych wspólnych wypraw zawsze budził mnie gwałtownym kołatanem do drzwi, zmuszając do pospiechu, żebyśmy zdążyli na spacer przed śniadaniem.

Tego ranka jednak cisza była przytłaczająca, było w niej coś przerażającego. Zerwałam się z ogromnego łóżka i zarzuciłam szlafrok. Kąpałam się, nasłuchując pochrapywania. Delikatnie zastukałam do jego pokoju. Kiedy przed lustrem układałam sobie włosy, nie dochodził stam-

tańd najmniejszy szmer. Przyłożyłam ucho do drzwi. Najwyraźniej pogrążony był w głębokim śnie. Nie miałam serca przerywać jego zasłużonego odpoczynku, ale powoli zaczęła ogarniać mnie panika. Zastukałam delikatnie. Odpowiedziała mi głucha cisza. Przez całe lata szanowaliśmy swoją prywatność, ale teraz, w szarym świetle sączącym się przez okno łazienki, przekreśliłam gałkę.

W sypialni ojca okna zasłaniały tak grube zasłony, że dłuższą chwilę zajęło mi rozróżnienie mglistych kształtów mebli i obrazów. Panujący w pokoju bezruch sprawił, iż po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Dałam krok w stronę łóżka, zawołałam go po imieniu w ciemnym pokoju. Ale pościel była nienaruszona. W izbie nikogo nie było. Głęboko wciągnęłam powietrze. Wyszedł, wyszedł na spacer w poszukiwaniu samotności, aby wszystko przemyśleć. Ale coś w tym schludnie zasłanym łóżku sprawiło, że bacznie się wokół rozejrzałam. Dostrzegłam zaadresowany do mnie list, a na nim dwa przedmioty, których widok poruszył mnie do żywego: niewielki srebrny krzyżyk na grubym łańcuszku oraz główka czosnku. Ponura symbolika tych przedmiotów sprawiła, że żołądek podszedł mi do gardła, zanim jeszcze przeczytałam list.

Moja Droga Cóрко!

Niewymownie mi przykro, że sprawiam Ci taką niespodziankę, ale w trybie pilnym wezwano mnie do innej sprawy, a nie chciałem zakłócać Twojego snu. Wyjeżdżam tylko na kilka dni, taką mam w każdym razie nadzieję. Ustaliłem ze zwierzchnikiem Jamesem, że do domu bezpiecznie odwiezie Cię nasz młody przyjaciel Stephen Barley. Na dwa dni zwolniono go z zajęć i dziś wieczorem pojedzie z Tobą do Amsterdamu. Chciałem, by przyjechała po Ciebie pani Clay, ale jej siostrze coś dolega i znów musiała pojechać do Liverpoolu. Zapewne uda się jej wrócić wieczorem. Tak czy owak, będziesz miała dobrą opiekę i mam nadzieję, że zachowasz się rozsądnie. A moim wyjazdem się nie martw. To sprawa poufna, ale wrócę do domu najszybciej, jak będę mógł, i wtedy Ci wszystko wyjaśnię. A tymczasem błagam Cię o to najserdeczniej, noś na szyi krzyżyk, a we wszystkich kieszeniach czosnek. Doskonale wiesz, że nigdy nie nakłaniałem Cię do żadnej religii czy wiary, a sam zawsze byłem niewierzący. Ale ze ziem musimy walczyć na warunkach, jakie nam narzuca, a Ty już znasz istotę tych warunków. Jako Twój ojciec błagam, abyś nie zignorowała mej prośby.

Od razu zauważyłam, że list został napisany w okropnym pośpiechu. Serce waliło mi jak młotem. Szybko nałożyłam na szyję medalik, a ząbki czosnku rozmieściłam po kieszeniach mego ubrania. To cały mój ojciec - pomyślałam, rozglądając się po pokoju. Nawet opuszczając w gorączkowym pośpiechu kolegium, starannie posłał łóżko. Ale skąd ten pośpiech? Gdziekolwiek się udał, nie była to zwykła misja dyplomatyczna. W przeciwnym razie z pewnością by mi o niej powiedział. Często nieoczekiwanie wyjeżdżał do najdalszych regionów Europy, aby prowadzić negocjacje, ale zawsze mi mówił, dokąd jedzie. Tym razem jednak bijące szybko serce mówiło mi wyraźnie, że nie wyjechał w sprawach zawodowych. Zwłaszcza że w tym tygodniu miał na Oksfordzie kilka zakontraktowanych wykładów i bardzo ważnych spotkań. A takie zobowiązania trudno było złamać.

Nie. Jego zniknięcie musiało mieć związek ze stresem, jaki ostatnio przeżywał - uświadomiłam sobie nagle z przerażeniem. Jak żywa stanęła mi przed oczyma scena z poprzedniego dnia w Radcliffe Camera. Ojciec pogrążony głęboko... no właśnie, co dokładnie czytał? I dokąd, na Boga, dokąd tak naprawdę się udał? Dokąd... i beze mnie? Po raz pierwszy w życiu, po tych wszystkich latach, gdy ojciec mnie hołubił, chroniąc przed samotnością, przed trudem życia bez matki, bez rodzeństwa, bez ojczystego kraju, kiedy był dla mnie zarówno matką i ojcem... po raz pierwszy poczułam się sierotą.

Gdy pojawiłam się w gabinecie zwierzchnika ze spakowaną walizką i przerzuconym przez ramię płaszczem przeciwdeszczowym, mężczyzna okazał mi wielką serdeczność. Oświadczyłam mu jednak, że pojedę sama, zapewniłam, iż jestem wdzięczna za troskę i propozycję, by towarzyszył mi w podróży jego student - przez cały kanał - i że nigdy nie zapomnę jego uprzejmości. Przy tych słowach ogarnęła mnie lekka melancholia i rozczarowanie - jak miło byłoby podróżować przez cały dzień ze Stephenem Barleyem uśmiechającym się do mnie z przeciwległego fotela! Ale musiałam spojrzeć prawdzie w oczy. Będę za kilkanaście godzin bezpieczna w domu - powtarzałam sobie z uporem w duchu, odpychając kuszące obrazy wyłożonego czerwonym marmurem stawu z szemrzącą wodą, miłego uśmiechu młodzieńca, który pchnąłby mnie, bojąc się

nawet widoku jego twarzy, w boskie otmęty. Oświadczyłam zwierzchnikowi, że za kilka godzin będę w domu, skąd natychmiast do niego zadzwonię. „Poza tym - dodałam obłudnie - za kilka dni powróci mój ojciec”.

Zwierzchnik James nie miał najmniejszych wątpliwości, że mogę podróż odbyć sama, wyglądałam zresztą na bardzo zaradną i niezależną osobkę. Ale nie mógł cofnąć słowa danego memu ojcu, staremu przyjacielowi - oświadczył mi z przemiłym uśmiechem. Stanowiłam największy skarb mego ojca i nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby wyprawił mnie w drogę bez odpowiedniego towarzystwa. Długo wyjaśniał mi, że nie chodzi tu wcale o moje bezpieczeństwo, ale o ojca... z którego wolą musimy się troszeczkę liczyć. Dalszą dyskusję przerwało pojawienie się Stephena Barleya. Nie zdążyłam sobie nawet uświadomić faktu, że zwierzchnik był starym przyjacielem ojca, choć z tego, co było mi wiadomo, po raz pierwszy spotkali się zaledwie przed dwoma dniami. Ale nie miałam czasu na zastanawianie się nad taką niespójnością faktów. Przede mną, niczym stary znajomy, stał Stephen - serdeczny, w marynarce, z neseserem w rękę. Tak naprawdę to nie miałam najmniejszego powodu, by odrzucać jego towarzystwo. Zaczęłam nawet żałować trochę swych obiekcji co do jego obecności, ale nie na tyle, na ile powinnam. Z radością powitałam jego rzeczowy uśmiech i słowa: „Zwalniasz mnie z pracy, czy tak?”

Zwierzchnik James był bardziej stanowczy.

- Masz zadanie, mój chłopcze - oświadczył. - I oczekuję od ciebie telefonu z Amsterdamu, kiedy tylko przybędziecie na miejsce. Będę też chciał porozmawiać z gospodynią. Tu masz pieniądze na bilety i posiłki. Tylko bierz na wszystko rachunki. - Jego brązowe oczy rozbłysły. - Nie mówię, że nie wolno ci kupić holenderskiej czekolady, ale przynajmniej tabliczkę przywieź mnie. Nie jest wprawdzie tak smaczna jak belgijska, lecz sprawisz mi nią wielką przyjemność. Ale to już zależy od ciebie. Miej głowę na karku. - Następnie zwrócił się do mnie, potrząsnął mi rękę i wręczył kartę wizytową. - Wracaj do nas, moja droga, kiedy już pomyślisz o uniwersyteckiej karierze.

Po wyjściu z gabinetu Stephen odebrał ode mnie walizkę.

- Chodźmy więc. Bilety wprawdzie mamy na dziesiątą trzydzieści, ale zawsze możemy być wcześniej.

Zwierzchnik i mój ojciec uzgodnili wszystko w najdrobniejszym

szczegól - pomyślałam. Zastanawiałam się, jakimi jeszcze kajdanami przykuli mnie do domu. Aleja miałam inne sprawy do załatwienia.

-Stephen... - zaczęłam.

-Ach, nazywaj mnie Barley! - Wybuchnęła śmiechem. - Wszyscy tak na mnie wołają i czuję się nieswojo, kiedy ktoś mówi do mnie po imieniu.

-Nie ma sprawy. - Jego uśmiech był zaraźliwy... a ja łatwo się nim zarażałam. - Barley, czy mógłbyś mi przed wyjazdem wyświadczyć pewną

przysługę? - Skinął potakująco głową. - Chciałabym jeszcze raz odwie-

dzić Radcliffe Camera. Jest taka piękna i... i... chciałabym wreszcie obej-

rzyć tę kolekcję o wampirach. Nawet nie miałam okazji na nią zerknąć. Ciężko westchnął.

-A więc miałam rację, twierdząc, że uwielbia pani opowieści z dreszczykiem. To chyba rodzinne.

-Wiem - odparłam, czerwieniąc się.

-No dobrze. Chodźmy tam, ale później musimy wracać biegiem. Zwierzchnik James przebije mi serce kołkiem, jeśli spóźnimy się na pociąg.

O tak wczesnej porze Radcliffe Camera była pusta. Szybko wbiegliśmy po wygładzonych schodach do makabrycznej czytelnicy, w której poprzedniego dnia zaskoczyliśmy mego ojca. Po wejściu do maleńkiego pomieszczenia z najwyższym trudem powstrzymałam łzy. Zaledwie kilkanaście godzin wcześniej siedział w nim mój ojciec z oczyma, w których malował się odległy, nieobecny wyraz, a teraz nie wiedziałam nawet, gdzie przebywa.

Ale pamiętałam dokładnie, gdzie w trakcie naszej rozmowy odstawił książkę: po lewej stronie, poniżej gabloty z czaszką. Barley stał tuż obok mnie (w tak ciasnym pomieszczeniu trudno było wyobrazić sobie inną sytuację, choć marzyłam, by wszedł na galerię), a w jego wzroku malowała się niekłamaną ciekawość. W miejscu, gdzie powinna stać książka, ziała czarna dziura, jak po wyrwanym zębie. Zamarłam. Z całą pewnością mój ojciec nigdy nie ukradłby książki. Kto więc ją zabrał? Po chwili jednak zobaczyłam tom na innym miejscu, odległym ode mnie na długość ramienia. Zapewne od czasu, kiedy byłam tu ostatni raz, ktoś ją przesunął. Czyżby ojciec wrócił tu ponownie? A może ktoś inny grzebał na półce? Zerknęłam podejrzliwie na czaszkę w szklanej gablocie, ale eksponat oddał mi tylko obojętne, anatomiczne spojrzenie. Sięgnęłam po

książkę i ostrożnie położyłam ją na stoliku. Oprawiona była w okładkę barwy kości, a spod pierwszej strony wystawała czarna, jedwabna tasiemka. Otworzyłam wolumin na stronie tytułowej: *Yampires du Moyen Age*, Baron de Hejduke, Bucarest, 1886.

-Dlaczego tak bardzo zainteresował cię ten odrażający śmieć? - zapytał Barley, zerkając mi przez ramię.

-Zbieram materiały do szkolnej gazetki - burknęłam.

Książka podzielona była na rozdziały, których tytuły zapadły mi w pamięć: *Yampire de la Toscane*, *Yampires de la Normandie*, i tak dalej, i tak dalej. W końcu znalazłem interesujący mnie ustęp: *Yampires de Provence et des Pyrenees*. Boże wielki, czy wystarczy mi znajomości języka francuskiego? Barley zaczął nerwowo spoglądać na zegarek. Przebiegałam szybko palcem po marginesie tekstu, starając się nie dotykać starodawnego druku na papierze barwy kości słoniowej. *Yampires dans les villages de Provence...* Czego w tym rozdziale szukał mój ojciec? Ślęczał nad pierwszą stroną tego rozdziału. *Ily a aussi une legende...* Pochyliłam się nisko nad tekstem.

Od tej chwili doskonale rozumiałam, o co chodzi. Do tego czasu mój stosunek do języka francuskiego był czysto utylitarny: po prostu odrabiałam lekcje. Kiedy poznałam jakieś nowe wyrażenie czy zwrot, stanowił on jedynie pomost do kolejnego ćwiczenia. Nigdy wcześniej nie doznałam owego drżącego niczym skrzydła ptaka zrozumienia, że podróże z realnego świata do umysłu i serca są czymś cudownym, że obcy język potrafi wpłynąć nieoczekiwanie na czyjeś życie, dokonać rewolucji w widzeniu i rozumieniu rzeczywistości, a jedno obce wyrażenie czy zdanie może przewrócić czyjś świat do góry nogami. Wtedy też rozumiałam ogromną wartość towarzyszy francuskiego: niemieckiego, rosyjskiego, łaciny, greki, a nawet sanskrytu.

Stanowiło to dla mnie ogromne odkrycie i rewelację.

-*Il y a aussi une legende* - szepnęłam i Barley natychmiast pochylił się nade mną. Przetłumaczył słowa na głos, ale ja już wcześniej pojęłam

ich sens. - „Istnieje też legenda, że Dracula, najszlachetniejszy i najgroź-

niejszy ze wszystkich wampirów, zdobył swą potęgę nie na Wołoszczyź-

nie, ale przez kacerskie, bluźniercze czyny w klasztorze Saint-Matthieu-

-des-Pyrenees-Orientales - domu benedyktynów ufundowanym w roku

pańskim tysięcznym".

-O co w tym chodzi? - zapytał Barley.

-Piszę artykuł do gazetki szkolnej - powtórzyłam, ale on popatrzył na mnie dziwnie, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu. - Czy do-

brze znasz francuski? - spytałam pokornie.

-Oczywiście. - Uśmiechnął się i jeszcze niżej pochylił nad tekstem. - „Mówią, że Dracula odwiedza klasztor co szesnaście lat, by złożyć hołd i daninę swoim początkom i odnowić czynniki, które pozwo-

liły mu żyć po śmierci”.

-Proszę, tłumacz dalej - powiedziałam, zaciskając z całych sił palce na krawędzi stolika.

-Oczywiście - zgodził się niemal ochotczo. - „Wyliczenia dokonane przez brata Piotra z Prowansji na początku siedemnastego wieku wska-

zują, iż Dracula odwiedza Saint-Matthieu zawsze w ostatniej kwadrze księżycy w miesiącu maju”.

-A jaką kwadrę mamy dzisiaj? - zapytałam zdławionym głosem, ale Barley też tego nie wiedział.

Dalej nie było już żadnych wzmianek o Saint-Matthieu. Pozostałe strony zawierały odpis dokumentu z kościoła w Perpignan mówiącego o wielkim popłochu wśród stad owiec i kozłów w tym regionie w roku tysiąc czterysta dwudziestym ósmym, ale trudno było dociec, czy spisujący ów dokument kleryk winił za to wampiry czy złodziei trzód.

- Dziwna książka - zauważył Barley. - Czy twoja rodzina czytuje takie rzeczy dla rozrywki? Może chcesz posłuchać o wampirach na Cyprze?

Nie znalazłam w książce nic więcej na interesujący mnie temat. Kiedy więc Barley ponownie zerknął na zegarek, obrzuciłam tylko tęsknym spojrzeniem kuszące rzędy książek.

- Tak, to było urocze - oświadczył Stephen, kiedy schodziliśmy po schodach. - Nie da się ukryć, że jesteś dziewczyną niezwykłą.

Nie wiedziałam dobrze, co ma na myśli, ale miałam nadzieję, że był to komplement.

W pociągu Barley bawił mnie uciesznymi historyjkami o studenckim życiu, o sztubackich wybrykach kolegów, o nieszczęsnych ofiarach ich niewybrednych żartów. Później przesiedliśmy się na pokład statku kołyszącego się na oleistych, szarych wodach kanału. Dzień był słoneczny, lecz bardzo chłodny, więc zajęliśmy miejsca na winylowych fotelach w środku statku, gdzie nie dokuczał nam porywisty wiatr.

- Podczas semestru niewiele śpiam - oświadczył Barley, zwinął płaszcz, podłożył go pod plecy i natychmiast zapadł w głęboki sen.

Byłam bardzo rada, że przespał dwie godziny podróży. Mogłam w spokoju przemyśleć wiele spraw, zarówno natury praktycznej, jak i naukowej. Moim największym problemem nie były powiązania różnych historycznych zdarzeń, lecz pani Clay. Zapewne będzie czekać na mnie bezlitośnie w holu wejściowym naszego domu w Amsterdamie, drażona niepokojem o ojca i o mnie. Jej obecność oznaczać będzie, że zostanę na dobre uwięziona w domu i jeśli następnego dnia nie pojawię się natychmiast po szkole, puści moim tropem, niczym sforę wilków, połowę amsterdamskiej policji. Poza tym istniał jeszcze Barley. Popatrzyłam na jego pograżoną we śnie twarz. Lekko pochrapywał. Kiedy tylko wyjdę do szkoły, on zapewne uda się do portu na prom. Będę musiała bardzo uważać, by się na niego nie natknąć.

Pani Clay rzeczywiście oczekiwała nas już w domu. Barley stał obok mnie, kiedy szukałam w torebce kluczy do drzwi. Wyciągał szyję w prawo i w lewo, podziwiając starodawne domy kupców i lśniące kanały.

- Coś wspaniałego! - wyrażał głośno swój zachwyt. - Te twarze przechodniów, jakby żywcem wyjęte z obrazów Rembrandta.

Kiedy pani Clay nieoczekiwanie otworzyła drzwi i wciągnęła mnie do środka, Stephen nadażył za mną dosłownie w ostatniej chwili. Z ulgą spostrzegłam, że górę wzięły w nim jego dobre maniery. Gdy tylko oboje zniknęli w kuchni, by zatelefonować do zwierzchnika Jamesa, ruszyłam spieszenie na piętro. Zawołałam tylko, że muszę się umyć po podróży. Ale tak naprawdę, choć serce waliło mi jak młotem, zamierzałam natychmiast splądrować bastion mego ojca. Panią Clay i Barleyem zajmę się później. Teraz koniecznie musiałam znaleźć to, co tam, w moim najgłębszym przekonaniu, ukrył.

Nasz dom zbudowany został w roku tysiąc sześćset dwudziestym, miał na pierwszym piętrze trzy sypialnie oraz kilka wąskich pokoi o stropach podpartych ciemnymi belkami, które mój ojciec wprost uwielbiał. Twierdził, że przypominają mu o prostych, ciężko pracujących ludziach, którzy ongiś je zamieszkiwali. Osobiście zajmował największy z nich, zastawiony tylko kilkoma pięknymi, bardzo prostymi, starodawnymi holenderskimi meblami. Proste umeblowanie urozmaicił tureckim dywanem i łóżkiem z baldachimem, jakimś szkicem van Gogha oraz dwunastoma miedzianymi rondlami pochodzącymi z wiejskiego gospodarstwa we Francji. Tworzyły one ekspozycję na jednej ze ścian, odbijając w so-

bie blask bijący od przepływającego poniżej kanału. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, jak zdumiewający był ten pokój, nie tylko poprzez swój eklektyczny styl, ale również przez klasztorną prostotę. Nie było w nim ani jednej książki. Ojciec wszystkie przeniósł do biblioteki na dole. Z poręczy siedemnastowiecznego krzesła nie zwieszała się żadna część garderoby, żadna gazeta nie profanowała lśniącej powierzchni biurka. Nie było telefonu ani nawet zegara - mój ojciec w naturalny sposób budził się o wczesnych, porannych godzinach. Proste pomieszczenie służące jedynie do snu, przebudzeń i modlitwy, choć nie wiedziałam, do kogo te modlitwy były teraz kierowane. Uwielbiałam ten pokój, lecz bywałam w nim bardzo rzadko.

Teraz wślizgnęłam się do niego niczym włamywacz, cichutko zamknęłam za sobą drzwi i otworzyłam biurko. Odnosiłam paskudne wrażenie, iż otwieram zapieczętowaną trumnę, ale jakoś się przemogłam. Wyciągałam wszystko z przegródek, a następnie pieczołowicie odkładałam każdy przedmiot na jego pierwotne miejsce - listy od przyjaciół ojca, jego prześliczne, wieczne pióra, sygnowane jego nazwiskiem papiery listowe. W końcu natrafiłam na zapieczętowany pakuneczek. Bez wyrzutów sumienia natychmiast go otworzyłam. W środku ujrzałam adresowaną do mnie kartkę z ostrzeżeniem, że mogę przeczytać te listy tylko w przypadku, gdyby mój ojciec nieoczekiwanie umarł lub na dłuższy czas zniknął. Czyż nie to właśnie ojciec pisał wieczorami i zasłaniał łokciem, ilekroć odwiedzałam go w tym pokoju? Chciwie podniosłam pakunek, zamknęłam biurko i szybko udałam się do swego pokoju, bacznie nasłuchując dźwięku kroków pani Clay na schodach.

W paczce znajdowały się listy, każdy schludnie trzymany w kopercie i adresowany do mnie w naszym domu, jakby zamierzał wysyłać je z różnych miejsc. Ułożyłam je w porządku obok siebie i ostrożnie otworzyłam pierwszy. Nosił datę sprzed sześciu miesięcy i zaczynał się słowami, które wprost rozdarły me serce:

Moja Droga Cóрко... - Litery tańczyły mi przed oczyma. - Jeśli to czytasz, wybacz mi. Udałem się na poszukiwanie Twojej matki.

*Część i>ru\$**

Gdzież ja się znalazłem i pomiędzy jakich ludzi trafilem? W jaką groźną przygodę się wdałem? [...] Zacząłem przecierać oczy i szczytać się, by się przekonać, że nie śpię. Wszystko

to sprawiało na mnie wrażenie koszmarnego snu i oczekiwałem, że obudzę się nagle, by stwierdzić, iż jestem w domu, a przez okno zagląda świt. Już mi się to zdarzało po dniu zbyt ciężkiej pracy. Ale skóra odczuwała zmianę, a oczy wcale nie wprowadzały mnie w błąd. Nie śniłem i rzeczywiście znajdowałem się w samym sercu Karpat. Wszystko, co mogłem teraz zrobić, to zachować spokój i cierpliwie czekać świtu.

Bram Stoker, *Dracula*, 1897

(przekł. W. Wydmuchy i Ł. Nicpana)

25

Dworzec kolejowy w Amsterdamie znałam jak własną kieszeń, bywałam tam dziesiątki razy. Ale nigdy jeszcze nie byłam na nim sama. Nigdy jeszcze nie podróżowałam samotnie i siedząc na ławce w poczekalni, czekając na poranny ekspres do Paryża, czułam, jak mocno bije mi puls nie tylko z niepokoju o los mego ojca - rozpiełała mnie myśl o wolności, jakiej zaznałam po raz pierwszy w życiu. Pani Clay wręczyła mi śniadanie i wiedziała, że poszłam do szkoły. Barley na promie też tak myślał. Było mi trochę szkoda marudnej pani Clay, a jeszcze bardziej Barleya, który na schodkach mego domu z nieoczekiwaną galanterią pocałował mnie w dłoń i wręczył tabliczkę czekolady, choć przypominałam mu, że holenderskie słodycze mam na podorędziu. Pomyślałam nawet, że mogłabym wysłać do niego list, gdy wszystko się już skończy... ale nie miałam zielonego pojęcia, kiedy tak naprawdę to nastąpi.

W tej chwili otaczał mnie śliczny, słoneczny, amsterdamski poranek. Byłam mocno podniesiona na duchu, wędrując wzdłuż kanałów od naszego domu na dworzec, czując zapach pieczonego chleba, wilgotną woń bijącą z kanałów i nie do końca piękną atmosferę miasta. Siedząc na dworcowej ławce, robiłam w myślach przegląd mego dobytku: zmiana odzieży i bielizny, listy ojca, chleb, ser, kilka kartonów z sokiem, które zabrałam ze spiżarni. Obrabowałam też pokaźną kasę w kuchni, by zasilić zawartość mojej portmonetki. Pani Clay szybko się zorientuje, ale na to nie było rady. Nie mogłam czekać do chwili otwarcia banków, żeby podjąć własne szczupłe oszczędności. Miałam też ze sobą ciepły sweter, kurtkę przeciwdeszczową, paszport, rozkład jazdy pociągów i podręczny słownik języka francuskiego.

Ukradłam coś jeszcze. Zabrałam z salonu srebrny sztylet z gąbłotki z osobliwościami, które ojciec dostawał podczas pierwszych misji dyplomatycznych, kiedy dopiero zaczynał tworzyć fundację. W tamtych czasach byłam zbyt mała, by mu towarzyszyć, więc zostawiał mnie w Stanach Zjednoczonych pod opieką rozlicznych krewnych. Teraz miałam przy sobie niezwykle ostry sztylet o ozdobnej rękojeści. Spoczywał w pochwie równie ozdobnie grawerowanej. Była to jedyna broń, jaką kiedykolwiek w domu widziałam. Mój ojciec nie znosił widoku pistoletów, karabinów, mieczy i bojowych toporów. Nie miałam pojęcia, w jaki sposób ten sztylet miałby zapewnić mi bezpieczeństwo, ale czułam się o wiele pewniej, wiedząc, że mam go w torebce.

Kiedy podstawiono ekspres, na peronie zaroili się ludzie. Poczulałam wtedy, i do dziś tak uważam, że nie ma piękniejszej sceny niż widok nadjeżdżającego pociągu, bez względu na to, w jak okropnej sytuacji znajduje się człowiek - zwłaszcza jeśli jest to pociąg europejski i zmierza na południe kontynentu. W tamtym okresie mego życia, w ostatnim ćwierćwieczu dwudziestego stulecia, można było jeszcze usłyszeć gwizd jednych z ostatnich parowych lokomotyw, przemierzających regularnie trasy przez Alpy. Zająłam miejsce w przedziale i prawie z uśmiechem otworzyłam szkolną torbę. Czekano mnie wiele godzin jazdy, ale bardzo ich potrzebowałam, nie na lekturę książki, lecz na dokładne zapoznanie się z treścią drogocennych listów mego ojca. Miałam pewność, że właściwie wybrałam cel podróży, ale chciałam się też dowiedzieć, po co dokładnie tam jadę i co mnie tam czeka.

Zaciągnęłam firankę w drzwiach oddzielających przedział od korytarza, mając nadzieję, że żaden inny pasażer nie zakłóci mojej samotności. Po chwili jednak do mego przedziału weszła kobieta w średnim wieku. Na głowie miała niebieski kapelusz. Przesłała mi ciepły uśmiech i zajęła się lekturą jakichś kolorowych, holenderskich magazynów. Rozsiadłam się wygodnie przy oknie, przez dłuższą chwilę obserwowałam zostające w tyle stare miasto i tonące w zieleni przedmieścia, a następnie otworzyłam pierwszy list. Jego początek znałam już doskonale, wstrząsająca treść, zaskakujące miejsce i data, zdecydowane, choć pospieszne ręczne pismo.

„Moja Droga Córko!

Jeśli czytasz ten list, wybac mi. Pojechałem szukać Twojej matki. Przez wiele lat żyłem w przekonaniu, że nie żyje. Teraz już nie mam ta-

kiej pewności. Owa niepewność jest niemal gorsza od żałoby, jak zapewne któregoś dnia sama się przekonasz. Rozdziera mi to serce dniem i nocą. Nie mówiłem Ci dużo o matce, ale wynikało to z mojej własnej słabości. Tak, dobrze o tym wiem, ale nasza historia jest zbyt bolesna, aby łatwo było ją opowiedzieć. Zamierzałem Ci wszystko wyjaśnić, kiedy będziesz na tyle duża, by zrozumieć w pełni tę opowieść, a jednocześnie się nie przerazić. Jednak historia ta samego mnie przerażała i dręczyła nieustannie do tego stopnia, że nie byłem w stanie wszystkiego opowiedzieć Ci wprost.

Przez kilka ostatnich miesięcy, chcąc w jakiś sposób wynagrodzić Ci moją słabość, opowiadałem o swojej przeszłości, zamierzając stopniowo wprowadzać do opowieści postać Twojej matki, choć ona w moje życie weszła w sposób raczej gwałtowny. A teraz obawiam się, że nie zdołam już przekazać Ci wszystkiego, co powinnaś wiedzieć o swoim dziedzictwie, albo bowiem zamilknę - dosłownie, nie mogąc Cię o wszystkim poinformować osobiście - albo stanę się ofiarą własnego milczenia.

Opisałem Ci już pewne zdarzenia z mego życia w czasach, kiedy byłem absolwentem uniwersytetu, a Ciebie jeszcze nie było na świecie. Opowiedziałem też trochę o okolicznościach tajemniczego zniknięcia mego promotora, gdy objawił mi swe rewelacje. Przekazałem Ci, w jaki sposób poznałem młodą kobietę o imieniu Helen, która była równie jak ja - a zapewne jeszcze bardziej - zainteresowana odnalezieniem profesora Rossiego. W każdej sprzyjającej chwili starałem się coraz głębiej wciągać Cię w tę historię, lecz teraz czuję, że pozostało mi już tylko przelanie jej na papier. Jeśli musisz to teraz czytać, zamiast wysłuchać bezpośredniej relacji ode mnie na jakimś skalistym wierzchołku lub zacisznym *piazza*, w ustroniu cichej przystani lub przy stoliku w kafejce - to moja wina, że nie opowiedziałem Ci wszystkiego dostatecznie szybko albo wcześniej.

Pisząc te słowa, mam za oknem widok na światła starego portu, a Ty śpisz niewinnym, spokojnym snem w sąsiednim pokoju. Jestem śmiertelnie zmęczony po pracowitym dniu i ogarnia mnie przerażenie na myśl, że muszę podjąć jeszcze większy wysiłek, by wszystko to opisać - smutny obowiązek, żalosna ostrożność. Odnoszę wrażenie, że pozostało mi jeszcze kilka tygodni, może miesięcy, w ciągu których z pewnością zdołam o wszystkim powiedzieć Ci osobiście, tak więc nie będę wracać do zdarzeń, o których już mówiłem podczas naszych wędrówek po tyłu krajach.

Co do najbliższych tygodni lub miesięcy, nie jestem do końca pewien. Listy te są moim zabezpieczeniem przeciwko Twojemu osamotnieniu. W najgorszym razie odziedziczysz po mnie dom, pieniądze, meble i książki. Gorąco jednak wierzę, że te papiery staną się dla Ciebie największym skarbem, większym niż wszystkie inne dobra doczesne, zawierają bowiem Twoje dzieje, Twoją historię.

Dlaczego nie przekazałem Ci wszystkiego od razu, nie opowiedziałem całej historii podczas jednej rozmowy? I znów odpowiedź wynika z mojej słabości, ale także i z tego, że taka szybka, skrócona wersja stanowiłaby dla Ciebie... straszliwy cios. Nie mogę narażać Cię na taki ból, nawet jeśli byłby on jedynie odpryskiem tego, co dręczy mnie. Mogłabyś też nie uwierzyć w to, co Ci mówię, gdybym przekazał Ci wszystko od razu; podobnie jak ja w pierwszej chwili nie uwierzyłem w opowieść mego promotora Rossiego. No i na koniec, jak mógłbym zredukować tak skomplikowaną historię do podstawowych faktów? Tak więc przedstawiam to wszystko stopniowo, krok po kroku. Zastanawiam się też, do jakiego momentu uda mi się doprowadzić tę historię osobiście, zanim listy te nie wpadną w Twoje ręce".

Pomyślałam z zalem, iż przewidywania mego ojca nie do końca się spełniły i podjął opowieść o krok lub dwa dalej. Być może nigdy nie poznam jego reakcji na zdumiewające oświadczenie Helen Rossi, że chce towarzyszyć mu w badaniach, oraz interesujących szczegółów ich wspólnej wyprawy z Nowej Anglii do Stambułu. W jaki sposób - zastanawiałam się - załatwili całą papierkową robotę, pokonali wszystkie biurokratyczne przeszkody, jak zdobyli wize i przeskoczyli bariery celne? Co nałgał rodzicom, sympatycznym, statecznym bostończykom, o swoim nagłym wyjeździe? Czy w towarzystwie Helen niezwłocznie udał się do Nowego Jorku, jak początkowo planował? I czy spali w jednym pokoju hotelowym? Umysłem nastolatki nie potrafiłam rozgryźć tej zagadki, choć nie dawała mi chwili spokoju. Musiałam więc tylko ograniczyć się do wyobrażania sobie mego ojca i Helen jako postaci z jakiegoś filmu pochodzącego z czasów ich młodości. Kobieta spowita kołdrą leży skromnie na podwójnym łożu, mężczyzna bez butów - i tylko bez nich - przysypia w fotelu, a za oknem w plugawy, zachęcający sposób mrugają światła Times Square.

„Szóstego dnia po zniknięciu Rossiego udaliśmy się mglistą nocą z Idlewild Airport do Stambułu. We Frankfurcie mieliśmy przesiadkę. Na miejsce dotarliśmy następnego ranka. Natychmiast wygoniono nas z samolotu. Wówczas w Europie Zachodniej byłem już po raz drugi, ale ten wyjazd wydawał mi się wyprawą na inną planetę - w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku Turcja była krajem zupełnie innym niż dzisiaj. Najpierw wierciłem się w niewygodnym fotelu, ocierając ręcznikiem z potu twarz, by następnie znaleźć się na równie rozgrzanym jak wewnątrz samolotu pasie startowym. Otaczały mnie dziwne, obce zapachy nawiewane wraz z tumanami kurzu przez suchy wiatr. Powiewająca w jego podmuchach chusta, stojącego przede mną w kolejce Araba, raz po raz biła mnie w twarz. Na widok mego zdumienia Helen wybuchnęła śmiechem. Jeszcze w samolocie uczesała się i nałożyła na usta szminkę tak, że teraz, po pełnej udręki nocnej podróży, wyglądała zdumiewająco świeżo. Jej szyję spowijała chustka. Wciąż nie wiedziałem, co skrywała, ale nie śmiałem prosić, by ją zdjęła.

»Witaj w wielkim świecie, jankesie« - powiedziała z szerokim uśmiechem.

Tym razem był to prawdziwy uśmiech, a nie jej zwykły, zdawkowy grymas twarzy.

Podczas jazdy taksówką moje zdumienie wzrastało. Sam dobrze nie wiedziałem, czego spodziewałem się po Stambule - miałem zbyt mało czasu, by się wcześniej nad tym zastanawiać - ale uroda tego miasta dosłownie powaliła mnie z nóg. Miało klimat *Baśni tysiąca i jednej nocy*, którego nie były w stanie rozproszyć nawet liczne, trąbiące samochody i widok biznesmenów w zachodnich garniturach. Pomyślałem, że Konstantynopol, stolica Bizancjum i pierwsza stolica chrześcijańskiego Rzymu - dziś Stambuł - musi swym wyglądem przechodzić wszelkie wyobrażenia - konglomerat rzymskiego bogactwa i chrześcijańskiego mistycyzmu. Nim znaleźliśmy kwatery w starej dzielnicy Sultanahmet, zdołałem dostrzec tuziny meczetów i minaretów, bazarów pełnych najdelikatniejszych tkanin, a nawet mignęły mi kopuły Hagia Sophii otoczone czterema wieżami górującymi nad półwyspem.

Helen również była w Stambule po raz pierwszy i studiowała wszystko z wielką uwagą. Podczas jazdy taksówką tylko raz odwróciła się w moją stronę. Oświadczyła, iż czuje się dziwnie, oglądając na własne oczy źródło - słówko to było chyba jej wymysłem - Imperium Osmań-

skiego, które wycisnęło niezatarte piętno również na jej rodzinnym kraju. W następnych dniach niejednokrotnie rozmawialiśmy o tym. Wygłaszała krótkie, zjadliwe uwagi na temat wszystkiego, co już знаła: tureckich nazw miejsc, sałatki z ogórka - jedliśmy w restauracji pod gołym niebem - ostrołukowych okien. Wywierało to na mnie dziwny efekt, jakbym podważał swoje doświadczenia, obserwując jednocześnie Stambuł i Rumunię. Stopniowo narastało między nami pytanie, czy kiedykolwiek uda mi się zobaczyć tę ostatnią. Odnosiłem wrażenie, iż ciągną mnie do tego kraju artefakty przeszłości widziane oczyma Helen. Ale zboczyłem z tematu - to znacznie dalszy epizod mojej opowieści.

W porównaniu z blaskiem i kurzem ulicy w holu naszej kwatery pannał rozkoszny chłód. Z ulgą rozparłem się na krześle, oddając całą inicjatywę Helen, która piękną francuszczyzną, choć skażoną dziwnym akcentem, zamówiła dla nas dwa pokoje. Nasza gospodyni - Ormianka, która uwielbiała podróżników i starała się uczyć ich języków - nie знаła nazwy hotelu, w którym przed laty zatrzymał się Rossi.

Helen uwielbia, gdy coś się dzieje - pomyślałem i zostawiłem jej całą inicjatywę. Na mocy niepisanej umowy wszystkie rachunki płacić miałem ja. Zabrałem z banku wszystkie swoje skromne oszczędności, ale Rossi zasługiwał na taką ofiarę, choćby nawet wszelkie moje wysiłki spełżyły na niczym. Gdyby do tego doszło, do domu wróciłbym jako bankrut. Ale wiedziałem też, że Helen, jako studentka z obcego kraju, zapewne posiadała mniej niż nic i żyła prawie z niczego. Zauważyłem już, że cały jej majątek stanowią dwie walizki wypełnione skromnymi ubraniami.

»Chcemy wynająć dwa, sąsiadujące ze sobą pokoje - oświadczyła Helen starszej, o bardzo miłej twarzy, Ormiance. - Mój brat... *monfrere... ronfle terriblement*.

»*Ronfle?*« - zapytałem z holu.

»Chrapie - wyjaśniła cierpko. - Rozumie pani, chrapie. W Nowym Jorku nie mogłam mrugać oczu do snu«.

»Zmrużyć« - poprawiłem.

»Dobrze - odparła Ormianka. - Tylko proszę zamykać drzwi od swego pokoju, *s'U te plaita*.

Chrapiąc czy nie, zanim przystąpiliśmy do dalszych czynności, jakie sprowadziły nas do tego miasta, wyczerpani padliśmy jak martwi do łóżek. Wprawdzie Helen chciała natychmiast poszukiwać tego archiwum,

ale ja uparłem się, że najpierw musimy odpocząć, a następnie coś zjeść. Tak więc dopiero późnym popołudniem ruszyliśmy labiryntem uliczek z wychodzącymi na nie barwnymi ogródkami i przydomowymi podwórkami.

Rossi w swych listach nie wymienił konkretnej nazwy archiwum, a w naszej rozmowie określił je tylko jako mało znaną bibliotekę ufundowaną przez sułtana Mehmeda II celem gromadzenia dokumentów. Wspomniiał jedynie, że przylega do siedemnastowiecznego meczetu. Poza tym wiedzieliśmy, że z jej okien widać Hagia Sophię, że archiwum liczy co najmniej jedno piętro, a wejście do niego prowadzi bezpośrednio z ulicy. Przed wyjazdem próbowałem dyskretnie zasięgnąć informacji na temat tego archiwum w bibliotece uniwersyteckiej, ale bez powodzenia. Zastanawiałem się, dlaczego Rossi, tak bardzo dbający o wszelkie szczegóły, nie zamieścił nazwy tej biblioteki w swych listach. Zapewne chciał istnienie tego archiwum całkowicie wyrzucić z pamięci. Miałem ze sobą w teczce wszystkie jego papiery łącznie z listą dokumentów, jakie odkrył, oraz niejasną notatkę: *Bibliografia, Zakon Smoka*. Poszukiwanie źródła owego tajemniczego zapisku w labiryntach ogromnego miasta pełnego kopuł i minaretów przypominało szukanie przysłowiowej igły w stogu siana.

Zwróciliśmy zatem swe kroki do jedyne go punktu orientacyjnego, do Hagia Sophii, pierwotnie ogromnej bizantyjskiej świątyni Mądrości Bożej. Kiedy znaleźliśmy się w jej pobliżu, nie sposób było oprzeć się i jej nie zwiedzić. Wrota stały otworem. Wmieszaliśmy się w tłum turystów. Uświadomiłem sobie nagle, że od tysiąca czterystu lat napływali tu pielgrzymi, tak jak my teraz. Przeszedłem powoli na środek świątyni i zadarłem wysoko głowę, podziwiając olbrzymi, boski strop ze słynnymi, zapierającymi dech kopułami i łukami, przez które napływało niebiańskie światło, a także owalne tarcze w wyższych rogach świątyni wypełnione arabskimi hieroglifami. Meczet nałożył się na chrześcijańską świątynię, która wcześniej powstała na ruinach starożytnego świata. Kopuła ciągnęła się i ciągnęła, tworząc kopię bizantyjskiego kosmosu. Wprost nie wierzyłem, że trafiłem w to miejsce. Byłem kompletnie oszołomiony.

Spoglądając w tamtej chwili wstecz, rozumiałem, że zbyt długo żyłem pośród książek uwięziony na nędznej, uniwersyteckiej posadce. I oto nagle, w owym pełnym ech bizantyjskim domu -jednym z największych cudów historii - mój duch wyzwolił się z tych kajdanów. W jednej chwili

pojąłem, że cokolwiek się wydarzy, nigdy już nie wrócę do tamtego więzienia. Zapraǳiałem, by moje życie wzbilo się pod niebiosa, rozprzestrzeniło się tak, jak wzbijało się i rozprzestrzeniało wewnątrz starodawnej świątyni. Serce rosło mi jak nigdy podczas moich studiów nad holenderskimi kupcami.

Zerknąłem na Helen. Była poruszona tak samo jak ja. Zadarła głowę, jej włosy połyskliwą falą spływały na kołnierz bluzki, a z twarzy znikł zwykły, cyniczny wyraz zastąpiony transcendentnym wręcz zachwytem. Odruchowo ująłem ją za dłoń. Oddała mi mocny, prawie kościsty uścisk, jaki poznałem wcześniej, kiedy podawaliśmy sobie dłonie. U innej kobiety taki gest mógłby oznaczać poddanie się lub zwykłą kokieterię, romantyczne przyzwolenie. U Helen jednak był to zwykły, spontaniczny odruch na widok, jaki się przed nią roztaczał. Po chwili jednak najwyraźniej wróciła do siebie i puściła moją dłoń, nie wykazując żadnych oznak skrępowania. Długo jeszcze błakaliśmy się po przestronnych przestrzeniach bazyliki, podziwiając zabytkową ambonę i lśniące, bizantyjskie marmury. W końcu dotarło do mnie, że do Hagia Sophii możemy wrócić w każdej chwili, a najważniejszą sprawą jest odnalezienie tajemniczego archiwum. Helen najwyraźniej podzielała moje zdanie, gdyż w tej samej chwili ruszyliśmy do wyjścia i przedzierając się przez tłum zwiedzających, wyszliśmy na ulicę.

»Archiwum może znajdować się daleko stąd - zauważyła. - Hagia Sophia jest tak wielka, że widać ją z każdego miejsca w mieście, nawet z drugiej strony Bosforu«.

»Wiem. Musimy znaleźć jakiś trop. Listy wspominają, że archiwum przylega do niewielkiego meczetu pochodzącego z siedemnastego wieku«.

»W tym mieście aż roi się od meczetów«.

»To prawda. - Zacząłem gorączkowo kartkować przewodnik po mieście. - Zacznijmy od tego... od Wielkiego Meczetu Sułtanów. Mehmed II i jego dwór odprawiał zapewne w nim modły... Pochodzi z końca piętnastego wieku. Logiczne więc byłoby, gdyby archiwum znajdowało się w pobliżu tej świątyni. A jakie jest twoje zdanie?«

Helen uważała, że należy to sprawdzić, zatem niezwłocznie ruszyliśmy w tamtą stronę. Idąc, wciąż kartkowałem przewodnik.

»Popatrz na to. Jest tu napisane, że *Istanbul* jest odpowiednikiem bizantyjskiego słowa *miasto*. I nawet Turcy nie zdołali wymazać z ludzkiej pamięci Konstantynopola, zmieniając tylko jego nazwę. Cesarstwo Bi-

zantyjskie trwało od trzysta trzydziestego roku do tysiąc czterysta pięćdziesiątego trzeciego. Wyobrażasz sobie, ile to lat?»

Helen skinęła głową i odezwała się poważnym tonem:

»Trudno sobie wyobrazić tę część świata bez Bizancjum. W Rumunii widzisz to na każdym kroku - w każdym kościele, na freskach, w klasztorach, a nawet w ludzkich twarzach. Na swój sposób w mojej ojczyźnie ślady cesarstwa dostrzeżesz wyraźniej niż tutaj, gdzie wszystkiemu piętno nadali Turcy. - Twarz jej się nachmurzyła. - Zdobycie Konstantynopola przez Mehmeda II w tysiąc czterysta pięćdziesiątym trzecim roku stanowiło jedną z największych tragedii w historii świata. Turcy kulami armatnimi skruszyli jego mury, po czym sułtan oddał na trzy dni miasto w ręce swych żołnierzy. Wojownicy Mehmeda II gwałcili dziewczęta i młodych chłopców na ołtarzach świątyń, również w Hagia Sophii. Rabowali drogocenne ikony, a wszelkie inne złote świętości przetapiali na kruszec. Relikwie świętych rzucali na pożarcie psom. A wcześniej było to najpiękniejsze miasto świata«.

Zacisnęła pięści, ale ja milczałem. Miasto wciąż zachwycało delikatnym pięknem i przepysznyimi kolorami cudownych kopuł i minaretów, choć w wielu miejscach widać już było ślady zniszczenia i powolnego upadku. Zaczynałem rozumieć, dlaczego wydarzenia sprzed pięciuset lat wciąż były dla Helen tak żywe, ale czy miały jakiegokolwiek znaczenie dla nas? Nieoczekiwanie naszła mnie myśl, że przebyłem taki kawał świata na próżno, że w towarzystwie tej dziwnej, skomplikowanej kobiety przybyłem w to magiczne miejsce, poszukując Anglika, który w tej chwili mógł beztrudno jechać autobusem do Nowego Jorku. Odepchnąłem tę myśl i postanowiłem podrażnić się trochę z Helen.

»Skąd tak dobrze znasz historię? Mówiłaś, że jesteś antropologiem«.

»Bo jestem - odrzekła poważnie. - Nie da się badać jakiegokolwiek kultury bez znajomości jej historii«.

»Dlaczego więc nie zajęłaś się po prostu historią? Przy okazji mogłabyś również studiować kulturoznawstwo«.

»Zapewne. - Najwyraźniej zamknęła się w sobie, nawet nie oddała mi spojrzenia. - Ale nie chciałam zajmować się tym, czym mój ojciec«.

Wielki Meczet wciąż jeszcze był otwarty zarówno dla zwiedzających, jak i dla wiernych. Zwróciłem się kulawą niemiecczyzną do stojącego u wrót strażnika, młodzieńca o oliwkowej cerze i kręconych włosach - czy tak wyglądali Bizantyjczycy? - ale on odparł, że w okolicy nie ma

żadnej biblioteki ani archiwum. Nigdy o czymś takim nie słyszał. Zapytałem, czy może nam coś doradzić.

»Popytajcie na uniwersytecie - odparł po krótkim namyśle. - A jeśli chodzi o niewielki meczet, są ich tu setki«.

»Dziś już na uniwersytet nie zdążymy - zauważyła rozsądnie Helen, studiując przewodnik. - Udamy się tam jutro rano i wypytamy o archiwum pochodzące z czasów Mehmeda. Tak, moim zdaniem, będzie najlepiej. Teraz obejrzymy sobie fragmenty starych murów Konstantynopola. To niedaleko. Pójdziemy na piechotę«.

Szedłem za nią płataniną uliczek. Z przewodnikiem w okrytej rękawiczką dłoni, z niewielką, czarną torebką przerzuconą przez ramię, nieomylnie zmierzała do celu. Mijali nas rowerzyści, wschodnie ubrania mieszały się z europejskimi, zachodnie auta wymijały zaprzężone w konie lub muły wozy. Mężczyźni ubrani byli w czarne kamizelki, na głowach nosili wykonane szydełkiem mycki. Kobiety miały na sobie barwne, długie bluzy, spod których wystawały bufiaste szarawary, włosy zakrywały obszernymi chustami. Wszyscy coś nieśli, torby i koszyki z zakupami, w skrzynkach kurczaki, chleb i kwiaty. Ulice tętniły gwarem i życiem, jak przed półtora tysiącem lat, kiedy to chrześcijańskich cesarzy Rzymu w otoczeniu świty i kapłanów niesiono w lektykach z pałacu do kościoła, by przyjęli święty sakrament. Byli to twardzi władcy, patroni sztuki, inżynierowie, teolodzy. Niektórzy przejawiali odrażające cechy charakteru - bezlitośnie ścinali głowy dworzanom i oślepiali członków własnej rodziny wedle najlepszych, rzymskich wzorów. Tutaj też dogorywała polityka i historia Bizancjum. Tak zatem dla jednego czy dwóch wampirów nie było to do końca obce i dziwaczne miejsce.

Helen zatrzymała się przed wielką, obróconą częściowo w ruinę, kamienną konstrukcją. U jej stóp gnieździły się rozliczne sklepiki i stragany, w szczeliny monumentalnego muru na dobre zapuściły korzenie figowe drzewka. Nad blankami murów obronnych rozciągało się bezchmurne niebo koloru miedzi.

»Sam zobacz, co zostało z bastionów Konstantynopola - odezwała się cicho Helen. - Wyobrażasz sobie ich ogrom i potęgę, kiedy nie zostały jeszcze zniszczone przez najeźdźców? W książkach piszą, że w tamtych czasach morze dochodziło do samych stóp cesarskiego pałacu, tak że władca w każdej chwili mógł wsiąść do łodzi... a tamta ściana stanowiła część hipodromu«.

Jak zauroczony wpatrywałem się w szczątki pozostałe po ogromnym imperium i dopiero po dłuższej chwili uświadomiłem sobie, że zupełnie zapomniałem o Rossim.

»Lepiej zainteresujemy się kolacją - przerwałem milczenie. - Minęła już dziewiętnasta, a jutro od rana czeka nas huk pracy. Koniecznie musimy odnaleźć to archiwum«.

Helen skinęła głową i w dobrych nastrojach ruszyliśmy uliczkami starożytnego miasta w drogę powrotną.

Nieopodal naszego pensjonatu odkryliśmy sympatyczną restauracyjką ozdobioną wewnątrz miedzianymi wazami i wyłożoną piękną glazurą. Zajęliśmy miejsce przy frontowym ostrohekowym oknie bez szyby, skąd mogliśmy obserwować przechodzących ulicą ludzi. Kiedy czekaliśmy na zamówione dania, po raz pierwszy zastanowiłem się nad fenomenem wschodniego świata, szczegółem, który dotąd umykał mojej uwagi. Wszyscy podążający dokądś ludzie wcale się nie śpieszyli, a po prostu statecznie szli tam, gdzie wzywały ich interesy. To, co tutaj wyglądało na pośpiech, w Nowym Jorku czy Waszyngtonie odebrano by jak wleczenie się nogą za nogą. Kiedy zwróciłem na ten szczegół uwagę Helen, ta rozśmiała się cynicznie:

»Tam gdzie nie ma zbyt wielu pieniędzy do zarobienia, nikt się za nimi specjalnie nie rozbija«.

Kelner przyniósł nam chleb, ogórki w jogurcie oraz szklany dzbanek z wonną herbatą. Po męczącym dniu jedliśmy z apetytem. Gdy przeszliśmy do pieczonego kurczaka na drewnianych szpadkach, do lokalu wkroczył ubrany w elegancki, szary garnitur mężczyzna z siwymi wąsami i gęstą, srebrzystą czupryną. Zajął miejsce przy sąsiednim stoliku, a obok talerza położył jakąś książkę. Złożył w języku tureckim zamówienie, a następnie odwrócił się do nas z przyjacielskim uśmiechem.

»Widzę, że przypadło państwu do gustu nasze narodowe jedzenie« - odezwał się nienaganną, choć z obcym akcentem, angielszczyzną.

»O, tak. Jest przepyszne« - odparłem lekko zaskoczony.

»Niech zgadnę - powiedział, odwracając w moją stronę przystojną twarz. - Nie jesteście Anglikami. Amerykanie?«

»Zgadza się« - odpowiedziałem. Helen milczała, spoglądając czujnie na mężczyznę.

»No proszę. Zwiedzacie, państwo, nasze piękne miasto?«

»Właśnie« - odrzekłem, modląc się w duchu, by Helen przestała okazywać tak jawną wrogość.

»Witamy zatem w Stambule - rzekł z olśniewającym uśmiechem, wznosząc puchar. Kiedy uniosłem swój, uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Proszę wybaczyć obcemu, ale co państwu najbardziej się u nas spodobało?«

»Trudno powiedzieć. Najbardziej uderzyło mnie w tym mieście to, że czuje się w nim przemożnie zarówno klimat Wschodu, jak i Zachodu«.

»Mądra obserwacja - stwierdził poważnie i otarł wąsy dużą, białą serwetką. - Owa mieszanka stanowi nasz największy skarb, a jednocześnie przekleństwo. Mam znajomych, którzy przez całe życie badali Stambuł, by w końcu stwierdzić, że nie poznali go do końca, choć mieszkają w tym mieście od zawsze. Tak, to zdumiewające miejsce«.

»Czym się pan zajmuje?« - zapytałem zaintrygowany, choć spodziewałem się, że Helen w każdej chwili może mnie pod stołem kopnąć.

»Jestem profesorem na stambulskim uniwersytecie« - odparł z wielką godnością.

»Och, co za szczęśliwy zbieg okoliczności! - wykrzyknąłem. - Jesteśmy... - W tej chwili Helen bardzo boleśnie uderzyła mnie pantofelkiem w gołę. - Bardzo cieszymy się z naszego spotkania. Co, konkretnie, pan wykłada?«

»Specjalizuję się w Szekspirze - wyjaśnił nasz nowy znajomy, zabierając się z apetytem do sałatki. - Wykładam literaturę angielską na najwyższych latach i studiach doktoranckich. Muszę przyznać, że moi studenci to bardzo dzielni i zdolni młodzi ludzie«.

»Wspaniale - powiedziałem. - W Stanach Zjednoczonych sam jestem doktorantem. Tyle że mnie interesuje historia«.

»Ciekawa dziedzina - stwierdził z powagą. - Zatem Stambuł powinien pana bardzo zainteresować. Na jakim uniwersytecie, jeśli można zapytać, pan studiuje?«

Wymieniłem nazwę uczelni, a Helen z posępną miną pochyliła się nad talerzem.

»To bardzo znany uniwersytet. Słyszałem o nim same dobre rzeczy. - Pociągnął łyk z pucharu i stuknął palcem w książkę leżącą obok jego talerza. - Mam pomysł! Podczas pobytu w Stambule musicie koniecznie odwiedzić nasz uniwersytet. To bardzo czcigodna instytucja i będę bardziej niż rad, pokazując ją panu i pańskiej małżonce«.

Helen cicho parsknęła oburzona, a ja szybko sprostowałem:

»To moja siostra«.

»Och, proszę mi wybaczyć. - Znawca Szekspira uprzejmie skinął Helen głową. - Doktor Turgut Bora, do pani usług«.

Z kolei przedstawiliśmy się my... to znaczy ja nas przedstawiłem, gdyż Helen uporczywie milczała. Nie chciałem podawać naszych prawdziwych personaliów, więc przedstawiłem ją jako panią Smith. Za ten głupi żarcik przesłała mi piorunujące spojrzenie. Uścisnęliśmy sobie wzajemnie dłonie i nie pozostało do zrobienia nic innego, jak zaprosić go do naszego stolika.

Z czystej grzeczności przez chwilę, ale tylko przez chwilę, opierał się naszej propozycji, i niebawem przeniósł się do nas z sałatką i pucharem, który natychmiast wznosił wysoko nad głowę.

»Wznoszę toast za to spotkanie i witam was serdecznie w naszym cudownym mieście. Na zdrowko! - Nawet Helen się roześmiała, choć w dalszym ciągu nie odzywała się słowem. - Proszę wybaczyć mi moją bezpośredniość, ale rzadko mam możliwość doskonalenia angielskiego w rozmowie z rodowitymi wykładawcami«.

Nie zauważył jeszcze, że nie jesteśmy żadnymi rodowitymi wykładawcami, a już na pewno nie Helen, która dotąd nie odezwała się do niego ani razu.

»Skąd u pana takie zainteresowanie Szekspirem?« - zapytałem, kiedy wróciliśmy już do jedzenia.

»O, to osobliwa historia. Moja matka była bardzo niezwykłą kobietą... błyskotliwą i olśniewającą... miłośniczką zarówno obcych języków, jak i miernym inżynierem... - Chyba wybitnym? - pomyślałem. - Studowała na rzymskim uniwersytecie, gdzie poznała mego ojca. Był przemiłym człowiekiem, specjalizował się we włoskim Renesansie, a szczególnie upodobaniem darzył...«

W tym bardzo interesującym momencie rozmowę przerwało nam pojawienie się w wychodzącym na ulicę, łukowym oknie młodej kobiety. Od razu domyśliłem się, że jest to Cyganka, choć nigdy prawdziwej w życiu nie widziałem. Jedynie na obrazkach i fotografiach. Miała ciemną cerę, ostre rysy twarzy, przybrana była w powłóczyście, jaskrawe suknie,

a nad oczyma o przenikliwym spojrzeniu zwieszały się strąki czarnych, nierówno przyciętych włosów. Mogła mieć lat piętnaście albo czterdzieści. Z chudej twarzy Cyganki trudno było wyczytać prawdziwy wiek. Do

piersi tuliła wielki bukiet czerwonych i żółtych kwiatów, które najwyraźniej chciała nam sprzedać. Wyciągnęła kilka z nich w moim kierunku i zaczęła zawodzić coś przenikliwym głosem, z czego zupełnie nic nie rozumiałem. Helen sprawiała wrażenie zniesmaczonej, Turgut zaniepokojonego. Ale Cyganka była uparta. Sięgałem właśnie po portfel, by kupić dla Helen turecki bukiet - oczywiście w formie żartu - kiedy kobieta nagle odwróciła się w jej stronę i zasyczała coś, wskazując ją palcem. Turgut najwyraźniej zadrzał, a zwykle nieulękła Helen gwałtownie się cofnęła.

Doktor Turgut jakby wrócił nagle do życia. Uniósł się do połowy na krześle, twarz wykrzywił mu dziki grymas i zaczął wyzywać Cyganek. Bez trudu wyczułem ton jego głosu i zrozumiałem gesty, którymi w niedwuznaczny sposób zaczął ją odganiać. Obrzuciła nas płonącym wzrokiem i równie nagle, jak się pojawiła, zniknęła w ulicznym tłumie. Turgut opadł na krzesło, popatrzył na Helen wytrzeszczonymi oczyma i zaczął gwałtownie szukać czegoś w kieszeniach marynarki. Po chwili wyjął jakiś niewielki przedmiot i położył go obok talerza Helen. Był to płaski, niebieski kamień długości około trzech centymetrów, pożyłkbwany białawymi pasmami niczym okrutne oko. Na jego widok Helen pobladła i odruchowo dotknęła go opuszkami palców.

»Na Boga, co tu się dzieje?!« - wykrzyknąłem, gwałtownie tracąc wszelkie dobre maniery.

»Co ona mówiła? - odezwała się po raz pierwszy do Turguta Helen. - Czy mówiła po turecku, czy po cygańsku? Nic nie rozumiałam«.

Nasz nowo poznany przyjaciel przez chwilę wahał się, jakby nie chciał przetłumaczyć słów Cyganki.

»Po turecku - wymamrotał w końcu. - Prawie nie mam odwagi powiedzieć wam tego. Jej słowa były bardzo grubiańskie. I dziwne. - Popatrzył na Helen zarówno z zainteresowaniem, jak i z pewnym lękiem. - Użyła słowa, którego nie jestem w stanie przetłumaczyć - wyjaśnił powoli. - Powiedziała: Wynos się stąd, córko rumuńskich wilków. Ty i twój kompan przyniesiecie na nasze miasto przekleństwo wampira«.

Helen pobladła jak kreda. Impulsywnie ująłem ją za dłoń.

»To czysty przypadek« - rzekłem uspokajająco.

Przesłała mi palące spojrzenie. Stanowczo za dużo mówiłem przy profesorze.

Turgut wodził po nas niespokojnie wzrokiem.

»To rzeczywiście bardzo dziwne, moi mili przyjaciele - powiedział. - Moim zdaniem powinniśmy porozmawiać ze sobą bez ogródek«".

Prawie zasnąłam w przedziale wagonu, zapoznając się z tą niebywale fascynującą historią, którą spisał dla mnie mój ojciec. Gdy czytałam japo raz pierwszy w nocy, trzymała mnie w napięciu do świtu i rano byłam bardzo zmęczona. W rozświetlonym przedziale odniosłam nagle wrażenie nierealności otaczającego mnie świata. Oderwałam wzrok od okna i popatrzyłam na podstarzałą Holenderkę rozpartą na swoim miejscu. Kiedy zbliżyliśmy się, a następnie ruszaliśmy z mijanych stacji, pociąg zostawiał za sobą przydomowe ogrody, zieleniące się pod spowitym chmurami niebem - ogródki ludzi, którzy z nich żyli, poletka przylegające do tyłów domów, z frontami skierowanymi do kolejowych torów. Pola pokrywała cudowna zieleń, która w Holandii zaczynała pęcznieć wczesną wiosną i trwała do pierwszych śniegów, karmiona wilgocią wiszącą w powietrzu, płynącą z tysięcy kanałów ciągnących się jak okiem sięgnąć. Ale opuszczaliśmy już rozległe połacie łąd pokrytego kanałami z przerzuconymi nad nimi mostami oraz ciągnącymi się po horyzont pastwiskami, na których można było dostrzec stada krów. Minęliśmy dwóch rowerzystów posuwających się z godnością drogą ciągnącą się wzdłuż torów. Niebawem mieliśmy dotrzeć do Belgii, która jednak stanowić miała jedynie niewielki epizod na mapie mojej podróży.

Przyciskałam listy do kolan, a powieki znów zaczynały mi ciążyć. Starsza, o sympatycznej twarzy niewiasta, siedząca po drugiej stronie przedziału, zapadła w drzemkę z czasopismem w rękę. Ledwie zdążyłam zamknąć oczy, gwałtownie otworzyły się drzwi. Rozległ się czyjś głośny okrzyk. Między mną a moim snem na jawie pojawiła się szczupła postać.

- No tak, wiedziałem! I po kłopotcie. Szukając ciebie, musiałem przejść cały pociąg.

Był to Barley. Ocierał chusteczką pot z czoła i spoglądał na mnie wilkiem.

26

Hamował wściekłość. Nie mogłam mieć o to do niego pretensji, ale jednocześnie nieoczekiwane pojawienie się Barleya było dla mnie w najwyższym stopniu kłopotliwe i mnie również ogarnął dziki gniew. Moją złość powiększył jeszcze fakt, że tak naprawdę na jego widok doznałam wielkiej ulgi. Dotąd nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo w tym pociągu czułam się samotna. Jechałam ku nieznanemu, kierowałam się zapewne ku jeszcze większej samotności, nie mogąc odnaleźć ojca, lub ku zgoła galaktycznemu osamotnieniu, tracąc go na zawsze. Jeszcze przed kilkoma dniami traktowałam Barleya jak osobę zupełnie obcą, teraz nagle stał się dla mnie wręcz ucieleśnieniem zażyłości.

Ale wciąż był nachmurzony.

- Dokąd, do wszystkich diabłów, się wybierasz? Dużo wysiłku mnie kosztowało, zanim cię znalazłem. Coś ty nowego wykombinowała? •

Chwilowo uchyliłam się od odpowiedzi na ostatnie pytanie.

-Nie chciałam cię martwić, Barley. Myślałam, że odpłyniesz promem i nasze drogi się rozjedną.

-Naturalnie. Miałem jak najszybciej wrócić do zwierzchnika Jamesa, powiedzieć mu, że jesteś już bezpieczna w Amsterdamie, by następ-

nie dowiedzieć się, iż zniknęłaś bez śladu. Z całą pewnością zasłużyłbym

na jego dozgonną wdzięczność.

Ciężko usiadł obok mnie, założył ramiona na piersi i skrzyżował długie nogi. Miał ze sobą niewielką walizkę, a włosy, słomkowej barwy, naroszone.

-Co w ciebie wstąpiło? - zapytał.

-Dlaczego mnie szpiegowalesz? - odparłam zadziornie pytaniem.

-Z powodu nieoczekiwanej awarii prom mocno się opóźnił. - Po jego twarzy przemknął mimowolny uśmiech. - Byłem głodny jak wilk,

więc cofnąłem się kilka przecznic, by zjeść kanapkę i napić się herbaty.

W pewnej chwili wydało mi się, że w perspektywie ulicy dostrzegam

twoją postać. Potraktowałem to jak wytwór wyobraźni, więc spokojnie

zasiadłem do śniadania. I wtedy coś mnie tknęło. Pomyślałem sobie, że

jeśli to naprawdę byłaś ty, to ja znalazłem się w niezłych opałach. Ruszyłem za tobą i dotarłem na dworzec kolejowy. Gdy zobaczyłem, że wsiadasz do pociągu, o mało nie dostałem zawału. - Popatrzył na

mnie
płonącym wzrokiem. - Tego ranka dałaś mi zdrowo do wiwatu. Mu-

siałem pobiec do kas kupić bilet... z trudem starczyło mi guldenów... a później, szukając ciebie, myszkować po całym długim pociągu. - Popatrzył jasnymi oczyma za okno, a następnie na stosik kopert, które trzymałam na kolanach. - Czy będziesz łaskawa wyjaśnić mi, dlaczego jesteś w pociągu zmierzającym do Paryża, a nie w szkole? Co miałam robić?

-Przepraszam, Barley - odparłam pokornie. - Wcale nie zamierzałam cię w to wciągać. Naprawdę sądziłam, że jesteś już dawno na promie

i z czystym sumieniem wracasz do zwierzchnika Jamesa. Nie chciałam

ściągać na twoją głowę najmniejszych kłopotów.

-Tak? - Najwyraźniej czekał na bliższe wyjaśnienia. - Po prostu wolałaś odetchnąć powietrzem Paryża, niż męczyć się na lekcji historii?

-Cóż... - mruknęłam, próbując zyskać na czasie. - Dostałam telegram od ojca, w którym donosił, że z nim wszystko w porządku, a ja powinienam dołączyć do niego najszybciej jak to możliwe.

Barley milczał dłuższą chwilę.

-Wybacz, ale to niczego nie wyjaśnia. Jeśli dostałaś telegram, to musiałyby on dotrzeć w nocy, a w takim razie ja bym o nim wiedział. I czy

istnieje jakiś powód, aby z twoim ojcem było coś nie w porządku? Sądziłem, że po prostu wyjechał w interesach. Co to za lektura, którą trzymasz

na kolanach?

-To długa historia - odparłam po chwili. - A ponieważ i tak już uważasz mnie za dziwną...

-Nie jesteś dziwna, jesteś bardzo dziwna - podkreślił. - Ale lepiej powiedz mi, w co się wplątałaś. Masz czas do chwili, kiedy zatrzymamy

się w Brukseli. Tam przesiądziemy się do pociągu zmierzającego z powrotem do Amsterdamu.

-Nie!!! -wrzasnęłam, choć wcale nie zamierzałam krzyknąć. Starsza

kobieta poruszyła się przez sen, więc zniżyłam głos. - Muszę dotrzeć do Paryża. Ze mną wszystko w porządku. Możesz tam wysiąść i nocnym pociągiem wrócić do Londynu.

-Mam wysiąść w Paryżu? Chcesz przez to powiedzieć, że ty tam nie wysiadasz? Dokąd w ogóle jedzie ten pociąg?

-Nie wysiadam, ale w Paryżu się zatrzymuje...

Znów założył ramiona na piersi i czekał. Był gorszy od mego ojca. Gorszy chyba nawet od profesora Rossiego. Przed oczyma stanęła mi wizja Barleya stojącego przy nauczycielskim biurku z założonymi rękami,

spoglądającego na nieszczęsnych uczniów surowym wzrokiem i mówiącego ostrym głosem: „I co ostatecznie prowadzi Milтона do jego straszliwej konkluzji o upadku szatana? Czy ktoś w ogóle to czytał?”

Głośno przełknęłam.

-To długa historia - powtórzyłam tym razem łagodniej.

-Mamy dużo czasu - mruknął Barley.

„Helen, Turgut i ja spoglądaliśmy na siebie długo w milczeniu nad restauracyjnym stolikiem. Nieoczekiwanie odniosłem wrażenie, że łączą nas jakieś pokrewieństwo. Helen, grając zapewne na zwłokę, ujęła w palce owalny, niebieski kamień, który Turgut położył przy jej talerzu.

»To starożytny symbol - stwierdziła. - To talizman chroniący przed złym okiem«.

Wzięłem w palce kamień, czując jego ciężar, gładkość i ciepło dłoni Helen, po czym ostrożnie odłożyłem.

Turgut nie był nic a nic zmieszany.

»Jest pani Rumunką, prawda? - Helen milczała. - Jeśli tak jest, musi pani bardzo uważać. - Zniżył lekko głos. - Mogłaby się panią zainteresować policja. Nasz kraj nie jest w przyjaznych stosunkach z Rumunią«.

»Wiem« - odparła chłodno.

»Ale skąd wiedziała o tym ta Cyganka? - Turgut zmarszczył brwi. - Przecież nie odezwała się pani do niej ani słowem«.

»Nie wiem«. - Helen bezradnie wzruszyła ramionami.

Turek potrząsnął głową.

»Mówią, że Cyganki mają szczególny zmysł. Nigdy w to nie wierzyłem.... - Urwał i znów wytarł wąsy serwetką. - Dziwne, że wspomniała o wampirach«.

»Naprawdę? - odparła gwałtownie Helen. - To rzeczywiście musiały być wariatka. Wszystkie Cyganki są szalone«.

»Być może, być może. - Turgut zamyślił się głęboko. - A jednak wydało mi się to dziwne, gdyż to, co mówiła, leży głęboko w sferze moich zainteresowań«.

»Interesuje się pan Cyganami?« - zapytałem ze zdziwieniem.

»Nie, drogi panie... wampirami. - Unikając swego wzroku, popatrzyliśmy z Helen na Turka. - Szekspir to miłość mego życia, ale legendy o wampirach to moje hobby. A mamy tu bogate, starożytne tradycje na ten temat«.

»Czy to turecka... tradycja?« - zapytałem zdumiony.

»O, legendy sięgają jeszcze czasów egipskich, drodzy przyjaciele. Ale tutaj, w Stambule, zaczynając od tego miasta, istnieją podania, że najokrutniej si cesarze bizantyjscy byli wampirami, a niektórzy z nich traktowali przyjęcie wiary chrześcijańskiej jako przyzwolenie do picia krwi śmiertelników. Ale ja w to nie wierzę. Moim zdaniem pojawiło się to o wiele później«.

»Ba... - Nie chciałem okazywać zainteresowania tym tematem, bardziej ze strachu przed kolejnym, bolesnym kopnięciem pod stołem, niż z przekonania, że Turgut związany jest z siłami ciemności. Ale i Helen wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma. - A legenda o Draculi? Słyszał pan o niej?«

»Czy słyszałem? - parsknął Turgut. Jego czarne oczy rozbłysły, zgniółł w dłoni serwetkę. - Czy wie pan, że Dracula to postać historyczna? Pani rodak... - Skłonił przed Helen lekko głowę. - W piętnastym wieku był wojewodą, władcą w Karpatach Wschodnich. Niezbyt budująca postać, jak sami państwo wiecie«.

Odruchowo skinęliśmy z Helen głowami. Byliśmy zbyt przejęci i zaintrygowani słowami Turguta, by ukrywać nasze zainteresowanie tematem. Helen pochyliła się lekko w stronę mężczyzny i z uwagą słuchała. Jej lśniące oczy były tak samo czarne jak jego. Na blade zwykle policzki wystąpiły rumieńce. Po raz kolejny spostrzegłem, że w chwilach, kiedy ponosiły ją emocje, surowa zazwyczaj, o opryskliwym wyrazie twarz stawała się prawie piękna urodą płynącą gdzieś z jej wnętrza.

»Cóż. - Temat najwyraźniej fascynował Turguta. - Nie chciałbym was nudzić, ale stworzyłem własną teorię, w myśl której Dracula jest bardzo ważną postacią w historii Stambułu. Powszechnie wiadomo, że jako chłopiec trzymany był przez sułtana Mehmeda II w niewoli w Gallipoli,

a następnie we wschodniej Anatolii. W latach tysiąc czterysta czterdzieści dwa-tysiąc czterysta czterdzieści osiem na długich sześć lat jego własny ojciec oddał go ojcu Mehmeda, sułtanowi Muradowi II, jako rekojmię zawartego traktatu. Jak państwo sami widzicie, ojciec Draculi nie był dżentelmenem. - Turgut zachichotał. - Pilnujący młodziutkiego Draculę żołnierze byli mistrzami w sztuce zadawania tortur i chłopiec naparzył się i nauczył stanowczo zbyt wiele. Ale moi drodzy panowie... - najwyraźniej w krasomówczym zapale zapomniał o płci Helen - mam własną teorię, w myśl której on również zostawił na nich swoje piętno«.

»O czym, do licha, pan mówi?« - zapytałem rozgorączkowany.

»Od tamtego mniej więcej czasu w Stambule zaczęło występować zjawisko wampiryzmu. W moim mniemaniu - żadne dokumenty nie zostały, niestety, opublikowane, więc nie mam na to dowodów - pierwszymi jego ofiarami byli Turcy, może nawet sami strażnicy Draculi, którzy stali się jego przyjaciółmi. Pozostawił w naszym imperium ową zarazę. Przeniosła się ona z kolei do Konstantynopola, gdzie zawlekli ją zdobywcy miasta«.

Wpatrywaliśmy się w niego oniemiałi. Pomyślałem, że wedle legend wampirem zostaje jedynie martwy. Czyżby znaczyło to, że Vlad Dracula zginął gdzieś w Azji Mniejszej i w bardzo młodym wieku stał się nieumarłym? A może po prostu nabrał upodobania do takich bezbożnych libacji jeszcze w młodych latach i zainspirował nimi innych? Ale rozmowę na ten temat z Turgutem postanowiłem odłożyć do czasu, kiedy się lepiej poznamy.

»Wiecie państwo, to takie moje dziwaczne hobby - wyjaśnił, wybuchając szczerym śmiechem. - Och, wybaczcie mi, że znów wsiadłem na swego konika. Moja żona twierdzi, że jestem nie do zniesienia. - Popatrzył na nas z promiennym uśmiechem i krótkim, wytwornym gestem wznosił toast. - Ale, na Boga, mam pewien dowód! Mam dowód na to, że sułtani bali się go jako wampira!«

Wzniósł nad głowę puchar.

»Dowód?« - spytałem tępo.

»Tak! Na trop wpadłem kilkanaście lat temu. Sułtana tak bardzo interesował Vlad Dracula, że po jego śmierci na Wołoszczyźnie zaczął kolekcjonować niektóre jego papiery i należące do niego za życia przedmioty. W swoim kraju Dracula zabił wielu tureckich żołnierzy i sułtan nienawidził go za to, ale nie dlatego zaczął kompletować archiwum. O, nie! W roku tysiąc czterysta siedemdziesiątym ósmym napisał nawet list do paszy Wołoszczyzny, prosząc, by ten przesłał mu wszelkie dostępne dokumenty dotyczące Vlada Draculi. Po co? Ponieważ - jak twierdził - tworzy bibliotekę, za pomocą której zniszczy zło, jakie rozprzestrzenił w jego mieście Dracula. Zastanówcie się państwo: dlaczego sułtan miałby bać się martwego Draculi, gdyby nie wierzył, że może wrócić zza grobu? Dotarłem nawet do kopii listu, jaki sułtanowi w odpowiedzi przesłał pasza. - Uderzył pięścią w stół i popatrzył na nas z uśmiechem. - Dotarłem nawet do samej biblioteki, którą stworzył sułtan, by zniszczyć zło«.

Helen i ja siedzieliśmy bez ruchu. Zbieg okoliczności był po prostu niesamowity. W końcu zaryzykowałem pytanie:

»Profesorze, czy tej kolekcji aby nie stworzył sułtan Mehmed II?«

Tym razem on popatrzył na mnie ze zdumieniem.

»A niech mnie, rzeczywiście jest pan wyśmienitym historykiem! Interesuje się pan tym okresem naszych dziejów?«

»Nawet bardzo. Bylibyśmy... byłbym bardzo zainteresowany obejrzeniem archiwum, które pan odkrył.«

»Ależ naturalnie. Z największą przyjemnością je wam pokazę. Moja żona będzie zdumiona tym, że ktoś chce takie rzeczy oglądać. - Zachichotał. - Niestety przepiękny budynek, w którym się mieściło, został zburzony. Poprowadzono tamtędy ulicę, by ułatwić dojazd do biur Ministerstwa Dróg... Och, miało to miejsce osiem lat temu. Był to przepiękny, mały budynek nieopodal Błękitnego Meczetu. Co za wstyd!«

Z twarzy odpłynęła mi cała krew. To dlatego nie mogliśmy zlokalizować archiwum, o którym wspominał Rossi.

»Ale dokumenty...?«

»Tym się nie trap, miły panie. Osobiście zadbałem o to, by przejęła je nasza Biblioteka Narodowa. Nawet jeśli nikt nie podziwiał tej kolekcji tak jak ja, to musiała zostać zabezpieczona. - Po raz pierwszy od chwili, kiedy zbeształ Cyganek, po twarzy przepłynął mu jakiś mroczny cień. - W naszym mieście, tak samo zresztą jak wszędzie indziej, istnieje zło, które trzeba zwalczyć. Jeśli lubicie państwo starodawne osobliwości, z największą przyjemnością was tam zaprowadzę. Wieczorami biblioteka jest oczywiście zamknięta. Ale doskonale znam bibliotekarza, który pozwoli wam szczegółowo przejrzeć kolekcję.«

»Wielkie dzięki - odrzekłem, nie mając śmiałości popatrzeć na Helen. - Ale jak... jak to się stało, że zainteresował się pan tak niecodziennym tematem?«

»To bardzo długa historia - odrzekł poważnym tonem Turgut. - Nie chcę was dłużej zanudzać swymi opowieściami.«

»Ależ wcale nas pan nie zanudza« - odparłem z uporem.

»Jesteście bardzo uprzejmi.«

Zapadło długie milczenie. Między kciukiem a palcem wskazującym pocierał widelec. Za pozbawionym szyby oknem samochodu z rykiem klaksonów wymijały rowerzystów, a przechodnie posuwali się po chodnikach w jedną i w drugą stronę niczym aktorzy na scenie - kobiety

w barwnych, powiewnych sukniach, falujących szalach, ze złotymi kolczykami w uszach, inne ubrane na czarno, mężczyźni w kamizelkach i robionych na szydełku myckach lub w zachodnich garniturach, pod krawatem i w białych koszulach. Dobiegały do nas łagodne podmuchy wiatru, niosące woń soli i morza. Wyobrażałem sobie okręty z całej Eurazji zwożące dary do serca imperium - niegdyś chrześcijańskiego, później muzułmańskiego - i cumujące w porcie miasta, którego mury schodziły do samego morza. Ukryte w głębokich lasach warownie Włada Draculi i barbarzyńskie krwawe rytuały rzeczywiście musiały być kompletnie obce temu starożytnemu, kosmopolitycznemu światu. Nic zatem dziwnego, że gospodar tak bardzo nienawidził Turków, a oni odpłacali mu tym samym - pomyślałem. Co więcej, Turcy ze Stambułu, ze swymi wyrobami ze złota, miedzi i jedwabiu, z bazarami, księgarniami i bezlikiem domów modlitwy, mieli więcej wspólnego z chrześcijańskim Bizancjum, które podbili, niż Wład uporczywie odpychający ich od granic swego państwa. Widziany z promieniującego niebywałą kulturą centrum świata, Dracula bardziej przypominał czającego się w leśnych ostępach rabusia, dzikiego wilkołaka, średniowiecznego barbarzyńcę. A jednocześnie przypominałem sobie jego wizerunek, jaki widziałem w domu w encyklopedii - drzeworyt przedstawiający wytwornego, wąsatego mężczyznę, przybranego w strojne szaty. Paradoks.

W moje rozmyślania wdarł się nagle głos Turguta.

»Powiedzcie mi, przyjaciele, co was zainspirowało do zajęcia się tak dziwnym tematem jak Dracula?«

Obrzucił nas miłym... podejrzliwym?... spojrzeniem. Popatrzyłem na Helen.

»Zajmuję się historią piętnastowiecznej Europy, by rozszerzyć tło mej rozprawy doktorskiej - powiedziałem i natychmiast ogarnął mnie strach, że kłamstwo to może naprawdę okazać się prawdą. Bóg jeden wie, kiedy znów wrócę do swej pracy naukowej - błysnęła mi myśl - a już ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłem, było rozszerzanie jej tematu. - A pan? - przystąpiłem do kontrataku. - W jaki sposób pan dokonał tak karkołomnego przeskoku od Szekspira do wampirów?« •

W uśmiechu Turguta było tyle smutku i bezradności, że ogarnęło mnie poczucie winy.

»To dziwna historia, która zaczęła się wiele lat temu. Pracowałem właśnie nad drugą książką o Szekspirze, traktującą o jego tragediach. Co-

dziennie zasiadałem do pracy w niewielkiej... jak wy to nazywacie?... niszczycielu... w angielskiej czytelni naszego uniwersytetu. Pewnego dnia znalazłem na stoliku książkę, której nigdy wcześniej nie widziałem. - Znów popatrzył na mnie ze smutnym uśmiechem, a ja poczułem, że tężeje mi w żyłach krew. - Książka nie przypominała tych, jakie spotkałem w życiu. Była pusta, bardzo stara, a w środku widniał jedynie wizerunek smoka i słowo *Drakulya*. Nigdy wcześniej nie słyszałem o Draculi. Ale obrazek w książce był bardzo dziwny i wywierał duże wrażenie. Zdecydowałem, że dowiem się o niej jak najwięcej. Próbowałem więc przeczytać wszystko».

Nieruchoma dotąd niczym słup soli Helen powoli wracała do życia.

»Wszystko?« - zapytała jak echo".

Zbliżaliśmy się do Brukseli. Zajął mi dużo czasu - choć wydawało mi się, że upłynęło zaledwie kilka minut - by najprościej i najjaśniej opowiedzieć Barleyowi, co przydarzyło się memu ojcu, kiedy kończył studia. Chłopak zapatrzył się ponad moim ramieniem w krajobraz za szybą, na niewielkie, belgijskie domki z ogródkami, sprawiające bardzo smutne wrażenie pod spowitym ciężkimi, burymi chmurami niebem. Od czasu do czasu za oknem mignęła wieża jakiegoś kościoła lub stary komin fabryczny. Holenderka pochrapywała cicho, barwny magazyn zsunął się jej z kolan.

Zamierzałam właśnie powiedzieć o niepokoju, jaki ostatnio nieustannie dręczył mego ojca, o jego chorobliwie bladej twarzy i dziwnym zachowaniu, kiedy Barley gwałtownie odwrócił się w moją stronę.

- To po prostu niewiarygodne - powiedział. - Sam nie wiem, dlaczego miałbym uwierzyć w tak obłąkańczą opowieść, a jednak daję temu wiarę. W każdym razie chcę wierzyć.

Uderzyło mnie w nim to, że nigdy jeszcze nie widziałam go tak poważnym. Jego niebieskie oczy pociemniały i jeszcze bardziej się zwęziły.

-A najciekawsze jest to, że cała ta historia coś mi przypomniała.

-Co?

Byłam półprzytomna ze szczęścia, że jednak potraktował moją opowieść poważnie.

- Coś nader dziwnego. Ale sam nie wiem co. Coś, co ma związek ze zwierzchnikiem Jamesem. Ale nie potrafię sobie dokładnie skojarzyć wszystkich faktów.

Barley zamyślił się głęboko. Brodę wsparł na dłoniach o długich palcach i daremnie próbował sobie przypomnieć to coś, co dotyczyło zwierzchnika Jamesa. Kiedy wreszcie na mnie popatrzył, uderzyła mnie uroda jego szczupłej, zaróżowionej twarzy w chwili, kiedy był bardzo poważny. Przypominał wręcz anioła lub mnicha z klasztoru w północnej Anglii. Sens tej tylko mglistej refleksji w pełni dotarł do mnie znacznie później.

- Hm - mruknął. - Opowiedziałas mi tu dziwną historię. Widzę dwie możliwości. Albo jesteś stuknięta, a w takim przypadku muszę cię jak najszybciej odstawić bezpiecznie do domu, albo nie jesteś stuknięta, a w takim z kolei przypadku pakujesz się w bardzo niebezpieczną przygodę, więc powinienem ci towarzyszyć. Wprawdzie jutro mam pojawić się na wykładzie, ale coś wymyślę. - Ciężko westchnął, popatrzył na mnie i rozparł się w fotelu. - Dobrze wiem, że to nie Paryż stanowi docelowy punkt twojej wyprawy. Czy mogłabyś mnie *oświecić*, mówiąc, dokąd jedziesz naprawdę?

„Gdyby profesor Bora nieoczekiwanie wymierzył nam po siarczystym policzku przy stoliku w tej uroczej restauracji, nie zdumiałoby nas to tak bardzo, jak opowieść o jego »dziwacznym hobby«. Ale był to policzek uzdrawiający. Kompletnie nas otrzeźwił. W jednej chwili opuściło mnie poczucie beznadziejności co do dalszych poszukiwań informacji o grobowcu Draculi. Przybyliśmy we właściwe miejsce. Być może - na tę myśl gwałtownie zabiło mi serce - być może grobowiec Draculi znajduje się właśnie w Turcji?

Myśl taka nigdy wcześniej nie zaświtała mi w głowie, lecz teraz dotarło do mnie, iż ma to pewien sens. Ostatecznie to tutaj Rossi został srogo skarcony przez jednego z giermków Draculi. Czyżby nieumarły strzegł nie tylko archiwum, ale też grobowca? Czyżby taka aktywność wampirów, o jakiej przed chwilą wspomniał Turgut, stanowiła dziedzictwo wciąż trwającej okupacji tego miasta przez Draculę? Szybko podsumowałem całą swą wiedzę o karierze i legendzie Włada Palownika. Jeśli naprawdę w swych młodzieńczych latach był tu więziony, czyż nie mógł po śmierci wrócić do miejsca, gdzie nauczył się zadawania prawdziwych tortur? Może nawet czuł rodzaj nostalgii do tego miejsca, tak jak ludzie, którzy przechodząc na emeryturę, wracają do miejsc, gdzie się urodzili.

Jeśli wierzyć powieści Stokera, wampir potrafił przenosić się z miejsca na miejsce, tworząc nowy grobowiec wedle swego uznania. W tej akurat powieści zawędrował w trumnie do Anglii. Dlaczego więc nie miał się również pojawić w Stambule, przekradając się jako śmiertelnik nocą po swym zgonie do samego serca imperium, którego wojska zadały mu śmierć? Stanowiłoby to w końcu najwspanialszą zemstę na Turkach.

Ale nie mogłem o to wszystko zapytać Turguta. Za krótko się znaliśmy i wciąż miałem wątpliwości, czy możemy mu zaufać. Sprawiał wrażenie szczerego, ale jego oświadczenie o »hobby« było zbyt dziwaczne, by uwierzyć w nie bez zastrzeżeń. W tej chwili konwersował o czymś z ożywieniem z Helen, która w końcu włączyła się do rozmowy.

»O nie, droga pani. Nie wiem wszystkiego o Draculi. Tak naprawdę nie wiem nic. Ale głęboko wierzę, że wywarł złowieszczy wpływ na nasze miasto, i dlatego prowadzę badania. Czego konkretnie dotyczy pańska rozprawa doktorska, młody człowieku?«

»Holenderskiego handlu w siedemnastym wieku« - wyjaśniłem łągodnie.

Temat brzmiał powściągliwie, a ja nieoczekiwanie zacząłem zastanawiać się, czy specjalnie takiego nie wybrałem. Ostatecznie holenderscy kupcy nie grasowali przez całe stulecia, atakując ludzi i kradnąc im nieśmiertelne dusze.

»Rozumiem. - Turgut był wyraźnie zaskoczony. - Jeśli interesuje państwa również historia Stambułu, jutro rano mogę zabrać was do archiwum, gdzie obejrzycie kolekcję sułtana Mehmeda. Pod tym względem był strasznym tyranem, kolekcjonując, oprócz interesujących mnie dokumentów, wiele innych, ciekawych rzeczy. Ale teraz muszę już wracać do domu, gdzie, z powodu mego spóźnienia, żona jest już zapewne w stanie przedzawałowym. - Rozpromienił się, jakby stan zdrowia jego małżonki wprowiał go w *zachwyty*. - Podobnie jak ja, będzie szczęśliwa, jeśli zaszczycicie nas jutro swoją obecnością na kolacji. - Przez chwilę zastanawiałem się, czy tureckie żony są ciągle równie spolegliwe jak w legendarnych haremach. A może jego małżonka jest osobą miłą i gościnną jak on sam? Spodziewałem się pogardliwego chrząknięcia Helen, ale ona tylko w milczeniu nas obserwowała. - Tak więc, drodzy przyjaciele... - Turgut wstał. Wyciągnął pieniądze jakby znikąd... takie w każdym razie odniosłem wrażenie... i wsunął je pod krawędź talerza. Przesłał nam ostatni toast pucharkiem z herbatą. - Żegnam, i do jutra«.

»Ale gdzie się spotkamy?« - zapytałem.

»No tak. Spotkajmy się tutaj. Powiedzmy o dziesiątej rano, zgoda? Doskonale. Życzę państwu miłego wieczoru«.

Uklonił się i zniknął. Po dłuższej chwili dopiero uświadomiłem sobie, że nie tknął swego obiadu oraz że zapłacił rachunek również za nas. Zostawił też talizman chroniący przed złym okiem, który lśnił na białym obrusie stolika.

Po męczącej podróży i długim zwiedzaniu miasta spałem jak zabity. Dopiero o szóstej trzydzięci zbudziły mnie jego hałasy. Mały pokoik pogrążony był w półmroku. Rozespany rozejrzałem się po bielonych ścianach, prostych, obcych meblach, popatrzyłem na zawieszone nad umywalką lustro i ogarnęło mnie dziwne zmieszanie. Pomyślałem o pobycie Rossiego w Stambule, o innym »pensjonacie«, w którym się zatrzymał - w którym? - gdzie przetrząsnęto jego bagaże i zrabowano bezcenne szkice map. Odniosłem dziwaczne wrażenie, jakbym osobiście się tam przeniósł lub sceny te rozgrywały się ponownie. Po chwili jednak wszystko wróciło do normy. W pokoju panował spokój i porządek. Nie naruszone walizki leżały na komodzie, a co najważniejsze, teczka z jej drogocenną zawartością stała nietknięta obok łóżka. Wyciągnąłem rękę, by to sprawdzić. Nawet pogrążony w głębokim śnie, w jakiś osobliwy sposób byłem świadomy obecności spoczywającej w niej starodawnej, milczącej książki.

Z łazienki dobiegały odgłosy urzędującej tam Helen: szum wody, kroki po kafelkach posadzki. Przez chwilę wsłuchiwałem się w te intymne dźwięki, lecz szybko ogarnął mnie wstyd. Zerwałem się z łóżka, napełniłem umywalkę i obficie spryskałem wodą twarz i ramiona. Lustro odbijało wizerunek mojej twarzy, tak młodzieńczej i świeżej w tamtych czasach, że sama byś, moja Ukochana Córeczko, w to nie uwierzyła. Oczy po trudach poprzedniego dnia wciąż miałem jeszcze trochę mętne, ale czujne. Spryskałem włosy modną wówczas brylantyną, starannie zaczesłem lśniąca czuprynę i nałożyłem wymięte spodnie, czystą, choć nieco pomarszczoną koszulę oraz krawat. Kiedy ucichły dobiegające z łazienki odgłosy, sięgnąłem po przyrządy do golenia i energicznie zastukałem w drzwi. Gdy nikt nie odpowiedział, nacisnąłem klamkę i wszedłem do środka. W niewielkim pomieszczeniu wciąż jeszcze unosił się ostry zapach tanich perfum Helen. Zaczynałem lubić tę woń.

Na śniadanie w restauracji podano nam w miedzianym garnku z długą

rączką mocną kawę - mocną jak wszyscy diabli - chleb, słony ser i oliwki oraz gazetę, której ze względu na język nie byliśmy w stanie przeczytać. Helen jadła w milczeniu, a ja, pogrążony w myślach, wdychałem zapach tytoniu dobiegający z kąta kelnerów. Lokal o tak wczesnej porze był pusty. Wypełniało go słoneczne światło napływające przez łukowe okna. Spoza nich dochodził kojący dźwięk porannego miejskiego ruchu. Ulicą śpieszyli do pracy elegancko ubrani ludzie lub handlarze dźwigający kosze z towarem. Ze zrozumiałych względów zajęliśmy stolik jak najbardziej oddalony od okna.

»Profesor pojawi się dopiero za dwie godziny - zauważyła Helen, syjąc cukier do kolejnej filiżanki kawy i energicznie mieszając. - Co będziemy robić do tego czasu?«

»Możemy jeszcze raz odwiedzić Hagia Sophię. Chętnie tam wrócę«.

»Dlaczego nie? - mruknęła. - Skoro już tu jesteśmy, mogę być nawet turystką«.

Sprawiała wrażenie wypoczętej, a pod czarną garsonką miała jasnoniebieską bluzkę. Dotąd ubierała się nieodmiennie na czarno i biało. Jak zwykle szyję, w którą ugryzł ją bibliotekarz, miała owiniętą chustką. Z jej twarzy nie schodził wyraz pełnej ironii czujności, ale w jakiś sposób odnosiłem wrażenie, że moja obecność w dużej mierze łagodzi wrodzoną dzikość Helen.

Po wyjściu z restauracji wmieszaliśmy się w tłum przechodniów. Niesieni jego falą dotarliśmy do centrum starego miasta, gdzie natrafiliśmy na jeden z bazarów. Po obu stronach długiej alei roili się sprzedawcy - ubrane na czarno, stare kobiety macały palcami tkaniny we wszystkich kolorach tęczy; młode, barwnie poprzebierane niewiasty z zawojami na głowach targowały się o owoce, jakich nigdy jeszcze w życiu nie widziałem, lub o złotą biżuterię; starzy mężczyźni w wykonanych szydelkiem myckach nałożonych na siwe włosy lub wyłysiałe czaszki czytali gazety lub pochylali się nad straganami z rzeźbionymi w drewnie fajkami. Niektórzy z nich przesuwali w palcach koraliki modlitewnych różańców. Migwały mi przed oczyma przystojne, o przebiegłym wyrazie oczu i ostrych rysach, oliwkowej barwy twarze. Kupcy gestykulowali rękami, wykonywali dziwne ruchy dłońmi, w uśmiechu pokazywali złote zęby. Wokół panował zgiełk, w powietrzu roznosiły się podekscytowane okrzyki przekupniów, czasami słychać było czyjś śmiech.

Z twarzy Helen nie schodził ów charakterystyczny dla niej, dziwny

wyraz. Rozglądając się po tłumie obcych ludzi, sprawiała wrażenie, jakby знаła ich aż za dobrze. Mnie również zachwycała atmosfera bazaru, lecz jednocześnie zachowywałem jakąś osobliwą czujność, towarzyszącą mi od tygodnia, ilekroć trafiałem w jakiegokolwiek zatłoczone, publiczne miejsce. Badałem wzrokiem tłum, podejrzliwie zerkałem za siebie przez ramię, w twarzach mijających mnie ludzi starałem się wyczytać, czy mają dobre czy złe zamiary... a jednocześnie sam czułem się obserwowany. Było to paskudne uczucie, fałszywa nuta w idealnej harmonii ożywionych głosów, jakie nas otaczały. Nie po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że to właśnie częściowo mogło powodować cyniczne nastawienie Helen do całego ludzkiego rodzaju. Zastanawiałem się też, czy jest to jej cecha wrodzona, czy tylko skutek życia w policyjnym państwie.

Skądkolwiek się to brało, paranoja ta stanowiła policzek wobec mojej poprzedniej postawy. Jeszcze przed tygodniem byłem zwykłym, amerykańskim doktorantem, zadowolonym z pracy, choć często na nią utyskiwałem. Tak naprawdę radowałem się w głębi duszy z dobrobytu i poziomu moralnego kultury, w jakiej wzrastałem, aczkolwiek niejednokrotnie udawałem, że ją neguję, tak samo zresztą jak wszystko inne. Teraz, obserwując Helen i jej trzeźwy stosunek do świata, zrozumiałem, czym naprawdę jest współczesna zimna wojna, a także ta starsza zimna wojna, na samą myśl o której krzepła mi w żyłach krew. Pomyślałem o Rossim, przechadzającym się tymi ulicami latem tysiąc dziewięćset trzydziestego roku, jeszcze przed przygodą w archiwum, co spowodowało jego paniczną ucieczkę ze Stambułu. Stał mi się bardzo bliski - nie tylko jako profesor Rossi, którego znałem, ale również jako młody Rossi ze swoich listów.

Helen poklepała mnie po ramieniu i wskazała głową dwóch starszych mężczyzn siedzących przy niewielkim, drewnianym stoliku obok jednego ze straganów.

»Popatrz, to ucieleśnienie twojej teorii o czasie wolnym - powiedziała. - Jest dopiero dziewiąta, a oni już grają w szachy. Dziwne, że nie rozgrywają partyjki *tabla* - to najpopularniejsza gra w tej części świata. Ale oni naprawdę grają w szachy«.

Dwóch mężczyzn rozstawiało właśnie figury na mocno sfatygowanej, drewnianej szachownicy. Czarne przeciw białym, konie i wieże strzegły swego króla, pionki tworzyły formacje obronne. Jak podczas wojny światowej - pomyślałem.

»Czy umiesz grać w szachy?« - wdarł się w moje rozmyślania głos Helen.

»Oczywiście - odparłem z lekkim oburzeniem. - Grałem w nie z ojcem«.

»Aha - burknęła zgryźliwie, a ja ponieważświe pojąłem, że ona w dzieciństwie nie miała okazji brać takich lekcji. Ona ze swoim ojcem rozgrywała całkiem inną partię szachów... nie tyle z ojcem, ile raczej z jego wyobrażeniem. Najwyraźniej jednak naszyły ją czysto historyczne refleksje. - Szachy nie pochodzą ze świata zachodniego - to starożytna gra wywodząca się z Indii, *shahmat* po persku. *Checkmate* w języku angielskim. *Shah* znaczy król. Bitwa królów«.

Patrzyłem na mężczyzn rozpoczynających grę, ich sękaty palce eliminowały z szachownicy pierwszych wojowników. Wymieniali ze sobą żarciki - najwyraźniej stanowili parę starych przyjaciół. Mógłbym tak stać i przyglądać się im przez cały dzień, ale zniecierpliwiona Helen pociągnęła mnie za łokieć. Grający zwrócili na nas uwagę dopiero wtedy, gdy ich mijaliśmy. Zerknęli figlarnie w naszą stronę. Wyglądamy na cudzoziemców - pomyślałem - choć tak naprawdę powszechną uwagę zwracała śliczna twarz Helen. Zastanawiałem się przez chwilę, jak długo będą grać... zapewne przez cały ranek... i który z nich tym razem wygra.

Otwierano właśnie stragan, przy którym siedzieli. W gruncie rzeczy była to zwykła szopa oparta o sędziwy figowiec rosnący na skraju bazaru. Młodzieniec w czarnych spodniach i białej koszuli energicznie otworzył drzwi, wyniósł na zewnątrz kilka stolików i zaczął układać na nich towar - książki. Układał je rzędami. Każda wspierała się na drewnianej podpórce. W środku straganu ciągnęły się półki również zastawione książkami.

Skwapliwie ruszyłem w tamtą stronę. Młodzieniec ochoczo skinął głową i przesłał mi serdeczny uśmiech, zupełnie jakby wyczuł we mnie bibliofila, bez względu na to, z jakiego zakątka świata pochodziłem. Helen również zaczęła szperać wśród książek wydrukowanych w tuzinach języków. Wiele z nich było po arabsku lub we współczesnym języku tureckim, niektóre w alfabecie greckim lub w cyrylicy, inne po angielsku, francusku, niemiecku i włosku. Natrafiłem na tom pisany po hebrajsku, a następnie na całą półkę klasyki łacińskiej. W większości były to tanie wydania w miękkich, wymiętych od wielokrotnego użytku okładkach. Niektóre książki były zupełnie nowe z dość makabrycznymi ilustracjami

na okładkach, inne sprawiały wrażenie bardzo starych, zwłaszcza te w języku arabskim.

»Bizantyjscy też kochali książki - mruknęła Helen, kartkując dwutomową książkę z niemiecką poezją. - Być może kupowali je w tym samym miejscu«.

Młody właściciel straganu skończył rozkładanie towaru i podszedł do nas z szerokim uśmiechem.

»Mówicie po niemiecku? Po angielsku?«

»Po angielsku« - powiedziałem szybko, gdyż Helen uporczywie milczała.

»Mam również książki angielskie - powiedział z miłym uśmiechem. - Nie ma sprawy. - Miał szczupłą, wyrazistą twarz z ogromnymi, zielonymi oczyma i długim nosem. - Są też czasopisma z Londynu, Nowego Jorku... - Podziękowałem mu i spytałem o stare książki. - O, tak, mam bardzo stare - odrzekł i wręczył mi dziewiętnastowieczne wydanie *Wiele hałasu o nic* w taniej, wytartej, płóciennej oprawie. Przez chwilę zastanawiałem się, jaką drogę odbyła ta książka z biblioteki, powiedzmy z burżuazyjnego Manchesteru, na rubieżę starożytnego świata. Przez grzeczność przekartkowałem tom, po czym oddałem go właścicielowi. - Za mało stara? - zapytał z uśmiechem młodzieniec«.

Helen popatrzyła znacząco na zegarek. Mieliśmy przecież udać się do Hagia Sophii, ale ostatecznie nie dotarliśmy do niej.

»Musimy już iść« - oświadczył księgarzowi.

Młodzieniec, trzymając w ręku książkę, uprzejmie się nam uklonił.

Spoglądałem na niego przez chwilę, odnosząc mgliste, choć nieprzeparte wrażenie, jakbym skądś go znał, ale on odwrócił się już do kolejnego klienta, do złudzenia przypominającego jednego z graczy w szachy. Helen pociągnęła mnie za łokieć i zgodnie ruszyliśmy w kierunku naszego *pension*.

W małej restauracji nikogo nie było, lecz po kilku minutach w progu pojawił się najwyraźniej podekscytowany Turgut. Kiwnął na powitanie ręką, uśmiechnął się i zapytał, jak minęła nam noc w nowym miejscu. Mimo panującego upału miał na sobie wełniany garnitur oliwkowej barwy i najwyraźniej rozpierała go energia. Kręconą, srebrzystą fryzurę zaczesał do tyłu, jego wypastowane trzewiki lśniły blaskiem. Pospiesznie wyprowadził nas z lokalu. Ponownie skonstatowałem, że jest bardzo energicznym człowiekiem, i ucieszyłem się, iż mamy takiego przewodnika.

Udzieliło mi się jego podniecenie. Papiery Rossiego bezpiecznie spoczywały w mojej teczce, a w ciągu najbliższych godzin miałem się znaleźć

o krok od rozwiązania ich zagadki. Niebawem zapewne porównam je z oryginałami, które Rossi osobiście badał wiele lat wcześniej.

W drodze Turgut wyjaśnił nam, że archiwum sułtana Mehmeda, choć cały czas znajdowało się pod opieką państwa, umieszczono nie w głównym budynku Biblioteki Narodowej, lecz w dawnej medresie, tradycyjnej, muzułmańskiej szkole wyższej. Ataturk, sekularyzując państwo, pozamykał te szkoły, a ta konkretna stanowiła obecnie część Biblioteki Narodowej, gdzie przechowywano unikatowe, starodawne książki dotyczące historii Imperium Osmańskiego. Turgut oświadczył, iż znajdziemy tam, pośród dzieł pochodzących z czasów ekspansji tureckiej, również kolekcję sułtana Mehmeda.

Medresa mieściła się w przepięknym, choć niewielkim budyńeczku. Do środka prowadziły prosto z ulicy nabijane miedzianymi ćwiekami drewniane drzwi. Przez okna, ozdobione marmurowymi maswerkami, sączyło się słoneczne światło, rzucając geometryczne wzory na posadzkę ozdobioną wizerunkami spadających gwiazd i oktagonów. Turgut wskazał nam leżący na kontuarze przy wejściu rejestr, informując, że powinniśmy się wpisać (Helen postawiła jakiś nieczytelny gryzmoł), po czym sam złożył piękny, zamaszty podpis.

Wkroczyliśmy do głównej czytelnicy, wielkiego, pogrążonego w ciszy pomieszczenia z kopułą ozdobioną białą-zieloną mozaiką. Pośrodku stał rząd lśniących stołów, przy których pracowało już trzech lub czterech badaczy. Wzdłuż ścian ciągnęły się regały wypełnione nie tylko książkami, ale również drewnianymi szufladkami i pudełkami, a spod sufitu zwieszały się miedziane lampy. Bibliotekarz, szczupły mężczyzna około pięćdziesiątki, z różańcem owiniętym wokół nadgarstka, odłożył pracę, by uściskać obie dłonie Turguta. Dłuższą chwilę rozmawiali ze sobą w ojczystym języku - z ich konwersacji wychwyciłem tylko nazwę mojego macierzystego uniwersytetu, którą wymienił Turgut - po czym bibliotekarz, kłaniając się nisko, z uśmiechem powiedział do nas coś po turecku.

»To jest pan Erozan - przedstawił go Turgut z wyraźnym zadowoleniem. - Wita państwa w bibliotece. Twierdzi, że dałby się dla was zabić. - Odruchowo cofnąłem się, a na twarzy Helen pojawił się wymuszony uśmiech. - Teraz uda się po dokumenty sułtana Mehmeda dotyczące Zakonu Smoka. Usiądźmy zatem i spokojnie czekajmy na jego powrót«.

Zajęliśmy miejsca przy jednym ze stolików, w stosownej odległości od pozostałych czytelników. Popatrzyli przelotnie w naszą stronę, po czym znów zagłębili się w pracy. Po dłuższej chwili pojawił się pan Erozan, dźwigając wielkie drewniane pudło zamknięte na kłódkę i opatrzone arabskim napisem wyrzeźbionym na wieku.

»Co tu jest napisane?« - zapytałem profesora.

»Hm. - Dotknął palcami pokrywy. -Napis głosi: *Tu jest zło...* hmm...

Tu zło znalazło przytułek. Zamknięte kluczami świętego Koranu«.

Serce zabiło mi mocno. Zdania uderzająco przypominały słowa, jakie Rossi odkrył na marginesach tajemniczej mapy i wymówił na głos w starej siedzibie archiwum. W listach nic nie wspominał o drewnianej skrzyni, ale zapewne nawet jej nie widział, skoro bibliotekarz dostarczył mu same dokumenty. Albo może zostały włożone do skrzyni później, już po wyjeździe Rossiego.

»A jak stare jest samo pudło?« - zapytałem Turguta.

»Tego nie wiem ani ja, ani ten oto mój przyjaciel. Ponieważ wykonane jest z drewna, nie sędzę, by pochodziło z czasów Mehmeda. Mój przyjaciel powiedział mi kiedyś... - przesłał Erozanowi promienny uśmiech, na który bibliotekarz też odpowiedział tak samo, choć nie rozumiał, o czym rozmawiamy - ...że dokumenty w skrzyni umieszczono w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym celem ich zabezpieczenia. Dowiedział się o tym od poprzedniego bibliotekarza. Jest człowiekiem niebywale skrupulatnymi

Tysiąc dziewięćset trzydziesty! Wymieniłem z Helen znaczące spojrzenie. Zapewne w czasie, kiedy Rossi pisał listy do przyszłego adresata - w grudniu tamtego roku - dokumenty, które badał, spoczywały już ze względów bezpieczeństwa w masywnej, drewnianej skrzyni. Pudło z całą pewnością stanowiło doskonałe zabezpieczenie przed myszami i wilgocią, ale co skłoniło bibliotekarza z tamtych czasów do zamknięcia dokumentów dotyczących Zakonu Smoka w skrzyni z wyrytym na niej świętym znakiem ostrzegawczym?

Znajomy Turguta wyjął metalowe kółko z kluczami i wsunął jeden z nich w kłódkę. Prawie wybuchnąłem śmiechem, przypominając sobie nasze nowoczesne katalogi kartkowe i prosty dostęp do rzadkich książek w zbiorach uniwersyteckich bibliotek. Nigdy nawet nie przyszłoby mi do głowy, że będę prowadzić badania, do których rozpoczęcia potrzebny okaże się archaiczny klucz. Szczęknął mechanizm kłódki.

»Proszę« - mruknął Turgut i bibliotekarz cofnął się o kilka kroków. Turgut uśmiechnął się do nas raczej żałośnie i uniósł wieko skrzyni".

W pociągu Barley skończył czytać dwa pierwsze listy mego ojca. Pociąłem przelotny ból, widząc je rozłożone w jego rękach, ale zdawałam sobie sprawę z tego, że bardziej uwierzy autorytatywnemu tonowi głosu ojca niż moim niepewnym zapewnieniom.

-Czy byłeś kiedykolwiek w Paryżu? - zapytałam, by ukryć swe emocje.

-Pewnie - odparł z oburzeniem. - Zanim rozpocząłem studia, chodziłem tam przez rok do szkoły. Moja matka życzyła sobie, bym lepiej po-

znał język francuski. - Chciałam podpytać go trochę o matkę, dlaczego tak

dbała o wykształcenie syna, zapytać, jak to w ogóle jest mieć matkę, ale on

już ponownie zagłębił się w lekturze listu. - Twój ojciec musi być wyśmie-

nitym wykładowcą - mruknął z zadumą, nie przerywając czytania.

Jego słowa otworzyły przede mną całkiem nowe dziedziny. Czy wykłady na Oksfordzie mogły być nudne? Jak to możliwe? Barley wiedział o tylu rzeczach, które chciałabym poznać, był posłańcem z innego świata, tak wielkiego, że nie umiałam go sobie nawet wyobrazić. Moje rozmyślenia przerwał konduktor przechodzący korytarzem wagonu obok drzwi naszego przedziału.

- Bruksela! - zawołał.

Pociąg zwalniał i w kilka minut później za oknem ujrzałam brukselski dworzec. Do wagonu wsiadli celnicy. Na peronie pojawili się pasażerowie spieszący do swoich pociągów. Między ich nogami uwijały się pracowicie gołębie w poszukiwaniu co smakowitszych kąsków.

Chociaż zawsze darzyłam te ptaki wielką sympatią, to jednak teraz bacznie rozglądałam się po tłumie kłębiącym się za oknem. Nieoczekiwanie dostrzegłam stojącą nieruchomo na peronie postać. Była to wysoka kobieta, ubrana w czarny płaszcz. Jej włosy skrywała czarna chustka, obramowując twarz o niezwykle bladej cerze. Znajdowała się za daleko, bym mogła rozpoznać jej rysy, ale dostrzegłam błysk smolście czarnych oczu i nienaturalnie czerwone usta. Zapewne szminka. W jej ubiorze było coś cudacznego. Wyróżniał się pośród minispódniczek i szkaradnych butów na koturnach. Na nogach miała wąskie, ciemne pantofelki.

Ale najbardziej zwróciła moją uwagę jej osobliwa czujność. Kiedy nasz pociąg powoli ruszał z peronu, obrzucała wagony baczny spojrze-

niem. Instynktownie cofnęłam się od okna i Barley spojrział na mnie pytająco. Choć obca kobieta z całą pewnością nas nie widziała, dała w naszym kierunku niepewny krok. Po chwili jednak najwyraźniej zmieniała zamiary i skierowała uwagę na inny pociąg, wjeżdżający właśnie po drugiej stronie peronu. Widok jej sztywno wyprostowanych pleców kazał mi śledzić ją wzrokiem. Kiedy już opuszczaliśmy stację, zniknęła nagle w tłumie, jakby nigdy nie istniała.

28

W przeciwieństwie do Barleya zapadłam w sen. Kiedy się obudziłam, odkryłam, że moja głowa spoczywa na jego ramieniu okrytym granatowym swetrem. Wyglądał przez okno, a listy mego ojca, starannie złożone, spoczywały w kopertach na jego kolanach. Nogi miał skrzyżowane, a twarz, tuż obok mojej, skierowaną w stronę okna, za którym przesuwały się mijane krajobrazy. Zrozumiałam, że jesteśmy już we Francji. Przed nosem miałam jego wydatną brodę. Gdy popatrzyłam w dół, ujrzałam dłonie Barleya splecione luźno na listach mego ojca. Po raz pierwszy zauważyłam, że podobnie jak ja ma zwyczaj obgryzania paznokci. Znów zamknęłam oczy, udając sen, i rozkoszując się ciepłem bijącym od jego ramienia. Przestraszyłam się jednak, iż może mu się nie spodobać takie przytulanie lub, co gorsza, mogłabym przez sen zaślinić mu ubranie. Wyprostowałam się zatem gwałtownie, udając, że coś przerwało mi sen. Barley odwrócił głowę i popatrzył na mnie odległym, zamyślnym wzrokiem, a może w jego twarzy odbijała się tylko zaduma nad migającymi za oknem pociągu widokami. To już nie były ciągnące się po horyzont równiny, lecz pofałdowane, rolnicze prowincje Francji. Po chwili przesłał mi nieśmiały uśmiech.

„Kiedy Turgut otworzył skrzynię sekretów, w nozdrza uderzył mnie znajomy zapach: woń starodawnych dokumentów, pergaminu lub welinu, kurzu i stuleci, podczas których wiele kart zostało zniszczonych przez czas. No i wyczułem w tym wszystkim również zapach niewielkiej książki o niezapisanych kartkach i z wizerunkiem smoka - mojej książki. Nigdy nie odważyłbym się wsunąć nosa między jej kartki - jak często

robiłem, mając do czynienia z innymi, starymi woluminami - w obawie przed odrażającym zapachem lub, co ważniejsze, jakąś mocą tkwiącą w tym odorze. Owego złowieszczonego narkotyku nie miałem najmniejszego zamiaru wdychać.

Turgut zaczął ostrożnie wyciągać na światło dzienne dokumenty spoczywające od lat w skrzyni. Dokumenty różniły się od siebie kształtem i rozmiarem, a każdy zawinięty był w poślódką bibułkę. Rozkładał je starannie na stole.

»Osobiście pokażę wam te papiery i opowiem wszystko, co o nich wiem - oświadczył. - Później zapewne zechcecie posiedzieć tu i wszystko na spokojnie przemyśleć«.

»Tak, to dobry pomysł« - przyznałem.

Profesor wyjął z bibułki zwój i na naszych oczach delikatnie go rozwinął. Był to pergamin nawinięty na dwa drewniane, misternej roboty drążki, bardzo różny od wielkich ksiąg i rejestrów, z jakimi miałem do czynienia podczas swych studiów nad światem Rembrandta. Górną i dolną krawędź pergaminu pokrywały barwne bordiury o geometrycznych wzorach - złote, granatowe i karmazynowe. Ku memu rozczarowaniu tekst napisany został ręcznie po arabsku. Sam dobrze nie wiem, czego się spodziewałem. Ostatecznie dokument pochodził z samego serca imperium, gdzie mówiono po turecku i używano arabskiego alfabetu, przechodząc na grecki jedynie po to, by grozić Bizantyjczykom, oraz na łacinę, by ruszyć na Wiedeń.

Turgut wyczytał na mej twarzy wyraz zawodu i szybko wyjaśnił:

»Jest to, moi przyjaciele, rejestr wydatków na wojnę z Zakonem Smoka. Napisał go urzędnik w mieście leżącym po północnej stronie Dunaju, gdzie wydawał pieniądze sułtana. Tak naprawdę jest to tylko zwykły raport handlowy. Ojciec Draculi, Vlad Dracul, w połowie piętnastego wieku naraził Imperium Osmańskie na gigantyczne wydatki. Urzędnik ów odpowiedzialny był za zapewnienie zbroi i... jak to powiedzieć?... bułatów trzystu żołnierzom, którzy mieli strzec granicy w Karpatach Zachodnich, tak by miejscowa ludność nie wszczęła rebelii. Kupował też dla nich konie. O... tu - wskazał smukłym palcem dół zwoju - tu jest napisane, że wojna z Vladem Draculą jest niesłychanie kosztowna i pasza wydaje na nią o wiele więcej pieniędzy, niż zamierzał. Pasza jest skruszony i nieszczęśliwy, i w imieniu Allaha przesyła Niezrównanemu życzenia jak najdłuższego życia«.

Wymieniłem z Helen spojrzenie. Odniosłem wrażenie, że w jej oczach dostrzegam taki sam lęk, jaki i ja czułem. Ten zaulek historii był równie rzeczywisty, jak wykafelkowana posadzka pod naszymi stopami czy drewno pokrywy skrzyni, którego dotykaliśmy palcami. Ludzie, wymienieni przez Turguta, żyli naprawdę, oddychali i myśleli tak samo jak my. Później umarli - tak jak i my umrzemy. Odwróciłem wzrok, nie mogąc znieść wyrazu jej zazwyczaj twardej i zdecydowanej twarzy.

Turgut zwinął dokument i sięgnął po drugą paczkę, w której znajdowały się dwa kolejne zwoje.

»Ten zawiera list paszy Wołoszczyzny, w którym dostojnik obiecuje przesyłać sułtanowi Mehmedowi wszelkie dokumenty i materiały dotyczące Zakonu Smoka, jakie tylko wpadną mu w ręce. Ten drugi to rozliczenie finansowe z handlu prowadzonego wzdłuż Dunaju w roku tysiąc czterysta sześćdziesiątym pierwszym, niedaleko terenów, nad którymi kontrolę sprawował Zakon Smoka. Rozumiecie państwo, w tamtym czasie nie było tu stałych granic. Granice były płynne i nieustannie się zmieniały. To jest lista wymieniająca jedwabie, przyprawy i konie, za które pasza żądał od pasterzy zamieszkujących jego terytoria wełny«.

Na dwóch następnych zwojach były podobne rozliczenia. I wtedy Turgut sięgnął po kolejny, znacznie mniejszy pakiecik. Był to szkic wykonany na pergaminie.

»Mapa« - oświadczył.

Odruchowo sięgnąłem w stronę mojej teczki, w której trzymałem szkice i notatki, ale Helen prawie niedostrzegalnym ruchem powstrzymała moją rękę. W mig pojąłem jej intencję - zbyt słabo znaliśmy Turguta, by wyjawiać mu cały nasz sekret. Jeszcze nie teraz - zakonotowałem sobie w pamięci. Ale ostatecznie on pokaże nam dokładnie archiwum i powie wszystko, co wie na jego temat.

»Niestety nigdy nie zrozumiałem, co ta mapa naprawdę przedstawia, moi drodzy przyjaciele - powiedział ze smutkiem Turgut i w zamyśleniu zaczął gładzić wąsy. Przyjrzałem się dokładnie pergaminowi i z dreszczem emocji dostrzegłem dokładną, choć wypłowiałą replikę pierwszej mapy, którą skopiował Rossi: długi łańcuch górski w kształcie półksiężyca, wypływająca z gór rzeka, kierująca swe wody na północ. - Nie przypomina to żadnego badanego rejonu, a poza tym trudno mi ustalić skalę, w jakiej tę mapę wykonano. - Odsunął pergamin na bok. - Tu mamy kolejną, która stanowi jakby zbliżenie pierwszej. - Dobrze znałem ten szkic.

Wszystko to już widziałem. Moje podniecenie rosło. - Jestem najgłębiej przekonany, że są to góry widniejące na pierwszej mapie na zachodzie, prawda? - Głęboko westchnął. - Trudno jednak cokolwiek orzec. Nie jest opisana. Widnieje na niej jedynie kilka wersetów z Koranu i to dziwne motto... osobiście je kiedyś przetłumaczyłem. Brzmi mniej więcej tak: *Tu znalazł przytułek w zhu. Czytelniku, odkop go słowem*«.

Gwałtownie wyciągnąłem rękę, by go powstrzymać, ale mówił zbyt szybko.

»Nie!« - krzyknąłem, ale było już na wszystko za późno.

Turgut popatrzył na mnie ze zdumieniem. Helen przenosiła wzrok to na mnie, to na profesora. Pan Erozan oderwał się od swoich zajęć w odległej części czytelnicy i również skierował na mnie zdziwione spojrzenie.

»Przepraszam - szepnąłem. - To chyba działanie tych dokumentów. Są tak... intrygujące«.

»Cieszę się, iż kolekcja ta tak bardzo pana zainteresowała. - Turgut prawie się rozpromienił mimo malującej się na jego obliczu powagi. - Są to dziwaczne słowa. Rzeczywiście mogą wytrącić człowieka... eee...

z równowagi«.

W *tej* samej chwili na schodach rozległy się czyjeś kroki. Rozejrzałem się nerwowo, oczekując, że lada chwila pojawi się we własnej osobie Dracula. Ale w progu stanął jedynie drobny mężczyzna w zrobionej na szydelku mycce i ze zmierzwioną, siwą brodą. Pan Erozan natychmiast ruszył w jego stronę i wylewnie go powitał, a my wróciliśmy do naszych dokumentów. Turgut wyciągnął ze skrzynki kolejny pakiet.

»To już ostatni pergamin - wyjaśnił. - Nigdy nie zgłębiłem jego rzeczywistego sensu. W katalogu biblioteki oznaczony jest jako bibliografia Zakonu Smoka«.

Serce gwałtownie obilo mi się o żebra, na twarz Helen wystąpiły gorące rumieńce.

»Bibliografia?«

»Tak, przyjacielu, bibliografia«.

Turgut rozłożył ją delikatnie na stole. Pergamin wyglądał na niewiarygodnie stary i bardzo kruchy. Napisany był po grecku bardzo wprawną ręką. Jego górna krawędź była trochę postrzępiona, jakby stanowił ongiś część dłuższego zwoju, a dolna została po prostu oddarta. Na manuskrypcie nie było żadnych zdobień. Po prostu gęste rzędkie napisanych z wielką wprawą liter. Znów ciężko westchnąłem. Nigdy nie uczyłem się greckie-

go. Zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że w przypadku tego tekstu potrzebna była perfekcyjna znajomość greki.

Kiedy gryzłem się ze swoim problemem, Turgut wyjął z teczki notatnik.

»Tekst ten przetłumaczył mi wybitny naukowiec z naszego uniwersytetu, specjalista od Bizancjum. Ma naprawdę zdumiewającą wiedzę na temat języka i piśmiennictwa bizantyjskiego. Macie przed sobą spis dzieł literackich, choć z większością z nich nigdy się nie spotkałem. - Otworzył notes i wyglądził stronicę wypełnioną równym, schludnym pismem w języku tureckim. Teraz z kolei westchnęła Helen, a Turgut uderzył się dłonią w czoło. - Och, stokrotnie przepraszam. Będę wam tłumaczył na bieżąco, dobrze? Herodot: *O traktowaniu jeńców wojennych*, Pheseus: *O rozumie i torturze*, Orygenes: *O pierwszej zasadzie*, Euthymius Starszy: *Los przeklętych*, Gubent z Ghent: *O naturze*, święty Tomasz z Akwinu: *Syzyf*. Jak sami widzicie, jest to bardzo osobliwa kolekcja książek, z których wiele to po prostu unikaty. Mój przyjaciel, ów naukowiec zajmujący się Bizancjum, powiedział mi na przykład, że graniczyłoby z cudem, gdyby przetrwał nieznany wcześniej traktat chrześcijańskiego filozofa Orygenesusa. Większość jego prac zniszczono, kiedy został oskarżony o herezję«.

»Jaką herezję? - zdziwiła się Helen. - Przecież czytałam jego dzieła«.

»Został oskarżony za stwierdzenie, że z chrześcijańskiej logiki wynika, iż nawet szatan powstanie z martwych i zostanie zbawiony. Czy możemy dalej studiować listę?«

»Czy byłby pan tak łaskaw i podczas lektury pisał nam na bieżąco wszystko po angielsku?«

»Z największą przyjemnością« - odparł, wyjmując pióro.

»I po co ci to?« - zapytała Helen.

Wyraz jej twarzy mówił więcej niż słowa. Czy przejechaliśmy taki kawał drogi, by zajmować się jakąś bezsensowną, zwariowaną listą książek?

»Wiem, na razie wszystko to nie ma sensu - odrzekłem cicho. - Ale zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi«.

»Pozwólcie, przyjaciele, że przeczytam kilka kolejnych tytułów. Większość z tych książek traktuje o torturach, morderstwach i innych, bardzo nieprzyjemnych rzeczach. Erasmus: *Ślepe losy mordercy*, Henricus Curtius: *Kanibale*, Giorgio z Padwy: *Przeklęci*«.

»Czy przy tytułach nie ma roku wydania?« - zapytałem, pochylając się nad dokumentem.

»Niestety, nie - odparł Turgut. - Co więcej, nie udało mi się zlokalizować większości z tych książek, a te, do których dotarłem, zostały wydane po roku tysiąc sześćsetnym«.

»A więc napisano je już po śmierci Vlada Draculi« - zauważyła Helen.

Popatrzyłem na nią ze zdziwieniem. Mnie nie przyszła do głowy taka myśl. Była to prosta uwaga, ale w najwyższym stopniu zastanawiająca.

»Tak, miła pani. Wiele z tych prac powstało w ponad sto lat po jego śmierci, jak i śmierci sułtana Mehmeda. Niestety nie dowiedziałem się, w jaki sposób i kiedy bibliografia ta trafiła do kolekcji władcy. Ktoś zapewne ją do niej dołączył długo po znalezieniu się jej w Stambule«.

»Ale przed rokiem tysiąc dziewięćset trzydziestym?« - spytałem.

Turgut obrzucił mnie ostrym spojrzeniem.

»W tym właśnie roku zamknięto kolekcję w skrzyni na klucz. Dlaczego pan o to pyta, profesorze?«

Zaczerwieniłem się zarówno dlatego, że wcale jeszcze nie byłem profesorem, jak też na widok Helen, która odwróciła się gwałtownie ode mnie, słysząc moje idiotyczne pytanie. Przez dłuższą chwilę milczałem. Nigdy nie znosiłem kłamstw i zapewniam Cię, Droga Córko, iż zawsze będę ich unikać.

Turgut przenikał mnie wzrokiem. Ogarnął mnie niepokój, gdyż po raz pierwszy pod jego pozorną jowialnością dostrzegłem, jakąś niebywałą czujność. Głęboko odetchnąłem. Postanowiłem porozmawiać później o wszystkim z Helen. Całkowicie ufałem Turgutowi. Sądziłem, że mógłby nam bardzo pomóc, gdyby wiedział więcej. Grając na czas, popatrzyłem na listę książek i tytuły przez niego przetłumaczone, a następnie zerknąłem na turecki oryginał, z którego przekładał na język angielski. Turek najwyraźniej unikał mego wzroku. Na ile powinniśmy mu wierzyć? Jeśli wyznam mu całą prawdę o tym, czego doświadczył tu Rossi, czy nie weźmie nas za wariatów? W tej samej chwili, patrząc na oryginalny grecki dokument, ujrzałem coś dziwnego. Sięgnąłem po bibliografię Zakonu Smoka. Nie wszystko tam było po grecku. Na samym końcu listy dostrzegłem wyraźny napis *Bartolomeo Rossi*, po którym nastąpiło zdanie po łacinie.

»Wielki Boże!« - wykrzyknąłem.

Po chwili dopiero zorientowałem się, że mój donośny głos wywołał

niepokój pośród użytkowników czytelnicy. Nawet pan Erozan, zajęty rozmową z brodatym mężczyzną w mycce, popatrzył z zainteresowaniem w naszą stronę.

Turgut na chwilę znieruchomiał, a Helen szybko przysunęła się do mnie.

»O co chodzi? - zapytał Turek, wyciągając rękę w stronę dokumentu, na który wciąż patrzyłem w osłupieniu, i podążył za moim wzrokiem. Zerwał się na równe nogi. Był tak samo jak ja poruszony do żywego, *co* w obliczu tych wszystkich dziwnych, niewytłumaczalnych zdarzeń przyniosło mi pewną pociechę. - Wielki Boże! Profesor Rossi!«

Przez długą chwilę spoglądaliśmy na siebie w milczeniu.

»Czy panu to nazwisko coś mówi?« - zapytałem cicho.

Turgut popatrzył na mnie, a następnie na Helen.

»A państwu?« - spytał".

Barley przesłał mi serdeczny uśmiech.

- Musiałaś być bardzo zmęczona, skoro zmrzył cię tak głęboki sen. Mnie natomiast dręczyła świadomość kłopotów, w jakie wpadłaś. Co rzekliby inni, gdybyś im o wszystkim powiedziała? Tej pani na przykład... - wskazał głową naszą pogrążoną we śnie towarzyszkę podróży, która najwyraźniej zamierzała przespać całą drogę do Paryża. - Albo policji? Wzieliby cię za kompletną wariatkę. - Ciężko westchnął. - Naprawdę zamierzasz udać się samotnie na południe Francji? Lepiej powiedz mi, dokąd konkretnie jedziesz, zanim nie zatelefonuję do pani Clay, sprowadzając ci na głowę gorsze kłopoty.

Teraz z kolei ja przesłałam mu uśmiech. Już dwukrotnie rozmawialiśmy na ten temat.

- Ależ ty jesteś uparta - jęknął Barley. - Nigdy by nie przyszło mi do głowy, że taka dziewczyneczka może sprawić mi tyle kłopotów, a konkretnie przykrości, jakie spotkają mnie ze strony zwierzchnika Jamesa, jeśli zostawię cię gdzieś w środku Francji. - Jego słowa sprawiły, iż w oczach stanęły mi łzy, które jednak natychmiast wyschły. - Ale przynajmniej zanim złapiemy kolejny pociąg, będziemy mieli czas na solidny lunch. Na Gare du Nord serwują przepyszne kanapki, na które wydamy moje franki.

Użyta przez niego liczba mnoga sprawiła, że zrobiło mi się ciepło wokół serca.

29

Wyjście z nowoczesnego pociągu na olbrzymią arenę, jaką był dworzec Gare du Nord, ze staroświecką kopułą ze stali i szkła, przez które do środka wlewały się potoki słonecznego światła, stanowi właściwe wejście do Paryża. Kiedy z Barleyem postawiliśmy stopy na peronie, przez kilka długich minut chłoniliśmy widok i atmosferę tego miejsca. W każdym razie ja byłam zachwycona urodą stacji, choć wcześniej wielokrotnie już na niej bywałam podczas podróży z ojcem. Dworzec tętnił życiem, gwarem i hałasem. Zewsząd *dochodziły dźwięki* wjeżdżających pociągów, ludzkich rozmów, pośpiesznych kroków, gwizdów, łopot gołębich skrzydeł, szczęk wrzucanych do automatów monet. Minął nas stary mężczyzna w czarnym berecie obejmujący młodą kobietę. Miała elegancko ułożone rude włosy, a na ustach różową szminkę. Od razu wyobraziłam sobie, że dworzec stanowi jej miejsce pracy. Och, patrzeć na to wszystko, będąc paryżanką, będąc dorosłą, mając na nogach buty na wysokich obcasach i dojrzały biust, a przy boku podstarzałego artystę! Wtedy też dotarło do mej świadomości, że mężczyzna w berecie mógł być ojcem towarzyszącej mu kobiety. Ogarnęło mnie uczucie samotności.

Odwróciłam się do Barleya, którego uwagę najwyraźniej bardziej pochłaniały unoszące się w powietrzu zapachy niż sceneria dworca.

- Boże, ale zgłodniałem - mruknął. - Skoro dotarliśmy aż tutaj, przynajmniej zjedźmy coś pysznego.

Ruszył w odległy róg stacji, dokąd skierował go węch. W pewnej chwili skręcił, wiedziony już nie porywem serca, lecz prozaicznym zapachem musztardy i pieczonej na ogniu szynki. Niebawem oboje zajadaliśmy ogromne kanapki zawinięte w biały papier. Barley jadł tak łapczywie, że nawet nie przysiadł na ławce, którą zajęłam.

Również byłam głodna, ale najbardziej trapiła mnie myśl, *co mam* robić dalej. Barley w każdej chwili mógł udać się do budki telefonicznej i zadzwonić do pani Clay lub zwierzchnika Jamesa albo też wezwać *gendarmes*, którzy odstawiłiby mnie w kajdankach do Amsterdamu. Popatrzyłam na Stephena, ale jego twarz wyrażała jedynie niepohamowane łakomstwo. Kiedy wreszcie skończył i napił się oranżady, powiedziałam:

-Barley, czy mogę prosić cię o przysługę?

-Jaką?

-Nigdzie nie dzwoń. Nie zdradź mnie, proszę. Wybieram się na

południe... nieważne dokąd. Musisz zrozumieć, że nie wrócę do domu, zanim się nie dowiem, gdzie jest mój ojciec i co mu się przytrafiło.

-Wiem - odparł, popijając małymi łykami oranżadę.

-Barley, proszę.

-Dlaczego tak źle o mnie myślisz?

-Nie wiem - odparłam zakłopotana. - Sądziłam, że jesteś zły za eskapadę, na jaką cię naraziłam, i zamierzasz zawrócić mnie z drogi.

-Pomyśl tylko - odrzekł Barley. - Gdybym był aż tak nieugięty, wracałbym właśnie na jutrzejszy wykład, gdzie czekałaby mnie nieunik-

niona bura ze strony zwierzchnika Jamesa. I włókłbym ze sobą pod przy-

musem ciebie. Zamiast tego gnany galanterią... i ciekawością... towarzy-

szę pokornie panience w drodze na południe Francji. I co ty na to?

-Nie wiem - powiedziałam ponownie, ale tym razem już z wdzięcznością.

-Zamiast gadać, zapytajmy lepiej o najbliższy pociąg do Perpignan - stwierdził Barley, mnąc energicznie w dłoniach papierową torebkę po ka-

napce.

-Skąd wiesz? - zapytałam zdumiona.

-Tylko tobie wydaje się, że jesteś taka tajemnicza - burknął z rozdrażnieniem Barley. - Myślisz, że nie przetłumaczyłem interesujących

cię materiałów w kolekcji bibliotecznej dotyczącej wampirów? Gdzież

indziej mogłabyś się udać, jak nie do klasztoru w Pyrenees-Orientales?

To sprawia, że twoja buzia jest znacznie mniej *piauvante*. A do *bureau de*

change wkroczyliśmy zgodnie, ramię w ramię.

„Kiedy Turgut wymienił nazwisko Rossiego tonem wyraźnie wskazującym, że zna go bardzo dobrze, odniosłem wrażenie, że zapada się przede mną ziemia, a przed oczyma zawirowały mi ciemne płatki. Odniosłem absurdalne wrażenie, iż oglądam doskonale znany mi film - na ekranie pojawia się nieoczekiwanie całkiem nowa postać, której dotąd nigdy nie było, i bez żadnych wyjaśnień włącza się do akcji.

»Czy znacie państwo profesora Rossiego?« - ponowił pytanie Turgut.

Nie byłem w stanie wykrztusić słowa, lecz najwyraźniej Helen podjęła już decyzję.

»Profesor Rossi jest promotorem pracy doktorskiej Paula na wydziale

historycznym naszego uniwersytetu«.

»To wprost niewiarygodne« - odparł powoli Turgut.

»Pan go znał?« - zapytałem.

»Nie, nigdy się z nim osobiście nie spotkałem - wyjaśnił Turgut. - O jego istnieniu dowiedziałem się w niesamowitych wręcz okolicznościach. Sądzę, że koniecznie musicie poznać tę historię. Usiądźcie, moi drodzy. - Wykonał ręką gościnny, zapraszający gest i zajęliśmy miejsca obok niego. - Jest to coś naprawdę zdumiewającego... - Urwał i po chwili, wyraźnie do tego się zmuszając, rozpoczął opowieść. - Przed wielu laty, kiedy zakochałem się w tym archiwum, poprosiłem bibliotekarza o wszystkie, najdrobniejsze nawet informacje dotyczące tego miejsca. Oświadczył mi, że za jego pamięci nikt inny tych materiałów nie studiował, ale jego poprzednik - to znaczy bibliotekarz, który był tu przed nim - coś na ten temat wie. Udałem się zatem do starego pracownika archiwum^

»Czy on jeszcze żyje?« - zapytałem schrypniętym głosem.

»Przykro mi, przyjacielu. Już kiedy go odwiedziłem, był niewiarygodnie stary i umarł w rok po naszej rozmowie. Ale pamięć miał wyborną i oświadczył mi, że całą tę kolekcję zamknął na kłódkę, ponieważ żywił wobec niej bardzo złe przeczucia. Opowiedział mi o pewnym zagranicznym profesorze, który przejrawszy te dokumenty, stał się bardzo... jak to powiedzieć?... bardzo nerwowy, prawie oszalał ze strachu i ogarnięty nagłą paniką wybiegł z biblioteki. Stary bibliotekarz powiedział też, że w kilka dni po tym zdarzeniu siedział samotnie w bibliotece zajęty jakąś pracą. Kiedy w pewnej chwili uniósł wzrok, ujrzał wielkiego mężczyznę studiującego te same dokumenty. A przecież do biblioteki nikt nie wchodził, drzwi od ulicy były zamknięte naглуcho, gdyż wieczorem archiwum było już dla czytelników nieczynne. Nie rozumiał, w jaki sposób tamten człowiek dostał się do środka. W pierwszej chwili pomyślał, że zapomniał zaryglować drzwi, a pochłonięty pracą nie usłyszał na schodach kroków spóźnionego czytelnika. Ale było to raczej mało prawdopodobne. Bibliotekarz powiedział też mi... - Turgut pochylił się w naszą stronę i jeszcze bardziej zniżył głos... - powiedział mi, że kiedy zbliżył się do nieoczekiwanego gościa, ten uniósł głowę, a z kącika jego ust splotywała cieniutka strużka krwi«.

Ogarnęły mnie mdłości, a Helen zasłoniła ramieniem twarz, jakby chciała chronić się przed niewidzialnym ciosem.

»Bibliotekarz starszek początkowo nie chciał o tym mówić. Podejrzewam, że z obawy, iż wezmę go za wariata. Powiedział tylko, że na ten

widok jakby na chwilę stracił przytomność, a kiedy ponownie spojrzął w stronę nieznanego, tego już nie było. Ale na stole poniewierały się rozrzucone dokumenty. Następnego dnia na rynku ze starociami kupił poświęconą skrzynkę i zamknął w niej na kłódkę papiery. Oświadczył, iż później, choć w dalszym ciągu pełnił funkcję bibliotekarza w archiwum, nic mu nie zakłóciło spokoju. Nigdy też więcej nie spotkał dziwnego mężczyzny«.

»Ale co z Rossim?« - spytał niecierpliwie.

»Postanowiłem sprawdzić każdy najdrobniejszy nawet trop wiodący do jądra sprawy. Spytałem starca o nazwisko zagranicznego naukowca. Nie pamiętał go, oświadczył tylko, że przypominał Włocha. Poradził mi, bym zajrzał do rejestru czytelników z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego. Po dłuższych poszukiwaniach znalazłem nazwisko profesora Rossiego, który pochodził z Anglii, z Oksfordu. Napisałem zatem do niego list«.

»Czy odpisał?« - spytała Helen, spoglądając nań błyszczącymi z emocji oczyma.

»Naturalnie, ale nie przebywał już na Oksfordzie. Przeniósł się na uniwersytet amerykański - na wasz, choć podczas naszej pierwszej rozmowy nie skojarzyłem tego faktu - więc list bardzo długo do niego wędrował, ale kiedy go tylko otrzymał, natychmiast odpisał. W liście oświadczył mi, że bardzo mu przykro, ale nic nie wie o archiwum, o którym wzmiankowałem, więc nie może mi w niczym pomóc. Gdy pojawicie się u mnie w domu na kolacji, pokażę wam ten list. Dotarł do mnie tuż przed wybuchem wojny«.

»Tak, sprawa zaiste jest bardzo dziwna - mruknąłem. - Wprost nie potrafię tego zrozumieć«.

»Wcale nie to jest w niej najdziwniejsze« - odparł szybko Turgut.

Obrócił w swoją stronę spisaną na pergaminie bibliografię i przeciągnął palcem po nazwisku Rossiego widniejącym na samym dole dokumentu. I znów zwróciłem uwagę na słowa następujące po jego nazwisku. Napisane były po łacinie, co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości. Łaciny uczyłem się tylko na dwóch pierwszych latach studiów i nigdy nie stanowiła mego ulubionego przedmiotu, a z upływem czasu stała się jeszcze bardziej niezdarna.

»Co tu jest napisane? Czy zna pan łacinę?«

Ku mej niezmiernej uldze Turgut skinął potakująco głową.

»Napis głosi: Bartolomeo Rossi: *Duch... może widmo?... w amforze*«. Myśli zawirowały mi w głowie.

»Ależ ja to zdanie znam. Tak w każdym razie myślę... Jestem pewien, że taki właśnie tytuł nosił jego artykuł, nad którym pracował tej wiosny. Pracował. Pokazał mi go jakiś miesiąc temu. Dotyczył greckiej tragedii oraz przedmiotów używanych w greckich teatrach jako rekwizyty sceniczne. - Helen wpatrywała się we mnie w napięciu. - Tak... jestem pewien, że nad tym właśnie obecnie pracuje«.

»Ale najdziwniejsze w tym wszystkim jest to - powiedział Turgut, a ja wyczułem w jego głosie nieskrywany lęk - że choć tyle razy przeglądałem tę bibliografię, nigdy nie zauważyłem tego napisu. Ktoś ostatnio musiał dopisać nazwisko Rossiego«.

»Należy odkryć, kto to zrobił - sapnąłem, patrząc ze zdumieniem na Turguta. - Musimy odkryć, kto jeszcze szperał w tych dokumentach. Kiedy pan był tu po raz ostatni?«

»Jakieś trzy tygodnie temu - odparł posępnym tonem Turek. - Ale poczekajcie chwilę, najpierw zapytam pana Erozana«.

Gdy tylko wstał od stolika, czujny bibliotekarz natychmiast ruszył mu na spotkanie. Wymienili ze sobą kilka krótkich słów.

»I co powiedział?« - zapytałem.

»Dlaczego mnie o tym nie poinformował wcześniej? - jęknął zrozpaczony Turgut. - Wczoraj jakiś czytelnik dokładnie przestudiował zawartość tej skrzynki. - Dłuższą chwilę jeszcze konferował ze znajomym bibliotekarzem. Pan Erozan wskazał palcem drzwi. - To był tamten mężczyzna. - Turgut również wskazał drzwi. - Ten, który pojawił się tu jakiś czas temu i z którym Erozan wdał się w pogawędkę«.

Gwałtownie odwróciliśmy się w stronę wyjścia. Ale drobnego człowieczka z siwą brodą i w białej mycce dawno już nie było".

Barley myszkował w swoim portfelu.

-No dobrze, wymienimy wszystkie pieniądze, jakie mam - oświadczył w końcu ponuro. - To pieniądze, które dał mi zwierzchnik James

oraz kilkanaście funtów z mego kieszonkowego.

-Ja też zabrałam z Amsterdamu trochę gotówki. Zapłacę za bilety kolejowe i chyba będę w stanie pokryć koszty jedzenia i zakwaterowania,

przynajmniej przez kilka najbliższych dni.

Prywatnie jednak zastanawiałam się, czy przy wilczym apetycie Bar-

leya rzeczywiście starczy mi tych pieniędzy. To dziwne, że ktoś tak chudy jak on mógł pochłaniać takie ilości jedzenia. Też byłam szczupłą, lecz nie wyobrażałam sobie, bym zdołała zjeść dwie kanapki w takim tempie, w jakim spałaszował je Barley. Myśl o pieniądzech trapiła mnie do chwili, kiedy podeszliśmy do kantoru, gdzie młoda niewiasta w granatowej kurtce obrzuciła nas baczny spojrzeniem. Barley spytał ją o kursy walut. Kobieta sięgnęła po słuchawkę telefonu i zaczęła z kimś rozmawiać.

-Co ona robi? - zapytałam z niepokojem Barleya.

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

-Sprawdza kursy - odparł. - O co ci chodzi?

Nie umiałam wytłumaczyć mu swych obaw. Być może było to tylko przewrażliwienie spowodowane lekturą listów mego ojca, ale wszystko wydawało mi się podejrzanym. Zupełnie jakby patrzyły na nas jakieś niewidzialne oczy.

„Turgut wykazał się znacznie większą przytomnością umysłu niż ja. Spiesznie ruszył do drzwi wyjściowych i zniknął w niewielkim foyer. Po kilku chwilach wrócił, potrząsając bezradnie głową.

»Zniknął - oświadczył zgnębionym głosem. - Na ulicy też nie było po nim śladu. Wmieszał się w tłum przechodniów«.

Pan Erozan, rozmawiając krótką chwilę z Turgutem, sprawiał wrażenie bardzo skruszonego. Profesor ponownie odwrócił się w naszą stronę.

»Czy macie państwo jakiegokolwiek podejrzenia, że podczas waszych poszukiwań i studiów ktoś was tropił?«

»Tropił?«

Miałem wszelkie powody, by tak sądzić, ale nie miałem też zielonego pojęcia, kto mógł następować nam na pięty.

Turgut popatrzył na mnie przenikliwym wzrokiem, a ja przypomniałem sobie Cyganke, która zakłóciła nam spokój poprzedniego wieczoru.

»Mój przyjaciel, bibliotekarz, twierdzi, że ten mężczyzna chciał jeszcze raz przejrzeć dokumenty, którymi akurat my się zajmowaliśmy. Był bardzo zły z tego powodu. Pan Erozan utrzymuje, że człowiek ten biegle mówi po turecku, ale z obcym akcentem. Sądzi więc, że jest on obcokrajowcem. Stąd bierze się moje pytanie, czy ktoś śledził was podczas podróży do Stambułu. Przyjaciele, wynośmy się stąd, ale bacznie się wokół rozglądajcie. Poleciłem memu przyjacielowi strzec tych dokumentów

i mieć oko na każdego, kto wykaże nimi zainteresowanie. Postara się wydobyć z niego, kim naprawdę jest. Poza tym, im wcześniej stąd wyjdziemy, tym wcześniej on wróci«.

»Ale mapy!«

Bąłem się zostawiać te bezcenne dokumenty w skrzyni. Przecież niczego nowego się o nich nie dowiedzieliśmy. Nawet nie zaczęliśmy rozwiązywać zagadki tych szkiców, choć w cudowny sposób leżały rozłożone przed nami na bibliotecznym stole.

Turgut odwrócił się do Erozana i przesłał mu serdeczny uśmiech świadczący o wielkiej zażyłości, jaka ich łączyła.

»Nie martw się, profesorze - zwrócił się do mnie Turgut. - Osobiście zrobiłem kopie wszystkich tych dokumentów. Spoczywają one bezpiecznie w moim domu. Poza tym mój przyjaciel nie pozwoli, by oryginały doznały jakiegokolwiek uszczerbku. Naprawdę możecie mi ufać«.

Chciałbym - pomyślałem smętnie. Helen spoglądała uważnie na dwóch naszych nowych znajomych, a ja zastanawiałem się przez chwilę, co o tym wszystkim tak naprawdę sądzi.

»W porządku« - powiedziałem krótko.

»Zatem zbierajmy się. - Turgut zaczął zbierać dokumenty z pietyzmem, na jaki mnie nie byłoby stać. - Czeka nas jeszcze długa rozmowa. Pojedziemy teraz do mnie i tam spokojnie porozmawiamy. Pokażę wam też inne materiały dotyczące interesującego nas tematu. Na ulicy nie rozmawiajcie o naszych sprawach. Z biblioteki wyjdziemy oficjalnie, a naszego generała... - wskazał na bibliotekarza - zostawimy na pierwszej linii ognia«.

Pan Erozana potrząsnął naszymi dłońmi, dokładnie zamknął pudło i zniknął z nim między rzędami regałów. Odruchowo głośno westchnąłem. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że los Rossiego wciąż zależy od tej skrzyni... że profesor - Boże, wybacz - został w niej pogrzebany, a my nie byliśmy w stanie wydobyć go z tego grobowca.

Opuściliśmy bibliotekę i przez dłuższą chwilę staliśmy na frontowych schodach, udając, że o czymś dyskutujemy. Byłem rozdygotany, Helen nienaturalnie blada i tylko Turgut zachowywał kamienny spokój.

»Jeśli ta gadzina czai się gdzieś w pobliżu, zobaczy, że opuściliśmy archiwum« - powiedział cicho.

Podał ramię Helen, która chętniej, niż przypuszczałem, przyjęła jego galanterię i włączyliśmy się w tłum przechodniów. Była właśnie pora

lunchu i woń pieczonego mięsa oraz świeżego chleba mieszała się z zawieszonym zapachem dymu z węgla drzewnego i samochodowej benzyny - aromatem, który zawsze kojarzył mi się z granicą dzielącą wschodni i zachodni świat. Cokolwiek się zdarzy później, również będzie zagadką, podobnie jak zagadką jest samo to miejsce - pomyślałem, rozglądając się po otaczającym nas tłumie Turków i spoglądając na strzeliste iglice minaretów kłujące niebo na każdej z ulic, na starożytne kopuły wśród figowców i sklepy pełne tajemniczych przedmiotów. Ale na myśl o dręczącej mnie zagadce krwawiło mi serce. Gdzie jest Rossi? Czy przebywa w tym mieście, czy w jakichś odległych stronach? Żywy czy martwy, a może gdzieś pośrodku?"

30

O szesnastej zero dwa wsiedliśmy do ekspresu zmierzającego na południe, do Perpignan. Barley wspinał się po stromych stopniach do wagonu, rzucił na podłogę nasze bagaże i wyciągnął do mnie rękę. W pociągu było niewielu pasażerów i bez trudu znaleźliśmy wolny przedział. Czulałam się bardzo zmęczona. Gdybym o tej porze była w domu, pani Clay posadziłaby mnie przy kuchennym stole i zaserwowała szklanek mleka i kawałek przepysznej żółtej babki. Przez chwilę wręcz tęskniłam za jej denerwującą nadopiekuńczością. Barley zajął miejsce obok mnie, choć miał cztery inne do wyboru, a ja natychmiast wsunęłam mu rękę pod ramię.

- Powinienem się trochę pouczyć - mruknął, ale nie otworzył książki od razu.

Zbyt fascynował go widok za oknem, gdy pociąg, nabierając prędkości, przejeżdżał przez miasto. Pomyślałam o chwilach, które spędziłam w Paryżu z ojcem - o naszej wspinaczce na Montmartre i o apatycznym wielbłądzie w Jardin des Plantes. Ale teraz odnosiłam wrażenie, że widzę to miasto po raz pierwszy w życiu.

Widok poruszających się warg Barleya studiującego Milтона sprawił, że ogarnęła mnie senność. Kiedy więc oświadczył, iż zamierza przejść do wagonu restauracyjnego, by napić się herbaty, odmownie potrząsnęłam głową.

- Jesteś zmordowana - stwierdził z uśmiechem. - Pośpij sobie, a ja zabiorę ze sobą książkę. Jak się wypisz i zgłódniejesz, udamy się na kolację.

Nie zdążył nawet opuścić przedziału, a już opadły mi powieki. Gdy się obudziłam, leżałam skulona w kłębek jak dziecko, a moja długa, jedwabna spódniczka spowijała mi kolana. Naprzeciwko mnie ktoś siedział

i czytał gazetę. Ale nie był to Barley. Jak rażona prądem usiadłam prosto. Mężczyzna czytał „Le Monde” tak, że gazeta całkowicie zasłaniała górne partie jego postaci wraz z twarzą. Obok niego spoczywała czarna, skórzana teczka.

Przez ulotną chwilę myślałam, że jest to mój ojciec, i ogarnęła mnie wielka ulga. Ale wtedy też zobaczyłam jego lśniące, czarne, skórzane buty, ze sznurowadłami zakończonymi wytwornymi chwościkami. Nogi w eleganckich spodniach od garnituru i wytwornych, czarnych, jedwabnych skarpetkach miał skrzyżowane. Ale nie były to buty mego ojca. Tak naprawdę w tych butach, albo w samych stopach, było coś nie w porządku. Sama nie wiedziałam, dlaczego tak myślę. Poza tym nieznajomy mężczyzna nie powinien był wchodzić do przedziału, kiedy spałam... myśl o tym, że patrzył na mnie, gdy pogrążona byłam we śnie, przejmowała mnie dreszczem. Zasłony w oknie drzwi zostały zaciągnięte i kilt przechodzący korytarzem nie mógł zajrzeć do przedziału. A może to Barley, wychodząc do wagonu restauracyjnego, zasunął firanki?

Zerknęłam na zegarek. Była już prawie siedemnasta. Za oknem przesuwaly się w oszalałym tempie krajobrazy południowej Francji. Skryty za gazetą mężczyzna tkwił w takim bezruchu, że ogarnął mnie strach. Obudziłam się dobrych kilkanaście minut wcześniej, a on nie wykonał najmniejszego ruchu, nie odwrócił nawet strony czytanej gazety.

„Turgut mieszkał w innej części Stambułu, tuż nad brzegiem morza Marmara. Tak zatem popłynęliśmy tam promem z ruchliwego portu o nazwie Eminonii. Helen stała przy relingu i obserwowała krążące wokół statku mewy. Od czasu do czasu odwracała głowę w stronę majaczącego na tle nieba starego miasta. Stałam obok niej. Przyłączył się do nas Turgut i zaczął wskazywać nam poszczególne minarety i kopuły świątyń, donośnym głosem przekrzykiwał huk silników promu. Dzielnica, w której mieszkał, była stosunkowo młoda, pochodziła z dziewiętnastego wieku. Oddalając się od przystani promowej, idąc cichymi uliczkami, odkry-

wałem nowe oblicze miasta: okazałe rozłożyste drzewa, finezyjne, stare kamienne i drewniane domy, apartamentowce żywcem przeniesione z Paryża, czyste chodniki, gazony z kwiatami, ozdobne karnesy. Tu i ówdzie pojawiał się duch Imperium Osmańskiego w postaci stojącego w ruinie portyku dawnego meczetu lub piętrowego tureckiego domu z wykuszami. Ulica, przy której mieszkał Turgut, była wytworna i elegancka. Później takie ulice widywałem w Pradze, Sofii, Budapeszcie, Moskwie, Belgradzie i w Bejrucie. Podobną elegancję zapożyczył sobie od Zachodu cały Wschód.

»Proszę za mną - powiedział Turgut, wysuwając się przed nas i wprowadzając nas na podwójne, frontowe schody, gdzie sprawdził skrzynkę na listy z napisem: *Profesor Bora*. Otworzył drzwi i wprowadził nas do środka. - Witajcie w moim domu. Wszystko w nim należy do was. Przepraszam za nieobecność mojej żony. Ale jest w pracy w przedszkolu«.

Weszliśmy do głównego holu o podłodze i ścianach wykonanych z polerowanego drewna, gdzie wzorem gospodarza zdjęliśmy buty i nałożyliśmy haftowane pantofle, które wręczył nam Turgut. Kiedy wprowadził nas do salonu, oboje z Helen wydaliśmy cichy okrzyk podziwu. Pokój wypełniało rozkoszne, zielonkawe światło z lekkimi odcieniami delikatnego różu i żółci. Po chwili dopiero zorientowałem się, że koloryt ten powodowało słoneczne światło, sączące się poprzez gałęzie rosnących za dwoma oknami drzew oraz przez cieniutkie białe zasłony utkane ze starej koronki. Salon zastawiono fantastycznymi meblami, bardzo niskimi, wyrzeźbionymi w czarnym drewnie i obitymi bogatą tkaniną. Wzdłuż ścian ciągnęły się szerokie ławy z piętrzącymi się na nich haftowanymi, koronkowymi poduszkami. Nad nimi, na bielonych ścianach, wisiała grafika i obrazy przedstawiające Stambuł, portret starego mężczyzny w fezie

i drugi, z młodszym człowiekiem w czarnym garniturze, oraz starannie oprawiony pergamin pokryty finezyjnym, arabskim pismem. Dostrzegłem kilkanaście fotografii miasta wykonanych w sepii i kilka komódek zastawionych miedzianymi serwisami do kawy. W rogach ustawiono wielkie, ceramiczne wazy, w które powkładano pęki pąsowych róż. Na środku rozległego pokoju pysznił się duży, okrągły stół na trzech nogach. Był pusty i wypolerowany, jakby zachęcał do kolejnego smakowitego posiłku.

»Jak tu pięknie - oświadczyła spontanicznie Helen, odwracając się do naszego gospodarza. Zapamiętałem, jak uroczo wyglądała, kiedy w chwili

lach szczeroci miękly twarde rysy jej twarzy. - Jak w *Baśniach tysiąca i jednejnocy*'«.

Turgut roześmiał się i niedbale machnął ręką, ale najwyraźniej był bardzo rad z pochwały.

»To wszystko jest zasługą i dziełem mojej żony - wyjaśnił. - Uwielbia naszą dawną sztukę i rzemiosło. Wiele przepięknych przedmiotów dostaliśmy od jej rodziny. Zapewne znalazłoby się tutaj kilka rzeczy pochodzących z czasów imperium sultana Mehmeda. - Przesłał mi serdeczny uśmiech. - Nie umiem parzyć tak dobrej kawy jak ona... sama mi to zresztą powiedziała... ale zajmę się wami najlepiej, jak umiem«.

Posadził nas na niskich meblach, a mnie ogarnął błogi nastrój na widok tych starodawnych i wypieszczonych przedmiotów oznaczających komfort: poduszki, dywan, a przede wszystkim otomany.

Turgut chciał zająć się nami najlepiej, jak umiał, a to oznaczało lunch, który przyniósł z niewielkiej kuchni mieszczącej się po drugiej stronie holu. Zdecydowanie odrzucił naszą pomoc. Przechodziło moje pojęcie, jak szybko i z jaką wprawą wokół wszystkiego się zakrzątał. Zapewne przygotował posiłek wcześniej. Wniósł na tacach sosy i sałatki, na salaterce kawałki melona, mięso duszone w warzywach, kurczaka na szpadkach, wszechobecne ogórki utarte z jogurtem i czosnkiem, kawę oraz wielką ilość ciasteczek obtoczonych w orzechach i miodzie. Jedliśmy z wilczym apetytem, a Turgut nas tylko zachęcał, podsuwając coraz to nowe smakołyki.

»Nie mogę pozwolić na to, by moja żona pomyślała, że was głodziłem^

Lunch zakończyliśmy szklanką wody z czymś białym i słodkim, co stało w dzbanuszku pośrodku stołu.

»01ejek różany - wyjaśniła Helen, próbując odrobinę tego specjału. - Bardzo smaczny. W Rumunii też to piją«.

Wlała do szklanki kilka kropel białego, gęstego płynu i wypila to wszystko ze smakiem. Poszedłem jej śladem. Nie byłem pewien, jaki skutek wyrwie ten specjał na moje trawienie, ale nie była to pora na takie zmartwienia.

Kiedy już prawie pękaliśmy z przejedzenia, oparliśmy się plecami o niskie otomanki. Wtedy dopiero zrozumiałem, jak doskonale wypoczywa się na nich po obfitym posiłku. Turgut popatrzył na nas z zadowoleniem.

»Naprawdę nie chcecie więcej jeść?«

Helen wybuchnęła śmiechem i cicho jąknęła, ale Turgut i tak ponownie napełnił nasze szklanki różaną wodą, a filiżanki kawą.

»Zatem dobrze. Porozmawiajmy teraz o rzeczach, których nie mieliśmy jeszcze okazji przedyskutować. Po pierwsze, jestem zdumiony, że pan również zna profesora Rossiego, ale zupełnie nie rozumiem waszego związku z tą sprawą. Jest pańskim promotorem, młody człowieku?«

Przysiadł obok nas na otomanie i wyczekująco pochylił się w naszą stronę.

Zerknąłem pytająco na Helen, a ona lekko skinęła głową. Przez chwilę zastanawiałem się, czy to olejek różany sprawił, że tak szybko pozbyła się podejrzeń.

»Profesorze Bora, obawiam się, że nie do końca byliśmy z panem szczerzy. Ale musi pan zrozumieć, iż nasza misja jest bardzo dziwaczna, a nie wiedzieliśmy, komu ufać.«

»Doskonale to rozumiem - odparł z uśmiechem. - Jesteście chyba bardziej przezorni, niż sami sądzicie.«

Helen znów skinęła głową, więc ciągnąłem dalej:

»Profesorem Rossim interesujemy się ze szczególnych powodów. Nie tylko dlatego, że jest moim promotorem, ale też ze względu na to, iż przekazał nam pewne informacje... przekazał je konkretnie mnie... po czym... hmmm... znikł.«

»Znikł, przyjacielu?« - zapytał Turgut, przeszywając mnie ostrym spojrzeniem.

»Tak.«

Opowiedziałem mu o moich związkach z Rossim, o wspólnej pracy nad moją dysertacją i o dziwnej książce, jaką znalazłem w swym bibliotecznym gabinecie. Kiedy zacząłem opisywać tę książkę, Turgut gwałtownie wyprostował się na otomanie, splótł kureczowo dłonie, ale nie odezwał się słowem i jeszcze uważniej słuchał mojej opowieści. Opowiedziałem, jak zaniósłem tę książkę do Rossiego oraz o tym, jak on znalazł swoją. Trzy książki - pomyślałem, wstrzymując oddech. Teraz już wiedzieliśmy o istnieniu trzech książek... magiczna liczba. Ale jaki dokładnie istniał między nimi związek - bo jakiś przecież musiał istnieć? Poinformowałem Turguta, że Rossi zrelacjonował mi swoje badania w Stambule... tu profesor Bora potrząsnął w oszołomieniu głową... oraz o jego odkryciu w archiwum, iż wizerunek smoka pokrywał się z zapisami starodawnych map.

Opisałem okoliczności zniknięcia Rossiego, opowiedziałem o groteskowym cieniu, jaki na chwilę pojawił się w oknie jego gabinetu, o tym, jak rozpocząłem własne badania, nie do końca jeszcze wierząc w jego opowieść. Zamilkłem na chwilę i popatrzyłem na Helen. Nie chciałem mówić o niej bez jej przyzwolenia. Poruszyła się na otomanie, obrzuciła nas spokojnym wzrokiem i ku memu zdumieniu podjęła temat. Przekazała Turgutowi wszystko o sobie. Mówiła niskim, czasami schrypniętym głosem o swych narodzinach, o prywatnej zemście, jaką zamierzała wyrzucić na profesora Rossim, o gorączkowych studiach nad dziejami Draculi i zamiarze poszukiwania śladów tej legendy właśnie w Stambule. Turgut uniósł brwi tak wysoko, że prawie dotykały wypomadowanej czupryny spadającej mu na czoło. Jej słowa, głęboka, czysta artykulacja, klarowność umysłu, a także lekkie rumieńce na policzkach wywołały na jego twarzy wyraz niekłamanego podziwu. Po raz pierwszy ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, że początkowo odnosiłem się do niego dosyć nieufnie.

Kiedy Helen skończyła, długą chwilę siedzieliśmy pogrążeni w milczeniu. Zielone, słoneczne światło napływające przez okna do pokoju jakby zgęstniało. Ogarnęło mnie jeszcze większe poczucie nierealności całej sytuacji.

»Pani doświadczenia są wprost zdumiewające i jestem wdzięczny, że pani mi o nich opowiedziała - przerwał milczenie Turgut. - Przykro mi jest z powodu smutnych kolei losów pani rodziny, panno Rossi. Chciałbym wiedzieć, co tak naprawdę skłoniło profesora Rossiego, że napisał do mnie, iż nic nie wie o naszym archiwum. To było oczywiście kłamstwo, prawda? Ale to straszne, że tak wyśmienity naukowiec zaginął bez śladu. Profesor Rossi został za coś ukarany... lub wciąż ponosi karę. Nawet teraz, gdy tak tu siedzimy«.

W jednej chwili odzyskałem trzeźwość umysłu, jakby podmuch wpadającego przez okna wiatru odpędził ogarniającą mnie ociężałość po obfitym posiłku.

»Ale skąd ma pan taką pewność? Jeśli to prawda, jak, na Boga, go odnajdziemy?«

»Podobnie jak wy jestem racjonalistą, ale instynkt podpowiada mi, że tamtego wieczoru profesor Rossi wyznał panu prawdę. Potwierdzają to słowa starego bibliotekarza z archiwum, że jakiś zagraniczny uczoney uciekł stamtąd śmiertelnie wystraszony. Nie wspominając już o tym, iż

w rejestrze odwiedzin natrafiłem na nazwisko profesora Rossiego i nie zapominając o wzmiance o smużce diabelskiej krwi... A teraz jeszcze owa przerażająca anormalność: jego nazwisko... nazwisko przy tytule napisanego przez niego artykułu... dodane w jakiś przedziwny sposób do bibliografii przechowywanej w archiwum. Wszystko to wprawia mnie w okropne zmieszanie. Słusznie postąpiliście, przyjaciele, przyjeżdżając do Stambułu. Jeśli jest tu profesor Rossi, znajdziemy go. Od dawna już zastanawiam się, czy przypadkiem grobowiec Draculi nie znajduje się właśnie w tym mieście. Przyszło mi do głowy, że jeśli ktoś ostatnio umieścił nazwisko Rossiego w bibliografii, to może i sam Rossi przebywa gdzieś w tych okolicach. Wierzycie, iż Rossiego można znaleźć w miejscu pochówku Draculi. W tej kwestii możecie na mnie całkowicie polegać. Czuję... że jestem wam to winny».

»Profesorze Bora, mam jeszcze jedno pytanie. - Helen popatrzyła nań zwięzonymi oczyma. - Jak to się stało, że wczoraj wieczorem pojawił się pan w tej samej restauracji co my? To zbyt wiele jak na zwykły zbieg okoliczności. Zjawił się pan tam zaraz po naszym przybyciu do miasta, gdzie szukaliśmy archiwum, którym pan interesował się od lat».

Turgut wstał z otomany, sięgnął po niewielkie miedziane pudełko leżące na bocznym stoliku i poczęstował nas papierosami. Odmówiłem, ale Helen wzięła jednego i pozwoliła, by Turek podał jej ogień. Sam też zapalił. Przez chwilę spoglądali na siebie ze zrozumieniem, a ja, w subtelny sposób, poczułem się wykluczony z towarzystwa. Tytoń miał delikatną i bardzo wytworną woń. Zastanawiałem się, czy jest to ów słynny, turecki tytoń, tak wysoko ceniony w Stanach Zjednoczonych. Turgut wydmuchnął z płuc dym, a Helen zrzuciła z nóg pantofle i podwinęła pod siebie na otomanie nogi. Od tej strony jeszcze jej nie znałem. Pod wpływem czyjejś serdecznej gościnności stawała się kobietą pełną wdzięku i gracji.

»W jaki sposób spotkałem się z wami w restauracji? - odezwał się z zadumą w głosie Turgut. - Ha, kilkakrotnie sam zadawałem sobie to pytanie, i nie mam na nie odpowiedzi. Ale szczerze wam mówię, przyjaciele, kiedy siadałem przy sąsiednim stoliku, nie wiedziałem, kim jesteście ani po co przybyliście do Stambułu. To prawda, czasami zachodzę do tego lokalu, gdyż jest to moja ulubiona restauracyjka w starej dzielnicy. Tak samo wczoraj do niej wpadłem, a gdy zobaczyłem, że poza mną przebywa tam jedynie dwoje cudzoziemców, zateśkniłem za towarzy-

stwem i nie chciałem samotnie tkwić w kącie. Moja żona twierdzi, że jestem beznadziejny z tym nieustannym zawieraniem nowych znajomości.

Uśmiechnął się, strząsnął tytoń z papierosa na miedzianą popielniczkę i podsunął naczynie Helen.

»Ale nie ma w tym chyba nic nagannego, prawda? Tak czy owak, kiedy zorientowałem się, że zainteresowani jesteście moim archiwum, byłem zaskoczony i do żywego poruszony, a teraz, kiedy poznałem opowiedzianą przez was nadzwyczajną historię, czuję się w jakiś sposób waszym współnikiem w Stambule. Ostatecznie dlaczego trafiliście akurat do mojej ulubionej restauracji? Dlaczego poszedłem na kolację z moją książką? Wiem, że traktuje mnie pani podejrzliwie, ale nie potrafię odpowiedzieć na pytanie. Mogę tylko oświadczyć, że ów zbieg okoliczności budzi we mnie głębokie nadzieje. *Więcej jest rzeczy dziwnych na niebie i ziemi...*«

Popatrzył na nas z zadumą, twarz miał otwartą i szczerą. Malował się na niej wyraz ogromnego smutku.

Helen wydmuchnęła smugę dymu z tureckiego tytoniu w rozświetloną słonecznym blaskiem przestrzeń.

»W porządku. Zatem wszyscy mamy nadzieję. I co z tym zrobimy? Widzieliśmy na własne oczy oryginały map, widzieliśmy bibliografię Zakonu Smoka, której tak bardzo poszukiwał Paul. Ale właściwie co nam to daje?«

»Chodźcie ze mną - odezwał się nieoczekiwanie Turgut. Podniósł się energicznie z otomany. Helen zgasła niedopałek papierosa i też zerwała się na równe nogi, rękaw jej koszuli musnął mi dłoń. - Zapraszam was na chwilę do swego gabinetu«.

Turgut otworzył drzwi zasłonięte starodawnymi, wełnianymi i jedwabnymi draperiami, po czym uprzejmie przepuścił nas przodem".

31

Wstrzymując oddech, trwałam w bezruchu i gapiłam się na gazetę siedzącego naprzeciwko mnie mężczyzny. Czułam, że powinnam się trochę poruszyć, zachowywać naturalnie, by nie zwracać na siebie uwagi.

Ale on siedział tak nieruchomo, że odnosiłam wrażenie, iż nawet nie od-
dycha. Odkryłam, że sama też mam trudności z oddechem. Po chwili
spełniły się moje najgorsze obawy, mężczyzna, nie opuszczając gazety,
przemówił. Głos miał dokładnie taki sam jak jego buty i doskonale skro-
jone spodnie. Mówił po angielsku, ale z akcentem, którego nie potrafiłam
określić. Odnosiłam wrażenie, iż wyczuwam w nim naleciałości fran-
cuskiego, ale może tylko zasugerowałam się tytułami na pierwszej stro-
nie „Le Monde”. W Kambodży i Algierii, w miejscach, o których nawet
nie słyszałam, działy się przerażające rzeczy, a ja przez ostatni rok mocno
poprawiłam swą francuszczyznę. Mężczyzna mówił zza gazety, która nie
przesunęła się nawet o milimetr. Ścierpła mi skóra, gdyż nie mogłam
wprost uwierzyć w to, co słyszę. Głos miał cichy i kulturalny. Zadał mi
jedno pytanie: „Gdzie jest twój ojciec, moja droga?”

Zerwałam się z miejsca i skoczyłam do drzwi. Zza pleców dobiegł
mnie szelest opadającej gazety, ale całą uwagę skupiałam na klamce. Na
szczęście nie była zamknięta na zatrzask. Ogarnięta największą zgrozą,
nie oglądając się za siebie, pobiegłam korytarzem do Barleya, w stronę
wagonu restauracyjnego. Na szczęście tu i ówdzie dostrzegałam ludzi,
w przedziałach których firanki były przeważnie odsłonięte. Pasażerowie
czytali książki lub gazety, między nimi stały koszyki z podróżnym pro-
wiantem. Ze zdziwieniem odwracali w moją stronę głowy, kiedy mijalam
ich w szaleńczym pędzie. Nie zatrzymałam się ani razu, by sprawdzić,
czy ktoś mnie nie goni. Nagle przypomniałam sobie, że w przedziale, na
górną półkę, zostawiłam nasz bagaż. Czy go zabierze? Przeszuka? To-
rebkę miałam na ramieniu, w miejscach publicznych nigdy jej nie zdejmowałam.

Barley zajął miejsce na samym końcu wagonu. Przed nim, na szero-
kim stoliku, leżała otwarta książka. Przyniesiono mu właśnie herbatę
i kilka innych rzeczy, więc zajęło mu dłuższą chwilę, zanim uniósł głowę
znad swego małego królestwa i dostrzegł moją obecność. Musiałam rze-
czywiście wyglądać dziko, gdyż błyskawicznie pociągnął mnie za ramię
i posadził obok siebie na fotelu.

- Co się stało?

Wtuliłam twarz w jego szyję i robiłam wszystko, by nie wybuchnąć
płaczem.

- Kiedy się obudziłam, w naszym przedziale siedział mężczyzna
i czytał gazetę. Nie mogłam dostrzec jego twarzy.

Barley czule pogłaskał mnie po głowie.

-Mężczyzna z gazetą? I to ciebie tak przeraziło?

-Nie pozwolił mi zobaczyć swojej twarzy - szepnęłam, spoglądając trwożliwie w stronę wejścia do wagonu restauracyjnego. Nie dostrzegłam

nikogo, żadnej ubranej na czarno postaci, która zamierzała by przeszukać

wagon. - Ale odezwał się do mnie zza gazety.

-Tak? - zapytał Barley, wciąż gładząc mnie łagodnie po włosach.

-Zapytał, czy wiem, gdzie jest mój ojciec.

-Co? - Barley wyprostował się jak rażony prądem. - Jesteś pewna?

-Tak, mówił po angielsku. - Również się wyprostowałam. - Uciekłam. Nie sądzę, by mnie gonił, ale jest w pociągu. Musiałam nawet zosta-

wić cały nasz bagaż.

Barley zagryzł usta. Przez chwilę myślałam, że z jego bladej twarzy wytryśnie krew. Dał znak kelnerowi, wstał, przez chwilę o czymś z nim konferował, a następnie wyjął z kieszeni bardzo hojny napiwek i położył go przy filizance z herbatą.

-Najbliższy przystanek mamy w Boulois - wyjaśnił mi szeptem. - Będziemy tam za szesnaście minut.

-A co z naszym bagażem?

-Ty masz swoją torebkę, a ja swój portfel, więc... - Urwał gwałtownie i spojrzał na mnie rozszerzonymi oczyma. - Listy...

-Mam w torebce - powiedziałam szybko.

-Łaska boska! Zapewne będziemy musieli zostawić w pociągu bagaż, ale to bez znaczenia.

Ujął mnie za rękę i ku memu zdziwieniu ruszył w kierunku kuchni. Kelner szybko zaprowadził nas do niewielkiej wnęki obok lodówek. Barley wskazał na drzwi. Przeczekaliśmy tam szesnaście minut. Z całej siły ścisiskałam w spoconych dłoniach torebkę. Siłą rzeczy w ciasnym pomieszczeniu staliśmy do siebie przytuleni; jak dwoje zbiegów. Przypomniałam sobie nagle o darze mego ojca i ujęłam go w palce. W widocznym miejscu na mej szyi wisiał krzyżyk. Nic dziwnego zatem, że tamten typ ani na chwilę nie opuścił gazety.

W końcu pociąg zaczął zwalniać, zapiszczały hamulce. Kiedy pojazd stanął, kelner pociągnął za jakąś dźwignię i otworzył drzwi. Przesłał Barleyowi porozumiewawczy uśmiech. Zapewne sądził, że łączy nas romans, a rozwścieczony ojciec gania nas po wszystkich wagonach.

- Wysiadaj z pociągu, ale stój tuż przy stopniach - polecił Barley ci-

chym głosem i zeskoczyłam na peron. Budynek stacyjny pokryty był stiukami, nad nim zwieszały się o srebrzystym zabarwieniu drzewa. Powietrze było gorące, przesączała je miła woń. - Czy widzisz go?

Popatrzyłam wzdłuż pociągu i w końcu, w oddali, pośród wysiadających pasażerów, dostrzegłam wysoką, barczystą postać ubraną na czarno. Było w niej jakby coś niekompletnego - ni to człowiek, ni to jakaś zbudowana z cienia istota, na widok której skurczył mi się żołądek. Głowę miała nakrytą ciemnym kapeluszem z opuszczonym rondem, tak że nie sposób było rozróżnić rysów twarzy. Postać trzymała w ręku czarną teczkę, a pod pachą jakiś biały rulon, zapewne gazetę.

-To on - powiedziałam, nie wskazując nieznanemu palcem, a Barley gwałtownie wciągnął mnie na stopień wagonu.

-Schowaj się. Sam popatrzę, gdzie pójdzie. Na razie rozgląda się wzdłuż pociągu. - Przewornie skryłam się w środku wagonu, serce waliło

mi jak młotem. Barley mocno ścisnął mi rękę. - Dobrze... ruszył w prze-

ciwną stronę... Nie, znów wraca. Zagląda do okien. Wydaje się, że zamie-

rza ponownie wsiąść do pociągu. Boże, jest naprawdę dobry... zerknął na

zegarek. Wskoczył na stopień. Znów jest na peronie i zmierza w naszą stronę. Przygotuj się. Jeśli zajdzie taka potrzeba, pobiegniemy na tył pociągu. Jesteś gotowa?

Uniósł się semafor, pociągiem szarpnęło. Barley szpetnie zaklął.

- Jezu, wraca do pociągu! Zrozumiał, że wcale nie wysiedliśmy.

Barley gwałtownie pociągnął mnie za rękę i oboje wylądowaliśmy na betonowych płytach peronu. Przed naszymi nosami pociąg nabierał pędu. Z okien wychylali się ludzie, strząsając popiół z papierosów i rozglądając się ciekawie po okolicy. Pośród nich, kilka wagonów dalej, dostrzegłam ciemną głowę barczystego mężczyzny odwróconą w naszą stronę - na jego twarzy malował się wyraz niewyobrażalnej furii. Pociąg nabrał pełnej prędkości i zniknął za zakrętem torów. Odwróciłam się w stronę Barleya i długo spoglądaliśmy sobie w oczy. Na małej stacyjce dostrzegaliśmy tylko kilku mieszkańców wioski. Znajdowaliśmy się pośrodku bezdroży Francji.

„Gdybym spodziewał się, że gabinet Turguta okaże się kolejnym, orientalnym snem, grubo bym się mylił. Pokój, do którego nas wprowadził, był znacznie mniejszy, choć równie wysoki jak opuszczony przez nas salon. Przez dwa okna wpadało do środka jaskrawe światło dnia. Wzdłuż dwóch ścian ciągnęły się od podłogi do sufitu regały zastawione książkami. Obok obu okien zwieszały się do samej podłogi czarne, aksamitne zasłony, a porozwieszane na ścianach gobeliny, przedstawiające konie i ogary w pogoni za zwierzyną, nadawały pomieszczeniu jakiś średniowieczny splendor. Na stole pośrodku pokoju leżał stos anglojęzycznych informatorów, a przy biurku, w szafie, dostrzegłem imponującą kolekcję wydań dzieł Szekspira.

Lecz moim pierwszym wrażeniem, jakie odniosłem, rozglądając się po gabinecie tureckiego profesora, było to, że w pomieszczeniu tym angielska literatura wcale nie miała przewagi. Wyczułem nagle coś obcego, mroczną obecność, obsesję stopniowo zaćmiewającą łagodniejsze wpływy brytyjskich dzieł, o których Turgut tak wiele pisał. Obecność ta objawiła mi się nieoczekiwanie w wizerunku twarzy, której wzrok napotykałem wszędzie. Spojrzenie jej oczu czułem na sobie zewsząd: z drzeworytu nad biurkiem, z odbitki fotograficznej stojącej na stoliku, z dziwnego haftu zawieszzonego na jednej ze ścian, z okładki portfolio, ze szkicu wiszącego na ścianie obok okna. Za każdym razem pojawiała się jednak to samo oblicze, choć uchwycone w różnych pozach i pod innym kątem. Ale zawsze był to ten sam, średniowieczny wizerunek mężczyzny o zapadniętych policzkach i z dużym wąsem.

»Poznaję go pan - stwierdził posępnie Turgut, świdrując mnie baczynym spojrzeniem. - Zgromadziłem wszystkie jego możliwe wizerunki«.

Staliśmy obok siebie przed odbitką zawieszoną nad biurkiem. Przypominała dobrze znany mi wizerunek z drzeworytu, choć tutaj twarz przedstawiona była frontem. Z portretu wpatrywały się w nas smolście czarne oczy.

»Gdzie pan wynalazł te wszystkie wizerunki?« - spytałem.

»Szukałem wszędzie, gdzie się dało. - Wskazał ręką na leżące na stoliku portfolio. - W starych księgach, w sklepach ze starociami, w antykariatach, na aukcjach. To zdumiewające, na ile jego wizerunków można niespodziewanie natknąć się w naszym mieście. Czułem, że jeśli zgroma-

dzę je wszystkie, zdołam z jego oczu wyczytać sekret dziwnej, pustej książki. - Ciężko westchnął. - Ale wszystkie te drzeworyty nie są tak wyglądzone, tak... czarno-białe. Zupełnie nie spełniały moich oczekiwań, więc poprosiłem mego przyjaciela, artystę, by zrobił dla mnie melanz tych wizerunków«.

Zaprowadził nas do wnęki obok okna, w której czarna, jedwabna kotara zasłaniała jakiś obraz. Zanim jeszcze wyciągnął rękę, by pociągnąć za sznurek rozsuwający kotarę, poczułem, że zamiera mi serce. Ujrzałem naturalnej wielkości, niebywale realistyczny olejny portret przedstawiający głowę i ramiona młodego, krzepkiego mężczyzny o masywnym karku. Miał długie włosy opadające ciężkimi, czarnymi falami na plecy. Twarz była przystojna i zarazem pełna niebywałego okrucieństwa, o niezwykle białej skórze, nienaturalnie lśniących, zielonych oczach i długim, ostrym nosie o wydatnych nozdrzach. Pod długim, ciemnym wąsem widniały czerwone usta, kształtne i zmysłowe, choć ściągnięte w dziwacznym grymasie. Miał wydatne kości policzkowe, gęste czarne brwi pod spiczastym kołpakiem z ciemnozielonego aksamitu i wieńczącą go z przodu kitą z piór ozdobionych perłami. Ta twarz pełna wigoru, pozbawiona jakiegokolwiek litości, wyrażała siłę - czujna, a zarazem bardzo stanowcza. Najbardziej charakterystycznym szczegółem malowidła były oczy księcia: odbierające odwagę, przerażające przenikliwością spojrzenia. Z ulgą odwróciłem wzrok od portretu. Stojąca obok Helen otarła się lekko o mnie, dając mi tym do zrozumienia, iż w pełni podziela moje odczucia.

»Mój przyjaciel jest wspaniałym i znanym artystą - powiedział cicho Turgut. - Teraz już sami rozumiecie, dlaczego trzymam to malowidło za zasłoną. Podczas pracy nie lubię na nie patrzeć. - Równie dobrze mógłby powiedzieć, że nie lubi, kiedy twarz z obrazu spogląda na niego, błysnęła mi myśl. - Tak właśnie, w wizji artysty, Vlad Dracula wyglądał około tysiąc czterysta pięćdziesiątego czwartego roku, kiedy zaczynał swe długie rządy na Wołoszczyźnie. Miał wówczas dwadzieścia pięć lat, był bardzo wykształcony jak na standardy tamtych czasów i swojej kultury, wyśmienicie jeździł konno. Przez następnych dwadzieścia lat zabił zapewne piętnaście tysięcy swych poddanych - czasami z powodów politycznych, a często dla samej przyjemności zadawania śmierci.

Turgut zasunął zasłonę, a ja poczułem niewymowną ulgę, kiedy zniknęły owe przerażające oczy.

»Chcę wam też pokazać kilka innych ciekawostek - rzekł, otwierając drewnianą szafę stojącą przy jednej ze ścian. - To jest pieczęć Zakonu Smoka, którą kupiłem w sklepiku ze starociami przy porcie w starym mieście. A tu widzicie srebrny sztylet pochodzący ze Stambułu z czasów wczesnego Imperium Osmańskiego. Sądzę, że używano go do tępienia wampirów, ponieważ mówi o tym napis umieszczony na pochwie. A te łańcuchy i szpikulce służyły do zadawania tortur. Najprawdopodobniej pochodzą z samej Wołoszczyzny. Natomiast tutaj, moi przyjaciele, mam największy skarb«.

Sięgnął po stojącą na jego biurku przepięknie inkrustowaną, drewnianą skrzynkę i otworzył metalowe zaczepy. W środku, na pomiętej, zrudziałej, czarnej satynie, spoczywały ostre narzędzia przypominające instrumenty medyczne oraz niewielki, srebrny pistolet i wykonany z tego samego kruszcu nóż.

»Co to jest?« - zapytała Helen, wyciągając niepewnie dłoń w stronę pudła, ale natychmiast ją cofnęła.

»Autentyczny zestaw przyrządów służących do zabijania wampirów. Liczy dobrze ponad sto lat - oświadczył z dumą Turgut. - Sądzę, że pochodzi z Bukaresztu. Jeden z moich znajomych, kolekcjoner starożytności, wynalazł mi go kilkanaście lat temu. Wiele było takich skrzynek. W osiemnastym i dziewiętnastym wieku masowo sprzedawano je wędrowcom podróżującym po Europie Wschodniej. Pierwotnie w tej skrzynce znajdował się również czosnek, aleja zawiesiłem swój«.

Wskazał palcem na drzwi znajdujące się naprzeciwko jego biurka. Z dreszczem ujrzałem zawieszony po obu stronach framugi warkocze suchego czosnku. Przyszło mi na myśl, podobnie jak w przypadku Rossiego zaledwie tydzień wcześniej, że profesor Bora jest nie tylko sumienny w swych badaniach, ale również szalony.

W wiele lat później zrozumiałem lepiej swoją pierwszą reakcję na widok gabinetu Turguta, przypominającego bardziej komnatę w zamku Draculi, oraz średniowiecznej szafy wypełnionej przyborami do zadawania tortur. To prawda, że my, historycy, interesujemy się tym, co stanowi jakąś część nas samych, część, nad którą raczej się nie zastanawiamy, traktując wszystko jedynie jako przedmiot naszej pracy badawczej. Prawdą jest też to, iż nasze zainteresowania stają się coraz bardziej i bardziej częścią nas samych. Kilkanaście lat temu, podczas wizyty w pewnym 7. amerykańskich uniwersytetów, przedstawiono mi najwybitniejszego hi-

storyka zajmującego się dziejami hitlerowskich Niemiec. Człowiek ów mieszkał w wytwornym domu na skraju kampusu, gdzie trzymał nie tylko książki dotyczące interesującego go tematu, ale i oficjalną porcelanę Trzeciej Rzeszy. Serwował na niej posiłki swoim gościom. Terenu jego posiadłości, dniem i nocą, strzegły dwa olbrzymie owczarki niemieckie. Gdy piliśmy drinki, w towarzystwie innych prominentnych naukowców, wyznał mi szczerze, iż gardzi zbrodniami Hitlera i pragnie przedstawić je ze wszystkimi szczegółami cywilizowanemu światu. Przyjęcie opuściłem wcześniej. Kiedy mijalem ze strachem strzegące posesji olbrzymie psy, ogarnęły mnie mdłości.

»Zapewne uważa pan, że przesadzam - odezwał się usprawiedliwiająco Turgut, jakby dobrze odczytał wyraz mojej twarzy. Ciągłe wskazywał czośnek. - Zawiesiłem go, gdyż nie jestem w stanie pracować tu otoczony całym złem przeszłości. A teraz pozwólcie, że pokażę wam to, po co was tu naprawdę sprowadziłem«.

Posadził nas na rozchwierutanych, obitych adamaszkiem krzesłach. Ich oparcia kojarzyły mi się z ludzkimi kośćmi i nie odważyłem się oprzeć o nie plecami. Turgut wyciągnął z regału na książki masywny segregator. Wyjął z niego kopię rękopisów, które studiowaliśmy w archiwum - podobne do szkiców Rossiego, ale wykonane o wiele dokładniej - a następnie list, który mi wręczył. Napisany był na maszynie na papierze firmowym uniwersytetu i podpisany przez Rossiego... Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że to jego autentyczny podpis - zamaszyste B i R były mi doskonale znane. Poza tym, kiedy pisał ten list, przeniósł się już z Harvardu na uniwersytet w Stanach Zjednoczonych. Turgut nie kłamał. Rossi pisał, że nie jest mu nic wiadome o archiwum sułtana Mehmeda. Jest mu przykro, że rozczarowuje profesora Borę, i ma tylko nadzieję, iż dalsze jego badania okażą się bardziej owocne. Był to naprawdę intrygujący list.

Następnie Turgut pokazał nam niewielką książkę oprawioną w popękaną ze starości skórę. Wiele trudu kosztowało mnie, by natychmiast nie wziąć jej w dłoń, ale zapanowałem nad sobą i czekałem rozgorączkowany, patrząc, jak Turek delikatnie ją otwiera, pokazując nam pierwsze

i ostatnie niezapisane stronicę, a następnie drzeworyt w samym jej środku - znany mi już wizerunek ukoronowanego smoka o rozpostartych skrzydłach trzymającego w szponach proporzec z tym jednym, złowrogim słowem. Otworzyłem własną teczkę i wyjąłem swoją książkę. Turgut

położył na biurku obok siebie oba woluminy. Oba złowieszcze smoki były takie same, choć w jego książce wydawał się ciemniejszy. Mój był bardziej wyblakły. Nawet lekkie smugi po atramencie na bokach drzeworytów były identyczne. Helen z zadumą patrzyła na oba wizerunki.

»To nadzwyczajne - odezwał się cicho Turgut. - Nigdy nie spodziewałem się, że zobaczę drugą podobną książkę«.

»I dowie się pan o trzeciej - wtrąciłem. - Proszę nie zapominać, że pańska książka jest już trzecią, jaką widzę. Drzeworyt w woluminie Rosiego był taki sam«.

»Ale co to może znaczyć, moi przyjaciele? - mruknął, rozkładając obok książek kopie map. Zaczął wodzić palcem po zarysach smoków, rzeki i gór. - Że sam na to nie wpadłem!... Podobieństwo jest oczywiste. Sam smok stanowi mapę. Ale mapę czego?«

»Tego właśnie próbowałem dowiedzieć się Rossi w tym archiwum - powiedziałem. - Gdyby tylko udało mu się zrobić kolejny krok w poszukiwaniach^

»A może właśnie zrobił« - odezwała się w zamyśleniu Helen.

Odwrociłem się gwałtownie w jej stronę, by spytać, co ma na myśli, ale w tej samej chwili otworzyły się drzwi, na których futrynach wisiały dziwaczne warkocze czosnku. Po plecach przeszedł mi zimny dreszcz strachu. Ale zamiast jakiegoś przerażającego stwora pojawiła się drobna, uśmiechnięta, ubrana w zieloną sukienkę kobieta. Była to żona Turguta. Wszyscy podnieśliśmy się grzecznie z miejsc".

»Witam cię, moja droga. - Turgut szybko podszedł do kobiety. - To są właśnie moi nowi znajomi ze Stanów Zjednoczonych, o których ci mówiłem«.

Z galanterią przedstawił nas żonie, a ona uprzejmie uściśnęła nam dłonie. Była dokładnie o połowę mniejsza od swego męża, miała zielone oczy okolone długimi rzęsami, wdzięczny, lekko orli nos i długie, rudawe włosy spadające połyskliwą falą na plecy.

»Przepraszam za spóźnienie. - Mówiła po angielsku powoli, starannie dobierając słowa. - Zapewne mój mąż niczym jeszcze państwa nie poczęstowała

Gwałtownie zaprotestowaliśmy, mówiąc, że zostaliśmy ugoszczeni po królewsku, ale gospodyni domu wiedziała swoje.

»Pan Bora nigdy jeszcze nikogo nie ugościł. Będę musiała kiedyś... solidnie na niego nakrzyczeć«.

Pogroziła drobną pięścią mężowi, który puszył się jak paw.

»Muszę wyznać, że okropnie boję się własnej żony - wyznał z zadowoleniem. - Czasami jest dzika i gwałtowna niczym Amazonka«.

Górująca nad panią Bora Helen przesłała im serdeczny uśmiech. Urokowi tej pary doprawdy trudno było się oprzeć.

»A teraz na dodatek dręczy was swoją koszmarną kolekcją - powiedziała pani Bora. - Proszę w jego imieniu o wybaczenie«.

I znów siedzieliśmy na puszystych dywanach, a żona gospodarza z promiennym uśmiechem nalewała nam kawę. Zauważyłem, że jest piękną i uroczą niczym ptak kobietą w wieku około czterdziestu lat. Po angielsku mówiła raczej słabo, lecz z wielkim wdziękiem. Najwyraźniej jej mąż często zapraszał do domu gości posługujących się tym językiem. Ubrana była skromnie, ale elegancko, zachowywała się wytwornie. Skojarzyła mi się z przedszkolanką, do której z pełnym zaufaniem garną się maluchy. Ciekawiło mnie, czy mieli własne dzieci. W salonie nie widziałem żadnych fotografii, ale nie śmiałem o to pytać.

»Czy mój mąż pokazał państwu miasto?« - zwróciła się z pytaniem do Helen.

»Tak, w każdym razie dużą jego część. Obawiam się, że nadużyliśmy jego drogiego czasu«.

»Nie, to ja zanudzałem państwa gadaniną. Ale i tak czeka nas jeszcze wiele pracy. - Upił łyk kawy i zwrócił się do żony: - Czekają nas roboty. Moja droga, musimy odnaleźć profesora, który zaginął w tajemniczych okolicznościach. Przez kilka następnych dni będę bardzo zajęty«.

»Profesora, który zaginął? - Pani Bora przesłała mężowi łagodny uśmiech. - Dobrze. Ale przedtem musimy zjeść obiad«.

Na myśl o dalszym jedzeniu skręciły mi się kiszki i nie śmiałem nawet popatrzeć na Helen. Ale ona podeszła do sprawy realnie.

»Dziękujemy bardzo. Jest pani przemiłą gospodynią, pani Bora, ale musimy już wracać do hotelu. Jesteśmy tam umówieni z kimś na siedem następną^

»No, właśnie - dodałem. - Ma do nas wpaść kilku Amerykanów. Mam jednak nadzieję, że niebawem znów się spotkamy«.

»Aja przejrzy jeszcze raz dokładnie swoją bibliotekę - przyszedł nam w sukurs Turgut. - Może znajdzie coś, co okaże się nam przydatne. Musimy przyjąć założenie, że grób Draculi znajduje się w Stambule... być może to właśnie do tego miasta odnosi się mapa. Mam kilka starych

książek dotyczących Stambułu oraz licznych przyjaciół interesujących się historią tego miejsca. Wieczorem wszystkim się zajmę.

»Dracula. - Pani Bora potrząsnęła głową. - Wolę Szekspira od Draculi. To o wiele normalniejszy temat... poza tym Szekspir pozwala opłacać nam rachunki« - dodała złośliwie.

Odprowadzili nas do drzwi, a Turgut obiecał, że następnego dnia będzie czekać na nas o dziewiątej rano w recepcji naszego *pension*. Dostarczy nam wtedy nowych informacji, jeśli uda mu się je zdobyć, po czym znów udamy się do archiwum. Tymczasem - ostrzegł nas - musimy bardzo na siebie uważać. Turgut chciał odprowadzić nas do domu, ale zapewniliśmy go, że damy sobie radę. »Macie dwadzieścia minut do najbliższego promu« - powiedział profesor, spoglądając na zegarek. Pożegnali nas, machając rękami ze schodków swego domu. Kilkakrotnie odwróciłem się w ich stronę, kiedy szliśmy ulicą wysadzoną topolami i figowcami.

»Tak, to bardzo dobrana para« - powiedziałem i natychmiast pożłowałem swych słów, gdyż Helen w charakterystyczny dla siebie sposób parsknęła.

»Daj spokój, jankesie. Mamy ważniejsze sprawy na głowie«.

W innych okolicznościach uśmiechnąłbym się na to zabawne przewisko, ale teraz popatrzyłem tylko w milczeniu na kobietę, a po plecach przeszły mnie ciarki. Naszła mnie dziwna myśl co do tej osobliwej, popołudniowej wizyty: gdy spojrzałem na twarz Helen, uderzyło mnie niezwykle podobieństwo jej rysów do przerażającego oblicza za czarną zasłoną w gabinecie Turguta".

33

Kiedy ekspres do Perpignan zniknął za srebrzystymi drzewami i dachami domów wioski, Barley potrząsnęła głową.

-Cóż, został w pociągu, z którego my wysiedliśmy - oświadczył.

-Tak - odrzekłam. - Ale dokładnie wie, gdzie jesteśmy.

-Nie na długo.

Barley podszedł do kasy biletowej, w której drzemał kasjer. Zamienił z nim kilka słów i szybko wrócił do mnie.

-Następny pociąg do Perpignan mamy dopiero jutro rano. A autobus do najbliższego miasta jutro po południu. Musimy zatrzymać się na noc

w farmie położonej pół kilometra za wioską, a jutro wrócić na poranny pociąg.

-Barley, nie mogę czekać na jutrzejszy pociąg do Perpignan. Stracimy zbyt wiele czasu.

-Nic na to nie poradzę - odrzekł poirytowany. - Pytałem o taksówkę, samochód, ciężarówkę, wóz zaprzężony w osła, o autostop. Czego

jeszcze ode mnie chcesz?

Szliśmy przez wioskę pogrążeni w milczeniu. Było późno, upalne, leniwe popołudnie. Mijani ludzie, siedzący przy domach lub w ogródkach, sprawiali wrażenie ospałych, zupełnie jakby spadł na nich jakiś urok. Przed wskazaną nam farmą stała tablica z wypisanymi ręcznie cenami jajek, sera i wina. Kobieta, która wyszła nam na spotkanie, nie sprawiała wrażenia zaskoczonej naszym widokiem. Wycierała dłonie w obszerny, kuchenny fartuch. Kiedy Barley przedstawił mnie jako swoją siostrę, przesłała nam miły uśmiech, nie zwracając wcale uwagi na to, że nie mamy żadnych bagaży. Stephen zapytał, czy ma wolny pokój dla dwóch osób.

- *Oui, oui* - odrzekła jednym tchem, jakby mówiła do siebie.

Na dziedzińcu rosło kilkanaście rachitycznych krzaków, a między nimi włóczyły się niemrawo kury. Pod blaszanymi rynnami stały plastikowe wiadra. Właścicielka posesji wyjaśniła nam, że jeść możemy w ogrodzie za domem, a spać będziemy w najstarszej części farmy na tyłach budynku.

Gospodyni przeprowadziła nas przez nisko sklepioną kuchnię i służbówkę do pokoju gościnnego. Znajdowały się tam dwa łóżka ustawione po przeciwnych stronach izby oraz wielka drewniana szafa na ubrania. W łazience znajdowała się toaleta i zlew. Pomieszczenie było czyste, w oknach wisiały wykrochmalone firanki, na ścianie lśniła w promieniach słońca haftowana makatka. Weszłam do łazienki, by spryskać zimną wodą twarz, podczas gdy Barley płacił gospodyni.

Kiedy wróciłam do pokoju, zaproponował mi przechadzkę. Właścicielka farmy miała przygotować dla nas kolację za godzinę. Początkowo nie chciało mi się opuszczać domu, ale na zewnątrz, pod rozłożystymi drzewami, panował rozkoszny chłód. Gdy dotarliśmy do ruin wspaniałej posiadłości z resztkami baszty, przeskoczyliśmy przez mur strzegący tej

budowli. W rozpadającej się stodole dostrzegliśmy stóg siana. Ruina, lecz mimo zapadłego dachu wciąż jeszcze służyła komuś za magazyn. Barley przysiadł na zwałonej belce.

- No dobrze, wiem, że jesteś wściekła - powiedział zaczepnie. - Kiedy ratowałem cię przed niebezpieczeństwem, nie miałaś nic przeciwko temu. Ale teraz, gdy okoliczności nam nie sprzyjają, masz do mnie o wszystko pretensje.

Prawie odebrało mi dech.

-Jak śmiesz! - warknęłam, wstając z miejsca i ruszając między ruiny.

Słyszałam za sobą kroki Barleya.

-Zamierzasz czekać tu na ten pociąg? - dobiegło mnie jego pytanie.

Odwrociłam się gwałtownie w jego stronę.

-Oczywiście, że nie. Ale równie dobrze jak ja wiesz, że mój ojciec może już przebywać w Saint-Matthieu.

-Ale Draculi, czy kimkolwiek on jest, jeszcze tam nie ma.

-Ma nad nami dzień przewagi - odparłam, spoglądając na rozciągające się wokół nas pola.

Nad majaczącymi w oddali topolami górowała wieża miejscowego kościoła. Sielskiemu krajobrazowi brakowało tylko pasących się na polach owiec i krów.

-Po pierwsze... - odezwał się Barley (nienawidziłam go za jego dydaktyczny ton) - ...po pierwsze, nie wiemy, kim jest ten człowiek z po-

ciągu. Zapewne nie był to osobiście ten łajdak. Zgodnie z tym, co napisał

w listach twój ojciec, ma swoich pacholków.

-W takim razie jest gorzej, niż myślisz - mruknęłam. - Jeśli wysługuje się pacholkami, to sam zapewne przebywa już w Saint-Matthieu.

-Albo też... - Barley urwał. Wiedziałałam, co chce powiedzieć. - Albo też jest tu z nami.

- Dokładnie pokazaliśmy mu, gdzie wysiedliśmy z pociągu.

Barley nieśmiało objął mnie ramieniem, a ja odniosłam nieprzeparte wrażenie, że chłopak uwierzył w opowieść mego ojca. Po policzkach popłynęły mi powstrzymywane od jakiegoś czasu łzy.

- Och, daj spokój - mruknął Barley.

Kiedy położyłam mu na ramieniu głowę, koszulę miał nagrzaną od słońca. Po chwili oderwałam się od niego i w milczeniu ruszyliśmy do ogrodu na kolację.

„W drodze powrotnej do naszego *pension* Helen nie odezwała się słowem, tak więc z zadowoleniem i w spokoju mogłem obserwować przechodniów, szukając wśród nich jakiejś wrogiej nam postaci. Kilkakrotnie obejrzałem się za siebie, by sprawdzić, czy nikt nie podąża naszym śladem. Kiedy już zbliżyliśmy się do naszej kwatery, ponownie naszła mnie przykra refleksja, że niewiele zyskaliśmy informacji co do tego, gdzie szukać Rossiego. I w jaki sposób miała nam pomóc lista książek, z których wiele zapewne już nie istniało?

»Chodźmy do mego pokoju - odezwała się bezceremonialnie Helen, kiedy przekroczyliśmy próg *pension*. - Musimy porozmawiać na osobności«.

Rozśmieszył mnie trochę taki brak panieńskich skrupułów, ale twarz miała tak posępną i zaciętą, że zacząłem zastanawiać się, o co jej chodzi. Ale ani w wyrazie jej twarzy, ani w wyglądzie pokoju nie było nic uwodzicielskiego. Łóżko zostało starannie posłane, a rzeczy osobiste pochowane. Kobieta usiadła na parapecie, a mnie wskazała krzesło.

»Posłuchaj - odezwała się, zdejmując rękawiczki i kapelusz. - Przyszło mi na myśl, że poszukując Rossiego, natknęliśmy się na mur nie do przebiccia«.

Ponuro skinąłem głową.

»Nad tym właśnie głowiłem się przez ostatnie pół godziny. Ale może Turgutowi uda się zdobyć od znajomych jakieś ciekawe informacje«.

»Sądzę, że to szukanie gruszek na topoli« - odpowiedziała markotnie Helen, potrząsając głową.

»Na wierzbie« - poprawiłem, ale bez szczególnego zapału.

»Zgoda, szukanie gruszek na wierzbie. Wydaje mi się w dalszym ciągu, że zaniedbujemy pewne bardzo ważne źródło informacji«.

»Jakie?« - wytrzeszczyłem na nią oczy.

»Moją matkę - wyjaśniła tępym głosem. - Miałeś rację, kiedy jeszcze w Stanach Zjednoczonych pytałeś mnie o nią. Myślę o niej od rana. Poznała profesora Rossiego znacznie wcześniej, niż ty się z nim zetknąłeś. A i ja nie wypytywałam o niego, i to nawet wtedy, gdy wyznała mi, że jest moim ojcem. Sama nie wiem dlaczego, ale chyba z tego względu, iż był to dla niej temat bardzo drażliwy. Poza tym... moja matka jest osobą bardzo prostą i nie sądziłam, by była w stanie pogłębić moją wiedzę na temat tego, nad czym naprawdę Rossi pracował. Nawet kiedy przed rokiem wyznała mi, że Rossi wierzył w istnienie Draculi. Nie drażyłam te-

matu, wiedząc, jak bardzo jest przesadna. Ale teraz nie daje mi spokoju myśl, że zapewne wie coś, co pomogłoby nam w poszukiwaniach».

Wstąpiła we mnie nagła otucha.

»Ale jak z nią porozmawiamy? Sama mówiłaś, że nie ma telefonu«.

»Bo nie ma«.

»A zatem... jak? «

Helen złożyła rękawiczki i uderzyła nimi o kolano.

»Musimy zobaczyć się z nią osobiście. Mieszka w małym miasteczku nieopodal Budapesztu«.

»Co?! - tym razem ja wykrzyknąłem, poirytowany. - No tak, rozumiem, to proste. Wskoczmy do pociągu: ty ze swoim węgierskim paszportem i ja z amerykańskim, po czym udamy się na pogawędkę z twoimi bliskimi o Draculi«.

»Paul, nie musisz aż tak bardzo się wściekać - odrzekła, wybuchając nieoczekiwanie śmiechem. - Na Węgrzech istnieje przysłowie: *Jeśli coś jest niemożliwe do zrobienia, należy to zrobić*».

»No, dobrze. - Tym razem ja się roześmiałem. - Jaki masz plan? Już wcześniej zauważyłem, że zawsze jakiś masz«.

»Mam... *to znaczy mam nadzieję, że moja ciotka coś wymyśli*«.

»Twoja ciotka?«

Helen długą chwilę spoglądała przez okno na beżowe stiuki starych domów po drugiej stronie ulicy. Nadchodził wieczór i śródziemnomorskie światło, które zaczynałem już lubić, nadawało złocistą barwę całemu miastu.

»Moja ciotka od tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku pracuje w węgierskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i jest tam osobą raczej prominentną. To dzięki niej udało mi się zdobyć wykształcenie. W moim kraju bez wpływowej ciotki lub wuja niczego by człowiek nie osiągnął. Jest najstarszą siostrą mojej matki i wraz z mężem pomogli jej uciec z Rumunii na Węgry. Ciotka mieszkała tam jeszcze przed moim urodzeniem. Zawsze byłyśmy sobie bardzo bliskie i uczyni wszystko, o co ją poproszę. W przeciwieństwie do matki ma telefon, więc do niej zadzwonię«.

»A ona sprowadzi do telefonu twoją mamę?«

»Mój Boże, aleś ty naiwny! -jęknęła Helen. - Przecież nie mogę rozmawiać z nią o takich sprawach przez publiczny telefon!«

»Przepraszam« - wybąkałem.

»Udamy się tam osobiście. Ciotka wszystko zorganizuje. W ten sposób porozmawiamy z moją matką twarzą w twarz. Poza tym spotkanie ze mną sprawi im wielką przyjemność - dodała nagle łagodnym tonem. - To niedaleko stąd, a ja nie widziałam się z nimi od dwóch lat«.

»Cóż, dla Rossiego zrobiłbym prawie wszystko, ale jakoś nie widzę siebie, jak beztrzesko przekraczam granicę komunistycznych Węgier«.

»A jeszcze znacznie mniej beztrzesko, jak to określiłeś, będziesz przekraczał granicę Rumunii«.

»Wiem - odparłem po chwili milczenia. - O tym też myślałem. Jeśli okaże się, że w Stambule nie ma grobowca Draculi, gdzieś indziej może się znajdować, jeśli nie tam?«

Długą chwilę siedzieliśmy pogrążeni we własnych myślach. Ciszę przerwała dopiero Helen.

»Pójdę zapytać właścicielkę, czy pozwoli nam skorzystać z telefonu. Niedługo ciotka wróci z pracy, a chcę pomówić z nią niezwłocznie«.

»Czy mogę iść z tobą? W końcu sprawa ta dotyczy również mnie«.

»Oczywiście«.

Helen nałożyła rękawiczki i zesłiśmy na parter do saloniku naszej gospodyni. Wyjaśnienie całej sprawy zajęło nam dziesięć minut, ale obietnica dodatkowych lir tureckich plus całkowite opłacenie rozmowy skruszyła wszelkie lody. Helen rozsiadła się na krześle w salonie i zaczęła wykręcać dziesiątki numerów. W końcu na jej obliczu pojawił się wyraz szczęścia.

»Jest połączenie - powiedziała z zadowoleniem. - Mojej ciotce wcale się to nie spodoba... Eva? Tu Elena!«.

Przysłuchując się uważnie ich rozmowie, pojąłem, że mówią po węgiersku. Rumuński należy do rodziny języków romańskich, tak że niektóre słowa bym rozumiał. Ale mowa Helen przypominała oszalały, koński galop, potop ugrofińskich słów, z których nic nie pojmowałem. Zaczynałem w ogóle wątpić, czy kiedykolwiek rozmawiała ze swoją rodziną po rumuńsku. Urodziła się na Węgrzech, gdzie reszta jej krewnych była już zasymilowana. Jej głos to rósł, to cichł, od czasu do czasu twarz rozjaśniał uśmiech, czasami marszczył gniewny grymas. Odnosiłem wrażenie, że ciotka Eva po drugiej stronie linii ma siostrzenicy wiele do powiedzenia. Helen słuchała jej uważnie i po chwili przerywała potokiem tych dzwacznych słów.

Helen jakby zapominała o mojej obecności. W pewnej chwili jednak

przeniosła na mnie wzrok i przesyłając lekki uśmiech, triumfalnie pokiwiała głową. Zrozumiałem, że *wynik rozmowy jest* pomyślny. Helen jeszcze raz uśmiechnęła się i odłożyła słuchawkę. W jednej chwili znalazła się przy nas konsjerżka, najwyraźniej zaniepokojona wysokością rachunku. Natychmiast wypłaciłem na jej wyciągniętą dłoń ustaloną kwotę i dodałem jeszcze suty napiwek. Helen szybko ruszyła do swojego pokoju, dając mi znak, bym jej towarzyszył. Uważałem, że aż taka tajemniczość jest zupełnie niepotrzebna, ale co w końcu wiedziałem?

»Helen, błagam, ta niepewność mnie zabije!« - jęknąłem, rozsiadając się ponownie na krześle.

»Same dobre wieści - odrzekła spokojnie. - Wiedziałam, że ciotka nam pomoże«.

»Ale co, do licha, jej powiedziałaś?«

»Nie mogłam mówić za dużo. Musiałam być bardzo oficjalna. Powiedziałam, że prowadzę z innym naukowcem badania w Stambule i potrzebujemy pięciu dni w Budapeszcie, by je dokończyć i podsumować. Wyjaśniłam, że jesteś amerykańskim profesorem i wspólnie piszemy obszerny artykuł«.

»Na jaki temat?« - spytałem z niejaką obawą.

»O stosunkach gospodarczych w krajach europejskich pod okupacją osmańską«.

»Nieźle. Aleja niewiele o tym wiem«.

»Ale ja wiem. - Helen wygładziła niewielką zmarszczkę na sukience. - Wprowadzę cię w temat«.

»Poszłaś w ślady ojca«.

Jej niedbała erudycja przypomniła mi tak nagle Rossiego, że uwaga ta wyrwała mi się całkiem mimowolnie. Szybko popatrzyłem na Helen w obawie, czyjej nie uraziłem. Uświadomiłem też sobie, iż po raz pierwszy pomyślałem o niej w całkiem naturalny sposób jak o córce Rossiego, zupełnie jakbym w pewnej chwili zaakceptował ten fakt. Na twarzy Helen pojawił się nieoczekiwany wyraz smutku.

»To chyba dobry argument przemawiający za wyższością genetyki nad uwarunkowaniami środowiska - stwierdziła krótko. - Ale tak czy owak, Eva bardzo zaniepokoiła się, kiedy powiedziałam jej, że jesteś Amerykaninem. Wiem to, gdyż zawsze uważała mnie za narwaną i impulsywną osobę, która uwielbia ryzyko. I tu ma całkowitą rację. Poza tym w rozmowie telefonicznej musiała udawać wielkie zaniepokójenie«.

»To rozumiem«.

»Musi myśleć o swojej pracy i pozycji. Ale powiedziała, że coś wymyśli i żebym zadzwoniła do niej jutro wieczorem. I to na razie tyle. Moja ciotka to bardzo sprytna osóbką i nie wątpię, iż znajdzie najlepsze rozwiązanie. Kiedy dowiemy się więcej, będziemy musieli wymyślić sposób, by kupić bilety do Budapesztu. Najlepiej lotnicze«.

Westchnąłem w duchu, myśląc o wydatkach, jakie nas czekały. Zastanawiałem się, czy na poszukiwania starczy mi funduszków.

»Odnoszę wrażenie, że twoja ciotka jest cudotwórczynią, skoro potrafi sprowadzić nas na Węgry i zadbać o nasze bezpieczeństwo«.

»Bo jest - odrzekła ze śmiechem Helen. - Gdyby nie ona, siedziałabym teraz w wiosce wraz z matką i pracowała w jakimś zapyziałym ośrodku kultury«.

Jakby za obopólną, milczącą zgodą zeszliśmy na parter i wyszliśmy na ulicę.

»Na razie nie mamy nic do roboty - odezwałem się z zadumą. - Musimy czekać do jutra, kiedy dowiemy się, co zwojował Turgut i twoja ciotka. Nie wiem, jak zniosę to oczekiwanie. Co robimy tymczasem?«

Helen zatrzymała się w złocistym świetle zmierzchu i dłuższą chwilę się zastanawiała. Na dłoniach znów miała rękawiczki, a na głowie kapełusz, spod którego wymykało się kilka kosmyków jej czarnych włosów. W ostatnich przeblaskach słońca nabrały miedzianej barwy.

»Chciałabym jeszcze pozwiedzać miasto - powiedziała zdecydowanym tonem. - Zwłaszcza że zapewne nigdy do niego ponownie nie przyjadę. Czy możemy jeszcze raz udać się do Hagia Sophii? Pospacerujemy tam sobie przed kolacją«.

»Doskonały pomysł«.

W drodze na miejsce nie zamieniliśmy ze sobą ani jednego słowa, lecz gdy znaleźliśmy się ponownie w pobliżu wielkiej budowli, której kopuły i minarety rzucały na ulicę gęsty cień, odniosłem dziwaczne wrażenie, że nasze milczenie stało się jeszcze głębsze. Zastanawiałem się przez chwilę, czy Helen czuła to samo i czy był to wynik czaru, jaki na naszą znikomość rzucała olbrzymia świątynia. Rozważałem to, co powiedział nam poprzedniego dnia Turgut: że jest święcie przekonany, iż Dracula w jakiś sposób rzucił na to wielkie miasto klątwę wampiryzmu.

»Helen - przerwałem niezbyt taktownie milczenie. - Czy twoim zda-

niem mógł zostać pochowany tutaj, w Stambule? To tłumaczyłoby strach, jaki po swojej śmierci wzbudzał w sułtanie Mehmedzie.

»On? Naturalnie. - Skinęła głową, doceniając to, że nie wymówił lego imienia na ulicy. - To ciekawy pomysł, ale czy Mehmed nie wiedziałby o tym albo czy Turgut nie znalazłby jakichś na to dowodów? Nie sądzę, by przez tyle stuleci udało się ukryć taką rzecz.

»Trudno też uwierzyć, by Mehmed pozwolił pochować swego najzacieklejszego wroga w Stambule.

Dotarliśmy do ogromnej bramy wiodącej do Hagia Sophii. Otaczał nas tłum turystów i pielgrzymów tłoczących się u wejścia do świątyni.

»Helen« - odezwał się z wahaniem.

Przysunąłem się do niej tak blisko, że mogłem mówić cicho, prawie w samo jej ucho.

»Tak?«

»Jeśli istnieje możliwość, że grób znajduje się tutaj, mogłoby to oznaczać, że Rossi również tu przebywa.

Odwróciła się i spojrzała mi w twarz. W kąciakach jej błyszczących oczu widać było delikatne kurze łapki. Zmarszczyła w niepokoju czarne brwi.

»Oczywiście, Paul, masz rację.

»Wyczytałem w przewodniku, że w Stambule znajdują się podziemne ruiny - katakumby, zbiorniki na wodę - podobnie jak w Rzymie. Do wyjazdu pozostał nam jeszcze co najmniej jeden dzień... porozmawiajmy o tym z Turgutem.

»Nie jest to głupi pomysł - zgodziła się cicho Helen. - Pałac bizantyjskich cesarzy musiał mieć bardzo rozległe podziemia. - Prawie się rozśmiała, ale natychmiast dotknęła dłonią apaszki na szyi, jakby coś ją tam zabolalo. - W każdym razie, jeśli cokolwiek zostało z pałacu, musi być pełne złych duchów. Władcy, którzy oślepiali swych krewnych... tego typu rzeczy. Rzeczywiście, doborowa kompania.

Tak blisko siebie trzymaliśmy nasze twarze, wyczytując wzajemnie z nich myśli i kontemplując dziwną awanturę, w jaką się wdaliśmy, że zignorowałem w pierwszej chwili postać, która, stojąc nieopodal nas, spoglądała na mnie twardo. Poza tym był to drobny, niegroźny i niczym niewyróżniający się z tłumu człowieczek. Zatrzymał się pod murem świątyni w odległości siedmiu, ośmiu metrów od nas.

W jednej przerażającej chwili rozpoznałem w nim malutkiego na-

ukowca o potarganej, siwej brodzie, w zrobionej na szydełku białej mycce i spłowiałej koszuli, który pojawił się tego ranka w archiwum. Następne spojrzenie w jego stronę sprawiło, że doznałem jeszcze większego szoku. Mężczyzna popełnił wielki błąd, wpatrując się we mnie tak intensywnie, iż w końcu zwrócił moją uwagę. I wtedy zniknął jak duch, wtapiając się w tłum rozbawionych turystów. Z impetem ruszyłem w jego stronę, o mało nie przewracając Helen, ale starzec znikł bez śladu. Zrozumiał, że i ja dostrzegłem jego. Twarz mężczyzny bez wątpienia była tą, którą widziałem na swoim uniwersytecie. Ostatni raz spoglądałem na nią, kiedy nakrywano ją prześcieradłem. Była to twarz martwego bibliotekarza".

34

Zachowałam kilkanaście fotografii mego ojca z okresu bezpośrednio poprzedzającego jego wyjazd ze Stanów Zjednoczonych w poszukiwaniu Rossiego, choć gdy zdjęcia te zobaczyłam po raz pierwszy, nie miałam najmniejszego pojęcia, co zapowiadają. Jedno z nich, które kilka lat temu oprawiłam w ramkę i powiesiłam nad biurkiem, jest czarno-białe, aczkolwiek pochodzi już z czasów, kiedy pojawiała się fotografia barwna. Przedstawia mego ojca, jakiego wcześniej nie znałam. Spogląda prosto w obiektyw, brodę ma lekko zadartą, jakby odpowiadał na jakieś pytanie zadane przez fotografa. Nigdy nie dowiedziałam się, kim był człowiek robiący to zdjęcie. Zapomniałam spytać o to ojca. Nie mogła go zrobić Helen. Zapewne fotografował go któryś z zaprzyjaźnionych z nim doktorantów. W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim - datę tę zapisał na odwrotnej stronie zdjęcia - doktorantem był od roku i zaczynał właśnie pisać pracę o holenderskich kupcach.

Na zdjęciu ojciec, sądząc po neogotyckiej robocie kamieniarskiej w tle, upozowany jest na tle budynku uniwersyteckiego. Jedną stopę opiera beztrąsko o ławkę, łokieć wspiera na nodze, dłoń wisi mu wdzięcznie przy kolanie. Ubrany jest w białą lub w jasnych barwach koszulę, krawat w poziome paski, lekko pomięte, ciemne spodnie i lśniące półbuty. Sylwetkę ma taką samą, jaką zapamiętałam z późniejszych lat - średniego wzrostu, średniej budowy ciała. Cechowała go schludność, choć nie prze-

sądna, której nie zatracił nawet wtedy, gdy był już w średnim wieku. Na fotografii głęboko osadzone oczy są szare, choć w rzeczywistości miał prawie granatowe źrenice. Z zapadniętymi oczyma i krzaczastymi brwiami, wydatnymi policzkami, cienkim nosem i rozwartymi w szerokim uśmiechu ustami przypominał trochę małpę, ale małpę piekielnie inteligentną. Gdyby fotografia była barwna, jego gładkie włosy lśniłyby w blasku słońca kasztanowym blaskiem. Wiedziałam o tym, bo sam mi to kiedyś powiedział. Ja jednak zawsze pamiętałam go z siwizną.

„Tamtej pamiętnej nocy w Stambule nie zmrzyłem oka. Po pierwsze, zgroza, jaka ogarnęła mnie na widok żywej twarzy martwego człowieka i próby objęcia rozumem tego, co widziałem, całkowicie odbierały mi sen. Po drugie dręczyła mnie koszmarna myśl, że nieżywy bibliotekarz odnalazł mnie w tłumie, po czym zniknął. Oznaczało to, iż w każdej chwili mogłem stracić papiery, które miałem w teczce. Wiedział, że u nas znajduje się kopia mapy. Czy zjawił się w Stambule, podążając naszym tropem, czy też w jakiś sposób odkrył, iż tu właśnie znajduje się oryginał mapy? A może nie udało mu się osobiście odszyfrować tajemnicy i poszukiwał jakichś innych źródeł informacji, o których ja nic nie wiedziałem? Dokumenty z archiwum sułtana Mehmeda oglądał przynajmniej raz. Czy widział oryginały i je skopiował? Nie znałem odpowiedzi na te pytania, a już z całą pewnością nie mogłem pozwolić sobie na sen, wiedząc, z jaką zajadłością stworzenie to poluje na naszą kopię, mając żywo w pamięci chwilę, kiedy skoczył między bibliotecznymi regałami na Helen, pragnąc zadławić ją na śmierć. A już myśl, że gryząc ją w szyję, nabrał na Helen wyjątkowego apetytu, doprowadzała mnie wprost do szaleństwa.

Jakby jeszcze tego było mało, wciąż widziałem przez otwarte drzwi Iwarz śpiącej w sąsiednim pokoju Helen. Chciałem, by położyła się w moim łóżku, a ja spędziłbym noc w podniszczonym fotelu. Ilekroć zaczynałby morzyć mnie sen, widok jej twarzy działałby na mnie jak przysłowiowy kubeł zimnej wody. Helen wolała jednak zostać w swoim - co powiedziałaby konsjerżka, widząc nas w jednym pokoju? - ale w końcu uległa moim naleganiom i, choć mocno poirytowana, zgodziła się na otwarte drzwi łączące nasze sypialnie. Naoglądałem się zbyt wiele filmów i przeczytałem za dużo powieści, by wątpić, że kobieta, zostawiona sama na kilka godzin nocnych, może łatwo stać się kolejną ofiarą diabła. Helen

była śmiertelnie zmęczona, pod oczyma miała pogłębiające się z każdym dniem cienie i wyczuwałem, iż coraz bardziej się boi. Ów emanujący od niej lęk trwożył mnie bardziej niż szlochy i płacze jakiegokolwiek innej kobiety. A zapewne też jakaś ociężałość i miękkość jej zazwyczaj dumnie wzniesionych ramion oraz wyraźny brak cechującej ją dotąd stanowczości sprawiały, że przez całą noc miałem szeroko otwarte oczy.

Nie potrafiłem się zmusić ani do lektury, ani do pisania. Z całą pewnością nie chciałem otwierać teczek, którą na wszelki wypadek ukryłem pod łóżkiem Helen. Godziny niemiłosiernie się wlokły, ale ja nie słyszałem żadnych podejrzanych szmerów czy hałasów dobiegających z korytarza - ani przez dziurkę od klucza, ani ze szpary pod drzwiami nie przesączał się żaden opar, żadne skrzydła nie biły w okno. W końcu pokój wypełniła szara poświata i Helen westchnęła cicho przez sen, jakby wyczuwając budzący się dzień. Kiedy przez żaluzje przedarł się pierwszy promień słońca, niespokojnie poruszyła się w pościeli. Nałożyłem marynarkę, cichutko wyciągnąłem spod jej łóżka teczkę i dyskretnie wycofałem się do swego pokoju, a następnie zszedłem na parter.

Choć nie wybiła jeszcze szósta rano, dotarła do mnie woń parzonej mocnej kawy i ku swemu zdumieniu ujrzałem Turguta siedzącego na jednym z obitych wyszywaną tkaniną krzesel. Na kolanach trzymał czarne portfolio. Wyglądał zdumiewająco świeżo, był bardzo ożywiony. Na mój widok zerwał się z krzesła i serdecznie uściśnął mi dłoń.

»Dzień dobry, przyjacielu. Dzięki bogom, że już się pojawiłeś«.

»Ja również im dziękuję za to, że pan tu jest - odparłem, siadając na krześle obok niego. - Ale co sprowadza pana o tak wczesnej porze?«

»Mam dla was ważne wiadomości, więc nie mogłem usiedzieć w domu«.

»Ja też mam wiadomości - powiedziałem posepnie. - Ale pan pierwszy, profesorze Bora«.

»Po prostu Turgut - poprawił mnie odruchowo. - Proszę popatrzeć. - Zaczął rozwiązywać portfolio. - Jak obiecałem, przejrzałem wieczorem wszystkie swoje papiery. Zrobiłem kopie w wielu bibliotekach i archiwach, jak też skrupulatnie rejestrowałem wszelkie wzmianki, relacje i sprawozdania o wydarzeniach w Stambule, jakie zaszły w czasach Władcy i bezpośrednio po jego śmierci.

Niektóre z tych dokumentów wzmiankują o tajemniczych zdarzeniach w mieście, o przypadkach niewyjaśnionych śmierci, o krążących plot-

kach dotyczących wampiryzmu. Zgromadziłem też wszelkie informacje, jakie znalazłem w książkach, odnoszące się do Zakonu Smoka na Wołoszczyźnie. Ale nie udało mi się znaleźć niczego, o czym już bym nie wiedział. Zadzwoniłem więc do mego bliskiego znajomego, Selima Aksoya. Nie wykłada na uniwersytetach, jest kupcem i sklepikarzem, ale to niebywale wykształcona osoba. O książkach wie więcej niż ktokolwiek inny w Stambule, zwłaszcza o tych, które mówią o historii i legendach naszego miasta. Jest niezwykle uprzejmym i uczynnym człowiekiem. Poświęcił całą noc, wertując ze mną swoje zbiory. Poprosiłem go, by wyszukał wszelkie wzmianki o pogrzebaniu w Stambule pod koniec piętnastego wieku jakiegokolwiek Wołocha. Zapytałem, czy istnieje jakiś ślad grobowca kogoś powiązanego z Wołoszczyzną, Transylwanią* lub Zakonem Smoka. Pokazałem mu też - nie po raz pierwszy - kopie map oraz moją książkę z wizerunkiem smoka. Powiedziałem również o twojej teorii, iż wizerunki potwora stanowią dokładną, topograficzną wskazówkę, gdzie znajduje się grób Palownika.

Wspólnie przekartkowaliśmy setki stron dotyczących historii Stambułu, obejrzeliliśmy wiele starodawnych rycin, przestudiowaliśmy liczne notatniki z kopiami różnorodnych rzeczy, jakie wynalazł w bibliotekach

i muzeach. O tak, Selim Aksoy to człowiek niezwykle sumienny, pracowity i dokładny. Nie ma żony, nie ma rodziny, nie ma żadnych innych zainteresowań. Bez reszty pochłania go historia Stambułu. Pracowaliśmy długo w nocy, gdyż jego biblioteka jest tak rozległa, że nawet on sam do końca nie wie, co posiada, i trudno mu było powiedzieć, co w niej znajdziemy. W końcu natrafiliśmy na osobliwą rzecz - list umieszczony w reprimendzie księgi zawierającej korespondencję między ministrami dworu sułtańskiego a wysuniętymi placówkami wojskowymi imperium w piętnastym i szesnastym wieku. Selim Aksoy powiedział mi, że nabył tę księgę od antykwariusza w Ankarze. Reprint pochodził z dziewiętnastego wieku i zawierał również prace jednego ze stambulskich historyków, który żywo się interesował wszystkimi przekazami pochodzącymi z tamtego okresu. Dodał przy tym, iż nie zetknął się z inną kopią tej książki.

Cierpliwie słuchałem jego relacji, wiedząc, jak bardzo ważne jest dla nas historyczne tło, a jednocześnie podziwiając skrupulatność Turguta. Zaiste, jak na literaturoznawcę, był znakomitym historykiem.

* Siedmiogród.

»Tak, Selim nigdy nie zetknął się z innym egzemplarzem tej książki, ale jest najgłębiej przekonany, że prezentowane w niej dokumenty nie są... jak to powiedzieć?... fałszerstwem, gdyż oryginał jednego z tych listów spotkał w innej kolekcji znajdującej się w archiwum, gdzie złożyliśmy wczoraj wizytę. Również darzy wielką estymą to archiwum i często go tam spotykam. - Uśmiechnął się. - Cóż, na list ten natknęliśmy się w chwili, kiedy po całonocnej pracy dosłownie zamykały się nam oczy,

a za oknem już świtało. Może on wniesie coś nowego do waszych badań. Kolekcjoner, który umieścił go w swym reprimendzie, był głęboko przekonany, iż korespondencja ta pochodzi z końca piętnastego wieku. Przetłumaczyłem dla was ten list«.

Turgut wyjął z portfolio kartkę wyrwaną z notatnika.

»Niestety, wcześniejszego listu, do którego nawiązuje ten w książce, nie zamieszczono. Podejrzewam, że już nie istnieje. W przeciwnym razie mój przyjaciel Selim dawno by wpadł na jego ślad. - Chrząknął i zaczął czytać: *Do Najczcigodniejszego Rumeli Kadiaskera...* - Urwał i po chwili wyjaśnił: - Był przewodniczącym sądu wojskowego na Bałkanach. - *Czcigodny, przeprowadziłem dalsze śledztwo, którego się domagałem. Niektórzy z mnichów za sumę, na jaką się umówiliśmy, chętnie z nami współpracowali i pozwolili mi osobiście zbadać grobowiec. Ich wcześniejsze informacje okazały się w pełni prawdziwe. Nie potrafili niczego wyjaśnić. Powtarzali jedynie na okrągło, jak bardzo są przerażeni. Sugeruję, by Stambuł wszczął nowe śledztwo w tej sprawie. Zostawiłem w Snagov dwóch gwardzistów, którzy będą mieć bacne oko na wszelkie podejrzane działania. A co najdziwniejsze, nie ma żadnych doniesień o tym, by dotarła tu plaga. Pozostaję Twym pokornym sługą w imię Allaha«.*

»A podpis?« - zapytałem. Mimo nieprzespanej nocy serce waliło mi jak młotem. Całkowicie opuściła mnie senność.

»List jest bez podpisu. Selim podejrzewa, że go oddarto, czy to przez przypadek, czy też celowo, by zachować anonimowość piszącego«.

»Albo też ze względów bezpieczeństwa nigdy nie został podpisany - zasugerowałem. - Więcej listów na ten temat w książce nie było?«

»Nie. Ani wcześniejszych, ani późniejszych. To tylko fragment, ale Rumeli Kadiasker był osobą wysoko postawioną, więc sprawa musiała być najwyższej wagi. Długo jeszcze grzebaliśmy z moim przyjacielem w innych księgach i dokumentach, ale nie znaleźliśmy żadnych odnośni-

ków do tego zdarzenia. Selim oświadczył mi, że o ile go pamięć nie myli, słowa *Snagov* nie spotkał w żadnych dokumentach i książkach dotyczących historii Stambułu. Listy te czytał raz, przed kilkoma laty, ale sprawą zainteresował się dopiero teraz, gdy przeglądając papiery, wspomniałem mu o możliwości, iż Dracula został przez swych uczniów pochowany w naszym mieście. Może więc tak naprawdę z nazwą tą zetknął się wcześniej, ale zupełnie o tym zapomniał».

»Mój Boże!« - westchnąłem, myśląc niezbyt pochlebnie o panu Aksoyu, który spotkał się już z tym słowem gdzie indziej, ale zlekceważył je, uważając wszelkie związki Stambułu z odległą Rumunią za zbyt fantastyczne.

»No tak. - Turgut uśmiechnął się promiennie, jakbyśmy rozmawiali o tym, co zjemy na śniadanie. - Inspektorów do spraw bałkańskich bardzo niepokoiło coś, co działo się tutaj, w Stambule. Niepokoiło na tyle, że wysłano kogoś do grobowca Draculi w Snagov«.

»Ale, do licha, co tam znalezione? - Uderzyłem pięścią w poręcz krzesła. - Co dokładnie powiedzieli mnisi? Co ich tak przerażało?«

»Dokładnie to samo i mnie nie daje spokoju - zapewnił Turgut. - Skoro Vlad Dracula spokojnie spoczywał tam w ziemi, dlaczego w odległym o setki kilometrów Stambule tak bardzo się go bano? I jeśli grobowiec księcia rzeczywiście zawsze znajdował się i znajduje w Snagov, dlaczego mapy nie mają nic wspólnego z tym regionem?«

Mogłem tylko doceniać precyzję jego pytań.

»Jest coś jeszcze - powiedziałem. - Czy twoim zdaniem Dracula mógł zostać pochowany tutaj, w Stambule? Wyjaśniałoby to strach, jaki ogarnął Mehmeda po śmierci Vlady, a jednocześnie zjawisko wampiryzmu występujące od tego czasu w tym mieście«.

Turgut klasnął w dłonie i przyłożył sobie palec do brody.

»To ważne pytanie. Ale sami nie znajdziemy na nie odpowiedzi. Myślę, że może nam w tym pomóc Selim«.

Dłuższą chwilę spoglądaliśmy na siebie w milczeniu jak dwaj nowo poznani ludzie, a już przyjaciele, których połączyło wspólne rozwiązanie starodawnej zagadki. W mrocznym holu *pension* unosił się rozkoszny zapach parzonej kawy. Turgut dzwignął się z krzesła.

»Czeka nas jeszcze bardzo dużo pracy. Selim obiecał, że jak tylko będziecie gotowi, ponownie zabierze nas do archiwum. Zna pewne źródła dotyczące piętnastowiecznego Stambułu, którymi ja się nie zajmowałem,

ponieważ tematycznie odbiegały daleko od mego prywatnego zainteresowania się Draculą. Teraz zbadamy je wspólnie. Niewątpliwie pan Erozan będzie niezmiernie rad, kiedy poprosimy go, by dostarczył nam te dokumenty jeszcze przed otwarciem biblioteki. Zaraz do niego zadzwonię. Mieszka w sąsiedztwie archiwum i otworzy je nam, zanim Selim będzie musiał udać się do pracy. Ale gdzie jest panna Rossi? Czyżby jeszcze nie wstała?»

Jego słowa wywołały w mojej głowie kompletny zamęt i nie wiedziałem, o czym powiedzieć najpierw. Wzmianka Turguta o Erozanie natychmiast przypomniała mi innego, wrogiego nam bibliotekarza, o którym w podnieceniu, jakie ogarnęło mnie na wieść o istnieniu listu, prawie zupełnie zapomniałem. Stałem przed ryzykownym zadaniem. Bardzo łatwo mogłem podważyć zaufanie, jakim Turgut nas darzył, opowiadając mu o wizycie martwego człowieka. Z drugiej strony, skoro wierzył w istnienie historycznych wampirów, dlaczego miałby nie uwierzyć we współczesne? Z kolei jego pytanie o Helen przypomniało mi, że zostawiłem ją samą na niewybaczalnie długi czas. Ale chciałem jej dać trochę prywatności, kiedy się obudzi. Poza tym byłem przekonany, że jak tylko się oporządzi, niezwłocznie zejdzie do mnie na parter. Co tak długo robiła w pokoju?

A tymczasem Turgutowi nie zamykały się usta:

»...tak więc Selim, który prawie w ogóle nie sypia, pozostał w domu, by wypić poranną kawę. Nie chciał was zaskakiwać nieoczekiwaną wizytą... Ale oto i on!«

Rozległ się dzwonek przy drzwiach wejściowych do *pension* i w progu pojawił się szczupły chłopak. Spodziewałem się, że ujrzę dostojną postać starszego mężczyzny w eleganckim garniturze. Selim Aksoy okazał się jednak młodym człowiekiem w podniszczonych, ciemnych spodniach i białej koszuli. Podszedł do nas z ożywieniem, lecz pod maską uśmiechu był czujny i poważny. Dopiero kiedy uściśniłem jego kościstą dłoń, uświadomiłem sobie, że gdzieś już widziałem te zielone oczy i długi, cienki nos. Rozpoznanie przybysza zajęło mi dłuższą chwilę. I nagle przypomniałem sobie szczupłą rękę podającą mi tomik Szekspira. Był to ów księgarz z niewielkiego sklepiku na bazarze".

»Ależ my już się znamy!« - wykrzyknąłem.

Młody mężczyzna powiedział coś podobnego, tyle że w języku stanowiącym mieszaninę tureckiego i angielskiego. Turgut wodził po nas

osłupiałym wzrokiem, aż w końcu musiałem mu wszystko wyjaśnić. Potrząsnął tylko głową i wybuchnął śmiechem.

»Co za zbieg okoliczności« - stwierdził krótko.

»Czy jesteście już gotowi?« - zapytał Aksoy, ignorując gest Turguta, który wskazał mu krzesło.

»Jeszcze chwilę - odparłem. - Jeśli pan pozwoli, pójdę sprawdzić, co porabia panna Rossi, i dowiem się, kiedy do nas dołączy«.

Turgut troszeczkę zbyt ochoczo skinął głową.

Pobiegnę po schodach na piętro; dosłownie pobiegłem, gdyż pokonywałem po trzy stopnie naraz. Na samej górze wpadłem na Helen, która złapała się poręczy, by nie spaść ze schodów.

»Co ty, na Boga, wyprawiasz?!« - zawołała, przytulając się do mnie na chwilę. Staralem się nie zwracać uwagi na jej piersi skryte pod czarną sukienką przylegającą do mego torsu i dłoń zaciśniętą na moim ramieniu.

»Szukam ciebie - odparłem. - Mocno się uderzyłaś? Wybacz, ale trochę się o ciebie niepokoiłem. Na tak długo zostawiłem cię samą«.

»Nic mi nie jest - odparła łagodniej. - Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Czy widziałeś się z profesorem Borą?«

»On już tu czeka - wyjaśniłem. - Przeprowadził swego znajomego«.

Helen natychmiast poznała młodego księgarza i wdała się z nim w rozmowę, podczas gdy Turgut wydzwaniał do Erozana. Bardzo głośno wydzieriał się do słuchawki.

»Nad tamtą częścią miasta przeszła ulewa - wyjaśnił. - Podczas takich nawałnic często psują się telefony. Mój przyjaciel będzie czekać na nas w archiwum. Po jego głosie wyczułem, że czuje się nie najlepiej. To zapewne przeziębienie, ale obiecał, że przyjdzie. Po drodze kupię pani kilka rogalików z sezamem, madame« - dodał, całując, ku memu niezadowoleni, z galanterią dłoń Helen, i pośpiesznie opuściliśmy dom.

Miałem nadzieję, że po drodze uda mi się dyskretnie opowiedzieć Turgutowi o pojawieniu się złowieszczonego bibliotekarza. Nie chciałem robić tego w obecności księgarza, którego prawie nie znałem, zwłaszcza że profesor wyraźnie dał mi do zrozumienia, iż człowiek ten bardziej niż niechętnie odnosi się do wszelkich polowań na wampiry. Zanim jednak dotarliśmy do pierwszej przecznicy, Turgut wdał się w ożywioną rozmowę. Z niechęcią patrzyłem, jak Helen obdarza Turka tak rzadkim u niej miłym uśmiechem, i czułem złość, że nie mam okazji do przekazania mu tak istotnej informacji. Aksoy szedł obok, od czasu do czasu obrzucał

mnie spojrzeniem, ale milczał pogrążony w jakichś swoich myślach. Ja ze swej strony nie chciałem mu narzucać się z banalnymi uwagami o urodzie mijanych ulic.

Drzwi wejściowe do archiwum były otwarte. Turgut z pełnym zadowolenia uśmiechem stwierdził, że jego przyjaciel jak zwykle jest akuratywny, i ruszył w stronę wejścia, z galanterią przepuszczając Helen przodem. Niewielki hol, wyłożony przepiękną mozaiką, był opustoszały. Na biurku leżała otwarta księga rejestracyjna oczekująca pierwszych czytelników. Turgut otworzył przed Helen drzwi i kobieta pierwsza weszła do pogrążonej w ciszy i półmroku czytelnicy. Usłyszałem, jak gwałtownie wciąga powietrze w płuca, i zobaczyłem, że zatrzymuje się tak raptownie, iż postępujący za nią Turgut wpadł jej na plecy. Mimo że nie wiedziałem jeszcze, co się święci, włosy zjeżyły mi się na głowie. Brutalnie odepchnąłem profesora i stanąłem przy Helen.

Pośrodku sali tkwił bez ruchu bibliotekarz i z jakimś niezdrowym ożywieniem obserwował nasze nadejście. Ale nie była to przyjazna postać, którą spodziewaliśmy się ujrzeć. Nie przyniesiono też skrzynki z dokumentami, które zamierzaliśmy ponownie przejrzeć, ani też sterty zakurzonych rękopisów dotyczących historii Sambułu. Twarz bibliotekarza była śmiertelnie blada, jakby odpłynęło z niej całe życie... dokładnie tak: jakby odpłynęło z niej życie. Nie był to bibliotekarz Turguta, ale nasz - czujny, o lśniących oczach i nienaturalnie czerwonych ustach. Zerkał na nas łapczywie płonącym, pełnym głodu wzrokiem. Poczulem na sobie jego palące spojrzenie. Natychmiast zaczęła pulsować mi boleśnie ręka, którą z taką mocą uderzył o metalowe regały. Najwyraźniej konał z głodu. Gdybym nawet zachował tyle spokoju, by domyślać się natury tego głodu, nie miałbym czasu na sformułowanie tej myśli. Zanim zdążyłem wskoczyć między Helen a tę odrażającą postać, kobieta wyszarpnęła z kieszeni zakietu pistolet i strzeliła".

35

„Później widywałem Helen w wielu sytuacjach, nawet takich, kiedy ważyło się nasze życie, ale nigdy nie przestawała mnie zadziwiać. Niejednokrotnie zdumiewała mnie fantastyczną umiejętnością błyskawiczne-

go kojarzenia pozornie niepowiązanych ze sobą faktów, co zazwyczaj owocowało wnikliwym osądem sprawy, która nas akurat interesowała. Mnie zajęłoby to o wiele więcej czasu. A już wprost porażał mnie ogrom jej wiedzy. Helen była pełna takich niespodzianek. W końcu zacząłem to traktować jako rzecz codzienną, miłe uzależnienie się od jej zdolności, które zdejmowały z moich barków wiele obowiązków. Ale nigdy nie zaskoczyła mnie bardziej niż wtedy, w Stambule, kiedy strzeliła do bibliotekarza.

Nie miałem czasu na dłuższe medytacje, gdyż upiorna postać zatonęła się i cisnęła w nas książką, która przeleciała tuż obok mego lewego ucha, wyrznęła w stolik i upadła na podłogę. Helen dała krok do przodu, wycelowała z niezawodnością, na której widok wprost odebrało mi dech, i ponownie strzeliła. Uderzyła mnie cudaczna reakcja stworzenia. Nigdy wcześniej nie widziałem na własne oczy zabijanego człowieka. W wieku jedenastu lat oglądałem tysiące Indian ginących w karabinowym ogniu, później gangsterów, rabusiów bankowych, bandziorów i oczywiście hitlerowców, strzelających radośnie na hollywoodzkich planach filmowych. Osobliwą rzeczą tej strzelaniny, tej prawdziwej, było to, że choć na ubraniu bibliotekarza, tuż pod mostkiem, wykwitła czerwona plama, człowiek nie chwycił się konwulsyjnie rozcapierzoną dłonią za ranę. Druga kula trafiła go w ramię, ale on już uciekał. Zniknął między regałami na tyłach sali.

»Drzwi! - wrzasnął Turgut. - Tam są drugie drzwi!«

Pobiegliśmy za nim, wywracając krzesła i objając się o stoliki. Selim Aksoy, lekki i gibki niczym antylopa, pierwszy dotarł do regałów i zniknął za nimi. Do naszych uszu dotarł odgłos gwałtownej szamotaniny, a następnie donośny trzask zamykanych drzwi. Ujrzeliśmy Selima, jak niezdarnie dźwiga się ze stosu delikatnych, osmańskich rękopisów. Miał zakrwawioną twarz. Turgut podbiegł do drzwi i próbował je otworzyć, ale były zatrzaśnięte naглуcho. Dołączyłem do niego i wspólnymi siłami udało się nam je otworzyć. Wybiegliśmy na opustoszałą aleję zastawioną drewnianymi skrzynkami. Sprawdziliśmy labirynt okolicznych uliczek i przejść, ale nigdzie nie dostrzeżliśmy zbiega. Wypytywani przez Turguta nieliczni przechodnie również nikogo nie widzieli.

Niechętnie wróciliśmy do archiwum tylnymi drzwiami. Helen wycierała chusteczką policzek Aksoya. Nigdzie nie dostrzegłem pistoletu, a rękopisy znów spoczywały schludnie na półkach. Helen popatrzyła na nas

i powiedziała cicho:

»Stracił na chwilę przytomność. Ale teraz już wrócił do siebie«.

»Drogi Selimie, ale cię wyróżnął« - stwierdził Turgut, kłękając obok przyjaciela.

»Ale jestem już pod dobrą opieką« - odparł słabym głosem ranny.

»Widzę - zgodził się Turgut. - Madame, gratuluję zimnej krwi. Ale trupa nie jest łatwo zabić«.

»A skąd pan wiedział, że to trup?« - zapytała zdziwiona.

»0, dobrze wiem - odparł ponurym tonem. - Widziałem twarz tego stwora. Było to oblicze nieumarłego. Oblicze jedyne w swoim rodzaju. Widziałem już kiedyś takie«.

»Strzelałam srebrną kulą - wyjaśniła Helen. Oparła delikatnie ^x głowę Aksoya na swoim ramieniu i mocniej przycisnęła chusteczkę do jego policzka. - Ale sam pan widział, poruszył się i pocisk minął serce. Wiem, bardzo ryzykowałam... - przez chwilę intensywnie spoglądała na mnie, ale nie potrafiłem odczytać jej myśli - ale sam pan najlepiej wie, że moje kalkulacje były słuszne. Śmiertelnik nie podniósłby się już po takich kulach«.

Ciężko westchnęła i poprawiła okład na twarzy młodego księgarza.

Kompletnie oszołomiony spoglądałem po zgromadzonym w bibliotece towarzystwie.

»Czy przez cały czas nosiłaś ze sobą broń?« - zapytałem ją w końcu.

»Oczywiście. - Przełożyła głowę Aksoya przez ramię i popatrzyła w moją stronę. - Proszę, pomóż mi go podnieść. - Wspólnie postawiliśmy księgarza na nogi (był lekki jak dziecko). Uśmiechnął się, skinął głową i wyswobodził się z naszych objęć. - Tak, zawsze mam przy sobie broń, zwłaszcza kiedy czuję... niepokój. A zdobycie jednej czy dwóch srebrnych kul to żaden problem«.

»To prawda« - przyznał Turgut, lekko kiwając głową.

»Ale gdzie nauczyłaś się tak strzelać ?« - Wciąż byłem pod wrażeniem chwili, kiedy błyskawicznie wyciągała z kieszeni broń.

»W moim kraju edukacja młodzieży jest zarówno głęboka, jak i wąska - odparła ze śmiechem. - Gdy miałam *szesnaście* lat, w naszej młodzieżowej brygadzie zbierałam wszystkie nagrody za strzelanie. Cieszę się, że nie zapomniałam tej umiejętności«.

Nagle Turgut wydał głośny okrzyk i uderzył się dłonią w czoło. Popatrzyliśmy na niego jak na wariata.

»Mój przyjaciel! Mój przyjaciel... Erozan! Zupełnie o nim zapomnieliśmy!«

Po chwili dopiero dotarło do nas, o czym mówi. Selim Aksoy, który już całkowicie wrócił do siebie, pierwszy ruszył między regały, gdzie zaatakował go tamten potwór. Reszta z nas zaczęła systematycznie przeszukiwać wielkie pomieszczenia, zaglądając pod każdy stół i odsuwając krzesła. Po kilku minutach poszukiwania zakończyły się powodzeniem. Usłyszeliśmy głośny okrzyk Selima i gromadnie ruszyliśmy w jego stronę. Klęczał przy jednym z wysokich regałów zastawionych różnego rodzaju skrzynkami i pudełkami, torbami i zwojami starodawnych rękopisów. Skrzynka zawierająca dokumenty dotyczące Zakonu Smoka leżała na posadzce, jej zdobione wieko było otwarte, a zawartość poniewierała się po podłodze.

Pośród tych piśmienniczych zabytków leżał na plecach pan Erozan, blady i sztywny, głowę miał przekreconą na bok. Turgut uklęknął i przyłożył ucho do jego piersi.

»Dzięki Bogu, oddycha« - stwierdził po chwili z ulgą.

Zaczął go dokładnie oglądać i po chwili wskazał Selimowi szyję nieprzytomnego bibliotekarza. W obwisłej, bladej skórze, tuż nad kołnierzykiem koszuli, widniała okropna, poszarpana rana. Helen uklęknęła obok profesora. Zapadła grobowa cisza. Mimo opisu urzędnika, z którym przed laty miał do czynienia Rossi, mimo rany, jaką odniosła Helen w bibliotece naszego uniwersytetu w Stanach Zjednoczonych, widok ten nie mieścił mi się w głowie. Twarz Erozana była niesamowicie blada, prawie sina. Oddech miał płytki, ledwie słyszalny.

»Jest zakażony - odezwała się cicho Helen. - Sądzę, że stracił dużo krwi«.

»Przeklęty dzień« - sapnął Turgut, ściskając w dużych dłoniach rękę przyjaciela.

»Zastanówmy się - odezwała się Helen, która szybko otrząsnęła się z szoku. - Zapewne został zaatakowany po raz pierwszy. - Popatrzyła na Turguta. - Wczoraj nie dostrzegł pan w nim żadnych oznak przemiany?«

»Był normalny« - odparł profesor, potrząsając głową.

»Zatem wszystko w porządku«.

Sięgnęła do kieszeni żakietu. Odruchowo cofnąłem się, sądząc, że znów wyciągnie pistolet. Ale ona wyjęła tylko dwie główki czosnku i położyła je na piersi bibliotekarza. Mimo grozy całej sceny Turgut lekko się uśmiechnął, wyjął z kieszeni własny czosnek i położył go obok główek Helen. Nie miałem pojęcia, skąd go miała. Zapewne

kupiła podczas naszej włóczęgi po *souk*, wykorzystując chwilę mojej nieuwagi.

»Myśli wybitnych ludzi zawsze biegną podobnym torem« - stwierdziła Helen.

Wyjęła papierowy pakiecik i rozwinęła go. W środku znajdował się mały, srebrny krzyżyk. Jeden z kupionych przez nas w katolickim kościele obok uniwersytetu, ten sam, którym zastraszyła odrażającego bibliotekarza, kiedy ten zaatakował ją między regałami w dziale historycznym.

Tym razem jednak Turgut powstrzymał ją, kładąc delikatnie dłoń na jej ramieniu.

»Nie, nie - powiedział. - Mamy tu własne przesady«.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął różaniec zrobiony z drewnianych paciorków, taki jaki widywaliśmy w dłoniach mężczyzn na ulicach Stambułu. Na końcu różańca wisiał medalion z arabskim napisem. Turgut dotknął lekko medalionem ust Erozana. Twarz bibliotekarza wykrzywił mimowolny grymas odrazy. Był to paskudny widok. Po chwili jednak oblicze wygładziło się, po czym mężczyzna otworzył oczy i zmarszczył brwi. Turgut pochylił się nad nim i zaczął coś cicho mówić po turecku, następnie dotknął jego czoła, a na końcu wyjął z kieszeni płaską buteleczkę i pozwolił rannemu upić z niej łyk.

Niebawem Erozan usiadł, rozejrzał się wokół siebie i dotknął szyi, jakby go zabolęła. Kiedy wymacał palcami niewielką ranę, z której wciąż sączyła się krew, ukrył w dłoniach twarz i wybuchnął rozpaczliwym, łamiącym serce szlochem.

Turgut objął bibliotekarza ramieniem, a Helen delikatnie ujęła go za dłoń. Naszła mnie refleksja, że już po raz drugi w ciągu godziny Helen okazuje tyle czułości dotkniętemu nieszczęściem człowiekowi. Profesor zaczął wypytywać o coś po turecku Erozana. Po kilku minutach usiadł na piętach i odwrócił się w naszą stronę.

»Pan Erozan mówi, że obcy pojawił się w jego mieszkaniu nad ranem, za oknami wciąż jeszcze panował mrok, i zagroził, że go zabije, jeśli ten nie wpuści go do biblioteki. Kiedy rozmawiałem z nim przez telefon, wampir wciąż przebywał w jego domu, ale Erozan bał mi się o tym powiedzieć. Gdy obcy dowiedział się, kto dzwonił, oświadczył, że muszą natychmiast iść do archiwum. Mój przyjaciel nie śmiał mu się sprzeciwić. Na miejscu wampir zmusił go do przyniesienia i otwarcia skrzynki. Kiedy już to uczynił, tamten diabeł rzucił go na podłogę - Erozan twier-

dzi, że jest on niewiarygodnie silny - i wbił mu w szyję zęby. Tylko tyle pan Erozan pamięta».

Turgut smutno potrząsnął głową. Nieoczekiwanie Erozan chwycił go kurczowo za rękę i najwyraźniej zaczął go o coś błagać.

Turgut przez chwilę milczał, a następnie ujął dłonie przyjaciela, wcisnął mu w nie drewniany różaniec, po czym zaczął coś cicho tłumaczyć.

»Oświadczył mi, że dobrze rozumie, iż jeśli ten potwór ugryzie go jeszcze dwukrotnie, sam stanie się wampirem. Prosił, bym zabił go własnymi rękami, jeśli do tego dojdzie«. - Odwrócił głowę, a ja odniosłem wrażenie, że w jego oczach zaślnęły łzy

»Do tego nigdy nie dojdzie - odparła twardo Helen. - Odnajdziemy źródło tej zarazy».

Nie miałem pojęcia, czy mówiła o odrażającym bibliotekarzu, czy o samym Draculi, lecz kiedy zobaczyłem jej zaciętą twarz i zaciśnięte szczęki, prawie uwierzyłem, że pokonamy obu. Raz już widziałem podobny wyraz jej oblicza. Widok ten przypomniiał mi wizytę w kampusie w Ameryce, kiedy opowiadała mi o swoim rodowodzie. Przysięgała wtedy na wszystkie świętości, iż odnajdzie wiarołomnego ojca i zdemaskuje go przed całym naukowym światem. Czy tylko mi się zdawało, że w pewnym momencie cel jej misji uległ pewnej zmianie, a ona wcale tego nie zauważyła?

Selim Aksoy, który myszkował po sali za naszymi plecami, odezwał się w pewnej chwili do Turguta. Ten skinął głową.

»Pan Aksoy przypomina nam, po co tu przyszliśmy. I ma rację. Niebawem zaczną schodzić się inni czytelnicy, więc musimy albo zamknąć archiwum, albo udostępnić je publiczności. Zaofiarował się, że nie otworzy dziś sklepu i będzie pełnił funkcję bibliotekarza. Ale najpierw musimy posprzątać te dokumenty i sprawdzić, jakich doznały szkód. Lecz przede wszystkim należy gdzieś bezpiecznie umieścić naszego przyjaciela. Ponadto Aksoy pragnie pokazać nam coś w archiwum, zanim pojawią się czytelnicy».

Natychmiast zacząłem zbierać porzrzucone dokumenty. Potwierdziły się moje najgorsze obawy.

»Oryginały map zniknęły« - oświadczyłem posepnie.

Przeszukaliśmy półki, ale map przedstawiających dziwny region przypominający zarysami smoka z długim ogonem nigdzie nie było. Doszliśmy do wniosku, że wampir musiał zabrać je, zanim jeszcze pojawiliśmy

się w archiwum. Była to przygnębiająca okoliczność. Oczywiście, mieliśmy ich kopie, wykonane ręką zarówno Rossiego, jak i Turguta, ale w moim pojęciu oryginały przedstawiały największą wartość, stanowiły bowiem bezpośredni klucz do miejsca, w którym przebywał Rossi.

Do świadomości utraty takiego skarbu dochodziła obawa, że skalany złem bibliotekarz może pierwszy rozwiązać zagadkę map. Jeśli Rossi rzeczywiście znalazł się w grobowcu Draculi, niezależnie od tego, gdzie ten się znajdował, bibliotekarz miał znakomitą szansę, by pobić nas na głowę. Nigdy dotąd nie byłem tak zdeterminowany, żeby odnaleźć swego ukochanego promotora. Poza tym - uświadomiłem to sobie z jakimś zdumieniem - Helen stała murem po mojej stronie.

Turgut i Selim, którzy uradzali coś między sobą obok rannego mężczyzny, zwrócili się do niego z jakimś pytaniem. Bibliotekarz próbował unieść się z podłogi, lecz po chwili znów opadł bezwładnie plecami na regał i coś powiedział. Selim zniknął między półkami i po kilku minutach wrócił z niewidką książką. *Oprawiona była w czerwoną, mocno wytartą skórę, a na jej froncie widniał złożony napis po arabsku.* Położył ją na najbliższym stole, dłuższy czas wertował, po czym skinął na Turguta, który wsuwał właśnie pod głowę Erozana swoją zwiniętą marynarkę. Ranny wyglądał już cokolwiek lepiej. Chciałem właśnie zasugerować, żebyśmy wezwali pogotowie, ale poskromiłem język. Turgut najwyraźniej dobrze wiedział, co robi. Dźwignął się z podłogi, dołączył do Selima i kilka minut z ożywieniem o czymś rozmawiali. Helen i ja unikaliśmy swego wzroku. Oboje mieliśmy nadzieję na dalsze odkrycia, a jednocześnie baliśmy się kolejnych rozczarowań. W końcu przywołał nas Turgut.

»To właśnie Selim Aksoy chciał wam pokazać - oświadczył poważnym tonem. - Nie wiem doprawdy, czy ma to jakikolwiek związek z naszymi poszukiwaniami, ale i tak przetłumaczę wam ten tekst. Książka ta stanowi dziewiętnastowieczną kompilację dokonaną przez pewnych wydawców - nigdy o nich nie słyszałem - którzy byli historykami zajmującymi się dziejami Stambułu. Zebrali tu wszystkie dokumenty, sprawozdania i relacje dotyczące pierwszych lat istnienia Stambułu - to znaczy od roku tysiąc czterysta pięćdziesiątego trzeciego, kiedy sułtan Mehmed zdobył to miasto i uczynił zeń stolicę swego imperium«.

Wskazał na stronę wypełnioną przepięknym, arabskim pismem, a ja po raz setny chyba skonstatowałem, iż najgorszą rzeczą, jaka mogła spotkać ludzkość, było owo pomieszanie języków i alfabetów na nieszczęs-

nej wieży Babel. Tak więc teraz, spoglądając na stronicę zadrukowaną tureckim pismem, poczułem się tak, jakbym się znalazł w kolczastym gąszczu liter i symboli, równie trudnych do przebrnięcia, jak splątana ściana magicznych, dzikich róż.

»Ten ustęp Aksoy zapamiętał z pierwszej wizyty w archiwum. Autor jest nieznan, a tekst mówi o pewnych wydarzeniach z roku tysiąc czterysta siedemdziesiątego siódmego - tak, moi przyjaciele, rok wcześniej zginął Vlad Dracula, zabity w bitwie na Wołoszczyźnie. Jest tu napisane, że wówczas Stambuł nawiedziła plaga; plaga, która kazała imamom grzebać niektóre zwłoki z sercami przebitymi drewnianymi kołkami. A tutaj jest wzmianka o grupie mnichów z Karpat, którzy wjechali do miasta wielkim furgonem zaprzężonym w muły. To dzięki nazwie *Karpaty* Selim zapamiętał tę książkę. Mnisi błagali o azyl w jednym ze stambulskich klasztorów i otrzymali pozwolenie na przebywanie w nim przez dziewięć dni i dziewięć nocy. I oto cała relacja, a jej związek z naszymi badaniami jest bardziej niż niejasny. Nie wspomina więcej o mnichach ani o tym, jaki był ich dalszy los. Właśnie ze względu na to słowo, *Karpaty*, mój przyjaciel Selim was tu sprowadził«.

Selim Aksoy z emfazą pokiwał głową, ale ja tylko ciężko westchnąłem. Ustęp wywołał we mnie mieszane uczucia - wzbudził mój niepokój, nie rzucając przy tym nowego światła na nurtujące nas problemy. Rok tysiąc czterysta siedemdziesiąty siódmy - to rzeczywiście dziwne, lecz mógł to być zwykły zbieg okoliczności. Ciekawość jednak skłoniła mnie do zadania pytania Turgutowi:

»Skoro miasto znajdowało się już we władaniu Turków, skąd wziął się tam klasztor, w którym mnisi znaleźli schronienie?«

»Dobre pytanie, przyjacielu - odparł trzeźwo Turgut. - Ale muszę cię poinformować, że od samego początku panowania Imperium Osmańskiego w Stambule funkcjonowało wiele kościołów i klasztorów chrześcijańskich. Sułtan był bardzo dla nich łaskawy«.

»Czy przedtem nie pozwolił swym wojskom zniszczyć większości / nich lub nie kazał pozamieniać je na meczety?« - spytała ze zdziwieniem Helen, potrząsając głową.

»To prawda. Gdy sułtan Mehmed zdobył miasto, pozwolił żołnierzom płądrować je przez trzy dni - przyznał Turgut. - Ale nie uczyniłby tego, gdyby miasto, zamiast stawiać mu opór, poddało się od razu... tak naprawdę, oferował obrońcom bardzo łagodne warunki. Pisano, że kiedy

osobiście wkroczył do Konstantynopola i ujrzał ogrom zniszczeń, jakich dokonali jego żołnierze - oszpecone budynki, splugawione i zbezczeszczone świątynie, stopy trupów pomordowanych mieszkańców - zapłakał nad losem, jaki spotkał to piękne miasto. Wtedy też zezwolił, aby niektóre kościoły dalej normalnie funkcjonowały, a rdzennym Bizantyjczykom nadał wiele przywilejów».

»A jednocześnie ponad pięćdziesiąt tysięcy z nich uczynił niewolnikami - zauważyła sucho Helen. - O tym też proszę nie zapominać«.

Turgut popatrzył na nią z podziwem.

»Madame, nie jestem w stanie pani dorównać. Pragnąłem jedynie wykazać, że nasi sultani bynajmniej nie byli potworami. Jak na tamte czasy, podbitym ludom okazywali wiele wyrozumiałości. Ale każdy podbój zawsze był podbojem i nigdy nie odbywał się w sposób łagodny. - Wskazał palcem odległą ścianę archiwum. - To jest Jego Znakomitość Mehmed. Chcecie popatrzeć nań z bliska?«

Ruszyłem w stronę portretu, podczas gdy Helen z uporem stała w miejscu. Oprawiona w ramę reprodukcja - nędzna kopia jakiejś akwareli - przedstawiała masywnego, siedzącego mężczyznę w biało-czerwonym turbanie. Miał jasną skórę, krótką, wypielegnowaną brodę, wdzięczne łuki brwi i brązowe oczy. Przy wielkim, zakrzywionym nosie trzymał różę i, wachając ją, spoglądał zamyślonym wzrokiem w dal. Przypominał bardziej mistycznego sufiego niż bezlitosnego zdobywcę.

»Wizerunek jest raczej zaskakujący« - powiedziałem.

»O, tak. Był wielkim patronem sztuki i architektury, wznosił wiele wspaniałych budowli. - Turgut poklepał się palcem po brodzie. - A co sądzicie, przyjaciele, o dokumencie, który odkrył Selim Aksoy?«

»Jest bardzo interesujący - odrzekłem uprzejmie - ale nie wiem, w jaki sposób pomoże nam odnaleźć grobowiec«.

»Ja też nie wiem - przyznał się Turgut. - Ale zauważyłem pewne podobieństwo między tym ustępem a fragmentem listu, jaki przeczytałem ci dziś rano. O niepokojach przy grobowcu w Snagov, które miały miejsce w tym samym roku - w roku tysiąc czterysta siedemdziesiątym siódmym. Wiemy już, że było to w rok po śmierci Vlady Draculi i że grupa mnichów była bardzo zaniepokojona czymś, co działo się w Snagov. Czy nie mogli to być ci sami mnisi lub jakaś grupa związana ze świątynią?«

»Dlaczego nie - przyznałem - ale to tylko domysł. Dokument mówi jedynie, że mnisi pochodzili z Karpat. W tamtych czasach w Karpatach

musiało istnieć bardzo dużo monasterów. Skąd pewność, iż pochodzili właśnie z monasteru w Snagov? Helen, a co ty o tym myślisz?»

Musiałem ją zaskoczyć swym pytaniem, gdyż popatrzyła mi prosto w oczy z wyrazem takiej tęsknoty, jakiej nigdy jeszcze u niej nie widziałem. Wyraz ów znikł natychmiast, ale ja wyobraziłem sobie, że zapewne wspominała matkę i rozmyślała o czekającej nas niebezpiecznej podróży na Węgry. Nad czymkolwiek jednak się zastanawiała, w jednej chwili zebrała rozproszone myśli.

»Tak, w Karpatach istniało wiele klasztorów. Paul ma rację. Bez dokładniejszych informacji nie możemy łączyć obu tych grup«.

Odniosłem wrażenie, że Turgut jest rozczarowany słowami Helen. Zaczął coś mówić, lecz przerwało mu charczące sapanie. To dławił się pan Erozan leżący wciąż na podłodze z marynarką profesora pod głową.

»Zemdlal! - zawołał Turgut. - My tu skrzeczmy jak sroki... - Podstawił pod nos przyjaciela główkę czosnku. Mężczyzna zabełkotał coś, pryskając śliną, ale nieco doszedł do siebie. - Szybko, musimy zabrać go do domu. Profesorze, madame, proszę mi pomóc. Wezwiemy taksówkę

i pojedziemy z nim do mnie. Moja żona i ja zajmiemy się nim dobrze. A ty, Selim, pozostań w archiwum... za kilka minut musisz je otworzyć^ - Wydał księgarzowi kilka poleceń po turecku.

Dźwignęliśmy bladego jak ściana, półprzytomnego bibliotekarza i prowadząc go między sobą, opuściliśmy tylnymi drzwiami archiwum. Za nami szła Helen, trzymając w ręce marynarkę profesora. Minęliśmy zacienioną alejkę i wyszliśmy na zalewaną słonecznym światłem ulicę. Kiedy jaskrawe promienie padły na twarz Erozana, mężczyzna spazmatycznie się skurczył, przypląszczył na moim ramieniu i zasłonił gwałtownie dłońią oczy, jakby chciał obronić się przed jakimś ciosem".

36

Noc, którą spędziłam na farmie w Boulois, dzieląc pokój z Barleyem, była jedną z najbardziej czujnych i bezsennych, jakie przytrafiły mi się w życiu. Siedzieliśmy mniej więcej do dwudziestej pierwszej, gdyż poza słuchaniem gdakania kur moszczących się na grzędach i oglądaniem Nłońca chowającego się za przekrzywione stodoły nie mieliśmy nic wię-

cej do roboty. A w dodatku, ku naszemu zdumieniu, gospodarstwo nie było zelektryfikowane.

— Nie zauważyłaś braku drutów elektrycznych? - zapytał Barley, kiedy gospodyni przyniosła nam latarnię, dwie świece i życząc dobrej nocy, udała się do siebie.

W migotliwym blasku świec cienie politurowanych, starych mebli jeszcze bardziej się wydłużyły, zawisając nad naszymi głowami, a ściana makatka, jakby nabierając własnego życia, lekko falowała.

Barley kilkakrotnie ziewnął, po czym runął w ubraniu na swoje łóżko i natychmiast zasnął. Bałam się pójść w jego ślady, lecz nie chciałam też zostawić płonących świec. W końcu wszystkie je pogasiłam, zostawiając tylko zapaloną latarnię, której blask pogłębił spowijający izbę cień, sprawiając, że zalegające na zewnątrz farmy ciemności z jeszcze większą mocą naparły na zamknięte na głucho okno izby. Gałązki dzikiego wina ocierały się z szelestem o szyby, drzewa zdawały się coraz bardziej nachylać nad domem, a dziwaczne, delikatne hałasy, powodowane zapewne przez sowy lub dzikie gołębie, sprawiały, że zmrożona strachem leżałam skulona na łóżku. Barley był całkowicie nieobecny dla świata. Początkowo cieszyłam się, że mamy spać w oddzielnych łóżkach ustawionych w odległych kątach pokoju. Zaoszczędziłoby to nam skrępowania w przygotowaniach do snu, lecz teraz pragnęłam, byśmy spali w jednej pościeli przytuleni do siebie plecami.

Spoczywałam tak bez ruchu, czując, że drętwieje mi ciało. Nagle ujrzałam żółtawą poświatę sączącą się przez okno i przesuwającą się skrycie po deskach podłogi. To wschodził księżyc. Ukoił wszystkie moje lęki. Zupełnie jakby przybywał mój dawny, dobry przyjaciel, by dotrzytać mi towarzystwa. Ze wszystkich sił starałam się nie myśleć o ojcu. Podczas każdej innej podróży to on leżałby na sąsiednim łóżku przybrany w elegancką pidżamę, obok niego spoczywałaby książka. On pierwszy wypatrzyłby starą farmę, wiedziałby, że jej główny zrab pochodzi jeszcze z czasów akwitańskich, kupiłby trzy butelki wina od sympatycznej gospodyni i porozmawiałby z nią o jej winnicy.

Leżąc tak, całkiem mimowolnie pomyślałam, co zrobię, jeśli okaże się, że mój ojciec nie przeżył podróży do Saint-Matthieu. Z całą pewnością nie wróciłabym do Amsterdamu - pomyślałam. Przebywanie sam na sam z panią Clay w naszym domu pogłębiłoby jeszcze moją żalność i osamotnienie. Wedle przepisów obowiązujących w Europie na jakąkolwiek

uczelnię wyższą mogłam wstąpić najwcześniej za dwa lata. Ale kto by się mną do tego czasu zajął? Barley wróci do dawnego życia, bo nie sądzę, by interesował go mój dalszy los. Przed oczyma stanęła mi twarz zwierzchnika Jamesa z głębokim, smutnym uśmiechem i sympatycznymi zmarszczkami wokół oczu. I wtedy pomyślałam o Giulii i Massimo w ich *villa* w Umbrii. Przypomniałam sobie, jak Massimo nalewał mi wino - „Co ty studiujesz, śliczna córko?” - a Giulia oświadczyła, że dostanę własny, bardzo wygodny pokój. Nie mieli dzieci, uwielbiali mego ojca. Jeśli mój świat rozpadnie się w kawałki, pojedę do nich.

Pokrzepiona na duchu sięgnęłam po latarnię, na palcach podeszłam do drzwi i wyjrzałam na zewnątrz. Dostrzegłam połówkę księżyca i płynące po niebie postrzępione chmury. Pośród nich unosił się aż za dobrze znajomy mi kształt... ale nie, trwało to tylko ułamek sekundy i była to jedynie chmura. Rozpostarte skrzydła, falisty ogon? Obraz w mgnieniu oka rozplynął się w powietrzu, ale ja po powrocie do pokoju położyłam się na łóżku Barleya i aż do świtu leżałam drżąc obok jego nieruchomych pleców.

„Transport Erozana i umieszczenie go w orientalnym salonie Turguta zajęło nam większość ranka. Nieszczęsny bibliotekarz, biały jak kreda, ale panujący już w pełni nad sobą, leżał na jednej z długich otoman. Byliśmy jeszcze w domu, kiedy w południe wróciła z przedszkola pani Bora. Weszła do mieszkania energicznie, w odkrytych rękawiczkami dłoniach niosła siatki pełne jakichś produktów. Miała na sobie żółtą sukienkę, a na głowie kwiecisty kapelusz, tak że natychmiast skojarzyła mi się

z zonkilem. Wyglądała świeżo i niezwykle powabnie. Wyraz jej twarzy nie zmienił się nawet wtedy, gdy ujrzała nas stojących w salonie przy leżącym plackiem na otomanie mężczyźnie. Błysnęła mi myśl, że jej mąż niczym już chyba nie potrafi jej zaskoczyć. Drugą myślą, jaka mnie naszała, było to, iż taka postawa właśnie stanowi klucz do udanego, harmonijnego związku.

Turgut wyjaśnił jej sytuację, mówił po turecku. Najpierw na jej twarzy pojawił się wyraz głębokiego niedowierzania, które jednak przeszło natychmiast w czyste przerażenie, kiedy mąż pokazał jej ranę na szyi bibliotekarza. Popatrzyła na mnie i na Helen z konsternacją, jakby w ogóle po raz pierwszy w życiu zetknęła się z tego rodzaju złem. Potrząsnęła dłonią Erozana, która nie tylko była biała jak kreda, ale i zimna jak lód. Przez chwilę trzymała ją w ręce, po czym szybko otarła oczy i zdecydowa-

nie ruszyła do kuchni, skąd dotarł do nas odległy dźwięk przesuwanych garnków, patelni i misek. Cokolwiek by się jeszcze nie wydarzyło, ranne-
mu mężczyźnie z pewnością nie zabraknie dobrego jedzenia. Turgut prze-
konał nas, że powinniśmy chwilowo pozostać u niego w domu i Helen, ku
memu zdumieniu, udała się do kuchni, by pomóc pani Bora.

Kiedy upewniliśmy się, że pan Erozan leży wygodnie na swoim po-
słaniu, Turgut znów zaprowadził mnie do swego niesamowitego gabine-
tu. Ku mej uldze złowieszczy portret był szczelnie zasłonięty. Usiedliś-
my, by omówić sytuację.

»Uważasz, że to bezpieczne dla ciebie i twojej żony trzymać Erozana
w tym domu?« - nie potrafiłem powstrzymać się od pytania.

»Podjąłem pewne środki ostrożności. Kiedy za dzień lub dwa stan
jego się polepszy, zorganizuję mu jakieś lokum i postaram się o człowie-
ka, który będzie o niego dbał«.

Turgut podsunął mi krzesło, a sam zajął miejsce za biurkiem. Prawie
jak w uniwersyteckim gabinecie Rossiego - pomyślałem. Z tym tylko, że
tamto pomieszczenie zapamiętałem jako bez porównania weselsze, wy-
pełnione kwitnącymi w doniczkach kwiatami i sykiem ekspresu do kawy.
Gabinet Turguta był posępny i ekscentryczny.

»Nie spodziewam się kolejnych ataków, ale gdyby taki nastąpił, na-
szego amerykańskiego przyjaciela spotka przerażająca odprawa«. - Pa-
trząc na masywną postać profesora, w pełni mu wierzyłem.

»Bardzo mi przykro - odparłem. - Wygląda na to, że wpłataliśmy cię
w niezłą awanturę, a co więcej, ściągnęliśmy niebezpieczeństwo na twój
dom«.

Opowiedziałem mu pokrótce o odrażającym, amerykańskim bibliote-
karzu, którego poprzedniego wieczoru zobaczyliśmy przy Hagia Sophii.

»Niezwykłe« - odparł Turgut. Oczy zapłonęły mu groźnym blaskiem.
Zaczął bębnić palcami po blacie biurka.

»Mam jedno pytanie - powiedziałem. - W archiwum oświadczyłeś,
że widziałeś już kiedyś podobną twarz. Gdzie i jak?«

»Ha! - wykrzyknął mój przyjaciel, opierając łokcie o blat biurka. -
Dobrze, opowiem ci o wszystkim. Było to wiele lat temu, ale pamiętam
dokładnie każdy szczegół, jakby wydarzyło się wczoraj. Stało się to w kil-
ka dni po otrzymaniu przeze mnie listu od profesora Rossiego, w którym
zapewniał mnie, że nie wie nic o żadnym archiwum w Stambule. Późnym
popołudniem, po zakończeniu zajęć, udałem się do tej biblioteki - wtedy

mieściła się jeszcze w dawnych budynkach, z których później przeniesiono ją do obecnych. Pamiętam, iż zbierałem wówczas materiały do artykułu

o zaginionym dziele Szekspira zatytułowanym *Król Tashkani*. Jego akcja, zdaniem niektórych uczonych, działa się w fikcyjnym Stambule. Być może o tym słyszałeś?»

Pokręciłem przecząco głową.

»O dramacie tym wspomina kilku angielskich historyków. Od nich właśnie wiemy, że w sztuce tej zły duch, zwany Dracole, objawia się władcy przepięknego miasta, zdobytego przez monarchę siłą. Duch oświadcza mu, że kiedyś był jego nieprzejednanym wrogiem, lecz teraz przybywa, aby powinszować mu jego krwiożerczości. Zaczyna usilnie nakłaniać króla, by zaczął łapczywie chłęptać krew mieszkańców miasta, którzy z czasem stali się faworytami nowego władcy. Jest to przejmujący i mrozący krew w żyłach ustęp. Niektórzy sądzą, że nie jest to nawet Szekspir, ale moim zdaniem... - urwał i zaczął bębnić palcami po blacie biurka. - Moim zdaniem, sądząc po stylu, dykcji i frazie, dzieło to mogło wyjść wyłącznie spod pióra Szekspira, a miasto w rzeczywistości jest Stambulem, ukrytym pod pseudoturecką nazwą Tashkani. Sądzę też, że tyran, do którego zwraca się zły duch, jest nikim innym jak sułtanem Mehmedem II, zdobywcą Konstantynopola«.

Po plecach przeszły mi ciarki.

»Jakie, twoim zdaniem, ma to znaczenie? Dokąd sięgały wpływy i sława Draculi?»

»Mój przyjacielu, wielce intrygujący jest dla mnie fakt, że legenda o Władzie Draculi dotarła nawet do protestanckiej Anglii, około tysiąc pięćset dziewięćdziesiątego roku. Poza tym, jeśli Tashkani rzeczywiście było Stambulem, wskazuje to, jak wszechobecna była świadomość istnienia Draculi w samym mieście w czasach Mehmeda. Sułtan wkroczył do Konstantynopola w tysiąc czterysta pięćdziesiątym trzecim roku, zaledwie w pięć lat po powrocie Draculi na Wołoszczyznę z niewoli w Azji Mniejszej. Nie istnieją żadne dowody na to, że kiedykolwiek później pojawił się na naszych terenach, choć niektórzy naukowcy twierdzą, że oświadczył wręcz sułtanowi haracz. Moim zdaniem nigdy nie znajdziemy na to dowodów. Moja teoria zakłada, iż napiętnował to miejsce wampiryzmem, jeśli nie za życia, to po śmierci. Jednak granica między literaturą a historią jest bardzo płynna, a ja nie jestem historykiem«.

»Wręcz przeciwnie, jesteś wspaniałym, obdarzonym charyzmą history-

kiem - odparłem z pokorą. - Prawie mnie zawstydzasz. Podjąłeś tyle historycznym tropów i wszystkie poszukiwania zakończyłeś powodzeniem».

»Jesteś niesłychanie uprzejmy, młody przyjacielu. Tak czy owak, pewnego wieczoru pracowałem nad artykułem, który miał uzasadnić moją teorię. Nigdy nie ukazał się drukiem, gdyż wydawcy czasopisma uznali jego treść za zbyt zabobonną. Pracowałem do późnego wieczora i po trzech godzinach spędzonych w archiwum udałem się do pobliskiej restauracji na *borek*. Czy jadłeś już *bórekl*»

»Jeszcze nie« - odrzekłem.

»Koniecznie musisz go skosztować. To jedno z naszych najsmaczniejszych narodowych dań. Tak więc ruszyłem do restauracji. Była zima i na dworze panowały już ciemności. Zająłem miejsce przy stoliku i czekając na posiłek, jeszcze raz przeczytałem list profesora Rossiego. Jak już wspomniałem, otrzymałem go zaledwie kilka dni wcześniej i jego treść wciąż wprawiała mnie w zakłopotanie. Kelner przyniósł mi zamówioną kolację. Kiedy stawał przede mną talerze, spojrzałem na jego twarz. Wzrok miał spuszczonego - wyraźnie spoglądał na rozłożony przede mną list z nazwiskiem Rossiego w nagłówku. Raz czy dwa zmarszczył gniewnie brwi, lecz po chwili twarz mu się wygładziła. Kiedy jednak przechodził za mną z kolejnym talerzem, by postawić go po mojej drugiej stronie, wiedziałem z całą pewnością, że nie spuszcza wzroku z listu.

Nie potrafiłem wytłumaczyć sobie takiego zachowania. Poczulem się bardzo nieswojo. Złożyłem zatem list i zabrałem się za kolację. Kelner oddalił się bez słowa, lecz ja nie mogłem powstrzymać się i co chwila zerkałem na niego, kiedy krążył po sali, obsługując innych gości. Był wysokim, o szerokich ramionach mężczyzną, z czarnymi, długimi włosami, które wciąż odgarniał z twarzy, i dużymi, ciemnymi oczyma. Mógłby nawet uchodzić za przystojnego, gdyby nie wyglądał tak... jak to powiedzieć?... groźnie i ponuro. Przez dobrą godzinę całkowicie mnie ignorował, choć dawno już skończyłem kolację. W końcu dla zabicia czasu wyjąłem jakąś książkę i on w tej chwili nieoczekiwanie pojawił się przy moim stoliku, stawiając przede mną filiżankę parującej herbaty. Zdziwiłem się, gdyż jej nie zamawiałem. Pomyślałem, że jest to prezent od właścicieli lokalu lub zwykła pomyłka».

- Pańska herbata - oświadczył kelner. - Osobiście dopilnowałem, by była bardzo gorąca.

»Popatrzył mi prosto w oczy. Nie potrafię tego wyjaśnić, lecz wyglą

jego twarzy przeraził mnie. Miałem przed sobą blade oblicze o prawie żółtej cerze, zupełnie jakby... jak to powiedzieć?... jakbygnił od środka. Oczy miał ciemne i błyszczące, przypominające zwierzęce ślepią, i gęste brwi. Usta niczym ulepione z czerwonego wosku, a zęby bardzo białe i wyjątkowo długie - ich zdrowy wygląd osobliwie kontrastował z jego schorzałym obliczem. Stawiając przede mną naczynie, pochylił się w moją stronę. Poczułem bijący od niego dziwny zapach, co sprawiło, że zakręciło mi się w głowie, ogarnęły mnie mdłości. Możesz się ze mnie śmiać, przyjacielu, lecz była to woń, którą w innych okolicznościach zawsze uwielbiałem - zapach starych książek. Sam go najlepiej znasz. Woń pergaminu, skóry i... i jeszcze czegoś?«

Doskonale wiedziałem, o czym mówi, i wcale nie było mi do śmiechu.

»Odszedł niespiesznie od mego stolika i zniknął w kuchni. Odnosiłem nieprzeparte wrażenie, że chciał mi coś pokazać - być może swoje oblicze. Chciał, bym się mu dokładnie przyjrzał, choć tak naprawdę nie było w nim nic, co usprawiedliwiałoby zgrozę, jaką we mnie wzbudził. - Siedzący na średniowiecznym krześle Turgut sam w tej chwili był biały jak kreda. - By zapanować nad emocjami, wsypałem do filiżanki łyżeczkę cukru ze stojącej na stoliku cukiernicy i zamieszałem wonny, parujący napar. Chciałem łykiem aromatycznego napoju ukoić skołatane nerwy. I wtedy wydarzyło się coś bardzo... coś bardzo dziwnego.«

Zamilkł, jakby nagle pożałował decyzji opowiedzenia mi tej historii. Doskonale go rozumiałem. Pokiwałem więc tylko głową i powiedziałem łagodnie:

»Mów dalej, proszę.«

»Może teraz zabrzmiał to dziwnie, ale mówię szczerą prawdę. Z filiżanki uniół się obłok pary... sam wiesz najlepiej, jak to jest, kiedy miesza się gorący płyn. Obłok pary nad filiżanką uformował się w kształt maleńkiego smoka, który unosił się przez chwilę nad naczyniem, po czym zniknął. Ale widziałem go bardzo wyraźnie. Chyba wyobrazasz sobie, jak się poczułem. Przez chwilę nie wierzyłem własnym oczom. Następnie szybko zgarnąłem papiery, zapłaciłem i wyszedłem z restauracji.«

Z emocji miałem kompletnie wyschnięte usta.

»Czy kiedykolwiek później spotkałeś tego kelnera?«

»Nigdy. Unikałem tej restauracji przez kilka tygodni, w końcu ciekawość zwyciężyła. Ktoregoś wieczoru zajrzałem do niej, ale kelnera nie zobaczyłem. Nawet zapytałem o niego, ale jakiś inny pracownik oświad-

czył mi, że człowiek ten pracował tam tak krótko, iż nie zapamiętał nawet jego nazwiska. Wiedział tylko, że na imię miał Akmar».

»Czy twoim zdaniem wygląd jego twarzy wskazywał na to, że jest...« - zawiesiłem głos.

»Przeraził mnie. Tyle tylko ci mogę powiedzieć. Kiedy ujrzałem twarz bibliotekarza, którego, jak sam powiedziałaś, ściągnąłeś tu z zagranicy, od razu go poznałem. Nie jest proste patrzeć na twarz śmierci. Było coś w wyrazie... - Urwał i niespokojnie zerknął w stronę kotary zasłaniającej portret. - W twojej opowieści ogłuszyła mnie wprost jedna rzecz: to, że ów amerykański bibliotekarz nabrał o wiele więcej spirytualnej mocy od czasu, kiedy spotkałeś go po raz pierwszy».

»O co ci dokładnie chodzi?«

»Kiedy zaatakował w waszej amerykańskiej bibliotece pannę Rossi, zdołałeś powalić go na ziemię. A mój przyjaciel Erozan, którego zaatakował dzisiejszego ranka, twierdzi, że ów stwór jest niebywale silny, choć memu przyjacielowi również nie brakuje krzepy. A jednak demon ów zdołał utoczyć mu trochę krwi. Poza tym wampirowi temu nie szkodzi słoneczne światło, tak zatem nie jest jeszcze do końca skażony. Domniemywam zatem, iż stworzeniu temu utoczono krew po raz drugi albo na waszym amerykańskim uniwersytecie, albo tu, w Stambule. Jeśli ma tu jakieś koneksje, dostąpi trzeciego błogosławieństwa zła i na zawsze już stanie się nieumarłym».

»To prawda - powiedziałem. - Nie pozostaje nam nic innego, jak dopaść amerykańskiego bibliotekarza. Do tego czasu musisz starannie strzec swego przyjaciela».

»I tak zrobię« - odrzekł twardo Turgut. Zamilkł i odwrócił się do półki z książkami. Bez słowa wyciągnął wielki album z tytułem wypisanym na okładce łacińskimi literami. - To rumuńska księga - wyjaśnił. - Zawiera kolekcję wizerunków ze świątyń w Transylwani i na Wołoszczyźnie. Skopiowane zostały przez niedawno zmarłego historyka sztuki. Przykro mi to mówić, ale odtworzył obrazy znajdujące się w kościołach, które później zostały zniszczone podczas wojny. Tak zatem księga ta ma nieoszacowaną wartość. - Wręczył mi wolumin. - Otwórz, proszę, na stronie dwudziestej piątej».

Uczyniłem, jak prosił. Na obu stronicach rozmieszczono wizerunek malowidła ściennego. Z boku, w niewielkiej ramce, widniała czarno-biała fotografia kościoła, z którego pochodziło malowidło. Była to wy-

tworna budowla z wysmukłymi dzwonicami. Ale moją uwagę przykuła główna ilustracja. Po lewej stronie widniał wizerunek morderczego smoka w locie, ogon zwinięty miał w dwie pętle, w ślepiach malowało mu się szaleństwo, z pyska tryskały strugi ognia. Najwyraźniej potwór szykował się do ataku na postać stojąca po prawej stronie malowidła, mężczyznę przybranego w kolczugę i prążkowany turban. Przerażony człowiek stał w pozycji obronnej, w jednej ręce trzymał zakrzywiony bułat, w drugiej - okrągłą tarczę. W pierwszej chwili myślałem, że stoi na polu porośniętym jakimiś dziwacznymi roślinami. Kiedy jednak przyjrzałem się dokładniej, zrozumiałem, że wokół jego stóp roją się niewielkie, ludzkie postacie, cały las istot ludzkich, wijących się i powbijanych na pale. Niektóre z postaci miały na głowach turbany, tak jak stojący pośród nich gigant w zbroi, inne przybrane były w nędzne, wieśniacze łachmany. Na jeszcze innych zobaczyłem wytworne, jedwabne szaty, a na ich głowach futrzane szuby. Blondyni i bruneci, szlachcice z długimi, brązowymi wąsami, kapłani i mnisi w czarnych sutannach i kłobukach. Kobiety z długimi warkoczami, gołe dzieci i niemowlaki. Dostrzegłem nawet kilka zwierząt. Wszyscy konali w męce.

Turgut nie spuszczał ze mnie wzroku.

»Kościół ten wspierał podczas swego drugiego panowania Dracula« - powiedział cicho.

Długą chwilę wpatrywałem się w wizerunek. W końcu nie wytrzymałem koszmarnego widoku i zamknąłem księgę. Turgut wyjął mi ją z rąk i odłożył na bok. Kiedy przeniósł na mnie wzrok, w jego oczach malował się dziki wyraz.

»A ty, przyjacielu, jak zamierzasz odnaleźć profesora Rossiego?«

To proste pytanie przypomniało mi nagle, iż jest to moje podstawowe zadanie. Ciężko westchnąłem.

»Cały czas próbuję złożyć wszelkie informacje w jedną całość, lecz nawet mimo waszej wspaniałomyślnej całonocnej pracy, twojej i pana Aksoya, wiem niewiele. Być może Vlad Dracula pojawił się w jakiś sposób po śmierci w Stambule. Ale jak mam się dowiedzieć, czy został tu pochowany? A może wciąż tu przebywa? Mogę ci tylko powiedzieć, że zamierzamy udać się do Budapesztu.«

»Budapeszt?« - na twarzy Turguta pojawił się domyślny wyraz.

»Tak. Pamiętasz, jak Helen opowiedziała ci o swojej matce i profesorskiej -jej ojcu. Jest głęboko przekonana, że jej matka ma bardzo użyteczne

dla nas informacje, o które nigdy jej nie wypytywała. Tak zatem chcemy teraz osobiście z nią porozmawiać. Ciotka Helen jest kimś ważnym w węgierskim rządzie i mamy nadzieję, że nam pomoże».

»Ach! - wykrzyknął z lekkim uśmiechem. - Dziękujemy bogom za to, że umieścili naszych przyjaciół na wysokich stanowiskach. Kiedy wyjeżdżacie?»

»Jutro albo pojutrze. Pozostaniemy tam jakieś pięć, sześć dni. Później wrócimy tutaj».

»Doskonale. Ale musicie koniecznie zabrać ze sobą to».

Turgut wstał zza biurka i wyjął z szafy niewielką skrzyneczkę z zestawem przyrządów służących do zabijania wampirów, którą pokazał nam poprzedniego dnia. Postawił ją przede mną.

»Ależ to jeden z twoich najcenniejszych eksponatów - zaprotestowałem. - Poza tym mogą nam to zarekwirować na granicy».

»Nie musisz się nią chwalić celnikom. Najlepiej, jak dasz ją panie Rossi. Oni kobiecego bagażu tak dokładnie nie sprawdzają. - Uśmiechnął się zachęcająco. - Nie zaznam spokoju, jeśli tego ze sobą nie weźmiecie. Kiedy będziecie w Budapeszcie, pogrzebię w starych książkach, ale wy tam będziecie tropić prawdziwego potwora. Teraz schowaj to do teczki. Pudełko jest niewielkie i lekkie. - Bez słowa ułożyłem drewnianą skrzynkę obok książki z wizerunkiem smoka. - W czasie gdy wy będziecie rozmawiać z matką Helen, ja tutaj będę tropić wszelkie wzmianki o grobowcu. Wciąż nie odrzucam pomysłu, że grób znajduje się w Stambule. - Popatrzył na mnie zwężonymi oczyma. - Wyjaśniałoby to pochodzenie plagi, jaka prześladowuje nasze miasto od tamtych czasów. Jeśli uda się nam nie tylko sprawę wyjaśnić, ale i położyć jej kres...»

W tej chwili otworzyły się drzwi od gabinetu i w progu stanęła pani Bora. Oznajmiła, że lunch gotowy. Posiłek był równie smaczny jak ten poprzedniego dnia, lecz panująca przy stole atmosfera znacznie bardziej ponura. Helen milczała. Sprawiała wrażenie kompletnie wyczerpanej. Pani Bora z wdziękiem podsuwała nam półmiski, a pan Erozan, który również dosiadł się do nas, jadł niewiele. Kiedy jednak żona naszego gospodarza podsunęła mu szklaneczkę czerwonego wina i smakowitą porcję mięsa, bibliotekarz doszedł trochę do siebie. Turgut był przyciszony

i wyraźnie w melancholijnym nastroju. Oczekaliśmy z Helen na stosowną chwilę i grzecznie pożegnaliśmy gospodarzy.

Turgut odprowadził nas aż na ulicę. Swoim zwyczajem potrząsnął ser-

decznie naszymi dłońmi, nalegając przy tym, byśmy koniecznie zawiadomili go telefonicznie o terminie naszego wyjazdu. Dodał, że po powrocie musimy zatrzymać się w jego domu. Następnie popatrzył na mnie i znacząco poklepał teczkę, którą trzymałem w ręku. Kiwnąłem głową, dając jednocześnie Helen znak, że wszystko jej później wyjaśnię. Turgut machał nam, aż zniknęliśmy za porastającymi ulicę lipami i topolami. Helen wzięła mnie pod rękę. Powietrze przesączała woń bzu i przez chwilę, na szerokiej, szarej ulicy, posuwając się po upstrzonym plamami słonecznego światła trotuarze, poczułem się, jakbym był na wakacjach w Paryżu".

37

„Helen była śmiertelnie zmęczona, ale niechętnie zostawiłem ją w jej pokoju w *pension*, gdzie natychmiast zapadła w kamienny sen. Nie chciałem, aby była sama, lecz przekonała mnie, że jasne światło dnia zapewnia jej pełne bezpieczeństwo. Jeśli nawet złowieszczy bibliotekarz wie, gdzie przebywamy, nie wejdzie do naszych zamkniętych na klucz pokoi, a ponadto Helen nie rozstawiała się ze srebrnym krzyżykiem. Do ciotki zadzwonić miała dopiero za kilka godzin. Bez jej instrukcji nie mogliśmy rozpocząć żadnych przygotowań do podróży. Teczke oddałem pod opiekę Helen i opuściłem dom. Czulem, że gdybym pozostał w swoim pokoju, po prostu bym zwariował.

Była to doskonała okazja, aby jeszcze trochę pozwiedzać Stambuł. Ruszyłem do przypominającego olbrzymi labirynt, nakrytego kopułą kompleksu pałacowego Topkapi, dokąd sułtan Mehmed przeniósł swoją siedzibę. Budowla ta przyciągała moją uwagę od pierwszego dnia pobytu w Stambule. Topkapi zajmuje rozległy obszar na cyplu otoczonym wodami Bosforu, Złotego Rogu i morza Marmara. Gdybym nie odwiedził tego miejsca, przeoczyłbym niebywale istotną część historii osmańskiego Stambułu. Być może zapomniałem na chwilę o Rossim, ale naszła mnie refleksja, że nawet on sam postąpiłby tak samo, mając przed sobą kilka godzin wymuszonej okolicznościami bezczynności.

Gdy przemierzałem parki, dziedzińce i pawilony, gdzie przez setki lat biło serce imperium, czulem pewne rozczarowanie, że wystawiano tam lak niewiele eksponatów pochodzących z czasów Mehmeda - niewiele,

z wyjątkiem klejnotów i mieczy poszczerbionych i pokiereszowanych w nieustannych zmaganiach. Miałem nadzieję, iż natknę się na rzeczy ukazujące mi w innym świetle sułtana, którego wojska walczyły z Vladem Draculą, a tajne służby interesowały się domniemanym grobowcem księcia na Snagov. Pomyślałem sobie, wspominając starców grających na bazarze, że przypomina to określanie pozycji króla przeciwnika w *shah-mat*, kiedy zna się jedynie pozycję własnego króla.

Niemniej w pałacu było wiele do oglądania. Zgodnie z tym, co Helen powiedziała mi poprzedniego dnia, był to świat, w którym ponad pięć tysięcy służących, o tytułach takich jak Wielki Nawijacz Turbanu, spełniało każde życzenie sułtana; gdzie trzebieńcy strzegli czystości ogromnego haremu, który w rzeczywistości był złotą klatką. To tutaj Sulejman Wspaniały, rządzący w połowie szesnastego wieku, scalił imperium, przeprowadził reformę administracji, armii i finansów, a ze Stambułu stworzył metropolię dorównującą wspaniałością stolicy cesarzy bizantyjskich. Podobnie jak oni, sułtan co tydzień udawał się na modlitwę do Hagia Sophii - ale zawsze w piątki (u muzułmanów dniem świętym jest piątek, nie niedziela). Był to świat sztywnej etykiety, wystawnych uczt, cudownych tkanin, przepięknych mozaik, wezryów w zielonych szatach

i przybranych na czerwono szambelanów, w bajecznie kolorowych butach i ogromnych turbanach.

Szczególnie wrażenie zrobiła na mnie opowieść Helen o janczarach, gwardii formowanej z pojmanyh w niewolę chłopców pochodzących z terytoriów całego imperium. Czytałem o nich wcześniej. Chłopcy ci, pochodzący z chrześcijańskich krajów, takich jak Serbia czy Wołoszczyzna, wychowywani byli w wierze islamskiej, wpajano im nienawiść do ojczystych krain, a kiedy osiąkali dojrzałość, zdejmowano im kaptury, by zabijali niczym sokoły. Widywałem w różnych albumach wizerunki janczarów. Myśląc o ich młodych, pozbawionych wszelkiego wyrazu twarzach, przeprowadzających zmasowane ataki w obronie sułtana, czułem zaciskający się wokół mnie chłód pałacu.

Pomyślałem, że młodzietki Vlad Draculą byłby wspaniałym janczarem. Ale imperium nie skorzystało z tej możliwości. Vlad był za stary. Imperium musiałoby pojmać go w o wiele młodszym wieku i trzymać w niewoli w Azji Mniejszej. A tak w końcu oddali go jego ojcu. Książę stał się zbyt niezależnym renegatem wiernym tylko samemu sobie, i z równą łatwością zabijał zarówno swoich stronników, jak i tureckich wrogów.

Zupełnie jak Stalin - pomyślałem, sam zaskoczony nieoczekiwanym skrajaniem. Patrzyłem na połyskliwą toń Bosforu. Stalin umarł przed rokiem i do zachodniej prasy zaczęły przeciekać pierwsze wiadomości o dokonywanych przez niego okrucieństwach. Pamiętam artykuł o wiernym mu generale, którego tuż przed wybuchem wojny oskarżył o próbę zamachu stanu. W środku nocy wywleczono generała z domu i zawieszono głową do dołu na słupie trakcji elektrycznej na jednej z ruchliwych stacji podmoskiewskiej kolejki. Wisiał tam przez kilka dni, aż umarł. Wsiadający i wysiadający z pociągu pasażerowie dobrze widzieli generała, ale nikt nie popatrzył w jego stronę po raz drugi. Później okoliczni mieszkańcy nie potrafili powiedzieć, czy rzecz taka naprawdę się zdarzyła.

Tego typu niepokojące myśli towarzyszyły mi, gdy przechodziłem z jednej, urządzonej z przepychem, sali do następnej. Wszędzie wyczuwałem coś złowrogiego i zdrażliwego. Była to przytłaczająca aura najwyższej, autorytarnej władzy sułtana, władzy nie tyle skrywanej, co objawiającej się tymi właśnie wąskimi korytarzami, tajnymi przejściami, zakratowanymi oknami, otoczonymi krużgankami ogrodami. W końcu, szukając wytchnienia od wymieszanych ze sobą zmysłowości i uwięzienia, elegancji i ucisku, wyszedłem na zewnętrzny dziedziniec, porośnięty pławiącymi się w słonecznym blasku drzewami.

Ale tutaj zetknąłem się z najgorszymi upiorami przeszłości. Przewodnik ze szczegółami opisywał to miejsce kaźni, gdzie sułtani ścinali głowy najwyższym urzędnikom lub osobom, z którymi się nie zgadzali. Ich głowy były później nabijane na tyczki i wystawiane na widok publiczny. Tak więc sułtan i renegat z Wołoszczyzny niczym się od siebie zasadniczo nie różnili - pomyślałem, opuszczając z niesmakiem dziedziniec. Spacer po pobliskim parku ukoił nieco moje nerwy. Czerwony blask promieni stojącego nisko słońca, odbijających się w wodzie, i ciemna sylwetka statku płynącego Bosforem uświadomiły mi, że zapada zmierzch i powinienem wrócić do Helen. Zapewne miała już jakieś wiadomości od swej ciotki.

Czekała na mnie w holu. W ręku trzymała angielską gazetę.

»I jak wycieczka?« - zapytała, podnosząc wzrok.

»Okropna. Odwiedziłem pałac Topkapi«.

»O, przepraszam. Zupełnie o tym zapomniałam«. - Złożyła gazetę.

»Nie masz za co przepraszać. A co dzieje się w szerokim świecie?«

»Same okropne rzeczy - odparła, przeciągając palcem po tytułach. - Ale mam dla ciebie dobrą wiadomość«.

»Mówisz o swojej ciotce?« - Rozsiadłem się na rozchwievanym krześle obok niej.

»Oczywiście. I jak zwykle była fantastyczna. Jestem pewna, że kiedy już tam przyjedziemy, zjedzie mnie jak burą sukę. Ale to nieważne. Istotne jest to, że zgłosiła nas jako uczestników pewnej konferencji«.

»Konferencji?«

»Tak, bardzo ważnej konferencji. W tym tygodniu ma się odbyć w Budapeszcie międzynarodowe spotkanie historyków. Załatwiła nam zaproszenia i wizy. - Lekko się uśmiechnęła. - Najwyraźniej ciotka ma zaprzyjaźnionego historyka na uniwersytecie w Budapeszcie«.

»A jaki jest temat tej konferencji?«

»Kwestie robotnicze w Europie do tysiąc sześćsetnego roku«.

»Szeroki temat. A my wystąpimy tam jako specjaliści od Imperium Osmańskiego?«

»Jak na to wpadłeś, drogi Watsonie?«

»Na szczęście zwiedziłem dziś Topkapı«.

Helen przesłała mi uśmiech. Nie byłem pewien, czy złośliwy, czy aprobujący.

»Konferencja zaczyna się w piątek, tak więc będziemy mieli tylko dwa dni. W weekend wygłaszane będą referaty, w tym twój. Część niedzieli uczestnicy konferencji będą mogli poświęcić na zwiedzanie zabytków Budapesztu. Wtedy to spotkamy się z moją matką«.

»Co mam wygłosić?« - zapytałem, obrzucając Helen płonącym spojrzeniem. Ale ona z wdziękiem wsunęła za ucho niesforny kosmyk włosów i uśmiechnęła się do mnie niewinnie.

»Referat. Wygłosisz referat. To jedyny sposób, abyśmy dostali się na Węgry «.

»A o czym ma być ten referat?«

»O obecności Osmanów w Transylwanii i na Wołoszczyźnie. Moja ciotka włączyła go już w program konferencji. Referat nie musi być długi, bo tak naprawdę Turcy nigdy do końca nie podbili Transylwanii. To chyba dobry temat, gdyż oboje wyśmienicie znamy dzieje Vlady, a on, w swoich czasach, odegrał kluczową rolę w zmaganiach wojennych^

»Dobra jesteś - parsknąłem. - To ty chyba dobrze znasz ten temat. Chcesz, żebym stanął przed międzynarodowym gremium uczonych i zaczął im prawić o Draculi? Przypomnij sobie, że moja praca doktorska do-

lyczyła holenderskich gildii handlowych, a co więcej, nawet jej nie skończyłem. Dlaczego to nie ty wygłosisz odczyt?«

»Bo byłoby to śmieszne - odparła, składając ręce na gazetce. - Mnie już tam znają jak zły szeląg. Wszyscy mają dosyć moich badań. A Amerykanin doda trochę dodatkowego *eclat* zgromadzeniu i wszyscy będą mi wdzięczni za to, że cię tu sprowadziłam, chociaż w ostatniej chwili. (ioszcząc u siebie Amerykanina, gospodarze będą czuć się mniej skrepowani nędznym hotelem uniwersyteckim i puszgowanym grochem, który serwują zawsze podczas uroczystej kolacji na zakończenie kongresu. Pomogę ci przy tym referacie, a może nawet sama go napiszę, jeśli okażesz się aż tak niemiły. Wygłosisz go w sobotę. Ciotka wspominała coś o godzinie pierwszej po południu«.

Jęknąłem w duchu. Helen była najbardziej nieznośną osobą, jaką znałem. Dotarło do mnie, że obecność mojej osoby na kongresie może mieć większą wagę polityczną, niż się wydawało.

»Ale co Osmanowie na Wołoszczyźnie czy w Transylwanii mają wspólnego z kwestiami robotniczymi w Europie?«

»Oj, zawsze się coś znajdzie. To jest właśnie cały urok solidnej, marksistowskiej edukacji, która niestety ciebie ominęła. Uwierz mi, kwestię robotniczą znajdziesz tam w każdym podejmowanym temacie. Poza tym Imperium Osmańskie stanowiło wielką potęgę ekonomiczną, a Vlad niszczył ich szlaki handlowe, blokując dostęp do zasobów naturalnych w rejonie naddunajskim. Nie bój się, będzie to porywający referat«.

»Jezu słodki!« -jęknąłem.

»Tylko nie Jezus, proszę. Stosunki robotnicze«.

Nie byłem w stanie powstrzymać się od śmiechu, jak też nie mogłem odmówić sobie przyjemności popatrzenia w jej ciemne, świetliste oczy.

»Mam tylko nadzieję, że wieść o tym występie nie dotrze na mój macierzysty uniwersytet. Wyobrażam sobie reakcję komisji egzaminacyjnej zajmującej się moim doktoratem. Z drugiej strony, cała ta afeta setnie by rozbawiła Rossiego«.

Ponownie roześmiałem się, wyobrażając sobie złośliwy błysk w jasnoniebieskich oczach Rossiego. Natychmiast jednak przestałem się śmiać. Na myśl o moim promotorze odeszła mi cała wesołość. Poczulem bolesny skurcz serca. Znajdowałem się po drugiej stronie kuli ziemskiej, bardzo daleko od gabinetu, w którym widziałem go po raz ostatni. A co więcej, miałem wszelkie powody, by sądzić, że nigdy go już żywego nie

zobacze; zapewne nawet nigdy nie dowiem się, jaki spotkał go los. Słowo »nigdy« dłuższą chwilę dźwięczało mi w uszach, aż w końcu odepchnąłem od siebie te przykre myśli. Wybieraliśmy się na Węgry, by porozmawiać z kobietą, która kiedyś go знаła - łączył ich bardzo intymny związek - i znacznie wcześniej, nim ja go poznałem. Właśnie wówczas tak gorączkowo poszukiwał wszelkich śladów Draculi. Tego tropu nie wolno nam zignorować. Byłem zatem gotów za wszelką cenę dostać się na Węgry; nawet za cenę hochsztaplerskiego wykładu.

Helen w milczeniu bacznie mi się przyglądała, a ja, nie po raz pierwszy, odniosłem wrażenie, iż potrafi czytać w moich myślach. Potwierdziły to jej następne słowa:

»Warte jest to tej ceny, prawda?«

»Tak« - odrzekłem, odwracając głowę.

»To dobrze - powiedziała cicho. - A ja bardzo jestem rada, że poznasz moją ciotkę, która jest cudownym człowiekiem, i moją matkę, również cudowną, ale w inny sposób. I cieszę się, iż one poznają ciebie«.

Rzuciłem jej szybkie spojrzenie. Łagodny ton Helen sprawił, że ścisnęło mi się serce. Wyraz twarzy miała jednak twardy i nieustępliwy.

»Kiedy więc wyjeżdżamy?« - spytałem.

»Jutro rano dostaniemy wizy, a polecimy pojutrze, jeśli oczywiście będą bilety. Ciotka poleciła mi, abyśmy jutro stawili się w konsulacie węgierskim jeszcze przed jego otwarciem, o siódmej trzydzieści. Mamy zadzwonić do frontowych drzwi. Stamtąd udamy się bezpośrednio do biura podróży i zamówimy bilety. Jeśli ich nie będzie, pojedziemy pociągiem, ale to już byłaby długa podróż«.

Potrząsnęła głową, lecz ja doznałem nieoczekiwanej wizji huczącego, posuwającego się z łoskotem bałkańskiego pociągu, który mija jedno starodawne miasto za drugim i nagle, mimo że stracilibyśmy przez to wiele czasu, zapragnąłem, by zabrakło miejsc w samolocie.

»Czy mam rację, sądząc, że znacznie więcej cech odziedziczyłaś po swej ciotce niż po matce?«

I być może to marzenie o pędzącym pociągu sprawiło, że przesłałem Helen serdeczny uśmiech.

»I znów masz rację, Watsonie. Dzięki Bogu, jestem niezwykle podobna do ciotki. Ale moją matkę też bardzo polubisz... wszyscy ją lubią. A teraz zapraszam cię na kolację do wytwornej restauracji. Tam popracujemy nad referatem«.

»Z największą przyjemnością, ale pod warunkiem, że wokół nie będą się kręcić Cyganki«.

Podał jej szarmancko ramię, które chętnie przyjęła. Kiedy szliśmy zalewanymi złocistym blaskiem zachodzącego słońca bizantyjskimi ulicami, nasza refleksja, że nawet w najdziwaczniejszych okolicznościach, w najtrudniejszych chwilach naszego życia, mimo wielkiego oddalenia od domu i znanego świata, bywają chwile niezaprzeczalnej radości".

W słoneczny poranek, jaki powstał nad Boulois, Barley i ja wsiedliśmy do pociągu zmierzającego do Perpignan.

38

„Piątkowy samolot ze Stambułu do Budapesztu był w połowie pusty. Kiedy zajęliśmy miejsca wśród przybranych w czarne garnitury tureckich biznesmenów, hałaśliwych, węgierskich urzędników w szarych marynarkach, starych kobiet w niebieskich płaszczach i szalach na głowach - czy leciały do Budapesztu do pracy jako sprzątaczkę, czy powydawały tam córki za męża? - pomyślałem z żalem, że czeka nas tylko krótki lot, zamiast ciekawej wycieczki pociągiem.

Na podróż torami ciągnącymi się przez góry, lasy i skrajem urwisk, po przerzuconych przez rzeki mostach, migające za oknem starodawne, feudalne miasteczka, jak sama najlepiej wiesz, musiałem poczekać jeszcze kilka ładnych lat. Później trasę tę przebyłem pociągiem dwukrotnie. Jest dla mnie coś niebywale tajemniczego w takiej podróży, kiedy człowiek przemieszcza się ze świata islamskiego w chrześcijański, z Imperium Osmańskiego do Austro-Węgier, od muzułmanów do chrześcijan i protestantów. Istnieje gradacja miast, architektury, stopniowy zanik minaretów (ja rzecz kopuł kościelnych, widoku lasów i rzek, tak że w pewnej chwili Człowiek zaczyna czytać w samej naturze przepojonej historią. Czy ramię tureckiego wzgórze odbiega wyglądem od zbiegającej stokiem węgierskiej łąki? Na pierwszy rzut oka nie, ale istniejących różnic tych nie można nie zauważyć, tak jak i wyrzucić z umysłu historii tych krain. Później, bod różując tą trasą, widziałem wszystko na przemian raz w łagodnych, pumych barwach, raz skąpane we krwi - to kolejna sztuczka historyczne-

go widzenia świata, bezlitośnie rozdartego między dobrem a złem, wojną i pokojem. Ilekroć wyobrażałem sobie najazd otomanów na krainy nad-dunajskie czy wcześniejsze wtargnięcie ze wschodu hord Hunów, zawsze miały mną sprzeczne uczucia: z jednej strony widziałem oczyma duszy odciętą głowę wwożoną z rykiem triumfu i nienawiści do obozowiska, a z drugiej turecką staruszkę, która czule ubiera wnuczka w cieplejsze ubranie, gładzi go po twarzy i sprawdza, czy jedzenie nie jest za gorące.

Ale wszystkie te refleksje stanowiły dla mnie jeszcze przyszłość, i podczas naszej podróży samolotem żałowałem tylko rozciągających się w dole widoków, nie wiedząc, jakie naprawdę są ani do jakich rozmyślań w przyszłości mnie skłonią. Helen bardziej zaprawiona w takich wyprawach, które nie robiły na niej większego wrażenia, po prostu usnęła. Przez dwa wieczory, do późnych godzin nocnych, przy restauracyjnym stoliku w Stambule, pisaliśmy mój referat na konferencję w Budapeszcie. Musiałem przyznać, że moja wiedza o walkach Włada z Turkami wzrosła niepomiernie, lecz wciąż było tego mało. Miałem nadzieję, że z sali nie posypią się pytania dotyczące moich na wpół wyuczonych wiadomości. Pozostawałem pod wrażeniem ogromu wiedzy, jaką Helen samodzielnie zdobyła o Draculi, kierowana jedynie zwodniczą nadzieją, że kiedyś weźmie na ojcu srogi odwet. Kiedy jej głowa opadła mi na ramię, pozwoliłem, by tak spoczywała, a jednocześnie starałem się nie wdychać zapachu... węgierski szampon?... jej włosów. Helen była bardzo zmęczona. Siedziałem sztywno wyprostowany, kiedy spała.

Budapeszt, oglądany z okien taksówki, którą jechaliśmy z lotniska, wywarł na mnie kolosalne wrażenie. Helen wyjaśniła mi, że zatrzymamy się w hotelu nieopodal uniwersytetu, po wschodniej stronie Dunaju, w Peszcie. Nieoczekiwanie zwróciła się do kierowcy z prośbą, by przejechał z nami trochę wzdłuż rzeki, zanim wysadzi nas przed hotelem. Najpierw jechaliśmy jeszcze pełnymi dostojeństwa, dziesiętnasto- i dwudziestowiecznymi ulicami, wzdłuż których ciągnęły się budynki stanowiące wprost fantazję *art nouveau* lub olbrzymie, niewiarygodnie wiekowe drzewa, a następnie otworzył się przed nami widok na Dunaj. Był olbrzymi - nie spodziewałem się takiego ogromu. Jego brzegi spinały trzy wielkie mosty. Po naszej stronie rzeki kłuły niebo nieprawdopodobne, strzeliste, neogotyckie wieże i majaczyła kopuła budynku parlamentu. Po drugiej stronie rzeki wznosiły się, pośród zieleni drzew, ogromne mury zamku królewskiego i wieże średniowiecznych kościołów. Sama;

rzeka była szeroka, szarzielona, jej toń, marszczona lekkimi podmuchami wiatru, lśniła w promieniach słońca. A nad kopułami, budynkami i świątyniami rozciągało się bezkresne, niebieskie niebo, nadając wodzie różnorodne barwy.

Spodziewałem się, że uroda Budapesztu zaskoczy mnie, że będę to miasto podziwiać. Nie spodziewałem się jednak, iż wzbudzi we mnie również zgrozę i strach. Odniosłem wrażenie, że miasto to przyjęło cechy wszystkich najeźdźców i sprzymierzeńców, zaczynając od Rzymian, a kończąc na Austriakach (albo też na Sowiech - pomyślałem, przypominając sobie gorzkie uwagi Helen), a jednocześnie całkowicie się od nich różniło. Nie było ani Zachodem, ani Wschodem jak Stambuł, ani też, ze względu na gotycką architekturę, nie należało do północnej Europy. Uwięziony w ciasnocie taksówki podziwiałem cały splendor miasta. Helen również wyglądała przez okno, choć po chwili odwróciła się w moją stronę. Musiała zobaczyć malujący się na mej twarzy zachwyt i podniecenie, gdyż wybuchnęła dźwięcznym śmiechem.

»Widzę, że podoba ci się nasze małe miasteczko - powiedziała / lekka ironia, pod którą jednak wyczułem rozpierającą ją dumę. Nieoczekiwanie zniżyła głos. - Czy wiesz, że Dracula jest tutaj jednym z naszych? W roku tysiąc czterysta sześćdziesiątym drugim został uwięziony przez króla Macieja Korwina w odległości trzydziestu kilometrów od Uudy*, gdyż zagrażał interesom Węgier w Transylwanii. Korwin traktował go jednak bardziej jak gościa niż więźnia i dał mu za żonę kobietę pochodzącą z węgierskiego rodu królewskiego, choć nikt dokładnie nie wie, kim była ta druga żona Draculi. Okazując swą wdzięczność, Wład przeszedł na wiarę katolicką i małżonkom zezwolono zamieszkać na jakiś czas w Peszcie. A kiedy tylko Dracula został wypuszczony na wolność...«

»Pozwól, że sam dopowiem. Natychmiast udał się na Wołoszczyznę, tam najszybciej, jak zdołał, przejął tron i wyrzekł się katolicyzmu«.

»Generalnie masz rację - przyznała. - Zaczynasz rozumieć naszego przyjaciela. Jego największym pragnieniem było przejęcie i utrzymanie wołoskiego tronu«.

Taksówka stanowczo za wcześnie zatoczyła pętlę i wróciła do starej, oddalonej od rzeki części Pesztu. Tam jednak odkryłem nowe cuda, na

* Tak naprawdę to w lochach zamku królewskiego w samej Budzie.

których widok dosłownie zaparło mi dech: zdobione balkonami kawiarnie imitujące chwałę Egiptu i Asyrii, przelewające się ulicami tłumy przechodniów, las żelaznych ulicznych latarni, mozaiki, postacie aniołów i świętych, królów i cesarzy kute w marmurze i brązie, skrzypkowie w białych koszulach grający na rogach ulic.

»Jesteśmy na miejscu - oświadczyła nieoczekiwanie Helen. - To dzielnica uniwersytecka. Tam znajduje się biblioteka. - Wyciągnąłem szyję, by popatrzeć na ładny, klasyczny budynek z żółtego kamienia. - W wolnej chwili zwiedzimy ją... i tak zresztą muszę coś w niej sprawdzić. A to nasz hotel, tuż za *Magyar utca* - za ulicą Węgierską. Zresztą wystaram ci się o plan miasta, żebyś nie musiał błądzić«.

Szofer postawił nasze bagaże przy eleganckiej, patrycjuszowskiej fasadzie budynku z szarego kamienia. Podałem Helen dłoń, pomagając jej wsiąść z samochodu.

»Wiedziałam od początku - burknęła. - Zawsze uczestników konferencji kwaterują w tym hotelu«.

»Wygląda całkiem sympatycznie« - bąknąłem.

»O, nie jest tak źle - odparła z przekąsem. - Polubisz szczególnie panujący tam chłód, zimną wodę w kranach i puszkowane fabrycznie jedzenie« - odparła, wręczając kierowcy zapłatę za kurs.

»Myślałem, że węgierskie jedzenie jest przepyszne. Tak wszyscy mówią. Gulasz, papryka, te rzeczy«.

Helen wywróciła oczyma.

»Wszyscy, mówiąc o Węgrzech, wspominają o gulaszu. Podobnie jak z Transylwanią - wymienisz tę nazwę, a wszyscy wspominają Draculę. - Roześmiała się. - Nie zwracaj uwagi na hotelowe jedzenie. Poczekaj, aż spróbujesz kuchni mojej ciotki lub matki. Wtedy dopiero podyskutujemy o węgierskim jedzeniu«.

»Sądziłem, że są Rumunkami« - odparłem i natychmiast pożałowałem swych słów. Twarz Helen stężała.

»Możesz sobie sądzić, co chcesz, jankesie« - powiedziała oziębło i sięgnęła po swoją walizkę, zanim zdążyłem zaoferować jej pomoc.

Hol był pusty i chłodny. Jego ściany pokrywały marmury i złocenia pochodzące z lepszych czasów. Ogólnie jednak wewnątrz sprawiało miłe wrażenie i doprawdy Helen nie miała się czego wstydzić. W chwilę później dopiero uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy jestem w komunistycznym kraju. Nad recepcją wisiały na ścianie portrety przywódców

państwowych, a uniformy personelu były ciemnoniebieskie i cokolwiek proletariackie w kroju i wyglądzie. Helen zameldowała nas i wręczyła mi klucz do pokoju.

»Ciotka wspaniale wszystko załatwiła - powiedziała z nutą satysfakcji w głosie. - Zostawiła też wiadomość, że przyjedzie tu o dziewiętnastej, by zabrać nas na kolację. Ale najpierw musimy zameldować się na konferencji. O siedemnastej nastąpi oficjalne powitanie uczestników«.

Rozczarowała mnie trochę wiadomość, że ciotka Helen nie zabierze nas do siebie na domową, węgierską kolację, gdzie mógłbym przy okazji zobaczyć, jak żyją w tym kraju elity urzędnicze. Natychmiast jednak uprzytomniłem sobie, że w końcu jestem Amerykaninem i nie każde drzwi muszą stać przede mną otworem. Mogłem okazać się gościem niebezpiecznym, a w najlepszym razie kłopotliwym. Tak więc powinienem siedzieć cicho jak mysz pod miotłą i sprawiać gospodarzom jak najmniej kłopotów. Cieszyłem się, że jestem w tym kraju i ostatnia rzecz, jakiej chciałem, to sprowadzić na głowy Helen i jej rodziny przykrości.

Mój pokój okazał się czysty i duży, z kilkoma niepasującymi do całości elementami dawnego przepychu. W górnych rogach pokoju widniały rzeźby pulchnych, złożonych cherubinków, a umywalka miała kształt wielkiej, morskiej muszli. Umyłem w niej ręce i spoglądając w lustro, zaczesłem włosy. Odrywając wzrok od wdzięczących się *putti*, zerknąłem na wąskie, schludnie zaścielone łóżko, przypominające bardziej wojskową pryczę. Tym razem mój pokój znajdował się na innym piętrze niż pokój Helen - przezorność jej ciotki? - ale przynajmniej zostawały mi na osłodę niemodne amorki oraz austro-węgierskie wieńce i girlandy.

Helen czekała na mnie w głównym holu i bez słowa wyprowadziła przez wielkie, hotelowe drzwi na szeroką ulicę. Znów miała na sobie jasnoniebieską bluzkę -ja po podróży wyglądałem cokolwiek niechlujnie, podczas gdy ona była odświeżona i w wyprasowanym ubraniu - a włosy upięła na karku w zgrabny węzeł. W drodze na uniwersytet milczała zatopiona we własnych myślach. Nie śmiałem o nic pytać, ale niebawem ona sama przerwała ciszę.

»To dziwne uczucie wrócić tu tak nagle« - powiedziała, odwracając twarz w moją stronę.

»W dodatku z dziwnym Amerykaninem?«

»W dodatku z dziwnym Amerykaninem« - odparła tonem, który nie zabrzmiał jak komplement.

Uniwersytet tworzyły okazałe budynki, niektóre z nich przypominały sympatyczną bibliotekę, którą widzieliśmy wcześniej. Poczulem osobliwe drżenie, kiedy Helen wskazała mi cel naszej wędrówki: rozległą, klasyczną budowlę otoczoną na wysokości pierwszego piętra kamiennymi posągami. Zadarłem głowę, by odczytać niektóre imiona napisane po węgiersku: Plato, Descartes, Dante. Wszystkie postaci miały na głowach laurowe wieńce i spowijały je klasyczne szaty. Pozostałe posągi były mi mniej znane: Istvan Szent, Corvinus Matyas, Janos Hunyady. Wszyscy dzierżyli berła lub nosili korony.

»Kogo przedstawiają posągi?« - zapytałem Helen.

»Powie ci jutro - odparła. - Teraz się pospieszmy. Już po piątej«.

Wkroczyliśmy do głównego holu. Dostrzegłem kilkunastu młodych i wyraźnie ożywionych ludzi, z pewnością studentów. Wspięliśmy się po schodach na pierwsze piętro i weszliśmy do rozległej sali. Na chwilę skurczył mi się żołądek. Miejsce wypełnione było profesorami w czarnych, szarych bądź tweedowych garniturach i przekrzywionych krawatach (to muszą być profesorowie - przekonywałem sam siebie), którzy zajadali z małych talerzyków czerwoną paprykę z białym serem, krzepiąc się czymś, co pachniało jak silny medykament. Wszyscy są historykami - pomyślałem i aż jęknąłem w duchu. Mimo że pozornie byłem jednym z nich, kurczyło mi się z bojaźni serce. Helen natychmiast otoczył wianuszek kolegów i znajomych. Dostrzegłem, iż w przyjacielskim geście potrząsa dłońią mężczyzny z białą czupryną ufryzowaną *a la pompadour*, co przypominało pudła. Postanowiłem właśnie podejść do okna i udawać, że podziwiam wspaniałą fasadę mającego za szybą kościoła, kiedy Helen złapała mnie za łokieć - czy był to z jej strony rozsądny gest? - i pociągnęła za sobą w tłum.

»To jest profesor Sandor, dziekan wydziału historycznego uniwersytetu w Budapeszcie, a jednocześnie wybitny mediewista« - przedstawiła białego pudła, a ja pośpiesznie wymieniłem swoje imię i nazwisko.

Profesor Sandor zgniół mi dłoń w żelaznym uścisku i oświadczył, że to wielki honor gościć mnie na tej konferencji. Przez chwilę zastanawiałem się, czy jest bliskim znajomym tajemniczej ciotki. Ku memu zdziwieniu mówił poprawną, choć powolną angielszczyzną.

»Cała przyjemność po naszej stronie - zapewnił mnie gorąco. - Z niecierpliwością czekamy na pański jutrzejszy wykład«.

Unikając wzroku Helen, odwzajemniłem się stwierdzeniem, że udział w konferencji to dla mnie wielki zaszczyt.

»Wyśmienicie! - zagrział profesor Sandor. - Darzymy ogromnym respektem uniwersytety w pańskim kraju. Niech nasze dwa kraje zawsze żyją w pokoju i przyjaźni. - Wzniósł na moją cześć toast kieliszkiem wypełnionym trunkiem o zapachu medykamentu. Natychmiast odwzajemniłem jego gest, gdyż w sposób wręcz magiczny taki sam kieliszek znalazł się nagle w mojej dłoni. - Pragniemy jak najbardziej uprzyjemnić panu pobyt w naszym ukochanym Budapeszcie. Proszę tylko bez skrepowania wyrażać swoje życzenia«.

Jego ciemne oczy, błyszczące młodzieńczym blaskiem w podstarzałej twarzy i osobliwie kontrastujące z gęstą, białą czupryną przypomniały mi Helen. Odniosłem nagle wrażenie, że polubię tego człowieka.

»Dziękuję, profesorze« - powiedziałem szczerze i Węgier klepnął mnie wielką dłonią w plecy.

»A teraz proszę się ugościć. Proszę jeść, pić, a w międzyczasie utniemy sobie pogawędkę«.

Jednak po tych słowach natychmiast zniknął w tłumie, by pełnić swoje inne, rozliczne obowiązki. Natychmiast otoczyli mnie pracownicy wydziału i goszczący na konferencji naukowcy, z których niejeden był młodszy ode mnie. Tłocząc się wokół mnie i Helen, zasypali nas gradem pytań. Mówili po niemiecku, po francusku i w jakimś innym języku, zapewne rosyjskim. Byli tak bardzo ożywieni, serdeczni i przyjacielscy, że stopniowo zaczęło opuszczać mnie zdenerwowanie. Helen przedstawiała mnie z wdziękiem, lecz bez poufałości, wyjaśniając jednocześnie istotę naszych wspólnych badań, mających zaowocować obszerną publikacją w jednym z amerykańskich czasopism naukowych. Otaczali ją pełni entuzjazmu ludzie, zadając wiele pytań po węgiersku. Kiedy ścisłała im dłonie, a niektórych dawnych współpracowników całowała jowialnie w policzki, na twarz wystąpiły jej rumieńce. Najwyraźniej nikt o niej tu nie zapomniał. Zresztą jak ktokolwiek mógł to zrobić? - błysnęła mi myśl. Zauważyłem, że na sali przebywa sporo kobiet, starszych lub młodszych od niej, lecz ona wszystkie je przyćmiewa swoją osobą. Była wyższa, bardziej światowa, pewniejsza siebie, o szerokich ramionach i szlachetnym kształcie głowy, na jej twarzy malował się wyraz pewności siebie i lekkiego dystansu. Ognisty trunek zaczynał już krążyć mi w ży-

łach, więc by nie patrzeć na Helen, zwróciłem się do jednego z pracowników wydziału.

»Czy często organizujecie tu takie konferencje?« - Sam właściwie nie wiedziałem, o co pytam, ale musiałem coś powiedzieć, by oderwać wzrok od Helen.

»O tak - odparł z dumą mój rozmówca. Był niskim człowiekiem około sześćdziesiątki, w szarej marynarce i szarym krawacie. - Na naszym uniwersytecie odbywa się wiele międzynarodowych imprez tego typu, zwłaszcza teraz«.

Zamierzałem właśnie zapytać go, co rozumie przez »zwłaszcza teraz«, lecz nieoczekiwanie zmaterializował się profesor Sandor, prowadząc ze sobą przystojnego mężczyznę, który najwyraźniej pałał chęcią poznania mnie.

»Pragnę przedstawić panu profesora Józsefa Gezę. Bardzo chce zawrzeć z panem znajomość«.

W tej samej chwili popatrzyła w naszą stronę Helen i ku swemu zdziwieniu zauważyłem na jej twarzy wyraz wielkiego niezadowolenia - wręcz odrazy? Natychmiast, jakby idąc mi z odsieczą, ruszyła w naszą stronę.

»Jak się masz, Geza?« - powiedziała, potrząsając chłodno i z rezerwą jego dłoń, zanim ja sam zdążyłem przywitać się z nowym znajomym.

»Miło cię znów widzieć, Elena« - odparł profesor Geza, składając lekki ukłon.

Wyczułem w jego głosie jakiś osobliwy ton. Było w nim trochę szyderstwa, ale też wiele innych emocji. Przez chwilę zastanawiałem się, czy rozmawiają po angielsku jedynie przez wzgląd na moją obecność.

»Też cieszę się, że cię widzę - odparła bezbarwnym głosem. - Pozwól, że przedstawię ci mego kolegę, z którym razem pracujemy w Ameryce...«

»Miło mi pana poznać« - powiedział z czarującym uśmiechem na przystojnej twarzy.

Był wyższy ode mnie, miał gęste, kasztanowe włosy i pewność siebie człowieka najgłębiej przekonanego o swej męskości. Pomyślałem, że wspaniale prezentowałby się na końskim grzbiecie, pędząc przez równiny i gnając przed sobą stada owiec. Uścisnął mi serdecznie dłoń, a drugą ręką, w koleżeńskim geście, siarczyście wyrznął w ramię. Nie rozumiałem, dlaczego Helen uważała go za odrażającego typu, ale wyraźnie widziałem, że tak dokładnie go traktuje.

»Jutro wygłosi pan referat? To dla nas honor... - Urwał na chwilę. - Mój angielski nie jest najlepszy. Może woli pan przejść na francuski lub niemiecki?«

»Jestem przekonany, że pański angielski jest znacznie lepszy niż mój francuski lub niemiecki« - odparłem szybko.

»Bardzo pan uprzejmy. - Jego uśmiech przypominał ukwieconą łąkę. - Rozumiem, że pańskie zainteresowania koncentrują się wokół dominacji Osmanów w Karpatach?«

Wieści rozchodzą się tu równie szybko jak u nas - pomyślałem.

»To prawda - przyznałem. - Niemniej jestem pewien, że na waszej uczelni pogłębię swoją wiedzę.«

»Na pewno nie - mruknął uprzejmie. - Ale ja studiowałem trochę ten temat i z największą chęcią przedyskutuję z panem kilka kwestii.«

»Profesor Geza ma bardzo szerokie zainteresowania« - włączyła się nieoczekiwanie do rozmowy Helen.

Ton jej głosu mógłby zmrozić w żyłach krew. Cała sytuacja stanowiła dla mnie zagadkę i dopiero po chwili uprzytomniłem sobie, że na wszystkich uniwersyteckich wydziałach trwała między pracownikami nieustanna, podziemna wojna, a budapeszteńska uczelnia nie stanowiła w tym wypadku wyjątku. Zanim wymyśliłem jakąś dyplomatyczną odpowiedź, Helen gwałtownie odwróciła się w moją stronę.

»Profesorze, czeka nas jeszcze kolejne spotkanie« - powiedziała, a ja przez chwilę nie miałem pojęcia, o czym mówi. Ujęła mnie energicznie pod ramię.

»Rozumiem, jesteście państwo bardzo zajęci - oświadczył z wyraźnym żalem profesor Geza. - Porozmawiamy zatem o kwestiach tureckich innym razem. Z największą chęcią oprowadziłbym pana po naszym mieście, profesorze. Moglibyśmy razem zjeść lunch...«

»Profesor będzie bez reszty zajęty sprawami związanymi z konferencją« - odrzekła Helen.

Uścisnąłem rękę mężczyzny na tyle ciepło, na ile pozwalał mi lodowaty wzrok Helen. Następnie profesor Geza ujął jej dłoń.

»Z jaką radością znów cię widzę w ojczyźnie« - oświadczył, nisko się skłonił i pocałował ją w dłoń.

Helen szybko cofnęła rękę, a na jej twarzy pojawił się dziwny grymas. W jakiś sposób gest mężczyzny poruszył ją do głębi - pomyślałem

i w jednej chwili straciłem całą sympatię do czarującego, węgierskiego

historyka. Helen ponownie zaprowadziła mnie do profesora Sandora, gdzie przeprosiliśmy, że musimy wcześniej opuścić spotkanie, wyrażając jednocześnie wielką radość z uczestnictwa w konferencji następnego dnia.

»A my z niecierpliwością będziemy oczekiwać pańskiego wykładu«.

Ujął moją rękę w obie dłonie i przyjacielsko ją uściśnął. Węgrzy to jednak bardzo serdeczni ludzie - pomyślałem z uczuciem, które tylko częściowo było wynikiem krążącego w mych żyłach mocnego, aromatycznego trunku. Dopóki nie myślałem o czekającym mnie wykładzie, czułem się mile rozluźniony. Helen ujęła mnie pod ramię, a ja odniosłem wrażenie, że przed wyjściem obrzuciła salę czujnym spojrzeniem.

»O co w tym wszystkim chodziło? - Wieczorne powietrze było rozkosznie chłodne, a ja tryskałem energią jak nigdy dotąd. - Twoi rodacy to najserdeczniejsi ludzie, jakich spotkałem w życiu, lecz odniosłem wrażenie, że profesorowi Gezie najchętniej obciąłabyś głowę«.

»Oczywiście - warknęła. - Jest nadznośny«.

»Raczej nieznośny - poprawiłem. - Dlaczego potraktowałaś go w taki sposób? Przywitał cię jak dawną przyjaciółkę«.

»Generalnie jest w porządku, z tym tylko, że to sęp. Wampir... - Urwała i popatrzyła na mnie wielkimi oczyma. - Znaczy - nie...«

»Wiem, wiem. Dobrze przypatrzyłem się jego zębom«.

»Ty też jesteś nieznośny« - burknęła, wysuwając mi spod ramienia rękę.

»Nie mam nic przeciwko temu, żebyś trzymała mnie pod rękę - powiedziałem z niejakim żalem - ale nie powinnaś robić tego na oczach całego uniwersytetu«.

Przystanąła i obrzuciła mnie mrocznym spojrzeniem, z którego nie potrafiłem nic wyczytać.

»Już ty się niczym nie martw. Na sali nie ma nikogo z wydziału antropologii[^]

»Jednak znasz wielu historyków, a ludzie lubią gadać« - upierałem się przy swoim.

»Ale nie tu. - Parsknęła urywanym, suchym śmiechem. - Tutaj wszyscy jesteśmy towarzyszami pracy. Żadnych plotek, żadnych konfliktów - tylko dialektyka. Jutro sam się o tym przekonasz. To naprawdę coś w rodzaju małej utopii«.

»Helen -jęknąłem. - Czy możesz choć raz być poważna? Naprawdę

zależy mi na twojej reputacji tutaj... politycznej reputacji. Ostatecznie pewnego dnia będziesz musiała tu wrócić i ponownie mieć do czynienia

z tymi wszystkimi ludźmi«.

»Naprawdę muszę wracać? - Znów wzięła mnie pod rękę, a ja nie zaprotekowałem. Niewiele istniało na świecie rzeczy, które cenilibym wyżej od czarnego rękawa jej żakietu ocierającego się o mój łokieć. - Niemniej było to tego warte. Geza tylko zgrzytał zębami... to znaczy - kłami«.

»Dziękuję« - bąknąłem, gdyż sam sobie nie dowierzałem i bałem się powiedzieć coś więcej.

Jeśli zamierzała wzbudzić czyjąś zazdrość, to w stosunku do mnie sztuka ta wychodziła jej znakomicie. Nieoczekiwanie oczyma duszy ujrzałem ją w silnych ramionach Gezy. Czy przed opuszczeniem przez nią Budapesztu łączył ich romans? Bardzo do siebie pasowali - błysnęła mi myśl. Oboje przeświadczeni o swej urodzie, oboje wysocy i o wdzięcznych sylwetkach, ciemnoocy, przepelnieni siłą i energią. Poczulem się nagle drobnym, słabowitym Amerykaninem, niedorównującym w niczym jeźdźcom przemierzającym konno bezkresne stopy. Wyraz twarzy Helen zniechęcił mnie do dalszych pytań i musiałem zadowolić się jedynie ciężarem jej ręki spoczywającej na moim ramieniu.

Stanowczo zbyt szybko dotarliśmy do złożonych drzwi prowadzących do hotelu i pogrążonej w ciszy recepcji. Kiedy weszliśmy do środka, ujrzeliśmy samotną postać stojącą wśród obitych skórą foteli i zasadzonych w donicach palm. Kobieta czekała cierpliwie na nasze nadejście. Helen wydała cichy okrzyk i jak szalona ruszyła przed siebie z wyciągniętymi ramionami.

»Eva!«"

39

„Od czasu, kiedy poznałem ciotkę Helen, Evę - a widziałem ją tylko trzy razy; za drugim i trzecim zaledwie przelotnie - wielokrotnie o niej myślałem. Istnieją ludzie, których po krótkiej znajomości pamiętam lepiej niż osoby przez długi czas spotykane codziennie. Ciotka Eva należała do tych barwnych postaci, które w mej pamięci i wyobraźni przeżywały ponad dwadzieścia lat, nie tracąc nic ze swego kolorytu. Często

wiele cech jej charakteru odnajdywałem później u bohaterek czytanych przeze mnie książek lub w postaciach historycznych. Automatycznie pojawiła mi się przed oczyma, kiedy czytałem o pani Merle, przystojnej intrygantce z powieści Henry'ego Jamesa *Portret damy*.

W rzeczywistości ciotka Eva zlała się w mych wspomnieniach z tyłoma niebezpiecznymi, wytwornymi i subtelnymi postaciami kobiecymi, że trudno mi jest czasami, kiedy sięgam pamięcią wstecz, określić, jaka była naprawdę tamtego wczesnego, letniego wieczoru w Budapeszcie w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym. Pamiętam, że Helen jak szalona ruszyła w jej stronę z wyciągniętymi ramionami, podczas gdy Eva stała bez ruchu, opanowana i wyniosła. Objęła siostrzenicę i hałaśliwie ucałowała ją w oba policzki. Gdy Helen odwróciła się w moją stronę, by przedstawić mnie ciotce, w oczach obu kobiet zauważyłem łzy.

»Evo, poznaj mego amerykańskiego kolegę, o którym ci już mówiłam... Paul, to moja ciocia, Eva Orban«.

Nie podnosząc wzroku, uściśnałem jej dłoń. Pani Orban była wysoką, bardzo elegancką niewiastą około pięćdziesiątki. Urzekło mnie niesamowite podobieństwo między tymi kobietami. Wyglądały jak siostry - jedna starsza, druga znacznie młodsza - a nawet jak bliźniaczki, z tym że jedna przedwcześnie postarzała się poprzez burzliwe koleje życia, podczas gdy druga w magiczny sposób zachowała młodość i świeżość. Ciotka, odrobinę niższa od siostrzenicy, miała tę samą silną i pełną wdzięku sylwetkę. Kiedyś zapewne przewyższała urodą nawet Helen, lecz i dzisiaj pozostawała niebywale powabną niewiastą. Zauważyłem taki sam jak u jej siostrzenicy prosty, długi nos, wydatne kości policzkowe i pełne zadumy, ciemne oczy. Zaskoczył mnie kolor jej włosów i dopiero po dłuższej chwili zrozumiałem, że nie jest to ich naturalna barwa. Były ogniście purpurowe z siwymi odrostami na czubku głowy. Podczas następnych dni spędzonych w Budapeszcie spotkałem wiele kobiet ufarbowanych podobnie, ale tamten pierwszy raz bardzo mnie zaskoczył. Nosila małe, złote kolczyki i ciemną garsonkę, taką samą jak Helen, a pod zakietem czerwoną bluzkę.

Po przywitaniu ciotka Eva popatrzyła uważnie, prawie taksująco w moją twarz. Może szuka we mnie oznak jakiejś słabości charakteru, by ostrzec siostrzenicę - pomyślałem absurdalnie. Szybko jednak sam się zbeształem w duchu. Niby dlaczego miałyby traktować mnie jak starającego się o rękę Helen? Zauważyłem delikatną siatkę zmarszczek wo-

kół jej oczu i kącików ust, kiedy po dłuższej chwili przesłała mi lekki, osobliwy uśmiech. Przestałem się już dziwić, że udało się jej w ostatniej chwili dołączyć nasz referat do programu konferencji i załatwić wizy. Promieniującą z kobiety inteligencję można było porównać jedynie z jej olśniewającym uśmiechem. Podobnie jak Helen, miała równe, zadziwiająco białe zęby, co, jak zauważyłem, nie było cechą często spotykaną u Węgrów.

»Bardzo miło mi panią poznać - powiedziałem. - Jestem niezmiernie wdzięczny, że umożliwiła mi pani uczestniczenie w tej konferencji«.

Ciotka Eva wybuchnęła perlстым śmiechem, a ja pomyślałem, że niewłaściwie ją oceniłem, traktując jako osobę wyniosłą i pełną rezerwy. Z jej ust popłynął potok węgierskich słów, zupełnie jakby spodziewała się, że cokolwiek z tego zrozumie. Natychmiast z odsieczą pospieszyła mi Helen.

»Ciocia Eva nie zna angielskiego - wyjaśniła - choć rozumie z niego więcej, niż się do tego przyznaje. Starsi ludzie znają tu niemiecki i rosyjski, czasami francuski, lecz angielski jest rzadkością. Będę ci służyć za tłumacza. Cicho... - Serdecznym gestem położyła dłoń na ramieniu ciotki i powiedziała coś po węgiersku. - Mówi, że serdecznie cię wita i ma nadzieję, że nie spotkają cię w tym kraju żadne nieprzyjemności. Ostatecznie kwestia twego udziału w konferencji oparła się o samego podsekretarza stanu do spraw wizowych. Spodziewa się, iż zaprosisz ją na swój wykład - którego i tak nie zrozumie, ale chodzi tu o zasadę - a poza tym musisz jej dokładnie opowiedzieć o swoim uniwersytecie, o tym, czy ja zachowuję się w Ameryce właściwie, i o kuchni swojej matki. Na inne pytania przyjdzie czas później«.

Popatrzyłem na nie lekko oszołomiony. Obie wspaniałe kobiety spoglądały na mnie z uśmiechem. Zauważyłem lustrzane wręcz odbicie cechującej Helen ironii w twarzy jej ciotki, choć z drugiej strony Helen najwyraźniej przejęła po Evie promienny uśmiech. Doprawdy trudno byłoby wystrychnąć na dudka kogoś tak rozgarniętego i bystrego jak Eva Orban. Ostatecznie przebyła długą drogę z nic nieznaczącej, rumuńskiej wioski, do najwyższych stanowisk w węgierskim rządzie.

»Z największą przyjemnością zaspokoję ciekawość twojej cioci - odrzekłem. - Powiedz jej, że specjalnością mojej matki są klopsy z makaronem i serem«.

»Klopsy. - Wyjaśnienie moich słów przez Helen sprawiło, iż na twa-

rzy jej ciotki zagościł szeroki uśmiech. - Ciotka prosi, byś przekazał swojej mamie w Ameryce jej pozdrowienia i gratulacje, że ma tak sympatycznego syna. - Kompletnie zbity z tropu, oblałem się gorącym rumieńcem, lecz obiecałem, że przekażę matce słowa Evy. - A teraz zabierze nas do restauracji, gdzie poznasz prawdziwą kuchnię dawnego Budapesztu«.

W kilka chwil później siedzieliśmy już w prywatnym samochodzie Evy - swoją drogą nie było to bynajmniej proletariackie auto - a Helen, przy aprobacie swej ciotki, informowała mnie o mijanych przez nas okolicach. Powiniennem tu wspomnieć, że podczas naszych spotkań ciotka Helen ani razu nie odezwała się po angielsku, lecz odniosłem wrażenie, iż chodziło tu tylko o zasadę - antyzachodni protokół? - i o nic więcej. Kiedy wymieniałem z Helen uwagi, ciotka najwyraźniej dobrze wiedziała, o czym mówimy, zanim jeszcze siostrzenica przetłumaczyła nasze słowa. Było to tak, jakby Eva składała lingwistyczną deklarację, że do spraw Zachodu należy podchodzić z wielkim dystansem, nawet z odrazą, lecz poszczególni przedstawiciele tamtych regionów świata są całkiem do przyjęcia i zasługują na to, by okazać im węgierską gościnność. W końcu przyzwyczaiłem się do rozmowy z nią za pośrednictwem Helen tak bardzo, że prawie zacząłem rozumieć ich obco brzmiącą dla mnie mowę.

Pewne rzeczy jednak nie wymagały tłumaczenia ani interpretacji. Po tej kolejnej, zapierającej dech w piersiach jeździe wzdłuż rzeki przejechaliśmy przez Szechenyi Lanchid, łańcuchowy most Szechenyiego, jeden z cudów dziewiętnastowiecznej inżynierii, nazywany tak od nazwiska jednego z największych miłośników Budapesztu, hrabiego Istvana Szechenyia. Kiedy skręcaliśmy na most, toń Dunaju odbijała w przedwieczornym blasku przepiękne sylwetki zamku i kościołów w Budzie, do której zmierzaliśmy. Wszystko zalewało cudowne, brązowożłote światło przedwieczera. Sam most tworzył wspaniałą monolit. Z obu stron strzegły go lwy *couchants* i wieńczyły dwa, podtrzymujące most, olbrzymie łuki triumfalne. Malujący się na mej twarzy podziw wywołał lekki uśmiech u Evy. Siedząca między nami Helen również uśmiechnęła się z dumą.

»Tak, to naprawdę piękne miasto« - stwierdziłem.

Eva wyciągnęła rękę i uściśliła mi łokieć, jakbym był jednym z jej dorosłych synów.

Helen wyjaśniła mi, że jej ciotka chce opowiedzieć mi o odbudowie tego mostu.

»Budapeszt został bardzo zniszczony podczas ostatniej wojny - tłumaczyła. - Jeden z naszych mostów nie został jeszcze całkowicie odremontowany, jak również wiele zabytkowych budowli. W wielu miejscach miasta możesz zauważyć prace budowlane. Ale ten most odbudowano w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym ze względu na jego... jak to powiedzieć?... stulecie. Jesteśmy bardzo z niego dumni. A ja jestem szczególnie dumna, gdyż to moja ciocia sprawiła, że most został zrekonstruowany «.

Eva z uśmiechem skinęła głową, udając, że nie rozumie nic z tego, co powiedziała jej siostrzenica.

W chwilę później wjechaliśmy do tunelu, który prowadził pod samym zamkiem, a Eva oświadczyła nam, że wybrała jedną ze swych ulubionych restauracji, »naprawdę węgierskich«, przy ulicy Attily Józsefa. Wciąż zadziwiały mnie nazwy budapeszteńskich ulic, jedne z nich całkowicie dla mnie obce i egzotyczne, jak ta, inne przywołujące mi w pamięci liczne lektury. Ulica nosząca nazwę Attily okazała się równie okazała jak inne arterie miasta, i nie miała nic wspólnego z błotnistym szlakiem, wzdłuż którego rozłożyły się obozowiska Hunów, pożerających w siodłach surowe mięso. Restauracja była niezwykle wytworna. *Maitre d'hotel* ruszył spieszenie w naszą stronę, witając Evę po imieniu. Najwyraźniej była przyzwyczajona do takich honorów. Niebawem zasiedliśmy przy najlepszym stoliku, skąd mieliśmy przepyszny widok na wielkie drzewa i starodawne budynki, przechodniów w letnich ubraniach i samochody przemierzające ulice miasta. Z wielką ulgą rozparłem się na krześle.

Zamawiała oczywiście Eva i niedługo pojawiły się pierwsze dania wraz z mocnym trunkiem zwanym *pdlinka*. Helen wyjaśniła mi, iż trunek ten destylowany jest z moreli.

»Teraz skosztujemy czegoś, co najbardziej do tego pasuje - wyjaśniła Eva za pośrednictwem Helen. - Zamówiłam *hortobdgyi palacsinta*. To rodzaj naleśników z nadzieniem z cielęciny, tradycyjna potrawa pasterzy z węgierskiej puszczy. Posmakują ci«.

Posmakowały, podobnie jak kolejne dania - duszone mięso z kartoflami i cebulą, ziemniaki z salami i jajkami na twardo, sałatki, baranina z zieloną fasolą i wspaniały, chrupiący razowiec. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo jestem głodny po wyczerpującej podróży i pełnym wrażeń dniu. Helen i jej ciotka pałaszowały jedzenie z takim apetytem, jakiego żadna Amerykanka nie śmiałaby publicznie okazać.

Podczas kolacji Eva opowiadała, a Helen tłumaczyła jej słowa. Od czasu do czasu zadawałem jakieś pytanie, lecz głównie zajmowałem się jedzeniem i słuchałem tego, o czym mówiła ciotka Helen. Eva najwyraźniej ani na chwilę nie zapominała, że jestem historykiem. Podejrzuwała jednak, iż moja znajomość historii Węgier jest raczej mierna, a nie chciała, żebym skompromitował ją podczas konferencji. Może zresztą kierowała się tylko uczuciem patriotyzmu w stosunku do kraju, w którym od tak dawna przebywała na emigracji. Ale bez względu na kierujące nią motywy, mówiła ze swadą i tak potoczyście, że prawie potrafiłem wyczytać z jej wyrazistej, ożywionej twarzy następne zdanie, zanim jeszcze Helen je przetłumaczyła.

Tak więc, kiedy już wznieśliśmy *pdrinką* toasty za przyjaźń łączącą nasze kraje, jeszcze nad pasterskimi naleśnikami, zaczęła się opowieść o początkach Budapesztu. W czasach rzymskich mieścił się tu garnizon zwany Aquincum, którego pozostałości przetrwały do dzisiaj. Barwnie opisała najazd Hunów pod dowództwem Attyli, do którego doszło w piątym wieku. Osmanowie mieli jednak lepsze maniery - pomyślałem. Przy duszonym mięsie z warzywami - przy *gulyds*, choć Helen zapewniła mnie, że nie jest to prawdziwy węgierski gulasz - Eva wdała się w długi opis inwazji na ziemie Madziarów w dziewiątym wieku. Przy ziemniakach z salami, znacznie smaczniejszych niż klops z makaronem i serem, opowiedziała o koronacji w tysiąc pierwszym roku króla Stefana I - późniejszego świętego Istvana - której dokonał sam papież.

»Ubierał się wprawdzie jeszcze w zwierzęce skóry - mówiła ciotka Eva - ale był pierwszym węgierskim królem. To on sprowadził na Węgry chrześcijaństwo. Na jego imię natkniesz się w Budapeszcie dosłownie wszędzie«.

Kiedy już myślałem, że nie przelknę ani kęsa więcej, pojawiło się dwóch kelnerów. Przynieśli na tacach słodczyce i tort, tak popularne na dworze austro-węgierskim, z kremem i oblane czekoladą, oraz filiżanki z kawą.

»*Eszpresszó* - wyjaśniła Eva. Jakoś znaleźliśmy jeszcze miejsce i na słodczyce. - Kawa ma w Budapeszcie tragiczną historię - tłumaczyła jej słowa Helen. - Dawno temu, w tysiąc pięćset czterdziestym pierwszym roku, najeźdźca Sulejman I zaprosił do swego namiotu na wystawną ucztę jednego z naszych dowódców, Balinta Tóroka. Na koniec podano kawę - Tórok był pierwszym Węgrem, który pił ten napój - i wtedy

sułtan Sulejman poinformował, że podczas gdy go gościł, doborowe oddziały tureckie zajęły zamek w Budzie. Wyobrażasz sobie, jak naszemu dowódcy gorzko smakowała kawa?»

Tym razem Eva uśmiechnęła się posepnie. I znów wracamy do Osmanów - pomyślałem. Ależ byli przebiegli i okrutni, choć o wyrafinowanym smaku estetycznym, co nie przeszkadzało im jednocześnie stosować barbarzyńskie metody walki. W roku tysiąc pięćset czterdziestym pierwszym już od blisko stu lat władali Stambułem. Dawało mi to pojęcie o ich potędze, o władzy nad tym skrawkiem świata, z którego wyciągali macki w stronę Europy, gdzie zostali powstrzymani dopiero pod Wiedniem. Vlad Dracula, wraz ze swymi chrześcijańskimi rodakami, stawiał im opór, lecz była to walka Dawida z Goliatem, z wynikiem o wiele gorszym, niż osiągnął Dawid. Z drugiej strony jednak, walka drobnej szlachty w Europie Wschodniej i na Bałkanach, nie tylko na Wołoszczyźnie, ale i na Węgrzech, w Grecji i w Bułgarii, by wymienić tylko te kraje, doprowadziła do wyzwolenia tych krain spod tureckiej okupacji. Wszystko to Helen stopniowo tłoczyła mi w mózg tak, że w końcu zacząłem czuć do Draculi pewien rodzaj perwersyjnego podziwu. Książę doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że na krótszą metę jego walka skazana jest na porażkę, a jednak przez całe życie nieustępliwie walczył z najeźdźcą.

»Tak naprawdę w jego czasach Turcy już po raz drugi okupowali tę krainę. - Helen upiła łyk kawy i westchnęła z zadowoleniem, jakby napój smakował jej tu lepiej niż w każdym innym zakątku świata. - Janos Hunyady pokonał ich pod Belgradem w roku tysiąc czterysta pięćdziesiątym szóstym. Od tego czasu jest jednym z naszych największych bohaterów narodowych, obok królów Istoana i Macieja Korwina. To on wybudował nowy zamek i stworzył bibliotekę, o której już ci wspominałam. Kiedy jutro w południe usłyszysz bicie kościelnych dzwonów, pamiętaj, że to na pamiątkę zwycięstwa, które Hunyady odniósł kilkaset lat temu. Dzwony te biją codziennie«.

»Hunyady - mruknąłem zamyślony. - Wspominałaś o nim wczorajszego wieczoru. Powiedziałaś, że odniósł zwycięstwo w tysiąc czterysta pięćdziesiątym szóstym roku?»

Popatrzyliśmy na siebie. Każda data przypadająca na lata działalności Draculi stanowiła dla nas sygnał wywoławczy.

»W tym czasie przebywał na Wołoszczyźnie« - wyjaśniła niskim głosem Helen.

Zdawałem sobie sprawą z tego, że nie miała na myśli Hunyadyego, gdyż zawarliśmy niepisany pakt niewymieniania imienia Draculi publicznie.

Ciotka Eva była jednak zbyt bystrą osobą, by zmyliły ją nasze milczenie lub bariery językowe.

»Hunyady?« - zapytała i dodała coś po węgiersku.

»Ciocia pyta, czy interesujesz się specjalnie czasami Hunyadyego?« - wyjaśniła Helen.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc wyjaśniłem, że coraz bardziej zaczyna interesować mnie historia tej części Europy. Owo nieprzekonujące wyjaśnienie sprawiło, iż Eva zmarszczyła brwi. Szybko więc dodałem:

»Zapytaj panią Orban, czy mogę zadać jej osobiste pytanie«.

»Naturalnie« - Na twarzy Helen pojawił się promienny uśmiech, gdyż w lot pojęła intencję mej prośby.

Kiedy przetłumaczyła pytanie ciotce, ta popatrzyła w moją stronę z czujnym uśmiechem na twarzy.

»Ciekaw jestem, czy to prawda, co mówią na Zachodzie o odwilży węgierskiej «.

Twarz Helen stężała i lada chwila oczekiwałem bolesnego kopnięcia w piszczel. Ale jej ciotka kiwnęła tylko głową i kazała siostrzenicy przetłumaczyć moje słowa. Kiedy wyjaśniła jej, o co mi chodzi, na twarzy Ewy pojawił się łagodny, pobłażliwy uśmiech.

»Węgrzy zawsze najwyżej cenili własny styl życia i niezależność. Dlatego czasy panowania osmańskiego, a później austriackiego, stanowiły dla nich okres tak ciężkiej próby. Prawdziwy rząd Węgier zawsze i nieodmiennie służył swemu narodowi. Kiedy nasza rewolucja wydobyła robotników i chłopów z niewoli i ubóstwa, rozpoczęliśmy nową erę w dziejach naszej ojczyzny. - Jej uśmiech jeszcze bardziej się pogłębił, a ja miałem tylko nadzieję, że dobrze odczytałem jego sens. - Komunistyczna Partia Węgier nadąża za duchem czasu«.

»Tak zatem i pani czuje, iż Węgry rozkwitają pod rządami Imre Nagya?«

Od chwili kiedy pojawiłem się w tym kraju, zastanawiałem się nad zmianami administracyjnymi, jakie wprowadził nowy, nadzwyczaj liberalny premier Węgier, zastępując twardogłowego, komunistycznego premiera Rakosiego. Byłem ciekaw, czy cieszy go sympatia, jaką darzyła

Nagya prasa zachodnia. Helen tłumaczyła moje słowa lekko drżącym głosem, ale z twarzy Ewy nie schodził pełen pewności siebie uśmiech.

»Widzę, że śledzisz najnowsze wydarzenia polityczne, młody człowieku^

»Zawsze interesowałem się polityką. Uważam, iż studiowanie historii przygotowuje nas raczej do rozumienia teraźniejszości niż uciekania od niej w zamierzchłą przeszłość«.

»To bardzo mądra uwaga. Cóż, zaspokoję twoją ciekawość... Nagy cieszy się wielką popularnością w społeczeństwie i przeprowadza reformy doskonale wpasowane w tradycje naszej narodowej historii«.

Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, że Eva mówi o niczym. Zrozumiałem jednak, że stosuje dyplomatyczną strategię, która pozwala jej zachować prawomyślność wobec prosowieckiej polityki, a jednocześnie wyrazić pochwałę węgierskich reform. Niezależnie od tego, co sądziła o Nagyu, to on właśnie kontrolował rząd, któremu służyła. Być może to właśnie jego polityka otwartości sprawiła, że w Budapeszcie tak wysoko postawiona w hierarchii partyjnej osoba jak ona mogła zaprosić na kolację do restauracji Amerykanina. Błysk w jej ciemnych oczach mógł znaczyć aprobatę dla jego polityki. Później dopiero zrozumiałem, że mój domysł był słuszny.

»A teraz, kolego, musisz dobrze wypocząć przed swoim wspaniałym wykładem. Oczekuję go z niecierpliwością. Wtedy powiem ci, co o nim sądzę« - tłumaczyła słowa ciotki Helen.

Eva pokiwała zabawnie głową, a ja nie potrafiłem powstrzymać się od uśmiechu. Obok niej natychmiast pojawił się kelner. Zupełnie jakby podsłuchiwał. Uczyniłem nieśmiały gest, chcąc uregulować rachunek, ale nie znałem ani węgierskich obyczajów, ani nie wiedziałem, czy wymieniłem na lotnisku wystarczającą sumę pieniędzy, by zapłacić za tak wystawną kolację. Ale jeśli nawet był jakikolwiek rachunek, nie zobaczyłem go. Nie wiedziałem nawet, czy w ogóle został uregulowany. W szatni podałem Evie żakiet, wyręczając w tym szwajcara, i ruszyliśmy do czekającego na nas samochodu.

Przy wjeździe na most Eva powiedziała coś po węgiersku i kierowca zatrzymał pojazd. Wysiedliśmy i dłuższą chwilę spoglądaliśmy na rozświetlony Peszt po drugiej stronie rzeki oraz na pomarszczoną, ciemną toń Dunaju. W porównaniu z balsamicznym powietrzem Stambułu w Budapeszcie panował chłód, wiał zimny wiatr, a ja wyczuwałem rozciąga-

jące się tuż za horyzontem niezmierzone przestrzenie równin Europy Środkowej. Przez całe życie pragnąłem ujrzeć taki widok, jaki miałem przed sobą. Wprost nie mieściło mi się w głowie, że spoglądam na światła Budapesztu.

Ciotka Eva powiedziała coś niskim głosem i Helen natychmiast mi to przetłumaczyła.

»Nasze miasto wiecznie pozostanie wielkie«.

Te słowa na zawsze zapadły mi w pamięć. Dopiero dwa lata później dowiedziałem się, jak bardzo Eva Orban była zaangażowana w reformy węgierskiego rządu. Jej dwóch synów zabiły na miejskim placu rosyjskie czołgi podczas rewolty studentów w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym. Sama Eva, wraz z piętnastoma tysiącami innych uchodźców z marionetkowego państwa sowieckiego, uciekła do północnej Jugosławii, gdzie zamieszkała w jednej z wiosek. Helen wielokrotnie do niej pisała, chcieliśmy sprowadzić ją do Stanów Zjednoczonych, ale Eva stanowczo odmawiała. Kilka lat temu sam próbowałem nawiązać z nią kontakt, ale bez skutku. Kiedy straciłem Helen, straciłem też wszelki kontakt z Evą".

40

„Następnego dnia, kiedy obudziłem się na twardym, wąskim, hotelowym łóżku, napotkałem wzrok złoconych amorków. Przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem. Było to paskudne uczucie. Czułem się zawieszony w próżni, daleko od domu. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy znajduję się w Nowym Jorku, w Stambule, w Budapeszcie, czy w jakimś innym mieście. W nocy dręczyły mnie koszmary. Ból serca uświadomił mi z całą mocą zaginięcie Rossiego. Często zresztą budziłem się w takim stanie. Przez chwilę myślałem, że być może majaki senne zawiodły mnie w jakieś koszmarne miejsce, gdzie odnalazłbym przyjaciela, gdyby sen trwał dłużej.

Helen spotkałem w hotelowej restauracji. Przy stoliku studiowała jakąś węgierską gazetę. Spojrzenie na tekst w całkowicie niezrozumiałym dla mnie języku przygnębiło mnie jeszcze bardziej. Na mój widok kobieta przyjacielsko machnęła ręką. Wspomnienie nocnych koszmarów, niezrozumiałe gazetowe tytuły w obcym języku i świadomość zbliżającego

się nieuchronnie referatu sprawiły, że wyraz mej twarzy był nieciekawym. Helen popatrzyła na mnie figlarnie:

»Istny obraz nędzy i rozpacz! Znów rozmyślałeś o okrucieństwie Osmanów?«

»Nie, o międzynarodowej konferencji«.

Przysiadłem się do stolika i aby zabić gorzkie myśli, podałem jej kosczynek z bułkami i białą serwetkę. Hotel, choć raczej nędzny, świecił czystością. Bułki z masłem i truskawkowym dżemem były wymienione, podobnie jak podana po chwili kawa. Nie było w tym nic z goryczy.

»Nie martw się - powiedziała pogodnie Helen. - Po prostu...«

»Sprawie, że zacne grono naukowców zdębieje i zdrowo mi przysunie?«

»Dzięki tobie coraz lepiej mówię po angielsku - odparła ze śmiechem. - Ale zarazem psujesz mój literacki język«.

»Wciąż jestem pod wrażeniem twojej ciotki« - zmieniłem temat, smarując masłem kolejną bułkę.

»To widać«.

»Wybacz moje pytanie, nie musisz na nie odpowiadać. Ale jak to się stało, że twoja ciocia przybyła tu z Rumunii i zdołała zająć tak wysoko w hierarchii władzy?«

»Był to czysty przypadek, a może przeznaczenie. - Helen w zamyśleniu upiła łyk kawy. - Pochodziła z bardzo ubogiej rodziny. Mieszkała w Transylwanii, w niewielkiej wiosce, która dzisiaj już nie istnieje. Moi dziadkowie mieli dziewięć dzieci. Eva była trzecia. Kiedy skończy-

ła sześć lat, wysłali ją do pracy, gdyż nie mieli pieniędzy, aby wyżywić tak liczną rodzinę. Pracowała w *villa* bogatych Węgrów, do których należały tereny rozciągające się wokół wioski. Żyło tam wielu węgierskich właścicieli ziemskich, dopóki nie zaskoczył ich traktat pokojowy z Trianon«.

»To on właśnie odmienił granice po pierwszej wojnie światowej« - stwierdziłem, kiwając głową.

»Na piątkę. Tak zatem Eva pracowała od najmłodszych lat. Twierdzi, że jej państwo byli dla niej bardzo mili. Dawali jej wolne niedziele, tak że mogła spotykać się z rodziną. Kiedy skończyła siedemnaście lat, rodzina, u której pracowała, postanowiła wrócić do Budapesztu. Zabrali ją ze sobą. Tam spotkała młodego człowieka, dziennikarza i rewolucjonistę, Janosa Orbana. Zakochali się w sobie i pobrali, dzięki czemu jej mąż

uniknął powołania do służby wojskowej podczas tej wojny. Helen ciężko westchnęła. - Tylu młodych Węgrów poległo w Europie podczas pierwszej wojny światowej. Pochowani są w masowych grobach w Polsce, w Rosji... Tak czy owak, Orban zrobił po zakończeniu wojny wielką karierę polityczną w rządzie koalicyjnym, gdzie zajmował wysokie stanowisko. Zginął w wypadku samochodowym. Eva wychowywała synów i kontynuowała karierę polityczną męża. Jest kobietą zdumiewającą. Nigdy nie zdołałam dowiedzieć się, jakie naprawdę ma przekonania polityczne. Czasami odnoszę wrażenie, że do polityki odnosi się z wielkim dystansem, traktując japo prostu jak pracę. Mój wuj był żarliwym stronikiem doktryny leninowskiej, wielbicielem Stalina, nim jeszcze wieści o jego okrucieństwach dotarły do naszego kraju. Nie mówię, że moja ciotka była taka sama, niemniej zrobiła oszałamiającą karierę. Jej synowie cieszyli się w tym kraju wszelkimi przywilejami. Jak już ci mówiłam, dzięki swemu stanowisku mogła pomóc mnie».

Z najwyższą uwagą służyłam jej zwierzeń.

»Dzięki niej ty wraz z matką znalazłyście się tutaj?«

Helen ponownie ciężko westchnęła.

»Moja matka jest o dwanaście lat młodsza od Ewy. Ciotka ją właśnie najbardziej lubiła spośród całego rodzeństwa. Miała zaledwie pięć lat, kiedy Eva wyjechała do Budapesztu. Później matka, jako dziewiętnastoletnia panna, zaszła w ciążę. Bała się reakcji rodziców i innych mieszkańców wioski... chyba rozumiesz, że w tak tradycyjnej kulturze groziło jej wykluczenie ze społeczności i śmierć z głodu. Napisała więc do Ewy z prośbą o pomoc. Ciotka i wujek załatwili jej podróż do Budapesztu. Janos czekał na nią na pilnie strzeżonej granicy, skąd zabrał ją do miasta. Od ciotki wiem, iż wręczył urzędnikom na granicy bajońską łapówkę. Po traktacie z Trianon na Węgrzech nienawidzono mieszkańców Transylwanii. Matka mówiła mi, że po prostu czciła mego wujka - nie tylko dlatego, iż wybawił ją z dramatycznej sytuacji, ale też za to, że traktował ją jak rodowitą Węgierkę. Kiedy zginął, jej rozpacz nie miała granic. Bo to on sprowadził ją bezpiecznie do Węgier i podarował nowe życie».

»I tu się urodziłaś?« - powiedziałem cicho.

»Tu się urodziłam. W szpitalu w Budapeszcie. Ciotka i wuj wychowali mnie i zapewnili wykształcenie. W Budapeszcie mieszkaliśmy aż do czasu ukończenia liceum. W czasie wojny Eva zabrała nas na wieś, gdzie udało się jej jakoś nas wyżywić. Moja matka też skończyła szkołę i na-

uczyła się węgierskiego. Nigdy jednak nie chciała nauczyć mnie rumuńskiego, choć często, przez sen, przemawiała w tym języku. - Helen obrzuciła mnie ponurym spojrzeniem i wykrzywiła usta w paskudnym grymasie. - Sam widzisz, do czego doprowadził nas twój ukochany Rossi. Gdyby nie ciotka i wujek, moja matka umarłaby w porastających wioskę lasach, a jej zwłoki pożarłyby wilki. Ją i mnie«...

»Ja też jestem im za to wdzięczny« - powiedziałem i aby ukryć zmieszanie, sięgnąłem po metalowy imbryk z kawą.

Helen przez długą chwilę milczała, po czym wyciągnęła z torebki konspекty referatu.

»Wracajmy lepiej do twego wykładu« - powiedziała".

„Słoneczny, chłodny poranek zapowiadał się bardzo groźnie. Szliśmy w kierunku uniwersytetu, a ja myślałem tylko o jednym, o straszliwej chwili, kiedy będę musiał rozpocząć wykład. Tylko raz w życiu wyglądałem referat. Było to rok wcześniej, gdy wraz z Rossim zabrałem głos na zorganizowanej przez niego konferencji na temat holenderskiego kolonializmu. Każdy z nas napisał połowę tekstu. Moja część, trwająca dwadzieścia minut, stanowiła żalostną próbę przedstawienia zarysu przyszłej pracy doktorskiej, nad którą właśnie pracowałem. Rossi wygłosił błyskotliwy, wszechstronny wykład o dziedzictwie kulturalnym Niderlandów, o potędze holenderskiej marynarki i samej naturze kolonializmu. Mimo że zdawałem sobie sprawę z własnej nieadekwatności, fakt, iż Rossi zaprosił mnie do współpracy, bardzo łechtał moją próżność. Poza tym bardzo podtrzymywało mnie na duchu jego serdeczne wsparcie, gdy znajdowałem się na podium, i przyjacielskie klepnięcie w plecy, kiedy przekazywałem mu głos. Dzisiaj miałem być jednak zdany na własne siły. Perspektywa przedstawiała się ponuro, jeśli nie przerażająco, i tylko pamięć o Rossim sprawiła, że nie rozkleiłem się do końca.

Wokół nas rozciągał się elegancki Peszt. Dopiero teraz, w pełnym świetle dnia, zobaczyłem, że jest w budowie - a właściwie przebudowie - po zniszczeniach wojennych. W wielu budynkach wciąż brakowało części ścian i okien na wyższych piętrach. Z niektórych domów zostały tylko fundamenty, a na zachowanych murach widniały ślady po kulach. Chciałbym dłużej pospacerować po Peszcie, ale wcześniej ustaliliśmy, że cały dzień spędzimy przykładowie na sali konferencyjnej, by jeszcze bardziej uwierzytelnić naszą obecność.

»A później, już po zakończeniu obrad, udamy się do biblioteki uniwersyteckiej « - oświadczyła zamyślona Helen.

Kiedy dotarliśmy do rozległego budynku z posągami, Helen nieoczekiwanie przystanęła.

»Czy mogę mieć do ciebie prośbę?«

»Jasne. O co chodzi?«

»Nie wspominaj Józsefowi Gezie o naszych podróżach ani o tym, że kogoś szukamy«.

»Skąd w ogóle przyszedł ci taki pomysł do głowy?« - zapytałem z oburzeniem.

»Po prostu chcę cię ostrzec. On potrafi być bardzo czarujący« - powiedziała, unosząc w pojedynczym geście dłoni.

»Nie ma sprawy« - odparłem i popchnąłem wielkie, barokowe drzwi.

W auli na pierwszym piętrze siedzieli już zaproszeni goście, wielu z nich widziałem poprzedniego dnia. Rozmawiali ze sobą z ożywieniem lub studiowali jakieś materiały.

»Wielki Boże - mruknęła Helen. - Wydział antropologii stawiał się niemal w komplecie«.

Po chwili otoczył ją tłumek ludzi. Wymieniała z nimi uwagi i zdawkowe pozdrowienia. Uśmiechała się promiennie do swych dawnych kolegów, zapewne przyjaciół, z którymi przez lata pracowała na uczelni. Ogarnęło mnie poczucie samotności i zagubienia. Helen zdawała się wskazywać z daleka w moją stronę, jakby mnie przedstawiała, ale zmieszany szum głosów w niezrozumiałej dla mnie mowie stawiał między nami prawie namacalny, trudny do przebicia mur.

W tej samej chwili ktoś klepnął mnie po ramieniu i ujrzałem przed sobą krzepką postać Gezy. Z pełnym ciepła uśmiechem ucisnął mi serdecznie dłoni.

»I jak podoba się panu nasze miasto? - zapytał. - Czy przypadło panu do gustu?«

»Jest fantastyczne« - odparłem z równym entuzjazmem. Wciąż miałem w pamięci ostrzeżenie Helen, ale temu człowiekowi naprawdę trudno było się oprzeć.

»Bardzo się cieszę. Po południu wygłosi pan wykład?«

Odkasznąłem.

»Zgadza się. A pan? Czy pan też zabierze dzisiaj głos?«

»O nie, tylko nie to. Obecnie pracuję nad pewnym tematem, który

pochłonął mnie bez reszty. Ale nie jestem jeszcze gotów, by zaprezentować go szerszej publiczności».

»A jakiz to temat?« - zapytałem zaintrygowany.

W tej samej chwili jednak na podium pojawił się profesor Sandor o siwej *pompadour* i poprosił zgromadzonych o ciszę. Naukowcy umilkli i rozsiedli się w fotelach niczym kury na grzędzie. Zająłem miejsce w ostatnim rzędzie obok Helen. Popatrzyłem na zegarek. Była dopiero dziewiąta trzydzieści, więc trochę się rozluźniłem. József Geza usiadł w pierwszym rzędzie. Widziałem zarys jego głowy i ramion. Rozejrzałem się wokół siebie. Dostrzegłem kilka znajomych twarzy z poprzedniego dnia. Wszyscy zebrani wpatrywali się z przejęciem w profesora Sandora.

»*Guten Morgen* - powitał zebranych grzmiącym głosem. Mikrofon zaskrzeczał i po chwili ubrany w niebieską bluzę student wyregulował sprzęt. - Witam szanownych gości. *Guten Morgen, bonjour*, witam na naszym uniwersytecie. Z dumą zapraszamy państwa na pierwszy europejski kongres historyków«... - Mikrofon znów zaczął skrzeczeć i straciliśmy kilka następnych zdań.

Najwyraźniej profesor Sandor przeszedł z angielskiego na węgierski, francuski i niemiecki. Z jego przemowy po francusku i niemiecku zrozumiałem, że lunch zostanie podany o dwunastej, a następnie, ku mej zgrozie, wystąpi główny mówca, ozdoba konferencji, znany amerykański naukowiec, specjalista nie tylko od Niderlandów, ale też od stosunków ekonomicznych w Imperium Osmańskim oraz znawcą ruchów robotniczych w Stanach Zjednoczonych Ameryki (czy to ostatnie wymyśliła ciotka Eva?), którego książka o holenderskich gildiach kupieckich w czasach Rembrandta ma ukazać się drukiem w przyszłym roku. Dodał też, że jest niezmiernie rad, iż w ostatniej chwili zgodziłem się wziąć udział w tej konferencji.

Coś podobnego nie mogłoby mi się przyśnić nawet w najgorszych snach. Przysiągłem sobie w duchu, że jeśli maczała w tym palce Helen, drogo mi za to zapłaci. Wielu zgromadzonych na widowni uczonych odwróciło się w moją stronę, serdecznie kiwali głowami, pokazywali mnie sobie palcami. Helen, ze śmiertelnie poważną twarzą, siedziała obok mnie dumnie wyprostowana, choć lekkie skrzywienie ust i nieco pochylone ramiona sugerowały - tylko mnie, oczywiście - że jest bliska wybuchnięcia śmiechem. Ja też starałem się trzymać fason, wmawiając sobie, że wszystko to robię dla Rossiego.

Kiedy profesor Sandor skończył swą grzmiącą przemowę, drobny, łysy człowieczek wygłosił referat na temat Hanzy, a po nim siwowłosa niewiasta w niebieskiej sukience mówiła coś o historii Budapesztu, ale niewiele z jej wykładu rozumiałem. Przed lunchem wystąpił jeszcze młody naukowiec z uniwersytetu londyńskiego - był mniej więcej w moim wieku - i ku mej wielkiej radości mówił po angielsku, a student z filologii tłumaczył z kartki jego słowa na niemiecki. (To dziwne - pomyślałem - że słyszę tu niemiecki zaledwie w dziesięć lat od czasu, kiedy Niemcy o mało nie zrównali Budapesztu z ziemią. Natychmiast sobie jednak przypomniałem, iż ta właśnie mowa stanowiła *lingua franca* cesarstwa austro-węgierskiego). Profesor Sandor przedstawił Anglika jako Hugh Jamesa, profesora zajmującego się historią Europy Wschodniej.

James był postawnym mężczyzną w brązowym, tweedowym garniturze i oliwkowym krawacie. W stroju tym przypominał tak typowego Anglika, że o mało nie wybuchnąłem śmiechem. Popatrzył na nas błyszczącymi oczyma i przesłał uprzejmy uśmiech.

»Nigdy nie spodziewałem się, że trafię do Budapesztu - oświadczył, rozglądając się po audytorium. - To dla mnie zaszczyt i przyjemność przebywać w tym największym mieście Europy Środkowej, stanowiącym wrota łączące Wschód z Zachodem. A teraz pragnę zająć pańswu chwilę, by podzielić się refleksjami na temat dziedzictwa, które Imperium Osmańskie zostawiło w Europie Środkowej po druzgoczącej klęsce, jaką poniosło pod Wiedniem w roku tysiąc sześćset osiemdziesiątym trzecim«.

Przerwał na chwilę i popatrzył z uśmiechem na studenta filologii, który z zapalem czytał jego słowa po niemiecku. Profesor James jednak zbaczał czasami z ustalonego tekstu i wtedy student spoglądał na niego ze zdumieniem i niedowierzaniem.

»Wszyscy, naturalnie, znamy historię rogalików, które wymyślił pewien piekarz paryski, by uczcić wiedeńską wiktoryę. Rogalik przedstawiał oczywiście osmański półksiężyc ułożony z tureckich sztandarów. Symbol ten cały zachodni świat aż do dzisiaj z apetytem zajada do czarnej kawy. - Z dumą rozejrzał się po sali i dopiero w tej chwili najwyraźniej dotarło do niego, podobnie jak i do mnie, że większość zgromadzonych węgierskich naukowców nigdy nie była ani w Paryżu, ani w Wiedniu. - No tak... dziedzictwo Imperium Osmańskiego można podsumować jednym słowem: estetyka«.

Zaczął mówić o architekturze wielu miast Europy Środkowej

i Wschodniej, o grach i modzie, przyprawach i wystroju wnętrz. Chłonałem jego słowa z wielkim zainteresowaniem, zwłaszcza że mówił w moim ojczystym języku. Kiedy James rozprawał o tureckich łaźniach w Budapeszcie oraz o prototureckich i austro-węgierskich budowlach w Sarajewie, wróciły do mnie wszystkie wspomnienia ze Stambułu. Kiedy zaczął mówić o pałacu Topkapi, pokiwałem z entuzjazmem głową i dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że powinienem jednak zachowywać się z większym umiarem.

Po zakończonym wykładzie widownia nagrodziła profesora owacją na stojąco. Później Sandor zaprosił wszystkich na lunch. W kłębiącym się tłumie naukowców udało mi się jakoś wypatrzeć przy stoliku profesora Jamesa. Natychmiast do niego podszedłem.

»Czy mogę się przysiąc?« - zapytałem.

»Oczywiście, oczywiście - odparł, podnosząc się z miejsca. - Jestem Hugh James. A pan?«

Przedstawiłem się i uścisnęliśmy sobie dłonie. Kiedy już zająłem miejsce naprzeciwko niego, popatrzyliśmy na siebie z przyjacielską ciekawością.

»A więc to pan jest tym honorowym wykładowcą? Z niecierpliwością oczekuję pańskiego wystąpienia«.

Widząc go z bliska, zrozumiałem, że jest jednak starszy ode mnie o dobrych dziesięć lat. Miał niewiarygodnie jasnobrązowe, lekko wylupiate oczy, jak basset. Po akcencie poznałem, iż pochodzi z północnej Anglii.

»Dziękuję - odrzekłem, opanowując wewnętrzne drżenie. - Pańskie-go wykładu wysłuchałem z najwyższą uwagą. To niesamowite, ale interesuje pana dokładnie ta sama tematyka co mnie. Zastanawiam się, czy słyszał pan o moim... eee... promotorze, Bartholomew Rossim. On też jest Anglikiem«.

»Ależ naturalnie! - Hugh James gwałtownie rozwinął serwetkę. - Profesor Rossi jest bardzo wybitnym naukowcem... Czytałem wszystkie jego prace. Pan z nim pracuje? Jest pan szczęściarzem«.

Na chwilę straciłem Helen z oczu, lecz niebawem spostrzegłem ją przy bufecie w towarzystwie Gezy, który coś gorączkowo szeptał jej do ucha. Kobieta skinęła głową i oboje przenieśli się do stolika po drugiej stronie sali. Widziałem, że na obliczu Helen maluje się kwaśny wyraz, co wcale nie poprawiało mi humoru. Mężczyzna pochylał się w jej stronę,

spoglądając uporczywie w twarz, ona trzymała wzrok wbity w ziemię. Oddałbym wszystko, by dowiedzieć się, o czym jej mówił.

»Tak czy owak... - Hugh James wciąż rozprawiał o Rossim. - Jego studia nad greckim teatrem są wspaniałe. Ten człowiek zna się na wszystkim-

»To prawda - odrzekłem nieobecny tonem. - Ostatnio pracował nad czymś, co zatytułował *Duch w amforze*. Praca dotyczyć miała rekwizytów używanych w greckich tragediach—.

Nieoczekiwanie zamilkłem. Uświadomiłem sobie, że zdradzam zawodowe tajemnice Rossiego. Ale gdybym nawet nagle nie umilkł i tak zauważyłbym, że wyraz twarzy profesora Jamesa uległ gwałtownej zmianie.

»Co? - zapytał zdumiony. Odłożył nóż i widelec, zapominając całkowicie o jedzeniu. - Co pan powiedział? *Duch w amforze?*«

»Tak. - Zapomniałem nagle o Helen i Gezie. - Dlaczego pan pyta?«

»Ależ to zdumiewające! Muszę natychmiast napisać do profesora Rossiego. Bo rozumie pan, ostatnio pracuję nad niezwykle intrygującym dokumentem pochodzącym z piętnastowiecznych Węgier. To właśnie on przywiódł mnie do Budapesztu. Zajmuję się teraz historią Węgier tamtego okresu. Dzięki uprzejmości profesora Sandora miałem okazję pojawić się na tej konferencji. Dokument ten napisał jeden z uczonych króla Macieja Korwina. Wspomina w nim właśnie o duchu w amforze«.

Poprzedniego wieczoru Helen mówiła mi o tym władcy, który ufundował wielką bibliotekę w zamku w Budzie. Ciotka Eva również wspomniała o Macieju Korwinie.

»Proszę mi o wszystkim opowiedzieć« - odezwałem się niezwykle podekscytowany.

»Cóż, może zabrzmie to niemądrze, ale od kilku lat interesuję się legendami pochodzącymi z Europy Środkowej. Nie wiem, może to los sprawił mi psikusa, ale dawno temu zafascynowała mnie legenda o wampirze—

Popatrzyłem na niego tępym wzrokiem. Wyglądał normalnie. Miał rumiątą, pogodną twarz, a na sobie tweedowy garnitur, lecz ja odnosiłem wrażenie, że śnię.

»Och, wiem, że brzmi to zabawnie - hrabia Dracula i te rzeczy - ale jeśli się temu lepiej przyjrzeć, jest to zadziwiający temat. Dracula to postać historyczna, choć naturalnie żadnym wampirem nie był, ale mnie zafrapował problem, czy dzieje jego życia mają jakikolwiek związek z lu-

dowymi podaniami o wampirze. Kilka lat temu zacząłem szukać materiałów pisanych na ten temat. Odkryłem, że żadne nie istnieją. Postać wampira przewija się jedynie w przekazywanych ustnie legendach w wioskach Europy Środkowej i Wschodniej».

Rozparł się na krześle i zabębnił palcami o blat stołu, po czym kontynuował:

»Proszę sobie wyobrazić, że studiując materiały w uniwersyteckiej bibliotece, natrafiłem na dokument, który najwyraźniej powstał na zlecenie Korwina. Rozkazał on, by ktoś zgromadził całą, najstarszą wiedzę o wampirach. Wykonujący to zadanie uczone - z pewnością jakiś klasycysta - zamiast włóczyć się po wioskach, jak przystało na antropologa z prawdziwego zdarzenia, zaczął szperać w łacińskich i greckich tekstach - Korwin zgromadził ich co niemiara - szukając jakichkolwiek wzmianek i odniesień do wampirów. Tam natknął się na koncepcję starożytnych Greków, o której nigdy nie słyszałem - dopiero pan wspomniał mi o niej po raz pierwszy - o duchu w amforze. Zgodnie z kulturą i dramataми starodawnej Grecji w amforach chowano prochy zmarłych. Ciemny lud wierzył, że jeśli takiej amfory nie pogrzebie się w odpowiedni sposób, narodzi się z niej wampir. Niewiele jeszcze zdobyłem informacji na ten temat. Być może profesor Rossi dowiedział się czegoś więcej, skoro pisze o duchach w amforach. To zdumiewający zbieg okoliczności, nieprawdaż? A tak mówiąc między nami, w greckim folklorze do dziś pokutuje mit wampirów«.

»Wiem - mruknąłem. - *Vrykolaksy*«.

Tym razem Hugh James popatrzył na mnie ze zdumieniem. Jego wylupiające, orzechowe oczy jeszcze bardziej wyszły z orbit.

»Skąd pan zna tę nazwę? - wysapał. - Znaczy się... przepraszam... jestem zdumiony spotkaniem z kimś...«

»Kto interesuje się wampirami? - przerwałem mu sucho. - Tak, mnie to również zaskoczyło, ale ostatnio zdążyłem się już do tego przyzwyczaić. Profesorze James, skąd wzięło się pańskie zainteresowanie tym tematem?«

»Hugh - powiedział cicho. - Proszę mówić mi po imieniu. Po prostu Hugh... - Przez chwilę spoglądał na mnie przenikliwie, a ja po raz pierwszy ujrzałem pod jego pozornie nieskomplikowaną powierzchownością prowincjusza spalający go płomień wiedzy. - To coś wprost nie mieści się w głowie, więc nikomu nie mówię o...«

Nie mogłem dłużej zwlekać.

»A może znalazłeś starą książkę z wizerunkiem smoka w środku?«

Jego oczy jeszcze bardziej się rozszerzyły, a z twarzy odpłynęła cała krew.

»Tak. Znalazłem taką książkę. - Zacisnął palce na krawędzi stolika, aż pobiegały mu kłykcie. - Kim jesteś?«

»Ja też znalazłem taką samą«.

Długi czas wpatrywaliśmy się w siebie w milczeniu. Moglibyśmy tak siedzieć w nieskończoność, gdyby nie przerwano nam naszej samotności. Usłyszałem głos Gezy, zanim jeszcze zobaczyłem jego postać. Pochylił się nad naszym stolikiem z bezpretensjonalnym uśmiechem. Za nim stała Helen. Na jej twarzy malował się dziwny, prawie pełen winy wyraz.

»Witajcie, towarzysze - odezwał się kordialnie Geza. - O co chodzi z tymi znalezionymi książkami?«".

41

„Kiedy profesor Geza pochylił się nad naszym stolikiem i zadał pytanie, w pierwszej chwili nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Pragnąłem jedynie porozmawiać z Hugh Jamesem w cztery oczy, z dala od ludzi, a już na pewno nie w towarzystwie osoby, przed którą ostrzegęła mnie - dlaczego? - Helen.

»Rozmawiamy właśnie o starodawnych księgach, które obaj kochamy - zdobyłem się w końcu na odpowiedź. - Chyba każdy naukowiec podziela naszą pasję«.

Nieoczekiwanie zza pleców Gezy wysunęła się Helen. Popatrzyła na mnie niespokojnym, a zarazem pełnym aprobaty wzrokiem. Natychmiast zerwałem się z krzesła, by ustąpić jej miejsca. Mimo że w obecności Józsefa Gezy udawałem beztróskę, musiała wyczuć moje podniecenie, gdyż popatrzyła uważnie na Hugh. Geza obrzucił nas pogodnym spojrzeniem, lecz lekkie zwężenie jego oczu przywiodło mi na myśl Huna, który skośnymi oczyma spoglądał poprzez wycięcia w skórzanym hełmie na słońce zachodu. Od tej chwili starałem się już na niego nie patrzeć.

Mogliśmy w takim otępieniu, unikając wzajemnie wzroku, siedzieć do końca dnia, gdyby nie pojawienie się profesora Sandora.

»Doskonale - odezwał się gromkim głosem. - Widzę, że smakował wam lunch. Ale teraz, jeśli pan pozwoli, proszę udać się ze mną. Musimy przygotować wszystko do pańskiego wystąpienia«.

Nie mrugnawszy okiem - choć tak naprawdę zapomniałem chwilowo o czekającej mnie drodze krzyżowej - posłusznie podniosłem się z miejsca. Geza z uszanowaniem - zbyt wielkim uszanowaniem - stanął za jego plecami. Dało mi to okazję, by przesłać Helen wymowne spojrzenie, wskazując wzrokiem Hugh Jamesa, który również uprzejmie wstał od stołu. Zaskoczona kobieta zmarszczyła brwi, ale w tej samej chwili, ku mej niewymownej uldze, profesor Sandor klepnął Gezę po ramieniu, dając znak, by z nim poszedł. Odniosłem wrażenie, że na twarzy krzepkiego profesora odbił się wyraz niepokoju, ale może tylko udzieliła mi się paranoja Helen dotycząca tego człowieka. Tak czy owak, mieliśmy chwilę dla siebie.

»Hugh również znalazł książkę« - szepnąłem, bezwstydnie łamiąc zaufanie, jakim obdarzył mnie Anglik.

Helen popatrzyła na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

»Hugh?«

Wskazałem szybko głową na spoglądającego na nas ze zdziwieniem angielskiego naukowca. Helen była zaskoczona. Hugh spojrział na nią ze zdumieniem.

»Czy pani również...?«

»TMie - szepnąłem. - Ona mi tylko pomaga. To panna Helen Rossi, antropologa

Hugh, nie spuszczać wzroku z Helen, szorstko uściskał jej dłoń. Ale w tej samej chwili pojawił się profesor Sandor i nie mieliśmy innego wyjścia, jak przyłączyć się do niego. Z Helen i Hugh trzymaliśmy się blisko siebie niczym trzy owce w stadzie.

Aula zaczęła wypełniać się słuchaczami. Zająłem miejsce w pierwszym rzędzie i lekko drżącą ręką wyjąłem z teczki notatki. Profesor Sandor i jego asystent znów zajmowali się mikrofonem. Przyszła mi do głowy ożywcza myśl, że może słuchacze nie usłyszą wcale mego wykładu. Niestety sprzęt zadziałał nad podziw dobrze i profesor, potrząsając siwą grzywą włosów, zaczął przedstawiać mnie zgromadzonym naukowcom. Podkreślił moje listy uwierzytelniające, prestiż, jakim cieszy się moja uczelnia w Stanach Zjednoczonych i pogratulował słuchaczom, że będą mieli okazję wysłuchania mego referatu, tym razem po angielsku.

W tej chwili uświadomiłem sobie, iż nikt nie będzie tłumaczył mych słów na niemiecki, co dodało mi wielkiej otuchy, kiedy stanąłem twarzą w twarz z oceniającym mnie gremium.

»Witam kolegów historyków - zacząłem i czując, iż zabrzmiało to zbyt pompacyjnie, odłożyłem notatki. - Dziękuję za to, że mam honor podzielić się dziś z wami swoimi refleksjami na temat inwazji Osmanów na tereny Transylwanii i Wołoszczyzny, dwóch księstw, których terytoria należą obecnie do Rumunii. - Zebrani wlepili we mnie wzrok. Odniosłem wrażenie, iż moje słowa zelektryzowały słuchaczy. Transylwania stanowiła dla węgierskich historyków, jak i dla wszystkich Węgrów, temat drażliwy. - Jak dobrze wiemy, Imperium Osmańskie po zdobyciu Konstantynopola w tysiąc czterysta pięćdziesiątym trzecim roku przez ponad pięćset lat z metropolii tej zarządzało ogromnymi połaciami Europy Wschodniej. Podbiło dwanaście krajów. Niektóre jednak rejony nie poddały się. Były to krainy leżące w pokrytych górami ostępach Europy Wschodniej, gdzie zarówno miejscowa ludność, jak i położenie geograficzne nie pozwoliły na łatwy podbój. Jednym z takich krajów była właśnie Transylwania«.

Mówiłem, częściowo korzystając z notatek, częściowo odwołując się do pamięci, ale nieustannie drażył mnie lęk. Nie znałem przecież wszystkich materiałów, choć miałem w pamięci lekcje, jakich udzieliła mi Helen. Po ogólnym wstępie opowiedziałem pokrótce o tureckich szlakach handlowych w tym regionie, a następnie zacząłem wymieniać władców i wielmożów, którzy stawiali Turkom zjadły opór. Wymieniłem między innymi Władę Draculę, gdyż pominięcie jego postaci mogłoby wzbudzić podejrzenia historyków, którzy dobrze wiedzieli, jaką rolę odegrał w niszczeniu tureckiej armii. Kosztowało mnie wiele nerwów, gdy wybąkałem wreszcie przed tak szacownym gremium jego imię, a następnie zacząłem opisywać, w jaki sposób wbił na pal dwadzieścia tysięcy tureckich żołnierzy. Tak mi się przy tym trzęsły ręce, że wyrzuciłem stojącą na mównicy szklankę z wodą.

»Och, wybaczenie mi!« - zawołałem, spoglądając bezradnie na morze współczujących mi twarzy.

Tylko dwa oblicza pozostały niewzruszone. Helen była blada i wyraźnie spięta, a pochylony lekko do przodu József Geza, ze ściągniętą twarzą, spoglądał na mnie, jakby chciał wychwycić jakiś błąd w moich wywodach. Profesor Sandor i student w niebieskiej bluzie jednocześnie

podsunęli mi chusteczki od nosa i po chwili podjąłem wykład. Wykazałem, że choć Turcy pokonali w końcu Władę Draculę i wielu z jego towarzyszy - uznałem to słowo za bardzo stosowne - opór ten trwał i trwał, aż w końcu załamała się potęga imperium. Były to wprawdzie powstania lokalne, ale w sumie skutecznie podkopały ogromną maszynę wojenną Osmanów.

Chciałem bardziej błyskotliwie zakończyć swój wykład, ale wystarczyło to, co powiedziałem. Rozległy się rzęsiste oklaski. I w taki to sposób, ku swemu zaskoczeniu, zakończyłem występ. Nie spotkała mnie żadna zła przygoda. Helen z ulgą skuliła się w fotelu, a profesor Sandor, energicznie potrząsając moją dłońią, wyrażał podziękowania za wygłoszony referat. Rozglądając się po sali, dostrzegłem Evę. Klaskała, przesyłając mi promienne uśmiechy. Ale coś było nie w porządku. Dopiero po dłuższej chwili zauważyłem brak barczystej sylwetki Gezy. Zapewne opuścił aulę pod koniec mego wykładu, który wydał mu się nudny.

Salę znów wypełnił zgłęb rozmów prowadzonych w wielu językach. Podeszło do mnie czterech węgierskich uczestników konferencji, by uściskać mi dłoń i pogratulować wykładu. Profesor Sandor promieniał.

»Coś wspaniałego! - grzmiał. - To niebywałe, że w Ameryce ktoś tak doskonale rozumie problematykę Transylwanii!«

Zastanawiałem się, co powiedziałby na wieść, że całą tę wiedzę zdobyłem przy stoliku w stambulskiej restauracji od jego koleżanki z wydziału.

Zbliżyła się z wyciągniętą ręką Eva. Nie wiedziałem, czy mam jej dłoń pocałować, czy uściskać. Zdecydowałem się na to drugie. Tego dnia, wśród tłumu mężczyzn w wyświechtanych garniturach, wydawała się wyższa i bardziej postawna. Miała na sobie ciemnozielony kostium i ciężkie, złote kolczyki w uszach. Spod niewielkiego, zielonego kapelusika wystawały pukle włosów, które w ciągu jednej nocy zmieniły kolor z purpurowego na czarny.

Wdała się w rozmowę z Helen. Wprost nie wierzyłem własnym oczom, widząc, z jakim dystansem odnoszą się do siebie w obliczu otaczającego ich tłumu ludzi. Czy to ta sama Helen, która poprzedniego wieczoru biegła do ciotki z wyciągniętymi ramionami? Zaczęła tłumaczyć kompleenty, jakimi zarzuciła mnie Eva:

»Kawał dobrej roboty, młody człowieku. Widziałam po twarzach zgromadzonych gości, że nikogo nie uraziłeś swoim referatem. Na po-

dium prezentowałaś się tak wspaniale i wyniośle. - Eva prawila te komplementy z promiennym uśmiechem, odsłaniając przy tym swe zachwycająco białe zęby. - Teraz jednak muszę uciekać. W domu czeka mnie huk roboty. Spotkamy się jutro na kolacji. Zjemy ją w restauracji pańskiego hotelu. - Nie wiedziałem jeszcze o tym, ale byłem zadowolony z perspektywy ponownego spotkania. - Przykro mi, że nie mogę zaprosić pana do siebie na naprawdę dobre jedzenie, ale mój dom, jak cały zresztą Budapeszt, jest remontowany i w jadalni panuje straszliwy bałagan».

Z jej długiej przemowy wywnioskowałem dwie rzeczy: pierwsza, że w mieście, gdzie przeważały (zapewne) malutkie mieszkanki, w swoim miała nawet jadalnię. A druga, że bała się zapraszać do domu obcego Amerykanina.

»Dziś wieczorem chciałabym porozmawiać z moją siostrzenicą. Czy nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że zostawi pana samego?«

»Ależ skądże - odparłem, przesyłając jej promienny uśmiech. - Doskonale rozumiem, że po tak długim rozstaniu macie panie wiele spraw do omówienia. Ja już zorganizuję sobie jakoś czas«.

Nieustannie wypatrywałem w tłumie brązowego, tweedowego garnituru Hugh Jamesa.

»Świetnie« - powiedziała, podając mi znów dłoń, którą tym razem pocałowałem jak rodowity Węgier.

Na podium pojawił się kolejny prelegent i przedstawił po francusku temat rewolt chłopskich we Francji na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Następny mówca kontynuował temat, z tym tylko, że przeniósł się myślą do Niemiec i na Węgry. Siedząc obok Helen, słuchałem wystąpienia. Cieszyła mnie moja anonimowość. Kiedy podium opuścił rosyjski naukowiec, który zajął się państwami nadbałtyckimi, Helen oświadczyła, że dosyć już się tam wysiedzieliśmy i pora wyjść.

»Bibliotekę zamykają za godzinę - dodała. - Chodź«.

»Ale za chwilę. Muszę jeszcze umówić się na kolację«.

Odnalazłem Hugh Jamesa, który również najwyraźniej mnie poszukiwał. Umówiliśmy się na dziewiętnastą w hotelowym holu. Helen do ciotki miała pojechać miejskim autobusem. Ale najbardziej była ciekawa tego, co miał nam do powiedzenia Hugh James.

Ściany uniwersyteckiej biblioteki pokryte były nieskazitelną ochrą. Nieustannie zdumiewało mnie tempo, w jakim naród węgierski odbudowywał swój kraj po wojennej katastrofie. Nawet najbardziej narzucony

rząd najwyraźniej dbał o obywateli, odbudowując tak szybko ich ojczyznę. Poza tym dużą rolę odgrywał w tym węgierski nacjonalizm - pomyślałem, przypominając sobie dwuznaczne, wymijające uwagi Evy o komunistycznym zapale.

»O czym myślisz?« - zapytała Helen. Na dłoniach znów miała rękawiczki, a pod pachą ścisnęła torebkę.

»O twojej ciotce«.

»Skoro tak bardzo ci się spodobała, moja matka nie przypadnie ci do gustu - odparła z prowokującym śmiechem. - Ale o tym przekonamy się jutro. Teraz tutaj musimy czegoś poszukać«.

»Ale czego? Przestań być taka tajemnicza«.

Puściła mimo uszu moje pytanie i przez wielkie, rzeźbione w drewnie drzwi weszliśmy do budynku.

»Renesansowe?« - zapytałem szeptem, ale Helen potrząsnęła przecząco głową.

»Dziewiętnastowieczna podróbka. Zresztą oryginalny księgozbiór trafił do Pesztu dopiero w ubiegłym wieku. Wcześniej mieścił się w Budzie, podobnie jak cały uniwersytet. Jeden z bibliotekarzy powiedział mi, że najstarsze książki z tej kolekcji przekazane zostały bibliotece w szesnastym wieku przez rody, które uciekały przed tureckimi najeźdźcami. Sam więc widzisz, że i Turkom zawdzięczamy to i owo. Kto wie, jaki los spotkałyby te księgi, gdyby nie oni?«

Z radością wszedłem do biblioteki. Pachniało tam jak w domu. Budynek urządzony został w stylu neoklasycyżnym o ścianach wyłożonych ciemną, ozdobną boazerią, pełen balkonów, galerii i fresków. Ale moją uwagę przykuwały głównie same książki: setki tysięcy książek umieszczonych wzdłuż ścian poszczególnych sal, od podłogi do sufitu, ich czerwone, brązowe i złoczone oprawy. Ustawione były równymi rzędami, a marmurkowe wyklejki książek, tak delikatne w dotyku, onieśmiały. Zastanawiałem się, gdzie ukryto je na czas wojny i ile czasu zajęło ponowne ich ułożenie na zrekonstruowanych regałach.

Przy długich stołach siedziało kilkunastu studentów. Za wielkim biurkiem młody człowiek segregował woluminy. Helen podeszła do niego i zamieniła kilka słów. Młodzieniec skinął głową i zaprowadził nas do rozległej czytelnicy. Czekają tam już na nas opaste tomisko położone na jednym ze stolików. Bibliotekarz odszedł, a Helen ścisnęła rękawiczki.

»No tak - powiedziała cicho. - To jest właśnie ta księga, którą pamię-

tam. Przejrzałam ją pobieżnie rok temu, tuż przed wyjazdem z Budapesztu, ale nie sądziłam, by mogła mi się na coś przydać.

Otworzyła wolumin na pierwszej stronie. Tytuł był w nieznanym mi języku. Słowa wydawały się dziwnie znajome, ale żadnego nie potrafiłem przetłumaczyć.

»Po jakimu to?« - zapytałem, dotykając palcem pierwszego słowa tytułu napisanego brązowym atramentem na wytwornym, grubym papierze.

»Po rumuńsku«.

»Umiesz to odczytać?«

»Pewnie. - Położyła dłoń na stronicy tak, że jej palce zetknęły się prawie z moimi. Mimochodem zauważyłem, iż mamy dłonie tej samej wielkości, choć jej palce były kształtniejsze, a paznokcie starannie przycięte. - O, tu... Czy znasz francuski?«

»Oczywiście - powiedziałem i w jednej chwili pojąłem, o co jej chodzi. Zacząłem tłumaczyć tytuł: *Ballady o Karpatach, 1790*«.

»Dobrze - odrzekła. - Bardzo dobrze«.

»Myślałem, że nie znasz rumuńskiego«.

»Mówię słabo, ale potrafię dobrze czytać. W szkole przez dziesięć lat miałam łacinę, a ciotka uczyła mnie w domu pisać i czytać po rumuńsku. Oczywiście wbrew woli mojej mamy, która jest osobą bardzo upartą. Rzadko kiedy wspomina o Transylwanii«.

»A co jest w tej księdze?«

Delikatnie odwróciła stronicę. Ujrzałem długą kolumnę całkowicie niezrozumiałego dla mnie tekstu, pisanego wprawdzie łacińskim alfabetem, ale poszczególne litery zdobione były krzyżami, znakami diakrytycznymi i innymi najprzeróżniejszymi symbolami, których znaczenia nawet się nie domyślałem. Przypominało to bardziej jakieś magiczne pismo niż zwykły romański tekst.

»Trafiłam na tę księgę tuż przed wyjazdem do Anglii. W tej bibliotece znajduje się niewiele materiałów dotyczących wampirów. Znalazłam tylko kilka ogólnych opracowań, gdyż Maciej Korwin, król bibliofil, przez jakiś czas interesował się tym tematem«.

»Hugh powiedział to samo«.

»Słucham?«

»Wyjaśnię ci to później. Teraz mów ty«.

»Cóż, nie chciałam niczego przeoczyć, więc przewertowałam olbrzymią ilość materiałów dotyczących historii Wołoszczyzny i Transylwanii.

Praca ta zajęła mi kilka miesięcy. Większość dokumentów dotyczących Transylwanii jest po węgiersku i pochodzi z czasów panowania Węgier nad tym regionem. Natknęłam się jednak również na materiały rumuńskie. Masz przed sobą zbiór ludowych pieśni z Transylwanii i Wołoszczyzny zebranych przez anonimowego badacza folkloru. Wiele z zamieszczonych tu tekstów to znacznie więcej niż tylko ludowe piosenki. Są to całe epickie poematy«.

Poczułem lekkie rozczarowanie. Spodziewałem się ujrzeć unikalne dokumenty historyczne dotyczące Draculi.

»Czy w księdze tej znajdują się jakieś wzmianki o naszym przyjacielu?« - zapytałem.

»Obawiam się, że nie. Lecz jeśli dobrze pamiętam, jedna z pieśni nawiązuje do tego, co pokazał nam Selim Aksoy w archiwum w Stambule. Chodzi o wzmiankę o karpackich mnichach, którzy pojawili się w mieście na wozie zaprzężonym w muły. Pamiętasz? Szkoda, że nie ma tu z nami Turguta. On by nam to wszystko dokładnie przetłumaczył«.

Zaczęła z uwagą kartkować księgę. Niektóre z dłuższych tekstów zilustrowane zostały na górnym marginesie drzeworytami przedstawiającymi ludowe wzory, prymitywne wizerunki drzew, domów i zwierząt. Druk był wyraźny, lecz sama księga wykonana najpewniej domowymi sposobami. Helen wodziła palcem po wersach pieśni, poruszając przy tym bezgłośnie wargami.

»Niektóre z nich są bardzo smutne. Mentalność Rumunów różni się jednak znacznie od węgierskiej«.

»Nie rozumiem«.

»Węgierskie przysłowie mówi: *Madziar czerpie przyjemność ze smutku*. I to prawda. Węgierskie pieśni są przepełnione smutkiem i tęsknotą,

a wioski pełne przemocy, pijaństwa i samobójstw. Ale Rumunia jest jeszcze bardziej nostalgiczna. Moim zdaniem nie bierze się to z samej natury życia. - Pochyliła się nad księgą. - Posłuchaj tego, to jedna z typowych, rumuńskich pieśni«.

Tłumaczenie szło jej kulawo, lecz tekst przypominał trochę pieśń, jaką czytałem w jednej z książek z mego własnego księgozbioru.

*Martwa dziewczynka była słodka i czuła,
Ale na buzi jej siostry gości ten sam uśmiech.
Mówi do swej matki: »Och, mamó kochana,*

*Moja martwa siostrzyczka każe się nie lękać,
Bo mnie przekazała nieprzeżyte życie,
Bym mogła nim właśnie uradować ciebie».
Ale nie, jej matka nie unosi głowy
Znad truchła świeżo zmarłej, kochanej córeczki.*

»Wielki Boże! - wykrzyknąłem, a po krzyżu przeszedł mi zimny dreszcz. - Teraz już rozumiem, że ludzie, którzy tworzyli takie pieśni, wierzyli w wampiry... a nawet powołali je do życia«.

»Zgadza się - mruknęła Helen i zaczęła dalej kartkować księgę. - Chwileczkę... - urwała gwałtownie. - To chyba to«.

Wskazała na krótką zwrotkę ozdobioną drzeworytem przedstawiającym wizerunki domów i zwierząt w splotach ciemnego lasu.

Siedziałem w bezruchu, podczas gdy Helen w myślach tłumaczyła tekst. Po bardzo długiej chwili podniosła na mnie wzrok. Jej oczy lśniły.

»Sam posłuchaj. Przetłumaczę ci to dosłownie«.

Zapisałem dla Ciebie dokładne tłumaczenie tego tekstu, które przed dwudziestu laty utrwaliłem w moich papierach.

*I podjechali do bram, do bram wielkiego miasta.
Dotarli tam z krainy, gdzie rządziła śmierć.
»Jesteśmy ludźmi Boga, mnichami z gór karpackich,
Świętymi mężami, którzy wieszczą zło.
Niesiemy do miasta wieść o strasznej pladze
My, słudzy swego pana, oplakujący jego śmierć«.
I wjechali do miasta, które z nimi lkało,
Lkało już od chwili, gdy się pojawili.*

I znów na dźwięk tych dziwacznych wersów przeszedł mi po grzbiecie dreszcz. Ale nie dawałem za wygraną.

»Tekst jest bardzo ogólnikowy. Wspomina wprawdzie o Karpatach, ale podobnych, starych dokumentów istnieją setki. A *wielkie miasto* może znaczyć cokolwiek. Może chodzi tu o Miasto Boga, o Królestwo Niebieskie?«

Helen energicznie potrząsnęła głową.

»Nie sądzę. Dla mieszkańców Bałkanów i Europy Środkowej, zarówno dla chrześcijan, jak i muzułmanów, wielkim miastem zawsze był Konstantynopol, chyba że weźmiesz pod uwagę rzesze pielgrzymów, którzy

od stuleci wędrują do Jerozolimy lub Mekki. Ale ta wzmianka o pladze i mnichach... ona ma konkretny związek z fragmentem z książki, który pokazał nam Selim Aksoy. Czyżby panem wspomnianym w pieśni nie mógł być sam Vlad Tepes?«

»Może - odparłem powątpiewająco. - Ale mamy ważniejsze sprawy na głowie. Jak stara jest twoim zdaniem ta pieśń?«

»Trudno jest określić wiek ludowej poezji - powiedziała Helen, obrzucając mnie zamyślonym wzrokiem. - Książkę wydrukowano, jak sam widzisz, w roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym. Ale poezja ludowa ma długie życie, przetrwa nawet i czterysta lat. Tak więc ta pieśń może pochodzić z początków piętnastego wieku. Może być nawet starsza, ale

w takim przypadku nie pasuje do naszych poszukiwań.«

»Ciekawy jest ten drzeworyt« - zauważyłem, przyglądając się z uwagą ilustracji.

»W książce znajdziesz ich całe mnóstwo - mruknęła Helen. - Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy przeglądałam ten wolumin, zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Ten rysunek akurat nie ma nic wspólnego z treścią samego tekstu. Chciałbyś, aby drzeworyt przedstawiał pogrążonego w modlitewnej ekstazie mnicha lub otoczone wyniosłymi murami miasto?«

»Zgoda - odparłem po krótkim namyśle. - Ale przypatrz się tej ilustracji dokładniej. - Pochyliliśmy się nad księgą tak, że nasze głowy prawie się ze sobą zetknęły. - Szkoda, że nie mamy szkła powiększającego - mruknąłem. - Czy nie odnosisz wrażenia, że w tym lesie... czy chaszczach... czymkolwiek to jest... kryją się jakieś stwory? Nie jest to wielkie miasto, ale jeśli dokładniej się przyjrzyysz, zobaczysz budowlę przypominającą kościół z krzyżem na kopule, a obok...«

»Jakieś niewielkie stworzenie. - Zmrużyła oczy i głośno wciągnęła powietrze w płuca. - Mój Boże, przecież to smok!«

Skinąłem w milczeniu głową i z zapartym tchem długi czas przyglądaliśmy się ilustracji. Maleńki, nieforemny kształt był przerażająco znajomy - rozpostarte skrzydła, skręcony ogon. Tego wizerunku nie musiałem porównywać z wyobrażeniem w książce, którą trzymałem w teczce.

»Co to znaczy?« - zapytałem cicho.

»Chwileczkę. - Helen pochyliła się dosłownie na centymetr nad ilustracją. - A niech mnie licho! Nie widzę dobrze, ale między wizerunkami

drzew jest wypisane jakieś słowo. Litera po literze. Są maleńkie, ale to na pewno literki«.

»Drakulya?« - spytałem szeptem.

Potrząsnęła przecząco głową.

»Nie. To nie może być imię, chociaż... Ivi... Ivireanu. Nie wiem, co to znaczy. Nigdy nie spotkałam się z takim słowem, ale na *u* kończy się wiele rumuńskich imion. Co, na Boga, to znaczy?«

Ciężko westchnąłem.

»Też nie wiem, ale instykt dobrze ci podpowiedział. Ten tekst ma jakiś związek z Draculą. W przeciwnym razie nie byłoby tu wizerunku smoka. Nie tego smoka«.

Popatrzyliśmy na siebie bezradnie. Czytelnia, tak przyjazna i przytulna jeszcze przed pół godziną, stała się naraz posępnym mauzoleum skrywającym w sobie zapomnianą, przeklętą wiedzę.

»Nawet bibliotekarze nie wiedzieli o tej księdze - przerwała milczenie Helen. - Dopiero ja powiedziałam im o białym kruku, jaki znajduje się w tutejszych zbiorach«.

»Cóż, nie rozwiążemy teraz tej zagadki - powiedziałem. - Zróbmy przynajmniej tłumaczenie tego tekstu oraz kopię drzeworytu«.

Wyjąłem notes i dokładnie skopiowałem rysunek. Helen popatrzyła na zegarek.

»Muszę wracać do hotelu, a następnie pojechać do ciotki - powiedziała.

»A ja jestem umówiony na kolację z Hugh Jamesem«.

Zebraлиśmy swoje rzeczy i odstawiliśmy z całym szacunkiem szacowny zabytek piśmienniczy na półkę.

Zapewne zamęt umysłu, w jaki wprawił mnie wiersz i towarzysząca mu ilustracja, a także zmęczenie podróżą i kolacją z Evą, która przeciągnęła się do późnych godzin nocnych, oraz wykład wygłoszony przed międzynarodowym gremium stepił moje zmysły do tego stopnia, że po powrocie do hotelowego pokoju w pierwszej chwili nie zauważyłem w nim żadnych zmian. Kiedy dotarło do mnie, iż to samo mogło spotkać Helen zajmującą pokój dwa pietra wyżej, w obawie o jej bezpieczeństwo, jak szalony pognałem do niej po schodach. Moja kwatery została dokładnie przeszukana. Zawartość szuflad i szafek powyrzucano na podłogę, a pościel i moje osobiste rzeczy zostały zniszczone i podarte z dokładnością wskazującą już nie tyle na pośpiech, co na złośliwość i złą wolę.

»Ale dlaczego nie wezwaliście policji? W tych okolicach kręci się jej aż za dużo. - Hugh odłamał kawałek chleba i zaczął go żuć. - Żeby coś takiego przytrafiło się w międzynarodowym hotelu!«

»Wezwano policję - zapewniłem. - Zrobił to za nas hotelowy urzędnik. Oświadczył, że funkcjonariusze pojawiają się dopiero nocą lub nad ranem. Zabronił nam czegokolwiek dotykać w pokojach i przeniósł nas do innych kwater«.

»Co takiego? - Hugh popatrzył na mnie okrągłymi jak spodki oczyma. - Pokój panny Rossi też splądrowano? Czy w hotelu ucierpiał ktoś jeszcze?«

»Bardzo wątpię« - odparłem ponuro.

Siedzieliśmy w ogródku jednej z restauracji w Budzie, nieopodal Góry Zamkowej, skąd mieliśmy przepyszny widok na Dunaj i rozciągający się na jego drugim brzegu Peszt z masywną sylwetką gmachu parlamentu. Na dworze wciąż jeszcze było jasno i zaróżowione przedwieczorną luną niebo odbijało się barwnie w falach rzeki. Hugh specjalnie wybrał to miejsce. Jak mi wyjaśnił, pojawiali się tam budapeszteńczycy w różnym wieku, włóczyli się po ulicach, przystawali przy kamiennej balustradzie, poniżej której toczył swe wody Dunaj, podziwiając z zachwytem wspaniałą panoramę, jakby zawsze było im jej mało. Hugh zamówił kilka miejscowych potraw, które kazał mi próbować, oraz wszechobecny, brązowy, chrupiący chleb. Zaordynowaliśmy też butelkę tokaju, wyśmienitego wina tłoczonego w północno-zachodnich Węgrzech, jak wyjaśnił mi Anglik. Obaj już przekroczyliśmy nasze budżety uniwersyteckie, moją zaliczkę na poczet doktoratu (James zachichotał, kiedy powiedziałem mu, jak bardzo opaczne pojęcie o mojej pracy miał profesor Sandor), fundusz Hugh przeznaczony na studia na Bałkanach i pieniądze, które dostał *a conto* książki o osmańskich miastach w Europie. Miała ona niebawem ukazać się drukiem.

»Czy coś wam ukradziono?« - zapytał Hugh, napełniając kieliszki.

»Nic - mruknąłem posepnie. - Oczywiście nie zostawiłem w pokoju ani pieniędzy, ani cennych rzeczy, a mój paszport spoczywa zapewne bezpiecznie albo na biurku, albo już na komendzie policji«.

»Czego więc szukali?« - zapytał Hugh, wznosząc toast kieliszkiem wina.

»To bardzo długa historia - odparłem z ciężkim westchnięciem. - Ale dokładnie pasuje do pewnych rzeczy, o których powinniśmy porozmawiać^

Skinął głową.

»W porządku, mów«.

»Jeśli później ty opowiesz mi swoją historię«.

»Naturalnie«.

Aby dodać sobie animuszu, wypłem pół kieliszka wina i zacząłem wszystko od początku. Opowiedziałem ze szczegółami całą historię Rossiego. Niczego nie opuściłem, by Hugh później powiedział mi wszystko, co sam wie. Słuchał w milczeniu i dopiero kiedy wspomniałem o decyzji Rossiego, żeby podjąć badania w Stambule, podskoczył jak oparzony.

»Na Boga! - wykrzyknął. - Też myślałem o tym, żeby udać się tam osobiście... to znaczy wrócić, gdyż wcześniej bywałem w tym mieście dwukrotnie. Ale nigdy nie tropiłem tam Draculk.

»Zaoszczędzę ci zatem fatygi«.

Tym razem to ja napelniłem kieliszki i zrelacjonowałem dokładnie przygody Rossiego w Stambule, po czym opowiedziałem o tajemniczym zniknięciu profesora. Hugh milczał jak zakłęty, ale jego odrobinę wyłupiaste oczy jeszcze bardziej wyszły na wierzch. Następnie opisałem spotkanie z Helen, nie ukrywając prawdziwych powodów, dla których poszukuje Rossiego. Poinformowałem go szczegółowo o naszych podróżach i poszukiwaniach aż do tej chwili. Nie pominąłem też wątku Turguta.

»Sam więc widzisz - zakończyłem - że nie dziwi mnie to, iż ktoś wywrócił nasze pokoje do góry nogami«.

»No tak - mruknął Hugh i nieco się zasepił. Wbiliśmy już w siebie wprawdzie masę mięsa, przypraw i pikli, a mimo to Anglik z wyraźnym żalem odłożył nóż i widelec. - Nasze nieoczekiwane spotkanie rzeczywiście daje wiele do myślenia. Jednocześnie strapiła mnie wieść o zniknięciu profesora Rossiego... bardzo strapiła i zdumiała. To dziwne. Gdybyś nie opowiedział mi tej historii, nie wpadłoby mi do głowy, że Rossi do tego stopnia zaangażował się w tropienie Draculi, iż porzucił swoje zwykłe badania. Ale i mnie przez cały czas dręczyły paskudne odczucia dotyczące mojej książki«.

»Widzę, że nie rozbudziłem jednak w tobie ciekawości swoją opowieścią, jak się spodziewałem«.

»Te książki... - powiedział z zadumą. - Naliczyłem ich już cztery: moją, twoją, profesora Rossiego i tę, należącą do profesora ze Stambułu. To bardzo dziwne, że istnieją tylko cztery takie woluminy«.

»A może spotkałeś się z Turgutem Borą? - zapytałem. - W Stambule byłeś już kilkakrotnie«.

Potrząsnął przecząco głową.

»Nie, nawet nigdy nie słyszałem jego imienia i nazwiska. Ale to literaturoznawca, nie miał więc okazji bywać na wydziale historycznym czy brać udziału w naszych sympozjach. Byłbym jednak niebywale rad, gdybyś przy najbliższej, sprzyjającej okazji mnie z nim poznał. Nigdy nie byłem w archiwum, o którym wspomniałeś, lecz czytałem o nim w Anglii i myślałem nawet, by przy najbliższej okazji je odwiedzić. Rzeczywiście, zaoszczędziłeś mi fatygi, jak sam to powiedziałaś. Nigdy nie pomyślałbym o tym stworze jako o mapie... Mówię o wizerunku smoka w książce. To niesamowity pomysł«.

»Tak, zwłaszcza że jest to kwestia życia lub śmierci *profesora* Rossiego - burknąłem. - Ale teraz kolej na ciebie. Jak wszedłeś w posiadanie swojej książki?«

Spojrzał na mnie z poważnym wyrazem twarzy.

»W przeciwieństwie do okoliczności, w jakich ty i dwaj twoi znajomi dostaliście swoje, ja o mojej nie wiem nic poza tym, że ją dostałem, choć nie mam zielonego pojęcia, skąd i od kogo. Muszę zresztą opowiedzieć ci całą historię. - Długo milczał, a ja odniosłem nieprzeparte wrażenie, iż to wyznanie nie będzie dla niego sprawą prostą. - Widzisz, studia na Oksfordzie ukończyłem przed dziewięciu laty, po czym zacząłem wykładać na Uniwersytecie Londyńskim. Moja rodzina, mieszkająca w okręgu jezior w Górach Kumbryjskich, nie była zamożna. Robiła wszystko - i ja też - abym zdobył jak najlepsze wykształcenie. W szkole publicznej czułem się trochę na uboczu, ale w tamtych czasach bardzo pomógł mi wuj. Nauce poświęcałem więcej czasu niż inni i osiągałem celujące oceny. Historia od samego początku była moim ukochanym przedmiotem^

Wytarł usta serwetką i potrząsnął głową, jakby wspominał czasy młodszych fantazji.

»Pod koniec drugiego roku na uniwersytecie zrozumiałem, że idzie mi całkiem dobrze, co jeszcze dodawało mi ochoty do dalszej nauki. Wtedy przyszła wojna i wszystko się skończyło. Byłem właśnie na trzecim roku

studiów na Oksfordzie. Słyszałem o Rossim, ale nigdy go osobiście nie spotkałem. Musiał wyjechać do Ameryki kilka lat wcześniej, nim wstąpiłem na uniwersytet».

Potarł brodę dużą, niezbyt wypielegnowaną dłonią.

»Najbardziej przepadałem za studiami, ale kochałem też ojczyznę, więc zaciągnąłem się do marynarki. Wysłano mnie do Włoch, a następnie, w rok później, z powrotem do kraju, z poranionymi kończynami».

Dotknął szyi tuż nad kołnierzykiem białej, bawełnianej koszuli z krótkimi rękawami, jakby zdziwiony, że nie widzi krwi.

»Szybko wróciłem do zdrowia i robiłem wszystko, by ponownie znaleźć się na froncie, ale mnie nie puszczono. W wyniku eksplozji na okręcie miałem uszkodzone jedno oko. Wróciłem więc do Oksfordu, gdzie nie zważając na dźwięk syren, pracowałem nad pracą magisterską i skończyłem ją pisać tuż po zakończeniu wojny. Byłem w tamtym czasie najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi mimo wszystkich ograniczeń i braków. Zniknęło straszliwe widmo wojny, ukończyłem studia, a dziewczyna mieszkająca w moim rodzinnym miasteczku, którą kochałem nad życie, zgodziła się za mnie wyjść. Nie miałem pieniędzy, wszędzie brakowało żywności, ale ja, siedząc w swoim pokoju, zjadałem sardynki i pisałem do dziewczyny płomienne listy miłosne. Pracowałem jak szatan, przygotowując się do egzaminów... chyba nie masz nic przeciwko temu, że ci o tym wszystkim mówię? Pod koniec przypominałem cię człowieka».

Sięgnął po butelkę z tokajem, ale flaszka była już pusta, więc z ciężkim westchnieniem odstawił ją ponownie na stół.

»Prawie przeszedłem już tę próbę ognia. Datę ślubu wyznaczaliśmy na koniec czerwca. Wieczorem, przed końcowym egzaminem, do bardzo późnych godzin nocnych przeglądałem jeszcze raz notatki. Wiedziałem, że materiał mam wykuty na blachę, ale nie mogłem jakoś przestać. Siedziałem w rogu biblioteki mojego college'u, w zacisznym kącie skrytym między regałami, skąd nie musiałem patrzeć na innych, podobnych do mnie maniaków, wertujących notatki.

W tej niewielkiej bibliotece znajdowało się wiele wspaniałych dzieł. Pozwoliłem więc sobie na chwilę wytchnienia i sięgnąłem po tomik sonetów Drydena, stojący na półce tuż obok mnie. Po chwili jednak doszedłem do wniosku, że powinienem raczej trochę odpocząć od słowa pisanego i zapalić papierosa. Odstawiłem więc książkę na półkę i wyszedłem

na dziedziniec. Była przepiękna, wiosenna noc. Ćmiłem papierosa i rozmyślałem o Elspeth, szykującej już dla nas przytulny, wiejski domek, oraz o moim najlepszym przyjacielu, który zginął nad polami naftowymi w Ploeshti - bombardował je wraz z Amerykanami - a następnie wróciłem do biblioteki. Ku memu zdumieniu tomik Drydena znów leżał na blacie mego stolika, zupełnie jakbym wcale nie odstawiał go na półkę. Pomyślałem, że od nadmiaru nauki zaczyna mieszać mi się w głowie. Odwróciłem się więc, by odstawić książkę na miejsce, lecz na półce nie było wolnego miejsca. Miałem pewność, że Dryden stał obok Dantego, ale tam znajdowała się inna książka. Miała bardzo stary grzbiet z wygrawerowanym niewielkim wizerunkiem jakiegoś stworzenia. Zdjąłem ją z regału, a ona otworzyła mi się w rękę na... sam wiesz«.

Twarz mu śmiertelnie pobladła. Zaczął gorączkowo szukać czegoś w kieszeniach spodni i w końcu wyciągnął paczkę papierosów.

»Nie palisz? - zapytał, zaciągając się mocno dymem. - Zaintrygowało mnie tajemnicze pojawienie się książki, jej starodawny wygląd i złowróźbny wizerunek smoka - tak samo jak ciebie i twoich znajomych. O trzeciej nad ranem w czytelnicy od dawna nie było już bibliotekarzy, więc zszedłem do katalogów i zacząłem w nich szperać. Natknąłem się tylko na Vlada Tepesa i jego ród. Ponieważ na książce nie było bibliotecznego stempla, zabrałem ją ze sobą do domu.

Marnie spałem tamtej nocy, a rano z trudem skupiałem się nad egzaminem. Myślałem tylko o tym, by udać się do jakichś-innych bibliotek, być może nawet do samego Londynu, i poszperać w ich zbiorach. Ale choć nie miałem na to czasu, nieustannie nosiłem książkę ze sobą i przeglądałem ją przy każdej nadarzającej się okazji. Raz złapała mnie na tym Elspeth, a kiedy jej wszystko wyjaśniłem, znenawidziła książkę. Choć od ślubu dzieliło nas tylko pięć dni, nie przestawałem myśleć o tym woluminie, nieustannie jej o nim opowiadałem, aż w końcu kategorycznie zabroniła mi o tej książce wspominać.

I wtedy pewnego ranka, na dwa dni przed zaślubinami, wpadł mi do głowy nieoczekiwany pomysł. Nieopodal mej rodzinnej wioski wznosił się wielki dom z okresu Stuartów, stanowiący atrakcyjny zabytek, przystanek wszystkich autokarowych wycieczek po naszym regionie. W czasach szkolnych, kiedy często nas tam prowadzano, wydawał mi się niewymownie nudny, lecz zapamiętałem, że szlachcic, który go zbudował, był zapalonym bibliofilem i zgromadził tam księgi dosłownie ze wszyst-

kich stron świata. Ponieważ przed ślubem nie miałem możliwości wyjechać do Londynu, postanowiłem odwiedzić słynną bibliotekę mieszczącą się w tym domu w nadziei, że znajdę w niej jakieś materiały dotyczące Transylwanii. Rodzicom oświadczyłem, iż wybieram się na długi spacer. Z całą pewnością myśleli, że chcę się spotkać z Elsie.

Był dżdżysty, pochmurny i mglisty poranek. Gospodyni wielkiego domu oświadczyła wprawdzie, że tego dnia budynek jest zamknięty dla zwiedzających, ale pozwoliła mi wejść do biblioteki. Ponieważ słyszała o moim ślubie i знаła moją babcię, potraktowała mnie bardzo miło, częstując nawet filiżanką herbaty. Kiedy ściągnąłem z siebie nieprzemakalny płaszcz i wszedłem do biblioteki składającej się z książek ustawionych na dwudziestu wysokich regałach, zapomniałem o bożym świecie.

Szperając pośród białych kruków, które właściciel domu zgromadził

w Anglii zapewne już po swej podróży, odnalazłem wreszcie dział dotyczący historii Węgier i Transylwanii, gdzie natknąłem się na materiały o Vladzie Tapesie. Na koniec, ku swej radości i zdumieniu, znalazłem opis jego pogrzebu nad jeziorem Snagov. Uroczystość odbyła się pod ołtarzem wcześniej przez Vlada odrestaurowanym. Relacja ta stanowiła odbicie legendy opisanej przez pewnego Anglika, poszukiwacza przygód, który zawędrował w tamte strony. Na karcie tytułowej swego dziełka określał siebie skromnym mianem »Podróżnik« i żył w czasach właściciela domu z epoki Stuartów. Jak sam widzisz, doszło do tego prawie sto trzydzieści lat po śmierci Vlada.

Podróżnik odwiedził monaster nad Snagov w roku tysiąc sześćset piątym. Odbył wiele rozmów z żyjącymi tam mnichami. Powiedzieli mu, że legenda wspomina o wielkiej księdze, największym skarbie monasteru, wyłożonej podczas pogrzebu Vlada, w której wszyscy uczestniczący w ceremonii mnisi złożyli swe podpisy. Nieumiejący pisać rysowali sylwetkę smoka jako hołd składany Zakonowi Smoka. Podróżnik, niestety, nie wspomina, co się później z tą księgą stało. Uznałem to za fakt godny najwyższej uwagi. Następnie Podróżnik poprosił mnichów, by pokazali mu grób, a ci zaprowadzili go do płaskiej, kamiennej płyty wmurowanej w posadzkę świątyni tuż przed ołtarzem. Widniał na niej namalowany wizerunek Vlada Draculi oraz łacińskie słowa, również namalowane, gdyż Podróżnik nie dostrzegł śladu rytów. Uderzył go brak zwyczajowego krzyża na grobowej płycie. Epitafium, które, gnany nieokreślonym instynktem, dokładnie skopiowałem, napisane było po łacinie«.

Hugh zawiesił głos, rozejrzał się czujnie wokół siebie i zgasił niedopałek w popielniczce.

»Kiedy przepisałem te słowa, przez chwilę mozoliłem się nad ich tłumaczeniem. Inskrypcja brzmiała: *Czytelniku, odkop go za...* Sam ją zresztą dobrze znasz. Na zewnątrz wciąż padał gęsty deszcz, a jedno z obluzowanych okien w bibliotece nieustannie otwierało się i zamykało, tak że czułem mocne podmuchy wilgotnego powietrza. Byłem bardzo poruszony i rozlałem na książkę herbatę. Zawstydzony własną niezgrabnością wycierałem wolumin i zerknąłem przypadkowo na zegarek. Dochodziła trzynasta i powinienem już wracać do domu na obiad. Ponieważ nie znalazłem innych materiałów na interesujący mnie temat, odstawiłem książki na półkę, gorąco podziękowałem gospodyni i ruszyłem spieszenie alejkami okolonymi krzewami czerwcowych róż.

Gdy dotarłem do domu mych rodziców, oczekiwałem, że wszyscy będą już siedzieć przy stole. Ale tam panował nieopisany rozgardiasz. W środku natknąłem się na kilku przyjaciół rodziny i licznych sąsiadów. Moja matka tonęła we łzach. Ojciec najwyraźniej był załamany. - Hugh zapalił kolejnego papierosa. W nadciągającym, wieczornym zmroku zapalka drżała w jego dłoni. - Położył mi na ramieniu dłoń i powiedział, że kiedy Elsie wracała pożyczonym samochodem z zakupów w sąsiednim miasteczku, na głównej drodze doszło do wypadku. Bardzo mocno padało. Świadkowie twierdzą, że gwałtownie zahamowała, jakby coś stanęło przed nią na drodze. Dzięki Bogu żyje, ale stan jest bardzo ciężki. Jej rodzice pojechali do szpitala, a moi czekali na mnie w domu, by zakomunikować mi tę tragiczną wiadomość.

Wskoczyłem do samochodu i jak wariat pojechałem, sam o mało nie powodując po drodze wypadku. Wiem, niechętnie tego słuchasz, ale... leżała z obandażowaną głową, a oczy miała szeroko otwarte. Tak właśnie wyglądała. Teraz przebywa w specjalnym domu, gdzie ma wprawdzie świetną opiekę, ale nie mówi, nic nie rozumie, nie może też samodzielnie jeść. To coś okropnego... - Głos zaczął mu drżeć. - To straszne. Zawsze sądziłem, że był to zwykły wypadek, ale teraz, po wysłuchaniu twej opowieści... o przyjacielu Rossiego, Hedgesie... o twoim... o twoim kocie... sam już nie wiem, co myśleć«.

Zaciągał się łapczywie nowym papierosem. Głośno odetchnąłem.

»Bardzo, bardzo mi przykro. Cóż mam powiedzieć. Ale chyba wiem, co czujesz«.

»Dziękuję. - Robił wszystko, by wrócić do równowagi. - Minęło już kilka lat, a czas leczy rany. Ale po prostu tamto...«

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, lecz teraz już domyślam się, czego nie dopowiedział... czcze słowa, niewysłowny smutek po stracie najbliższej osoby. Siedzieliśmy w milczeniu, a między nami zawisła przeszłość. Kelner postawił na naszym stoliku świecę w szklanej lampie. Do restauracji napływali goście, z zewnątrz dochodził gwar ludzkich głosów i śmiechu.

»Zdumiała mnie twoja relacja o Snagov - powiedziałem po dłuższej chwili. - Nie znałem tych szczegółów. Nie słyszałem ani o inskrypcji, ani o namalowanej twarzy, ani o braku krzyża. Zgodność inskrypcji ze słowami, które Rossi odkrył na mapach w stambulskim archiwum, jest niebywale ważna. Moim zdaniem stanowi dowód, że grobowiec Draculi rzeczywiście znajduje się nad Snagov. - Ścisnąłem palcami skronie. - Dlaczego więc mapa - mapa ze smokiem w książkach i ta w archiwum - nie odpowiada topografii Snagov, dlaczego nie ma tam jeziora, nie ma wyspy?«

»Sam chciałbym to wiedzieć«.

»Czy po tamtym zdarzeniu prowadziłeś jeszcze jakieś badania nad Draculą?«

»Przez kilka lat nie ruszałem tej sprawy. - Hugh zgniótł kolejny niedopałek papierosa. - Nie miałem do tego serca. Ale mniej więcej przed dwoma laty znów zacząłem o nim rozmyślać, a kiedy przystąpiłem do pracy nad obecną książką, książką o Węgrzech, postanowiłem mieć oko również na Draculę«.

Zapadła już ciemność i w falach Dunaju odbijały się światła latarni ustawionych na moście oraz budynków w Peszcie. Kelner zaproponował nam *eszpresszó*, którą przyjęliśmy z ogromnym zadowoleniem. Hugh upił łyk aromatycznego napoju i zapytał:

»Czy chcesz zobaczyć książkę?«

»Tę, nad którą właśnie pracujesz?«

»Nie, moją książkę ze smokiem«.

»Masz ją ze sobą?«

»Zawsze ją mam przy sobie - odparł z powagą. - No, prawie zawsze. Na czas dzisiejszego wykładu zostawiłem ją w hotelu, sądząc, że tam będzie bezpieczna. Na myśl, że ktoś mógłby mi ją skraść... - Urwał. - Swojej nie trzymałeś w pokoju?«

»Nie - odparłem z uśmiechem. - Noszę ją zawsze ze sobą«.

Odsunął ostrożnie filizanki, otworzył teczkę, z której wyciągnął błyszczące, drewniane pudełko, a z niego pakunczek zawinięty w kawałek materiału. Położył go na stole. W środku znajdowała się książka. Mniejsza od mojej, ale oprawiona w taki sam wytarty welin. Stronice miała bardziej brązowe i bardziej kruche niż moja, ale wizerunek smoka był ten sam. Bez słowa sięgnąłem po swoją teczkę, wyjąłem z niej wolumin i położyłem obie książki obok siebie otwarte na wizerunku smoka. Są identyczne - pomyślałem, pochylając się nisko nad nimi.

»Popatrz na te smugi - powiedział cicho Hugh. - Niczym się od siebie nie różnią. Obie ilustracje odbito z tej samej matrycy«.

Miał rację. Sam to od razu zauważyłem.

»A wiesz, przypomina mi to pewną rzecz, o której zapomniałem ci powiedzieć. Po wykładzie, przed powrotem do hotelu, panna Rossi zaprowadziła mnie do uniwersyteckiej biblioteki, ponieważ chciała zerknąć na coś, co widziała jakiś czas temu. - Opisałem wolumin z rumuńskimi pieśniami ludowymi i osobliwe wiersze mówiące o mnichach wjeżdżających do wielkiego miasta. - Sądziła, że może mieć to jakiś związek z opowieścią zamieszczoną w stambulskim rękopisie, o czym już ci mówiłem. Wiersze były bardziej niż ogólne, ale na górnym marginesie widniał intrygujący drzeworyt przedstawiający gęsty las, malutki kościółek, smoka, a między nimi słowo«.

»Dracula?« - zapytał Hugh, tak samo jak ja w bibliotece.

»Nie. Ivireanu«.

Kiedy przeliterowałem to słowo, oczy mu się rozszerzyły.

»Ależ to zdumiewające!« - wykrzyknął.

»Co takiego?«

»Na to samo imię natknąłem się ostatnio w bibliotece«.

»W tej samej bibliotece? Gdzie? W tej samej książce?«

Byłem zbyt wzburzony, by spokojnie czekać na odpowiedź.

»Tak, w bibliotece uniwersyteckiej, ale w innej książce. Przez tydzień myszkowałem w księgozbiórze, poszukując materiałów do mojej książki, a ponieważ cały czas myślałem o naszym przyjacielu, zacząłem też poszukiwać wszelkich odniesień do jego życia. Jak wiesz, Dracula i Hunyadi byli zaprzysięgłymi wrogami, a później zaciekłym przeciwnikiem Draculi stał się Maciej Korwin. Podczas lunchu mówiłem ci, że odkryłem rękopis napisany na zlecenie Korwina, dokument wspominający o duchu w amforze«.

»I w nim natknąłeś się na słowo *Ivireanu*?« - spytałem z ożywieniem.

»Nie. Manuskrypt Korwina jest bardzo interesujący, ale z całkiem innych względów. Rękopis mówi... no dobrze, część z niego skopiowałem. Oryginał napisany jest po łacinie«.

Otworzył notatnik i przeczytał mi kilka zdań:

»Roku Pańskiego tysiąc czterysta sześćdziesiątego trzeciego oddany sługa królewski przesłał mu te słowa pochodzące z wielkiej księgi, by przekazać Jego Wysokości wiadomości o klątwie wampira, oby szczęść na wieki w piekle. Wiadomości te przeznaczone są dla królewskiej kolekcji Jego Wysokości. Może pomogą Mu wypenić to zło z naszego miasta, skończyć z wampirami i odegnąć tę plagę od naszych siedzib.

I tak dalej, i tak dalej. Następnie wierny skryba, niezależnie od tego, kim był, przytacza listę zapisków i adnotacji, na które trafił w licznych, klasycznych pracach, w tym również opowieści o duchu w amforze. Manuskrypt powstał w rok po wzięciu Draculi w niewolę i uwięzieniu go w Budzie. Wiadomość o zaniepokojeniu tym samym problemem zarówno tureckiego sułtana, o czym wyczytałem w dokumencie w Stambule, jak i Macieja Korwina, skłoniła mnie do mniemania, iż Dracula, gdziekolwiek tylko się pojawił, zawsze sprawiał wielkie kłopoty. Oba dokumenty wspominają o pladze i wszystkie wyrażają niepokój faktem pojawienia się wampirów. Pod tym względem są bardzo do siebie podobne, nieprawdaż?

W każdym razie owe analogie do plagi nie są wcale naciągane. W bibliotece British Museum wpadły mi w ręce pewne włoskie dokumenty mówiące o tym, iż Dracula zarazy używał jako broni przeciw Turkom. Tak naprawdę był zapewne pierwszym Europejczykiem, który zastosował broń bakteriologiczną. Zarażonych najgorszymi chorobami poddanych posyłał na terytoria wroga w tureckim przebraniu«.

W blasku bijącym ze stojącej na stole lampy widziałem jego zwężone oczy i skupioną twarz. Dotarło do mnie nieoczekiwanie, że w osobie Hugh Jamesa zyskaliśmy potężnego sprzymierzeńca o nieprzeciętnej wiedzy i inteligencji.

»Tak, wszystko, co mówisz, jest niebywale interesujące - stwierdziłem. - Ale co ze słowem *Ivireanu*?«

»Och, wybac - odrzekł z lekkim uśmiechem. - Odrobinę zboczyłem z tematu. Tak, na słowo to natknąłem się w tutejszej bibliotece. Odkryłem je wczoraj w siedemnastowiecznym, rumuńskim Nowym Testa-

mencie. Zainteresowałem się tą księgą, gdyż jej ozdobna okładka w zdziwiający sposób wskazywała na wpływy sztuki osmańskiej. Na dole strony tytułowej widniał napis *Mreanu...* tak, jestem pewien, że takie właśnie było to słowo. Ale szczerze mówiąc, nie zwróciłem na nie większej uwagi. Język rumuński zawsze stanowił dla mnie tajemnicę i potraktowałem ten wyraz jako nazwisko wydawcy, miejsce wydania lub coś w tym rodzaju. Uwagę moją przykuła wyjątkowo piękna i staranna czcionka, jaką je wydrukowano».

Jęknąłem w duchu.

»I to wszystko? Niczego innego nie zauważyłeś?«

»Obawiam się, że nie. - Hugh bawił się pustą filiżanką po kawie. - Ale jeśli jeszcze się gdzieś na nie natknę, niezwłocznie dam ci o tym znać«.

»Dzięki, choć zapewne nie ma to większego związku z Draculą - powiedziałem, chcąc głównie poprawić własne samopoczucie. - Gdybyśmy tylko mieli czas na wspólną wyprawę do biblioteki. Niestety w poniedziałek muszę wracać do Stambułu. Dostałem wizę tylko na czas trwania konferencji. Ale gdybyś odkrył coś ciekawego...«

»Naturalnie. Zostanę tu jeszcze przez tydzień. Jeśli natknę się na coś interesującego, czy mogę napisać pod adres twego wydziału?«

Jego słowa podziały na mnie niczym kubek zimnej wody. Wiele dni minęło od czasu, gdy miałem dom. Teraz nie wiedziałem, kiedy... czy w ogóle, znów będę mógł odbierać pocztę z wydziałowej skrzynki.

»Nie, nie - powiedziałem spiesźnie. - Tam chwilowo lepiej nie pisz. Jeśli natkniesz się na coś, co mogłoby pomóc nam w poszukiwaniach, zadzwoń, proszę, do profesora Bory. Wyjaśnij mu, że rozmawialiśmy. Zresztą kiedy go spotkam, sam mu powiem, iż powinien spodziewać się twego telefonu«.

Wyciągnąłem kartę wizytową Turguta i zapisałem Hugh numer jego telefonu.

»Doskonale - powiedział James, chowając kartkę do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Tu masz moją wizytówkę. W razie czego dzwoń. Zresztą mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. - Długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu, spoglądając nieruchomym wzrokiem na stół z pustymi filiżankami i talerzami oraz filujący płomień świecy. - Posłuchaj, jeśli wszystko, co mi powiedziałeś, jest prawdą... albo raczej to, co przekazał ci Rossi... że hrabia Dracula czy też Vlad Pałownik... w jakiś niepojęty, odrażający sposób przetrwał... chciałbym ci pomóc...«

»Unicestwić go? - dokończyłem cicho. - Będę o tym pamiętać«.

Nie zostało już nic więcej do powiedzenia, choć żywiłem głęboką nadzieję, że jeszcze się spotkamy. Złapaliśmy taksówką, która zawiozła nas do Pesztu, gdzie Hugh uparł się, że odprowadzi mnie do hotelu. Pożegnaliśmy się serdecznie przy ladzie recepcji. Kiedy Hugh już odchodził, nieoczekiwanie wyłonił się ze swego pomieszczenia jeden z pracowników hotelu, z którym raz już rozmawiałem, i ściskając mnie mocno za łokieć, szepnął gorączkowo:

»Herr Paul!«

»O co chodzi?«

Obaj z Hugh wytrzeszczyliśmy na niego oczy. Był to wysoki, przygarbiony mężczyzna w niebieskiej, służbowej kurtce. Miał wąsy, jakich mógłby mu pozazdrościć niejeden wojownik Hunów. Pochylił się w moją stronę i zaczął coś mówić niskim głosem, a ja dałem znak Hugh, żeby jeszcze nie odchodził. Hotelowe lobby było kompletnie puste, a ja nie szczególnie chciałem samotnie stawiać czoło kolejnemu kryzysowi.

»Herr Paul, wiem, kto był w twoim *Zimmer* dzisiajszego popołudnia«.

»Co? Kto?«

»Hmm, hmm«.

Pracownik recepcji zaczął mrużyć coś pod nosem, rozglądać się wokół siebie i grzebać w kieszeniach kurtki. Mogło to mieć w jego pojęciu jakieś znaczenie, gdybym tylko wiedział, o co mu chodzi.

»Chce łapówki« - przetłumaczył półgłosem Hugh.

»Och, na Boga!« - powiedziałem z irytacją, lecz twarz mężczyzny pojaśniała, kiedy wręczyłem mu dwa, dużego formatu, węgierskie banknoty. Bez słowa schował je do kieszeni.

»Herr Amerykanin - szepnął. - Wiem, to nie był *ein* człowiek w tego popołudnia. To było dwóch ludzi. Jeden przychodzi pierwszy, bardzo ważny człowiek. Później drugi. Widzę go, jak niosą walizę do innego *Zimmer*. Później widzę ich dwóch. Rozmawiają. Razem wyszli«.

»I nikt ich nie zatrzymał? - warknąłem. - Kim byli ci ludzie? Czy to Węgrzy?«

Mężczyzna ponownie czujnie rozejrzał się wokół siebie, a ja z trudem powstrzymywałem się, by nie chwycić go za gardło. Atmosfera terroru policyjnego zaczynała już grać mi na nerwach. Na mojej twarzy musiała malować się wściekłość, gdyż Hugh uspokajająco położył mi dłoń na ramieniu.

»Ważny człowiek Węgier. Drugi człowiek nie-Węgier«.

»Skąd o tym wiesz?«

Zniżył głos jeszcze bardziej.

»Jeden mężczyzna Węgier, ale mówili razem *Anglischn*.

Tyle tylko umiał powiedzieć mimo wielu moich pytań zadawanych . groźnym głosem. Najwyraźniej uznał, że za tyle forintów, ile ode mnie dostał, dostarczył mi wystarczającą ilość informacji. I zapewne nie powiedziałby nic więcej, gdyby coś nie przykuło nagle jego uwagi. Spoglądał na coś, co znajdowało się za moimi plecami. Po sekundzie sam odwróciłem się w tamtą stronę, podążając za jego wzrokiem. Natychmiast za szybą wielkiego hotelowego okna ujrzałem wyglądnie oblicze o zapadniętych oczach, które znałem aż za dobrze. Twarz ta należała do grobu, nie do gwarnej ulicy. Pracownik hotelu, trzymając się kurczowo mego ramienia, wybełkotał:

»To on o diabelskiej twarzy - *Anglischer* człowiek!«

Z okrzykiem przypominającym bardziej wycie odtrąciłem lepiącego się do mnie hotelarza i pobiegłem w stronę drzwi. Hugh, z wielką przytomnością umysłu (co zrozumiałem dopiero później), porwał ze stojaka przy recepcyjnej ladzie parasol i ruszył moim śladem. Trzymana kurczowo w dłoni teczka bardzo utrudniała mi ruchy. Biegaliśmy po ulicy tam

i z powrotem, ale bez skutku. Nie słyszeliśmy nawet kroków uciekającego człowieka, więc nie wiedzieliśmy, w którą stronę biec.

W końcu oparłem się o ścianę domu i z trudem łapałem powietrze. Hugh również ciężko dyszał.

»Co to było?« - wysapał.

»Bibliotekarz - wyjaśniłem, kiedy już byłem w stanie cokolwiek z siebie wykrztusić. - Ten, który podążył naszym tropem do Stambułu. Jestem pewien, że to był on«.

»Jezu Chryste! - Hugh otarł rękawem spocone czoło. - Co on tu robi?«

»Próbuje zdobyć resztę moich notatek - wyjaśniłem ochryplym głosem. - Wierz mi lub nie, ale to wampir, a my przywlekliśmy go ze sobą do tego pięknego miasta«.

Na myśl o przekleństwie, które się za mną ciągnęło, w oczach stanęły mi łzy.

»Och, daj spokój - próbował uspokoić mnie Hugh. - Obaj wiemy, że mieli tu wampiry na długo przed naszym przybyciem«.

Twarz miał śmiertelnie bladą, a w dłoni kurczowo ścisnął parasol i gorączkowo rozglądał się wokół siebie.

»Niech to szlag!« - Z wściekłością uderzyłem dłonią w mur budynku.

»Musisz mieć teraz oczy szeroko otwarte - odezwał się poważnie Hugh. - Czy panna Rossi już wróciła?«

»Helen! - Zupełnie o niej zapomniałem i słysząc mój okrzyk, Hugh nieznacznie się uśmiechnął. - Wracam do hotelu, by to sprawdzić. Zamierzam też zadzwonić do profesora Bory. Posłuchaj, Hugh, ty też musisz mieć oczy szeroko otwarte. Obiecuj, że będziesz bardzo ostrożny. Bibliotekarz widział cię w moim towarzystwie, a ostatnio nikomu to dobrze nie wróży«.

»Mną się nie przejmuj. - Obrzucił zamyślonym spojrzeniem trzymający w rękę parasol. - Ile zapłaciłeś temu pracownikowi?«

Na przekór straszliwym okolicznościom, roześmiałem się.

»Przestań mnie męczyć«.

Serdecznie uściśnięliśmy sobie dłonie i Hugh zniknął, idąc do swego hotelu, który znajdował się nieopodal mego. Nie podobało mi się, że pozwoliłem mu samotnie odejść, ale na ulicy wciąż kręciło się jeszcze wielu ludzi. Poza tym wiedziałem, iż Hugh zawsze chadza swoimi drogami. Taki już miał charakter.

Po powrocie do hotelu nie zastałem wystraszonego pracownika. Zapewne skończyła się jego zmiana, gdyż w recepcji siedział inny, gładko ogolony, młody człowiek. Wskazał wiszący na haczyku klucz do pokoju Helen, co znaczyło, że jeszcze nie wróciła od ciotki. Młodzieniec pozwolił skorzystać mi z telefonu, ustalając przedtem bardzo precyzyjnie cenę usługi. Kilkakrotnie ponawiałem próby dodzwonienia się do Turcji, zanim w końcu w słuchawce rozległ się sygnał aparatu Turguta. Irytowało mnie to, że muszę dzwonić z hotelowego telefonu, który z pewnością był na podsłuchu, ale o tej porze nie miałem innego wyjścia. Żywiłem tylko nadzieję, że nasza rozmowa będzie zbyt dziwaczna, by ktokolwiek mógł ją zrozumieć. W końcu usłyszałem w słuchawce kliknięcie i po drugiej stronie linii rozległ się daleki, lecz jowialny głos Turguta mówiącego coś po turecku.

»Profesor Bora! - huknąłem w słuchawkę. - Turgut, to ja, Paul, dzwonię z Budapesztu!«

»Paul, drogi człopcze! - Nigdy jeszcze w życiu nie słyszałem niczego słodszego niż ów dudniący głos. - Są jakieś zakłócenia na linii... podaj

mi na wszelki wypadek swój numer telefonu, gdyby całkowicie nam przerwało».

Recepcjonista podał mi numer, który szybko przekazałem Turgutowi.

»Jak się masz?! - wrzasnął. - Czy odnalazłeś go?«

»Nie! - odkrzyknąłem. - Z nami wszystko w porządku. Trochę się dowiedziałem, ale wydarzyła się rzecz straszna».

»Co takiego? - Mimo zakłóceń na linii wyczułem w jego głosie konsternację. - Czy coś ci się stało? A panna Rossi?«

»Nie, jesteśmy cali i zdrowi. Ale przywłókł się tu za nami bibliotekarz. - Ze słuchawki popłynął potok przekleństw, zapewne szekspirowskich, ale w panującym na linii szumie nie potrafiłem rozróżnić poszczególnych słów. - Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?«

»Jeszcze nie wiem. - Głos Turguta stał się odrobinę wyraźniejszy. - Czy nosisz przy sobie zestaw, który ci dałem?«

»Oczywiście. Ale nie jestem w stanie zbliżyć się do tego upiora na tyle blisko, by zrobić użytek z tych narzędzi. Podejrzewam, że kiedy byłem dziś na konferencji, przeszukał mój pokój i najwyraźniej ktoś mu w tym pomagał».

Zapewne miejscowa policja cały czas podsłuchiwała naszą rozmowę, ale Bóg jeden raczył wiedzieć, co z tego zrozumiała.

»Bardzo na siebie uważaj, profesorze. - W głosie Turguta pojawiła się nuta wyraźnej troski. - Nie potrafię dać ci żadnej mądrej rady, ale niebawem otrzymam nowe wiadomości, może nawet jeszcze przed waszym powrotem do Stambułu. Cieszę się, że do mnie zadzwoniłeś. Odkryłem z Aksoyem nowy dokument, którego żaden z nas dotąd nie widział. Wygrzebaliśmy go w archiwum Mehmeda. Jest to dokument spisany przez mnicha z kościoła ortodoksyjnego w roku tysiąc czterysta siedemdziesiątym siódmym. Musimy go dopiero przetłumaczyć».

Na linii znów wzmożyły się zakłócenia i musiałem wprost wrzeszczeć do słuchawki.

»Powiedziałeś: tysiąc czterysta siedemdziesiąt siódmy? W jakim języku został napisany?«

»Zupełnie cię nie słyszę, chłopcze - grzmiał z oddali głos Turguta. - U nas jest burza. Zatelefonuję do ciebie jutro wieczorem».

Wdarł się między nas straszliwy zgiełk, który całkowicie pochłonął jego dalsze słowa. Nie wiedziałem, czy słyszę język węgierski czy turecki. Rozległo się kilka ogłuszających trzasków i w słuchawce zapadła cisza.

Powoli ją odłożyłem, zastanawiając się, czy nie powinienem zadzwonić jeszcze raz, ale recepcjonista z niepokojem na twarzy zabrał telefon i podał mi rachunek. Z ponurą miną wręczyłem mu pieniądze i przez chwilę nie ruszałem się z miejsca. Nie miałem najmniejszej ochoty wracać do nowego pokoju, jaki mi przydzielono, pozwalając zabrać jedynie przybory toaletowe i czystą koszulę. Ogarnęło mnie przygnębienie. Miałem za sobą długi, ciężki dzień, a zegar w recepcji wskazywał prawie dwudziestą trzecią. Załamałbym się całkowicie, gdyby nie taksówka, która zatrzymała się z piskiem opon przed hotelem. Wsiadła z niej Helen, zapłaciła szoferowi i przekroczyła próg hotelu. Nie dostrzegła mnie stojącego za ladą. Twarz miała poważną, zamkniętą, pełną jakiejś melancholii. Czasami widywałem na jej obliczu podobny wyraz. Otulona była grubym, czarno-czerwonym szalem, który widziałem po raz pierwszy - zapewne prezent od ciotki. W niemym zachwycie patrzyłem na jej postać w ciemnym kostiumie i jasną skórę, która zdawała się lśnić wewnętrznym blaskiem w ostrym świetle hotelowej recepcji. Przypominała księżniczkę z bajki i gapiłem się na nią bezwstydnie do chwili, aż mnie zauważyła. Ale nie tylko jej uroda, podkreślana jeszcze przepięknym wełnianym szalem, oraz dumny zarys podbródka sprawiły, że stałem jak wmurowany. Znów przypomniałem sobie z paskudnym dreszczem, który przeszył mi twarz, portret w gabinecie Turguta - dumną głowę, długi, prosty nos, wielkie, ciemne oczy i gęste brwi. Być może był to tylko skutek zmęczenia, gdyż kiedy w końcu Helen zauważyła moją obecność i przesłała mi uśmiech, obraz ten znikł w jednej chwili".

43

Gdybym nie potrząsnęła Barleyem lub gdyby podróżował sam, przepałyby granicę i obudziliby go dopiero brutalnie hiszpańscy celnicy. Dzięki mnie wytoczył się zaspany na peron w Perpignan, ale ostatecznie to ja musiałam wypytać o drogę do dworca autobusowego. Konduktor w granatowym uniformie zmarszczył na nasz widok brwi, jakby uważał, że o tak wczesnej porze powinniśmy znajdować się jeszcze w przedszkolu. Spytał, dokąd się wybieramy. Kiedy wyjaśniłam, że do Les Bains, przecząco pokręcił głową. Wybiła właśnie północ, a my musieliśmy cze-

kać do rana. Na szczęście po drugiej stronie ulicy znajdował się schludny hotelik, w którym ja i mój „brat” wynajęliśmy pokój. Konduktor obrzucił nas podejrzliwym wzrokiem - popatrzył na moją prawie dziecięcą twarz i jasne włosy Barleya - mruknął coś pod nosem, cmoknął językiem i udał się w swoją stronę.

„Następny dzień był jeszcze piękniejszy i bardziej pogodny niż poprzedni. Kiedy spotkałem się z Helen w hotelowej restauracji, wszelkie złe przeczucia, jakie gnębiły mnie wieczorem, wydawały się tylko złym snem. Przez zakurzone okna wpadały potoki jaskrawego, słonecznego światła, rzucając jasne plamy na biały obrus i skrząc się w masywnych filiżankach z kawą. Helen pisała coś w niewielkim notatniku.

»Witaj - odezwała się pogodnie, a ja zająłem miejsce na krześle i nałamałem sobie kawy. - Czy jesteś gotów na spotkanie z moją matką?«

»Od chwili przybycia do Budapesztu o niczym innym nie myślę - wyznałem. - Jak się tam dostaniemy?«

»Jej wioska leży przy szosie biegnącej z miasta na północ. Ale w niedzielę kursuje tam tylko jeden autobus, więc nie wolno go nam przegapić. Jazda potrwa godzinę. Droga wiedzie przez bardzo przygnębiające przedmieścia«.

Wątpiłem, by cokolwiek w naszej eskapadzie mogło mnie znudzić lub przygnębić. Niepokoiła mnie tylko jedna rzecz.

»Helen, czy jesteś pewna, że powinienem jechać z tobą? Może lepiej będzie, jeśli porozmawiasz z nią sama? Czy nie poczuje się skrępowana, jeśli pojawisz się w towarzystwie całkowicie obcego dla niej mężczyzny, do tego jeszcze Amerykanina? Może moja obecność sprowadzi jej na głowę kłopoty?«

»Wręcz przeciwnie, twoja obecność właśnie powinna skłonić ją do zwierzeń - odparła zdecydowanie Helen. - Do mnie odnosi się z dużą rezerwą. A ty ją oczarujesz«.

»Co jak co, ale nikt mi dotąd nie powiedział, że mogę być czarujący«.

Posmarowałem trzy kromki chleba masłem.

»Tym się akurat nie przejmuj. Czarujący to ty na pewno nie jesteś - odparła zgryźliwie, ale odniosłem wrażenie, że w jej oczach pojawił się wyraz sympatii. - Poza tym moją matkę łatwo jest oczarować«.

Nie dodała, że skoro oczarował ją Rossi, dlaczego nie mógłbym zrobić tego również ja. Ale wolałem nie drażyć dłużej tego tematu.

»Mam nadzieję, że zawiadomiłaś ją o naszym przyjeździe«.

Spoglądając na Helen, zastanawiałem się, czy opowie matce o tym, jak zaatakował ją bibliotekarz. Szyję wciąż miała mocno obwiązaną chustką, na którą starałem się nie patrzeć.

»Ciotka Eva wysłała do niej wczoraj depeszę« - wyjaśniła spokojnie, podając mi konfiturę.

Autobus, do którego wsiedliśmy w jednej z północnych dzielnic Budapesztu, krążył po przedmieściach. Najpierw przejechaliśmy przez mocno zdewastowane przez wojnę okolice, a później pośród nowo wznoszonych osiedli, białych i wyniosłych niczym grobowce gigantów. Przedstawiać miały sobą komunistyczny postęp społeczny, tak chętnie i z taką wrogością opisywany przez zachodnią prasę - setki tysięcy ludzi spędzonych do wyjałowionych, pozbawionych wszelkiego wyrazu bloków. Autobus kilkakrotnie zatrzymywał się przy takich blokowiskach, a mnie za każdym razem zdumiewał widok tych bezbarwnych osiedli, a wokół nich uprawianych przez mieszkańców przydomowych ogródków, pełnych warzyw i ziół, barwnych kwiatów, nad którymi unosiły się motyle. Na ławce przed jednym z bloków siedziało dwóch starych mężczyzn w białych koszulach i czarnych kamizelkach, grających w jakąś planszową grę... jaką? Nie potrafiłem określić tego z odległości. Do autobusu wsiadło kilka kobiet w wyszywanych barwną nicią koszulach... w niedzielnych strojach? Jedna z nich dźwigała klatkę z żywą kwoką. Szofer machnięciem ręki polecił jej, by przeniosła się z ptakiem i resztą bagażu na tył samochodu. Niewiasta posłusznie usiadła i zajęła się robótką.

Kiedy już minęliśmy przedmieścia, autobus, wzbijając tumany kurzu, zaczął ciężko toczyć się lokalnymi drogami. Po obu stronach szosy rozciągały się żyzne pola. Od czasu do czasu mijaliśmy zaprzężone w konie wozy powożone przez miejscowych chłopów w fedorach i kamizelkach. Od czasu do czasu mijał nas samochód, który w Stanach Zjednoczonych dawno już stałby w muzeum techniki. Kraina była pełna zieleni, a nad strumieniami pochylały się rosochate wierzby. Czasami mijaliśmy wioski z wznoszącymi się cebulastymi kopułami monasteru lub cerkwii. Siedząca obok mnie Helen też wyglądała przez okno.

»Niebawem dojedziemy do Esztergom, pierwszej siedziby węgierskich królów. Jeśli starczy nam czasu, zwiedzimy ją«.

»Chyba innym razem. Dlaczego twoja matka wybrała sobie to miejsce?«

»Przeprowadziła się tutaj, kiedy jeszcze byłam w liceum. Woląla mieszkać bliżej gór. Ale ja nie chciałam jej towarzyszyć - zostałam w Budapeszcie u Evy. Moja matka nigdy nie lubiła miasta i twierdziła, że rozciągające się na północy Bórsóny przypominają jej Transylwanię. Każdej niedzieli jeździ w te góry z miejscowym klubem turystycznym, jeśli oczywiście nie spadną zbyt obfite śniegi«.

Słowa Helen stanowiły kolejny element w układance, z których składałem sobie w myślach portret jej matki.

»Dlaczego więc nie osiedliła się w górach?«

»Nie znalazłaby tam pracy, to park narodowy. Poza tym nie pozwoliłaby jej na to ciotka. I tak uważa, że mama zbyt izoluje się od ludzi i od życia«.

»A co robi twoja matka?«

Na przystanku w kolejnej wiosce wyjrzałem przez okno. Stała tam tylko stara kobieta ubrana na czarno, z głową spowitą czarną chustą. Trzymała w rękach bukiet czerwonych i różowych kwiatów. Nie wsiadła do autobusu ani nikogo w nim nie pozdrowiła. Kiedy odjeżdżaliśmy, stała bez ruchu, ściskając w rękach ogromny bukiet pachnących kwiatów.

»Pracuje w wiejskim ośrodku kultury, przewraca papiery, pisze na maszynie i robi kawę dla burmistrzów okolicznych miasteczek odwiedzających wioskę. Wielokrotnie mówiłam jej, że jest to zajęcie upokarzające dla kogoś z jej inteligencją, ale za każdym razem zbywała mnie machnięciem ręki. Mama zawsze lubiła proste życie. Zresztą sam zobaczysz«.

W głosie Helen wyczułem pełen goryczy ton. Przez chwilę zastanawiałem się, czy jej zdaniem prostota taka nie tylko zaszkodziła matce w zrobieniu kariery, ale też utrudniła życie jej córce.

»Tym na szczęście zajęła się ciotka Eva« - oświadczyła Helen ze złośliwym uśmiechem.

Pojawiła się tablica z nazwą wioski, w której mieszkała matka Helen. Autobus zatoczył szeroki łuk i zatrzymał się na niewielkim placu kolonowym sykomorami, którego jedną stronę zajmował mur kościoła. Pod niewielką wiatą ujrzałem starą kobietę ubraną na czarno, bliźniaczo podobną do tej z poprzedniego przystanku. Popatrzyłem pytająco na Helen, ale ona potrząsnęła przecząco głową. Po chwili niewiasta wpadła w objęcia żołnierza, który wysiadł przed nami z autobusu.

Helen, najwyraźniej zadowolona z tego, że nikt na nas nie czeka, poprowadziła mnie szybko ulicą, wzdłuż której stały domki ze skrzynkami

z kwiatami na parapetach i zamkniętymi okiennicami chroniącymi przed jaskrawym blaskiem słońca. Siedzący na drewnianym krześle przed jednym z budynków mężczyzna na nasz widok pochylił głowę i dotknął dłonią runda kapelusza. Przy końcu ulicy ujrzałem przywiązanego do płotu konia, który łąpczywie pił wodę z wiadra. Przed zamkniętym barem stały dwie niewiasty w domowych strojach i pantoflach, gorączkowo o czymś rozprawiając. Nad polami niósł się dźwięk kościelnego dzwonu, a pośród listowia lip śpiewały ptaki. Atmosfera była senna, a ja wreszcie poczułem, że otacza mnie prawdziwa natura.

Uliczka kończyła się nieoczekiwanie rozległym polem porośniętym chwastami. Helen zastukała do drzwi ostatniego domu. Był to niewielki, otynkowany na żółto budynek z dachem pokrytym czerwoną dachówką. Nad frontową ścianą zwieszał się okap dachu, tworząc rodzaj naturalnej werandy. W wykonanych z ciemnego drewna drzwiach widniała zardzewiała klamka. Dom stał w pewnym oddaleniu od pozostałych budynków, nie było przy nim ogródka, a prowadzącej do drzwi ścieżki nie wyłożono betonowymi płytami chodnikowymi, tak jak w innych domostwach przy tej ulicy. Sterczący okap dachu i wieńczące go rynny rzucały gęsty cień, tak że nie od razu mogłem dostrzec rysy kobiety, która otworzyła nam drzwi. Objęła Helen i ucałowała ją w oba policzki, choć w moim odczuciu uczyniła to w sposób prawie formalny. Następnie uściśnęła moją dłoń.

Nie wiem dokładnie, czego oczekiwałem. Zapewne pod wpływem opowieści Helen o zdradzie Rossiego i dramatycznych okolicznościach jej narodzin spodziewałem się ujrzeć podstarzałą, smętną, wręcz bezradną kobietę. Niewiasta, którą zobaczyłem, przypominała posturą córkę, choć była od niej niższa i bardziej masywna, miała miłą twarz o nieco pucułowatych policzkach i ciemne oczy. Czarne włosy, z nielicznymi pasmami siwizny, upięte były w kok. Miała na sobie bawełnianą sukienkę i kwiecisty fartuch. W przeciwieństwie do Ćvy nie nakładała na twarz makijażu. Jej strój niczym nie różnił się od ubrań innych kobiet, jakie widziałem w tej wiosce. Najwyraźniej przerwaliśmy jej jakieś zajęcia domowe, gdyż rękawy sukienki miała podwinięte. Bez słowa uściśnęła mi dłoń, spoglądając przy tym głęboko w oczy. I nagle, przez ulotną chwilę, widziałem ją taką, jaka była przed dwudziestu laty: w jej ciemnych, głębokich oczach, okolonych teraz kurzymi łapkami, zobaczyłem śliczną, skromną i nieśmiałą dziewczynę.

Wprowadziła nas do domu i gestem zaprosiła do zajęcia miejsca przy stole, na którym stały trzy nieco poobtlukiwane filiżanki i talerz z bułkami. Wyczułem zapach parzonej kawy. Matka Helen, tuż przed naszym przyjściem, najwyraźniej siekała jakieś warzywa, gdyż w powietrzu unosiła się ostra woń cebuli i kartofli.

W domu znajdowała się tylko jedna izba pełniąca rolę jednocześnie kuchni, sypialni i salonu. Wszędzie panował nieskazitelny porządek. Ustawione w kącie wąskie łóżko nakryte było białą kołdrą, a w głowie leżało kilka poduszek w poszwach haftowanych różnokolorowymi niemi. Nieopodal łóżka stał stolik. Znajdowało się na nim kilka książek, okulary oraz naftowa lampa ze szklanym kloszem. Obok stało krzesło. W nogach łóżka gospodyni ustawiła wielki, malowany w kwiaty kufer. W części kuchennej, gdzie siedzieliśmy, znajdowała się prosta kuchenka do gotowania, stół i krzesła. W domu nie było elektryczności ani ubikacji (dowiedziałem się o tym, gdy sam musiałem wyjść do znajdującego się na podwórku wychodka). Na jednej ze ścian wisiał kalendarz ze zdjęciem robotników w fabryce, na drugiej wyszywana czerwonym kordonkiem makatka. Okno zasłaniała biała firanka, a na parapecie stała doniczka z kwiatem. Obok kuchennego stołu znajdował się mały, żelazny piecyk na drewno, a obok niego piętrzył się stos szczap.

Matka Helen przesłała mi lekki, trochę nieśmiały uśmiech, a ja po raz pierwszy zauważyłem jej podobieństwo do Ewy oraz resztki urody, która ongiś musiała tak bardzo pociągnąć Rossiego. Uśmiech starszej kobiety miał w sobie tyle ciepła i serdeczności, że serce zaczęło mi się topić niczym wosk. Po chwili gospodyni odwróciła się i zaczęła ponownie szatkować warzywa. Popatrzyła na mnie i powiedziała coś po węgiersku do Helen.

»Prosi, żebyś zrobiła ci kawę«.

Zakrzątnęła się wokół kuchenki. Niebawem nalała mi kawę i podała w blaszanej puszcze cukier. Jej matka podsunęła mi talerz z bułeczkami. Wziąłem nieśmiało jedną i podziękowałem jej dwoma, kulawymi słowami po węgiersku, jakie zdążyłem poznać. Na jej twarzy ponownie pojawił się ów promienny, pełen serdeczności uśmiech i znów powiedziała coś do Helen, która lekko pokraśniała i pochyliła się nad swoją filiżanką.

»O co chodzi?« - zapytałem.

»O nic. To tylko wioskowe pomysły mojej matki. - Postawiła przed

matką filiżankę z kawą, po czym naląa sobie. - Paul, wybac, ale chcę trochę z nią porozmawiać. O niej i o wiosce«.

»Nie ma sprawy«.

Zacęły rozmowę, ona swym kontraltem, a matka lekko schrypniętym głosem. Ponownie rozejrzałem się dyskretnie po izbie. Matka Helen prowadziła zdumiewająco proste życie - zapewne takie samo jak jej sąsiedzi - a jednocześnie bardzo samotne. Zauważyłem tylko trzy książki, żadnych zwierząt, żadnych kwiatów z wyjątkiem doniczki na parapecie okna. Jej dom przypominał zakonną celę.

Kiedy ponownie przeniosłem na nią wzrok, ze zdziwieniem skonstatowałem, że wygląda wyjątkowo młodo - o wiele młodziej niż moja matka. Wprawdzie w jej włosach srebrzyły się białe pasma, a twarz naznaczył czas, było jednak w niej coś zdrowego, jakaś młodzieńczość, której nie potrafił ukryć nawet jej wieśniaczy ubiór. Mogła mieć nawet kilkunastu mężów - błysnęła mi w głowie myśl - jednak zachowała klasztorne wyciszenie. Ponownie przesłała mi uśmiech, a ja go jej oddałem. Uśmiech kobiety był tak serdeczny, że z trudem powstrzymałem się, by nie dotknąć jej dłoni siekających kartofle.

»Moja mama chciałaby się dowiedzieć o tobie wszystkiego« - odezwała się Helen.

Tłumaczyła pytania, na które odpowiadałem najdokładniej, jak umiałem. Matka Helen przewiercała mnie wzrokiem, jakby z góry znała moje odpowiedzi. Z której części Stanów Zjednoczonych pochodzę? Po co przyjechałem na Węgry? Kim są moi rodzice? Czy nie mają nic przeciwko temu, że wyjeżdżam tak daleko? W jaki sposób poznałem Helen? Zadała kilka kolejnych pytań, których Helen najwyraźniej nie przetłumaczyła. Przy jednym z nich matka delikatnie pogłaskała córkę po policzku. Helen sprawiała wrażenie bardzo wzburzonej i nie śmiałem wypytywać jej o szczegóły. Później rozmawialiśmy już o moich studiach, planach, o tym, co najbardziej lubię jeść.

Gdy już matka Helen zaspokoila swoją ciekawość, wrzuciła do dużego garnka posiekane warzywa i kawałki mięsa, dodała do nich czegoś czerwonego i postawiła na ogniu. Wytarła dłonie w fartuch, usiadła naprzeciwko nas i zaczęła spoglądać na nas w milczeniu, jakby czas w ogóle się dla niej nie liczył. W końcu Helen niespokojnie się poruszyła i chrząknęła. Zrozumiałem, że zamierza wyjaśnić powód naszej wizyty. Matka słuchała słów córki z nieruchomą twarzą, dopóki ta nie wskazała

na mnie ręką i nie padło słowo »Rossi«. Wiele trudu kosztowało mnie zachowanie równowagi umysłu, gdy siedziałem w kompletnie obcej dla mnie węgierskiej wiosce, a matka Helen wierciła mnie spokojnym wzrokiem. W tej chwili jednak zamrugła oczyma, jakby ktoś chciał ją uderzyć. Następnie skinęła głową i zadała córce jakieś pytanie.

»Pyta, od jak dawna znasz profesora Rossiego?«

»Od trzech lata.

»Teraz opowiem jej o jego zniknięciu« - wyjaśniła Helen.

Cichym głosem, z wolna, jakby wbrew własnej woli, zaczęła opowieść, czasami gestykulując, czasami malując rękami jakieś obrazy w powietrzu. Dotarło do mnie słowo »Dracula«, na którego dźwięk jej matka pobladła

i kurczowo zacisnęła palce na krawędzi stołu. Helen i ja zerwaliśmy się na równe nogi. Córka podała jej szklanek wody. Starsza kobieta powiedziała coś szybko schrypniętym głosem.

»Mówi, że od początku wiedziała, iż tak się to właśnie skończy« - wyjaśniła Helen, odwracając się w moją stronę.

Stałem, spoglądając bezradnie na obie kobiety, ale po kilku łykach wody matka Helen najwyraźniej wróciła do równowagi. Uniosła twarz, ku memu zdumieniu ujęła mnie za rękę i zmusiła, bym ponownie usiadł na krześle. Trzymała mnie czule, pieszczotliwie, zupełnie jakby traktowała mnie jak dziecko, które należało uspokoić. Nie wyobrażałem sobie, by jakakolwiek niewiasta pochodząca z mojej kultury, zrobiła coś podobnego podczas pierwszego spotkania z nieznanym jej mężczyzną. Zrozumiałem wreszcie, co Helen miała na myśli, mówiąc, że z dwóch starszych kobiet w jej rodzinie najbardziej polubię właśnie matkę.

»Chce wiedzieć, czy naprawdę wierzysz w to, że profesora Rossiego przejął Dracula«.

Wciągnąłem głęboko w płuca powietrze.

»Wierzę«.

»Chce też wiedzieć, czy naprawdę darzysz profesora Rossiego aż takim uczuciem«.

Choć twarz miała poważną, w jej głosie wyczułem pogardliwe nutki. Gdybym był pewien, że mogę bezpiecznie ująć jej dłoń swoją wolną ręką, uczyniłbym to bez wahania.

»Oddałbym za niego życie«.

Powtórzyła moje słowa matce, która nieoczekiwanie ścisnęła mi dłoń z siłą imadła. Później dopiero dotarło do mnie, że moc ta brała się z jej

wieloletniej, nieustannej, morderczej pracy. Czulem szorstkość skóry i nagniotki na jej dłoniach, podpuchnięte palce. Spoglądając na jej drobne, a zarazem mocne dłonie, pojąłem, iż ręce te są znacznie starsze niż osoba, do której należą.

Po chwili matka Helen puściła mą dłoń, wstała i podeszła do skrzyni stojącej w nogach jej łóżka. Powoli uniosła pokrywę, przesunęła w środku kilka przedmiotów i wyjęła pakiet listów. Oczy Helen rozszerzyły się ze zdumienia, zadała ostrym tonem jakieś pytanie, ale jej matka puściła jej słowa mimo uszu. W milczeniu wróciła do stołu i wręczyła mi pakiet.

Listy były w kopertach bez znaczków pocztowych, poślódkie ze starości i związane czerwoną tasiemką. Matka Helen ujęła moją dłoń zaciśniętą na listach, jakby domagając się, bym otaczał je czcią. Wystarczyło mi jedno spojrzenie na nazwisko adresata na pierwszej kopercie, bym nieomylnie rozpoznał pismo Rossiego. Nazwisko to nieustannie tkwiło w zakamarkach mej pamięci, a adres nadawcy brzmiał: Kolegium Świętej Trójcy, Oksford, Anglia".

44

„Do głębi poruszył mnie widok listów Rossiego, ale przede wszystkim musiałem wypełnić pewne swoje zobowiązania.

»Helen - powiedziałem, odwracając się w jej stronę. - Wiem, że czasami odnosiłaś wrażenie, że nie wierzę w opowieść o twoich narodzinach. Nie wierzyłem aż do teraz. Wybacz«.

»Jestem równie zaskoczona jak ty - odparła cicho. - Matka nigdy mi nie wspominała, że ma listy Rossiego. Ale nie były pisane do niej, prawda? A w każdym razie nie ten pierwszy«.

»Zgadza się. Ale znam to nazwisko. To jeden z większych angielskich historyków literatury... Specjalizował się w osiemnastym wieku. Czytałem na studiach pewną jego książkę, a Rossi wspominał o nim w jednym z listów, które mi dał«.

Helen patrzyła na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

»A co to ma wspólnego z Rossim i moją matką?«

»Zapewne bardzo dużo. Nie rozumiesz? Musiał to być Hedges, przyjaciel Rossiego... pamiętasz, to Rossi ukuł dla niego to przezwisko. Mu-

siał pisać do niego z Rumunii, choć zupełnie nie rozumiem, w jaki sposób te listy znalazły się w posiadaniu twojej matki».

Matka Helen siedziała z rękami złożonymi na podołku i spoglądała na nas wzrokiem wyrażającym bezmiar cierpliwości. Odnosiłem jednak wrażenie, iż dostrzegam w jej twarzy cień niepokornego podniecenia. Powiedziała coś do córki, a ta natychmiast przetłumaczyła mi jej słowa zdławionym głosem:

»Mówi, że opowie ci całą historię«.

Z emocji prawie odebrało mi dech. Była to bardzo kulawa rozmowa. Starsza kobieta mówiła powoli, a Helen tłumaczyła jej słowa, niejednokrotnie zatrzymując się, najwyraźniej zdumiona rewelacjami objawianymi przez jej matkę. Zapewne słyszała wcześniej tę historię jedynie w ogólnych zarysach i teraz opowieść matki wstrząsnęła nią do głębi. Kiedy późnym wieczorem wróciłem do hotelu, spisałem ją z pamięci najwierniej, jak umiałem. Pamiętam, że zajęło mi to czas prawie do białego świtu. Wtedy wydarzyło się też wiele dziwnych rzeczy i powinienem być śmiertelnie zmęczony. Przypominam sobie jednak, że spisałem wszystko niezwykle skrupulatnie, a robiłem to w jakimś osobliwym uniesieniu".

„»Jako dziecko mieszkałam w małej wiosce P. w Transylwanii, nieopodal rzeki Arges. Miałam liczne rodzeństwo, braci i siostry, z których większość do dzisiaj mieszka w tamtych stronach. Ojciec utrzymywał, że pochodzimy ze starej, szlacheckiej rodziny, która jednak podpadła w złych czasach i jako dziecko wzrastałam bez butów i ciepłego koca. W tym bardzo ubogim regionie dobrze powodziło się jedynie nielicznym węgierskim rodzinom, mieszkającym w przepysznych rezydencjach usytuowanych w dole rzeki. Ojciec był bardzo surowy i żyliśmy w nieustannym strachu przed jego batem. Moja matka często chorowała. Od najmłodszych lat pracowałam na naszym polu nieopodal wioski. Czasami ksiądz przynosił nam trochę żywności i artykułów pierwszej potrzeby, ale generalnie musieliśmy liczyć wyłącznie na siebie.

Kiedy miałam osiemnaście lat, w naszej wiosce pojawiła się kobieta mieszkająca w osiedlu położonym wysoko w górach. Była to *vracd*, uzdrowicielka, której największy rozgłos przyniosła umiejętność odczytywania przyszłości. Oświadczyła memu ojcu, że przyniosła prezent jemu i jego dzieciom, że słyszała o naszej rodzinie i pragnie przekazać mu coś magicznego, co prawowicie do niego należało. Ojciec był bardzo

porywczy i przy każdej okazji wyśmiewał się z babskich przesądów, co nie przeszkadzało mu nacierać czosnkiem wszystkich otworów w naszej chacie: komina, framugi w drzwiach, dziurki od klucza i okien. Miało to odpędzać wampiry. Wygonił brutalnie staruszkę, krzyżąc, że nie ma pieniędzy, żeby trwonić je na towary, jakie sprzedaje w okolicy. Później, gdy udałam się do wioskowej studni po wodę, spotkałam tam starowinę. Dałam jej kawałek chleba i napiłam wodą. Pobłogosławiła mnie i powiedziała, że jestem znacznie lepsza niż mój ojciec, więc chce wynagrodzić mi moje dobre serce. Sięgnęła do przywiązanej do pasa sakwy i wyczyła mi niewielką monetę, radząc, abym strzegła jej jak źrenicy oka, gdyż należała do naszej rodziny. Dodała, że pieniążek pochodzi z zamku wznoszącego się nad rzeką Arges.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że powinnam monetę pokazać swemu ojcu, ale tego nie zrobiłam. Bałam się gniewu, w jaki wpadłby na wieść, że rozmawiałam ze starą czarownicą. Ukryłam pieniążek w rogu łóżka, które dzieliłam ze swoją siostrą, i nikomu nie wspomniałam o nim słowem. Czasami, kiedy nikt mnie nie widział, wyciągałam monetę z ukrycia i dokładnie ją oglądałam. Zastanawiałam się cały czas nad powodem, dla którego stara kobieta przekazała ją właśnie mnie. Z jednej strony monety widniał wizerunek dziwnego stworzenia z długim, skręconym ogonem, a po drugiej ptak i maleńki krzyż.

Minał jakiś czas. Wciąż pracowałam na naszym polu i pomagałam matce w gospodarstwie. Ojciec nieustannie rwał sobie włosy z głowy, że los obdarzył go tyloma córkami, których nigdy nie wyda za mąż, gdyż nie stać go na posag, i do końca życia będziemy żyły na jego garnuszkę. Matka jednak twierdziła, że byliśmy wyjątkowo ślicznymi dziewczętami i każdy kawaler w wiosce wzięłby nas nawet bez posagu. Zawsze wyjątkowo dbałam o odzież, czesałam włosy i dokładnie plotłam je w warkocze, wiedząc, że pewnego dnia wybierze mnie jeden z nich. Nie podobali mi się młodzieńcy zapraszający mnie zawsze do tańca podczas wioskowych świąt, ale wiedziałam, że będę musiała poślubić któregoś z nich, aby przestać być ciężarem dla swoich rodziców. Moja siostra Eva od dawna już przebywała w Budapeszcie z węgierską rodziną, u której pracowała. Czasami przekazywała nam trochę pieniędzy. Raz nawet przysłała mi parę nowych butów - prawdziwych, miejskich, skórzanych trzewików, z których byłam niebywale dumna.

Tak przedstawiała się moja sytuacja życiowa, kiedy spotkałam profe-

sora Rossiego. Do naszej wioski rzadko kiedy przybywali obcy, a już nigdy z tak dalekiego świata. A jednak pewnego dnia gruchnęła wieść, że w karczmie pojawił się człowiek z Bukaresztu, któremu towarzyszy jakiś obcokrajowiec. Rozpytywali o wioski leżące wzdłuż rzeki i o ruiny zamku wznoszącego się w górach nad Argesem w odległości dnia drogi od naszej wioski. Sąsiad, który odwiedził nas, by podzielić się tą wiadomością, wyszeptał coś do ucha memu ojcu siedzącemu na ławce przed domem. Ojciec przeżegnał się i splunął na pokrytą kurzem ziemię:

- Głupoty i wymysły - burknął. - Nikt nie powinien pytać o takie rzeczy. Jest to tylko zaproszenie dla diabła.

Ale ja byłam zaintrygowana. Poszłam więc po wodę w nadziei, że dowiem się czegoś więcej. Kiedy znalazłam się na wioskowym placu, ujrzałam obcych siedzących przy jednym z dwóch wielkich stołów wystawionych przed karczmą. Rozmawiali z pewnym starcem, który przesiadywał tam całymi dniami. Jeden z przybyszów był potężnie zbudowanym mężczyzną, smagłym jak Cygan, lecz w miejskim ubraniu. Drugi z nich miał na sobie brązową marynarkę o kroju, jakiego nigdy jeszcze nie widziałam, szerokie spodnie wsunięte w wysokie buty, a na głowie brązowy kapelusze o szerokim rondzie. Znajdowałam się po drugiej stronie placu, nieopodal studni, skąd nie widziałam jego twarzy. Towarzyszące mi dwie moje przyjaciółki koniecznie chciały przyjrzeć mu się z bliska i namówiły mnie, bym z nimi poszła. Uczyniłam to bardzo niechętnie, bojąc się gniewu ojca.

Gdy mijałyśmy karczmę, obcokrajowiec popatrzył w naszą stronę i ze zdziwieniem ujrzałam, że jest młody i bardzo przystojny, o złocistej brodzie i jasnoniebieskich oczach, jak mieszkańcy niemieckich wiosek w naszym kraju. Palił fajkę i półgłosem gwarzył o czymś ze swoim towarzyszem. U jego nóg leżał wytarty, brezentowy worek z taśmami do noszenia go na plecach, a on sam zapisywał coś w notesie w tekturowej okładce. Natychmiast polubiłam jego twarz - malował się na niej trochę nieobecny wyraz, była niezwykle sympatyczna, a jednocześnie czujna. Na nasz widok pstryknął w rondo kapelusza. Za jego przykładem poszedł towarzyszący mu paskudny kompan. Obrzucili nas przeciągłym spojrzeniem, po czym wrócili do wypytywania starego Ivana. Jego słowa skrupulatnie notowali. Potężny mężczyzna rozmawiał ze starcem po rumuńsku, po czym tłumaczył wszystko swemu towarzyszowi na język, którego nie rozumiałam. Szybko ruszyłam za swoimi przyjaciółkami,

żeby młody obcokrajowiec nie domyślił się, iż wzbudził moje zainteresowanie.

Następnego dnia rozniosła się wieść, że obcy zapłacili w karczmie pewnemu młodzieńcowi za to, by zaprowadził ich do ruin zamku zwanego Poenari, wznoszącego się wysoko nad Argesem. Zamierzali spędzić tam noc. Usłyszałam, jak ojciec oświadczył jednemu z przyjaciół, iż przybysze szukają zamku księcia Vlada. Pamiętał, że ów dureń z cygańską gębą odwiedził już kiedyś wioskę w poszukiwaniu tego miejsca.

- Głupiec nigdy się niczego nie nauczy - oświadczył ze złością.

Po raz pierwszy usłyszałam to imię - książe Vlad. Mieszkańcy wioski zazwyczaj nazywali zamek Poenari lub Arefu. Mój ojciec oświadczył, że młodzieńcowi, który zgodził się zaprowadzić tam obcych przybyszy, myśl o zarobionych pieniądzech kompletnie zamieszała w głowie. Dodał, iż on za żadne pieniądze nie zgodziłby się spędzić tam nocy, gdyż ruinami władają złe duchy. Przypuszczał, że obcy zapewne szuka skarbu księcia, który zamieszkiwał zamek, co było już zupełną głupotą, gdyż kosztowności zostały głęboko ukryte, a na dodatek obłożone straszliwą klątwą. Dodał przy tym, iż jeśli ktoś jednak odnajdzie ów skarb i przeprowadzi stosowne egzorcyzmy, część skarbu będzie mu się prawowicie należeć. Wtedy też dostrzegł mnie oraz moje siostry, i natychmiast zamilkł.

Jego słowa przypomniały mi o małej monecie, którą dała mi starucha. Z poczuciem winy pomyślałam, że posiadam coś, co powinnam oddać memu ojcu. Ale rósł we mnie jakiś bunt i postanowiłam przekazać pieniądze przystojnemu nieznanemu, poszukującemu ukrytego w zamku skarbu. Przy pierwszej sprzyjającej okazji wyjęłam monetę z kryjówki i zawięłam ją w róg chusteczki, którą włożyłam do kieszeni fartucha.

Nieznanomy przybysz zniknął i zobaczyłam go dopiero po dwóch dniach. Siedział samotnie przy stole przed karczmą. Był najwyraźniej wyczerpany, odzież miał poszarpaną i brudną. Przyjaciółki powiedziały mi, że tego dnia z samego rana Cygan z miasta opuścił wioskę i cudzoziemiec jest sam. Nikt nie wiedział, dlaczego tu został. Zdjął kapelusz. Potargane włosy miały kolor jasnobłond. Towarzyszyło mu kilku mieszkańców wioski, z którymi tego popijał. Nie śmiałam podejść do cudzoziemca otoczonego kompanami, więc przez chwilę porozmawiałam jedną ze swych przyjaciółek. W tym czasie obcy podniósł się z ławy i zniknął wewnątrz karczmy.

Ogarnął mnie smutek i zniechęcenie, pomyślałam, że nigdy nie znajdę okazji, by wręczyć mu monetę. Ale tego wieczoru dopisało mi szczęście. Kiedy schodziłam z pola, na którym pozostałam nieco dłużej, podczas gdy moi bracia i siostry zatrudnieni zostali przy innych zajęciach, na skraju lasu ujrzałam sylwetkę cudzoziemca. Szedł ciągnącą się wzdłuż rzeki ścieżką. Głowę miał spuszczonej, ręce trzymał za sobą. Był wreszcie sam, więc miałam doskonałą okazję, żeby go zagadnąć. Zatrzymałam się strwożona. By dodać sobie odwagi, wyjęłam z kieszeni chusteczkę z monetą i mocno ścisnęłam ją w dłoni. Wysłałam mu na spotkanie i stanęłam pośrodku drogi.

Wydawało mi się, że czekałam całe wieki. On najwyraźniej nie dostrzegł mojej obecności, dopóki nie stanęliśmy naprzeciwko siebie dosłownie twarz w twarz. Zaskoczony uniósł głowę. Uprzejmie zdjął kapelusz i ustąpił mi drogi, odsuwając się na bok. Aleja stałam nieporuszona. Zebrawszy się na całą odwagę, pozdrowiłam go. Lekko się skłonił, uśmiechnął się, ale nadal staliśmy w miejscu. W wyrazie jego twarzy ani w postawie nie było niczego, czego mogłabym się bać, ale spalał mnie wstyd i skrępowanie.

Zanim zupełnie straciłam rezon, rozwiązałam chusteczkę, w której trzymałam pieniążek. Bez słowa mu go wręczyłam, a on, obracając monetę w dłoni, zaczął ją z uwagą oglądać. Nagle twarz mu się rozjaśniła, popatrzył na mnie przenikliwie, jakby chciał wzrokiem zajrzeć w moje serce. Miał najbardziej świetliste oczy, bardziej niebieskie, niż było to można sobie wyobrazić. Zadrzałam.

- *De unde?* (Skąd?) - spytał.

Zilustrował pytanie ruchem ręki. Byłam zdumiona, że zna jakieś słowa w moim języku. Poklepał dłonią ziemię, a ja go zrozumiałam. Czy wykopałam monetę z ziemi? Potrząsnęłam przecząco głową.

- *De unde?* - powtórzył.

Próbowałam mu gestami przedstawić starą czarownicę, pokazywałam chustę spowijającą jej głowę, to jak wspierała się przygarbiona na kosturze. Kiwał głową, marszczył brwi. Pochylił się niczym staruszka, po czym wskazał ścieżkę prowadzącą do naszej wsi«.

-Stamtąd? - zapytał.

-Nie! - zaprzeczyłam.

Potrząsnęłam gwałtownie głową i wskazałam górę rzeki, przenosząc rękę w stronę nieba, gdzie moim zdaniem znajdował się zamek i wioska

uzdrowicielki. Palcem wskazałam, że powinien pójść w góry. Twarz ponownie mu się rozjaśniła i oddał mi monetę. Odmówiłam jednak jej przyjęcia, wskazując, że należy do niego. Strasznie się przy tym zaczerwieniłam. Po raz pierwszy uśmiechnął się, złożył mi ukłon, a ja poczułam, iż otwierają się przede mną wrota niebios.

- *Multumesc* (Dziękuję) - powiedział.

Musiałam się śpieszyć, zanim ojciec nie zauważy przy kolacji mojej nieobecności, ale obcy zatrzymał mnie jeszcze na chwilę. Wskazał na siebie.

- *Ma numesc* Bartolomeo Rossi - powiedział.

Powtórzył te słowa, po czym napisał je patykami na ziemi u naszych stóp. Wybuchnęłam śmiechem, próbując wymówić obce imię i nazwisko. Wskazał na mnie.

-*Voi?* (A twoje?) - zapytał.

Powiedziałam mu, a on ponownie się roześmiał.

-*Familia?* - Starał się dokładnie dobrać słowa.

-Moje nazwisko jest Getzi - odparłam.

Na twarzy odmalował mu się wyraz zdziwienia. Wskazał na rzekę i powtarzał coś na okrągło, gdzie nieustannie przewijało się słowo *Dra-kulya*, które ja rozumiałam jako *smok*. Zupełnie nie mogłam zrozumieć, o co mu chodzi. W końcu z rezygnacją potrząsnął głową, westchnął i powiedział:

- Jutro.

Wskazał na mnie, na siebie i na miejsce, w którym się znajdowaliśmy. Później zwrócił palec na niebo i na słońce. Zrozumiałam, że chce się ze mną spotkać następnego dnia o tej samej porze. Zdawałam sobie sprawę z tego, iż mój ojciec wpadnie we wściekłość, jeśli się o tym dowie. Pokazałam więc ścieżkę pod naszymi stopami i położyłam palec na ustach. Inaczej nie potrafiłam mu powiedzieć, by nikomu w wiosce o tym nie mówił. Popatrzył na mnie ze zdziwieniem, lecz po chwili sam przyłożył palec do ust i przesłał mi uśmiech. Aż do tamtej chwili trochę się go bałam, lecz jego szczerzy wyraz twarzy i błyszczące, niebieskie oczy rozproszyły wszelkie moje obawy. Ponownie próbował oddać mi monetę, lecz kiedy znów odmówiłam jej przyjęcia, skłonił się nisko, nałożył kapelusz i ruszył w stronę lasu. Zrozumiałam, że w ten sposób pozwolił mi wrócić do wioski. Ruszyłam do domu biegiem, nie odwracając się już za siebie.

Przez cały wieczór, przy kolacji, a później zmywając i wycierając z matką naczynia, rozmyślałam o cudzoziemcu. Myślałam o jego zagranicznym ubraniu, o tym, jak uprzejmie się kłaniał, o jego nieobecnym a jednocześnie czujnym spojrzeniu i przepięknych, świetlistych oczach. Myślałam o nim przez cały następny dzień, najpierw, gdy pracowałam z siostrami przy warsztacie tkackim, później robiąc obiad, niosąc ze studni wodę i pracując na polu. Kilkakrotnie matka zbesztła mnie, że nie przykładam się należycie do roboty i myślę o niebieskich migdałach. Wieczorem zostałam dłużej na polu, kończąc pielienie zagonu. Z ulgą zobaczyłam, że moi bracia w towarzystwie ojca ruszają w stronę wioski.

Gdy tylko zniknęli mi z oczu, pospieszyłam na skraj lasu. Obcy już tam był. Siedział oparty plecami o pień drzewa. Na mój widok zerwał się na równe nogi i gestem ręki poprosił, abym usiadła na leżącym obok ścieżki pniu. Bojąc się jednak, że drogą może ktoś przechodzić, zaciągnęłam go głębiej w las. Serce waliło mi jak młot. Przsiedliśmy na dwóch kamieniach. Las wypełniał ogłuszający, wieczorny świergot ptaków - było wczesne lato, otaczała nas soczysta zieleń, a powietrze drżało lekko od upału.

Obcy wyjął pieniążek, który mu dałam, i ostrożnie położył go na ziemi. Następnie wyciągnął z plecaka dwie książki i zaczął je kartkować. Później zrozumiałam, że były to słowniki - jeden rumuński, drugi w języku, jakim mówił obcokrajowiec. Nieustannie do nich zaglądając, bardzo powoli, zapytał mnie, czy widziałam inne monety, takie same jak ta, którą mu podarowałam. Odrzekłam, że nie. Wyjaśnił mi, iż stworzenie na monecie to smok, i spytał, czy widziałam gdzieś jego wizerunek na jakimś domu czy w książce. Odparłam, że jeden mam na ramieniu.

Początkowo mnie nie zrozumiał. Byłam dumna z faktu, że znałam nasz alfabet i umiałam trochę czytać. Gdy byłam dziewczynką, chodziłam do wiejskiej szkoły prowadzonej przez księdza. Słowniki cudzoziemca stanowiły dla mnie czarną magię, lecz wspólnym wysiłkiem odnaleźliśmy słowo *ramię*. Popatrzył na mnie nierozumiejącym wzrokiem

i znów zapytał: *Dracul?* Sięgnął po monetę. Dotknęłam zakrytego koszulą ramienia i skinęłam głową. Skrępowany popatrzył pod nogi, a ja poczułam się niezwykle zuchwała. Zdjęłam z siebie wełnianą kamizelkę

i rozwiązałam pod szyją koszulę. Serce biło mi rozpaczliwie, ale nie mogłam się powstrzymać. Obcy odwrócił wzrok, ale ja ściągnęłam koszulę z ramienia i pokazałam mu znak.

Odkąd sięgałam pamięcią, zawsze miałam na ramieniu ten niewielki, ciemnozielony rysunek smoka. Matka mówiła, że w rodzinie ojca znaczone takim znakiem jedno dziecko w każdym pokoleniu, a on wybrał mnie, gdyż sądził, że będę najpaskudniejsza z całego potomstwa. Utrzymywał, iż to jego dziadek kazał mu to zrobić, by odpędzić od naszej rodziny złe duchy. Ojciec nie lubił o tym mówić i nie wiedziałam, czy ktoś z jego bliskich - spośród braci lub sióstr - a nawet on sam - nosił na ciele ten znak. Mój smok w niczym nie przypominał stworzenia z monety i dopóki nie zapytał mnie o to obcokrajowiec, nie kojarzyłam ze sobą tych dwóch wizerunków.

Obcy z uwagą oglądał smoka wytatuowanego na mojej skórze, przedstawiał mi do ramienia pieniądze, ale nie próbował nawet mnie dotknąć. Na twarzy malował mu się krwisty rumieniec i odetchnął z wyraźną ulgą, kiedy w końcu zawiązałam koszulę i nałożyłam kamizelkę. Dłuższy czas szperał w słownikach i w końcu zapytał, kto wytatował mi na ramieniu smoka. Kiedy wyjaśniłam, że uczynił to ojciec przy pomocy starej kobiety z naszej wioski, uzdrowicielki, spytał, czy mógłby porozmawiać o tym osobiście z moim ojcem. Tak gwałtownie potrząsnęłam głową, że ponownie zarumienił się po uszy. Z wielkim trudem wyjaśnił mi, iż pochodzę w prostej linii od księcia zła, tego, który wznosił zamek nad rzeką. Księcia nazywano synem smoka i osobiście zamordował wiele osób. Powiedział też, że księżę ów stał się *pricolic*, wampirem. Przeżegnałam się i poprosiłam w duchu Matkę Boską o ochronę. Zapytał, czy znam tę historię, a ja odparłam, że nigdy o niej nie słyszałam. Spytał mnie z kolei, ile mam lat, czy mam braci i siostry, i czy żyją w wiosce jacyś inni ludzie noszący nasze nazwisko.

W końcu wskazałam na słońce, które z wolna chowało się za drzewami. Musiałam koniecznie wracać do domu. On natychmiast się zerwał. Twarz miał poważną. Podał mi rękę, pomagając podnieść się z kamienia. Kiedy ujęłam go za dłoń, serce boleśnie obilo mi się o żebra. Poczułam okropne zmieszanie i szybko się odwróciłam. Wtedy też naszła mnie nagła myśl, że cudzoziemiec zbytnio interesuje się złymi duchami, co może się okazać dlań bardzo groźne. Zapewne powinienam mu podarować coś, co uchroni go przed niebezpieczeństwem. Wskazałam ziemię i słońce.

- Przyjść jutro-powiedziałam.

Przez chwilę się wahał, po czym twarz rozjaśnił mu szeroki uśmiech. Nałożył kapelusz, dotknął palcami jego róna i zniknął w głębi lasu.

Następnego dnia, kiedy pojawiłam się przy studni, siedział przed karczmą w otoczeniu starców i zapisywał coś w swym zeszytcie. Poczulałam na sobie jego wzrok, lecz udał, że mnie nie zna. Rozparła mnie radość na myśl, iż zamierza dochować tajemnicy. Po południu, kiedy rodzice i rodzeństwo wyszli z chaty, dopuściłam się nikczemnego postępku. Otworzyłam drewniany kufer moich rodziców i zabrałam z niego srebrny sztylet, który kilkakrotnie widziałam. Pewnego razu matka powiedziała mi, że służy do zabijania wampirów, jeśli te się pojawiają, by atakować ludzi i trzodę. W ogródku matki narwałam też kwiatów czosnku. Gdy szłam do pracy na polu, zawinęłam to wszystko w chustkę.

Tym razem bracia pracowali ze mną dłużej i nie mogłam się ich pozbyć. W końcu jednak ogłosili koniec pracy i polecieli mi wracać z nimi do wioski. Odparłam, że chcę jeszcze zebrać w lesie trochę ziół. Byłam bardzo zdenerwowana, kiedy wreszcie dołączyłam do cudzoziemca czekającego na mnie cierpliwie przy kamieniach w lesie. Palił fajkę, ale na mój widok natychmiast ją odłożył i wstał z miejsca. Usiadłam obok niego i pokazałam, co przyniosłam. Drgnął ze zdziwienia na widok noża, lecz gdy wyjaśniłam mu, że sztylet ten służy do zabijania *pricoli*, bardzo się nim zainteresował. Początkowo wzbraniał się przed przyjęciem podarunku, lecz ja się uparłam i ostatecznie zawinał nóż w moją chustkę, a potem schował go do plecaka. Następnie wręczyłam mu kwiaty czosnku i kazałam nosić w kieszeniach kurtki.

Zapytałam, jak długo jeszcze pozostanie w naszej wiosce, a on pokazał mi pięć palców. Dodał, że zamierza jeszcze odwiedzić kilka okolicznych wiosek, by porozmawiać z ich mieszkańcami o zamku. Spytałam, gdzie się z kolei uda po opuszczeniu naszej wioski za pięć dni. Odparł, że do kraju, który nazywa się Grecja - tę nazwę już kiedyś słyszałam - a stamtąd wróci do rodzinnej wioski w swojej ojczyźnie. Rysując patykiem na ziemi, naszkicował swój kraj, który nazywał się Anglia i leżał na wyspie bardzo odległej od Rumunii. Pokazał, gdzie znajduje się jego uniwersytet - nie wiedziałam, co to słowo znaczy - i napisał na piasku jego nazwę. Wciąż ją pamiętam: OKSFORD. Później pisałam sobie to słowo, by na nie popatrzeć. Był to najdziwniejszy wyraz, jaki w życiu widziałam.

I nagle pojęłam, że on niebawem wyjedzie i nigdy go już nie zobaczę ani nikogo innego takiego jak on. W oczach stanęły mi łzy. Wcale nie zamierzałam płakać - nigdy nie wylewałam łez z powodu wioskowych

chłopaków - ale teraz lzy mnie nie słuchały i płynęły strumieniem po policzkach. Spoglądał na mnie przez chwilę strapiiony, po czym wyciągnął

z kieszeni kurtki białą chustkę do nosa i wsunął ją w dłoń.

- O co chodzi? - zapytał.

Potrząsnęłam tylko w milczeniu głową. Powoli podniósł się z ziemi, po czym pomógł mi wstać, tak samo jak zrobił to poprzedniego wieczoru. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa, zatoczyłam się i odruchowo oparłam się o niego całym ciężarem ciała. On objął mnie i zaczęliśmy się całować. Po chwili jednak oprzytomniałam, gwałtownie wyrwałam się z jego ramion i pobiegłam w stronę wioski. Na ścieżce obejrzałam się, stał bez ruchu i spoglądał w moją stronę. Całą drogę powrotną przebyłam biegiem. W nocy nie zmrużyłam oka. Leżałam w łóżku z szeroko otwartymi oczyma i ścisiskałam w dłoni jego chusteczkę.

Następnego wieczoru stał w tym samym miejscu, jakby od chwili, gdy go zostawiłam, nie opuszczał lasu. Podbiegłam i padliśmy sobie w ramiona. Kiedy już nie mogliśmy się więcej całować, rozłożył na ziemi kurtkę, na której się położyliśmy. Wtedy też poznałam, co to jest miłość. Oczy miał niebieskie jak niebo. Wplatał mi we włosy kwiaty i całował palce. Byłam zdumiona tym, co robi, i tym, co ja robię. Wiedziałam, że jest to złe, że jest to grzech, ale jednocześnie otwierały się nad nami niebiosy.

Przed jego wyjazdem spotkaliśmy się jeszcze trzykrotnie. Za każdym razem wymyślałam w domu jakąś wymówkę i zawsze wracałam z nareczem leśnych ziół. Za każdym razem Bartolomeo zapewniał, że darzy mnie miłością, i błagał, żebym z nim uciekła. Bardzo tego chciałam, ale szeroki świat, z którego pochodził, napawał mnie przerażeniem. Poza tym nie mogłam przecież uciec od własnego ojca. Każdego wieczoru pytałam, dlaczego nie może zostać w naszej wiosce, ale on tylko kręcił głową, utrzymując, że musi wracać do domu i do swojej pracy.

Ostatniej nocy przed jego wyjazdem, gdy tylko zetknęły się nasze dłonie, wybuchnęłam płaczem. On tulił mnie i całował moje włosy. Nigdy nie spotkałam mężczyzny tak łagodnego i czułego. Kiedy przestałam płakać, ściągnął z małego palca lewej ręki srebrny pierścionek z jakąś pieczęcią. Nie byłam pewna, lecz wymyśliłam sobie, że jest to pieczęć jego uniwersytetu. Wsunął mi go na serdeczny palec i spytał, czy nie zostałabym jego żoną. Musiał dokładnie studiować słownik, gdyż zrozumiałam go bez trudu.

Początkowo pomysł ten wydał mi się tak absurdalny, że znów wybuchnęłam płaczem - byłam przecież taka młodzianka - ale w końcu przyjął jego oświadczenia. Obiecał, że przybędzie po mnie za cztery tygodnie. Musiał jeszcze wrócić do Grecji, by dopilnować tam jakichś spraw. Jakich, nie rozumiałam. Następnie miał powrócić i dać memu ojcu sporo pieniędzy, by wyraził zgodę na nasz związek. Próbowałam mu wyjaśnić, że nie mam posagu, ale on puścił me słowa mimo uszu. Z uśmiechem pokazał mi sztylet i monetę, które mu dałam, a następnie ujął w dłonie moją twarz i czule pocałował mnie w usta.

Powinłam czuć się szczęśliwa, ale odnosiłam wrażenie obecności złych duchów i bałam się, że wydarzy się coś, co nie pozwoli mu po mnie wrócić. Tego wieczoru każda chwila była słodka, gdyż czułam, iż są to nasze ostatnie chwile. Był taki pewien siebie, absolutnie przekonany, że niebawem spotkamy się ponownie. Rozstaliśmy się już prawie po ciemku, kiedy zaczęłam obawiać się gniewu mego ojca. Po raz ostatni pocałowałam Bartolomea, upewniłam się, że ma w kieszeniach czosnek, i ruszyłam do domu. Tak często odwracałam się za siebie, iż szłam prawie tyłem. Cudzoziemiec stał nieruchomo między drzewami, ściskając w dłoni kapelusz. Wyglądał na bardzo samotnego.

Przez całą powrotną drogę płakałam. Zsunęłam z palca pierścioneł, serdecznie go pocałowałam i zawinęłam w chustkę. Kiedy wróciłam do domu, ojciec był wściekły. Chciał wiedzieć, gdzie tak długo przebywałam poza domem bez jego pozwolenia. Wyjaśniłam, że mojej przyjaciółce Marii zginęła koza i pomagałam jej w poszukiwaniach. Do łóżka poszłam z ciężkim sercem. Raz ogarniała mnie rozpacz, a raz nadzieja.

Następnego dnia dowiedziałam się, że Bartolomeo opuścił wioskę. Jeden z rolników zabrał go swoim wozem do Tirgoviste. Dzień był bardzo smutny, a czas pełzł jak ślimak. Wieczorem udałam się do lasu na nasze stałe miejsce spotkań, pragnęłam samotności. Na widok naszych kamieni znów wybuchnęłam płaczem. Usiadłam na skale, a następnie położyłam się na miejscu, na którym spoczywaliśmy każdego wieczoru. Wtuliłam twarz w trawę i cicho szlochałam. Nagle moja wyciągnięta dłoń natrafiła na coś między paprociami. Ku memu zdumieniu był to pakiet listów. Nie potrafiłam odszyfrować wypisanych ręcznym piśmem adresatów, ale na odwrotnych stronach kopert napisane było drukowanymi literami, jak w książce, jego przeczudne imię. Otworzyłam kilka i całowałam jego piśmo, choć wiedziałam, że korespondencja ta nie była skierowana do mnie.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie pisał tych listów do jakiejś innej kobiety, ale natychmiast odrzuciłam tę myśl. Pakiet musiał wysunąć się z plecaka, kiedy Bartolomeo pokazywał mi sztylet i monetę, które ode mnie dostał.

Pomyślałam, że powinnam mu je odesłać do Oksfordu na wyspę Anglia, ale nie wiedziałam, jak to zrobić, nie zwracając na siebie uwagi. Poza tym nie miałam pieniędzy, by zapłacić za przesyłkę na tak odległą wyspę. Jedynym pieniądzem, jakim w życiu dysponowałam, była moneta, którą oddałam Bartolomeowi. Postanowiłam zatem przekazać mu te listy osobście, kiedy po mnie wróci.

Cztery tygodnie wlokły się i wlokły. Nieopodal naszego sekretnego miejsca rosło drzewo, na którym robiłam nacięcia, licząc każdy upływający dzień. Pracowałam na polu, pomagałam matce w gospodarstwie, długie godziny spędzałam przy warsztacie tkackim, przygotowując materiał na ciepłą odzież na kolejną zimę, uczęszczałam do kościoła i nasłuchiwałam jakichkolwiek wieści. Początkowo wioskowi starcy niewiele o nim mówili i potrząsali tylko głowami, wspominając jego zainteresowanie wampirami. Nic dobrego z tego nie wyniknie - mówił jeden, a reszta potakująco kiwała głowami. Słowa te napawały mnie zarówno zgrozą, jak i wielkim szczęściem. Cieszyłam się, że ktoś w ogóle o nim mówi, ale jednocześnie przechodził mi po krzyżu zimny dreszcz na myśl, że mógłby ściągnąć na siebie *uwagapricolici*.

Nieustannie zastanawiałam się, co będzie, gdy Bartolomeo wróci. Czy wejdzie do naszej chaty i poprosi ojca o rękę córki? Wyobrażałam sobie zdumienie rodziny. Wszyscy staliby w progu i gapili się na Bartolomea rozdającego prezenty. Myślałam o chwili, kiedy będę całować ich na pożegnanie. Później odprowadziliby mnie do oczekującego wozu, może nawet auta. Wyjechalibyśmy z wioski i ruszyli w rozciągający się poza nią świat, za góry, za wielkie miasto, gdzie mieszkała moja siostra Eva, którą zawsze kochałam ponad życie. Bartolomeo również by ją polubił, ponieważ była bardzo dzielna i tak jak on miała duszę podróżnika.

Minęły cztery tygodnie, a pod koniec czwartego zaczęłam czuć się dziwnie zmęczona, nie miałam apetytu i bardzo dużo spałam. Kiedy wycięłam w korze drzewa karb oznaczający koniec czwartego tygodnia, zaczęłam wyglądać powrotu Bartolomea. Turkot kół każdego wozu wjeżdżającego do wioski przyprawiał mnie o mocniejsze bicie serca. Po wodę chodziłam już trzy razy dziennie, nasłuchując na placu najświeższych

wiadomości. Wmawiałam sobie, że coś go zatrzymało, że powinnam poczekać jeszcze tydzień. Po upływie pięciu tygodni ogarnęły mnie najczarniejsze przeczucia, iż zabiły go *pricolici*. Raz nawet przyszła mi do głowy myśl, że mój ukochany wróci do mnie jako wampir. W środku dnia pobiegłam do kościoła i modliłam się przed ikoną Błogosławionej Dziewicy, by na to nie pozwoliła.

Przez szósty i siódmy tydzień żyłam jeszcze nadzieją. W ósmym, sądząc po oznakach i tym, co słyszałam od zameżnych niewiast, wiedziałam, że będę mieć dziecko. Całe noce przeplakałam w łóżku, które dzieliłam z siostrą, przeklinając Boga i Najświętszą Maryję za to, że o mnie zapomnieli. Nie wiedziałam, co działo się z Bartolomeem, ale podejrzewałam wszystko co najgorsze, gdyż wierzyłam, że kocha mnie nad życie. Sekretnie zbierałam zioła i korzenie, mogące spowodować poronienie, ale żadne nie skutkowały. Dziecko rosło we mnie i wbrew samej sobie zaczynałam je coraz bardziej kochać. Kiedy przykładałam dłoń do brzucha, czułam całą potęgę miłości Bartolomea. Wierzyłam, że na pewno o mnie nie zapomni.

Minęły trzy miesiące od jego odjazdu. Wiedziałam, że muszę opuścić wioskę, zanim sprowadzę wstyd na całą moją rodzinę i narażę się na straszliwy gniew mego ojca. Myślałam nawet o odnalezieniu staruchy, która dała mi monetę. Pochodziła z jednej z wiosek położonych nad Argesem, w pobliżu zamku *pricolici*, ale nie wiedziałam, która to wioska ani czy czarownica jeszcze żyje. W górach mieszkaly niedźwiedzie, wilki, gnieździły się złe duchy i bałam się samotnie wybierać w taką podróż.

W końcu postanowiłam napisać do mojej siostry, Ćvy, co czasami już robiłam. Od księdza, w którego kuchni czasami pracowałam, wzięłam kartkę papieru i kopertę. W liście opisałam siostrze moją sytuację. Po pięciu tygodniach przyszła odpowiedź. Na szczęście rolnik, który przywiózł z miasta list, wręczył go mnie, a nie ojcu. Przeczytałam list w naszym sekretnym miejscu w lesie. Z trudem usiadłam na znajomych kamieniach, gdyż zaczynał już rosnać mi brzuch. Nawet fartuch z trudem już go maskował.

Do listu załączone były pieniądze, rumuńskie banknoty. Tylu pieniędzy nigdy jeszcze w życiu nie widziałam. List Ćvy był krótki i treściwy. Musiałam natychmiast na piechotę opuścić wioskę, udać się do odległej o pięć kilometrów miejscowości i stamtąd pojechać wozem lub autem do Tirgoviste. Następnie udać się do Bukaresztu i pojechać koleją do grani-

cy z Węgry. Dwudziestego września, na posterunku granicznym w T., miał czekać na mnie jej mąż. Pamiętam tę datę do dziś. Eva podkreślała, że muszę tam być dokładnie tego właśnie dnia. Do listu załączone było zaproszenie do Węgier, które umożliwiało mi przekroczenie granicy. Przesyłała ucałowania i życzyła bezpiecznej podróży. Na koniec serdecznie ucałowałam jej podpis.

Spakowałam swój nieliczny dobytek, w tym skórzane trzewiki, w których zamierzałam odbyć podróż pociągiem, listy Bartolomea oraz jego srebrny pierścionek. Opuszczając dom, przytuliłam i ucałowałam matkę, która bardzo się już postarzała i trapiły ją liczne choroby. Zamierzałam dopiero później napisać do niej, że było to nasze pożegnanie. Była trochę zaskoczona, ale nie zadawała żadnych pytań. Tego ranka nie poszłam już na pole, lecz ruszyłam lasami, unikając drogi. Pożegnałam się jeszcze z naszym sekretnym miejscem, gdzie leżałam z Bartolomeem na jego rozłożonej na ziemi kurtce. Nacięcia na korze drzewa, które robiłam przez cztery tygodnie, powoli znikwały. W tym też miejscu nałożyłam na palec pierścionek i owinęłam głowę chustką jak kobieta zamężna. Nadeszła już jesień, pożółkły liście, powietrze było chłodne i cierpkie. Przez chwilę jeszcze stałam pod drzewem, po czym ruszyłam samotnie ścieżką w stronę najbliższej wioski.

Nie przypominam sobie dobrze tej wędrówki. Pamiętam jedynie ogromne zmęczenie i wielki głód. Jedną noc spędziłam w chacie starej kobiety, która nakarmiła mnie pyszną zupą i oświadczyła, że mój mąż nie powinien był puszczać mnie samotnie w tak daleką podróż. Inną noc spędziłam w opuszczonej stodole. Później spotkałam woźnicę, który podwiózł mnie furką do Tirgovicte, a z innym dotarłam do Bukaresztu. Raz kupiłam sobie chleb, ale nie wiedziałam, ile będę potrzebować pieniędzy na pociąg, więc bardzo ograniczałam się w wydatkach. Zachowywałam wielką czujność. Bukareszt był wielkim i pięknym miastem, ale przerażały mnie tłumy elegancko ubranych ludzi sunących po ulicach i spoglądający na mnie zaczepnie młodzieńcy. Noc spędziłam na stacji kolejowej. Widok pociągu również mnie przeraził - olbrzymi, czarny potwór. Kiedy już zajęłam w przedziale miejsce przy oknie, ogarnął mnie spokój. Za szybą rozciągały się przepiękne widoki - góry, rzeki, otwarte pola, tak inne od transylwańskich lasów.

Na przygranicznej stacji dowiedziałam się, że jest dopiero dziewiętnasty września. Postanowiłam przespacerować się na ławce. W środku nocy obu-

dził mnie jeden z kolejarzy, zaprowadził do swego kantorka i poczęstował kawą. Zapytał, gdzie jest mój mąż. Odparłam, że jadę do niego na Węgry. Z rana pojawił się młody mężczyzna w ciemnym garniturze i kapeluszu na głowie. Miał niezwykle sympatyczną twarz. Na powitanie ucałował mnie w oba policzki, nazywając siostrą. Od pierwszej chwili pokochałam swego szwagra. Kochałam go aż do jego śmierci i kocham do dzisiaj. Był dla mnie bratem bardziej niż moi rodzeni bracia. Niebywale o mnie zadbał. W pociągu zamówił obiad, który jedliśmy przy stoliku nakrytym śnieżnobiałym obrusem. A za oknem pędzącego wagonu rozciągały się przepiękne krajobrazy.

Na dworcu w Budapeszcie czekała na nas Eva. Miała na sobie garsonkę, a na głowie śliczny kapelusz. Pomyślałam sobie, że wygląda jak królowa. Przytuliła mnie i obsypała pocałunkami. Dziecko urodziłam w najlepszym budapeszteńskim szpitalu. Początkowo chciałam córeczce nadać imię Eva, ale moja siostra oświadczyła, że dziecko powinno nosić własne imię i nazwała je Elena. Było śliczne, z wielkimi, ciemnymi oczyma i mając zaledwie pięć dni, zaczęło się uśmiechać. Nikt nigdy nie słyszał, by dziecko w takim wieku już się śmiało. Miałam nadzieję, że odziedziczy po ojcu niebieskie oczy, lecz przejęło wszelkie cechy mojej rodziny.

Z napisaniem listu do Bartolomea czekałam, aż dziecko się już urodzi. Kiedy Elena skończyła pierwszy miesiąc życia, poprosiłam szwagra, by pomógł mi znaleźć adres uniwersytetu w Oksfordzie, i osobiście napisałam na kopercie ową intrygującą nazwę. Szwagier przetłumaczył list na niemiecki, a ja podpisałam go własną ręką. Wyjaśniłam, że po trzech miesiącach oczekiwania musiałam opuścić wioskę, gdyż koniecznie chciałam mieć jego dziecko. Opisałam mu swoją podróż i dom mojej siostry w Budapeszcie. Opowiedziałam o Elenie, o tym, jak ślicznym i radosnym jest dzieckiem. Napisałam, że bardzo go kocham i trwoży mnie myśl, iż spotkała go jakaś zła przygoda, która nie pozwoliła mu do mnie wrócić. A następnie, że bardzo chcę go zobaczyć, pytając jednocześnie, kiedy przyjedzie do Budapesztu, by zabrać mnie i dziecko. Dodałam też, że bez względu na to, co się wydarzyło, będę go kochać do końca życia.

Na odpowiedź czekałam bardzo, bardzo długo. Kiedy Elena stawiała już pierwsze kroczki, nadszedł list od Bartolomea. Wysłany został z Ameryki, nie z Anglii, i pisany był po niemiecku. Szwagier odczytał mi go bardzo łagodnym głosem, a ja wiedziałam, że jest zbyt uczciwym człowiekiem, by cokolwiek w tłumaczeniu zmieniać. Bartolomeo pisał,

iż list odesłano mu z Anglii, gdzie poprzednio mieszkał. W uprzejmy sposób informował, że nigdy o mnie nie słyszał, że pierwszy raz zetknął się z moim imieniem i nazwiskiem, że nigdy nie był w Rumunii, a dziecko, o którym pisałam, z całą pewnością nie jest jego. Z wielką przykrością przeczytał o moim smutnym losie i życzył wszystkiego najlepszego na przyszłość. Był to zwiezły, bardzo uprzejmy list, w którym jednak nie było Bartolomea, jakiego znałam.

Długo płakałam. Byłam młoda i nie wiedziałam jeszcze, że ludzie się zmieniają, że zmieniają się ich uczucia. Po kilku latach pobytu na Węgrzech zrozumiałam, iż człowiek może być w domu jedną osobą, a zupełnie inną w cudzym kraju. Pojęłam, że takim właśnie mężczyzną był Bartolomeo. Ale nie mieściło mi się w głowie, iż tak się mnie wyparł. Przecież wtedy, w wiosce, zachowywał się honorowo i uczciwie. Nie chciałam dopuścić myśli, że okazał się aż tak złą osobą.

Dzięki wsparciu siostry i jej męża wychowałam córkę na śliczną, błyskotliwą kobietę. Wiedziałam, że w jej żyłach płynie krew Bartolomea. Powiedziałam jej całą prawdę o ojcu... zresztą nigdy w niczym jej nie okłamałam. Nie o wszystkim jej mówiłam, gdyż była zbyt młoda, by zrozumieć, że miłość czasami czyni człowieka głupim i ślepym. Rozpoczęła studia na uniwersytecie, z czego byłam bardzo dumna. Powiedziała mi, że jej ojciec jest w Ameryce znanym naukowcem. Miałam nadzieję, iż kiedyś go spotka. - Ale nie wiedziałam, że rozpoczęłaś studia na tym samym uniwersytecie, na którym pracuje on<^ - dodała matka Helen, patrząc na córkę z ogromnym wyrzutem i nieoczekiwanie kończąc opowieść.

Helen mruknęła coś pod nosem, słowa przeprosin lub usprawiedliwienia, i potrzęsła głową. Była równie jak ja poruszona opowieścią starszej kobiety. Cały czas siedziała bez ruchu i z zapartym tchem tłumaczyła mi słowa matki. Zająknęła się tylko w chwili, kiedy była mowa o wytatuowanym na ramieniu wizerunku smoka. Znacznie później Helen wyznała mi, że jej matka nigdy nie rozbierała się w jej obecności ani nie zabierała do publicznej łaźni, tak jak robiła to Eva.

Przez długą chwilę siedzieliśmy przy stole pogrążeni w głębokim milczeniu. W końcu Helen odwróciła się w moją stronę i bezradnie wskazała na pakiet listów spoczywających na stole. Zrozumiałem jej gest, myślałem o tym samym.

»Zapytaj, dlaczego nie przesłała ich Rossiemu, udowadniając tym samym, że jednak był w Rumunii?«

Popatrzyła na matkę z dużym wahaniem, ale w końcu przetłumaczyła moje słowa. Odpowiedź starej kobiety sprawiła, że coś ścisnęło mnie w gardle. Poczulem się obrzydliwie za tak perfidne pytanie.

»Początkowo chciałam tak zrobić, lecz po przeczytaniu jego listu zrozumiałam, że całkowicie zmienił zdanie. Doszłam do wniosku, że to by

i tak niczego nie zmieniło, a ja straciłabym drogocenną pamiątkę. Postanowiłam więc zostawić je dla siebie. - Wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć tych listów, ale natychmiast ją cofnęła. - Żałuję tylko, że nie zwróciłam mu jego własności. Ale listy te tyle dla mnie znaczą... chyba nie postąpiłam źle?«

Przeniosła wzrok z Helen na mnie. W jej oczach nie było już spokoju, a jednocześnie malował się w nich wyraz jakiejś rezygnacji i straszliwej tęsknoty za tym, co minęło. Odwróciłem głowę.

Ale twarz Helen, w przeciwieństwie do łagodnego oblicza jej matki, zacięta była w wyrazie uporu i arogancji.

»Dlaczego więc mnie ich nie przekazała?!« - wykrzyknęła gwałtownie do mnie Helen i to samo pytanie zadała również po węgiersku matce.

Starsza kobieta przez długą chwilę milczała. Kiedy zaczęła mówić, wyraz twarzy jej córki jeszcze bardziej stwardniał.

»Mówi - zaczęła tłumaczyć Helen - iż zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo nienawidziłam swego ojca. A ona chciała je przekazać komuś, kto go kocha«.

Tak jak ona jego - dodałem w duchu. Moje serce, również przepętniało to uczucie i nagle popatrzyłem na ten mały, skromny domek, tak bardzo wypełniony od lat nieszczęśliwą, nieodwzajemnioną miłością, z całkiem innej perspektywy.

Ale darzyłem miłością nie tylko Rossiego. Siedząc tam przy stole, ująłem jedną ręką dłoń Helen, a drugą spracowaną dłoń jej matki, i mocno je uściśnałem. W jednej chwili świat, w którym wzrosłem i w który wierzyłem bez zastrzeżeń, jego obyczaje i obowiązujące w nim reguły, świat, który tak dobrze znałem i w gruncie rzeczy kochałem, wydał mi się równie odległy jak galaktyka Mlecznej Drogi. Gdybym nawet chciał, ściśnięte gardło nie pozwoliłoby mi tego wysłowić przed dwoma kobietami. Każda z nich, choć w inny sposób, darzyła Rossiego tak silnym uczuciem, że prawie fizycznie czułem jego obecność wśród nas.

Po chwili Helen gwałtownie wyszarpnęła rękę z mojego uścisku, a jej matka, nie cofając dłoni, po cichu o coś zapytała.

»Chce wiedzieć, w jaki sposób może ci pomóc odnaleźć Rossiego« - przetłumaczyła.

»Powiedz, że już bardzo mi pomogła. Zaraz po powrocie do domu przeczytam te listy. Może one naprowadzą nas na jakiś nowy trop. Powiedz też mamie, że kiedy już odnajdziemy Rossiego, będzie pierwszą osobą, która się o tym dowie«.

Jej matka skromnie skinęła głową, wstała od stołu i zajęła się duszonym mięsem z jarzynami. Od kuchenki dobiegały cudowne zapachy. Helen łagodnie się uśmiechnęła, jakby powrót do domu matki rekompensował jej wszystko. Czar chwili bardzo mnie ośmielił.

»Zapytaj matkę, czy wie o wampirach coś, co ułatwiłoby nam poszukiwania^

Kiedy Helen przetłumaczyła moje słowa, pojąłem, że swoim pytaniem zburzyłem kruchy spokój panujący w izbie. Jej matka odwróciła twarz, przeżegnała się i przez chwilę zbierała się na odwagę. Helen z uwagą wysłuchiwała jej odpowiedzi i skinęła głową.

»Mówi, żebyś ani na chwilę nie zapominał o tym, iż wampir potrafi zmieniać kształt. Może pojawić się przed tobą w każdej formie«.

Chciałem wiedzieć, co to dokładnie znaczy, ale matka Helen zdjęła właśnie z ognia garnek i drżącymi rękami nakładała na talerze jedzenie. Niewielką izbę wypełniło ciepło płynące od pieca oraz rozkoszna woń mięsa i świeżego chleba. Matka Helen nieustannie się dookoła mnie krzątała. Podawała chleb, klepała po ramieniu, dolewała herbatę. Jedzenie było niewyszukane, lecz bardzo smaczne i syte. Izbę złociło słoneczne światło, wpadające przez frontowe okno.

Po posiłku Helen wyszła na zewnątrz, by zapalić papierosa, a jej matka oprowadziła mnie po całym obejściu. Na tyłach domu znajdował się drewniany kurnik z gdaczącymi kurami i klatką z dwoma królikami o długich uszach. Matka Helen wzięła jednego na ręce i stojąc obok siebie, gładziliśmy stworzenie po miękkim futerku. Zwierzak mrużył ślepką i wszelkimi sposobami próbował wyrwać się na wolność. Z okna w domu zaczął dobiegać brzęk zmywanych przez Helen naczyń. Słońce prażyło mocno, a z otaczających dom pól dochodziły odgłosy grasujących w gęstej trawie owadów. Kojąca atmosfera napawała ogromnym optymizmem.

Nadeszła pora rozstania. Nie mogliśmy się spóźnić na jedyny tego dnia autobus. Schowałem do teczki listy Rossiego. Kiedy ponownie wyszliśmy przed dom, matka Helen zatrzymała się w progu drzwi. Najwy-

rażniej nie miała zamiaru odprowadzać nas przez całą wieś na przystanek autobusowy. Uścisnęła serdecznie obie moje dłonie i bacznie popatrzyła mi w twarz.

»Życzy ci bezpiecznej podróży i abyś znalazł to, za czym tęsknisz« - przetłumaczyła Helen.

Popatrzyłem głęboko w ciemne oczy starej niewiasty i podziękowałem z całego serca. Na pożegnanie przytuliła do siebie córkę, pełnym żalości gestem ujęła w dłonie jej twarz, po czym wypuściła z objęć.

Na skraju ulicy odwróciłem się jeszcze raz w stronę matki Helen. Stała w drzwiach, opierając się o framugę, jakby nagle zabrakło jej sił. Postawiłem na ziemi teczkę i szybko wróciłem do domu. Objąłem ją, i mając wciąż przed oczyma obraz Rossiego, pocałowałem w pokryty zmarszczkami policzek. Przytuliła się do mnie, kładąc mi głowę na ramieniu. Nieoczekiwanie wyrwała się z mych ramion i zniknęła wewnątrz domu. Pomyślałem, że poniosły ją emocje i chce być sama, ale w chwilę później pojawiła się ponownie. Ku memu zdumieniu wsunęła mi w dłoń malutki, twardy przedmiot, zaciskając na nim moje palce.

Kiedy otworzyłem dłoń, ujrzałem srebrny pierścionek z niewielkim herbem. W jednej chwili zrozumiałem, że jest to pierścionek Rossiego, który chce zwrócić mu za moim pośrednictwem. Na jej twarzy pałał gorący rumieniec, czarne oczy lśniły osobliwym blaskiem. Pochyliłem się i ponownie ją pocałowałem, tym razem w usta. Wargi miała ciepłe i słodkie. Gdy wypuściłem ją z ramion i powoli odwracałem się w stronę pozostawionej teczki i czekającej na skraju ulicy Helen, ujrzałem spływającą po jej policzku łzę. Poeci twierdzą, że nie istnieje tylko jedna łza. I zapewne mają rację, jej łzie towarzyszyła moja".

„Gdy tylko wsiedliśmy do autobusu, natychmiast wyjąłem z teczki listy Rossiego i ostrożnie otworzyłem pierwszy. Byłem pod wrażeniem, w jaki sposób Rossi strzegł prywatności swego adresata, używając jedynie *nom-de-plume... nom-de-guerre*, jak to określał. Ponowny widok pisma Rossiego wywarł na mnie piorunujące wrażenie: takie samo, jakie zapamiętałem z pożółkłych kartek jego innych listów.

»Zamierzasz je teraz czytać?« - spytała ze zdziwieniem Helen, pochylając się nad moim ramieniem.

»Chcesz czekać?«

»Nie« - odparła".

20 czerwca 1930 r.

Drogi Przyjacielu!

Brakuje mi wprost słów, by wszystko Ci powiedzieć, więc siedząc z piórem w dłoni, tęsknię tylko za Twoim towarzystwem. Zdziwilbyś się, widząc to, co ja teraz oglądam. Sam byłem dziś zdumiony - podobnie jak

Ty bylbys zaskoczony widokami przewijającymi się przed moimi oczami, choć nie mam zielonego pojęcia, jak się tu znalazłem. Pociąg zmierza do Bukaresztu. Wielki Boże, człowieku, słyszę Twój głos w gwizdzie lokomotywy. Ale to prawda. Wcale nie miałem zamiaru tu jechać, ale w jakiś zaskakujący sposób znalazłem się w tym miejscu. Jeszcze kilka dni temu przebywałem w Stambule, prowadząc pewne badania, i wtedy odkryłem coś, co sprawiło, że musiałem udać się w te strony. Wcale tego nie chciałem. Prawdę mówiąc, jestem przerażony, ale coś zmusiło mnie do tego wyjazdu. Jesteś starym racjonalistą, więc trudno będzie Ci mnie zrozumieć, ale modlę się, by podczas tej podróży zachowywać się tak samo rozsądnie, jak Ty byś się zachował. Aby odnaleźć to, czego szukam, muszę postępować tak, by zachować każdy skrawek mnie, i jeszcze więcej.

Pociąg zwalnia, dojeżdżając do kolejnego miasta. A więc śniadanie. Przystaję pisać. Do listu wrócę później.

Bukareszt - po południu

Jestem załamany, gdyż to, co miało być odpoczynkiem dla mego umysłu, wprowadziło w nim jeszcze większy zamęt. Panuje straszliwy skwar. Sądziłem, że trafię w górską, chłodną krainę, ale zapewne nie dotarłem jeszcze do tych rejonów. Miły hotel, Bukareszt przypomina mały Paryż Wschodu, wielki i nieduży zarazem, troszeczkę spłowiały. Obecną elegancką formę nadano mu zapewne w osiemnastym lub dziewiętnastym wieku. Długo czekałem na taksówkę, jeszcze więcej czasu zajęło mi znalezienie hotelu, ale mój pokój jest wygodny, mogę w nim odpocząć, zażyć kąpeli i zastanowić się, co robić dalej. Nie zamierzam tu zostawać dłużej, ale zapewne powód mego przybycia do tego kraju potraktujesz jako majaczenie chorego psychicznie człowieka. Krótko i zwięźle: przywiodła mnie tu, jako historyka, postać Draculi - nie hrabiego Draculi z holly-

woodzkich plenerów filmowych - lecz Mada IV, piętnastowiecznego tyra-
na władającego Transylwanią i Wołoszczyzną, który ze wszystkich sił sta-
wał zaciekły opór osmańskim najeźdźcom. Ostatni tydzień spędziłem
w Stambule, przeglądając w pewnym tureckim archiwum dotyczące go
dokumenty. Natknąłem się tam na unikalne mapy mogące być wskazówką
do zlokalizowania grobu księcia. Dokładny powód moich studiów wyjaś-
nię Ci po powrocie do domu, więc teraz proszę o cierpliwość i wyrozu-
mialość. A moją wyprawę, stary mędrcze, możesz przypisać mej mło-
dzieńczej niecierpliwości i brawurze.

Tak czy owak, choć wiem, że zabrmi to głupio, mój pobyt w Stambule
zakończył się bardzo przykro i jestem śmiertelnie wystraszony. Ale jak
sam najlepiej wiesz, kiedy coś zacznę, nielatwo rezygnuję ze swoich za-
mierzeń. Wróciłem tu ze sporządzonymi własnoręcznie kopiami tamtych
map, by poszukać bliższych informacji na temat grobowca Draculi. Mu-
szę ci wyjaśnić, iż najprawdopodobniej pochowany został w monasterze
na wyspie na jeziorze Snagov w zachodniej Rumunii. Kraina ta nosi na-
zwę Wołoszczyzny. A jednak na odkrytych przeze mnie w Stambule ma-
pach, choć wyraźnie zaznaczono na nich grobowiec, nie widnieje żadna
wyspa, żadne jezioro ani kraina przypominająca topografią zachodnią
Rumunię. Zawsze uważałem, że najpierw trzeba sprawdzić rzeczy oczywi-
ste, gdyż one zazwyczaj podsuwają właściwe rozwiązanie. Postanowiłem
zatem udać się z mapami nad jezioro Snagov i osobiście stwierdzić, iż nie
ma tam żadnego grobowca. Widzę już, jak kiwasz głową, dziwiąc się
memu uporowi. Nie wiem jeszcze, w jaki sposób się tam dostanę, ale nie
zamierzam rozpoczynać poszukiwań w innych miejscach, zanim nie zwer-
yfikuję tego tropu. Istnieje bowiem możliwość, że mapy te stanowią ja-
kąś starodawną mistyfikację. W każdym razie zdobędę niezbity dowód na
to, iż tyran spoczywa snem wiecznym tam i że zawsze tak było.

Piątego muszę być z powrotem w Grecji, więc mam niewiele czasu na
tę wyprawę. Chcę tylko sprawdzić, czy mapy właściwie opisują miejsce
usytuowania grobowca. Powodu, dla którego chcę to sprawdzić, nie je-
stem w stanie wytłumaczyć nawet Tobie, stary Przyjacielu. Chciałbym
sam go znać. Moją rumuńską eskapadę zamierzam zakończyć, na tyle, na
ile pozwoli mi czas, zwiedzeniem Wołoszczyzny i Transylwanii. Z czym
kojarzy Ci się nazwa „Transylwania”... tak, tak, wiem, nigdy się nad tym
nie zastanawiałeś. Mnie kojarzy się z dzikimi, przepięknej urody górami,
starodawnymi zamkami, wilkołakami i wiedźmami - z krainą czarów,

gusel i zabobonów. Jak więc, wkraczając do takiego królestwa, mam wierzyć, że wciąż jeszcze jestem w Europie? Ale nie bój się, kiedy już tam dotrę, niezwłocznie powiadomię Cię, czy to naprawdę jest jeszcze Europa, czy jakaś inna, baśniowa kraina. Teraz Snagov - wyruszam tam jutro.

*Twój oddany przyjaciel
Bartholomew Rossi*

*22 czerwca
Jezioro Snagov*

Drogi Przyjacielu!

Nie natknąłem się jeszcze na żadne miejsce, z którego mógłbym wysłać pierwszy list - wysłać go z pełnym przekonaniem, że dotrze do Twoich rąk - ale pełen najlepszych nadziei prę przed siebie, zwłaszcza że wiele się wydarzyło. Cały wczorajszy dzień upłynął mi na poszukiwaniach w bukareszteńskich księgarniach dokładnych map - udało mi się zdobyć kilka dobrych map drogowych Wołoszczyzny i Transylwanii - oraz na spotkaniach na miejscowym uniwersytecie z historykami interesującymi się dziejami Vlada Tepesa. Najwyraźniej jednak nikt nie chciał rozmawiać ze mną na ten temat i odnosiłem wrażenie, że ilekroć wymienię imię Draculi, rozmówcy żegnali się w duchu. Muszę Ci szczerze wyznać, iż po moich stambulskich doświadczeniach taka mrukliwość sprawia, że zaczynam czuć się trochę niepewnie. W końcu jednak udało mi się zdobyć pewien kontakt.

Dotarłem do młodego profesora archeologii na bukareszteńskim uniwersytecie, który okazał się na tyle uprzejmy, że poinformował mnie o swoim koledze, panu Georgescu, specjalizującym się w historii Snagov, który tego właśnie lata prowadzi tam prace wykopaliskowe. Wiadomość ta zelektryzowała mnie na tyle, że natychmiast spakowałem swój bagaż, zabrałem wszystkie mapy i wynająłem kierowcę, który oświadczył, iż Snagov znajduje się w odległości zaledwie kilku godzin jazdy od Bukaresztu. Wyruszamy tam dziś o pierwszej po południu. Chwilowo muszę kończyć. Przed wyjazdem chcę jeszcze wpaść na lunch - jest tu niewielka restauracyjka, w której serwują miejscowe potrawy, więc spróbuję tych orientalnych frykasów.

Mój drogi Przyjacielu!

Nie umiem się powstrzymać przed kontynuowaniem tej naszej fikcyjnej korespondencji, gdyż miniony dzień obfitował w tyle niezwykłych wydarzeń, że muszę się z kimś podzielić swymi wrażeniami. Bukareszt opuściłem niewielkim, schludnym samochodem osobowym, kierowanym przez drobnego mężczyznę o równie schludnym wyglądzie, z którym mogłem porozumieć się tylko za pomocą dwóch lub trzech słów (jednym z nich było „Snagov”). Po krótkiej lustracji map i wielu zapewniających klepieniach w ramię (w moje ramię) ruszyliśmy w drogę. Podróż zajęła nam całe popołudnie. Thukliśmy się w tumanach kurzu, brukowanymi przejazdami drogami. Otaczały nas przepiękne tereny, głównie rolnicze, choć często pola ustępowały miejsca gęstym lasom. I tak oto dotarliśmy do jeziora Snagov.

Pierwszą oznaką, że zbliżamy się do celu, było triumfalne machnięcie ręką kierowcy, lecz kiedy wyjrzałem przez szybę, zobaczyłem tylko otaczający drogę las. Ale to był załedwie wstęp. Sam nie wiem, czego się dokładnie spodziewałem. Podejrzewam jednak, że jako historyk nie oczekiwałem niczego niezwykłego. A jednak widok jeziora poruszył mnie do głębi. Jest to, mój Przyjacielu, niewyobrażalnie cudne miejsce. Bukoliczne, jak nie z tego świata. Wyobraź sobie, jeśli potrafisz, długi bezmiar jeziora o pofalowanej, skrzęcej się w promieniach słońca toni, wynurzającego się spośród gęstego lasu. Tu i tam widać wytworne rezydencje, czasami spośród wyniosłych drzew wystają tylko ich kominy. Wiele domostw pochodzi z początku dziewiętnastego wieku, niektóre są jeszcze starsze.

Kiedy wyszliśmy na rozległą, leśną polanę - zaparkowaliśmy auto obok niewielkiej, przydrożnej gospody - rozpostarł się przed nami zapierający w piersiach dech widok na jezioro i leżącą na nim wyspę. Właśnie tam stoi monaster. Panorama niewiele zmieniła się tu od stuleci. Wyspa znajduje się w niewielkiej odległości od brzegu i można dostać się na nią łodzią. Podobnie jak brzegi jeziora porasta ją gęsty las. Ponad koronami drzew majaczą wspaniałe, bizantyjskie kopuły monasteru. Kiedy tam dotarliśmy, nad wodą niósł się dźwięk klasztornego dzwonu. To mnisi uderzali weń (jak się później dowiedziałem) drewnianym młotem. Ów dochodzący z oddali dźwięk sprawił, że zadrżało mi serce. Zupełnie jakby ktoś z odległej przeszłości przesyłał mi wieści, których znacze-

nia nie potrafiłem zrozumieć. Kierowca i ja staliśmy zatopieni w blasku późnopołudniowego słońca. Bardziej przypominaliśmy dwóch tureckich szpiegów, spoglądających na ów bastion obcej wiary, niż współczesnych, trochę wymęczonych długą jazdą ludzi, opartych o maskę samochodu.

Mógłbym tak stać tam jeszcze bardzo długo, ale przed zachodem słońca musiałem koniecznie odnaleźć archeologa. Udałem się zatem do restauracji, gdzie za pomocą łamanej łaciny i gestykulacji załatwiłem łódź, by popłynąć nią na wyspę. „ Tak, tak, mieszka tam człowiek z Bukaresztu, który kopie łopatą ” - zapewnił mnie właściciel łodzi i w dwadzieścia minut później wylądowaliśmy na brzegu wyspy. Z bliska monaster jest jeszcze piękniejszy, a zarazem bardziej nieprzystępny i cokolwiek złowrogi ze swymi starodawnymi murami, wzniosłymi kopułami. Każdą z nich wieńczy trzyramienny, przekreślony krzyż. Właściciel łodzi zaprowadził mnie po stromych schodach do samych drzwi świątyni. Miałem właśnie przekroczyć wielkie, drewniane wrota monasteru, kiedy przewoźnik wskazał nam teren leżący za monumentalnymi murami kościoła.

Spoglądając na przepiękne, starodawne ściany, uświadomiłem sobie nagle, że stoję na schodach, po których kroczył ongiś Dracula. Dotąd tropiłem jego ślady w skomplikowanym labiryncie dokumentów; teraz stałem tam, gdzie chodził - w jakich był butach? W skórzanych? Z przypiętymi do nich okrutnymi ostrogami? Gdybym był człowiekiem wierzącym, natychmiast bym się przeżegnał. Poczulem nagłą ochotę, aby klepnąć właściciela łodzi w ramię przyodziane w sweter z szorstkiej wełny i poprosić, żeby natychmiast zabrał nas z powrotem na ląd. Ale, jak sam zapewne najlepiej wiesz, nic takiego nie uczyniłem.

W piętujących się za monasterem ruinach rzeczywiście spotkaliśmy mężczyznę z łopatą. Sprawiał wrażenie osoby rubasznej i bezceremonialnej. Był w średnim wieku, miał ciemne, kręcone włosy, a na sobie białą, wypuszczoną ze spodni koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami. W pracy pomagało mu dwóch chłopców, którzy ostrożnie przegarniali ziemię rękami. Sam archeolog również czasami odkładał łopatę i zaczynał przebierać palcami wykopaną ziemię. Grzebali w jednym tylko miejscu, jakby znaleźli tam coś interesującego, a praca tak ich pochłaniała, że nie zauważyli nawet naszego nadejścia. Dopiero kiedy przewoźnik pozdrowił ich gromkim głosem, unieśli głowy.

Mężczyzna w białej koszuli odłożył łopatę, obrzucił nas przenikliwym

spojrzeniem swych ciemnych oczu, po czym się zbliżył. Nastąpił moment prezentacji, w której pomagał mój szofer. Wyciągnąłem rękę i używając kilku znanych mi rumuńskich słów, powiedziałem:

„Md numesc Bartolomeo Rossi. Nu va suparati... ”

Tego pięknie brzmiącego zwrotu nauczyłem się od jakiegoś człowieka, który pytał o coś w recepcji mego hotelu. Znaczy dokładnie: „ Proszę się nie gniewać... ” - czy wyobrażasz sobie słowa bardziej pachnące historią, a używane tu na co dzień? „Nie wyciągaj sztyletu, przyjacielu... po prostu zagubiłem się w tym lesie i nie znam powrotnej drogi”. Nie wiem, czy użycie przeze mnie tego zwrotu, czy też mój okropny akcent sprawiły, że archeolog wybuchnął śmiechem i uścisnął mi dłoń.

Z bliska okazał się krzepkim, smagłym jegomościem. Wokół jego ust i oczu pojawiały się zmarszczki. Brakowało mu dwóch przednich zębów, a większość pozostałych miała złote koronki. Jego dłoń była niezwykle silna, sucha i szorstka, jak u rolnika.

„Bartolemeo Rossi -powiedział, nie przestając się uśmiechać. - Md numesc Velior Georgescu. Co słychać? Czym mogę służyć? ”

Na chwilę przeniosłem się myślami do mej wyprawy sprzed roku. Do złudzenia przypominał jednego z ogorziałych górali, których nieustannie wypytывaliśmy o kierunek, z tym tylko, że Georgescu miał włosy piaskowego koloru, a tamci czarne.

„Mówi pan po angielsku? ” - zapytałem głupawo.

„ Trochę — odrzekł Georgescu. — Od dawna nie miałem okazji używać tego języka, ale myślę, że jeszcze wrócę do dawnej wprawy”.

Mówił płynnie, słownictwo miał bogate, wyraźnie akcentował literę „ r ”.

„Proszę mi wybaczyć, ale słyszałem, że szczególnie interesuje się pan Vladem IV. Bardzo chciałbym porozmawiać na ten temat. Jestem historykiem z uniwersytetu w Oksfordzie ”.

Kiwnął głową.

„ Cieszę mnie pańskie zainteresowania. Czy przebył pan taki szmat drogi, by zobaczyć jego grób? ”

„Cóż, spodziewałem się...”

„Ha, spodziewał się pan, spodziewał! - wykrzyknął Georgescu, klepiąc mnie po ramieniu. -Ale muszę trochę ostudzić pańskie oczekiwania, miody przyjacielu ”.

Zamarłem. Czy to możliwe, że ten człowiek również uważał, iż Vlad

został pochowany gdzie indziej? Postanowilem jednak cierpliwie wysłuchać wszystkiego, co archeolog miał mi do powiedzenia. Mężczyzna popatrzył na mnie zagadkowo i ponownie się roześmiał.

„Proszę za mną, oprowadzę pana po terenie”.

Wydał swoim pomocnikom kilka poleceń, które w moim odczuciu znaczyły, że chwilowo mogą przerwać pracę, gdyż chłopcy radośnie odłożyli narzędzia i z wyraźną ulgą rzucili się na trawę pod drzewem. Sam Georgescu oparł łopatę o fragment odkopanego muru i skinął w moją stronę. Ja z kolei powiadomiłem kierowcę i właściciela łodzi, że będę chwilowo zajęty. Przewoźnikowi wręczyłem kilka srebrnych monet. Mężczyzna dotknął daszka czapki i szybko zniknął. Kierowca rozsiadł się obok ruin, oparł o nie plecami i wyciągnął z kieszeni ćwiarteczkę.

„Doskonale, najpierw oprowadzę pana dookoła tego miejsca. - Georgescu zatoczył ramieniem szeroki łuk. - Czy zna pan historię wyspy? Nie wiele? W czternastym wieku stał tu kościół, monaster wzniesiono trochę później, ale też w tamtym stuleciu. Pierwszy kościół był drewniany, następny z kamienia, ale ten pochłonęły wody jeziora w roku tysiąc czterysta pięćdziesiątym trzecim. To dziwny zbieg okoliczności, nie sądzi pan? Dracula po raz drugi przejął władzę nad Wołoszczyzną w tysiąc czterysta pięćdziesiątym roku i miał własne pomysły. Sądzę, że lubił ten monaster, ponieważ samo położenie na wyspie chroniło go w naturalny sposób. Zawsze szukał miejsc, gdzie mógłby ufortyfikować się przeciw tureckim najazdom. A ta wyspa stanowiła idealne miejsce”.

Nie patrząc w jego stronę, skinąłem głową. Jego ostatnie stwierdzenie dotarło do mnie z całą ostrością. Wystarczył jeden rzut oka, by zorientować się, że takiego miejsca i takiej warowni mogło skutecznie bronić niewiele mnichów. Velior Georgescu popatrzył na mnie i na siedzącego na ziemi kierowcę z ogromnym zadowoleniem.

„Dlatego więc Vlad przekształcił istniejący monaster w fortecę. Otoczył dookoła murem, a w podziemiach umieścił więzienne lochy i izbę tortur. Kazał też wykopać sekretny tunel, który ułatwiłby ucieczkę obrońcom, oraz zbudował most łączący wyspę z lądem. Most od dawna już nie istnieje, ale ja odkryłem jego resztki. Tam gdzie obecnie kopujemy, znajdowały się lochy. Natrafiliśmy już na kilka ludzkich szkieletów”.

Twarz rozjaśnił mu szeroki uśmiech i w promieniach słońca zalsniły złote zęby.

„A więc jest to kościół Vlada?” - spytałem, wskazując przepiękną

świętynię ze strzelistymi kopułami w otoczeniu drzew o bujnej, soczystej zieleni.

„ Obawiam się, że nie - odparł Georgescu. - Monaster został częściowo zniszczony przez Turków w tysiąc czterysta sześćdziesiątym drugim roku, kiedy na tronie Wołoszczyzny zasiadał jeszcze Radu, brat Vlada, marionetka w rękach Turków. Wkrótce po pogrzebie Vlada straszliwa burza zdmuchnęła klasztor do jeziora. - A więc jednak Vlad został tu pochowany? -pomyślałem. Chciałem o to spytać, ale poskromiłem język. - Okoliczni wieśniacy uważali to za dopust boży i karę za grzechy księcia. Świątynię odbudowano w tysiąc pięćset siedemnastym roku. Prace trwały trzy lata, a ich wynik ma pan przed oczyma. Zewnętrzne mury monasteru zostały odbudowane zaledwie przed około trzydziestoma laty ”.

Dotarliśmy do samego kościoła. Georgescu poklepał starodawną robotę kamieniarską niczym zad ulubionego konia. Nieoczekiwanie zza zalotu muru wyłonił się jakiś człowiek i ruszył w naszą stronę. Był to przygarbiony mężczyzna o siwej brodzie, w czarnych szatach i obszernym kapturze. Posuwał się o lasce. Habit przepasany miał zgrzebnym sznurkiem, na którym wisiał metalowy kabląk z pękiem kluczy. Z szyi zwieszał mu się przepiękny, starodawny krzyż, przypominający kształtem krzyże zdobiące kopuły monasteru.

Jego nieoczekiwane pojawienie się tak mnie zaskoczyło, że o mało się nie przewróciłem. Odniosłem wręcz wrażenie, iż to Georgescu wywołał ducha. Ale archeolog postąpił śmiało z uśmiechem w stronę mnicha, pokłonił się nad jego wyciągniętą, sękatą dłonią z błyszczącym złotym pierścieniem, który z wielkim uszanowaniem pocałował. Starzec najwyraźniej darzył archeologa wielkim uczuciem, gdyż dotknął na chwilę palcami jego głowy, a na twarzy pojawił mu się nikły uśmiech, odsłaniający jeszcze mniej zębów, niż miał ich Georgescu. Kiedy Rumun mnie przedstawiał, usłyszałem swoje nazwisko. Ukłoniłem się więc nisko i z szacunkiem mnichowi, choć nie zdobyłem się na ucałowanie jego pierścienia.

„ To jest opat - wyjaśnił Georgescu. - Jest najstarszy. Wraz z nim mieszka tu jeszcze trzech innych mnichów. Żyje w tym miejscu od najwcześniejszej młodości i zna wyspę lepiej niż ja. Wita pana i przekazuje swoje błogosławieństwo. Mówi, że gdyby miał pan do niego jakieś pytania, z chęcią na nie odpowie”.

W odpowiedzi ponownie nisko się ukloniłem i starzec powoli się oddalił. Kilkanaście minut później dostrzegłem, jak siedzi na pięttrzących się

za nami ruinach murów, grzejąc się niczym wrona w świetle popołudniowego słońca.

„I żyją tu tak przez cały, okrągły rok? ” - zapytałem Georgescu.

„ Oczywiście. Nie opuszczają wyspy nawet podczas najostrzejszych zim - wyjaśnił mój przewodnik i pokiwał głową. - Jeśli nie będzie się pan spieszył na wieczerzę, usłyszysz pan, jak śpiewają mszę. - Zapewniłem go, że za żadne skarby nie mogę przepuścić takiej okazji. - A teraz chodźmy do samego kościoła ”.

W środku panował przenikliwy chłód, ale zanim zdążyłem cokolwiek dostrzec w zalegającym świątynię półmroku, poczułem unoszącą się w powietrzu woń kadzidel i osobliwy, lepki opar bijący ze ścian, jakby kamienie, z których zostały zbudowane, oddychały. Kiedy już moje oczy oswoiły się z mrokiem, dostrzegłem lekki błysk mosiężnych przedmiotów i płomień świecy. Dienne światło z trudem przedzierało się przez wąskie witraże z ciemnego szkła. W środku nie było ani kościelnych ławek, ani rzędów krzeseł. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnęło się tylko kilka wysokich, drewnianych siedzeń wpuszczonych w mur. Nieopodal wejścia mieścił się stojak ze świecami, z wolna okapującymi i rozsiewającymi ciężki zapach topionego wosku. Jedne z nich paliły się w mosiężnym stojaku, inne w dużej wazie wypełnionej piaskiem.

„Mnisi codziennie zapalają świece -przerwał milczenie Georgescu. - Ale wiele z nich pochodzi też od zwiedzających. Te na górze są za żyjących, te u podnóża stojaka za dusze zmarłych. Wszystkie płoną tak długo, aż się wypalą ”.

Kiedy znaleźliśmy się pośrodku świątyni, wskazał na strop. Ze szczytu kopuły spoglądała na nas jakaś twarz.

„ Czy zna się pan na bizantyjskich kościołach? - zapytał Georgescu. - Pośrodku sufitu zawsze znajduje się wizerunek Chrystusa spoglądającego w dół. A to jest kandelabr. - Ze środka malowidła zwieszała się ogromna korona, ale umieszczone w niej świece dawno się już wypaliły. - To też jedna z charakterystycznych cech tych świątyń ”.

Podeszliśmy do ołtarza. Nieoczekiwanie poczułem się jak intruz. Ale nigdzie nie widziałem mnichów, a Georgescu kroczył do przodu z absolutną pewnością siebie. Z ołtarza zwieszały się haftowane tkaniny, a przed nim leżała cała masa wełnianych kobierców i dywaników. Gdybym nie znalazł się na rzeczy, ich ludowe motywy określiłbym mianem tureckich. Nad samym ołtarzem zawieszono liczne, drogie ozdoby. Między nimi do-

strzegłem przepyszny, emaliowany krzyż i oprawioną w złote ramy ikonę przedstawiającą Dziewicę i Dzieciątko. Za ołtarzem zobaczyłem figury świętych o smętnych oczach i jeszcze smutniejszych aniołów. Między nieruchomymi postaciami widniały kute w złocie odrzwia, które obramowały purpurowe, jedwabne kotary. Drzwi prowadziły w jakieś nieznane, tajemnicze regiony.

W spowijającym wnętrze świątyni mroku wszystko to widziałem niewyraźnie, ale uroda miejsca poruszyła mnie do głębi. Odwróciłem się do Georgescu.

„Czy to tu właśnie modlił się Vlad? To znaczy, w poprzedniej świątyni? ”

„Z całą pewnością. - Archeolog zachichotał. - Był bardzo pobożnym człowiekiem, a zarazem mordercą. Ufundował wiele kościołów i monasterów. Wielu ludzi zanosilo modły o jego zbawienie. Ten monaster należał do jego ulubionych i z tutejszymi mnichami pozostawał w bardzo zażyłych stosunkach. Nie wiem, co sądzili o jego straszliwych postępkach, ale kochali go za szczodrość i opiekę, jaką otaczał ich klasztor. Poza tym skutecznie chronił ich przed Turkami. Zgromadzone tu skarby pochodziły z innych świątyń. W zeszłym stuleciu, kiedy monaster był zamknięty, większość z nich porozkradali okoliczni wieśniacy. Ale niech pan popatrzy na to... to właśnie chciałem panu pokazać”.

Przykucnął i odchylił dywan, przykrywający posadzkę przed samym ołtarzem. Ujrzałem długi, prostokątny kamień, gładki i- bez napisów, ale stanowiący bez wątpienia płytę nagrobną. Serce zaczęło boleśnie objąć mi się o żebra.

„ Czy to grobowiec Vlada? ” — zapytałem schrypniętym z emocji głosem.

„ Tak, wedle legend. Przed kilkoma laty, w towarzystwie moich kolegów, otworzyłem grób, ale był pusty... Znajdowało się w nim tylko kilka zwierzęcych kości”.

Ze świstem, głośno, wciągnąłem powietrze w płuca.

„Nie było go w nim?”

„Z całą pewnością”. — Zęby Georgescu zaślśniły jak otaczające nas przedmioty wykonane z brązu i złota. - Wszystkie źródła mówią wprawdzie, że tu właśnie został pochowany, przed samym ołtarzem, a nową świątynię postawiono na fundamentach starej, więc jego grób powinien zostać nienaruszony. Czy wyobraża pan sobie, jak bardzo byliśmy rozczarowani, kiedy nie znaleźliśmy szczątków księcia? ”

Rozczarowani? -pomyślałem. Mnie pomysł pustego grobu przerażał, a nie rozczarowywał.

„Dla spokoju sumienia postanowiliśmy pomyszkować trochę tu i trochę tam... - Zaprowadził mnie w pobliże głównego wejścia do monasteru i odsunął kolejny kobierzec. — Tu natknęliśmy się na następny kamień grobowy ”.

Gapilem się na płytę jak wół na malowane wrota. Była taka sama jak poprzednia. Jej również nie pokrywały żadne inskrypcje.

„ Otworzyliśmy grób ” - wyjaśnił Georgescu, klepiąc dłonią kamień.

„I co?...”

„ Och, znaleźliśmy śliczniutki szkielecik - oświadczył z wyraźną satysfakcją. — W trumnie, zawinięty w nietknięty zębem czasu całun... rzecz niespotykana po pięciuset latach. Całun w barwie królewskiej purpury wyszyty został złotą nicią. Sam szkielet zachował się w stanie nienaruszonym. Przybrany został w strojne szaty z purpurowego brokatu o ciemnoczerwonych rękawach. Najbardziej zaintrygował nas jeden z rękawów, w który wszyto niewielki pierścień. Był on raczej skromny, ale jeden z moich współpracowników utrzymuje, iż wyryty na nim symbol to herb Zakonu Smoka ”.

Serce na chwilę przestało mi bić.

„Symbol na oczku...”

„ Tak, smok z długimi szponami i ze splątany ogonem. Członkowie Zakonu nosili zawsze przy sobie takie wizerunki, najczęściej umieszczane na broszach spinających ich płaszcze. Nasz przyjaciel Vlad należał do nich. Prawdopodobnie wprowadził go do tego bractwa jego ojciec, kiedy syn osiągnął pełnoletność. - Georgescu popatrzył na mnie z chytrym uśmiechem. -Ale o tym chyba już wiesz, profesorze”.

Ogarnęły mnie sprzeczne uczucia żalu i ulgi.

„ Zatem tu znajdował się jego prawdziwy grób, a ludowe legendy umieściły go w niewłaściwym miejscu ”.

„Nie, moim zdaniem to nie tak. - Nakrył płytę dywanem. - Nie wszyscy moi koledzy zgadzają się ze mną, ale uważam, że wszelkie dowody wskazują na coś przeciwnego ”.

Popatrzyłem nań ze zdumieniem.

„A co z królewskimi szatami i niewielkim pierścieniem?” - zapytałem.

Georgescu potrząsnął głową.

„Człowiek ten najprawdopodobniej należał do Zakonu, w którym pełnił wysokie funkcje, i dlatego pochowano go w paradnych szatach Draculi. Być może nawet celowo go zabito, by pasował rozmiarami ciała do trumny... któż to wie”.

„ Czy pochowaliście ponownie szkielet? ”

Musiąłem o to zapytać, staliśmy zbyt blisko grobu.

„Och, nie... Odesłaliśmy go do muzeum historycznego w Bukareszcie, ale pan już go tam nie zobaczy. Zamknęli go na glucho w jakimś magazynie. To po prostu granda!”

Ale Georgescu wcale nie sprawiał wrażenia zbyt oburzonego, tak jakby znaleziony szkielet był co prawda bardzo interesujący, lecz niewiele znaczył dla jego prawdziwych odkryć.

„ Czegoś tu nie rozumiem -powiedziałem, patrząc mu prosto w oczy. - Dłaczego, przy tylu niezbitych dowodach, uważa pan, że nie był to szkielet Vlada Draculi? ”

„ To bardzo proste - odrzekł Georgescu, wygładzając kobierzec. - Ten facet miał głowę. Draculi natomiast Turcy odcięli głowę i jako trofeum odesłali do Stambułu. Co do tego wszystkie źródła są zgodne. Dlatego teraz kopię w miejscu dawnych kazamatów, szukając kolejnego grobu. Moim zdaniem ciało księcia zabrano z miejsca przed ołtarzem, żeby uchronić je przed rabusiami grobów albo też przed kolejnym najazdem Turków. Stary gałgan jednak musi znajdować się gdzieś na wyspie ”.

Miałem jeszcze tysiące pytań, jakie chciałem zadać Georgescu, ale archeolog podniósł się z ziemi i przeciągnął ramiona.

„Może byśmy jednak udali się do restauracji na kolację. Jestem tak głodny, że zjadłbym konia z kopytami. Ale najpierw, jeśli pan pozwoli, wysłuchamy mszy. Gdzie się pan zatrzymał? ”

Wyznałem, że jeszcze o tym nie myślałem, ale muszę zapewnić lokum swojemu kierowcy.

„Poza tym mam do pana wiele pytań ” - dodałem.

„Ja do pana też. Porozmawiamy przy kolacji”.

Wróciliśmy na wykopaliska w miejscu dawnego więzienia. Okazało się, że archeolog dysponował własną łodzią, dzięki której mogliśmy dostać się na ląd, gdzie w miejscowej gospodzie obiecał załatwić nam pokoje. Po powrocie Georgescu pochował narzędzia, zwolnił swoich pomocników i wróciliśmy do monasteru. Dotarliśmy tam akurat w chwili, kiedy opat i trzech mnichów, ubranych w takie same proste, ciemne habity,

wchodzili do świątyni przez drzwi sanktuarium. Dwóch z nich było w bardzo podeszłym wieku, ale trzeci miał ciemną brodę bez cienia siwizny i trzymał się prosto. Zatrzymali się przed ołtarzem. Opat miał w dłoniach krzyż i książęce jabłko. Jego zgarbione plecy nakrywał purpurowo-złoty płaszcz, rzucający w blasku świec migotliwe lśnienia.

Złożyli przed ołtarzem niski ukłon, po czym wyprostowali się na pokrytej dywanem kamiennej posadzce - stali dokładnie nad pustym grobowcem. Ogarnęło mnie przelotne, mrożące krew w żyłach wrażenie, że chylili głowy nie przed ołtarzem, lecz przed pustym grobem Falownika.

Nagle rozległ się upiorny, pełen grozy dźwięk. Zdawał się dochodzić z samej świątyni, otulając ściany i kopułę monasteru niczym mgła. Zaczęli zanosić monotonne śpiewy i inkantacje. Opat zniknął za drzwiami ukrytymi za ołtarzem - starałem się nie patrzeć w ów wewnętrzny przybytek - i po chwili znów się pojawił, dźwigając wielką księgę w ozdobnej oprawie. Wolną ręką rozdawał błogosławieństwa. Jeden z mnichów podał mu trybularz zawieszony na długim łańcuchu. Opat zaczął okadzać nim księgę. Spowiły go kłęby wonnego dymu. Zewsząd dobiegały dźwięki muzyki pełnej niskich tonów przechodzących w najwyższe oktawy. Poczulem gęsią skórkę, gdy uświadomiłem sobie, że jestem teraz bliżej serca Bizancjum, niż wydawało mi się to podczas pobytu w Stambule. Wiedziałem też, iż starodawna muzyka i cały towarzyszący jej obrządek różnią się nieco od tych, których świadkami byli cesarze Konstantynopola.

„Msza potrwa jeszcze bardzo długo — szepnął mi do ucha Georgescu. - Mnisi nie będą mieć nam za złe, jeśli opuścimy wcześniej nabożeństwo”.

Wyciągnął z kieszeni świecę, zapalił ją od płonącej w pobliżu wejścia gałązki i wstawił do wielkiego naczynia z piaskiem.

W obskurnej gospodzie na brzegu jeziora z apetytem zajadaliśmy się duszonym mięsem i sałatkami podawanymi nam przez płochliwą dziewczynę przybraną w wioskowy strój. Później był pieczony kurczak i butelka ciężkiego, czerwonego wina, którym Georgescu szafował bardzo hojnie. Mój szofer najwyraźniej nawiązał dobre stosunki w kuchni, dzięki czemu znaleźliśmy się sami w wyłożonej drewnem sali z widokiem na majaczące w nadchodzącym zmroku jezioro i wyspę.

Kiedy już zaspokoiliśmy pierwszy wilczy apetyt, zapytałem, skąd znał moje powitalne powiedzonko. Roześmiał się z pełnymi ustami.

„Dzięki mej mamie i ojcu, niech spoczywają w pokoju. Był on szkoc-

kim archeologiem, mediewistą, a ona szkocką Cyganką. Urodziłem się i od dziecka mieszkalem w Fort William i pomagałem w pracy memu ojcu. Po jego śmierci krewni matki namówili ją na wyjazd do Rumunii, skąd pochodzili. Urodziła się i wychowała we wschodniej Szkocji, lecz ojciec zdecydował o opuszczeniu tamtych stron. Rodzina mego ojca nie darzyła jej zbyt dużą sympatią. Zabrała mnie do Rumunii, kiedy miałem piętnaście lat, i już tu zostałem. Przybrałem jej rumuńskie nazwisko, by lepiej wmieścić się w nowy kraj ".

Nie wiedziałem, co mam powiedzieć, ale on tylko się roześmiał.

„Wiem, to banalna historia. A twoja? " "

Opowiedziałem mu pokrótce o swym życiu i studiach, o tajemniczej książce, która tak nieoczekiwanie znalazła się w moim posiadaniu. Słuchał z uwagą i ze ściągniętymi brwiami. Kiedy skończyłem, lekko skinął głową.

„Dziwna historia, w to nie wątpię ".

Wyciągnąłem z torby książkę i wręczyłem ją archeologowi. Dokładnie jąprzekartkował, zatrzymując się dłużej na drzeworycie w jej środku.

„No tak - powiedział zamyślonym głosem. - To do złudzenia przypomina wszystkie wizerunki związane z Zakonem. Widziałem taki sam wizerunek smoka na biżuterii... na przykład na tamtym małym pierścionku. Ależ taką książkę jeszcze się nie spotkałem. Nie wie pan, skąd pochodzi? " "

„Mc a nic. Podejrzewam jednak, że po powrocie do Londynu będę musiał oddać ją w ręce specjalistów ".

„ To zdumiewający egzemplarz - oświadczył Georgescu, oddając mi książkę. - A teraz, kiedy już zobaczył pan Snagov, gdzie się wybiera dalej? Do Stambułu? " "

Po plecach przeszedł mi zimny dreszcz.

„Nie. Muszę niebawem wracać do Grecji, gdzie czekają mnie prace wykopaliskowe. Ale przedtem chciałbym zobaczyć Tirgoviste, które było stolicą Vlada. Czy był pan w tym mieście?" "

„ Och, naturalnie. - Georgescu wyczyścił swój talerz do czysta jak wygłodniały chłopiec. - To niezwykle interesujące miejsce dla każdego badacza zajmującego się dziejami Draculi. Lecz najbardziej interesujący jest jego zamek".

„Zamek? Naprawdę miał tam zamek? Czy jeszcze istnieje? " "

„Tak. Wprawdzie to zupełna ruina, ale jest urocza. Zburzona forteca. Znajduje się w odległości kilku mil od Tirgoviste, w górę rzeki Arges.

Można tam łatwo dotrzeć samochodem. Ale do samego zamku trzeba już odbyć solidną, górską wycieczkę. Dracula uwielbiał to miejsce, gdyż skutecznie chroniło go przed Turkami, a poza tym jest niezwykle malownicze. Powiem panu coś... - Zaczął szukać czegoś po kieszeniach. W końcu wyjął niewielką, glinianą fajkę i nabił ją wonnym tytoniem. Podałem mu ogień. - Dzięki, młodzieńcze. Powiem panu coś... Udam się tam wraz z panem. Będę mógł panu wprowadzić towarzyszyć tylko kilka dni, ale przynajmniej pomogę odnaleźć fortecę. Przydam się panu jako przewodnik. Nigdy nie byłem tam podczas pełni Księżyca, a bardzo chciałbym zobaczyć ten widok".

Podziękowałem mu z całego serca. Muszę szczerze przyznać, że perspektywa podróży w samo serce Rumunii bez przewodnika i tłumacza trochę mnie trwożyła. Postanowiliśmy wyruszyć następnego dnia z rana, jeśli tylko szofer wyrazi zgodę na kurs do Tirgoviste. Georgescu znalazł wioskę nad Argesem, w której za kilka szylingów mogliśmy znaleźć wygodne kwatery. Znajdowała się wprawdzie w pewnym oddaleniu od ruin zamku, ale do najbliższej nie chciał wracać, gdyż kiedyś musiał z niej w popłochu uciekać. Życzyliśmy sobie serdecznie dobrej nocy. A teraz, mój Przyjacielu, muszę przerwać pisanie, by przespać się przed kolejną przygodą, którą Ci z całą pewnością zrelacjonuję.

*Twój darzący Cię najgłębszą sympatią
Bartholomew*

46

Drogi Przyjacielu!

Mój kierowca zawiózł nas dzisiaj do Tirgoviste, po czym ruszył w powrotną drogę do Bukaresztu. Na noc zatrzymaliśmy się w starej gospodzie. Georgescu jest wspaniałym kompanem. W czasie jazdy szczegółowo wprowadzał mnie w historię krainy, do której jechaliśmy. Jego wiedza jest wprost porażająca, od architektury po botanikę tych stron. Tak więc dzisiaj dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy.

Samo Tirgoviste jest uroczym miasteczkiem - zachowało całkiem średniowieczny charakter. Znajduje się w nim przynajmniej jeden dobry za-

jazd, w którym można odpocząć i umyć się w czystej wodzie. Znajdujemy się w samym sercu Wołoszczyzny, pokrytym pagórkami kraju dzielącym wysokie góry od równin. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych piętnastego wieku Vlad Dracula wielokrotnie rządził Wołoszczyzną. Tirgoviste zawsze było stolicą jego księstwa. Tego popołudnia zwiedziliśmy ruiny jego pałacu. Georgescu oprowadzał mnie po nich, pokazując każdą komnatę i wyjaśniając, co się ongiś w niej mieściło. Sam Dracula urodził się w Transylwanii, w miasteczku Sighisoara. Nie miałem czasu tam pojechać, ale Georgescu wielokrotnie odwiedzał to miasto i zapewnił mnie, że wciąż stoi tam dom ojca Draculi, w którym urodził się Vlad.

Najciekawszą rzeczą, jaką widzieliśmy tego popołudnia podczas naszej wólczeży, była wieża obserwacyjna Draculi, a raczej jej dokładna kopia stworzona w dziewiętnastym wieku. Georgescu, jak każdy rasowy archeolog, kręcił swym szkocko-rumuńskim nosem nad tą rekonstrukcją. Najbardziej degustował go krenelaż baszty, ale czego innego mógłbym spodziewać się po historyku, jak sam cierpko stwierdził, znającym się naprawdę na rzeczy. Niezależnie od tego, czy rekonstrukcja była dokładna czy nie, Georgescu opowiedział mi o tej wieży historii, od której zjeżyły mi się włosy. Baszta służyła Vladowi Draculi nie tylko do wypatrywania nadciągających nieustannie w tamtych czasach Turków, lecz też jako dogodny punkt obserwacji ludzi powbijanych na pal na rozciągającym się w dole dziedzińcu pałacowym.

Kolację zjedliśmy w niewielkiej restauracyjce nieopodal centrum miasta. Mieliśmy stamtąd wspaniały widok na mury zrujnowanego pałacu. Kiedy palaszowaliśmy gulasz, zagryzając przepyszny chlebem, Georgescu powiedział, że Tirgoviste stanowi najdogodniejsze miejsce, skąd można się dostać do górskiej twierdzy Draculi.

„Gdy Vlad po raz drugi zasiadł na tronie Wołoszczyzny w roku tysiąc czterysta pięćdziesiątym szóstym — wyjaśnił — postanowił wznieść zamek nad Argesem, do którego mógłby zawsze się schronić przed inwazją nadchodzącą z równin. Góry między Tirgoviste a Transylwanią - i pustkowia samej Transylwanii — zawsze stanowiły dla Wołochów doskonałe tereny do ucieczki przed turecką nawałą”.

Ułamał kawałek chleba i umoczył go w gulaszu.

„Dracula wiedział, że nad rzeką znajdują się ruiny dwóch zamków pochodzących jeszcze z jedenastego wieku. Postanowił odbudować jeden z nich, starodawny zamek Arges. Potrzebował zatem taniej siły roboczej -

czyż tego typu przedsięwzięcia nie sprowadzają się zawsze właśnie do tego? Tak zatem w na swój serdeczny sposób zaprosił bojarów... wie pan, właściciele ziemskich... na uroczyste śniadanie wielkanocne. Przybrani w najlepsze szaty pojawili się na ogromnym dziedzińcu zamku w Tirgoviste, gdzie gospodar hojnie ugościł ich jadłem i napitkiem. Następnie zabił tych, którzy byli mu niewygodni, a wszystkich młodych obojga płci oraz dzieci pognął pięćdziesiąt kilometrów w góry, gdzie mieli wznosić zamek Arges".

Georgescu rozejrzał się po stole, najwyraźniej szukając następnego kawałka chleba.

„ Cóż, tak naprawdę jest to o wiele bardziej skomplikowana sprawa, zresztą cała historia Rumunii taka była. Starszego brata Draculi, Mirceę, zamordowali jego polityczni wrogowie, mieszczenie z Tirgoviste. Kiedy Dracula doszedł do władzy, kazał wykopać trumnę swego brata. Okazało się, że nieszczęśnika pogrzebano żywcem. Wtedy to właśnie wysłał owo wielkanocne zaproszenie. W taki sposób zemścił się za śmierć brata, zyskując jednocześnie tanią siłą roboczą do budowy twierdzy w górach. W pobliżu wznoszonej warowni kazał zbudować piec do wypalania cegiel i ci, którzy przeżyli morderczą wędrówkę, dzień i noc je dźwigali, wznosili mury i baszty obronne przyszej twierdzy. Stara pieśń z tamtych czasów głosi, że bojarzy „ budowali ją dopóty, dopóki nie zdarli doszczętnie swych szat". - Georgescu dokładnie czyścił kawałkiem chleba swój talerz, a ja zauważyłem, że Dracula był facetem zarówno praktycznym, jak i odrażającym.

Tak więc, mój Przyjacielu, następnego dnia wyruszyliśmy wozem w drogę, którą tamci nieszczęśnicy musieli przebyć pieszo.

Widok wieśniaków w ludowych strojach, przemykających ulicami miasta między ubranymi nowoczesnie mieszkańcami Tirgoviste, był jedyne w swoim rodzaju. Mężczyźni w białych koszulach i ciemnych kamizelach, w skórzanych sandałach przewiązanych rzemieniami, które obejmowały im łydki aż do kolan, do złudzenia przypominali starożytnych rzymskich pasterzy. Niewiasty o równie czarnych włosach i smagłych twarzach, niejednokrotnie bardzo urodziwe, nosiły obszerne suknie i obcisłe bluzki wyszywane w przepiękne, barwne wzory. Cały ten malowniczy ludek zgromadzony na miejscowym targu - zwiedziłem go wczorajszego ranka - hałaśliwie targował się o cenę przywiezionych do miasta towarów.

Stąd już nie mam żadnego sposobu wysiania Ci tych listów i dlatego całą korespondencję pieczołowicie przechowuję w torbie.

*Zawsze Twój
Bartholomew*

Drogi Przyjacielu!

Ku mej radości dotarliśmy do leżącej nad rzeką Arges wioski. Podróż wozem miejscowego rolnika zajęła nam cały dzień. Droga wiodła tak niesamowicie stromymi zboczami gór, że u celu hojnie zapłaciłem woźnicy srebrem. Ale choć po tej karkołomnej eskapadzie do teraz bolą mnie wszystkie gnaty, czuję osobliwą radość i uniesienie. Sama wioska jest miejscem bajkowym, żywcem wyjętym z opowieści braci Grimm. Już po godzinie zauważyłem ogromną przepaść dzielącą tę krainę od świata Europy Zachodniej. Niskie chaty, niektóre wręcz rozpadające się ze starości, miały strome dachy z długimi rynnami i wysokie kominy z ogromnymi gniazdami bocianów wracających do nich każdego lata.

Wędrując tego popołudnia z Georgescu po wiosce, odkryliśmy, że jej centrum stanowi rozległy plac ze studnią. Tu właśnie mieszkańcy osady czerpią wodę. Obok niej ustawiono wielkie drewniane koryto, w którym chłopci dwa razy dziennie poją bydło. Pod wielkim próchniejącym drzewem stała karczma. Musiałem postawić w niej wszystkim miejscowym pijakom kilka kolejek przeklętej wody ognistej. Pomyślałem wtedy o Tobie

i „Złotym Wilku” oraz o tym, jak rozmyślasz tam nad kuflem porteru. W wiosce spotkałem zaledwie dwie lub trzy osoby, z którymi potrafiłem się jako tako porozumieć.

Niektórzy z bywalców karczmy pamiętali Georgescu z jego ostatniej wizyty w wiosce przed sześciu laty. Kiedy po raz pierwszy wkroczyliśmy do gospody, część z nich powitała go siarczystymi klepięciami w plecy, choć większość wyraźnie go unikała. Georgescu oświadczył mi, że choć jest to najlepszy dzień, by udać się do fortecy, to żaden z mieszkańców wioski nie ma ochoty nas tam zaprowadzić. Mówili o wilkach, niedźwiedziach, no i oczywiście o wampirach. W swoim języku nazywają je „pricolici”. Przynosiłem sobie kilka rumuńskich słów, a znajomość francuskiego, włoskiego i łaciny ułatwia mi komunikację z miejscową ludnością. Kiedy rozmawialiśmy wczorajszego wieczoru z kilkoma siwowłosymi bywalcami gospody, bez skrzepowania przysłuchiwało się nam niemal

pół wioski — gospodynie domowe, chłopci, cała chmara bosonogich dzieciaków, dziewczęta o ślicznych, wielkich i czarnych jak węgiel oczach. W pewnej chwili otoczył mnie taki tłum ludzi udających, że chcą napić się ze studni wody, pozamiatać schodki karczmy lub porozmawiać z właścicielem gospody, że wybuchnąłem gromkim śmiechem. Wszyscy wytrzeszczyli na mnie oczy.

Ale więcej jutro... Ile bym dał za godzinę rozmowy z Tobą w moim... w naszym... języku!

*Oddany Ci bez reszty
Rossi*

Drogi Przyjacielu!

Muszę z największą powagą stwierdzić, że odwiedziliśmy fortecę Wlada i bez przeszkód wróciliśmy do wioski. Teraz już wiem, dlaczego tak bardzo chciałem zobaczyć to miejsce. Uwierzyłem w istnienie owej przerażającej istoty, w jaką przekształcił się po śmierci... i postaram się odnaleźć, jeśli tylko moje mapy okażą się prawdziwe. Spróbuję teraz opisać Ci naszą wyprawę. W ten sposób mocniej utrwale w pamięci jej przebieg, a Ty wyobrazisz sobie nasze doznania.

Wyruszyliśmy o świcie wozem powożonym przez dobrze prosperującego, młodego rolnika, syna jednego ze starców przesiadujących w miejscowej gospodzie. Najwyraźniej to jego ojciec kazał mu zawieźć nas do ruin, choć młodzieńcowi wcale się to nie uśmiechało. Kiedy w pierwszych przeblaskach rodzącego się dnia dotarliśmy na plac i wsiedliśmy na czekającą już furę, wskazał kilkakrotnie na majaczące w oddali góry, potrząsnął głową i zapytał: „Poenari? Poenari?”. W końcu jednak dał za wygraną, wskoczył na kozioł i strzelił batem na konie. Były to dwa potężne, brązowe ogiery, na co dzień pracujące na polach.

Woznica mógł swą posturą budzić lęk i respekt. Wysoki. Barczysty, ubrany w szorstką bluzę i wełnianą kamizelę, przewyższał nas wzrostem o dobre dwie głowy. Nieco zabawny okazał się więc jego lęk przed czekającą nas eskapadą, choć po przejściach w Stambule (o mej przygodzie opowiem Ci osobiście) byłem ostatnią osobą, która miała prawo wyśmiać się ze strachu i zabobonów wieśniaków. Podczas jazdy Georgescu kilkakrotnie próbował go zagadywać, ale mężczyzna milczał jak grób, desperacko sciskając w dłoniach lejce. Pomyślałem, iż przypomina więźnia

prowadzonego na miejsce kaźni. Od czasu do czasu wsuwał dłoń pod koszulę, by dotknąć amuletu zawieszzonego na grubym rzemyku. Z trudem zapanowałem nad ciekawością i nie poprosiłem, żeby pokazał mi ten talizman. Było mi go trochę żal. Czulem się winny, że zmusiliśmy go do robienia rzeczy zabronionych w jego kulturze. Postanowiłem, że po powrocie wynagrodzę mu to dodatkową kwotą pieniędzy.

Zamierzaliśmy wrócić dopiero następnego dnia, by mieć więcej czasu na obejrzenie fortecy i porozmawianie z wieśniakami mieszkającymi w pobliżu jej ruin. Dlatego ojciec naszego woźnicy zaopatrzył nas w kocce i materace, a matka dała nam spory zapas chleba, sera i jabłek. Cały bagaż złożyliśmy w tyle wozu. Kiedy wjechaliśmy w lasy, po plecach przeszedł mi niegodny naukowca dreszcz emocji. Przypomniałem sobie bohatera powieści Brama Stokera podróżującego przez puszcze Transylwanii - całkowicie wyimaginowane przez autora - dyliżansem i prawie żalowałem, że nie wyruszyliśmy w drogę wieczorem. Wtedy mógłbym zobaczyć na własne oczy tajemnicze ogniki w lesie i usłyszeć wycie wilków. To wstyd - pomyślałem - że Georgescu nigdy nie przeczytał tej książki. Postanowiłem, iż po powrocie do domu niezwłocznie prześlę mu jej egzemplarz, jeśli oczywiście zdecyduje się wrócić do tak monotonnego miejsca jak Anglia. Następnie przypomniałem sobie zdarzenie w Stambule i to mnie nieco otrzeźwiło.

Podróż przez lasy trwała długo. Posuwaliśmy się powoli, gdyż droga pełna była kolein i wybojów, a szlak prowadził ostro pod górę. Transylwańskie lasy są bardzo gęste, nawet w najbardziej słoneczne południa zalega w nich gęsty półmrok i panuje przedziwny chłód kojarzący się z wnętrzem kościoła. Wędrowca otaczają tam tylko drzewa i ogłuszająca cisza. Podczas kilkugodzinnej jazdy widzieliśmy jedynie pnie leśnych olbrzymów - świerków, dębów i innych gatunków o twardym drewnie. Wysokie i gęste korony tych drzew całkowicie zasłaniają niebo. Odnosiłem wrażenie, iż posuwamy się między filarami olbrzymiej, pogrążonej w gęstym półmroku katedry, nawiedzonej świątyni, gdzie w każdej niszy majaczą wizerunki Czarnej Madonny oraz posągi świętych męczenników. Rozróżniłem kilka gatunków drzew, w tym odmiany gigantycznych kasztanowców i dębów, jakich nigdy jeszcze dotąd nie widziałem.

W pewnym miejscu, gdzie teren robił się płaski, otoczyły nas srebrzyste pnie. Wjechaliśmy w bukowy las, jaki czasami - choć rzadko - można jeszcze spotkać w Anglii. Z całą pewnością widziałeś taki las. Podobne

drzewa, o potężnych konarach pokrytych drobnym, zielonym listowiem, tworzyły baldachim nad głową Robin Hooda, kiedy brał swój leśny ślub. Pod kołami naszego wozu chrzęściły suche, splowiałe, zeszloroczne liście. Woźnica jednak nie dostrzegał piękna krajobrazu - zapewne żyjąc na stałe w takiej scenerii, nie postrzegał jej jako „piękna”, lecz jako zwykły świat. Siedział przygarbiony na koźle pogrążony w złowróbnym milczeniu. Georgescu pochłonięty był lekturą notatek dotyczących Snagov i nie miałem z kim podzielić się zachwytem nad urodą otaczającej nas przyrody.

Okolo południa las się skończył i dalsza droga prowadziła wśród rozległych pól - zielonych i złotych w promieniach prażącego słońca. Kiedy już zdobyliśmy sporą wysokość, ujrzałem w dole, poniżej zbitej gestwiny lasu, opadającego stromo ku rozciągającej się u jego stóp dolinie i rozległym polom uprawnym, niebieską wstęgę rzeki Arges. Po jej drugiej stronie wznosiły się niewyobrażalnie strome stoki porośnięte gęstym lasem. Kraina taka pasowała bardziej do orłów niż ludzi. Z podziwem pomyślałem o potyczkach Turków z chrześcijanami. Wydawało mi się, że imperium, decydując się na walkę w takim terenie, wykazało największą głupotę. Doskonale rozumiałem Władę Draculę, który wybrał to właśnie miejsce na swoją twierdzę. Inna rzecz, iż w takim terenie nawet forteca nie była mu specjalnie potrzebna.

Woźnica zatrzymał konie, zeskoczył z kozła i zaczął rozpakowywać nasze wiktuały. Południowy posiłek zjedliśmy na trawie pośród porastających okolicę dębów i olch. Później nasz przewodnik położył się pod drzewem, nasunął na twarz kapelusz i zapadł w sen. Georgescu poszedł w jego ślady, jakby taka drzemka stanowiła w tych stronach rytuał. Spali dobrą godzinę, a ja w tym czasie włóczyłem się po okolicznych łąkach. Panowała niesamowita cisza, mącona jedynie szumem drzew dobiegającym od strony lasu. Niebo było nieskazitelnie błękitne. Kiedy dotarłem do skraju polany, poniżej dostrzegłem podobną, na której jednak siedział pasterz przybrany w białą guńkę i brązowawy kapelusz o szerokim rondzie. Otaczało go, niczym biały obłok, stado owiec. Odniosłem dziwaczne wrażenie, że przebywa na tym odludziu jeszcze od czasów Trojana. Sphylnął na mnie niewyobrażalny spokój. Opuściła mnie wszelka myśl o naszych makabrycznych poszukiwaniach. Przyszło mi do głowy, iż na tych łąkach mógłbym żyć jako pasterz tysiące i tysiące lat.

Po południu pokonywaliśmy coraz bardziej stromy teren. W końcu dotarliśmy do wioski. Georgescu powiadomił mnie, że jest to ostatnie osied-

le przed ruinami fortecy. Oświadczył, iż zatrzymamy się w miejscowej gospodzie, gdzie pokrzepimy się szklaneczką sławetnej brandy zwanej tu pdlinca. Woźnica dał nam niedwuznacznie do zrozumienia, że pozostanie z końmi w wiosce, kiedy my na piechotę ruszymy do zamku. Za żadne pieniądze nie poszedłby z nami do ruin, nie mówiąc już o spędzeniu tam nocy. Kiedy zacząłem nalegać, odwarknął: „Pentru nimica in limę”, po czym dotknął rzemyka na szyi. Georgescu przetłumaczył mi jego słowa: „Absolutnie nie”. Mężczyzna tak obstawał przy swoim, iż w końcu rumuński archeolog wybuchnął śmiechem i oświadczył, że jednak dalszą drogę musimy odbyć pieszo. Dziwiłem się trochę, iż mój kompan tak chętnie zgodził się na nocleg pod gołym niebem, zamiast wrócić do wioski, zwłaszcza że mnie również nie bawiła perspektywa spędzenia nocy w ruinach zamku.

Ostatecznie zostawiliśmy naszego woźnicę z końmi i szklaneczkami brandy, a sami, objuczeni tobołkami z żywnością i kocami, ruszyliśmy w drogę. Idąc główną ulicą wioski, pomyślałem o bojarach z Tirgoviste kuśtykających tą samą drogą w kierunku twierdzy, a następnie przypomniałem sobie to, co widziałem - a może tylko zmyśliłem sobie, że widziałem - w Stambule, i ogarnął mnie niepokój.

Droga stawała się coraz węższa, po czym zamieniła się w zwykłą ścieżkę prowadzącą przez las. Była teraz bardziej stroma. Pokonawszy ostatni, prawie pionowy odcinek, nieoczekiwanie znaleźliśmy się na wietrznej, skalistej, przypominającej gigantyczny kregosłup jakiegoś stwora grani, wznoszącej się nad granicą lasu. Na najwyższym kregu stały szczątki dwóch baszt i resztki murów - wszystko, co pozostało po warowni Draculi. Z zamku rozciągał się zapierający dech w piersi widok. Daleko w dole wiła się połyskliwa wstęga rzeki Arges, widać było porozrzucane tu i ówdzie wioski i wznoszące się nad nimi kamienne stoki gór. Daleko po południowej stronie majaczyły niskie pagórki. Georgescu wyjaśnił mi, że są to niziny Wołoszczyzny. Na północy cięży niebo wyniosłe wierzchołki, z których wiele pokrytych było śniegiem. Ruszyliśmy podniebną, skalną percią, gdzie królowały już tylko orły.

Georgescu ruszył przodem po ruchomych głazach i niebawem stanęliśmy pośród ruin zamku. Twierdza nie była duża. Jej resztki porastały dzikie kwiaty i karłowate drzewka, a mury pokrywał mech oraz wapienne liszaje. Niebo kłuły ciemne kikuty dwóch zachowanych baszt. Georgescu wyjaśnił, że zamek pierwotnie miał aż pięć wież, z których wartownicy

wypatrywali tureckich watah najeżdżających krainę. Na głównym dziedzińcu znajdowała się niegdyś studnia oraz - wedle legendy - sekretne wejście do podziemnego pasażu prowadzącego do pieczary znajdującej się nieopodal Argesu. Tamteży właśnie w roku tysiąc czterysta sześćdziesiątym drugim wymknął się Turkom Dracula po prawie pięcioletnim władaniu zamkiem. Najwyraźniej nigdy już do warowni nie wrócił. Georgescu sądził, że w sklepionej piwnicy w jednym z rogów dziedzińca mieściła się kiedyś zamkowa kaplica. W ścianach wyniosłych wież ptaki wily swe gniazda, spod nóg uciekały nam jaszczurki i inne drobne zwierzęta. Byłem pewien, że niebawem natura bez reszty przejmie to miejsce dla siebie.

Kiedy skończyliśmy obchód zamku, słońce dotykało majaczących na horyzoncie wzgórz. Cienie skał, drzew i wież znacznie się wydłużyły, powoli nadciągał zmierzch.

„Możemy wrócić do wioski — odezwał się zamyślonym głosem Georgescu. - Ale w takim razie, skoro mamy dokładnie zbadać ruiny, jutro znów będziemy musieli tutaj przybyć. Zostańmy zatem tu na noc ”.

Osobiście woląłem spędzić noc w wiosce, ale rozsądek Georgescu i widok jego notatnika przeważały. Zebraliśmy suche drewno i niebawem na starodawnych płytach dziedzińca zapłonęło wesołe ognisko, podsycane jeszcze suchym mchem. Widok ognia najwyraźniej ożywił rumuńskiego archeologa. Pogwizdując radośnie pod nosem, dokładał do paleniska drew. Zbudował ruszt i zawiesił wyjęty z plecaka kociołek. Z zadowoleniem spoglądał na ognisko, nad którym warzyło się nasze jedzenie. Kiedy zaczął kroić chleb, bardziej przypominał Cygana niż Szkota.

Zanim kolacja była gotowa, słońce schowało się za horyzont. Ruiny zamku pograżyły się w mroku i tylko na tle rozgwieżdżonego nieba majaczyły szkielety wież. Jakieś ptaki... sowy? A może nietoperze?... z łopotem skrzydeł wlatywały i wylatywały z czarnych oczodołów ruin, z których przed łąty strzały obrońców zamku raziły tureckich najeźdźców. Rozłożyłem materac obok ogniska. Jedzenie było przepyszne. Podczas kolacji rozmawialiśmy o historii zamku.

„ Z tym miejscem wiąże się jedna z najsmutniejszych opowieści o Draculi. Czy słyszał pan o jego pierwszej żonie? ”

Potrząsnąłem głową.

„ Okoliczni chłopci opowiadają historię, która jest zapewne prawdziwa. Wiemy, że jesienią tysiąc czterysta sześćdziesiątego drugiego roku

Dracula uciekł z tego zamku i nie wrócił tu nawet wówczas, gdy ponownie odzyskał tron Wołoszczyzny w tysiąc czterysta siedemdziesiątym szóstym roku, tuż przed swoją śmiercią. Ludowe pieśni głoszą, że Turcy ostrzelali zamek z armat ustawionych po drugiej stronie rzeki, a kiedy nic to im nie dało, ich dowódca nakazał następnego dnia przypuścić na fortecę generalny atak".

Georgescu umilkł na chwilę i dorzucił do ognia drew. W blasku ognia na jego smagłej twarzy zatańczyły cienie, rozbłyły złote zęby, a dwa loki jego kędzierzawych włosów do złudzenia przypominały rogi.

„ W nocy pewien turecki niewolnik, daleki krewny Draculi, wystrzelił

z łuku strzałę z wiadomością, że Dracula i jego rodzina powinni uciekać z zamku, by nie wpaść w ręce Turków. Niewolnik widział, jak żona Draculi czyta przy świecy przesianie. Pieśni wieśniaków utrzymują, iż małżonka hospodara świadczyła, iż prędzej zjedzą ją ryby w Argesie, niż dostanie się w ręce Turków. Jak sam pan wie, Turcy niezbyt przyjemnie traktowali jeńców. - Georgescu uśmiechnął się diabolicznie. - Wbiegła na wieżę, najprawdopodobniej właśnie tę, i rzuciła się z jej wierzchołka. Dracula oczywiście uciekł podziemnym pasażem. Do dziś ten odcinek rzeki nazywany jest Riul Doamnei, co znaczy Rzeka Księżniczki".

Po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. Za dnia widziałem to urwisko. Od rzeki dzieliła je niewyobrażalna odległość.

„ Czy Dracula miał z nią dzieci? " - zapytałem.

„ Oczywiście. Miał syna o imieniu Mihnea noszącego przydomek Zły, który rządził Wołoszczyzną na początku szesnastego wieku. Ten był chyba nawet gorszy od ojca. Zapoczątkował zresztą całą linię Mihneasów i Mirceasów, z których każdy był gorszy od poprzedniego. Dracula ożenił się ponownie, tym razem z Węgierką, krewną Macieja Korwina, króla Węgier. Pozostawili po sobie wielu Draculów".

„ Czy na Wołoszczyźnie lub w Transylwanii żyją jeszcze jacyś ich potomkowie? "

„Nie sądzę. Gdyby tacy istnieli, na pewno wpadłbym na ich ślad. - Oderwał kawałek chleba i podał mi go. - Druga linia tego rodu posiadała ziemie w rejonie Szekleru i jej przedstawiciele bardzo szybko wymieszali się z Węgrami. Ostatni z ich wżenił się w arystokratyczny ród Getzich, ale i o nim słuch szybko zaginal".

Między jednym kęsem a drugim zapisywałem w notatniku jego opowieść, choć nie sądziłem, by pomogła mi w poszukiwaniach grobowca.

wypatrywali tureckich watah najeżdżających krainę. Na głównym dziedzińcu znajdowała się niegdyś studnia oraz - wedle legendy - sekretne wejście do podziemnego pasażu prowadzącego do pieczary znajdującej się nieopodal Argesu. Tamteży właśnie w roku tysiąc czterysta sześćdziesiątym drugim wymknął się Turkom Dracula po prawie pięcioletnim władaniu zamkiem. Najwyraźniej nigdy już do warowni nie wrócił. Georgescu sądził, że w sklepionej piwnicy w jednym z rogów dziedzińca mieściła się kiedyś zamkowa kaplica. W ścianach wyniosłych wież ptaki wily swe gniazda, spod nóg uciekały nam jaszczurki i inne drobne zwierzęta. Byłem pewien, że niebawem natura bez reszty przejmie to miejsce dla siebie.

Kiedy skończyliśmy obchód zamku, słońce dotykało majaczących na horyzoncie wzgórz. Cienie skał, drzew i wież znacznie się wydłużyły, powoli nadciągał zmierzch.

„Możemy wrócić do wioski - odezwał się zamyślonym głosem Georgescu. - Ale w takim razie, skoro mamy dokładnie zbadać ruiny, jutro znów będziemy musieli tutaj przybyć. Zostańmy zatem tu na noc”.

Osobiście woląłem spędzić noc w wiosce, ale rozsądek Georgescu i widok jego notatnika przeważały. Zebraliśmy suche drewno i niebawem na starodawnych płytach dziedzińca zapłonęło wesoło ognisko, podsycane jeszcze suchym mchem. Widok ognia najwyraźniej ożywił rumuńskiego archeologa. Pogwizdując radośnie pod nosem, dokładał do paleniska drew. Zbudował ruszt i zawiesił wyjęty z plecaka kociołek. Z zadowoleniem spoglądał na ognisko, nad którym warzyło się nasze jedzenie. Kiedy zaczął kroić chleb, bardziej przypominał Cygana niż Szkota.

Zanim kolacja była gotowa, słońce schowało się za horyzont. Ruiny zamku pograżyły się w mroku i tylko na tle rozgwieżdżonego nieba majaczyły szkielety wież. Jakież ptaki... sowy? A może nietoperze?... z łopotem skrzydeł wlatywały i wylatywały z czarnych oczodołów ruin, z których przed łąty strzały obrońców zamku raziły tureckich najeźdźców. Rozłożyłem materac obok ogniska. Jedzenie było przepyszne. Podczas kolacji rozmawialiśmy o historii zamku.

„Z tym miejscem wiąże się jedna z najsmutniejszych opowieści o Draculi. Czy słyszał pan o jego pierwszej żonie?”

Potrząsnąłem głową.

„Okoliczni chłopci opowiadają historię, która jest zapewne prawdziwa. Wiemy, że jesienią tysiąc czterysta sześćdziesiątego drugiego roku

Dracula uciekł z tego zamku i nie wrócił tu nawet wówczas, gdy ponownie odzyskał tron Wołoszczyzny w tysiąc czterysta siedemdziesiątym szóstym roku, tuż przed swoją śmiercią. Ludowe pieśni głoszą, że Turcy ostrzelali zamek z armat ustawionych po drugiej stronie rzeki, a kiedy nic to im nie dało, ich dowódca nakazał następnego dnia przypuścić na fortecę generalny atak".

Georgescu umilkł na chwilę i dorzucił do ognia drew. W blasku ognia na jego smagłej twarzy zatańczyły cienie, rozbłyły złote zęby, a dwa loki jego kędzierzawych włosów do złudzenia przypominały rogi.

„ W nocy pewien turecki niewolnik, daleki krewny Draculi, wystrzelił

z łuku strzałę z wiadomością, że Dracula i jego rodzina powinni uciekać z zamku, by nie wpaść w ręce Turków. Niewolnik widział, jak żona Draculi czyta przy świecy przesłanie. Pieśni wieśniaków utrzymują, iż małżonka hospodara świadczyła, iż prędzej zjedzą ją ryby w Argesie, niż dostanie się w ręce Turków. Jak sam pan wie, Turcy niezbyt przyjemnie traktowali jeńców. — Georgescu uśmiechnął się diabolicznie. - Wbiegła na wieżę, najprawdopodobniej właśnie tę, i rzuciła się z jej wierzchołka. Dracula oczywiście uciekł podziemnym pasażem. Do dziś ten odcinek rzeki nazywany jest Riul Doamnei, co znaczy Rzeka Księżniczki".

Po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. Za dnia widziałem to urwisko. Od rzeki dzieliła je niewyobrażalna odległość.

„ Czy Dracula miał z nią dzieci? " - zapytałem.

„ Oczywiście. Miał syna o imieniu Mihnea noszącego przydomek Zły, który rządził Wołoszczyzną na początku szesnastego wieku. Ten był chyba nawet gorszy od ojca. Zapoczątkował zresztą całą linię Mihneasów i Mirceasów, z których każdy był gorszy od poprzedniego. Dracula ożenił się ponownie, tym razem z Węgierką, krewną Macieja Korwina, króla Węgier. Pozostawili po sobie wielu Draculów".

„ Czy na Wołoszczyźnie lub w Transylwanii żyją jeszcze jacyś ich potomkowie? "

„Nie sądzę. Gdyby tacy istnieli, na pewno wpadłbym na ich ślad. - Oderwał kawałek chleba i podał mi go. - Druga linia tego rodu posiadała ziemie w rejonie Szekleru i jej przedstawiciele bardzo szybko wymieszali się z Węgrami. Ostatni z ich wżenił się w arystokratyczny ród Getzich, ale i o nim słuch szybko zaginął".

Między jednym kęsem a drugim zapisywałem w notatniku jego opowieść, choć nie sądziłem, by pomogła mi w poszukiwaniach grobowca.

Zadalem ostatnie pytanie, choć pośród otaczającego nas mroku uczynilem to bardzo niechętnie.

„A czy możliwe jest, że ciało Draculi, by chronić je przed zbezczeszczeniem, przeniesiono ze Snagov właśnie tu? ”

Georgescu zachichotał.

„ Wciąż żywisz nadzieję, przyjacielu ze Snagav. Ale zapamiętaj sobie moje słowa. Tutaj również znajdowała się kaplica. Pod ziemią. Prowadziły do niej schody. Przed laty, kiedy przybyłem tu po raz pierwszy, rozpocząłem wykopaliska. — Przesłał mi szeroki uśmiech. — Mieszkańcy wioski nie odzywali się do mnie przez kilka tygodni. Ale krypta grobowa była pusta... ani jednej kosteczki”.

Zaczął ziewać. Zgromadziliśmy więc przy ognisku nasz dobytek i rozłożyliśmy materace. Noc była bardzo zimna, więc cieszyłem się, że zabrałem ze sobą ciepłą odzież. Spoglądałem w gwiazdy, które lśniły cudownie nad urwiskiem, i wsłuchiwałem się w pochrapywanie Georgescu.

W końcu zapadłem w drzemkę. Kiedy ponownie otworzyłem oczy, ognisko prawie się dopalało, a majaczące na tle nieba wierzchołki gór spowijała mgła. Zadrzałem z zimna i zamierzałem właśnie dorzucić do ognia dREW, gdy w pobliżu dosłyszałem dziwny szelest, który zmroził mi krew. W ruinach nie byliśmy sami, a coś, co dotrzymywało nam towarzysztwa, czaiło się bardzo blisko. Powoli podniosłem się z ziemi. Chciałem obudzić Georgescu, który w swoim cygańskim saku z naczyniami kuchennymi z całą pewnością miał jakąś broń. Panowała martwa cisza, lecz nie wytrzymałem napięcia. Wsunąłem w ognisko jedną z gałęzi, a kiedy jej koniec zapłonął jasnym ogniem, ostrożnie uniosłem pochodnię nad głowę.

Nieoczekiwanie w zaroślach porastających ruiny kaplicy, w blasku ognia, zaślniły czerwone ślepia. Przyjacielu, ze zgrozy włosy zjeżyły mi się na głowie. Oczy zbliżyły się, lecz trudno powiedzieć jak blisko. Przez długą chwilę mierzyły mnie spojrzeniem, a ja w irracjonalny sposób zdałem sobie sprawę z tego, że istota ta dobrze wie, kim jestem, i w tej chwili mnie ocenia. Wtedy też bestia zaczęła pełznąć z szelestem i częściami wynurzyła się z mroku, rozejrzała się w prawo i w lewo, po czym ponownie zniknęła w ciemnościach. Był to wilk o zdumiewających rozmiarach. W blasku dogasającego ogniska dostrzegłem jego kosmate futro i potężny łeb. Zwierzę ruszyło w stronę ruin i po sekundzie zniknęło mi z oczu.

Leżałem na materacu bez ruchu. Teraz, kiedy już niebezpieczeństwo minęło, nie chciałem budzić swego kompana. Ale wciąż miałem w pamięci przenikliwy, ostry wzrok bestii, która najwyraźniej mnie знаła. Wreszcie chyba zmorzył mnie sen, lecz ciągle dochodził mnie odległy zew z pograżonych w ciemnościach lasów. W końcu przebudziłem się na tyle, że wygrzebałem się z postania i popelznąłem przez porośnięty zaroślami dziedziniec, by zerknąć poza mur warowni. Poda mną rozciągała się niezmiernie przepaść, dzieląca mnie od Argesu, ale po lewej stronie stok wyplaszczal się. Z dołu dobiegał gwar czyichś głosów. Mrok rozświetlala poświata obozowych ognisk. Przyszło mi do głowy, że w lesie Cyganie rozbili obóz. Postanowiłem rano zapytać o to Georgescu, ale ten nieoczekiwanie pojawił się obok mnie, przecierając zaspane oczy.

„ Coś nie tak? ” - zapytał, zerkając za mur.

„ Czy to cygański obóz? ”

Wskazałem poświatę bijącą spośród drzew. Georgescu parsknął śmiechem.

„Ależ skąd. Jesteśmy zbyt daleko od cywilizacji. - Ziewnął szeroko i nagle w zaspanych oczach pojawił mu się wyraz czujności. - To dziwne. Zbadajmy to bliżej ”.

Wcale mi się ten pomysł nie podobał. Ale nałożyliśmy buty i ruszyliśmy bezszelestnie ścieżką w dół. Hałas narastał, wznosił się i opadał w pełnej grozy kadencji. To nie wilki -pomyślałem - ale ludzie. Staralem się ze wszystkich sił nie nadepnąć na żadną suchą gałązkę. Zauważyłem, że Georgescu sięgnął za pazuchę... Ma broń -pomyślałem z zadowoleniem. Niebawem ujrzelśmy płonące między drzewami ognisko. Archeolog gestem wskazał mi, bym położył się obok niego w krzakach.

Na polanie tłoczyła się zdumiewająca liczba mężczyzn. Dwoma pierścieniami otaczali płonące ognisko i zawodzili pieśń. Pierwszy rząd, zapewne najważniejszy, znajdował się najbliżej ognia i kiedy pienia osiągały szczytowe natężenie, stojący w tym pierścieniu ludzie unosili prawe ramiona w geście pozdrowienia, a każdy z uczestników kładł rękę na plecach najbliższego towarzysza. Twarze tych mężczyzn, dziwnie pomarańczowe w blasku ogniska, były spięte i nieruchome, oczy lśniły. Mieli na sobie dziwaczne mundury: ciemne kurtki, a pod nimi zielone koszule i czarne krawaty.

„Cóż to, na Boga jest? - zapytałem szeptem Georgescu. - Co mówią? ”

„ O Ojczyźnie - odszepnął. - Nic nie gadaj i nie ruszaj się. Inaczej zginiesz. Sądzę, że jest to Legion Archaniola Michała ”.

„A co to takiego?”

Prawie bezszelestnie poruszałem wargami. Trudno było wyobrazić sobie coś bardziej anielskiego niż owe zakrzepłe w kamiennym wyrazie oblicza i wyciągnięte wysoko pod niebiosą ramiona. Georgescu skinął na mnie i odpelzliśmy z powrotem do lasu. Ale w chwili kiedy ruszałem za mým kompanem, ujrzałem ku swemu zdumieniu po drugiej stronie oświetlonej ogniskiem polany wysoką, barczystą postać otuloną opończę. W blasku płomieni mignęły mi jego czarne włosy i mroczne, ziemiste oblicze. Stał za drugim rzędem nieprzybranych w mundury ludzi. Na jego twarzy malował się wyraz niebywalej uciechy, prawie się śmiał. Po chwili zniknął mi z oczu, a Georgescu pociągnął mnie gwałtownie za ramię i odciągnął w krzaki.

Kiedy już znaleźliśmy się bezpiecznie w ruinach - dziwne, że tam dopiero poczułem bezpieczeństwo - Georgescu usiadł przy ognisku i z wyraźną ulgą zapalił fajkę.

„ Wielki Boże, człowieku, to mógł być nasz koniec ”.

„Kim byli ci ludzie? ”

„Kryminalistami - odparł krótko. - Nazywają ich Żelazną Gwardią. Grasują po wioskach w tej części kraju, wybierają młodzież i uczą jej nienawiści. Zwłaszcza nienawidzą Żydów i chcą oczyścić z nich świat. - Zaciągnął się mocno fajką. -My, Cyganie, wiemy, że wymordowano wielu Żydów, podobnie jak Cyganów. A przy okazji wielu innych ludzi”.

Opisałem mu postać, jaką zobaczyłem za kręgiem osób otaczających ognisko.

„Doprawdy - mruknął Georgescu. - Potrafią przyciągać do siebie ludzi. Niebawem wszyscy pasterze w okolicy do nich przystaną ”.

Trochę czasu zajęło nam ponowne ułożenie się do snu. Georgescu zapewniał, że Legion, gdy już zacznie swoje rytuały, nie grasuje po okolicy. W nocy dręczyły mnie niespokojne sny, a kiedy się obudziłem, z radością powitałem świt w tym orlim gnieździe. Wokół panował spokój, okolicę spowijała lekka mgła, a powietrza nie mącił najmniejszy podmuch wiatru. Kiedy już rozjaśniło się na dobre, ruszyłem ostrożnie w stronę ruin kaplicy, poszukując tropów wilka. Powinny być głębokie i wyraźne. Zdziwiło mnie tylko, że dostrzegłem ślady wilka wychodzącego z krypty i kaplicy, ale bez tropów świadczących o tym, iż wchodził tam wcześniej.

Może zresztą w gęstych krzakach po prostu ich nie zobaczyłem. Problem ten dręczył mnie aż do śniadania. Później zrobiłem szkice okolicy i zeszliśmy z gór.

...później... muszę kończyć... ale przesyłam Ci najgorętsze pozdrowienia z dalekiej krainy...

Rossi

47

Drogi Przyjacielu!

Nie wiem, co pomyślisz o tej dziwacznej, jednostronnej korespondencji, kiedy moje listy wreszcie do Ciebie dotrą, ale czuję się w obowiązku ciągnąć ją dalej, choćby tylko po to, by robić notatki dla samego siebie. Wczoraj o zmierzchu wróciliśmy do wioski nad Argesem, z której wyruszyliśmy na wyprawę do fortecy Draculi. Georgescu natychmiast wyjechał do Snagou Pożegnaliśmy się bardzo serdecznie. Poklepał mnie po ramieniu i wyraził nadzieję, że jeszcze się spotkamy. Był cudownym przewodnikiem i bardzo mi go brakuje. Przez chwilę miałem wyrzuty sumienia, że nie opowiedziałem mu o wszystkim, czego doświadczyłem w Stambule, ale wciąż nie jestem w stanie przerwać swojego milczenia na ten temat. Myślę, że i tak by mi nie uwierzył. Zmarnowałbym tylko czas na próżne przekonywanie go. Oczyma wyobraźni widzę jego sceptyczny uśmiech naukowca, a w uszach mam śmiech, jakim kwituje moją fantastyczną opowieść.

Nalegał, żebym wrócił z nim przynajmniej do Tirgoviste, ale ja postanowiłem zostać w wiosce jeszcze kilka dni. Chciałem odwiedzić kilka okolicznych kościołów i monasterów, by lepiej poznać dzieje krainy, w której Dracula wznosił fortecę. Taki w każdym razie powód podałem Georgescu, a ten wskazał mi kilka miejsc, gdzie z całą pewnością był za swego życia Dracula. Ale tak naprawdę, drogi mój Przyjacielu, kierowała mną pewność, że nigdy ponownie nie trafię w takie miejsce, jakże odległe od zakresu moich badań, a jednocześnie o tak oszalamiającej urodzie. Wykorzystując ostatnie chwile swobody przed oczekującymi mnie obowiązkami w Grecji, dużo czasu spędzałem w miejscowej gospodzie, doskonaląc mój rumuński. Rozmawiałem ze starymi mieszkańcami wioski

o krążących w okolicy legendach. Dzisiaj udałem się na spacer w otaczające wioskę lasy i w sporej odległości od osady natknąłem się na osobliwe sanktuarium wzniesione między drzewami. Zbudowane ze starodawnych kamieni i nakryte strzechą, pochodziło zapewne z okresu znacznie wcześniejszego niż czasy, kiedy okolicznymi traktami galopowały wojska Draculi. Złożone na ołtarzu kwiaty nie do końca jeszcze zwiędły, a pod krzyżem widniała kałuża wosku z wypalanej świecy.

W drodze powrotnej natknąłem się na równie niespodziewany widok - na młodziutką dziewczynę, która stałą nieruchomo pośrodku ścieżki. Miała na sobie wieśniaczy strój, żywcem przeniesiony ze średniowiecza. Kiedy stała tak bez ruchu, zagadnąłem ją, a ona, ku memu zdumieniu, pokazała mi jakąś monetę. Pieniązek był stary, średniowieczny. Z jednej strony widniał na nim wizerunek smoka. Choć nie miałem na to dowodów, byłem pewien, że wybity został dla Zakonu Smoka. Dziewczyna oczywiście mówiła tylko po rumuńsku, ale z rozmowy na migi wywnioskowałem, że dostała go od starej kobiety, która mieszkała w górskiej wiosce leżącej nieopodal zamku Vlada. Powiedziała mi też, iż jej rodzina nosi nazwisko Getzi, choć najwyraźniej nie miała zielonego pojęcia, jak wielkie ma to znaczenie. Możesz sobie wyobrazić moje zdumienie - zupełnie jakbym stanął oko w oko z potomkinią Vlady Draculi. Myśl ta była zarówno zdumiewająca, jak i kompletnie wytrącająca z równowagi (aczkolwiek nieskazitelnie czyste rysy twarzy dziewczyny i jej pełne wdzięku zachowanie nie przywoływały na myśl żadnych potworności czy okrucieństwa). Próbowałem oddać dziewczynie monetę, ale ona z uporem nie chciała jej ode mnie z powrotem przyjąć. Umówiliśmy się na spotkanie następnego dnia. Musiałem skopiować dokładnie pieniążek i przestudiować słowniki, by dokładniej wypytać ją o jej rodzinę i korzenie.

Drogi Przyjacielu!

Dzisiejszego wieczoru poczyniłem pewien postęp w porozumiewaniu się z dziewczyną, o której Ci wspominałem. Naprawdę nosi nazwisko Getzi i wymawia je tak samo, jak w miejscowej gwarze zapisał mi w moim notesie Georgescu. Byłem zdumiony, że bardzo szybko nauczyła się rozmowy ze mną, wertując mój słownik, aby przetłumaczyć niezrozumiałe dla nas słowa. Z przyjemnością obserwowałem wyraz jej twarzy, kiedy

pojmwala coraz to lepiej nowe slowa. Miala zdumiewajacy talent do poznawania obcych jezykow, potrzebowała tylko dobrego nauczyciela.

Zadziwil mnie fenomen jej inteligencji, ukrytej w tak odleglym i w gruncie rzeczy prostackim miejscu. A może stanowi to dowód na to, że pochodzi ze szlachetnego, wykształconego i pełnego polotu rodu. Rodzina jej ojca mieszkała w wiosce od niepamiętnych czasów, ale z tego, co rozumiałem, niektórzy członkowie tego rodu mają swe korzenie na Węgrzech. Mówiła, że jej ojciec mocno wierzy w to, iż jest potomkiem księcia, władcy zamku Arges, oraz w zakopany w ruinach warowni skarb. Z trudem, ale rozumiałem, że mieszkańcy wioski są przekonani, iż w pewien święty dzień nadnaturalne światło pada na zakopany skarb, ale nikt nie jest na tyle odważny, żeby tego właśnie dnia odwiedzić ruiny. Zdolności dziewczyny, tak bardzo wykraczające poza środowisko, w jakim wzrosła, przypominały mi Tessę D 'Urberville, prostą dójkę o szlacheckim rodowodzie z przepięknej powieści Hardy 'ego. Wiem, Przyjacielu, że nie interesujesz się dziewiętnastym wiekiem, ale w ubiegłym roku ponownie przeczytałem tę powieść i polecam Ci jej lekturę, abys choć na chwilę oderwał się od obowiązków. A swoją drogą uważam, że nie ma tam żadnego ukrytego skarbu. W przeciwnym razie Georgescu dawno by już go wykopał.

Opowiedziała mi też zaskakującą historię. Otóż zawsze jedną osobę z jej rodziny znaczone niewielkim tatuażem smoka. To właśnie, jak też jej nazwisko i opowieść ojca dziewczyny, przekonało mnie, że jej przodkowie w bezpośredniej linii pochodzą od członka Zakonu Smoka. Chciałem porozmawiać z ojcem dziewczyny, lecz widząc jej reakcję, poczułem się jak ostatni łobuz. Ta kultura jest bardzo tradycyjna, aż do przesady, i bałem się narażać reputację dziewczyny na szwank - i tak podjęła wielkie ryzyko, spotykając się ze mną w samotności, za co jestem jej niewymownie wdzięczny.

A teraz udam się na krótki spacer do lasu. Tyle myśli kłębi mi się w głowie, że czuję potrzebę, aby je uporządkować.

Mój drogi Przyjacielu, jedyny Następco!

Minęły dwa dni i nie wiem, jak Ci napisać o tym, co się podczas nich wydarzyło. Owe dwa dni całkowicie odmieniły moje życie. Napelniły mnie zarówno nadzieją, jak i przerażeniem. Podejrzewam, iż przekro-

czyłem Unię dzielącą mnie od innego życia. Nie mogę ci wyjaśnić, co to dokładnie znaczy. Stałem się człowiekiem zarówno bardzo szczęśliwym, jak i też bardzo zaniepokojonym.

Kiedy pisałem do Ciebie po raz ostatni, dwie noce wcześniej, ponownie spotkałem ową anielską dziewczynę, o której Ci wspominałem. Doszło między nami do gorących pocałunków. Później uciekła, a ja spędziłem bezsenną noc. Rankiem opuściłem kwaterę w wiosce i włóczyłem się po okolicznych lasach. Łaziłem bez celu, przysiadalem tu i ówdzie na zwalonych drzewach lub skalach i widziałem jej twarz. Myślałem o tym, by opuścić jak najszybciej wioskę, zanim nie zhańbię dziewczyny.

Tak upłynął mi cały dzień. W południe wróciłem do wioski na obiad. Obawiałem się naszego spotkania, a jednocześnie bardzo na nie liczyłem. Pod wieczór udałem się na miejsce naszych spotkań. Postanowiłem, że jeśli się tam pojawi, przeproszę ją za wszystko i nie będę się jej więcej narzucać. Ona jednak nie przychodziła do lasu, więc straciłem nadzieję na to, że ją jeszcze zobaczę. Doszedłem do wniosku, iż czymś ją obraziłem, i zdecydowałem, że następnego dnia na zawsze opuszczę wioskę. Miałem właśnie wracać do domu, kiedy między drzewami mignęła mi jej sylwetka. Miała na sobie obszerną suknię i czarną kamizelę. Czarne, zaplecione w długi warkocz włosy dziewczyny lśniły niczym polerowany mahoń. Gdy na mnie popatrzyła, jej oczy były mroczne, malował się w nich strach, a jednocześnie wyraz jakiejś naturalnej, pierwotnej inteligencji.

Otworzyłem usta, żeby coś powiedzieć, ale ona po prostu rzuciła mi się w ramiona. Ku memu zdumieniu oddała mi się bez reszty i sprawy wymknęły mi się z rąk. Rozumieliśmy się bez słów - choć do dziś nie znam języka, który nas połączył - a w jej czarnych oczach skrytych pod długimi rzęsami wyczytałem swoją przyszłość.

Kiedy odeszła, roztrzęsiony miotającymi mnie uczuciami, długo zastanawiałem się, co właściwie zaszło... co zrobiłem... co zrobiliśmy... Ale szczęście spełnienia odbierało mi trzeźwość myślenia. Dzisiaj, wbrew samemu sobie, znów na nią czekałem. Moja istota, tak różna od niej, a jednocześnie tak do niej podobna, kazała mi się z nią znów połączyć.

*Drogi Przyjacielu (jeśli wciąż jesteś Tym, do którego piszę)!
Ostatnie cztery dni przeżyłem jak w raju, a moje uczucia do anioła,
który mną kierował, były właśnie miłością. Nigdy dotąd nie darzyłem ta-*

kim uczuciem kobiety pochodzącej z tak obcego miejsca. Miałem cztery dni, by rozważyć ten problem z każdego punktu widzenia. Sama myśl, że opuszczę dziewczynę i nigdy już więcej nie zobaczę, była nie do zniesienia. Z drugiej strony bałem się wyrwać ją w okrutny sposób z rodzinnego domu i zabrać do Oksfordu. Ale to rozwiązanie wydawało mi się jedynym. Pozostawienie jej po tym, co mi zaoferowała i dała, rozdarłoby nasze serca, a z mojej strony stałoby się zwykłym tchórzostwem, draństwem i nikczemnością.

Postanowiłem poślubić ją jak najprędzej. Nasze wspólne życie nie byłoby proste, miałem jednak pewność, że jej wrodzony wdzięk i prostota pozwoliłyby pokonać wszelkie przeszkody, jakie napotkalibyśmy na naszej drodze. Nie mogłem zostawić dziewczyny i do końca życia zastanawiać się, jaki spotkał ją los. Zdecydowałem zatem, że wieczorem poproszę ją o rękę. Wrócę za miesiąc z Grecji, gdzie od współpracowników pożyczę pieniądze, by opłacić się jej ojcu. Ale wcześniej musiałem dołączyć do grupy prowadzącej wykopaliska (zostałem tam honorowo zaproszony) nieopodal Knossos, gdzie odkryto grobowiec jakiegoś szlachcica. Moja przyszła kariera była ściśle związana z naukowcami, którzy tam pracowali, a musiałem przecież zabezpieczyć nam byt.

Później zamierzałem po nią wrócić, choć czterotygodniowa rozłąka wydawała mi się niesamowicie długa. Chciałem wziąć ślub w Snagov, aby naszym świadkiem był Georgescu. Oczywiście, gdyby rodzice dziewczyny nastawali, gotowy byłem ożenić się z nią w jej rodzinnej wiosce. Ale tak czy owak, opuściłaby Rumunię jako moja żona. Zamierzałem zawiadomić telegraficznie o wszystkim swoich rodziców i po powrocie do Anglii natychmiast do nich pojechać. A do Ciebie, drogi Przyjacielu, jeśli czytasz ten list, mam prośbę, żebyś dyskretnie rozejrzał się za jakimś mieszkaniem poza uczelnią... cena, oczywiście, jest bardzo istotna. Muszę też posłać ją do szkoły. Z całą pewnością okaże się celującą uczennicą. Zapewne już jesienią, mój Przyjacielu, zasiądziesz w naszym domu przy kominku, a wtedy w pełni zrozumiesz przyczynę mojej wariackiej decyzji. Ale teraz jesteś jedyną osobą, do której mogę się zwrócić, i modłę się, byś okazał mi serdeczność i wielkoduszność.

Twój przepelniony radością i niepokojem
Rossi

48

„Był to ostatni list Rossiego, zapewne kolejnego nie napisał już do swojego przyjaciela. Siedząc w autobusie, zmierzającym do Budapesztu, złożyłem dokładnie papiery i ująłem na chwilę dłoń Helen.

»Helen - powiedziałem z wahaniem przekonany, że w końcu ktoś musi powiedzieć jej to na głos. - Jesteś bezpośrednią potomkinią Vlada Draculi«.

Popatrzyła na mnie, a następnie przeniosła wzrok na krajobraz rozciągający się za oknem autobusu. Odniosłem wrażenie, że sama nie wie, co ma o tym sądzić, ale na samą tę myśl zagotowała się w niej krew".

„Kiedy w Budapeszcie wysiadaliśmy z autobusu, zapadał zmierzch. Ze zdumieniem skonstatowałem, że jest to wciąż ten sam dzień. Odniosłem wrażenie, że od tamtej chwili upłynęło kilka lat. Listy Rossiego spoczywały bezpiecznie w mojej teczce, a ich treść wypełniała mi głowę niesamowitymi wyobrażeniami. Wzrok Helen najwyraźniej odbijał moje odczucia. Ujęła mą dłoń drżącą ręką, jakby rewelacje tego dnia całkowicie zburzyły jej pewność siebie. Zapragnąłem ją objąć, pocałować na środku ulicy i zapewnić, że nigdy jej nie opuszczę, tak jak Rossi nie powinien opuszczać matki Helen. Zapanowałem jednak nad swymi uczuciami i tylko mocniej przycisnąłem jej wsuniętą pod moje ramię rękę. Ruszyliśmy zgodnie w stronę hotelu.

Kiedy wkroczyliśmy do hotelowego holu, znów odniosłem dziwaczne wrażenie, że byliśmy tu dawno temu, a owo nieprzyjemne, obce miejsce nieoczekiwanie, zaledwie w ciągu kilku dni, stało się prawie moim domem. W recepcji czekał na nas list od ciotki, który Helen natychmiast przeczytała.

»Tak też myślałam - mruknęła. - Zaprasza nas dzisiejszego wieczoru na pożegnalną kolację w hotelowej restauracji«.

»Czy jej powiesz?«

»O listach? Chyba tak. Evie zawsze, wcześniej czy później, o wszystkim mówiłam«.

Mieliśmy niewiele czasu, by się wykąpać i przebrać do kolacji. Szybko ogoliłem się nad wymyślną umywalką i zmieniłem koszulę. Kiedy odświeżony zszedłem do holu, Helen jeszcze nie było, ale Eva już czekała. Stała odwrócona do mnie plecami i wyglądała przez okno na

pograżającą się w wieczornym mroku ulicę. Nie miała w sobie nic ze swojej przerażającej, oficjalnej czujności i spięcia. Przybrana w eleganci, ciemnozielony kostium, stała lekko przygarbiona przed szybą. Zanim zdecydowałem się przerwać jej zadumę, odwróciła się gwałtownie w moją stronę. Na jej twarzy malowała się wielka troska, która jednak natychmiast przeszła w promienny uśmiech. Szybko do mnie podeszła,

a ja pocałowałem ją w dłoń. Nie wymieniliśmy słowa, jakbyśmy byli przyjaciółmi, którzy nie widzieli się od miesiący albo od lat.

W tej samej chwili, ku *me*) uldze, pojawiła się Helen, która przy stole nakrytym błyszczącym obrusem i zastawionym paskudną porcelaną pełniła rolę tłumaczki. Jak poprzednim razem zamówienie złożyła jej ciotka. Wyczerpany przejściami dnia rozsiadłem się na krześle, podczas gdy one o czymś wesoło gwarzyły. Niebawem jednak twarz Evy się nachmurzyła. Kobieta ze zmarszczonym czołem zaczęła obracać między kciukiem a palcem wskazującym widelec i szeptać coś do ucha siostrzenicy. Helen również zmarszczyła brwi.

»Czy coś nie tak?« - zapytałem z niepokojem. Dosyć miałem już sekretów i tajemnic.

»Ciotka ma dla nas pewną wiadomość - wyjaśniła szeptem Helen, choć inni goście w lokalu z całą pewnością nie znali angielskiego. - Bardzo niedobrą«.

»Jaką?«

Eva skinęła głową i znów zaczęła coś mówić cichym, bardzo spokojnym głosem. Helen jeszcze bardziej się zasępiła.

»Fatalnie - szepnęła Helen. - Ciocię wzięli na przesłuchanie. Na przesłuchanie o tobie... o nas. Dziś po południu złożył jej wizytę tajniak, którego zresztą dobrze zna od wielu lat. Bardzo się krygował, mówił, że to rutynowe przesłuchanie, wypytywał o twoją obecność na Węgrzech oraz o nasz... o nasz związek. Ciotka jest bardzo w takich sprawach cwana i sama zaczęła go wypytywać. Wyznał, że wiąże się to ze sprawą... jak to powiedzieć?... ze sprawą Józsefa Gezy«.

- Zniżyła głos do prawie niesłyszalnego szeptu.

»Gezy?« - zapytałem z najwyższym zdumieniem.

»Mówiłam ci, że jest bardzo niebezpieczny. Próbował już podpytywać mnie podczas konferencji, ale go zbyłam. Zdenerwowało go to bardziej, niż sądziłam. - Na chwilę umilkła. - Ciotka mówi, że należy do bezpieczeństwa i może nam z jego strony grozić poważne niebezpieczeństwo.

Oni nie lubią liberalnych reform obecnego rządu. Tęsknią za dawnymi czasami«.

Jakiś osobliwy ton w jej głosie skłonił mnie do pytania:

»Wiedziałaś o tym wcześniej? Kim naprawdę jest?«

Skruszona skinęła głową.

»Powiem ci o tym później«.

Tak naprawdę wcale nie chciałem tego wiedzieć, ale świadomość, że tropi nas ten wysportowany przystojniak, zaczęła działać mi na nerwy.

»A czego od nas chce?«

»Uważa, że sprowadziła cię do tego kraju nie tylko historia. Sądzi, że szukasz czegoś innego«.

»I ma rację« - odrzekłem cicho.

»Ale on za wszelką cenę chce dowiedzieć się, o co ci dokładnie chodzi. Jestem przekonana, że wie, gdzie spędziłeś dzisiejszy dzień... mam tylko nadzieję, że nie dobiórą się do matki. Ciotka zwodziła go jak mogła, ale wciąż się bok.

»Czy wie, czego... kogo... szukam?«

Helen długo milczała. Kiedy uniosła twarz, w jej oczach malował się wyraz winy.

»Tak. Myślałam, że mogłaby nam w czymś pomóc«.

»Ico?«

»Oświadczyła, że koniecznie musimy jutro wyjechać. I przy odprawie na lotnisku nie rozmawiać z nikim obcym«.

»Naturalnie - odrzekłem kpiąco. - Zapewne Geza będzie chciał podyskutować tam z nami o dokumentach dotyczących Draculi«.

»Proszę, Paul, nie żartuj - szepnęła. - Sprawa jest bardzo poważna. Jeśli kiedykolwiek będę chciała tu wrócić...«

Zamilkłem. Nie miałem najmniejszego zamiaru stroić sobie żartów. Moje słowa świadczyły jedynie, że się zirytowałem. Kelner przyniósł deser - ciastka i kawę. Ciotka Eva z tak macierzyńską troską zachęcała nas do jedzenia, jakby tak ogromna ilość kalorii miała uchronić nas przed złem całego świata. Kiedy jedliśmy, Helen opowiedziała ciotce o listach Rossiego. Eva z powagą pokiwała głową, ale nic nie odrzekła. Gdy skończyliśmy kolację, pochyliła się w moją stronę, a Helen, ze spuszczoneym wzrokiem, tłumaczyła jej słowa.

»Mój drogi, młody człowieku - mówiła, ściskając mi dłoń, tak samo jak uczyniła to wcześniej tego dnia jej siostra. - Nie wiem, czy jeszcze

kiedykolwiek się spotkamy, choć bardzo bym tego chciała. Lecz niezależnie od wszystkiego opiekuj się moją ukochaną siostrzenicą i pozwól, aby ona się o ciebie troszczyła. - Popatrzyła chytrze na Helen, ale dziewczyna udawała, że nie dostrzega tego spojrzenia. - Musicie koniecznie bezpiecznie wrócić do swoich studiów. Helen opowiedziała mi o twojej misji. Jest to bardzo szlachetne przedsięwzięcie, ale jeśli nawet zakończy się ono niepowodzeniem, odjedziesz do domu z przekonaniem, że zrobiłeś wszystko, co w ludzkiej mocy. Wrócisz do swych zajęć i obowiązków. Jesteś młody i masz przed sobą całe życie».

Wytarła usta papierową serwetką i wstała od stołu. W drzwiach hotelu w milczeniu mocno przytuliła do siebie Helen, a mnie pocałowała w oba policzki. Była poważna, ale w oczach nie błysnęła jej ani jedna łza. Dostrzegłem jednak głęboki smutek. Czekala już wytworna limuzyna. Ostatni raz zobaczyłem ją, jak macha do nas przez tylną szybę auta.

Odniosłem wrażenie, że Helen przez dłuższy czas nie potrafiła wykrztusić słowa. Popatrzyła na mnie, ale natychmiast odwróciła twarz. Po chwili jednak najwyraźniej zebrała się w sobie i powiedziała stanowczo:

»Chodźmy, Paul. To nasze ostatnie godziny w Budapeszcie. Jutro z rana musimy być już na lotnisku. Mam ochotę na spacer«.

»Na spacer? A co z tajną policją, która się mną interesuje?«

»Oni chcą wiedzieć, co wiesz, a nie zamordować cię w ciemnej uliczce. Nie bądź taki zadufany - dodała z lekkim uśmiechem. - W takim samym stopniu jak tobą interesują się mną. Poza tym będziemy trzymać się głównych, jasno oświetlonych ulic. Chcę, byś jeszcze raz pochodził ze mną po tym mieście«.

Wiedząc, że jestem w Budapeszcie zapewne po *raz ostatni w życiu*, również miałem na to wielką ochotę. Ruszyliśmy w balsamiczną noc. Skierowaliśmy się nad rzekę. Zgodnie z obietnicą Helen, spacerowaliśmy wzdłuż głównych ulic. Zatrzymała się na chwilę przy wielkim moście, a następnie skierowała kroki na drugą stronę Dunaju. Idąc, w zamyśleniu przeciągała dłonią po balustradzie. Pośrodku olbrzymiej rzeki ponownie przystanęliśmy, podziwiając majestatyczną panoramę Budapesztu rozłożonego po obu stronach Dunaju - miasta, którego o mało co kompletnie nie zniszczyła wojna. W ciemnej tafli wody odbijały się światła metropolii. Helen dłuższą chwilę stała oparta o balustradę, po czym, bardzo niechętnie, zawróciła z powrotem do Pesztu. Zdjęła żakiet i kiedy odwróciła się do mnie plecami, zauważyłem na jej bluzce jakiś postrzępiony kształt.

Był to olbrzymi pająk, który spokojnie tkął na jej plecach nić. Wyraźnie widziałem połyskliwe pasma przędzy. Przypomniałem sobie, że balustradę mostu, po której wodziła ręką, oplatało mnóstwo pajęczyn.

»Helen - szepnąłem. - Coś łazi ci po plecach«.

»Co?« - spytała, zatrzymując się w pół kroku.

»To tylko pająk. Zaraz go zrzucę«.

Przeszły ją ciarki, ale stała spokojnie, dopóki nie strąciłem stworzenia. Muszę przyznać, że i ja poczułem lodowaty dreszcz, gdyż tak wielkiego pająka nigdy jeszcze w życiu nie spotkałem. Był wielkości prawie połowy mojej dłoni. Kiedy spadł na kamienną balustradę mostu z głośnym trzaskiem, dziewczyna wydała głośny okrzyk przerażenia. Nigdy jeszcze nie okazała w mojej obecności oznak strachu.

»Już po wszystkim« - powiedziałem, biorąc ją uspokajająco za rękę.

Ale ona ku memu zdumieniu wydała jeszcze kilka zdławionych westchnień, zanim nad sobą zapanowała. Dziwiło mnie, że kobietę gotową zabijać wampiry tak bardzo przeraził zwykły pająk. Ale ostatecznie miała za sobą długi i pełen wrażeń dzień. I znów mnie zadziwiła. Odwróciła się bowiem w stronę rzeki i oświadczyła cicho:

»Obiecałam opowiedzieć ci o Gezie«.

»Nie musisz o niczym mówić« - odrzekłem, starając się ukryć rozdrażnienie.

»Chcę być w stosunku do ciebie całkiem szczerą - powiedziała, oddalając się kilka kroków od miejsca, gdzie spadł pająk, który zapewne i tak znalazł się w Dunaju. - Na studiach przez jakiś czas się w nim podkochiwałam, tak w każdym razie sądziłam, a on w zamian pomógł ciotce załatwić stypendium i paszport, dzięki czemu udało mi się opuścić Węgry«.

Nie spuszczać z niej wzroku, cofnąłem się odruchowo.

»Och, to nie było tak jak myślisz. Wcale nie powiedział mi: Prześpij się ze mną, a będziesz mogła wyjechać do Anglii. Był raczej miły i uprzejmy. A ja wcale mu nie dałam tego, czego oczekiwał. I zanim jeszcze jego osoba straciła w moich oczach całą atrakcyjność, miałam w rękę paszport. Był to mój bilet do wolności na Zachodzie i bynajmniej nie zamierzałam z niego rezygnować. Poza tym dzięki niemu mogłam odszukać ojca. Tak zatem chytrze pogrywałam z Gezą i dopiero gdy nadarzyła mi się sposobność ucieczki do Londynu, zostawiłam mu list, w którym definitywnie z nim zrywałam. Chciałam przynajmniej zachować się w stosunku do niego uczciwie. Musiał być wściekły, ale nigdy do mnie nie napisał«.

»A skąd wiedziałaś, że należy do tajnej policji?«

»Był zbyt próżny, by się tym nie pochwalić. Chciał zrobić na mnie wrażenie. Ale ja mu nie wyjaśniłam, że bardziej mnie przeraził, niż wywarł wrażenie, a odraza, jaką do niego poczułam, była większa od strachu. Snuł opowieści o ludziach, których posyłał do więzienia, na tortury lub zgotowywał im jeszcze gorszy los. Znienawidziłam tego człowieka z całego serca«.

»Nie podoba mi się to, że śledzi każdy mój krok - odparłam. - Cieszę się jednak, iż powiedziałaś mi, co do niego naprawdę czujesz«.

»A co myślałaś? - spytała. - Od pierwszej chwili, kiedy się tu znaleźliśmy, starałam się unikać go jak morowego powietrza«.

»Niemniej wyczułem w tobie bardzo mieszane uczucia, kiedy ujrzałaś go na konferencji - wyznałem. - Pomyślałem sobie, że bardzo go kochałaś lub wciąż jeszcze kochasz... Coś w tym rodzaju«.

»Nie. - Potrząsnęła głową i popatrzyła w ciemny nurt rzeki. - Nigdy nie pokochałabym śledczego... oprawcy... a zapewne i mordercy. Ale gdybym go nawet nie opuściła z tych powodów, odrzuciłabym z całkiem innych. - Zerknęła nieśmiało w moją stronę, lecz wyraźnie unikała mego wzroku. - Może drobnych, ale dla mnie niezwykle istotnych. Nie był miły. Nie wiedział, kiedy powiedzieć coś serdecznego, a kiedy po prostu milczeć. Historia nie obchodziła go nic a nic. Nie miał łagodnych szarych oczu i krzaczastych brwi. Nie podwijał rękawów koszuli. - Popatrzyła mi prosto w oczy z desperacką odwagą. - Mówiąc krótko, cały problem w tym, że nie był i nie jest tobą«.

Niczego nie potrafiłem wyczytać z jej twarzy. Po chwili jednak, jakby wbrew własnej woli, lekko się uśmiechnęła. A uśmiech miała piękny, taki sam, jaki zaobserwowałem u innych kobiet z jej rodziny. Przez chwilę gapiłem się na nią w osłupieniu, po czym wzięłem w ramiona i zacząłem namiętnie całować.

»A co myślałaś? - mruknęła, kiedy na chwilę wypuściłem ją z objąć. - A co myślałaś?«

Staliśmy tak długie minuty, może nawet całą godzinę, kiedy nagle Helen cicho jęknęła i dotknęła dłonią szyi.

»O co chodzi?« - zapytałem szybko.

»Moja rana - wyjaśniła po krótkim wahaniu. - Wprawdzie już się zagoiła, ale czasami, przez chwilę, piekielnie boli. I właśnie pomyślałam... że może nie powinnam cię dotykać?«

Popatrzyliście sobie głęboko w oczy.

»Pozwól mi na nią zerknąć - przerwałem milczenie. - Helen, pozwól mi na nią zerknąć«.

Bez słowa zdjęła apaszkę i w świetle ulicznej latarni zadarła głowę. Na skórze jej umięśnionej szyi ujrzałem dwie purpurowe rany, prawie całkowicie już zasklepione. Na chwilę poczułem ulgę. Po pierwszym ataku nikt jej ponownie nie ugryzł. Pochyliłem się i dotknąłem wargami czerwonych szram.

»Och, Paul, nie rób tego!« - wykrzyknęła, cofając się gwałtownie.

»Nic mnie to nie obchodzi - odpartem. - Sam cię uleczyć. - Popatrzyłem uważnie w jej oczy. - A może mój dotyk sprawił ci ból?«

»Nie, wręcz przeciwnie, ukoił go«.

Osloniła jednak, jakby w obronnym geście, bliźnię dłonią, po czym znów zakryła szyję chustką. Pomyślałem, że jeśli nawet skażenie było niewielkie, muszę obserwować Helen jeszcze baczniej niż dotąd. Sięgnąłem do kieszeni.

»Powinniśmy byli to zrobić znacznie wcześniej. Chcę, żebyś to nosiła«.

Był to jeden z medalików, które zabraliśmy z kościoła Najświętszej Maryi Panny. Zapiąłem go tak, że dyskretnie zwieszał się pod apaszką. Odniosłem wrażenie, że Helen odetchnęła z ulgą, kiedy dotknęła go palcem.

»Wiesz, że nie jestem wierząca, za bardzo zaangażowałam się w naukę, aby...«

»Wiem. Ale w kościele Najświętszej Maryi Panny zachowałeś się inaczej«.

»Najświętszej Maryi Panny?« - zapytała, marszcząc brwi.

»W Stanach, nieopodal uniwersytetu. Wstąpiliśmy do niego, by przeczytać listy Rossiego. Przy wejściu włożyłaś dłoń do święconej wody i skropiłaś nią czoło«.

»Tak, to prawda - przyznała po głębszym namyśle. - Ale nie była to oznaka wiary, lecz tęsknoty za domem«.

Nie dotykając się wzajemnie, ruszyliśmy powoli mostem, a następnie ciemnymi ulicami. Ale wciąż czułem oplatające mą szyję jej ramiona.

»Czy pozwolisz mi wstąpić do swego pokoju?« - zapytałem, kiedy ujrzeliśmy przed sobą hotel.

»Nie tutaj. - Jej wargi wyraźnie zadrżały. - Jesteśmy obserwowani«.

Nie nalegałem. Mimo to byłem rad z niespodzianki, jaka czekała nas

przy ladzie recepcji. Kiedy poprosiłem o klucz do swego pokoju, pełniący dyżur urzędnik wręczył mi kartkę z napisaną po niemiecku wiadomością: telefonował Turgut i chciał koniecznie, abym do niego oddzwonił. Helen czekała w milczeniu, gdy odprawiałem zwyczajowy rytuał błagania o telefon, odpowiednio motywując recepcjonistę - na Węgrzech szybko nauczyłem się nisko schylać, zęby coś osiągnąć - po czym zacząłem beznadziejnie długo wykręcać numer, aż w końcu po drugiej stronie rozległ się sygnał. Usłyszałem tubalny głos Turguta, który natychmiast przeszedł na angielski.

»Paul, kochany! Dzięki bogom, że dzwonicz. Mam dla ciebie wiadomości... bardzo ważne wiadomości!«

Serce podskoczyło mi do gardła.

»Znalazłeś... Mapę? Grobowiec? Rossiego?«

»Nie przyjacielu, nic aż tak cudownego. Przetłumaczyliśmy w końcu znaleziony przez Selima list. To zdumiewający dokument. Napisał go ortodoksyjny mnich w Stambule w roku tysiąc czterysta siedemdziesiątym siódmym... czy słyszysz mnie?«

»Tak, tak! - wrzasnąłem tak głośno, że recepcjonista obrzucił mnie płonąącym wzrokiem, a Helen popatrzyła w moją stronę z niepokojem. - Mów dalej!«

»Ale w dokumencie tym jest o wiele więcej. Sądzę, że musisz podążać tropem tego listu. Wszystko opowiem wam jutro, kiedy wrócicie do Stambułu. Słyszysz?«

»Słyszę! - krzyknąłem. - Ale czy list wspomina coś o tym, że pochowano go w Stambule?«

Helen potrząsnęła głową, a ja natychmiast zrozumiałem jej intencję. Linia z pewnością była na podsłuchu.

»List nic o tym nie mówi - zadudnił w słuchawce głos Turguta. - Nie jestem pewien, gdzie złożono jego zwłoki, ale zapewne nie tutaj. Sądzę, że musicie przygotować się na następną wyprawę. Bardzo przydałaby się wam kolejna dobra ciocia.«

Mimo silnych zakłóceń na linii wyczułem w jego głosie jakieś posepne tony.

»Kolejna wyprawa? Dokąd?«

»Do Bułgarii!« - dobiegł mnie z oddali wrzask Turguta.

Popatrzyłem na Helen. Słuchawka ślizgała mi się w spoconej dłoni.

»Bułgaria?!«

Część trzecia

Spośród grobowców jeden wyróżniał się okazałością i przepychem - ogromny, o szlachetnych proporcjach. Widniało na nim tylko jedno słojuo:

DRACULA

Bram Stoker, *Dracula*, 1897
(w przekł. M. Wydmucha i Ł. Nicpana)

49

Kilka lat temu znalazłam wśród papierów mego ojca list, który nie wiązałby się z tą historią, gdyby nie to, iż stanowi jedyną pamiątkę jego miłości do Helen, nie licząc oczywiście listów kierowanych do mnie. Nie prowadził dzienników, a listy, które pisał do samego siebie, dotyczyły wyłącznie jego pracy - były to rozważania o dyplomacji, o historii, a zwłaszcza o niektórych konfliktach międzynarodowych. Owe osobiste refleksje, streszczenia wykładów oraz artykuły, które wyszły spod jego pióra, znajdują się obecnie w bibliotece założonej przez niego fundacji, a mnie pozostały jedynie te najbardziej osobiste listy, pisane do siebie...

i do Helen. Wiedziałam, że mój ojciec najwyżej cenił sobie fakty i idee, nie poezję, co sprawia, iż dokumenty te są dla mnie tym bardziej ważne. Ponieważ nie jest to książka dla dzieci, staram się, mimo wielu skrupułów natury osobistej, zamieścić w niej tyle dokumentów, ile tylko możliwe. Zapewne napisał wiele innych listów takich jak ten, ale miał zwyczaj niszczenia ich - zapewne palił je w niewielkim ogrodzie naszego domu w Amsterdamie, gdzie jako dziewczynka często znajdowałam w palenisku kamiennego grilla popiół po zwęglonym papierze. Ten list mógł ocaleć przez zwykły przypadek. Nie nosi daty, więc trudno mi dokładnie umiejscowić go w chronologii wydarzeń. Cytuję go jednak, gdyż odnosi się do czasów narodzin ich miłości, a przebijające przez niego ból i rozpacz prowadzą do wniosku, że ojciec napisał go, kiedy Helen nie mogła go już otrzymać.

Och, Moja Najdroższa!

Tak bardzo chcę opowiedzieć Ci o mojej miłości do Ciebie. Myślami wciąż jestem przy Tobie, nieustannie przywodzę w pamięci nasze pierw-

sze, wspólne chwile. Wielokrotnie pytałem sam siebie, dlaczego uczucie do kogoś innego nie może zastąpić mi Twojej obecności, i zawsze wracałem do złudzenia, że wciąż jesteśmy razem... a wtedy — bardzo niechętnie - dochodziłem do wniosku, iż całkowicie zniewoliłaś moją pamięć. W najmniej spodziewanych momentach dopadało mnie wspomnienie Twego wyznania. Znowu czułem w dłoni Twoją dłoń. Nasze splecione ręce kryliśmy pod połą mojej kurtki złożonej między nami na fotelu, czułem delikatność Twoich smukłych palców, widziałem Twój profil, kiedy odwracałaś ode mnie głowę, pamiętałem Twój okrzyk radości, gdy przekroczyliśmy granicę z Bułgarią, kiedy po raz pierwszy przelatywaliśmy nad bułgarskimi górami.

Od czasów gdy byliśmy młodzi, Kochanie, świat ogarnęła rewolucja seksualna, istne bachanalia, i jestem pewien, że nie chciałabyś dożyć chwili, aby ujrzeć to na własne oczy. Teraz, przynajmniej w zachodnim świecie, młodzież zażywa miłości bez skrupowania i zbędnych ceregieli. Ale widząc taką bez troskę i brak wszelkich zahamowań, z największym żalem i sentymentem wspominam krępujące nas ograniczenia i chwile, kiedy mogło już dojść między nami do zbliżenia... oczywiście znacznie później. Ale tych wspomnień nie mam już z kim dzielić: o naszej intymności, choć byliśmy całkowicie ubrani, o sytuacji, która powodowała, że musieliśmy opóźnić tak bardzo wyczekiwaną chwilę pełnego spełnienia, gdy zrzucenie z siebie ubrań stanowiło dla nas palący problem. Z przerażającą klarownością przypominam sobie - i to w chwilach najmniej stosownych — zarówno delikatną skórę Twojej szyi, jak i delikatny kołnierzyk Twojej bluzki, a pod nią rysujące się rozkoszne kształty. Zanim jeszcze po raz pierwszy dotknąłem Twoich perłowych guzików, wielokrotnie zgłębiałem je oczyma wyobraźni. Pamiętam woń pociągu, ostry zapach mydła przesączający kołnierz Twego czarnego żakietu, delikatną szorstkość czarnego, słomkowego kapelusza i jedwabistość Twoich włosów tej samej barwy. Kiedy przed kolejnym ponurym posiłkiem w restauracji odważyliśmy się spędzić razem pół godziny w moim hotelowym pokoju w Sofii, myślałem, że zwariuję z tęsknoty. Powiesiłaś wówczas na poręczy krzesła swój żakiet, a na nim położyłaś bluzkę -powoli i rozmyślnie. Odwróciłaś się potem w moją stronę i nie spuszczałaś ze mnie nieruchomego wzroku. Wtedy ogarnął mnie płomień pożądania. A gdy położyłaś me dłonie na swej talii, każąc im wybierać między gładkością Twojej sukienki i jeszcze gładszą skórą Twoich bioder, myślałem, że wybuchnę płaczem.

Wtedy też zapewne odkryłem na Twojej skórze jedną skazę - jedyne miejsce, którego nigdy nie pocałowałem. Był to niewielki wizerunek smoka z rozpostartymi skrzydłami i skrzyconym ogonem umieszczony na Twojej łopacie. Moje dłonie niejednokrotnie musiały po nim błądzić, zanim zobaczyłem go na własne oczy. Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy ujrzałem ów symbol i z ciekawością, choć bardzo niechętnie, dotknąłem go palcem, ze świstem wciągnąłem w płuca powietrze - Ty zresztą też. Z czasem wizerunek ten stał się dla mnie nieodłącznym punktem topograficznym Twoich pleców, ale w pierwszej chwili trwoga wzięła górę nad pożądaniem. Nieistotne, czy wydarzyło się to w naszym hotelu w Sofii, czy gdzie indziej. Stało się to mniej więcej wtedy, gdy dostrzegłem pierwsze, leciutkie pęknięcia na Twych dolnych, nieskazitelnie równych dotąd zębach oraz delikatne, niczym pajęczna przędza, zmarszczki wokół oczu, mówiące o wieku...

Tu list mego ojca się urywał i mogę jedynie wrócić do innych, adresowanych do mnie tekstów.

50

„Turgut Bora i Selim Aksoy czekali już na nas na stambulskim lotnisku.

»Paul!«

Turgut, najwyraźniej uradowany, wziął mnie w ramiona, ucałował serdecznie w oba policzki i kilka razy grzmotnął po plecach.

»Madame profesor! - Ujął dłoń Helen w obie ręce. - Dzięki Bogu, że jesteście już bezpieczni i wciąż zdrowi na ciele i umyśle. Gratuluję triumfalnego powrotu!«

»Nie nazwałbym go triumfalnym« - bąknąłem, ale na przekór samemu sobie wybuchnąłem śmiechem.

»Porozmawiamy, porozmawiamy!« - wykrzyknął Turgut i ponownie wyrznął mnie w plecy.

Selim Aksoy powitał nas mniej hałaśliwie, lecz równie serdecznie. Po godzinie przekraczaliśmy już próg mieszkania Turguta. Czekąca tam jego żona wyraźnie uradowana naszą ponowną wizytą. Na jej widok oboje

z Helen wydaliliśmy okrzyk zachwytu. Tego dnia miała na sobie wielkiej urody jasną bluzkę kojarzącą się z wiosennym kwiatem. Obrzuciła nas wzrokiem zdradzającym lekkie zdziwienie.

»Po prostu jest pani dziś ślicznie ubrana« - wyjaśniła Helen, ujmując na powitanie jej dłoń.

»Dziękuję. - Pani Bora roześmiała się, wyraźnie zadowolona z komplementu. - Bardzo starannie dobieram swoje stroje«.

Następnie, przy pomocy Selima Aksoya, wniosła na stół coś, co nazywała *borek*, zawinięty w ciapaty słonawy ser, pięć czy sześć innych dań oraz kawę.

»A teraz, przyjaciele, powiedzcie, czego się dowiedzieliście?»

Była to długa opowieść, ale oboje z Helen ze szczegółami opowiedzieliśmy o konferencji w Budapeszcie, o Hugh Jamesie, o listach Rossiego i zrelacjonowaliśmy opowieść matki Helen. Turgut słuchał z uwagą. Do żywego poruszyła go wiadomość, iż Hugh James również natrafił na książkę z wizerunkiem smoka. Podsumowując naszą opowieść, stwierdziłem, że wprawdzie poznaliśmy rzeczywiście wiele faktów, ale cała ta wiedza nie przybliżyła nas ani na krok do odnalezienia Rossiego.

Turgut ze swej strony poinformował, że podczas naszej nieobecności w Stambule mieli bardzo poważne kłopoty. Dwie noce wcześniej jego przyjaciel, archiwista, został w wynajętym mieszkaniu zaatakowany po raz drugi, a zatrudniony człowiek, który miał go strzec, zasnął na służbie i niczego nie widział. Wynajęli innego strażnika i mieli nadzieję, że ten już okaże się bardziej czujny i odpowiedzialny. Podjęli wszelkie możliwe środki ostrożności, ale z nieszczęsnym Erozanem było bardzo źle.

Mieli też dla nas inne wiadomości. Turgut duszkiem dopił drugą filiżankę kawy i ruszył spieszenie do swojego makabrycznego gabinetu. (Byłem rad, że tym razem już mnie tam nie zapraszał). Wrócił z notesem

i ponownie zajął miejsce przy stole obok Selima. Skierowali na nas poważny wzrok.

»Przez telefon powiedziałem ci, że pod waszą nieobecność natknęliśmy się na pewien list - odezwał się Turgut. - Oryginał napisano w języku starosłowiańskim, dawnym języku tamtejszych kościołów chrześcijańskich. Napisał go mnich pochodzący z Karpat i dotyczy on jego podróży do Stambułu. Selim jest zdziwiony, że nie napisał go po łacinie, ale zapewne sam mnich był Słowianinem. Czy mogę go wam już przeczytać?«

»Oczywiście« - odparłem, ale Helen uniosła rękę.

»Chwileczkę. Jak i gdzie znaleźliście ten list?«

Turgut z aprobatą pokiwał głową.

»Aksoy odnalazł go w dobrze znanym nam wszystkim archiwum. Przez trzy dni i noce wertował wszystkie piętnastowieczne rękopisy znajdujące się w jego zbiorach. Odkrył go w niewielkiej kolekcji dokumentów pochodzących ze świątyń niewiernych, to znaczy z kościołów chrześcijańskich, które mogły działać w Istambule za panowania Mehmeda Zdobywcy i jego następców. W samym archiwum takich dokumentów było niewiele, gdyż większość z nich gromadziły monasteria, a zwłaszcza sam patriarcha Konstantynopola. Lecz niektóre dokumenty kościelne trafiły do rąk sultana, szczególnie te dotyczące jego nowych rozkazów odnośnie do funkcjonowania kościołów na terenie imperium - dokumenty

te noszą *nazwę firmanów*. Czasami też sultan otrzymywał... jak to powiedzieć?... petycje w sprawie spraw kościelnych. Te listy również trafiały do archiwum«.

Pośpiesznie wymienił kilka słów z Aksoyem, który najwyraźniej chciał, by wyjaśnił nam jeszcze jakąś sprawę.

»No tak... mój przyjaciel chce, abym dokładnie wytłumaczył wam pewną kwestię. Przypomniał mi, że po zdobyciu miasta sultan spotkał się z nowym patriarchą chrześcijan, Gennadiusem. - Na dźwięk tego imienia Selim energicznie pokiwał głową. - Sultana i Gennadiusa łączyły przyjacielskie stosunki... wspominałem wam, że Zdobywca, kiedy już zajął miasto, bardzo tolerancyjnie odnosił się do zamieszkujących jego imperium chrześcijan. Sultana Mehmed poprosił Gennadiusa, by spisał mu ze szczegółami zasady wiary kościoła ortodoksyjnego, a następnie polecił przetłumaczyć ten elaborat i włączyć do swej prywatnej biblioteki. Do dziś zachował się w archiwum egzemplarz tego tłumaczenia. Zbiory zawierają też niektóre statuty, które kościoły zobowiązane były przedstawić władcy. Aksoy, przeglądając statuty pochodzące z jednego z kościołów w Anatolii, natknął się na wsunięty między ich karty ten właśnie list«.

»Dziękuję« - powiedziała Helen i wygodniej rozparła się na rozłożonych na sofie poduszkach.

»Niestety nie pokażę wam oryginału, gdyż nie mogliśmy go wynieść z archiwum. Jeśli chcecie, możemy się tam ponownie udać i wtedy go so-

bie obejrzycie. Napisany został pięknym pismem na kawałku pergaminu z oddartym jednym brzegiem. Przeczytam wam teraz jego tłumaczenie na angielski. Ale proszę nie zapominać, że jest to tłumaczenie z tłumaczenia, tak zatem jakieś fragmenty listu mogły po drodze bezpowrotnie zaginać«.

Do Jego Eksceleencji Opata Maksyma Eupraksiusa!

Pelen pokory grzesznik prosi o wysłuchanie. Jak już pisałem, w naszej kompanii wystąpiły kontrowersje po niepowodzeniu wczorajszej misji. Miasto nie jest bezpiecznym dla nas miejscem, lecz uważamy, że nie możemy go opuścić, nie wiedząc, co stało się ze skarbem, którego szukamy. Dziś rano jednak, z łaski Wszchemogącego, otworzyła się przed nami nowa możliwość, o czym pragnę niezwłocznie Ekscelencję powiadomić. Opat klasztoru Panachrantos, słysząc od opata naszych gospodarzy -jest on jego przyjacielem — o naszym strapieniu i rozpaczy, osobiście przybył do Świętej Ireny. To łaskawy, świątobliwy mąż w wieku około pięćdziesięciu lat. Większość życia spędził w Wielkiej Ławrze na Athos, a obecnie jest mnichem i opatem Panachrantos. Przed spotkaniem z nami odbył prywatną rozmowę z naszym gospodarzem, a następnie pojawił się u nas, w gościnnych komorach, gdzie po odprawieniu nowicjuszy i służących, odbył z nami sekretną rozmowę. Oświadczył, że o naszej obecności dowiedział się dopiero tego ranka, gdyż jego przyjaciel, a nasz gospodarz, nie powiadamiał go o niczym wcześniej, nie chcąc narażać na niebezpieczeństwo ani jego, ani jego mnichów. Krótko... powiadomił nas, że to, czego szukamy, zostało wywiezione z miasta do bezpiecznej przystani na okupowanych terenach Bułgarów. Podał nam najbardziej tajne instrukcje, jak mamy tam w miarę bezpiecznie dotrzeć, oraz nazwę sanktuarium, które musimy odnaleźć. Powinniśmy zatem wysłać do Eksceleencji to pismo i czekać na dalsze rozkazy w tej sprawie. Jednocześnie jednak opaci powiadomili nas, że janczarzy strzegący sultańskiego dworu pojawili się już u patriarchy z pytaniem, co stało się z tym, czego i my szukamy. Tak zatem każdy dzień zwłoki grozi nam śmiertelnym niebezpieczeństwem i musimy natychmiast ruszać w drogę, gdyż nawet na terenach niewiernych będziemy bardziej bezpieczni niż tu. Ekscelencjo, wybacz nam zatem, iż samowolnie ruszamy w dalszą drogę, nie czekając na Twoje instrukcje. I niech Bóg oraz Ty dadzą nam rozgrzeszenie za to nieposłuszeństwo. W razie konieczności zniszczę nawet ten list i oso-

biście opowiem, jeśli wcześniej nie wyrwą mi języka, o naszych poszukiwaniach.

Pelen pokory grzesznik Br. Kiryl

W kwietniu Roku Pańskiego 6985

Kiedy Turgut skończył lekturę listu, zapadła martwa cisza. Selim i pani Bora siedzieli bez ruchu, a on niespokojnie rozgarniał palcami srebrzystą grzywę włosów. Helen wodziła wzrokiem po naszych twarzach.

»Sześć tysięcy dziewięćset osiemdziesiąt pięć? - zapytałem w końcu. - Co to znaczy?«

»Średniowieczne dokumenty datowane są wedle Biblii i Księgi Genesis« - wyjaśniła krótko Helen.

Turgut skinął głową.

»Zgadza się. Sześć tysięcy dziewięćset osiemdziesiąt piąty rok to, wedle współczesnego datowania, właśnie rok tysiąc czterysta siedemdziesiąt siódmy.«

Ciężko westchnąłem.

»List jest niebywale sugestywny i mówi o wielkiej obawie autora przed czymś. Ale ja tu nie mam żadnych szans - stwierdziłem z żalem. - Data wskazuje na to, iż ma on jakiś związek z fragmentem, który pan Aksoy odkrył wcześniej. Ale jaki mamy dowód na to, że mnich piszący ten list pochodził z Karpat? I na jakiej podstawie uważacie, że list ten ma związek z Vladem Dracula?«

»Jak zwykle celne pytanie, mój młody niedowiarku - odparł z uśmiechem Turgut. - Jak już mówiłem, Selim wybornie zna miasto, więc kiedy natrafił na ten list, natychmiast pojął, że może on mieć dla nas wielkie znaczenie. Udał się zatem niezwłocznie do swego przyjaciela, który jest kustoszem starodawnej biblioteki monasteru Świętej Ireny, istniejącego zresztą do dzisiaj. Przyjaciel przetłumaczył mu owo pismo na turecki. List niezwykle go zainteresował, ponieważ wspominał o jego monasterze. Ale w swojej bibliotece nie znalazł żadnej wzmianki o takiej wizycie w roku tysiąc czterysta siedemdziesiątym siódmym - albo wcale nie odnotowano jej w dokumentach, albo dokumenty te zaginęły dawno, dawno temu.«

»Skoro opisywana misja była tajna i niebezpieczna, zapewne nikt jej nie zarejestrował« - zauważyła Helen.

»To prawda, droga madame - odrzekł Turgut, kiwając potakująco głową. - Ale tak czy owak, monastyczny przyjaciel Selima pomógł nam w jednej, niebawem istotnej kwestii. Szperając w historiach najdawniejszych kościołów, natrafił na imię i nazwisko opata, do którego adresowany był list, to znaczy Maksyma Eupraksiusa. Na stare lata został on wielkim opatem na górze Athos. Ale w roku tysiąc czterysta siedemdziesiątym siódmym, kiedy pisano do niego nasz list, był opatem monasteru nad jeziorem Snagov«.

Ostatnie słowa Turgut wypowiedział z pełną triumfu emfazą.

Zapadło pełne napięcia milczenie, które przerwała dopiero Helen:

»Jesteśmy ludźmi Boga, mnichami z gór karpackich« - wymamrotała.

»Słucham?« - zainteresował się Turgut.

»Tak! - podjąłem natychmiast wątek dziewczyny. - To stara, ludowa pieśń rumuńska, której tekst Helen odkryła w Budapeszcie«.

Opisałem im długie godziny, jakie spędziliśmy, wertując stare księgi

z pieśniami w bibliotece uniwersytetu budapeszteńskiego i piękny drzeworyt na górnym marginesie stronicy przedstawiający smoka i ukrytą w lesie świątynię. Turgutowi brwi doszły prawie do gęstej czupryny, a ja zacząłem gorączkowo szperać w swoich papierach.

»Gdzie, do licha, to mam?« - mruknąłem pod nosem.

W chwilę później natrafiłem w teczce na kartkę z odręcznym tłumaczeniem tekstu... Boże, pomyślałem, co by było, gdybym stracił tę teczkę!... I przeczytałem na głos, przerywając po każdej linii, by umożliwić Turgutowi tłumaczenie pieśni Selimowi i żonie:

*I podjechali do bram, do bram wielkiego miasta.
Dotarli tam z krainy, gdzie rządziła śmierć.
»Jesteśmy ludźmi Boga, mnichami z gór karpackich,
Świętymi mężami, którzy wieszczą zło.
Niesiemy do miasta wieść o strasznej pladze
My, słudzy swego pana, oplakujący jego śmierć«.
I wjechali do miasta, które z nimi lkało,
Lkało już od chwili, gdy się pojawili.*

»Na Boga, jakież to dziwaczne i przerażające - odezwał się Turgut. -

Czy wszystkie wasze narodowe pieśni są takie jak ta, madame?«

»Większość« - odparła Helen z promiennym uśmiechem.

Nieoczekiwanie uświadomiłem sobie z radosnym podnieceniem to, o czym przez kilka ostatnich minut kompletnie zapomniałem, że dziewczyna siedzi tuż obok. Wiele wysiłku kosztowało mnie, by nie sięgnąć po jej dłoń, nie popatrzeć na jej roześmianą twarz i kosmyk czarnych włosów zwieszający się tuż obok mego policzka.

»No i ten nasz smok ukryty pośród drzew... tak, musi tu zachodzić jakiś związek«.

»Chciałbym tylko wiedzieć jaki - powiedział z westchnieniem Turgut i nieoczekiwanie walnął pięścią w miedziany blat stołu z taką siłą, że zdźwięczały stojące na nim filiżanki. Jego żona uspokajająco położyła mu dłoń na ramieniu. - Nie... posłuchajcie... plaga!«

Popłynęła lawina tureckich słów, kiedy w oszałamiającym tempie zaczął rozmawiać o czymś z Selimem.

»O co chodzi? - Helen z napięciem spoglądała na prowadzących gwałtowną wymianę zdań mężczyzn. - O tę zarazę w pieśni?«

»Tak, moja droga. - Turgut przeczeszał palcami włosy. - Niezależnie od listu w trakcie naszych poszukiwań natknęliśmy się na jeszcze jeden szczegół dotyczący Stambułu w tamtym właśnie czasie - Selim zresztą wiedział już o tym wcześniej. Latem tysiąc czterysta siedemdziesiątego siódmego roku, w najgorętszej porze roku, wybuchła w mieście zaraza określana przez historyków mianem Małej Plagi. Pochłonęła ona wiele ludzkich istnień w starej dzielnicy Pera, którą dziś nazywamy Galata. Zwłokom, przed spaleniem, przebijano serca kołkiem. Selim twierdzi, że to raczej niezwykle, gdyż normalnie w takich razach zwłoki palono za miastem, by zapobiec roznoszeniu się zarazy. Ale ta plaga trwała krótko

i nie pochłonęła zbyt wielu ofiar«.

»Sądźcie zatem, że to właśnie nasi mnisi, jeśli byli to ci sami, o których mówi pieśń, sprowadzili tę zarazę?«

»Tego już nie wiemy - odrzekł Turgut. - Ale jeśli twoja pieśń opisuje tych samych mnichów...«

»Coś mi się przypomniało. - Helen odstawiła filiżankę. - Nie pamiętam, Paul, czy ci o tym mówiłam, ale Vlad Dracula był jednym z pierwszych w historii strategów wojskowych, którzy stosowali... jak to powiedzieć?... Choroby na wojnie?«

»Broń bakteriologiczną - poprawiłem. - Mówił mi o tym Hugh James«.

»O, właśnie. - Podwinęła pod siebie nogi. - Podczas inwazji suł-

tana na Wołoszczyznę Dracula bardzo często wysyłał do osmańskich obozów swoich ludzi przebranych za Turków. Były to osoby chore na dżumę lub czarną ospę. Przed śmiercią starali się zarazić jak najwięcej wrogów».

Gdyby nie było to tak makabryczne, wybuchnąłbym śmiechem. Wołoski książę pozostawał w takiej samej mierze osobą kreatywną, jak niebezpieczną. Przerazający przeciwnik. Uświadomiłem sobie nagle, że zaczynam myśleć o nim w czasie teraźniejszym.

»Rozumiem. - Turgut skinął głową. - Chcesz powiedzieć, że grupa mnichów, jeśli rzeczywiście byli to ci sami mnisi, przywlekła tę zarazę z Wołoszczyzny».

»Ale to nie wyjaśnia jednego. - Helen zmarszczyła brwi. - Skoro mieli dżumę, dlaczego opat Świętej Ireny pozwolił im zatrzymać się w monasterze».

»To prawda, madame - przyznał Turgut. - Lecz jeśli nie była to plaga, lecz jakaś zwykła choroba... ale skąd to możemy wiedzieć».

Długą chwilę siedzieliśmy pogrążeni w milczeniu.

»Do Konstantynopola, nawet już po zdobyciu miasta, przybywało z pielgrzymką wielu ortodoksyjnych mnichów - odezwała się w końcu Helen. - Może stanowili jedną z grup zwykłych pielgrzymów».

»Ale szukali czegoś, czego najwyraźniej podczas swojej pielgrzymki nie znaleźli, w każdym razie w Konstantynopolu - zauważyłem. - A brat Kirył twierdzi, że zmierzają do Bułgarii w przebraniu pielgrzymów, jakby w Konstantynopolu wcale pielgrzymami nie byli... w każdym razie wydaje mi się, że o to mu w tym liście chodzi».

»Aksoy również się nad tym zastanawiał - powiedział Turgut, drapiąc się w głowę. - Twierdzi, że większość chrześcijańskich zabytków w kościołach Konstantynopola została zniszczona lub rozgrabiona podczas oblężenia miasta - ikony, krzyże, relikwie świętych. Oczywiście w tyśiąc czterysta pięćdziesiątym trzecim roku nie było już ich tyle co za czasów potęgi Bizancjum, gdyż większość starożytnych skarbów zrabowali wcześniej krzyżowcy w tyśiąc dwieście czwartym roku - to nie ulega wątpliwości - i zawieźli je do Rzymu, Wenecji oraz innych miast Zachodu. - Turgut rozłożył ręce w geście dezaprobaty. - Mój ojciec wspominał o wspaniałych koniach w Bazylice Świętego Marka w Wenecji, skradzionych z Bizancjum przez krzyżowców. Chrześcijańscy najeźdźcy wcale nie byli lepsi od osmańskich. Tak czy owak, moi drodzy, zanim jesz-

cze wojska Mehmeda przystąpiły do oblężenia w tysiąc czterysta pięćdziesiątym trzecim roku, wiele kościelnych skarbów zostało ukrytych w monasterach znajdujących się poza murami miasta. Wiele z nich wywieziono do innych krajów. Jeśli nasi mnisi rzeczywiście odbywali pielgrzymkę, zapewne pojawili się tu, by adorować jakiś święty obiekt, który został z miasta wywieziony. Być może opat tego drugiego klasztoru miał na myśli ogromną ikonę, którą ukryto w bezpiecznym miejscu w Bułgarii. Ale tego już z listu nie wyczytamy«.

»Teraz już rozumiem, dlaczego chcesz, żebyśmy pojechali do Bułgarii - odezwałem się, ponownie zwalczając pokusę, by ująć dłoń Helen. - Ale nie mam zielonego pojęcia, czego mamy tam szukać ani jak się tam dostać. Czy jesteś pewien, że dalsze poszukiwania w Stambule nie mają sensu?«

Turgut posępnie pokręcił głową i sięgnął po zaniedbaną filiżankę.

»Wykorzystałem wszystkie kanały, jakie tylko były możliwe, nawet te, o których, wybaczenie mi, nie mogę powiedzieć. Aksoy przejrzał wszystkie swoje książki, księgozbiory bibliotek, przyjaciół i znajomych oraz archiwum uniwersyteckie. Rozmawiałem ze wszystkimi historykami, w tym ze specjalistą od stambulskich cmentarzy. Nie natrafiłszy jednak na żadną wzmiankę o jakimś nietypowym pogrzebie cudzoziemca, którego pochowano by tu w tamtych czasach. Być może coś przeoczyliśmy, ale nie wiem już, gdzie można jeszcze szukać. Zdaję sobie sprawę z tego, jak trudno będzie się wam dostać do Bułgarii. Zrobiłbym to osobiście, lecz jest to dla mnie zadanie niewykonalne. Jako Turka nikt nie zaprosiłby mnie na żadną konferencję naukową. Bułgarzy najbardziej na świecie nienawidzą potomków Imperium Osmańskiego«.

»Rumuni niewiele im w tym ustępują« - powiedziała z szerokim uśmiechem Helen i Turgut zachichotał.

»Ale na Boga, jak mamy tego dokonać?« - zapytałem, rozpierając się na sofie. Odniosłem wrażenie, że trafiłem do jakiegoś nierealnego świata.

Turgut pochylił się do przodu i podstawił mi pod nos angielskie tłumaczenie listu mnicha.

»On też nie wiedział« - stwierdził.

»Kto?« - jęknąłem.

»Brat Kirył. Przyjacielu, kiedy zniknął Rossi?«

»Jakieś dwa tygodnie temu«.

»Nie możesz więc tracić ani chwili. Wiemy, że w grobowcu w Snagov nie ma Draculi. Sądzymy, iż nie pochowano go również w Stambule. Ale tu - postukał palcem w list - mamy pewien trop. Nie wiemy dokładnie, dokąd prowadzi. Wiemy natomiast, że w tysiąc czterysta siedemdziesiątym siódmym roku ktoś z monasteru w Snagov dostał się do Bułgarii... a w każdym razie podjął taką próbę. Warto dokładniej zbadać tę sprawę. Jeśli nic nie znajdziesz, to trudno, ale przynajmniej zrobisz wszystko, co w twojej mocy. Wtedy wrócisz do domu i tam będziesz mógł z czystym sumieniem oplakiwać swego nauczyciela, a my, jako szczerzy przyjaciele, do końca życia będziemy podziwiał twoją odwagę. Jeśli nie podejmiesz tej próby, nigdy nie zaznasz spokoju«.

Ponownie wziął do ręki list i wodząc po nim palcem, przeczytał na głos:

»Tak zatem każdy dzień zwłoki grozi nam śmiertelnym niebezpieczeństwem i musimy natychmiast ruszać w drogę, gdyż nawet na terenach niewiernych będziemy bardziej bezpieczni niż tu. Weź to, przyjacielu. Ta angielska kopia należy do ciebie. Dołączamy też kopię napisaną w języku słowiańskim, którą na prośbę Aksoya sporządził jego monastyczny przyjaciel. Powiem więcej, dowiedziałem się, że w Bułgarii żyje pewien naukowiec, u którego możecie szukać pomocy. Nazywa się Anton Stoiczew. Aksoy bardzo wysoko ceni jego dzieło, przetłumaczone na wiele języków. - Na dźwięk imienia i nazwiska Bułgara Selim pokiwał głową. - Stoiczew jest najwybitniejszym znawcą Bałkanów z czasów średniowiecznych, a zwłaszcza samej Bułgarii. Mieszka w pobliżu Sofii. Musicie o niego zapytać«.

Nieoczekiwanie, ku memu zdumieniu, Helen otwarcie chwyciła mnie za dłoń. Dotąd uważałem, że nie powinniśmy przyznawać się do łączących nas stosunków, nawet tu, wśród przyjaciół. Zobaczyłem, iż Turgutowi nieco opadła szczeka i pogłębiły się zmarszczki wokół oczu i ust. Pani Bora rozpromieniła się i klepnęła po kolanach swoimi dziewczęcymi dłońmi. Najwyraźniej akceptowała nasz związek. Poczulem ogromną wdzięczność do tych serdecznych i życzliwych nam ludzi.

»Zadzwoń do ciotki« - oświadczyła Helen, ściskając mi palec.

»Do Evy? A co ona może?«

»Ona może wszystko - odparła Helen z promiennym uśmiechem. - Tak naprawdę to nie wiem, co w istocie może, a czego nie. Ale w tajnej policji w mojej ojczyźnie ma zarówno oddanych przyjaciół, jak i zaprzy-

sięgłych wrogów. - Odruchowo zniżyła głos. - Ci z kolei mają przyjaciół w całej Europie Wschodniej. I, naturalnie, wrogów - wszyscy oni nawzajem się śledzą. To może sprowadzić na jej głowę poważne niebezpieczeństwo i tylko tego się obawiam. No i będziemy potrzebować ogromnych pieniędzy na łapówkę«.

»Bakszysz - pokiwał ze zrozumieniem głową Turgut. - Oczywiście. Obaj z Selimem pomyśleliśmy o tym wcześniej. Dysponujemy dwudziestoma tysiącami lir. I choć nie mogę wam towarzyszyć, zarówno ja, jak i Aksoy, z największą radością przekazemy je wam«.

Przypatrzyłem się uważnie Turgutowi i Selimowi - siedzieli po przeciwnej stronie stołu wyprostowani i bardzo poważni. I nagle ich twarze - rumiana i szeroka Turguta oraz delikatna Aksoya, obie czujne i spokojne - wydały mi się bardzo znajome. Z niewiadomych powodów przeszedł mi po plecach zimny dreszcz. Jeszcze mocniej ścisnąłem dłoń Helen - tę silną i tak kochaną dłoń - i popatrzyłem w ciemne źrenice Turguta.

»Kim jesteście?« - spytałem.

Turgut i Selim wymienili nieme spojrzenie, po czym Bora odezwał się cichym, wyraźnym głosem:

»Pracujemy dla sułtana«.

51

„Oboje z Helen gwałtownie się cofnęliśmy. Przez chwilę myślałem, że Turgut i Selim sprzysiężeni są z jakimiś mrocznymi siłami. Najwyższą siłą woli powstrzymałem się, żeby nie chwycić teczki, złapać Helen za ramię i uciec z tego mieszkania ile sił w nogach. Tylko za pomocą jakiejś magii tych dwóch mężczyzn - uważałem ich za przyjaciół - mogło służyć dawno zmarłemu sułtanowi. Tak naprawdę to od wielu lat nie było żadnych sułtanów, więc ten, o którym mówił Turgut, też musiał już zejść z tego świata. Czyżby we wszystkim łgali?

Miałem kompletny mętlik w głowie. Z tego stanu wyrwał mnie dopiero głos Helen. Pochyliła się nad stołem. Twarz miała pobladłą, ale głos spokojny; spokojny jak na zaistniałą sytuację. Otrzeźwiałem w jednej chwili.

»Profesorze Bora, ile naprawdę pan ma lat?« - zapytała, przeciągając słowa.

»Ach, droga madame - rozpromienił się w szerokim uśmiechu. - Jeśli pytasz mnie, czy żyję już pięćset lat, moja odpowiedź - na szczęście - brzmi: nie. Pracuję dla Jego Wysokości Zdobywcy, Uciezki Przed Złem Świata, Mehmeda II, ale nigdy nie miałem nieporównywalnego z niczym honoru spotkania się z nim twarzą w twarz«.

»O czym, do cholery ciężkiej, bredzisz?« - wybuchnęła.

Turgut ponownie się uśmiechnął, a Selim przyjaźnie skinął mi głową.

»Nie zamierzałem wam o tym mówić - odezwał się Turgut. - Ale skoro do tego stopnia nam zaufaliście, a ty, przyjacielu, zadałeś tak trafne pytanie, wszystko wam wyjaśnię. Urodziłem się w tysiąc dziewięćset jedenastym roku i zamierzam umrzeć we własnym łóżku... no, około roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego. - Zachichotał. - Ponieważ pochodzę z długowiecznej rodziny, długo jeszcze będę zasiadać na tych kanapach, pod koniec jako niedołączny starzec. - Przytulił do siebie żonę. - Aksoy również ma tyle lat, na ile wygląda. Nie jesteśmy żadnymi dziwadłami. Ale to, co wam powiemy, stanowi największy sekret, który musicie zachować w tajemnicy bez względu na to, co się wydarzy. Jesteśmy ramieniem Sułtańskiej Gwardii Półksiężycy«.

»Nigdy o czymś takim nie słyszałam« - burknęła Helen, marszcząc brwi.

»Oczywiście, madame profesor. Bo i skąd? - Turgut popatrzył na Selima, który przysłuchiwał się cierpliwie naszej rozmowie, jego zielone oczy były niczym niezmacona wiatrem tafla jeziora. - Nikt o nas nie wie poza członkami naszego bractwa. Stanowimy tajną gwardię sformowaną z najbardziej elitarnych korpusów janczarów«.

Przypomniałem sobie nagle owe postacie o kamiennych twarzach i błyszczących oczach, jakie widziałem na malowidłach w Topkapi Sarai. Ich szeregi otaczały tron sułtana - pośród nich nie było żadnego wojownika, który mógłby zadać władcy skrytobójczy cios lub wypaść z jego łask.

Turgut czytał chyba moje myśli, gdyż łagodnie pokiwał głową.

»Rozumiem, słyszałeś o janczarach. W tysiąc czterysta siedemdziesiątym siódmym roku Mehmed Zdobywca wezwał do siebie najwierniejszych i najbardziej wykształconych oficerów z przybocznej gwardii. Podczas tajnej narady powołali do życia Gwardię Półksiężycy. Miała ona

jeden cel, za który powinni oddać nawet życie. Celem tym było wytropienie Zakonu Smoka, dotkliwie nękającego imperium, i wytepienie go co do nogi«.

Oboje z Helen wciągnęliśmy głęboko powietrze w płuca, ale pierwszy odezwałem sieja.

»Gwardię Półksiężycza stworzono w tysiąc czterysta siedemdziesiątym siódmym roku - w tym właśnie roku do Stambułu przybyli mnisi! Ale przecież Zakon powstał o wiele wcześniej, założył go cesarz Zygmunt w roku tysiąc czterechsetnym, prawda?«

Helen skinęła w milczeniu głową.

»Dokładnie w tysiąc czterysta ósmym, przyjacielu. W tysiąc czterysta siedemdziesiątym siódmym roku sułtan miał coraz większe kłopoty z tym wojowniczym Zakonem. Tak zatem Pelen Chwały, Ucieczka Przed Złem Świata, doszedł do wniosku, że w przyszłości najazdy Zakonu Smoka staną się jeszcze gwałtowniejsze^

»O czym pan dokładnie mówi?«

Helen nieruchomo ścisnęła mi dłoń. Palce miała lodowato zimne.

»Nawet nasz statut nie określa tego dokładnie - przyznał Turgut. - Ale jestem pewien, że nie jest to zbieg okoliczności, iż sułtan powołał gwardię załedwie w rok po śmierci Vlady Jepesa. - Złożył dłonie jak w modlitwie. - Według statutu Jego Majestat powołał Gwardię Półksiężycza, by tępiła Zakon Smoka, najzagorzalszego wroga jego imperium, poprzez wszystkie czasy i przez całą przestrzeń, na lądach i morzach, a nawet przez samą śmierć«.

Turgut przechylił się przez stół w moją stronę.

»Wedle mojej teorii Jego Wspaniałość czuł, a może wiedział, jakim zagrożeniem dla jego imperium może być Vlad Dracula, nawet po śmierci. - Przeciągnął palcami po włosach. - Jak sami widzieliśmy, sułtan stworzył całą kolekcję dokumentów dotyczącą Zakonu Smoka - archiwum nie było tajne i nasi członkowie spokojnie je studiowali, co czynią do dzisiaj. A teraz wspaniała list odnaleziony przez Aksoya i twoja ludowa pieśń, madame, stanowią dodatkowy dowód na to, że Jego Wspaniałość miał wszelkie powody do obaw«.

»Ale jak... jak to się stało, że pan i pan Aksoy należycie do Gwardii?«

»Członkostwo przekazywane jest z ojca na najstarszego syna. W wieku dziewięciu lat otrzymuje on... jak to powiedzieć po angielsku?... zostaje wprowadzony na urząd. Jeśli ojciec nie ma synów lub okazują się

niegodni tego zaszczytu, umiera, zabierając tajemnicę do grobu. - Turgut sięgnął po filiżankę i żona natychmiast ponownie napełniła ją kawą. - Gwardia Półksiężycyca była tak dobrze zakonspirowana, że inni janczarzy nie wiedzieli, iż niektórzy z nich należą do naszej organizacji. Nasz ukochany *Faith** zmarł w roku tysiąc czterysta osiemdziesiątym pierwszym, ale Gwardia działała dalej. W okresach gdy na tronie zasiadali słabi sułtani, janczarzy dochodzili do wielkiej władzy, lecz my zawsze kryliśmy się w cieniu. Kiedy ostatecznie imperium rozpadło się, a Stambuł przestał być stolicą Turcji, my ciągle trwaliliśmy na posterunku. Podczas pierwszej wojny światowej nasz statut przechowywał ojciec Aksoya, podczas ostatniej przeszedł w ręce Selima. Do dzisiaj, zgodnie z naszą tradycją, przechowuje go w tajnym miejscu».

Turgut umilkł i sięgnął po zapomnianą filiżankę.

»Mówił pan, że pański ojciec był Włochem - odezwała się podejrzliwym tonem Helen. - W jaki więc sposób znalazł się pan w Gwardii Półksiężycyca?»

»Dobre pytanie, madame. Mój dziadek ze strony matki był aktywnym członkiem Gwardii, ale miał tylko córkę. Kiedy zrozumiał, że imperium ostatecznie legło w gruzach...»

»Pańska matka!« - wykrzyknęła Helen.

»Tak, moja droga - powiedział ze smętnym uśmiechem Turgut. - Nie tylko pani miała wyjątkową matkę. Moja matka była jedną z najbardziej wykształconych niewiast w naszym kraju i dziadek niczym nie ryzykował, mówiąc jej o swoich ambicjach, przekazując całą wiedzę i przygotowując ją do służby w Gwardii. Interesowała się inżynierią, nauką, która w tamtych czasach dopiero raczkowała, i po wprowadzeniu do Gwardii dziadek pozwolił jej na wyjazd do Rzymu, gdzie podjęła studia. Miała tam zresztą wielu znajomych i przyjaciół. Zajmowała się wyższą matematyką oraz znała cztery języki, w tym grekę i arabski. - Powiedział coś po turecku do swej żony i Selima, którzy wyraźnie się rozpromienili. - Jeździła konno jak najlepsi kawalerzyści sułtana oraz, choć niewiele osób o tym wiedziało, była wyborowym strzelcem... - Prawie puścił do Helen oko, a ja przypomniałem sobie jej niewielki rewolwer. Przez chwilę zastanawiałem się, czy wciąż ma go ze sobą. - Mój dziadek przekazał jej

* Mehmed II nosił też przydomek Faith - Zwycięzca.

całą swą wiedzę o wampirach i jak się przed nimi strzec. Jeśli chcecie na nią popatrzeć, tam stoi jej fotografia».

Wstał od stołu i zaprowadził nas w róg pokoju, gdzie z bogato rzeźbionego stolika wziął oprawione w ramkę zdjęcie i wręczył je Helen. Fotografia, pochodząca z wczesnych lat dwudziestego stulecia, chwytła za serce. Kobieta, siedząca nieruchomo podczas długiego naświetlania w stambulskim studiu, była spokojna i opanowana, ale nakryty czarną płachtą fotograf uchwycił wyraz lekkiego rozbawienia malujący się w jej oczach. Nad czarną suknią bielą, utrwalona w sepii, nieskazitelna twarz. W przeciwieństwie do Turguta miała delikatny zarys nosa i smukłą szyję. Osadzona na niej głowa przypominała przepiękny, kruchy kwiat - wizerunek osmańskiej księżniczki. Pod ozdobionym piórami kapeluszem piętrzyła się starannie upięta fryzura. Kiedy popatrzyłem w jej pełne humoru oczy, odczułem żal, iż dzieli nas aż taka przepaść czasu.

Turgut ponownie z czułością wziął fotografię do ręki.

»Dziadek, widząc, jak mądra i roztropna jest moja matka, zdecydował się złamać tradycję i wprowadził ją do Gwardii. I to ona pozbiierała rozproszone po różnych zbiorach i bibliotekach dokumenty należące pierwotnie do nas i włączyła je ponownie do naszej kolekcji. Kiedy miałem pięć lat, zastrzeliła wilka przy naszym letnim domku, a gdy skończyłem jedenaście, zaczęła uczyć mnie jazdy konnej i posługiwać się bronią. Ojciec uwielbiał ją, choć trochę lękał się jej dzielności i odwagi - zawsze twierdził, że przyjechał za nią z Rzymu do Turcji, by poskromić nieco cechującą matkę brawurę. Wiedział, że należy do Gwardii, i bardzo lękał się o jej bezpieczeństwo. Tam jest jego portret...«

Wskazał palcem wiszący obok okna olejny obraz. Wcześniej go nie zauważyłem. Spoglądał z niego przystojny mężczyzna w ciemnym garniturze, o masywnej budowie ciała. Miał czarne oczy i łagodny wyraz twarzy. Turgut powiedział nam, że był historykiem, specjalistą od włoskiego renesansu, choć moim zdaniem bardziej przypominał człowieka, który uwielbia grać z synem w kulki, podczas gdy o wykształcenie chłopca głównie dba jego żona.

Helen poruszyła się na sofie, dyskretnie rozprostowując nogi.

»Powiedział pan, że pański dziadek był aktywnym członkiem Gwardii Półksiężyca. Co to znaczy? Na czym właściwie polega wasza aktywność?«

Turgut smętnie pokręcił głową.

»Tego niestety, madame, nie mogę wam zdradzić. Pewne rzeczy okryte są tajemnicą. I tak powiedzieliśmy wam już za dużo, ale musieliśmy w jakiś sposób przekonać was o naszych dobrych intencjach. W interesie Gwardii leży, byście udali się do Bułgarii, i to jak najszybciej. Obecnie Gwardia jest nieliczna, niewielu już nas zostało. A ja, niestety, nie mam syna ani córki, którym mógłbym przekazać urząd, choć Aksoy wychowuje w naszej tradycji bratanka. Dodam tylko, że los Osmanów leży teraz w waszych rękach, ni mniej, ni więcej«.

Z trudem stłumiłem westchnienie. Mógłbym polemizować z Helen, ale spieranie się z sekretną potęgą Imperium Osmańskiego przekraczało moje siły. Turgut uniósł palec.

»Muszę was jednak ostrzec, i mówię to bardzo poważnie. Zdradziliśmy wam wielki sekret trzymany skutecznie w największej tajemnicy od pięciuset lat. Nic nie wskazuje na to, że nasz odwieczny wróg wie o nas, choć nienawidzi naszego miasta i boi się go tak samo jak za swego życia. Ustanowiony przez Zdobywcę statut Gwardii mówi krótko: kto zdradzi wrogom sekret Gwardii, natychmiast poniesie śmierć. Z tego, co wiem, nikt nas dotąd nie zdradził, ale proszę was, żebyście bardzo uważali. Zarówno ze względu na siebie, jak i na nas«.

W jego głosie nie było żadnej groźby, a jedynie głęboka troska i przestroga. Wyczułem w nim niezłomną wierność sułtanowi, który zdobył Wielkie Miasto, dumną, pełną pychy stolicę Bizancjum. Kiedy powiedział: »Pracujemy dla sułtana«, dokładnie to miał na myśli, choć urodził się pół tysiąca lat po śmierci Mehmeda. Za oknami salonu z wolna zachodziło słońce, rzucając różowawy blask na szeroką twarz Turguta i nadając jej szlachetne rysy. Pomyślałem, jak bardzo zafascynowałby Rosiego turecki profesor, w którym ujrzałby żywą historię. Przez chwilę zastanawiałem się, jakie by mu zadał pytania - pytania, których ja nawet nie zacząłem jeszcze formułować.

Dopiero Helen stanęła na wysokości zadania. Podniosła się z sofy - a my wraz z nią - i wyciągnęła do Turguta dłoń.

»Czujemy się zaszczytzeni tym, że dopuściliście nas do tej tajemnicy - oświadczyła, patrząc mu odważnie w twarz. - Dochowamy jej w imię waszego sułtana, profesorze«.

Wyraźnie poruszony Turgut pocałował ją w dłoń, a Selim Aksoy nisko się uklonił. Ja nie miałem nic więcej do powiedzenia. Odrzucając całą nienawiść do ciemniczków swego narodu, odpowiedziała za nas oboje.

Moglibyśmy tak stać do końca dnia, spoglądając na siebie w milczeniu, gdyby nie zadzwonił nagle telefon. Gospodarz przeprosił nas ruchem ręki, przeszedł przez pokój i podniósł słuchawkę. Pani Bora zaczęła zbierać na miedzianą tacę resztki jedzenia. Turgut słuchał dłuższy czas, przyciskając do ucha słuchawkę, powiedział coś bardzo wzburzony i gwałtownie ją odłożył. Odwrócił się do Selima i przez chwilę rozmawiali szybko po turecku. Aksoy natychmiast nałożył podniszczoną kurtkę.

»Coś się wydarzyło?« - zapytałem.

»Niestety, tak. - Wyglądził poły swej marynarki. - Bibliotekarz Erozan. Człowiek, który miał go pilnować, wyszedł na chwilę i Erozan został ponownie zaatakowany. Jest nieprzytomny, a strażnik wezwał lekarza. Sytuacja jest poważna. Był to trzeci atak, i to tuż przed zachodem słońca«.

Wstrząśnięty do głębi sięgnąłem po marynarkę, a Helen, mimo że pani Bora błagalnie położyła jej na ramieniu dłoń, włożyła buty. Turgut pocałował żonę i spiesznie opuściliśmy mieszkanie. W ostatniej chwili zobaczyłem ją w progu drzwi. Była blada i przerażona".

52

- Jak będziemy spać? - spytał niepewnie Barley.

W Perpignan wynajęliśmy w hotelu dwuosobowy pokój, mówiąc podstarzałemu recepcjoniście, że jesteśmy rodzeństwem.

Dał nam klucz, choć mamrotał coś pod nosem, rzucając w naszym kierunku podejrzliwe spojrzenie. Nie stać nas było na dwa osobne pokoje. Popatrzyliśmy na rozłożyste łóżko. Innego miejsca nie było, nawet dywanu na wypolerowanej podłodze. W końcu decyzję podjął Barley. Kiedy stałam jak wmurowana, ruszył do łazienki ze szczoteczką do zębów i nocnym ubraniem. Niebawem pojawił się przebrany w bawełnianą piżamę, jasną jak jego czupryna.

Jego wygląd i nonszalancja sprawiły, że wybuchnęłam śmiechem. Po chwili on również się roześmiał i przez długą chwilę oboje zaśmiewaliśmy się aż do łez. Barley dosłownie łapał się za chudy brzuch, ja trzymałam się szafy na ubrania. Tym histerycznym śmiechem odreagowałam całe napięcie, jakie towarzyszyło mi podczas podróży, niezadowolenie

Barleya, pełne udreki listy mego ojca, nasze sprzeczki. Wiele lat później poznałam termin *fou rire* - zaraźliwy śmiech - on właśnie dopadł mnie po raz pierwszy w tamtym francuskim hotelu. Zataczając się ze śmiechu, ruszyliśmy ku sobie. Barley raczej niezdarnie wziął mnie w ramiona, ale jego pocałunek był wręcz anielski, sprawił, iż poczułam zawrót głowy, taki sam jaki spowodował napad niepohamowanego śmiechu.

Moja wiedza o fizycznej miłości brała się tylko z delikatnych filmów

i dziwnych książek, więc nie wiedziałam dobrze, co mam robić. Ale Barley to rozumiał, a ja, choć niezdarnie, poddawałam się jego zabiegom. Kiedy padliśmy na schludnie zasłane, choć trochę zatechłe łóżko, wiedziałam już co nieco na temat strategii kochanków i ich ubrań. Każda część garderoby stanowiła dla mnie ogromny problem. Najpierw górna część piżamy Barleya. Ujrzałam jego alabastrowy tors i zadziwiająco umięśnione ramiona. Zdjęciem mojej bluzki i paskudnie białego stanika zajął się zarówno Barley, jak i ja sama. Oświadczył, że uwielbia kolor mojej skóry, gdyż jest zupełnie inna od jego - moje ramię nigdy nie miało tak oliwkowej barwy, jak w chwili, gdy spoczywało na śnieżno-białym torsie Barleya. Przeciągnął dłońmi po moim ciele i resztkach odzieży, jakie na mnie pozostały. Ja uczyniłam to samo i po raz pierwszy poznałam kontury męskiego ciała. Czułam się, jakbym nieśmiało macała kraterę na Księżycu. Serce z łoskotem objęło mi się o żebra.

A było jeszcze tyle do zrobienia, gdyż nie zdjęliśmy z siebie ubrań do końca. Zdawało się, że upłynęły wieki, zanim Barley nie nakrył mnie ciałem i obejmując zaborczo ramionami, odezwał się cichym, zdławionym szeptem:

- Przecież jesteś jeszcze dzieckiem.

Kiedy to powiedział, zrozumiałam, że on również jest dzieckiem, dzieckiem bardzo honorowym. Sadzę, iż nigdy w życiu nie kochałam nikogo tak, jak jego w tamtej chwili.

53

„Wynajęte mieszkanie, w którym Turgut zostawił Erozana, znajdowało się w odległości dziesięciu minut marszu... a raczej biegu, gdyż całą drogę przebyliśmy bardzo szybko. Helen, w swoich czółenkach, dzielnie

za nami podążała. Turgut mruczał coś pod nosem (byłem przekonany, że szpetnie przeklina). Dźwigał dużą, czarną torbę, zapewne z medykamentami, na wypadek, gdyby jeszcze nie pojawił się lekarz. W końcu zaczęliśmy się wspinać po stromych, drewnianych schodach starego domu. Na samej górze Turgut otworzył drzwi.

Dom podzielono na obskurne mieszkanek. Główny pokój wynajętego lokum umeblowano tylko łóżkiem, krzesłami i stołem. Wszystko to oświetlała zawieszona pod sufitem lampa. Przyjaciel Turguta leżał na podłodze przykryty kocem. Obok niego siedział mężczyzna, który podniósł się na nasz widok. Miał około trzydziestu lat i jękając się, wybełkotał słowa powitania. Był wprost oszalały ze strachu i pełen skruchy. Wykręcając nerwowo palce u rąk, zaczął tłumaczyć coś zawile Turgutowi, ale ten odepchnął go i wraz z Selimem przykleknął przy Erozanie. Nieszczęsna ofiara miała twarz barwy popiołu, oczy zamknięte, chrapliwy, urywany oddech i w okropny sposób rozdartą szyję. Takiej rany jeszcze w życiu nie widziałem. Ale najbardziej przerażające było to, że z rozległej rany o poszarpanych brzegach nie płynęła krew. A przecież krwi powinno być mnóstwo. Na myśl o tym, co to znaczy, ogarnęła mnie fala mdłości. Objąłem Helen i niezdolni odwrócić wzroku, w milczeniu obserwowaliśmy ten straszny widok.

Turgut zbadał ranę, nie dotykając jej, po czym uniósł głowę i popatrzył w naszą stronę.

»Niedawno ten idiota, nie konsultując się ze mną, udał się po jakiegoś obcego lekarza, ale tego na szczęście nie było w domu. I łaska boska, bo nie potrzebujemy tu żadnych lekarzy. Ale, niestety, pozostawił Erozana samego tuż przed zachodem słońca«.

Powiedział coś Selimowi, a ten zerwał się z ziemi i z siłą, jakiej bym się po nim nie spodziewał, wyrzwał nieszczęsnego strażnika w twarz, po czym wykopał go z mieszkania. Usłyszeliśmy odgłos jego kroków, gdy przerażony zbiegał po schodach.

Aksoy dokładnie zaryglował drzwi i podszedł do okna, by upewnić się, że tamten już nie wróci. Następnie znów uklękł obok Turguta i zaczęli rozmawiać ścisłymi głosami.

Po chwili Turgut sięgnął po torbę, którą ze sobą przyniósł. Wyciągnął z niej znajomy mi już zestaw do zabijania wampirów, taki sam, jaki dał mi przed ponad tygodniem w swoim gabinecie, z tym tylko, że ta skrzynka była bardziej wystawna, z arabskimi napisami i inkrustowana macicą

perłową. Po kolei zaczął wyklądać jej zawartość, a następnie znów popatrzył w naszą stronę.

»Profesorze - powiedział cicho. - Mój przyjaciel został ukąszony przez wampira co najmniej trzy razy i teraz umiera. Jeśli umrze naturalną śmiercią, niebawem przekształci się w nieumarłego. - Otarł z czoła pot. - To straszny widok i muszę was prosić o opuszczenie pokoju. Madame, nie może pani na to patrzeć«.

»Zrobimy wszystko, żeby ci pomóc« - odrzekłem z wahaniem, a Helen dała krok do przodu.

»Proszę pozwolić mi zostać - poprosiła cicho. - Chcę zobaczyć, jak to się robi«.

Przez chwilę zastanawiałem się, po co jej taka wiedza, lecz natychmiast naszała mnie trochę absurdalna refleksja, że jest przecież antropologiem. Turgut obrzucił ją płonąącym wzrokiem, dał milczące przyzwolenie

i znów pochylił się nad przyjacielem. Ciągłe odnosiłem wrażenie, że śnię, że wszystko to nie dzieje się naprawdę, ale Turgut wymamrotał coś do ucha przyjaciela i chwycił rękę Erozana.

I wtedy - było to najokropniejsze ze wszystkiego, co nastąpiło - Turgut przycisnął jego dłoń do swojego serca i przenikliwym głosem wzniosł pieśń. Jej słowa zdawały się dobiegać do nas z otchłani historii, zbyt starożytnej i obcej, abym mógł rozróżnić poszczególne słowa. Zawodzenie przypominało głos muezinów nawołujących wiernych do modlitwy ze wszystkich minaretów miasta. Wołanie Turguta jednak wzywało bardziej do piekła. Budzące przerażenie tony przywodziły na myśl tysiące osmańskich obozów wojskowych, miliony tureckich żołnierzy. Oczyma duszy ujrzałem powiewające proporce, bryzgi krwi wznoszone końskimi kopytami, włócznie i półksiężyce, błysk słońca we wzniesionych do ciosu bułatach, a w koleczkach skrwawione młode twarze, poobcinane głowy i posiekane ciała. Usłyszałem wrzask wojowników oddających dusze w ręce Allaha oraz dobiegający z daleka płacz ich matek i ojców. Poczulem okropny odór płonących domostw, smród wyprutych wnętrzności, cierpką *woń* armatniego prochu, trudny do zniesienia odór palących się namiotów i końskiego ścierva.

Ale najbardziej zdumiewające było to, że w owej rozpaczliwej, wzniesionej do krzyku modlitwie wychwyciłem dwa słowa: »*Kiziklu Bey!* Palownik!«. Pośród całego chaosu odniosłem wrażenie, iż dostrzegam różniącą się od pozostałych, przybraną w czerń postać, która, na roz-

buchanym wojennym zapalem wierzchowcu, ścinała mieczem tureckie głowy, toczące się potem ciężko po ziemi w stożkowatych hełmach.

Turgut zamilkł, a ja spostrzegłem, że stoję obok niego i spoglądam na konającego mężczyznę. Helen nie odstępowała mnie na krok. Otworzyłem usta, by zadać jej pytanie, ale spostrzegłem, że również jest pod głębokim wrażeniem rozzdzierającej inkantacji Turguta. Zdawałem sobie sprawę z tego, iż w jej żyłach płynie krew Palownika. Popatrzyła w moją stronę i choć na jej twarzy malowało się przerażenie, zachowywała kamienny spokój. Jednocześnie dotarło do mnie, że odziedziczyła również cechy Rossiego - delikatne, patrycjuszowskie, toskańskie, wyniesione z jego anglosaskiego pochodzenia. W jej oczach malowała się nieporównywalna z niczym łagodność jego spojrzenia. W tej chwili pomyślałem sobie, iż poślubiłem ją nie w nudnym kościele w rodzinnej miejscowości ani też przed obliczem pastora, ale tam, na tym polu, o którym śpiewał Turgut. I postanowiłem trwać przy niej wiernie do końca życia.

Turgut, w milczeniu, położył różaniec na szyi swego przyjaciela, co sprawiło, że ciało Erozana lekko zadrżało, po czym wyjął z wyłożonego satyną pudełka dłuższy od mojej dłoni, lśniący srebrem przedmiot.

»Nigdy jeszcze tego nie robiłem. Boże, wybacz mi« - powiedział.

Rozchylił koszulę Erozana. Ujrzałem starczą skórę, tors pokryty siwymi włosami, unoszący się i opadający w niespokojnym oddechu. Selim podał mu cegłę, służącą do blokowania drzwi. Turgut przez chwilę ważył ją w dłoni. Przystawił ostrze kołka do lewej piersi rannego i rozpoczął cichą inkantację, którą mgliście zapamiętałem - z jakiejś książki, filmu, rozmowy? - *nAllahu akbar, Allahu akbar, Allah jest wielki*. Zdawałem sobie sprawę z tego, że ani Helen, ani ja nie chcemy opuszczać pokoju, ale ująłem ją za łokieć, zmuszając do cofnięcia się, kiedy cegła opadła. Ramię Turguta było mocarne i pewne. Selim trzymał kołek pionowo. Rozległo się tępe uderzenie, srebro pograżyło się w ciele. Trysnęła krew, barwiąc na karmazynowo bladą skórę. Erozan wykrzywił w konwulsji twarz, szczerząc żółtawe, wilcze kły. I Helen, i ja nie mogliśmy oderwać wzroku od przerażającego widowiska. Ciało bibliotekarza dygotało szaleńczo. Kołek Turguta wszedł po samą nasadę i turecki profesor wyprostował się, jakby na coś czekając. Usta mu drżały, po twarzy spływały grube krople potu.

Po chwili ciało Erozana znieruchomiało, twarz skamieniała, usta opadły, z piersi wydobyło się ostatnie westchnięcie. Przestał rzucać sto-

pami w niebywale wytartych skarpetkach. Z całych sił tuliłem do siebie Helen. Czułem, jak drży, choć do końca zachowywała kamienny spokój. Turgut ujął bezwładną już dłoń swego przyjaciela i złożył na niej pocałunek. Po jego rumianej twarzy spływały łzy, kapiąc na wąsy. Zasłonił dłonią twarz. Selim dotknął czoła martwego bibliotekarza i położył ręce na zgarbionych plecach Turguta.

Niebawem *Turgut zebrał się w sobie i dźwignął z podłogi. Halaśliwie wytarł nos w chusteczkę.*

»To był bardzo dobry człowiek - oświadczył. - Teraz spoczywa w li-tościwych ramionach Mahometa i nie dołączył do legionów piekła. - Odwrócił się i otarł łzy. - Przyjaciele, musimy pozbyć się tego ciała. Znam doktora w jednym ze szpitali, który nam w tym pomoże. Muszę do niego zadzwonić. Tymczasem mieszkania będzie strzegł Selim. Później pojawi się tu lekarz i ambulans. Doktor wystawi odpowiedni akt zgonu«.

Turgut wyjął z kieszeni kilka ząbków czosnku i delikatnie wsunął je w usta zmarłego. Selim wyrwał z jego ciała kołek, dokładnie umył go w zlewie w rogu pokoju i włożył do pięknej skrzynki. Turgut starł wszelkie ślady krwi, zabandażował pierś Erozana, zapiął mu koszulę i przy mojej pomocy nakrył ciało prześcieradłem. Martwy miał już normalną twarz.

»A teraz, przyjaciele, muszę prosić was o jeszcze jedną przysługę. Byliście świadkami, na co stać nieumarłego, i wszyscy wiemy, że tacy istnieją. Musicie nieustannie się strzec. I koniecznie udać się do Bułgarii, i to najszybciej, jak się da. Kiedy już ułożycie plany, zadzwoncie do mnie. - Popatrzył na mnie twardym wzrokiem. - Gdybyśmy się już przed *waszym wyjazdem nie zobaczyli, życzę powodzenia. Będę nieustannie myślnami przy was. Zadzwoncie, jak tylko wrócicie do Stambułu; jeśli wrócicie*«.

Serdecznie uściśnął nam ręce, a Selim nieśmiało pocałował dłoń Helen.

»Chodźmy stąd« - powiedziała, biorąc mnie za rękę, i wprowadziła z posepnego mieszkania.

Szybko zbiegliśmy po schodach i wyszliśmy na ulicę".

„Moje pierwsze wrażenie z Bułgarii - i tak już pozostało mi w pamięci - to góry widziane z samolotu. Góry wysokie i mroczne, pokryte bujną zielenią. Dostrzegłem zaledwie kilka brązowych nitek traktów prowadzących pośród urwisk do nielicznych wiosek. Obok mnie siedziała spokojnie Helen, patrzyła przez okno i ścisnęła moją dłoń ukrytą pod rozłożoną między nami kurtką. Czulem jej ciepłą rękę, delikatne palce bez żadnych pierścionków. Od czasu do czasu widzieliśmy przecinające urwiska niebieskawe linie. Były to zapewne górskie potoki. Obserwując je, próbowałem bezskutecznie wyszukać wzrokiem sylwetkę smoka ze spletanym ogonem, który stanowiłby rozwiązanie naszej zagadki. Niczego jednak podobnego nie wypatrzyłem.

Bo i nic tu takiego nie ma, napominałem się w duchu, to tylko mrzonki, jakie wywołuje we mnie widok dzikich gór. Ich tajemniczość nie-tnięta cywilizacją, brak wioski i miasteczek napawały mnie jednak nadzieją. Odnosiłem wrażenie, że im głębiej przeszłość została pogrzebana w tej krainie, tym bardziej mogła przetrwać. Mnisi przemierzali zapewne te zapomniane, górskie szlaki, nad którymi teraz się unosiliśmy, ale nie znaleźliśmy dokładnie ich drogi. Powiedziałem o tym Helen, chcąc upewnić się w swoich nadziejach, ale ona tylko pokręciła głową.

»Nie wiemy nawet, czy dotarli do Bułgarii, ani również, czy w ogóle do niej wyruszyli«.

Złagodziła suche stwierdzenie historyka delikatną pieśczętą mojej dłoni.

»Zupełnie nie znam historii Bułgarii - powiedziałem. - Czuję się jak dziecko we mgle«.

Helen przesłała mi łagodny uśmiech.

»Też nie jestem ekspertem, ale mogę ci powiedzieć, że Słowianie przybyli na te tereny w szóstym i siódmym wieku. Według źródeł tureckich w siódmym. Zjednoczyli się pod berłem bizantyjskim... mądrze... a ich pierwszym władcą był Asparuch. W drugiej połowie dziewiątego wieku car Borys I przyjął chrześcijaństwo. Był wielkim bohaterem i Bułgaria stanowiła potęgę aż do czasu, gdy Turcy skruszyli ją w roku tysiąc trzysta dziewięćdziesiątym trzecim«.

»A kiedy ich wypędzono?«

»Dopiero w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym ósmym. Bułgarom pomogła w tym Rosja«.

»I wtedy Bułgaria przystąpiła w obu wojnach do państw Osi«.

»Po drugiej wojnie Sowieci przeprowadzili rewolucję. Ale co mogliśmy zrobić bez armii radzieckiej ?«

Helen obdarzyła mnie słodkim, a jednocześnie gorzkim uśmiechem. Czule uścisnąłem jej dłoń.

»Mów trochę ciszej - powiedziałem. - Jeśli nie ty, to ja muszę dbać o nasze bezpieczeństwo«".

„Port lotniczy w Sofii był bardzo mały. Spodziewałem się pałacu współczesnego komunizmu, a wysadzono nas na wysmołowanym pasie startowym. Ruszyliśmy nim pokornie ze współpasażerami. Sądząc po ich języku, większość z nich była Bułgarami. Przystojni mężczyźni, niektórzy aż za bardzo - przedziwna mieszanina typów ludzkich. Słowianie o białej skórze i ciemnych oczach lub śniadzi i ogorzali, kalejdoskop ras ludzkich o krzaczastych, czarnych brwiach, o sterczących, zakrzywionych nosach lub o spłaszczonych nozdrzach. Młode kobiety ze skręconymi w loki włosami o szlachetnych czołach oraz krzepcy starcy, którym pozostało zaledwie kilka zębów. Wszyscy śmiali się, gadali, rozdawali przyjacielskie kuksańce. Wysoki mężczyzna mówił coś do swego towarzysza, gestykulując trzymaną w ręku zwiniętą gazetą. Ich stroje w niczym nie przypominały zachodnich ubrań, choć trudno mi dokładnie określić, co aż tak obcego było w kroju ich marynarek i koszul, w ich masywnych butach i ciemnych kapeluszach.

Zauważyłem też w tych *ludziach dziwną*, z trudem skrywaną radość, że dotknęli stopami bułgarskiej ziemi - a raczej asfaltu - i do dziś towarzyszy mi ów hiepokojący obraz narodu tak silnie związanego z Sowietami, przywiązanego do Stalina, mimo że od jego śmierci minął już rok. Smutny i posępny naród pogrążony w fantasmagorycznym śnie, z którego zapewne nigdy się już nie przebudzi. Trudności z uzyskaniem bułgarskiej wizy w Stambule - długie podchody dobrze oliwione sułtańskimi pieniędzmi Turguta i licznymi telefonami Evy do jej odpowiednika w Bułgarii - wzmogły we mnie niepokój co do tego kraju. Bezdušní urzędnicy węgierscy, tak niechętnie wbijający nam w paszporty wizy, wydawali się wręcz aniołami w porównaniu z pracownikami ambasady

bułgarskiej. Helen wyznała mi, że sam fakt, iż ambasada bułgarska udzieliła nam wiz, budzi w niej głęboki niepokój.

Sami Bułgarzy sprawiali wrażenie, jakby należeli do innej rasy. Kiedy weszliśmy do budynku portu lotniczego i ustawiliśmy się w kolejce do odprawy celnej, ogarnął nas jeszcze większy zgłęb ludzkich głosów. Stojący za barierami bliscy i krewni witali przybywających głośniejszymi okrzykami. Nad ich głowami pojawiło się mnóstwo machających rąk. Ludzie deklarowali przywiezione ze Stambułu niewielkie ilości pieniędzy i prezenty. Gdy przyszła nasza kolej, uczyniliśmy to samo. Na widok naszych paszportów brwi młodego oficera zniknęły po prostu pod daszkiem czapki. Zabrał nasze dokumenty i dłuższą chwilę konferował o czymś z innym funkcjonariuszem.

»Niedobry znak« - mruknęła pod nosem Helen.

Otoczyło nas kilka umundurowanych postaci, a urzędnik najwyższej rangą zaczął zadawać pytania po niemiecku, następnie po francusku, a w końcu łamaną angielszczyzną. Zgodnie z instrukcją Cvy pokazałem list wystawiony przez uniwersytet w Budapeszcie z prośbą, by rząd Bułgarii okazał nam wszelką pomoc w prowadzonych przez nas niezwykle istotnych badaniach, oraz drugi list od znajomego ciotki Helen zatrudnionego w bułgarskiej ambasadzie.

Nie wiem, jak oficer, posługujący się mieszkanką angielskiego, węgierskiego i francuskiego, odniósł się do pisma z uniwersytetu budapeszteńskiego, ale pismo z ambasady było w języku bułgarskim i nosiło oficjalną pieczęć. Funkcjonariusz długo je studiował, marszczył krzaczaste brwi, tak że prawie opadały mu na nos. Na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia, po czym popatrzył na nas ze zdumieniem. Zaniepokoiło mnie to bardziej niż jego wcześniejsza, nieskrywana wrogość, jaką nam okazywał. Odniosłem wrażenie, że Eva nie do końca powiedziała nam, co jest w tym liście. Nie mogłem o nic pytać i czułem się bezradny jak rozbitek pośrodku morza, kiedy funkcjonariusz szeroko się uśmiechnął i po bratersku klepnął mnie w plecy. Ruszył do telefonu na zapleczu komory celnej i przez dłuższy czas próbował się z kimś połączyć. Dręczył mnie niepokój, gdy uśmiechając się do słuchawki, nieustannie zerkał w naszą stronę. Stojąca obok mnie Helen poruszyła się nerwowo. Pojąłem, że rozumie z tego wszystkiego znacznie więcej niż ja.

Oficer teatralnym gestem odłożył słuchawkę, pomógł zabrać nasze nieco przykurzone walizki i udaliśmy się do lotniskowego barku. Tam postawił nam po szklaneczce idącej mocno do głowy wódki zwanej rakija. Wypytywał w różnych łamanym językach, kiedy przyłączyliśmy się do rewolucji i jak długo należymy do partii. Jego pytania wcale mnie nie uspokoiły. Zastanawiałem się nad niedokładnością naszego listu polecającego, ale całą inicjatywę przekazałem Helen, grzecznie się uśmiechałem i dawałem zdawkowe, wymijające odpowiedzi. On wznosił toasty za międzynarodowe braterstwo klasy robotniczej i co chwila napełniał kieliszki. Gdy któreś z nas mówiło coś, jakieś frazesy i komunały, na temat wizyty w jego przepięknym kraju, z szerokim uśmiechem kręcił przecząco głową. Byłem coraz bardziej zdenerwowany i dopiero Helen wyjaśniła mi szeptem, że osobliwością kultury bułgarskiej jest to, iż na znak zgody kręca przecząco głową, a na znak dezaprobaty kiwają na tak.

Kiedy byłem już tak napompowany rakiją, że myślałem, iż zwymiotuję, pojawił się mężczyzna o posępnej twarzy, w ciemnym garniturze i kapeluszu. Był odrobinę młodszy ode mnie i można by go uznać za całkiem przystojnego, gdyby nie ponury wyraz malujący się na jego obliczu. Ale nawet czarne wąsy ani ciemne włosy opadające mu zalotnie na czoło nie potrafiły skryć gniewnego wyrazu twarzy. Oficer powołał go z szacunkiem i przedstawił jako naszego przewodnika po Bułgarii. Zaznaczył przy tym, że spotyka nas wielki zaszczyt, ponieważ Krasimir Ranow cieszy się wielkimi względami rządu bułgarskiego, a ponadto związany jest z uniwersytetem w Sofii i doskonale zna wszystkie interesujące miejsca w ich starożytnym kraju o pełnej chwały tradycji i historii.

Oszołomiony ilością wypitej wódki, uściśnąłem zimną jak ryba dłoń mężczyzny, wznosząc w duchu modły do Boga, byśmy nie musieli podróżować po Bułgarii w asyście oficjalnego przewodnika. Helen jednak wykazała więcej zrozumienia sytuacji i powitała go w miarę miło. Pan Ranow, który nie odezwał się dotąd słowem, od samego początku, jeszcze nim oficer oznajmił zbyt tubalnym głosem, że Helen jest Węgierką i studiuje w Stanach Zjednoczonych, okazywał jej wielką niechęć. Wyrażało się to w jego grymasie twarzy i krzywym uśmiechu.

»Madame profesor« - powiedział krótko i odwrócił się do nas plecami.

Rozpromieniony celnik uściśnął nam dłonie, a mnie klepnął mocno

w ramię, jakbym był jego najlepszym kumplem, i wskazał, że mamy udać się za Ranowem.

Przed lotniskiem Ranow zatrzymał taksówkę o bardzo staroświeckim wnętrzu. Czarne fotele wypchane były zapewne jeszcze końskim włosiem. Z siedzenia obok kierowcy oświadczył nam, że zarezerwował nam pokoje w najlepszym hotelu.

»Myślę, że się wam spodoba. Poza tym mają tam pierwszorzędną restaurację. Spotkamy się w niej jutro rano przy śniadaniu. Wtedy wyjaśnicie mi przedmiot swych badań, a ja wam wszystko zorganizuję. Niewątpliwie zechcecie spotkać się z naukowcami z uniwersytetu w Sofii, jak też z ministrami. Później udamy się na krótką wycieczkę po najbardziej interesujących historyków miejscach Bułgarii«.

Uśmiechnął się kwaśno. Patrzyłem na niego z coraz większym przerażeniem. Jego angielski był zbyt dobry. Mówił ową beznamiętną angielszczyzną z płyt do nauki języka w trzydzieści dni.

Poza tym jego twarz była mi w jakiś sposób znajoma. Żywiłem przekonanie, że nigdy go wcześniej nie spotkałem, choć miałem pewność, iż już go gdzieś widziałem, lecz, na Boga, nie pamiętałem gdzie. Przez cały pierwszy dzień pobytu w Sofii, po której zostaliśmy aż zanadto dobrze oprowadzani, ta myśl mnie prześladowała. Samo miasto jednak było cudowne. Stanowiło mozaikę dziewiętnastowiecznej architektury, średniowiecznego splendoru i lśniących nowością budowli socrealistycznych. W centrum Sofii odwiedziliśmy ponure mauzoleum z zabalsamowanym ciałem stalinowskiego dyktatora Georgi Dymitrowa, który zmarł pięć lat wcześniej. Przed wejściem do budynku Ranow zdjął kapelusz i przepuścił nas przodem. Dołączyliśmy do szeregu Bułgarów przesuujących się przed otwartą trumną Dymitrowa. Twarz dyktatora miała barwę wosku. Zdobił ją taki sam jak u Ranowa wąs. Pomyślałem o Stalinie, którego podobno w ubiegłym roku położono obok Lenina w takim samym sanktuarium na placu Czerwonym. Najwyraźniej ateści również dbają o relikwie swoich świętych.

Moje przeczucia co do naszego przewodnika sprawdziły się, kiedy zapytałem go, czy mógłby skontaktować nas z Antonem Stoiczewem. Ranow skrzył się jak sprężynka.

»Pan Stoiczew jest wrogiem ludu - oświadczył poirytowanym głosem. - Dlaczego chcecie się z nim spotkać? - Zamilkł na chwilę, po czym dodał dziwnym tonem: - Oczywiście, jeśli chcecie, mogę organi-

zować z nim spotkanie. Nie wykląda już na uniwersytecie. Jego przekonania religijne nie odpowiadają naszej młodzieży. Ale jest sławny i zapewne z tego względu chcecie się z nim spotkać»".

„»Ranow obiecał, że spełni każde nasze życzenie - powiedziała Helen, kiedy znaleźliśmy dla siebie chwilę poza hotelem. - Dlaczego? Komu to służy?»

Popatrzyliśmy na siebie z lękiem.

»Sam chciałbym to wiedzieć«.

»Musimy bardzo uważać - powiedziała cicho Helen zatroskanym głosem, a ja bałem się pocałować ją w publicznym miejscu. - Umówmy się, że przy nim będziemy rozmawiać tylko o sprawach zawodowych, a i to jak najmniej«.

»Zgoda«".

55

„Przez ostatnie lata nieustannie wspominam chwilę, kiedy po raz pierwszy ujrzałem dom Antona Stoiczewa. Zapewne wywarł na mnie tak wielkie wrażenie poprzez kontrast między wielkim miastem a zaciszem, w jakim przebywał, jak też ze względu na osobowość Stoiczewa. Sam widok bramy prowadzącej do jego domu sprawił, iż poczułem, że nasze spotkanie stanowić będzie punkt zwrotny w poszukiwaniach Rossiego.

Znacznie później, ilekroć czytałem o monasterach znajdujących się poza murami bizantyjskiego Konstantynopola, o sanktuariach niestrzeżonych potężnymi murami miasta, gdzie ludzie uciekali przed restrykcjami, jakie narzucała im wielka metropolia i sztywne nakazy kościelnych rytuałów, przypominałem sobie Stoiczewa. Pamiętałem jego ogród z rozłożystymi jabłoniami i wiśniami, dom z rozległym dziedzińcem, szum młodych liści i pomalowane na niebiesko ule, podwójne, starodawne, drewniane wrota, które oddzielały nas od gwarne go świata, ciszę i spokój po dobrowolnej ucieczce w takie ustronie.

Staliśmy przed bramą, a wzbity kołami kurz opadał wolno na samochód Ranowa. Helen pierwsza odciągnęła jeden ze starodawnych rygli w bramie. Ranow skurczył się w sobie, stał jak wmurowany w ziemię,

zupełnie jakby czuł wstręt do wejścia do środka. W pierwszej chwili zahipnotyzował mnie wprost ożywczy szum liści i bzyczenie pszczół, a jednocześnie ogarnął strach. Pomyślałem, że Stoiczew również w niczym nam nie pomoże i wrócimy do domu po długiej wędrówce prowadzącej donikąd. Wyobrażałem to już sobie setki razy: nasz powrotny lot do Nowego Jorku z Sofii lub ze Stambułu - bardzo chciałem jeszcze raz zobaczyć się z Turgutem - który odbędziemy w grobowym milczeniu. A później organizowanie sobie od nowa życia, już bez Rossiego. Nieustanne pytania, gdzie tak naprawdę byłem, kłopoty z wydziałem po mojej tak długiej nieobecności, powrót do pracy na temat holenderskich kupców - spokojnych, nieskomplikowanych ludzi - ale już pod kierunkiem innego, znacznie gorszego promotora, i do zamkniętych na głucho drzwi od gabinetu Rossiego. Najbardziej bałem się właśnie tych drzwi i śledztwa. »Tak więc panie... eee... Paul, o co właściwie chodzi? W dwa dni po zniknięciu promotora udał się pan w długą podróż?« Później krótka msza żałobna i kilka pytań na temat prac Rossiego, jego praw autorskich i majątku.

Powrót z Helen, którą cały czas trzymałbym za rękę, byłby wielkim pocieszeniem. Zamierzałem zapytać ją, czy mimo horroru, jaki wspólnie przeżyliśmy, zgodzi się zostać moją żoną. Ale wcześniej musiałbym zarobić trochę pieniędzy i zabrać ją do Bostonu, aby przedstawić swoim rodzicom. Pomyślałem tylko ze smutkiem, że nie będę mógł prosić o rękę Helen jej ojca. Patrzyłem, jak dziewczyna przekracza bramę.

Znaleźliśmy się ni to na podwórku, ni to w sadzie. Dom Stoiczewa stał na fundamencie z brązowoszarych kamieni połączonych wapienną zaprawą. Później dowiedziałem się, iż jest to odmiana granitu, z którego w dawnych czasach budowano w Bułgarii domy. Sam budynek wzniesiono ze złocistej, gładkiej cegły, jakby nasączonej przez długie lata słonecznym światłem. Dach pokrywała rurkowata, czerwona dachówka. Ściany domu i sam dach nadgryzł już nieco zęb czasu i budynek sprawiał wrażenie, jak gdyby sam z siebie wyrósł z ziemi, a teraz ponownie, stopniowo się w nią zapadał. Ocinające go drzewa próbowały zasłaniać ten proces. Jedna ściana domu była goła, na drugiej znajdował się treliaz z pnączami winogron. Obok pięły się jasne kwiaty róż. Pod kratownicą stał drewniany stół i cztery proste krzesła. Wyobraziłem sobie rozkoszny, chłodny cień rzucany przez liście winorośli w najgorętsze dni lata. Za domem, w najstarszej części sadu, majaczyły dwa ule, a za nimi, zalewany

słonecznym blaskiem, znajdował się wypielegnowany ogródek. Dotarł do mnie zapach ziół i zapewne lawendy, woń trawy i smażonej cebuli. Ktoś najwyraźniej bardzo dbał o to miejsce i prawie spodziewałem się ujrzeć przybranego w mnisi habit Stoiczewa, pochylającego się nad każdą roślinką.

Wtedy od strony rozpadającego się komina dobiegł nas śpiew. Nie był to niski baryton pustelnika, ale słodki, silny głos kobiecy, skoczna melodia, która poruszyła nawet Ranowa. Kulił się obok mnie z zapalonym papierosem w palcach i z zainteresowaniem rozglądał się wokół siebie.

»*hwinete!* - zawołał. - *Dobyr den!*«

Śpiew gwałtownie się urwał. Rozległ się szcęk garnków i po chwili w drzwiach domu Stoiczewa pojawiła się młoda kobieta. Wytrzeszczała oczy zdumiona, że ktokolwiek obcy mógł nawiedzić jej obejście.

Ruszyłem w stronę kobiety, ale wyprzedził mnie Ranow. Ściągnął z głowy kapelusz i ukłonił się przed nią po bułgarsku. Przyłożyła dłoń do twarzy i patrzyła na niego z ciekawością i niepokojem. Kiedy po raz drugi na nią spojrzałem, zauważyłem, że nie jest już tak młoda, jak mi się w pierwszej chwili wydawało. Emanowała z niej jednak taka energia i wigor, że od razu zrozumiałem, iż to ona właśnie dba o niewielki ogród i gotuje pyszne jedzenie, którego woń dobiegała z kuchni. Miała ciemne włosy odgarnięte z pucułowatej twarzy, a na czole pieprzyk. Krój oczu, ust i podbródka nadawały jej wygląd ślicznego dziecka. Białą koszulę i błękitną spódnicę zakrywał kuchenny fartuch. Zmierzyła nas ostrym spojrzeniem łagodnych zazwyczaj oczu i popatrzyła ostro na Ranowa. Natychmiast okazał jej swoją legitymację. Bez względu na to, czy była córką, czy też gospodynią Stoiczewa - może emerytowanych profesorów w komunistycznym kraju stać było na gosposię - najwyraźniej swój rozum miała. Ranow robił wszystko, żeby sprawiać miłe wrażenie. Odwrócił się w naszą stronę i z miłym uśmiechem przedstawił nam kobietę:

»To Irina Christowa - oświadczył, kiedy wymienialiśmy z nią uściski dłoni. - *Plemennica na profesor Stoiczew*«.

»*Plemennica?*«

Pomyślałem, że użył jakiejś metafory.

»Córka jego siostry« - wyjaśnił Ranow, zapalając kolejnego papierosa.

Podsunał Irinie paczkę, ale ta odmówiła. Kiedy wyjaśniliśmy jej, że

jesteśmy z Ameryki, oczy jej rozszerzyły się ze zdziwienia i popatrzyła na nas jeszcze bardziej podejrzliwie. Następnie wybuchnęła dźwięcznym śmiechem, choć nie wiedziałem, co ma on oznaczać. Ranow znów paskudnie się skrzywił - on nigdy nie wyglądał pogodnie dłużej niż przez kilka minut - po czym kobieta wprowadziła nas do domu.

Jego wnętrze sprawiło mnie wręcz w osłupienie. Z zewnątrz budynek sprawiał wrażenie sielskiej farmy, w środku, dokąd nie dochodziło jasne światło słońca, przypominał muzeum. Weszliśmy od razu do rozległego pokoju z kominkiem. Już same meble - przepięknie rzeźbione w ciemnym drewnie toalety z lustrami, wspaniałe krzesła i ławy - wzbudzały najwyższy podziw. Ale moją i Helen uwagę przykuły przede wszystkim unikatowe, ludowe tkaniny i prymitywne malowidła - głównie ikony, które swym pięknem przewyższały nawet te widziane w kościołach Sofii. Madonny o świetlistych oczach, święci o ściągniętych, wąskich ustach, wielcy i mali, ich złociste twarze zakute w pancerze ze srebra, apostołowie w łodziach i święci męczennicy z pokorą znoszący swe męczeństwo. Z pociemniałymi od dymu kadzideł barwami ikon kontrastowały porozwieszane na ścianach dywany i gobeliny wyszywane w geometryczne wzory, haftowana kamizela i szale obszyte srebrnymi cekinami. Helen wskazała na kamizelkę z pionowymi, wąskimi kieszeniami.

»To na kule« - wyjaśniła prosto.

Obok kamizeli wisiały dwa sztylety. Chciałem zapytać, kto chodził w tej kurtce, kto nosił w jej kieszeniach pociski, kto posługiwał się tymi sztyletami. W ceramicznej wazie ustawionej na stole stały róże i pierzaste liście paproci, nieprawdopodobnie żywe pośród zalegających izbę staroci. Posadzka była wyfroterowana na wysoki połysk, a za drzwiami otwierał się widok na inny, podobny, pokój.

Ranow rozejrzał się wokół siebie i pogardliwie parsknął.

»Moim zdaniem profesorowi Stoiczewowi pozwala się na posiadanie zbyt wielu skarbów naszej narodowej kultury. Powinny zostać sprzedane z korzyścią dla *naszego społeczeństwa*«.

Irina albo nie znała angielskiego, albo nie dała tego po sobie poznać. Poprowadziła nas po wąskich schodach na piętro. Nie wiedziałem, czego mamy się spodziewać na górze. Czy jakiejś posępnej nory, w której krył się stary profesor, czy też schludnej pracowni, takiej samej, pomyślałem z żalnością, w jakiej izolował się genialny, o błyskotliwym umyśle profe-

sor Rossi. Otworzyły się drzwi na piętrze i na podest schodów wyszedł siwowłosy, drobny, ale krzepki mężczyzna. Irina chwyciła go za ramię i ze śmiechem zaczęła mówić coś szybko po bułgarsku.

Starszy mężczyzna o zapadniętej twarzy obrzucił nas spokojnym, łagodnym spojrzeniem. Przez chwilę odnosiłem wrażenie, że spogląda w ziemię, choć tak naprawdę patrzył na nas. Dałem krok do przodu i podałem mu rękę. Uścisnął mi ją bez słowa i odwrócił się do Helen, która też wyciągnęła dłoń. Był bardzo grzeczny, bardzo oficjalny i cechowała go wielka godność osobista. Kiedy jego wzrok padł na Ranowa, również uścisnął mu dłoń, ale bardzo pobłażliwie. Coraz bardziej nie lubiłem naszego przewodnika. Z całego serca życzyłem sobie, by zostawił nas sam na sam z profesorem. Nie wyobrażałem sobie, jak zdołamy porozmawiać swobodnie ze Stoiczewem z krążącym wokół nas niczym utrapiona mucha Ranowem.

Profesor Stoiczew powoli odwrócił się i wprowadził nas do pokoju. Pokój ten, jak się okazało, był tylko jednym z kilku pomieszczeń na piętrze. Podczas naszych dwóch wizyt w tym domu nigdy nie dowiedziałem się, gdzie sypiają jego mieszkańcy. Na piętrze znajdował się długi, wąski salon, z którego prowadziły drzwi do kilku innych pokoi. Drzwi te były otwarte. Do środka wpadało słoneczne światło przefiltrowane przez zieleń rosnących za oknami drzew, skrząc się w grzbietach książek ustawionych na regałach zajmujących wszystkie ściany pomieszczeń, złożonych w drewnianych skrzynkach poustawianych na podłodze lub piętrzących się w nieładzie na stołach. Między nimi poniewierały się powyciągane z teczek dokumenty różnego kształtu i rozmiaru, wiele z nich niewiarygodnie starych. Tak, z całą pewnością nie był to schludny gabinet Rossiego. Gdziekolwiek patrzyłem, promienie słońca oświetlały stary papier welinowy, wytarą skórę, złote brzegi stron, guzowate, ozdobne okładki - czerwone, brązowe i koloru kości słoniowej, wspaniałe księgi, zwoje i rękopisy porzucane w gorączce pracy. Nie dostrzegłem jednak na nich śladu kurzu, żaden ciężki, kanciasty wolumin nie leżał na kruchych rękopisach. Otaczało mnie morze ksiąg i manuskryptów, jakich nie powstydziłoby się żadne muzeum, z tym tylko, że tam każdy z tych drogocennych eksponatów znajdowałby się w oddzielnej gablocie.

Na ścianie salonu wisiała prymitywna mapa wymalowana, ku memu zdumieniu, na skórze. Odruchowo do niej podszedłem, a Stoiczew się uśmiechnął.

»Podoba się panu? - zapytał. - To mapa Imperium Bizantyjskiego z około tysiąc sto pięćdziesiątego roku«.

Wtedy odezwał się do nas po raz pierwszy. Mówił czystą angielszczyzną.

»Bułgaria wchodziła wówczas jeszcze w jego skład« - zauważyła cicho Helen.

Stoiczew popatrzył na nią z wyraźnym zadowoleniem.

»Rzeczywiście. Sądzę, że mapę tę wyrysowano w Wenecji lub Genui. Przywieziono ją do Konstantynopola w prezencie cesarzowi lub jakiemuś dostojnikowi z jego dworu. To kopia, którą zrobił mi jeden z moich przyjaciół«.

Helen uśmiechnęła się, dotknęła szyi i prawie puściła do niego oko.

»Zapewne cesarzowi Manuelowi I z dynastii Komnenów?«

Zarówno ja, jak i Stoiczew popatrzyliśmy na nią ze zdumieniem. Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

»Bizancjum zawsze było moim hobby« - wyjaśniła.

Stary historyk rozpromienił się i złożył jej korny, dworski ukłon. Wskazał nam krzesła ustawione wokół stołu. Z miejsca, na którym siedziałem, widziałem podwórko i rozciągający się dalej sad. Na drzewach formowały się już zalążki owoców. Okna były otwarte i nieustannie docierał do nas szelest listowia oraz brzęczenie pszczoł. Wyobraziłem sobie, jak bardzo szczęśliwy musi być Stoiczew na swoim wygnaniu. Studiował manuskrypty i ukochane książki, pisał, słuchając kojących dźwięków dobiegających z ogrodu, których nie mogło stłumić rządzące twardą ręką państwo ani żaden biurokrata. Było to błogosławione więzienie, dobrowolne i przynoszące prawdziwą wolność.

Stoiczew nie odzywał się, choć obrzucał nas baczny spojrzeniem. Zapewne zastanawiał się nad celem naszej wizyty. W końcu odezwał się pierwszy:

»Profesorze Stoiczew, proszę wybaczyć nam tak nagłe najście i zakłócenie pańskiej samotności. Jesteśmy wdzięczni panu i pańskiej siostrzenicy, że wpuściliście nas do swego domu«.

Popatrzył na swoje dłonie pokryte starczymi plamkami, spoczywające na blacie stołu, po czym przeniósł wzrok na mnie. Miał czarne, bardzo młodzieńcze oczy, które mocno kontrastowały z jego postarzałą twarzą. Niewiarygodnie duże uszy, sterczące spod gładko zaczesanych, siwych włosów. W słonecznym blasku wydawały się prawie przezrocyste, a na

krawędziach różowe, jak uszy królika. Jego oczy, łagodne, a zarazem czujne, również kojarzyły się z tym płochliwym zwierzęciem. Zęby miał żółte i krzywe, na jednym z przednich nosił złotą koronkę. Ale kiedy uśmiechał się, jego twarz zmieniała się nie do poznania - jasna i pełna serdeczności, jakby dzikie zwierzę przyjmowało nieoczekiwane postać człowieka. Było to piękne oblicze - oblicze, które w czasach młodości tego człowieka przepełniała wiara i entuzjazm, oblicze, któremu nie sposób się oprzeć.

Stoiczew uśmiechnął się, zmuszając tym niejako Helen i mnie do wzajemnienia tego uśmiechu. Irina też przesłała nam promienne spojrzenie. Usiadła na krześle pod ikoną przedstawiającą jakąś postać - zapewne świętego Jerzego - przebijającą z wigorem włócznią dogorywającego smoka.

»Miło mi, że pofatygowaliście się państwo do mnie - oświadczył Stoiczew. - Nie mamy tu wielu gości, a już tacy, którzy mówią po angielsku, to prawdziwa rzadkość. Cieszę się, że mam okazję popraktikować ten język, gdyż nie mówię nim tak sprawnie, jak powinienem«.

»Ależ pańska angielszczyzna jest nieskazitelna - odparłem. - Jeśli wolno spytać, gdzie pan tak dobrze opanował ten język?«

»Pewnie, że wolno - odrzekł ze śmiechem Stoiczew. - Miałem szczęście studiowania w młodości za granicą, zwłaszcza w Londynie. Czy macie do mnie jakieś konkretne sprawy, czy chcecie tylko obejrzeć bibliotekę?«

Zdumiała mnie prostota i bezpośredniość tego pytania.

»I to, i to - odrzekłem szczerze. - Pragniemy zwiedzić pańską bibliotekę, a jednocześnie zadać kilka pytań dotyczących naszych badań. - Umilkłem na chwilę, szukając odpowiednich słów. - Panna Rossi

i ja jesteśmy głęboko zainteresowani historią Bułgarii w wiekach średnich. Wiem o niej znacznie mniej, niż powinienem, a piszemy pewną pracę...«

Zacząłem się plątać, gdyż tak naprawdę o historii Bułgarii nie wiedziałem nic poza krótkim wykładem, jaki dała mi Helen na pokładzie samolotu. Wiedziałem, że wyjdę na durnia w oczach tego wykształconego człowieka, strażnika historii swej ojczyzny. Poza tym chcieliśmy porozmawiać o sprawach bardzo osobistych, wręcz niewiarygodnych, które trudno było poruszać w towarzystwie rozpartego przy stole Ranowa.

»A zatem interesuje was średniowieczna Bułgaria?« - odezwał się

Stoiczew. Odniosłem wrażenie, że również obrzucił Ranowa króciutkim spojrzeniem.

»Tak - przybyła mi w sukurs Helen. - Interesuje nas monastyczne życie w średniowiecznej Bułgarii, na który to temat zamierzamy napisać kilka artykułów. Szczególnie interesuje nas życie w bułgarskich monasterach pod koniec średniowiecza, ciekawią nas szlaki, jakimi przybywali tu pielgrzymi z innych krajów, oraz drogi, którymi wędrowali bułgarscy pielgrzymi do ościennych krain«.

Oblicze starego profesora rozbłysło najwyższym zainteresowaniem. Pokiwał głową, przez co jego uszy stały się jeszcze bardziej przezroczyste.

»To bardzo interesujący temat. - Zapatrzył się w przestrzeń, jakby sięgał wzrokiem w otchłanie historii, w samą studnię czasu, w której dostrzegął o wiele więcej niż ktokolwiek inny na interesujący nas temat. - Czy zamierzacie pisać o czymś konkretnym? Wiele moich rękopisów może okazać się przydatne. Z największą przyjemnością dam je wam do przejrzania«.

Ranow poruszył się na krześle, a ja ponownie uświadomiłem sobie, jak bardzo nie lubię tego człowieka. Na szczęście cała jego uwaga skupiona była na pięknym profilu Iriny siedzącej po drugiej stronie stołu.

»Cóż, chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej o wieku piętnastym... konkretnie o jego drugiej połowie. Panna Rossi dokładnie zbadała ten problem w swoim ojczystym kraju, to znaczy...«

»W Rumunii - wtrąciła Helen. - Ale wychowałam się i skończyłam studia na Węgrzech«.

»Jesteśmy zatem sąsiadami. - Profesor Stoiczew przesłał jej łagodny uśmiech. - A więc ukończyła pani uniwersytet w Budapeszcie?«

»Tak«.

»Zna pani pewnie mego przyjaciela... profesora Sandora«.

»Naturalnie. Jest dziekanem wydziału historii. To mój bliski i serdeczny znajomy «.

»To miło... bardzo miło. Proszę mu przy najbliższej okazji przekazać ode mnie najgorętsze pozdrowienia«.

»Będę o tym pamiętać« - odparła z uśmiechem Helen.

»Kto jeszcze? Nikt inny nie przychodzi mi na myśl. Ale zainteresowało mnie pani nazwisko. Znam je. W Stanach Zjednoczonych... - odwrócił się w moją stronę, a ja z niepokojem zauważyłem, że Ranow spo-

gląda na nas zwięzonymi oczyma - mieszka znany historyk o nazwisku Rossi. Czy to jakaś rodzina?«

Ku memu zdumieniu na policzki Helen wystąpiły gorące rumieńce. Pomyślałem sobie, że albo nie jest jeszcze przygotowana na to, by przyznawać się do tego publicznie, może nigdy nie chciała już tego robić, a może sprawił to Ranow, który nieoczekiwanie zaczął z uwagą przysłuchiwać się naszej rozmowie.

»Tak - powiedziała krótko. - To mój ojciec, Bartholomew Rossi«.

Pomyślałem, że Stoiczew w naturalny sposób zdziwi się, dlaczego córka angielskiego historyka przyznaje się do tego, że jest Rumunką, a na dodatek wychowała się na Węgrzech. Jeśli jednak nawet nurtowało go to pytanie, zachował je dla siebie.

»Tak, to wielkie nazwisko. Napisał wiele bardzo interesujących książek. Zasięg jego zainteresowań jest wprost zdumiewający! - Klepnął się w czoło. - Kiedy studiowałem pewne jego wcześniejsze artykuły, sądziłem, że zostanie najwybitniejszym historykiem Bałkanów, ale później zarzucił ten temat i zajął się innymi zagadnieniami«.

Doznałem ulgi, gdy dowiedziałem się, że Stoiczew zna prace Rossiego i bardzo wysoko je ceni. Stanowić to mogło rodzaj listów uwierzytelniających, dzięki którym zdobędziemy jego zaufanie i zyczliwość.

»To prawda - powiedziałem. - Profesor Rossi jest nie tylko ojcem Helen, ale również moim promotorem. Pod jego kierunkiem piszę pracę doktorską«.

»No proszę! - Stoiczew złożył swe pobrużdżone żyłami dłonie na stole. - A na jakież to temat, jeśli wolno spytać?«

»Hmm. - Tym razem to ja się zaczerwieniłem. Miałem tylko nadzieję, że Ranow nie zauważył mego zmieszania. - O holenderskich gildiach kupieckich w siedemnastym wieku«.

»Zdumiewające - mruknął Stoiczew. - Nie powiem, to interesujący temat. Ale czy to on sprowadził pana do Bułgarii?«

»To długa historia - powiedziałem. - Wraz z panną Rossi podjęliśmy pewne badania na temat kontaktów Bułgarii z ortodoksyjną społecznością w Stambule po zdobyciu tego miasta przez Osmanów. Mimo iż temat ten nie ma żadnego związku z moją dysertacją, napisaliśmy wspólnie o tym kilka artykułów. Ostatnio nawet wygłosiłem odczyt podczas konferencji naukowej na uniwersytecie budapeszteńskim, dotyczący historii... pewnych części Rumunii pod panowaniem tureckim«.

Natychmiast zrozumiałem swój błąd. Ranow z pewnością nie wiedział o naszym pobycie w Budapeszcie i Stambule. Helen szybko pospieszyła mi z pomocą.

»Mamy nadzieję, że u pana znajdziemy stosowne materiały, które pozwolą nam zakończyć nasze badania w Bułgarii«.

»Naturalnie - odrzekł spokojnie Stoiczew. - Ale powiedzcie mi, co konkretnie interesuje was w historii naszych monasterów, pielgrzymich szlaków, a zwłaszcza w historii końca piętnastego wieku. To fascynujący okres w dziejach Bułgarii. Sami najlepiej wiecie, że po roku tysiąc trzysta dziewięćdziesiątym trzecim nasz kraj znalazł się pod osmańską dominacją, choć niektóre rejony zostały podbite dopiero w piętnastym wieku. Od tego czasu nasza kultura zachowała się tylko dzięki monasterom. Cieszy mnie to, że interesujecie się monasterami, ponieważ w nich można znaleźć najbogatszą schedę naszej narodowej kultury«.

Znów rozłożył ręce, patrząc na nas bacznie, jakby chciał wyczytać z naszych twarzy, ile zrozumieliśmy z jego słów.

»To prawda« - powiedziałem.

Nie wiedziałem, co mamy robić. W towarzystwie Ranowa mogliśmy prowadzić takie rozmowy w nieskończoność. A nie było przecież sposobu, by wyprosić go za drzwi. Jediną nadzieją była dwuznaczna, bezosobowa, naukowa dyskusja.

»Podejrzewamy, iż w piętnastym wieku istniały pewne powiązania między ortodoksyjną społecznością Stambułu a monasterami w Bułgarii«.

»To racja - zgodził się Stoiczew. - Zwłaszcza od czasu, gdy Mehmed Zdobywca poddał Kościół bułgarski jurysdykcji patriarchy Konstantynopola. Wcześniej nasz Kościół był niezależny i podlegał własnemu patriarche w Wielkim Tyrnowie«.

Poczułem podziw dla tego człowieka o wielkim umyśle i bardzo wyostrzonych zmysłach. Na moją bezsensowną w gruncie rzeczy uwagę odparł bardzo powściągliwie, grzecznie, a jednocześnie dostarczył kilku bardzo istotnych informacji.

»Rzeczywiście - odparłem. - A szczególnie interesuje nas... Ostatnio natrafiliśmy w Stambule na ciekawy list... - Ze wszystkich sił starałem się nie patrzeć w stronę Ranowa. - Ma on ścisły związek z Bułgarią, a dotyczy grupy mnichów udających się z Konstantynopola do waszego kraju. Z pewnych względów interesuje nas trasa ich wędrówki. Może byli pielgrzymami, ale co do tego nie mamy pewności«.

»Rozumiem - mruknął Stoiczew. Stał się jeszcze bardziej czujny, oczy mu rozbłysły. - Czy list ten jest datowany? Czy mógłby mi pan powiedzieć coś bliższego o treści listu, kto go pisał i gdzie go znaleźliście? Do kogo był adresowany... takie rzeczy, jeśli oczywiście to wiecie«.

»Naturalnie. Mamy ze sobą angielskie tłumaczenie, jak też kopię oryginału napisanego w języku starosłowiańskim. Sporządził ją dla nas w Stambule pewien mnich. Oryginał znajduje się w państwowym archiwum Mehmeda II. Może chce pan go osobiście przestudiować?«

Wyjąłem z teczki kopię, mając nadzieję, że Ranow również nie postanowi jej studiować.

Stoiczewowi rozbłysły oczy na widok tekstu.

»Ciekawy - powiedział, odkładając go ku memu rozczarowaniu obójtnie na stół. Pomyślałem, że w niczym nie jest nam w stanie pomóc, a nawet zwątpiłem, czy go dokładnie do końca przeczytał. - Moja droga - zwrócił się do siostrzenicy. - Czeka nas dłuższe grzebanie w papierach. Musisz naszym gościom zaoferować coś do jedzenia i do picia. Czy możecie przynieść karafkę z rakiją i coś do przekazania?«

Popatrzył uprzejmie na Ranowa.

Irina z radosnym uśmiechem zerwała się z miejsca.

»Oczywiście, wuju - powiedziała przepiękną angielszczyzną, a ja pomyślałem, że w tym domu nic już mnie nie zaskoczy. - Ale ktoś musi mi pomóc wnieść to wszystko po schodach«.

Ranow natychmiast zerwał się z miejsca, poprawiając czuprynę.

»Z największą ochotą pomogę ci, młoda damo« - oznajmił i ruszyli na dół. Jego kroki dudniły na drewnianych stopniach, a Irina szczebiotała coś po bułgarsku.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Stoiczew pochylił się i zaczął z wielką uwagą studiować list. Kiedy skończył, wyprostował się na krześle i uniósł wzrok. Jego twarz wydawała się o dziesięć lat młodsza.

»To niebywałe - odezwał się cicho. My również wyprostowaliśmy się na krzesłach. - Zdumiał mnie ten list«.

»Tak... dlaczego? - zapytałem zniecierpliwiony. - Czy rozumie pan coś z tego?«

»Trochę. - Popatrzył na mnie szeroko rozwartymi oczyma. - Widzi pan, ja też posiadam jeden z listów brata Kiryła«.

Aż za dobrze pamiętałam dworzec autobusowy w Perpignan, na którym stałam rok wcześniej z ojcem, oczekując na zakurzony autobus. Pojawił się pojazd, do którego wsiedliśmy z Barleyem. Na pamięć znałam drogę do Les Bains prowadzącą przez szerokie, wiejskie trakty i miasteczka z placykami okolonymi drzewami. Te same domy, pola, stare samochody, *cafe-au-lait* i spowijający wszystko kurz.

Hotel w Les Bains również nic się nie zmienił - trzypiętrowy, biały wapnem, o zakratowanych oknach i ze skrzynkami, w których rosły różowe kwiaty. Tęskniłam za ojcem. Myśl, że być może niebawem go zobaczę, zapierała mi dech w piersiach. W końcu popchnęłam energicznie Barleya, przekroczyliśmy ciężkie drzwi hotelu i rzuciliśmy naszą torbę na ziemię przed pokrytą marmurowym blatem ladę recepcji. Wydała mi się ona deprymująco wysoka i musiałam zebrać w sobie całą odwagę, by wyjaśnić urzędującemu za nią wysokiemu, chudemu mężczyźnie, iż najprawdopodobniej w hotelu tym zatrzymał się również mój ojciec. Nie pamiętałam tego człowieka z czasów ostatniego pobytu, ale wykazał dużą cierpliwość i w końcu oświadczył, że rzeczywiście zagraniczny monsieur o takim nazwisku mieszka w ich hotelu, ale *la cle* - klucz - wisi na haczyku, więc musiał gdzieś wyjść. Zadrzało mi serce, a w chwilę później znowu, kiedy otworzyły się tylne drzwi do recepcji i pojawił się w nich znajomy mi mężczyzna. *Maitre d'hotel* z niewielkiej restauracji hotelowej. Poznał mnie od razu. Recepcjonista zarzucił go gradem pytań, ale on odwrócił się do mnie *etonne* i zaczął tłumaczyć, że ta młoda dama była już tu kiedyś, że wyrosła, a jej uroda... ho, ho, ho. A jej... kolega?

-*Cousin* - wyjaśnił Barley.

-Ale monsieur nie wspominał mi, że pojawi się tu jego córka i kuzyn. To miła niespodzianka. Musimy dziś razem zjeść kolację.

Zapytałam, dokąd udał się mój ojciec, ale tego nikt nie wiedział. Starszy mężczyzna zza lady oświadczył, że udał się na poranną przechadzkę, ale dotąd nie wrócił. *Maitre d'hotel* powiedział, że hotel jest wprawdzie pełen gości, ale dla nas z całą pewnością coś znajdzie. Tymczasem możemy złożyć bagaże w pokoju mego ojca. Ojciec wynajął piękny apartament. *Maitre d'hotel* wręczył nam *l'autre cle* i zaproponował kawę.

Z wdzięcznością przyjęliśmy jego propozycję. Skrzypiąca winda wiozła nas tak powoli, że zastanawiałam się przez chwilę, czy *maitre d'hotel* pościelił w ogóle znajdujące się w piwnicach łańcuchy.

Pokój ojca był przestronny i przytulny i byłabym zachwycona jego widokiem, gdyby nie świadomość, że po raz trzeci w tym tygodniu nawiedzam czyjeś sanktuarium bez zgody właściciela. A najgorszy z tego wszystkiego był widok jego walizki, porozrzucanych ubrań, niewymytych przyborów do golenia i pary eleganckiego obuwia. Dokładnie tych samych, które widziałam przed kilkunastoma dniami w jego pokoju u zwierznika Jamesa w Oksfordzie.

Doznałam szoku. Mój ojciec był bardzo zorganizowanym i dbającym o porządek człowiekiem. Pokoje, które zajmował, choćby na krótko, stanowiły zawsze wzór schludności i ładu. W przeciwieństwie do innych kawalerów, wdowców czy *divorces*, jakich później spotkałam w życiu, mój ojciec nigdy nie wyrzucał bezładnie na stół czy biurko zawartości swych kieszeni ani nie gromadził na poręczach krzeseł ubrań. Pierwszy raz zobaczyłam rzeczy ojca w takim nieporządku. Na łóżku pozostała otwarta walizka. Ojciec najwyraźniej czegoś w niej szukał, wyrzucając na podłogę skarpetki i podkoszulki. Obok walizki leżał ciśnięty niedbale lekki, płócienny płaszcz i stos zmiętej odzieży. Najwyraźniej przebiegał się w wielkim pośpiechu. Przyszło mi do głowy, że nie jest to jego dzieło, że ktoś pod nieobecność gospodarza przeszukiwał jego pokój. Ale widok garnituru ciśniętego na podłogę niczym zrzucona skóra węża sprawił, iż jednak zmieniłam zdanie. Brakowało jego butów wyjściowych, a prawidła wykonane z cedrowego drewna walały się pod stołem. Wszystko to wyraźnie mówiło, że mój ojciec śpieszył się jak jeszcze nigdy w życiu.

57

„Kiedy Stoiczew oświadczył, że posiada jeden z listów brata Kiryła, wymieniłem z Helen pełne zdumienia spojrzenie.

»Co konkretnie ma pan na myśli?« - spytała Helen.

Podekscytowany Stoiczew postukał palcem w kopię, którą dał nam Turgut.

»Mam rękopis, który dostałem w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku od swego przyjaciela, Atanasa Angelowa. Jestem przekonany, że zawiera opis innego epizodu tej samej podróży. Nie wiedziałem, że istnieją inne dokumenty dotyczące tej wędrówki mnichów. Tak na marginesie, mój przyjaciel zmarł zaraz po przekazaniu mi tego listu... Niestety. Ale, ale...«

Podniósł się z miejsca. Tak bardzo się śpieszył, że zachwiał się na nogach i oboje z Helen zerwaliśmy się z krzesel, aby go podtrzymać. Odzyskał jednak równowagę bez naszej pomocy i dając nam znak, byśmy za nim poszli, zniknął w jednym z mniejszych pomieszczeń przyległych do salonu. Ruszyliśmy za nim, ostrożnie wymijając stosy piętrzących się na podłodze książek. Bacznie zlustrował wzrokiem półki, po czym sięgnął na jedną po pudło, które pomogłem mu zdjąć. Wyjął z niego kartonową teczkę związaną postrzępioną wstążką i wróciliśmy z nią do stołu w salonie. Ponaglany naszym rozpalonym ciekawością wzrokiem, wyciągnął na światło dzienne dokument tak delikatny i kruchy, że ze zgrozą patrzyłem, jak obraca go w dłoniach. Przez dobrą minutę stał jak sparaliżowany i spoglądał z zadumą na papier, po czym ciężko westchnął.

»Tu macie oryginał. Podpis...«

Pochylił się nisko nad stołem. Na ramiona z emocji wystąpiła mi gęsia skórka, kiedy spoglądałem na wypisane kunsztownie cyrylicą imię, które nawet i ja mogłem odczytać - Kirył - oraz rok: 6985. Popatrzyłem na Helen. Spoglądała na list i zagryzała usta. Piszący przed wiekami ten list mnich stał się nagle dla nas kimś niebywale realnym i bliskim. Żył tak, jak my żyliśmy teraz, i pełną wigoru, ciepłą ręką pisał gęsim piórem na pergaminie, który mieliśmy przed oczyma.

Nie mniej ode mnie przejęty Stoiczew spoglądał w zadziwieniu na dokument, chociaż widok takich starych manuskryptów stanowił dlań chleb powszedni.

»Przetłumaczyłem ten list na bułgarski. - Wyciągnął kolejną kartkę. Tłumaczenie napisane było na maszynie na papierze pelurowym. - Postaram się wam to przeczytać«.

Chrząknął i na żywo, choć ze wszystkim szczegółami, zaczął mozolić się nad tekstem.

Do Jego Ekscelencji Opata Maksyma Eupraksiusa!

Sięgam po pióro, by wypełnić obowiązek, jaki w swej mądrości na

*mnie nałożyłeś, i opowiem szczegółowo o naszej misji. Z Bożą pomocą postaram się z tego zadania wywiązać jak najlepiej. Ostatnią noc spędzi-
liśmy nieopodal Virbius, dwa dni drogi od Ciebie, w monasterze Świętego
Włodzimierza, gdzie w Twoim imieniu święci bracia podjęli nas bardzo
gościnnie. Zgodnie z Twoją instrukcją udałem się samotnie do opata
i w największym sekrecie opowiedziałem o naszej misji. Natychmiast po-
lecił ukryć nasz furgon w stajniach, przed którymi została wystawiona
straż składająca się z dwóch jego i dwóch naszych mnichów. Sądzę, że
dopóki nie wkroczymy na terytoria niewiernych, wszędzie będziemy spo-
tykali się z takim zrozumieniem i gościnnością. Zgodnie z Twym polece-
niem wręczyłem opatowi książkę, a on niezwłocznie ją schował, nawet jej
przede mną nie otwierając.*

*Konie są zmęczone po podróży przez góry, więc zostaliśmy w mona-
sterze jeszcze na jedną noc. Bardzo pokrzepiła nas na duchu postęga
kapłańska świątyni, w której dwie ikony Przczystej Dziewicy czynią cuda
zarówno dziś, jak i osiemdziesiąt lat temu. Z jednej z nich ciągle płyną łzy
za grzeszników i natychmiast zamieniają się w najprawdziwsze perły.
Wznieśliśmy do niej najżarliwsze błagania o opiekę nad nami podczas
trwania misji i szczęśliwy powrót do wielkiego miasta oraz o bezpieczne
schronienie w stolicy terytorium niewiernych. Z niej wyruszymy, by wy-
pełnić nasze zadanie.*

Twój pokorny sługa W Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego

Br. Kirył

W kwietniu Roku Pańskiego 6985

Słów Soiczewa słuchaliśmy z zapartym tchem. Tłumaczył powoli i me-
todycznie. Miałem właśnie oznajmić na głos o niewątpliwym powiązaniu
obu listów, kiedy na schodach za drzwiami rozległy się kroki.

»Wracają« - powiedział cicho Stoiczew. Odłożył list, po czym dołą-
czył do niego nasze kopie. - Pan Ranow... Czy został wyznaczony na wa-
szego przewodnika?»

»Tak - odparłem szybko. - Moim zdaniem za bardzo interesuje się
naszymi badaniami. Mamy panu tyle do powiedzenia, ale tylko na osob-
ności, oraz...«

»Może to być niebezpieczne?« - zapytał stary profesor.

»Skąd pan o tym wie?«

Z naszej dotychczasowej rozmowy nic takiego nie wynikało.

»Ha! - Potrząsnął głową, a ja zrozumiałem, że wie o wielu rzeczach, o których ja, ku swemu żalowi, nie miałem pojęcia. - Ja też wiele spraw chciałbym wam wyjaśnić. Nie spodziewałem się, że zobaczę drugi list. Ale przy Ranowie trzymajcie usta zamknięte na kłódkę«.

»Już tym niech się pan nie martwi« - powiedziała z uśmiechem Helen i oboje dłuższą chwilę spoglądali sobie w oczy.

»Spokojnie - mruknął Stoiczew. - Zorganizuję nasze następne spotkaniem

Do salonu weszli Irina i Ranow. Nieśli talerze. Siostrzenica gospodarka zaczęła rozstawiać na stole szklanki oraz postawiła karafkę z trunkiem bursztynowej barwy. Ranow przyniósł chleb i półmisek z białą fasolą. Na jego twarzy gościł szeroki uśmiech i nasz opiekun zdawał się zupełnie udomowiony. Byłem za to siostrzenicy profesora Stoiczewa niewymownie wdzięczny. Posadziła wuja wygodnie przy stole, po czym wskazała miejsca nam. Uświadomiłem sobie nagle, że jestem głodny jak wilk.

»Proszę, goście się, jak możecie«.

Stoiczew szerokim gestem, jakby był cesarzem Konstantynopola, wskazał nam stół. Irina rozlała wódkę - sam jej zapach mógł zabić jakieś mniejsze zwierzę - i gospodarz, szczerząc żółte zęby, wznosił toast:

»Za przyjaźń wszystkich naukowców«.

Z entuzjazmem unieśliśmy szklanki i tylko Ranow, wznosząc swoją, obrzucił nas ironicznym spojrzeniem.

»Niech tylko wasza wiedza służy z pożytkiem partii i ludowi« - powiedział, składając mi lekki ukłon.

Ta uwaga prawie odebrała mi apetyt. Czyżby miał za zadanie dostarczyć partii wiadomości o tym, co wiemy? Ale odkilonem mu się i wychyliłem kieliszek rakii. Tę wódkę można było pić tylko szybko, a jednak oparzenia trzeciego stopnia, jakich doznało moje gardło, szybko zamieniły się w rozkoszne ciepło. Pomyślałem sobie, że po odpowiedniej dawce tego trunku mógłbym nawet zawrzeć niebezpieczną przyjaźń z Ranowem.

»Uwielbiam spotkania z naukowcami zajmującymi się średniowieczną historią naszego kraju - zwrócił się do mnie Stoiczew. - Być może pan i panna Rossi będziecie zainteresowani obchodami święta naszych dwóch wybitnych postaci średniowiecznych. Jutro właśnie przypada dzień świę-

tych braci, Kiryła* i Metodego, twórców słowiańskiego alfabetu, który znacie pod nazwą cyrylica, od Cyryła, który go wymyślił. My nazywamy go *kirilitsa*, od Kiryła».

Rozmyślając o bracie Kiryle, w pierwszej chwili nie rozumiałem, co mówi. Dopiero kiedy powtórzył swe słowa, pojąłem, o co chodzi i jak bardzo jest przebiegły.

»Dziś czeka mnie jeszcze wiele pracy, ale jeśli wpadniecie do mnie jutro, kiedy będzie u mnie kilku moich dawnych studentów, żeby uczcić ten dzień, opowiem wam więcej o Kiryle«.

»To bardzo miło z pańskiej strony, profesorze - powiedziała Helen. - Nie chcielibyśmy nadużywać pańskiej gościnności, ale chętnie skorzystamy z okazji. Towarzyszu Ranow, czy da się to zorganizować?«

Towarzysz wychylił kolejną szklanekę wódki i popatrzył na nią z nachmurzoną miną.

»Oczywiście - burknął. - Jeśli ma to wam pomóc w waszych badaniach, sam z przyjemnością będę w tym uczestniczyć«.

»Doskonale - powiedział Stoiczew. - Zatem spotkajmy się tutaj jutro

o trzynastej trzydzieści. Irina przygotowuje coś pysznego do jedzenia. Spotkacie kilku naprawdę sympatycznych ludzi. Będą tu naukowcy, których praca bardzo was zainteresuje«.

Wylewnie mu podziękowaliśmy za zaproszenie i zaczęliśmy jeść, do czego z całego serca zachęcała nas Irina. Zauważyłem, że Helen również bardzo uważa z piciem rakii. Kiedy skończyliśmy prosty posiłek, natychmiast wstała z miejsca. Poszliśmy w jej ślady.

»Nie będziemy dłużej pana męczyć, profesorze« - powiedziała, ściskając gospodarzowi dłoń.

»Ależ wasza wizyta to dla mnie czysta przyjemność, moja droga - odparł Stoiczew, choć naprawdę sprawiał wrażenie znużonego. - Z niecierpliwością oczekuję was jutro«.

Irina odprowadziła nas przez zielony sad i ogród do bramy.

»Do jutra« - rzekła i dodała coś zadziornie po bułgarsku, co sprawiło, iż Ranow, przed nałożeniem kapelusza, wygładził sobie czuprynę.

»To śliczna dziewczyna« - oświadczył, kiedy wsiadaliśmy do samochodu, a Helen przewróciła oczyma za jego plecami".

* * *

* Cyryl, po bułgarsku Kirył, a po grecku Konstantyn.

Dopiero wieczorem znaleźliśmy chwilę dla siebie. Ranow odjechał po ciągnącej się w nieskończoność kolacji w przygnębiającej, hotelowej restauracji. Udaliśmy się z Helen po schodach na górę - winda znów była zepsuta - i spędziliśmy długą, czułą chwilę nieopodal mego pokoju, zapominając o naszej dziwacznej sytuacji. Kiedy już byliśmy pewni, że Ranow nie wróci, opuściliśmy hotel i udaliśmy się do pobliskiej kafejki usytuowanej pod rozłożystymi drzewami, żeby nareszcie spokojnie porozmawiać.

»Tutaj też nas obserwują - stwierdziła Helen, kiedy zajęliśmy miejsca przy stoliku. Położyłem teczkę na kolanach. Bałem się już nawet stawiać ją na ziemi. - Ale tutaj przynajmniej nie ma podsłuchu, jak w moim pokoju. I twoim. - Popatrzyła na szeleszczące nad nami drzewa. - Lipy. Niebawem zakwitną. Ludzie z ich kwiatów robią herbatę... w każdym razie w moim kraju. W porze ich kwitnienia, kiedy siedzisz przy stoliku jak my teraz, musisz nieustannie zrzucać ich zalążki z obrusu. Pachną miodem, są świeże i słodkie«.

Wykonała ręką ruch, jakby strącała ze stolika lipowe kwiaty.

Ująłem ją za dłoń i popatrzyłem na jej wewnętrzną stronę, na linię życia. Pomyślałem, że jest bardzo długa i oznacza szczęśliwe życie, które spędzimy razem.

»Co sądzisz o Stoiczewie i jego liście?« - zapytałem.

»Los się chyba do nas uśmiechnął. Początkowo myślałam, że jest to tylko kolejny element historycznej układanki, który w -niczym nam nie pomoże. Ale kiedy Stoiczew uznał, iż nasz list grozi niebezpieczeństwem, zrozumiałam, że pismo to jest czymś bardzo ważnym«.

»Też tak pomyślałem - przyznałem jej rację. - Ale też jego słowa o niebezpieczeństwie mogły po prostu znaczyć, że jest to materiał politycznie delikatny, jak cała jego praca, która dotyczy przecież historii kościoła^

»Wiem. - Helen ciężko westchnęła. - Może być i tak«.

»I dlatego nie chce rozmawiać o tym przy Ranowie«.

»Właśnie. Ale musimy niestety poczekać do jutra, by przekonać się, co naprawdę miał na myśli. - Splotła palce z moimi. - Rozumiem jednak, że dręczy cię każdy dzień zwłoki«.

Powoli pokiwałem głową.

»Gdybyś znała Rossiego...«

Popatrzyła mi głęboko w oczy i odgarnęła z twarzy niesforny kosmyk

włosów. Był to gest pełen smutku. O jego wadze świadczyły jej następne słowa.

»Zaczynam go poznawać dzięki tobie«.

W tej chwili zbliżyła się do nas kelnerka w białej bluzce i o coś spytała.

»Czego się napijesz?« - zwróciła się do mnie Helen. Kelnerka popatrzyła na nas z ciekawością, jak na jakieś dziwadła mówiące w obcym języku.

»A skąd niby wiesz, jak to zamówić?« - zażartowałem.

»Czaj - zaordynowała Helen, wskazując na siebie i na mnie. - Poprosimy herbatę. *Da, moliaa*.

»Szybko się uczysz« - mruknąłem po odejściu kelnerki.

»Znam trochę rosyjski - odparła, wzruszając ramionami. - Bułgarski jest bardzo podobny«.

Wróciła kelnerka z herbatą. Helen z poważną twarzą zaczęła mieszać gorący napój.

»To wielka ulga przebywać z dala od Ranowa. Z trudem znoszę myśl, iż jutro znów go spotkamy. Nie wiem, czy dokonamy tu czegokolwiek, mając go nieustannie na karku«.

»Czułbym się o wiele lepiej, gdybym wiedział, co tak podejrzanego widzi w naszych badaniach - wyznałem. - To dziwne, ale przypomina mi kogoś, kogo już kiedyś spotkałem, ale zupełnie nie pamiętam, kto to był. Kompletna amnezja«.

Popatrzyłem na poważną, śliczną twarz Helen i w tej chwili coś drgnęło mi pod czaszką... nie, nie dotyczyło to wcale kwestii, że Ranow mógł mieć jakiegoś sobowtóra. Miało to związek z twarzą Helen pogrążoną w zalegającym lokal półmroku, z filiżanką, którą podnosiłem do ust, i osobliwym słowem, jakie przyszło mi do głowy. Myśl ta dawno mnie nurtowała, lecz dopiero teraz wypłynęła na wierzch świadomości.

»Amnezja - powiedziałem. - Helen... Helen, amnezja«.

»Słucham?« - zapytała zaskoczona, wierząc mnie baczny wzrokiem.

»Listy Rossiego! - Prawie krzyknąłem, otwierając teczkę tak gwałtownie, że o mało nie przewróciłem stolika. - Jego list, jego podróż do Grecji!«

Dłuższą chwilę zajęło mi odnalezienie go wśród bezliku papierów.

»Czy przypominasz sobie list, w którym wspominał o powrocie do

Grecji, na Krete, kiedy zabrano mu w Stambule mapę, i jak aż do powrotu do Anglii nic mu się nie udawało? - Położyłem list na stoliku i zacząłem czytać na głos: - *Starzy ludzie w kretańskich tawernach chętniej opowiadali mi niestworzone historie o wampirach, niż mówili, gdzie mogą znaleźć więcej zabytkowych skorup, starożytną ceramikę lub też co ich dziadowie znajdowali i rabowali z wraków starodawnych statków spoczywających na dnie morza. Pewnego wieczoru jakiś nieznajomy postawił mi miejscowy specjal zwany dziwacznie amnezją, po którym przez cały następny dzień czulem sięfatalnie*».

»Wielki Boże« - szepnęła Helen.

»Pewnego wieczoru jakiś nieznajomy postawił mi trunek zwany amnezją« - sparafrazowałem cicho tekst. - Kim, do licha, twoim zdaniem, mógł być ten nieznajomy? I dlatego właśnie Rossi zapomniał...«

»Zapomniał... - Słowo to zdawało się hipnotyzować Helen. - Zapomniał o Rumunii...«

»Nie pamiętał, że w ogóle tam był. A w listach do Hedgesa pisał, że zamierza z Rumunii wracać do Grecji, by zgromadzić pieniądze i podjąć prace wykopaliskowe...«

»Zapomniał też o mojej matce« - szepnęła prawie bezgłośnie Helen.

»Twoja matka. - Natychmiast stanął mi przed oczyma obraz stojącej w progu starszej kobiety, patrzącej, jak się oddalamy. - Naprawdę zamierzał po nią wrócić, ale nagle o wszystkim zapomniał. I dlatego... i dlatego też wspominał mi, że bardzo mgliście przypomina sobie własne badania».

Helen miała twarz białą jak kreda, zaciśnięte szczęki, w oczach lśniły jej łzy.

»Nienawidzę go« - szepnęła, a ja wiedziałem, że nie swego ojca ma na myśli".

58

„Przed bramą obejścia Stoiczewa pojawiliśmy się dokładnie o trzynastej trzydzieści. Ignorując obecność Ranowa, Helen ścisnęła mi mocno dłoń. Sam Ranow też był najwyraźniej w świątecznym nastroju. Nałożył gruby, brązowy garnitur i rzadziej niż zwykle marszczył brwi. Zza bramy

dobiegały śmiechy i gwar ludzkich głosów, w powietrzu unosił się zapach drzewnego dymu i smakowita woń pieczonego mięsa. Zdecydowanie wyrzuciłem Rossiego z pamięci. Mnie też udzielił się świąteczny nastrój. Odnosiłem nieprzeparłe wrażenie, że tego dnia wydarzy się coś, co pozwoli mi go odnaleźć. Postanowiłem zatem z całego serca radować się świętem Cyryla i Metodego.

Pod ukwieconym treliązem zgromadziło się spore towarzystwo, mężczyźni i kobiety. Wokół stołu uwijała się Irina, zmieniając półmiski i napełniając szklanki gości ognistym trunkiem o barwie bursztynu. Widząc nas, natychmiast ruszyła w naszą stronę z wyciągniętymi ramionami, zupełnie jakby знаła nas od wieków. Ucisnęła dłonie moją i Rano-
wa, a Helen serdecznie pocałowała w oba policzki.

»Wreszcie jesteście. Tak się cieszę. Po waszej wczorajszej wizycie wuj nie mógł ani spać, ani czegokolwiek przełknąć. Może wy przekonacie go, że jednak powinien jeść«.

»Proszę się niczym nie martwić - pocieszyła ją Helen. - Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by przekonać go do jedzenia«.

Pod jabłoniami, na honorowym miejscu, królował Stoiczew. Wokół niego na porzostawianych krzesłach siedzieli goście. Profesor zajmował największy fotel.

»Ach, witajcie! - zawołał na nasz widok, niezgrabnie dźwigając się z miejsca. Kilku mężczyzn natychmiast ruszyło mu z pomocą. - Witajcie, przyjaciele. Poznajcie moich innych przyjaciół. - Zatoczył ręką szeroki łuk. - To moi dawni studenci, jeszcze sprzed wojny, ale do dzisiaj nie dają mi spokoju i wciąż mnie odwiedzają«.

Większość tych mężczyzn w białych koszulach i wyświechtanych garniturach była młoda jedynie w porównaniu ze Stoiczewem. Wszyscy mieli już dobrze po pięćdziesiątce. Z uśmiechem ściskali nam ręce, jeden z nich z rewerencją pocałował Helen w dłoń. Bardzo podobała mi się ich żwawość, ciemne oczy, nawet złote zęby, jakie pokazywali w szerokich uśmiechach.

Znów do akcji wkroczyła Irina i zaczęła zachęcać wszystkich do jedzenia. Po chwili, wzywani serdecznymi gestami gości, znaleźliśmy się przy stole uginającym się pod ciężarem jedła. To stąd właśnie roznosiła się rozkoszna woń upieczonego w całości barana na ustawionym pośrodku podwórka rożnie. Stół zastawiono fajansowymi półmiskami z kartoflami, sałatkami z pomidorów i ogórków, kruchym białym serem, bochen-

kami złocistego chleba, ciapatami ze słonym serem, jakie jedliśmy już w Stambule. Był też gulasz, dzbanki ze schłodzonym zsiadłym mlekiem, pieczone bakłazany i cebula. Irina nie pozwoliła nam odejść tak długo, aż z trudem dźwigaliśmy nasze talerze, po czym skierowała nas do stolika, niosąc szklanki z rakiją.

Tymczasem studenci Stoiczewa najwyraźniej rywalizowali ze sobą, kto przyniesie ich mistrzowi więcej smakołyków. Teraz napełnili mu szklankę po brzegi i profesor powoli podniósł się z fotela. Zgromadzeni na dziedzińcu ucichli i Stoiczew wygłosił krótką mowę, w której rozpoznałem imiona Kiryła i Metodego oraz swoje i Helen. Kiedy wypił szklankę duszkiem, rozległy się wiwaty:

»Stoiczew! Za zdrowo na profesor Stoiczew! Na zdrowo!«

Goście świetnie się bawili. Ich twarze lśniły radością i beztróską. Wszyscy spoglądali na profesora z niebywałym oddaniem i czułością, wznosili pełne szklanki, w wielu oczach błyszczały łzy. Przypomniałem sobie Rossiego, który również skromnie słuchał owacji i przemów podczas uroczystości z okazji dwudziestolecia jego pracy na uniwersytecie. Poczulem dławienie w krtani. Ranow, z pełną szklanką w dłoni, czujnie przechadzał się pod obrośniętą różami i winoroślą drewnianą kratownicą.

Kiedy towarzystwo wróciło znów do rozmów i jedzenia, Irina posadziła nas na honorowym miejscu obok Stoiczewa. Pokiwał do nas głową i szeroko się uśmiechnął.

»Nawet nie wiecie, jak się cieszę na wasz widok. To moje ukochane święto. W kościelnym kalendarzu mamy wprawdzie wielu świętych, ale tych dwóch ukochałem najbardziej. Są oni patronami wszystkich naukowców i studentów. Dziś właśnie oddajemy im cześć za dziedzictwo, jakie pozostawili nam w postaci starosłowiańskiego alfabetu i literatury. To wielkiemu wynalazkowi Kiryła i Metodego zawdzięczamy naszą narodową kulturę. Poza tym w dniu ich święta nawiedzają mnie moi ukochani studenci i współpracownicy, przeszkadzając wiekowemu profesorowi w pracy. Ale jestem im wdzięczny za tę niedogodność«.

Obrzucił wszystkich serdecznym, pełnym czułości spojrzeniem i poklepał po plecach siedzącego najbliżej kolegę. Z bólem serca pomyślałem, jak wiotka i wątła jest jego ręka, chuda, prawie przezroczysta.

Niebawem goście zaczęli rozchodzić się po sadzie dwójkami lub trójkami albo gromadzili się przy stole, na którym wciąż jeszcze królowały resztki pieczonego barana.

Kiedy zostaliśmy sami, Stoiczew natychmiast odwrócił się w naszą stronę i skinął na nas ręką.

»Przybliżcie się, musimy porozmawiać, skoro mamy ku temu okazję. Moja siostrzenica znajdzie zatrudnienie dla Ranowa. Mam wam kilka rzeczy do powiedzenia, a i wy pewnie chcecie mi wiele wyjaśnić«.

»Na to tylko czekamy« - odparłem, przysuwając się z krzesłem do profesora. Helen uczyniła to samo.

»A więc na początek, przyjaciele - powiedział. - Wielokrotnie przestudiowałem list, który mi wczoraj zostawiliście. Oddaję go wam. - Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki papier. - Strzeżcie go jak źrenicy oka. Jestem całkowicie przekonany, że wyszedł spod tej samej ręki, która napisała ten znajdujący się u mnie. Autorem jest bez wątpienia brat Kirył, kimkolwiek był. Nie macie oczywiście oryginału, żebym mógł na niego zerknąć, ale styl jest dokładnie taki sam, a imiona nadawcy i odbiorcy, jak też daty, zgadzają się co do joty. Nie ma wątpliwości, że oba listy należą do tej samej korespondencji i albo zostały wysłane oddzielnie lub też rozdzielono je ze względu na jakieś okoliczności, a tych nie znamy. Tak, przychodzi mi kilka myśli do głowy, ale najpierw wy musicie powiedzieć mi coś bliższego o swoich poszukiwaniach. Odnoszę wrażenie, że przybyliście do Bułgarii nie tylko w celu poznania naszych monasterów. Skąd macie ten list?«

Odparłem, iż rozpoczęliśmy nasze badania z powodów, które trudno mi wyjaśnić, gdyż mogą się wydać całkowicie nieracjonalne.

»Powiedział pan, że czytał pracę profesora Bartholomew Rossiego, ojca Helen. Ostatnio zaginął w bardzo dziwnych okolicznościach«.

Najkrócej i najjaśniej, jak umiałem, poinformowałem Stoiczewa o odkryciu książki ze smokiem, o zniknięciu Rossiego, o zawartości jego listów i kopiach dziwnych map, które mamy ze sobą, o naszych poszukiwaniach w Stambule i Budapeszcie. Powiedziałem o ludowej pieśni i drzeworycie ze słowem *hireanu*, na który natknęliśmy się w budepesteńskiej bibliotece uniwersyteckiej. Nie wspomniałem tylko o Gwardii Półksiężycy. Na oczach tylu ludzi bałem się wyciągać z teczek jakiegokolwiek dokumenty, ale dokładnie opisałem trzy mapy, podkreślając podobieństwo trzeciej do wizerunku smoka w książce. Stoiczew słuchał mnie cierpliwie i z wielką uwagą, brwi miał zmarszczone, jego ciemne oczy lśniły. Przerwał mi tylko raz, prosząc przynaglającym tonem, bym dokładnie mu opisał każdą z książek - moją, Rossiego, Hugh Jame-

sa i Turguta. Zauważyłem, że szczególnie zainteresowały go właśnie książki.

»Swoją mam tutaj« - oznajmiłem, dotykając spoczywającej na mych kolanach teczki.

»Chciałbym ją w sprzyjającej chwili zobaczyć« - powiedział, nie spuszczać ze mnie przenikliwego wzroku.

Ale najbardziej w odkryciu Turguta i Selima poruszyło go to, że brat Kirył kierował swe listy do opata klasztoru w Snagov na Wołoszczyźnie.

»Do Snagov!« - szepnął. Twarz mu tak poczerwieniała, że przez chwilę myślałem, że zemdleje. - Powinienem się być tego domyślić. A mam ten list w swej bibliotece od trzydziestu lat!«

Byłem ciekaw, w jaki sposób jego przyjaciel wszedł w posiadanie tego listu.

»Widzi pan, nasz dokument stanowi niezbity dowód na to, że brat Kirył i towarzyszący mu mnisi, przed pojawieniem się w Bułgarii po opuszczeniu Wołoszczyzny, najpierw pojawili się w Stambule.«

Stoiczew potrząsnął z niedowierzaniem głową.

»Wiem. Zawsze uważałem, że list dotyczy mnichów udających się z Konstantynopola z pielgrzymką do Bułgarii. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy... Maksym Eupraksius... opat monasteru w Snagov... - Najwyraźniej przetrwał coś w myślach, co widać było na jego twarzy. - I to słowo *Mreanu*, na które wy, i pan Hugh James, natknęliście się w Budapeszcie...«

»Czy wie pan, co ono znaczy?«

»Oczywiście, oczywiście, synu. - Stoiczew zdawał się przeszywać mnie wzrokiem, choć wcale na mnie nie patrzył. - Chodzi o Antima Ivireanu, naukowca i drukarza, żyjącego w Snagov pod koniec siedemnastego stulecia - długo po Vladzie Tepesie. Dużo czytałem o pracach Ivireanu. Był jednym z najwybitniejszych uczonych swego czasu i przyciągał do Snagov wiele wybitnych osobistości. Spod jego prasy wyszło kilka Ewangelii po rumuńsku i po arabsku. Wydawało się, że założył pierwszą drukarnię w Rumunii. Ale, na Boga, być może nie, jeśli książki ze smokami okażą się znacznie starsze. Mam wam do pokazania wiele rzeczy! Chodźmy do domu, szybko.«

Helen i ja bacznie rozejrzeliśmy się wokół siebie.

»Ranowowi tylko Irina w głowie« - powiedziałem cicho.

»To racja - przyznał Stoiczew, wstając z fotela. - Wejdziemy tylnymi drzwiami. Pośpieszcie się«.

Nie potrzebowaliśmy żadnej zachęty. Sam wyraz jego twarzy sprawił, że ruszyłem za nim bez namysłu. Powoli pokonał schody, a my weszliśmy za nim na piętro. W salonie usiadł na chwilę, by odsapnąć. Zauważyłem dużo rozłożonych na wielkim stole książek i manuskryptów, których nie było tam poprzedniego dnia".

»Nic nie wiedziałem o waszym liście ani o innych« - oświadczył Stoiczew, kiedy już odzyskał dech.

»0 innych?« - zapytała ze zdziwieniem Helen, zajmując miejsce obok niego.

»Tak. Istnieją jeszcze dwa listy brata Kiryła - z moim i waszym, stambulskim, to razem cztery. Niezwłocznie musimy udać się do Monasteru Rilskiego* i obejrzeć pozostałe listy. To niebывале odkrycie, musimy je wszystkie porównać. Ale nie o to mi chodziło. Muszę wam pokazać coś innego. Nigdy tego nie łączyłem ze sobą...« - Wciąż sprawiał wrażenie kompletnie oszołomionego odkryciem.

Zniknął w jednym z sąsiednich pokoi i po chwili pojawił się z książką oprawioną w papierową okładkę, co świadczyło o tym, że jest to jakieś stare, naukowe czasopismo wydrukowane w Niemczech.

»Miałem przyjaciela... Żeby mógł tylko dożyć tego dnia! Wspominałem wam o nim - nazywał się Atanas Angelow. Tak, był wybitnym, bułgarskim historykiem i moim nauczycielem. W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim studiował pewne dokumenty w monasterze w Rile, gdzie zgromadzone są nasze największe, narodowe, średniowieczne skarby. Natknął się na piętaastowieczny rękopis ukryty w drewnianym futerale dziewiętnastowiecznego folio. Postanowił opublikować ów manuskrypt. Była to kronika podróży z Wołoszczyzny do Bułgarii. Umarł podczas redakcji dokumentu i ja zakończyłem pracę za niego. Rękopis chyba wciąż znajduje się w zbiorach Monasteru Rilskiego. - Przeciągnął smukłymi palcami po włosach. - Tu... szybko. Napisane jest to wprawdzie po bułgarsku, ale przeczytam wam najważniejsze fragmenty«.

Otworzył drżącą dłońią wypłowiałe czasopismo i równie drżącymi

* Słynny klasztor w Bułgarii w górach Rila. Założony w dziesiątym wieku przez pustelnika Iwana z Rily, w okresie tureckiej niewoli był ostoją bułgarskiej kultury, historii i świadomości narodowej.

palcami wskazał nazwisko Angelowa. Artykuł spisany został na podstawie notatek Angelowa, a sam dokument, kiedy opublikowano go po angielsku, opatrzone niezliczonymi przypisami. Ale nawet teraz, kiedy spoglądam na pełen tekst, ciągle mam przed oczyma podstarzałą twarz Stoiczewa o rzadkich, rozwichrzonych włosach i półprzezroczystych koniuszkach uszu, jego wielkie, czarne oczy, głowę pochyloną nad stronicami, a przede wszystkim słyszę jego głos tłumaczący niepewnie tekst".

59

„*KRONIKA "ZACHARIASZA ZZOGRAPHOU*

Spisali i opracowali
Atanas Angelow i Anton Stoiczew

WSTĘP

„*Kronika "Zachariasza jako dokument historyczny*

Mimo iż jest słynna ze swej niekompletności, *Kronika Zachariasza* wraz z dołączoną do niej *Opowieścią Stefana Wędrowca* stanowi niezwykle ważne źródło do poznania szlaków, którymi chrześcijańscy pielgrzymi przemierzali w piętnastym wieku Bałkany, jak też dostarcza informacji o losie ciała Władcy IV Tepesa z Wołoszczyzny. Długo sądzono, że jego pozbawiony głowy korpus pochowany został w monasterze w Snagov (obecnie w Rumunii), gdzie zamurowano go przed głównym ołtarzem pod posadzką. Stanowi też unikatowy dokument dotyczący nowych męczenników z Wołoszczyzny (jakkolwiek nic nie wiemy o narodowości mnichów z wyspy na jeziorze Snagov, z wyjątkiem Stefana, który stanowi główną postać *Kroniki*). Znamy jedynie narodowość innych siedmiu nowych męczenników wołoskich, ale żadne źródło nie wspomina, by śmierć męczeńską ponieśli w Bułgarii.

Niezatytułowane dzieło noszące potoczną nazwę *Kromka* napisał w języku starocerkiewnym, w roku tysiąc czterysta siedemdziesiątym dziewiątym lub osiemdziesiątym mnich o imieniu Zachariasz w Zographou, bułgarskim monasterze na górze Athos. Zographou, „monaster ma-

larza", ufundowany w dziesiątym wieku i nabyty przez kościół bułgarski w latach dwudziestych dwunastego stulecia, znajduje się prawie pośrodku półwyspu Athos. Podobnie jak serbski monaster Chilandari i rosyjski Rossikon, przyjmował w swe mury mnichów wszystkich narodowości, tak więc niemożliwe jest ustalenie kraju, z którego pochodził Zachariasz. Mógł być Bułgarem, Serbem, Rosjaninem, a nawet Grekiem, choć fakt, że posługiwał się starocerkiewnym, wskazuje na to, iż był Słowianinem. *Kronika* mówi nam tylko, że urodził się gdzieś w piętnastym wieku, a jego ogromne zdolności tak wysoko cenił opat Zographou, iż wybrał go do wysłuchania wyznań Stefana Wędrowca i spisania ich w ważnym celu, zapewne archiwalnym lub teologicznym.

Szlaki podróże, o których wspomina Stefan, pokrywają się z kilkunastoma świetnie znanymi trasami. Ostatecznym celem pielgrzymów z Wołoszczyzny, jak też wszystkich innych chrześcijan ze wschodniego świata, był Konstantynopol. Wołoszczyzna, a zwłaszcza monaster w Snagov, również stanowiły cel pielgrzymek. Pielgrzymi docierali nawet na sam Athos. To, że mnisi w drodze do Baczkowa mijali Chaskowo, świadczy, iż z Konstantynopola wędrowali drogą lądową przez Adrianopol (dzisiejsze tureckie Edirne). Porty czarnomorskie leżały zbyt daleko na północ od Chaskowa.

Opis tych pielgrzymich szlaków w opowieści Stefana rodzi pytanie, czy nie jest to dokument z pielgrzymki, jaką odbył. Wszak dwa domniemane powody wędrówek Stefana - ucieczka ze zburzonego w tysiąc czterysta pięćdziesiątym trzecim roku Konstantynopola oraz transport relikwii i poszukiwanie „skarbu” w Bułgarii już po tysiąc czterysta siedemdziesiątym szóstym roku - sprawiają, że relacja ta stanowi klasyczną kronikę pielgrzymki. Co więcej, wydaje się, iż pierwotnie motywem wyjazdu młodego mnicha Stefana z Konstantynopola była chęć odwiedzenia innych świętych miejsc za granicą.

Drugim zagadnieniem, na które *Kronika* rzuca światło, są ostatnie dni Włada IV z Wołoszczyzny (14287-1476), znanego powszechnie jako Vlad Tepes-Palownik lub Dracula. Aczkolwiek kilkunastu współczesnych mu historyków opisało dokładnie prowadzone przez niego kampanie przeciw Turkom oraz walkę o przejęcie i utrzymanie tronu wołoskiego, nie zostawili najmniejszej wzmianki na temat okoliczności jego śmierci i pogrzebu. Jak utrzymuje w swej opowieści Stefan, Vlad IV poczynił hojne nadania monasterowi w Snagov, odbudowując tę świątynię. Jest bardzo

prawdopodobne, że chciał zostać w niej pochowany, zgodnie z obyczajem wszystkich fundatorów i głównych donatorów w ortodoksyjnym świecie.

W *Kronice* Stefan zapewnia, że Vlad odwiedził klasztor w roku tysiąc czterysta siedemdziesiątym szóstym, zapewne na kilka miesięcy przed swoją śmiercią. W roku tym wyruszyła przeciw niemu wielka wyprawa Osmanów dowodzona przez sułtana Mehmeda II, z którym Vlad toczył prawie nieustanną wojnę od około tysiąc czterysta sześćdziesiątego roku. W tym czasie jego wołoski tron był zagrożony ze strony własnych bojarów, którzy opowiadali się za Mehmedem.

Jeśli *Kronika* Zachariasza jest dokładna, Vlad IV rzeczywiście odwiedził Snagov, choć inne dokumenty nie odnotowały tego faktu. Poza tym taka wizyta musiała być dla wołoskiego hospodara bardzo niebezpieczna. *Kronika* donosi, iż Vlad przywiózł do monasteru wielkie skarby, a ryzyko, na jakie się przy tym narażał, świadczy o jego wielkim przywiązaniu do tej świątyni. Zresztą książę doskonale sobie zdawał sprawę z niebezpieczeństwa zagrażającego jego życiu zarówno ze strony Turków, jak i głównego wołoskiego wroga, Laioty Basaraba, który po śmierci Vlady przejął na krótko tron Wołoszczyzny. Niewielkie korzyści polityczne, jakie hospodar mógł wyciągnąć z tej wizyty, pozwalają domniemywać, że monaster w Snagov był dla niego ważny ze względów osobistych i duchowych. Zapewne planował uczynić ze świątyni miejsce swego ostatecznego spoczynku. W każdym razie *Kronika* Zachariasza potwierdza, że pod koniec życia Vlad przykładał do Snagov wyjątkową wagę.

Okoliczności śmierci Vlady IV są bardzo niejasne, a co więcej, jeszcze większą zasłonę tajemnicy rzucają na nie sprzeczne legendy ludowe oraz teorie tandetnych naukowców. Pod koniec grudnia tysiąc czterysta siedemdziesiątego szóstego lub na początku stycznia następnego roku Vlad wpadł w pułapkę zastawioną przez Turków, którzy najechali Wołoszczyznę. Poległ w potyczce. Według jednej z wersji zabił go własny człowiek, biorąc za Turka, kiedy Vlad wspiął się na wzgórze, chcąc lepiej przyjrzeć się bitwie. Wedle innej legendy zabito go w zemście za niebывałe okrucieństwa, jakich się dopuścił. Większość źródeł zgadza się co do jednego: Vlad został po śmierci zdekapitowany, a jego głowę przesłano cesarzowi Mehmedowi do Konstantynopola na dowód, iż jego wróg został powalony.

W obu przypadkach, zgodnie z *Opowieścią Stefana*, część ludzi Vla-

da IV musiała pozostać wierna swemu władcy, skoro odważyła się zabrać zwłoki do Snagov. Od dawna wierzono, że bezgłowe zwłoki pogrzebane zostały w monasterze przed ołtarzem.

Jeśli ufać relacji Stefana, ciało Vlada IV zostało w tajemnicy wywiezione do Konstantynopola, a stamtąd do monasteru zwanego Sveti Georgi w Bułgarii. Owa deportacja zwłok oraz „skarb”, którego mnisi poszukiwali, najpierw w Konstantynopolu, a następnie w Bułgarii, stanowią sprawę nader niejasną. W swojej opowieści Stefan utrzymuje, że skarb miał „przyśpieszyć zbawienie duszy księcia”, co wskazuje, iż opat uważał wyprawę za konieczną ze względów teologicznych. Możliwe, że mnisi poszukiwali w Konstantynopolu jakiejś relikwii, którą przeoczyli zarówno łańcący, jak i osmańscy zdobywcy. Opat mógł też nie chcieć ponosić odpowiedzialności za zniszczenie zwłok lub ich okaleczenie w Snagov - w myśl wierzeń, jak najlepiej uchronić się przed wampirem - oraz obawiał się, że okoliczna ludność szybko rozniesie tę wieść. Mogło to też wynikać z jego naturalnej niechęci, biorąc pod uwagę, kim za życia był Vlad oraz to, że duchowni ortodoksyjni wzdrygali się przez profanacją ludzkich zwłok.

Niestety, w Bułgarii nie natrafiono ani na miejsce pochówku Vlada IV, ani na monaster Sveti Georgi, podobnie jak nieznane pozostaje miejsce usytuowania bułgarskiej świątyni Paroria. Zapewne oba te sanktuaria zostały opuszczone przez mnichów i uległy zagładzie w czasach Imperium Osmańskiego i jedynie *Kronika* jest dokumentem rzucającym pewne światło na ich lokalizację. Zapewnia, że mnisi, od Monasteru Bączkowskiego, położonego około trzydziestu pięciu kilometrów na południe od Asenowgradu leżącego nad Rzeką Czepełarską, przebyli krótką („niezbyt daleką”) drogę. Tak więc zapewne Sveti Georgi znajdował się gdzieś w środku południowej Bułgarii. Tereny te, położone w Rodopach, zostały podbite przez Turków najpóźniej, a i to nie do końca. Do niektórych, szczególnie dzikich rejonów, Turcy nigdy nie dotarli. Jeśli Sveti Georgi znajdował się w niedostępnych górach, to nic dziwnego, że tam właśnie znaleziono miejsce, gdzie mogły względnie bezpiecznie spocząć szczątki Vlada IV.

Wbrew twierdzeniom *Kroniki* miejsce to stało się celem pielgrzymek dopiero wtedy, gdy osiedli tam mnisi ze Snagov. Ale nazwa Sveti Georgi nie pojawia się w żadnych dokumentach i źródłach historycznych pochodzących z tamtego okresu. Można z tego wnioskować, iż monaster

został zniszczony lub opuszczony wkrótce po odejściu stamtąd Stefana. Wiemy jednak trochę o genezie tej świątyni. Wspomina o tym jego typikon*, przechowywany w bibliotece Monasteru Bączkowskiego. Zgodnie z tym dokumentem ufundował go w roku tysiąc sto pierwszym Georgios Komnen, daleki kuzyn bizantyjskiego cesarza Aleksego I Komnena. *Kronika* Zachariasza utrzymuje, że kiedy w monasterze pojawiła się grupa ze Snagov, zastała w nim „niewielu i bardzo wiekowych” mnichów. Zapewne żyli zgodnie z regułą narzucaną im przez typikon, zbliżoną zresztą do reguły wołoskich zakonników.

Warto też zanotować, iż *Kronika* opisuje wędrówkę Wołochów przez Bułgarię w sposób dwójaki: z jednej strony podając detale męczeńskiej śmierci dwóch z nich, jaką ponieśli z rąk Turków, z drugiej niebывałą przychylność miejscowej ludności okazywaną wędrowcom. Trudno powiedzieć, skąd w Bułgarii brała się ze strony Turków aż taka wrogość, przecież imperium odnosiło się do chrześcijan życzliwie. Stefan opowiada ustami Zachariasza, że jego przyjaciół w Chaskowie „przesłuchano”, a następnie torturowano i w końcu zabito. Sugeruje to, że władze tureckie uważały, iż mnisi mają jakieś tajne informacje polityczne. Chaskowo leży w południowo-wschodniej Bułgarii, gdzie w piętnastym wieku całkowitą władzę sprawowali Turcy. Co dziwniejsze, zamęczeni mnisi poddani zostali tradycyjnej osmańskiej karności za kradzież (obcięcie rąk) oraz za ucieczkę (obcięcie stóp). Większość nowych męczenników była pod panowaniem tureckim torturowana i zabijana innymi metodami. Ta forma kary, jak też przeszukanie furgonu przez przedstawicieli władzy w Chaskowie, co dokładnie opisał Stefan w swojej *Opowieści*, świadczy dobitnie, że mnichów oskarżono o kradzież, choć oprawcy nie potrafili udowodnić swoich zarzutów.

Stefan mówi o powszechnej życzliwości, jaką podczas drogi okazywała im bułgarska ludność, co mogło wzbudzić zainteresowanie Turków. Ale zaledwie osiem lat wcześniej, w roku tysiąc czterysta sześćdziesiątym dziewiątym, relikwie pustelnika Iwana, założyciela Monasteru Rilskiego, przeniesiono z Wielkiego Tyrnowa do kaplicy w Rile. Procesję opisał Vladislav Gramatik w swej *Relacji z przeniesienia szczątków świę-*

* Z greckiego: typikon - reguła. W kościołach bizantyjskich. Typikon liturgiczny - księga rytuałów, analogiczna do *Ordo officii et missae* rytuału łacińskiego, zawierająca normy dla godzin kanonicznych, oraz typikon monastyczny, dotyczący przepisów dyscyplinarnych.

tego Iwana. Podczas ceremonii przenoszenia relikwii władze tureckie zachowywały się tolerancyjnie i miejscowa ludność mogła spokojnie oddawać szczątkom świętego cześć. Podróż ta stała się symbolem jedności bułgarskich chrześcijan. Zarówno Zachariasz, jak i Stefan słyszeli zapewne o tym sławetnym przeniesieniu kości Iwana Rilskiego. Zresztą w klasztorze Zographou znajduje się pewien dokument na ten temat, dostępny Zachariaszowi w roku tysiąc czterysta siedemdziesiątym dziewiątym.

Tak zatem, wobec wcześniejszej tolerancji religijnej Turków, musi budzić szczególne zdziwienie fakt ich wrogości wobec podróżujących mnichów wołoskich. Przeszukanie ich furgonu - zapewne przez oficerów gwardii miejscowego paszy - wskazuje na to, iż do najwyższych władz Imperium Osmańskiego w Bułgarii dotarła wieść, co podróżujący mnisi wiozą. Z całą pewnością Turcy nie życzyli sobie na podległych im ziemiach bułgarskich grobu ich najzacieklej szego wroga, a już na pewno nie tolerowaliby oddawania czci szczątkom. Najbardziej jednak zagadkowa jest sprawa, że podczas przeszukiwania furgonu niczego nie znaleziono, a Stefan wspomina później jedynie o pochówku w Sveti Georgi. Możemy tylko spekulować, w jaki sposób mnichom udało się ukryć całe ciało (choć bez głowy), jeśli oczywiście je wzięli.

Zarówno historyków, jak i antropologów interesują odniesienia *Kroniki* do wiary mnichów ze Snagov w wizje, jakich doznawali w swojej świątyni. Mnisi nie byli pewni, co stało się z ciałem Vlada IV podczas ich nocnego czuwania. Cytowali jedynie powszechne wierzenia o tym, w jaki sposób zwłoki przemieniają się w żywego trupa - wampira - wskazując przy tym, że od początku uważali, iż do tego dojdzie. Jedni przysięgali, że widzieli jakieś zwierzę przeskakujące nad ciałem, inni zaś, iż otulił je dziwny opar, a do świątyni wpadł mocny podmuch wiatru, sprawiając, że zwłoki usiadły. W bałkańskim folklorze rozpowszechniona jest wiara w zwierzęce pochodzenie wampira czy też w to, że potrafi się on zamienić w opar lub mgłę. Masakry, jakich nieustannie dopuszczał się Vlad IV, oraz jego przejście na katolicyzm, kiedy więził go król Węgier, Maciej Korwin, znane były zarówno mnichom, jak i wszystkim mieszkańcom Wołoszczyzny (a zwłaszcza w jego ukochanym monasterze, gdzie opatem był osobisty spowiednik hospodara).

Rękopisy

Kronika Zachariasza znana jest dzięki dwóm manuskryptom: *Athos 1480* oraz *R. VII. 132*. Ten ostatni znany też jest pod nazwą *Wersji patriarchalnej. Athos 1480*, rękopis oprawiony in quarto i pisany półuncją, przechowywany jest w bibliotece Monasteru Rilskiego, gdzie odkryto go w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim. Manuskrypt ów, wcześniejszy od późniejszej znanej nam wersji, napisany został bez wątpienia osobiście przez Zachariasza w Zographou na podstawie notatek poczynionych przy łożu śmierci Stefana. Mimo jego zapewnień, że „zawiera dokładnie każde słowo”, Zachariasz musiał solidnie nad nim popracować. Świadczy o tym nienaganny styl, jakiego nie mógł nadać rękopisowi na miejscu, oraz tylko jedna poczyniona poprawka. Ów oryginał przechowywany był w monasterze Zographou, w każdym razie do roku tysiąc osiemset czternastego, gdyż jego tytuł wymieniony jest w spisie piętnasto- i szesnastowiecznych rękopisów biblioteki w Zographou, sporządzonym w tym właśnie roku. Odkryto go przypadkowo w Bułgarii w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku, kiedy to bułgarski historyk, Atanas Angelow, znalazł ów manuskrypt ukryty w okładce piętnastowiecznego traktatu o życiu świętego Jerzego (*Georgi 1364.21*), znajdującego się w bibliotece Monasteru Rilskiego. Angelow w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym ustalił, że w Zographou nie pozostała ani jedna kopia dokumentu. Nie wiadomo, jak *Kronika* trafiła z Athos do Monasteru Rilskiego, choć mogli odegrać w tym rolę piraci najeżdżający Świętą Górę w osiemnastym i dziewiętnastym wieku. (Zrabowali wiele innych drogocennych dokumentów i zabytków).

Druga i jedyna inna znana wersja *Kroniki Zachariasza - R. VII. 132*, inaczej *Wersja patriarchalna* - przechowywana jest w Patriarchacie Eku-
menicznym Konstantynopola i datowana na połowę lub końcowe lata szesnastego wieku. Jest to przypuszczalnie późniejsza wersja kopii przesłanej jeszcze w czasach Zachariasza do patriarchy przez opata Zographou. Oryginałowi pisma towarzyszył zapewne osobisty list opata ostrzegający przed szerzącą się herezją w bułgarskim monasterze Sveti Georgi. List nie zachował się do naszych czasów, lecz możliwe, iż opat Zographou zażądał, aby Zachariasz sporządził odpis *Kroniki*, którą chciał przesłać do Konstantynopola, a oryginał zostawić z bibliotece monasteru.

Kronika okazała się tak ważnym dokumentem, że w bibliotece patriarchy w Konstantynopolu wielokrotnie ją kopiowano.

Wersja patriarchalna różni się od *Athos 1480* w pewnych istotnych szczegółach. Opuszczono w niej wyznania mnichów odbywających nocne czuwanie w świątyni w Snagov oraz ich widzenia. Konkretnie zdanie od: *Jeden z mnichów ujrzał zwierzę... do: pozbawione głowy ciało księcia poruszyło się i próbowało wstać.* Ustęp ów został zapewne usunięty z późniejszej kopii, by użytkownicy patriarchalnej biblioteki nie czytali o herezjach opisywanych przez Stefana i aby zminimalizować wpływ przesądów o narodzinach żyjącego trupa, guseł, którym administracja kościelna wszelkimi sposobami próbowała postawić tamę. Trudno ustalić dokładną datę powstania *Wersji patriarchalnej*, ale z całą pewnością była już w katalogu biblioteki Patriarchatu w roku tysiąc sześćset piątym.

I ostatnie podobieństwo - wprowadzające w zakłopotanie i niepokojące - między oboma rękopisami *Kroniki*. Ich zakończenia zostały oddarte mniej więcej w tym samym miejscu. *Athos 1480* kończy się słowami *Zrozumiałem...* a *Wersja patriarchalna* ciągnie dalej: *...że nie jest to zwyczajna zaraza, lecz...*

Tutaj tekst w obu manuskryptach urywał się. Czyjaś ręka usunęła dalszy tekst, w którym Stefan odsłaniał herezje lub inne zło, jakie zapanowało w monasterze Sveti Georgi.

Klucz do określenia daty tego zniszczenia można znaleźć w katalogu bibliotecznym, o którym wspominaliśmy powyżej, gdzie określa się *Wersję patriarchalną* jako niekompletną. Zatem możemy założyć, iż końcówka tej wersji oddarta została przed rokiem tysiąc sześćset piątym. Trudno natomiast odpowiedzieć na pytanie, dlaczego oba fakty wandalizmu zbiegły się mniej więcej w tym samym czasie, czy jeden z nich zainspirował innego czytelnika do podobnego czynu i czy zakończenia obu rękopisów były takie same. Podobieństwo *Wersji patriarchalnej* do manuskryptu z Zographou, z wyjątkiem fragmentu dotyczącego nocnego czuwania, o którym pisaliśmy wyżej, wskazuje, że obie wersje kończyły się identycznie lub bardzo podobnie. Co więcej, fakt oddarcia fragmentu dotyczącego nadprzyrodzonych zdarzeń w kościele w Snagov potwierdza teorię, że *Wersja patriarchalna* kończyła się opisem herezji lub zła, jakie zapanowało w Sveti Georgi. Jest to jedyne przykład pośród średnio-wiecznych, bałkańskich rękopisów na tak identyczne fałszowanie dwóch

kopii tego samego dokumentu znajdujących się w odległych o setki kilometrów od siebie bibliotekach.

Wydania i tłumaczenia

Kronika Zachariasza z Zographou była wcześniej publikowana dwukrotnie. Po raz pierwszy, w greckim tłumaczeniu i ze skąpym komentarzem, zamieszczono ją w *Historii kościołów bizantyjskich* Xanthosa Constantinosa w roku tysiąc osiemset czterdziestym dziewiątym. W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym Patriarchat Ekumeniczny wydrukował broszurę w oryginalnym języku starosłowiańskim. Atanas Angelow, który w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym odkrył wersję z Zographou, miał zamiar opatrzyć to dzieło obszernymi komentarzami, ale nie pozwoliła mu na to śmierć w roku następnym. Część jego uwag i notatek ukazało się drukiem w „Bałkańskim historycznym przeglądzie” w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym.

„KRONIKA ” ZACHARIASZA Z ZOGRAPHOU

Mnie, Zachariaszowi, historię tę opowiedział penitent i brat w Chrystusie, Stefan Wędrowiec z Carogrodu*. Pojawił się w naszym klasztorze w roku sześć tysięcy dziewięćset osiemdziesiątym siódmym [1479]. Tu opowiedział nam niezwykle i zdumiewające dzieje swego życia. Kiedy do nas przybył, liczył sobie pięćdziesiąt trzy lata. Był to mądry i pobożny człowiek, który odwiedził wiele krajów. Dzięki składamy Matce Bożej za to, że sprowadziła go do nas z Bułgarii, gdzie podczas wędrówki w towarzystwie mnichów wołoskich doznał wielu cierpień z rąk niewiernych Turków, a w mieście o nazwie Chaskowo był świadkiem męczeńskiej śmierci dwóch swych przyjaciół. On i pozostali bracia wieźli przez terytoria niewiernych pewną relikwię o niezwykłej mocy. Gdy przemierzali z nią ziemię Bułgarów, fama o nich niosła się po całej okolicy. Miejsco- wi chrześcijanie wychodzili na drogę, którą posuwała się procesja, kłaniali się wędrującym mnichom i z czcią całowali boki furgonu. Święte relikwie zawieźli do monasteru zwanego Sveti Georgi, gdzie otaczała je

* Nazwa Konstantynopola używana przez wschodnich Słowian.

powszechna cześć. Tak zatem w tym niewielkim i zbudowanym w odludnym miejscu klasztorze zaczęli pojawiać się pielgrzymi ciągnący z monasterów Rilskiego, Bączkowskiego, a nawet ze świętego Athos. Ale Stefan Wędrowiec był pierwszą znaną nam osobą, która odwiedziła Sveti Georgi.

Podczas kilkumiesięcznego pobytu Stefana w naszym klasztorze uderzyło nas, że prawie nigdy nie wspominał o monasterze Sveti Georgi, choć szeroko rozprawiał o innych sanktuariach i świętych miejscach, które odwiedził, przekonany w swej pobożności, iż ktoś, kto całe życie spędził w rodzinnym kraju, zasługuje na to, by zdobyć wiedzę o cudach Kościoła Chrystusowego za granicą. Tak zatem opowiedział nam o zachwycającej kaplicy na wyspie w Zatoce Marii na Morzu Weneckim*. Wyspa jest tak mała, że fale morskie obmywają jej mury ze wszystkich czterech stron. Mówił o monasterze Świętego Stefana wzniesionym na innej wyspie, odległej od tamtej kaplicy o dwa dni drogi krętym wybrzeżem. Tam właśnie zdobył swe imię, wyrzekając się własnego. Opowiedział nam to i wiele innych rzeczy, na przykład o widywanych w Morzu Marmurowym przerażających potworach.

Nieustannie też mówił nam o świątyniach, kościołach i monasterach Konstantynopola, zanim jeszcze nie zeszpecili ich i nie sprofanowali niewierni żołnierze sultana. Opisywał nam z czcią ich bezcenne, cudowne ikony, takie jak Matki Bożej w kościele Mądrości Bożej czy zawołowanej ikonie w sanktuarium w Blachernae. Oglądał grób świętego Jana Chryzostoma, grobowce cesarzy, głowę świętego Bazylego w kościele Panachrantos oraz wiele innych świętych relikwii. Jakież to szczęście dla niego i dla nas, odbiorców jego opowieści, że kiedy wciąż jeszcze był młody, opuścił miasto i był już daleko, kiedy ów szatan Mahomet otoczył stolicę diabolicznie krzepką twierdzą, z której przystąpił do oblężenia. Niebawem skruszył ogromne mury Konstantynopola i wymordował lub zniewolił jego mieszkańców. Stefan był już daleko, kiedy dotarła doń wieść o tym nieszczęściu. Wraz z całym chrześcijańskim światem oplakiwał gorzko tragiczny los tego miasta.

W końskich jukach przywiózł ze sobą rzadkie i przepiękne księgi, które zdołał zgromadzić podczas swych wędrówek. Czerpał z nich boże natchnienie, jako że biegle władał językiem greckim, łaciną, starosło-

* Morze Adriatyckie.

wiańskim, a zapewne jeszcze kilkoma innymi. Przekazał te księgi do biblioteki naszego monasteru, by przynosiły mu chwałę na wieki, choć większość z nas potrafiła czytać tylko w jednym języku, a niektórzy wcale. Podarował nam te bezcenne skarby, mówiąc, że nadszedł już kres jego wędrówek i pragnie do końca swych dni pozostać, wraz z tymi księgami, w Zographou.

Tylko ja i jeszcze jeden z braci zauważyliśmy, że Stefan bardzo rzadko wspomina o swym pobycie na Wołoszczyźnie. Oświadczył tylko, że odbył tam nowicjat. Nigdy też nie mówił wiele o bułgarskim monasterze zwanym Sveti Georgi. Uczynił to dopiero pod sam koniec życia. Kiedy pojawił się w naszym klasztorze, był już ciężko chory. Najbardziej cierpiał od napadów straszliwej gorączki i w niecały rok po przybyciu do Zographou oświadczył nam, iż ma nadzieję stanąć niebawem przed tronem Zbawcy, jeśli oczywiście Ten wybaczy mu winy, co zresztą zawsze czyni w przypadku skruszonych grzeszników. Gdy leżał już powalony śmiertelną chorobą, poprosił opata, by wysłuchał jego spowiedzi. Powiedział, iż był świadkiem niewyobrażalnego zła i nie wolno mu tej tajemnicy zabierać do grobu. Opat, poruszony do żywego, poprosił mnie, żebym jeszcze raz wysłuchał opowieści Stefana i ją spisał. Chciał jak najszybciej przesłać ją do Konstantynopola. Uczyniłem to niezwłocznie i bezbłędnie. Siedząc u wezglowia Stefana, ze zgrozą wysłuchałem tego, co cierpliwie po raz drugi opowiedział. Później przyjął komunię świętą i umarł w śnie. Pochowany został w naszym monasterze.

OPOWIEŚĆ STEFANA ZE SNAGOV
wiernie spisana przez Zachariasza grzesznika

Ja, Stefan, po latach wędrówki i utracie swego ukochanego, świętego miasta Konstantynopola, w którym przyszedłem na świat, wyruszyłem na północ od ogromnej rzeki, oddzielającej Bułgarów od Daków. Wędrowałem najpierw równinami, a następnie wszedłem w góry, by po długiej wędrówce trafić do monasteru wzniesionego na wyspie na jeziorze Snagov, w bardzo odseparowanym i bezpiecznym miejscu. Opat w dobroci serca zaprosił mnie, żebym zasiadł z mnichami do stołu. Tak pobożnych i oddanych modlitwie braci nigdy jeszcze podczas swych wędrówek nie

spotkałem. Oni też nazywali mnie bratem i hojnie dzielili się stawą i pi-
ciem. Ich ciągle milczenie napełniało serce spokojem, jakiego nie znałem
od wielu, wielu miesięcy. Pracowałem jak wół, z pokorą wypełniałem
wszystkie polecenia opata, który w końcu udzielił mi pozwolenia na po-
zostanie w klasztorze. Monaster nie był duży, ale zdumiewającej urody,
a dźwięk jego dzwonów niósł się daleko po wodzie.

Kościół i monaster miały hojnego opiekuna. Robił on wszystko, by
mnichom i kościołowi niczego nie brakowało; nawet ufortyfikował mo-
naster. Był to miejscowy książę Vlad, syn Vlada, Dracula. Musiał on już
dwukrotnie uciekać z wołoskiego tronu, wyganiany przez sułtana i in-
nych wrogów. Wiele lat spędził w niewoli Macieja Korwina, króla Ma-
dżarów. Książę Dracula był bardzo dzielny i odważny człowiekiem.
Podczas nieustannych walk plądrował ziemie niewiernych lub odbierał
im terytoria, które podbili. Wojenne łupy oddawał monasterowi. Nie-
ustannie błagał, byśmy modlili się za niego, jego rodzinę i jej bezpieczeń-
stwo, *co też żarliwie czyniliśmy*. Niektórzy mnisi szeptali wprawdzie, że
jest on z powodu niebywałego okrucieństwa zatwardziałym grzeszni-
kiem, a także, iż będąc w niewoli madziarskiego króla, przeszedł na kato-
licyzm. Ale opat nie chciał słyszeć o nim ani jednego złego słowa i nie-
jednokrotnie ukrywał w klasztorze jego wraz z ludźmi, kiedy ścigali ich
bojarzy, aby pojmać i zabić.

W ostatnim roku swego życia Dracula, jak miał to w zwyczaju, po-
nownie nawiedził monaster. Nie widziałem go wtedy, gdyż opat wysłał
mnie z drugim bratem w pewnych sprawach do innego klasztoru. Kiedy
wróciłem, dowiedziałem się, że w naszym klasztorze pojawił się Dracula,
by zostawić kolejne skarby. Jeden z braci, który handlował w naszym
imieniu z okolicznymi wieśniakami, słyszał wiele krążących w okolicy
opowieści. Powiedział, że sercu Draculi worek z obciętymi, ludzkimi
uszami i nosami jest bliższy od saka ze złotem. Kiedy doszło to do opata,
zgromił i ukarał nieszczęsnego mnicha. Tak więc nie spotkałem żywego
Dracula, ale widziałem go za to po śmierci, o czym za chwilę opowiem.

W jakieś cztery miesiące później dotarła do nas wieść, iż książę został
w bitwie otoczony i zabity przez niewiernych, kładąc wcześniej trupem
ponad czterdziestu wrogów. Po śmierci żołnierze sułtana ucięli mu głowę
i odesłali ją swemu władcy.

Dowiedzieliśmy się tych szczegółów od ludzi księcia. Choć po jego
śmierci większość z nich uciekła, kilku przywiozło do monasteru w Sna-

gov ciało Draculi i smutne wieści, po czym również umknęli. Na widok wynoszonych z łodzi zwłok opat zapłakał i zaczął na głos modlić się zarówno za duszę księcia, jak i opiekę Boga w obliczu zbliżającego się półksiężyca niewiernych. Poleciał włożyć ciało do trumny w kościele.

Była to jedna z najbardziej przerażających scen, jakie widziałem w życiu: pozbawiony głowy korpus, przybrany w czerwień i purpurę, otoczony migotliwym blaskiem licznych świec. Kolejne trzy dni i noce spędziliśmy w kościele na czuwaniu. Wyznaczono mnie do pierwszego

z nich. W świątyni panowała cisza i spokój; przerażał tylko widok okaleczonego ciała. Tego samego zdania byli inni bracia, którzy siedzieli wraz ze mną. Ale trzeciej nocy, kiedy część znużonych mnichów zapadła w drzemkę, wydarzyło się coś, co nappełniło serca pozostałych braci przerażeniem. Nie mogli się ze sobą zgodzić. Każdy z nich widział coś innego. Jeden z mnichów ujrzał zwierzę, które wyłoniło się z zalegającego stale mroku i jednym susem przeskoczyło trumnę. Braciszek nie potrafił powiedzieć, co to było za stworzenie. Inni poczuli podmuch wiatru lub ujrzeni gęstą mgłą wdzierającą się do świątyni. Wiele świec zamigotało i zgasło. Wszyscy oni zaklinali się na świętych i aniołów, zwłaszcza archaniołów Michała i Gabriela, iż mającące w półmroku pozbawione głowy ciało księcia poruszyło się i próbowało wstać. Pod strop świątyni wzbił się przenikliwy wrzask przerażonych mnichów, który postawił na nogi całą naszą wspólnotę. Mnisi wybiegli w popłochu z kościoła i kłócąc się zajadle między sobą, próbowali opowiedzieć, co każdy widział.

Wyszedł do nich opat. W blasku pochodni widziałem, jak żegnając się co chwila, z pobladłą twarzą, ze zdumieniem słucha ich sprzecznych relacji. Później napomniał nas, że dusza tego szlachetnego pana spoczywa w naszych rękach, więc powinniśmy się zachowywać stosownie do wymogów chwili. Zaprowadził nas do kościoła i polecił pozapalać ponownie wszystkie świece. W ich blasku ujrzelśmy spoczywające spokojnie w trumnie ciało. Opat polecił dokładnie przeszukać świątynię, ale nie znaleźliśmy żadnego czającego się w którymś z ciemnych kątów zwierzęcia lub demona. Poradził zatem, abyśmy udali się spokojnie do cel. Kiedy nadeszła godzina pierwszej mszy, odprawiliśmy modły jak zawsze. Powoli wszystko wracało do normy.

Następnego wieczoru jednak opat wezwał do siebie ośmiu mnichów, w tym mnie, czym wyświadczył mi wielki zaszczyt. Oznajmił, że musimy stworzyć wszelkie pozory, że księżę został pochowany w kościele,

a tak naprawę jak najszybciej wywieźć jego ciało ze Snagov. Dodał też, że tylko jednemu z nas powie, dokąd i dlaczego mamy je wywieźć, a uczyni to z tego względu, iż nasza niewiedza zapewni nam bezpieczeństwo. Wybrał mnicha, który przebywał już w monasterze od wielu lat, a pozostałym [nam] rozkazał ślepo się go słuchać i nie zadawać żadnych pytań.

I w taki oto sposób ja, który myślałem, że nigdy już nie udam się w żadną wędrowną, wyruszyłem w daleką podróż, trafiając wraz z towarzyszami do mego rodzinnego miasta. Stało się ono stolicą królestwa niewiernych. Tam dopiero ujrzałem, jakie zmiany zaszły w moim Konstantynopolu. Świątynię Mądrości Bożej zamieniono na meczet i nie mieliśmy do niej wstępu. Wiele kościołów zniszczono lub popadały w ruinę, inne stały się domami modlitwy Turków, nawet Panachrantos. Tam dopiero dowiedziałem się, że szukamy skarbu, który przyspieszy zbawienie duszy księcia. Skarb ten został już z wielkim ryzykiem zabrany przez dwóch świętych i dzielnych mężów z monasteru Świętego Zbawiciela i bezpiecznie wywieziony z miasta. Sułtańscy janczarowie jednak nabrali podejrzeń i dlatego musimy natychmiast przedsięwziąć kolejną wędrowną, tym razem do starego królestwa Bułgarów.

Kiedy wędrowaliśmy przez tę krainę, wielu Bułgarów wiedziało najwyraźniej o naszej misji, gdyż coraz więcej ludzi pojawiało się przy drogach, składając nam w milczeniu pełne czci ukłony. Wielu z nich przebyło daleką drogę, aby dotknąć dłonią naszego furgonu, a nawet go ucałować. Podczas tej drogi wydarzyła się rzecz najstraszniejsza. Kiedy przejeżdżaliśmy przez miasteczko Chaskowo, zatrzymała nas siła i ostrym słowem miejscowa gwardia. Przeszukali wóz, oświadczając, że szukają pewnej rzeczy, którą wieziemy. Kiedy odkryli dwa wielkie worki, natychmiast je otworzyli. W środku była żywność. Ze złością cisnęli je na ziemię i aresztowali dwóch z naszych towarzyszy. Ci łagodni mnisi, zapewniający, że o niczym nie wiedzą, tak rozwścieczyli siepaczy, iż ów diabelski pomiot obciął im dłonie i stopy, a rany przed śmiercią natarli im solą. Nam darowali życie i wśród przekleństw, tłukąc nas batogami, kazali ruszać w dalszą drogę. Udało się nam jednak odzyskać ciała i odcięte członki naszych przyjaciół, które pochowaliśmy po chrześcijańsku w monasterze w Baczkowie. Tamtejsi mnisi przez wiele dni i nocy modlili się za ich niewinne, tak bardzo oddane Bogu dusze.

Po tym zdarzeniu podróżowaliśmy przejęci wielkim smutkiem i stra-

chem. Ale było już niedaleko i wkrótce bezpiecznie dotarliśmy do monasteru Sveti Georgi. Tamtejsi mnisi - nieliczni i starzy - powitali nas bardzo gościnnie i powiadomili, że skarb rzeczywiście został odnaleziony. Przed dwoma miesiącami dostarczyło go bowiem dwóch pielgrzymów. Do Dacji zamierzaliśmy wrócić po jakimś czasie, kiedy już się wszystko uspokoi. Szczątki, które przekazaliśmy mnichom, zostały sekretnie umieszczone w relikwiarzu w Sveti Georgi. Do klasztoru zaczęły napływać rzesze chrześcijan, ale i ci trzymali wszystko w tajemnicy. Dłuższy czas mieszkaliśmy tam w zupełnym spokoju, a sam monaster, dzięki naszej pracy, znacznie się rozrósł. Niebawem na okoliczne wioski spadła zaraza. Monaster jednak początkowo omijała. Zrozumiałem [że nie jest

to zwyczajna zaraza, lecz]

[W tym miejscu dalszy ciąg rękopisu został oddarty].

60

„Kiedy Stoiczew skończył, dobrych kilka minut siedzieliśmy z Helen w milczeniu. Sam profesor kiwał tylko i kręcił głową, przeciągając dłońią po twarzy, jakby chciał się wyrwać ze snu.

»To ta sama podróż... to musi być ta sama podróż« - przerwała w końcu ciszę Helen.

»Też tak myślę - odrzekł Stoiczew, odwracając się w jej stronę. - Z całą pewnością mnisi brata Kiryła wieźli szczątki Vlady Tepesa«.

»Znaczy to, że z wyjątkiem dwóch zamordowanych przez Osmanów, mnisi bezpiecznie dotarli do bułgarskiego monasteru. Sveti Georgi... gdzie to jest?«

Sam chciałem znać odpowiedź na to pytanie. Dla mnie też stanowiło to największą zagadkę. Stoiczew przeciągnął w zamyśleniu dłońią po brwiach.

»Gdybym tylko wiedział - mruknął. - Ale tego nie wie nikt. W okolicach Baczkowa nie ma monasteru o nazwie Sveti Georgi. W średniowieczu w Bułgarii istniało kilkanaście monasterów o tej nazwie, ale wszystkie uległy zagładzie we wczesnych latach panowania Imperium Osmańskiego. Zapewne spłonął, a kamienie rozgrabiono na inne budowle. - Popatrzył na nas ze smutkiem. - Jeśli Turcy mieli jakieś powody, by nienawidzić lub

obawiać się tego klasztoru, z całą pewnością zburzyli go do fundamentów, a mnisi nie dostali zezwolenia na budowę nowego, tak jak w przypadku Monasteru Rylskiego. W swoim czasie próbowałem zlokalizować Sveti Georgi. - Znów na chwilę zamilkł. - Po śmierci mego przyjaciela Angelowa próbowałem kontynuować jego badania. Osobiście udałem się do Monasteru Bączkowskiego, gdzie odbyłem z mnichami wiele rozmów. Wypytywałem mieszkańców tamtych terenów, ale nikt o monasterze Sveti Georgi nie słyszał. Nie znalazłem go też na najstarszych mapach. Zastanawiałem się nawet, czy Stefan nie podał Zachariaszowi fałszywej nazwy. W końcu wśród miejscowej ludności przetrwałaby jakaś legenda, gdyby pochowano w okolicy szczątki tak znakomitej postaci jak Vlad Dracula. Przed wojną nawet chciałem udać się do Snagov i tam zaczerpnąć informacji z pierwszej ręki...«

»Gdyby tylko mógł się pan spotkać z Rossim lub przynajmniej z tym archeologiem... Georgescu« - westchnąłem.

»Zapewne. - Dziwnie się uśmiechnął. - Gdybyśmy spotkali się tam z Rossim i połączyli naszą wiedzę, zanim nie było za późno«.

Zastanawiałem się, czy ma na myśli czasy przed rewolucji bułgarskiej, czy kiedy jeszcze ja się u niego nie pojawiłem. Nie chciałem o to pytać. Po chwili jednak sam wyjaśnił:

»Widzicie, swoją pracę przerwałem gwałtownie. Kiedy wróciłem z rejonów Baczkowa, pełen planów na wyprawę do Rumunii, w swoim mieszkaniu w Sofii ujrzałem przerażający widok«.

Umilkł i zamknął oczy.

»Staram się zapomnieć o tamtym dniu. Na początek muszę wyjaśnić, że miałem niewielkie mieszkanie w pobliżu muru rzymskiego - bardzo starożytnego miejsca - a ja uwielbiałem to starodawne miasto ze względu na jego historię. Książki, papiery oraz dokumenty dotyczące Baczkowa i okolicznych monasterów zostawiłem na biurku, a sam udałem się do pobliskiego sklepu, by zrobić zakupy. Kiedy wróciłem, ujrzałem, że ktoś zrobił w moim mieszkaniu dokładną rewizję. Przejrzał wszystkie moje rzeczy, po wywaleniu książek z półek i myszkował w szafie. Na biurku, na porozrzucanych papierach, dostrzegłem niewielką smugę krwi. Sam wiesz, jak wygląda atrament... kleksy... strona... - Urwał i popatrzył na nas przenikliwie. - A na środku biurka leżała książka, której nigdy wcześniej nie widziałem...«

Zerwał się gwałtownie z miejsca i zniknął w sąsiednim pokoju, skąd

zaczęły dobiegać dźwięki przesuwanych na półkach książek. W pierwszej chwili chciałem mu pomóc, ale siedziałem na krześle jak wmurowany i patrzyłem bezradnie na Helen, która również sprawiała wrażenie sparaliżowanej.

Niebawem pojawił się Stoiczew, dźwigając w ramionach wielkie folio. Oprawione było w wytartą skórę. Położył księgę na stole, otworzył ją drżącymi rękami i bez słowa pokazał nam jej puste karty z wizerunkiem smoka w środku. Tutaj smok wydawał się mniejszy, gdyż księga miała wielki format, ale z całą pewnością był to ten sam drzeworyt, łącznie ze smugami, jaki widziałem w książce Hugh Jamesa. Dostrzegłem też inne smugi na żółtawym marginesie, nieopodal szponów smoka. Wskazał je również Stoiczew, lecz najwyraźniej zżerały go jakieś emocje - odraza, lęk - gdyż na chwilę zapomniał, kim jesteśmy, i mruknął po bułgarsku:

»*Kiw*. Krew«.

Pochyliłem się niżej nad drzeworytem. Brązowa smuga najwyraźniej była odciskiem czyjegoś palca.

»Dobry Boże! - Przypomniałem sobie własnego, nieszczęsnego kota

i Hedgesa, przyjaciela Rossiego. - Czy ktoś lub coś było w mieszkaniu? Co pan zrobił po znalezieniu tego śladu?«

»Nie było nikogo - odparł cicho Stoiczew. - Wychodząc, zamknąłem drzwi na zamek, który wciąż był nietknięty, kiedy wróciłem. A w środku panował bałagan. Wezwałem policję. Obejrzelni mieszkanie i na koniec... jak byś to powiedział?... wzięli do analizy próbkę krwi. Szybko doszli, czyja to krew«.

»Czyja?« - Zaintrygowana Helen aż pochyliła się do przodu.

Stoiczew przygarbił się, sprawiał wrażenie, jakby zapadał się w siebie. Na pomarszczone czoło wystąpiły mu grube krople potu.

»Moja«.

»Ale...«

»Nie, oczywiście że nie. Nie było mnie w mieszkaniu. Ale policja stwierdziła, że sam to wszystko zaaranżowałem. Nie pasował tylko sam odcisk palca. Oświadczyli, że nigdy jeszcze takiego nie spotkali... nie miał prawie linii papilarnych. Oddali mi księgę i papiery. Zostałem ukarany grzywną za robienie sobie żartów z wymiaru sprawiedliwości. Poza tym mało nie straciłem posady wykładowcy«.

»I wtedy zarzucił pan dalsze badania?« - zapytałem.

Stoiczew bezradnie wzruszył chudymi ramionami.

»To był tylko plan, który zarzuciłem. Mimo to mogłem wszystko kontynuować, gdyby nie to. - Powoli odwrócił kartę folio. - Gdyby nie to...«-powtórzył.

Ujrzelśmy wypisane wyblakłym już atramentem, pięknym, archaicznym, ręcznym pismem, jedno słowo. Znając trochę słynny alfabet Cyryla, rozszyfrowałem je bez trudu. Helen przeczytała na głos:

»STOICZEW. To pana nazwisko. Coś okropnego!«

»Wiem. Moje nazwisko wypisane średniowiecznym charakterem pisma i średniowiecznym atramentem. Zawsze żałowałem, że stchórzyłem i nie kontynuowałem badań. Ale bałem się. Myślałem, iż coś mi się przydarzy - tak jak przydarzyło się pani ojcu, madame«.

»Miał pan wszelkie powody, aby się bać - powiedziałem staremu naukowcowi. - Ale wciąż wierzymy, że dla profesora Rossiego nie jest jeszcze za późno«.

Stoiczew wyprostował się na krześle.

»Racja. Jeśli tylko odnajdziemy Sveti Georgi. Przede wszystkim musimy pojechać do Monasteru Rilskiego i przestudiować pozostałe listy brata Kiryła. Jak już mówiłem, nigdy nie wiązałem ich z *Kroniką* Zachariasza. Nie mam kopii tych dokumentów, gdyż istnieje zakaz ich publikowania. Kilku historyków - w tym ja - prosiło o ich udostępnienie, ale otrzymało odpowiedź odmowną. Poza tym w Monasterze Rilskim jest ktoś, z kim powinniście porozmawiać. Nie wiem tylko, czy wam pomoże«.

Stoiczew najwyraźniej chciał powiedzieć coś jeszcze, ale na schodach rozległy się czyjeś ciężkie kroki. Profesor próbował dźwignąć się z krzesła, po czym przesłał mi błagalne spojrzenie. Natychmiast zabrałem folio ze smokiem, przeniosłem je do sąsiedniego pokoju i ukryłem za jednym z pudeł. Do Stoiczewa i Helen dołączyłem na chwilę przed pojawieniem się w proggu biblioteki Ranowa.

»Ha! - wykrzyknął. - Konferencja historyków. Ale zaniedbał pan swoich innych gości, profesorze. - Zaczął beczelnie grzebać wśród rozłożonych na stole książek i papierów, aż w końcu natrafił na stary żurnal z *Kroniką* Zachariasza. - A więc to was tak interesuje? - Prawie się uśmiechnął. - Zapewne ja też powinienem to przeczytać, aby się trochę dokształcić. Tak mało wiem o średniowiecznej Bułgarii. Zwłaszcza że pańska tak bardzo atrakcyjna siostrzenica wcale nie zwraca na mnie uwagi. Chciałem zaprowadzić ją w ustronne miejsce pańskiego ślicznego ogrodu, ale ona stanowczo odmówiła«.

Stoiczew poczerwieniał i chciał coś odpowiedzieć, ale, ku memu zdumieniu, wyręczyła go w tym Helen.

»Niech pan trzyma swoje brudne łapy funkcjonariusza z daleka od tej dziewczyny - warknęła, spoglądając Ranowowi prosto w oczy. - Ma pan dokuczać nam, nie jej«.

Dotknąłem ramienia Helen, dając znak, by nie rozwścieczała naszego opiekuna. Mogłoby się to skończyć kompletną katastrofą. Ale Helen wymieniła tylko przeciągłe spojrzenie z Ranowem i oboje odwrócili się od siebie.

Tymczasem Stoiczew najwyraźniej ochłonął.

»Proszę pana - powiedział spokojnym już tonem. - Nasi goście koniecznie muszą udać się do Monasteru Rilskiego. To niezbędne w ich badaniach. Chciałbym im towarzyszyć i mieć ten honor, by osobiście zaprezentować tamtejszą bibliotekę«.

»Riła?« - Ranow pomachał gazetą. - Świetnie. To będzie nasza kolejna wycieczka. Pojutrze. Powiadomię pana, profesorze, gdzie i kiedy się spotkamy«.

»A nie możemy pojechać tam jutro?« - zapytałem obojętnym tonem.

»Aż tak bardzo wam się śpieszy? - Ranow ze zdziwieniem uniośł brwi. - Organizacja takiej wyprawy wymaga trochę czasu«.

»Musicie państwo cierpliwie poczekać. - Stoiczew pokiwał dyplomatycznie głową. - Tymczasem zwiedzicie Sofię. A teraz, przyjaciele, Kirył i Metody nie obrażą się, jeśli zmienimy nieco temat i poświęcimy trochę czasu najedzenie i trunki, ku ucieście ducha. Panno Rossi... - wyciągnął do niej wiotkie ramię i Helen pomogła mu wstać z krzesła. - Proszę do ogrodu. Uczcijmy ten dzień nauki i nauczania«.

Pozostali goście gromadzili się z wolna pod ukwieconą kratownicą, ponieważ przy stole trzech młodych mężczyzn zaczęło wyciągać z futerałów instrumenty muzyczne. Chudy chłopak z szopą czarnych włosów zaczął próbować tony akordeonu. Kolejny muzyk zadał kilkakrotnie w klarnet. Inny muzykant wyciągnął wielki skórzany bęben i długie pałki. Rozsiedli się na krzesłach, dostroili instrumenty, a klarncista zdjął marynarkę.

Wymienili spojrzenia i zagrali. Była to najpiękniejsza muzyka, jaką w życiu słyszałem. Rozparty na swoim tronie, tuż za pieczonym baranem, Stoiczew rozpromienił się, a siedząca obok mnie Helen ścisnęła mnie za ramię. Muzyka była niczym cyklon, melodia, choć całkiem dla

mnie obca, zmuszała do wybijania stopami rytmu. Palce akordeonisty szalały po klawiaturze i basach. Zdumiewała mnie szybkość i energia, z jaką grali. Muzyka porwała zebranych.

Kilku mężczyzn zerwało się z miejsca i chwytając się wzajemnie za paski od spodni ruszyło w płasy. Wybijali takt na trawie wypolerowanymi na glans półbutami. Dołączyły do nich przybrane w odświeżone sukienki kobiety. Stojąc nieruchomo w miejscu, poruszały ekscytująco górnymi partiami ciała. Twarze tancerzy pały radością, ich rozjaśnione w uśmiechu zęby lśniły w odpowiedzi na blask zębów akordeonisty. Jeden z tańczących wyciągnął białą chustkę, wznosił ją nad głowę i zaczął nią dyrygować tańczącymi. Oczy Helen rozbłysły, stuknęła niecierpliwie palcami po stole, jakby same nogi niosły ją do tańca. A muzycy grali i grali. Słuchacze wznosili gromkie toasty, tancerze niezmordowanie tańczyli. W końcu muzyka ucichła. Mężczyźni ze śmiechem zaczęli ocierać z czoła pot i napełniać szklanki. Kobiety, szczebiocząc coś między sobą, poprawiały fryzury.

Młody akordeonista ponownie sięgnął po instrument. Tym razem jednak popłynął drżący, przeciągły, pełen żalości dźwięk. Muzyk zadarł kudłatą głowę i pokazał w pieśni zęby. Usłyszeliśmy ni to pieśń, ni to zawodzenie. Śpiewany głębokim barytonem utwór poruszył mnie do głębi, ścisnęło mi się serce. Pomyślałem o tym wszystkim, co już w życiu straciłem.

»0 czym on śpiewa?« - zapytałem Stoiczewa, starając się ze wszystkich sił ukryć wzruszenie.

»To stara pieśń, bardzo stara... Sprzed trzystu lub czterystu lat. Mówi o pięknej bułgarskiej pannie, którą ścigają tureccy najeźdźcy. Chcą zabrać ją do haremu miejscowego paszy. Ucieka w piętrzące się nad jej wioską góry, a oni ścigają ją konno. Wierzchołek góry kończy się urwiskiem. Woła, że woli umrzeć, niż zostać nałożnicą. Rzuca się w przepaść, gdzie u podnóża płynie potok o krystalicznie czystej wodzie.«

»Podobne pieśni mamy w Rumunii« - stwierdziła Helen.

»Myślę, że powstawały one we wszystkich krajach znajdujących się pod tureckim jarzmem - odparł poważnym tonem Stoiczew. - W Bułgarii stworzono tysiące podobnych; wszystkie mówiące o osmańskiej niewoli«

Akordeonista najwyraźniej wyczuł, iż w dostatecznym stopniu poruszył nasze serca, gdyż z niegodziwym, złośliwym uśmiechem znów za-

czął grać muzykę taneczną. Tym razem do tańca ruszyli prawie wszyscy goście. Jeden z nich zachęcił nas, byśmy się przyłączyli, i po chwili Helen zerwała się z miejsca. Ja jednak pozostałem na swoim krześle przy Stoiczewie, i tylko podziwiałem jej wdzięczne ruchy. Po chwili wpadła w trans tańca. Musiała mieć muzykę we krwi, gdyż z wielką wprawą wybijała stopami rytm. Patrząc na jej smukłą, pełną gracji sylwetkę w jasnej bluzce i ciemnej spódnicy, na jej radosną twarz okoloną ciemnymi puklami włosów, modliłem się w duchu, by nie przytrafiło się jej nic złego. Zastanawiałem się też, czy pozwoli mi czuwać nad swoim bezpieczeństwem".

61

„O ile pierwsze spojrzenie na dom Stoiczewa nappełniło mnie nagłym poczuciem beznadziejności, to na widok Monasteru Rylskiego poczułem respekt i trwogę. Monaster wzniesiony został w głębokiej, wąskiej dolinie - prawie całkowicie ją wypełniał - a ponad jego murami i kopułami piętrzyły się góry Riły, których strome stoki porastały wyniosłe świerki. Ranow zaparkował samochód przed główną bramą. Ruszyliśmy do klasztoru wraz z grupą innych turystów. Był suchy, słoneczny, upalny dzień i spod naszych stóp unosiły się tumany kurzu. Wielkie, drewniane wrota prowadzące do klasztoru były otwarte. Widoku, jaki za nimi ujrzałem, nie zapomnę do końca życia. Otaczały nas mury monasteru fortecy porzecinanej białymi i czarnymi pasami napowietrznych, drewnianych galerii. Większość dziedzińca zajmował kościół o przepięknych proporcjach i pokrytym freskami przedsionku; jego jasnozielone kopuły lśniły w południowym słońcu. Nieopodal widniała masywna, kwadratowa wieża zbudowana z szarego kamienia. Stoiczew powiedział nam, że jest to baszta Chrelina, zbudowana przez średniowiecznego możnowładcę, w której miał się bronić przed politycznymi wrogami. Jest to jedyna pozostałość po pierwotnym klasztorze spalonym przez Turków i odbudowanym po wiekach w całym splendorze. Kiedy staliśmy na dziedzińcu, zaczęły nagle bić klasztorne dzwony, a w powietrze wzbilo się stado spłoszonych ptaków. Wodząc za nimi wzrokiem, ponownie ujrzałem wierzchołki niebotycznych gór, od których dzielił człowieka co najmniej

dzień wspimczki. Wstrzymałem oddech. Czyżby Rossi znajdował się gdzieś w tym starodawnym miejscu?

Stojąca obok mnie Helen, z cienką chustką na włosach, objęła mnie ramieniem. Turcy podbili ten kraj na długo przed zdobyciem Konstantynopola. Na dobrą sprawę powinniśmy zacząć naszą podróż od Bułgarii, nie od Hagia Sophii. Z drugiej strony Bułgaria znacznie wcześniej znalazła się pod przemożnym wpływem Bizancjum, którego kultura wywarła niezatarte piętno na tym kraju. Obecnie kościół Mądrości Bożej był już tylko ogromnym, muzułmańskim muzeum, podczas gdy tę, leżącą na uboczu dolinę aż po brzegi wypełniała kultura bizantyjska.

Towarzyszący nam Stoiczew najwyraźniej był rad, widząc nasz nieklamany zachwyty. Irina, w kapeluszu o szerokim rondzie, mocno trzymała wuję za ramię. Jedyne Ranow, stojący w pewnym oddaleniu, z nachmurzoną miną obserwował klasztor i podejrzliwym wzrokiem obrzucał przybranych w czarne habity mnichów, zmierzających do kościoła. Dużo nas kosztowało, by przekonać Ranowa, że należy zabrać jego samochodem również Stoiczewa i Irinę.

»Skoro profesor chce mieć honor pokazania nam Riły, niech pojedzie tam autobusem, jak inni obywatele Bułgarii«.

Powstrzymałem się przed uwagą, żeby to on, Ranow, pojechał autobusem. W końcu postawiliśmy na swoim, choć Ranow przez całą drogę

z Sofii do domu starego profesora bluźnił pod nosem na jego temat. Stoiczew wykorzystuje swoje powszechnie znane nazwisko, by szerzyć zaboron i głosić niepatriotyczne idee. Oficjalnie przyznaje się do wierności kościołowi ortodoksyjnemu. Jego syn, który studiuje we wschodnich Niemczech, jest taką samą zakałą jak ojciec.

Ale wygraliśmy tę wojnę. Stoiczew i jego bratanica pojechali z nami. Podczas przystanku na lunch w górskiej gospodzie wdzięczna Irina ścisnęła mnie za ramię i szepnęła, że cały czas perswadowała wujowi jazdę autobusem, nie wytrzymałby długiej podróży w takim upale.

»W tym skrzydle klasztoru wciąż jeszcze mieszkają mnisi - wskazał palcem Stoiczew. - A w tamtym, po drugiej stronie, jest hotel, w którym się zatrzymamy. Sami zobaczycie, jaki panuje tu spokój, kiedy już odjadą turyści. Ten klasztor to jeden z naszych największych narodowych skarbów i odwiedza go wiele osób, zwłaszcza latem. Ale nocą panuje tu cisza. Chodźmy do opata. Dzwoniłem do niego wczoraj i już nas czeka«.

Poruszał się zadziwiająco żwawo, rozglądał się z ciekawością wokół siebie, zaglądał w każdy kąt. Zupełnie jakby miejsce to dawało mu nową życie.

Pokój audiencyjny opata znajdował się na parterze w jednym ze skrzydeł monasteru. Ubrany w czarny habit mnich z długą, brązową brodą otworzył przed nami drzwi. Stoiczew zdjął kapelusz i pierwszy przekroczył próg. Z ustawionej pod ścianą ławy wstał opat i ruszył w naszą stronę. Ze Stoiczewem witał się długo i serdecznie. Profesor pocałował go w rękę, a mnich przekazał mu błogosławieństwo. Opat był szczupłym, o wyprostowanej sylwetce mężczyzną około sześćdziesiątki, z przetykaną siwizną brodą oraz łagodnych - zadziwiająco niebieskich jak na Bułgara - oczach. Ucisnął nam dłonie. Ranow spoglądał nań lekceważąco. Zakonnik uprzejmie poprosił, żebyśmy usiedli, a któryś z mnichów wniósł tacę ze szklankami wypełnionymi nie rakiją, lecz schłodzoną wodą oraz z kanapkami z pastą o różanym zapachu, jakiej skosztowaliśmy już w Stambule. Zauważyłem, że Ranow nie tknął wody, jakby w obawie, iż jest zatruta.

Opat najwyraźniej był zachwycony wizytą Stoiczewa. Zauważyłem zresztą, że im obu spotkanie sprawiło wielką radość. Za pośrednictwem profesora zapytał nas, z jakich stron Ameryki pochodzimy, czy zwiedzaliśmy już inne monasterium w Bułgarii, w czym mógłby nam pomóc i jak długo zamierzamy pozostać w Bułgarii. Stoiczew wdał się w dłuższą pogawędkę z opatem, po czym zaczął tłumaczyć nasze pytania. Tak, możemy do woli korzystać z klasztornej biblioteki, możemy zatrzymać się w miejscowym hotelu, możemy uczestniczyć w mszach i nabożeństwach, możemy swobodnie zwiedzać cały klasztor z wyjątkiem pomieszczeń zajmowanych przez mnichów - tu lekko wskazał głową na Helen i Irinę - nie chce też słyszeć o żadnej zapłacie za zakwaterowanie przyjaciół profesora Stoiczewa. Serdecznie podziękowaliśmy opatowi za taką gościnność i profesor podniósł się z ławy.

»Skoro mamy tak łaskawe pozwolenie, udamy się niezwłocznie do biblioteki^

Złożył niski ukłon i ponownie pocałował opata w rękę.

»Wuj jest bardzo ożywiony i podekscytowany - wyjaśniła mi szeptem Irina. - Twierdzi, że wasz list to wielkie wydarzenie dla bułgarskiej historiografii«.

Zastanawiałem się przez chwilę, czy wie, jak dużo zależy od naszych

badania, jak wiele cieni leży na naszej drodze. Nic jednak nie potrafiłem wyczytać z wyrazu jej twarzy. Ujęła wuja pod rękę i poprowadziła wspinałymi drewnianymi galeriami okalającymi główny dziedziniec. Ranow szedł na szarym końcu. W palcach trzymał zapalonego papierosa.

Biblioteka mieściła się w długiej galerii na parterze i przylegała do pokoi opata. W progu powitał nas mnich o czarnej brodzie. Był wysokim, o wychudłej twarzy mężczyzną, który, jak mi się wydawało, obrzucił Stoiczewa przelotnym, twardym spojrzeniem.

»Przedstawiam państwu brata Rumena - powiedział profesor. - Obecnie pełni tu funkcję bibliotekarza. Przyniesie nam wszystko, czego potrzebujemy^

W szklanych gablotach, przeznaczonych dla turystów, leżało wiele ksiąg i rękopisów, które bardzo chciałem obejrzeć. Ale nie było na to czasu, gdyż bibliotekarz niezwłocznie zaprowadził nas do głębokiej niszy na tyłach sali. W monasterze panował cudowny chłód, ale kilka elektrycznych lamp nie rozpraszało zalegającego w kątach mroku. Ściany tego wewnętrznego sanktuarium zastawione były półkami pełnymi książek. W rogu pomieszczenia wisiała ikona przedstawiająca Dziewicę

z Dzieciątkiem w otoczeniu dwóch aniołów o czerwonych skrzydłach. Przed obrazem wisiała wysadzana klejnotami, złota lampa. Stare ściany wybielone zostały wapnem, a w środku unosił się tak dobrze znajomy mi zapach butwiejącego powoli pergaminu, welinu i aksamitu. Odetchnąłem z ulgą, kiedy Ranow, przed wejściem do tego azylu skarbów, wyrzucił papierosa.

Stoiczew tupnął w wyłożoną kamiennymi płytami posadzkę, jakby przywoływał duchy.

»Tu bije serce narodu bułgarskiego - oświadczył. - Tu przez setki lat mnisi gromadzili naszą schedę, często w najgłębszej tajemnicy. Całe pokolenia pobożnych mnichów kopiowały te rękopisy i ukrywały je, gdy monaster atakowali niewierni. Jednak to tylko niewielki procent spuścizny naszej kultury i naszego narodu - większość z niej bezpowrotnie zagięła. Ale jesteśmy wdzięczni nawet za to, co pozostało.«

Zamienił kilka słów z bibliotekarzem, który zaczął wodzić wzrokiem po zastawionych księgami i pudłami półkach. Po dłuższej chwili sięgnął po drewnianą skrzynkę, w której mieściło się kilkanaście woluminów. Na okładce pierwszego widniał zachwycający wizerunek Chrystusa - w każdym razie był to chyba Chrystus - z jabłkiem w jednym ręku i berłem

w drugim. Twarz postaci wyrażała klasyczną, bizantyjską melancholię. Ku memu rozczarowaniu listy brata Kiryła kryły się nie w oprawie tej przepysznej księgi, lecz w innym, znacznie skromniejszym woluminie o barwie starej kości. Bibliotekarz położył ją przed nami na stole. Stoiczew z lubością otworzył księgę, a Helen i ja wyciągnęliśmy notatniki. Wyraźnie znudzony Ranow wałęsał się bez sensu po bibliotece.

»Mają tu dwa listy - odezwał się Stoiczew. - Nie wiemy, czy brat Kirył wysłał ich więcej, lecz jeśli nawet, to żaden z nich nie zachował się do naszych czasów. - Puknął palcem w pierwszą stronicę wypełnioną równym, okrągłym, kaligraficznym pismem. Pergamin był bardzo stary, prawie brązowy. Odwrócił się do bibliotekarza i o coś go zapytał. - Tak - powiedział wyraźnie zadowolony. - Przetłumaczyli to i wydrukowali po bułgarsku, jak zresztą wiele innych dokumentów. - Bibliotekarz położył przed nim jakąś teczkę, której zawartość studiował przez jakiś czas, porównując z oryginałem. - Wykonali kawał dobrej roboty - stwierdził profesor w końcu. - Przetłumaczą to najlepiej, jak potrafię«.

Do Jego Ekscelencji Opata Eupraksiusa!

Jesteśmy już czwarty dzień w drodze przez góry, podróżując z Laota do Vin. Pierwszą noc spędziliśmy w stajni pewnego poczciwego wieśniaka, a drugą w eremie Świętego Michała, gdzie nie mieszka już wprowadzić żaden mnich, ale przynajmniej znaleźliśmy w jaskini suche schronienie. Ostatniej nocy przespaliśmy się po prostu w lesie na rozłożonych na ziemi derkach, obok wozu i koni. Słyszeliśmy dochodzące z niedaleka nieustanne wycie wilków. Wciąż musieliśmy uspokajać wystraszone konie, rwące się na uwięzi. Jestem wdzięczny za obecność wśród nas krzepkich i obdarzonych wielką siłą braci Iwana i Teodozjusza. Błogosławię Cię za mądrość, dzięki której przydzieliłeś ich do naszej grupy.

Na dzisiejszą noc zaprosił nas do swej chaty zamożny i pobożny pasterz. Wyznał nam, że posiada trzy tysiące owiec. zaproponował wygodny nocleg na derkach i miękkich owczych skórach, ale ja, zgodnie z naszą regułą, wybrałem podłogę pod jednym tylko futrem. Wyszliśmy już z lasów i podróżujemy po otwartym, pagórkowatym terenie. Raz moczy nas deszcz, raz suszy słońce. Nasz łaskawy gospodarz oświadczył, iż już dwukrotnie był nękanym najazdami niewiernych nadciągających zza rzeki, od której dzieli nas jeszcze kilka dni marszu. Brat Angelus wrócił już do zdrowia i nie opóźnia marszu. Pozwoliłem mu jechać na jednym z na-

szych koni, choć święty bagaż i tak stanowi dla nich wielkie wyzwanie. Na szczęście nie spotykamy po drodze żołnierzy niewiernych.

*Twój pokorny sługa w Chrystusie
Br. Kirył
W kwietniu Roku Pańskiego 6985*

Do Jego Ekscelencji Opata Eupraksiusa!

Opuściliśmy miasto przed kilkoma tygodniami i teraz podążamy już terenami znajdującymi się pod panowaniem niewiernych. Nie śmiem podawać naszej lokalizacji na wypadek, gdybyśmy zostali schwytani. Być może powinniśmy wybrać drogę morską, ale zdecydowaliśmy, że Bóg będzie naszym Stróżem. Widzieliśmy zgliszczą dwóch monasterów i jednego kościoła. Kościół jeszcze dymił. Powieszono pięciu mnichów pod zarzutem rebelii. Inni rozbiegli się po okolicznych klasztorach. To jedyne wiadomości, jakich dostarczyli nam w krótkich rozmowach miejscowi mieszkańcy, wychodzący do nas na drogę. Nie ma powodów sądzić, że jeden z tych monasterów był tym, którego szukamy. Nasz będzie nosił znak potwora równego świętemu. Niebawem i to pismo zapewne dotrze do Ciebie, Czcigodny.

*Twój pokorny sługa w Chrystusie
Br. Kirył*

W czerwcu Roku Pańskiego 6985

Kiedy Stoiczew przestał czytać, długo siedzieliśmy pogrążeni w głębokim milczeniu. Helen z zaciętym wyrazem twarzy wciąż coś notowała. Irina siedziała z założonymi rękami. Ranow stał oparty niedbale o jedną

z szaf i drapał się po karku. Nic nie notowałem, i tak wszystko dokładnie zapisze Helen. Żadnych szczegółów dotyczących celu wędrówki, żadnej wzmianki o grobie i pogrzebie. Byłem bardzo rozczarowany.

Stoiczew jednak wykazywał wielkie ożywienie.

»Interesujące - powiedział po dłuższej chwili. - Bardzo interesujące. Widzicie państwo sami, że wasz list ze Sztambułu mieści się chronologicznie między tymi dwoma a moim. Mój napisany został podczas wędrówki przez Wołoszczyznę w kierunku Dunaju - to oczywiste. Następnie pojawia się wasz list pisany przez brata Kiryła z Konstantynopola.

A ostatni datowany jest na czerwiec. Ruszyli drogą lądową, jak wspomina o tym Zachariasz. Musiała być to ta sama droga, prowadząca z Konstantynopola przez Adrianopol i Chaskowo, ponieważ tamtędy wiódł główny szlak z Carogrodu do Bułgarii«.

»Ale skąd mamy mieć pewność, że ostatni list opisuje Bułgarię?« - zapytała Helen, podnosząc głowę znad notatek.

»Tego do końca *nie możemy* być pewni - *przyznał* Stoiczew. - Ale moim zdaniem to bardzo prawdopodobne. Skoro podróżowali z Carogrodu - Konstantynopola - do kraju, w którym pod koniec piętnastego wieku palono monasterzy i kościoły, to byli zapewne właśnie w Bułgarii. Zresztą stambulski list wyraźnie mówi, że zmierzają do Bułgarii«.

Nie potrafiłem powstrzymać swego rozczarowania.

»Ale wciąż nie wiemy, gdzie znajdował się monaster, do którego zmierzali. Zakładając nawet, że był to Sveti Georgi«.

Do stołu przysiadł się Ranow i zaczął z uwagą oglądać swoje kciuki. Zastanawiałem się przez chwilę, czy powinienem wyrażać przy nim zainteresowanie Sveti Georgi, ale w jaki inny sposób mogłem o to zapytać Stoiczewa?

»Nie - skinął głową profesor. - Brat Kirył nie podał w listach celu wędrówki, podobnie jak nie wymieniał nazwy Snagov w tytularze Eu-praksiusa. Gdyby listy zostały przechwycone przez Osmanów, monasterzy te mogłyby doznać wyjątkowych prześladowań, a już na pewno zostałyby dokładnie przeszukane«.

»Ciekawy jest ten wers - odezwała się Helen, odrywając się od swoich notatek. - Czy mógłbyś to jeszcze raz przeczytać... o tym znaku potwora równego świętemu na monasterze, do którego zmierzali mnisi. Jak myślisz, o co w tym chodzi?«

Popatrzyłem na Stoiczewa. Mnie również uderzyło to zdanie. Profesor ciężko westchnął.

»Mogło się to odnosić do jakiegoś fresku na ścianie świątyni lub ikony w monasterze Sveti Georgi, do którego najwyraźniej zmierzali mnisi. Trudno sobie wyobrazić, jaki naprawdę był ów wizerunek. Jednak jeśli nawet odnajdziemy Sveti Georgi, istnieje niewielka szansa, iż wciąż znajduje się tam jeszcze ta piętnasto wieczna ikona, zwłaszcza że Turcy najprawdopodobniej spalili pierwotną świątynię. Nie mam pojęcia, co znaczy to zdanie. Być może niesie jakieś teologiczne przesłanie, zrozumiałe jedynie dla opata na podstawie ich wcześniejszego porozumienia.

Ale musimy cały czas o tym pamiętać, gdyż brat Kirył wyraźnie mówi o znaku, który powie im, że trafili we właściwe miejsce».

Wciąż byłem rozczarowany. Spodziewałem się, że listy w tej spłowiełej księdze dadzą nam ostateczny klucz do rozwiązania zagadki, a przynajmniej rzucą jakieś światło na posiadane przez nas mapy.

»Istnieje jeszcze inna, bardzo intrygująca sprawa. - Odezwałem się, gdy Stoiczew drapał się po brodzie. - List ze Stambułu mówi, że skarb, którego szukają - zapewne jakaś relikwia z Carogrodu - znajduje się w pewnym monasterze w Bułgarii i dlatego muszą się tam udać. Profesorze, proszę mi z łaski swojej jeszcze raz przeczytać ten fragment«.

Stambulski list wyjąłem już wcześniej i położyłem obok siebie, by mieć go pod ręką podczas lektury innych pism brata Kiryła. Teraz po niego sięgnąłem i kontynuowałem:

»Jest tu napisane: *...to, czego szukamy, zostało wywiezione z miasta do bezpiecznej przystani na okupowanych terenach Bułgarii*«.

»Tyle list - odezwał się Stoiczew. - Ale rodzi się pytanie... - w zamyśleniu postukał wskazującym palcem w blat stołu - ...dlaczego w roku tysiąc czterysta siedemdziesiątym siódmym wywieziono potajemnie z Konstantynopola świętą relikwię? Od roku tysiąc czterysta pięćdziesiątego trzeciego w mieście panowali Osmanie, którzy podczas inwazji zniszczyli większość zabytków i relikwii. Dlaczego więc w dwadzieścia cztery lata później monaster Panachrantos wysła zachowaną relikwię do Bułgarii i dlaczego wołoscy mnisi szukali jej w Konstantynopolu?«

»No, dobrze - przypomniałem mu. - Ale wiemy przecież, że janczarowie też poszukiwali tej samej relikwii. Zatem musiała ona przedstawiać jakąś wartość również dla sultana«.

»To prawda, ale gwardia sultańska poszukiwała relikwii już po bezpiecznym wywiezieniu jej z monasteru« - rozważał Stoiczew.

»Zatem musiała to być rzecz niebywale istotna zarówno dla Osmanów, ze względów politycznych, jak i duchowych dla mnichów ze Snagov. - Helen w zamyśleniu zmarszczyła brwi, stukając się obsadką pióra w policzki. - Może jakaś księga?«

»No właśnie! - wykrzyknąłem podekscytowany. - Może w tej księdze zawarte były jakieś informacje, które chcieli odzyskać Turcy, a jakich jednocześnie potrzebowali mnisi?«

Siedzący po drugiej stronie stołu Ranow przesłał mi ciężkie spojrzenie.

Stoiczew potakująco skinął głową, lecz w chwilę później zorientowałem się, iż gest ten oznacza zaprzeczenie.

»W tamtych czasach księgi nie zawierały treści politycznych. Przeważnie były to teksty religijne, wielokrotnie kopiowane na użytek licznych monasterów lub islamskich szkół koranicznych w przypadku dzieł arabskich. To mało prawdopodobne, by mnisi wyruszyli w tak daleką i niebezpieczną podróż po jedną z takich ksiąg. Przecież wiele podobnych mieli w swej bibliotece w Snagov«.

»Chwileczkę - odezwała się nieoczekiwanie Helen. - Poczekajcie. Relikwia musiała mieć jakiś związek albo z potrzebami Snagov, albo z Zakonem Smoka, albo z samym Vladem Draculą... pamiętacie *Kronikę!* Opat chciał, by hospodara pochowano gdzie indziej«.

»To racja - zadumał się Stoiczew. - Chciał odesłać jego zwłoki do Carogrodu, nawet ryzykując życie swoich mnichów«.

»Tak« - mruknąłem.

Przyszła mi nagle do głowy jakaś nowa myśl, coś, co by odwróciło kierunek naszych poszukiwań, lecz zanim zdążyłem ją dobrze sprecyzować, Helen gwałtownie chwyciła mnie za ramię.

»O co chodzi?« - zapytałem, ale dziewczyna nieoczekiwanie zamknęła się w sobie.

»O nic« - odrzekła cicho, nie patrząc ani na mnie, ani na Ranowa.

Modliłem się w duchu, by nasz opiekun, znudzony naukowymi wywodami, wyszedł na papierosa. Wtedy Helen mogłaby swobodnie wyjawić nam swoją myśl. Stoiczew obrzucił ją czujnym spojrzeniem i rozpoczął nudnym głosem długi wykład o technikach powstawania średniowiecznych rękopisów oraz ich kopiowania - częstokroć mnisi byli analfabetami i popełniali błędy, które z kolei powtarzali automatycznie ich następcy - i w jaki sposób współcześni naukowcy rozpoznają poszczególne charaktery pisma w tych starodawnych manuskryptach. Dziwiłem się, dlaczego wdał się w tak długi i fachowy wykład, choć sam temat bardzo mnie interesował. Na szczęście nie odzywałem się słowem podczas jego wywodów, gdyż Ranow zaczął w końcu otwarcie ziewać. Ostatecznie dźwignął się z krzesła, wyciągnął z kieszeni marynarki paczkę papierosów i ruszył w stronę wyjścia. Kiedy tylko opuścił bibliotekę, Helen ponownie chwyciła mnie za rękę. Stoiczew nie spuszczał z niej wzroku.

»Paul - powiedziała z twarzą tak zmienioną, że objąłem dziewczynę

ramieniem w obawie, iż za chwilę zemdleje. - Jego głowa! Nie rozumiesz? Dracula wrócił do Konstantynopola po swoją głowę!«

Stoiczew głośno chrząknął, ale było już za późno. Odwróciłem się i ujrzałem wychudzoną postać brata Rumena stojącego przy najbliższym regale. Podczas naszej rozmowy wszedł bezszelestnie do pomieszczenia, i choć stał do nas tyłem, jakby szukając jakiejś książki, nie mieliśmy wątpliwości, że nie uronił ani jednego słowa. Popatrzyliśmy na siebie bezradnie, podczas gdy mnich opuścił pomieszczenie. Niebawem już ktoś - zapewne Ranow - dowie się, co powiedziała Helen. Ale jaki użytek zrobi z tej informacji?"

62

„Podczas mych wieloletnich studiów, badań i rozmyślań niewiele było takich chwil nagłego oświecenia jak tamta, w rilskiej bibliotece, gdy Helen na głos wypowiedziała swoje przypuszczenie. Vlad Dracula wrócił do Konstantynopola po swoją głowę... a raczej opat ze Snagov wysłał tam jego ciało, by się z nią połączyło. Czy Dracula zażądał tego jeszcze za życia, wiedząc, że za jego głowę wyznaczono bardzo wysoką cenę i zdając sobie sprawę, jak bardzo sułtan lubuje się w wystawianiu obciętych głów nieprzyjaciół na widok publiczny? A może był to pomysł samego opata, który bał się trzymać w Snagov szczątki heretyckiego zapewne - i niebezpiecznego - protektora monasteru? Niewątpliwie wampir pozbawiony głowy nie stanowi żadnego zagrożenia - jest postacią wręcz komiczną - a jednak niepokój mnichów skłonił opata do podjęcia decyzji, by Draculę pochować po chrześcijańsku w jakimś innym miejscu. Zapewne opat nie odważył się na zniszczenie zwłok. Zresztą kto wie, jaką obietnicę złożył Draculi jeszcze za jego życia?

Nieoczekiwanie naszło mnie pewne wspomnienie: pałac Topkapi w Stambule. Przypomniałem sobie, jak włócząc się tam w pewien letni poranek, trafiłem na bramę, przed którą tureccy oprawcy wystawiali na pokaz głowy wrogów sułtana. Z całą pewnością głowę Draculi nabito na najwyższą tyczkę - pomyślałem z zadumą - w końcu Palownik sam został wbity na pal. Ilu ludzi przyszło oglądać ów ostateczny dowód triumfu sułtana? Kiedyś Helen powiedziała mi, że mieszkańcy Stambułu bali

się, iż gospodar osobiście pojawi się w ich mieście. Teraz już obozy wojskowe Turków nie musiały obawiać się nagłego nadejścia księcia. Sułtan opanował zbuntowane rejony, a na wołoskim tronie osadził swego wasala. Po Palowniku pozostał tylko ów odrażający łup: zapadnięte oczy, zbryzgana krwią czupryna i wąsy.

Pogrążonych w milczeniu Helen, Soiczewa i Irinę musiały dręczyć podobne wizje. Kiedy już upewniliśmy się, że brat Rumen oddalił się na dobre, Stoiczew odezwał się niskim głosem:

»Tak, to bardzo możliwe. Ale w jaki sposób mnisi z Panachrantosu wydobyli głowę Draculi z sułtańskiego pałacu? To był naprawdę skarb, jak określił to Stefan w swej opowieści«.

»A jak my załatwiliśmy bułgarskie wizy? - odparła pytaniem Helen, unosząc zabawnie brwi. - Bakszysz... i to duży. Monastery po podboju były bardzo ubogie, lecz niektóre z nich ukryły skarby - złote monety, klejnoty - które stanowiły smakowity kąsek nawet dla gwardzistów sułtana«.

Przez chwilę rozważałem jej słowa.

»W przewodniku po Stambule wyczytaliśmy, że po wystawieniu głów wrogów sułtana na widok publiczny wrzucano je do Bosforu. Być może ktoś z Panachrantosu wykorzystał ten właśnie moment. Było to bezpieczniejsze niż kradzież głowy z tyczki białej u pałacowych wrót«.

»Tego już po prostu nie wiemy - odparł Stoiczew. - Ale moim zdaniem domysł panny Rossi jest słuszny. Rzeczywiście mogli w Carogrodzie poszukiwać właśnie jego głowy. Wskazują na to nawet względy teologiczne. Zgodnie z wierzeniami kościoła wschodniego chowane ciało musi być w stanie kompletnym - dlatego nie tolerujemy kremacji zwłok - gdyż w Dniu Sądu Ostatecznego zostaniemy wskrzeszeni w naszych dawnych postaciach«.

»A co z członkami świętych, które porozrzucano po całej ziemi? - zapytałem sceptycznie. - Czy oni też zostaną wskrzeszeni w całości? We Włoszech, przed kilku laty, sam widziałem co najmniej pięć relikwii rąk świętego Franciszka«.

Stoiczew wybuchnął śmiechem.

»Święci mają szczególne przywileje. Ale Vlad Dracula, choć był słynnym zabójcą Turków, świętym z całą pewnością nie był. Tak naprawdę opat Eupraksius obawiał się o jego nieśmiertelną duszę. W każdym razie wedle relacji Stefana«.

»Albo o jego nieśmiertelne ciało« - zauważyła Helen.

»Może mnisi z Panachrantosu, ryzykując życie, wykradli głowę, by sprawić jej godziwy pochówek, ale janczarowie odkryli kradzież i opat wysłał ją ze Sztambułu, bojąc się grzebać jej w mieście. Może trafili się pielgrzymi podróżujący do Bułgarii... - popatrzyłem na Stoiczewa, szukając u niego poparcia dla mojej tezy - ...i przekazano im głowę, aby ją pochowali... cóż, w Sveti Georgi lub jakimś innym bułgarskim monasterze, z którym mieli kontakty. Następnie pojawili się mnisi ze Snagov, lecz za późno, by połączyć głowę z ciałem. Opat Panachrantosu, dowiedziawszy się o ich misji, wyjaśnił sprawę i wędrowcy postanowili ruszyć z ciałem za głową. Musieli zresztą natychmiast wynosić się z miasta, gdyż zainteresowali się nimi janczarowie«.

»Spekulacja bezbłędna - oświadczył Stoiczew, przesyłając mi promienny uśmiech. - Ale nie wiemy nic na pewno. O tych wydarzeniach nasze dokumenty mówią bardzo mgliście. Twoja wizja jest jednak bardzo przekonująca. Ostatecznie oderwaliśmy cię od twoich holenderskich kupców«.

Zaczerwieniłem się trochę z zadowolenia, trochę z rozgoryczenia, ale uśmiech Stoiczewa był łagodny i serdeczny.

»Siatka szpiegowska Osmanów miała baczne oko na obecność w mieście mnichów ze Snagov, a następnie na ich wyjazd - ciągnęła swe przypuszczenia Helen. - Być może Turcy przeszukali monaster, odkrywając, że wędrowcy zatrzymali się w klasztorze Świętej Ireny i przesłali wiadomość o trasie ich wędrówki do Adrianopola i Chaskowa. Chaskowo było pierwszym większym miastem w Bułgarii na trasie mnichów i tam zostali... jak to powiedzieć?... zatrzymani«.

»Właśnie - wtrącił Stoiczew. - Turcy torturowali dwóch dzielnych mnichów, którzy jednak niczego nie zdradzili. Przeszukali furgon, ale znaleźli jedynie worki z żywnością. Rodzi się jednak pytanie: dlaczego tureccy żołnierze nie znaleźli ciała?«

»Może wcale go nie szukali? - powiedziałem z wahaniem. - Może szukali tylko głowy? Może Turcy nie orientowali się dokładnie, o co chodzi, i sądzili, że mnisi wiozą głowę? *Kronika* wyraźnie mówi, że byli wściekli, kiedy porozpruwali worki i znaleźli w nich tylko żywność. Może mnisi, spodziewając się rewizji, ukryli szczątki w pobliskim lesie?«

»Albo konstrukcja furgonu pozwalała na ich bezpieczne ukrycie« - zauważyła Helen.

»Ale ciało musiało przecież cuchnąć« - odparłem kategorycznie.

»To już zależy od tego, w co wierzysz« - powiedziała z zagadkowym uśmiechem.

»W co wierzę?«

»Tak. Zwłoki kogoś, kto ma przekształcić się w nieumarłego lub jest już nieumarłym, nie gniją lub rozkładają się bardzo powoli. Wieśniacy z Europy Wschodniej, podejrzewając wampiryzm, wykopują po jakimś czasie zwłoki, żeby sprawdzić, czy zgniły. Jeśli nie, podejmują tradycyjne czynności. Zdarza się to do dzisiaj«.

Stoiczew wyraźnie zadrżał.

»Dziwaczny obyczaj. Słyszałem, że rytuały takie znane są nawet w Bułgarii. Ale są zabronione prawem. Kościół nie pochwała takich praktyk, a państwo przeciwne jest wszelkim zabobonom - na tyle, na ile jest w stanie«.

Helen wzruszyła pogardliwie ramionami.

»Czy to jest bardziej dziwaczne niż wiara w zmartwychwstanie?« - zapytała, łagodząc swój gest serdecznym uśmiechem.

»Madame, być może różnimy się w poglądach na wiarę, ale oddaję hołd pani błyskotliwemu umysłowi. A teraz, przyjaciele, chciałbym zająć się mapami. Sądzę, że znajdę w tej bibliotece pewne materiały, które pozwolą nam je odczytać. Dajcie mi godzinę. Za dużo czasu by mi zajęło tłumaczenie wam, o co dokładnie chodzi«.

W tej samej chwili znów pojawił się Ranow. Obrzucił bibliotekę przeciągłym, zaniepokojonym spojrzeniem. Miałem nadzieję, że nie dosłyszał wzmianki o mapach.

Stoiczew chrząknął.

»Myślę, że powinniście się teraz państwo udać do kościoła, aby docenić jego piękno«.

Dyskretnie wskazał wzrokiem Ranowa. Helen natychmiast podniosła się z miejsca, podeszła do naszego opiekuna i zaczęła zadawać mu jakieś pytania. Dyskretnie wyciągnąłem z teczki kopie map i przekazałem je bułgarskiemu profesorowi. Pełen zapału błysk w jego oczach nappełnił moje serce nową nadzieją.

Na nieszczęście Ranowa bardziej interesowało to, co robi Stoiczew oraz rozmowa z bibliotekarzem, niż my. Nie wiedziałem, jak zabrać go z nami.

»Może byśmy poszli coś zjeść?« - zagadnąłem.

Milczący bibliotekarz nie spuszczał ze mnie wzroku.

»Jesteście głodni? - odparł z uśmiechem Ranow. - Tutaj kolację dają o szóstej. Musimy poczekać. Zjemy niestety dopiero z mnichami«.

Odwrócił się do nas plecami i zaczął studiować oprawione w skórę księgi stojące na półkach.

Helen pociągnęła mnie za ramię i ruszyliśmy w stronę wyjścia.

»Przejdźmy się« - powiedziała, gdy znaleźliśmy się na zewnątrz.

»Nie mam już zielonego pojęcia, co zrobić z tym Ranowem - odezwałem się ponuro. - Jak się go pozbyć?«

Roześmiała się, ale był to gorzki śmiech.

»Może powinnam tam wrócić i czymś go zająć?«

»Nie, lepiej nie. Im więcej będziemy kombinować, tym bardziej będzie interesował się tym, co robi Stoiczew. Nie ogonimy się od niego jak od natrętnej muchy«.

»Masz rację, to natrętna mucha« - powiedziała, biorąc mnie za rękę.

Kiedy opuściliśmy cieniste wnętrze rozległego monasteru, prażące słońce wciąż ozłacało klasztorny dziedziniec. Nad monasterem wznosiły się zalesione stoki gór, zwieńczone skalistymi wierzchołkami. W oddali, wysoko pod niebem, kołował orzeł. Mnisi w grubych, czarnych, przepasanych sznurami habitach i równie czarnych, okrągłych czapach krążyli nieustannie między kościołem a klasztorem, zamiatali drewniane podłogi galerii lub siedzieli w cieniu rzucanym przez portyk świątyni. Zastanawiałem się, jak mogą w tej odzieży znieść panujący, letni skwar. Wnętrze przepięknego kościoła zapierało wprost dech. Panował tam rozkosznych chłód niczym w cienistej altanie. Zalegający w świątyni półmrok rozpraszał jedynie blask płonących świec, w którym lśniło złoto, miedź i klejnoty. Ściany pokrywały przepyszne, złocone, mieniące się wszystkimi kolorami freski przedstawiające świętych i proroków.

»Dziewiętnastowieczna robota - odezwała się cicho Helen, zatrzymując się przed wizerunkiem wyjątkowo poważnego oblicza świętego o długiej, siwej brodzie i równie białych, starannie rozdzielonych pośrodku głowy włosach. - Iwan Rilski - odczytała napis widniejący na jego aureoli«.

»To ten, którego kości przyniesiono tu na osiem lat przed pojawieniem się w Bułgarii naszych wołoskich przyjaciół? Wspomniano o nim w *Kronice*«.

»Masz rację«.

Spoglądała z zadumą w oblicze świętego, jakby spodziewała się, że lada chwila do niej przemówi. W końcu jej milczenie zaczęło grać mi na nerwach.

»Helen, chodźmy się przejść. Możemy wspiąć się na któryś z tych stoków i popatrzeć na wszystko z góry«.

Musiałem ruszyć się z miejsca, gdyż w przeciwnym razie rozmyślenia o Rossim doprowadziłyby mnie do szaleństwa.

»W porządku - zgodziła się, obrzucając mnie ciężkim spojrzeniem, jakby wyczuła moje zniecierpliwienie. - Chodź, ale nie za daleko. Ranow nigdy by na to nie pozwolił«.

Pnąca się stromo pod górę ścieżka wiodła przez gęsty las, w którym panował taki sam chłód jak w kościele. Cieszyłem się, że wyrwaliśmy się spod przykrej opieki Ranowa i mogłem swobodnie trzymać Helen za rękę.

»Sądzę, że miał ciężki orzech do zgryzienia: my czy Stoiczew?«

»Wcale nie - odparła obojętnie Helen. - Z całą pewnością kogoś za nami wysłał. Jeśli nie wrócimy za pół godziny, na pewno go spotkamy. Sam za nami nie ruszy. Zbyt interesuje go to, o co chodzi w naszych badaniach^

»Mówisz to tak rozsądnie. - Zerknąłem na jej profil. Zsunęła kapelusz na tył głowy, policzki miała lekko zaczerwienione. - Nie wyobrażam sobie życia w takim totalitarnym państwie pod nieustanną kontrolą«.

Helen wzruszyła obojętnie ramionami.

»Nie wyglądało to aż tak strasznie, ponieważ niczego innego nie znałam«.

»A jednak chciałaś opuścić kraj i uciec na Zachód«.

»To prawda, chciałam opuścić swój kraj«.

Popatrzyła na mnie z ukosa.

Zatrzymaliśmy się na odpoczynek na zwałonym drzewie leżącym obok ścieżki.

»Zastanawiam się tylko, dlaczego w ogóle wpuścili nas do Bułgarii« - mruknąłem. Nawet tutaj, w lesie, odruchowo ściszyłem głos.

»I dlaczego pozwalają nam poruszać się swobodnie po całym kraju. - Pokiwała głową. - Czy o tym też pomyślałeś?«

»Moim zdaniem - odrzekłem z namysłem - skoro nie przerywają nam naszych poszukiwań, co mogliby z łatwością uczynić, oznacza, że chcą, abyśmy znaleźli to, czego szukamy«.

»Brawo, Sherlocku. - Helen machnęła mi przed nosem dłonią. - Szybko się uczysz«.

»Załóżmy, że wiedzą lub domyślają się, czego szukamy. Dlaczego uważają, iż to tak ważne, a nawet możliwe, że Vlad Dracula jest nieumarłym? - Z trudem wyartykułowałem tę myśl na głos, choć znów odruchowo zniżyłem głos. - Wielokrotnie mi mówiłaś, iż rządy komunistyczne tępią wśród wieśniaków przesady i zabobony. Dlaczego więc zachęcają nas do tych badań? Czyżby spodziewali się, że po znalezieniu przez nas grobu zdobędą jakąś nadprzyrodzoną władzę nad bułgarskim narodem?«

Helen potrząsnęła odmownie głową.

»To nie tak. Zawsze interesowała ich władza, ale na podstawach naukowych. Poza tym, jeśli odkryjemy coś interesującego, nie zechcą, by całą zasługę przypisali sobie Amerykanie. - Przez chwilę o czymś intensywnie myślała. - Posłuchaj... to potężna wiedza, jeśli naukowo udowodni się, że zmarłego można powrócić do życia... co z tego, iż w postaci nieumarłego? Ma to znaczenie zwłaszcza w krajach bloku wschodniego, gdzie wciąż przetrzymywane są w mauzoleach zabalsamowane zwłoki ich wielkich przywódców«.

Przed oczyma stanęło mi woskowożółte oblicze Georgi Dymitrowa w sofijskim mauzoleum.

»A więc mamy jeszcze większy powód, by zniszczyć Draculę« - powiedziałem, czując, jak na czoło występują mi krople zimnego potu.

»A ja zastanawiam się, czy zniszczenie go cokolwiek zmieni. Pomyśl o tym, czego dokonali Stalin i Hitler. Wcale nie potrzebowali na to pięćset lat życia«.

»Też mi to przyszło do głowy« - odrzekłem.

»A najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że Stalin otwarcie podziwiał Iwana Groźnego. Mordował bez litości swych rodaków, żeby tylko zdobyć jeszcze większą władzę. A kogo, twoim zdaniem, najbardziej podziwiał Iwan Groźny?«

Poczułem uderzającą mi do mózgu falę krwi.

»Wspominałaś, że w Rosji krąży wiele opowieści o Draculi«.

»Właśnie tak. - Wytrzeszczyłem na nią oczy. - Czy wyobrażasz sobie świat, w którym Stalin żyje przez pięćset lat? - Przeciągnęła paznokciem po kłodzie drewna. - A może i wiecznie?«

Zacisnąłem ze złości pięści.

»Czy twoim zdaniem zdołamy bez rozgłosu odnaleźć ten średnio-wieczny grób?« - zapytałem.

»Bardzo wątpię. To zapewne nawet niemożliwe. Jestem przekonana, że śledzą każdy nasz krok«.

W tej samej chwili zza zakrętu ścieżki wyłonił się jakiś człowiek. Tak zaskoczył mnie jego widok, że prawie na głos zakląłem. Był to jakiś wieśniak w roboczym ubraniu. Dźwigał wiązkę chrustu. Mijając nas, przyjaźnie pokiwał ręką. Popatrzyłem na Helen.

»Widzisz?« - odezwała się cicho".

„W połowie drogi na szczyt trafiliśmy na występ skalny.

»Przysiądźmy tu na chwilę« - zaproponowała Helen.

Pod nami rozciągało się dno zalesionej doliny, którą prawie w całości wypełniały czerwone dachy klasztoru. Dopiero z wysokości widać było ogrom sanktuarium. Monaster, niczym olbrzymia, kanciasta muszla, otulał kościół o lśniących w blasku słońca kopułach i sterczącą basztę Chre-lina.

»Sama widzisz, jak wspaniale ufortyfikowane jest to miejsce. Stąd zapewne wielu nieprzyjaciół obserwowało monaster«.

»I pielgrzymi - napomniała mnie Helen. - Dla nich stanowiło to cel ich duchowej wędrówki, a nie wyzwanie militarne«.

Oparła się plecami o pień drzewa i wygładziła na kolanach sukienkę. Odłożyła torebkę, zdjęła kapelusz i podciągnęła rękawy jasnej bluzki. Na jej czole i policzkach perliły się kropelki potu. Na twarzy dostrzegłem wyraz, jaki uwielbiałem - myślami zatopiła się w sobie, a jednocześnie pozostawała czujna na wszystko, co działo się na zewnątrz. Oczy miała szeroko otwarte, wzrok skupiony, szczęki zaciśnięte. Z jakichś niewiadomych względów wołałem owo nieobecne spojrzenie niż jej wzrok skierowany bezpośrednio na mnie. Szyję Helen wciąż spowijała apaszka, choć rana po zębach bibliotekarza zupełnie już się zablizniła, a na obojczyku lśnił srebrny krzyżyk. Jej surowa uroda poruszyła mnie do głębi, i nie było to jedynie fizyczne pożądanie, ale również podziw dla opanowania Helen. Była nietykalna -jednocześnie moja i nie moja.

»Helen - powiedziałem, nie dotykając jej ręki. Mówiłem wbrew własnej woli. - Chciałbym cię o coś zapytać«.

Skinęła głową, nie odrywając wzroku od rozciągającego się w dole ogromnego sanktuarium.

»Helen, czy wyjdiesz za mnie?«

Powoli odwróciła głowę w moją stronę. Nie wiedziałem, czy na jej twarzy maluje się wyraz zdumienia, rozbawienia czy przyjemności.

»Paul? - zapytała sztywnym tonem. - Jak długo się znamy?«

»Dwadzieścia trzy dni« - odparłem.

Uświadomiłem sobie naraz, że nie przemyślałem sprawy. Co się stanie, jeśli da mi odpowiedź odmowną, ale było już za późno, żeby cofnąć to pytanie i zadać je w innej chwili. Przecież w razie jej odmowy nie zamierzałem rzucić się z urwiska i w ten sposób przerwać poszukiwanie Rossiego.

»Sądysz, że mnie znasz?«

»Nie« - odparłem zdecydowanie.

»Sądysz, że ja znam ciebie?«

»Nie jestem pewien«.

»Niewiele się znamy. Pochodzimy z zupełnie różnych światów. - Uśmiechnęła się z przymusem. - Poza tym sądzę, że teraz już nie powinien wychodzić za mąż. Nikt nie powinien mnie poślubić. Widzisz to? - Dotknęła palcem chustki, spowijającej jej szyję. - Chcesz poślubić kobietę, którą naznaczyło piekło?«

»Obronię cię przed tym piekłem, choćby nie wiadomo jak blisko do nas podpełzło«.

»Czy wiesz, jaka to odpowiedzialność? - zapytała, patrząc mi prosto w oczy. - A jeśli na świat przyjdą dzieci skażone w jakiś sposób tą zarażą?«

Paliło mnie coś w gardle.

»A więc nie? Czy mogę zadać ci to samo pytanie innym razem?«

Ujęła mnie za rękę - dłoń miała twardą i o aksamitnej skórze. Pomyślałem przelotnie, że nigdy nie wsunę na jej palec zaręczynowej obrączki.

Helen popatrzyła na mnie martwym, nieruchomym wzrokiem.

»Ależ oczywiście, wyjdę za ciebie« - powiedziała.

Po tygodniach bezskutecznych poszukiwań innej, ukochanej osoby, byłem tak oszołomiony, że słowa uwięzły mi w gardle. Nawet nie pocałowałem Helen. Siedzieliśmy pogrążeni w milczeniu, spoglądając na czerwone dachy monasteru, jego złociste ściany i szare mury kościoła".

Barley stał obok mnie v pokoju mego ojca i patrzył na panujący w nim bałagan. Ale to on pierwszy dostrzegł porozrzucane na łóżku książki i papiery. Znaleźliśmy postrzępiony egzemplarz *Draculi* Brama Stokera, historię średniowiecznych herezji w południowej Francji oraz niezwykle starą książkę o europejskich wampirach.

Pomiędzy książkami poniewierały się papiery. Notatki pisane ręką mego ojca, pocztówki niewiadomego pochodzenia, kartki pisane schludnym, atramentowym pismem. Wraz z Barleyem - jakżeż byłam mu wdzięczna za jego obecność- zaczęliśmy w nich grzebać, a ja, instynktownie, zbierałam pocztówki. Widniały na nich znaczki wielu państw: Portugalii, Francji, Włoch, Monako, Finlandii, Austrii. Niektóre nie były ostemplowane. Cztery czy pięć pocztówek zostało starannie ponumerowanych. Ku memu zdumieniu zauważyłam, że ich nadawcą była Helen Rossi, a wszystkie adresowano do mnie.

Barley popatrzył na nie ponad moim ramieniem i ku memu zdziwieniu zabrał je, a mnie posadził na skraju łóżka. Pierwsza karta pochodziła z Rzymu. Czarno-białe zdjęcie przedstawiające ruiny Forum.

Maj,

1962

Moja ukochana Córko!

Nie wiem, w jakim języku do Ciebie pisać, Córeczko mego serca i ciała, której nie widziałam już od pięciu lat. Przez cały ten czas powinnyśmy mówić do siebie ponadświatowym językiem pocałunków, dotyków i gestów. Jest mi tak trudno, kiedy o tym myślę, że muszę przerwać to pisanie, choć zaledwie je zaczęłam.

*Kochająca Cię matka
Helen Rossi*

Drugi list napisany był na kolorowej, o spłowiałych już barwach pocztówce z Florencji przedstawiającej kwiaty i gazony: *Jardins de Boboli* - Ogrody Boboli.

Maj

1962

Moja ukochana Córko!

Wyznam Ci pewien sekret: nie znoszę angielskiego. Angielski jest do-

bry w ćwiczeniach gramatycznych lub w szkole. W głębi serca chciałabym mówić z Tobą po węgiersku, a jeszcze lepiej po rumuńsku. Rumuński to wprawdzie język diabła, którego poszukuję, ale wciąż bliski jest memu sercu. Gdybym trzymała Cię dzisiejszego ranka w tym ogrodzie na kolanach, udzieliłabym Ci pierwszej lekcji: „Ma numesc...”. I powtarzałybyśmy na okrągło to imię w tej dźwięcznej mowie. Jest to język Twojej mamy, jak również dzielnego, łagodnego i smutnego ludu rumuńskiego - pasterzy i rolników oraz Twojej babci, której życie obróciło się w ruinę. Opowiedziałabym Ci piękne historie, które ona mi opowiadała, o rozgwieżdżonym niebie rozciągającym się nad wioską, o latarniach palących się na płynących rzeką łodziach. „Ma numesc... ” Być może któregoś pięknego dnia wszystko Ci to opowiem.

*Kochająca Cię matka
Helen Rossi*

Barley popatrzył mi prosto w oczy i czuje objął ramieniem.

64

„Stoiczew był niezwykle ożywiony i podekscytowany. Siedzący naprzeciwko niego Ranow, zerkający na rozłożone przed profesorem dokumenty, bębnił palcami po blacie stołu. Nigdy jeszcze nie widziałem go tak poirytowanego. Zapewne nic nie wydobył ze Stoiczewa. Kiedy weszliśmy do biblioteki, bułgarski naukowiec popatrzył na nas z przejęciem.

»Chyba znalazłem« - szepnął.

Helen usiadła obok niego, a ja pochyliłem się nad rękopisami. Przypominały listy brata Kiryła. Napisane zostały okrągłym, starannym piśmem na spleśniałym, łuszczącym się na brzegach pergaminie. Rozpoznałem starsłowiańskie pismo. Obok nich leżały kopie naszych map. Wbrew własnym nadziejom wierzyłem, że dowiemy się czegoś istotnego. Być może grób znajduje się w Rile - pomyślałem. Może dlatego właśnie Stoiczew tak bardzo nastawał, żebyśmy tu przyjechali. Przepędzał mnie niepokój i ciekawość, choć nie byłem pewien, czy wyjawi nam swe rewelacje w obecności Ranowa.

Profesor rozejrzał się wokół siebie, popatrzył bacznie na Ranowa i potarł swe pomarszczone czoło.

»Jestem prawie pewien, że w Bułgarii nie ma jego grobu«.

Na to oświadczenie odpłynęła mi z serca cała krew.

»Co?« - zapytała Helen, świdrując Stoiczewa przenikliwym wzrokiem. Ranow obojętnie stuknął palcami po blacie stołu, udając, że nie przysłuchuje się naszej rozmowie.

»Przykro mi, że was rozczarowałem, przyjaciele. Ale ten dokument, którego dotąd nie znałem, jasno mówi, iż grupa pielgrzymów wróciła ze Sveti Georgi na Wołoszczyznę w roku tysiąc czterysta siedemdziesiątym ósmym. Ten wystawiony na granicy dokument zezwala na zabranie jakichś chrześcijańskich relikwii z powrotem na Wołoszczyznę. Przykro mi. Być może będziecie musieli tam się udać i podjąć dalsze badania. Jeśli jednak w dalszym ciągu interesują was pielgrzymie szlaki, możecie liczyć na moją pomoc.

Popatrzyłem na niego z zapartym tchem. Przecież nie mieliśmy żadnych możliwości wyjazdu do Rumunii. I tak zakrawało na cud, że udało się nam dotrzeć aż do Bułgarii.

»Poprosiłem o pozwolenie, żebyście odwiedzili inne klasztory leżące na szlaku mnichów, zwłaszcza Monaster Bączkowski. To wspaniały zabytek bułgarskiej sztuki bizantyjskiej i o wiele starszy niż Monaster Rilski. Mają tam unikalne rękopisy otrzymywane w darze od pielgrzymujących mnichów. Z pewnością bardzo was zainteresują, dając wspaniały materiał do artykułów, które zamierzacie napisać«.

Ku memu zdumieniu Helen całkowicie przystała na jego sugestię.

»Panie Ranow, czy dałoby się to zorganizować? - zwróciła się z pytaniem do naszego opiekuna. - Czy mógłby nam również towarzyszyć profesor Stoiczew?«

»Nie, ja muszę wracać do domu - wtrącił z wyraźnym żalem naukowiec. - Czeka mnie wiele pracy. Z całego serca chciałbym pojechać z wami do Bączkowa, ale dam wam list polecający do opata tamtejszego monasteru. On przetłumaczy wam wszelkie interesujące was dokumenty. To wybitny historyk i znawca tamtejszego klasztoru«.

»Nie ma przeszkód«.

Ranow najwyraźniej był rad, że pozbędzie się wreszcie towarzystwa Stoiczewa. Sytuacja jest okropna - pomyślałem. Musimy udawać, że interesują nas inne monastery, i zastanowić się, co robić dalej. Rumunia?

Znów stanął mi przed oczyma widok drzwi zamkniętego na głucho gabinetu Rossiego. Profesor nigdy już ich nie otworzy. Patrzyłem tępych wzrokiem, jak Stoiczew wkłada do drewnianej skrzynki dokumenty i zamyka wieko. Helen pomogła mu odstawić pudło na półkę, po czym ujęła pod ramię i oboje ruszyli w stronę wyjścia. Na twarzy Ranowa malował się pełen zadowolenia uśmiech. Cokolwiek teraz zrobimy, skazani jesteśmy na jego towarzystwo. Tylko on będzie towarzyszyć nam w dalszych badaniach, które powinniśmy ukończyć jak najszybciej i natychmiast opuścić Bułgarię.

Irina najwyraźniej cały czas spędziła w kościele. Kiedy wyszliśmy z monasteru, ruszyła w naszą stronę przez rozgrzany słońcem dziedzińiec. Na jej widok Ranow zapalił papierosa i zniknął za główną bramą klasztoru, zapewne i on miał dosyć naszego towarzystwa. Stoiczew, przy troskliwej pomocy siostrzenicy, usiadł ciężko na drewnianej ławie u wrót monasteru.

»Chodźcie tu - powiedział cicho, spoglądając na nas z szerokim uśmiechem. - Korzystając z nieobecności naszego towarzysza, musimy odbyć szybką naradę. Nie miałem zamiaru państwa straszyć. Nie istnieje żaden dokument mówiący o tym, że wołoscy pielgrzymi wrócili do domu z relikwiami. Wybaczcie, ale musiałem skłamać. Vlad Dracula z całą pewnością pochowany został w Sveti Georgi, gdziekolwiek by się on znajdował, a ja natrafiłem na pewien bardzo istotny trop. Stefan twierdzi w *Kronice*, że Sveti Georgi znajduje się bardzo blisko Baczkowa. Nie dostrzegłem żadnych podobieństw między tamtymi rejonami a waszą mapą, ale istnieje pochodzący z początku szesnastego wieku list opata Monasteru Bączkowskiego do opata z Riły. Bałem się pokazywać ten dokument w obecności naszego towarzysza. W liście tym opat z Baczkowa stwierdza, że nie potrzebuje już pomocy ani opata Monasteru Rilskiego, ani jego mnichów, by powstrzymać szerzącą się herezję w Sveti Georgi, ponieważ klasztor ten został spalony, a mieszkający w nim mnisi rozbiegli się po świecie. Ostrzega przy tym, by opat nie przyjmował do siebie mnichów z tamtego klasztoru ani żadnych innych, którzy głoszą, iż smok zabił *sveti Georgi* - świętego Jerzego - to właśnie bowiem jest oznaką ich herezji«.

»Smok zabił... chwileczkę - przerwałem mu. - Ma pan na myśli wzmiankę o smoku i świętym? Kirił mówił, że szukają monasteru z symbolem równych sobie świętego i potwora«.

»Święty Jerzy jest jedną z najważniejszych postaci w bułgarskiej ikonografii - wyjaśnił cicho Stoiczew. - To rzeczywiście dziwne odwrócenie, że smok pokonał świętego Jerzego. Ale pamiętajcie, że wołoscy mnisi szukali monasteru, na którym widniał taki właśnie wizerunek, gdyż tam miała połączyć się głowa Draculi z jego ciałem. Zaczynam zastanawiać się, czy nie była to jeszcze większa herezja, niż sobie wyobrażamy, o której wiedziano w Konstantynopolu, na Wołoszczyźnie, i o czym wiedział nawet sam Dracula. Czyżby Zakon Smoka miał własną religię, niezgodną z ideologią Kościoła? Jak mogło do tego dojść? Aż do dzisiaj pomysł taki nie przychodził mi do głowy. Musicie pojechać do Baczkowa i wypytać tamtejszego opata, czy wie cokolwiek o odwróceniu ról w walce potwora ze świętym. Musicie wypytać opata o to w tajemnicy. List, który wam dam - z pewnością przeczyta go wasz opiekun - wspominać będzie jedynie o szlakach pielgrzymów. Tak zatem musicie wypytać go w sekrecie. Poza tym jest tam pewien ninich, naukowiec, wielki znawca historii Sveti Georgi. Pracował z Atatiasem Aniełowem i był drugą osobą, która widziała *Kronikę Zachariasza*. Kiedy go znałem, nosił nazwisko Pondew. Nie wiem, jakie przyjął imię zakonne. Ale opat wam go wskaże. I jeszcze jedno. Nie dysponuję tutaj mapą okolic Baczkowa. Pamiętam jednak, że na północny wschód od klasztoru znajduje się długa, kręta dolina. Zapewne kiedyś płynęła nią rzeka. Byłem tam raz, przed laty, i rozmawiałem o niej z mnichami, lecz nie pamiętam już jej nazwy. Czyżby to ona właśnie stanowiła ogon smoka? Czym zatem będą skrzydła? Może jakimiś górami? To również musicie sprawdzić^

Miałem ochotę uklęknąć przed starym profesorem i całować go po nogach.

»Dlaczego nie chce pan z nami jechać?« - spytałem.

»Pojechalbym, nawet gdyby sprzeciwiała się temu moja siostrzenica. - Przesłał Irinie serdeczny uśmiech. - Ale to wzmogłoby tylko podejrzenia. Gdyby wasz przewodnik zorientował się, że wciąż interesuję się państwa badaniami, stałby się podwójnie czujny. Po powrocie do Sofii koniecznie do mnie wpadnijcie. Będę cały czas towarzyszyć wam myślami. Życzę dobrej podróży i żebyście znaleźli to, czego szukacie. A to musi pani wziąć«.

Wsunął coś w dłoń Helen, ale ona zbyt szybko zamknęła dłoń, bym zobaczył, co to jest.

»Coś długo nie ma Ranowa, a to u niego niezwyčajne« - zauważyła rozsądnie.

Obrzuciłem ja szybkim spojrzeniem.

»Pójdę zobaczyć, co porabia«.

Nauczyłem się już wierzyć w instynkt Helen. Nie czekając na jej odpowiedź, ruszyłem w stronę bramy.

Tuż za murem monasteru ujrzałem Ranowa. Stał obok długiego, niebieskiego samochodu i rozmawiał z jakimś mężczyzną. Nieznajomy był wysoki i doskonale prezentował się w letnim garniturze i kapeluszu. Instynkt kazał mi natychmiast skryć się za skrzydłem bramy. Obaj mężczyźni prowadzili ożywioną rozmowę, którą jednak szybko przerwali. Przystojny mężczyzna klepnął energicznie Ranowa w ramię i wsiadł do auta. Natychmiast przypomniałem sobie tamto bezceremonialne uderzenie w plecy. Tak, choć wydawać się mogło to niewiarygodne, wyjeżdżającym powoli z pokrytego kurzem parkingu mężczyzną był József Geza. Cofnąłem się na dziedziniec i najszybciej, jak mogłem, wróciłem do Helen i Stoiczewa. Helen obrzuciła mnie przenikliwym spojrzeniem; najwyraźniej ona też ufała swoim przeczuciom. Odciągnąłem ją na bok. Stoiczew spoglądał za nami ze zdziwieniem, ale nie zadawał żadnych pytań.

»Pojawił się tu chyba Geza - wyjaśniłem szybko. - Nie widziałem dokładnie jego twarzy, ale ktoś niebywale do niego podobny rozmawiał właśnie z Ranowem«.

»Cholera jasna!« - zakłęła Helen. Nigdy dotąd nie słyszałem jeszcze, by przeklinała.

W chwilę później pojawił się Ranow i szybko do nas podszedł.

»Czas na kolację - oświadczył beznamiętnie. Zastanawiałem się, czy żałuje, że na tak długo zostawił nas sam na sam ze Stoiczewem. Ale byłem pewien, że podczas rozmowy z Gezą nie zauważył mojej obecności. - Chodźcie za mną«.

Klasztorna kolacja, która upłynęła w ciszy, była przepyszna. Potrawy domowej roboty serwowało dwóch mnichów. Towarzyszyła nam garstka turystów, którzy najwyraźniej zatrzymali się w hotelu. Zauważyłem, że nie rozmawiają po bułgarsku. Pomyślałem, iż mówiący po niemiecku pochodzą zapewne ze wschodnich Niemiec. Inni byli chyba Czechami. Jedliśmy z wielkim apetytem. Kolację podano na długim, drewnianym stole. Mnisi zajmowali sąsiedni. Z przyjemnością myślałem już o czekającym mnie wąskim, ale wygodnym łóżku. Nie mieliśmy z Heleni

chwili dla siebie, ale wiedziałem, że nieustannie dręczy ją myśl o obecności Gezy. Czego chciał od Ranowa? A generalnie, czego chciał od nas? Pamiętałem ostrzeżenie Helen, że jesteśmy nieustannie śledzeni. I kto mu doniósł, gdzie jesteśmy?

Mieliśmy za sobą wyczerpujący dzień. Byłem tak ciekaw Baczkowa, że gdyby miało to przyspieszyć sprawę, wyruszyłbym tam na piechotę. Ale teraz spałem, przygotowując się do całodniowej podróży. Pośród pochrapywań mieszkańców Berlina Wschodniego i Pragi słyszałem głos Rossiego, który rozważał pewne kontrowersyjne aspekty naszej pracy oraz słowa, zdziwionej nieco brakiem mej spostrzegawczości, Helen: »Ależ oczywiście, wyjdę za ciebie«.

65

Czerwiec 1962

Moja ukochana Cóрко!

W wyniku pewnych przerażających wydarzeń, jakie spotkały mnie i Twojego ojca, jesteśmy bardzo bogaci. Większość pieniędzy zostawiłam Twemu ojcu, by zabezpieczyć Ci godziwy byt. Zostawiłam sobie jednak dosyć, żeby prowadzić dalsze poszukiwania. W Zurychu założyłam konto w banku na nazwisko, którego nigdy nikomu nie wyjawię. Jest to bardzo duże konto. Czerpię z niego co miesiąc, by pokryć rachunki za wynajmowane mieszkania, płacić za korzystanie z archiwów oraz za posiłki w restauracjach. Staram się żyć jak najoszczędniej, aby zostawić jak najwięcej Tobie, Maleńka, kiedy już staniesz się kobietą.

*Kochająca Cię matka
Helen Rossi*

Czerwiec 1962

Moja ukochana Cóрко!

Był to jeden z tych złych dni. (Nigdy nie wysłę tej kartki. Jeśli nawet wysłę inne, to tej na pewno nie). Dzisiaj sama już nie wiem, czy szukam tego diabła, czy przed nim uciekam. Stałam przed lustrem, starym zwierciadłem w pokoju w Hotel d'Este. Szkło było zmatowiałe i jakby pokryte

kepkami mchu. Zdjęłam chustkę z szyi i dotykałam palcami blizny na gardle - czerwonej, która nigdy się do końca nie zaleczyła. Zastanawiam się, czy odnajdziesz mnie, zanim ja odnajdę jego. Ciekawa jestem, dlaczego on jeszcze mnie nie odnalazł. Ciekawa jestem, czy jeszcze Cię kiedykolwiek zobaczę.

*Kochająca Cię matka
Helen Rossi*

Sierpień

1962

Moja kochana Cóрко!

Kiedy się urodziłaś, miałas czarne, pozlepiane szluzem włosy, przylegające do czółka. Kiedy Cię wymyło, stały się delikatne niczym puch. Były czarne, ale z lekkim, kasztanowym odcieniem, który odziedziczyłaś po ojcu. Trzymałam Cię w objęciach, ale w oparach morfiny Twoje włosy raz były czarne jak u Cyganki, raz jasne, po czym znów ciemniały. Wydawałaś mi się lśniaca i gładka. Formowałam Twój wygląd wedle własnego uznania, nie wiedząc nawet, co robię. Miałaś złociste palce, różowe policzki, a Twoje rzęsy i brwi były czarne niczym u pisklęcia kruka. Moje szczęście przewyższało działanie morfiny.

*Kochająca Cię matka
Helen Rossi*

66

„Obudziłem się wcześniej na łóżku w męskiej sypialni Monasteru Rilskiego. Przez małe okna wychodzące na klasztorny dziedziniec wpadały pierwsze promienie porannego słońca. Pozostali turyści pogrążeni jeszcze byli w głębokim śnie. Na zewnątrz zaczął bić klasztorny dzwon. Pierwszą moją myślą po przebudzeniu było to, że Helen zgodziła się zostać moją żoną. Z całego serca pragnąłem ją znów jak najszybciej zobaczyć i zapytać, czy poprzedni dzień nie był tylko snem. Blask słońca, ozłacającego dziedziniec monasteru, odbijał przepełniające me serce szczęście, poranne powietrze było niewiarygodnie świeże.

Ale Helen nie pojawiła się na śniadaniu. Był natomiast Ranow, jak

zwykle ponury. Palił papierosa, aż w końcu jeden z mnichów poprosił go grzecznie, by wyszedł na galerię. Po śniadaniu udałem się do części wydzielonej dla niewiast, gdzie rozstałem się z Helen poprzedniego wieczoru. Drzwi do jej sali stały otworem. Niemki i Czeszki dawno już opuściły sypialnię, zostawiając po sobie starannie posłane łóżka. Helen wciąż pograżona była w głębokim śnie. Leżała na łóżku ustawionym najbliżej okna. Odwróciła się twarzą do ściany, ale ja uważałem, że mam wszelkie prawo podejść do niej, jak do narzeczonej po słowie, i mimo iż znajdowałem się w klasztorze, pocałować ją na dzień dobry. Zamknąłem za sobą drzwi w nadziei, że nie śledzą mnie oczy żadnego z mnichów.

Helen była odwrócona plecami do sali. Kiedy się do niej zbliżyłem, odwróciła się lekko, jakby wyczuła moją obecność. Głowę miała lekko odchyloną, zamknięte oczy, włosy rozsypane na poduszce. Głośno odychała. Pomyślałem sobie, że trudy poprzedniego dnia bardzo ją wyczerpały. Ale zaniepokoiło mnie coś w jej sylwetce. Zrobiłem szybki krok w stronę Helen. Pochyliłem się nad nią, chcąc ją pocałować, zanim się obudzi. Wtedy, ku swej zgrozie, dostrzegłem niezdrowy, zielonkawy odcień jej twarzy oraz świeżą krew na szyi. Obok zabliźnionych ran widniały dwa nowe otwory, z których sączyła się krew. Jej ślady widać było na prześcieradle i białej koszuli nocnej. Przód koszuli był rozdarty aż do ciemnej sutki Helen. Wszystko to ujrzałem w ułamku sekundy. Serce prawie przestało mi bić. Pochyliłem się i zakryłem kołdrą jej nagość, jakbym przykrywał dziecko do snu. Nic innego nie przychodziło mi do głowy. Dławiła mnie nienawiść, jakiej nigdy jeszcze nie czułem w życiu.

»Helen!« - Potrząsnąłem ją lekko za ramię, ale wyraz jej twarzy nie uległ zmianie.

Widziałem, jak jest wynędzniała i wymizerowana, zupełnie jakby nawet we śnie przechodziła okropne katusze. A gdzie krzyżyk? - przypomniałem sobie nieoczekiwanie i zacząłem gorączkowo rozglądać się wokół siebie. Ujrzałem go na podłodze tuż przy swoich nogach. Cienki łańcuszek był rozerwany. Czy ktoś go zerwał, czy też Helen sama, przez sen, zerwała go z szyi? Ponownie potrząsnąłem ją za ramię.

»Helen, obudź się!«

Tym razem poruszyła się, ale bardzo niespokojnie. Pomyślałem, że coś przeszkadza jej w powrocie do świadomości. Po chwili jednak otworzyła oczy i popatrzyła na mnie ze zmarszczonymi brwiami. Poruszała się bardzo niemrawo. Ile krwi straciła tej nocy - nocy, kiedy ja spałem

spokojnym, niczym niezakłócanym snem w sąsiednim korytarzu? Dlaczego zostawiłem ją samą właśnie teraz?

»Paul - zapytała oszołomiona. - Co ty tu robisz?«

Próbowała usiąść na łóżku i wtedy spostrzegła, że ma na sobie podartą koszulę nocną. Dotknęła dłonią szyi, na co patrzyłem z prawdziwą udręką. Powoli cofnęła palce. Były lepkie od krwi. Spoglądała na nie w osłupieniu, po czym przeniosła wzrok na mnie.

»Wielki Boże« - wyszeptała.

Usiadła wyprostowana na łóżku, a mnie ogarnęła pewna ulga. Gdyby straciła dużo krwi, nie miałaby sił, by wykonać tak energiczny ruch.

»Boże, Paul« - powtórzyła.

Przysiadłem na skraju łóżka, ująłem ją za rękę i mocno uściśnąłem.

»Już nie śpisz?« - zapytałem.

Energicznie potrząsnęła głową.

»I wiesz, gdzie jesteśmy?«

»Wiem«.

Pochyliła głowę, popatrzyła na zbrukaną krwią dłoń i wybuchnęła zdławionym szlochem, który rozdarł mi serce. Nigdy jeszcze nie płakała w mojej obecności. Jej płacz zmroził mnie do głębi.

»Jestem z tobą« - powiedziałem, całując jej czystą rękę.

Ścisnęła mi palce i mimo płaczu próbowała zapanować nad emocjami.

»Musimy pomyśleć o... czy to mój medalik?«

»Tak. - Bacznie spoglądałem jej w twarz, szukając oznak jakiegokolwiek odrazy, lecz ku swej uldze niczego nie zobaczyłem. - Czy to ty go zerwałaś z szyi?«

»Broń Boże. - Potrząsnęła gwałtownie głową. - W każdym razie nie pamiętam. Nie sądzę, by oni... on... odważyłby się coś takiego zrobić. To sprzeczne z legendą. - Wytarła twarz, trzymając dłoń z daleka od rany. - Sama musiałam go zerwać przez sen«.

»Też tak myślę, sądząc po tym, gdzie leżał - powiedziałem, wskazując miejsce na podłodze, gdzie znalazłem krzyżyk. - Czy jego widok... jego bliskość... nie brzydzi cię?«

»Nic a nic - odrzekła ze zdumieniem. - W każdym razie jeszcze nie«.

Jej ostatnie słowo prawie odebrało mi dech.

Sięgnęła po medalik, początkowo niepewnie, a następnie mocno ujęła go w dłoń. Głęboko odetchnąłem. Helen też.

»Zasypiając, myślałam o matce i o artykule na temat transylwańskich haftów -jak wiesz, są bardzo sławne - który zamierzam napisać. Dopiero później ty mnie obudziłeś. - Zmarszczyła brwi. - Miałam paskudne sny. Śniła mi się matka odganiająca wielkiego, czarnego ptaka. Kiedy już go przepędziła, pochyliła się nade mną i pocałowała mnie w czoło tak, jak robiła to, gdy byłam małą dziewczynką. A ja ujrzałam znak... - urwała jakby przerażona - ...ujrzałam na jej odkrytym ramieniu znak smoka. Ów wizerunek wydał mi się częścią jej i nie było w nim nic przerażającego. A kiedy pocałowała mnie w czoło, w ogóle przestałam się bać«.

Ogarnęła mnie nagła trwoga. Przypomniałem sobie kota zabitego w moim mieszkaniu, kiedy o północy czytałem o życiu holenderskich kupców, których tak uwielbiałem. Coś chroniło również Helen, w każdym razie do pewnego stopnia. Została okrutnie okaleczona, ale nikt nie wysłał z niej krwi. Spoglądaliśmy na siebie w milczeniu.

»Mogło być znacznie gorzej« - stwierdziła.

Objąłem ją ramieniem. Drżała.

»Tak - szepnąłem. - Muszę cię strzec«.

Potrząsnęła głową jakby w zdziwieniu.

»I zdarzyło się to w monasterze! Nie rozumiem. Nieumarli czują odrazę do takich miejsc. - Wskazała krzyż nad drzwiami oraz wiszącą w kącie ikonę z palącą się przed nią lampą oliwną. - Przecież to wizerunek Dziewicy«.

»Też tego nie rozumiem - odparłem, tuląc jej dłoń w swojej. - Ale wiemy przecież, że mnisi podróżowali ze szczątkami Draculi, które zostały pochowane w monasterze. Helen, jest w tym coś dziwnego. - Mocniej ścisnąłem jej dłoń. - Pomyślałem jeszcze o czymś. Bibliotekarz z Ameryki... odnalazł nas w Stambule, a następnie w Budapeszcie. Czy nie mógł trafić za nami tutaj? Czy to nie on zaatakował cię dzisiejszej nocy?«

Helen skrzywiła się.

»Wiem. Ugryzł mnie w bibliotece i zapragnął uczynić to ponownie. Ale we śnie czułam, że było to coś więcej... ktoś o wiele potężniejszy. Lecz w jaki sposób któryś z nich mógł się tutaj dostać, nawet jeśli nie bał się poświęconej ziemi monasteru?«

»To proste - odrzekłem, wskazując otwarte na oścież okno. - Boże, dlaczego zostawiłem cię samą?«

»Wcale sama nie byłam - zauważyła. - W pokoju spało jeszcze pięć innych osób. Ale masz rację... jak mówiła moja matka, on potrafi zmieniać postać. Może zamienić się w nietoperza, w mgłę...«

»Albo w wielkiego, czarnego ptaka« - mruknąłem, mając w pamięci jej sen.

»Tak czy owak, zostałam już ugryziona dwukrotnie« - powiedziała prawie sennym głosem.

»Helen! - Potrząsnąłem nią z całych sił. - Nie zostawię cię już samej nawet na godzinę.«

»Nie będę mieć nawet godziny prywatności?«

Na jej twarzy pojawił się dawny, złośliwy i tak kochany uśmiech.

»I chcę, abyś obiecała mi, że jeśli poczujesz coś, czego ja nie wyczuję... jeśli coś poczujesz...«

»Powie ci, Paul, jeśli tak się stanie - odparła gwałtownie. - A teraz muszę zjeść śniadanie i pokręcić się winem lub brandy. Przynies mi ręcznik i miskę... chcę umyć szyję i zakryć rany. - Powiedziała to tak kategorycznym tonem, że nie mogłem się jej sprzeciwić. - Później udamy się do kościoła, gdzie przemyję rany święconą wodą. Jeśli to zniosę, będziemy mieli jeszcze szansę. To dziwne... - uśmiechnęła się ze swym zwykłym cynizmem. - Zawsze te kościelne rytuały uważałam za głupotę, i wciąż tak je traktuję.«

»Ale najwyraźniej on nie uważa ich za głupotę« - odrzekłem rozsądnie.

Obmyłem gąbką jej szyję z krwi, nie dotykając samych ran, po czym pilnowałem drzwi, kiedy się ubierała. Widok ran był tak przerażający, że w pierwszej chwili chciałem opuścić pokój i dopiero na zewnątrz dać upust łzom. W twarzy Helen, choć dziewczyna poruszała się niemrawo, dostrzegłem wielką determinację. Energicznie owinęła szyję apaszką, po czym wyjęła z torebki kawałek sznurka, na którym zawiesiła krzyżyk. Miałem nadzieję, że okaże się on mocniejszy od łańcuszka. Prześcieradło na jej łóżku zostało zbrukane krwią.

»Mnisi zrozumieją, że spała tu kobieta - oświadczyła bez skrępowania Helen. - Nie pierwszy raz będą prac zakrwawione prześcieradło!«

„Kiedy wyszliśmy z kościoła, na dziedzińcu czekał już Ranow. Popatrzył zwięzonymi oczyma na Helen.

»Zaspała pani« - stwierdził z naganą w głosie.

Z uwagą przyjrzałem się jego górnym zębom. Wcałe nie były ostre, wręcz krótkie, tępe i szare".

67

„Zirytowało mnie to, że Ranow tak niechętnie zabierał nas do Riły, ale teraz jego entuzjazm, z jakim wioził nas do Baczkowa, irytował mnie jeszcze bardziej. Podczas podróży samochodem nieustannie coś nam pokazywał i, mimo jego rozwlekłych komentarzy, były to rzeczy nader interesujące. Staraliśmy się z Helen nie patrzeć sobie w oczy, ale oboje czuliśmy taki sam lęk. A dodatkowo mieliśmy jeszcze na głowie Gezę. Droga z Płowdiw była wąska i kręta. Z jednej strony płynął górski potok, z drugiej piętrzył się stromy, skalisty stok. Powoli znów wjeżdżaliśmy w góry. W Bułgarii praktycznie zawsze jest się w górach. Powiedziałem to Helen, a ona wyjrzała przez okno po drugiej stronie auta Ranowa i skinęła potakująco głową.

»Słowo *balkan* po turecku znaczy góra«".

„Do monasteru nie wiodły żadne wspaniałe wrota. Po prostu zjechałiśmy z szosy na pokryty kurzem przydrożny placyk i do klasztornej bramy dotarliśmy na piechotę. Monaster Bączkowski stał nieopodal wąskiej rzeki pośród surowych gór, częściowo pokrytych lasem, częściowo skalistych. Kraina była sucha. Zrozumiałem, jakim skarbem musiał być dla mnichów toczący wartkie wody potok. Ściany klasztoru były ciemnobrązowe, jak otaczające go góry. Jego dachy pokrywały czerwone, kanelowane, ceramiczne dachówki, takie same jak w domu Stoiczewa i na mijanych po drodze budynkach i kościołach. Prowadząca do monasteru łukowa brama była czarna niczym dziura w ziemi.

»Możemy tak po prostu wejść?« - zapytałem Ranowa.

Pokręcił głową, co znaczyło tak, i przekroczyliśmy mroczne wrota. Po chwili znaleźliśmy się na zalewanym słonecznym światłem dziedzińcu. Panowała cisza, którą mącił jedynie głuchy dźwięk naszych kroków.

Jeśli nawet spodziewałem się wielkiego placu wypełnionego turystami, to skromność i uroda dziedzińca klasztoru w Baczkowie zaparła mi dech w piersiach. Helen również głośno wyraziła swój zachwyt. Mo-

naster wypełniał prawie cały teren. Jego czerwone, kanciaste wieże były typowo bizantyjskie. Żadnych złocistych kopuł. Wyłącznie starodawna prostota w najbardziej harmonijnej formie. Po kościelnych wieżach pięły się pnącza winorośli. Wokół rosły drzewa. Szczególną uwagę zwracał jeden, dorodny cyprys. Przed kościołem stało trzech mnichów w czarnych habitach i kłobukach, którzy o czymś ze sobą gwarzyli. Drzewa rzucały ożywczy cień na klasztorny dziedziniec; ich liście szumiały w delikatnych podmuchach wiatru. Ku swemu zaskoczeniu dostrzegłem włóczące się wszędzie kury i wyliniałego kota polującego na coś w załomie muru.

Podobnie jak w Monasterze Rylskim, ściany klasztoru okalały galerie wykonane z kamienia i drewna. Najniższe partie ścian pokrywały spłowiałe freski. Nie licząc trzech rozmawiających ze sobą mnichów, kur i kota, byliśmy sami - sami w Bizancjum.

Ranow podszedł do zakonników i wdał się z nimi w rozmowę. Helen i ja trzymaliśmy się na uboczu. Niebawem do nas wrócił.

»Opat wyjechał, ale bibliotekarz udzieli nam wszelkiej pomocy. - Bardzo nie spodobało mi się jego słowo nam, ale nie skomentowałem tego. - Pójdę go poszukać, a wy w tym czasie możecie zwiedzić kościół»

»Pójdziemy razem« - powiedziała zdecydowanie Helen i ruszyliśmy galerią za jednym z mnichów.

Bibliotekarz pracował w pokoju na parterze. Na nasz widok podniósł się z krzesła. W pomieszczeniu nie było nic poza biurkiem, żelaznym piecem i rozłożonym na podłodze barwnym dywanem. Zastanawiałem się, gdzie są wszystkie książki i rękopisy. Dostrzegłem jedynie kilka ksiąg rozłożonych na biurku.

»To jest brat Iwan. O wszystko pytajcie jego« - oświadczył Ranow.

Mnich nisko się nam uklonił, ale nie podał ręki skrytej głęboko w obszernym rękawie habitu. Odniosłem wrażenie, że nie chce dotykać Helen. Helen najwyraźniej odniosła to samo wrażenie, gdyż trzymała się za moimi plecami. Ranow wymienił kilka słów z zakonnikiem.

»Brat Iwan prosi, żebyście usiedli«.

Zakonnik miał pociągłą, poważną twarz okoloną bujną brodą. Długą chwilę taksował nas wzrokiem.

»Możecie pytać go o wszystko« - zachęcił Ranow.

Chrząknąłem. Nie było innego wyjścia. Musieliśmy rozmawiać z mni-

chem w obecności i za pośrednictwem naszego opiekuna. Powiniennem postępować jak prawdziwy naukowiec.

»Proszę zapytać brata Iwana, czy wie cokolwiek o pielgrzymach z Wołoszczyzny« - powiedziałem.

Ranow przekazał mu moje pytanie. Na słowo »Wołoszczyzna« zakonnik się rozpromienił.

»Mówi, że od końca piętnastego wieku ich klasztor wiążą ściśle związki z Wołoszczyzną«.

Podskoczyło mi serce, ale starałem się zachować spokój.

»Tak? A to dlaczego?«

Rozmawiali ze sobą dłuższą chwilę. Mnich wymachiwał ręką, wskazując na drzwi kościoła. W końcu Ranow skinął głową.

»Mówi, że w tamtych mniej więcej czasach książęta Wołoszczyzny i Mołdawii bardzo wspierali ich monaster. Mają w bibliotece liczne dokumenty na ten temat«.

»Czy wie, skąd brała się taka hojność?« - zapytała cicho Helen.

Ranow wdał się w krótką rozmowę z mnichem.

»Nie. Mówią o tym tylko dokumenty«.

»Proszę go zapytać, czy wie cokolwiek o pielgrzymach wołoskich przybywających do monasteru w tamtych czasach?«

Twarz brata Iwana rozjaśnił promienny uśmiech.

»Tak, było ich wielu - przetłumaczył Ranow. - To bardzo ważne miejsce dla wołoskich pielgrzymów. Stąd ruszali dalej, na Athos lub do Konstantynopola«.

Zgrzytnąłem zębami.

»Chodzi mi o konkretnych wołoskich pielgrzymów, niosących pewien rodzaj relikwii... albo ich poszukujących. Czy brat Iwan słyszał o czymś takim?«

Ranow zdawał się powstrzymywać triumfalny uśmiech.

»Nic z tego - powiedział. - Nie zna żadnych dokumentów na ten temat. W piętnastym wieku docierało tu wielu pielgrzymów. W tamtych czasach Monaster Bączkowski był bardzo ważnym miejscem. Kiedy podbili nas Turcy, wygnali z Wielkiego Tyrnowa, dawnej stolicy naszego kraju, patriarchę Bułgarii. Umarł w roku tysiąc czterysta czwartym i tu został pochowany. Najstarszym i jedynym oryginalnym miejscem w tym monasterze jest właśnie miejsce jego pochówku«.

Nieoczekiwanie do rozmowy włączyła się Helen.

»Proszę zapytać, czy pośród mnichów przebywa brat, który kiedyś nosił nazwisko Pondew?«

Ranow przetłumaczył jej pytanie. Brat Iwan był wyraźnie zmieszany. Popatrzył na nas podejrzliwie.

»Mówi, że chodzi o brata Angela. Kiedyś nazywał się Wasyl Pondew. Był historykiem. Ale teraz jest trochę klepnięty. Nie dogadacie się z nim. Szkoda, że opat, wybitny znawca historii, musiał akurat wyjechać w interesach^

»A jednak chcielibyśmy porozmawiać z bratem Angelem« - oświadczyłem Ranowowi.

Bibliotekarz, z wielką niechęcią, polecił nam iść za sobą. Minęliśmy dziedziniec i przeszliśmy przez kolejną bramę, za którą znajdował się najstarszy budynek monasteru. Wewnętrzne podwórko nie było już tak dobrze utrzymane jak dziedziniec zewnętrzny. Pokrywające je płyty były pokruszone, między szczelinami bujnie pieniało się zielsko. Sam budynek popadał w ruinę. Dostrzegłem rosnące na dachu drzewko, które w miarę upływu czasu rozsądziłoby cały dom. Zrozumiałem, że dla rządu bułgarskiego restauracja bożego przybytku nie stanowi priorytetu. Mieli przecież reprezentacyjny Monaster Rilski stanowiący »żywą« historię Bułgarii i jej oporu przeciw osmańskiej niewoli. Ale to przepiękne, starożytne miejsce, sięgające korzeniami jeszcze Bizancjum i niezłamane przez tureckich najeźdźców - podobnie jak inne, ormiańskie, gruzińskie i greckie przybytki - nie mogło cieszyć się przychylnością władz. Dlatego na dachach monasteru krzewiły się drzewa.

Bibliotekarz zaprowadził nas do narożnego pomieszczenia.

»Infirmeria« - wyjaśnił Ranow.

Coraz bardziej niepokoiła mnie spolegliwość naszego opiekuna. Bibliotekarz otworzył rozchwierutane drzwi, a ja ujrzałem widok, o którym chciałbym na zawsze zapomnieć. W środku było dwóch starych mnichów. W pomieszczeniu znajdowały się tylko ich prycze, drewniane krzesło i żelazny piecyk, który podczas mroźnych, górskich zim nie mógł zapewnić dużo ciepła. Popatrzyłem na kamienną podłogę, wybielone wapnem ściany, kapliczkę z ikoną Dziewicy w rogu i palącą się przed nią zaśniedziałą lampką.

Jeden ze starców leżał na pryczy i nawet nie spojrzął w naszą stronę. Po chwili zauważyłem, że ma zamknięte oczy, powieki zaczerwionie i podpuchnięte. Co chwila poruszał podbródkiem, jakby chciał jednak

przejrzeć na oczy. Przykryty był białym prześcieradłem. Jedną ręką gmerał po krawędzi łóżka, jakby chciał sprawdzić, gdzie się kończy, drugą macał zwiotczałą skórę na szyi.

Drugi, bardziej zwawy mieszkaniec pokoju, siedział wyprostowany na jedynym krześle infirmerii. Oparta o ścianę laska wyraźnie mówiła, iż odbył długą drogę od łóżka na krzesło. Miał na sobie czarny habit bez sznura, pod którym sterczał wydatny brzuch. Kiedy weszliśmy do środka, popatrzył na nas niesamowicie niebieskimi oczyma. Jego nienakrytą kłobukiem głowę otaczała burza siwych, zmierzwionych włosów. W świetle, gdzie wszyscy mnisi nosili wysokie, czarne czapy, sprawiał wrażenie jeszcze bardziej chorego i anormalnego. Swoim wyglądem przywołał na myśl jakiegoś biblijnego proroka, z tym tylko że w jego spojrzeniu nie malowały się żadne wizje. Na nasz widok zmarszczył wielki nos, jakbyśmy wydawali jakiś ohydny zapach. Zagryzł usta i przez dłuższą chwilę mrużył oczy. Trudno mi było określić, czy się wystraszył, czy sobie z nas szydził, czy też ogarniało go diaboliczne rozbawienie, gdyż jego fizjonomia nieustannie się zmieniała. Wiercił się na krześle i wykonywał chaotyczne gesty rękami. Twarz wykrzywiały mu dziwaczne grymasy. Nie mogąc na to patrzeć, odwróciłem głowę.

Ranow rozmawiał o czymś z bibliotekarzem, który szerokim gestem wskazywał pokój.

»Ten na krześle to właśnie Pondew - oświadczył w końcu beznamietnie nasz opiekun. - Ale bibliotekarz ostrzega, że nie powie wam nic rozsądnego«.

Ranow podszedł ostrożnie do zakonnika, jakby bał się, że brat Angel go ugryzie, i popatrzył mu w twarz. Mnich - Pondew - odwrócił gwałtownie głowę, jak zwierzę uwięzione w klatce w zoo, po czym skierował spojrzenie swoich nieprawdopodobnie niebieskich oczu w naszą stronę. Marszczył twarz w okropnych grymasach. Z ust popłynął mu gwałtowny potok słów. Mówił ochryłym głosem, prawie warczał. Wzniósł nad głowę rękę, ni to w znaku krzyża, ni to w geście odpędzenia nas od siebie.

»Co mówi?« - zapytałem cicho Ranowa.

»Bajdurzy. Nigdy jeszcze czegoś podobnego nie słyszałem. Jakieś modlitwy... jakieś zabobony z ich liturgii... coś o tramwajach w Sofii«.

»Czy mógłby mu pan zadać kilka pytań? Proszę powiedzieć, że również jesteśmy historykami i interesuje nas pewna grupa włoskich piel-

grzymów, którzy pod koniec piętnastego wieku wieźli z Konstantynopola pewną relikwię».

Ranow wzruszył ramionami, ale zaczął wypytywać chorego zakonnika. Brat Angel odpowiedział coś chrapliwym głosem, potrząsając przy tym głową. Nie miałem pojęcia, czy znaczyło to tak, czy nie.

»Kolejny bełkot - powiedział Ranow. - Gada coś o ataku Turków na Konstantynopol. W każdym razie tyle zrozumiał z waszego pytania«.

Nieoczekiwanie w oczach starca pojawił się przeblysłak rozumu; zupełnie jakby swymi krystalicznymi źrenicami ujrzał nas po raz pierwszy. W jego bełkocie -jaki to był język? - wyraźnie usłyszałem słowa: Atanas Angelów.

»Angelów! - wykrzyknąłem, zwracając się bezpośrednio do mnicha. - Czy znałeś Atanasa Angelowa? Czy pamiętasz badania, jakie z nim prowadziłeś?«

Ranow czujnie nastawił uszu, ale posłusznie przetłumaczył moje pytanie.

»Ciągle coś majaczy, ale postaram się dokładnie przetłumaczyć, co mówi. Proszę uważnie słuchać. - Zaczął szybko i beznamiętnie powtarzać słowa starego zakonnika, a ja słuchałem, czując do niego cały czas niechęć i odrazę. Niemniej podziwiałem zawodowe umiejętności Ranowa. - Tak, pracowałem z Atanasem Angelowem. Lata temu, może nawet całe wieki. Był szalony. Przygaście te światła... bolą mnie od nich nogi. Chciał poznać całą przeszłość, ale przeszłość nie chciała, by ją poznał. Mówiła nie, nie i nie. Rozrasta się i was krzywdzi. Chciałem wziąć jedenastkę, ale nie było już jej w sąsiedztwie. W każdym razie towarzyszy Dimitrow cofnął zapłatę, którą mieliśmy dostać dla dobra ludu. Dobrzy ludzie«.

Ranow głęboko wciągnął w płuca powietrze i na chwilę zamilkł. Straciłem parę zdań, gdyż brat Angel nieustannie mówił coś chrapliwym głosem. Wiekowy mnich, siedząc nieruchomo na krześle, ruszał nieustannie głową, bez przerwy zmieniał się wyraz jego twarzy.

»Angelów odkrył bardzo niebezpieczne miejsce - tłumaczył dalej Ranow. - Odkrył miejsce zwane Sveti Georgi i usłyszał śpiew. Że tam właśnie pochowano świętego i tańczono na jego grobie. Poczęstowałbym was kawą, ale mam tylko pszenicę - pszenicę i brud. Nie mamy nawet chleba«.

Choć Helen chciała mnie od tego wyraźnie odwieść, uklękłem

przed mnichem i ująłem jego dłoń. Była wiotka jak martwa ryba, trochę napuchnięta, biała, o żółtawych i dziwacznie długich paznokciach.

»Gdzie znajduje się Sveti Georgi?« - zapytałem błagalnie.

Przez chwilę myślałem, że rozplacę się w obecności Ranowa, Helen i tych dwóch wysuszonych istot zamkniętych w klasztorным więzieniu.

Obok mnie przyklęknął Ranow i popatrzył w rozbiegane oczy mnicha.

»*Kyde se namira Sveti Georgi?*« - spytał.

Ale brat Angel najwyraźniej był znów zapatrzonej w dawno miniony świat.

»Angelow pojechał na Athos, gdzie znalazł typikon, po czym udał się w góry w to przerażające miejsce. Wybrałem mu pokój numer jedenaście. Powiedział: Chodź szybko, coś znalazłem. Muszę tam wrócić i pogrzebać w przeszłości. Poczęstowałbym was kawą, ale pozostał tylko brud. Och, och, umarł w swoim pokoju, ale jego ciała nie odniesiono do kostnicy«.

Twarz brata Angela rozjaśnił szeroki uśmiech, na którego widok się cofnąłem. Miał tylko dwa zęby, dziąsła pobrużdżone bliznami, a z ust biła mu woń, która zabiłaby samego diabła. Zaczął śpiewać wysokim, drżącym głosem:

Smok pojawił się w naszej dolinie.

Spalił zasiew i porwał dziewczęta.

Przeraził niewiernych Turków i chronił nasze wioski.

Oddechem suszył rzeki, przez które chodzimy.

Ranow przestał tłumaczyć, a brat Iwan, bibliotekarz, wyraźnie czymś poruszony, zaczął coś do niego mówić. Wciąż trzymał dłonie skryte w rękawach habitu, ale na twarzy malował mu się wyraz zdumienia.

»Co mówi?« - zapytałem szybko.

»Że zna tę pieśń. Śpiewała ją stara kobieta, *baba** Janka, słynna ludowa pieśniarka z wioski Dimowo, leżącej nad rzeką, która dawno temu wyschła. Organizują tam festiwale starodawnych pieśni, a Janka im przewodzi. Za dwa dni odbędzie się tam w dniu świętego Petka** kolejny festiwal. Może chcecie tam pojechać?«

* *Baba* (bułg.) - familiarnie „babcia”, „ciotka”.

** Paweł.

»Kolejne ludowe pieśni! -jęknąłem. - Czy może pan zapytać Pondewa, znaczy się brata Angela, czy wie, o co w tym utworze chodzi?«

Ranow zaczął go cierpliwie wypytywać, lecz zakonnik siedział w milczeniu, wykrzywiając twarz i wykonując ciałem nieskoordynowane ruchy. Straciłem nad sobą kontrolę.

»Proszę go zapytać, czy słyszał o Vladzie Draculi! - wykrzyknąłem gwałtownie. - O Vladzie Tepecie! Czy został pochowany w tych stonach? Czy w ogóle o nim słyszał? Dracula!«

Helen chwyciła mnie uspokajająco za ramię, ale ja byłem już kompletnie wytracony z równowagi. Bibliotekarz spojrział w moją stronę bez szczególnego zainteresowania, lecz Ranow obrzucił mnie pełnym politowania wzrokiem.

Ale na Pondewie moje słowa wywarły piorunujące wrażenie. Śmiertelnie pobladł, a oczy wywróciły się mu niczym dwie wielkie gałki niebieskiego marmuru. Brat Iwan rzucił się w jego stronę, chroniąc w ten sposób przed upadkiem z krzesła. Przy pomocy Ranowa przeniósł bezwładne ciało nieprzytomnego zakonnika na prycze. Kiedy już położyli go na posłaniu, bibliotekarz skropił mu twarz wodą z dzbanka. Byłem przerażony. Nie zamierzałem robić takiego zamieszania. Czyżbym doprowadził do śmierci jedynej osoby, która mogła dostarczyć nam wielu istotnych informacji? Po ciągnącej się niczym wieczność chwili brat Angel poruszył się i otworzył oczy. Były dzikie i wystraszone, jak ślepia schwytanego w potrzask zwierzęcia. Potoczył po nas wółprzytomnym wzrokiem. Bibliotekarz poklepał go uspokajająco po ramieniu, ale stary mnich, drżąc na całym ciele, odepchnął jego rękę.

»Wynośmy się stąd - burknął posepnie Ranow. - Z pewnością nie umrze... jeszcze nie teraz.«

Bibliotekarz pospiesznie wyprowadził nas z infirmerii.

»Przepraszam« - mruknąłem, gdy znaleźliśmy się na rozświetlonym słońcem dziedzińcu.

»Proszę zapytać bibliotekarza, czy wie coś więcej o tej pieśni, i o dolinie, z której pochodzi?« - zwróciła się do Ranowa Helen.

Ranow dłuższą chwilę konferował z mnichem, który w końcu obrzucił nas przeciągłym spojrzaniem.

»Twierdzi, że pochodzi z Krasnej Poliani, doliny znajdującej się po drugiej stronie tych gór, w kierunku północno-wschodnim. Możecie z nim pojechać na festiwal ku czci świętego. Musicie tylko przeczekać

tu dwa dni. Porozmawiacie ze starą pieśniarką, może ona wam coś powie«.

»Myślisz, że warto?« - zapytałam Helen.

Obrzuciła mnie poważnym spojrzeniem.

»Nie wiem, ale tylko to nam pozostało. Skoro pieśń wspomina o smoku, musimy iść tym tropem. A tymczasem zwiedzimy Baczkowo i tu-tejszą bibliotekę. Mam nadzieję, że bibliotekarz nam w tym pomoże«.

Usiadłem ze znużeniem na kamiennej ławie.

»Masz rację«".

68

Wrzesień 1962

Moja ukochana Cóрко!

Niech лихо porwie ten angielski! Ale gdybym pisała po węgiersku, nie chciałabyś czytać tych listów. Twoim językiem jest właśnie angielski. Twój ojciec, uważając, że nie żyję, kołysząc Cię w ramionach, przemawia po angielsku. Mówi po angielsku, kiedy nakłada ci buciki - teraz zapewne nosisz już „dorosłe” obuwie - i kiedy przechadzacie się po parku. Czuję jednak, że gdybym z kolei mówiła z Tobą po angielsku, też byś mnie nie słuchała. Od długiego czasu nie pisałam do Ciebie w ogóle, ponieważ bez względu na język i tak nie chciałabyś mnie słuchać. Twój ojciec uważa mnie za martwą, bo nigdy nie próbował mnie odnaleźć. Gdyby spróbował, na pewno ta sztuka by mu się udała. Ale on nie może porozumieć się ze mną w żadnym języku.

*Kochająca Cię matka
Helen*

Maj 1963

Moja ukochana Cóрко!

Sama nie wiem, ile razy bezgłośnie wyjaśniałam Ci, jak bardzo przez kilka pierwszych miesięcy byliśmy szczęśliwe. Wciąż mam przed oczyma Twój widok, kiedy się budziłaś. Najpierw poruszałaś rączkami, później

trzepotałaś czarnymi rzęsami, przeciągałaś się, a na buzi pojawiał Ci się szeroki uśmiech. I w końcu coś się wydarzyło. Było to niezależne ode mnie, i nie było to zagrożenie przychodzące z zewnątrz. Tkwiło to we mnie. Nieustannie oglądałam Twe śliczne ciałko w poszukiwaniu ran. Ale to ja nosiłam na sobie rany, dziury, które nigdy do końca się nie wygoiły. Zaczęłam bać się dotykać Ciebie, mój aniolku

*Kochająca Cię matka
Helen*

Lipiec 1963

Moja ukochana Córko!

Wydaje mi się, że dzisiaj tracę Cię jeszcze bardziej. Przebywam w uniwersyteckim archiwum w Rzymie. W ciągu ostatnich dwóch lat byłam tu już sześć razy. Zna mnie tutejsza straż, znają archiwiści, jak również kelner z kawiarni znajdującej się po drugiej stronie ulicy. Pragnął poznać mnie jeszcze bliżej, ale ja odwróciłam się do niego obojętnie plecami, udając, że nie zauważam jego zainteresowania. Tutejsze archiwum zawiera dokumenty dotyczące zarazy z tysiąc pięćset siedemnastego roku, której ofiary doznawały tylko jednego obrażenia: krwawej rany na szyi. Papież nakazał, by przed pochówkiem przebijać im serca kolkiem, a do ust wkładać główki czosnku. Rok tysiąc pięćset siedemnasty. Próbuje stworzyć mapę wędrówek Vlada i zmian miejsca przebywania w ciągu minionych wieków - a jeśli okaże się to nie do ustalenia, to przynajmniej wędrówek jego sług. Mapa ta to właściwie lista w moim notatniku, która wypełnia już wiele stron. Ale nie wiem jeszcze, jaką będę mogła wyciągnąć z niej korzyść. Mam nadzieję, że dowiem się tego w trakcie dalszych poszukiwań.

*Twoja kochająca matka
Helen*

Wrzesień 1963

Moja ukochana Córko!

Jestem prawie gotowa dać za wygraną i wrócić do Ciebie. W tym miesiącu przypadają Twoje urodziny. Jak mogłabym stracić takie święto? Mogę wrócić natychmiast, ale wiem, że gdybym tak zrobiła, wszystko zaczęłoby się od nowa. Czuję się nieczysta, tak jak przed sześcioma laty. Na

tę myśl ogarnia mnie zgroza. Ty musisz pozostać nietknięta. Nie mogłabym być przy Tobie ze świadomością, że jestem skażona. Czy mam w ogóle prawo dotykać Twego gładkiego policzka?

*Kochająca Cię matka
Helen*

Październik 1963

Moja ukochana Cóрко!

Jestem w Asyżu. Ten zdumiewający kompleks kościołów i kaplic wypełnia me serce rozpaczą. A mogliśmy być tu razem, Ty w swojej sukieneczce i kapeluszu, ja i Twój ojciec. Trzymalibyśmy się za ręce w tłumie innych turystów. A tak pracuję w zakurzonej bibliotece monasteru, gdzie czytam dokument pochodzący z roku tysiąc sześćset trzeciego. W grudniu zeszłego roku umarło tu dwóch mnichów. Znalezione ich w śniegu z lekko pokaleczonymi szyciami. Opanowałam łacinę do perfekcji, a mam dosyć pieniędzy, by stać mnie było na prowadzenie badań i bieżące wydatki. Płacę za wize, paszporty, bilety kolejowe i fałszywe dowody osobiste. Będąc dzieckiem, nigdy nie miałam pieniędzy. Moja matka, wieśniaczka, nawet nie wiedziała, jak one wyglądają. A ja teraz już wiem, że za pieniądze można kupić wszystko... no, może nie wszystko. Nie wszystko, czego pragnę.

*Kochająca Cię matka
Helen*

69

„Tamte dwa dni spędzone w Baczkowie były najdłuższymi dniami w moim życiu. Śpieszyło mi się na zapowiedziany festiwal, gdzie za słowem »smok« mógłbym podążyć do jego kryjówki. A jednocześnie bałam się chwili, gdy wszystko zamieni się w dym i niczego nie znajdziemy. Helen ostrzegła mnie, że ludowe pieśni są bardzo zwodnicze. Ich korzenie zanikły przez stulecia, ich teksty nieustannie się zmieniały, a pieśniarze nie wiedzą, skąd te utwory pochodzą i jak bardzo są stare.

»Dlatego właśnie są to pieśni ludowe« - wyjaśniła smętnie, wygładzając kołnierzyk mojej koszuli, kiedy siedzieliśmy drugiego dnia na dziedzińcu monasteru.

Widziałem, że jest bardzo zatroskana. Łzawiły mi oczy, bolała głowa. Rozglądałem się po rozpalonych słońcem płytach dziedzińca, po którym włączyły się kury. Było to piękne, starodawne i egzotyczne dla mnie miejsce. Życie toczyło się tu nieodmiennie od jedenastego wieku. Kury wygrzebywały z ziemi robaki, kot przewalał się nieopodal naszych stóp, otaczające nas czerwono-białe ściany pławiły się w słonecznym blasku. Ale do mnie nie docierała uroda tego miejsca.

Drugiego dnia obudziłem się bardzo wcześnie. Ze snu wyrwał mnie dźwięk klasztornych dzwonów, ale nie miałem pewności, czy mi się to nie przyśniło. Przez okno swej celi ujrzałem kilku mnichów zmierzających do kościoła. Ubrałem się - Boże, odzienie było już bardzo brudne, ale nie chciało mi się go prać - i szybko zbiegłem po schodach na dziedziniec. Było jeszcze bardzo wcześnie, szarówka, na niebie, ponad górami, wciąż lśnił księżyc. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie Wejść do kościoła. Jego drzwi były otwarte. Z wewnątrz bił blask świec i dobiegała woń wosku i kadzideł. W świątyni panował głęboki półmrok. Słyszałem głos zanoszących inkantacje mnichów. Ów monotony, pełen melancholii ton ugodził mnie w serce niczym sztylet. Tak samo musiało to wszystko wyglądać pewnego posepnego poranka w roku tysiąc czterysta siedemdziesiątym siódmym, kiedy bracia Kirył i Stefan w towarzystwie pozostałych mnichów opuszczali przybytek, w którym zostawili swoich zamęczonych na śmierć braci - w klasztornej kostnicy? - i ruszali w dalszą wędrówkę przez góry, strzegąc wiezionego na furgonie skarbu. Ale w jakim kierunku się udali? Popatrzyłem na wschód, a następnie na zachód, gdzie szybko ginał za górami księżyc, po czym przeniosłem wzrok na południe.

Lekki podmuch wiatru zaszeleścił liśćmi lip. Znad okolicznych wzgórz i murów klasztoru zaczęło wylaniać się słońce. Z oddali dobiegło pianie koguta. Była to czarowna chwila, jakbym zanurzał się w otchłań historii i odbywał wędrówkę wraz z bratem Kiryłem. Gdzieś tam znajdował się grobowiec, o którym pamięć dawno zaginęła. Znajdował się w odległości jednego dnia marszu, może trzech godzin albo nawet i tygodnia. Zachariasz twierdził, że nie było to daleko. Ale jak niedaleko? Dokąd poszli? Zalesione stoki skalistych gór, wyłożony ka-

miennymi płytami dziedziniec, monaster - wszystko to skrywało w sobie tajemnicę".

„O dziewiątej rano wsiedliśmy do samochodu Ranowa. Brat Iwan, jako przewodnik, usiadł obok kierowcy. Ruszyliśmy drogą wiodącą wzdłuż rzeki, która po jakichś dziesięciu kilometrach zniknęła. Dalej jechaliśmy długą, suchą doliną, pnącą się ostro pośród wzgórz. Widok poruszył coś w mojej pamięci. Szturchnąłem Helen. Popatrzyła na mnie z uwagą.

»Helen, dolina rzeki« - powiedziałem.

Twarz jej stężała. Poklepała po ramieniu Ranowa.

»Niech pan spyta brata Iwana, gdzie jest rzeka. Czyżbyśmy już zostawili ją za sobą?«

Ranow zadał mnichowi pytanie i nie odwracając się w naszą stronę, powiedział:

»Twierdzi, że rzeka wyschła, a jej puste koryto minęliśmy przy ostatnim moście, który przejechaliśmy. Tak, przed wielu, wielu laty dolina płynęła rzeka, ale wyschła«.

Popatrzyliśmy w milczeniu z Helen po sobie. Przed nami, u końca doliny, pośród wzgórz piętrzyły się dwa wierzchołki, dwa samotne masywy górskie jak kanciaste skrzydła. Między nimi, w oddali, majaczyły kopuły niewielkiej świątyni. Helen gwałtownie chwyciła mnie za dłoń.

Kilka minut później skręciliśmy w drogę prowadzącą między rozległymi pagórkami. Minęliśmy tablicę z nazwą wioski Dimowo. Droga zwężyła się i Ranow zatrzymał samochód przed kościołem, choć same Dimowo znajdowało się trochę dalej.

Kościół Świętego Petka Męczennika był bardzo malutki - zwykła kaplica bielona wapnem - i stał na łące, którą zapewne pod koniec lata koszono. Nad kościółkiem zwieszały się gałęzie dwóch pochylonych dębów. Obok znajdował się niewielki cmentarzyk, jakiego nigdy jeszcze w życiu nie spotkałem - proste, chłopskie mogiły, niektóre pochodzące jeszcze z osiemnastego wieku, jak z dumą oświadczył Ranow.

»Na takich cmentarzach chowani są wieśniacy do dzisiaj« - dodał.

Nagrobki były kamienne lub drewniane i zakończone trójkątnymi kapitelami. Na niektórych, w głowach, umieszczono niewielkie lampy.

»Brat Iwan mówi, że nabożeństwo zacznie się o jedenastej trzydzięści - wyjaśnił Ranow. - Kościół jest dopiero przygotowywany. Tymczasem zaprowadzi nas do *baba* Janki, a później tu wrócimy«.

Obrzucił nas bacznym spojrzeniem, jakby sprawdzając, co nas najbardziej interesuje.

»A co tam się dzieje?« - zapytałem, wskazując grupę mężczyzn pracujących na przylegającym do kościółka polu.

Część z nich ciągnęła kłody i wielkie gałęzie drzew, tworząc z nich bardzo okazały stos. Inni dźwigali kamienie i układali je wokół sterty.

»Brat Iwan mówi, że to będzie ognisko. Nie spodziewałem się, że czeka nas spektakl przechodzenia przez ogień«.

»Przechodzenia przez ogień?« - wytrzeszczyła oczy Helen.

»Tak - odrzekł obojętnie Ranow. - Czy znacie ten obyczaj? W obecnych czasach rzadko jest już spotykany w Bułgarii, a na pewno nie w tych okolicach. Słyszałem o przechodzeniu przez ogień, ale tylko w rejonach nad Morzem Czarnym. To biedne i zacofane tereny i partia robi wszystko, by naprawić ten stan rzeczy. Jestem przekonany, że niebawem obyczaje takie bezpowrotnie odejdą w przeszłość«.

»Słyszałam o tym - powiedziała z przejęciem Helen. - To pogański obyczaj, lecz na Bałkanach, po przejściu na chrześcijaństwo, przejęła go miejscowa ludność. To nie tyle przechodzenie przez ogień, ile taniec. Cieszę się, że coś takiego zobaczę na własne oczy«.

Ranow wzruszył ramionami i skierował nas w stronę kościoła. Tymczasem mężczyźni, pracujący przy stosie, podpalili drewno, które zajęło się wielkim płomieniem. Było wysuszone na pieprz i bardzo szybko ogień sięgnął góry stosu. Zatrzymał się nawet Ranow i obserwował pożogę. Mężczyźni odstępili od olbrzymiego ogniska i wycierali dłonie o portki. Ogień rósł, sięgał już wysokości dachu kościoła, znajdował się on jednak w bezpiecznej odległości. Spoglądaliśmy, jak płomienie pożerają suche drewno.

W końcu nasz opiekun odwrócił się w naszą stronę:

»Będą tak palić przez kilka godzin, aż zostanie sam żar - oświadczył. - Teraz nawet najbardziej przesądni nie odważyliby się tańczyć w tym ognisku«.

Kiedy weszliśmy do świątynki, wyszedł do nas młody kapłan. Z serdecznym uśmiechem uściśnął nam dłonie, a z bratem Iwanem wymienił zażyły ukłon.

»Mówi, że to dla niego honor gościć was w dniu ich świętego« - oświadczył sucho Ranow.

»Proszę mu powiedzieć, że dla nas to też zaszczyt wziąć udział w tej uroczystości. Niech pan go zapyta, kim był święty Petko«.

Mnich wyjaśnił, że był to miejscowy męczennik zabity przez Turków za odmowę przejścia na islam. *Sveti Petko* pełnił posługę kapłańską w poprzednim kościele, który Osmani spalili, ale on nie ugiął się i nie zmienił wiary. Kościół odbudowano, a jego szczątki złożono w starej krypcie. Do dzisiaj wiele osób modli się przy jego grobie. Specjalna ikona i dwie inne, o wyjątkowej mocy, są obnoszone w uroczystej procesji wokół kościoła i przez ogień. *Sveti Petko* osobiście wymalował front kościoła - wskazał wyblakły fresk przedstawiający brodatą twarz jakiegoś mnicha. Teraz możemy sobie zwiedzić świątynię. Prosi nas, żebyśmy wzięli udział w ceremonii i uzyskali błogosławieństwo *Sveti Petko*. Nie jesteśmy pierwszymi pielgrzymami z obcych krajów, jacy się tu pojawili i zostali uzdrowieni z choroby i cierpienia. Przez cały czas mnich miło się do nas uśmiechał.

Za pośrednictwem Ranowa zapytałem, czy słyszał coś o monasterze zwanym *Sveti Georgi*, ale mnich potrząsnął odmownie głową.

»Najbliższy monaster jest w Baczkowie - odparł. - Czasami przybywali tu do nas mnisi z innych klasztorów, ale to było bardzo dawno temu«.

Zrozumiałem, że pielgrzymki te skończyły się po przejęciu władzy przez komunistów. Odnotowałem sobie w pamięci, by po powrocie do Sofii zapytać o to Stoiczewa.

»Poprosiłem go, aby zaprowadził nas do *baba Janki*« - oświadczył po chwili Ranow.

Kapłan wskazał nam dokładnie jej dom. Bardzo chciałby pójść z nami, ale kościół był zamknięty od wielu miesięcy - pojawiał się w nim tylko w święta - i miał jeszcze, wraz ze swym pomocnikiem, wiele pracy do wykonania.

Dimowo leżało nieopodal świątyni, w niewielkim zagłębieniu terenu, i była to najmniejsza wioska, jaką widziałem w krajach bloku wschodniego. Nie więcej niż piętnaście chałup jakby z lękiem tłoczyło się obok siebie. Wokół rosły jabłonie i zieleniły się bujnie przydomowe ogródki. Przez wioskę prowadziła zryta koleinami droga, którą z trudem mógł przejechać wóz. Pośrodku znajdował się starodawny, drewniany żuraw i wiszące na nim wiadro. Uderzył mnie brak jakichkolwiek urządzeń

wskazujących na to, że mieszkańcy żyją już w dwudziestym wieku. Zapewne wiek ten jeszcze tu nie dotarł. Poczulem się prawie oszukany, gdy pod ścianą jednego z kamiennych domków ujrzałem białe, plastikowe wiadro. Bielone chaty zdawały się wyrastać z szarych, kamiennych fundamentów, dachy pokrywały płaskie, siwe dachówki. Fronty niektórych domów zdobiły przepiękne ornamenty rzeźbione w starym drewnie, przywodzące na myśl wiejskie budynki z czasów Tudorów.

Kiedy ruszyliśmy przez Dimowo, z domów i stodół zaczęli wychodzić ludzie, by nas pozdrowić - głównie starsze osoby, zniszczone ponad wszelkie wyobrażenie wieloletnią, ciężką pracą. Kobiety o groteskowo pałakowatych nogach, pochyleni mężczyźni, jakby wciąż garbili się pod ciężarem jakichś niewidzialnych worków. Mieli spalone słońcem twarze i ogorzałe policzki. Wykrzykiwali słowa powitania i uśmiechali się, szczerząc bezzębne dziąsła. Tu i ówdzie błysnęła metalowa koronka. Przyszło mi do głowy, że jednak w wiosce urzęduje jakiś dentysta, ale nie umiałem zlokalizować przychodni. Niektórzy mieszkańcy wioski kłękali przed bratem Iwanem, a on ich błogosławił i zadawał jakieś pytania. Do domu *baba* Janki towarzyszył nam niewielki tłumek ludzi, z których najmłodszy liczył sobie co najmniej siedemdziesiąt lat. Później Helen wyjaśniła mi, że tak naprawdę byli młodsi o dobrych dwadzieścia lat w stosunku do swego wyglądu.

Baba Janka mieszkała w maleńkiej chałupinie, prawie szopie, chylącej się ze starości. Wyszła na próg domu zobaczyć, co się dzieje. W pierwszej chwili dostrzegłem tylko jej głowę, spowitą w barwną, wyszywaną w kwiaty chustkę, pasiasty gorset i fartuch, którym była owinięta. Któryś z widzów wykrzyknął głośno jej imię i kobieta pokiwała szybko głową. Twarz miała barwy mahoniu, nos i podbródek ostre, jej oczy - kiedy się do niej zbliżyliśmy - otaczały głębokie zmarszczki.

Ranow coś do niej zawołał - miałem nadzieję, że nie był to żaden rozkaz lub coś niegrzecznego. Stara kobieta spoglądała na nas dłuższą chwilę, po czym zatrzęsnęła drzwiami. Czekaliśmy w milczeniu. Kiedy drzwi ponownie się otworzyły, zauważyłem, że nie była wcale tak wiotka, jak mi się w pierwszej chwili wydawało. Wzrostem dorównywała Helen, a oczy miała wesole i pełne ciekawości. Pocałowała w rękę brata Iwana i uściśniła nasze dłonie, co wyraźnie ją skonfundowało, po czym energicznie zapędziła nas do domu, jakbyśmy byli stadkiem spłoszonych królików.

Mieszkanko było ubogie, ale czyste i schludne. Ze wzruszeniem ujrzałem wazon świeżych, polnych kwiatów, stojący na porysowanym, ale wymyтым stole. Dom matki Helen był pałacem w porównaniu z tym ubogim pokojem w walącym się domku, z drabiną prowadzącą na wyższe piętro, przybitą gwoździami do ściany. Zastanawiałem się, jak gospodyni radzi sobie z wdrapywaniem się po drabinie, lecz *baba* Janka tak żwawo uwijała się po izbie, że w końcu zaświtało mi w głowie, iż jest o wiele młodsza, niż na to wygląda. Podzieliłem się szeptem tą refleksją z Helen, a ta skinęła potakująco głową.

»Dobija zapewne pięćdziesiątki« - odszepnęła.

Słyszając te słowa, doznałem wstrząsu. Moja matka, w Bostonie, licząca przecież pięćdziesiąt dwa lata, wyglądała przy niej jak jej wnuczka. Mimo rozpierającej ją energii ręce *baba* Janki były sękaty i popękane. Patrząc, jak rozstawia na stole przykryte ściereczkami talerze i szklanki, zastanawiałem się, co przez całe życie robiła tymi dłońmi: ścinała drzewa, rąbała drewno na opał, pracowała w polu na zimnie i w upale? Kilkakrotnie zerknęła w naszą stronę z uśmiechem, po czym napełniła szklanki jakimś napojem - białym i zawiesistym - który Ranow wypił jednym haustem, skinął gospodyni głową i wytarł usta chustką do nosa. Poszedłem za jego przykładem, ale o mało mnie to nie zabiło. Płyn był letni i smakował gnojem. Zrobiłem wszystko, by nie czknąć pod bacznym spojrzeniem, jakim obrzuciła mnie *baba* Janka. Helen wypila swoją szklankę bez zmrużenia oka i stara kobieta poklepała ją po ramieniu.

»To świeże owcze mleko rozcieńczone trochę wodą - wyjaśniła mi Helen. - Traktuj to jak koktajl mleczny«.

»Teraz zapytam ją, czy nam zaśpiewa - odezwał się Ranow. - W końcu o to wam chodzi, prawda?«

Przez chwilę konferował o czymś z bratem Iwanem, który z kolei odwrócił się do *baba* Janki. Niewiasta gwałtownie się cofnęła i zaczęła desperacko kiwać głową. Nie, nie będzie śpiewać. Najwyraźniej nie zamierzała nam prezentować swych pieśni. Wskazała na nas i złożyła dłonie na fartuchu. Ale zakonnik był uparty.

»Prosimy ją, by zaśpiewała nam cokolwiek - wyjaśnił Ranow. - Później zapytacie ją o pieśń, która was interesuje«.

Baba Janka wyraźnie dała za wygraną, ale ja zastanawiałem się, czy jej początkowe protesty nie stanowiły jedynie zwykłego krygowania się,

gdyż teraz na jej twarzy malował się szeroki uśmiech. Westchnęła, po czym wzniosła ramiona nad głowę. Popatrzyła na nas prostopadłościennie i otworzyła usta. Głos miała zadziwiający. Najpierw był zdumiewająco głośny, aż zadrżały szklanki na stole, a zgromadzeni za otwartymi drzwiami ludzie - zebrało się chyba pół wioski - zadarli głowy. Dźwięk wibrował w powietrzu, prawie czuliśmy go pod stopami, zawieszona nad piecem pęta cebuli i papryki zaczęły się kołysać. Potajemnie ująłem dłoń Helen. Pierwsze nuty wstrząsnęły nami do głębi, później popłynął śpiew, przeciągły i powolny, niósł wieść o beznadziei i utracie. Przypomniałem sobie pannę, która wolała rzucić się ze skały, niż iść do haremu paszy, i przez chwilę się zastanawiałem, czy tekst tej pieśni podobny był do tamtej. Dziwna rzecz, ale *baba* Janka, śpiewając, cały czas się do nas uśmiechała. Słuchaliśmy w zachwyceniu. W końcu pieśń ucichła, choć wydawało się, że jej ostatnie tony wciąż jeszcze drżą w malutkim mieszkanku.

»Czy mogłaby wyrecytować nam słowa?« - zapytała Ranowa Helen.

Po krótkich oporach - podczas których z jej twarzy nie schodził uśmiech - *baba* Janka zaczęła deklamować, a Ranow tłumaczył.

*Bohater umiera na szczycie zielonego wzgórza.
Bohater umiera, mając dziewięć ran w boku.
Sokole, leć do niego z wieścią, że jego ludzie żyją,
Że żyją w górach i są tam bezpieczni.
Bohater dostał dziewięć ciosów mieczem,
Lecz umarł dopiero po dziesiątej klindze.*

Kiedy skończyła, zaczęła mówić coś do Ranowa i grozić mu palcem. Wyglądało to tak, jakby dawała mu reprimendę, grożąc, że jeśli będzie się źle zachowywać w jej domu, to dostanie klapsa i pójdzie spać bez kolacji.

»Proszę ją zapytać, jak stara jest ta pieśń i kto ją jej nauczył - odezwała się Helen.

Baba Janka wybuchnęła gromkim śmiechem, wyraźnie rozbawiona wymachiwała rękami. Ranow też skrzywił twarz w uśmiechu.

»Mówi, że pieśń ta dorównuje wiekiem okolicznym górcom i nawet jej prababka nie wiedziała, jak jest stara. Nauczyła się jej właśnie od niej. Prababka dożyła dziewięćdziesięciu trzech lat«.

Teraz z kolei *baba* Janka zaczęła wypytywać o różne rzeczy. Kiedy utkwiała w nas wzrok, spostrzegłem, że ma piękne oczy, złocistobrazowe, prawie miodowej barwy, a czerwona chusta na jej głowie czyniła je jeszcze jaśniejszymi. Z niedowierzaniem skinęła głową, kiedy wyjaśniliśmy, iż pochodzimy z Ameryki.

»*Amerika?* - Przez chwilę przetrawiała coś w myślach. - To musi być gdzieś za górami«.

»Rozmawiacie ze starą, ciemną kobietą - zauważył Ranow. - Rząd robi wszystko, by podnieść poziom wykształcenia tych ludzi. Jest to sprawa priorytetowa«.

Helen wyjęła kartkę papieru i wręczając ją Ranowowi, ujęła starą kobietę za dłoni.

»Proszę ją zapytać, czy zna taką pieśń. Musi pan ją jej przetłumaczyć. *Smok pojawił się w naszej dolinie. Spalił zasiew i porwał dziewczęta*^.

Ranow zaczął mówić, a *baba* Janka z uwagą go słuchała. Nieoczekiwanie jej twarz wykrzywił grymas strachu i wielkiego niezadowolenia. Wyrwała rękę z dłoni Helen i poderwała się z krzesła. Odwróciła się do nas plecami.

»*Ne!* - krzyknęła gwałtownie. - *Ne, ne!*«.

Ranow wzruszył ramionami.

»Sami widzicie. Nie zna takiej pieśni«.

»Zna, zna - odparłem spokojnie. - Niech pan zapyta, dlaczego boi się o niej mówić«.

Twarz *baba* Janki przybrała srogiego wyraz.

»Nie będzie o tym rozmawiać« - wyjaśnił prosto Ranow.

»Więc proszę powiedzieć, że mamy dla niej prezent«.

Zdziwiony Ranow uniósł brwi, ale posłusznie złożył starej kobiecie naszą ofertę.

»Mówi, że musimy zatrzaskać na głucho drzwi. - Wstał z miejsca i zamknął drzwi oraz okiennice. - Teraz zaśpiewa«.

Wykonanie tej pieśni różniło się diametralnie od poprzedniego. *Baba* Janka jakby zapadła się w siebie, siedziała skulona na krześle, z twarzy zniknął jej uśmiech, nie odrywała swoich miodowych oczu od podłogi. Melodia była przeciągła, melancholijna, choć odniosłem wrażenie, że w nucie ostatniego wersu wyczułem arogancki, wyzywający ton. Ranow tłumaczył. Zastanawiałem się, dlaczego nagle stał się tak usłużny i chętny do współpracy?

*Smok pojawił się w naszej dolinie.
Spalił zasiew i porwał dziewczęta.
Poraził niewiernych Turków i chronił nasze wioski.
Oddechem suszył rzeki, przez które chodzimy.
Teraz musimy się bronić.
Smok długo nas chronił,
Lecz teraz musimy już przed nim się bronić.*

»Czy to właśnie chcieliście usłyszeć?« - zapytał Ranow.

»Tak«.

Helen poklepała *baba* Jankę po ramieniu, ale stara kobieta zaczęła wykrzykiwać coś gniewnym głosem.

»Proszę ją spytać, skąd pochodzi ta pieśń i dlaczego budzi w niej aż taki lęk« - poleciła Helen.

Ranow dłuższą chwilę spierał się o coś z *baba* Janką, która czyniła mu jakieś wyrzuty.

»Pieśń tę w najgłębszym sekrecie przekazała jej prababka, ostrzegając jednocześnie, by nigdy nie śpiewała jej po zmroku. To feralna pieśń, bardzo feralna. Śpiewają ją tylko raz w roku, w dniu świętego Jerzego. Tylko tego dnia można ją śpiewać, nie przywołując licha i nie sprowadzając na swoją głowę nieszczęścia. Ma tylko nadzieję, że wasza dzisiejsza wizyta nie sprawi, iż zdechnie jej krowa albo spotkają coś jeszcze gorszego«.

»Niech pan jej powie, że mam dla niej nagrodę, która odpędzi zły los, a na ten dom sprowadzi tylko błogosławieństwo - odezwała się z uśmiechem Helen. Wsunęła w zniszczoną ciężką pracą dłoń *baba* Janki srebrny medalik. - Należy do bardzo pobożnego i mądrego człowieka, który przesyła ci go, aby cię chronił. Przedstawia *Sveti han Rilski*, wielkiego bułgarskiego świętego«.

Zrozumiałem, że ten medalik wsunął w rękę Helen Stoiczew. *Baba* Janka przez chwilę z uwagą go oglądała, obracając w spękanej dłoni, a następnie ucałowała i schowała do kieszeni fartucha.

»*Błagodaria*« - powiedziała.

Pocałowała z kolei dłoń Helen i zaczęła pieścić jej rękę, jakby dziewczyna Isyła dawno zaginioną córką, którą odzyskała po latach. Helen ponownie zwróciła się do Ranowa.

»Proszę zapytać, czy wie, co dokładnie oznacza ta pieśń i skąd pochodzi. I dlaczego śpiewana jest tylko w dzień świętego Jerzego?«

Baba Janka wzruszyła ramionami.

»Nic nie oznacza. To po prostu pieśń przynosząca nieszczęście. Moja prababka twierdziła, że pochodzi z monasteru. Ale to raczej nieprawda. Mnisi nie śpiewają takich pieśni. Oni w swoich wystawiają Boga. Śpiewamy ją w tym dniu, błagając, żeby *Sveti Georgi* zabił smoka i uwolnił nasz lud od udręki«.

»Jaki monaster?! - wykrzyknąłem. - Niech pan zapyta, czy słyszała o monasterze *Sveti Georgi*, który został dawno temu zniszczony«.

Baba Janka tylko skinęła głową- nie - i głośno strzeliła językiem.

»Nie znam żadnego monasteru. Monaster jest w Baczkowie. A tutaj mamy kościół, w którym wieczorem zaśpiewam wraz z siostrą«.

Jęknąłem w duchu, ale ponowiłem pytanie. Tym razem Ranow strzelił językiem.

»Mówi, że nie wie o żadnym monasterze. Tutaj nigdy nie było monasteru«.

»Kiedy przypada dzień świętego Jerzego?« - zapytałem.

»Szóstego maja* - wyjaśnił uprzejmie Ranow. - Spóźniliście się o kilka tygodni«.

Zamilkłem, ale *baba Janka* znów zaczęła się do nas uśmiechać. Potrząsnęła naszymi rękami, ucałowała Helen i zapewniła, że będzie wieczorem śpiewać.

»Z moją siostrą wychodzi to lepiej - powiedziała. - Ona śpiewa drugim głosem«.

Zapewniliśmy ją, że na pewno pojawimy się na uroczystości. Uparła się, że musimy zostać u niej na obiedzie, który właśnie przygotowywała. Składał się z kartofli, jakiejś papki i owczego mleka. Pomyślałem sobie, że po kilku miesiącach pobytu w tym kraju przywykłym w końcu do tego napoju. Jedliśmy uprzejmie, chwając potrawy. W końcu Ranow oświadczył, że jeśli chcemy zdążyć na początek nabożeństwa, powinniśmy już wracać do kościoła. *Baba Janka* rozstawiała się z nami bardzo niechętnie. Ścisnęła nam dłonie i poklepywała Helen po policzkach.

Wielkie ognisko przy kościele powoli się dopalało. Płomienie lizały jeszcze kilka największych kłód. Żar pokrywał siwy w blasku zachodzącego słońca popiół. Wokół kościoła gromadzili się z wolna mieszkańcy wioski. Zaczęły bić dzwony zawieszane na niewielkiej, kamiennej

* Kościoły wschodnie operują kalendarzem juliańskim.

wieży. W progu świątyni pojawił się młody kapłan. Miał na sobie czerwono-złoty ornat z zarzuconą na plecy długą, przepysznie wyszywaną peleryną i czarną chustę spowijającą kłobuk. W rękach trzymał zawieszony na złotym łańcuchu trybularz, którym, stojąc w drzwiach kościoła, okadził trzy strony świata.

Zgromadzeni - niewiasty przybrane jak *baba* Janka w pasiaste suknie

i kwieciste chusty lub spowite od stóp do głów w czerń, mężczyźni w grubych, brązowych, wełnianych kamizelach i białych koszulach zapinanych na guziki lub ściąganych pod szyją trokami - cofnęli się, kiedy wyszedł do nich kapłan. Szedł pośród swej trzódki i błogosławił ją znakiem krzyża. Ludzie nisko pochylali głowy lub klękali. Za nim posuwał się stary mnich w prostym, czarnym, klasztorным habicie, jego pomocnik. Niósł ikonę udrapowaną purpurowym jedwabiem. Przedstawiała szywną, bladą, ciemnooką twarz. To zapewne *sveti Petko* - pomyślałem. Wieśniacy, mijając róg świątyni, postępowali w milczeniu za ikoną. Wielu podpierano się kijami, innych, bardziej wiekowych, podtrzymywali młodszy mieszkańcy wsi. Podeszła do nas *baba* Janka i z dumą ujęła mnie za ramię. Zupełnie jakby chciała pochwalić się przed sąsiadami swoimi znajomościami. Wszyscy się na nas gapili. Odnosiłem wrażenie, iż wzbudzamy takie samo zainteresowanie jak ikona.

Obaj kapłani przeprowadzili nas wzdłuż tylnej ściany kościoła, po czym skręciliśmy, ruszając obok bocznego muru świątyni, skąd widać było już ognisty krąg dopalających się żagwi. Dotarła do nas ostra woń spalenizny. Płomienie wygasły, żarzące się jeszcze amarantowym blaskiem kłody zapadały się w siwy popiół pogorzeliśka. Procesja trzykrotnie jeszcze okrążyła kościół. W końcu kapłan stanął w progu świątyni i rozpoczął inkantacje. Od czasu do czasu do śpiewu włączał się jego starszy pomocnik. Czasami pieśń podejmowali wierni, żegnając się i kłaniając nisko do ziemi. *Baba* Janka puściła moje ramię, ale wciąż trzymała się blisko nas. Zauważyłem, że zarówno Helen, jak i Ranow obserwują wszystko z najwyższym zainteresowaniem.

Po ceremonii, wraz z wiernymi, weszliśmy do kościoła. Po jaskrawym blasku zachodzącego słońca na zewnątrz w świątyni panował grobowy mrok. Kościółek był niewielki, lecz tak przepięknym wnętrzem nie mogłoby się pochwalić wiele większych kościołów, jakie zwiedzaliśmy. Młody kapłan umieścił ikonę *sveti Petko* na jej uświęconym miejscu obok ołtarza. Brat Iwan ukłęknał przed wizerunkiem. Jak zwykle w świą-

tyni nie było ławek. Ludzie stali lub klęczeli na kamiennej posadzce. Pośrodku kościoła leżało plackiem na ziemi kilka starych kobiet. Boczne ściany wypełniały nisze pokryte freskami i ikonami. W jednej z nich ziało czarne wejście do podziemnej krypty. Bez trudu wyobrażałem sobie pokolenia wieśniaków modlących się w tym kościele, i w starszym, który stał na tym miejscu.

Pieśni ciągnęły się i ciągnęły w nieskończoność. Kiedy w końcu ucichły, wierni ponownie pochyłili kornie głowy i zaczęli opuszczać świątynię. Niektórzy przystawali, by ucałować którąś z ikon lub zapalić świecę w jednym z kandelabrow umieszczonych u wejścia do kościoła. Zaczęły bić dzwony. Wyszliśmy na zewnątrz. Uderzył w nas słoneczny skwar i lekkie podmuchy gorącego wiatru. Wzrok poraził blask rozświetlonych pól i zagajników. Pod drzewami ustawiono długi stół, na którym kobiety rozstawiały naczynia i nalewały do nich coś z glinianych dzbanów. Po drugiej stronie kościoła ujrzałem drugie ognisko, o wiele mniejsze, nad nim piekł się baran. Uwijało się wokół niego dwóch mężczyzn, nieustannie podsycając ogień. Upojny zapach mięsowa wzbudził we mnie atawistyczną żądzę jedzenia. *Baba* Janka osobiście napełniła nam miski i zaprowadziła na rozłożony w pewnym oddaleniu od tłumu lichy, zniszczony koc. Tam poznaliśmy jej siostrę. Do złudzenia przypominała *baba* Jankę, tyle że była od niej wyższa i szczuplejsza. Żarłocznie rzuciliśmy się najadło. Nawet Ranow, skrzyżowawszy nogi, był niebywale kontent. Mieszkańcy wioski pozdrawiali nas, pytając jednocześnie, czy *baba* Janka i jej siostra będą śpiewać. Kobiety kręciły potakująco głowami i odprawiały ich dumnym gestem, niczym operowe gwiazdy.

Kiedy z barana nie zostało już ani kawałka, niewiasty zaczęły skrobać brudne miski nad drewnianymi wiadrami. Pojawiło się trzech muzyków. Zaczęli przygotowywać się do gry. Jeden z nich trzymał najdziwniejszy instrument, jaki widziałem w życiu - skórzany worek z dwiema sterzącymi piszczałkami. Ranow wyjaśnił nam, że jest to starodawny bułgarski instrument zwany *gajdy*, wykonany z wyprawionej kozłej skóry. Starszy człowiek, który trzymał instrument w ramionach, zaczął w niego dąć, aż worek napeęczał niby balon. Zajęło mu to dobrych dziesięć minut. Kiedy skończył, twarz miał purpurową jak piwonia. Nacisnął ramieniem nadęty sak i dmuchnął w jedną z piszczałek, wzbudzając pośród zebranych aplauz. Dźwięk przypominał zarówno ryk dzikiego

zwierzęcia, jak też beczenie owiec i krakanie wron. Helen głośno się roześmiała.

»Takie dudy znają wszystkie pasterskie plemiona na świecie« - wyjaśniła.

Stary człowiek zaczął grać, a po chwili przyłączyli się doń jego kompani. Jeden z nich grał na wielkim drewnianym flecie, którego dźwięk otoczył nas niczym aksamitna szarfa, drugi uderzał delikatnie w skórzany bęben wywatowaną pałką. Kobiety zerwały się z miejsca i uformowały korowód, a mężczyźni, wymachując białymi chustami, ruszyli w ich ślady, prowadząc niewiasty po zielonej łące. Natychmiast przypomniałem sobie imprezę u Stoiczewa. Niezdolni do takich harców starcy szczyrzyli w bezzębnych uśmiechach usta, przytupywali w miejscu, wybijając kosturami i laskami rytm.

Baba Janka i jej siostra siedziały spokojnie obok nas, wiedząc, że nie nadszedł jeszcze ich czas. Czekwały do chwili, kiedy roześmiany flecista dał im znak, a zgromadzeni ludzie zaczęli wznosić entuzjastyczne okrzyki. Siostry, ociągając się, wstały z koca i trzymając się za ręce, stanęły naprzeciwko muzyków. Widownia ucichła. Gajdy wygrały krótki wstęp. Stare kobiety zaczęły śpiewać. Splotły się ramionami, a ich głosy, idealnie zgrane, poruszały zebranych do głębi. W ich tony wdarły się dudy. Zmieszany dźwięk koziej skóry, w połączeniu z głosami starych niewiast, zdawał się poruszać ziemię. Oczy Helen zaszkliły się łzami. Był to tak niezwykły widok, że nie zważając na nic, objąłem ją ramieniem.

Kiedy wyśpiewały pięć lub sześć pieśni, każdą z nich powitano huraganowym aplauzem, wszyscy nagle stanęli prawie na baczność - nie wiedziałem, o co chodzi, dopóki nie zobaczyłem, że w progu świątyni pojawił się kapłan. Niósł ikonę z wizerunkiem *sveti Petko*, tym razem udrapowaną czerwonym aksamitem. Za nim postępowało dwóch chłopców w czarnych ubraniach, niosących ikony spowite białym jedwabiem. Procesja obeszła kościół z jednej strony - muzykanci postępowali za nią krok w krok, uderzając w uroczyste tony - i zatrzymała się między świątynią a ognistym kręgiem. Ogień wygasł już kompletnie. Pozostał tylko piekielnie czerwony i gorący żar. Unosiły się z niego smuzki niebieskawego dymu, jakby pod szarymi popiołami coś się czało i oddychało. Kapłan i jego pomocnicy stali pod ścianą kościoła, trzymając przed sobą święte skarby.

Orkiestra zaintonowała nową muzykę. Jest żywa, a jednocześnie po-

ważna - pomyślałem. Wieśniacy, którzy byli w stanie tańczyć lub poruszać się o własnych siłach, utworzyli długi wąż, otaczając tłące się ognisko. Kiedy tańczący płąsali w korowodzie wokół pogorzelska, *baba Janka* i druga niewiasta - nie jej siostra, ale jeszcze starsza kobieta, prawie ślepa - pokłoniły się kapłanowi i ikonom. Zdjęły buty i skarpetki, odkładając je ostrożnie na schodach prowadzących do kościoła, ucałowały srogie oblicze *sveti Petko*, a kapłan je pobłogosławił. Młodzi pomocnicy wręczyli im ikony, ściągawszy uprzednio z nich jedwabne woale. Muzyka nabrała na sile. Grający na dudach jeszcze bardziej pokraśniał, policzki miał nienaturalnie wydęte.

Baba Janka i towarzysząca jej prawie ślepa kobieta ruszyły wdzięcznym krokiem w stronę paleniska. Zaczęły tańczyć po nim gołymi stopami. Trzymały przed sobą ikony, a głowy miały dumnie zadarte, jakby spoglądały w inny świat. Helen zacisnęła dłoń na moich palcach aż do bólu. Nogi obu kobiet miały żar, wzbijając snopy iskier. Brzegi sukni *baba Janki* zaczynały się tlić. Ale tańczyły po ogniach w rytm tajemniczych rytmów bębna i gajdy - każda po innej stronie pogorzelska.

Nie dostrzegłem ikon, jakie wzięły ze sobą, ale teraz zobaczyłem w rękach ślepej kobiety wizerunek Dziewicy Maryi z Dzieciątkiem, jej głowę wieńczyła ciężka korona. Nie widziałem ikony *baba Janki*, dopóki nie zatoczyła pełnego kręgu. Jej twarz była zdumiewająca, oczy miała ogromne i nieruchome, usta wpadnięte. W strasliwym żarze jej twarz lśniła. Ikona, którą trzymała w rękach, była bardzo stara, podobnie jak ikona przedstawiająca Maryję. Poprzez unoszący się nad ogniskiem dym dokładnie ujrzałem obraz: dwie postacie splecione w jakimś rodzaju tańca, stały na wprost siebie, obie dramatyczne i nieprzystępne. Jedną był rycerz w zbroi i czerwonym hełmie, drugą - smok z długim, zakręconym ogonem".

70

Grudzień

1963

Moja ukochana Córko!

Jestem w Neapolu. W tym roku postanowiłam prowadzić badania bardziej systematycznie. W grudniu w Neapolu jest ciepło. Całe szczęście,

gdyż cierpię na okropne przeziębienie. Nie wiedziałam, co to samotność, zanim Cię nie porzuciłam, ponieważ nikt nie kochał mnie tak jak Twój ojciec... i Ty, mam nadzieję. Teraz jestem samotną kobietą, siedzę w bibliotece, pociąggam nosem i robię notatki. Nie wiem, czy istnieje drugi człowiek tak bardzo samotny jak ja w swoim hotelowym pokoju. W miejscach publicznych noszę na szyi apaszkę lub bluzkę z wysokim kołnierzykiem. Kiedy samotnie jem obiad, zawsze ktoś przesyła mi uśmiech. Ja mu go oddaję i odwracam głowę. Nie jesteś jedyną osobą, której odmawiam towarzystwa.

*Kochająca Cię matka
Helen*

Luty 1964

Moja ukochana Córko!

Ateny są brudne i halaśliwe. Mam kłopoty z dotarciem do pewnych interesujących dokumentów w Instytucie Średniowiecznej Grecji. Ale dziś rano, siedząc na Akropolu, wyobraziłam sobie, że pewnego dnia jednak spotkamy się - Ty, już dojrzała kobieta - na ruinach tych schodów i obie spoglądać będziemy na to miasto. Wyobrażam sobie: jesteś wysoka jak ja i jak Twój ojciec, w burzy czarnych włosów - krótkich albo długich, zaplecionych w gruby warkocz? - w przeciwsłonecznych okularach, w sandałach, z chustką na włosach, jeśli wiatr będzie tak porywisty jak dzisiaj. A ja już będę podstarzała, pomarszczona, ale dumna z Ciebie. Kelnerzy zaczną wytrzeszczać oczy na moją córkę, nie na mnie, a ja dumnie się uśmiechnę. Ojciec popatrzy na nich znad gazety płonącym wzrokiem.

*Kochająca Cię matka
Helen*

Marzec 1964

Moja ukochana Córko!

Akropol wywarł na mnie wczoraj takie wrażenie, że wróciłam tu dziś rano, a teraz piszę do Ciebie list. Ale kiedy tak tutaj siedzę i patrzę na miasto i rana na szyi zaczyna mnie boleć, spoglądam coraz podejrzliwiej na wszystkich ludzi i turystów. Nie rozumiem, dlaczego ten zrodzony przed wiekami demon jeszcze mnie nie odnalazł. I tak już mnie przejął,

zakaził, a ja prawie za nim tęsknią. Dlaczego nie pojawia się, by wyrwać mnie z tej udręki i nie zabrać do końca? Ostatnio jednak przyszła mi do głowy myśl, że muszę z nim walczyć, otoczyć się każdym czarem, który go odepchnie, odszukać jego liczne ofiary, by w jednej z nich znaleźć demona i go zniszczyć. Ty, mój mały aniołku, trzymaj się od tego jak najdalej.

*Kochająca Cię matka
Helen*

71

„Nie wiem, które z nas pierwsze wydało okrzyk zdumienia na widok niesionej przez *baba* Jankę ikony, lecz natychmiast skryliśmy nasze emocje. Trzy metry od nas stał oparty plecami o drzewo Ranow. Z ulgą stwierdziłem, że zdruzony i obrażony na cały świat, pałac papierosa, rozgląda się po dolinie i z całą pewnością nie zwrócił uwagi na ikonę. Po chwili *baba* Janka odwróciła się od nas, po czym takim samym tanecznym krokiem obie niewiasty wyszły z ognistego kręgu i ruszyły w stronę księdza. Oddały ikony chłopcom, a ci natychmiast zasłonili je materią. Kapłan pobłogosławił obie kobiety, a następnie brat Iwan dał im po szklance wody, po czym zabrał ze sobą. *Baba* Janka, przechodząc obok nas, rzuciła nam pełne dumy spojrzenie i uśmiechnęła się, prawie puściła do nas oko. Oboje z Helen ukloniliśmy się jej z szacunkiem. Zerknąłem na jej bose stopy. Zabójczy żar nie zostawił na nich śladu. Podobnie jak na nogach drugiej niewiasty. Jedynie ich twarze były poczerwieniałe od skwaru.

»Smok« - mruknęła Helen, kiedy odprowadzaliśmy wzrokiem stare kobiety.

»Właśnie - odpowiedziałem. - Musimy dowiedzieć się, gdzie tę ikonę trzymają i jak bardzo jest stara. Chodź. Ksiądz obiecał, że oprowadzi nas po kościele«.

»A Ranow?« - zapytała z niepokojem Helen.

»Powiemy, że idziemy się tylko pomodlić, a wtedy da nam święty spokój - odparłem. - Nie sądzę, by zauważył ikonę«.

Kapłan wrócił do kościoła, a wierni zaczęli się rozchodzić. Ruszy-

liśmy powoli do świątyni. Ksiądz zawieszał właśnie ikonę ze *sveti Petka* na jej miejscu. Dwóch pozostałych ikon nigdzie nie dostrzegliśmy. Trochę po angielsku, trochę na migi, przekazaliśmy podziękowania za pozwolenie na udział w tak przepięknej ceremonii. Kapłan okazał wyraźne zadowolenie«.

»Czy mógłby ksiądz oprowadzić nas po kościele?« - zapytałem, wykonując szeroki ruch ramieniem.

»Oprowadzić?«

Zmarszczył brwi, ale po chwili się uśmiechnął. Oczywiście - ale najpierw musiał się przebrać. Kiedy wrócił, miał już na sobie codzienny, czarny strój duchownego. Prowadził nas od niszy do niszy, pokazując *ikoni*, *Hristos* i różne inne rzeczy, których nazwy rozumieliśmy w mniejszym lub większym stopniu. Najwyraźniej doskonale znał ten kościół i jego historię. Gdybyśmy tylko mogli się z nim porozumieć - pomyślałem smętnie. Na koniec zapytałem, gdzie są dwie pozostałe ikony. Wskazał wejście do podziemi. Zapewne wróciły już do krypty, gdzie je przechowywano. Uprzejmie zapalił latarnię i poprowadził nas na dół.

Kamienne schody były bardzo strome. W porównaniu z bijącym z katakumb chłodem, sam kościół wydawał się wyjątkowo ciepłym miejscem. Mocno ścisnąłem dłoń Helen i zgodnie postępowaliśmy za księdzem, którego latarnia oświetlała otaczające nas starodawne, kamienne ściany. Mała krypta nie była jednak pogrążona w kompletnym mroku. Przy ołtarzu płonęły w dwóch lichtarzach świece. W ich blasku ujrzelismy, że nie jest to wcale ołtarz, lecz relikwiarz nakryty bogato haftowanym, czerwonym adamaszkiem. Obok wisiały dwie ikony w srebrnych ramach. Jedna z nich przedstawiała Dziewicę, a druga - dałem krok do przodu - smoka i rycerza.

»*Sveli Petko*« - powiedział ksiądz, dotykając trumny.

Wskazałem na wizerunek Dziewicy, a on powiedział coś, z czego wychyciłem jedynie słowa »*Baczkowski monastir*«. Kiedy popatrzyłem na drugą ikonę, kapłan się rozpromienił.

»*Sveti Georgi* - wyjaśnił, wskazując rycerza. - *Dracula*« - dodał, patrząc na smoka.

»Zapewne znaczy to smok« - powiedziała cicho Helen.

Kiwnąłem głową.

»Ale jak go zapytać, ile lat ma ta ikona?«

»Star? Staro?« - spytała niepewnie.

Kapłan pokręcił potakująco głową.

»Mnogo starn.

Wyciągnąłem dłoń i zacząłem liczyć na palcach. Trzy? Cztery? Pięć? Uśmiechnął się. Pięć. Pięć palców - około pięciuset lat.

»Twierdzi, że ikona pochodzi z piętnastego wieku - stwierdziła Helen. - Boże, jak zapytać go, skąd pochodzi ta ikona?«

Skierowałem palec na malowidło, szerokim gestem pokazałem kryptę, a następnie uniosłem ramię, pokazując znajdujący się nad nami kościół. Kiedy wreszcie kapłan zrozumiał, o co mi chodzi, wykonał ramionami uniwersalny gest niewiedzy. Nie wiedział. Zapewne próbował nam powiedzieć, że ikona w kościele Sveti Petko znajduje się od setek lat, poza tym nic nie wie.

Uśmiechnął się i ruszyliśmy w blasku jego lampy z powrotem. Tak zatem opuszczaliśmy to miejsce równie mądrzy jak wcześniej. W pewnej chwili jednak Helen potknęła się na jednym ze stopni, kiedy obcas jej pantofla uwiązał w szczelinie między kamieniami. Schyliła się, by uwolnić but, a ja pośpieszyłem jej z pomocą. Blask latarni księdza niknął w górze schodów, lecz mrok rozświetlały palące się przy relikwiarzu świece. Ujrzałem wyryty niezdarnie na kamiennym stopniu, tuż przy stopie Helen, wizerunek smoka, taki sam jak w mojej książce. Opadłem na kolana i zacząłem wodzić po nim palcami. Był mi tak znajomy, jakbym to ja sam wyrył go w kamiennym schodku. Helen, zapominając o trzewiku, uklękła obok mnie.

»Wielki Boże! - szepnęła. - Co to za miejsce?«

»Sveti Georgi - odparłem cicho. - To musi być Sveti Georgi«.

Popatrzyła na mnie w półmroku zalegającym kryptę. Włosy opadały jej na oczy.

»Przecież kościół pochodzi z dziewiętnastego wieku... - Urwała, po czym twarz się jej rozjaśniła. - Myślisz, że...«

»Wiele kościołów stoi na starych fundamentach, prawda? A wiemy, że ten został odbudowany po spaleniu poprzedniego przez Turków. Został postawiony na miejscu monasteru, o którym dawno już zapomniano - szepnąłem podekscytowany. - Odbudowano go dziesiątki lub setki lat później i nadano imię powszechnie znanego męczennika«.

Helen obejrzała się za siebie i popatrzyła ze zgrozą na relikwiarz.

»Też myślisz, że...«

»Nie wiem - odparłem po dłuższym zastanowieniu. - Wydaje mi się niemożliwe, by pomyłono relikwie. Ale kiedy po raz ostatni otwierano tę trumnę?

»Chyba niewiele już w niej zostało« - odparła z wyraźnym wysiłkiem.

»Chyba tak - przyznałem. - Ale i tak musimy ją otworzyć. Ja to zrobię. A ty trzymaj się od tego z daleka«.

Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem, jakby zaskoczona samym pomysłem, że chcę ją odesłać.

»To poważna sprawa wdzierać się do kościoła i becześcić grób świętego« - stwierdziła.

»Wiem. Ale jeśli nie jest to grób świętego?«

W mrocznym, zimnym miejscu, wypełnionym drżącym blaskiem świec, pachnącym woskiem i ziemią, poza naszymi imionami należało wymienić dwa inne. Jednym z nich było: »Rossi«.

»Chodźmy - powiedziała Helen. - Ranow z pewnością nas szuka«.

Kiedy wyszliśmy z kościoła, drzewa rzucały już długie cienie. Ranow wypatrywał nas z niecierpliwością. Obok niego stał brat Iwan, ale nie rozmawiali ze sobą.

»Udała się panu drzemka?« - zapytała uprzejmie Helen.

»Najwyższy czas wracać do Baczkowa - burknął opryskliwie nasz przewodnik. Zastanawiałem się, czy jest rozczarowany tym, że nic tu nie znaleźliśmy. - Rano musimy ruszać do Sofii. Mam tam parę spraw do załatwienia. A jak wasze badania?«

»Dobiegają końca - odrzekłem. - Musimy jeszcze odwiedzić *baba Jankę*, by za wszystko jej podziękować«.

»Świetnie« - powiedział wyraźnie zaniepokojony Ranow i ruszyliśmy przez wioskę w stronę domu starej kobiety.

Brat Iwan w milczeniu postępował za nami. Wioskowa droga, ozłocona promieniami zachodzącego słońca, była pusta. W powietrzu unosiła się woń przygotowywanej w chatach wieczornej stawy. Przy pompie jakiś starzec napełniał wodą wiadro. Droga, przy której stał dom *baba Janki*, pastuch gnał stado kóz i owiec. Zwierzęta żałośnie beczały.

Baba Janka była zachwycona naszą wizytą. Za pośrednictwem Rano-wa pogratulowaliśmy jej pięknego śpiewu podczas tańca ognia, a brat Iwan przesłał jej błogosławieństwo.

»Dlaczego żar nie pali wam stóp?« - zapytała Helen.

»Och, taka jest wola Boga - odrzekła cicho staruszka. - Później nie

pamiętam, jak to się działo. Po ceremonii czuję czasami pieczenie w nogach, ale nie mam żadnych ran. To dla mnie najpiękniejszy dzień w roku, choć z samej ceremonii niewiele pamiętam. Przez kilka następnych miesięcy jestem spokojna jak toń jeziora».

Wyjęła z kredensu butelkę bez etykiety i napełniła nam szklanki przezrystym, brązowym płynem. W butelce pływały jakieś długie, cienkie rośliny. Ranow wyjaśnił nam, że to zioła nadające trunkowi specyficzny smak i aromat. Brat Iwan odmówił, ale Ranow ochoczo sięgnął po szklankę. Po jej opróżnieniu zaczął coś mówić do mnicha poirytowanym tonem. Wdali się w dłuższy spór, którego nie rozumieliśmy. Rozróżniłem tylko jedno, często padające słowo: »*politiczeski*«.

Przerwałem im konferencję. Poprosiłem Ranowa, by spytał *baba* Janke, gdzie jest toaleta. Nieprzyjemnie się roześmiał. Najwyraźniej wrócił do swych poprzednich humorów - pomyślałem.

»Obawiam się, że spotka was lekki zawód« - burknął, a *baba* Janka wybuchnęła śmiechem i wskazała tylne drzwi. Helen oświadczyła, że pójdzie ze mną i poczeka na swoją kolejkę.

Stojący pod drzewami, nieopodal uli, wychodek rozpadał się jeszcze bardziej niż sam dom. Był jednak wystarczająco duży, byśmy pod jego osłoną wymknęli się niezauważeni tylną furtką na drogę. Tam skryliśmy się w krzakach i ruszyliśmy na wzgórze. W okolicy kościoła nie było nikogo. Z wolna dopalał się żar ognistego kręgu.

Nie odważyliśmy się wejść głównym wejściem, gdzie mogliśmy zostać łatwo zauważeni. Przemknęliśmy na tył świątyni, gdzie znajdowało się niskie okno zasłonięte od środka czerwoną firaną.

»Prowadzi do sanktuarium« - wyjaśniła Helen.

Na szczęście zamknięte było tylko na zasuwkę, którą sforsowałem za pomocą długiej, cienkiej drzazgi. Wpełzliśmy do środka, zamykając dokładnie za sobą okno i zasuważąc firanki.

Helen miała rację; znajdowaliśmy się za ikonostasem.

»Kobietom nie wolno tu przebywać« - powiedziała cicho, lustrując pomieszczenie z ciekawością naukowca.

Pomieszczenie za ikonostasem niemal w całości wypełniał wysoki ołtarz zakryty delikatną tkaniną i bezlik świec. Na miedzianym stojaku leżały dwie starodawne księgi, a na wbitych w ścianę hakach wisiały przepyszne szaty liturgiczne. Jedną z nich miał na sobie tego dnia kapłan. Panowała ogłuszająca wręcz cisza. Przez drzwi, którymi zazwyczaj wy-

chodził do wiernych ksiąg, przeszliśmy z poczuciem winy do pogrążonego w ciemnościach kościoła. Przez boczne okna sączyło się niewiele światła, a wszystkie świece pogaszono, zapewne w obawie przed zaprószeniem ognia. Po omacku znalazłem pudełko zapalek. Ze świecznika wyjąłem dwie świece, jedną dla Helen, a drugą dla siebie. Ostrożnie zeszliśmy po schodach do krypty.

»Nie podoba mi się ta awantura - mruknęła posuwająca się za moimi plecami Helen, choć wiedziałem, że za skarby świata nie zrezygnowałyby z tego, co zamierzamy zrobić. - Kiedy Ranow zorientuje się, że nas nie ma?«

W krypcie panowała nieprzenikniona ciemność. Świece zostały zgaszzone i drogę rozjaśniały nam jedynie świeczki, które zabraliśmy z kościoła. W ich blasku załśnił adamaszek pokrywający relikwiarz. Choć drżały mi ręce, wyciągnąłem z pochwy niewielki sztylet, który dostałem od Turguta. Broń trzymałem w kieszeni marynarki od chwili opuszczenia Sofii. Położyłem go obok relikwiarza, zdjęliśmy obie ikony - odwracałem wzrok od wizerunku smoka i świętego Jerzego - i odstawiliśmy je pod ścianę. Ściągnęliśmy ciężką kapę, którą Helen odrzuciła na bok. Cały czas nasłuchiwałem, czy z góry, z kościoła, nie dochodzą jakieś dźwięki, ale wokół panowała martwa cisza. Raz tylko Helen chwyciła mnie za rękaw i oboje nastawiliśmy uszu, ale w ciemnościach nic się nie poruszyło.

Z drżeniem serca spoglądaliśmy na odsłonięty relikwiarz. Przepiękne wieko odlane z brązu zdobił wizerunek - długowłosego świętego z uniesioną ręką błogosławił wiernych. Męczennik, którego szczątki mieliśmy za chwilę ujrzeć. Miałem nadzieję, że w środku znajdziemy tylko kilka świętych kości i sprawa się na tym zamknie. Pozostanie jedynie pustka - brak Rossiego, niemożność zemsty, bezpowrotna utrata. Wieko relikwiarza zostało przybite gwoździami lub wzięte na śruby. Kiedy mocowaliśmy się z nim, unieśliśmy trochę urnę. W środku coś się przerażająco poruszyło, jakby zastukało od tamtej strony w wieko. W relikwiarzu mogły znajdować się jedynie szczątki małego dziecka lub inne pozostałości, niemniej ozdobna skrzynka była bardzo ciężka. Przyszło mi na myśl, że we wnętrzu zamknięto jedynie głowę Vlada i to odkrycie niczego nam nie wyjaśni. Zacząłem się pocić. Potrzebne nam było jakieś masywne narzędzie, by dostać się do relikwiarza. Mogłem wrócić na górę i czegoś poszukać, choć mocno wątpiłem, abym cokolwiek tam znalazł.

»Postawmy to na podłodze« - powiedziałem, zgrzytając zębami.

Z największym wysiłkiem udało się nam zdjąć relikwiarz z piedestału. Tutaj mogłem dokładniej przyjrzeć się skoblom i śrubom mocującym wieko, a nawet spróbować je otworzyć.

»Paul, popatrz!« - wykrzyknęła cicho Helen.

Zakurzony marmur, na którym spoczywał relikwiarz, nie stanowił jednolitego bloku. Była to jedynie płyta, którą, zmagając się z ciężarem, poruszyliśmy z miejsca. Nie wierzyłem własnym oczom, ale wspólnym wysiłkiem zdjeliśmy ją i oparliśmy o ścianę. Nie była gruba, ale piekielnie ciężka. Pod spodem ujrzeliśmy kolejną płytę wykonaną z takiego samego kamienia jak ściany oraz posadzka krypty. Miała długość człowieka. Wryty został na niej prymitywny wizerunek nie świętego, lecz mężczyzny o surowych rysach twarzy, oczach kształtu migdałów, o długim nosie i z długimi wąsami - okrutne oblicze nakryte spiczastym kołpakiem, który nadawał posepnej twarzy zawiadacki wygląd.

Helen gwałtownie się cofnęła, w świetle świecy miała kredowobiałą twarz. W pierwszym odruchu chciałem chwycić ją za rękę, wbiec po schodach i czmychnąć z kościoła, gdzie pieprz rośnie.

»Helen...« - zacząłem, lecz nie miałem nic do powiedzenia.

Sięgnąłem po sztylet, a dziewczyna wyciągnęła spod ubrania - sam nie wiem skąd - niewielki pistolet i oparła się o ścianę. Unieśliśmy grobową płytę. Trzęsły nam się ręce. Zajrzeliśmy na spoczywające pod nią zwłoki. Postać miała zamknięte, podpuchnięte oczy, ziemistą cerę, nienaturalnie czerwone usta i płytko bezdźwięcznie oddychała. Był to profesor Rossi".

72

„Chciałbym powiedzieć, że zachowałem się mężnie i rozsądnie, że chwyciłem w ramiona Helen, która prawie zemdląca. Nic takiego nie zrobiłem. Nie ma nic gorszego niż widok twarzy kogoś ukochanego zmienionej przez śmierć, przez rozkład lub przerażającą chorobę. Są to oblicza najgorszych potworów - choć umiłowanych.

»Ross« - jęknąłem, a po policzkach, choć wcale nie zdawałem sobie

z tego sprawy, popłynęły mi łzy.

Helen postąpiła krok do przodu i zajrzała do grobowca. Rossi miał na sobie to samo ubranie, w którym widziałem go tamtego ostatniego wieczoru. Od tego czasu upłynął już prawie miesiąc. Było pomięte i brudne, jakby miał jakiś wypadek. Brakowało krawata. Szyję znaczyły mu smugi krwi kalające szkarłatem kołnierzyk brudnej koszuli. Usta miał napuchnięte i był nieruchomy. Jedynie klatka piersiowa unosiła się i opadała w powolnym oddechu. Helen wyciągnęła rękę.

»Nie dotykaj go!« - powiedziałem szorstko, przejęty najwyższą zgrozą.

Ale wydawało się, że Helen jest w takim samym transie jak on. Usta jej drżały. Po chwili dotknęła palcami jego policzka. Najgorsze w tym wszystkim było to, że otworzył oczy. Wciąż tak samo niebieskie, nawet w mrocznym świetle świecy, choć białka nabiegły krwią, a powieki napuchły. Malowało się w nich jakieś przerażenie i zdumienie. Poruszał gałkami ocznymi, wodząc po nas wzrokiem, choć ciało miał trupio nieruchome. Utkwił spojrzenie błękitnych źrenic w pochylającej się nad nim Helen, jakby chciał bez reszty zagarnąć ją swoim otchłannym wzrokiem.

»Kochanie« - szepnął.

Wargi miał popękane i wzdęte, lecz mówił głosem, który tak kochałem i wciąż miałem w pamięci.

»Nie... moja matka - odparła zdławionym głosem Helen i ponownie dotknęła jego policzka. - Ojczy, jestem Helen... Elena. Jestem twoją córką«.

Uniósł niepewnie rękę, jakby nie do końca sprawował nad nią władzę, i ujął dłoń Helen. Jego ręka była pobrużdżona bliznami, a palce wieńczyły długie i pożółkłe paznokcie. Chciałem powiedzieć, że kiedyś go stąd zabierzemy, że wracamy do domu, ale wiedziałem też, jak bardzo został poraniony.

»Ross - szepnąłem, pochylając się nad nim. - To ja, Paul. Jestem tutaj«.

Przez chwilę toczył po nas wzrokiem, po czym zamknął oczy z głębokim westchnięciem, które poruszyło jego obrzmiałym ciałem.

»Paul, przybyłeś po mnie - powiedział. - Nie powinienes być tego robić«.

Znów rozchylił powieki i popatrzył na Helen zamglonym wzrokiem.

»Pamiętam ciebie« - mruknął.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjąłem pierścionek, który dała mi matka Helen. Podałem go Rossiemu. Dotknął nim twarzy, a następnie wręczył go Helen.

»To dla ciebie« - rzekł sennie.

Helen wsunęła pierścionek na palec.

»Moja matka - odezwała się drżącym głosem. - Czy pamiętasz? Spokaliście się w Rumunii«.

Popatrzył na nią tak dobrze znanym mi przenikliwym wzrokiem i uśmiechnął się, choć po twarzy przebiegł mu paskudny grymas.

»Tak. Kochałem ją. Co się z nią stało?«

»Żyje bezpiecznie na Węgrzech«.

»A ty jesteś jej córką?« - zapytał ze zdziwieniem.

»Jestem twoją córką«.

W jego oczach pojawiły się łzy. Zalśniły w blasku świec.

»Paul, proszę, dbaj o nią« - szepnął.

»Zamierzam ją poślubić« - odparłem.

Położyłem dłoń na jego piersi. Choć wydobywał się z niej nie ludzki, świszczący oddech, nie cofałem ręki.

»To... dobrze - powiedział po chwili. - Czy jej matka żyje i ma się dobrze?«

»Tak, ojciec - odrzekła drżącym głosem Helen. - Mówiłam już, że żyje bezpiecznie na Węgrzech«.

»Tak, mówiłaś«.

Znów zamknął oczy.

»I wciąż ciebie kocha, Rossi. - Drżącą ręką dotknąłem kołnierzyka jego koszuli. - Przesyła ci pierścionek... i pocałunek«.

»Wielokrotnie próbowałem o niej myśleć, ale coś...«

»Wie o tym. Odpocznij...«

Zaczął chrapliwie oddychać.

Nagle otworzył szeroko oczy i próbował się podnieść. Był to straszliwy widok, zwłaszcza że nie był w stanie tego uczynić.

»Dzieci, musicie natychmiast stąd uciekać - wychrypiał, wywracając oczyma. - Grozi wam śmiertelne niebezpieczeństwo. On tu wróci i zabije was«.

»Dracula?« - zapytałem spokojnie.

Na wspomnienie tego imienia ogarnęło go chwilowe szaleństwo.

»Tak, jest w bibliotece«.

»W bibliotece? - zapytałem, ze zdumieniem rozglądając się wokół siebie. - W jakiej bibliotece?«

»Tam jest jego biblioteka...« - wskazał z wielkim wysiłkiem ścianę.

»Ross - zapytałem gwałtownie. - Powiedz, co się dokładnie stało i co mamy zrobić?«

Przez chwilę wytrzeszczał na nas oczy i mrugał powiekami, jakby chciał odzyskać ostrość widzenia. Zakrzepla na szyi krew poruszała się wraz z jego szyją, gdy próbował złapać oddech.

»Pojawił się w moim gabinecie nagle i zabrał mnie w długą podróż. Straciłem przytomność... nie mam pojęcia, gdzie jestem«.

»W Bułgarii« - wyjaśniła Helen, ujmując czule jego napuchniętą dłoń.

Oczy rozbłyły mu tak dobrze znaną mi żądzą poznania, ciekawości.

»Bułgaria? A więc to dlatego...« - Próbował zwilżyć językiem wargi.

»Co on ci zrobił?«

»Zabrał mnie w to miejsce, bym doglądał jego... diabolicznej biblioteki. Próbowałem ze wszystkich sił się mu opierać. Paul, to był mój błąd. Znów podjąłem pewne badania... - Z trudem łapał powietrze. - Chciałem przedstawić go jako część... większej tradycji. Zaczynając od Greków. Słyszałem... słyszałem o innym naukowcu piszącym na uniwersytecie o nim pracę, choć nigdy nie dowiedziałem się jego nazwiska«.

Helen gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca. Rossi skierował na nią wzrok.

»Myślę, że powinienem był jednak opublikować...«

Znów zaczął chrapliwie oddychać i zamknął oczy. Drżąca Helen, nie puszczając jego ręki, przytuliła się do mnie z całej siły. Trzymałem ją mocno w pasie.

»Już dobrze - powiedziałem. - Teraz odpocznij«.

»Wcale nie jest dobrze - wykrztusił, nie otwierając oczu. - Dał ci książkę. Wiedziałem, że po mnie wróci, i wrócił. Walczyłem, ale uczynił mnie prawie takim samym, jakim jest on«.

Nie był w stanie unieść drugiej ręki. Odwrócił tylko niemrawo głowę i ujrzeliśmy na jego gardle głęboką ranę. Nie była zagojona. Wciąż sączyła się z niej krew. Odnieśliśmy wrażenie, że ogarnia go wściekłość. Popatrzył na mnie błagalnie.

»Paul, czy na zewnątrz zapadł już zmrok?«

Ogarnęła mnie fala zgrozy.

»Czy czujesz to?« - zapytałem.

»Oczywiście. Wtedy ogarnia mnie... głód. Błagam. Usłyszysz was. Uciekaj cie!«

»Powiedz tylko, jak znaleźć tego potwora - poprosiłem zdesperowanego. - Zabijemy go«.

»Zabijcie go, ale sami nie narażajcie się na niebezpieczeństwo. Zabijcie go dla mnie. - Przepęłniał go wielki gniew. - Paul, posłuchaj. Tam jest ta książka. Żywoć świętego Jerzego. - Ponownie zaczął chrapliwie łapać oddech. - To stara księga, w bizantyjskiej oprawie... nikt jeszcze takiej nie widział. Ma wiele książek, ale takiej... - zamilkł. Wydawało się, że stracił przytomność. Helen, ściskając jego dłonie, zaczęła szlochać. Kiedy wrócił do siebie, szepnął: - Ukryłem ją za pierwszą szafą po lewej stronie. Jeśli zdołacie, zabierzcie ją. Napisałem coś... schowałem to w książce. Paul, spieszcie się. On zaczyna się budzić. A ja razem z nim«.

»Wielki Chryste! - rozejrzałem się w poszukiwaniu jakiejś pomocy... sam nie wiedziałem jakiej. - Nie mogę pozwolić, by cię przejął. Zabijemy go, a ty wrócisz do nas. Gdzie on jest?«

Helen jednak sięgnęła po sztylet i pokazała go ojcu.

Rossi głęboko odetchnął i rozchylił usta w uśmiechu. Zauważyłem, że ma długie kły, jak u psa, i pomarszczone kąciaki ust. Po policzkach płynęły mu łzy.

»Paul, przyjacielu...«

»Gdzie on jest? Gdzie jest biblioteka?« - zapytałem gwałtownie, ale on już nic nie odpowiedział.

Helen wykonała szybki gest, który zrozumiałem aż za dobrze. Błyskawicznie sięgnąłem po sterczący z posadzki kamień. Sporo wysiłku kosztowało mnie wyrwanie go z podłogi. Lada chwila spodziewałem się dźwięku dobiegającego z kościoła. Helen rozpięła ojcu koszulę i przyłożyła do jego serca ostrze sztyletu Turguta.

Otworzył na chwilę oczy, obrzucił nas ufnym spojrzeniem błękitnych źrenic i znów opuścił powieki. Z całej siły walnąłem kamieniem w rękę jeś sztyletu. Kamieniem, który w dwunastym lub trzynastym wieku jakiś anonimowy mnich lub wynajęty wieśniak umieścił w posadzce. Kamień przez stulecia leżał nieporuszony. Kroczyli po nim mnisi, niosąc do krypty kości zmarłych braci. Kamień nie poruszył się, kiedy w tajemnicy wnoszono ciało pochodzącego z innego kraju zabójcy Turków i pochowano go w sąsiednim grobie, nie drgnął, kiedy wołoscy mnisi odprawiali nad nimi heretycką mszę, kiedy Osmani grasowali po monasterze, poszu-

kując nadaremnie zwłok, kiedy tureccy jeźdźcy podpalali pochodniami klasztor, kiedy na jego ruinach budowano nowy kościół i wnoszono do krypty kości *sveti Petko*. Nie poruszył się, gdy pielgrzymi deptali go stopami, by uzyskać błogosławieństwo świętego męczennika. Spoczywał w tym miejscu dopóty, dopóki brutalnie go nie wyrwałem i nie zrobiłem z niego innego użytku. I tylko tyle mogę napisać".

73

Maj 1954

Nie mam do kogo pisać i nie mam złudzeń, że ktokolwiek odnajdzie te listy, ale popełnilbym zbrodnią, gdybym nie przekazał całej swej wiedzy, dopóki jeszcze mogą, choć tylko Bóg jedyny wie, jak długo to będzie trwać.

Zostałem porwany ze swego gabinetu na uniwersytecie przed kilkoma dniami - nie wiem, ile ich minęło, lecz wciąż krzepią się nadzieją, że ciągle jest jeszcze maj. Tamtego wieczoru pożegnałem się ze swoim najzdolniejszym studentem, moim przyjacielem. Pokazał mi egzemplarz demonicznej książki, o której od lat chciałem zapomnieć. Widziałem, jak odchodzi; przekazałem mu całą swoją wiedzę. Następnie, przepelniony żalnością i lękiem, zamknąłem się w gabinecie. Czuję się winny. Wznosiłem w tajemnicy studia nad historią wampiryzmu i samego Draculi. Miałem wręcz nadzieję, że odnajdę jego grób. Sądziłem, iż podjęte przeze mnie badania nie pociągną za sobą żadnych konsekwencji. Ale w tamtej chwili musiałem przyznać się do winy.

Z rozdartym sercem przekazywałem Paulowi swoje notatki i listy, w których wszystko opisałem, i to nie dlatego, że już ich nie potrzebowałem. W chwili kiedy pokazał mi swoją książkę, odeszła mnie wszelka ochota wznowienia badań. Bardzo żalowałem, że przekazuję mu całą tę przerażającą wiedzę, ale byłem przekonany, iż im więcej się dowie, tym bardziej będzie się strzegł. Mogłem liczyć tylko na to, że jeśli nastąpi jakaś kara, to poniosę ją ja, nie Paul, pełen młodzieńczego optymizmu i zapału, niebywale zdolny i rokujący wielkie nadzieje. Paul nie skończył jeszcze dwudziestego siódmego roku życia. Aleja, mając kilkadziesiąt lat

więcej, nie zasługiwałem już na szczęście. Taka była moja pierwsza refleksja. Następnie zacząłem myśleć praktycznie. Gdybym mimo wszystko chciał się chronić, musiałbym postępować racjonalnie. Powinienem opierać się na swoich notatkach, a nie tradycyjnych środkach odpierania zła - żadnych krzyży, srebrnych kul czy warkoczy czosnku. Zresztą, nawet w największej gorączce badań, nigdy się do nich nie uciekałem. Teraz jednak zaczynałem żałować, że poradziłem Paulowi opierać się jedynie na sile jego umysłu.

Rozmyślania te zajęły mi tylko kilka minut i jak się okazało, zaledwie tyle jeszcze czasu miałem przed sobą. Pokój wypełnił odrażający fetor, straszliwy chłód, a mnie samego przejęła jakaś straszliwa siła. Prawie straciłem wzrok. Prerażony zerwałem się z krzesła. W jednej chwili zostałem jakby spętany i oślepony. Poczulem, że umieram, choć nie wiedziałem dlaczego. Doznałem najdziwniejszej wizji młodości i czaru, ale było to coś więcej niż wizja. Poczulem się znacznie młodszy i przepelniony miłością do czegoś lub kogoś. Zapewne w taki właśnie sposób człowiek umiera. Jeśli tak, kiedy nadejdzie mój czas — a nadejdzie szybko i to w okropny sposób - chciałbym, aby wizja ta towarzyszyła mi do końca.

Poza tym nie pamiętam niczego, ale to nie rozciągało się na czas, którego nie jestem w stanie określić. Kiedy odzyskałem zmysły, ze zdumieniem stwierdziłem, że jednak żyję. W pierwszej chwili pozbawiony byłem wzroku i słuchu, jakbym wychodził z głębokiej narkozy. Następnie przyszło zrozumienie, iż doznałem strasznego cierpienia, że jestem wyczerpany, a ciało rozdziera mi ból, że pali mnie w prawej nodze, w gardle i całej głowie. Otaczające mnie powietrze było zimne i cuchnące, a to, na czym leżałem, cokolwiek to było, przejmowało mnie lodowatym chłodem. Później dostrzegłem światło - niezbyt jaskrawe, ale ono powiedziało mi, iż nie straciłem wzroku i mam otwarte oczy. Owo światło i przenikający mnie ból w dosadny sposób przekonały mnie, że jednak żyję. Zaczęłem przypominać sobie, co się naprawdę wydarzyło tego wieczoru - Paul, który pojawił się w moim gabinecie ze swym wstrząsającym odkryciem. Nieoczekiwanie z drżeniem serca zrozumiałem, iż znajduję się we władaniu zła, że na moim ciele dokonano brutalnego gwałtu i dlatego otacza mnie fetor zła.

Ostrożnie poruszyłem kończynami, z wielkim wysiłkiem odwróciłem głowę i próbowałem ją unieść. Przed nosem ujrzałem ciemną ścianę, ale

mętne światło dobiegało z góry. Westchnąłem, a echo tego westchnięcia dotarło do moich uszu. Zrozumiałem, że wciąż słyszę, a znajduję się jedynie w miejscu, które sprawia iluzję, iż straciłem słuch. Zacząłem bacznie nasłuchiwać, ale nie docierał do mnie żaden dźwięk. Ostrożnie usiadłem. Ruch ów sprawił, że przeszył mnie straszliwy ból. Głowę wypełniał mi loskot krwi, ręce i nogi miałem drętwe. Siedząc, pojąłem, iż spoczywałem dotąd na kamieniu, a otaczające mnie skały, o które opierałem się łokciami, pozwoliły mi dźwignąć się z twardego łoża. W głowie mi szumiało. Taki sam szum wypełniał otaczającą mnie przestrzeń. Znajdowałem się w mrocznej otchłani. Zacząłem macać wokół siebie rękami. Pojąłem, że znajduję się w otwartym sarkofagu.

Odkrycie to sprawiło, że ogarnęły mnie mdłości. W tej samej chwili jednak zobaczyłem, iż jestem w tym samym ubraniu, które miałem na sobie w gabinecie. Z tym tylko, że rękawy marynarki i koszuli zostały rozdarte, a pod szyją brakowało mi krawata. Miałem na sobie własną odzież i to dodało mi otuchy. Nie umarłem, nie oszalałem i nie obudziłem się w innych czasach; chyba że przeniosłem się w nie w swoim garniturze. Przeciągnąłem dłońmi po ubraniu. W kieszeni spodni wymacałem portfel. Ze wzruszeniem dotknąłem znajomego przedmiotu. Z żalem jednak stwierdziłem, że znikł mi z ręki zegarek, a z wewnętrznej kieszeni marynarki ukochane wieczne pióro.

Przeniosłem dłoń na twarz i szyję. Twarz miałem nienaruszoną poza kilkoma rankami na czole, ale na szyi wyczułem paskudną lepką ranę. Kiedy mocniej odwracałem głowę lub brałem głęboki oddech, z rany dobywał się odrażający odgłos ssania, który doprowadzał mnie do szaleństwa. Gardło było opuchnięte i bolało przy dotyku. Czulem, że ze zgrozy i oszołomienia za chwilę zemdleję. Przypomniałem sobie jednak, iż usiadłem o własnych siłach. Zapewne nie straciłem aż tyle krwi, jak początkowo myślałem, a to znaczyło, że zostałem ugryziony tylko raz. Czulem się sobą, a nie żadnym demonem. Nie pożałowałem niczyjej krwi, nie czulem w sercu okrucieństwa. Ogarnęła mnie wielka żalność. Cóż z tego, że nie czulem jeszcze żądzły krwi? Gdziekolwiek się znajdowałem, pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy zostaną całkowicie przejęty. Jeśli oczywiście nie zdolam uciec.

Pokręciłem powoli głową i rozejrzałem się wokół, wyostrażając wzrok. Dostrzegłem źródło światła. Z otchłani mroku — nie wiedziałem z jak daleka — dobiegał czerwony blask, a między nim a mną majaczyły ma-

sywne kształty. Wysunąłem ramiona z mego kamiennego domu. Sarkofag spoczywał na ziemi lub kamiennej posadzce. Wymacałem dłońmi jego krawędzie i bez trudu wydostałem się na zewnątrz. Stał na wysokim piedestale, z którego zszedłem na drżących nogach. Odzyskałem ostrość widzenia i wyciągając przed siebie ręce, ruszyłem ku źródłu czerwonego światła. Po drodze wpadłem na kolejny sarkofag, ale był pusty, oraz na jakiś drewniany mebel. Kiedy w niego uderzyłem, usłyszałem, że coś cicho upadło, ale nie wiedziałem co.

Ów dźwięk w zalegających ciemnościach zabrzmiał przerażająco i w każdej chwili spodziewałem się ataku Tego Czegoś, co zabrało mnie w to miejsce. Znów się zastanowiłem, czy przypadkiem nie jestem martwy - czy nie jest to przerażający rodzaj śmierci, choć chwilowo wciąż wydaje mi się, że żyję. Ale nic mnie nie zaatakowało. Na bolących nogach ruszyłem w stronę światła migającego na końcu długiej komory. Ujrzałem czyjaś ciemną, nieruchomą postać oraz dogorywający na palenisku ogień. Płonął w kamiennym, sklepionym kominku, rzucając blask na starodawne meble - wielkie biurko zarzucone papierami, starodawną komodę i krzesła o wysokich oparciach. Na jednym z nich, odwróconym w stronę ognia, dostrzegłem nieruchomą postać. Ciemną sylwetkę na królewskim krześle oświetlał czerwony blask bijący z paleniska. Siedzący na tronie gestem ręki złamał całą moją wolę - nie mogłem uciec, choćbym nawet tego chciał.

Podszedłem powoli na miękkich nogach do paleniska, odwróciłem się w stronę tronu, a siedząca na nim postać powoli się podniosła i odwróciła w moją stronę. Ponieważ w izbie panował mrok, a człowiek stał na tle ogniska, nie mogłem dokładnie rozróżnić jego rysów. Dostrzegłem tylko sine jak kość policzki i lśniące oczy. Miał długie, ciemne, kręcone włosy, spadające mu na plecy niczym krótka peleryna. W jego ruchach było coś niehumanicznego. Trudno określić, czy poruszał się za szybko, czy za wolno. Niewiele przewyższał mnie wzrostem, choć na tle płonącego ognia jego sylwetka wydawała się ogromna i masywna. Sięgnął po coś i nachylił się nad ogniem. Zastanawiałem się, czy zamierza mnie zabić. Stałem nieruchomo gotów przyjąć śmierć z największą, na jaką było mnie stać, godnością. Ale on wsunął tylko do płomieni knot nasycony zapalnymi materiałami i przytknął go do świec tkwiących w świeczniku ustawionym obok jego krzesła. Odwrócił się w moją stronę.

Teraz już lepiej go widziałem, choć twarz ciągle miał skrytą w mroku.

*Na głowie miał spiczasty kołpak wyszywany złotą i srebrną nicią, ozdobiony nad czołem wysadzaną klejnotami broszą. Szerokie ramiona okrywał mu obszerny kaftan z sięgającym wysoko nad szyję kołnierzem. Klejnoty na jego kołpaku i wyszywany złotem kołnierz kaftana lśniły w blasku ognia. Białą, futrzaną pelerynę spinała mu pod szyją srebrna brosza w kształcie smoka. Jego strój był nadzwyczajny; przerażał mnie w takim samym stopniu, jak postać tego dawno zmarłego człowieka. Miał na sobie starodawne, ale całkiem świeże szaty, nie te zmurszałe z muzealnych gablot. Poruszał się z zadziwiającym wdziękiem, a otulające go białe futro przypominało czapę śniegu. W blasku świec ujrzałem jego pozna-
czoną bliznami dłoń, spoczywającą na rękojeści miecza, i umięśnione nogi w hajdawerach i wysokich butach. Popatrzył w moją stronę. Teraz już wyraźniej ujrzałem jego oblicze. Na widok malującego się na nim okrucieństwa cofnąłem się przerażony. Miał wielkie, ciemne oczy pod zrosniętymi brwiami, długi, ostry nos i wystające policzki. Zaciśnięte szkarłatne usta, skryte pod długim, skręconym, ciemnym wąsem, krzywił lekki uśmiech. W kąciку warg dostrzegłem kroplę krwi - Boże, aż cofnąłem się na ten widok. Zakręciło mi się w głowie, gdyż pojąłem, że jest to moja krew.*

Podniósł się z krzesła i popatrzył w moją stronę poprzez dzielący nas półmrok.

- Jestem Dracula - oświadczył zimnym, wyraźnym głosem.

Mówił w obcym języku, a jednak w jakiś przedziwny sposób go rozumiałem. Nie potrafiłem wykrzusić słowa. Stałem jak sparaliżowany. Znajdował się w odległości trzech metrów ode mnie, lecz czułem bijącą od niego zniewalającą moc, niezależnie od tego, czy był martwy czy żywy.

- Proszę tu podejść - powiedział. - Jest pan po podróży zmęczony i głodny. Przygotowałem wieczerzę.

Skinął na mnie uprzejmie, wręcz w dworski sposób. W blasku ognia załśniły mu na palcach pierścienie.

Ujrzałem obok kominka zastawiony stół. Poczulem upojny zapach potraw - zwykłych, normalnych, ludzkich potraw. Zakręciło mi się w głowie. Gospodarz podszedł do stołu i napelnił z karafki kielich czerwonym napojem. Przez chwilę myślałem, że to krew.

- Proszę tu usiąść i jeść wedle woli -powtórzył łagodnie i zajął miejsce na swoim krześle, jakby w obawie, że w jego obecności nie podejść do stołu.

Na drżących nogach, z wahaniem, zbliżyłem się. Przepelniała mnie dziwna słabość i strach. Opadłem na krzesło i rozejrzałem się po rozstawionych na obrusie potrawach. Ciekaw byłem, dlaczego czułem głód, skoro lada chwila miałem umrzeć? Ale na tę zagadkę mogło odpowiedzieć tylko moje ciało. Dracula spoglądał na mnie poważnym wzrokiem. Widziałem dziki profil jego twarzy, długi nos i ostry podbródek, długie włosy opadające na plecy. Splótlł poznaczone bliznami dłonie, wystające z rękawów ozdobnej szaty. Na twarzy malował mu się wyraz pełen spokoju i zadumy. Czując się, jakbym śnił, zacząłem unosić pokrywy półmisek.

Nagle ogarnął mnie taki głód, że mógłbym pożerać jedzenie gołymi rękami. Zapanowałem jednak nad sobą. Sięgnąłem kulturalnie po metalowy widelec oraz nóż z trzonkiem z kości i odkroilem kawałek pieczonego kurczaka, a następnie płat dziczyzny. Obok stały ziemniaki, chrupkie pieczywo i jarzynowa zupa. Jadłem powoli, popijając ze srebrnego pucharu czerwone wino, które wcale nie było krwią. Dracula nie ruszał się z miejsca, aleja nieustannie obrzucałem go wzrokiem. Kiedy skończyłem jeść, czułem się jak skazaniec po ostatnim posiłku. Taka była moja pierwsza myśl po opuszczeniu sarkofagu. Odsunąłem talerz, rozparłem się na krześle i w milczeniu czekałem.

Po długiej chwili gospodarz odwrócił się w moją stronę.

- Zjadł pan kolację - powiedział cicho. - Teraz porozmawiamy, a ja wyjaśnię, dlaczego pana tu sprowadziłem. - Mówił cichym, beznamietnym głosem, ale wyczułem w nim jakąś bezgraniczną starość i znużenie. - Czy pan w ogóle wie, gdzie jest?

Wcale nie chciałem z nim rozmawiać, lecz wiedziałem, że moje milczenie może tylko doprowadzić go do wściekłości, choć w tej chwili sprawiał wrażenie zupełnie spokojnego. Przyszło mi też do głowy, iż angażując go w rozmowę, zyskam trochę czasu i rozejrzę się po otoczeniu w poszukiwaniu jakiejś drogi ucieczki lub sposobu zabicia go. A może, jeśli starczy mi tylko nerwów, i jedno, i drugie. Ostatecznie musi nadejść dzień, a wtedy Dracula pójdzie spać.

- Czy pan w ogóle wie, gdzie jesteście? - powtórzył cierpliwie pytanie.

- Tak - odrzekłem. Postanowiłem go nie tytułować. - Domyślam się. W twoim grobie.

- W jednym z moich grobów - poprawił z uśmiechem. - W moim ulubionym.

- Czy to Wołoszczyzna? - nie potrafiłem powstrzymać się od pytania.

Potrząsnął głową tak, że blask ognia zalsnił w jego oczach i czarnych włosach. W ruchu tym było coś tak nieludzkiego, iż poczułem, że wywraca mi się żołądek. Nie poruszał się jak żywy człowiek, a co gorsza, nie potrafiłem określić, na czym to polega.

-Wołoszczyzna stała się zbyt niebezpieczna. Powiniennem spoczywać właśnie tam, lecz okazało się to niemożliwe. Po tylu zaciekłych walkach ojej tron i wolność nie mógłbym tam złożyć nawet kości.

-Gdzie zatem jesteśmy?

Cały czas na próżno starałem wyobrażać sobie, że prowadzę normalną rozmowę z normalnym człowiekiem. I nagle uświadomiłem sobie, iż pragnę, by ta noc nie skończyła się za szybko, nawet jeśli nie miała mieć dla mnie szczęśliwego zakończenia. Chciałem dowiedzieć się czegoś bliższego o Draculi. Czymkolwiek było to stworzenie, żyło od pięciuset lat. Wiedzę, jaką od niego wydobędę, zabiorę zapewne ze sobą do grobu, ale to wcale nie umniejszało mojej ciekawości.

- Ha, gdzie jesteśmy! -powtórzył Dracula. - Sądzę, że nie ma to większego znaczenia. Ale na pewno nie na Wołoszczyźnie, gdzie do dzisiaj rządzą durnie.

Popatrzyłem nań ze zdumieniem.

- To ty wiesz... znasz współczesny świat?

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem i rozbawieniem, krzywiąc w uśmiechu przerażającą twarz. Po raz pierwszy ujrzałem długie kły i cofnięte dziąsła, co nadawało mu psi wygląd. Ale wizja ta natychmiast zniknęła. Nie - miał normalne usta zwykłego człowieka z czarnym wąsem. Z tym tylko, że w kąciku warg błyszczała mu kropelka mojej krwi.

- Oczywiście - odparł, a ja przez chwilę bałem się, że ponownie rozchyli usta w uśmiechu. — Znam współczesny świat. To moja nagroda i ukochane zajęcie.

Poczułem, że warto przypuścić jakiś frontalny atak, który mógłby go zainteresować.

-Czego więc ode mnie chcesz? Od wielu lat unikałem współczesności... w przeciwieństwie do ciebie, kocham przeszłość.

-Ha, przeszłość! - Ponownie złożył koniuszki palców o błyszczących w blasku ognia paznokciach. Przeszłość to rzecz nader interesująca, ale pod warunkiem, że uczy nas czegoś o czasach współczesnych. Współczes-

ność to wspaniała rzecz. Ale uwielbiam też i przeszłość. Proszę za mną. Skoro już pan zjadł i odpoczął, coś panu pokażę.

Podniósł się z krzesła jakby kierowany osobliwą siłą, która nie miała nic wspólnego z mocą jego umięśnionych członków i ciała. Szybko zerwałem się z miejsca w obawie, że może to być z jego strony jakiś podstęp i za chwilę uderzy. Ale on tylko powolnym ruchem wyciągnął z lichtarza jedną ze świec i wzniosł ją nad głową.

- Proszę wziąć światło również dla siebie -polecił, odchodząc od paleniska i znikając w głębi pograżonej w mroku komory.

Wyjąłem świecę i ruszyłem za nim. Nie spuszczałem wzroku z jego osobliwej odzieży i dziwacznych, mrozących krew w żyłach ruchów. Miałem nadzieję, że nie prowadzi mnie znów do sarkofagu.

W skąpym świetle świec zobaczyłem rzeczy, jakich dotąd nie byłem w stanie dostrzec - rzeczy olśniewające. Ujrzałem długie, masywne, starodawne stoły. Piętrzył się na nich bezlik książek — w kruszących się skórzanych oprawach, metalowych, złożonych okładkach, rzucających połyskliwe mgnienia w blasku świec. Dostrzegłem inne przedmioty: unikalny kalamarz na podstawce i dziwaczne gęsie pióra oraz inne przyrządy do pisania. Obok leżał plik pergaminów, skrzących się w świetle świec, i majaczyła w półmroku staroświecka maszyna do pisania z wciągniętą w wałek kartką papieru. Lśniły klejnoty, którymi wysadzono oprawy książek, w mosiężnych pojemnikach spoczywały zwoje rękopisów. Wzdłuż wszystkich ścian komnaty ciągnęły się półki. Ustawiono na nich niekończące się szeregi książek: wielkie in folio, mniejsze książki oprawione in quarto w gładką skórę oraz dzieła pochodzące z późniejszych czasów. Osaczały nas książki. Uniosłem nad głowę świecę. Zacząłem rozglądać się po widniejących na grzbietach tytułach. Na czerwonych okładkach zobaczyłem ozdobne, arabskie pismo, inne tytuły napisane w europejskich językach potrafiłem odczytać. Wiele z książek było zbyt starych, aby na ich grzbietach zachowały się jakiegokolwiek litery. Składnica ta przechodziła wszelkie wyobrażenia. Swędziały mnie ręce, by sięgnąć po kilka z tych woluminów i dotknąć drogocennych rękopisów w mosiężnych pojemnikach.

Dracula uniósł świecę, w której blasku zaślnęły zdobiące jego kołpak klejnoty - topazy, szmaragdy i perły. Oczy błyszczały mu z przejęcia.

- I co pan sądzi o mojej bibliotece?

- Zdumiewający zbiór — odparłem szczerze. - Skarbnica.

Na jego strasznej twarzy pojawił się wyraz zadowolenia.

- Ma pan całkowitą rację. Jest to najwspanialsza biblioteka na świecie. Zbierałem ją przez stulecia. Ale będzie pan miał dużo czasu, by dokładnie przejrzeć wszystkie te cuda, jakie zgromadziłem. Teraz chcę pokazać coś jeszcze.

Zaprowadził mnie pod ścianę, przy której stała prasa drukarska wyjęta żywcem z piętnastowiecznych ilustracji - ciężkie urządzenie z wykonaną z czarnego żelaza płytą dociskową i drewnianą płytą formową, a wszystko to połączone na górze potężną śrubą. Okrągła, wykonana z obsydianu płyta pokryta była atramentem. Lśniła w blasku naszych świec niczym diabelskie zwierciadło. Obok leżała karta grubego papieru częściowo tylko zadrukowanego. Zapewne jakaś nieudana próba. Zobaczyłem napis po angielsku: „Duch w amforze. Wampiry od greckiej tragedii do tragedii współczesnej”. A poniżej: „Bartholomew Rossi”.

Dracula spodziewał się mego pełnego zdumienia okrzyku i bynajmniej go nie zawiodłem.

- Sam pan widzi, nadążam za najnowszymi badaniami i odkryciami. Czasami, kiedy opublikowana praca jest dla mnie z jakichś względów niedostępna albo jest mi potrzebna od zaraz, sam ją drukuję. Ale tamto zainteresuje pana szczególnie.

Wskazał znajdujący się nieopodal prasy stół. Leżały na nim surowe drzeworyty. Na największym z nich widniał wizerunek smoka z naszych ksiązek - mojej i Paula - oczywiście w lustrzanej odbitce. Z trudem powstrzymałem okrzyk zgrozy.

-Zaskoczony? - zapytał Dracula, przybliżając świecę do wizerunku smoka, który był tak dobrze mi znany, jakbym sam go wyrysował. - Już go pan widział, prawda?

-Sam go stworzyłeś? Ile w sumie powstało egzemplarzy?

-Trochę ich wydrukowali moi mnisi, a później ja kontynuowałem ich pracę — odrzekł, spoglądając w milczeniu na drzeworyt. — Już prawie do-

bijam do końca. Zamierzam wydrukować tysiąc czterysta pięćdziesiąt trzy egzemplarze. Tymczasem rozprowadzam już gotowe. Czy ta liczba coś panu mówi?

-To rok zdobycia Konstantynopola - odrzekłem po chwili.

-Nie myliłem się, że od razu pan zgadnie - stwierdził z gorzkim uśmiechem. — To najstraszniejsza data w historii.

-Sądzą, że istnieje wielu innych pretendentów do tego honoru - odrzekłem, ale on pokręcił głową nad szerokimi ramionami.

-Nie - powiedział krótko.

Uniósł nieco świecę. Oczy mu lśniły, nabiegły lekko krwią, jak u wilka, malowało się w nich całe morze nienawiści. Jakbym patrzył w oczy trupa, który nieoczekiwanie z szelestem wrócił do życia. Dotąd sądziłem, że ma błyszczące oczy, ale teraz dopiero zalśniły mu pełnym dzikości blaskiem. Nie potrafiłem wykrzusić słowa ani oderwać od niego wzroku. Po chwili znów popatrzył na wizerunek smoka.

-To był świetny posłaniec - stwierdził zamyślonym tonem.

-Czy to ty mi ją przysłałeś? Mówią o książce.

-Powiedzmy, zaaranżowałem. - Pobliznionymi w wielu bitwach palcami dotknął drzeworytu. - Rozprowadzam je z dużą ostrożnością. Tra-

fiają tylko do najwybitniejszych naukowców i tych, którzy moim zdaniem

będą na tyle uparci, by wytropić kryjówkę smoka. Panu pierwszemu uda-

ła się ta sztuka. Gratuluję. Pozostawiłem na świecie swoich pomocników.

Prowadzą tam dla mnie badania.

-To nie ja ciebie tropiłem - powiedziałem odważnie. - To ty mnie tu ściągnąłeś.

-Ha! - Ponownie wykrzywił usta pod długimi, czarnymi wąsami. - Nie byłoby tu pana, gdyby sam pan tego nie chciał. Nikt w życiu dwukrot-

nie nie lekceważy mojego ostrzeżenia. Pan przybył tu z własnej woli.

Popatrzyłem na starodawną prasę drukarską i drzeworyt z wizerunkiem smoka.

- Czego właściwie ode mnie chcesz?

Nie chciałem wzbudzać jego gniewu moimi pytaniami. Następnej nocy, jeśli przyjdzie mu ochota, po prostu mnie zabije, jeśli oczywiście w ciągu dnia nie uda mi się uciec.

- Od dawna czekam na kogoś, kto uporządkuje i skataloguje moją bibliotekę - odrzekł prosto. - Jutro spokojnie pan sobie wszystko obejrzy. A dzisiejszej nocy porozmawiamy.

Ruszył ciężkim krokiem w stronę opuszczonych przez nas krzesel. Jego słowa dodały mi wielkiej otuchy, wlały w serce nadzieję. Z całą pewnością nie zamierzał zabijać mnie tej nocy, ponadto drążyła mnie wielka ciekawość. Najwyraźniej nie śniłem. Rozmawiałem z kimś, kto osobiście przeżył taki szmat czasu, że w porównaniu z jego wiedzą każdy historyk pozostawał dyletantem. Szedłem za nim, trzymając się jednak w odpo-

wiedniej odległości. Ponownie zasiedliśmy przy palenisku. Kiedy zająłem miejsce, spostrzegłem, iż zastawiony pustymi naczyniami stół, przy którym spożywałem wieczerzę, zniknął, a jego miejsce zajęła niska kanapka, na której z ulgą oparłem nogi. Dracula siedział wyprostowany dumnie na królewskim krześle. Było ono wysokie, drewniane i średniowieczne, a moje, wybite tapicerką, bardzo wygodne i miękkie jak otomanka, na której trzymałem nogi. Zupełnie jakby Dracula chciał zapewnić komfort swemu gościowi pochodzącemu ze zniewieściałych czasów.

Bardzo długo trwaliśmy pogrążeni w milczeniu. Myślałem już, że będziemy tak siedzieć do końca nocy, kiedy gospodar otworzył usta.

- Za życia kochałem książki. — Odwrócił się lekko w moją stronę tak, że dostrzegłem błysk jego oczu i lśnienie światła w kosmatych włosach. - Zapewne nie wie pan, iż byłem po części naukowcem. Najwyraźniej mało kto o tym wiedział. - Mówił beznamiętnym, pozbawionym wszelkich emocji tonem. - Zdaje pan sobie sprawę z tego, że za moich czasów książki stanowiły rzadkość. Miałem do czynienia głównie z księgami sankcjonowanymi przez kościół - na przykład z ewangeliami opatrzonymi ortodoksyjnym komentarzem. Ale te dzieła mnie nie interesowały. Kiedy po raz pierwszy wstąpiłem na tron jako prawowity władca, wielkie biblioteki w Konstantynopolu były już kompletnie zniszczone. A to, co pozostało z ich zbiorów - księgozbiory przejęły liczne monasteria - było dla mnie niedostępne. - Nie odwracał wzroku od ognia. - Ale miałem inne źródła dostępu do ksiąg. Kupcy zwozili do mnie dziwne i cudowne książki z wielu miejsc - z Egiptu, z Ziemi Świętej, z ogromnych klasztorów na Zachodzie. Dzięki nim poznałem starożytną wiedzę tajemną. Kiedy dowiedziałem się, że i tak nie dostąpię zbawienia - ciągnął tym samym martwym tonem - zostałem historykiem, by utrwalić na zawsze własną historię.

Dłuższy czas siedział w milczeniu, a ja bałem się zadawać dalsze pytania. Po chwili poruszył głowę i oparł ramię na poręcz tronu.

-Taki był początek mojej biblioteki.

Przewyciężyłem się, choć pytanie przyszło mi z trudem.

-Ale po śmierci... dalek zbierałeś książki?

- Naturalnie. - Popatrzył na mnie dlatego, że zadałem to pytanie z własnej, nieprzymuszonej woli, i posepnie się uśmiechnął. W blasku ognia jego źrenice załśniły w przerażający sposób. — Już panu mówiłem, iż w głębi serca jestem zarówno historykiem, jak i wojownikiem, a księgi

te przez długie lata dotrzymywały mi towarzystwa. Można z nich zacerpnąć wiele praktycznej wiedzy — na przykład o wielkich mężach stanu, o taktyce bitewnej wybitnych dowódców. Ale mam bardzo dużo innych dzieł. Jutro pan je obejrzy.

-Zatem co dokładnie mam zrobić z twoją biblioteką?

-Jak wspomniałem, uporządkować ją i skatalogować. Nigdy tak naprawdę nie wiedziałem, ile mam książek, skąd pochodzą ani w jakim są

stanie. To będzie pierwsze zadanie. Przy pańskich rozległych horyzontach

umysłowych, przy pańskiej wiedzy i znajomości języków obcych dokona

pan tego szybciej niż ktokolwiek inny. Będzie miał pan do czynienia z naj-

piękniejszymi - i najpotężniejszymi - księgami, jakie kiedykolwiek po-

wstały. Wielu z nich już nie ma. Zapewne wie pan, profesorze, że prze-

trwała zaledwie jedna książka na tysiąc? A ja przez stulecia prawie wszystkie je zgromadziłem.

Kiedy mówił, znów zauważyłem w jego głosie ów spokój i chłód, a jednocześnie chrobot dobiegający z jego ciała -jak grzechot węża lub szum płynącej po kamieniach wody.

- Pańskie drugie zadanie zajmie o wiele więcej czasu. Tak naprawdę trwać będzie ono wiecznie. Kiedy już pozna pan moją bibliotekę równie dobrze jak ja, wyślę pana do świata, by zdobywał mi nowe okazy - również te stare - gdyż nigdy nie przestanę zbierać starodawnych dzieł. Dam panu do dyspozycji wielu archiwistów - najlepszych z najlepszych - a pan będzie zdobywać, nawet siłą, i dostarczać mi najnowsze książki.

Wymiary tej wizji i jej znaczenie, jeśli dobrze zrozumiałem plan Draculi, sprawiły, że oblał mnie zimny pot.

- A dlaczego sam nie chcesz kontynuować poszukiwań? - spytałem drżącym głosem.

Uśmiechnął się, nie odwracając twarzy od ognia, i przez ułamek widziałem inne jeszcze jego oblicze -pysk psa lub wilka.

- Obecnie mam inne zajęcia. Świat się zmienia, a ja zamierzam się zmieniać wraz z nim. Zapewne już wkrótce nie będę potrzebował tej formy - wskazał swój średniowieczny strój, skrywający ogromną martwą potęgę jego kończyn - by zaspokoić ambicje. Ale biblioteka jest dla mnie niebywale cenna i chcę widzieć, jak nieustannie się rozrasta. Poza tym od pewnego czasu czuje, że jest tutaj coraz mniej bezpieczna. Już kilku historyków jest bliskich jej odnalezienia. Na przykład pan. Gdybym zostawił pana w spokoju, to właśnie pan by ją pierwszy odnalazł. Pan jest mi nie-

zbędny, i to natychmiast. Czuję nadchodzące niebezpieczeństwo i biblioteka, przed przeprowadzką, musi zostać skatalogowana.

Doszedłem do wniosku, że powinienem zacząć udawać senność.

- Gdzie zamierzasz ją przenieść? - zapytałem.

I czy wraz ze mną? — dodałem w duchu.

- W pewne starodawne miejsce, znacznie starsze od tego, które bardzo miłe wspominam. Odległe, opuszczone miejsce znajdujące się jednak stosunkowo niedaleko wielkich, współczesnych miast, do których będę mógł bez trudu się udawać, po czym znów wracać do siebie. Przeniesiemy tam bibliotekę, a pan zacznie pomnażać jej zbiory. - Popatrzył na mnie z zaufaniem, które na ludzkim obliczu mogłoby wyrażać nawet sympatię. Następnie tym swoim dziwacznym ruchem zerwał się z krzesła. - Dostyc się nagadaliśmy jak na jedną noc... widzę, że jest pan zmęczony. Ja z kolei, zgodnie ze swym obyczajem, poświęcę się lekturze. Później będę zmuszony zająć się innymi obowiązkami. Rankiem weźmie pan papier i pióra, znajdując się one obok prasy, i przystąpi do katalogowania. Od kilkudziesięciu lat, a może nawet od stulecia, segregowałem księgi według kategorii. Sam pan zresztą zobaczy. Zostawiam też maszynę do pisania. Katalogować może pan po łacinie, ale to pozostawiam już pańskiej decyzji. No i, naturalnie, w każdej chwili, kiedy pan zechce, może pan odawać się lekturze.

Z zarzuconego księgami stołu wybrał kilka egzemplarzy, ponownie usiadł w królewskim krześle i zagłębił się w czytaniu. Bałem się nie pójść za jego przykładem, więc sięgnąłem po pierwszy lepszy wolumin, jaki wpadł mi w rękę. Okazało się, iż jest to wczesne wydanie „Księcia” Machiavellego, uzupełnione serią wykładów o moralności, których nigdy wcześniej nie widziałem ani o nich nie słyszałem. Jednak w stanie umysłu, w jakim się znajdowałem, nie potrafiłem zabrać się za tłumaczenie frapującego skądinąd tekstu. Trzymałem więc tylko w ręku księgę i na chybił trafił przewracałem stronicę, gapiąc się bezmyślnie na druk. Draculę najwyraźniej bez reszty pochłaniała lektura. Rzucając w jego stronę ukradkowe spojrzenia, zastanawiałem się, w jaki sposób, po czynnym, wypełnionym nieustającą walką życiu, zdołał przestawić się na nocne, podziemne życie naukowca.

W końcu podniósł się z krzesła i cicho odłożył książki. Bez słowa ruszył pogrążonym w mroku korytarzem i szybko straciłem go z oczu. Usłyszałem suchy, drapiący dźwięk, jakby zwierzę grzebało pazurami w ziemi

lub ktoś pocierał zapalką o draskę, ale nie pojawiło się żadne światło. Poczulem się nieprawdopodobnie samotny i opuszczony. Wytężalem wzrok, nie potrafiłem jednak określić, w jaką dokładnie stronę udał się Dracula. W każdym razie tej nocy nie zamierzał mnie jeszcze pożreć. Ze strachem zastanawiałem się, co tak naprawdę dla mnie szykuje, skoro mógł po prostu zrobić ze mnie swego sługusa i totumfackiego, dzięki któremu w każdej chwili bez trudu zaspokajałby głód. Spędziłem na krześle kilka godzin. W końcu wstałem i przeciągnąłem mięśnie. Dopóki trwała noc, bałem się zasnąć. Ale w końcu, tuż przed świtem, musiałem zapaść w drzemkę, gdyż nieoczekiwanie ocknąłem się, wyczuwając przez płytki sen jakąś zmianę w powietrzu. Do paleniska zbliżał się otulony obszerną peleryną Dracula.

- Dzień dobry — powiedział cicho i odwrócił się w stronę pogrążonej w mroku ściany, gdzie znajdował się mój sarkofag. Zerwałem się na równe nogi poruszony do żywego jego obecnością. I nieoczekiwanie zniknął mi z oczu. W katakumbach zapadła martwa cisza.

Po bardzo długiej chwili sięgnąłem po świecę, od której ponownie zapaliłem kandelabr i kilka innych świeczek tkwiących w zawieszonych na ścianach kinkietach. Na stołach dostrzegłem ceramiczne lampy i metalowe latarnie, je również zapaliłem. Wzmagająca się jasność przyniosła mi niewysłowioną ulgę. Z drugiej strony jednak zacząłem się zastanawiać, czy kiedykolwiek jeszcze ujrzę dzieńne światło, czy też rozpoczęła się dla mnie wieczność mroku i pełgających płomieni świec - upiorna wersja wiekiściego piekła. Ale w końcu mogłem wreszcie rozejrzeć się po podziemnej komnacie. Była ogromna, wzdłuż jej ścian ciągnęły się szafy i półki. Wszędzie widziałem książki, pudła, zwoje i rękopisy, zgromadzone przez Draculę. Pod jedną ścianą majaczyły trzy sarkofagi. Oświetlając sobie drogę świecą, ostrożnie do nich podszedłem. Dwa mniejsze były puste. To w jednym z nich zapewne musiałem się obudzić.

Trzeci grobowiec był największy. W blasku świecy wyróżniał się okazałością i przepychem, ogromny, o szlachetnych proporcjach. Widniało na nim tylko jedno słowo wykute łacińską kapitalą: DRACULA. Prawie wbrew własnej woli uniosłem świecę i zajrzałem do środka. Spoczywało w nim wielkie, nieruchome ciało. Po raz pierwszy miałem okazję popatrzyć w pełnym świetle na jego zamkniętą, okrutną twarz. Mimo ogarniających mnie mdłości nie mogłem oderwać od niej wzroku. Brwi miał ściągnięte, jakby dręczyły go jakieś okropne sny, oczy rozwarłe i nieru-

chome, tak że sprawiał wrażenie bardziej trupa niż istoty żyjącej. Długie, ciemne rzęsy nie zdrzęły nawet pod wpływem światła, a jego prawie przystojne oblicze było półprzezroczyste. Sploty długich, czarnych włosów opadały na ramiona, wypełniając boczne ściany grobowca. Ale najbardziej przerażał mnie widok malujących się na jego policzkach i ustach kolorów pełnych życia, których w blasku płonącego na palenisku ognia nie dostrzegłem. Oszczędził mnie na jakiś czas, co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości, ale tej nocy najwyraźniej zaspokoił gdzieś swoje pragnienie. Kropelka mojej krwi zniknęła z kącika jego ust. Teraz pod czarnym wąsem czerwieniły mu się purpurowej barwy wargi. Sprawiał wrażenie tak pełnego owego sztucznego życia, że zamarło mi serce na widok jego nieruchomej klatki piersiowej. Nie oddychał. Uderzyło mnie w wyglądzie Vlada coś jeszcze: miał na sobie inny strój, choć nie mniej wytworny. Przybrany był w czerwony kaftan i tej samej barwy wysokie buty oraz w płaszcz i purpurowy aksamitny kołpak. Płaszcz był nieco wytarty na ramionach, a do nakrycia głowy wetknął brązowe pióro. Kołnierz lśnił, ozdobiony drogimi kamieniami.

Długo spoglądałem na spoczywającą w grobowcu postać, aż w końcu ów dziwaczny widok sprawił, iż zakręciło mi się w głowie. Odszedłem od sarkofagu i zacząłem zbierać myśli. Panował dzień i do zachodu słońca brakowało jeszcze wielu godzin. Postanowiłem najpierw poszukać drogi ucieczki, a dopiero później próbować go zgładzić, tak by bez względu na to, czy to mi się uda czy nie, natychmiast czmychnąć z krypty. Mocno trzymałem w ręku świecę. Wystarczy powiedzieć, że szukałem wyjścia z kamiennej komory przez dwie godziny, ale drogi ucieczki nie znalazłem. W ścianie znajdującej się naprzeciwko paleniska widniały masywne, drewniane drzwi zamknięte na żelazny rygiel. Przez jakiś czas się z nim mocowałem, ale w końcu zmęczony i z poranionymi dłońmi, dałem spokój. Drzwi nawet nie drgnęły. Nie otwierano ich od wielu, wielu lat, zapewne od stuleci. Innego wyjścia nie znalazłem — żadnych drzwi, żadnego tunelu, okien, poluzowanych kamieni ani otworu. Poczulem się jak pogrzebany pod ziemią. Jedynej niszy, w której stały sarkofagi, strzegła masywna, kamienna ściana. Przeżywałem katusze, badając ten mur, wciąż mając przed oczyma nieruchomą twarz Draculi z wielkimi, rozwartymi oczyma. Jeśli nawet nie drgnęły mu powieki, odnosiłem wrażenie, że wciąż zachował tajemną moc obserwowania i rzucania klątwy.

Usiadłem przy palenisku, by odzyskać nadwerżone siły. Trzymając

dłonie nad ogniem, spostrzegłem, że płomienie nie opadały, choć na ruszcie leżały prawdziwe gałęzie i kłody drewna, a ognisko dawało namacalne, rozkoszne ciepło. Zauważyłem też, że nie wydziela dymu. Czyżby paliło się przez całą noc? Zakryłem dłońmi twarz. Z najwyższym trudem zapanowałem nad sobą. Postanowiłem zachować rozsądek i zdrowe zmysły do ostatniej chwili. Tylko tyle mi pozostało.

Kiedy jako tako doszedłem do siebie, znów podjąłem systematyczne poszukiwania, tym razem próbując znaleźć sposób zniszczenia mego upiornego gospodarza. Oczywiście, gdyby nawet udała mi się ta sztuka,

i tak bym tutaj umarł pozbawiony drogi ucieczki, ale przynajmniej on nie żerowałby już dłużej na zewnętrznym świecie. Nie pierwszy raz pomyślałem o samobójstwie - ale na tak komfortowe wyjście nie mogłem sobie pozwolić. Już teraz groziło mi to, że stanę się taki sam jak Dracula, a legenda zapewniała, że każdy samobójca stanie się nieumarłym, nawet bez kolejnego zakażenia, jakiego raz już doświadczyłem. Okrutna legenda, lecz cały czas musiałem brać ją pod uwagę. Tak zatem pozostawało mi jedynie wyjście. W blasku świecy badałem każdą szczelinę, wnękę, niszę i kącik grobowej komnaty, otwierałem szuflady i pudła, szperałem po półkach. Zdawałem sobie sprawę z tego, że przebiegły gospodarz nie przeczłzył żadnej broni, jakiej mógłbym użyć przeciw niemu. Nie miałem jednak innego wyjścia, musiałem szukać. Nic nie znalazłem. Ani kawałka drewna, które mógłbym zaostrzyć w kolek. Gdy próbowałem wyciągnąć

z ogniska kłodę, płomienie strzeliły w górę, parząc mi dłonie. Kilkakrotnie ponawiałem próbę z tym samym rezultatem.

W końcu wróciłem do największego sarkofagu, by chwycić się ostatniej deski ratunku: sztyletu, który Dracula nosił za pasem. Pobrużdżoną bliznami dłoń zaciskał na rękojeści broni. Gdyby nóż miał srebrną klingę, mógłbym nim przebić mu serce. Powstrzymując mdłości, przysiadłem na chwilę, zbierając wszystkie siły przed tą próbą. Następnie wstałem i trzymając świecę wysoko nad głową, ostrożnie położyłem dłoń obok sztyletu. Mój delikatny dotyk nie wywołał na sztywnej twarzy Draculi żadnej reakcji, choć zdawało mi się, że pogłębił się cień jego długiego nosa. Ku swej zgrozie pojąłem, iż jego dłoń zacisnęła się na rękojeści sztyletu nie bez powodu. Przewidział, że spróbuję po niego sięgnąć. Samo dotknięcie dłoni Draculi doprowadziło mnie prawie do szaleństwa. Ale rękę miał zacisniętą na trzonku noża z kamienną siłą. Nie miałem nawet co myśleć, by wyjąć mu go z dłoni. Równie dobrze mógłbym próbować wyrwać marmu-

rowy sztylet z ręki posągu. Martwe oczy zdawały się płonąć nienawiścią. Czy Dracula po przebudzeniu będzie pamiętał to, co się wydarzyło? Przejęty odrazą odsunąłem się od grobowca i ściskając w dłoni świecę, usiadłem na ziemi.

Przekonawszy się, że mój plan spalił na panewce, postanowiłem działać inaczej. Przede wszystkim, dopóki był jeszcze środek dnia, musiałem się trochę przespać i obudzić, zanim Dracula wyjdzie z grobowca i zastanie mnie śpiącego. Dwie godziny snu powinny mi wystarczyć. Przyszło mi też do głowy, że koniecznie muszę wymyślić jakiś sposób liczenia czasu w próżni, w jakiej się znalazłem. Położyłem się przy palenisku i wsunąłem pod głowę zwiniętą marynarkę. Żadna siła nie zmusiłaby mnie do powrotu do sarkofagu. Ale bijące od paleniska ciepło dawało pewien komfort memu udreżonemu ciału.

Kiedy się obudziłem, dłuższą chwilę bacznie nasłuchiwałem, lecz w komnacie panowała całkowita cisza. Na stole przy moim krześle znalazłem smakowity posiłek, choć sam Dracula wciąż jeszcze spoczywał w swoim paralitycznym stanie w sarkofagu. Wyruszyłem na poszukiwania maszyny do pisania, którą wcześniej widziałem. I oto piszę od tamtej chwili najszybciej, jak potrafię, notując wszystkie wydarzenia i własne obserwacje. W ten sposób, przy okazji, znalazłem pewien sposób na mierzenie czasu, gdyż wiem, ile stron potrafię napisać w godzinę. Ostatnie linijki piszę w świetle pojedynczej świecy. Inne pogasiłem, by oszczędzać światło. Umieram z głodu, z dala od ognia jestem zziębnięty od panującej tu wilgoci. Teraz muszę jeszcze ukryć te kartki, coś zjeść i zająć się pracą, którą zlecił mi Dracula. Gdy się obudzi, powinien mnie nad nią zastać. Jutro postaram się napisać więcej. Oczywiście, jeśli będę jeszcze żył lub nie zwariuję.

Drugi dzień

Jak napisałem w pierwszym liście, zwinąłem kartki i ukryłem je za sąsiednią szafą, gdzie nie widać ich spod żadnego kąta. Następnie zapaliłem kolejną świecę i ruszyłem powoli wzdłuż stołów. Otaczały mnie dziesiątki tysięcy książek - setki tysięcy, licząc zwoje i rękopisy. Spoczywały nie tylko na stołach, ale piętrzyły się również w równych stosach przed starodawnymi szafami oraz zalegały rzędami półki z nieoheblowa-

nego drewna. Średniowieczne księgi były wymieszane z wytwornymi renesansowymi folio oraz książkami drukowanymi współcześnie. Natknąłem się na wczesnego Szekspira in quarto - historie - a obok na dzieło Tomasz z Akwinu. Niedaleko szesnastowiecznych ksiąg, traktujących o alchemii, stała szafa wypełniona iluminowanymi zwojami arabskimi - przypuszczałem, że osmańskimi. Natknąłem się też na purytańskie kazania o czarach, niewielkie tomiki z dziewiętnastowieczną poezją oraz kilka, wydanych już we współczesnych czasach, rozpraw z filozofii i kryminologii. Nie, zbiory stanowczo nie były ustawione wedle jakiegoś wzoru, ale przyszedł mi do głowy inny pomysł.

Uporządkowanie i ustawienie tak wielkiego zbioru w normalnej bibliotece zajęłoby wielu osobom tygodnie, a nawet miesiące. Skoro jednak Dracula częściowo już zaaranżował swą kolekcję pod kątem własnych zainteresowań, postanowiłem zostawić ją w takim samym porządku i spisywać tylko wedle chronologii, w jakiej biblioteka powstawała, zaznaczając jedynie poszczególne zbiory. Rozejrzałem się po komnacie i doszedłem do wniosku, że najwcześniejsza kolekcja zaczyna się przy drzwiach, które bezskutecznie próbowałem otworzyć, i ciągnie się przez trzy szafy i dwa duże stoły. Mógłbym określić ją nazwą: mężowie stanu i strategii militarne.

Znalazłem tutaj więcej dzieł Machiavellego w wyrafinowanych folio wydawanych w Padwie i Florencji. Odkryłem biografię Hannibala pióra jakiegoś osiemnastowiecznego, angielskiego autora oraz grecki rękopis pochodzący zapewne jeszcze z Biblioteki Aleksandryjskiej: dzieje wojen prowadzonych przez Ateńczyków spisane przez Herodota. Z coraz większym dreszczem emocji, przeglądałem książki i manuskrypty. Natknąłem się na pierwsze wydanie - z osłimi uszami - „Mein Kampf” oraz diariusz po francusku - rękopis upstrzony tu i tam brązowymi plamami - który, sądząc po otwierającej go dacie i zawartości, dotyczył Wielkiego Terroru*, a napisał go jakiś urzędnik rządowy. Postanowiłem przyjrzeć się później dokładnie manuskryptowi - autor dziennika najwyraźniej nigdzie nie zostawił swojego nazwiska. Znalazłem opasłe tomiście traktujące o pierwszych kampaniach Napoleona, wydrukowane - jak podejrzewałem — już podczas pobytu cesarza na Elbie. W jednym z pudełek na stole znajdował się poźółtkły maszynopis napisany cyrylicą. Mój rosyjski jest

* Okres rewolucji francuskiej - lata 1793-1794.

bardzo rudymmentarny, ale z nagłówków wywnioskowałem, że jest to urzędowe pismo Stalina do któregoś z dowódców armii radzieckiej. Niewiele

z niego wyczytałem, tyle tylko, że dokument zawierał długą listę rosyjskich i polskich nazwisk.

Niektórych dokumentów w ogóle nie potrafiłem zidentyfikować. Naktknąłem się na wiele książek, rękopisów i map, z jakimi nigdy się dotąd, nie zetknąłem. Zacząłem właśnie spisywać pozycje, które umiałem odczytać, dzieląc je z grubsza na stulecia według pochodzenia, kiedy poczułem nadciągający chłód, niczym powiew zimnego wiatru w miejscu, gdzie nigdy nie było wiatru. Uniosłem głowę i ujrzałem stojącą w odległości trzech metrów za jednym ze stołów osobliwą postać.

Miała na sobie czerwone i fioletowe szaty. Widziałem je już w sarkofagu. Poza tym Dracula sprawiał wrażenie znacznie masywniejszego, niż zapamiętałem go z minionej nocy. Czekałem ze wstrzymanym oddechem, zastanawiając się, kiedy mnie zaatakuje - byłem ciekaw, czy pamięta moją próbę odebrania mu sztyletu? Ale on tylko lekko pochylił głowę w geście przywitania.

- Widzę, że rozpoczął pan już pracę. Zapewne ma pan do mnie wiele pytań. Najpierw jednak zjemy śniadanie. Później porozmawiamy o moich zbiorach.

Ujrzałem błysk w jego twarzy; to zapewne w półmroku zalegającym rozległą kryptę zaślniły mu oczy. Ruszył w stronę paleniska i stołu tym swoim nieludzkim, władczyim krokiem. Czekał już na nas gorący posilek

i napoje. Była nawet herbata, która wlała trochę ciepła w moje zziębnięte ciało. Dracula siedział, wpatrując się w bezdymny ogień. Głowę trzymał dumnie uniesioną. Odruchowo pomyślałem o jego zdekapitowanym cie-

le - co do szczegółów jego śmierci wszystkie dokumenty były zgodne. W jaki sposób odzyskał głowę? A może była ona wyłącznie złudzeniem? Jego szyję otaczał wysoki kołnierz wytwornego kaftana. Na ramiona opadały długie splety czarnych włosów.

- Zróbmy sobie teraz małą wycieczkę - powiedział, zapalając świece. Następnie podszedł do stołu, gdzie z kolei pozapalał lampy. - Musimy przejrzeć pewne dokumenty.

Bardzo nie podobala mi się gra światła na jego twarzy, kiedy pochylał się nad zapalonymi lampami. Skoncentrowałem więc uwagę na tytułach wylaniających się z mroku książek. Podszedł do mnie w chwili, gdy stałem przed arabskimi zwojami i księgami, które widziałem już wcześniej.

Ku mej uldze zatrzymał się w odległości dwóch metrów, ale nawet z tej odległości docierała do mnie jego gryząca woń. Zakręciło mi się od niej w głowie. Musisz trzymać się dzielnie - napomniałem się w duchu. Nie miałem pojęcia, co może przynieść kolejna noc.

-Widzę, że natrafił już pan na jeden z moich łupów wojennych. — W zimnym tonie Draculi wyczulem ogromną satysfakcję. - Pozostałości

po Osmanach. Niektóre z nich są bardzo stare i sięgają pierwszych lat ich

koszmarnego imperium. Na tej półce natomiast znajdują się księgi pochodzące z ostatniej dekady panowania Turków. Nie wyobraża pan sobie,

ile radości sprawił mi widok agonii tej cywilizacji. Ich wiara wpraw-

dzie nie umarła, ale sultani odeszli na zawsze, a ja ich przeżyłem. - W pierwszej chwili myślałem, że wybuchnie śmiechem, ale on ciągnął da-

lej poważnym głosem. - Tu są księgi sporządzone dla sultana, a mówiące

o wszystkich jego licznych ziemiach. W tym — dotknął palcem krawędzi

jednego ze zwojów - ma pan historię Mehmeda, oby wiecznie gnął w pie-

kle, spisana przez przypochlebnego, chrześcijańskiego historyka. Oby również wiecznie gnął w piekle. Próbowalem osobiście go odnaleźć, lecz

nim go dopadłem, on umarł. Tutaj są opisy kampanii Mehmeda, stworzo-

ne już przez jego własnych, tureckich pochlebców. Ten z kolei rękopis

mówi o upadku Wielkiego Miasta. Pan nie zna arabskiego?

-Bardziej niż słabo - wyznałem.

-Ha — mruknął wyraźnie rozbawiony. - Ich pismo i język poznałem, przebywając u nich w niewoli. Pan wie, że byłem ich więźniem?

Nie patrząc w jego stronę, skinąłem głową.

- Tak, mój ojciec oddał mnie ojcu Mehmeda jako zakładnika, żebyśmy nie wszczynali działań wojennych przeciw imperium. Wyobraża pan sobie: Dracula pionkiem w ręku niewiernych. Ale nie traciłem tam czasu - dowiedziałem się o nich wszystkiego, czego tylko zdołałem. Zacząłem w końcu ich przewyższać. Ślubowałem, że nigdy już nie stanę się ofiarą historii, ale to ja zaczęłam ją tworzyć.

Mówił głosem tak gwałtownym, że mimo woli spojrziałem w jego stronę. Oczy pałały mu straszonym blaskiem, w twarzy malował się bezmiar

nienawiści, spod długich wąsów sterczały ostre kły. Wybuchnął przerażającym śmiechem.

- Odniosłem triumf, a oni zniknęli. - Wsunął dłoń za skórzany pas przepięknej roboty. - Sultan tak się mnie bał, że powołał specjalny zakon rycerski, którego członkowie mieli mnie ścigać. Kilku z nich wciąż jeszcze

żyje gdzieś w Carogrodzie - przyznaję, że jest to pewna niedogodność. Ale jest ich coraz mniej, ich szeregi kruszą się coraz bardziej, podczas gdy moi słudzy nieustannie krążą po całym świecie. - Wyprostował swe potężne ciało. - Chodźmy, pokażę panu pozostałe skarby, a pan mi powie, jak zamierza je skatalogować.

Prowadził od jednego działu do drugiego, pokazując szczególne rarytasy. Zrozumiałem, że mój domysł, iż Dracula uporządkował zbiory na swój sposób, był słuszny. Ogromną szafę wypełniały rękopiśmienne podręczniki zadawania tortur, niektóre pochodzące jeszcze ze starożytnego świata. Dokumenty mówiły o lochach średniowiecznej Anglii, o izbach tortur inkwizycji, o eksperymentach Trzeciej Rzeszy. Pewne renesansowe woluminy zawierały drzeworyty przedstawiające palowanie, inne wykresy budowy ludzkiego ciała. Kolejny dział stanowił kronikę herezji kościelnych, do których tępienia wielce pomocne okazywały się podręczniki tortur. Inny róg komnaty poświęcony został alchemii, kolejny czarom, a jeszcze następny kierunkom najbardziej odrażających filozofii.

Dracula zatrzymał się przed olbrzymim regalem. Z niezwykłą czułością położył na nim rękę.

- Ten dział interesuje mnie szczególnie i tuszę, że pana zainteresuje

w nie mniejszym stopniu. Te dzieła to moje biografie.

Ujrzałem unikatowe oryginały prac bizantyjskich i osmańskich historyków oraz ich kopie tworzone w następnych stuleciach. Znajdowały się tam średniowieczne książki pochodzące z Niemiec, Rosji, Węgier i Konstantynopola, a wszystkie zgodnie dokumentowały jego zbrodnie. O wielu z nich, w trakcie swych badań, nawet nie słyszałem. Ogarnęła mnie nieprzypadna ciekawość i po chwili dopiero uprzytomniłem sobie, że zapewne nigdy już tych studiów nie zakończę. Odkryłem liczne dokumenty siedemnastowiecznego folkloru ludowego, odnoszące się do legend o wampirze. Dziwiło mnie, że tak chętnie umieścił je pośród swoich biografii. Położył wielką dłoń na wczesnym wydaniu Brama Stokera, uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Szybko przeszliśmy do kolejnej sekcji.

— To również powinno pana bardzo zainteresować - oświadczył. - Tu zgromadziłem dzieła dotyczące pańskiego, rodzinnego, dwudziestego wieku. Piękne stulecie - nie mogę się doczekać, aż spocznę w tych czasach. Za moich dni książkę był w stanie likwidować niepożądane elementy jedynie człowiek po człowieku. Wy robicie to z nieskończenie większym roz-

machem. Proszę pomyśleć tylko o postępie, jaki nastąpił od czasów przekłetych dzieł, które skruszyły mury Konstantynopola, do boskiego ognia, zrzuconego przed kilku laty na miasta Japonii przez pana kraj. - Skłonił lekko głowę; krótko, z wielkim uznaniem. - Wiele z tych prac już znasz, profesorze, lecz po przeczytaniu innych zapewne spojrzysz na nie z nowej perspektywy.

Zaoferował mi miejsce przy ogniu. Czekala znów na mnie gorąca, parująca herbata. Kiedy zajęliśmy miejsca, odwrócił się w moją stronę.

- Niebawem czeka mnie moja strawa - powiedział cicho. - Ale najpierw zadam panu pewne pytanie. - Wbrew mej woli zaczęły gwałtownie drzeć mi dłonie. Nie chciałem się odzywać w obawie przed wybuchem jego gniewu. - Cieszy się pan gościnnością, którą panu zaoferowałem, oraz moim bezgranicznym zaufaniem, jakie pokładam w pańskich zdolnościach. Będzie pan cieszyć się wiecznym życiem, co niewiele istotom jest dane. Może pan swobodnie poruszać się i szperać w archiwum, niemającym sobie równego na powierzchni ziemi. Stoją przed panem najbardziej unikatowe dzieła, jakich świat nigdy już nie zobaczy. Wszystko to należy do pana. - Poruszył się niezdarnie na krześle. Trzymanie przez dłuższy czas w bezruchu wielkiego, nieumarłego ciała sprawiało mu niejakie kłopoty. - Ponadto obdarzony jest pan nieprawdopodobną wyobraźnią, umiejętnością przenikliwej oceny faktów i zdolnością wydawania głębokich sądów. Sam wiele się nauczyłem, obserwując metody pańskich studiów, sposób syntezy źródeł, podziwiając pańską inwencję. Ze względu na te c echy, jak też niebywałą erudycję, sprowadziłem pana tu, do swego skarbcza.

Ponownie urwał, a ja wpatrywałem się jak zahipnotyzowany w jego twarz odwróconą do ognia.

- Przy pańskiej nieposzlakowanej uczciwości wyciąga pan z pewnością wnioski, jakich dostarcza nam historia. A ona nauczyła nas, że człowiek jest z natury zły, a zatem cudowny. Bóg nie jest doskonały, ale zło jest. Dlaczego nie miałby pan użyć swego olśniewającego umysłu w służbie czegoś, co jest doskonałością? Proszę cię zatem, przyjacielu, przyłącz się do mnie w badaniach. Jeśli wyrazisz zgodę, unikniesz straszliwych cierpień, a ja sporych kłopotów. Razem wzniesiemy historię na wyżyny, jakich nie widział świat. Dostaniesz to, o czym marzy każdy dziejopis: historia stanie się twoim życiem. Wymyjemy do czysta nasze umysły krwią.

Odwrócił się w moją stronę, oczy pałały mu starożytną wiedzą, roz-

chylił czerwone usta. Ten człowiek obdarzony nadludzką wręcz inteligencją pozostałby wielki, gdyby jego umysł nie został skażony nienawiścią. Robiłem wszystko, co w mej mocy, żeby nie zemdleć, nie rzucić się przed nim na kolana, nie poddać się jego woli. Był wodzem, księciem. Nie tolerował najmniejszego sprzeciwu. Przywołałem w pamięci wszystko, co tak bardzo ukochałem w życiu, i powiedziałem najbardziej zdecydowanym tonem, na jaki mogłem się zdobyć:

- Nigdy.

Twarz mu pobladła, zapłonęła gniewem, ze wściekłości wykrzywił nozdrza i usta.

— A więc z pewnością tu umrzesz, profesorze Rossi — odparł, wyraźnie starając się zapanować nad głosem. - Nigdy już żywy nie opuścisz tych komnat, choć w nowym życiu wyjdiesz na świat. Dlaczego więc nie dokonasz wyboru?

- Nie powiedziałem najspokojniej, jak umiałem.

Podniósł się z krzesła. Na jego twarzy igrał złowiszczy uśmiech.

— A więc będziesz pracować dla mnie wbrew swojej woli.

Przed oczyma zaczęło mi się rozlewać jezioro mroku. Sięgnąłem myślami do ostatnich rezerw... czego? Zaczęła cierpnąć mi skóra, przed oczyma pojawiły się roje gwiazd wykwitających na mrocznych ścianach rozległej krypty. Kiedy dał krok w moją stronę, ujrzałem jego prawdziwe oblicze. Było tak przerażające, że nie mogę go sobie przypomnieć do teraz... choć próbuję. Później długo nic nie pamiętałem.

Obudziłem się w sarkofagu. Wokół panowały nieprzeniknione ciemności. Pomyślałem, że jest to znów pierwszy dzień i moje pierwsze przebudzenie. Natychmiast jednak uświadomiłem sobie, gdzie naprawdę jestem. Tym razem byłem znacznie bardziej osłabiony. Rana na szyi pulsowała, sączyła się z niej krew. Straciłem jej wiele, ale nie na tyle, by kompletnie mnie unieruchomić. Po jakimś czasie udało mi się niezdarne wygramolić z mego więzienia. Pamiętałem chwilę, kiedy utraciłem świadomość. W blasku świec dostrzegłem Draculę śpiącego w ogromnym grobowcu. Oczy miał szkliste i szeroko otwarte, czerwone usta, dłoń zaciskał na rękomości sztyletu. Odwróciłem się przejęty najwyższą zgrozą i usiadłem przy ogniu. Próbowałem jeść przygotowany tam dla mnie posiłek.

Dracula najwyraźniej zamierzał niszczyć mnie stopniowo. Zapewne chciał do końca zostawić mi furtkę, abym z własnej woli przyjął jego pro-

pozycję, złożoną mi poprzedniej nocy. Miałem teraz tylko jedno wyjście... nie, dwa: umrzeć tak, aby mój umysł poniósł jak najmniejszy szwank i później, kiedy już będę nieumarły, czynił jak najmniej zła, albo pozostać przy życiu na tyle długo, żeby zdążyć to wszystko opisać, choć zapewne papier dawno się już rozpadnie w proch, zanim ktokolwiek dotrze do moich notatek. Ale teraz moją jedyną strawą były już tylko ambicje. Spotkał mnie los wykraczający poza jakąkolwiek rozpacz.

Trzeci dzień

Nie jestem do końca pewien, który jest to dzień. Zaczynam czuć, że upłynęły dni albo że śniłem przez kilka tygodni lub że od chwili mego porwania upłynął miesiąc. W każdym razie jest to mój trzeci Ust. Dzień spędziłem na dokładnym poznawaniu biblioteki, nie dlatego, by katalogować zbiory wedle żądania Draculi, ale z potrzeby nabycia wiedzy, która posłużyłaby innym... ale to beznadziejne. Dzisiaj dowiedziałem się, że Napoleon już w pierwszym roku panowania kazał zamordować dwóch swoich generałów. Nie wspominają o tym żadne dokumenty. Przestudiowałem również krótką rozprawę Anny Komneny, bizantyjskiej pisarki, zatytułowaną „Tortury zarządzane przez cesarza dla dobra jego ludu” -jeśli dobrze przetłumaczyłem z greckiego. W sekcji alchemii natrafiłem też na bajecznie ilustrowaną księgę kabały, pochodzącą zapewne z Persji. Na półkach dotyczących herezji napotkałem bizantyjskiego świętego Jana, ale początek tekstu został mocno uszkodzony - jest tam coś o ciemnościach, nie o świetle. Muszę to dokładniej zbadać. Natknąłem się również na angielski wolumin z roku tysiąc pięćset dwudziestego pierwszego -podana była data - zatytułowany „Filozofija trwogi”, rzecz dotycząca Karpat, o której słyszałem, lecz dotąd sądziłem, że zaginęła bezpowrotnie.

Byłem jednak zbyt zmęczony i zmaltretowany, by przestudiować ten tekst z należytą uwagą, lecz kiedy natrafiłem na coś dziwnego, czego nie znałem, ogarniał mnie zapał naukowca, zupełnie nieprzystający do beznadziejnej sytuacji, w jakiej się znalazłem. Teraz, kiedy Dracula śpi, ja również muszę uciąć krótką drzemkę, aby powitać oczekujące mnie kolejną męki cokolwiek wypoczęty.

Czwarty dzień?

Odnoszą wrażenie, że zaczyna szwankować mi umysł. Mimo usilnych wysiłków nie potrafią dokładnie określać czasu ani też precyzyjnie planować moich studiów w bibliotece. Czują się nie tyle osłabiony, co chory. Dzisiaj doznałem uczucia, które dołało jeszcze goryczy do resztek tego, co pozostało z mego serca. Kiedy pracowałem w nieporównywalnym z niczym archiwum Draculi dotyczącym tortur, natknąłem się na piękne, francuskie quarto, zawierające ilustrację nowej maszyny do błyskawicznego oddzielania głowy od ciała. Grawiura przedstawiała poszczególne części maszyny oraz ludzi w eleganckich strojach. Ich teoretyczne głowy zostały właśnie oddzielone od ich teoretycznych ciał. Kiedy spoglądałem na tę ilustrację, czułem nie tylko odrazę, nie tylko zdumienie, że książka ta zachowała się w tak doskonałym stanie, ale nagle zapragnąłem ujrzeć te sceny na własne oczy, usłyszeć ryk tłumu, zobaczyć krew tryskającą na koronkowe żaboty i jedwabne zakłady. Każdy historyk oddałby duszę, aby móc zanurzyć się w rzeczywistość przeszłości, ale w moim przypadku było to coś innego - inny rodzaj głodu. Odrzuciłem gwałtownie książkę, położyłem na stole pulsującą bólem głowę i po raz pierwszy od chwili mego uwięzienia wybuchnąłem płaczem. Ostatni raz płakałem wiele lat temu, na pogrzebie matki. Stone lży ukoili nieco mój ból - były takie zwyczajne.

Dzień

Potwór śpi. Wczoraj nie odezwał się do mnie ani razu. Zapytał tylko, jak idzie mi katalogowanie, i przez chwilę przyglądał się mojej pracy. Jestem zbyt zmęczony, by kontynuować te zajęcia. Z najwyższym trudem uderzam w klawisze maszyny. Siedzę przy palenisku i próbuję odzyskać odrobinę dawnej osobowości.

Dzień

Ostatniej nocy znów zasiadł obok mnie przy palenisku i jakbyśmy toczyli towarzyską, cywilizowaną rozmowę, oświadczył mi, że przenosi bi-

bliotekę w inne miejsce wcześniej, niż zamierzał, gdyż niebezpieczeństwo zbliża się coraz większymi krokami.

- To twoja ostatnia noc w tym miejscu. Zostawię cię tu na trochę. Ale wrócisz do mnie na moje wezwanie. Wtedy podejmiesz pracę w nowym, bardziej bezpiecznym miejscu. Później pomyślimy o tym, jak wysłać cię do świata. Cały czas zastanawiam się, kogo powinieneś sprowadzić nam tu do pomocy. Ale na razie zostawiam cię w miejscu, gdzie z pewnością nikt ciebie nie znajdzie. - Na widok jego uśmiechu prawie zamglilo mi wzrok i szybko odwróciłem głowę w stronę ognia. - Jesteś bardzo uparty i zawzięty. Zapewne upozorujemy cię na święte relikwie.

Nie miałem zamiaru pytać go, co ma na myśli.

A zatem zakończenie mego śmiertelnego życia pozostawało już kwestią krótkiego czasu. Teraz zbierałem tylko siły, by z godnością przeżyć ostatnie chwile. Zupełnie wyrzuciłem z pamięci kochane i bliskie mi osoby w nadziei, że w następnym, przeklętym wcieleniu nie będę o nich pamiętał. Listy postanowiłem ukryć w najpiękniejszym woluminie, jaki tu znalazłem -jednym z nielicznych dzieł w tej bibliotece, które nie budziły jeszcze we mnie zgrozy - a następnie samą księgę schowam tak, że w ogóle zniknie z tego archiwum. Gdybym tylko sam mógł skryć się pod zwalami wielowiekowego kurzu. Czuję, że na zewnątrz, na świecie, gdzie ciągle jeszcze istnieje światło i mrok, zaczyna wschodzić słońce. Użyję wszystkich zanikających już we mnie sił, by do ostatniej sekundy pozostać sobą. Wywołuję wszystkie dobre chwile z historii mego życia. Wywołuję je z pasją równą tej, z jaką żyłem.

74

„Helen dotknęła dwoma palcami czoła ojca, jakby dawała mu ostatnie błogosławieństwo. Walczyła z płaczem.

»Jak możemy go stąd wynieść? Chciałabym go pogrzebać«.

»Nie mamy czasu - odrzekłem z goryczą. - Jestem przekonany, że wołałby, abyśmy uszli z życiem«.

Zdjąłem marynarkę i delikatnie zakryłem nią jego twarz. Odłożenie na miejsce kamiennej płyty grobowca przekraczało nasze siły. Helen wyciągnęła swój pistolet i zarepetowała broń.

»Biblioteka - szepnęła. - Musimy natychmiast ją odnaleźć. Czy sły-
szałeś coś przed chwilą?«

»Chyba tak, ale nie mam pojęcia, skąd ten dźwięk dobiegł«.

Zaczęliśmy bacznie nasłuchiwać, ale otaczała nas głucha cisza. Helen, ściskając w dłoni pistolet, macała ściany. Płomień świecy dawał niewiele światła. Krążyliśmy po krypcie tam i z powrotem, badając i opukując ściany. Nie znaleźliśmy żadnej niszy, żadnego wystającego kamienia, żadnych zamaskowanych drzwi. Kompletnie nic.

»Na dworze zapewne już się ściemnia« - mruknęła Helen.

»Wiem - odparłem. - Za dziesięć minut powinno już nas tu nie być. Tego jestem pewien«.

Jeszcze raz obeszliliśmy niewielkie pomieszczenie, obmacując każdy centymetr ścian. Choć odczuwałem dotkliwy chłód, zwłaszcza że nie miałem na sobie marynarki, po plecach spływały mi strużki potu.

»Może biblioteka znajduje się w innej części kościoła albo wręcz pod fundamentami«.

»Na pewno jest dobrze ukryta - szepnęła Helen. - W przeciwnym razie już dawno ktoś by ją odnalazł. Ale skoro mój ojciec spoczywa w tym grobie...«

Nie dokończyła zdania. Pytanie to dręczyło mnie od chwili pierwsze-
go szoku, kiedy ujrzałem tu Rossiego: gdzie jest Dracula?

»Czy nie ma tu nic niezwykłego?« - spytała, dotykając niskiego, skle-
pionego sufitu.

I wtedy, tknięty nagłą myślą, wyrwałem z lichtarza świecę i przy-
kucnąłem. Helen natychmiast poszła moim śladem.

»Tak« - szepnęła.

Dotykałem wizerunku smoka wygrawerowanego na pionowej ścianie
najniższego stopnia. Poprzednio musnąłem go tylko palcami. Teraz na-
cisnąłem z całej siły, napierając ciężarem swego ciała. Kamień nawet nie
drgnął. Ale Helen zaczęła delikatnie wodzić wrażliwymi dłońmi po oko-
licznych kamieniach i nagle jeden okazał się luźny. Po prostu wyjęła go,
niczym ząb, z miejsca, w którym przylegał do płyty z wizerunkiem smo-
ka. Ujrzelśmy niewielki, ciemny otwór. Wsunąłem do niego ramię i po-
machąłem dłonią. W środku było pusto. Po chwili włożyła w czarną dziu-
rę rękę Helen i skierowała palce w bok, gdzie po naszej stronie widniał
wizerunek smoka.

»Paul!« - wykrzyknęła zduszonym szeptem.

Ponownie sięgnąłem do otworu i tym razem wymacałem klamkę, wielką klamkę wykutą z żelaza. Kiedy ją nacisnąłem, płyta za smokiem odsunęła się łagodnie, nie uszkadzając otaczających ją kamieni ani znajdującego się nad nią stopnia. Był to wytwór najwyższej sztuki kamieniarstwa. Żelazna klamka miała kształt rogatej bestii i po jej naciśnięciu wejście natychmiast się otwierało. Dalej ciągnęły się wąskie, kamienne schody. Helen sięgnęła po drugą świecę, a ja po pudełko zapalek. Jak robaki wpełzliśmy do środka - przypomniałem sobie nagle pokancerowane dłonie i twarz Rossiego oraz jego potarganą odzież. Zastanawiałem się, ile razy był wleczony przez ten wąski otwór. Niebawem mogliśmy już wyprostować się na schodach wiodących pod ziemię.

W twarze uderzył nas podmuch zimnego, wilgotnego powietrza. Gdy schodziliśmy stromo w podziemną otchłań, walczyłem z wewnętrznym dygotem i ścisnąłem dłoń Helen. Ją również przeszywały dreszcze. Liczące piętnaście stopni schody kończyły się pogrążonym w piekielnym mroku korytarzem. W świetle świecy ujrzeliśmy jednak na ścianach żelazne kuny. Kiedyś zapewne płonęły w nich pochodnie. Korytarz ponownie kończył się schodami - też naliczyłem piętnaście stopni. Stanęliśmy przed masywnymi drzwiami wykonanymi z pociemniałego ze starości drewna. U dołu zaczynało już butwieć. Znów ujrzeliśmy klamkę ozdobioną upiornym, wykutym w żelazie wizerunkiem bestii uzbrojonej w długie rogi. Kiedy Helen wyjęła pistolet, poczułem się pewniej. Drzwi były zamknięte na głucho. Zacząłem je dokładnie badać. Szybko znalazłem masywny rygiel. Całym ciężarem swego ciała naparłem na zasuwę, a następnie pchnąłem drzwi. Otworzyły się powoli z dźwiękiem, który *zmroził* mi krew w *żylach*.

W nikłym blasku naszych świec ujrzeliśmy rozległą komnatę. Nieopodal drzwi znajdowały się stoły - długie, masywne, starodawne stoły - oraz puste półki na książki. W porównaniu z korytarzem powietrze w podziemnej komorze było wyjątkowo suche, jakby działała tam jakaś ukryta wentylacja. Przytuleni do siebie bacznie nasłuchiwalismy, ale otaczała nas martwa cisza. Gorąco pragnąłem przeniknąć wzrokiem czające się wokół nas ciemności. Z mroku wyłonił się wieloramienny kandelabr

z wypalonymi do połowy świecami. Natychmiast wszystkie je pozapalałem. Ujrzeliśmy wysokie szafy. Zajrzałem ostrożnie do jednej z nich. Była pusta.

»Czy to biblioteka? - zapytałem cicho. - Ale przecież nic tutaj nie ma«.

Znów zastygliśmy w bezruchu, bacznie nasłuchując. Pistolet Helen błyszczał w jasnym, migotliwym świetle świec. Właściwie to ja powinienem go trzymać i w razie potrzeby zrobić z niego użytek, ale nie umiałem posługiwać się bronią palną. A Helen, jak się sam przekonałem, była wyborowym strzelcem.

»Popatrz, Paul«.

Wolną ręką wskazała na coś, co przykuło jej uwagę.

»Helen, ostrożnie« - powiedziałem ostrzegawczo, ale ona już ruszyła szybko do przodu.

Blask świecy wyłowił z ciemności wielki, kamienny stół... Nie, to wcale nie jest stół, ale ołtarz - pomyślałem po chwili, a w następnej sekundzie pojąłem, że stoimy przed sarkofagiem. Nieopodal stał inny. Czyżbyśmy trafili do przedłużenia klasztornej krypty, gdzie z dala od płonącego Bizancjum i katapult Osmanów spoczywali w pokoju opaci? I wtedy dostrzeżliśmy największy z tych grobowców. Na jego bocznej ścianie widniało jedno słowo wykute w kamieniu: DRACULA. Helen uniosła pistolet, a ja mocniej ścisnąłem w dłoni srebrny sztylet. Dała krok do przodu, ja trzymałem się za jej plecami.

W tej samej chwili gdzieś w oddali za naszymi plecami wszczął się tumult. Gwałtowny tupot nóg, szamotanina i przepychanka prawie zagłuszyły delikatny odgłos, jaki dobiegł z ciemności zalegających za grobowcem. Szelest przesypującej się, suchej ziemi. Jednocześnie rzuciliśmy się w stronę sarkofagu. Nie miał przykrywy i był pusty - podobnie jak pozostałe dwa grobowce. I ten dźwięk. Gdzieś w mroku przedzierało się przez korzenie rosnących na powierzchni ziemi drzew jakieś niewielkie stworzenie.

Helen wypaliła na osłep w mrok, skąd dobiegały dźwięki. Posypała się ziemia i drobne kamyczki. Oświetlając sobie drogę świecą, pobiegłem w tamtą stronę. Biblioteka kończyła się ślepą ścianą. Ze sklepionego sufitu zwieszały się korzenie drzew. W niszy, gdzie kiedyś zapewne stała ikona, dostrzegłem na kamiennym murze ciemne smugi oleistej substancji. Krew? Wilgoć przenikająca z powierzchni ziemi?

Z hukiem otworzyły się znajdujące się za naszymi plecami drzwi. Odwróciliśmy się gwałtownie w tamtą stronę. Cały czas ścisnąłem kurczowo dłoń Helen. W światło naszych świec wdał się jaskrawy blask latarki. Przed nami poruszały się jakieś cienie, rozległ się głośny krzyk. Z cienia wyłonił się Ranow, a za nim, rzucająca ruchome cienie na ściany, wysoka

postać Józsefa Gezy. Na pięty następował mu najwyraźniej przerażony brat Iwan. Za nim kroczył jakiś urzędnik w czarnym garniturze, w kapeluszu i z czarnymi włosami. Na końcu ujrzałem kolejną postać. Poruszała się powoli i niepewnie, najwyraźniej wstrzymując cały pochód. Stoiczew. Na jego twarzy malował się zmieszany wyraz strachu, żalu i ciekawości. Policzek przecinała długa, krwawa szrama. Przez dłuższą chwilę mierzył nas smętnym spojrzeniem starczych oczu, po czym poruszył ustami, jakby dziękując Bogu, że zastał nas żywych.

Geza i Ranow w ułamku sekundy znaleźli się przy nas. Nasz przewodnik wycelował we mnie broń, a Geza w Helen. Mnich stał bez ruchu, obserwując scenę z otwartymi ze zdumienia ustami. Stoiczew, czujny i spokojny, trzymał się na samym końcu. Przybrany w czarny garnitur urzędnik cały czas krył się w cieniu.

»Rzuć broń« - warknął Ranow i Helen posłusznie rzuciła pistolet na ziemię.

Czule objąłem ją ramieniem. W mrocznym świetle świec ich twarze, z wyjątkiem oblicza Stoiczewa, były bardziej niż złowieszcze. Odniosłem wrażenie, że gdyby stary profesor nie był aż tak przerażony, przesłałby nam serdeczny uśmiech.

»Co ty tu, do licha, robisz?« - zapytała Gezę Helen, zanim zdążyłem ją powstrzymać.

»Co ty, do licha, tu robisz, moja droga?« - odparł pytaniem.

Sprawa miała wyjątkowo, niż go zapamiętałem, miał na sobie jasną koszulę i spodnie podobnej barwy, a na nogach turystyczne buty. Podczas konferencji nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo go nie lubię.

»Gdzie on jest?« - warknął Ranow, przenosząc na mnie wzrok.

»Nie żyje - odparłem. - Przechodziliście przecież obok krypty. Musieliście go zobaczyć.«

»O czym pan mówi?« - zapytał Ranow, marszcząc brwi.

Coś, jakiś instykt, który zawdzięczałem Helen, powstrzymał mnie przed odpowiedzią.

»A o kogo panu chodzi?« - spytała lodowatym tonem Helen.

Geza wycelował w nią broń.

»Dobrze pani wie, Eleno Rossi. Gdzie jest Dracula?«

Na tak proste pytanie pozwoliłem pierwszej odpowiedzi Helen.

»Najwyraźniej tu go nie ma - odparła z największą pogardą. - Proszę sprawdzić grobowce.«

Na jej słowa urzędnik dał krok do przodu i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć.

»Pilnuj ich« - polecił Ranow Gezie, a sam czujnie ruszył między stoły.

Rozglądał się wokół, badając każdy napotkany przedmiot. Zrozumiałem, że nigdy jeszcze nie odwiedzał tego miejsca. Ubrany w ciemny garnitur urzędnik postępował za nim w milczeniu krok w krok. Kiedy dotarli do sarkofagów, Ranow uniósł latarkę i broń, po czym ostrożnie zajrzał do grobowca.

»Pusty« - stwierdził, odwracając głowę w kierunku Gezy. Zwrócił się w stronę dwóch pozostałych, mniejszych grobowców. - A to co? Pomóżcie mi«.

Urzędnik i mnich posłusznie ruszyli w jego stronę. Stoiczew niespiesznie ruszył ich śladem. Z nieodgadnionym wyrazem twarzy oglądał puste stoły i szafy. Nie miałem zielonego pojęcia, skąd się tu wzięły.

Ranow zaglądał do sarkofagów.

»Puste - oświadczył ponuro. - Nic w nich nie ma. Przeszukajcie komnatę. - Geza zaczął myszkować między stołami, zaglądać do każdej szafy, badać każdy załom ściany. - A może go widzieliście? Albo słyszeliście? - zwrócił się do nas z pytaniem.

»Nie« - odparłem mniej więcej zgodnie z prawdą.

Wmawiałem sobie, że jeśli tylko nie wyrządzą krzywdy Helen, jeśli ją wypuszczą, nasza wyprawa zakończy się sukcesem. Niczego innego nie pragnąłem. Czulem niewymowną wdzięczność wobec Rossiego za jego ostatnie przesłanie.

Geza mruknął coś pod nosem po węgiersku. Musiało być to jakieś szpetne przekleństwo, gdyż Helen, mimo wycelowanej w nią broni, lekko się uśmiechnęła.

»To bez sensu. Wszystkie grobowce są puste - oświadczył. - A on już tu nigdy nie wróci, skoro grób w krypcie jest pusty«.

Przez chwilę przetrawiałem jego słowa. Grób w krypcie jest pusty? Zatem gdzie podziało się ciało Rossiego, które tam zostawiliśmy?

Ranow odwrócił się do Stoiczewa:

»Niech pan nam powie, co tu się naprawdę dzieje?« - spytał.

Opuścili wreszcie broń, a ja przytuliłem do siebie Helen. Geza obrzucił mnie ponurym spojrzeniem, ale nie odezwał się słowem.

Stoiczew, jakby oczekiwał tej chwili, sięgnął ochoczo po latarkę. Podszedł do najbliższego stołu i zabębnił palcami po jego blacie.

»To chyba dąb, a sam stół pochodzi ze średniowiecza - oświadczył cicho. Zerknął pod blat, po czym popatrzył w stronę szafy. - Ale o tym meblu mogę powiedzieć niewiele.«

Czekaliśmy pogrążeni w milczeniu. Geza ze wściekłością kopnął *nogę stołu*.

»I co mam powiedzieć w Ministerstwie Kultury? Przecież ten Wołoch należy do nas. Był więziony na Węgrzech, a jego kraj należał do nas.«

»Nie musimy się kłócić o to, gdzie go znajdziemy« - warknął Ranow.

Dotarło nieoczekiwanie do mnie, że rozmawiają po angielsku i serdecznie się nie znoszą. W tej samej chwili uświadomiłem sobie też, kogo Ranow mi przypomina. Jego toporne rysy i gęsty czarny wąs do złudzenia przypominały mi fotografię młodego Stalina, którą kiedyś oglądałem. Jednak ludzie pokroju Ranowa czy Gezy czynili niewielkie szkody z tego względu, że mieli niewielkie wpływy.

»Powiedz swojej ciotce, by bardziej uważała z rozmowami telefonicznymi - Geza obrzucił ją nienawistnym spojrzeniem. Poczułem, że Helen zeszytywniała. - Niech twój przekłety mnich pilnuje tego miejsca - dodał pod adresem Ranowa, który wydał stosowne polecenie.

Nieszczęsny brat Iwan zadrzał. W tej samej chwili światło latarki Ranowa padło nieoczekiwanie w inną stronę. Oświetliło twarz przybranego w ciemny garnitur i kapelusz drobnego urzędnika, który, stał w milczeniu obok pustego sarkofagu Draculi. Zapewne nie zwróciłbym na niego uwagi, gdyby światło latarki Ranowa nie oświetliło jego osobliwej twarzy. *Wyraźnie ujrzałem zapadłą twarz, wąsy i znajomy błysk oczu.*

»Helen! - wrzasnąłem. - Popatrz!«

Kobieta wytrzeszczyła oczy.

»O co chodzi?« - Geza odwrócił się gwałtownie w jej stronę.

»Ten człowiek!... - wykrzyknęła przerażona. - Ten człowiek tam... To...«

»To wampir - oświadczyłem beznamiętnie. - Podąża za nami aż z uniwersytetu w Stanach Zjednoczonych.«

W tej samej chwili stwór zaczął uciekać. Próbował nas wyminąć. Przechytrzył Gezę, który próbował go złapać, ale Ranow był szybszy. Zderzył się z bibliotekarzem, chwycił go wpół, po czym z krzykiem od-

skoczył, a bibliotekarz podjął ucieczkę. Ranow błyskawicznie się odwrócił i zaczął strzelać do znajdującej się już kilkanaście metrów od niego postaci. Ale z równie dobrym skutkiem mógł strzelać w powietrze. Upiorny bibliotekarz zniknął - zniknął tak nagle, że nie byłem pewien, czy w ogóle pojawił się w tych podziemnych lochach. Ranow ruszył za nim, lecz szybko wrócił. Gapiliśmy się na niego jak sroki w gnat. Twarz miał bladą, a kiedy sięgnął do swojej potarganej marynarki, spod palców wypłynęła mu strużka krwi. Popatrzył na nas i zapytał drżącym głosem:

»0 co w tym wszystkim chodzi?«

»Wielki Boże! -jęknął Geza. - On cię ugryzł. - Cofnął się gwałtownie od Ranowa. - A ja kilkakrotnie byłem z tym'małym człowieczkiem sam na sam. Powiedział mi, gdzie znajdę Amerykanów, ale nie zająknął się słowem, że jest...«

»Pewnie, że nic ci nie powiedział - odezwała się pogardliwie Helen, choć próbowałem ją uspokoić. - Szukał nas dla swego pana. Ciebie wcale nie chciał zabijać. W ten sposób byłeś mu bardziej użyteczny. Czy przekazał ci nasze notatki?«

»Zamknij się«.

Geza sprawiał wrażenie, że chce ją uderzyć, ale w jego głosie wyczułem straszliwy lęk i po prostu odsunąłem Helen.

»Idziemy stąd - powiedział Ranow, wskazując drogę lufą pistoletu. Drugą dłoń przyciskał do krwawiącego ramienia. - Niewiele mi pomogliście. Pragnę jedynie zawieźć was do Sofii i jak najszybciej wsadzić do samolotu. Macie szczęście, że nie dostaliśmy polecenia, abyście zaginęli bez śladu, ale to byłoby dla nas bardzo niezręczne.«

Odniosłem wrażenie, że chce nas kopnąć, tak jak Geza kopnął nogę stołu, ale on tylko w szorstki sposób wyprowadził nas z biblioteki. Przodem puścił Stoiczewa. Z bólem serca myślałem, co sędziwy profesor przeżył, kiedy zmuszono go do pościgu za nami. Najwyraźniej Stoiczew nie podejrzewał, iż naszym tropem pójda agenci. Żaloszny wyraz jego twarzy mówił o tym najdobitniej. Czy wrócił do Sofii i tam dopiero zmuszono go do kolejnej podróży? Miałem tylko nadzieję, że międzynarodowa sława uchroni naukowca - tak jak już wielokrotnie w przeszłości - od dalszych szyskan. Ale Ranow... to było w tym wszystkim najgorsze. Zainfekowany Ranow wróci do swych obowiązków w tajnej policji. Zastanawiałem się chwilę, czy Geza nie powinien coś z tym zrobić, ale widząc jego odpychający wyraz twarzy, nie odważyłem się zwracać do niego o pomoc.

W drzwiach odwróciłem się, by po raz ostatni popatrzeć na księżący sarkofag spoczywający tam od blisko pięciuset lat. Jego mieszkaniec mógł w obecnej chwili przebywać wszędzie lub zmierzać dokądkolwiek. Na górze schodów przepelzliśmy przez wąski otwór - miałem nadzieję, że żaden z pistoletów przypadkowo nie wypali. W krypcie ujrzałem przedziwny widok. Stojący na podwyższeniu relikwiarz świętego Petka był otwarty. Włamywacze musieli dysponować narzędziami, jakich nam zabrakło. Marmurowa płyta, na której spoczywał, leżała na swoim miejscu. Przykrywała ją bogato wyszywana kapa. Helen przesłała mi tępe spojrzenie. Kiedy mijaliśmy relikwiarz, zerknąłem przelotnie do środka. Dostrzegłem kilka kości i lśniącą czaszkę - wszystko, co zostało po miejscowym męczenniku.

Przed kościołem, w głębokim nocnym mroku, stało wiele samochodów, wokół których roili się ludzie - najwyraźniej Geza pojawił się w otoczeniu całej świty. Drzwi świątyni strzegło dwóch jego ludzi. Tędy Dracula na pewno nie uciekł - pomyślałem. Wokół nas majaczyły góry, ciemniejsze niż nocne niebo. Nieopodal tłoczyli się mieszkańcy wioski, którzy przybyli przed kościołem z pochodniami. Na widok Ranowa cofnęli się gwałtownie. Wytrzeszczali oczy na jego rozdartą, zakrwawioną marynarkę. A migotliwy blask pochodni oświetlał ich spięte twarze.

Poczułem na ramieniu dotyk dłoni Stoiczewa, który przysunął głowę do mego ucha.

»Zamknęliśmy go« - szepnął.

»Słucham?« - Pochyliłem się w jego stronę.

»Wraz z mnichem pierwsi weszliśmy do krypty, podczas gdy tamte zbiry przeszukiwały lasy i kościół, tropiąc wasze ślady. Ujrzałem w grobie człowieka - ale nie Draculę. Od razu wiedziałem, że tu byliście. Zamknęliśmy grobowiec, a wtedy nadeszli tamci i tylko otworzyli relikwiarz. Byli tak rozwścieczeni, że w pierwszej chwili myślałem, iż porzrucają nieszczęsne kości świętego. - Brat Iwan rzeczywiście sprawiał wrażenie bardzo krzepkiego mężczyzny. Pomyślałem, że i profesor Stoiczew, wbrew pozorom, musiał być człowiekiem obdarzonym niemałą siłą fizyczną. Popatrzył na mnie przenikliwie. - Ale kim był ten człowiek w grobowcu, jeśli mogę...?«

»To był profesor Rossi« - szepnąłem, kiedy Ranow otwierał drzwi samochodu, którym mieliśmy wrócić do Sofii.

Stoiczew przesłał mi tylko szybkie, wymowne spojrzenie.
»Tak mi przykro«".

„I tak opuściliśmy naszego najdroższego przyjaciela w Bułgarii, który wkrótce odszedł. Niech spoczywa w pokoju”.

75

„Po przygodzie w krypcie salon Bory wydawał się rajem na ziemi. Z niewysłowioną ulgą siedzieliśmy z filizankami parującej, wonnej herbaty w dłoniach - choć był już czerwiec, na dworze od tygodnia panował niespotykany chłód - a Turgut, rozparty na poduszkach rozłożonych na kanapie, spoglądał na nas z uśmiechem. Helen przy wejściu do domu zdjęła buty i nałożyła ozdobne, czerwone pantofle, które przyniosła jej pani Bora. Towarzyszył nam też Selim Aksoy. Siedział milcząco w kącie, ale Turgut zapewnił nas, że zarówno on, jak i pani Bora, doskonale rozumieją naszą rozmowę, prowadzoną po angielsku.

»Czy jesteście pewni, że grobowiec był pusty?« - zapytał natychmiast Turgut.

»Całkowicie - odparłem, spoglądając na Helen. - Nie jesteśmy pewni, czy naprawdę coś usłyszeliśmy. Czy był to Dracula? Wszystko spowiadał mrok«.

»Jeśli legendy mówią prawdę, mógł zmienić kształt. - Ciężko westchnął. - Jego przekłętę oczy! Przyjaciele, byliście bliscy schwytania go. Bliżej niż kiedykolwiek udało się to przez pięćset lat Gwardii Półksiężycy. Jestem rad, że żyjecie, ale jednocześnie niewymownie mi przykro, iż nie udało się wam go zniszczyć«.

»Dokąd, twoim zdaniem, się udał?« - zapytała Helen, przewiercając go swoimi czarnymi oczyma.

»Cóż, moja droga... - odezwał się zamyślonym głosem, drapiąc się po brodzie. - Nie mam najmniejszego pojęcia. Potrafi przemieszczać się szybko i daleko. Może być blisko lub na drugiej półkuli. Z pewnością w jakimś starożytnym miejscu - miejscu nieniekuszonej od stuleci. Opuszczenie monasteru Sveti Georgi musiało stanowić dla niego cios, ale zrozumiał, że tam nie ma już dla niego miejsca. Dałbym odciąć sobie prawą rękę, by dowiedzieć się, czy przebywa gdzieś, w Bułgarii lub

w którymś z ościennych państw. Jestem przekonany, że granice i polityka nie stanowią dla niego żadnego problemu».

Turgut zmarszczył swoją sympatyczną twarz.

»Nie myślisz chyba, że podąża naszym tropem?« - zapytała cicho Helen.

Sądząc po wyrazie jej twarzy, wywnioskowałem, że pytanie to kosztowało ją wiele wysiłku. Turgut potrząsnął głową.

»Mam nadzieję, że nie, madame profesor. Moim zdaniem boi się was. Ostatecznie odszukaliście go tam, gdzie nikt inny nie dotarł«.

Helen milczała. Nie podobał mi się wyraz wątpliwości malujący się na jej twarzy. Selim Aksoy i pani Bora spoglądali na nią z wyjątkowym współczuciem. Zapewne zastanawiali się, jak mogłem ją w to wszystko wplątać.

Turgut popatrzył w moją stronę.

»Strasznie przykro mi z powodu twego przyjaciela Rossiego. Tak bardzo chciałbym się z nim spotkać«.

»Z całą pewnością byście się polubili« - powiedziałem szczerze, biorąc Helen za rękę.

W oczach kobiety stanęły łzy. Jak zawsze, kiedy padało nazwisko jej ojca.

»Chciałbym też osobiście poznać profesora Stoiczewa« - dodał z zadumą, odstawiając na miedzianą tacę filiżankę z resztką herbaty.

»To byłoby wspaniale - powiedziałem z uśmiechem, wyobrażając sobie dwóch naukowców wymieniających notatki ze swoich prac. - Wyjaśnilibyście wszystkie interesujące was obu problemy dotyczące Imperium Osmańskiego i średniowiecznych Bałkanów. Może kiedyś się spotkacie«.

Turgut potrząsnął przecząco głową.

»Nie sądzę. Dzielą nas wielkie bariery, wysokie i kolczaste - jak cara

i paszę. Ale jeśli się jeszcze z nim spotkasz lub będziesz do niego pisać, przekaż mu ode mnie wyrazy uszanowania«.

Selim Aksoy chciał, by Turgut o coś nas zapytał. Turecki profesor dłuższą chwilę słuchał go z poważną twarzą.

»Zastanawiamy się, czy pośród niebezpieczeństw i chaosu, jakie panowały w krypcie, znaleźliście księgę, o której wspomniał profesor Rossi. Chodzi o żywot świętego Jerzego. A może Bułgarzy zabrali ją do uniwersyteckiej biblioteki w Sofii?«

Helen wybuchnęła zdumiewająco dziewczęcym śmiechem, a ja z najwyższym trudem powstrzymałem się, aby jej nie ucałować na oczach zebranych. Było to jej pierwszy śmiech od chwili, kiedy opuściliśmy grób Rossiego.

»Mam ją w teczce - powiedziałem. - Chwileczkę«.

Turgut gapił się na nas przez dłuższą chwilę, po czym wdał się w rozmowę z Aksoyem i swoją żoną.

»Jak udało sięj wam odnaleźć?«

Milcząca Helen uśmiechała się tylko tajemniczo, więc sprawę wyjaśniłem ja.

»Przypomniałem sobie o niej dopiero w Sofii, w hotelu«.

Ale nie mogłem przecież powiedzieć im całej prawdy, więc podałem wersję złagodzoną.

A prawda przedstawiała się tak: Kiedy wreszcie zostawiono nas w pokoju Helen samych na dziesięć minut, wziąłem ją w ramiona, pocałowałem jej smolście czarne włosy, a następnie, nie zważając na nasze brudne ubrania, z miłością przytuliłem do siebie. Czuję nie tylko wielką ulgę, że uszliśmy z życiem, że mogę tulić do siebie Helen i podziwiać jej urodę, lecz również coś bardzo zaniepokoiło mnie w kształcie jej ciała. Było to coś twardego, kanciastego. Odsunąłem się i obrzuciłem ją baczny spojrzeniem. Ona przesłała mi kpiarski uśmiech. Położyła palec na ustach, dając mi znak, bym nie odzywał się słowem. Oboje wiedzieliśmy, że pokój z pewnością jest na podsłuchu.

Po chwili położyła mi dłoń na guzikach swej brudnej i wygniecionej bluzki. Rozpiąłem je bez namysłu. W tamtych czasach damska bielizna była znacznie bardziej skomplikowana niż dzisiaj, pełna sekretnych drutów, haczyków i osobliwych przegródek - wewnętrzna zbroja. Wyciągnąłem owiniętą w chustkę do nosa, ogrzaną ciepłem ciała kobiety książkę. Nie było to wielkie tomiszcze, jak sobie wyobraziłem, słuchając słów Rossiego. Wolumin mieścił się łatwo w rękę. Jego wykonaną z drewna i barwionej skóry oprawę zdobiły bogate złocenia oraz cała gama drogich kamieni: szmaragdów, rubinów, szafirów, lapis-lazuli, przepięknych pereł otaczających widniejący pośrodku wizerunek oblicza świętego. Delikatne, bizantyjskie rzyzy sprawiały wrażenie, jakby namalowano je zaledwie kilka dni wcześniej, a nie przed wiekami. Zdawał się spoglądać prosto na mnie swymi wielkimi, smutnymi oczyma. Nad nimi rysowały się wysokie łuki brwi, nos miał długi i prosty, a usta skrzywione w surowym gry-

masie. Portret był pełen życia i realizmu, jakiego nigdy jeszcze nie spotkałem w sztuce bizantyjskiej. Do złudzenia przypominał malarstwo Rzymian. Gdyby nie mój zachwyt nad twarzą Helen, mógłbym śmiało powiedzieć, że piękniejszego oblicza nie widziałem w życiu. Było ludzkie, a jednocześnie niebiańskie - niebiańskie, a jednocześnie ludzkie. Na kołnierzu szaty świętego widniały wypisane precyzyjnym pismem jakieś słowa.

»To po grecku - tchnęła mi w ucho Helen. - Święty Jerzy«.

W środku znajdowały się pergaminowe strony zachowane w stanie niemal idealnym. Pokrywało je przepiękne, ręczne, również greckie pismo. Na niektórych z nich widniały ilustracje: święty Jerzy wbijający włócznię w paszczę wijącego się smoka, z gromadą obserwujących to szlachciców; święty Jerzy otrzymujący złotą koronę z ręki Chrystusa, który przekazuje ją ze swego niebieskiego tronu; święty Jerzy na łożu śmierci oplakiwany przez anioły o czerwonych skrzydłach. Miniatury wykonane zostały z zadziwiającą precyzją. Helen pokiwała głową i znów przysunęła mi do ucha usta.

»Nie jestem ekspertem - szepnęła ledwo słyszalnie - ale sądzę, że książkę tę napisano dla cesarza Konstantynopola. A ta pieczęć to herb późniejszych cesarzy«.

Na wewnętrznej stronie okładki namalowano dwugłowego orła: ptak spoglądał zarówno za siebie, w pełną chwały przeszłość Bizancjum, jak

i do przodu, w jego niezmierną przyszłość. Ale wzrok ptaka nie był na tyle bystry, by dostrzec najazd nowobogackich niewiernych i upadek cesarstwa.

»Znaczy to, że książka pochodzi z pierwszej połowy piętnastego wieku - szepnąłem. - Jeszcze sprzed podboju«.

»Moim zdaniem jest znacznie starsza - odparła Helen, dotykając delikatnie pieczęci. - Mój ojciec... mój ojciec powiedział, że jest bardzo stara. Widzisz, to są insygnia Konstantyna Profirogenety. Rzadził... - Przez chwilę usilnie grzebała w pamięci. - Tak, w pierwszej połowie dziesiątego wieku. Sprawował władzę jeszcze przed ufundowaniem Monasteru Bączkowskiego. Orła musiano domalować później«.

»Uważasz, że książka ma ponad tysiąc lat? - Trzymając wolumin delikatnie w rękach, usiadłem na skraju łóżka obok Helen. Nie odzywaliśmy się słowem. Głównie porozumiewaliśmy się wzrokiem. - Jest w stanie prawie idealnym - wyszeptałem w końcu. - I zamierzasz wywieźć

nielegalnie taki skarb z Bułgarii? Helen, chyba straciłaś rozum! Poza tym zabytek ten należy do narodu bułgarskiego».

Pocałowała mnie, odebrała książkę i otworzyła ją.

»To jest prezent od mego ojca - wyszeptła. Po wewnętrznej stronie okładki znajdowała się skórzana kieszonka. Helen delikatnie sięgnęła do jej wnętrza. - Czekałam z przeczytaniem tego do chwili, gdy będziemy mogli to zrobić razem«.

Wyciągnęła plik cieniutkich kartek pokrytych gęsto maszynowym pismem. Oboje w milczeniu zaczęliśmy czytać rozzierający dziennik Rossiego. Kiedy skończyliśmy lekturę, długo siedzieliśmy w milczeniu. W oczach błyszczały nam łzy. W końcu Helen ponownie zawinęła książkę w chustkę i ukryła ją pod bielizną.

Turgut uśmiechnął się, kiedy skończyłem swoją uproszczoną wersję historii.

»Ale jest jeszcze jedna ważna rzecz, o której muszę ci powiedzieć« - mruknąłem.

Opisałem upiorne uwięzienie Rossiego w bibliotece. Słuchali z uwagą. Mieli poważne i nieruchome twarze. Kiedy oznajmiłem, że Dracula ma informacje o istniejącej wciąż gwardii, którą sformował sułtan, by go tropić, Turgut ze świstem wciągnął powietrze w płuca.

»Przykro mi« - powiedziałem cicho.

Szybko przetłumaczył moje słowa Selimowi, który pochylił głowę i powiedział coś cicho.

»Mówi, że sprawa jest niebywale delikatna. W wyniku otrzymanych od was strasznych wiadomości musimy zewrzeć nasze szeregi i jeszcze usilniej tropić wszelkie ślady Draculi w naszym mieście. Pełen Chwały, Ucieczka Przed Złem Świata, gdyby żył, tak właśnie kazałby nam postępować. Co zamierzacie zrobić z książką po powrocie do domu?«

»Mam znajomości w domach aukcyjnych - wyjaśniłem. - Oczywiście zachowamy jak najdalej posuniętą ostrożność i odczekamy jakiś czas. Jakiś muzeum, wcześniej czy później, z pewnością zakupi tę książkę«.

»A pieniądze? - zainteresował się Turgut, - Co zrobicie z taką masą pieniędzy?«

»Myśleliśmy i o tym. Przeznaczymy je na jakiś zbożny cel. Nie wiemy jeszcze jaki«.

Samolot do Nowego Jorku mieliśmy o siedemnastej. Pod koniec obfitego jak zwykle posiłku Turgut zerknął na zegarek.

Tego popołudnia miał jednak wykłady... niestety... szkoda... ale na lotnisko odwiezie nas taksówką Aksoy. Kiedy wstaliśmy od stołu, pani Bora przyniosła przepyszny, jedwabny, kremowej barwy szal szamerowany srebrem i zarzuciła go na ramiona Helen. Ukrył wygnieciony, czarny żakiet i brudny kołnierzyk jej bluzki, a my wydaliśmy stłumiony okrzyk zdumienia. Jej twarz ponad szalem przypominała oblicze cesarzowej.

»To na dzień twego ślubu« - oświadczyła pani Bora, wspinając się na czubki palców, by ucałować Helen w policzek.

Natomiast Turgut pocałował Helen w dłoń.

»W rękę całowałem tylko moją matkę« - powiedział prosto.

Helen nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wyryczyłem ją w tym, potrząsając dłońmi gospodarzy. Będziemy do siebie pisać. Będziemy o sobie myśleć. Przed nami otwierało się nowe, długie życie. Z pewnością jeszcze się spotkamy".

76

„Ostatnia część mojej relacji jest najtrudniejsza do przekazania, ponieważ na przekór wszystkiemu wtedy właśnie zacząłem być szczęśliwy. Wróciliśmy na uniwersytet i podjęliśmy studia. Jeszcze raz przesłuchała mnie policja, ale w przekonujący sposób wyjaśniłem, że mój zagraniczny wyjazd miał związek wyłącznie z prowadzonymi przeze mnie badaniami, a nie ze zniknięciem Rossiego. Gazety długo rozwodziły się nad tym tajemniczym zdarzeniem, robiąc z niego lokalną sensację, ale uniwersytet zachowywał kamienne milczenie. Dziekan również wziął mnie na spytki, ale wyraziłem jedynie mój najgłębszy żal po stracie kogoś takiego jak Rossi. Jesienią pobraliśmy się w bostońskim kościele moich rodziców - ale nawet w trakcie samej ceremonii nie potrafiłem nie zauważyć, jak bardzo jest bezbarwna i prosta, pozbawiona nawet upojnych woni kadzidłanych dymów.

Moi rodzice byli nieco zdumieni rozwojem wypadków, ale bardzo szybko polubili Helen. Kiedy odwiedzaliśmy ich w Bostonie, Helen wiele czasu spędzała z moją matką w kuchni, gdzie w serdecznej atmosferze uczyła ją przyrządzania węgierskich potraw lub też prowadziła długie rozmowy o antropologii z moim ojcem w jego ciasnym gabinecie. Jeśli

chodzi o mnie, to choć nieustannie czułem ból po stracie Rossiego, a Helen często ogarniała melancholia, wspominam ten rok jako jedno długie pasmo szczęścia i radości. Pod kierunkiem innego promotora, którego twarzy nawet nie pamiętam, skończyłem doktorat. Co prawda holenderscy kupcy zupełnie przestali mnie interesować, jednak chciałem zakończyć rozpoczęte dzieło, a następnie osiedlić się z Helen w jakiejś uroczej okolicy. Moja żona opublikowała wkrótce długi artykuł o przesądach w wołoskich wioskach, który uzyskał doskonałe recenzje i stanowił początek jej doktoratu na temat pozostałości transylwańskich obyczajów na Węgrzech.

Natychmiast po powrocie do Stanów napisaliśmy list do matki Helen oraz bardziej niż ogólnikowy do ciotki Evy. Helen bała się pisać obszerniej, więc powiadomiła tylko matkę, że Rossi umarł, ale do końca ją pamiętał i kochał. Helen z rozpaczą zakleiła kopertę.

»Pewnego dnia osobiście jej o wszystkim opowiem. Wyznam jej całą prawdę«.

Nigdy nie dowiedzieliśmy się, czy listy doszły, gdyż ani od Evy, ani od matki Helen nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Po roku wojska sowieckie wkroczyły na Węgry.

Z całego serca pragnąłem rozpocząć normalne, szczęśliwe życie i wkrótce po ślubie zapytałem Helen, czy chciałaby mieć dzieci. Początkowo pokręciła odmownie głową i dotknęła delikatnie blizny na szyi. Wiedziałem, co ma na myśli. Oświadczyłem jednak, że jej obrażenia są minimalne, a ona jest młodą, silną i zdrową kobietą. W miarę upływu czasu jednak, gdy rana całkowicie się zagoiła, zauważyłem, że Helen z coraz większą tęsknotą w oczach spogląda na wózki z dziećmi, które mijaliśmy na ulicy.

Helen uzyskała doktorat z antropologii na wiosnę, w rok po naszym ślubie. Jej pracowitość i tempo, w jakim pisała pracę, prawie mnie zawstydzaly. Często, kiedy budziłem się o piątej nad ranem, ona już siedziała przy swoim biurku. Była blada i sprawiała wrażenie wyczerpanej. W nocy, po obronie pracy doktorskiej, obudziłem się w łóżku zalanym krwią. Obok mnie leżała Helen, półprzytomna, z wyrazem strasznego bólu na twarzy. Poroniła. O niczym mi wcześniej nie wspominała, chcąc w ostatniej chwili zaskoczyć mnie dobrą wiadomością. Chorowała przez kilka następnych tygodni - posepna i małomówna. Jej praca uzyskała najwyższe z możliwych noty, ale nigdy o tym nie mówiła.

Kiedy zdobyłem posadę wykładowcy w Nowym Jorku, Helen przekonała mnie, że powinniśmy się przenieść do tego miasta. Zamieszkaliśmy na Brooklyn Heights w uroczym, starym domu z brązowego piaskowca. Odbywaliśmy długie spacery nadbrzeżną promenadą, obserwując holowniki wprowadzające do portu ogromne liniowce pasażerskie - ostatnie już statki tej klasy - które przybywały z Europy. Helen, podobnie jak ja, wykladała na uniwersytecie. Studenci wprost ją uwielbiali. Nasze życie wróciło do cudownej harmonii - żyliśmy, robiąc to, co lubiliśmy najbardziej.

Od czasu do czasu sięgaliśmy po *Żywot świętego Jerzego* i powoli kartkowaliśmy książkę. Pewnego dnia udaliśmy się z nią do dyskretnego domu aukcyjnego. Wolumin sprzedaliśmy w prywatne ręce, ale ostatecznie trafił do Cloisters* na górnym Manhattanie. Na nasze konto wpłynęła oszałamiająca wręcz kwota. Helen, podobnie jak ja, nie lubiła wystawnego życia, więc poza przesyłaniem drobnych kwot dla jej krewnych na Węgrzech, pozostawiliśmy tę fortunę na koncie.

Drugie poronienie Helen było bardziej dramatyczne niż pierwsze i o wiele bardziej niebezpieczne. Pewnego dnia wróciłem do domu, gdzie na parkiecie w holu odkryłem krwawe ślady stóp. Helen jednak zdążyła wezwać na czas pogotowie i kiedy dotarłem do szpitala, zagrożenie dla jej życia minęło. Ale później wspomnienia owych krwawych tropów wyrywały mnie ze snu w środku nocy. Zacząłem obawiać się, że nie będziemy mieć nigdy dzieci, i zastanawiałem się, jaki efekt wywrze to na Helen. Ale znów zaszła w ciążę. Nerwowo mijały miesiące, ale nie było żadnych komplikacji. Wzrok Helen nabrał łagodności oczu Madonny, jej sylwetka pod niebieską, wełnianą sukienką zaokrągliła się, krok miała chwiejny. Ale cały czas uśmiechała się i była dobrej myśli. »To dziecko urodzi się żywe« - mówiła.

Urodziłaś się w szpitalu, którego okna wychodzą na rzekę Hudson. Kiedy ujrzałem Twoje czarne włoski i przepiękny zarys brwi, taki sam jak u Twojej matki, z której oczu płynęły łzy szczęścia i bólu, uniosłem Cię zawiniętą w kokon pieluszek, by pokazać przepływające w dole statki. Sam byłem bliski płaczu. Nadaliśmy Ci imię Twojej matki.

Helen była tobą wręcz zafascynowana. Chce, żebyś wiedziała, że Ty tylko nadawałaś ton i sens naszemu życiu. Twoja matka, po urodzeniu

* Sfinansowane przez Johna Rockefellera muzeum sztuki średniowiecznej.

dziecka, przerwała pracę i rozradowana całe dni spędzała w domu, bawiąc się Twoimi paluszkami i stopkami - twierdziła szelmowsko, że są całkowicie transylwańskie - lub bujała się z Tobą w fotelu na biegunach, który jej kupiłem. Ty nieustannie się śmiałaś, wodząc ciągle za nami wzrokiem. Czasami, kierowany impulsem, wyskakiwałem ze swego gabinetu w pracy i biegłem do domu, by upewnić się, że moje obie czarownice kobiety drzemią sobie bezpiecznie na szerokiej kanapie.

Pewnego dnia wróciłem do domu wcześniej, o szesnastej, przynosząc w firmowych pudełkach chińskie jedzenie, a Tobie bukiet kwiatów, żebyś sobie na nie patrzyła. W salonie nikogo nie zastałem. Helen pochylała się nad Twoim łóżeczkiem, a ty pogrążona byłaś w głębokim, spokojnym śnie. Twarz Twojej matki złana była łzami i przez dłuższą chwilę nie zauważyła nawet mojej obecności. Natychmiast wziąłem ją w ramiona, ale ona nie odpowiedziała na mój gest. Nie wyjaśniła, co ją trapi, a ja po kilku daremnych próbach zaprzestałem pytań. Wieczorem jednak wrócił jej humor i zachwycała się jedzeniem, które przyniosłem wraz bukietem goździków. W następnym tygodniu znów zastałem ją milczącą i całą we łzach. Przeglądała książkę Rossiego, którą mój profesor zadedykował mi tego dnia, kiedy rozpoczynaliśmy wspólną pracę. Było to opaste tomiszcze traktujące o cywilizacji minojskiej. Księgę trzymała na kolanach i wpatrywała się w wykonaną osobiście przez Rossiego fotografię ołtarza ofiarnego na Krecie.

»Gdzie jest dziecko?« - spytałem.

Uniosła powoli głowę i popatrzyła na mnie mętym wzrokiem, jakby nie pamiętała, który mamy rok.

»Śpi« - powiedziała po chwili.

Poczułem osobliwą, nagłą potrzebę udania się do Twego łóżeczka i sprawdzenia, co z Tobą jest.

»Kochanie, powiedz, o co chodzi?« - zapytałem, zabierając z jej kolan książkę.

Ale ona potrząsnęła tylko głową i nic nie odpowiedziała. Kiedy wszedłem do Twego pokoju, właśnie obudziłaś się w swoim łóżeczku. Uśmiechałaś się promiennie, klepałaś po brzuszku i wodziłaś za mną wzrokiem.

Niebawem Helen zaczęła zapadać każdego ranka w milczenie, a wieczorami płakała. Kiedy przestała się w ogóle do mnie odzywać, postanowiłem wysłać ją do lekarza. Najpierw do psychoanalityka. Doktor oświad-

czył, że z Twoją matką jest wszystko w porządku, a kobiety po porodzie często wpadają w melancholijny nastrój. Niebawem powinna wrócić do normy. Zbyt późno odkryłem, kiedy jeden z naszych przyjaciół natknął się na Helen w nowojorskiej bibliotece publicznej, iż wcale nie chodziła do psychoanalityka, którego jej załatwiłem. Gdy zapytałem o to Helen, oświadczyła, że prowadzi pewne bardzo istotne badania, a do dziecka załatwiła opiekunkę. Ale wieczorami wciąż pogrążona była w depresji, więc zdecydowałem, iż przyda się jej zmiana klimatu. Wyjąłem z naszego ogromnego konta trochę pieniędzy i wczesną wiosną poleciliśmy do Francji.

Helen nigdy nie była w tym kraju, choć wiele o nim słyszała i wybornie mówiła po francusku. Wyglądała uroczo, kiedy wędrowaliśmy przez Montmartre, a ona swym dawnym, złośliwym tonem mówiła, że Sacre Coeur jest brzydsza w swoim ogromie, niż sądziła. Uwielbiała chodzić z wózkami po targach, na których sprzedawano kwiaty, wzdłuż nabrzeży Sekwany, gdzie buszowaliśmy po straganach bukinistów, a ty spod swego czerwonego kapturka spoglądałaś na płynącą w dole rzekę. W wieku dziewięciu miesięcy byłaś już wytrawnym podróżnikiem, a Helen utrzymywała, że to tylko początek.

Konsjerżka domu, w którym mieszkaliśmy, sama była babcią wielu wnuków i wnuczek, więc zostawialiśmy ciebie pod jej opieką, gdy udawaliśmy się do pobliskiego baru na piwo lub kawę. Poza tym Helen - i Ty, ze swoimi oczkami jak guziczki - uwielbiałyście echa dochodzące z Notre Dame. Zapuszczaliśmy się dalej na południe, by obejrzeć Chartres i jej świetliste witraże, Albi i dziwaczny kościół twierdzą*, siedzibę heretyków, korytarze i krużganki Carcassone.

Helen zapragnęła odwiedzić starożytny monaster Saint-Mathieu-des-Pyrenees-Orientales. Postanowiliśmy zatem udać się tam na dzień lub dwa, a następnie wrócić do Paryża i odlecieć do Stanów. Podczas podróży z zadowoleniem stwierdziłem, że twarz Helen znów przybrała dawny, pogodny wyraz. Leżała na łóżku w naszym hotelowym pokoju w Perpignan i z uwagą studiowała książkę o francuskiej architekturze, którą nabyłem w Paryżu. Choć dobrze o tym wiedziałem, poinformowała mnie, że monaster wzniesiono w roku tysięcznym. Stanowił najstarszy zabytek architektury romańskiej w Europie.

* Palais de la Berbie - obronny pałac biskupi (XIII-XV w.).

»Jest prawie tak stary jak *Żywot świętego Jerzego*« - powiedziałem z zadumą.

Ale ona tylko zamknęła książkę, rozłożyła się na łóżku i popatrzyła na mnie łakomym wzrokiem.

Upała się, że do monasteru udamy się na piechotę, jak pielgrzymi. Wyruszyliśmy z Les Bains wczesnym, chłodnym, wiosennym porankiem. Kiedy zaczęło świecić słońce, ściągnęliśmy grube bluzy i owinęliśmy je wokół bioder. Helen dźwigała Cię w nosidelku zawieszonym na pierśsiach, a gdy była zmęczona, ja brałem Cię na rękę. O tej porze roku droga świeciła pustką. Minął nas tylko jeden wieśniak jadący konno. Zapytałem Helen, czy nie powinniśmy poprosić go, by nas podwiózł, ale ona tego ranka była w paskudnym nastroju. Z niepokojem zauważyłem, że od czasu do czasu jej oczy wypełniają się łzami. Wiedziałem, że jeśli o cokolwiek ją zapytam, ona tylko potrząśnie odmownie głową i odepchnie mnie od siebie. Tak zatem tuliłem Cię tylko czule do siebie i pokazywałem widoki, jakie otwierały się przed nami po każdym zakręcie drogi: rozległą panoramę pokrytych kurzem pól i leżących w dole wiosek. Na końcu górskiej ścieżki znajdował się niewielki placyk. Stały na nim dwa stare samochody i przywiązany do drzewa koń wieśniaka. Nad naszymi głowami piętrzył się monaster, jego masywne mury wieńczyły wierzchołek góry. Ruszyliśmy w stronę bramy, przy której czuwali mnisi.

W tamtych czasach monaster Saint-Matthieu był bardziej otwartym klasztorem. Mieszkało w nim dwunastu lub trzynastu zakonników, prowadzących życie zgodnie z regułą ich poprzedników sprzed tysiąca lat, z tym tylko, że musieli od czasu do czasu oprowadzać po świątyni turystów i pilnować ich samochodów zaparkowanych przed monasterem. Dwóch mnichów towarzyszyło nam, gdy zwiedzaliśmy przecudne klasztorne krużganki. Pamiętam swe zdumienie, kiedy doszedłem do końca otwartej galerii i ujrzałem pod nogami zawrotną, skalistą przepaść kończącą się het w dole dnem doliny. Nad monasterem wznosiły się wierzchołki gór jeszcze wyższe od tego, na którego zboczu przycupnął klasztor. Spowijały je białe welony wodospadów.

Usiedliśmy na ławce ustawionej tuż nad przepaścią. Spoglądaliśmy w przepastny błękit nieba i słuchaliśmy szumu wody w fontannie klasztoru, wykonanej z czerwonego marmuru. Bóg jeden wie, w jaki sposób ściągano tu wodę przed wiekami. Helen sprawiała wrażenie o wiele bardziej pogodnej. Z radością spostrzegłem na jej twarzy wyraz wesołości.

Jeśli nawet czasami ogarniały ją czarne myśli, to i tak nasza wyprawa była bardzo dużo warta.

Helen oświadczyła, że chce dokładnie obejrzyć klasztor. Zwiedziliśmy zatem kuchnię i długi refektarz, w którym mnisi gromadzili się na posiłki, hotel, gdzie na pielgrzymów czekały proste łóżka oraz skryptorium, jedną z najstarszych części kompleksu klasztornego. Tam właśnie kopiowano i iluminowano rękopisy. W szklanej gablocie znajdował się egzemplarz Ewangelii świętego Mateusza otwarty na stronie, której marginesy zdobiły wizerunki demonów. Obok znajdowała się kaplica. Była mała, jak wszystko w tym monasterze, ale jej proporcje stanowiły wręcz muzykę ucielesnioną w kamieniu. Nigdy nie spotkałem w sztuce romańskiej czegoś tak ślicznego i serdecznego. Zakupiony wcześniej przewodnik zapewniał, że absyda stanowiła jedną z najstarszych, romańskich konstrukcji, dzięki której na ołtarz zawsze pada światło. W ścianach mieściły się wąskie okna z czternastowiecznymi szybami, a sam ołtarz został wspaniale przystrojony na kolejną mszę: spowijała go czerwień i biel, lśniły złote świeczniki. Opuszczaliśmy kaplicę w milczeniu.

W końcu młody mnich, który oprowadzał nas po monasterze, oświadczył, że pozostała nam do zwiedzenia już tylko krypta. Ruszyliśmy za nim po schodach w dół. Był to niewielki, zimny i wilgotny loch wykopany pod klasztorem, interesujący przykład wczesnoromańskiej architektury: sklepiona piwnica o stropie wspartym na kilku przysadzistych filarach, z kamiennym sarkofagiem o posępnych ornamentach pochodzącym z pierwszego wieku istnienia monasteru. Nasz przewodnik poinformował nas, że spoczywa w nim pierwszy opat klasztoru. Obok grobowca siedział zatopiony w medytacjach podstarzały mnich. Na nasz widok, wyraźnie zmieszany, skinął uprzejmie głową, ale nie podniósł się z krzesła.

»Od stuleci panuje tu tradycja, że jeden z nas siedzi przy opacie - wyjaśnił przewodnik. - Zazwyczaj jest to jeden ze starszych mnichów, który piastuje tę godność do końca życia«.

»Niezwykłe« - powiedziałem.

Ale w tym miejscu było coś, zapewne wszechprzenikający chłód, co sprawiło, że zakwiliłaś i poruszyłaś się gwałtownie w nosidelku. Widząc, że Helen jest już zmęczona, wziąłem Cię na ręce, by wynieść na świeże powietrze. Z ulgą opuściłem ponury loch i ruszyłem ku wyjściu z klasztoru, by pokazać Ci fontannę.

Myślałem, że Helen natychmiast za nami ruszy, ale ona jeszcze długo

zwlekała w podziemiach, a kiedy wreszcie opuściła kryptę, miała tak zmienioną twarz, że aż się przeraziłem. Wydawała się niezwykle ożywiona - nie widziałem jej takiej od miesiący - a jednocześnie jej twarz spowijała niezwykle bladłość, a szeroko rozwarte oczy skupiały się na czymś, czego nie mogłem dostrzec. Podeszedłem do niej od niechcienia i zapytałem, czy zobaczyła w środku jeszcze coś ciekawego.

»Może - odparła nieobecny tonem, jakby moje pytanie zagłuszały szalejące jej pod czaszką myśli. Następnie gwałtownie zabrała Cię z moich rąk, przytuliła, i wreszcie pocałowała w główkę i policzki. - Czy z nią wszystko w porządku? Czyżby się czegoś przestraszyła?«

»Nic jej nie jest. Zapewne trzeba ją tylko nakarmić.«

Helen przysiadła na ławce, wyjęła butelkę i zaczęła Cię karmić, nucając jedną z tych piosenek, których nigdy nie rozumiałem - po węgiersku lub rumuńsku, nie wiem.

»To przepiękne miejsce - odezwała się po chwili. - Zostańmy tu jeszcze na kilka dni.«

»W czwartek wieczorem musimy być w Paryżu« - zaprotestowałem.

»Skoro uważasz, że musimy tak szybko wracać, zostawmy tu tylko na jedną noc, a jutro wcześniej rano zejdziemy do Les Bains i złapiemy powrotny autobus.«

Ponieważ wyglądała tak dziwnie, wdałem się w rozmowę z naszym przewodnikiem. Porozmawiał z przełożonym, a ten oświadczył, że nie mają obecnie gości i jesteście serdecznie witani. Między prostym obiadem a jeszcze skromniejszą kolacją pokazano nam kuchnię, wspaniały, różany ogród i rozciągający się poza murami klasztoru sad na stromych zboczach góry, a następnie wysłuchaliśmy mszy, podczas której Ty spałaś na kolanach Helen. Mnich przygotował nam prycze nakryte czystą szorstką pościelą. Kiedy już leżałaś na środkowej, zsunęliśmy łóżka tak, byś nie stoczyła się przez sen na ziemię, i zacząłem coś czytać, udając, że nie patrzę na Twoją matkę. Ubrana w czarny, jedwabny szlafrok, spoglądała w rozciągającą się za firankami noc. W pewnej chwili wstała, rozsunęła zasłony i zaczęła wyglądać przez okno.

»Jest ciemno, nic tam nie zobaczysz« - powiedziałem.

»Wiem, zawsze było tu tak ciemno« - odparła.

»Wracaj więc do łóżka.«

»Dobrze« - powiedziała z uśmiechem, podeszła do mnie i pocałowała w policzek.

Wziąłem w ramiona jej prężne ciało, rozkoszując się gładką skórą. Po chwili wyprostowała się i wróciła na swoje łóżko. Zapadła w sen, zanim skończyłem lekturę rozdziału i zgasilem światło.

O świcie obudził mnie podmuch chłodnego powietrza. Na szyi czułem Twój ciepły oddech. Prycza Helen była pusta. Bezszelestnie wstałem z łóżka. Nałożyłem buty i kurtkę. Klasztor i jego dziedziniec spowijał półmrok, przede mną zamajaczyła fontanna. Pomyślałem, że jeszcze dużo czasu upłynie, zanim otoczoną wyniosłymi górami świątynię oświetli słońce. Rozejrzałem się wokół. Nie wzywałem jeszcze głośno Helen, wiedząc, że lubi wstawać nad ranem. Zapewne siedziała na którejś z ławek, czekając na wschód słońca. Ale nigdzie jej nie znalazłem. Kiedy niebo już pojaśniało, stałem się bardziej nerwowy. Ruszyłem do ławki, na której siedzieliśmy poprzedniego wieczoru. Była pusta. Tylko z pograżonej w półmroku kaplicy dobiegała woń kadzidel.

Zacząłem wołać jej imię, najpierw cicho, później głośno, w końcu na całe gardło. Niebawem z refektarza, w którym mnisi spożywali swój pierwszy, milczący posiłek, wyłonił się jeden z nich i spytał, czy może mi w czymś pomóc. Wyjaśniłem, że zaginęła moja żona.

»Może madame poszła na spacer?«

Ale nie znaleźliśmy jej ani w sadzie, ani na parkingu, ani w mrocznej krypcie. Przeszukaliśmy cały klasztor, a kiedy wreszcie wzeszło słońce, jeden z mnichów zaoferował się, że pojedzie samochodem do Les Bains i tam jej poszuka. Poruszony do żywego, poprosiłem go, by wezwał policję. I wtedy dobiegł z hotelu Twój głośny płacz. Ruszyłem biegiem w obawie, że spadłaś z pryczy. Ale tylko się obudziłaś i byłaś głodna. Szybko Cię nakarmiłem i ponownie przeszukaliśmy cały klasztor.

W końcu poprosiłem, żeby zgromadzić wszystkich mnichów i dokładnie ich o wszystko wypytać. Opat natychmiast wyraził na to zgodę. Ale żaden z zakonników nie widział Helen od czasu, gdy po kolacji udaliśmy się do hotelu. Wszyscy byli bardzo zaniepokojeni.

»*La pauvre*« - powiedział stary mnich i bardzo mnie tym zirytował.

Spytałem, czy ktoś rozmawiał z Helen poprzedniego dnia lub zauważył coś dziwnego.

»Nasza reguła zabrania rozmawiać z kobietami« - wyjaśnił łagodnie opat.

Ale wystąpił stary mnich, ten, który pełnił posługę w krypcie. Twarz

miał spokojną i serdeczną, taką samą, jaką zapamiętałem z poprzedniego dnia - łagodną, a zarazem pełną zmieszania:

»Ta pani zagadnęła mnie - oznajmił. - Nie chciałem łamać naszej reguły, ale była taka miła i spokojna, że odpowiedziałem na jej pytania«.

»A o co brata pytała?«

Serce, które biło mi niczym młotem, teraz przeszło w bolesny galop.

»Zapytała, kto spoczywa w grobowcu, a ja odpowiedziałem, że jeden z naszych pierwszych opatów, którego pamięć czcimy. Następnie spytała, jakich wielkich czynów dokonał, a ja wyjaśniłem, że istnieje legenda... - Urwał i popatrzył na opata, a ten skinął głową, by kontynuował. - Że istnieje legenda, iż prowadził bardzo świątobliwe życie, lecz po śmierci padło na niego przekleństwo, wstawał z grobu i czynił krzywdę naszym braciom. Jego szczątki musiały zostać oczyszczone. Kiedy już to się stało, z serca wyrosła mu biała róża oznaczająca, że zyskał przebaczenie Matki Świętej«.

»I dlatego ktoś musi nieustannie trzymać przy jego grobie wartę?« - zapytałem wzburzony.

Opat wzruszył ramionami.

»To tylko taka nasza tradycja. W ten sposób oddajemy mu cześć«.

Odwrociłem się do starego mnicha. Miałem ochotę chwycić go za gardło i patrzeć, jak sinieje mu twarz.

»I tę historię opowiedziałeś mojej żonie?«

»Pytała o naszą historię, monsieur. Co w tym złego, że zaspokoilem jej ciekawość?«

»A co ona na to odparła?«

»Podziękowała mi swoim słodkim głosem i zapytała, jak mam na imię - odrzekł z uśmiechem. - Powiedziałem, że nazywam się *frere* Kirył«.

Założył ręce na piersi.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem imienia wymówionego przez francuskojęzycznego zakonnika. Zrozumiałem jedynie słowo *frere*. Ścisnąłem Cię mocniej w ramionach w obawie, by nie upuścić na ziemię.

»Powiedziałeś, że nazywasz się Kirył? Czy to właśnie imię wymieniłeś? Wymów je jeszcze raz«.

Zdumiony mnich spełnił moją prośbę.

»Skąd takie imię? - zapytałem drżącym głosem. - Czy to twoje prawdziwe imię? Kim jesteś?«

Na widok kompletnie oszołomionego, starego zakonnika, podszedł do mnie opat.

»To nie jest imię, jakie dano mu na chrzcie świętym - wyjaśnił. - Składając śluby zakonne, każdy z nas przyjmuje nowe imię. Zawsze jest Kirył... zawsze ktoś nosi to imię... *ifre* Michał... o, ten tu...«

»Chce mi ojciec powiedzieć, że przed tym Kiryłem był inny brat Kirył, a przed nim jeszcze inny?«

»Oczywiście - odrzekł opat, zdumiony natarczywością moich pytań. - Od początku istnienia naszego klasztoru. Jesteśmy dumni ze swych tradycji. Bardzo nie lubimy nowinek«.

»A skąd wzięła się wasza tradycja?« - zapytałem bliski krzyku.

»Monsieur, tego nie wiemy - odparł z bezbrzezną cierpliwością opat. - Tutaj było tak od zawsze«.

Zbliżyłem się do niego i prawie przytknąłem nos do jego nosa.

»Chcę, żebyście otworzyli znajdujący się w krypcie sarkofag« - szepnąłem.

Przerażony dał krok do tyłu.

»Co pan mówi? Nie możemy tego zrobić«.

»Proszę ze mną. A brat... - szybko przekazałem Ciebie młodemu mnichowi, który oprowadzał nas po klasztorze poprzedniego dnia. - Proszę przypilnować mojej córki«.

Wziął Ciebie na ręce z wprawą, jakiej się po nim nie spodziewałem. Ale ty i tak zaczęłaś płakać.

»Chodź, ojczu« - powiedziałem do opata.

Pociągnąłem go w stronę krypty, a on dał znak zakonnikom, by pozostali w miejscu. Szybko zbiegliśmy po schodach. W zimnej piwnicy, gdzie brat Kirył zostawił dwie płonące świece, odwróciłem się do opata.

»Nie mów o tym ojczu innym braciom, ale musimy otworzyć sarkofag. Jeśli mi w tym nie pomożesz, skieruję na Twój monaster wymiar sprawiedliwości«

Orzucił mnie szybkim spojrzeniem - lęk? uraza? litość? - po czym bez słowa podszedł do sarkofagu. We dwójkę odsunęliśmy ciężką, kamienną płytę na tyle, aby zajrzeć do środka. Sięgnąłem po jedną ze świec. Grobowiec był pusty. Opat miał oczy ogromne jak spodki. Potężnym pchnięciem przesunął pokrywę na jej dawne miejsce. Popatrzyliśmy na siebie w milczeniu. Miał delikatną, mądrą, galijską twarz, którą w innych okolicznościach natychmiast bym polubił.

»Proszę nie wspominać o tym braciom« - poprosił cicho, odwrócił się i szybko ruszył po schodach w górę.

Idąc za nim, zastanawiałem się, co mam dalej robić. Postanowiłem niezwłocznie wracać z Tobą do Les Bains i powiadomić policję. Może Helen zdecydowała się pojechać do Paryża przed nami - nie miałem zielonego pojęcia dlaczego - a nawet sama wrócić do Ameryki. Czułem w uszach okropny łomot, serce podchodziło mi do gardła, z zagryzionych warg ciekła mi krew.

Kiedy znów znalazłem się na krużganku klasztoru i ujrzałem zalewaną słonecznym światłem fontannę, a potem usłyszałem śpiew ptaków, zrozumiałem, co naprawdę się wydarzyło. Przez dobrą godzinę próbowałem nie dopuszczać do siebie tej myśli, nie chciałem usłyszeć wiadomości od dwóch mnichów, którzy z krzykiem biegli w stronę opata. Pamiętałem, że wysłał ich, aby przeszukali tereny leżące poza murami monasteru: sad, ogród warzywny, las suchych drzew, sterczące nad przepaścią skały. Jeden z nich wskazywał skraj krużganka, gdzie poprzedniego dnia siedziałem z Tobą i z Helen na ławce i spoglądaliśmy w otwierającą się pod naszymi stopami otchłań.

»Opatcie! - wołał, jakby nie potrafił zwrócić się bezpośrednio do mnie. - Opatcie, na skałach jest krew! Tam, w dole!«

Takie chwile trudno jest opisać słowami. Tuląc Cię do siebie, czując na szyi dotyk Twego delikatnego niczym płatek kwiatu policzka, pobiegłem na skraj krużganka. Z oczu płynęły mi gorące łzy. Zerknąłem w przepaść. Na sterczącym pięć metrów niżej skalnym występie dostrzegłem szkarłatną plamę - niezbyt dużą, ale doskonale widoczną w jaskrawym blasku porannego słońca. Poniżej rozwierała się otchłań sięgająca samych korzeni góry. Królestwo mgły i polujących orłów. Jak szalony ruszyłem do wrót klasztoru, wybiegłem poza jego mury. Ale teren był tak stromy, że nawet gdybym nie trzymał Ciebie w ramionach, nie odważyłbym się na zejście do skalnego występu. Stałem jak zmarznięta, czując, iż wraz z cudownym powietrzem niebiańskiego wręcz poranka napływa fala straszliwej, palącej jak ogień rozpacz".

„Pozostałem tam jeszcze przez trzy tygodnie, krążąc między Les Bains a monasterem. Wraz z miejscową policją oraz ekipą wezwaną z Paryża przeszukiwałem skały i lasy. Z Ameryki przylecieli moi rodzice i przejęli nad Tobą całkowitą opiekę. Zabawiali Cię, karmili, wozili w wózku po okolicy. Wypełniłem setki formularzy, odbyłem wiele zbędnych rozmów telefonicznych, tłumacząc łamaną francuszczyzną, jak ważne są te poszukiwania. Dzień po dniu przeczesywałem lasy i podnóża klifu; czasami w towarzystwie detektywa o kamiennej twarzy i jego ludzi, czasami sam, z twarzą zalewaną łzami.

Początkowo krzepiłem się nadzieją, że ujrzę Helen żywą. Zobacze, jak wychodzi mi na spotkanie z tym swoim kpiarskim uśmiechem na ustach. W końcu chciałem już tylko odnaleźć na skałach lub w chaszczach jej zniekształcone zwłoki. Żebym mógł zabrać jej ciało do domu... *lub na Węgry... choć nie wiedziałem, jak mógłbym odwieźć ją do* okupowanej przez Sowieców ojczyzny. Tak czy owak pragnąłem wypełnić wobec niej ostatnią usługę, godnie ją pochować i pozostać sam na sam ze swą rozpaczą. W skrytości ducha jednak chciałem odnaleźć jej ciało z całkiem innego powodu. Pragnąłem dowiedzieć się, czy umarła naturalną śmiercią, czy też potrzebowała mnie, bym wypełnił gorzki obowiązek, taki sam, jaki spełniłem wobec profesora Rossiego. Dlaczego nie mogłem odnaleźć jej ciała? Często, zwłaszcza rankami, sądziłem, że po prostu spadła z urwiska, gdyż na pewno nie opuściła nas z premedytacją. W takich chwilach głęboko wierzyłem, iż jej ciało spoczywa spokojnie gdzieś w przepastnej kniei. Po południu jednak przypominałem sobie jej przygnębienie i dziwne nastroje.

Wiedziałem, że do końca życia będę nosić po niej żalobę, ale myśl, iż nigdy nawet nie zobaczę jej ciała, doprowadzała mnie do szaleństwa. Miejscowy lekarz dał mi środki uspokajające, które zażywałem wieczorami, i dzięki nim spałem przez całą noc, zbierając siły na kolejne całodienne wędrówki po lasach i skałach. Kiedy policja zaniechała już dalszych poszukiwań, samotnie przemierzałem lasy. Czasami natykałem się na różne, dziwaczne przedmioty: kamienie, pokruszone szczątki kominów, a raz nawet na fragment gargulca; czyżby spadł tak samo dale-

ko jak Helen? Na ścianach monasteru widziałem kilkanaście podobnych rycin.

W końcu moi rodzice zaczęli perswadować mi, że nie mogę tych poszukiwań prowadzić w nieskończoność i powinienem wrócić chwilowo do Nowego Jorku. Ostatecznie zawsze będę tu mógł przybyć ponownie. Francuzi postawili na nogi policję we wszystkich krajach Europy. Jeśli tylko Helen żyje - zapewniały mnie uspokajająco władze - ktoś w końcu trafi na jej ślad. Dałem więc wreszcie za wygraną, ale nie z powodu zapewnień policji, lecz dlatego, że zupełnie podarłem sobie buty i ubranie podczas wspinaczek po stromych skałach i przedzierania się przez gęste poszycie lasu porośniętego ogromnymi drzewami. Zacząłem też bać się panującej w nim przeraźliwej ciszy.

Przed wyjazdem poprosiłem opata, by pomodlił się za Helen na końcu kruzganka, skąd rzuciła się w przepaść. W otoczeniu mnichów odprawił tam nabożeństwo, wznosząc nad głowę różne rytualne rekwizyty - nie obchodziło mnie, czym naprawdę były te rzeczy - i zanosząc inkantacje, które natychmiast pochłaniała otaczająca nas niezmierna przestrzeń. Towarzyszyli mi rodzice. Matka płakała, a Ty wierciłaś się na rękach. Musiałem Cię bardzo mocno trzymać w ramionach. W ciągu minionych tygodni zupełnie zapomniałem, jak delikatne są Twoje czarne włosy, jak mocno potrafisz wymachiwać nóżkami. Ale ostatecznie żyłaś, Twój słodki oddech ogrzewał mi podbródek, a drobne rączki obejmowały mnie za szyję. Kiedy wstrząsnął mną szloch, chwyciłaś mnie za włosy i zaczęłaś ciągnąć za ucho. Trzymając Cię w ramionach, przysiągłem sobie, że spróbuję wrócić do normalnego życia - w każdym razie w miarę normalnego".

78

Trzymając w dłoniach pocztówki od mojej matki, popatrzyliśmy na siebie w milczeniu. Podobnie jak listy od mego ojca urywały się nagle, nie dając żadnych istotnych informacji co do teraźniejszości. Ale jedna rzecz drażyła mi umysł: wszystkie te kartki moja matka napisała po śmierci.

- Udał się do monasteru - stwierdziłam krótko.

- Masz rację - odparł Barley.
- Zgarnęłam pocztówki i położyłam je na marmurowym blacie toaletki.
- Chodźmy - powiedziałam, wyjmując z torebki srebrny sztylecik w pochwie i chowając go do kieszeni kurtki.
- Barley pocałował mnie w policzek, czym bardzo mnie zdziwił.
- Chodźmy - powtórzył jak echo.

Droga do Saint-Matthieu była o wiele dłuższa, niż pamiętałam - pełna kurzu i rozpalona w promieniach wczesnopołudniowego słońca. W Les Bains nie było taksówek - w każdym razie żadnej nie spotkaliśmy - więc ruszyliśmy pieszo. Szybko minęliśmy tereny rolnicze, na których stały farmy, i dotarliśmy na skraj lasu. Tutaj droga zaczęła pięć się na szczyt góry. W gęstym lesie porośniętym drzewami oliwnymi, wyniosłymi sosnami i potężnymi, rozłożystymi dębami poczułam się jak w średniowiecznej katedrze. W panującym tam półmroku i chłodzie odruchowo zniżyliśmy głosy, choć i tak niewiele rozmawialiśmy. Byłam głodna. Hotel opuściliśmy w pośpiechu, nie czekając nawet na śniadanie i kawę, które miał nam podać *maitre d'hotel*. Barley ściągnął z głowy bawełnianą czapkę i otarł z czoła pot.

-Nie przeżyłaby upadku z takiej wysokości - oświadczyłam ze ściśniętym gardłem.

-Nie.

-Mój ojciec nigdy nie podejrzewał, by ktoś zepchnął ją umyślnie w przepaść. W każdym razie nic o tym w listach nie wspomina.

-To prawda - odparł Barley, nakładając ponownie czapkę.

Dłuższy czas posuwaliśmy się w milczeniu. Ciszę mącił jedynie odgłos naszych kroków na nierównej, wyłożonej kamieniami drodze. Nie chciałam tego mówić, lecz nie mogłam się powstrzymać.

-Profesor Rossi napisał, że każdy samobójca ryzykuje tym, iż stanie się... stanie się...

-Pamiętam - odparł cicho Barley. Pożałowałam swoich słów. Droga zaczynała pięć się stromo pod górę. - Może pojawi się jakiś samochód -
dodał.

Jednak nie było słyhać żadnego warkotu silnika, a my szliśmy coraz szybciej i szybciej, coraz mocniej i mocniej sapiąc. Kiedy minęliśmy kolejny zakręt, nieoczekiwanie wyłoniły się przed nami mury klasztoru. Nie pamiętałam tego zakrętu wyprowadzającego na szczyt góry. Nie pamięć-

tałam rozległego, pokrytego kurzem placu przed świątynną bramą, na którym tego dnia nie było ani jednego samochodu. Zastanawiałam się, gdzie są tłumy turystów. Po chwili zobaczyliśmy tablicę informacyjną: „Remont. Klasztor przez miesiąc zamknięty jest dla zwiedzających”. Ale to wcale nas nie powstrzymało.

- Chodź - powiedział Barley, biorąc mnie za rękę.

Byłam mu serdecznie wdzięczna za tak opiekuńczy gest. Sama trzęsłam się w środku.

Frontową ścianę wokół wrót oplatała pajęczyna rusztowań. Na drodze stała przenośna betoniarka... beton?... tutaj? Drewniana brama pod portalem była zawarta na głucho, ale nie zamknięta na zamek. Pociągnęliśmy za żelazny pierścień zastępujący klamkę. Nie chciałam włamywać się do klasztoru, jednak nie mogłam pogodzić się z faktem, że nigdzie nie ma mego ojca. Może wciąż przebywał jeszcze w Les Bains albo w całkiem innym miejscu. Może przeszukiwał podnóża góry, jak czynił to przed laty, setki metrów pod nami, skryty w gęstwinie lasu? Zaczynałam żałować, że zbyt pochopnie ruszyliśmy od razu do klasztoru. Co więcej, do zachodu słońca brakowało zaledwie godziny - słońce zapadało powoli za najwyższe wierzchołki Pyrenees. Rozciągające się w dole lasy pogrążyły się już w głębokim półmroku. Niebawem mury monasteru również spowije cień.

Ostrożnie przekroczyliśmy bramę, minęliśmy dziedziniec i weszliśmy do klasztoru. W fontannie z czerwonego granitu szumiała woda. Ujrzałam delikatne, spiralne kolumny, które zapamiętałam z poprzedniej wizyty z klasztorze, długie krużganki, rozległy ogród różany. Żłociste, słoneczne światło przybrało już miodową barwę. W zasięgu wzroku nikogo nie dostrzegliśmy.

- Może powinniśmy wracać już do Les Bains - szepnęłam do Barleya.

Otworzył usta, by mi odpowiedzieć, ale w tej samej chwili usłyszeliśmy dobiegający z kościoła śpiew. Drzwi kaplicy były zamknięte. Wewnątrz odprawiano mszę. Śpiew milkł, po czym znów się zaczynał.

-Są w środku - powiedział Barley. - Może jest z nimi twój ojciec.

Bardzo w to wątpiłam.

-Jeśli nawet, to zszedł na dół...

Urwałam i rozejrzałam się po dziedzińcu. Od mojej pierwszej wizyty, którą złożyłam tu w towarzystwie ojca - teraz wiedziałam już,

że drugiej - upłynęły dwa lata i nie pamiętałam, gdzie znajduje się wejście do krypty. Nagle dostrzegłam drzwi. Pamiętałam otaczające je, wykute w kamieniu dziwaczne bestie: gryfy i lwy, smoki, ptaki i inne stwory. Nie potrafiłam ich zidentyfikować; hybrydy uosabiające dobro i zło.

Popatrzyliśmy z Barleyem na kościół. Drzwi wciąż były zamknięte na głucho. Przekradliśmy się przez dziedziniec do krypty. Zatrzymaliśmy się u wejścia. Czułam fizycznie wlepiony we mnie wzrok zaklętych w kamieniu bestii. Popatrzyłam w mrok lochu, do którego mieliśmy zejść, i serce skurczyło mi się ze strachu. Wtedy uświadomiłam sobie, że na dole może być mój ojciec, znajdujący się w jakichś straszliwych opałach. Ale Barley, chudy, tyczkowaty, bezczelny i arogancki, wciąż trzymał mnie za rękę. Myślałam, że mruknie coś na temat mojej dziwacznej rodzinki, ale był opanowany i pewny siebie, rozglądał się tylko wokół w milczeniu.

-Nie mamy światła - szepnął.

-Nie pójdziemy przecież do kościoła po świece - odrzekłam niespokojnie.

- Mam zapalniczkę - oświadczył Barley, sięgając do kieszeni kurtki.

Nie wiedziałam, że pali. Pstryknął kółkiem i trzymając nad głową wątył, migający ognik, zaczął sprowadzać mnie po stromych, starodawnych stopniach. Na dole, w sklepionej krypcie, zamigotało jakieś światło - ale nie był to płomyk zapalniczki Barleya, którą chłopak nieustannie gasił i zapalał. Ogarnął mnie śmiertelny strach. Owo upiorne światło wydawało mi się w jakiś sposób jeszcze gorsze od otaczających nas ciemności. Barley ścisnął moją dłoń w swojej, i tylko z niej czerpałam resztki odwagi. Na samym dole schody zakręcały. Przypomniałam sobie, że ojciec mówił, iż tu właśnie znajdowała się główna nawa najstarszego kościoła. Stał tam olbrzymi, kamienny sarkofag pierwszego opata. W mroku majaczył wykuty w kamiennej apsydzie krzyż. Nad nami wznosił się sklepiony sufit najstarszej, romańskiej budowli w Europie.

Z zalegających za grobowcem ciemności wyłonił się jakiś cień, cień mężczyzny trzymającego w ręku latarnię. Był to mój ojciec. W migotliwym świetle latarni dostrzegłam jego wyniszczoną twarz. Ujrzał nas w tej samej chwili, kiedy my zobaczyliśmy jego.

- Jezu Chryste! - wykrzyknął. Wytrzeszczaliśmy na siebie oczy. - Co ty tu robisz? - zapytał niskim głosem, wodząc wzrokiem po mnie i po

Barleyu i oświetlając latarnią nasze twarze. Mówił ostrym głosem - pełnym gniewu, lęku i miłości.

Wyrwałam dłoń z ręki Barleya i podbiegłam do ojca stojącego po drugiej stronie sarkofagu. Chwycił mnie w ramiona.

-Jezu! - powiedział, gładząc mnie po włosach. - To jest ostatnie miejsce, gdzie mogłabyś trafić!

-Przeczytaliśmy ten ustęp w bibliotece w Oksfordzie - szepnęłam. - Bałam się, że jesteś...

Zabrakło mi słów. Byłam do głębi poruszona tym, że go odnalazłam, że żył, że był sobą.

- Wynoście się stąd - powiedział, po czym mocno mnie do siebie przytulił. - Nie, już za późno... nie pozwolę, abyście wychodzili sami. Za kilka minut zajdzie słońce. Masz... - Wręczył mi latarnię. - Świeć. A ty - zwrócił się do Barleya - pomóż mi z tym wiekiem.

Barley, choć wyraźnie drżały mu kolana, natychmiast dał krok do przodu i pomógł ojcu odsunąć pokrywę ogromnego sarkofagu. Zauważyłem, że ojciec przygotował długi, zastrzony kołek i oparł go obok siebie o ścianę krypty. Zapewne był przygotowany na widok tego, czego poszukiwał od dawna, zgrozy czającej się w kamiennym grobowcu. Poświeciłam mu latarnią, chcąc, a zarazem nie chcąc zaglądać do grobu. Sarkofag był pusty, wypełniony jedynie zwałami starodawnego pyłu i kurzu.

- Wielki Boże - jęknął mój ojciec tonem, jakiego nigdy jeszcze u niego nie słyszałam.

W jego głosie kryła się bezgraniczna rozpacz, a ja przypominałam sobie, że kiedyś już raz spoglądał w pustkę tego grobowca. Zachwiał się do przodu, zastrzony kołek z głośnym klekotem upadł na kamienną posadzkę. W pierwszej chwili myślałam, że wybuchnie szlochem, zacznie targać sobie włosy, że pochyli się nad pustym sarkofagiem. Ale on stał nieruchomo, wyprostowany w swej rozpacz.

- Boże - szepnął. - Sądziłem, że wybrałem właściwe miejsce, właściwą datę, że w końcu... Sądziłem...

Urwał, gdyż z pogrążonego w mroku starodawnego transeptu, gdzie nie docierało nasze światło, wyłoniła się postać, która nie przypominała niczego, co w życiu widziałam. Była tak dziwaczna, że nie zdołałam wydać nawet okrzyku, choć wcale nie miałam zdławionego gardła. Blask mojej latarni oświetlał jej stopy i nogi, jedno ramię i bark, ale nie wy-

ławiął z mroku twarzy, a ja bałam się unieść lampę wyżej. Przysunęłam się blisko do mego ojca. To samo uczynił Barley. Staliśmy odgradzeni od zjawy masywną barierą pustego sarkofagu.

Postać postąpiła do przodu i zatrzymała się w miejscu. Jej oblicze wciąż niknęło w cieniu. Poznałam, że jest to mężczyzna, ale nie poruszała się jak ludzka istota. Stopy okrywały mu wąskie, czarne boty do pół łydki, jakich nigdy jeszcze nie spotkałam, ich obcasy wybijały na kamiennej posadzce dźwięczny rytm. Spowijała go opończa, a może tylko jeszcze obszerniejszy cień. Potężne łydki i uda skrywał ciemny aksamit. Był niższy od mego ojca, ale ramiona pod ciężkim płaszczem miał szerokie i sprawiał wrażenie znacznie wyższego niż w rzeczywistości. Opończa kończyła się zapewne kapturem, gdyż jego twarz wciąż spowijał głęboki cień. Po pierwszej, przerażającej chwili dostrzegłam jego dłonie, sine niczym kość na tle czarnego ubrania. Na jednym z palców lśnił bogaty pierścień.

Był tak realny i pojawił się tak blisko nas, że bałam się głośniejsze odechnąć. Tak naprawdę odniosłam oszałamiające wrażenie, że aby złapać normalny oddech, muszę się do niego zbliżyć. Czułam spoczywający w kieszeni srebrny sztylet, ale nie byłam w stanie po niego sięgnąć. W mroku przelotnie błysnęła jego twarz - czerwone oczy? zęby? uśmiech? - i potwór nieoczekiwanie bryznął potokiem słów. Mówił „bryznął”, ponieważ nigdy w życiu nie słyszałam takich dźwięków. Lawina gardłowych spółgłosek i samogłosek, mogących stanowić wiele języków lub jedno dziwaczne narzecze. Po chwili jednak niezrozumiałe dźwięki zamieniły się w słowa, które zaczęłam rozumieć. Ale ich sens czułam bardziej krwią niż uszami.

- *Dobry wieczór. Gratuluję.*

Mój ojciec w jednej chwili jakby wrócił do życia. Nie wiem, skąd znalazł w sobie tyle siły, by krzyknąć:

- Gdzie ona jest?!

Głos drżał mu ze strachu i furii.

- *Jesteś niezwykłym naukowcem.*

Nie wiem dlaczego, ale w tej chwili odniosłam wrażenie, że moje ciało, wbrew mej woli, próbuje przemieścić się w stronę upiornej zjawy. Ojciec jednak chwycił mnie z całych sił za ramię. Latarnia gwałtownie zakołysała się w moim ręku, powodując upiorną grę światła i cienia. Przez ułamek sekundy widziałam część twarzy Draculi: długie, ciemne,

opadające wąsy i wydatne kości policzkowe, które równie dobrze mogły być gołą kością.

- *Okazałeś się najbardziej uparty z nich wszystkich. Pójdź ze mną, a ja przekażę ci wiedzę dziesięciu tysięcy pokoleń ludzkich.*

Nie wiedziałam, dlaczego rozumiem jego słowa, ale byłam pewna, że mówi do mego ojca.

- Nie! - wrzasnęłam.

Ogarnęło mnie takie przerażenie na myśl, że zwracam się do tej postaci, iż o mało nie straciłam przytomności. Odniosłam wrażenie, że się uśmiecha, jakkolwiek jego twarz ponownie całkowicie skryła się w mroku.

-*Pójdź ze mną lub pozwól to zrobić swej córce.*

-O co chodzi? - spytał mnie prawie bezgłośnie ojciec.

W tej chwili pojęłam, że nie rozumie Draculi. Zapewne nawet nie usłyszał jego głosu. Ojcu chodziło o mój krzyk.

Postać najwyraźniej przez dłuższą chwilę zastanawiała się nad czymś w milczeniu. Przesunęła lekko po kamiennej posadzce podeszwy osobliwych botów. Z jej skrytej pod starodawnymi szatami sylwetki emanowała, oprócz niewyobrażalnej zgrozy, również pewna wytworność, pozostałość dawno minionej władzy i potęgi.

- *Długo czekałem na naukowca o tak potężnym umyśle jak twój.*

Mówił cichym, lecz niebywale groźnym głosem. Staliśmy pogrążeni w mroku, który zdawał się bić od ciemnej postaci.

- *Pójdź ze mną z własnej woli.*

Teraz mój ojciec, nie wypuszczając mojej ręki z krzepkiego uścisku, jakby pochylił się nieco w jego stronę. To czego nie rozumiał, najwyraźniej czuł. Dracula poruszył ramieniem. Przeniósł swój przerażający ciężar z jednej nogi na drugą. Obecność jego ciała była jak obecność rzeczywistej śmierci, a jednak żył i poruszał się.

- *Nie każ mi czekać. Jeśli ty nie przyjdiesz do mnie, ja przyjdę po ciebie.*

Mój ojciec najwyraźniej zebrał wszystkie swoje siły.

- Gdzie ona jest?! - ryknął. - Gdzie jest Helen?!

Postać wyprostowała się na całą swą wysokość. Pod szerokim kapturem dostrzegłam złowieszczy błysk zębów, kości, oczu. Na skraju światła ujrzałam zaciśniętą w pięść jego nieludzką dłoń. Odniosłam wrażenie, że przyczajona do ataku bestia skoczyła na nas, zanim sam Dracula zdążył

się poruszyć. W tej samej chwili rozległ się szybki tupot kroków na pogrążonych w ciemności schodach. Poczuliśmy tylko gwałtowny ruch powietrza, gdyż w mroku nie potrafiliśmy niczego rozróżnić. Z głośnym krzykiem, który zdawał się dobiegać skądś spoza mnie, uniosłam latarnię. Ujrzałam twarz Draculi - nigdy jej nie zapomnę - a następnie, ku swemu najwyższemu zdumieniu, jakąś inną postać stojącą tuż za jego plecami. To ona właśnie przed chwilą zbiegła po schodach, budząc w krypcie rozliczne echa. Miała kształt równie trudny do sprecyzowania jak sylwetka Draculi, choć była masywniejsza i sprawiała wrażenie żywego człowieka. Wykonała gwałtowny ruch. Ujrzałam jakiś srebrzysty przedmiot w jej uniesionej ręce. Ale Dracula wyczuł obecność intruza, gdyż odwrócił się błyskawicznie na pięcie i pchnął napastnika. Był zaiste mocarzem. Jego potężnie zbudowany przeciwnik w jednej chwili rozpląszczył się na przeciwległej, kamiennej ścianie krypty. Usłyszeliśmy tępe uderzenie, a następnie głuchy jęk. Dracula, z mrozącym w żyłach krew spokojem, odwrócił się w naszą stronę, a następnie popatrzył na jęczącego napastnika.

Nieoczekiwanie na schodach znów rozległy się szybkie kroki - kryptę przeszył ostry blask ręcznego reflektora. Dracula zachwiał się i odwrócił niczym smuga upiornego mroku - ale za późno... Ktoś wyłuskał go z ciemności snopem elektrycznego światła, uniósł ramię i strzelił.

W pierwszej chwili myślałam, że Dracula ruszy na nas z całym impetem, przeskakując sarkofag. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Stał nieruchomo, po czym zatoczył się do tyłu tak, iż ujrzałam nagle jego twarz o wyrazistych rysach, a następnie chwiejnym krokiem ruszył do przodu, by po kilku krokach runąć na kamienną posadzkę z odrażającym dźwiękiem pękających kości. Jego ciało zaczęło skręcać się w konwulsjach, ale szybko znieruchomiało. W parzącym, jaskrawym świetle reflektora zaczął rozpadać się w proch wraz ze strojnymi szatami.

Ojciec puścił moją rękę, i wymijając rozpadające się na posadzce w pył truchło, ruszył prosto w strumień światła.

- Helen! - zawołał... a może tylko wyszlochał jej imię... albo wyszeptał.

Ale również Barley, chwytając latarnię mego ojca, ruszył do przodu. Masywny mężczyzna spoczywał na kamiennych płytach podłogi, obok niego leżał srebrny sztylet.

- Och, Elsie - wychrypiął umierający.

Z głowy ciekła mu strużka ciemnej krwi. Kiedy patrzyliśmy na niego sparaliżowani, oczy mu znieruchomiały.

Barley rzucił się na pokrytą kurzem posadzkę i przypadł do roztrzęsianego ciała. Dławiła go rozpacz i zdumienie.

- Zwierzchnik James?

79

Hotel w Les Bains chlubił się salonem o wysoko sklepionym suficie, gdzie goście mogli spędzać beztrudnie czas przy płonącym kominku. Tego dnia jednak *maitre d'hotel*, choć rozpałił ogień, zamknął drzwi przed innymi gośćmi. „Po wyprawie do monasteru jesteście bardzo wyczerpani” - oświadczył, stawiając na stoliku butelkę koniaku i kieliszki - pięć kieliszków, zupełnie jakby nasz zabity kompan miał pić razem z nami. Jednak z wymiany spojrzeń między moim ojcem a *maitre d'hotel* wywnioskowałam, że musiały one znaczyć coś więcej.

Maitre d'hotel cały wieczór spędził przy telefonie. Załatwił wszystko z policją, która przesłuchiwała nas tylko w hotelu, po czym dała spokój. Podejrzywałam, że zadzwonił też do kostnicy i zakładu pogrzebowego, jeśli taki w ogóle istniał we francuskiej wiosce. Siedziałam obok Helen na niewygodnej kanapie obitej adamaszkiem. Matka pieściła mnie po włosach, a ja starałam się nie myśleć o sympatycznej twarzy zwierzchnika Jamesa i jego masywnym ciele nakrytym prześcieradłem. Mój ojciec siedział w głębokim fotelu i spoglądał na matkę - spoglądał na nas. Barley wyciągnął długie nogi i położył stopy na kanapie. Odnosiłam wrażenie, że zupełnie zapomniał o koniaku do chwili, kiedy ojciec ponownie nie napełnił kieliszków. Oczy miał zaczerwienione od płaczu i sprawiał wrażenie, jakby chciał zostać sam. Kiedy popatrzyłam na niego, moje oczy również wypełniły się łzami.

Ojciec przeniósł wzrok na Barleya i przez chwilę myślałam, że też wybuchnie płaczem.

- Wykazał się niezwykłą odwagą - powiedział cicho. - Sam najlepiej wiesz, że to jego niespodziewany atak umożliwił Helen oddanie strzału. Nie zdołałaby strzelić równie celnie, gdyby potwór nie był aż tak rozko-

jarzony. Myślę, że James w swych ostatnich chwilach wiedział, co robi. Pomścił najbardziej ukochaną osobę - i wiele innych.

Barley skinął tylko głową niezdolny wydobyć z siebie głos. Zapadła krótka, niezręczna cisza.

-Obiecałam, że opowiem wam wszystko, kiedy wreszcie nastanie spokój - przerwała milczenie Helen, odstawiając kieliszek.

-Czy naprawdę nie chcecie, bym opuścił wasze towarzystwo? - zapytał niechętnie Barley.

Helen wybuchnęła śmiechem. Zaskoczyła mnie melodia jej śmiechu, tak różna od tonu głosu, jakim mówiła. Nawet w tym pokoju, pograżonym w głębokiej żałobie, jej śmiech nie wydawał się nie na miejscu.

- O nie, mój drogi - zwróciła się do Barleya. - Bez ciebie nic nie zdziałamy.

Uwielbiałam jej akcent, szorstką choć pełną słodczy angielszczyznę, którą jakbym znała od zarania czasów, a tych nie mogłam przecież pamiętać. Była wysoką, szczupłą kobietą w ciemnej, niemodnej już sukience, z burzą siwiejących włosów. Miała uderzająco piękną twarz - pokrytą drobnymi zmarszczkami, wyniszczoną, ale wciąż paliły się w niej oczy o niewiarygodnie młodzieńczym wyrazie. Ilekroć na nią spoglądałam, coś poruszało mnie do głębi - i to nie tylko dlatego, że była tu naprawdę. Zawsze wyobrażałam sobie Helen młodą i nigdy nie przyjmowałam do świadomości, że dzieli nas taka otchłań czasu.

- Opowieść będzie trwała długo - powiedziała cicho. - Teraz przekażę wszystko pokrótce. Po pierwsze, że czuję okropne wyrzuty sumienia. Wiem, Paul, iż strasznie cię skrzywdziłam. - Popatrzyła na twarz mego ojca oświetloną blaskiem bijącym z kominka. Barley zaczął niespokojnie się wiercić, ale uspokoiła go zdecydowanym ruchem ręki. - Ale największy ból sprawiłam sobie. Po drugie, muszę wyjaśnić w obecności naszej córki - przesłała mi słodki, pełen łez uśmiech - i pozostałych naszych przyjaciół, że żyję. Żyję i nie jestem nieumarłym. Nie ukąsił mnie po raz trzeci.

Chciałam popatrzeć na ojca, ale nie zdołałam odwrócić w jego stronę głowy. Była to dla niego zbyt osobista chwila. Ale nawet nie zalkała.

- Paul, kiedy odwiedziliśmy Saint-Matthieu i poznałam legendy tego klasztoru - o opacie, który powstał z grobu, o bracie Kiryle, który go strzegł - wpadłam w desperację, a jednocześnie ogarnęła mnie niezdrowa ciekawość. Nie mógł być to zwykły przypadek, że chciałam odwiedzić to

miejsce i tak bardzo za nim tęskniłam. Przed wyjazdem do Francji, w tajemnicy przed tobą, podjęłam w Nowym Jorku prywatne badania w nadziei, iż odnajdę nową kryjówkę Draculi, by zemścić się za śmierć mego ojca. Ale nie natrafiłam na najmniejszą wzmiankę o Saint-Matthieu. Moja ciekawość co do tego miejsca zaczęła rodzić się w chwili, gdy przeczytałam jeden z twoich przewodników. Była to tylko ciekawość nieoparta na żadnych naukowych podstawach.

Popatrzyła na nas, po czym ze smutkiem pochyliła głowę.

- Poszukiwania w Nowym Jorku podjęłam, ponieważ czułam, że to ja jestem winna śmierci mego ojca - poprzez chęć przyćmienia jego sławy, ujawnienia zdrady, jakiej dopuścił się wobec mej matki - i myśl ta doprowadzała mnie prawie do szaleństwa. Zaczęłam również podejrzewać, iż do badań tych jednak skłoniła mnie moja zła krew - krew Draculi - którą skaziłam własne dziecko, choć byłam najświęciej przekonana, że dotyk nieumarłego nie wyrządził mi trwałej krzywdy.

Zamilkła, pogłaskała mnie po policzku i ujęła za dłoń. Zatrzepotało mi serce, kiedy ta obca, a jednocześnie tak droga i bliska osoba, położyła mi głowę na ramieniu.

- Czułam się coraz bardziej i bardziej niegodna, a kiedy brat Kirył opowiedział nam legendę Saint-Matthieu, zrozumiałam, że nie zaznam spokoju, dopóki nie poznam całej prawdy. Uwierzyłam, że jeśli odnajdę Draculę i go unicestwię, wrócę całkowicie do zdrowia, stając się ponownie dobrą matką - osobą, która odzyskała normalne życie.

Paul, kiedy zasnąłeś, ponownie udałam się do klasztoru. Chciałam wrócić ze swym pistoletem do krypty i otworzyć grobowiec. Ale to było ponad moje siły. Usiadłam na ławce na skraju krużganka i spoglądając w przepaść, rozważałam pomysł, by cię obudzić i poprosić o pomoc. Zdawałam sobie sprawę, że nie powinnam tam przebywać sama, ale coś ciągnęło mnie w to miejsce. Księżyc stał w pełni, góry pławiły się w mgle.

W pewnej chwili poczułam mrowienie w karku, odniosłam wrażenie, że coś za mną stoi. Szybko się odwróciłam. W krużganku, w miejscu, gdzie nie docierało światło księżyca, majaczyła jakaś mroczna postać. Jej twarz skrywał cień, ale bardziej wyczułam, niż zobaczyłam, iż spogląda na mnie płonącym wzrokiem. W jednej chwili, zanim zdążyła rozwinąć skrzydła i dopaść mnie, znalazłam się na balustradzie krużganka. Głowę wypełniały mi przejmujące do szpiku kości głosy, mówiące, że nigdy nie

pokonam Draculi, że jest to jego świat, nie mój. Kazały mi skoczyć w otchłań, dopóki jestem sobą. Wyprostowałam się jeszcze jako człowiek i skoczyłam.

Siedziała wyprostowana, patrząc na płonący w kominku ogień. Mój ojciec ujął jej dłoń i przytulił ją do policzka.

- Pragnęłam spadać swobodnie, jak Lucyfer, jak upadły anioł, ale w dole były skały. Rozbiłam sobie o nie głowę, poharatałam ramiona, ale na samym dole rozciągał się gruby kobierzec trawy, dzięki której nie skręciłam sobie karku ani nie połamałam kości. Po kilku godzinach odzyskałam przytomność. Wciąż panowała chłodna noc, księżyc chował się za horyzont. Twarz miałam zalaną krwią. Boże, tak bardzo chciałam umrzeć, a nie ponownie ocknąć się żywa... - Zamilkła na chwilę. - Nie umiałabym wyjaśnić ci powodów, dlaczego próbowałam to zrobić, i myśl ta doprowadzała mnie do szaleństwa. Zrozumiałam, że nigdy nie będę godna ani ciebie, ani naszej córki. Kiedy wreszcie zdołałam dźwignąć się na nogi, spostrzegłam, iż nie krwawię zbyt mocno. I choć byłam straszliwie obolała, pojęłam, że nie ruszył moim tropem, sądząc, iż nie przeżyłam skoku. Z trudem ruszyłam przed siebie, minęłam mury monasteru i w ciemnościach dotarłam do drogi.

Mój ojciec spoglądał na nią nieruchomym wzrokiem. W oczach nie pojawiła mu się ani jedna łza.

- Wróciłam do świata. Nie było to bardzo trudne. Ku swemu zdumieniu spostrzegłam, że mam ze sobą torebkę, a w niej pistolet załadowany srebrnymi kulami. Były tam też pieniądze - dużo pieniędzy, którymi gospodarowałam bardzo rozważnie. Moja matka też zawsze trzymała gotówkę przy sobie. Nie wierzyła bankom, podobnie zresztą jak wszyscy mieszkańcy wioski. Znacznie później, kiedy zabrakło mi środków finansowych, sięgnęłam do naszego konta i przeniosłam część gotówki do banku w Szwajcarii. Paul, natychmiast opuściłam ten kraj w obawie, że mógłbyś mnie wytropić. Wybacz mi!

Ostatnie słowa wykrzyknęła, ściskając z całych sił moje palce. Wiedziałam, że ma na myśli nie pieniądze, lecz swoje zniknięcie.

Ojciec zaplótł dłonie.

- Owo podjęcie pieniędzy z konta wlało w me serce nową nadzieję, lecz bank nie potrafił wytropić, gdzie zostały przelane.

Helen spuściła wzrok.

- Tak czy owak, znalazłam miejsce daleko od Les Bains, gdzie

w spokoju zaleczyłam swe rany i wróciłam do zdrowia. Ukrywałam się tam do czasu, kiedy znów mogłam wrócić do świata.

Dotknęła palcami niewielkiej białawej szramy na szyi.

- Całą sobą czułam, że Dracula o mnie nie zapomni i zapewne niebawem zacznie mnie znów poszukiwać. Nosiłam w kieszeniach czasnek. Nie rozstawałam się z pistoletem i srebrnym sztyletem. Miałam na szyi krzyżyk. W każdej z wiosek, które mijałam, wstępowałam do kościoła i modliłam się o błogosławieństwo. Ale ilekroć przekraczałam drzwi świątyni, rana zaczynała mi pulsować bólem. Bliznę zawsze zakrywałam chustką. Obciąłam na krótko włosy i przefarbowałam je na inny kolor. Zmieniłam ubranie i zawsze zakładałam ciemne okulary. Przez długi czas trzymałam się z daleka od miast. W miarę upływu czasu zaczęłam jednak odwiedzać archiwa i biblioteki, gdzie prowadziłam dalsze badania.

Wszędzie trafiałam na jego ślad - w Rzymie w dwudziestych latach siedemnastego wieku, we Florencji za czasów Medyceuszów, w Madrycie, w Paryżu podczas rewolucji. Czasami napotykałam raporty o dziwnej pladze, czasami o wampiryzmie na cmentarzu - na przykład na Pere-Lachaise. Odniosłam wrażenie, że zawsze najbardziej interesowali go skrybowie klasztorni, archiwiści, bibliotekarze i historycy - wszyscy grzebiący się w historii. Próbowалаm wydedukować, gdzie znajduje się jego nowy grobowiec, w którym ukrył się po otwarciu przez nas sarkofagu w Sveti Georgi, ale nie natrafiłam na żaden trop. Postanowiłam, że kiedy go odnajdę i zabiję, wrócę do ciebie i powiem, iż świat jest już bezpieczny. Byłam ci to winna. Żyłam w nieustannym strachu, że on odnajdzie mnie pierwszy. Tak strasznie za tobą tęskniłam... tak bardzo czułam się samotna.

Znów ujęła mnie za dłoń i zaczęła wodzić po niej palcami niczym wróżka. Wbrew samej sobie poczułam straszny gniew - tyle lat bez niej.

- W końcu coś we mnie pękło. Choć byłam tego niegodna, chciałam przynajmniej na was popatrzeć. Paul, czytałam w gazetach wszystko o twojej fundacji i wiedziałam, że mieszkasz w Amsterdamie. Bez trudu cię odnalazłam. Siadywałam w kawiarence znajdującej się nieopodal twojego biura albo ostrożnie, bardzo ostrożnie, szłam za tobą podczas odbywanych przez ciebie przechadzek. Nigdy jednak nie odważyłam się na bezpośrednie spotkanie. Przychodziłam i odchodziłam. Od czasu do czasu odwiedzałam Amsterdam i podążałam twoim śladem. Pewnego dnia - we Włoszech, w Monteperduto - ujrzałam go na *piazza*. Również podą-

zał twoim tropem. Wtedy uświadomiłam sobie, że stał się na tyle silny, iż mógł czasami wychodzić na światło dzienne. Znalazłeś się w niebezpieczeństwie, ale wiedziałam, że gdybym cię ostrzegła, niebezpieczeństwo to wielokrotnie by się zwiększyło. Istniała możliwość, że szukał nie ciebie, ale mnie, i miał nadzieję, iż mnie do niego zaprowadzisz. Żyłam w udręce. Zrozumiałam, że znów prowadzisz jakieś badania - że interesujesz się nim, Paul - co przykuło jego uwagę. Sama nie wiedziałam, co mam robić.

- To ja... to moja wina - powiedziałam, ściskając jej dłoń. - Znalazłam książkę.

Spoglądała na mnie dłuższą chwilę, po czym przechyliła głowę.

- Jesteś historykiem - stwierdziła w końcu. Nie było to pytanie. Ciężko westchnęła. - Córeczko, przez kilka lat pisałam do ciebie kartki pocztowe, których oczywiście nigdy nie wysłałam. Pewnego dnia postanowiłam dać wam znak o sobie, powiadomić, że jednak żyję. Przesłałam je do waszego domu w Amsterdamie pod twój adres, Paul.

Tym razem popatrzyłam na ojca ze zdumieniem i gniewem.

- To prawda - przyznał ze smutkiem. - Nie chciałem ci ich pokazywać, nie chciałem cię zasmucać. Nie potrafiłem przecież odnaleźć twojej mamy. Czy wyobrażasz sobie, co wtedy czułem?

Doskonale go rozumiałam. Przypomniałam sobie nagle jego zmęczenie w Atenach, tamtego wieczoru, kiedy prawie półmartwy siedział przy biurku w swoim pokoju. Przesłał nam nieśmiały uśmiech, a ja pomyślałam, że teraz już taki uśmiech może gościć na jego twarzy codziennie.

- Ha! - Moja matka również się uśmiechnęła. Jej usta i oczy otaczały głębokie zmarszczki. - Wtedy ja zaczęłam szukać ciebie... i jego.

Obrzuciła ojca poważnym wzrokiem.

-Zrozumiałem, że muszę porzucić moje studia, by tropiąc ciebie, wytropić jego. Wiedziałam, iż prowadzisz badania... widziałam cię, Paul,

jak wchodzisz i wychodzisz z bibliotek. Tak bardzo chciałam ci przeka-

zać całą swoją wiedzę. Ale ty przeniosłeś się do Oksfordu. Nigdy tam nie

byłam, choć wiedziałam, że w późnym średniowieczu ogarnęła to miasto

fala wampiryzmu. I tam otworzyłeś książkę...

-Którą zamknął na mój widok - wtrąciłam.

-I na mój - dodał z lekkim uśmiechem Barley.

Odezwał się po raz pierwszy, a ja z radością stwierdziłam, że powoli odzyskuje pogodę ducha.

- Kiedy pierwszy raz ją oglądał, zapomniał zamknąć - powiedziała Helen, prawie puszczając do nas oko.

- Masz rację- przyznał mój ojciec. - Rzeczywiście zapomniałem.

Helen popatrzyła na niego z serdecznym uśmiechem.

-Czy wiesz, że nigdy wcześniej nie widziałam tej książki. *Yampires du Moyen Age*

-Klasyka - odparł mój ojciec. - Biały kruk.

-Sądzę, że zwierzchnik James również ją czytał - dodał cicho Barley. - Spotkałem go przy niej w chwilę po pańskiej lekturze. Zostawiłem

w bibliotece płaszcz przeciwdeszczowy i później po niego wróciłem. Zo-

baczyłem zwierzchnika Jamesa, jak wychodzi z niszy, w której pan czytał

tę książkę. Sprawiał wrażenie bardzo zafrasowanego. Przypomniałem to

sobie znacznie później i postanowiłem do niego zadzwonić.

-Telefonowałeś do Jamesa? - spytałam zdziwiona i oburzona. - Kiedy? Dlaczego to zrobiłeś?

-Zadzwoniłem do niego z Paryża, ponieważ coś sobie przypomniałem - odrzekł, wyciągając nogi. Miałam ochotę usiąść obok niego i przy-

tulić się. Nie śmiałam jednak tego zrobić w obecności rodziców. - Pamię-

tasz, jak w pociągu dręczyło mnie coś odnośnie do zwierzchnika Jamesa.

Dopiero w Paryżu to sobie przypomniałem. Wśród papierów zalega-

jących jego biurko zobaczyłem kopertę z intrygującym znaczkiem pocztowym.

List dotarł z Turcji i był bardzo stary. Pieczętka pochodziła sprzed dwudziestu lat, a wysłał go profesor Bora. Pomyślałem sobie wtedy, że też kiedyś będę miał takie biurko z listami nadchodzącymi z całego świata. Moją uwagę zwróciło nazwisko nadawcy: Bora. Było takie egzotyczne. Oczywiście nie otworzyłem tego listu. Nigdy bym się na to nie odważył.

-Pewnie, że nie - mruknął mój ojciec z oznakami wyraźnej sympatii.

-Gdy wysiedliśmy z pociągu w Paryżu, dostrzegłem na peronie staro-
rego muzułmanina w czerwonym fezie z czarnych chwo-
stom i długiej szacie przypominającej odzienie osmańskiego paszy. Jego widok przy-

wiódł mi na myśl tamten list. Przypomniałem sobie opowieść
twojego
ojca - wiesz, nazwisko tego tureckiego profesora - i natychmiast ru-
szyłem do telefonu. Uświadomiłem sobie bowiem, że zwierzchnik
James
również był w jakiś sposób w to uwikłany.

-A gdzie wtedy byłam ja? - zapytałam zazdrośnie.

-W toalecie. Dziewczeta dużo czasu spędzają w toalecie. - Zapragnęłam nagle, by mnie pocałował, ale nie w obecności moich rodziców.

Zwierzchnik w pierwszej chwili zapienił się ze złości, lecz kiedy uświa-

domił mu, co się dzieje, oświadczył, że będzie mi wdzięczny za tę wiadomość do końca życia. - Głos lekko mu zadrżał. - Nie śmiałem py-

tać, co zamierza, ale teraz już wiemy.

-Wiemy - powtórzył jak echo mój ojciec smutnym głosem. - Z lektury starej książki musiał wywnioskować, że dokładnie za tydzień w Saint-

-Matthieu pojawi się po szesnastu latach Dracula. Wiedział zatem, dokąd

pojechałem. Z pewnością sprawdzał też, nad czym pracuję w dziale sta-

rych książek. Zresztą kilkakrotnie zagadywał mnie na Oksfordzie, co się

dzieje, zaniepokojony stanem mego zdrowia i umysłu. Nie chciałem go w to wszystko wciągać, wiedząc, jak bardzo niebezpieczna jest moja

misja.

Helen skinęła głową.

-Rozumiem. Musiałam go wyprzedzić. Znalazłam otwartą książkę i wszystko zrozumiałam. Kiedy usłyszałam czyjeś kroki na schodach, szybko oddaliłam się z tamtego miejsca. Podobnie jak nasz przyjaciel uświadomiłam sobie, że pojedziesz do Saint-Matthieu, chcąc odzyskać

mnie i wytropić tego demona. Natychmiast ruszyłam twoim śladem. Nie

wiedziałam jednak, że podąża za tobą również nasza córka.

-Widziałam cię - powiedziałam ze zdumieniem.

Popatrzyła na mnie i obie długo milczałyśmy. Miałyśmy jeszcze przed sobą tyle czasu. Zauważyłam, że jest zmęczona; wszyscy byliśmy zmordowani. Nie mieliśmy nawet siły cieszyć się naszym zwycięstwem. Czy świat stał się bezpieczniejszy, dlatego że znów byliśmy razem, czy też dlatego, że on go ostatecznie opuścił? Wybiegłam myślami w przyszłość, której nie znałam. Helen będzie żyć z nami i gasić świece w jadalni. Pojawi się na mojej maturze i podczas inauguracji roku akademickiego. Założy na mnie suknię ślubną, jeśli kiedykolwiek zdecyduję się wyjść za mąż. Będzie czytać nam na głos po kolacji w frontowym pokoju, wróci do świata i zacznie wykładać na uczelni. Pomoże mi kupować nowe

modne buty i bluzki, razem będziemy przemierzać ulice, obejmując się ramionami.

 Nie wiedziałam jeszcze, iż od czasu do czasu zacznę odpływać, zapadać na długie godziny w milczeniu, gładząc tylko palcami szyję, że wy-

niszcząca choroba zabierze ją nam po dobrych dziewięciu latach, zanim zdążymy się tak naprawdę nacieszyć jej powrotem, nigdy nie mając dosyć obcowania z nią. Nie mogłam przewidzieć, iż ostatnim darem matki okaże się jej spoczynek w spokoju, choć mogło być zupełnie inaczej. Stało się to dla nas zarówno rozdzierającym serce, jak i ożywczym zdarzeniem. Gdybym potrafiła odczytywać przyszłość, wiedziałabym, że po jej pogrzebie mój ojciec zniknie na cały dzień, a wraz z nim niewielki, wykonany ze srebra sztylet, przechowywany w szafie w salonie. Nigdy jednak go o to nie wypytywałam.

Ale tam, przy płonącym w Les Bains kominku, czekała nas jeszcze długa, błogosławiona przyszłość. Zaczęła się w chwili, kiedy mój ojciec dźwignął się z miejsca, pocałował mnie w czoło, gwałtownie potrząsnął ręką Barleya, a następnie pomógł Helen wstać z kanapy.

- Chodź - powiedział. Na jej twarzy malował się wyraz radości i zmęczenia. - Chodźmy do łóżka.

Epilog

Przed kilku laty trafiła mi się dziwna okazja. Stało się to w Filadelfii, podczas międzynarodowej konferencji historyków zajmujących się średniowieczem. Byłam w tym mieście po raz pierwszy. Zaintrygował mnie kontrast między tematyką naszego spotkania, dotyczącą feudalnej i monastycznej przeszłości, a otaczającą nas metropolią, pełną reliktyw z czasów oświecenia i rewolucji. Mieszkałam na czternastym piętrze hotelu usytuowanego w centrum miasta. Z okien mego pokoju rozciągał się rozległy widok na siedemnastowieczne i osiemnastowieczne domy, które obok drapaczy chmur wyglądały jak karzelki.

W wolnych chwilach od niekończących się dyskusji na temat bizantyjskich artefaktów uciekałam do baśniowego wprost muzeum sztuki, gdzie mogłam te rzeczy ujrzeć na własne oczy. Tam też trafiłam do niewielkiej biblioteki literatury, o której wspominał mi mój ojciec, dlatego chciałam ją koniecznie odwiedzić. W bibliotece zgromadzono zbiory ważne dla wszystkich badaczy zajmujących się *Draculą* - a liczba ich znacznie wzrosła po opublikowaniu prac mego ojca. Pamiętałam, że znajduje się tam odpis notatek Brama Stokera do *Draculi*, pochodzący z British Museum, oraz bardzo ważna, średniowieczna broszura. Nie mogłam nie skorzystać z takiej okazji. Ojciec zawsze pragnął odwiedzić tę księżnicę. Zrobiłam to za niego i spędziłam tam dobrą godzinę. Ojciec zginął dziesięć lat wcześniej odminy w Sarajewie, podczas prób mediacji w najkrwawszym w tamtym dziesięcioleciu konflikcie politycznym. Wiadomość o jego śmierci dotarła do mnie w tydzień później, pogrążając mnie w nieopisanej żałości. Do dzisiaj mi go brakuje - każdego dnia, każdej godziny.

Tak zatem znalazłam się w niewielkim, klimatyzowanym pokoju w dziewiętnastowiecznym budynku o elewacji z brunatnego piaskowca. Miałam przed sobą dokumenty, których tak bardzo ciekaw był mój ojciec. Za oknami widniały rozfalowane wiatrem drzewa, a po drugiej stronie ulicy takie same domy z brunatnego piaskowca, nieskażone plombą nowoczesnej architektury. Tego ranka w niewielkiej czytelnicy przebywała tylko jedna osoba: Włoszka, która dłuższy czas rozmawiała przez telefon komórkowy, po czym zagłębiła się w lekturze jakiegoś rękopisu. Ściągnęłam bluzę i otworzyłam swego laptopa. Bibliotekarka najpierw przyniosła mi rękopisy Stokera, a następnie niewielkie kartonowe pudełko obwiązane tasiemką.

Notatki Stokera były bardzo zabawne. Niektóre pisał bardzo ścisłym pismem, inne drukowanymi literami. Znajdowały się tam między nimi wycinki z prasy o dziwnych zdarzeniach oraz kartki z jego prywatnego kalendarza. Wyobrażałam sobie, jak bardzo śmiałby się mój ojciec na widok tej niewinnej zabawy Stokera w okultyzm. Po półgodzinie starannie poskładałam papiery i sięgnęłam po pudełko. W środku znajdował się cienki wolumin w cudownej, zapewne dziewiętnastowiecznej oprawie. Czterdzieści stron wydrukowanych na nietkniętym zębem czasu piętnastowiecznym pergaminie. Średniowieczny skarb, cud ruchomej czcionki. Na frontyspisie widniał drzeworyt: twarz, którą tak doskonale pamiętałam. Z ilustracji wpatrywały się we mnie bystro wielkie, szeroko otwarte i przebiegłe oczy. Bujne wąsy opadały na kwadratowy podbródek. Pознаłam długi, wąski nos i zmysłowe usta.

Była do broszura wydrukowana w Norymberdze w roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym pierwszym i mówiąca o zbrodniach, jakich dopuścił się *Dracole Waide**, o jego okrucieństwie i makabrycznych, krwiożerczych ucztach. Pierwszą linijkę tekstu, napisanego w średniowiecznym języku niemieckim, odczytałam bez trudu, gdyż była mi już znajoma skądinąd: *Roku Pańskiego 1456 Dracula dokonał wielu straszliwych i dziwacznych czynów*. Biblioteka zapewniła mi również dokładny przekład tej książki i ponownie przeczytałam z dreszczem zgrozy o jego po-

* Zapewne chodzi o anonimową, napisaną prozą przez siedmiogrodzkiego Sasa wersję zatytułowaną *Geschichte Dracole Waide* (Historia wojewody Draculi).

stępkach. Piekł ludzi żywcem na roznach, obdzierał ze skóry, zakopywał ich po szyję w ziemi, rozrywał kobietom łona, wkładał im do brzucha główki dzieci i wspólnie nadziewał na pal. Ojciec przestudiował zapewne wiele podobnych broszur, ale ta wzbudziłaby w nim najwyższy zachwyt ze względu na zdumiewającą świeżość pergaminu i doskonały stan, w jakim się zachowała. Po pięciu stuleciach sprawiała wrażenie, jakby dopiero co wyszła spod prasy. Taka jej czystość wyprowadziła mnie z równowagi. Szybko schowałam książkę do pudełka i związałam je wstążką. Trochę się sama sobie dziwiłam, co skłoniło mnie do obejrzenia tego dziełka. Dopóki nie zamknęłam książki, świdrowała mnie aroganckim wzrokiem postać uwieczniona na drzeworycie.

Zebrałam rzeczy, czując, że moja pielgrzymka dobiegła ostatecznie kresu. Bardzo serdecznie podziękowałam miłej i uprzejmej bibliotekarce. Złożona przeze mnie wizyta bardzo ją uradowała. Broszura należała do jednego z jej najbardziej ulubionych eksponatów w zbiorach. Napisała nawet o niej artykuł. Pożegnałyśmy się wylewnymi słowami i mocnym uściskiem dłoni. Opuściłam bibliotekę i zeszłam na parter, gdzie wstałam do sklepu z pamiątkami. Kiedy wyszłam wreszcie na rozgrzaną słońcem ulicę, otoczył mnie smród samochodowej benzyny i woń z pobliskiej restauracji, w której podawano właśnie lunch. Kontrast między ciszą i spokojem panującym w muzeum a hałaśliwą, zatłoczona ulicą sprawił, że ze strachem popatrzyłam na zamykające się za mną ciężkie, dębowe drzwi. Zaskoczył więc mnie widok bibliotekarki, która wynurzyła się na zewnątrz i spiesznie ruszyła w moją stronę.

- Pani chyba tego zapomniała - odezwała się zdyszonym głosem. - Dobrze, że jeszcze panią złapałam.

Przesłała mi pełne zażenowania spojrzenie jak ktoś, kto oddaje zagubiony skarb - portfel, klucze, drogocenną bransoletkę.

Znów zaskoczona, odebrałam od niej książkę i notatnik, jeszcze raz jej gorąco podziękowałam, i kobieta równie nagle, jak się pojawiła, zniknęła wewnątrz budynku. Notatnik rzeczywiście należał do mnie, choć byłam święcie przekonana, że przed wyjściem z biblioteki schowałam go do teczki. Książka natomiast... sama nie wiem, co w pierwszej chwili pomyślałam. Tyle tylko, że miała okładkę wykonaną z niesłychanie starego aksamitu, który pod dotykiem ręki wydawał mi się znajomy i nieznajomy zarazem. Jakość pergaminowych stron diametralnie różniła się od niebywalej świeżości broszury, którą studiowałam w bibliotece - mimo iż stro-

nice były puste, nosiły ślady ciągłego przeglądania. Książka sama otworzyła się pośrodku i zanim zdążyłam ją zamknąć, dostrzegłam złowieszczy wizerunek.

Stałam nieruchomo na środku ulicy i ogarniało mnie poczucie niezeczywistości. Mijały mnie samochody realne jak zawsze, gdzieś trąbiła ciężarówka, mężczyzna z psem na smyczy próbował przemknąć się między mną a rosnącym na skraju chodnika miłorzębem. Popatrzyłam szybko na okna muzeum w nadziei, że w którymś z nich dojrzę bibliotekarkę. Ale w szybach odbijały się tylko przeciwległe budynki. Nie poruszyła się żadna zasłona, nie trzasnęły żadne drzwi. Na ulicy nie działo się nic dziwnego.

W hotelowym pokoju położyłam książkę na szklanym blacie stolika,

a sama poszłam do łazienki, by przemyć ręce i twarz. Następnie podeszłam do okna i długo spoglądałam na miasto. Dostrzegłam ogromny, wyjątkowej brzydoty, arystokratyczny ratusz i pomnik, na którego piedestale balansowała statua miłującego pokój Williama Penna. Z mojej wysokości liczne parki przypominały zielone kwadraty porastających je drzew. Blask słońca ozłacał wieże banku. Daleko, po lewej stronie, widziałam budynek federalny, w którym przed miesiącem wybuchła bomba. Czerwono-żółte dźwigi wynosiły tony gruzu, docierał do mnie ryk silników pracujących tam maszyn.

Ale nie ten widok przykuwał moją uwagę. Na przekór samej sobie, myślałam o innym, który widziałam już wcześniej. Oparłam czoło o nagrzaną słońcem szybę. Czułam się osobiście bezpieczna mimo zawrotnej wysokości, na jakiej się znajdowałam. Groźące mi niebezpieczeństwo znajdowało się w zupełnie innych sferach.

Wyobrażałam sobie pogodny, jesienny poranek w roku tysiąc czterysta siedemdziesiątym szóstym. Jest tak zimno, że z powierzchni jeziora unosi się mgła. Łódź opływa brzegi wyspy, posuwając się wzdłuż ścian monasteru zwieńczonego kopułami z żelaznymi krzyżami na szczycie. Kiedy dziób drewnianej łodzi uderza w skaliste nabrzeże, zza drzew wybiega dwóch mnichów i natychmiast wciąga ją na brzeg. Mężczyzna, który wychodzi z łodzi, posuwa się energicznie po skalistej skarpie, wzbudzając stopami w skórzanych, czerwonych botach uzbrojonych w ostrogi rozliczne echa. Jest niższy od towarzyszących mu dwóch młodych mnichów, a jednocześnie zdaje się nad nimi górować. Pod długim, czarnym, aksamit-

nym płaszczem spiętym pod szyją wymyślną broszą, ma szatę z purpurowego adamaszku. Głowę wieńczy mu czarny kołpak z czerwonym piórem na przodzie. Dłoń mężczyzny, pobrużdżona głębokimi bliznami, spoczywała krzepko na rękojeści miecza przypiętego do pasa. Jego oczy są zielone, nienaturalnie duże i szeroko rozstawione, zarys nosa i ust znamionuje okrucieństwo, włosy i wąsy pokrywają mu pasma siwizny. Pojawia się opat i wita gościa w cieniu rozłożystych drzew.

- To honor dla nas, panie - mówi, wyciągając rękę. Dracula całuje jego pierścień, a kapłan błogosławi gospodarza znakiem krzyża. - Bądź błogosławiony, synu - dodaje jakby w podzięce.

Opat zdaje sobie sprawę, że pojawienie się władcy graniczy niemal z cudem. Dracula musiał przebyć tureckie kordony, by dostać się do monasteru. Nie po raz pierwszy opat odnosi wrażenie, że jego dobroczyńca wraca do świątyni wyłącznie dzięki bezpośredniej, bożej interwencji. Kapłan słyszał, że sam metropolita Curtea de Arges zamierza reinwestować Draculę jako władcę Wołoszczyzny, a wtedy bez wątplenia Smok wypędzi z tego kraju wszystkich Turków. Opat dotyka palcami w geście błogosławieństwa czoła gospodarza.

- Kiedy nie pojawiłeś się tu wiosną, spodziewaliśmy się już najgorszego. Bogu niech będzie chwała.

Dracula uśmiecha się i w milczeniu obrzuca opata przeciągłym spojrzeniem. Kapłan pamięta, że niejednokrotnie już spierali się na temat śmierci. Dracula kilkakrotnie podczas spowiedzi pytał zakonnika, czy on, jako święty człowiek, uważa, że każdy nawrócony szczerze grzesznik trafi do raju. Opatowi szczególnie zależało na tym, by jego patron przyjął ostatnie sakramenty, kiedy nadejdzie ostatnia chwila, ale bał się mu o tym wspominać. Ostatecznie jednak, pod lekkim naciskiem kapłana, Dracula przeszedł znów na prawdziwą wiarę, wyrzekając się heretyckiego kościoła zachodniego, z którym się czasowo związał. Opat wybaczył mu przewinienia - wszystkie osobiście. Czyż Dracula nie poświęcił swego życia, by odeprzeć napór niewiernych oraz potwornego sultana, który miażdżył mury chrześcijaństwa? W głębi ducha jednak zastanawiał się, jaki wyrok wyda Wszechmogący na tego dziwnego człowieka. Podejrzał, że Dracula nie osiągnie Raju i był bardzo rad, kiedy władca zmienił temat, pytając o zmiany, jakie zaszły w klasztorze pod jego nieobecność. Podążają na dziedziniec monasteru. Spłoszone kury uciekają na wszystkie strony. Dracula z zadowoleniem patrzy na nowo wzniesione budynki

i bujne, warzywne ogrody. Opat pospiesznie pokazuje mu też nowy krużganek, wybudowany już po jego ostatniej wizycie.

Kiedy zasiadają przy szklanicach z winem w komnacie opata, Dracula podaje kapłanowi aksamitny worek.

- Zajrzyj do środka, ojcie - mówi, podkreślając z lubością wąsa.

Wyciąga swe muskularne nogi, dłoń ponownie wspiera na rękojeści miecza. Opat chciałby, aby Dracula przekazał swój dar z większą pokorą, ale bez słowa otwiera sakwę.

- Turecki skarb - oświadcza gospodarz z szerokim uśmiechem. Zniknęły mu dolne zęby, ale górne były mocne i białe.

W sakwie znajdują się klejnoty i precjoza precudnej urody, ogromne szmaragdy i rubiny, ciężkie, złote pierścienie, brosze osmańskiej roboty

i wiele innych przedmiotów, w tym wspaniałe, grawerowane, złoty krzyż wysadzany ciemnymi szafirami. Opat nawet nie chce wiedzieć, w jaki sposób skarby te wpadły w ręce Draculi.

-Umieblujemy od nowa zakrystię i ufundujemy nową chrzcielnicę - oświadcza Dracula. - Sprowadźcie najlepszych rzemieślników wedle

swego uznania. Bez kłopotu ich opłacie i zostanie jeszcze dużo na mój grobowiec.

-Twój grobowiec, panie?

Opat spuszcza z szacunkiem wzrok.

- Tak, Eminencjo. - Znów sięga do rękojeści miecza. - Długo o tym myślałem. Pragnę zostać pochowany przed głównym ołtarzem, pod marmurową płytą. Życzę sobie uroczystej sumy nad moim grobem. Z chórem. - Opat posłusznie kiwa głową, choć bardzo niepokoi go wyraz twarzy hojnego fundatora. Wyprowadza go z równowagi przebiegły błysk w jego zielonych oczach. - Mam też jeszcze jedną prośbę, o której nie zapomnijcie. Na płycie grobowej ma zostać wymalowany mój wizerunek. Ale żadnego krzyża!

Zdumiony opat odrywa wzrok od posadzki.

-Bez krzyża, panie?

-Bez krzyża - potwierdza zdecydowanie książę.

Patrzy opatowi prosto w twarz. Kapłan przez chwilę nie odzywa się ani słowem. Ale jest przecież spowiednikiem i duchowym doradcą władcy. Odważnie więc podnosi głos:

- Każdy grób winien nosić znak męki naszego Zbawiciela. Twój również, panie.

Twarz Draculi ciemnieje.

-Nie planuję poddawać się długo władzy śmierci - oświadcza cicho.

-Jest tylko jeden sposób, by uciec śmierci - odzywa się odważnie opat. - Poprzez naszego Odkupiciela, jeśli tylko udzieli nam Swej łaski.

Dracula dłuższy czas patrzy mu prosto w oczy. Opat odważnie nie odwraca wzroku.

- Być może - odzywa się w końcu gospodar. - Ale ostatnio spotkałem człowieka. Kupca, który zmierzał do klasztoru na Zachodzie. Powiedział mi, że w Galii jest pewne miejsce, najstarszy w tamtych stronach kościół, gdzie łacińscy mnisi przechytzyli śmierć za pomocą sekretnych środków. Zaproponował mi sprzedaż tej tajemnicy. Opisał ją w księdze.

Opatą przeszywa zimny dreszcz.

- Niech Bóg chroni nas przed taką herezją - mówi szybko. - Jestem pewien, mój synu, że odrzuciłeś to kuszenie.

Dracula uśmiecha się.

-Wiesz ojcze, że kocham księgi.

-Istnieje tylko jedna Księga i musimy czcić ją i kochać z całego serca i duszy - oświadcza twardo opat.

Nie może jednak oderwać wzroku od pokaleczonej dłoni, którą gospodar bawi się rękojeścią miecza. Na małym palcu ksiązę nosi pierścień z wizerunkiem dzikiego, wijącego się potwora.

- Chodźmy stąd. - Ku radości opata Draculę najwyraźniej nudzi teologiczna debata. Gospodar rześko zrywa się z miejsca. - Chcę spotkać się z twoimi skrybami, ojcze. Mam dla nich specjalne zlecenie.

Przechodzą do niewielkiego skrytorium, gdzie trzech mnichów kopiuje wedle starych wzorów rękopisy, a czwarty układa drewniane czcionki, by drukować kolejną stronicę żywotu świętego Antoniego. Sama prasa drukarska stoi w rogu komnaty. Jest to pierwsze tego typu urządzenie na Wołoszczyźnie i Dracula z dumą przeciąga po nim swą masywną dłońią. Nieopodal maszyny najstarszy z mnichów cyzeluje coś w klocku drewna. Dracula pochyla się nad nim.

-Nad czym pracujesz, ojcze? - pyta.

-Nad wizerunkiem świętego Michała zabijającego smoka, Ekscencjo - mruczy wiekowy mnich.

Ma zamglone oczy nakryte gęstymi, siwymi brwiami.

- Wyrzeźb lepiej Smoka zabijającego niewiernych - chichocze Dracula.

Mnich kiwa w milczeniu głową, a po plecach opata znów przebiega zimny dreszcz.

- Mam dla ciebie, ojcze, specjalne zatrudnienie - odzywa się do staro-
rego mnicha Dracula. - Za pośrednictwem opata zostawią ci pewien
szkic.

Wychodzą na zalany słonecznym światłem dziedziniec.

-Zostanę na mszę i przyjmę u was komunię - oświadcza z uśmie-
chem opatowi. - Czy znajdzie się dla mnie na tę noc jakaś cela?

-Jak zawsze, panie. Ten dom Boga jest twoim domem.

-Chodźmy zatem na moją wieżę.

Opat doskonale zna obyczaje swego protektora. Dracula lubi obser-
wować jezioro i jego brzegi z najwyższej wieży klasztoru; zupełnie jakby
wypatrywał wrogów. I wie, co robi - myśli zakonnik. Turcy od lat polują
na jego głowę, król Węgier również nie darzy go sympatią, a własni boja-
rzy boją się go i nienawidzą. Przyjaciół ma tylko w tym monasterze. Za-
konnik podąża powoli za księciem kręconymi schodami, oczekując
dźwięku klasztornych dzwonów, które w tym miejscu będą wyjątkowo
donośne.

Z najwyższej kopuły rozciąga się widok na wszystkie strony świata.
Kiedy opat dociera na samą górę, Dracula stoi już na swoim ulubionym
miejscu. W charakterystycznym geście zakłada do tyłu ręce i zamyślo-
nym wzrokiem patrzy ponad wodę. Kalkuluje. Opat niejednokrotnie wi-
dział, jak wódz stał w takiej samej pozycji przed frontem swoich żołnie-
rzy, wydając rozkazy na kolejny tego dnia atak. Nie sprawiał wrażenia
człowieka, nad którego głową wisi śmiertelne niebezpieczeństwo - ko-
goś, kto może w każdej chwili ponieść śmierć, kogoś, kto powinien roz-
myślać już tylko o zbawieniu. Dracula jednak - myśli opat - wygląda jak
ktoś, przed kim cały świat stoi otworem.